TOM CCLXXX. L. 221. ROK 70.
SERYA 9. ZESZYT 838.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PAŹDZIERNIK.

1910.

TOM IV.—ZESZYT 1.

BIBLIOTEKA
CZYTELNI KATOLICKIEJ
we Lwowie.

WARSZAWA.
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.
—
1910.

Biblioteka Sejmu

TREŚĆ ZESZYTU.

		Str.
1.	OPOKA (powieść),—przez *Kazimierza Zdziechowskiego*	1
2.	RZĄDY AUSTRYACKIE W GALICYI,—przez *Wacława Mejbauma*	21
3.	FRYDERYK CHOPIN,—przez *Zdzisława Jachimeckiego*	39
4.	PAMIĘTNIK DEOTYMY	55
5.	POLITYKA KOZACKA W OSTATNICH LATACH ŻYCIA BOHDANA CHMIELNICKIEGO, — przez *Fr. Rawitę-Gawrońskiego*	76
6.	RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez *Orwida*	94
7.	JEDNA Z PIERWOTNIEJSZYCH GRUP LUDZKICH, — przez *K. Stołyhwę*	121
8.	PIŚMIENNICTWO:	
	Marius-Ary Leblond: „La Pologne vivante,“—przez *L. Włodka*	177
	Kazimierza Brodzińskiego „Nieznane poezye“ i D-r Aleksander Łucki: „Młodość Kazimierza Brodzińskiego,“ — przez *A. Drogoszewskiego*	181
9.	KRONIKA MIESIĘCZNA:	
	W wirach polemiki. — „Spór z p. Grońskim.“ — Spór z p. Szarapowem.—Nie pogarda, lecz przeciwstawność.—Przegląd sił	190
10.	WSPOMNIENIA POZGONNE:	
	ś. p. Józef Grajnert i ś. p. Jan Gebethner,—przez *L. W.*	200
11.	WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	202

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Ogólnego zbioru Tom 280.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1910.—Tom IV.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1910.

Biblioteka Śląska

4620.1910.4
II
Biblioteka Ślaska
30.000
X-14381
09.26.280.
4620/II 4.
/1910

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

OPOKA.

XIX.

U drzwi pałacu Mirskich Śniałowski spotkał hrabiego Tobiasza, który wracał z rannej mszy, a gdy ten nie poznał i chciał wyminąć, chwycił go mocno za ramię i prawie gwałtem zatrzymał. Hrabia Tobiasz stanął, w pierwszej chwili spłoszony, jak człowiek, któremu brutalnie przerwano zadumę. Przemknął mu po twarzy niepokój przypuszczenia, że to jest napad. Obejrzał natrętnego przechodnia, który ani ubiorem, ani wyglądem nie wzbudzał zaufania.

— Szedłem właśnie do pana... — głośno i niecierpliwie odezwał się bojowiec.

— Czego pan sobie życzy?...

Hrabia Tobiasz opanował już niechęć i nieufność, ale nie mógł przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widział tego młodzieńca.

— Chciałbym pomówić...

— Może pan wstąpi do mnie...

W milczeniu szli po schodach, potem przez salony, ciche o tej wczesnej godzinie, smutne w świetle pochmurnego poranku. Z za jakichś drzwi doleciał ich gwar dziecinnych głosów. W bibliotece hrabia Tobiasz przysunął krzesło gościowi, którego nazwisko wypłynęło naraz w pamięci. Ale Śniałowski nie usiadł. Postąpił kilka kroków ku gospodarzowi, stanął tuż przy nim, prawie pierś przy piersi.

— Zabiłem ordynata Obrońskiego—rzekł dobitnie i zamilkł.

Uczyniła się cisza, w której słychać było wesoły trzask ognia, palącego się na kominku, i wrzawę bawiących się w jakimś oddalonym pokoju dzieci. Hrabia Tobiasz stłumił odruch

Biblioteka Sejmu Śląskiego

odrazy, instynktową chęć cofnięcia się od mordercy, uważnem spojrzeniem badał przez chwilę gościa, żeby się przekonać, czy niema w tem strasznem wyznaniu chełpliwego cynizmu, poczem powiedział krótko:

— Niech pan mówi!...

— Pamiętam rozmowę z panem — gorączkowo zaczął bojowiec — i dlatego przyszedłem tu... Wydało mi się wówczas, że pan zaświecił mi w oczy, jak latarką śpiącemu, światłem wysokiej, wyższej niż moja prawdy i skrył się... Chcę usłyszeć dziś... Była mowa o Bogu...

Śniałowski urwał, jakgdyby spodziewał się potwierdzenia czy odpowiedzi, patrzał natarczywie niespokojnemi oczami gospodarzowi w twarz. Ale ten wbił wzrok w ziemię, milczał i także czekał.

— Niezmierny cień Boga zabiegł mi drogę... Bóg jest... Doświadczyłem w sobie, wiem...

Urwał nagle, jak człowiek, którego myśl idzie na same dno, w głąb duszy. Po chwili bezładnie opowiadał:

— Napadliśmy na pociąg pocztowy... Gazety pisały o tem wiele, partya zazdrościła nam, władze struchlały... Polała się krew, widziałem trupy, widziałem okropne oczy, pełne przerażenia, żalu i nienawiści, przedśmiertne spojrzenia... Widzę je teraz jeszcze... Ale nie o tem chcę mówić... Z obfitym łupem, z wielu tysiącami rubli wracaliśmy... Zdawałoby się... Znalazłem się sam wśród pól, na wiejskim gościńcu w nocy... I wówczas to niezmierny cień Boga żywego... Nie zapomnę nigdy!... Pojąłem istnienie wiecznego Boga, ujrzałem Jego żyjącą Istność, zgłębiłem mękę grzechu... Z małego, lichego, znikomego człowieka zbrodnia czyni potęgę, która przeciwstawia się Bogu... Czy pan pojmuje to? Trwać, mieć nieśmiertelność, jako wiekuista pamięć, jako wieczna, tak samo wieczna, jak Bóg, świadomość zła!... Byłem atomem, byłem ziarnkiem piasku na pustyni, zmieszany z miliardem podobnych ziarnek. I wstałem z prochu, stałem się naraz ogromnym głazem grzechu, ażeby tkwić i urągać swoim ogromem... Człowiek w sobie przez dobro i złe poznaje Boga, w dobrem zarówno jak i w złem osiąga moc...

Oczy mówiącego, natrętnie wpatrzone w niemego gospodarza, chwilami jakoby złe, chwilami zaniepokojone lękiem wewnętrznym, płonęły, na czole uwydatniły się żyły, przykre zmarszczki nadawały wyraz bolesnego wysiłku. Głos był niecierpliwy i szorstki. Opowiadał, wspominał, przytaczał jakieś przykłady i przenośnie, często bez związku, plątał się w słowach, a gdy

gubił wątek, albo gdy brakło mu wyrazu, gorącemi i drżącemi palcami tarł sobie czoło:

— To samo dziś... Błąkałem się za miastem, wśród pól, w ciemności... Tym, którzy w kamienicy zasypiają codziennym snem po załatwieniu powszednich spraw, wydaje się, iż ziemia jest takiem sobie wygodnem pomieszkaniem dla społeczeństwa, że wystarcza mieć dobrą policyę, sprawne sądy, wodociągi i kanalizacyę, parlament i odpowiedzialne ministeryum, trochę kościołów dla pospólstwa, galerye i teatry... I żyją ludzie gwarnie, tłumnie, wesoło, w stadzie, które je, pije, rozmnaża się, chodzą ze swoich mieszkań, z ulicy wygodnej, z ulicy szerokiej do biura, do magazynów, do klubu, na posiedzenia i koncerty, do kawiarni... byleby razem, byleby w tłumie i wśród wesołej wrzawy... byleby mijały dnie... I nie widzą Boga żywego... Ja zaś doznałem, że człowiek jest sam, sam ze swoją duszą, ze swojem złem, z Bogiem, sam w obliczu Pana, który zapełnia świat. A oni Go nie widzą... Bo niema ani dobrych, ani złych... Letni są... A takich Pan „wyrzuca z ust swoich...“ Przekraczają ustawy, przepisy policyjne, nakazy katechizmu, ale nie wiedzą, co jest grzech. Grzech jest wobec Boga żywego... I grzech idzie za nami, jak cień, trwa w pamięci na zawsze... I może człowiek jest tylko cieniem własnego zła... Próbowałem uciec, zapomnieć...

Rozejrzał się mimowoli po pokoju, jakgdyby pragnął przekonać się, czy przyszło za nim aż tu ono widmo, spojrzał w tryskający płomieniem kominek, dostrzegł tam jakowąś dziwną, zjadliwie wykrzywioną, chichoczącą twarz... I wydało mu się, że to jest twarz, którą znał i widział nieraz, może na ulicy, może we śnie, może tej nocy, gdy odwracał się od kryjącej się pod drzewami postaci wysokiego mężczyzny z wyciągniętą dłonią... Gorącemi, trzęsącemi się palcami tarł sobie czoło i myślał, ktoby zacz był?... Po chwili zapanował nad halucynacyą, odsunął przywidzenie...

— Służyłem — ciągnął dalej — nie programowi i nie partyi, ale idei, która jest wielką na ziemi. Alboż może być większa sprawa nad zaprowadzenie sprawiedliwości? Wysoki plan dojrzewał we mnie, przygotowywałem się przez lata do wzniosłego dzieła. I już nie mogę... Są ludzie, którzy potrafili przejść, jak po trupie, przez własne zło, ale ja nie zdołam. Nie dorosłem do miary męża silnego, który stwarza dzieje... Mnie drogę zabiegły dwa niezmierne cienie: cień Boga żywego i zło... I nie wiem już teraz...

W głosie zabrzmiały pytanie i prośba. Tymczasem gospodarz milczał. Stał ze spuszczoną głową, ze skrzyżowanemi na piersi rękami i patrzał w ziemię. Powieki kryły wyraz oczu, lecz twarz jego, zwykle spokojna, łagodna i trochę smutna, stała się surową. Odraza, stłumiona na razie, wracała. Hrabia Tobiasz nie mógł chwilami zapanować nad wstrętem, który budziły w nim spowiedź, postawa trybuna, mimo wszystko, zuchwała, widok mordercy, jego czarna bluza, jego ręce nerwowe, suche, niespokojne. Wyznanie było szczere i w słowach odzywał się niekiedy głęboki a rzetelny ból, ale Śniałowski zanadto przywykł przemawiać do tłumów i dlatego, porwany wymową, wpadał czasami w ton patetyczny i treść topił w płytkim potoku frazesów. Niecierpliwiło to hrabiego Tobiasza, który sam małomówny i prosty, nie znosił wszelkiej sztucznej pozy. Miałby ochotę przerwać, położyć kres przykrej wizycie i pójść do dzieci, których szczęśliwe szczebiotanie dochodziło tu z odległego pokoju, żeby odpocząć wśród słodkiego gwaru, zapomnieć, dać wytchnienie oczom, znużonym i znękanym odrażającym przymusem oglądania zabójcy. A wówczas powtarzał sobie: „i ja, i ja...“ — i słuchał dalej cierpliwie, ważąc każdy wyraz.

— Czytałem nieraz w książkach — opowiadał znowu bojowiec — o Bogu i o tem, że jest dobro, alem nie widział. Są kościoły, w których modlą się co niedziela tak zwani wierni, i jest Bóg w katechizmie, w kodeksie, w konserwatywnym organie, na papierze... Utarły się niektóre wyrazy, niegdyś żywe, dziś martwe... Powtarzają je ludzie, ludzie, którzy są ani zimni, ani gorący, letni... Innych już niema... Na krzywdzie, na bezprawiu urządzono istnienie, wygodne, przyjemne, a zwłaszcza bezpieczne. Minęły czasy ognia, wojen, moru i głodu. Wojska, cyrkuły, sądy, od biedy i księża strzegą dostatków, spokoju, hygieny... Zbudowano trochę szpitalów, trochę szkół, ochronek i przytułków, jest ofiarność publiczna, płynąca cienką strugą z poczucia obowiązków społecznych, i jest opinia publiczna, która potępia morderców, złodziei, podpalaczy... Cywilizacya, kultura, oświata i postęp... Wśród tej kwitnącej cywilizacyi i powszechnie cenionego postępu szukałem ideału *dobra*, nie cnót, dobrych uczynków, mdłej, tchórzliwej, pokornej dobroci, której jest poddostatkiem, ale dobra, które objawia się mocą, które tworzy i odradza — i nie znalazłem. I postanowiłem rozpędzić zło, uczynić człowieka silnym w walce, zniszczyć podłe zadowolenie, zatruć nikczemny spokój, wstrząsnąć duszami... Chciałem przejść przez tę ziemię, jako pożoga ognia, jako niedola miecza... Niechby ujrzeli ci, którzy śpią, owi letni,

piekło... Nienawidziłem... Płomieniem nienawiści pragnąłem spalić!... Z popiołów mogłoby wyrosnąć inne, wyższe szczęście... Gdyby pojawił się mąż o wielkiej mocy... Był człowiek posłany od Boga... Marzyło mi się posłannictwo... Chciałem być wielkim na ziemi, wielkim w obliczu Boga — dodał cicho, wstydząc się tych słów, dawniej drogich, dziś nieprawdopodobnie dalekich.

— Nie znalazłem w duszy — wyznawał jeszcze—dość wiary w siebie... Z tych, których uczciły dzieje, niejeden szedł po trupach i krwawemi rękami zdobywał... Zapatrzeni w gwiazdy, oskrzydleni wiarą mknęli w przyszłość... Parskały ich rumaki bojowe. Gdybym dążył mimo wszystko i zwyciężył, nazwanoby mnie sławnem imieniem... Nie mogę... I z planów, z marzeń, z pragnień wynikły tylko rabunki, zamachy, morderstwa... Powstrzymała mnie niemoc... Ze snu, w którym oglądałem ogromne dnie twórczych czynów, obudziłem się w podłem błocie zbrodni... Nie braknie mi odwagi, żeby umrzeć... — urwał, popatrzał dziwnie na swoje ręce, milczał chwilę.

— Ukazało mi się oblicze Pana — kończył cicho—widziałem Boga żywego... Bóg jest... Przyszły myśli, których nie znałem przedtem, myśli o życiu... Chcę pytać—i dlatego szukałem pana... Chociaż nie wiem, czy dla mnie... czy jakakolwiek prawda...

Mówił coraz wolniej i obojętniej, w głosie, na początku niecierpliwym, szorstkim, prawie krzykliwym, brzmiała apatya, spojrzenie, którem przedtem natrętnie i niespokojnie badał gospodarza, zsunęło się z twarzy i zawisło w przestrzeni. Znać było, iż stracił ochotę do rozmowy, że zadaje sobie przymus. Przemagało zmęczenie. Usiadł na fotelu przy kominku, zapatrzył się w płomień, który tryskał wesołą strugą, huczał, strzelał, parskał, śpieszył kędyś, igrał, i popadł w senliwy dobrobyt. Rozweselający trzask ognia, ciepło, cisza, wygoda, śmiech dzieci, sprawiały mu spokojne, przyjemne, obojętne na wszystko zadowolenie. Mógłby długo siedzieć tak i zabawiać oczy widokiem młodocianej, radosnej uciechy płomieni... nie myśleć o niczem, nie wiedzieć, nie pamiętać...

Trwało milczenie. Hrabia Tobiasz przeszedł się po pokoju, był pod oknem, wracał. Niespodziane wtargnięcie bojowca przerwało mu spokój, psuło radość rannych godzin, poświęconych dumaniu nad księgami wschodnich mistyków, medytacyi, pracy wewnętrznej W tej samej bibliotece mijały mu codziennie te dobre, najlepsze chwile. W ciepłym blasku ognia, który migotał smugą figlarnego światła na zżółkłych kartach starych ksiąg, oglądał święte żywoty wielkich mężów istotnej wiedzy, zagłębiał się

w tajemnice najwyższych dusz, z utęsknieniem poznawał... Czasami dzieci przybiegały, żeby usiąść mu na kolanach, przewracać stronice, pytać... Lubił ich słodkie głosy, szczęście ich życia... Dziś.. Z gniazda grzechu, z tłumu zaślepionych przyszedł do niego ten niepotrzebny gość, zakłócił ciszę zadumy wrzawą słów próżnych a szumnych, wyznał mu swoją niedolę, ukazał siebie, a w sobie nieprawość i nędzę życia, złe ziemi, o których on pragnął zapomnieć, od których odwracał zamyślone nad tajemnicą rzeczy wiecznych spojrzenie... Przyszedł prosić o pomoc, czy może, żeby znękać mu sumienie przemocą zła, wywrócić chełpliwie wiarę jego? Co dla niego uczynić? Któż wyratuje zapatrzonego we własną wielkość, wsłuchanego w brzęk mowy swojej? Niechby odszedł...

Hrabia Tobiasz z odrazą spoglądał na natrętnego przybysza, który grzał się u kominka, w senliwą twarz jego, na ręce, które zwisły, i wypychał go za drzwi wzrokiem pełnym niechęci. Ale sam cofał się do okna i tam toczył dalej walkę. Spowiedź, w której kłóciły się z sobą szczerość cierpienia z patosem, skrucha z młodzieńczą pychą, pragnienie wiary z cynicznem przeczeniem, nie usposobiła go przychylnie dla Śniałowskiego. Myśl, że ten oto pan w czarnej bluzie, o nizkiem i upartem czole, o suchych i drobnych rękach, wymowny, ciskający górnemi słowy, temi suchemi i drobnemi rękami zamordował wczoraj ordynata, budziła trudny do przezwyciężenia wstręt. Ohydna zbrodnia kładła na nim swoje straszne piętno, stawała za plecami jego, jak widmo, wyryła jakgdyby przepaść, wzniecała odruchową chęć ucieczki. Człowiek złamany i niezmiernie nieszczęśliwy nie wywoływał w sercu litości, a przerażał jako symbol zła, uosobienie przestępstwa, przestawał być bliźnim, był tylko zabójcą.

Hrabia Tobiasz znał oną wielką, bolesną, nieprzebytą dla wielu odległość między ukochaniem Boga, a miłością ludzi, zmierzył ją w trudzie dni swoich, nieustannie pracował nad skróceniem przestrzeni... Zmagał się i teraz.

„I ja także, i ja także“ powtarał sobie tam pod oknem, usiłując wzbudzić w duszy pokorę, czystość i prawdę uczuć, miłującą dobroć. A pod postacią pokory pokusa szeptała mu, że on sam ułomny, pełen smutku, niewiedzy, nie nawróci, nie poradzi, że oddawna wyrzekł się próżnych usiłowań nauczania, że zamknął się w pustelniczej celi, żeby poznawać i doskonalić się. I zapalały się potem w sercu przelotne błyski złej radości, gdy zastanawiał się nad upadkiem idei, którą próbował zwalczać przed rokiem, nad pognębieniem zuchwałych zapaśników złej sprawy, nad

karzącą mocą Boga. Widok niedoli Śniałowskiego cieszył go, jako przepowiednia blizkiej klęski całej partyi, wrogiego obozu, groźnej i zachłannej do niedawna potęgi. Tam, u kominka, w przyjaznym i gościnnym blasku ognia siedział nietylko morderca, ale i przeciwnik, przedstawiciel nieprzyjaznego, nienawidzonego niegdyś stronnictwa...

Ale zgasły rychło płomyki zjadliwej uciechy, przebrzmiały słabe echa dalekich, dawno zwyciężonych, ziemskich uczuć, towarzyszących niegdyś walce na gwarnych ulicach życia o władzę, o przewodnictwo nad duszami.

Gość milczał, gospodarz patrzał przez okno, przechadzał się po pokoju cicho i wolno. W pewnej chwili stanął przed Śniałowskim.

— Jeżeli pan szuka dobra, nie znalazł go pan tu—rzekł cicho—i ja także w młodości... W wielkim i ciężkim grzechu zbiegły moje lata... Nie posiadam i prawdy. Któż z ludzi? Mam tylko wiarę...

Zatrzymał się, dotknął gościa przelotnem, niechętnem spojrzeniem.

— Słuchałem pana uważnie — ciągnął dalej — i nie wiem... Przyznaje się pan do błędu, a żyją jeszcze te same żądze... Gdyby zapewniono powodzenie, wróciłby pan na dawne drogi... Pragnienie chwały, ubóstwienie człowieka, miłość ziemi i życia... Zazdrości pan tym, którzy krwawemi rękami zdobywali.

Śniałowski nie zaprzeczał i zdawało się, nie słuchał. Odpoczywał, dorzucał drew do kominka, zabawiał oczy rozweselającym widokiem ognia, który to cichł i żarząc się czerwono, strzelał ze zwęglonej szczapy wątłym, niebieskim płomykiem, to buchał na nowo huczącą strugą. Mowa hrabiego Tobiasza brzmiała mu jakoby z oddalenia, jakgdyby zwrócona do kogo innego. Wyczerpany po tylu dniach szamotania się z sobą i z życiem, nie chciał przerywać tej jednej, rzadkiej i krótkiej, niezaznanej oddawna chwili dobrobytu. Przyjazne ciepło ognia, migotliwe blaski, przelewające się u stóp jego na podłodze, spokój wielkiego i dostatniego mieszkania, głosy dziecinne sprawiały mu złudzenie, że to jest jakaś godzina, skradziona przeszłości, że on znajduje się pod dachem rodzinnego domu, wśród swoich...

— Złamał pana grzech wieku — padały tymczasem suche i chłodne słowa—zakładaliście królestwo człowieka, zamierzaliście ustanowić nieprzerwane święto nasycenia i użycia... Duch ziemi rządził... Rozpętane zwierzę ludzkie, obróci w niwecz wszystko... Oszołomiła umysły wrzawa czczych wyrazów... Zadeptano ducha,

żeby wyzwolić ciało. Pan mówił o krzywdzie, o uciemiężeniu, pan pytał, skąd złe? Jakaż może być sprawiedliwość wśród ludzi ułomnych, zbłąkanych, zaślepionych, złych? Odpowiem także, że może trzeba, ażeby znękane daremnem oczekiwaniem i tęsknotą kładły się do mogił wiekuiście smutne pokolenia. Niedola życia, nieprawość ziemi, cierpienia... Może z wszechmądrej Myśli i Woli... Może tak trzeba... Od początku dziejów młodziki wykreślają programy szczęścia, próbują przekształcać i kopią nogą nieposłuszny świat i Boga...

Senna obojętność gościa, który nie odpowiadał, który zapewne nie słuchał, zniecierpliwiła hrabiego Tobiasza. Powiódł po nim zniechęconym wzrokiem.

— Czego pan przyszedł tu?—spytał twardo—czy żeby przynieść chełpliwą opowieść o zbrodni i swoich cierpieniach i ukazać pognębioną wielkość duszy, upojonej szumnemi słowy? dla uciechy przeczenia?

Pohamował szyderczy ton i zimno przekładał dalej:

— Prawdy nie posiadam i dobra niema tu... Mam wiarę tylko. Mówiłem już. Nie będę nauczał. Na marneby poszły kazania... któż złamie upór pychy? Żeby znaleźć, trzeba wprzód wyprzeć się i zabić w sobie dawnego człowieka, dawną mowę...— skończył sucho.

Śniałowski podniósł na niego spojrzenie, patrzał dziwnie, jakoby ze smutnym wyrzutem.

— Mam już iść? — powiedział cicho.

Nastało milczenie. Wtem otwarły się drzwi i do pokoju wbiegło dwu chłopców, siedmioletni Maciek i mały Staś. Na twarzach ich jaśniały uśmiechy figlarne i przekorne, trochę niewyraźne, w które dzieci uzbrajają się dla pozyskania z góry czyjejś łaski, potrzebnej im w trudnej przeprawie, gdy grozi kara za nieposłuszeństwo.

— Madame mówi, że nie można iść na spacer, mama nie pozwala... my do wujka... wujek powie, że można....

Garnęli się do wuja, obejmowali go za kolana i niepewni przyjęcia, przebiegle a ujmująco patrzeli w niego, zadzierając do góry główki. Nie zauważyli jeszcze gościa.

— Czemu wujek nie czyta? Gdzie tamta książka z barankiem i złotym aniołem? Wujek pokaże.

— *Montrez moi le livre* — szeplenił Staś.

Hrabia Tobiasz stał z uśmiechem i szczypiąc im policzki, tłómaczył, że spaceru nie będzie, bo zimno, że książka w szafie, że Madame czeka, że on sam zawoła ich za godzinę. Śniałowski

poruszył się na krześle, żeby wstać. Wówczas dopiero chłopcy spostrzegli nieznanego pana. Starszy oglądał go ze zdumieniem, wahał się i chciał cofnąć się, ale Staś bez ceremonii potuptał małemi nóżkami w kierunku kominka. Zatrzymał się w pewnem oddaleniu i stamtąd przypatrywał się.

— Co pan tu robi? — spytał.

A otrzymawszy zamiast odpowiedzi przyjazne spojrzenie gościa, zbliżył się do niego.

— Jakie pan ma włosy!—dziwił się—takie długie jak u Netki...—i wyciągnął rękę, żeby dotknąć.

Śniałowski pochylił głowę, a ośmielone dziecko poufale zanurzyło we włosach paluszki, bawiło się niemi, pieściło je i targało. Staś zapomniał już o niepowodzeniu w sprawie spaceru i książki i oddawał się z całem weselem nowej uciesze. Śmiał się, gwarząc. Bojowiec uśmiechał się także, zniżał głowę coraz bardziej, poddawał się pieszczotom. Powiało nań wspomnieniem domu, przeszłości, godzin, gdy bawił się z siostrami, radowało się serce.

— Idźcie już, idźcie! Stasiu, nie dokuczaj panu! — strofował hrabia Tobiasz.

A gdy to nie pomagało, wziął obu chłopców za ręce i wyprowadził ich za drzwi. Przyjacielska rozmowa Stasia z gościem, najbardziej zaś widok krwawych, złych, wstrętnych rąk zabójcy, które dotykały dziecka, sprawiały mu przykrość.

Gdy wrócił, zauważył, że Śniałowski siedzi ze zwieszoną głową. tak samo jak wówczas, gdy zniżył ją do pieszczot chłopca, i że po twarzy toczą się łzy.

Była długa chwila milczenia.

— Pójdę już! — szepnął Śniałowski i wstał.

— Dokąd pan pójdzie?

— Nie wiem jeszcze...

— Niech pan zaczeka...

I znowu zapadło milczenie.

Bojowiec obojętnem, osowiałem spojrzeniem patrzał w przestrzeń. Dobre mgnienia spoczynku, dobrobytu, rzewnej radości, którą wzruszyły go pieszczoty dziecka, minęły, spłynęły jak krople dżdżu po prostopadłej ścianie skały. Widział przed sobą życie, niby ciemne wejście do lochu, żałował, że przyszedł tu, gnany niepokojem i bałamutną nadzieją, niedorzecznem urojeniem. Cóż może uczynić dla niego człowiek, chociażby święty, chociażby silny i mądry? Trzeba odejść stąd, wrócić do mieszkania Pa-

wła, do owego znienawidzonego pokoju, na otomanę i czekać, a potem cokolwiek...

— Schwycą pana—odezwał się hrabia Tobiasz—i będzie koniec. Młody pan jest... Umrzeć łatwo... Ale nie po to danem jest życie, żeby je zniszczyć. Pomyślę...

Słowa były, jak zwykle, zwięzłe i suche, ale głos brzmiał łagodnie i oczy, dawniej chłodne a niechętne, patrzały życzliwie.

— Nie moja rzecz sądzić i potępiać, albo rozgrzeszać — dodał po chwili. — Są drogi pokuty, skruchy, poprawy. Życie długie i, kto wie, jakie jego przeznaczenie. Zawiozę pana, ukryję...

— Mam bezpieczne schronienie... Nie po to przyszedłem... — gorzko zauważył Śniałowski.

— Tak?... — hrabia Tobiasz zawahał się wobec łatwej możliwości pozbycia się troski.

— Zmieni pan warunki życia, spędzi wiele czasu w samotności, rozważy. Obcowanie z człowiekiem bożym, do którego chcę zaprowadzić, dopomoże... Zresztą ja nie narzucam bynajmniej swojej opieki — zaznaczył z pośpiechem.

— Wątpię, żeby dla mnie cokolwiek... Zapóźno jest. Ale trzeba gdzieś iść — ze zniechęceniem wyznawał Śniałowski.

Hrabia Tobiasz wahał się jeszcze.

— Niech pan poczeka tu na mnie... zaraz wrócę... — rzekł.

Bojowiec został sam. Ogarnął spojrzeniem pokój pełen ciszy, dostatku i tradycyi, ciemne i jakgdyby tajemnicze szafy z książkami, ustawione pod ścianami, portrety, wysokie, obite skórą fotele, które, zdawało się, czekały tylko, żeby usiedli na nich poważni i mądrzy ludzie dla wytrawnej rozmowy, spojrzał w migotliwe i jasne oblicze ognia, który przestał go rozweselać... Z każdego miejsca spoglądało na niego zasępienie. Przeczulonemi nerwami odczuwał teraz chłód i niechęć obcego otoczenia. Żałował, że zjawił się tu niepotrzebny i nieproszony, żałował szczerych słów swoich... Zresztą i to było mu obojętnem. Był, uczynił spowiedź przed człowiekiem zimnym i nieprzyjaznym, pójdzie gdzieś z nim—wszystko jedno. Ciężki smutek, niby wieko trumny, przykrył mu serce. Jak w owej chwili, gdy dostrzegł z oddali miasto, rozumiał, że niema ręki, któraby zdjęła z niego straszliwe brzemię, że skończyło się i przeminęło wszystko prócz twardej niedoli. W zmęczonej głowie snuły się sennie jakieś beznadziejne, ociężałe a niewyraźne myśli, niby one stroskane opary, które wstają nad ziemią w jesienne poranki po dżdżystej nocy przed słotnym dniem.

Hrabia Tobiasz wrócił niebawem już w palcie i razem zeszli na dół. Siedli do dorożki, w milczeniu jechali. Śniałowski nie zadawał pytań co do celu tej wycieczki. W pierwszej chwili onieśmieliły go spojrzenia ludzi na chodniku i jadących powozami, zdawało mu się bowiem, że wszystkie są skierowane na niego. Doznał tych samych wrażeń, co wigilią w kawiarni. Były to lęk pomieszany ze wstydem i chęć ukrycia się, a zarazem uczucie odrazy do tłumu. Cieszyła go myśl, że zamkną go gdzieś, że nie zobaczy ludzi, ani ludzie jego, że nic nie wiąże go już z miastem, że będzie sam, że zapomną o nim, sprawiało ulgę złudzenie, któremu nie mógł się oprzeć, iż ta jazda jest ostatnią, że zbliża się rozwiązanie i odwraca się w życiu nowa stronica. Wśród apatyi, która pochłonęła jego duszę, świeciło chwilami cienkie pasemko wątłej nadziei...

Zatrzymali się za miastem przed kościołem, weszli przez furtkę, minęli rozległy cmentarz, otoczony drzewami, na którego przeciwległym krańcu stała stara, smutnie odrapana i spłukana przez deszcze z tynku kamienica.

— To ja mam zamieszkać tu? — spytał Śniałowski, zdziwiony, prawie rozśmieszony przypuszczeniem, iż wypadnie mu zostać pod dachem plebanii, pod skrzydłem proboszcza.

— Tak — odparł hrabia Tobiasz i zadzwonił.

Otworzył im drzwi staruszek, w którym łatwo było odgadnąć zakrystyana i prowadził wązkiemi krętemi schodami z niemalowanego drzewa na górę. Tam hrabia Tobiasz znikł za jakiemiś drzwiami, stary służący ulotnił się także. Śniałowski czekał cierpliwie. Patrzał przez okno na gałęzie, które chwiały się i nieustannie zawadzały o szybę, na dach kościoła, na pusty cmentarz, przechadzał się po korytarzu, który biegł wzdłuż całego domostwa, wodził spojrzeniem po pobielanych ścianach, słuchał echa własnych kroków, skrzypienia desek, dziwnego stuku gałęzi, bijących po szkle... Czas dłużył się. Pomysł hrabiego Tobiasza wydawał mu się tak niedorzecznym, że chwilami brał to wszystko za żart, ale postanowił nie sprzeciwiać się. Było tu cicho i pusto, było daleko do miasta, i tylko perspektywa codziennego obcowania z księdzem stanowiła przykry przymus. Sądząc z kilku słów hrabiego Tobiasza, a głównie powodując się uprzedzeniem, spodziewał się ujrzeć fanatyka o szpiegowskiem wejrzeniu, ze wścibską ciekawością, z natrętnemi słowy na ustach, który rzuci się na niego, jak na zbłąkaną owieczkę, pochwyci w gorliwe szpony i zajmie się gwałtownem nawracaniem, albo typ przebiegłego jezuity. Tymczasem ksiądz, który zjawił się wreszcie,

zgotował mu niespodziankę. Wyglądał na człowieka znużonego i nieśmiałego, był prosty w obejściu i nie miał w sobie nic napastniczego. Nizki i szczupły, o twarzy zwyczajnej, której zamyślone oczy nadawały może wyraz smutku, należał do kategoryi ludzi, którzy zacierają się łatwo w pamięci, którzy przechodzą niepostrzeżenie. Przywitał bojowca obojętnym, bez odcienia ciekawości wzrokiem, jakgdyby najbardziej pospolitego gościa, zadał jakieś pytanie—i natychmiast o nim zapomniał. Zadumane oczy jego oglądały w dalszym ciągu myśl, którą przyniósł tu z sobą. Trwało parę chwil kłopotliwe milczenie. Potem ksiądz zaprowadził Śniałowskiego do przeznaczonego pokoju, powiedział znowu parę zwyczajnych słów i znikł za drzwiami.

— Zabawi pan tu — odezwał się hrabia Tobiasz — ile panu będzie się podobało. Odwiedzę pana kiedyś... teraz pójdę...

Śniałowski uczynił z przyzwyczajenia ruch, żeby podać rękę na pożegnanie, ale zauważywszy, że tamten zawahał się, ukłonił się z daleka. Hrabia Tobiasz wyszedł. Przez chwilę słychać było skrzypienie desek na korytarzu, tupot kroków na schodach, potem nastała cisza. Śniałowskiego zwykła na nowem miejscu ciekawość popchnęła do okna. Wyjrzał. Było i tu kilka drzew, które chwiały się i bezlistnemi gałęźmi trącały o szybę, potem szmat pola zoranego, sterczącego brzydko kilku badylami ostu, nowy z czerwonej cegły dom, który stał samotnie, rzekłbyś na wygnaniu, i dalej pusta przestrzeń. Wrócił spojrzeniem do pokoju, obejrzał skromne łóżko, nad którem wisiała fotografia Chrystusa w cierniowej koronie z mdłego obrazu Guido Reni'ego, stół z przyborami do pisania, krzesło, umywalnię — usiadł.

W apatyi i zniechęceniu, które uśpiły duszę, nie przestawała wątłym głosem odzywać się jakowaś niewyraźna nadzieja.

XX.

Tymczasem hrabia Tobiasz wchodził do kościoła. W smutku, który zatroskał mu duszę, szukał spokoju i pokrzepienia. Ukląkł przed ołtarzem, ukrył twarz w dłoniach, nizko pochylił głowę i korzył się duchem. Gorącym zdrojem trysnęła z serca żarliwa modlitwa bez słów, modlitwa skruchy i miłości. Nękały go wyrzuty sumienia. Radosna cisza, z którą dziś rano odchodził był od ołtarza, którą przyniósł do domu, rozwiała się, jak

biały obłok, który wypływa niekiedy na posępne tło burzliwej chmury, a potem wsiąka w nią i ginie bez śladu. Zabrzmiały natomiast zgrzyty niezadowolenia, odezwały się echa dawnych, zwalczonych, zdawało się, uczuć, z pod łudzącej mgły podniosłego nastroju, który usiłował utrzymać w sobie, ukazała się twarda, chropowa powierzchnia chłodnej, a oschłej niechęci do ludzi. Oskarżał siebie, wspominając złość, z którą przywitał gościa, zjadliwe wyrazy, któremi szydził z niego, odruch odrazy, którego doznał, gdy zabójca bawił się z dzieckiem, albo gdy ten chciał podać mu rękę na pożegnanie, chęć pozbycia się nieproszonego przybysza i powrotu do ulubionych zajęć. Zawinił podwójnie, stoczył się, upadł nizko, a w żalu, który go zasępił, najgłośniej odzywała się gorzka myśl o niezmiernem oddaleniu duszy od źródła miłości, o zmarnowanym trudzie lat, o martwej wierze, która nie mogła zamienić się w czyny, o drzewie, rodzącem złe owoce... Przychodziło zniechęcenie. Daremnemi wydawały się dążenia, pragnienia, nieustanna praca ducha, pożądającego doskonałości. „Omnis homo mendax“ — przypominało się bolesne westchnienie psalmu i zestawiał je z twardemi słowy Janowego listu apostolskiego: „Jeśliby kto rzekł, iż miłuje Boga, a brataby swego nienawidził, kłamcą jest. Albowiem, kto nie miłuje brata swego, którego widzi, Boga, którego nie widzi, jako może miłować?“ A ze zniechęconego smutku wynikał nie gorliwy zapał do dalszych usiłowań, ale pragnienie ucieczki, myśl porzucenia męczącej ulicy życia, tęsknota do pustelni, do spokoju niezakłóconej niczem kontemplacyi rzeczy wiecznych. Widział tylko grzech i niezdatność własną, strwożony łatwym upadkiem wyrzekał się podjętego dzieła, uciążliwej pracy nad odrodzeniem ducha w narodzie, marnemi wobec odwiecznych zadań duszy wydawały mu się cele ziemskie i zabiegi ludzkie, i postanawiał strzedz wyłącznie własnej drogi. Pełen pokory, wstydu i żałości, powtarzał sobie, że uniosła go pycha, że nie poznał dostatecznie nędzy swojej, że nie jest przygotowany do trudnego posłannictwa nauczania innych, że trzeba mu zdjąć z wątłych, jak pokazało się, ramion zbyt ciężkie brzemię społecznej pracy i usunąć się w zacisze medytacyi... Ale radość, której doznawał, gdy tak zwalniał siebie od ciężaru obowiązków, niepokoiła czujne sumienie obawą, zali one myśli pokory nie są podszeptem pokusy. Więc nie poddawał się, rozważał pilnie, zmagał się z sobą... Co jakiś czas jakaś godzina stawała się godziną pokusy i próby, wątpienia i niepokoju. Walczył był niedawno z takiem samem zniechęceniem — trzeba było walkę rozpocząć na nowo.

Hrabia Tobiasz modlił się, ale odczuwał, że coraz niżej opadają skrzydła, że modlitwa nie jest już kojącem zjednoczeniem się, że nie płynie gorącą strugą ekstazy, że zastąpiły ją słowa coraz zimniejsze, coraz bardziej mechaniczne. Wargi szeptały łacińskie wersety psalmu: „Beati immaculati in via,“ on zaś słuchał ich obcy i obojętny. Podnosił chwilami oczy do góry, zwracał się do Boga w ołtarzu, a spostrzegał tylko świece, ozdobione sztucznymi kwiatami, lichtarze, krzyż i złą kopię brzydkiego Wniebowzięcia. Słyszał miarowy takt zegara, rozróżniał powonieniem ów specyficznie pobożny zapach, zapełniający puste świątynie w dnie powszednie, zapach, na który składają się: wilgoć murów, pleśń rzeczy nigdy nie przewietrzanych i swąd zgaszonych świec. Błahe i niepotrzebne wrażenia sprawiały mu roztargnienie. Odczucia zmysłowe i związane z niemi pospolite myśli mąciły podniosły nastrój, który umiał zwykle obudzić w sobie, gdy znajdował się w kościele. Napróżno chował twarz w dłoniach, przywierał powieki i zaczynał rozmyślać podług wskazówek, zaleconych przez świętego Ignacego. W oschłem sercu panował chłód, dusza zapadła w martwe uśpienie. Przed oczami zaś nie przestawały przesuwać się obrazy świata zewnętrznego, do uszu dochodziły dźwięki i snuły się wciąż wspomnienia. Nad duchem czującym i czuwającym przewagę miało leniwe ciało i jego władze. Im usilniej pragnął je spętać, zwalczyć nizki stan i zbliżyć się do słodkiego szczęścia, którego kosztował w chwilach, gdy na rozpiętych skrzydłach pławił się w błękicie bytu, tem zwiększała się tylko niecierpliwość i wzmagał się rozstrój, a ociężałość nie mijała. Cofnął się wreszcie od ołtarza, usiadł w jakiejś ławie, znękanem spojrzeniem patrzał. Odczuwał straszliwy smutek próżni w kościele i w duszy. Pokusa zamknęła tajemny przybytek, który nawiedzają i rozświetlają promienie łaski, stargała cenną nić łączności człowieka z Bogiem, zasłoniła owe wewnętrzne oczy, które widzą, oglądają, czują żywą obecność... I dusza, pozbawiona naraz nadprzyrodzonej zdolności, nie mogła znaleźć Boga, tak, jak dotknięty głuchotą, nie może usłyszeć dźwięków. Daremnie hrabia Tobiasz sztucznie podniecał w sobie wiarę i powtarzał słowa psalmu, któremi dawniej przemawiał do Pana. Świątynia była pustą i kościół bez Boga tłoczył swoim niepotrzebnym ogromem, przerażał martwem milczeniem, niepokoił sztucznością panującej w nim ciszy, raził brzydotą. Spojrzenie błąkało się bezczynnie wśród naw, dotykało ścian, ołtarzów... Ze sklepień, pokrytych nowożytnymi freskami, spoglądały na hrabiego Tobiasza: Bóg-Ojciec, krzepki starzec z brodą, trzymający coś w potężnej

prawicy, wątły Chrystus, powiewający czerwonym sztandarem, gołębica Ducha Świętego, apostołowie, ustawieni sztywnie w nienaturalnych pozach. Nieudolne malowidło, jaskrawe chorągwie z preraźliwymi poprostu wizerunkami świętych, feretrony, papierowe kwiaty, stacye na ścianach, gipsowe ornamenty w stylu niesmacznego baroka—to wszystko ukazało się dziś poraz pierwszy w całej ohydnej szpetocie hrabiemu Tobiaszowi, którego oczy pamiętały surową prostotę i piękno świątyń romańskich, którego oczy nieustannie tęskniły tak, jak i dusza, do onych czasów żywej wiary. Nasuwały się pomimowoli uwagi o obniżeniu się i rozkładzie uczuć religijnych w wieku, który tak ozdabiał swoje kościoły, w którym twórczość żarliwych serc zastąpiły szkaradne fabrykaty taniego przemysłu, a mężką wiarę—dewocya, karmiona lichą symboliką. Z tych spostrzeżeń wysnuły się potem posępne myśli, które tłumił zwykle i rozpraszał, które wciąż niepokoiły. Z utęsknieniem wspominał przecudne brzaski, czysty poranek ery chrześcijańskiej, wonne kwiaty średniowiecza, zestawiał przeszłość z obrazem współczesnej szarzyzny — i smucił się. Znał i pamiętał wszystkie zarzuty, którymi nowożytna nauka obciążyła tak zwany metafizyczny okres, a mimo to żałośnie tęsknił do czasów, gdy społeczeństwa pożądały i szukały jedynie prawdy wiecznej, gdy wyrastali wśród nich mężowie, których życie było rozkwitaniem duszy do Boga, a „śmierć drogą w obliczności pańskiej.“ I wydawało mu się, kiedy tak spoglądał w dzieje, że historya jest długiem pasmem upokorzeń i klęsk, stopniowym upadkiem kościoła, a z drugiej strony nieprzerwanem zwycięstwem pychy ludzkiej, materyi, ducha ziemi...

Z ziarn apostolskich wyrosło rozłożyste drzewo i cieniem swoim pokryło świat... Zdawało się, że sprawdzi się przepowiednia o jednym pasterzu w jednej owczarni, że blizkim jest przyjścia Syna Człowieczego... Oczekiwały w uniesieniu ludy... Tymczasem stulecia podcinały konar po konarze, robactwo zagnieździło się w krzepkim pniu—i usycha drzewo. Znikły z powierzchni ziemi kwitnące kościoły Afryki i Azyi, odpadły i odpadają kraje, państwa, narody... Rozwiała się, jak mgła, potęga kościoła, zbladła jego chwała... Z władczyni świata i doli ludzkiej czemże stała się religia? Mieszaniną kłócących się, niechętnych sobie wyznań tolerowanych przez rządy, jako zakorzeniony przeżytek minionych epok albo jako środek wychowawczy dla dzieci i pospólstwa. Mężna i męzka wiara, rodząca czyny, zamieniła się w obrzędy i dogmaty, w karne spełnianie przepisów, albo ckliwą, odświętną pobożność... Były lata buntu i walk, wątpienia scepty-

cyzmu, szyderczej niechęci, aż przyszło najgorsze złe: zupełna obojętność. Urodził się bezbożny człowiek współczesny, zarozumiały, pewny siebie, zmysłowy i łakomy, pragnący szczęścia na ziemi i użycia, człowiek rozumny i chłodny, mierny i przeciętny, zapatrzony w postęp, w naukę i ludzkość, człowiek bezpieczny i kulturalny, który nie umie się obejść bez państwa, policyi, stronnictw, gazet i kawiarni... I zgasła w życiu myśl o Bogu...

Hrabia Tobiasz dotknął z kolei ukrytej a najboleśniejszej rany: zła w samym kościele, które spostrzegał, które trwożyło go, na które nie umiał znaleźć rady. Pragnął powrotu do źródeł Nauki, nieskażonych zapewne, ale poniekąd zmąconych przyprawą apologii, egzegiezy, scholastyki, powrotu do pierwotnych form współżycia, do gminy ewangelicznej, rozgrzania miłości, rozpalenia światła wiedzy wyższego lotu, czynnej wiary, pragnął odrodzenia, naprawy i poprawy, wierzył w możliwość pozyskania na nowo umysłów i serc przykładem świętych cnót, marzył o zgromadzeniu rozproszonych i zbłąkanych w przestronnej o oknach otwartych na świat Boży świątyni, zbudowanej na opoce Piotrowej. I karcił w sobie chęci sądzenia, zapał surowej krytyki, bał się grzechu pychy, usiłował ukorzyć się i milczeć. Ale płynęły takie smutne uwagi...

— Dla czego — chciałby potem pytać — zamiast potężnego drzewa, które splotem gałęzi okryło niegdyś świat, rośnie jedynie żałobny cyprys rzymski, ocieniający grób minionej wielkości? Dla czego dzieje są zaprzeczeniem prawdy i obietnic Syna Człowieczego? Dla czego dalekiem i coraz dalszem jest Królestwo Boże, a Ten, który „daje śnieg jako wełnę, a mgłę rozsypuje jako popiół,“ nie posyła słowa Swego, ażeby roztopić zimno i nie czyni wiosny?... Zgasły cudne słowa Syna Bożego... Zapowiedział blizki powrót i zwycięstwo, a nieukazał się w obłokach w chwale swojej, nie zajaśniał jako błyskawica... Przetrwała wiara burzę czasów, czy przetrwa napaść nauki, podkopy badań krytycznych, nieufność współczesnego rozumu, chłodną obojętność serc??! I zdało mu się, że rozległ się po kościele cichy, zjadliwy chichot... To może śmiały się szyderczo zawiedzione w oczekiwaniu swojem wieki i śmiały się może znękane pokolenia, których nagie czaszki szczerzyły się pod ziemią w okropnym śmiechu śmierci. Jak szelest wody, ściekającej po ścianach, rozlegał się w milczących nawach cichy chichot...

Hrabia Tobiasz słuchał głosu ciszy, dumał, ogarnięty posępnym niepokojem. A myśl przeczenia ryła coraz głębszy podkop, pracowała skrycie, zapuszczała się coraz dalej i podważała ostat-

nie fundamenty. Aż przyszła chwila zwątpienia. Nie obawiał się jej. Po długim trudzie lat ze zmagania się rozumu z wolą ducha, z mozolnych badań, gorliwych rozważań, głębokich rozmyślań, z walki, stoczonej z szyderczą niechęcią czasu, wynikła dzielna wiara jego i nie mogły wywrócić jej przelotne trwogi. Więc czując teraz, że traci jak gdyby grunt pod nogami, grzęźnie i zapada się, że chwieje się cały gmach, szukał kamienia węgielnego budowy, punktu oparcia, wspominał pracowitą drogę, którą wstępował na wzgórze poznania Boga, przetrząsał dowody, sięgał, pewny siły swojej, żeby wypróbować jej, po dogmaty. Ale dogmaty, z których, niby krew z przeciętej arteryi, uszła wiara, wydały się czczemi formułami, widział gwałt, który zadawały rozumowi kruchość zawiłych wiązań, niezwykłość wyniosłej budowy, nieopartej na żadnym widzialnym, dotykalnym fundamencie, niedorzeczność nieudowodnionych twierdzeń, sztuczność bezprzykładnej łamigłówki. Brał je po kolei, oglądał rozsądkiem, przekonywał się, że treść ich umykała, jak promień z ręki. Głośno zaś zagadały naraz wszystkie zarzuty współczesnej nauki i sprzymierzyły się z wątpiącym rozumem, przypomniały się wyniki nowożytnych badań, godzące w autentyczność świętych ksiąg.

— A jeśli istnienie Boga—odezwała się trwożna, znana, nasuwająca się często myśl — jest złudzeniem wszystkich wieków i pokoleń, próżną nadzieją dusz, daremną tęsknotą serc? Jeśli Bóg jest tylko wyrazem mowy ludzkiej, wymysłem, który pisze się z wielkiej litery, urojeniem filozoficznem, jak przyczynowość i celowość?

W pustym kościele, w którym uśpionej duszy nie objawił się Bóg, ukazał mu się, niby straszliwe widzenie podczas snu, beznadziejny obraz wszechświata, w którym nie było Boga. Ujrzał bezmierne przestwory kosmosu, wirujące słońca, ogrom światów, zanurzonych w nieskończonej nocy, rozpaczną nicość rzeczy niezmiernych a bezcelowych, bezmyślnych i niepotrzebnych, ujrzał otchłań ciemności i próżni, a na dnie nieobjętej otchłani — znikomą, patrzącą ku niemu dwojgiem ciekawych i niespokojnych oczu mysz, która gryzła orzech: myśl, karmiącą się wiedzą ludzką.

Przeniknęła go bojaźń. W wyniosłej budowie dogmatów mieszkała wiara jego, a wiara była osią życia. Cóż zostało? Usychający liść w ręku? Jak goście z gwarnego letniska przed zimą, znikały po kolei w życiu jego pozór szczęścia, pozór sławy, pozór wiedzy, był sam w pustym domu swoim z Bogiem. Czyżby zabrakło wiary? Wśród przepaści mroku chaos zjawisk... Czemże będzie smutne życie jego na schyłku? Ponurym cieniem bólu

duszy, daremnie pożądającej prawdy i doskonałości? Nasyceniem zmysłów i nudą? pogonią za radością? albo? można zatrzymać odbicie obłoku w wodzie? biegnie rzeka i płynie po niebie obłok... Zabawą z orzechem wiedzy? Zdobywaniem chwały? Pieści grobową płytę dawno zmarłego promień słońca od czasu do czasu... Pracą nad pomnożeniem dóbr ziemskich, tworzeniem przemysłu, dźwiganiem rolnictwa? Nie wiele pomogą krajowi, ubogiemu duchem, bogactwa... Co uczynić z usychającym liściem życia?... A smutek stuleci, poszarpanych wojną, głodem, morem, krzywdą, bezprawiem, okrucieństwem, niedolą pokoleń, które spodziewały się i przeszły? Jaka zapłata i gdzie jest cel albo kres nędzy życia? Cierpi i nieprzestaje czekać, szukać i pragnąć ludzkość... I znowu zdało mu się, że słyszy podobny do szelestu ściekającej po ścianie wody cichy, zjadliwy chichot... Usłyszał przerywaną szyderczym śmiechem odpowiedź:

— Nie może być dowodem istnienia Boga smutek doli twojej, której niepotrafiłeś napełnić zadowoleniem, użytecznością, uciechą, nędza ziemi, niedorzeczność bezcelowych cierpień człowieka. Umysł, posłuszny zakorzenionemu nałogowi, szuka celu i przyczyny, zamiarów i kresu. Pragnienie prawdy stwarza prawdę, z tęsknoty wynikają złudzenia... Żyjesz dziś—umrzesz kiedyś, istnieje wszechświat—przeminie. I wówczas skończy się to, co nazywają ludzie boleścią, religią, Bogiem, dobrem, prawdą, nauką... W otchłani mroku umilknie szmer, który czyni znikomy chaos zjawisk...

W pustej świątyni wśród milczących naw rozlegał się cichy, szyderczy śmiech.

Jak piłka, silnie podrzucona, uderza o sufit, spada, odbija się od podłogi i znowu wraca pod powałę, tak myśl hrabiego Tobiasza przebywała wciąż przestrzeń między wiarą a wątpieniem. Nękały go, upokarzały i bolały częste powroty tych godzin niepokoju, chwiejności i zaćmienia, w których rozum ziemski brał przewagę nad duchem, prawda wieczna znikała mu z przed oczu, jak gdyby zakryta nagle obłokiem, i świat widzialny, którego nie spostrzegał, o którym zapominał, który wydawał mu się znikomym, niegodnym uwagi cieniem, odzywał się naraz dobitnym głosem, wyrastał wyraźny, dosadny i doniosły i niby ściana zasłaniał tamten niewidzialny... Tak turkot dorożek na bruku zagłusza muzykę... Kołatał do duszy i szukał w niej pokrzepienia i owej stanowczej wiedzy, która tam przebywała, usiłował wzbić się, jak ptak, ponad chmury, przez łudzącą obsłonę zjawisk w wysokie strefy bytu.

— Jakże słabą i niedostateczną okazywała się wiara jego, jeśli znikoma mysz, nasycona orzechem, mogła podważyć cały gmach! I jak kłamczem było zapewnienie, że posiada wiarę, które dawał zarozumiale dziś rano! Każdy bywa kuszony, ale nie każdy upada. Wola silnego ducha tłumi wrzawę zmysłów, omamienie świata... Czegoż mu potrzeba? Znaku na niebie albo na ziemi, jak tym, którzy nie wiedzą?—myślał, przypatrując się bezczynnem spojrzeniem brzydkim wizerunkom świętych na chorągwiach, ołtarzom i smutnym szeregom zgaszonych świec, szkaradnym freskom.

Tu przypomniał się hrabiemu Tobiaszowi bolesny, szczery, pełen trwogi okrzyk Śniałowskiego, że cień Boga żywego zabiegł mu drogę, że groźne oblicze Pana ukazało się w mroku zbrodni... Kto wie, może ten, którym pogardzał, od którego odwracał ze wstrętem wzrok, głębiej poznał, lepiej posiadł? może zgnębionej duszy przestępcy skuteczniej objawiła się łaska?

Fala pokory zalała serce. Bił się w piersi i korzył się, wspominając grzech pogardy, pychy i niechęci wobec bliźniego, grzech chwiejności, sądzenia i trwogi.

„A jeśli który z was potrzebuje mądrości — szeptał — niech prosi od Boga, który obficie wszystkim dawa, a nic nie wymawia, a będzie mu dana. A niech prosi z wiarą, nic nie wątpiąc. Bo kto wątpi, podobny jest wału morskiemu, którego wiatr wzrusza i tam i sam nosi... A bądźcie czynicielami słowa a nie słuchaczami tylko, oszukiwającymi samych siebie. Bo jeśli kto jest słuchaczem słowa a nie czynicielem, ten podobny będzie mężowi, przypatrującemu się obliczu narodzenia swego w zwierciedle...“

— Niech prosi z wiarą, nic nie wątpiąc — powtarzał hrabia Tobiasz. Jakże mogła być daną duszy, którą nieustannie mącił wiatr niepokoju, mądrość? Alboż zdobywa kiedy szczęście i pokój wiedzy ten, który tylko przypatruje się w zwierciedle oblicza narodzenia swego, który jest słuchaczem słowa a nie czynicielem?

Dumał, rozważając treściwe słowa apostoła, i coraz niżej pochylał głowę pod ciężarem zarzutów, którymi smagał sumienie, w smutku, którym napełniał go widok własnego życia. Wydawało mu się, że dotychczas przyglądał się sobie w lustrze i szukał na obliczu swojem piękna doskonałości, że niema czynów ani uczynków, któreby usprawiedliwiały i dawały świadectwo wierze, nazywał siebie najlichszym i najbardziej niegodnym i głęboko wstydził się pychy, która kryła się gdzieś, w jakimś zakątku, a wypływała na powierzchnię, gdy zstępował do ludzi i porównywał siebie z nimi.

Nurt skruchy i żalu zagarniał coraz głębiej serce. I zwolna otwierała się skruszona dusza, ażeby zajaśniała w niej spokojnem światłem prawda, która zmogła duch przeczenia, lęk i boleść, i wyrosła w duszy wyniosła budowa wiary, urągająca zarzutom rozumu, szyderczej wrzawie zmysłów. Zarzuty rozumu stały się właśnie dowodami potwierdzającymi. Wystarczyło wznieść się ponad chmurę przemijających zjawisk, rozbić zaporę świata widzialnego — i oczy ujrzały na nowo blask trwałej wiedzy. Prawda, którą nadaremnie usiłował zbadać i usprawiedliwić umysł, przeciw której podniosły bunt zmysły, prawda, przed chwilą straszliwie daleka i niewiarogodna, przemówiła znanymi wyrazy, odbiła się w duszy i świeciła jasno, jak słońce, a to, co było prawdą dla ducha, nie mogło podlegać wątpieniu i trwało, chociażby naprzekór prawom oczywistym, doświadczeniu, niespokojnym domaganiom się myśli ludzkiej i zaprzeczeniom rozumu tak, jak dźwięki istnieją i brzmią, mimo że tłum na sali koncertowej składa się z samych głuchych, którzy, nie mogąc ani dotknąć, ani spostrzedz wzrokiem muzyki, nie chcą wierzyć, żeby ona brzmiała.

Kazimierz Zdziechowski.

RZĄDY AUSTRYACKIE W GALICYI

pomiędzy wojną roku 1809 a 1812.

Mocą traktatu wiedeńskiego utraciła Austrya na rzecz Księstwa Warszawskiego t. zw. okręg Zamoyski i Krakowski; było tego wszystkiego razem 961 mil. kw. i 1,531,560 dusz. Z Galicyi zaś Wschodniej po przewlekłych, półrocznych układach cesyjnych zabrała Rosya tak nazwany kraj Tarnopolski, obejmujący 121 mil kw., z ludnością wynoszącą nominalnie 400,000 faktycznie zaś 349,015 głów.

Zatrzymała więc Austrya więcej niż połowę swych pierwotnych zaborów, z dawnego ich obszaru 2,346 mil kw. aż 1,264 mil kw., z 5,181,771 aż 3,301,156 mieszkańców. Pozostała przy monarchii część Galicyi, najgęściej zaludniona, w czasie wojny w całości prawie zajęta przez armię rosyjską, zamierzony nabytek Rosyi; tworzyły ją cyrkuły myślenicki, bocheński, sądecki, jasielski, sanocki, samborski, tarnowski, rzeszowski, przemyski, żółkiewski, złoczowski, lwowski, brzeżański, stryjski, stanisławowski i śniatyński. Był to już tylko ułamek dawnego zaboru, zawsze jednak jeszcze $^1/_{12}$ część terytoryum Rzpltej.

Stan posiadania w Polsce trzech mocarstw rozbiorczych uległ w czasie dwóch ostatnich lat znacznej zmianie. Powstało Księstwo Warszawskie. Prusy utraciły $^3/_4$, Austrya zaś prawie połowę swych polskich nabytków. W posiadaniu ich pozostawały w stosunku do całości Rzpltej nieledwie skrawki tylko, Prusy miały jeszcze 660 mil kw., Austrya 1,264 mil kw. i około 3,000,000 ludności. Natomiast powiększyła swój zabór Rosya, zabierając w roku 1807 Prusom okręg Białostocki (200 mil kw.) a Austryi

w roku 1809 kraj Tarnopolski (121 mil kw.). Ona też posiadała obecnie prawie $^2/_3$ obszaru Rzpltej, bo aż 8,563 mil kw. i przeszło 8,000,000 ludności. Połowę tej ludności, niespełna 4,000,000, a jedną trzecią część tego terytoryum, 2,821 mil kw., obejmowało Księstwo Warszawskie.

Siłą więc rzeczy stawało się ono ośrodkiem i punktem wyjścia polskich dążeń państwowo-twórczych, jako polska organizacya państwowa, jako największa po krajach zabranych część Polski, wreszcie jako terytoryum dla ziem Rzpltej geo- i etnograficznie centralne.

Galicya zostawała w sferze wpływów Księstwa Warszawskiego od chwili jego utworzenia. Obecnie, po zwycięskiej wojnie, po niezdławionem powstaniu, po przyłączeniu prawie połowy kraju do Księstwa, kiedy z wojskiem polskiem opuściło Galicyę tysiące jej mieszkańców, kiedy nie było prawie rodziny szlacheckiej, któraby w armii warszawskiej nie miała kogoś bardzo blizkiego, nie było niemal szlachcica, któryby tam nie miał krewnych, przyjaciół, znajomych—stosunki Galicyi z Księstwem były ciągłe, stałe, codzienne, wpływ jego na nią decydującym.[1])

Szlachta, gdy tylko mogła, wychowywała młodzież swą w szkołach warszawskich,[2]) matki synów, żony mężów wysyłały do służby wojskowej i cywilnej w Księstwie. Gazety warszawskie powszechnie były w Galicyi czytywane, każdy świstek, każda broszura tam wydana natychmiast była tu ogólnie znaną. Przewożono je przez granicę, przemycano w listach, największe wysiłki rządu, aby temu przeszkodzić, były daremne.

Wymiana listów była bardzo żywa, odbywała się ona, żeby uniknąć kontroli rządu, na drodze przemytnictwa, wozili druki

---

[1]) Por. Goess do Brezany 25 Juli 1810, do Haagera 17 April. „...setki młodzieży uciekło do Księstwa, nie jestem w stanie wymienić tych wszystkich, którzy opuścili Galicyę wraz z armią warszawską, jest ich tak wielu, że zestawić wyczerpujące wykazy jest niewykonalne.“ 12 Aug., 6 November 1810; Haager do Goessa, Wien 27 März 1810; Baum do Goessa, Wieliczka 20 Januar 1811; cyrkuły do Landes Pr., niezupełne wykazy, tłómaczą się z niemożności wykrycia tych wszystkich, którzy do wojska polskiego wstąpili. Wykazy obejmują tylko właścicieli dóbr, nie będących sujets mixtes. Goess do ks. Reuss, generała komend., 8 Jan. 1811, wykaz byłych oficerów austryackich, zbiegłych do armii warszawskiej, oznaczony jako niezupełny. (Arch. Namiestnictwa we Lwowie).

[2]) Por. Goess do cyr. Jasło, 28 Aug. 1810, do Haagera, 4 Septem. 1810; Haager do Goessa, 8 Octob. 1810 (Arch. Nam.).

i listy specyalni posłańci i Żydzi, posyłano je sobie przez znajomych i krewnych „okazyą.“ [1])

Naturalnym organem wpływów Księstwa na Galicyę byli sujets mixtes. Traktat pokoju wiedeńskiego zapewniał im wolność przebywania w służbie warszawskiej, wyjeżdżania i wracania każdej chwili do Galicyi, dawał im wszystkie prawa obywatela Księstwa, ograniczał obowiązki poddańcze wobec Austryi. To też Galicya pełna była oficerów warszawskich, przyjeżdżających i wyjeżdżających ustawicznie, bawiących miesiącami nieraz całymi po miastach i dworkach szlacheckich u rodzin swych, krewnych lub przyjaciół. Po ukończonej kampanii karnawał we Lwowie huczny był i wesoły, na salach balowych, na redutach i kuligach, jak kraj długi i szeroki, roiło się od barwnych mundurów warszawskich, właściciele ich byli bohaterami dnia; że zdobywali serca pięknych „galicyanek“ z równą łatwością, jak pół roku temu kraj, nikt wątpić nie będzie; koło nich skupiało się życie towarzyskie i polityczne Galicyi, oni nadawali mu ton, oni urabiali i organizowali opinię, niecili zapał i entuzyazm dla sprawy polskiej, krzewili kult Napoleona i wolnej, niepodległej Rzpltej. Byli dumą i radością ojców, ideałem i wzorem dorastającej młodzieży, marzeniem kobiet, a postrachem austryackich urzędników i oficerów.[2])

Tych ostatnich z junacką fantazyą i zuchwalstwem wyparli z redut i zabaw publicznych. Stosunki między przedstawicielami obu armij tak się zaogniły, że przychodziło już nietylko do ciągłych pojedynków, ale do bójek, w których uczestniczyło po kilkadziesiąt osób.[3])

Z oficerami warszawskimi zjeżdżali do Galicyi w charakterze ich służących prości żołnierze, zwykle chłopi galicyjscy, ci

[1]) Landes Pr. do cyr. Złoczów, 13 März 1810, do Bancal Administr., 25 Juni, 2 Septemb. 1810. Goess do Haagera, 30 maja 1810; cyr. Złoczów 20 Septemb. i cyr. Żółkiew 29 Octob. do Landes Pr.; agent do Goessa, Sokal 30 Octob. 1810; Haager do Goessa, 27 April 1810 (Arch. Nam.).

[2]) „...Oficerowie warszawscy zjeżdżają tłumnie, wszędzie ich pełno, wywierają wpływ bardzo szkodliwy, utrzymują społeczeństwo w rewolucyjnem napięciu, podsycają wiarę w blizkie odbudowanie Polski...“ Goess do Haagera, 31 Mai 1810; Landes Pr. do cyr. Żółkiew 22 Febr., do cyr. Złoczów 25 Novemb. 1810. Haager do Wurmsera, Wien 23 Januar 1810: „S. M. empfehlen zugleich eine vorzügliche Aufmerksamkeit auf jene warsch. Officiere, die durch ihre falschen Ausstreungen Kleinmuth verbreiten und die Köpfe in Gährung erhalten...“ (Arch. Nam.). Cyr. Żółkiew do Landes Pr. 14 Juni 1810 (Arch. Nam.).

[3]) Por. Goess do Haagera, 7 März; Haager do Goessa, 18 März 1810 (Arch. Nam.).

krzewili ideę polską, budzili podziw dla broni polskiej i Napoleona, a nienawiść do Austryi i Rosyi wśród najszerszych warstw ludu miejskiego i wiejskiego.[1]) Niejednokrotnie też przybywali ludzie, którzy do Galicyi wracać nie mogli, gdyż zbiegli do legionów lub wojsk warszawskich przed rokiem 1809, przyjeżdżali za paszportami fałszywymi albo zgoła bez nich. Zwłaszcza do dworów, niedaleko granicy położonych, wpadali oficerowie Księstwa na kilka dni, na kilka nieraz godzin, często gromadnie, a straż graniczna czasem ich nie widziała, czasem widząc zatrzymać nie miała odwagi.[2])

Trudności paszportowe, czynione przez gubernium mieszkańcom Galicyi, zamierzającym udać się do Księstwa, najczęstsze nieudzielanie ich, o ile żądający nie był sujet mixtes, nie osłabiło ani zmniejszyło wyjazdów, granicę przejeżdżano bez paszportów i to masowo. Tłumnie przekradała się przez kordony szlachta, ustawicznie jeździli do byłej Galicyi Zachodniej kupcy i mieszczanie w sprawach handlowych i procesowych.[3])

Kraków i Lublin pełen był ciągle galicyjskiej szlachty, latem zdrojowiska na Podkarpaciu, szczególnie Lubień i Krynica, — Niemcy jeździli do Szkła,—przez rok cały kontrakty we Lwowie, Krakowie i Lubieniu i jarmarki były miejscami jakby walnych zjazdów szlachty z tej i z tamtej strony kordonu.[4])

Wśród takich warunków wpływ Księstwa Warszawskiego na Galicyę był decydujący; wspólność dążeń i pragnień, wspólność przyjętego systemu politycznego, ciągłe, bezpośrednie, wzajemne czucie czyniły poniekąd Galicyę i Księstwo jednostką moralną; nigdy nie był przedtem i nigdy potem kordon graniczny w życiu Galicyi rzeczą tak małego znaczenia, jak w tym świetnym okresie lat 1809—1815.

---

[1]) Por. Landes Pr. do Gener. Komendy, 26 Mai 1810: „...z oficerami przyjeżdżają, jako ich służący, podoficerowie i żołnierze, często dezerterzy i chłopi galicyjscy, chodzą w mundurach, demoralizują lud." (Arch. Nam.).

[2]) Por. Generalna Komenda do Landes Pr., 13 Mai 1810; cyr. Rzeszów do Landes Pr., 12 Mai 1810; Goess do Haagera, 10 Aug. 1810. Zakrzewski, pułkownik 13 pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, do br. Wunscha, dowódcy trzeciego kordonu granicznego. Zamość, 18 kwietnia 1810 (Arch. Nam.).

[3]) Goess do Brezany i cyrkułów, 10 Mai 1810. Okólnik w sprawie ustawicznego jeżdżenia galicyjskich obywateli do Księstwa bez paszportów. Goess do Haagera, 31 Decemb. 1811; cyr. Złoczów do Landes Pr., 3 Aug. 1811; Haager do Goessa, 16 Aug. 1812 (Arch. Nam.).

[4]) Goess do Haagera, 14 Juni, 21 Juli, 29 Juli 1810; Haager do Goessa, Wien 11 Juli 1810 (Arch. Nam.).

Po wypadkach roku 1809 władze galicyjskie utraciły wszelką nadzieję, ażeby Galicya kiedykolwiek być mogła wierną i uległą prowincyą austryacką. Naczelnicy cyrkułów, dyrekcya policyi, przygodni obserwatorzy, wszyscy, rozpatrując udział jej we wojnie, godzili się na jedno w konkluzyach ostatecznych, „rząd nie może mieć najmniejszej nadziei pozyskania kiedykolwiek przychylności tego, z natury swej niepodległościowego i niewdzięcznego narodu, choćby największemi odznaczeniami, dobrodziejstwami i ofiarami.“ [1])

„Długo jeszcze przed wybuchem nieszczęśliwej wojny między Rosyą, Prusami a Francyą—pisał Brezany do Haagera—kiedy mieszkańcy Galicyi nie mieli żadnej nadziei, któraby pozwoliła im ujawnić nienawiść do c. k. rządu, już pragnienie odbudowania Królestwa Polskiego uwidoczniało się tak powszechnie i rażąco, iż nie mogło ujść uwagi nawet najbardziej powierzchownego obserwatora... I gdy już wówczas tliły iskry niezadowolenia i buntu pod ziemią, to pokój w Tylży rozpalił je pełnym, jasnym płomieniem. Księstwo Warszawskie zamieniło życzenie w głośną, pewną nadzieję. Zachowanie się Wschodniej i Zachodniej Galicyi w czasie ostatniej wojny, która tak doskonale rozwinęła usposobienie i nastrój zwrócone przeciw Austryi, dostarczyło jaskrawych dowodów tej nienawiści...“ Pokój wiedeński zwrócił Austryi Wschodnią Galicyę, „ale nie osłabił jej nadziei... Bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, liczy teraz szlachta na rychłe swe połączenie z Księstwem Warszawskiem i na zamianę tegoż w Polskie Królestwo.“ [2])

A gubernator Galicyi orzekał: „Jeśli przeszło trzydziestoletnie przyzwyczajenie do otrzymanej organizacyi państwowej i przeświadczenie o staraniach rządu, podjętych celem podniesienia kultury i dobrobytu kraju do stopnia ich rozwoju w innych częściach monarchii, nie zdołały zniszczyć ciągle żywionego, choć starannie skrywanego pragnienia niezawisłego bytu państwowego, to obecnie nastrój ten musiał stać się silniejszym tylko i bardziej jeszcze niezniszczalnym.“ [3])

---

[1]) Por. Brezany do Haagera, 5 Febr. 1810; Wurmser do Haagera 9 Mai 1810 (Arch. Minist. des Innern. we Wiedniu). Haager do Goessa, posyłając mu raport „przygodnego podróżnego,“ Wien 19 März 1810 (Arch. Nam.). Bornschein, Geschichte von Pohlen. Lemberg, 1810.

[2]) Por. Brezany do Haagera, 5 Febr. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

[3]) Goess do Haagera, 15 Febr. 1810. Koncept Heidera (Arch. Nam.).

Co do istotnego, beznadziejnego położenia Austryi w Galicyi nie łudził się także i hr. Wurmser,[1]) znał on kraj i nastrój polityczny mieszkańców znakomicie, świadek naoczny powstania, a teraz nadworny, pełnomocny komisarz dla spraw cesyjnych i restytucyjnych, miał tak dokładny przegląd wypadków ubiegłego roku, jak nikt inny; miał urobiony sąd o ludziach i rzeczach, podziw i nienawiść dla narodu polskiego; podzielał wprawdzie poglądy biurokracyi na bieżący stan rzeczy w Galicyi, razem z nią nie wątpił o bezskuteczności i daremnym trudzie wszelkich wysiłków, zmierzających do zgnębienia lub osłabienia ruchu niepodległościowego i znalezienia wśród społeczeństwa najsłabszego choćby oparcia; jednakże tylko w latach najbliższych, natomiast w perspektywie dalszej przyszłości widział możliwość wyłonienia ze społeczeństwa galicyjskiego elementów, które odpowiednio wychowane, stałyby się silnemi wiązaniami austryackiej państwowości. Na tej nadziei oparł Wurmser program polityczny, czy też na tym programie nadzieję, jedno zaś i drugie na żywej, bystrej obserwacyi społeczeństwa, na dokładnej znajomości jego charakteru, jego struktury narodowej i socyalnej, na rysujących się już antagonizmach społecznych, acz nie ujętych jeszcze i nie uświadomionych. Z łatwością spostrzegł, zestawiając bilans powstania, że biernie wobec niego zachował się kler gr.-kat. i chłop, że ani jeden, ani drugi nie posiada aspiracyj narodowo-państwowych, a sprawa polska jest mu całkowicie obcą i obojętną. Przyczyn tego zjawiska szukał i znajdował je nie w różnicach plemiennych, ale społecznych, w ucisku ekonomicznym chłopa, w nędzy i pozycyi socyalnej i towarzyskiej kleru gr.-kat., do nizin niedoli chłopskiej strąconego. I tak stanęła przed nim kwestya włościańska i ruska w pierwotnych swych zalążkach, na nich się oparłszy, naszkicował Wurmser program polityczny, nazajutrz po pokoju wiedeńskim, program rzezi roku 1846 i kontrrewolucyi ruskiej roku 1848.

„...I tak pozostają w tym kraju — powiada Wurmser — dla rządu dwie wielkie podpory, chodzi tylko o to, żeby je bardziej jeszcze umocnić, a potem całkiem na nich się oprzeć. Mam na myśli poddanych i kler gr.-kat. Rząd powinien przyjąć, jako zasadę, że przy nakładaniu ciężarów publicznych zwraca się szczególną uwagę na stan tutejszego poddanego i całe ich brzemię, co najmniej w przeważającej części, ponosić się każe dworom... Na-

[1]) Wurmser do Haagera, 9 Mai 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

stępnie przyjdzie już do tego, że się w tym kraju utworzy porządny system poddaństwa, chłopów się uwłaszczy, robociznę według *małego* wymiaru ureguluje, jej zamianę na daninę w pieniądzach lub naturaliach (!) składanej ułatwi. Jeśli będzie rząd w myśl takich zasad konsekwentnie działał, to serce ludu prostego, głównej siły państwa, są dla niego na zawsze zdobyte...“ [1])

Nie tak jasno i dobitnie ujmował Wurmser kwestyę ruską, można powiedzieć, że ją raczej przeczuwał, niż przewidywał.

Rząd austryacki zajął się klerem gr.-kat. od chwili zaborów bardzo gorliwie, starał się polepszyć jego położenie materyalne, pracował usilnie nad jego wykształceniem. Przewodnią myślą jednak tych zabiegów około ekonomicznego i kulturalnego podniesienia duchowieństwa unickiego był lęk przed propagandą prawosławia w Galicyi i na Węgrzech i idącą za nią polityczną agitacyą rosyjską. Nie tyle obawa przed Polską, ile przed Rosyą, kazała Austryi zająć się klerem gr.-kat., utworzyć w Wiedniu instytut teologiczny, który w latach późniejszych, pod wpływem ambasady rosyjskiej, będzie wylęgarnią ruchu „moskalofilskiego“ w Galicyi, ustanowić w r. 1808 metropolię we Lwowie, a seminaryum duchowne, pod kierunkiem Angełłowicza a później Harasiewicza, uczynić szkołą antyrosyjskich agitatorów w Galicyi i na Węgrzech.

Wytyczną polityki rządu wobec cerkwi było, kler unicki uczynić wierną służką państwowości austryackiej, kościół gr.-kat. jak najsilniej przeciwstawić prawosławiu i propagandzie rosyjskiej na wschodnich kresach monarchii. Duchowieństwo unickie, nie umiejące czytać ani pisać po rusku, „pospólstwo ruskie,“ przemawiające do władz austryackich w języku polskim, nie mogło nikomu nasunąć myśli o istnieniu lub tworzeniu narodu ruskiego. Powszechnie nie odróżniano Rusinów od Rosyan, nie rozróżniał ich rząd, nie rozróżniali przygodni podróżnicy niemieccy, którzy słysząc o nienawiści polsko-rosyjskiej dziwili się, przyjechawszy do Galicyi, że oba narody w najlepszej żyją zgodzie, do Austryi równą zieją nienawiścią, z tą samą tęsknotą wyczekują niepodległej Polski.[2])

---

[1]) Por. Wurmser do Haagera, 9 Mai 1810 (Arch. Minister. des Innern.).

[2]) Por. Angełłowicz do Goessa, 4 Januar 1811. Kilkanaście rewersów nowo-mianowanych proboszczów, po polsku zredagowanych, „gdyż wystawiciel nie umie ani po niemiecku, ani po łacinie.“ (Arch. Nam.). Baczyński do Goessa, 15 Juni 1810. Przekłada dowody swej niewinności, wśród tych pisma probosz-

Dopiero lojalne stanowisko większości kleru gr.-kat. podczas powstania wykazało, że duchowieństwo unickie jest dla rządu wartością pierwszorzędną nietylko jako narzędzie w walce z propagandą Rosyi, ale także w zmaganiu się z dążeniami niepodległościowemi społeczeństwa polskiego.

To też Wurmser w programie swym zalecał otoczenie kleru gr.-kat. jak najżyczliwszą opieką, jako jedynej obok chłopa możliwej podpory austryackiej państwowości tu na dalekich kresach monarchii, na linii tarć polsko-rosyjskich, w dzierżawach tak mocno równocześnie zagrożonych przez Księstwo Warszawskie i Rosyę.[1])

Takim był program Wurmsera, odpowiadał on nastrojowi galicyjskiej biurokracyi i poglądom ministeryum policyi, nie zupełnie jednak godził się nań nowomianowany u schyłku r. 1809 gubernator Galicyi, hr. Piotr Goess.

Hr. Piotr Goess obejmował rządy kraju bez uprzedzeń, obcą mu była nienawiść Wurmsera do szlachty, nie podzielał zapatrywań biurokracyi, że wszelka praca nad pozyskaniem części jej dla rządu i państwa jest daremną, znajdował się jeszcze pod świeżym wpływem świetnych swych rządów w Dalmacyi, którymi zdobył sobie miłość ludności i łaskę monarchy; Galicyi nie znał, nie rozumiał też, dlaczegoby metody działania, których używał tak skutecznie na południowych, miały zawieść tu na północnych kresach monarchii. Zbyt był niewątpliwie i przywiązanym do stworzonego przez siebie systemu rządów, aby go nie zastosować na nowym posterunku, wbrew zapatrywaniom i naleganiom otoczenia. Program Wurmsera nie odpowiadał także istotnym właściwościom jego charakteru, wrodzonej dobroduszności i głębokiemu poczuciu sprawiedliwości. Na tych właściwościach własnego charakteru i na doświadczeniu zdobytem w Dalmacyi, nie na znajomości kraju i jego mieszkańców, oparł Goess swój program polityczny.

Spodziewał się, że uda mu się pozyskać dla rządu część szlachty, a kraj cały przywiązać do państwa, podnosząc go ekonomicznie i kulturalnie; sądził bowiem, że dobry, sprawiedliwy

---

czów jego dekanatu, kleryków, „pospólstwa ruskiego miasteczka Wielkie Mosty," wszystkie zredagowane w języku polskim (Arch. Nam.). Anonym do Haagera, 19 März 1810: „...Bey euch glaubt man und nimt es für ausgemacht wahr an, dass zwischen den Russen und Pohlen ein eingewurzeltes Hass bestehe. Hierau ist nun nicht eine Silbe wahr; beide Nationen sind innig vereint..." (Arch. Namiest.).

[1]) Por. Wurmser do Haagera, 9 Mai 1910 (Arch. Minist. des Innern.).

rząd musi zdobyć zaufanie i miłość ludności. Łudził się przez pewien czas, że w przyłączonej do Księstwa Galicyi Zachodniej, nękanej wielkimi podatkami, wyniszczanej znacznymi ciężarami państwowymi, powstanie żal za utraconem szczęściem „łagodnych“ rządów austryackich, że marnotrawna prowincya, zechce wrócić do Austryi, w której istnieje większy dobrobyt, a ludność nie dźwiga tak wielkich ciężarów publicznych, jak w Księstwie; sądził bowiem, że szczęście kraju zależy od dobrobytu i dobrej państwowej administracyi. Raporty jednak agentów, wysyłanych do Księstwa dla sprawdzenia tych jego nadziei, szybko złudzenia te rozwiały,[1]) nie zachwiały natomiast zasadniczych jego poglądów na stosunek ludności do państwa, typowych poglądów urzędnika oświeconego a wkrótce zaciemnionego absolutyzmu.

Sam Goess urodzony w prowincyach włoskich, z pochodzenia Portugalczyk, a z powołania austryacki mąż stanu,[2]) nie rozumiał dlaczegoby i ta szlachta, urodzona w Galicyi, z pochodzenia polska, nie mogła z powołania stać się austryacką. To też, ku oburzeniu biurokracyi i Haagera, jak sam twierdził, nie znał ani Polaków, ani Niemców, tylko poddanych cesarza,[3]) a jak twierdził Brezany, szlachtę polską kokietował;[4]) w rzeczywistości starał się ją koło siebie skupić, z całym szeregiem magnatów nawiązał towarzyskie stosunki, często bardzo gościł ich u siebie, a w czerwcu podejmował szlachtę, która tłumnie zjechała do Lwowa na kontrakty, wielkim gubernatorskim balem.

Goess, w stosunkach osobistych bardzo łatwy, czynił wszystko możliwe, aby na gruncie pożycia towarzyskiego wytworzyć przy sobie koło „dobrze myślącej“ szlachty, rychło jednak doznał bolesnego zawodu; wśród biurokracyi wywołał żywe oburzenie, naraził się na silne niezadowolenie ministeryum policyi, a wśród bywającej u niego szlachty znalazł adoratorów swej siostry, ale nielicznego koła zaprzedanych rządowi magnatów nie powiększył.[5])

A tymczasem szły ze Lwowa do Wiednia anonimowe denuncyacye,[6]) oskarżające Goessa o przyjacielskie, towarzyskie pożycie z ludźmi, którzy w roku 1809 kierowali powstaniem i znani

[1]) Por. Baum do Goessa, 4 Aug. 1810 (Arch. Nam.).
[2]) Por. Wurzbach.
[3]) Goess do Haagera, 4 Juni 1810 (Arch. Minist. des Innern.).
[4]) Brezany do Haagera, 12 Aug. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).
[5]) Haager do Franciszka I, 1 Septem. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).
[6]) Anonim do Haagera, Lemberg 1 Septem. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

byli ze swych niepodległościowych dążności, szły oględnie stylizowane raporty dyrektora policyi Brezany,[1]) żałące się, że gubernator dla Polaków zbyt grzeczny i usłużny, że utrzymuje osobiste stosunki z wybitnymi wrogami państwa i rządu; Goess musiał tłómaczyć się i usprawiedliwiać.[2])

Doznane niepowodzenia i towarzyszące im przykrości ze strony Haagera i otoczenia znacznie uśmierzyły początkowy jego zapał jednania sobie i państwu polskiej szlachty, myśli tej jednak całkowicie się nie wyrzekł, niejednokrotnie będzie do niej wracał, do końca zaś swych rządów utrzymywać będzie żywe stosunki z kilku magnatami, snując wraz z nimi projekty ekonomicznego i kulturalnego podniesienia kraju, będzie z Borkowskim układał plany Towarzystwa Emulacyi Narodowej, mającego znowu skupić w sobie ową legendarną już szlachtę, która z rządem pracowaćby chciała nad ekonomicznym rozwojem Galicyi i daremnie starać się będzie w Wiedniu o pozwolenie zawiązania takiego lub podobnego stowarzyszenia, którego zresztą jedynem zadaniem byłoby utrzymywać szkołę rolniczą.

Zgodnie ze wskazaniami Wurmsera starał się Goess jak najbardziej oszczędzać lud przy rozkładaniu ciężarów publicznych, które były ogromne, czynił to jednak z innych pobudek, aniżeli czynić zalecał tamten, nie aby zniszczyć materyalnie szlachtę, ale żeby nie doprowadzać do ostatniej nędzy chłopa; wobec rządu centralnego skarżył się ustawicznie na nadmiar ciężarów państwowych, które kraj ekonomicznie rujnują i prowadzą do zupełnej dewastacyi, protestował gorąco przeciw wielkim poborom rekruta, które tysiące rąk z kraju zabierały, podczas gdy setki morgów ornej ziemi leżało dla braku sił roboczych ugorem — wszystko to oczywiście nie miało żadnego skutku.

Tak więc plany Goessa gospodarczego podniesienia kraju, przywiązania ludności do państwa przez troskliwą opiekę i serdeczną pracę nad jego dobrobytem — spełzły na niczem. Ruina finansowa Austryi, rozwijające się wypadki dziejowe, ogromne koszta wojen napoleońskich — zaiste, nie były to warunki, wśród których ekonomicznie kraj mógł się rozwinąć, przeciwnie Galicya za rządów Goessa materyalnie podupadała coraz bardziej.

W czasie rządów swych starał się Goess zręcznie opanowywać opinię polityczną społeczeństwa, w tym celu posługiwał się

[1]) Brezany do Haagera, 12 Aug. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).
[2]) Goess do Haagera, 30 Octob. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

i osobistymi stosunkami wśród szlachty i naczelnikami cyrkułów, którym dawał obszerne instrukcye, jak mają organizować korzystne a zwalczać niebezpieczne „nastroje“ wśród ludności, wreszcie bardzo sprytnie redagowaną „Gazetą Lwowską.“

Ponieważ zaś znaczny wpływ na opinię w kraju wywierać mogły osoby, zajmujące stanowiska publiczne, przeto dążył konsekwentnie Goess do usuwania z nich ludzi politycznie niepewnych. Zwłaszcza magistraty i probostwa, jako instytucye od rządu bezpośrednio niezależne, przedstawiały w tym względzie wartość pierwszorzędną, uczynić je ośrodkami rządowej w kraju opinii, obsadzić ludźmi zaufanymi a przepędzić z nich wszystko to, co dostatecznej rękojmi wiernopoddaństwa nie dawało, było stałą wytyczną działalności gubernatora.

Magistraty bez trudności obsadził rząd swemi kreaturami, trudniej było z parafiami, tu musiał się ograniczyć do większych i lepszych, te powierzał za pośrednictwem powolnych mu i ślepo uległych arcybiskupów, Kickiego i Angełłowicza, księżmi zupełnie sobie oddanymi, w większości jednak probostw, oczywiście łacińskich, z przykrością zmuszony był tolerować ludzi, zaufania jego niezupełnie godnych, wpływy ich jednak niesympatyczne na tworzenie się opinii politycznej unieruchomił ścisłym dozorem policyjnym i ciągle zawieszoną nad nimi groźbą suspenzyi. Niezależnie od tego prowadził rząd środkami administracyjnymi i policyjnymi zaciętą walkę z wpływami Księstwa Warszawskiego, nastrojami politycznymi i dążeniami niepodległościowemi społeczeństwa.

Tutaj posiadanie dobrej i rozgałęzionej służby wywiadowczej było pierwszem zadaniem, a że trzeba było, wobec rozlewności i powszechności ruchu niepodległościowego w Galicyi, dozór policyjny rozciągnąć nad całem społeczeństwem, zaś środki finansowe dla opędzenia kosztów tajnej policyi stosunkowo były nieznaczne, więc trudności sprostania temu naczelnemu zadaniu zdawały się być nie do przezwyciężenia.

W istocie jednak nie brak odpowiednich funduszów, ale opinia publiczna w Galicyi i moralna dzielność społeczeństwa, wysiłki rządu w znacznej mierze unieruchomiła.

Trudności finansowe usunął rząd, powołując do pełnienia tajnej służby wywiadowczej dziesiątki pensyonowanych i setki czynnych urzędników[1]) wszelkich kategoryj, zwłaszcza skarbowych

[1]) Goess do Kortuma 16 Juni 1810, do cyrkułów 6 Febr. 1811, Kortum do Goessa 18 Septem. i 14 Decemb. 1810 (Arch. Nam.). Haager do Goessa, 25 Mai 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

i cłowych, dalej burmistrzów, urzędników magistratów,[1]) wreszcie oficerów.[2])

W ten sposób społeczeństwo w jednej chwili spowiła gęsta sieć szpiegów i denuncyantów. Oczka jej jednak były tak słabe, że niczego złowić nie były wstanie. Większe już usługi świadczyli naczelnicy cyrkułów, obowiązani do składania miesięcznych raportów o tem, „co myśli, mówi i robi“ ludność ich okręgów. Zawodowych tajnych agentów[3]) posiadała policya niewielu, czterech do sześciu, a wśród nich jednego „Polaka,“ Krużelewskiego, zabitego w r. 1812 w tajemniczy sposób podczas jednej z wycieczek służbowych do Księstwa, po śmierci zaś owego szlachcica drugiego takiego, mimo znacznych wysiłków, Brezany już nie znalazł. Prócz tego kilkunastu faktorów i kelnerów za wielkie pieniądze pełniło służbę wywiadowczą w zajazdach i gospodach.[4])

Wszystkie te środki były niedostateczne, ani setki urzędników, ani naczelnicy cyrkułów, ani kelnerzy i faktorzy nie byli wstanie dostarczyć potrzebnych informacyj, gdyż wszyscy oni stali na zewnątrz społeczeństwa, jego życie utajone było dla nich zamkniętą księgą.

Rozumiał to rząd, używał też wszelkich sposobów, żeby znaleźć agentów wśród samej szlachty, a przynajmniej wśród ludzi, którzy stali w ośrodkach jej życia lub o nie się ocierali. Wszelkie jednak rozwinięte w tym celu i przez Brezanę, i przez organizatora tajnej policyi, v. Persę,[5]) starania były bezowocne. Tajnych wywiadowców nie znaleźli oni nietylko już wśród szlachty samej, ale nawet w najbliższem jej otoczeniu wśród lekarzy, nauczycieli, oficyalistów dworskich, francuskich guwernerów i guwernantek, których pełne były większe dwory szlacheckie, nie doszukali się ich także wśród służby.[6])

Braki ogromne, jakie skutkiem tego wykazywała organizacya tajnej policyi, starano się zastąpić poruczaniem służby wy-

---

[1]) Haager do Goessa, 25 Mai 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

[2]) Goess do ks. Reuss, 8 Juni 1810; General. Komenda do Landes Pr., 26 Aug. 1810; Landes Pr. do cyr. Złoczów, 25 Novemb. 1810 (Arch. Nam.).

[3]) Żołd ich miesięczny wynosił 25 fl. do 30 fl.

[4]) Wyczerpujący raport Brezany o stanie i potrzebach tajnej policyi. Por. Brezany do Haagera, 21 April 1810 (Arch. Nam.).

[5]) Persa, były dyrektor policyi w Krakowie.

[6]) Por. Brezany do Haagera, 21 April 1810 (Arch. Nam.).

wiadowczej niektórym urzędnikom politycznym, mającym wśród szlachty rozległe stosunki; była to spekulacya na naiwność, gadulstwo i lekkomyślną niedyskrecyę tłumu szlacheckiego.

Taką służbą wywiadowczą rozporządzał rząd. Za jej pomocą nie usłyszał każdego słowa, ale zobaczył każde poruszenie „źle myślącego narodowca“; żadne zebranie towarzyskie, żaden zjazd sąsiedzki nie uszedł uwagi rządu. Naczelnik cyrkułu wiedział dokładnie, kto u kogo bywa, gdzie i kiedy wyjeżdża. Częste wyjazdy, duże stosunki zwłaszcza ze szlachtą innych cyrkułów wystarczały, aby dany osobnik znalazł się na liście bardzo podejrzanych, a wówczas, jeśli nie był sujet mixtes, nie dostał paszportu, nie otrzymał listu nieprzeczytanego.[1])

Że tajemnica listowa nie istniała, nie było dla nikogo tajemnicą, pocztą się też szlachta przeważnie nie posługiwała, listy wysyłano przez umyślnych posłańców lub przez „okazyę.“ Tej tajnej korespondencyi, bardzo w kraju rozpowszechnionej, rząd nie mógł przeszkodzić. Od czasu do czasu schwytano gdzieś chłopa lub Żyda, niosącego paczkę listów i druków, odbierano je i doznawano srogiego zawodu, nie było bowiem w nich nic takiego, coby świadczyć mogło o istnieniu jakiegoś spisku lub tajnej organizacyi.[2])

Dla śledzenia ruchu przejezdnych zaprowadzono na pocztach dzienniki, nikt nie dostał koni, jeśli nie wykazał się potrzebnymi papierami, w razie nasunięcia poczmistrzowi jakichkolwiek podejrzeń, odstawiany był do najbliższego cyrkułu.[3]) Tak więc i poczta stała na usługach policyi.

Bardzo usilnie starał się rząd mieć dobre i dokładne informacye o działalności władz i nastrojach w Księstwie Warszawskiem. Posiadanie dobrej służby wywiadowczej w Księstwie, wy-

---

[1]) Goess do Brezany i cyrkułów 7 Januar, 19 März, 29 April, 13 Sept. 1810; Goess do cyr. Przemyśl, 27 Decemb. 1810 i 6 Juni 1811; do cyr. Stanisławów, 26 Juli 1810; do cyr. Złoczów, 15 Mai 1811; do cyr. Kołomyja, 24 Aug. 1810 i t. d. (Arch. Nam.).

[2]) Goess do cyrkułów i policyi, 24 Novemb. 1810; Goess do Brezany, 20 März 1810, 14 Juni 1811; Goess do Grubera w Brodach i Strzechy w Jezierncj 17 Mai, 15 Juni 1810, Goess do cyr. Brzeżany 20 März, do cyr. Żółkiew 24 Novem. 1810; Brezany do Goessa 14 Juni i 29 Octob. 1811; poborca cłowy, Stark, do Landes Pr., Stojanów 17 Febr. 1811 (Arch. Nam.).

[3]) Brezany do Goessa, 4 Juni 1810; Goess do Brezany, 17 April 1810 (Arch. Nam.).

wierającem tak przemożny wpływ na Galicyę, było państwową koniecznością. Dla zbierania potrzebnych wiadomości używano urzędników nadgranicznych, agentów, wysyłanych od czasu do czasu do Warszawy, wreszcie starano się i posiadano tam stałych, płatnych korespondentów.[1])

Pierwszorzędne tutaj usługi oddawał Antoni br. Baum, syn nieślubny Sułkowskiego; posiadał on rozległe osobiste stosunki wśród szlachty, szerokie znajomości zwłaszcza w Krakowie, w którym ongi rezydował jako starosta; relacye swe przedstawiał gabinetowi wiedeńskiemu, gubernatorowi posyłał tylko odpisy; był najpoważniejszem źródłem informacyjnem w sprawach warszawskich; chwilami urastał do rozmiarów referenta i pierwszego znawcy kwestyi polskiej; spełniał też wiele zadań agencyi dyplomatycznej, której rząd wiedeński nie tworzył w Warszawie w przewidywaniu, że rząd warszawski ustanowi wówczas taką samą agencyę we Lwowie.[2])

Ale, gdy w r. 1812, mimo wszystko Austrya będzie zmuszoną wysłać agenta dyplomatycznego do Warszawy, to misyę tę bardzo trudną powierzy Baumowi, jego też w czasie kongresu, gdy będą rozstrzygały się losy Księstwa i sprawy polskiej, znajdziemy w Wiedniu.

Na razie siedział Baum w Wieliczce i stąd z zapartym oddechem śledził idące wypadki dziejowe, rodzące się fermenty drugiej wojny o Polskę, rozmierzał natężenie wpływów Księstwa na Galicyę i z rosnącym niepokojem patrzał w przyszłość.

Baum nie ograniczał się do dostarczania informacyj o wypadkach w Księstwie, niejednokrotnie przekładał wnioski, podawał inicyatywę. Na wniosek jego, w pierwszych zaraz miesiącach r. 1810 podjął rząd starania celem wyłączenia galicyjskiej części z biskupstwa krakowskiego, a to, „żeby biskup Gawroński żadnego szkodliwego wpływu więcej na galicyjskie cyrkuły nie wywierał.“ [3]) Punktem zaczepienia był w sprawie tej list pa-

---

[1]) Brezany do Haagera, 21 April 1810; Goess do Haagera 5 i 28 März 1811 (Arch. Nam.).

[2]) Goess do Bauma, 4 Mai 1810; Baum do Goessa, 27 Mai 1810; Goess do Haagera, 4 Juli 1810 (Arch. Nam.) Goess do Metternicha, 17 Novem. 1810 (Haus, Hof und Staat Archiw we Wiedniu). W sprawie utworzenia agencyi w Warszawie por. Goess do Metternicha, 8 Octob. 1810 H., H. und St. Arch.). Haager do Goessa, 4 Novemb. 1810 (Arch. Nam.).

[3]) Baum do Haagera, Wieliczka 19 März 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

sterski Gawrońskiego, polecający modły dziękczynne z powodu przyłączenia Galicyi Zachodniej do Księstwa; list ten wprawdzie, jak naczelnicy cyrkułów tu interesowanych stwierdzili, w Galicyi czytanym z kazalnic nie był, ale mimo to posłużył rządowi jako znakomity pozór do usunięcia walnego czynnika wpływu Księstwa na kraj, jakim była przynależność trzech jego cyrkułów do biskupstwa krakowskiego. Austrya podjęła w sprawie tej usilne starania u kuryi papieskiej, zanim jednak ta ostatnia miała czas i możność uczynić zadość życzeniu gabinetu wiedeńskiego, rząd zmusił biskupa Gawrońskiego przez uniemożliwienie mu sprawowania władzy swej w Galicyi do tymczasowego powierzenia rządów biskupich w galicyjskiej części swej dyecezyi metropolicie lwowskiemu. Układy w sprawie tej prowadził na rozkaz gubernium Kicki, ciągnęły się one rok, przez cały ten czas galicyjska część krakowskiego biskupstwa stała bezrządem. W pierwszych wreszcie dniach grudnia uczynił Gawroński zadość życzeniu Kickiego i rządu; na zlecenie Goessa z trzech galicyjskich cyrkułów utworzył Kicki odrębny wikaryat, wikaryuszem zaś, na żądanie Goessa, mianował proboszcza w Sączu Bayera, znanego poplecznika biurokracyi, powszechnie w kraju, jako kreatura rządu, nienawidzonego.[1])

Rząd austryacki, jak mógł, łamał wpływy Księstwa w Galicyi. A więc nadewszystko utrudniał styczność osobistą mieszkańców obu krajów, pobyt oficerów w Galicyi i udział „Galicyan“ w służbie wojskowej i cywilnej Księstwa. Wszystkie te jednak starania rozbijały się zwłaszcza o licznych sujets mixtes, o drugi ustęp X artykułu traktatu wiedeńskiego.

Daremne były wszystkie żałosne raporty Goessa, nieustanne skargi na zuchwałość bawiących w kraju oficerów warszawskich, na wyzywające, pełne lekceważenia zachowywanie się ich wobec armii i władz austryackich.[2]) Nic nie pomogły, bo pomódz nie mogły długie elaboraty słane do Wiednia, w których szczegółowo gubernium lwowskie wykazywało, że oficerowie Księstwa podsy-

[1]) Ugarte do Goessa, Wien 25 Januar, 15 März, 7 Juni 1810 (Arch. Nam.). Goess do Ugarte 23 Febr., 21 April 1810; do cyr. Myślenice 18 März, do Gawrońskiego 28 Juni 1810; Goess do Kickiego 28 Juni, 22 Juli, 26 Aug., 9 Sept., 10 i 17 Decem. 1810 (Arch. Nam.).

[2]) Goess do Haagera, 15 März 1810; Haager do Wurmsera, Wien 27 Febr. 1810 (Arch. Nam.). Haager do Goessa, Wien 31 Aug. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

cają nienawiść do Austryi, potęgują ruch niepodległościowy, obniżają autorytet rządu i państwa wobec ludności. Wszystkie propozycye Goessa zaradzenia opłakanemu przez naczelników cyrkułu i policyę stanowi rzeczy — nie zostały przyjęte.[1]) Pozostawały środki policyjne, drobne szykany; używano też ich w całej rozciągłości.

Udzielał więc rząd paszportów sujets mixtes na każde żądanie, ale za najdrobniejsze przekroczenie, przy pierwszej sposobności z kraju ich wydalał; musiał pozwalać na pobyt w Galicyi oficerom Księstwa, którzy byli tylko poddanymi warszawskimi, ale czynił to w ostatecznej konieczności, gdy nie było już pozoru dla odmówienia lub dalszej zwłoki.[2])

Skutkiem tego oficerowie i obywatele warszawscy przybywali do Galicyi często bardzo bez paszportów, przejeżdżając bez trudności źle strzeżoną granicę. Rząd, by temu przeszkodzić, robił co mógł; straży cłowej i granicznej, naczelnikom cyrkułów i dyrekcyi policyi surowo nakazywał, żeby natychmiast chwytały i wydalały z kraju oficerów, nie mogących się wykazać odpowiednimi paszportami, na dwory, udzielające im gościny, nakładał wysokie kary pieniężne, do władz wojskowych Księstwa wnosił zażalenia.[3])

Nie mógł też rząd zakazać noszenia w Galicyi mundurów warszawskich, chociaż mundury te, zdaniem Goessa, wywierały bardzo szkodliwy wpływ na ludność. Ukochanie Księstwa przez mieszkańców Galicyi ujawniało się rzeczywiście jaskrawie w ogromnej popularności jego mundurów, droga do serca pięknej „Galicyanki“ wiodła najpewniej przez szlify i ostrogi żołnierzy księcia Józefa; chodzili też w Galicyi w mundurach wojsk warszawskich nietylko czynni i byli ich oficerowie, ale także osoby, które w szeregach polskich nigdy nie służyły. Gubernium, nie mogąc zabronić noszenia mundurów armii Księstwa czynnym jej członkom i sujets mixtes, zakazało chodzić w nich tym, którym mogło,

[1]) Goess do Haagera 31 Mai, 10 Juli 1810; do Ugarte 24 Novemb. 29 Decemb. 1810 (Arch. Nam.). Haager do Goessa, Wien 14 Novemb. 1810 (Arch. Minist. des Innern). Haager do Metternicha, Wien 11 Octob. 1810 (H., H. und St. Arch.).

[2]) Goess do General. Komendy 25 Mai, do cyrkułów 10 Juni, 25 Sept. 1810; Goess do Brezany 3 April i 10 Juni; do Haagera 6 Juni 1810; Haager do Goessa 24 Septem., Reuss do Goessa 3 Mai 1810 (Arch. Nam.).

[3]) Goess do Brezany 8 Mai, 30 Juni 1810; do cyrkułów 9 März 1810 (Arch. Nam.).

a więc wyłącznym poddanym austryackim, którzy nie służyli w wojsku warszawskiem w chwili bieżącej.[1])

Nie mniej zażartą walkę prowadził rząd z zalewającą kraj broszurą i gazetą warszawską. Na zapytanie Haagera, czem tłómaczyć należy brak zupełny próśb z Galicyi o pozwolenie czytania gazet warszawskich, odpowiedział Goess—ogromną łatwością dostania ich w kraju, równocześnie zaś zapewniał, że najlepsza straż graniczna w Galicyi nie przeszkodzi, aby książki i pisma nie były do niej przemycane.[2])

Rząd polecił straży granicznej jak najdokładniejsze rewidowanie przejezdnych, cyrkułom chwytanie posłańców, którzy przewozili druki i listy od dworu do dworu, z cyrkułu do cyrkułu i pociąganie wysyłających do surowej odpowiedzialności. W skuteczność owych nakazów i zarządzeń nikt zresztą nie wierzył, ani ci, którzy je wydawali, ani ci, którym je przyszło wypełniać.[3])

Równie bezowocne były starania podjęte przez gabinet wiedeński, ażeby przeszkodzić wydawaniu i rozsprzedaży broszur o tendencyach wrogich dla Austryi w Księstwie. Wprawdzie interwencya dyplomatyczna w Dreznie i Paryżu powiodła się i władze warszawskie nakazały przeprowadzić po księgarniach rewizyę i zniszczyć nakłady znalezionych pamfletów na zaprzyjaźnione mocarstwo, ale w tem sęk, że ani jednego egzemplarza poszukiwanych broszur nie znaleziono.[4])

Może najskuteczniejszym jeszcze środkiem walki rządu z prasą warszawską i jej wpływami w kraju była od marca r. 1811 w tym celu wydawana przez koncepistę guber. Krattera, typowego gadzinowego dziennikarza, „Gazeta Lwowska," która redagowana była bardzo sprytnie, nie przeciwstawiała się nigdy wprost

---

[1]) Goess do Haagera, 10 Juli 1810; do cyrkułów, policyi i Gener. Komendy 25 Septem. 1810 (Arch. Nam.). Haager do Goessa, Wien 13 Sept. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

[2]) Haager do Goessa 28 Aug. 1810; Goess do Haagera 12 Septem. 1810 (Arch. Nam.).

[3]) Goess do cyrkułów i policyi 2 Mai, 5 Juli 1810 (Arch. Nam.); Haager do Goessa 7 Mai 1810 (Arch. Nam.).

[4]) Baum do Haagera, Wieliczka 26 Juni 1810 (Arch. Minist. des Innern.). Haager do Metternicha, 5 Juli 1810; Ugarte do Haagera, Wien 26 Juli 1810 (H., H. und Staat Arch.). Baum do Goessa, Wieliczka 14 Aug. 1810 (Arch. Nam.). Haager do Metteraicha, Wien 25 Febr. 1810 (H., H. und Staat Arch.).

nastrojom społeczeństwa, nie drażniła jego uczuć, przeciwnie, do nich się dostrajała.

Starali się o to, aby „Gazeta Lwowska“ czytelnika niczem nie raziła i redaktor jej, któremu zależało bardzo na jej finansowem powodzeniu i Goess, który pragnął, aby była jak najbardziej poczytną i jak największem cieszyła się wśród ludności polskiej zaufaniem.[1])

Wacław Mejbaum.

[1]) Haager do Goessa 23 April 1810; Goess do Haagera 22 Mai 1810 i 4 Januar 1811; do Brezany 7 Juli 1810; Brezany do Goessa 18 Mai 1810, podanie Krattéra (Arch. Nam. $^{45}/_{9}$ 1811); Haager do Goessa 2 Febr. 1811 (Arch. Nam.).

FRYDERYK CHOPIN.

To był cud jeden, który przypominał
Duchowi memu niewidzialne rzeczy...

„*Król Duch*,“ *Rapsod IV, pieśń I.*

Przenośnie poetyckie, choćby najsubtelniej pomyślane, wytłómaczenia racyonalistyczne i najsumienniej przeprowadzone analizy techniczne, łączą nas ze sztuką Chopina słabemi nićmi, rwącemi się za pierwszem uderzeniem serca, kiedy weń wpadnie, jak własnej jego krwi kropla, jeden takt muzyki Chopina. Sztuka Chopina przynosi nam dźwięczącą realizacyę wszystkich afektów, wszystkich błąkających się w duszy idej, które w pojęciach słownych nie znajdują swej treści, drogą zmysłu oddaje naszej jaźni to, czego ona wyrazić nie mogła... Muzyka jego była odwiecznym postulatem człowieczeństwa, nie samej historyi, poza której nawiasem Chopin stanął, niczem niemal przez nią do wielkiej swej misyi nie przygotowany, bez proroctwa, bez nauczycieli, samorodny, genialny. Duch jego ogarnął oba bieguny rozwoju muzyki: w zamierzchłej przeszłości, z mroków świątyń snuł przędzę natchnienia w niejednem dziele, współczesność jego — to on sam — przyszłych po nim epok stał się najśmielszym progonem. Jeśli wiedziony uczuciem narodowem tworzył, był czwartym naszym wieszczem, historyozofem tryumfów i klęsk narodu, dramaturgiem wielkich momentów dziejowych, lirycznym poetą, nastrojonym na ton pejzażu naszych pól, łąk i lasów, epikiem tej części narodu, która z nadzieją niesie naszą „arkę przymierza.“

Kult Chopina, mający u nas powody wyjątkowe, byłby w świecie całym mniejszym od tego, jaki w istocie istnieje, gdyby sztuka jego była *in extenso* specyficznie narodową. Chopin

nie przestał być w polonezach i mazurkach „wszechludzkim," we wszystkich innych kompozycyach jest nim więc tem bardziej. Artystyczny stopień jego muzyki tak wysoki, że najlepszą syntetyczną definicyą jej będzie—najśmielsze ze wszystkich—porównanie z obrazem Monny Lisy Giocondy. Współgenialność łączy portret z tą muzyką, uśmiechniętą tajemniczo i boleśnie, jak twarz, którą malował Leonardo. Porównanie istotnie najodważniejsze; dla *Jamesa Hunekera* miało ono znaczenie poetyckiego dopowiedzenia przy analizie ballady *f-moll*, dla nas nabiera wartości wyższej i ogólnej. W muzyce Chopina zauważamy to Leonardowskie dążenie do stworzenia typu, w którym płci zlewają się w aliaż, mający cechy zarówno męzkie, jak kobiece. Tak wygląda twarz św. Jana Leonarda, ślady tego dążenia wykazuje nawet Lisa Gioconda. W sztukach plastycznych była idea Leonarda odwróceniem przykładów natury, która nie zdobyła się na typ, odpowiadający abstrakcyjnemu pomysłowi wielkiego geniusza Odrodzenia. Muzyka jedynie przedstawia pole odpowiednie do przeprowadzenia idei tej przy pomocy elementów analogicznych. W epoce Odrodzenia, w czasach niezupełnie uświadomionych fenomenów harmonicznych, nie możemy szukać przykładów takich. W latach klasycyzmu i romantyzmu przeciwstawiano partyom *maiore* ustępy *minore*, dwupłciowość więc istniała w harmonii, mając rysy wybitne. Chopin ideę zjednoczenia spełnił w sposób genialny; w zdaniach poświęconych harmonii jego kompozycyj zajmiemy się tematem tym obszerniej.

Muzyka Chopina stwarza w nas stany czystego liryzmu, zarówno jak rojenia malarskie pełne poetyczności. Dalekie od wszelkiego założenia programowego, nie narzucając słuchaczowi niemuzycznych pierwiastków *à priori*, są kompozycye Chopina zarodkiem programu ściśle uczuciowego, który ukształtowuje się zależnie od stopnia możliwości współtworzenia z ideą — natchnieniem kompozytora. Różnorodność tematów poetyczno-malarskich w dziełach Chopina jest tak wielka, że zamknąć je można w granicach wyznaczonych nazwiskami: Słowackiego, Byrona, Musseta, Mickiewicza, Corota, Watteau'a, Turnera, Segantini'ego.

Najczulszy ze wszystkich poetów zdobywał się Chopin na efekty tytanicznej wprost siły, na momenty tragicznej grozy i namaszczenia majestatycznego. Do uświadomienia ogólnego, że w sztuce Chopina momenty takie znajdujemy w wielkiej ilości, do usunięcia przesądu, że muzyka jego była tworzona dla umysłów niewieścich, pomódz nam mogą słowa Roberta Schumanna: „kompozycye Chopina—to wśród kwiatów ukryte armaty." Wy-

buchy siły w kompozycyach Chopina nie mają w sobie elementarnej, kinetycznej potęgi, lub brutalności silnej muskulatury — są raczej aktami woli w najwyższem napięciu, emanacyami twórczego ducha. Oderwane od materyalnych warunków, idealnie pojęte fragmenty takie z dzieł Chopina mają w sobie najwyższą dostojność artystyczną, rysują się łukiem dumnym jak tęcza, myśl pnie się w nich ku zenitowi świata. Takim, dla przykładu, jest tęczowy pomost akordów zawieszonych na długiej nucie pedałowej w *Scherzu cis-moll.*

Podobnie—jak w tym właśnie kierunku—wymagają korekty pojęcia ogółu o zmyśle formalnym Chopina, znacznego zaś pogłębienia i naukowych wskazówek zapatrywania na harmoniczną stronę jego kompozycyi.

Chopin, jak każdy prawdziwy geniusz, stworzył w sztuce swojej karmę duchową nietylko dla ciasnych kół wybrednych smakoszów i poważnych specyalistów, ale dla wszystkich, co mają serce i umieją w nie patrzeć. Dzieła jego są źródłem najgłębszych zachwytów nawet wśród ludzi niemuzykalnych z natury, lub takich, którzy nie znając żadnych kryteryów muzycznego artyzmu, intuicyjnie cenią je nadewszystko. Gruntownie wykształcony muzyk znajduje w kompozycyach Chopina takie mnóstwo motywów harmonicznych i elementów wyrazu muzycznego, skłaniających go do wyczerpującej analizy, że cała sztuka jego przedstawia się mu jako jeden wielki problem. Chopin był nauczycielem harmonii całego XIX wieku. Kto szedł naprzód w swej twórczości, ten na muzyce jego musiał się oprzeć, dalej zaś dojść nie mógł, jeśli był wyznawcą tych samych pojęć o pięknie w muzyce, które głosiły kompozycye Chopina. Liszt i Wagner są epigonami harmoniki Chopina, do skarbu przez niego stworzonych modulacyj i dyssonansów nie dodali wiele. Obaj utrzymali tonalność swoich dzieł w ramach wyznaczonych przez Chopina. Ponad jego chromatykę nie wysubtelnili wyrazu muzycznego, w pomysłach akordowych mieli w dziełach Chopina najbogatsze przykłady. Wystarczy wspomnieć, że harmoniczny obraz muzyki w „Trystanie i Izoldzie," w dramacie więc, oznaczającym kulminacyjny punkt twórczości Wagnera, znajdujemy wyraziście zarysowany w młodzieńczej, dziecinnej prawie sonacie *c-moll* op. 4 Chopina, wydanej dopiero po śmierci kompozytora, gdyż nie uważał jej za utwór dojrzały. W ustępach, gdzie Wagner nie pokazuje swojej germańskiej twarzy, napotykamy liczne reminiscencye z Chopinem, które świadczą o pokrewieństwie w sposobie wyrażania się obu genialnych kompozytorów. Wagner znał muzykę Chopina

dobrze, choć o nim w pismach swoich tak rzadko wspomina. Poznał ją zaś w smutnej epoce swego życia, w latach paryskich 1839 — 1840. Berlioz, Liszt i Chopin, których nazwiska kreśliła nerwowa ręka Wagnera na kartce ze spisem osób w „Rienzim," byli mu przewodnimi duchami w sztuce, Liszt opiekunem w życiu. Trudno wytłómaczyć sobie, dlaczego sztuka Wagnera natrafiała na tak zaciekły spór u ludzi, którzy przyjęli już Chopina na własność duchową? Dlaczego raziła ich tonalność muzyki Wagnera tak bliska tonalności Chopina?

Pierwszym, który na zjawiskowe znaczenie Chopina dla harmonii, z punktu teoretycznego widzenia, zwrócił baczniejszą uwagę, był hrabia *F. P. Laurencin* w wydanej w r. 1861 broszurze p. t. *Die harmonik der Neuzeit.* Laurencin wyznaczył Chopinowi wybitne miejsce w historyi umysłowości, dopatrując się w sztuce jego muzycznej odpowiedzi na filozoficzny system Hegla... Kwintesencyą zapatrywań Laurencina na muzykę Chopina są następujące zdania: „Chopin jest w tworzeniu zwięzłych form jednym z najwybitniejszych umysłów wszystkich czasów. Cały człowiek tonów — jest jedną z najgenialniejszych natur wyjątkowych, jakie w historyi i życiu tonów zjawiły się kiedykolwiek." Indywidualne cechy harmoniki Chopina określa Laurencin, patrzący dość sceptycznie na muzykę swoich czasów i nawet dość negatywnie ujmujący przedmiot swoich uwag, słowami: „o tak zwanych opóźnieniach albo cofniętych następstwach akordów, o zwodniczych krokach, o długo wytrzymanych, przeważnie nawet nieprzygotowanych postępach dyssonansowych nie można mówić u Chopina wyjątkowo, ale jako o regule. Rozwiązania tych węzłów są, wbrew oczekiwaniu, albo długo ciągnącym się punktem organowym, z piętrzącym się nad nim wałem uprzedzeń, synkop, opóźnień, ruchów wstecznych, lub jakkolwiek inaczej mogą się nazywać te ciężkie westchnienia i krwią zalane łzy duszy, ciągle podnieconej, albo jest trójdźwiękiem *par dépit.*" Ostatecznie konkluduje Laurencin: „Chopin jest — że użyję tego wyrażenia — nieprzerwanem, brzmiącem *inganno.* Jest jednym z tych, którzy nie mogą się nigdy wyczerpać i opróżnić. Jego muza jest najszersza i zarazem najbardziej samorodna, jaka kiedykolwiek nastręczyła się do artystycznego badania. Chopin jest muzycznym progonem wszystkich dotychczasowych progonów."

Chopin, stawszy się wychowawcą młodszego pokolenia bezpośrednio przez swoje kompozycye, przodując ciągle w rozwoju muzyki niedoścignionem bogactwem pomysłów, późno przeszedł do podręczników nauki harmonii. Dopiero w latach ostatnich

zwrócono się do dzieł jego, jako do źródła wiedzy teoretycznej i idealnych przykładów. W znanej książce *Johannesa Schreyera „Von Bach bis Wagner“* poświęcone są całe rozdziały harmonice Chopina; zawiłe modulacyjnie miejsca poddano wyczerpującej analizie. Praktyczny, znakomicie opracowany podręcznik harmonii *Louisa i Thuille'go* cytuje przykłady z dzieł Chopina we wszystkich etapach nauki, wyzyskując je w sposób racyonalny szczególnie w lekcyach końcowych. Dziesiątki najciekawszych harmonicznie momentów z muzyki Chopina znalazły się w rozprawie p. t. *Neue musikalische Theorien und Phantasien* (autor kryje się pod anonimem „jednego z artystów“). Niemniej także zajmują się ostatnie monografie o Chopinie w sposób bardziej wyczerpujący harmoniczną stroną jego dzieł, niż prace dawniejsze. Na pierwszem miejscu w tym kierunku stoi monografia *H. Leichtentritta*, pisana z gorącem uwielbieniem muzyki Chopina i naukowo — lubo przystępnie — traktowana. Leichtentritt nie zaniedbał żadnej sposobności, aby wykazać całą, szeroką sieć wpływów Chopina, podkreślając szczególnie podobieństwa z Wagnerem. *Hugo Riemann* zaznaczył w swojej „Historyi muzyki XIX-go wieku“ w kilku bodaj przytoczonych taktach zadziwiającą oryginalność harmonicznych pomysłów Chopina. *Niecks*, jak wiadomo, nie zamieścił w monografii swojej ani jednego przykładu muzycznego, przez co pozbawił ją do reszty naukowego charakteru. *Huneker* harmonicznej strony w pięknej swojej książce o Chopinie nie wyczerpał. W naszej zaś literaturze brak dziś jeszcze monografii, którąby przedstawiła Chopina w świetle prawdziwie naukowego badania.

Kategoryczną niemal potrzebą jest rozprawa taka, a zniewala do niej ten, w przeciwieństwie do zwykłego porządku rzeczy stojący, fakt, że wpływ Chopina z dnia na dzień rośnie. Po Griegu, który głośno przyznawał się do tego, że Chopin nauczył go być narodowym, po Massenecie i Saint-Saënsie, weszła pod dominujący wpływ Chopina muzyka młodych Rosyan. Rymskij-Korsakow, Czajkowski, Areński, Skrjabin, Ljadow i Rachmaninow — oto szereg niewątpliwych epigonów jego sztuki. Nierzadko spełnia się i przepowiednia pani *George Sand*, że: „nadejdzie czas, kiedy dzieła Chopina będą instrumentowali“ — bo zaczarowany w dźwiękach fortepianu koloryt orkiestralny jego kompozycyj niepokoi i zniewala do zrealizowania tego, co tak barwnie w wyobraźni się tworzy. *Suita* Głazunowa miała inspiracyę artystyczną, Orefice'go osławiona opera może w uczuciu pietyzmu powstała, niech więc ono rozgrzeszy w naszych oczach jej twórcę.

Nareszcie i do rodzinnego kraju zajrzało światło jego geniuszu, wskazując drogę dalszego rozwoju. Pokolenie, które muzykę Chopina przyjęło niemal z własnych jego rąk, kochając ją i wielbiąc, nie leciało w kompozytorskich swoich natchnieniach farysowymi jego szlakami. Może brakło sił w talentach naszych pseudoklasyków i wątłych romantyków, aby do wyżyn jego dzieł dotrzeć, a za to winić ich nie można; czuć jednak można żal do nich, że tych, których wprowadzali w świat, jako kierownicy ich wykształcenia muzycznego, odwracali od zbawczego wpływu Chopina, skierowując zaś na tory akademizmu, kładli tem samem ciężki hamulec na leniwie toczące się koło naszego życia muzycznego. Nie tu miejsce na traktat o pierwiastkach polskości w muzyce; w pojęciach melomanów naszych głęboko zakorzeniły się błędy w tej sprawie, stając się wytyczną żądań, aby młoda muzyka polska miała znamiona im odpowiednie. Polskość jej byłaby wtedy urojona, stopień artystyczny równałby się aspiracyom dość prymitywnym. Nowa epoka w historyi muzyki polskiej, której przoduje duch Chopina, zaczyna się z fortepianowemi kompozycyami Paderewskiego. Do tego—Chopinowskiego przez ideały przewodnie — kierunku należy: Melcer, w części Stojowski, ś. p. Karłowicz, Różycki i Szymanowski.

Nawet to, co w dzisiejszej muzyce uchodzi za ostatni wyraz rewolucyjnych dążeń i rozpostarte do cech manierycznych daje surogat sztuki R. Straussa, znajdziemy w embryonalnym niejako stanie w muzyce Chopina. Wspomnę tylko te dziwne w swoich dysonansach takty 34 — 36 pierwszej części koncertu *f-moll* (od wejścia fortepianu). A miejsc takich, podobnie śmiało skonstruowanych, wiele się kryje pośród tej najświetniejszej galeryi pomysłów harmonicznych. Niemniej jak kombinacyom dyssonansowym, przygotował Chopin pole nowoczesnym środkom wyrazu muzycznego, tłómaczącym — zdaje się bez reszty — różnorodne stany psychiczne. Ekspulsywne, strzeliste frazy płomiennych zachwytów, żarliwych namiętności—nieznane były muzyce przed Chopinem. On je stworzył w formach nieprzekraczalnie doskonałych. Przegrajmy z Polonezu-fantazyi op. 61 takty 38 — 40 przed końcem kompozycyi i porównajmy je bodaj ze sceną Chryzotemidy w „Elektrze“ Straussa, a przekonamy się, w jak wysokim stopniu przypomina scena ta wspomniane takty. Weźmy choćby ostatnie preludyum (op. 45 *cis-moll*), w którem, jak wąż, ciągnie się smuga najtkliwszych pomysłów melodyjno-modulacyjnych; każdy atom jej odnajdziemy w najbardziej podziwianych modulacyach Straussa.

Debussy i jego egzotycznie brzmiąca harmonika ma w Chopinie swojego proroka w niejednej kompozycyi. Identyczne niemal sposoby harmonizacyi spotykamy już w młodzieńczej kompozycyi „Wielka fantazya na melodyach narodowych pieśni polskich“ op. 13, gdzie na nucie pedałowej *cis* rozwinął Chopin tak dalekie od założenia tonalnego barwy.

Krótko mówiąc, przedstawia muzyka Chopina w granicach systemu dyatoniczno-chromatycznego wszystkie zjawiska melodyjne i harmoniczne, jakie tylko dadzą się pomyśleć.

Od czasów Matthesona wesoło pogrzebane tony kościelne nie zjawiają się w muzyce XVIII wieku w symfonii lub operze. Chopin wskrzesza twardą ich dyatonikę. Obok wysubtelnionych zwrotów chromatycznych wydają się one jak echa zamarłych stuleci. Nieporównanie wielka intuicya Chopina pozwoliła mu dokonać tego, czego falanga uczonych nadaremnie starałaby się wprowadzić w świat życia. Hugo Riemann pomieścił w jednym z tomików swoich: *Praeludien und Studien* artykuł p. t. *Über einige seltsame Noten bei Brahms und Andern*, zajmując się w nim specyalnie „kościelnem“ przejściem harmonicznem w temacie *andantina* symfonii *e-moll* Brahmsa. Znakomity uczony zapomniał, że w kompozycyach Chopina znajdujemy przejścia, należące teoretycznie do tonalności kościelnej w wielkiej ilości i najrozmaitszych formach, np. w polonezach (w pierwszym) lub mazurkach. Oto nowy dowód niesłychanego bogactwa materyału harmonicznego, którym operował Chopin.

Od dyatoniki kościelnej rozciągał się zmysł harmoniczny Chopina aż do sfery *enharmonii*. Najdelikatniejsze powiewy melodyjne, jakie można z instrumentu wydobyć, te ledwie pod kontrolę zmysłu podpadające, minimalne różnice w natężeniu jakiejś barwy, osiąga Chopin za pomocą środków natury enharmonicznej. Jako jeden z typowych przykładów enharmonii Chopina cytuję takt 9 nokturnu *H-dur* (op. 9 nr. 3). Figura piątkowa przewija się przez interwały najczulej pomyślane, jak błysk błędnego ognika *(dis-f-e-cisis-dis; d-e-dis-cis-d)*. Przy pomocy enharmonicznie wyglądających figur umiał Chopin nadać jakiemuś utworowi zupełnie odrębny koloryt, niekiedy jakby oryentalny charakter. Momenty takie znajdujemy w mazurku *a-moll* nr. 13, które niemal usprawiedliwiają przydomek tego utworu.

Takiej subtelności w pomysłach muzycznych, kojarzącej się z tą przedziwną świetnością stylu i architektoniki, nie miał w przybliżeniu nawet żaden kompozytor. Obok miliardowego iście bogactwa harmonii w kompozycyach Chopina, w równym stopniu

wielkiem jest bogactwo pomysłów figuracyjnych, równie wielka moc malarsko-muzycznych pierwiastków. Warto przytoczyć piękne słowa *R. M. Breithaupta:* „Sfinks fortepianu znalazł w Chopinie swego tłómacza. W granicach jednego instrumentu nie pomyślano nigdy nic większego, z dźwięków nie wysnuto nic bardziej czarownego... Ulotne arabeski podobne są do pereł rosy w kielichach czarnych aksamitnych róż. Jego skale i pasaże są wyrazem nastrojów i często mają w sobie wielkość i śmiałość. Tak samo elementami nastroju są fioritury; przedstawiają one przeważnie istotną, głęboką wartość melodyjną. Ale główny urok jego stylu tkwi w niezmiernej sile i oryginalnie ukształtowanej rytmice.“ Materyalny fakt, że Muzyka Chopina pisana była dla fortepianu, nie wpływa na wielkość jego koncepcyj muzycznych obniżająco. Fortepian był dla niego *mikrokosmem* świata tonów, jego sztuka stała się życiodajnem słońcem „muzyki przyszłości.“ Pomysły Chopina z naturą instrumentu tak nieporównanie zestrojone, jak żadne inne w wyższym stopniu, tak do dna wyczerpujące wszystkie środki techniki fortepianu, że dalej nie mógł już dojść żaden kompozytor, mają swoje *czysto muzyczne* walory w stopniu wyższym jeszcze. Przez dzieła Chopina wzbogaca się melodyka i figuracya muzyki instrumentalnej wogóle o wszystkie te formy, które on stworzył. Charakter konturów melodyjnych Mozarta i Haydna, Beethovena, Webera i Schuberta, formy akompaniamentu w muzyce monodycznej były z gruntu odmienne niż u Chopina. Twórcy etud jak Clementi, Cramer lub Czerny nareszcie Hummel, który wirtuozyjny styl fortepianowy przed Chopinem najpełniej wyzyskał, nie zdołali snuć pomysłów, w ujęciu fortepianowem tak elastycznych i świetnych. Styl fortepianowy Chopina przypomina nam najrozmaitsze materyały, z których plastyk korzysta: obok dostojnego złomu marmuru, lekka girlanda złota, jaskrawa mozajka nęci na chwilę, mieniąca się białość perły sennie nastraja, lub budzi blask brylantu... czujemy śliskie jedwabie, muskamy ręką po miękkich aksamitach. A wszystko nie w nieładzie, lub bez smaku porzucone czy sklecone, lecz najbardziej jednolite, lub najharmonijniej skombinowane. *Etudy* Chopina, ta prawdziwa ewangelia muzyki fortepianowej, niejako idealna synteza jego stylu i techniki, zdobyły sobie jedno, wspólne wszystkim, zapatrywanie: że one jedne wystarczyłyby na nieśmiertelność ich twórcy. Jedynem i zgoła niepowtórzonem jest w nich zbratanie się najszczytniejszych problematów technicznych z poetycznością inspiracyi, nastrojoną na ton niedościgły. Niemniej od Preludyów, Nokturnów, Ballad i Scherz wynosi się

z *Etud* nastroje liryczne o przenikającej mocy; tak znaczne kontrasty w nich uderzają, że kiedy z jednych lecą kaskady śmiechu i jakby połyski kryształów, drugie jęczą w rozpacznem cierpieniu lub grzmią potęgą buntu, inne—np. etuda *es-moll*—zdają się szeptać cudne słowa Michała Anioła, napisane o postaci nocy z grobów Medyceuszów:

Non veder, non sentir m'e gran ventura
Però non mi destar; deh! parla basso!

Paradoksalny na pozór, ale tyle słuszności kryjący w sobie aforyzm *Oskara Wildego*, że przeważna ilość dzieł—w różnych formach—powstała jedynie z powodu istnienia odpowiednich form, traci w stosunku do Chopina niemal zupełnie racyę bytu. Do form klasyków wiedeńskich, sonaty lub ronda, uciekał się Chopin rzadko, wszystkie zaś kompozycye jego utrzymane w formie sonaty spotykały się przeważnie z zarzutem, że nie odpowiadała ona indywidualności Chopina, który nie umiał nagiąć się do reguły wysnutej z tylu dzieł Haydna, Mozarta, Beethovena oraz ich epigonów. O ile słusznemi mogły być zdania, że sama struktura pierwszych części sonat Chopina nie zawsze odpowiada schematowi klasycznemu, o tyle dziwią uwagi, że sonaty jego powinny się nazywać raczej „kaprysami," bo pod wspólną firmą „łączył Chopin właśnie czworo z jego najbardziej szalonych dzieci"—jak pisał Schumann. Dziwią nas one istotnie, bo zadaniem kompozytora w sonacie, w części pierwszej, jest przeprowadzenie logicznego rozwoju dwóch myśli tematycznych, wyzyskanie tkwiących w nich kontrastów uczuciowych i formalnych; w cyklu zaś czterech ustępów sonaty rozwinięcie jakiejś idei poetycznej, nie objawiającej się koniecznie w temacie wspólnym. Chopin, jak my to dziś silnie czujemy, był w sonatach prawdziwym poetą dramatycznym; w ustępach sonaty *b-moll* lub *h-moll* obserwujemy jedną nić myśli, rysuje się przed nami jakaś abstrakcyjna akcya uczuć, której poszczególne fazy przedstawiają dla nas żelazną konsekwencyę. Biegowi tej muzyki poddajemy się, jakby kierował nami jakiś rozkaz tajemny, jakby współczucie dla bohatera—idei kazało nam identyfikować się z jego jaźnią, pałać jego namiętnościami i uledz z jego upadkiem.

W geniuszu Chopina dość było pewnie zasobów do uzyskania szkolarskiej poprawności w formie, lub pisania znakomitych bodaj fug. Nie robił tego wiedziony wyższemi ambicyami, lekceważąc przesądy, zdolny do tworzenia bez przykładów dzieła naj-

doskonalsze. W kompozycyach Chopina jest forma identyczna z treścią muzyczną. Wyłączyć jedno pojęcie z drugiego niepodobna. Nie patrząc na żmudny proces powstawania dzieł Chopina, podziwiamy ich improwizacyjną lekkość w koncepcyi i idealną symetryczność w układzie. Jednym z najdoskonalej szlifowanych brylantów sztuki Chopina jest nokturn 12. *G-dur*, prototyp najwyższych pojęć formalnych. Zjawiska formalne obserwujemy tu zarówno w rozwoju tematycznym, jak też w rozwoju wnętrznie muzycznym, mianowicie harmonicznym. W obu kierunkach nieporównana doskonałość, która, łącznie z nieokreślonym czarem obu pomysłów tematycznych tego nokturnu, daje jedno z najdrogocenniejszych *sui generis* objawień nowoczesnej muzyki.

Te formy, które Chopin pierwszy wprowadził do literatury fortepianowej były niejednokrotnie podstawą całych nowych kierunków nawet w muzyce symfonicznej. *Ballady* Chopina, wzbudzające w duszy każdego wrażliwego słuchacza programy poetyczne, są właściwą podstawą Lisztowskiego „poematu symfonicznego.“ Chopin był zbyt skromnym, nadając im ten tylko tytuł zamiast „powieści muzycznych,“ na który dzięki swej romantycznej treści zasługiwały. Rapsodyczna forma nie została nigdzie wyzyskana w sposób tak mistrzowski i tak świetny, jak w balladach Chopina. I znowuż specyalnie o nich myśląc, stawia je każdy na szczytach muzyki fortepianowej, na szczytach muzyki wogóle. Wyróżnia je lakoniczność, na jaką—przy wypowiadaniu tyle mówiącej treści—mało z największych kompozytorów umiało się zdobyć. Chopin, nie zajmując się psychologią, znał naturę ludzką dobrze i wiedział, że wrażenia najsilniejsze długo trwać nie mogą. Zająć umysł słuchacza od początku, podnosić stopień zaciekawienia ku najwyższemu napięciu współtwórczej uwagi, jednem słowem porwać, lecz pozostawić go nieznużonym, świeżym, żądnym drugiego wrażenia takiego—pragnął kompozycyami (o ile jedna idea muzyczna była ich osią) zwięzłemi, świetnemi. Ballada *As-dur* jest wymarzonym przykładem podnoszenia się wyrazu muzycznego zarówno pod względem treści, jak dynamiki do miejsca, w którem po dłuższem gromadzeniu się potęgi następuje spontaniczne przesilenie jej, elementarny wybuch. Na podobne potęgowanie wyrazu na tak krótkiej przestrzeni, na takie pięcie się pionowo w górę nie zdobył się — *mutatis mutandis* — nawet Beethoven, który niekiedy kilkakrotnie kończy dzieło, zanim je skończy naprawdę.

Oto obok polonezów i tylu fragmentów z różnych dzieł: Chopin rycerski, wielki wielkością pomysłów i siłą przeprowadzenia ich. Zapomnieć o tem, przeoczyć to, patrząc na całą twórczość Chopina, byłoby tak niezrozumiałem, jak patrząc na najpiękniejsze popiersie kobiety *Verrocchia* w *Bargello* lub na studzienkę w *Palazzo vecchio* zapomnieć o wielkim i groźnym *Colleonim*.

Od sztuki Chopina zaczyna się w muzyce wysubtelnione pojęcie kolorytu. W dziełach klasyków jest nam zupełnie obojętnem w jakiej *tonacyi* są utrzymane. Arya Tamina z Fletu czarodziejskiego, którykolwiek ustęp z symfonii Oxfordzkiej, nawet *Eroica* lub sonata Kreutzerowska nie spowodują nieporozumienia lub różnicy, gdybyśmy je wykonali, transponując o jakiś interwał. U Chopina ma natomiast tonacya znaczenie równe samej treści muzycznej; pomysł kształtował się w danej jakiejś barwie tonalnej, której natężenie odczuwał genialny malarz tonów nie do pojęcia dokładnie. Kolorvt w fortepianie zależy od stosunku użycia klawiszy białych i czarnych; odmienna mechanika uderzenia (palce inaczej atakują) wywołuje różnicę w barwie tonu. Dla przekonania się w jak innem świetle i barwie przedstawiałaby się którakolwiek kompozycya Chopina, gdyby nie utrzymał jej w danej tonacyi, warto poddać próbie transpozycyi, o pół tonu w górę lub w dół, kilka bodaj taktów chopinowskich. Zrozumiemy wtedy wszystkie malarskie komentarze — szczególnie nokturnów Chopina. Trudno nie uciekać się do nich tam, gdzie muzyka zdaje się być przetopioną barwą, dającą tło grze uczuć. Idąc śladami komentatorów Chopina natrafiamy na opisy poetyczno-malarskie w stosunku zwłaszcza do nokturnów. *Ehlert* pisał o nokturnie *F-dur* op. 15, że w nim: „Chopin przetkał burzliwe fale własnych wzruszeń srebrnymi promieniami księżyca. W nokturnach jego są odbłyski jakby dalekich gwiazd. Od tych mglistych, niebieskich klejnocików pożyczył niejedno. Nokturn Chopina jest udramatyzowanym ornamentem...“ Huneker pisał o drugim: „jest w nim zadziwiające stopniowanie przy oświetleniu słonecznem,“ o innym znów, że są w nim: „modulacye od niebieskiej barwy gołębiego jaja do zieloności wody Nilu, mgliste i delikatne.“ Jeden nokturn Chopina jest dla Hunekera „malowany najeterycznieiszym pędzlem,“ nokturn *cis-moll* op. 27 przedstawia się Leichtentrittowi „już bez światła, prawie głęboko czarny...“ Ale podczas kiedy dzisiejsi impresyoniści muzyczni francuscy oddają w swoich kompozycyach niemal stany atmosferyczne i starają się tylko o efekty barwne, Chopin stworzył w jednym nokturnie, którego ton malarski przypominał Kleczyńskiemu „obraz cichej

weneckiej nocy“ — „większą rozmaitość wzruszeń i prawdziwego dramatyzmu ducha na czterech stronicach, niż niejedna opera na czterechset“—jak pisał Henryk T. Finck. Szukając konkretnych dzieł malarskich, które z nokturnami Chopina mają wspólność nastroju i równą wartość artystyczną, musimy uciec się do *scènes galantes* Watteau'a (*G-dur*, nr. 12), lub „Świętego gaju“ Boecklina (*g-moll* op. 37).

Tę rozmaitość barw dźwiękowych, którą stworzyła dopiero nowoczesna instrumentacya, przedstawiają nam w pełnej krasie dzieła Chopina. Mistrz nasz pisał na fortepian, jakby reprodukując barwne obrazy muzyczne jakimś niewytłómaczonym sposobem, który jednym swym zasadniczym tonem tak idealnie oddaje wszystkie barwy dźwiękowe, ich natężenia i harmonie. Chopina gra się tak, jak się gra z wyciągu fortepianowego dramaty Wagnera, których kolor orkiestralny słyszy się uchem wewnętrznem. Obraz przyświecający natchnieniu Chopina wyczarowujemy w naszej duszy w ekstazie, w którą przenosi nas jego muzyka.

Z pośród tych momentów w kompozycyach Chopina, których orkiestralny koloryt nie ulega wątpliwości nawet dla przeciętnie muzykalnej natury, wystarczy wymienić tu wstęp w *Fantazyi*, lub partyę illustrującą rajtaryę w polonezie *As-dur*. Instrumentując zaś w wyobraźni mnóstwo dzieł Chopina, kryjących w sobie pierwiastki orkiestralne, przychodzimy do przekonania, że *in abstracto* odpowiadają one chyba najświetniejszym ustępom wagnerowskim lub straussowskim. Wyemancypowanie nowoczesnej orkiestry od Liszta i Wagnera począwszy, dokonało się pod zewnętrznym, technicznym wpływem Berlioza i wewnętrznie-muzycznym wpływem Chopina.

Śmiało możemy twierdzić, że w pojętym poetycznie kierunku muzyczno-malarskim nie znamy kompozytora o rozleglejszym i głębszym geniuszu od Chopina.

Po proroczych słowach Schumanna, napisanych o pierwszych kompozycyach Chopina, świat w dalszej jego twórczości nie doznał zawodu. *J. W. Davison* pisał w r. 1849 (cytuje Huneker), że „dzieła Chopina uderzają zupełnie niespodzianymi czarami, leżącymi poza obrębem znanych dotąd rzeczy, że z każdym utworem Chopina wchodzi się w jakiś kraj cudowny, nietknięty jeszcze stopą ludzką, jakby natrafiło się na ścieżkę, którą dotąd nikt prócz niego nie szedł.“

Istotnie, ślady wskazujące w czemś na epigonizm w kompozycyach Chopina są drobinowe, znikome. Kiedy w dziełach Wag-

nera płyną aż do „Lohengrina“ wstęgi wpływów włoskich (Spontini'ego szczególnie), Beethovena w stopniu dość silnym i Webera, u Chopina zauważamy domieszki obcego stylu w kompozycyach najwcześniejszych tylko. Oklepane do znudzenia nazwisko *Fielda*, ilekroć mówi się o nokturnach Chopina, ma tylko małą racyę bytu, ledwie przy wspomnieniu nokturnu *Es-dur*. Młodzieńczą pasyę dla opery włoskiej widzimy w drugiej części koncertu *e-moll*, ale i tu podniósł wielki geniusz frazy melodyjne do poziomu prawdziwego artyzmu. Zresztą zaś samorodność, z niczem nieporównana oryginalność, wypowiadająca się w dziełach nielicznych, ale stale—conajmniej — doskonałych. Nie ilość stanowi o wielkości artysty, ale gdy mimo to przeciwstawia się twórczości Chopina żywiołową produktywność Händla, Bacha, Haydna, Mozarta, Schuberta, Mendelssohna, nie można i o tem zapomnieć, że ze spuścizny tych mistrzów, pomimo różnych chwalebnych zabiegów niemieckich artystów i muzykologów, znaczna (przynajmniej 50 do 60%) część nie ma żadnych warunków życia, nie z powodu przestarzałych form, ale dla wątpliwej jakości. W skromnej ilości *opusów* Chopina liczymy tyleż samo niemal arcydzieł, których żywotność jest tak silna, że rosnąca z każdym rokiem liczba reprodukcyj dzieł jego na koncertach, przewyższa w dwójnasób sumę wykonywanych kompozycyj fortepianowych nazwanych wcześniej mistrzów łącznie z Beethovenem. Najwymowniejszych dat do potwierdzenia, że zachwyty w tym roku nie są jubileuszowo-słomianym ogniem, dostarcza statystyka życia koncertowego w Niemczech i Francyi.

Najkrótszą odprawę można dać urojonym zarzutom, skierowanym ku indywidualności Chopina, której przedziwne wysubtelnienie wydaje się być ludziom o pewnych attawistycznych cechach barbarzyńskich: chorobliwością i dekadencyą. Bluźnierstwem wobec geniuszu Chopina byłaby apologia jego indywidualności przeciw takim zarzutom. Tym, co je stawiają, dajmy do wyboru: wyobrażenia potęg boskich z Alaszki i figurki tanagryjskie...

Arystokratyczna nawskroś sztuka Chopina pozostała taką i w *mazurkach*, które nie uprawniają do uważania go za chłopomana. Jedyna forma, do której tematycznie szukał na zewnątrz siebie zarodczej podniety, była — jak pisał *Cypryan Norwid:* „zaśpiewem na sztukę narodową.“ Chopin „podniósł ludowe natchnienia do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzkość całą“ — pierwiastek „ludowy do ludzkości.“ Ludowy charakter mazurków, rodzaj muzyki, który utwory te czyni najbardziej dostępnymi z dzieł Chopina, nie przeszkodziły harmonicznemu zmysłowi

jego stwarzać tu najśmielszych problemów. W obrazach, mogących być genialnem dopełnieniem „Pana Tadeusza,“ z których wyczuwamy twardy realizm wieśniaczej doli, jest Chopin, nie roniąc nic z zasadniczej idei i ludowej charakterystyki, wielkim, zupełnie samodzielnym artystą, nie oglądającym się na liczne, w czasach powstawania jego pierwszych mazurków, przykłady muzyków warszawskich. To, co napisał Liszt, że: „Chopin będzie zaliczany do tych muzyków, którzy najpierw wyindywidualizowali w sobie poetycznego ducha całego narodu, niezależny od wszelkiego wpływu szkolarskiego,“ jest względnie do mazurków najsłuszniejsze i doczekało się pięknie wypowiedzianego stwierdzenia w sylwetce Chopina p. *Camille Bellaigue'a.* Natura Chopina, rozwijająca się wyłącznie z wewnątrz, nie uległa, nawet w czasach podatności na wpływy, niczemu, coby ją mogło nagiąć do epigonizmu i naśladowania. Chopin był tak wyłącznie muzykiem i tak wcześnie rozwinął cały swój geniusz, że nigdy—w listach naprzykład — nie tracił czasu na długie komentarze o napisanych kompozycyach, nie wtajemniczał nikogo w zamysły, lub opowiadał o procesie powstawania swoich dzieł. Przeważnie robił to wesoło, daleki od wszelkiego filozofowania i teoretyzowania. Dał ludzkości dzieła, nie listy o dziełach, liczył na odczucie w artystycznych rejonach duszy, nie na ciekawość krótkowidzącego badacza.

Wspominając *ex re* tak wczesnej dojrzałości Chopina, tak wcześnie tworzonych arcydzieł, wczesny rozkwit geniuszu Mozarta i Mendelssohna i stawiając Chopina w jednym z nimi szeregu, nie wyświadczamy mu tem zaszczytu, lecz przeciwnie nawet pewnego rodzaju krzywdę; tamci bowiem byli nieodrodnymi synami epok, które ich wydały, Chopin natomiast swoją i następną tak znacznie wyprzedził. Waryacye na temat z *Don Juana „la ci darem la mano“* dzisiaj utworzone musiałyby zwrócić na siebie uwagę świata muzycznego, zjawiając się około roku 1830, oznaczały zaczątek nowego stylu fortepianowego, o elementach niepomiernie bogatszych i rozmaitszych jak dawniej. Łatwo więc pojmiemy entuzyazm Schumanna, który poznawszy te waryacye nietylko napisał pamiętną ocenę proroczą, ale już mając wystąpić jako kompozytor z szeregiem utworów, wolał je zniszczyć lub przerobić, zyskawszy w kompozycyach Chopina najlepszego dla siebie nauczyciela.

Trudno bez pomocy analizy wykazać te wszystkie sposoby dramatycznego wyrazu muzycznego, które w sztuce Chopina na-

brały właściwego znaczenia, przeszedłszy zaś do dzieł innych kompozytorów uchodzą za ich specyalnie własne. *Obiegnik* (w górę i w dół) ma w licznych, głęboko poruszających momentach dramatów Wagnera ważne znaczenie (modlitwa Rienziego, duet Elżbiety z Tannhäuserem, Izolda, Brunnhilda). U Chopina występuje on w miejscach wysoce napiętych, np. w balladzie *g-moll*, lub głębokiej kantylenie *Fantaisie impromptu* (ustęp środkowy) i tylu innych.

Chopin nie popierający ideałów swoich enuncyacyami teoretycznemi, mówiący do Delacroix'a (pamiętniki wielkiego malarza), że Beethoven zaniedbywał pewnych, odwiecznych reguł muzyki, mógłby się niejednemu wydawać zjawiskiem nieświadomem swojej genialnej treści. Znajdujemy wszakże jedno zdanie Chopina w liście do Elsnera, pisanym w pierwszym roku pobytu w Paryżu, które dobitnie stwierdza, że genialny młodzieniec przeznaczył sobie misyę wielką i śmiałą i że czuł się do tego powołanym, mianowicie: *stworzyć nową erę w sztuce!* Ono jedno nam wystarczy.

Czujemy dobrze ile serdecznej krwi polskiej płynie w muzyce Chopina; świat nie zaprzecza nam prawa do tej najdroższej naszej własności. *Camille Bellaigue* pisał: „nie znam muzyka, któryby więcej był patryotą, niż on. Chopin jest Polakiem bardziej, niż ktoś był kiedy Francuzem, Włochem, albo Niemcem. Jest Polakiem, nic, jak tylko Polakiem, i z tego zniszczonego, zmaltretowanego kraju polskiego wyłania się jego muzyka, jak nieśmiertelna dusza jego.“ *Heine* natomiast widział w naturze Chopina wypadkową wpływów trzech odmiennych narodów, trzech kultur. „Polska dała mu rycerskość i ból historyczny, Francya dała mu swój lekki wdzięk, swoją gracyę, Niemcy romantyczne zamyślenie...“ Dały mu jeszcze wielką sztukę Bacha, której dokładne studyum *(Wohltemperiertes Klavier)* przyniosło mu w rezultacie „czystą logikę w muzyce“ — jak to wynika ze słów Chopina do Delacroixa. O wpływie Bacha na Chopina, którego sztuka jest jakby odwróceniem muzyki kantora lipskiego, świadczą tylko wspólności ideowe, nie zaś podobieństwa zewnętrzne, formalne, tych bowiem nie znajdziemy. W geniuszu Chopina przetopił się wpływ ten w jakieś nowe wartości, nastąpiło w nim przeobrażenie pierwiastków. Proceder ten możemy uzmysłowić sobie porównaniem, zgoła paradoksalnem: talent plastyka, przejętego arcydziełami Velasqueza, które go skrystalizowały, wypowiada się w znakomitych dziełach rzeźbiarskich.

Oto dzieło Chopina, sfinks, „cud jeden...“

Mógł mówić o sobie Chopin słowami „Króla Ducha“:

„Nie wiedzą ludzie, przez jakie ja tony,
Przez jakie czyny, przez jakie męczarnie,
Zebrałem owe duchów miliony?...
Bo ze słońc różnych są i z różnej strony...“

I będzie wielka sztuka jego Duszą narodu:

„Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona!
I nasze dzikie dusze pozachwyca!...“

Zdzisław Jachimecki.

PAMIĘTNIK DEOTYMY.

IV.

Na wygnaniu.

Całejby książki potrzeba, i to niemałej, ażeby wiernie opowiedzieć naszą wygnańczą wędrówkę. Chciałabym kiedyś tę książkę napisać (jeżeli życia na to starczy), dziś króciuchny tylko jej szkic podam, a najprzód nadmienię, że w owym czasie doznałam niesłychanych cierpień, ale i największego w życiu szczęścia.

Cierpieniom nikt nie zaprzeczy. Widzieć najdroższą sobie istotę aresztowaną, uwięzioną, porwaną w nieznane strony, to są wrażenia, których ludzka mowa nie wyrazi.

Jak tylko dowiedziałyśmy się, że mój ojciec ma być wywieziony, w tejże chwili zajaśniała mi myśl jechania z nim razem. Niecierpliwość mnie ogarnia, kiedy ludzie nazywają ten krok *poświęceniem*. To nie było żadne poświęcenie, to było dogodzenie najgwałtowniejszej potrzebie serca, to było uchwycenie się jedynej pociechy, jaka mi w tem nieszczęściu zostawała. Zresztą, czyż to nie był najprostszy obowiązek?

Wprawdzie, bolała mnie myśl chwilowego rozłączenia się z matką, ale rozłączenie to miało być bardzo krótkie; matka chciała także zjechać do nas, wprawdzie nie odrazu, bo pierwej musiała urządzić interesa majątkowe, odnająć mieszkanie, wybrnąć z owych tysiącznych powikłań, które nastają przy zupełnym przewrocie stosunków życiowych — wszakże, umówionem to zostało między nami, że jak tylko będzie jej wiadome stałe miejsce na-

szego pobytu i jak tylko trochę się w niem urządzimy, zaraz i ona tam wyruszy w towarzystwie jakiego krewnego. Byłyśmy wtedy przekonane, że ojciec zostanie zesłany do jakiegoś większego miasta, na drodze kolejowej, lub gdzieś w jej sąsiedztwie. Było to złudzenie. Ach, jeszcze nie miałyśmy pojęcia ani owych dróg, ani owych osiedlin! Ale w każdym razie było to szczęśliwe złudzenie, kiedy nam na długo dodało odwagi.

Mnie tymczasem o to chodziło najpierwej, ażeby mój ojciec nie odbywał podróży samotnie. A jednak, razem z nim wyjeżdżać z Warszawy było rzeczą niedozwoloną. Osoby, wysoko stojące, podsunęły nam radę, ażebyśmy dogoniły ojca w drodze, a resztę zdały na Opatrzność.

Z cudowną szybkością otrzymawszy paszport, puściłyśmy się obie ku Petersburgowi, i — o szczęście! w Pskowie doścignęłyśmy całą „partyę“ wygnańców. Byli oni umieszczeni w hotelu, mogłyśmy więc odrazu złączyć się z moim ojcem. Psków jest miastem biednem i smutnem, ale jakże wydał mi się uroczy, dzięki owemu złączeniu, owej radości, z jaką nas ojciec ujrzał!

Wprawdzie ta radość została znów zaciemnioną, bo tam znowu się okazało, że nie wolno razem z wygnańcami odbywać podróży. Jednak widok mojej boleści tak jakoś wzruszył władze, że otrzymałam *wyjątkowe* pozwolenie towarzyszenia memu ojcu w drodze.

Nastała ciężka chwila rozstania się z moją matką; słodziła ją, co prawda, nadzieja szybkiego połączenia, zawsze to jednak było prawdziwe dla serc naszych rozdarcie. Ach, widzę ją jeszcze łzami zalaną na „perronie.“

A myśmy się puścili w ową tajemną drogę, gdzie nikt nie wiedział, dokąd zmierza. Jechało nas przeszło trzydzieści osób w jednym ogromnym wagonie, a że był trzeciej klasy, twardy i nieopalany, więc przy grudniowym czasie, jeśli kto się oparł o ścianę, to mu włosy do niej przymarzały.

W Moskwie trzymano nas przez pięć dni w więzieniu. Piątego dnia dopiero przyszła od ministra lista, wskazująca, kto do jakiej gubernii ma jechać, bez naznaczenia wszakże samego miejsca pobytu, co miał dopiero uskutecznić właściwy gubernator. Każdy więc musiał jechać najpierwej do swego miasta gubernialnego. Dla nas przypadł Kazań.

Do Niżnego Nowogrodu wieziono nas jeszcze razem, ale tu już kończyła się droga żelazna i tu nastąpiło ogólne żegnanie się z towarzyszami podróży, z którymi te dnie wspólnych cierpień związały nas niejedną nicią, chociaż... nie ze wszystkimi.

Odtąd, każdy już musiał radzić sobie z osobna. Nie mając pozwolenia na pójście do miasta, musieliśmy na poczcie kupić co się trafiło, rodzaj starej karetki na saniach, najśmieszniejsze w świecie pudło dziurawe, poobijane rogóżkami. Ciasno tam było i niewygodnie, ale, prawdę mówiąc, uczuliśmy się szczęśliwi, że jesteśmy już tylko we dwoje i że możemy nakoniec rozmawiać poufnie, co w ciągłym dotąd tłumie było niewykonalnem.

Po drodze nie spotykaliśmy żadnych ciekawości. Kraj pusty, bezleśny, poprzecinany głębokimi jarami, śniegi bezbrzeżne, które olśnionym oczom wydawały się czasem purpurowe, wicher szalejący dniem i nocą. Jedyną ciekawością była ludność miejscowa, Czuwasze, plemię fińskiego pochodzenia, mówiące językiem, który nam dziwnie przypomniał węgierski. Ale jakże ci bracia Madżiarów inaczej wyglądali! Nigdy się nie spodziewałam, abym nazajutrz po wysiąściu z wagonu mogła oglądać takich dzikich ludzi, a zwłaszcza takie dzikie kobiety! Czuwaszki nie noszą wcale sukien, ale są całe obszyte stułokciowym bandażem z płótna, który najwyraźniej rysuje ich kształty. Obszycie to, jaskrawo zahaftowane, póty się nosi, póki z nich samo nie opadnie. Po wierzchu rozwieszają różne szkła i zęby zwierzęce, a głowę stroją w blaszany dyadem z wisiorami. W zimie, gdy na dwór wychodzą, kładą przynajmniej kożuch i wtedy podobniejsze są do ludzi, ale kiedy go w chacie zrzucą, wtedy chociaż się na nie patrzy, własnym oczom wierzyć się nie chce.

Żadnych w kraju zwalisk, żadnych pamiątek. Czasem tylko wieś o jednej ulicy, jeszcze rzadziej miasteczko, a w niem zawsze dwa główne budynki: cerkiew i więzienie. Trzeba jednak przyznać, że między cerkwiami wiele jest prześlicznych, niezmiernie oryginalnych, a im bardziej podróżnik zdąża ku Wschodowi, tem więcej w nich odkrywa podobieństwa do indyjskich pagód.

Ale jeśli ciekawości było mało, za to niebezpieczeństw co nie miara; kraj wszędzie falisty, czynił drogi ślizkiemi jak zwierciadła; spuszczanie się do jarów przedstawiało niezmierne trudności, a już najstraszniejszą była przeprawa przez Wołgę, jeszcze źle zamarzniętą. Wprawdzie żandarmi, tworzący naszą eskortę i *odpowiadający za nasze życie*, czuwali nad nami bardzo pilnie, ale przeciw żywiołom i żandarm nie pomoże. Mieliśmy nadzieję, że w Kazaniu będziemy mogli wypocząć, choćby za więziennemi kratami, tymczasem gubernator, przejrzawszy nasze papiery, kazał nam natychmiast ruszać znowu do jakiegoś *Jadryna*, o którym, jako żywi, nie słyszeliśmy nigdy.

Przebywszy napowrót Wołgę, i to w nocy, wśród kry i wodnych przepaści, musieliśmy wracać się o paręset wiorst drogi. Nakoniec dziewiętnastego dnia po wyjeździe ze Pskowa dotarliśmy do Jadryna, mieściny, złożonej z kilkudziesięciu chałup i kilkunastu dworków, tak grubo zasutych zaspami śnieżnemi, że tylko dachy wypuklały się cokolwiek nad ziemią, jakby jakieś białe mogiłki.

Pomimo tak żałosnych pozorów, urządziliśmy się tam wcale nieźle. Sprawnik miejscowy, stary syberyjski wiarus, był to człowiek szczery, który nikomu nie dokuczał. Mieszkaliśmy w chatce, należącej do rodziny poczciwych pół-mieszczan, pół-chłopów, co nam okazywali niekłamane współczucie.

Zastaliśmy tylko trzech czy czterech wygnańców. Zaraz też przypadła wspólna *Wilja*, która się u nas odbyła; wtedy jadłam po raz pierwszy sterleta; jest-to rzeczywiście monarcha ryb, lepszy od łososia, a nigdzie nie można łatwiej go kosztować, jak w Jadrynie, bo miejscowość ta leży nad rzeką Surą, która jest najsławniejszem siedliskiem sterletów.

Ale po świętach wygnańcy zaczęli zjeżdżać coraz tłumniej, tak, że wkrótce było nas już kilkadziesiąt osób. Z powiększoną liczbą ludzi skazanych na bezczynność i na gorzkie myśli, a zwłaszcza z przybyciem kobiet, zamąciła się piękna zgoda, jaka z początku panowała. W tym tłumie byli ludzie różnego wychowania, różnego wykształcenia, byli nawet i wcale niewykształceni, a wszystko to w imię „świętej równości nieszczęścia“ rościło prawa do niejakich stosunków i wciąż się wzajem na siebie boczyło.

Nas, co prawda, tylko czasem, i to słabo, dochodziły echa tych małomiasteczkowych zatargów. Byliśmy zawsze tak zajęci, że dzień nam ulatywał jak chwila, i wieczór, choć zimowy, nieskończenie długi, nigdy nam jeszcze nie wystarczał.

Trzeba się było rozpakowywać, urządzać, mieszkanko uczynić możebnem, zaopatrzyć się w mnóstwo drobnych gospodarskich sprzętów. Mój ojciec też nieraz rano chodził po sprawunki, wracał obładowany nimi, a był takiej gołębiej prostoty, że kiedyś przez całe miasto przeszedł, niosąc na ramieniu wysoką szczotkę do zamiatania izby.

Prawdę mówiąc, nie izby to były, lecz izdebki. Wszystkie trzy, jakie posiadaliśmy, zmieściłyby się z okładem w dzisiejszej mojej bibliotece. Piec mieliśmy tylko jeden, i to prosty ceglany. Szyby w okienkach nie dorównywały rozmiarem zwykłej ćwiartce listowego papieru; większa też ich część była papierem posklejana. Wprawdzie na niektórych ścianach pstrzyły się kawał-

ki starych obić, wiotko przybite gwoździkami, ale też to był jedyny splendor naszego mieszkania.

A jednak, jakże słodko dnie mi tam upływały! Nie chodziliśmy prawie nigdzie, bo najlepiej nam było we dwoje. Tyle mieliśmy do mówienia! Tyle do roboty! Ja, co prawda, nie na wiele się mogłam przydać, bo jak w Warszawie, tak i tam, ciągle byłam chora, ale przynajmniej pilnie naprawiałam bieliznę, której mała ilość wzięta w drogę, musiała na długo starczyć. Czytaliśmy też dużo, to razem, to z osobna, i nie zawsze drukowane rzeczy; trafiały się i rękopisma.

Przyjechał był w moim kufrze podróżnym ogromny fascykuł, zawierający „Wandę," napisaną w owym kształcie niby szekspirowskim, o którym wspomniałam już powyżej. Mój ojciec jeszcze nie znał tej pracy. Biorąc ją w drogę, cieszyłam się, że taka gruba, przez co dłużej nam wystarczy na rozrywkę.

To też gdy się trafił pierwszy wieczór wolny od zajęć i od gości (było to między Bożem Narodzeniem a Nowym Rokiem), rozłożyłam foliał na stole i zasiedliśmy uroczyście. Czytam pierwszy akt — niezmiernie długi... Czasem z pod oka spoglądam na moją publiczność jedno-osobową, lecz dla mnie ważniejszą, niż świat cały. Publiczność milczy. Po skończonym akcie już nie mogę wytrzymać i zapytuję:

— Cóż tatko mówi na to wszystko? Czy to dobre? Czy niezłe?...

Mój ojciec, po chwili wahania, odpowiada:

— Czekaj... Teraz jeszcze nie mogę wypowiedzieć żadnego sądu... Czytaj dalej... Może później rzecz mi się inaczej przedstawi...

Czytam zatem akt drugi, ale już głos mi nieco zamiera. Publiczność milczy.

Nagle, w połowie drugiego aktu mój ojciec się odzywa:

— Nie! To już nie do zniesienia. Póki jeszcze przechodzisz z prozy na biały wiersz, a z białego na rymowy, to sprawia prześliczne wrażenie. Ale kiedy z rymowego spadasz do białego, a z białego do prozy, to poprostu jest nie do zniesienia. Rozkład scen dotąd bardzo dobry, charaktery jednolicie utrzymane, plan wydaje mi się udany, ale ta nieszczęśliwa forma w naszym języku nie uchodzi. A przytem jakież to okropnie długie!

Po takim wykrzyku przestaliśmy czytać i uznaliśmy oboje, że „Wanda" w tej postaci nie ma prawa do życia. *Oboje*, bo i ja czytając, potajemnie doznawałam tych samych wrażeń, które mój ojciec głośno wypowiedział.

Zmartwiliśmy się mocno. Całą noc prawie oka nie zamknęłam. Ale ta bezsenność wydała dobry owoc. Przemógłszy troskę, postanowiłam całą rzecz przerobić na wiersz rymowy.

Zaraz też nazajutrz wzięłam się do początku drugiego aktu i na próbę przetopiłam w nim pierwszy monolog Rytygiera. Pokazało się, że przeróbka pomaga nietylko na formę, ale i na rozwlekłość; ów monolog, który w pierwotnym tekscie zajmował całe trzy stronnice, teraz pomieścił się w szesnastu wierszach. Ucieszona pomyślnym probierzem i ojcowskiemi zachętami, zaczęłam coraz gorliwiej popychać tę olbrzymią robotę i w Jadrynie zwierszowałam cały akt drugi oraz większą część trzeciego. Ile razy przybyło kilkanaście wierszy, zaraz je ojcu przynosiłam. Co to były za rozprawy, co za śmiechy i pustoty przy tem pisaniu prawie wspólnem! Po jednej nocy zmartwienia miałam teraz długie dnie rozkoszy.

Trzeba też przyznać, że i ów tekst pierwotny, chociaż na pozór nie udany, teraz mi był bardzo użytecznym i przez pół ułatwiał mi pracę. Szyk obrazów, szereg myśli, zazębienie dyalogu, wszystko już miałam gotowe, tylko szatę robiłam ciaśniejszą i zgrabniejszą. Robota wdzięczna, która nam obojgu tak przypadła do smaku, że przez cały czas pobytu w Rosyi, była nam słodką ucieczką do kraju poetycznych wizyj.

. . . . . .

Tkwił jednak w naszem życiu jeden kolec, który wciąż nam zakrwawiał serce, to trudność porozumienia się z matką.

Poczta jadryńska tylko raz na tydzień chodziła. Listy, dwukrotnie cenzurowane, więc pozostające na łasce owych cenzorów, szły w najlepszym razie dwa tygodnie. Ale czasem i przez miesiąc wypadało na nie czekać; wtedy chodziliśmy, jak struci. Nawet i odbiór listu niewiele nas pocieszał, bośmy sobie mówili: „Wszystko to stare wiadomości! Któż wie, co się tam od miesiąca stało?“

A nie łatwo było i odpisywać. Z początku zatajaliśmy straszliwe biedy i niewygody naszego pobytu; nie chcieliśmy dodawać matce zmartwienia. Ale gdyśmy z jej listów zmiarkowali, że nie żartem się do nas wybiera, musieliśmy wyznać całą prawdę. Zdrowie mojej matki, bardzo wówczas już nadwerężone, nie byłoby wytrzymało ani jednego tygodnia takowej podróży, ani jednego miesiąca takiego pobytu; wiedzieliśmy to dobrze,

i sumienie kazało nam ją przestrzedz, ale szczere nasze wyznania zgryzły ją więcej, niż można było przewidzieć, i odtąd już tylko nad tem pracowała, aby nas wydobyć z owej „dziury," jak w Warszawie nazywano Jadryn.

Wprawdzie już moja matka nie była zupełnie osamotnioną; siostra mego ojca, przybywszy umyślnie do Warszawy, zamieszkała z nią razem i nie opuściła jej aż do naszego powrotu. Staraliśmy się też rozrywać mamę za pomocą długich i wesołych listów, a czasem i małych niespodzianek.

Najwspanialsza z nich zjawiła się na dzień 20 marca, w którym przypadały urodziny mojej matki. Przybył wtedy z Jadryna cały nabór podarków. A najprzód dwie skrzynki blaszane, gdzie w lodzie jechały zamrożone sterlety. Przytem sławne jakieś rosyjskie pierniki, oraz równie sławne pantofle. Nakoniec, w różnokolorowych pudłach umieszczony był „meister-stick" naszej własnej roboty: *modelik naszego mieszkania w Jadrynie.*

Była to rzecz mego wynalazku. Chciałam koniecznie, aby moja matka mogła sobie zrobić dobre wyobrażenie o naszem siedlisku, a chciałam też i sama na całe życie mieć pamiątkę tej wyjątkowej epoki mego życia. Zaraz po Nowym Roku (1864) już ubrdało mi się w głowie zrobienie jakiegoś niby teatrzyku, coby się składał i rozkładał i póty ojca nudziłam, aż przystał na mój zamiar. A że oboje przepadaliśmy za wszelkiem *wycinaniem* i *klejeniem*, więc nas ta robota niezmiernie bawiła. Wprawdzie o materyały nie było nam łatwo, jednak z tektury, ze starych kart, starych perkalików i kolorowych papierów zrobiliśmy, wpół uklejony a wpół uszyty, rodzaj domku, gdzie były wszystkie nasze pokoiki z piecem i mebelkami, aż do najdrobniejszych szczegółów, bo stały tam nawet i lichtarze, i samowar z filiżankami, a na stoliku leżał różowy papierek z powinszowaniem dla solenizantki. Wszystko to rozbierało się na części, które ślicznie do siebie przystawały. Przez cały styczeń i luty pracowaliśmy nad tem arcydziełem cierpliwości. Tymczasem też wieść o naszej robocie gruchnęła po miasteczku i zaczęli się schodzić na to widowisko nietylko nasi towarzysze wygnania, ale i rozmaici nieznajomi nam Jadrynianie, którym bardzo pochlebiała wiadomość, że konterfekt jednego z ich domów pójdzie „na Europę."

Istotnie w początku marca wyszedł cały ów szereg upominków. Losy ich były rozmaite. Nieszczęśliwe sterlety nie wytrzymały ciepła wiosennego, jakie już panowało w Warszawie, i tylko nieznośnym „fetorem" objawiły swój opłakany przyjazd. Pantofelki okazały się użyteczne. Pierniki, rozdane między zna-

jomych posłużyły im za *Presse-papier*, bo twardością równały się porfirowi. Ale najwięcej wrażenia sprawiła *Chatka Jadryńska*. Jeśli oglądano ją nad Surą, cóż dopiero było nad Wisłą! Wszyscy nasi przyjaciele schodzili się, aby podziwiać tę miniaturową budowlę i nietylko wtedy, ale i po wielu, wielu latach zawsze ona znajdowała ciekawych. Do dziś dnia posiadam ową *Chatkę*, od czasu do czasu ją oglądam i niejedną już łzą tęsknoty skropiłam jej nadniszczone ściany.

Podczas kiedy w Warszawie marcowe słońce przygrzewało, u nas jeszcze szalone zimna trwały bez wytchnienia. Cała zima była bardzo ciężka. Często w pokoju musieliśmy wdziewać futra, a raz, gdy mróz trzydziesto-stopniowy trzymał przez dziesięć dni z rzędu, powietrze w mieszkaniach tak zrzedniało, żeśmy się zataczali jakby na okręcie. Inną razą — pamiętam — wyszedłszy na miasto, dziwiliśmy się, „jak dzisiaj ciepło?“ Za powrotem do domu patrzymy na termometr, ten wskazuje piętnaście stopni Réamura. To się tam dla nas nazywało „ciepłem.“

Nakoniec w kwietniu nastały roztopy. U nas nikt nie ma wyobrażenia o podobnych zalewach. Bo cóż to za góry śniegu tajały! Cały kraj stał pod wodą. Ogromny plac w Jadrynie, ubrany jakiemi sześcioma czy ośmioma chałupami, wśród których była i nasza, zmienił się na rwące, burzliwe jezioro. Po tem jeziorze od domu do domu pływano łódkami, a fale spienione biły z szumem o nasze okienka.

*

* *

W takiej to chwili spadła na nas wiadomość, którą przyjęliśmy z niemałem zmartwieniem. Wskutek zabiegów, poczynionych bez naszej wiedzy w Warszawie, przyszedł rozkaz przeniesienia nas do innej gubernii.

Była to niby łaska, bo mieliśmy zamieszkać w mieście gubernialnem, ale w jakiem! W Symbirsku, o którym prawie nikt z Warszawian za owych czasów nie wiedział. Ja przynajmniej pierwszy raz wtedy posłyszałam tę nazwę.

Żal nam było porzucać Jadryn. Jego mieszkańcy przestali się już nas lękać, jego władze przestały nas już podejrzewać. Na nowem siedlisku znów nas czekały nieznane warunki.

Kupiliśmy też byli trochę starych mebelków, niemożebnych do przewiezienia, i nasza rogożowa karetka na saniach już nie mogła w tej porze roku służyć do podróży.

Cała kolonia wygnańców odprowadzała nas aż nad brzeg Sury. Popłakaliśmy się wszyscy — a kto najwięcej płakał, to jadryński sprawnik, co na równi z całym Jadrynem powziął był dla ojca mojego cześć niewysłowioną.

Pożyczył nam on swojego koczyka, a za eskortę dał własnego zięcia, który piastował w miasteczku tem godność policmajstra. Dygnitarz ów, młody jeszcze, był niezłym człowiekiem i grzecznie rozpoczął drogę, bo nam oddał koczyk, a sam jechał na koźle, ale dokuczył nam do żywego w sposób całkiem nadspodziewany. Prawie na każdej większej stacyi miał jakichś znajomych, przychodził więc do drzwiczek powozu i prosił bardzo czule, abyśmy nie wysiadali i nie kazali przyrządzać jedzenia, dopóki nie wróci. „Wrócę — mówił — zaraz, tylko muszę tu kogoś na chwilę odwiedzić.“ Ta chwila trwała godzinę, czasem dwie, czasem i cztery — a gdy zjawił się nakoniec, to pijaniusieńki, jak bela. Wtedy już nie chciał o niczem słyszeć, tylko zżymał się, cały czerwony, i dla powetowania straconego czasu kazał natychmiast wyruszać. Tym sposobem przez wszystkie dni podróży nie mogliśmy nigdy zjeść ani śniadania, ani obiadu, i dopiero pod noc się zatrzymując, dostawaliśmy ciepłą strawę.

Niebezpieczeństwa tej drogi były bardzo wielkie. Mostów tam niema nigdzie, a choćby i były, to w tej porze roku powódź by je wszystkie na drzazgi rozniosła. Tak więc po dziesięć razy dziennie musieliśmy wpław przejeżdżać przez wezbrane rzeki, a w miejscu gdzie Świaga łączy się z Wołgą, znaleźliśmy zupełne morze. Przyszła wnet po nas łódź spora; na niej pomieszczono i powozy, i konie, i nas wszystkich, i jak puściliśmy się na wichrzyste, wzbałwanione głębie, tak od brzegu do brzegu płynęliśmy przez dwadzieścia i jedną wiorst, czyli całe polskie trzy mile!

Od Kazania już statek parowy przeniósł nas na miejsce przeznaczenia.

*

* *

Symbirsk zaraz od pierwszej chwili uczynił na nas odpychające wrażenie. Było to jakby przeczucie okropności, co nas tam czekały.

Miasto wprawdzie dosyć porządne; wiele domów murowanych; osiemnaście cerkwi, z tych niektóre stare i ciekawe; pałac gubernatora wcale niezły, zbudowany przy olbrzymim placu, na którym stoi posąg Karamzina; posąg śpiżowy, bardzo piękny, a co jeszcze piękniejsze, to, że mieszkańcy umieją się nim chlubić. Każdy dorożkarz, każdy najprostszy człowiek mówił do nas: „Widzicie wy? To sławny Karamzin! On tutaj, u nas się urodził.“

Ciekawy także widok przedstawiają prześliczne konie tamtejsze, te słynne konie symbirskie, co wiodą ród swój od arabskich.

Mnie też niemniej zaciekawiał widok Tatarów, snujących się po mieście; i nietylko zaciekawiał, lecz i dziwił, bo to nie żadni krępi, nizcy Nogajcy, ale Tatarzy Kazańscy, lud rosły i piękny, w czapkach z białej pilśni, podobnych do wywróconej lilii. Gdzie mogłam, to ich podpatrywałam, i tam już myśl moja zwróciła się pilnie ku tatarskiemu światu.

Ale prócz owych drobnych, rzadkich zaciekawień, zresztą co za pustki, cò za obumarłość w mieście! A ten kurz okrutny! W całej okolicy nie można znaleźć najmniejszego kamyka, więc ulice główne są wyłożone drogą bitą, a boczne pozostają jak je Pan Bóg stworzył. Chodniki wszędzie drewniane.

Przez całe miasto idzie ulica długa i szeroka, niby jakieś „Unter-den-Linden,“ tylko zamiast lip rozłożystych, stoją rzędem wiotkie, jak tiul, żółte akacye, jedyne drzewko, jakie tam jeszcze może się utrzymać.

A jednak nigdy w życiu nie zaznałam takich afrykańskich upałów, jak te, co tam nas pochwyciły. Zrozumieliśmy wtedy owe plemiona murzyńskie, które w pewnych porach roku uroczyście przeklinają słońce. Przed dziewiątą wieczór niepodobna było wychylić się z domu. A ta przedwieczna długość tamtejszych dni letnich! Przykrzyła nam się ona daleko więcej, niżeli długie noce. Przy lampie tak jest miło i czytać i pisać! Tam zaś ów ciągły blask oślepiający nużył głowę do niezniesienia.

Szkodził nam i klimat, który w Symbirsku jest niezdrowy. Wszyscy tam chorują na rozlanie żółci i myśmy już zaczęli niepomiernie chorować.

Byliśmy też z początku niegodziwie pomieszczeni, w jakimś lichym domu zajezdnym, który nam władze naraiły. Za to w połowie lipca dostaliśmy mieszkanko bardzo ładne, świeżo wyklejone i wymalowane. Wszakże niedługo miała potrwać ta przyjemność.

Życie prowadziliśmy niezmiernie samotne. Z wygnańców nie było nikogo innego, a z miejscowymi niepozwolił nam się poznawać tamtejszy gubernator, człowiek dziwnie tchórzliwy. Ledwie przeledwie przystał na księdza i doktora i to jeszcze dodawał: „Jak najrzadziej widujcie się z nimi, jeśli chcecie, abym o was dobre raporta wyprawiał.“

Miał wprawdzie ten pobyt i dodatnie strony. Był ów ksiądz katolicki przy sporej kaplicy. Był telegraf, cudowny sposób szybkiego porozumiewania się z Warszawą. Było nakoniec i niejakie prawdopodobieństwo przyjazdu mojej matki do Symbirska. Wprawdzie i tu zły klimat zagrażał jej zdrowiu, i tu długość drogi przerażała nas dla niej mocno, jednakże z czasem rzecz mogła przyjść do skutku.

Ale wkrótce i ta możebność znikła, nagle unicestwiona niespodziewaną katastrofą.

*

* *

W ostatnich dniach sierpnia zaczęły się w Symbirsku dziwnie częste pożary. Po dwa, po trzy dziennie, i to w różnych dzielnicach, niemających z sobą żadnego stosunku.

Pierwszego dnia rzecz wydała się przypadkową, drugiego—już budziła podejrzenia, trzeciego—już nikt nie wątpił, że miasto jest podpalane, jak to mówią, *na czterech rogach.*

Pomimo wszelkich środków ostrożności, pomimo najrozpaczliwszych wysiłków (bo niczego nie żałują ludzie, którzy bronią mienia i życia), straszny żywioł rozszalał się, jak wulkan. Powstawały istne potoki ognia, które szły przez miasto w rozmaitych kierunkach, spotykały się i krzyżowały wzajem, a gdzie przeszły, tam już nie było po co się i schylić. Gdy taki potok płomienny nadchodził, wtedy na zagrożonych ulicach zjawiało się wojsko z bębnami i piszczałkami; to był znak dla mieszkańców, aby opuszczali domy i wynosili się za miasto.

Dzwony ciągle biły na alarm, chociaż coraz mniej gęsto, bo coraz to któraś cerkiew, spaliwszy się, milkła. Aż w końcu wszystkie zamilkły.

Piątego dnia przyszła kolej i na naszą ulicę. Dzięki energii mego ojca, dostaliśmy telegę, mogliśmy na niej uratować rze-

czy i wynieśliśmy się na pole, gdzie pierwszą noc przebyliśmy dosłownie „à la belle étoile.“ I gdybyż przynajmniej gwiazdy były nam wiernie dotrzymały do końca! Ale nad ranem deszcz zaczął padać i musieliśmy sobie urządzić hottentocką budkę.

Deszcz nie potrwał. Ze wschodem słońca znów się wróciły owe przerażające upały, od których nigdzie nie było zasłony, bo wokoło miasta panował jeden step wyżółkły, a na kilkanaście mil wokrąg wszystkie wioski także się paliły.

Szóstego dnia, już cała dwudziestotysięczna ludność miasta obozowała na tym stepie. Gubernator ledwie uciekł z pożogi w pożyczanym płaszczu, pałac jego spłonął do szczętu, cały Symbirsk był już teraz jednem morzem ognia. Od bajecznego rozgrzania się atmosfery potworzyły się nad miastem trąby powietrzne, które, pędząc na pola, niosły żarzące węgle i całunem dymu zaciemniały słońce.

Wtedy wśród obozowisk powstał popłoch niesłychany, ludzie musieli co siły uciekać, bo kogo trąba dosięgła, ten zaduszał się w dymie lub gorzał pod ognistym deszczem. I myśmy ledwie z życiem uszli.

W owych godzinach nietylko nam, ale i niektórym nieco wykształceńszym symbirszczanom, przyszły na pamięć „Ostatnie dni Pompei.“

Nauczeni straszną przestrogą, przenieśliśmy się o całą wiorstę dalej. Tam z naszych kufrów (cudem uratowanych), z niektórych pożyczonych sprzętów, z der i prześcieradeł zbudowaliśmy sobie szałas, wprawdzie bardzo nizki, ale dość obszerny; wchodzić tam nie można było inaczej, tylko na czworakach, za to raz usiadłszy, człowiek mógł sobie radzić wcale nieźle i na przekór losom humor nam tak dopisywał, żeśmy tam sobie czytali, mój ojciec gospodarował, ja cerowałam, a nawet napisałam spory ustęp „Wandy.“

Jednak wszystko to robiło się mniej więcej na głodno i tu spoczywało drugie niebezpieczeństwo, niemniejsze od ognia; cała ta koczująca ludność była *zagrożona głodową śmiercią*. Urządzono wprawdzie na polach rodzaj żołnierskich pieców, gotowano tam jakąś niby zupę, ale to jadło było i okropnie drogie i ohydne. Każdy też miał jakieś zapasiki, to wina, to pierników, to wędlin, wszelako przezorność nakazywała jak najoszczędniej używać tych skarbów.

Straszliwsze nad wszystko były noce. Chodziła nieustanna pogłoska, że na zakończenie podpalań będzie *rzeź*. Kto miał kogo zarzynać? Nikt nie wiedział, ale można sobie wyobrazić, ile

z tego powodu rodziło się podejrzeń i posądzań! A już nikogo bardziej nie posądzano, jak nas, jedynych tam zesłańców.

Jest to rzeczą dla mnie do dziś dnia niezrozumiałą, jakim cudem ocaleliśmy wtedy? Bo jednak lud zabił kilkanaście osób. Kilkadziesiąt innych zginęło w płomieniach. Nas Pan Bóg otoczył jakąś tarczą nadziemskiej opieki, która sprawiła, żeśmy z tego dantejskiego piekła wyszli żywi, cali, stosunkowo zdrowi, nie straciwszy nawet nic z naszych rzeczy.

Ale co dusze nasze przeszły, tego i Dante by nie wyśpiewał.

Kto mógł, ten uciekał. Wózkami, statkami parowymi rozjeżdżano się tłumnie. My tylko jedni, przykuci do miejsca, nie mogliśmy się ruszyć i nie wiedzieliśmy wcale, jaka nas czeka przyszłość, aż sama przyroda podjęła się jej rozstrzygnięcia.

Nastał był już wrzesień, a skwary ciągle trwały. Sama widziałam, jak nasz termometr pokazywał w cieniu trzydzieści sześć stopni Réaumura! Tymczasem, gdy nadszedł dziesiąty dzień obozowania, wstawszy rano i odsunąwszy derę, co zamykała wejście, wydaliśmy okrzyk podziwienia: pola były bieluteńkie! Przymrozek odrazu chwycił. W ciągu dnia musieliśmy po części zburzyć nasz biedny szałas, ażeby otworzyć kufry i dobyć sobie futra. Przy takich warunkach niepodobna było dalej wytrwać w polu.

Z całego Symbirska nic nie ocalało, prócz nędznych kilkunastu dworków, położonych w niejakiem oddaleniu nad wodą. Można sobie wystawić, ile rodzin dobijało się tam o mieszkanie. Jednak mój ojciec tak mądrze zabrał się do rzeczy, że potrafił wytargować dla nas dwa pokoje.

Gdyśmy się ujrzeli pod prawdziwym dachem, wpośród prawdziwych drzwi i okien, gdzie nic nam na głowę nie kapało, gdzie w nocy żadne zwierzę nie zaglądało, myśleliśmy, że jesteśmy w raju.

Wprawdzie i tam nie brakło zwierząt. Co wieczór seciny szczurów, goniąc się nad pułapem i za ścianami, wyprawiały tak niesłychany Sabbat, że gdy dla obrony zaprosiliśmy kota, choć kocisko było ogromne, czarne i złośliwe, przecież zlękło się, wydęło grzbiet i uciekło. Myśmy nie uciekli, bo też i nie mogliśmy już wrócić na pole; śnieg padał w najlepsze i w tydzień później była już pyszna sanna.

I tym to porządkiem zawsze rok toczy się dla tamtych gubernij. Dziewięć miesięcy zimy twardej, nigdy nierozmarzającej. Potem sześć tygodni potopu. Dalej sześć tygodni senegalskich upałów. I znów dziewięć miesięcy zimy — i tak ciągle w kółko.

Pomimo szczurów, które ostatecznie, prócz strachu, nie zrządziły nam żadnej szkody, było nam bardzo dobrze w tych pokojach ciepłych, obszernych i widnych. Wróciliśmy do naszych zajęć, do naszych przeróżnych zabaw, coraz wdzięczniejsi Bogu, coraz bardziej nad sobą wzajem rozczuleni.

*

* *

To też prawdziwym dla nas ciosem był nowy rozkaz z Petersburga, który w końcu grudnia spadł na nas, jak piorun, oznajmiając, że „z powodu spalenia się miasta Symbirska, mamy być przeniesieni do Penzy.“ W czas się wybrano z tą łaską! W połowie września rozkaz byłby nas ucieszył, ale teraz, kiedy już całe cztery miesiące przebyliśmy na miejscu, kiedy trzydzieści stopni mrozu trzaskało w powietrzu, zgryźliśmy się okrutnie. Jednak nie było wyboru; podobne rozkazy muszą być wypełniane w przeciągu dwudziestu czterech, a najdalej czterdziestu ośmiu godzin.

Kupiliśmy coprędzej nową budę na saniach i w wilię Nowego Roku 1865-go wyruszyliśmy, nieco już znużeni tem ciągłem prześladowaniem losu. Droga poszła dosyć spokojnie, ale w Penzie czekało nas nowe zmartwienie. Gubernator miejscowy, człowiek niegodziwy, tem niegodziwszy, że Polak, i niegdyś w Warszawie znany memu ojcu, drwiąc sobie z woli ministra, nie pozwolił nam zamieszkać w Penzie, ale wysłał nas do powiatowego miasteczka *Czembaru*.

Ta ostatnia podróż, chociaż stosunkowo niedaleka, okazała się najbardziej przerażającą ze wszystkich. Za czwartą stacyą chwyciła nas okropna zadymka; w kilka minut nie było już znać żadnej drogi, nie mogliśmy ani wrócić, ani rozpoznać, gdzie mamy ruszać dalej, całe powietrze zakłębiło się gęstym, jakby ściana, śniegiem i przez piętnaście godzin błądziliśmy w chaosie białości, w bezdennych ciemnościach, zagrożeni to zmarznięciem, to stoczeniem się w jary, to pożarciem przez wilki.

Taka noc stanie za sto lat.

Dopiero nad ranem, dosłyszane zdaleka dzwony, doprowadziły nas do jakiejś wiosczyny, skąd, po długich krążeniach, dotarliśmy nakoniec do Czembaru.

*

* *

Ludność w Penzeńskiem składa się przeważnie z Mordwinów, którzy także są plemieniem fińskiem. Kobiety ich ubierają się tak samo, jak Czuwaszki, z dodatkiem tylko grzywy końskiej, pomalowanej świetnie na kolor zielony, która z głowy im spada i całe plecy aż do kostek zakrywa, co wcale malowniczo wygląda.

Czembar okazał się nieco dostatniejszy od Jadryna. Zamieszkaliśmy na facyatce drewnianego dworku, w pokojach dość wygodnych, z wesołym widokiem.

Kolonię wygnańców znaleźliśmy bardzo liczną, złożoną przeważnie z Litwinów i Litwinek. Wiele tam poznaliśmy serdecznych i wykształconych osób, wiele mieliśmy odwiedzin i zaprosin, jednak zawsze najsłodziej było nam we dwoje. Wiadoma to prawda, że nic tak dusz ludzkich nie łączy, jak przebyte razem cierpienia. Cóż dopiero, jeśli te dusze już złączone były najsilniejszym rodzinnym węzłem? To też i my, przebywszy razem tyle niebezpieczeństw, tyle przerażeń i zgryzot, staliśmy się jakby jedna dusza w dwóch istotach. Nie potrzebowaliśmy przemówić, ażeby się zrozumieć. Co rano, schodząc na śniadanie, biegliśmy ku sobie z tym okrzykiem radości:

— Ach, cóż to za szczęście, że jeszcze żyjemy! Że jeszcze jesteśmy razem!

Tak, co to było za szczęście! Czując, że jestem ojcu choć troszkę potrzebną, widząc, że mnie pokochał jeszcze więcej niż dawniej, ubóstwiając go codzień mocniej, wśród wszystkich naszych trosk i zmartwień byłam tak bezgranicznie szczęśliwa, że nieraz myślałam sobie: „Gdyby wieczność mogła być taką!“

Bo też mój ojciec posiadał dziwny *dar uszczęśliwiania*. Choć nie znałam człowieka, coby umiał równie głęboko czuć i cierpieć, nie spotkałam także drugiego, coby tak cudownie umiał nad swojem cierpieniem panować. W największych burzach i najprzykrzejszych słotach życia, dusza jego zachowywała zawsze niezmąconą, lazurową *pogodę*. W najmniejszej drobnostce umiał wyszukać pociechę, lada fraszką umiał się bawić, z tą „prerafaelityczną“ niewinnością serca, której w nikim nie odnalazłam, chyba w postaciach, tworzonych przez błogosławionego Angelica z Fiesole. I ja uczyłam się przy nim tej sztuki *rozpromieniania sobie życia*. To też co to było ciągle wesołości, co figielków, czy przy gotowaniu jajek, czy przy rąbaniu cukru, czy przy pisaniu poezyj!

„Wanda“ szła wielkimi krokami i już zbliżała się do kresu. W Symbirsku dopełniłam aktu trzeciego i napisałam czwarty. W Czembarze zwierszował się prolog, po nim cały akt piąty,

a w końcu i niektóre sceny pierwszego, który szedł jakoś najoporniej.

A jeśli mój ojciec był zajęty „Wandą,“ ja znów całą duszą wsłuchiwałam się w jego prace, bo i on, choć nigdy nie chciał uchodzić za literata z powołania, posiadał jednak bardzo piękny dar pióra. Od czasu do czasu pisywał prześliczne, wielce oryginalne powiastki, które w kółku przyjaciół znajdowały gorące przyjęcie, a od kilku lat już powoli tworzył większe dzieło; był to poemat obszernych rozmiarów, osnuty na *wspomnieniach rodzinnych i narodowych*, prawdziwe zwierciadło jego myśli i jego arcypolskiej duszy.

Teraz, na wygnaniu, mając więcej chwil wolnych, powrócił do tych prac gorliwie. Przybywały coraz to nowe, pieściwe powiastki, przybywały coraz rzewniejsze pieśni do poematu i tak oboje, przy dwóch stołach pisząc, schodziliśmy się przy trzecim, aby je sobie wzajem czytać.

*

* *

Jednak w listach mojej matki, już nieraz przebłyskiwały nadzieje rychłego dla nas powrotu. Były tam i niektóre inne jeszcze przebłyski pociechy.

I tak, Opatrzność zrządziła, że w ciągu owej zimy, do tegoż samego domu, w którym mieszkała moja matka, sprowadził się z rodziną pan Emanuel Wolff, który był już dawniej znany moim rodzicom. Teraz i jego młoda żona poznała się z moją matką, a widząc ją tak samotną i smutną, okazała jej tyle serca, otoczyła ją tak czułemi staraniami, że moja matka nieraz odtąd mówiła:

— „To moja trzecia córka.“

A w listach do nas pisanych, nie mogła się dość naopowiadać, ile osłodzeń winna „tej uroczej pani Eugenii“ — temu „aniołowi pociechy.“

Można sobie wystawić z jakiem rozczuleniem, z jaką wdzięcznością, wczytywałam się w obraz tej nieznajomej, a drogiej mi już istoty, co mnie niejako zastępowała przy matce! Jak pragnęłam poznać i uścisnąć tę słodką pocieszycielkę!

Pragnienie moje wkrótce się ziściło. W czerwcu przyszedł nakoniec dla nas rozkaz uwolnienia.

Droga powrotna, przedsiębrana w dobrej porze roku, poszła nam pomyślnie i dnia 2 lipca 1865 roku znaleźliśmy się w Warszawie.

Spotkania z matką nie dotykam piórem. Pierwszą osobą, jaką po matce spotkałam, była owa „słodka pocieszycielka.“ Znalazłam ją jeszcze lepszą, jeszcze bardziej uroczą, niżeli marzyłam i odtąd serce moje przylgnęło do niej na zawsze.

*

* *

Kiedy moją „Wandę“ wydobyłam z kufra, już kilka scen tylko brakowało do jej skończenia. Ale długo przyszło jej czekać na owo ukończenie. Ostatnia podróż i wrażenia powrotu wyprowadziły mnie z toku dotychczasowych myśli, a wkrótce też i niespodziana okoliczność pchnęła mnie ku nowym robotom.

Towarzystwo Dobroczynności zażądało, abym na jego korzyść przeczytała jaką moją pracę, a choć czasy były ciężkie, jednakże władze i cenzura, które dawniej nie chciały pozwolić na żadną moją publiczną deklamacyę, teraz okazały się powolnemi.

Pragnęłam wybrać rzecz stosowną do dzieł miłosiernych, a jednak byłabym chciała nie porzucać i mojej „Polski w Pieśni.“ Stanął mi na myśli przedmiot godzący oba te cele; była nim owa legenda z życia Stanisława Lubomirskiego, którą przed laty opracowywałam w dramaciku p. t. „Dwie Księgi,“ a potem porzuciłam jako rzecz niedojrzałą. Teraz, nadając jej kształt, już nie dramatyczny ale opisowy i zmieniwszy tytuł na: „Potęgę jałmużny,“ w krótkim czasie napisałam obraz tysiąc-wierszowy, gdzie strona realistyczna jest jeszcze co prawda niedość wypukłą, jednak w całości możebnie się przedstawia.

Opowieść tę czytałam dnia 28 grudnia 1865 roku w Teatrzyku Dobroczynności, gdzie na ów dzień zrobiono umyślną dekoracyjkę, stosowną do przedmiotu.

Był to pierwszy mój publiczny występ. Wyznaję, że niewiele doznałam przy nim trwogi, bo kto przechodził przez postrachy improwizacyi, temu deklamowanie, i to z rękopismem w ręku, wydaje się zabawką.

Do publicznego czytania skróciłam poemacik prawie o połowę, ale całość została wnet wydrukowana w „Tygodniku Illustrowanym,“ w N-rze z dnia 6 stycznia 1866 roku.

Nie upłynęło dni kilku, już inne zakłady dobroczynne zgłaszały się także o współudział. Skorzystałam z tej sposobności, ażeby znów ubić jaką zdobycz dla mojej „Polski w Pieśni.“ Tą razą mogłam nawet pozostać w epoce dobrze mi już znanej, bo wybrałam sobie za przedmiot dzieje pierwszych Leszków, które jako *bajeczne*, upstrzyłam krajkami wyciętemi z różnych innych *bajek*. Praca ta nęciła mię niezmiernie, bo i chronologicznie dobrze mi wypadła, jako następująca tuż po „Wandzie,“ i spełniała choć w części moje dawne marzenia o tej „Wędrówce po krainie czarów,“ gdzie to wszystkie podania naszego ludu miały się łączyć w jedną całość.

Robota szła tak szybko, że już w końcu lutego 1866 roku na koncercie dobroczynnym deklamowałam część pierwszą. Część ta nosi nazwę: „Baśń o Wdowie i jej trzech synach.“ (Mówiąc nawiasem, dziwię się, że ją pozwolono publicznie wypowiadać). Do końca zaś roku napisałam i trzy następne części, z czego się utworzył poemat p. t. „Gonitwy w Dolinie Prądnika,“ całkowicie trzymany w stylu *baśni*, prostodusznym, błyskotliwym i figlarnym.

*

* *

Poemat brzmi wesoluchno, ale w jakichże niewesołych czasach on powstawał!

Po naszym powrocie z wygnania, zamiast wypoczynku i pociech, czekały nas nieskończone zgryzoty. Matkę moją zastaliśmy ze zdrowiem ostatecznie złamanem i z duszą tak zbolałą, że nawet nasze przybycie nie mogło już jej ożywić. A co jeszcze innych spotkało nas goryczy i zawodów! Ja w głębi duszy byłam oburzona tą niesprawiedliwością losów dla mojego ojca. Tymczasem on znosił to wszystko nietylko już ze swoją dawną odwagą, nietylko ze zwykłą sobie pogodą, ale z jakiemś — że tak rzeknę — wniebowzięciem duszy, które najobojętniejszych nawet zdumiewało. Zdumiewało — i zatrważało.

Krąży między ludźmi to przekonanie, *że dusza, która już zupełnie dojrzeje dla nieba, musi niebawem odpaść od drzewa doczesności*. To też pamiętam, że kiedyś moja matka rzekła do mego ojca:

— Nie rób-że się taki doskonały, bo jeszcze cię Pan Bóg zabierze...“

Ach, słusznie mówiła! Słuszne były nasze trwogi, na widok tego coraz szybszego udoskonalania się jego duszy, która już przybierała świetlaność i przezroczystość błogosławionych istot!

*

* *

Ledwie nastał ów nieszczęsny dla mnie rok 1867, już objawiła się u mego ojca straszna, nieprzebaczająca choroba, która według doktorów przychodzi zazwyczaj w skutku „wielkich zaziębień i wielkich cierpień duszy.“ Ach, i jednych i drugich mu nie brakło! Nietylko straszna to choroba, lecz i zdradna. Od lat kilku wyżerała go niewidzialnie, a nikt z nas jej się nie domyślał. Kiedy nakoniec wybuchnęła, już było za późno na ratunek...

. . . . . .

Dnia 6 czerwca 1867 roku wśród męczeńskich cierpień odszedł do swego Stwórcy po nagrodę, odszedł, jak odchodzą wybrańcy Pańscy, błogosławiąc Bogu i ludziom.

Słońce mego szczęścia zagasło.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Z tą chwilą dusza moja odczepiła się od ziemi. Gwałtem chciała lecieć za tym, który odszedł. Ale jakże lecieć? Przemocą wejść tam nie śmiałam, bo kto wchodzi przez inną bramę, ten może nie trafi do tych, których szuka. Ach, ja miałam nadzieję, że Bóg w swej litości, sam na mnie zawoła!

W tem oczekiwaniu, w tej nieustannej modlitwie o *wyzwolenie*, wszystkie inne władze mojej duszy zamilkły. Pióro też na długo zamilkło.

Raz tylko jeden próbowałam wyśpiewać moją boleść. Pieśń ta została niewykończona i dotąd nieskończona. Po prostu słów mi do niej brakło. Pierwszy to raz odczuwałam niesłychane ubóstwo i niedostateczność ludzkiej mowy. Uczucie to jest wyrażone zaraz we wstępnych strofach, które tu przytaczam jako jeden dźwięk z owego wykrzyku, nigdy niedosłyszanego przez ludzi:

Po ileż razy, moje łzy najkrwawsze
Chciałam w pieśń zamknąć, jako do mogiły
Składano niegdyś łzawnicę! I zawsze,
Przy pierwszem słowie odbiegły mnie siły.

Czem suknia karła dla członków olbrzyma,
Tem ludzkie słowo dla ludzkiej boleści.
Duch nieśmiertelny ledwie się utrzyma
Pod jej ogromem, — jakże w dźwięk ją zmieści?

Nad grobem siadłszy, harfę oniemiałą,
U smętarnego zawiesiłam drzewa.
I to milczenie co z grobów powiewa,
Usta me — jakby grób zamurowało.

Lecz wolnoż milczeć? Najdroższa mogiła
O pieśń ma prawo upomnieć się u mnie.
Pójdź harfo wiedz żałośnie i dumnie,
Co posiadałam — i com utraciła!

. . . . . .

Tymczasem zdawało się, że litość Boża gotowa jest mnie wysłuchać. Zdrowie moje zaczęło padać w zwaliska. Przez długie miesiące doktorzy tracili przy mnie głowę, a ja z tajoną radością widziałam już zbliżającą się chwilę, co mnie połączy z ojcem. Ale nie dano mi było zyskać sobie tak szybko i tak tanio tę najwyższą łaskę. Nowy doktor, niespodzianie przywołany, zmienił cały sposób leczenia i na niewymowny mój smutek wyprowadził mnie z niebezpieczeństwa. Co prawda wyleczenie to było tylko pozorne, odtąd bowiem została mi już na resztę życia ta choroba sercowa, która teraz kończy swój wieloletni obieg.

A jeśli ciało nie mogło się już nigdy w zupełności podźwignąć, dusza tembardziej pozostała na zawsze z niezamkniętą raną. Taka boleść się nie zabliźnia. Od straty ojca nic już nie zdołało przywiązać mnie do życia. Odtąd, jeśli żyję, to zawsze tylko

na tymczasem, zawsze wyglądając i pożądając owej chwili „połączenia," którą — jak widzę — niełatwo jest sobie wysłużyć.

. . . . . .

Wówczas jednak nie bez celu Bóg wracał mi nieco zdrowia. Potrzebne mi były nowe siły. Matka moja coraz ciężej zapadała. Po długich, okrutnie powtarzających się cierpieniach, zasnęła w dniu 17 marca 1869 roku.

Zgasły ostatnie światła mojej przeszłości. Nastał wieczór mego żywota.

POLITYKA KOZACKA

w ostatnich latach życia Bohdana Chmielnickiego.

IV.

Gdy tedy Siedmiogród i Szwecya usiłują w związku z kozakami rozbijać państwo polskie, na arenie politycznej zarysowały się nowe kombinacye, które paraliżowały działalność Rakoczego i Karola Gustawa. Cesarz Ferdynand zdecydował się na pośrednictwo w sporze Polaków z kozakami. W tym celu miał wyjechać do Czehrynia Piotr Parcewik, arcybiskup Marcianopolitański i już 10 stycznia 1657 r. otrzymał list wierzytelny i instrukcyę z poleceniem natychmiastowego wyjazdu w drogę. Instrukcya nie zawierała żadnych szczegółowych wskazówek i punktów, ale była bardzo zręcznie ułożona, ażeby z jednej strony uspokoić Chmielnickiego i usposobić przychylnie do interwencyi cesarskiej, z drugiej wybadać go o przyczynach niesnasek. Poseł miał zwrócić uwagę Chmielnickiego, iż mu wiadomo, jakie układy toczyły się o pokoju między Rzpltą a kozakami i toczą się jeszcze i że już nie wiele pozostało do ukończenia. Chodziło zaś głównie o to, ażeby upewnić Chmielnickiego, że co się postanowi, z pewnością dotrzymanem będzie, ażeby przekonać go o koniecznej potrzebie zakończenia sporu, gdyż w ten sposób obcym państwom, a osobliwie najbliższym sąsiadom, pokazuje się drogę do napaści i niszczenia państwa polskiego.

Cesarz przeto, którego z Królestwem Polskiem łączą dawne i dobre stosunki, przychylił się do prośby króla polskiego, przyjął pośrednictwo polubowne między kozakami a Rzpltą i w tym celu wysyła swego posła do Chmielnickiego. Ażeby tem łatwiej

dojść do celu, trzeba ażeby Chmielnicki z całem zaufaniem wszystko odkrył i opowiedział, a jeśli stanie jaka ugoda, poseł cesarski ma imieniem cesarza ręczyć za jej dotrzymanie.[1])

Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że zarówno urok powagi cesarza, jak i rozsądne słowa instrukcyi mogły trochę opamiętać i przyprowadzić do równowagi Chmielnickiego. Pochlebiało mu to, że cesarz, najwyższa powaga państwowa w owoczesnym świecie, który przeprowadził zgodę między Moskwą a Rzpltą, teraz do niego z pośrednictwem pokoju się zwraca. Sam fakt pośrednictwa, obrony Rzpltej, ujęcia się za nią, mógł łatwo przekonać Chmielnickiego, że Polska, pomimo wojen, pomimo klęsk, nie stoi odosobnioną, że pycha jego może być pokonana bronią. Dlatego poselstwo Bieniewskiego tak radośnie powitał. Gdyby nie śmierć Ferdynanda i Chmielnickiego, wypadki poszłyby inną drogą.

Welling prawdopodobnie dopiero z początkiem marca 1657 r. opuścił Czehryń, gdyż jeszcze z datą 20 lutego istnieje dodatkowa instrukcya dla niego. W każdym razie nie spotkało go powodzenie. Oprócz przyczyn, o których wspomnieliśmy wyżej, działała za kulisami inna jeszcze, bardzo ważna, a może i decydująca. Jan Kazimierz, nieugięty w nieszczęściu i niezmordowany w sposobach podźwignięcia Rzpltej z upadku, prawdopodobnie na początku stycznia 1657 r. zwołał Radę przyboczną, aby nad wyjściem z tego położenia radzić. Postanowiono znowu udać się do kozaków: „skąd się malum zawieło (powstało) ad hoc idem mollificando recurrere.“ [2]) W tym celu postanowiono wysłać do Chmielnickiego Bieniewskiego, pisarza grodzkiego łuckiego, późniejszego wojewodę czernihowskiego. Był on dobrze widziany u kozaków, a nawet w otoczeniu kozackiego hetmana miał życzliwych sobie ludzi, mianowicie w osobie Pawła Tetery, który z kancelaryi Bieniewskiego w r. 1648 skoczył odrazu na pułkownikostwo kozackie. Bieniewski, nie chcąc bez przygotowania wpaść w ul kozacki, wysłał przodem Peretiatkowicza z listami do Tetery, ale głównie z ustnemi poleceniami. Czy już kozacy mieli dosyć tego bezcelowego, bezpożytecznego szamotania się, ciągłego kręcenia się w wirze intryg i obłudy fałszywych przyjaciół, któ-

[1]) Archiw Južnoj i Zapad. Rossii. T. III, str. 593, 594.

[2]) „Pamiatniki izdan. Kijew. Komissijeju.“ T. III, wyd. II (1898). „Pamiętniczek Krzysztofa Peretiatkowicza“ z r. 1657—1659. W pierwszem wydaniu nie było go. Str. 342.

rym tylko krew kozacka była potrzebna, czy wreszcie Peretiatkowicz trafił w szczęśliwą chwilę, dość że zdołał pozyskać dla myśli zgody Wyhowskiego, Teterę i starszyznę. Wzięto go wprawdzie za wartę dla ukrycia pozorów, jednak Tetera szepnął mu na ucho, aby posłańca natychmiast posłał do Bieniewskiego i naglił go do przyjazdu.[1]) Może ten nastrój, wywołany nową propozycyą, która w szczęśliwym momencie przybyła, był przyczyną, że z Wellingiem traktowano niechętnie. W chwili przyjazdu do Czehrynia Peretiatkowicza, poseł szwedzki jeszcze tam siedział, a może nawet doczekał się przyjazdu Bieniewskiego, ale o tych usiłowaniach Rzpltej nie doniół swemu rządowi ani słówkiem. Widocznie nie miał przychylnych sobie ludzi i nie dość pilnie rozglądał się dokoła. Moskwa oryentowała się łatwiej i lepiej.

20 marca 1657 r. przyjechał do Czehrynia Bieniewski. Oczywiście zastosowano do posła i jego otoczenia zwykłą owoczesną metodę tatarską — zamknięto ich we własnej gospodzie, pod mocną strażą „propter plebem“ — jak powiada pamiętnikarz. Trzymano ich kilka dni w odosobnieniu, ale mimo to Tetera nocą, przekupiwszy straże, zjawiał się u nich i zdawał sprawę z konferencyi z Wyhowskim. Bieniewski kilka tygodni bawił w Czehryniu i zdołał tyle wymódz, że Chmielnicki „nietylko pozwolił na revocatią Antona (Zdanowicza[2]) z pułkami kozaków od Węgrzyna,“[3]) lecz także „uczyniwszy, victus persvasionibus, submisyę panu przyrodzonemu i Ojczyźnie pokoju, odprawił in spe.“

Taką metamorfozę w Chmielnickim mogła wywołać sytuacya polityczna mocno nieprzyjazna Szwedom. 30 marca 1657 r. Ferdynand zawarł alians z Rzpltą, potwierdzony potem przez Leopolda (27 maja). Szwed lada dzień mógł się wycofać z Polski, a wojska rakuskie odwołać mogły niewątpliwie Rakoczego, który powodzenia nie miał. Z Moskwą stosunek stawał się coraz cięższy. Nie mógł się odgonić od różnych bojarów, diaków, gońców, którzy z coraz nowemi pretensyami przyjeżdżali do Czehrynia. Nie można było inaczej rozwiązać się, jak wrócić do Rzpltej i do przychylnego stosunku z Turcyą i Krymem. W tym też kierunku poszła polityka kozacka.

---

[1]) „Pamiat.“ T. III, str. 343.

[2]) Szujski nazywa go Zieleniewskim, a w nawiasie dodaje (Adamowicz) i zaopatruje ten dodatek znakiem zapytania. („Dzieje Polski,“ t. III, str. 399. Lwów, 1864).

[3]) „Pamiat.“ T. III, str. 344.

Najwcześniej rozpoczęły się zabiegi o Krym, o pozyskanie hana, mocno rozgniewanego o poddanie się kozaków Moskwie. Już tedy w kwietniu 1656 (10 st. st.) zabiegał Chmielnicki o przyjaźń hańską za pośrednictwem przybliżonego i zaufanego hana Pyrysz-agi, zapewniając, że posłowie starać się mają, „aby nigdy przysięga uczyniona naruszoną nie była.“ [1]) W ślad za tym listem biegł drugi do tegoż samego przyjaciela kozaków Pyrysz-agi od Wyhowskiego z prośbą, aby „poprzysięgłą (kozakom) przyjaźń według umowy raczył dotrzymywać, jeśliby jacy naszy nieprzyjaciele złym udaniem nadpsować nam zachowałej łaski chcieli, bacznie przestrzegaj W. Mój M. Pan; gdyż J. M. Pan Hetman dla tego z umysłu tych wyprawuje posłów, aby ci o naszym statecznym dotrzymywaniu opowiedzieli i coby dalszemu ugruntowaniu braterstwa naszego służyć mogło, postanowili.“ [2]) Już samo rozmyślne ukrywanie tematu pertraktacyi z Tatarami daje wskazówkę, że głównie chodziło tu o Moskwę, o pozyskanie przyjaźni tatarskiej na wypadek orężnego z nią zatargu.

Tak samo zabiegał Chmielnicki o pozyskanie sobie Turcyi, dokąd w marcu 1657 r. wysłał Ławryna Kapustę,[3]) tytułując padyszacha „Dominum nostrum supremum“ i prosząc Kijaja-beja, aby wobec padyszacha „kozackie poddaństwo i wierność mądrze przedstawił.“ A działo się to właśnie w momencie, kiedy w Czehryniu Wyhowski tak ostro traktował Wellinga, a tajemnie porozumiewał się z Bieniewskim (marzec 1657 r.). Ale i tym razem ostrożny Wyhowski właściwego celu poselstwa nie wyjawia, pozostawiając je ustnej relacyi Kapusty.

Mimo rozmaite zaskoki Chmielnickiego, mimo łajania Polaków wobec Szwedów i Moskwy, polityczne stosunki z Rzpltą zadzierzgały się coraz silniej i przybierały cechę szczerości. Przez odjeżdżającego Bieniewskiego Wyhowski pisał list (9 kwietnia 1657 r., z Czehrynia) bardzo pokorny i wiele obiecujący. Powo-

---

[1]) Biblioteka Czartoryskich w Krakowie. Rps. № 402, fol. 159.

[2]) Biblioteka Czartoryskich w Krakowie. Rps. № 102, fol. 99.

[3]) „His ita constitutis legatum nostrum certae militiae commendantem Laurinum Kapuszta dictum ad Portam Otthomanicam ad invictissimum ser. potentissimum excellen. Turcarum Imperatorem, Dominum nostrum supremum, expedivimus, ut ille nostram eidem subjectionem et constantem fidelitatem nostro nomine contestaretur. Ideo V-ram etiam Illustritatem obnixe rogamus suae majestati Turcicae nostram erga eandem subjectionem, fidelitatem sapienter eidem exponat. Nos sua Majestas ipsi obedientes et fideles servitores esse sciat.“ (A. J. Z. R. Cz. III, t. VI, str. 217.)

ływał się na dawną swoją życzliwość i usłużność dla Rzpltej, ale oświadczał, że „woli się świeższą, której się oczy Pana Bieniewskiego, posła W. K. M. Pana mego Miłościwego doskonale napatrzyli, popisywać życzliwością.“ Powoływał na to Bieniewskiego, jako świadka, „że póty zmysłom swoim nie dał odpoczynku, póki, acz nie pożądany cale, poczęciu jednak dobry desideriis W. K. Mości uczynił koniec.“ W końcu pisze: „Życzyłbym, aby tenże akt (zgody) Bieniewski swoją terminował industryą, ponieważ go Pan Bóg praecipua do takowych spraw instruxit habilitate; jakoż i z dobrze zrozumianych humorów naszych, nie trzymam, aby kto miał być na to sposobniejszym.“ [1]) Równie życzliwy był list samego Chmielnickiego. Usprawiedliwia się gorąco z tego, co się stało, rad, że się może nowym dowodem życzliwości popisać, składa winę na „języki przewrotne,“ dziękuje za darowanie przewinień i obiecuje starać się, aby i król doznał „ukontentowania.“ „Dlatego też — pisze dalej — z p Bieniewskim o rzeczach, od W. K. M. powierzonych, rozmawialiśmy, ugadzając cale, aby W. K. M. majestat w poniewieranie i nasze swobody nie poszły w upadek. Że jednak ultimatum finem desideria W. K. M. nie wzięły, przyczyny tenże Bieniewski opowie, z nami traktowanych rzeczy wyłoży porządek, czemu wszystkiemu, mniemamy, dostatecznie, jako człowiek fidei rectae i dobrej experientii, wystarczy. I z tej przysługi zarobi na to, że nie przez innego będzie ten akt, jeśliby Bóg pozwolił, jeno przez niego terminowany, czegobyśmy i życzyli.“ [2])

Równocześnie z listem Chmielnickiego do króla, Wyhowski pisał do kanclerza Korycińskiego, zapewniając, że „wszystkie siły swoje stosując (dążyć będzie do tego), aby pożądana zajątrzonych i upartych differencii metamorphosis z dobrem obojej strony zbudować się mogła.“ [3])

Z samego tonu tych listów wieje chęć do zgody. Z kancelaryi czehryńskiej wychodziły często listy nie w tym celu, ażeby prawdę wykryć, lecz raczej, aby ją ukryć, ale wówczas chowała się ona bądź w ogólnikach, lub objawiała się tylko przez usta

[1]) Biblioteka Czartoryskich w Krakowie. Rps. № 402, fol. 155.

[2]) „Pamiat.,“ t. III, str. 239, 240. List poprzedni cytowaliśmy według oryginału, zaopatrzonego liczbą słowiańską 9. List zaś B. Chm., datowany 18 kwietnia starego stylu, gdyż Wyhowski na tym liście, któryśmy dopiero co cytowali („Pamiat.,“ t. III, str. 238) dodaje wyraźnie: „die 18 aprilis veti styl. 1657.“

[3]) Ibid.

posłańców. W teraźniejszej korespondencyi dążenie kozackie wyrażało się zbyt otwarcie, ażeby w szczerość można było wątpić. Ukrywać to dążenie należało raczej wobec Szwedów, a szczególnie Moskwy.

Listy, któreśmy cytowali, wiózł niewątpliwie Bieniewski. Wracał na Sokal. Stała tam partya wojska polskiego, koło której skupiła się przypadkowo grupa senatorów. Bieniewski zetknął się z nimi i o szczęśliwym przebiegu pertraktacyi z Chmielnickim opowiedział. Snać wiara w pomyślny koniec wspólnych nieszczęść, jaką był przeniknięty Bieniewski, udzieliła się obecnym i napełniła ich radością, jaką odczuwać tylko może ten, kto na długi szereg wspólnych klęsk patrzył, kto uspokojenia gorąco pragnął, upatrując w niem początek lepszej przyszłości. Napisali tedy do Chmielnickiego list (17 maja 1657 r.), jaki tylko z duszy, miłującej Ojczyznę w niedoli, mógł wypłynąć. Grupa ta bezimienna, podpisana „przyjaciele," dziękowała mu za to, że „dulce nomen pacis wprowadza do Ojczyzny naszej," że „jungit et sociat jedne członki i serca z dawności naszych." Znając podejrzliwość kozacką, starali usprawiedliwić się poniekąd z przypadkowego i krótkiego pobytu w Sokalu, gdyż z posiłkami cesarza niezadługo ku Wiśle wyruszą, że wreszcie unikają wszelkich starć, a nawet pozoru nieprzyjaźni z kozakami. Słowem, list oddychał taką ufnością i pragnieniem naprawienia popsowanych stosunków, że mógł się wydać szczerym nawet Chmielnickiemu.[1])

Wiele zależało Rzpltej na uspokojeniu, ale i nad kozaczyzną zbierały się chmury. Niedaremnie Chmielnicki posyłał Kapustę do Konstantynopola z pokornymi listami. Ani w Krymie, ani w Carogrodzie nie życzono sobie wzmocnienia się Moskwy, której

---

[1]) „Dziękujemy—pisali „przyjaciele"—i za to, że W. Pan tanto affectu posła J. K. M. przyjąwszy, położył testimonium na nim, kogo praeferebat w osobie swojej. Quid desperandum o dalszym terminie et de lumine ipso solis M-tu Pańskiego J. K. Mości, że W. M. Pan całą ku niemu concepisti życzliwość, gdy na radios jego mile poglądałeś. Jako tedy inclinatią W. Pan do nas habemus ratam, tak animum Rzpltej i wojska testamur proclirem zupełnie do tego, y niebo samo ad decernendam veritatem bierzemy sobie, et ad uteiscendam, za naypierwsze judicium, iż szczyrą confidentią idziemy i vota nasze prosequemur do jednostajnej z W. M. Panem przyjaźni naszej... O to tylko prosimy pilnie, żeby stąd żadna diffidentia y scropulosae opinione z niechętnych jakich konceptów niezachodzili, żeśmy tu na ten tydzień dla spocznienia wojska ściągnęli." (Biblioteka Czartoryskich, Kraków. Rps. № 402, fol. 197).

zaborcza polityka sięgała do Azowskiego morza i prawie do bram Perekopu. Póki Chmielnicki siedział cicho i sam tylko walczył z Polską, patrzono na tą walkę wyrozumiale, jako na szczęśliwy bunt poddanych, który prędzej lub później ukrócony być musiał. Ale z chwilą, kiedy Chmielnicki zligował się ze Szwedami, z Rakoczym, a nawet Wołoszczyznę i Multany pociągnął ku sobie, począł występować jako samodzielny władca, zawierając sojusze z wasalami obcego państwa,—stawał się groźnym już nietylko Polsce, ale Turcyi i Krymowi. Na to ani padyszach, ani han nie mogli patrzeć spokojnie. Wojna z muzułmanami wisiała nad kozaczyzną. Stąd zabiegi kozackie w Krymie i w Carogrodzie. Uniknąć tego można było, wróciwszy tylko do normalnych stosunków z Rzpltą. Chwila ta zbiegła się z poselstwem Bieniewskiego. Nic dziwnego przeto, że ją powitano radośnie.

Zdaje się, że inicyatorem owego listu od „przyjaciół“ do Chmielnickiego był hetman koronny Stanisław Potocki, który wówczas w Sokalu przebywał i wnet po odjeździe Bieniewskiego, bo już 23 maja, zawiadomił króla o szczęśliwie nawiązanych rokowaniach w Czehrynie.[1])

Jan Kazimierz skwapliwie musiał przyjąć tę dobrą nowinę, bo już 13 czerwca wyprawił Bieniewskiego do Czehrynia z instrukcyą. Układ tej instrukcyi i jej charakter nietylko nosiły na sobie cechy podniosłej chęci zakończenia bratobójczej walki, ale i rada była Rzplta przedstawić na oczy Chmielnickiemu dalsze niebezpieczeństwa dla Ukrainy, już i bez tego zubożałej, rozbitej i wyludnionej. „Deklaruje się przeto J. K. M. przed Bogiem, iż i sam, i wszystkie stany Rzpltej rzetelnej, prawdziwej, nigdy nieodzownej życzą z urodzonym hetmanem i wszystkiem wojskiem zaporoskiem jedności; to cokolwiek z obydwóch stron stało się za grzechy, sprawiedliwości Boskiej ofiarując i wieczną zakopywając niepamięcią i tej szczerości prawdziwej i rzetelnej ze strony swojej świadkiem i sędzią Najwyższego wzywając.“ Bieniewski miał przedstawić Chmielnickiemu rzeczywiste dzisiejsze położenie polityczne, bardzo nieprzychylnie układające się dla kozaków, aby ich tem chętniej do zgody nakłonić. Miarą rzetelnych pragnień pokoju ze strony Chmielnickiego miało być: jeśli już odwoła od Rakoczego wojsko kozackie, jeśli zaraz przystąpi do spisania i podpisania punktów i jeśli przeciw Szwedom pośle jaki dziesiątek tysięcy kozaków.

[1]) „Pamiat.,“ t. III, str. 240.

Uderzającą jest w instrukcyi ta okoliczność, że oprócz jednego—powrotu do posłuszeństwa kozaków—brak w niej zupełnie punktów, któreby poszczególnie miały być przedmiotem pertraktacyj z Chmielnickim, brak zupełnie warunków obustronnych, na którychby się zgoda oprzeć mogła. Niewątpliwie było to rozmyślne pominięcie. Nie można było krępować ani Bieniewskiego, ani Rzpltej, gdyż wobec warunków, proponowanych przez Szwedów i Rakoczego, nie było już złych do przyjęcia. Prawdopodobnie przeto, że Bieniewski otrzymał, oprócz pisanej instrukcyi, ustne polecenia i pełnomocnictwa. Głównie chodziło o to, aby „prędko skończyć, umówić, spisać, podpisać," a potem dopiero oznajmić Moskwie, że wracają do posłuszeństwa Rzpltej i życzą sobie, ażeby między carem a Rzpltą panował pokój.[1])

V.

Gdy Bieniewski w drogę się puszczał, zbliżał się poseł carski Buturlin do Czehrynia, a poseł króla szwedzkiego Gustaw Lilliecrona, zaopatrzony we wszystkie pełnomocnictwa i w szeroką a drobiazgową instrukcyę, stanął w stolicy hetmańskiej 9 czerwca. Los tak pokierował polityką północy, że trzy potężne państwa walczyły o zdobycie względów kozackiego hetmana. Była to chwila niezmiernie doniosła, a dla Ukrainy decydującej ważności. W czyją stronę byłby się pochylił Chmielnicki z całą świadomością i jasnością celu, ta byłaby niewątpliwie zwyciężyła. Ale, jak często się zdarza, wplotła się tu fatalność, która ciężyła nad polityką: była to chwiejność Chmielnickiego i jego stosunek z Moskwą. Wybór był nadzwyczajnie trudny: związek ze Szwecyą nie miał przyszłości, mógł tylko chwilowo służyć jako hamulec do powstrzymania nadmiernego rozwoju i ekspansyi w kierunku południowo-zachodnim W. Ks. Moskiewskiego, jako też osłabienia Rzpltej Polskiej; związek z Rosyą, jakkolwiek mógł wydawać się z początku bardzo korzystnym, miał wszelkie cechy nieobmyślonego czynu, rzucenie się na oślep bez zbadania warunków życia i polityki ościennego państwa. Rozdźwięk zaznaczył się prawie nazajutrz po przysiędze i już tylko mógł pogłębiać się. O wolnościach politycznych nie mogło być mowy, bo owoczesna Mo-

[1]) „Pamiat.," t. III, str. 244.

skwa sama o nich nie miała pojęcia. Pozostawał tylko powrót do Rzpltej, jako ultima ratio, jako jedyna konieczność dziejowa, na której tle zarysowywała się przyszłość narodu wstępującego krwawo na widownię życia państwowego, narodu zdolnego, silnego, zamieszkującego kraje żyzne, mogącego się łatwo oprzeć o morze Czarne. Zdaje się, że dopiero w ostatnich momentach życia Chmielnickiego i sam on, i w otoczeniu jego poczęto pojmować jaśniej sytuacyę polityczną. Ale tragiczny los nie przeznaczył Ukrainy do samodzielnego życia. Śmierć przerwała życie kozackiego hetmana w chwili właśnie, kiedy mogło się rozpocząć nowe życie dla Ukrainy.

Nic też dziwnego, że w takim ważnym momencie dziejowym trzy państwa, a nawet Siedmiogród, robiły zabiegi o pozyskanie Chmielnickiego.

Zaczniemy od Szwecyi.

Hr. Lilliecrona około połowy kwietnia 1657 r. wyjechał z Zawichosta przez Kraków, Węgry, Siedmiogród i Wołoszczyznę do Czehrynia. Król szwedzki nietylko polecał swemu posłowi zawarcie „najściślejszego sojuszu“ z Chmielnickim, lecz także w „najkrótszym czasie.“ Karol Gustaw już był rozpoczął rokowania przedwstępne o pokój z Rzpltą, chodziło mu tedy bardzo o to, aby większy wywrzeć nacisk na Polskę przez Rakoczego i Kozaków. Jakkolwiek pragnął się wycofać z wojny polskiej, aby tem skuteczniej bronić się od Moskwy, udawał jednak, że pragnie dalej „energicznie prowadzić wojnę,“ aby tembardziej zachęcić kozaków do niesienia mu pomocy.

Drugim ważnym powodem poselstwa Lilliecrony do Czehrynia było rozbudzenie nienawiści kozaków do Moskwy i usilne staranie o oderwanie ich.[1]) Wysuwano tu te same argumenty, którymi posługiwał się już Welling: zaborczość Moskwy, rozciągliwość jej pretensyj na różne kraje, niebezpieczeństwo dla kozaków, możność uwolnienia Kijowa i innych miast od garnizonów moskiewskich, a wreszcie potrzebę utworzenia stałej linii komunikacyjnej między kozakami a Szwedami przez Smoleńsk, czem stałby się „sąsiadem“ Szwedów.[2]) Tkwiło w tem więcej pochlebstwa, niż polityki, więcej chęci popchnięcia kozaków przeciw Moskwie, niż realnych dla nich korzyści. Ostateczny rezultat tego poselstwa streszczał się w krótkich bardzo słowach: Karol Gustaw prosił

[1]) Archiw J. Z. R. T. III, cz. VI, patrz instrukcya Lilliencronie § 9, 10.
[2]) Istrukcya, 262, 263, § 12.

o wysłanie jeszcze, oprócz posiłków, udzielonych już Rakoczemu, do Brześcia 20 lub 30,000 kozaków.[1])

Niezależnie od misyi wobec kozaków, Lilliecrona miał jeszcze polecenie „przyciągnąć Tatarów wszelkimi sposobami na swoją stronę i przekonać ich, aby opuścili sprawę Polski i Jana Kazimierza.“[2]) I tu argumenty były dobrze znane: niedopuścić do wzmocnienia się Moskwy i Rzpltej polskiej, jako przyrodzonych wrogów Tatarów. Ale do przeprowadzenia tej polityki były ważne przeszkody. Szwedzi i szwedzka polityka nie miały dla Krymu żadnego znaczenia: woleli przeto, z Polską idąc razem, walczyć przeciw Moskwie i osłabiać ją, niż wzmacniać przez osłabianie Polski. Groźniejszym był blizki nieprzyjaciel, niż pożytek z bardzo dalekich przyjaciół. Najważniejszem wszakże było to, że Karol Gustaw, dając bardzo stanowcze instrukcye hr. Lilliecrona, nie dał mu pieniędzy na ugłaskanie hana, a chciał, jak i poprzednio, ażeby Chmielnicki „ręczył“ za króla albo ułatwił mu zdobycie pieniędzy w Krymie „na podarunki.“[3])

Poseł szwedzki nie osiągnął wielkich rezultatów na dworze czehryńskim. Z obu stron zadowalano się grzecznościami i komplementami. Powitanie Lilliecrony było niezbyt obiecujące na przyszłość. Powiedziano mu otwarcie, że jeśli z tem przyjechał co i Welling, to niema co robić w Czehryniu, gdyż Chmielnicki niechce mieć z nim żadnych stosunków.[4]) Czy to był manewr tylko ze strony kozackiej wobec tego, że właśnie w Czehryniu siedział już od tygodnia prawie Fiodor Buturlin, nie wypadało przeto w jego obecności porozumiewać się z posłem obcego mocarstwa. Czy też może nawiązane stosunki z Bieniewskim i wiadomość, że późniejszy wojewoda czernihowski do stolicy kozackiej się zbliża, a wiadomo było w jakim celu jedzie, wszelkie przeto układy ze Szwedami stawały się bezprzedmiotowymi — czy może inne przyczyny wpływały na odpowiedź kozacką, trudno domyślić się. Po krótkiej rozwadze postanowiono jednak poselstwo przyjąć. Mogło to imponować Moskwie i uczynić ją łagodniejszą. Po bardzo szorstkim wstępie nastąpił okres wzajemnego komplementowania się.

---

[1]) Ibid. § 13. 264.

[2]) Ibid. § 19, 266.

[3]) Instrukcya, 268, § 21, 22.

[4]) Archiw J. Z. R. t. III, cz. VI. List Gust. Lilliecrony z Czehrynia 12 czerwca 1657 r., str. 294.

Jakkolwiek instrukcya dana Wellingowi zasadniczo w niczem nie różniła się od instrukcyi Lilliecrony, kozacy swoje gburowate zachowanie się starali usprawiedliwić niewłaściwem zachowaniem się Wellinga. Kto chce uderzyć, ten kij znajdzie. Welling miał jakoby powiedzieć, że król szwedzki chce zatrzymać dla siebie Kamieniec i Lwów aż do Baru, jakoteż inne kraje, a gdy kozacy pragnęli mieć te prowincye pod swoją władzą, Welling miał zapytać otwarcie: „Po co wam tak dużo ziemi i czy zdołacie ją obronić?“ [1]) To miało oburzyć Chmielnickiego. Jak się domyślać można, całe to nieporozumienie było tylko nieporozumieniem: chodziło tu zapewne o te pretensye, które miał Rakoczy do Polski, a które były przed rokiem prawie przedmiotem układów ze Szwedami. Nie przeszkadzało to Lilliecronie — stosownie do instrukcyi — ukrywać przed Rakoczym cele pertraktacyj z kozakami. [2])

Pomimo wszystko, Chmielnicki nie chciał zrzec się „przyjaźni“ z Moskwą, gdyż „Turcy i Tatarzy coś złego zamyślają przeciw kozakom, muszą oni przeto, na wszelki wypadek, zapewnić sobie pomoc przyjaciół.“ [3]) Ale „przyjaciele“ mieli i swoich kłopotów dosyć.

Rezultat pertraktacyj, jak już wspomniałem, nie był wcale zadowalający: same ogólniki lub przyrzeczenia nieokreślone. Kozacy żądali dla siebie „całej połaci Polski od Wisły aż do Czehrynia.“ [4]) Apetyt wzrósł znacznie. Przed 9-iu laty żądano tylko po Słucz. Nowe żądania nie miały ściślejszych granic, ale też nikt tego naseryo nie brał, nawet w obozie Chmielnickiego. Co do pomocy orężnej, powiedziano, że hetman „postara się zebrać około 20,000,“ co do pośrednictwa w sprawie pokoju z Moskwą— pośle gońca. Obiecywano także, ażeby wstrzymać Tatarów, mających wtargnąć w granice Mołdawii, Wołoszczyzny i Siedmiogrodu, wysłać 300 czajek na morze, pocieszano zaś tem, że 200,000 kozaków stoi pod bronią. [5]) A rezultat? Kozacy się nie ruszyli, czajki nie wystąpiły na morze, posiłków żadnych nie dano, pośrednictwo traktowano w Moskwie, jako mieszanie się w sprawy nie swoje, a kraj „od Wisły do Czehrynia“ pozostał w ręku Rzpltej

---

[1]) Archiw, t. III, cz. VI, str. 295.
[2]) Ibid. 268.
[3]) Arch. J. Z. R. t. III, cz. VI, str. 296.
[4]) Arch. J. Z. R. t. III, str. 557.
[5]) Ibid. 298, 299.

aż do końca prawie XVIII w. Chmielnicki poszedł tak daleko, że zdołał nawet powstrzymać Lilliecrona od podróży do Krymu jednym argumentem tylko, że „teraz nie jest czas stosowny do tego.“ [1]) Poseł szwedzki tem chętniej uznał słuszność tego argumentu, gdy się dowiedział, że han posłów do więzienia sadza i że nie miał pieniędzy na bakszysze. Zadowolnił się tem tylko, że Chmielnicki „ma wojsko w pogotowiu i może je przerzucić albo na Krym, albo na Moskwę.“ [2]) O Polsce Chmielnicki nie wspomniał.

Pomimo zupełnego nieudania się poselstwa szwedzkiego, Lilliecrona pozostał w Czehryniu, oczekując na wyjaśnienie się sytuacyi. Dowiedział się tyle tylko, że han zdecydował się stanowczo pomagać Janowi Kazimierzowi i w tym celu, dla wykonania dywersyi, ruszył ku Dniestrowi i że część Tatarów wtargnęła w kraje kozackie. W Czehryniu zapanowało zupełne rozprzężenie. Stary hetman dogorywał. Pułkownicy kozaccy, wysłani przeciw Tatarom razem z młodym hetmanem Jurasiem Chmielniczenkiem, kłócili się ze sobą, a nowego hetmana nikt nie słuchał. Lilliencrona niezawsze dobrze oryentował się w tym chaosie i nieładzie, w nieustannem krzyżowaniu się obłudy, intryg i zawiści. Wierzył, że nie mógł nic zrobić dlatego tylko, że trafił na czas „zamętu i nieładu.“ [3]) Gdy Lilliecrona nacierał o stanowczą odpowiedź, uskarżając się na przewlekanie sprawy, Wyhowski odpowiadał mu, że: „życzeń szwedzkich nie mogą tak rychło spełnić, jakby tego sami pragnęli, bo przedewszystkiem hetman, z powodu słabości, nie może powziąć stanowczej decyzyi; że zostali nieoczekiwanie wciągnięci w wojnę, ci zatem, których podpisy przy zawarciu sojuszu byłyby potrzebne, nie są obecni; w końcu muszą jeszcze porozumieć się z księciem siedmiogrodzkim, co do przyszłych granic.“ [4]) Na dalsze nalegania posła, odpowiedziano już mu prawie kategorycznie: „Hetman i wojsko zaporoskie nie sprzeciwiają się wcale, aby z całą chęcią podtrzymywać Szwedów, lecz że oni nie obowiązywali się i nie mogą zrywać przyjaźni z tymi, komu przyjaźń przysięgli i z którymi dobre stosunki zachować muszą, osobliwie teraz, gdy ze wszech stron grozi im niebezpieczeństwo.“ [5])

---

[1]) Arch. J. Z. R. t. III, cz. VI, str. 297.
[2]) Ibid. 300.
[3]) Arch. J. Z. R. t. III, cz. VI, str. 314.
[4]) Ibid. 315.
[5]) Ibid. 315.

Chodziło tu o Moskwę. Szwedzi źle sobie zdawali sprawę ze stosunków kozackich. Kozacy mówili o „przyjaźni“, gdy w Perejasławiu zawarte zostało nie przymierze z Moskwą, lecz przyjęto kozaczyznę „w poddaństwo“. Słusznie jednak domyślał się Lilliencrona, że główną sprężyną, poruszającą polityką kozacką, był Wyhowski, który umyślnie wstrzymywał wszystkie sprawy wobec zbliżającej się śmierci hetmana. Chciał mieć ręce wolne. Oliveberg, który już był zdołał zrzucić w tym czasie sukienkę zakonną, prowadził, jak się wyraził poseł, „podwójną grę“. Już go zdołała, zdaje się, kupić Moskwa. Sprawa szwedzka była przegrana, wyprawa Rakoczego po koronę do Rzpltej, czyli, jak w Polsce mówiono, „po czosnek“, zakończyła się sromotnie, Antoni Zdanowicz został odwołany, chociaż Chmielnicki nie przyznawał się do tego wobec posła szwedzkiego i powrót jego uważał za samowolny i zagroził mu śmiercią.

W takiej sytuacyi Lilliecrona doczekał się zgonu Chmielnickiego, a nazajutrz już po śmierci hetmana pisał, że „Kanclerza (Wyhowskiego) podejrzewają jakoby miał zamiar powstać przeciw nowemu hetmanowi i przejść na stronę wrogów (Polaków).[1])

Gdy tedy z jednej strony poseł szwedzki robił wysiłki, aby Chmielnickiego pozyskać dla sprawy Karola Gustawa, w Czehryniu siedział Buturlin i nietylko paraliżował całą politykę kozacką, usiłując wszystkich przekupić lub przejednać, ale skrycie także wybadać nastrój kozaczyzny i otoczenia hetmana. Zanim jeszcze do Czehrynia dojechał, zaniepokoił go mocno Ostafi Wyhowski, ojciec Jana, opowiadając o tem, jakie wrażenie wywołała wiadomość o zawarciu rozejmu z Rzpltą przez Aleksieja Michajłowicza. Posłowie kozaccy padli do nóg hetmana z płaczem, wołając: „Zginęło wojsko zaporoskie, a pomocy nie mamy znikąd, nie mamy gdzie głowy przytulić.“ Chmielnicki musiał głęboko odczuć gorycz tej wymówki, bo sam w znacznej mierze doprowadził do tego: on wzmocnił Moskwę, on ją pchnął na Polskę w chęci rozbicia państwa, a oto widział, że zwyciężyła inna polityka. Hetman, usłyszawszy to, „rzucił się, jak szalony, który rozum postradał. Nie smućcie się tem—wołał—ja wiem, co robić trzeba, trzeba oderwać się od cara, a pójdziemy tam, gdzie Bóg wszechmogący być nam przeznaczył—nietylko do chrześcijańskiego pana, lecz nawet do busurmanów.“ [2])

---

[1]) Arch. J. Z. R. t. III, cz. VI, str. 321.

[2]) Archiw Južnoj i Zapadnoj Rossii. T. III, 556. Petersburg 1863.

Wogóle usposobienie w wojsku zaporoskiem przeciw Moskwie było bardzo nieprzychylne. Buturlin musiał robić niezwykłe wysiłki, aby najprzód usposobić życzliwie całą rodzinę Wyhowskiego, a następnie Chmielnickiego przekonać, jeżeli nie argumentami, to strachem. A spraw do wyjaśnienia było dużo i należało wyjaśnić stosunek do Rakoczego, do Szwedów, uregulować sprawę ulokowania stałego wojska w Kijowie, a w końcu pozostawała jeszcze najważniejsza i najdrażliwsza: wiele jest prawdy w pogłoskach o oderwaniu się Chmielnickiego. Buturlin przypomniał mu chwile ciężkie, kiedy musiał walczyć z Tatarami i Polakami, wówczas kłaniał się, prosił o pomoc, był bardzo niziutki (dobrie nizok) i z przyjaźnią się oświadczał." „Można—powiadał mu poseł—suknie zmieniać, ale słowa—nie.[1]) A przecież i dzisiaj car trzyma ciebie w swojem miłowaniu, porzuć tedy nieprzystojne i wysokie zamiary."

Chmielnicki usprawiedliwiał się bardzo pokornie, ale wykrętnie i nieprawdziwie. „Zapewniam was — mówił — że ani ja, ani też nikt z mieszkańców Małej Rusi od mocnej ręki Carskiego Wieliczestwa nie odstępuje, prosimy przeto, abyście naszą prośbę modlitewną Carowi donieśli, aby Carskie Wieliczestwo nie wierzył tym, którzy nas przed nim ogadali. A że my sobie Szweda i Rakoczego przybrali do pomocy, nie zawiadomiwszy Carskiego Wieliczestwa, uczyniliśmy to ze strachu, gdyż Lachowie, z wielką fantazyą, pod klątwą opowiadali, że Jego Wieliczestwo nazad nas do Lachów obrócił i dlatego także, ażeby Lachowie nie połączyli się ze Szwedem i Rakoczym na zgubę naszą. Ale wcale nie życzyliśmy i nie życzymy, ażeby z nich jeden lub drugi władał koroną polską. Przeciwnie, pragniemy ażeby Car ze Szwedem pogodził się i sądzimy, że Szwedzi do zgody przystąpią, a gdyby tego nie chcieli, postąpimy inaczej. A teraz starać się musimy o to, ażeby sprawę, rozpoczętą z Lachami, do końca doprowadzić, ażeby z dwóch stron — od Carskiego Wieliczestwa i od króla szwedzkiego wojsko ich biło i do końca wykorzeniło, nie pozwalając łączyć się z innemi państwami."[2])

Takie zaklęcia mogły trochę uspokoić Buturlina, gdyby nie to, że właśnie był przyjechał poseł króla szwedzkiego, Lilliecrona. „Niemczyn" — jak go Buturlin nazywa — bywał u hetmana, z Wyhowskim rozmawiał po łacinie, „a tłómacza nie było" i nie można się było dowiedzieć o celu właściwym jego przyjazdu.

---

[1]) Archiw J. Z. R. t. III, str. 570.

[2]) Arch. J. Z. R. t. III, str. 575.

Poselstwo moskiewskie skrzyżowało się w drodze z poselstwem Bohdana Chmielnickiego do Moskwy. Jechał właśnie Paweł Tetera, który miał słodkobrzmiącemi słowy uspokoić bojarów i cara. Poselstwo to było niezbędne. Nagromadziło się dużo palnego materyału z obu stron, dużo wzajemnego niezadowolenia i żalów. Trzeba było to wszystko wyjaśnić, a raczej zagmatwać jeszcze więcej. A najważniejszą sprawą była obrona przed zarzutem oderwania się od Moskwy. Że Chmielnicki do tego dążył, to nie ulega już teraz żadnej wątpliwości: dowodzą tego stosunki ze Szwedami, z Rakoczym, wreszcie z Rzpltą polską. Zaprzeczał im wszakże, ukrywał je przed Moskwą, a na krok stanowczy zdecydować się nie mógł. Czy go już była opanowała niemoc starcza, czy czekał jakiejś stanowczej chwili, ażeby miecz swój na szali położyć — trudno dziś orzec.

Przed Moskwą wykręcał się, zaprzeczał szerzonym pogłoskom, tłómaczył się przez Teterę, że lękał się, ażeby car nie odstąpił Lachom Ukrainy, a z chwilą, kiedy dowiedział się, że to nieprawda, że car pragnie „kozaków zatrzymać w swojem miłościwem żałowaniu na wieki, oddaje się ze wszystkiem na wolę Carskiego Wieliczestwa.“ Brzmiało to wszystko bardzo wiernopoddańczo, ale w tym samym czasie, kiedy z Lilliecrona prowadzono układy, siedział już Bieniewski w Czehryniu, przyjechał, ażeby wszystko „ukończyć, spisać, podpisać;“ do życzenia króla, aby Antona Zdanowicza cofnął, Chmielnicki zastosował się, a przedtem już była bardzo gorąca korespondencya między senatorami, kanclerzem Korycińskim, królem wreszcie a Chmielnickim. W jaki sposób to usprawiedliwić?

Hetman chwycił się tego samego sposobu, który pomyślnie stosował Iwan Mazepa w polityce swojej z Piotrem W., gdy prowadził układy z Leszczyńskim i Szwedami za pośrednictwem Dolskiej. Odkrywał tylko pół prawdy, ażeby całą zakryć.

Tetera był wtajemniczony w stosunki z Bieniewskim, był pośrednikiem i łącznikiem niejako, mimo to Chmielnicki jemu powierzył wyjaśnienie tej drażliwej sprawy. „Zawiadamiam — mówił Tetera — o tem, że król przysyłał do hetmana gońca z zapytaniem: czy przyjmie Chmielnicki królewskiego posła, czy nie? A posłem będzie Bieniewski. A jeżeli on tego posła nie przyjmie, to król już więcej nikogo do niego nie poszle. Hetman tego gońca odprawił, a Bieniewskiemu przyjechać pozwolił i czeka na niego.“ Najbardziej wszakże charakterystycznymi były motywy, którymi przyjęcie poselstwa Bieniewskiego usprawiedliwiano. „A od gońca, który przybycie posła poprzedził, wiadomość była

taka, że król posyła Bieniewskiego do hetmana z tem, że jeśli hetman i Carskie Wieliczestwo nie uczynią pokoju z królem, to Polacy z konieczności chcą się poddać sułtanowi, a jeśli istotnie zmuszeni będą poddać się Turczynowi, wówczas, mimo chęci, z hetmanem i wojskiem zaporoskiem walczyć będą zawsze. Z tego powodu hetman kazał prosić Jego Wieliczestwo, aby car z kimkolwiek pokój zawarł.“ [1])

Wątpić należy, czy bojarowie z równą naiwnością przyjęli do wiadomości powyższe motywy, tak, jak one sformułowane zostały przez posłów kozackich.

W chwili wszakże, gdy poselstwo kozackie stawało przed bojarami „do odpowiedzi,“ naczelny wódz kozacki już nie żył. Otworzyło się szerokie pole do waśni i intryg kozackich. Wyhowski objął władzę, po krótkich umizgach do Moskwy, zerwał z nią i z tym samym Bieniewskim, z którym miał traktować Chmielnicki, zawarł ugodę Hadziacką. Ale te wypadki już do opowiadania naszego nie należą.

*

* *

Czytelnik, który myślą śledził szamotanie się polityczne Chmielnickiego, przerzucanie się kolejne do Szwedów, Rakoczego, wreszcie do Rzpltej, balansowanie między Moskwą a szukaniem przyjaciół na północy i południu, opuszczanie jednych lub drugich i nawracanie do Rzpltej — nie może nie dziwić się brakowi konsekwencyi, stałości, planu i celu w tem gorączkowem rzucaniu się. Mimo najlepszej chęci, niepodobna dopatrzyć się w jego polityce żadnej idei kierowniczej. Jeżeli ze Szwedami układał się o łupy na Rzpltej, tworząc niemożliwe kombinacye bez uwzględnienia prawdopodobieństwa ich wykonania, to z równą łatwością rozstawał się z niemi i bojarom carskim pokornie przyrzekał, że „chce pozostać w wiecznem poddaństwie Jego Carskiego Wieliczestwa.“ Całe postępowanie jego w kierunku szukania związków i przyjaźni sąsiedzkich można nazwać nie polityką rozumu, rozwagi, umiarkowania, lecz raczej polityką impulsów, pozbawioną zupełnie da-

[1]) Archiw J. Z. R. T. XI, str. 722, 723.

ru oryentowania się w zmieniających się szybko wypadkach i okolicznościach. Gdy Szwedzi najechali Polskę, rzucił się ku nim bez porozumienia się z Moskwą i począł się dzielić na papierze obcem państwem tak samo, jak Tatarzy dzielili się zdobyczą i jeńcami; gdy książątko siedmiogrodzkie zamarzyło o koronie polskiej, połączył się z niem z taką samą szybkością, jak ze Szwedami, nie spostrzegłszy różnicy między pychą a siłą. Tak samo, jak się łączył łatwo, łatwo go opuścił. Gdy przyszła do skutku Komisya Wileńska, rozgoryczony na Moskwę, posłał Kapustę z pokornemi słowy do Padyszacha i gdyby tylko Turcya okazała mu tyle łatwowierności i lekkomyślności, co Rakoczy i Karol Gustaw— byłby i z nią jeszcze traktował o podział Rzpltej polskiej.

Niestałość, niepewność, chwiejność, brak rozmysłu i krytycznego oryentowania się w sytuacyi — oto ujemne cechy polityki Chmielnickiego. Był groźnym, groza kierowała ku niemu niepryjaciół Polski, a on nie umiał ani siły swojej położyć na szali, ani sformułować żądań jasnych i stanowczych. Jak na początku walki, rozpoczętej z Rzpltą, mówił głucho o „krzywdach“ i „przywilejach“ kozaczyzny, tak teraz mówił o „naszym kraju,“ rozciągając granice jego prawie fantastycznie. Moskwy obawiał się, zrywać z nią nie chciał, ale poza jej plecami prowadził ze Szwedami układy, jawnie zdążające do oderwania się. Nareszcie, gdy szala szczęścia przechyliła się stanowczo na stronę Rzpltej, nawiązał z nią ponownie stosunki, które legły później w osnowę umowy Hadziackiej.

Kiedy był prawdomównym, kiedy był szczerym? Sądzę, że na te pytania sam hetman nie byłby w stanie dać odpowiedzi.

W pertraktacyach z każdą stroną zachowywał nadzwyczajną ostrożność. W korespondencyi swojej posługiwał się przeważnie ogólnikami, mówiąc o przyjaźni, o potrzebie łączenia się, o następstwach, lecz żądania swoje wypowiadał półsłówkami, pozostawiając przez to posłom swoim zbyt wiele — na własną odpowiedzialność. Polacy, Szwedzi, Rakoczy stawiali swoje żądania w instrukcyach, Chmielnicki — nigdy. Trzymał się metody dyplomatycznej tatarskiej, która po ogólnikowych frazesach brzmiała najczęściej: „a resztę z ust posła naszego dowiecie się.“ Wybór ludzi, którymi się w swoich dyplomatycznych stosunkach posługiwał, bywał zawsze najgorzej zrobiony: byli to sprytni pochlebcy każdej stronie, jak Tafraly, przerobiony później na Petrowa lub Piotrowicza, oszuści i wywłoki, jak Daniel de Oliveberg, który służył zawsze — więcej dającemu, albo wreszcie przybliżeni jego, na których wierność jedynie mógł liczyć — jak Ławryn Kapusta.

Słowem, zastępców, obrońców swoich, a często doradców, wyszukiwał sobie nie wśród najlepszych i najrozumniejszych, niezbyt dobrze zdając sobie sprawę między tem, co jest polityką, a co zwykłem, złośliwem lub interesownem podjudzaniem. Cały stosunek ze Szwecyą, który nic, żadnej najmniejszej korzyści nie przyniósł kozaczyźnie, nawiązany był za pośrednictwem Radziejowskiego, ambitnego zdrajcy podwakroć — bo zdradził ojczyznę swoją i Szwedów w końcu.

Jeżeli przeto zwycięstwa Chmielnickiego nad Polakami, głośne i straszne w następstwach, ale bez dowodów zdolności strategicznych, zjednały imieniu temu szeroką popularność i uczyniły go poniekąd narzędziem polityki sąsiadów, dybiących na całość Rzpltej, to sama polityka kozacka okazała się niedołężną, nieprzewidującą, pozbawioną jasnych celów, rozwagi, a w momentach krytycznych—stanowczości. Nie przyniosła też ona nietylko żadnych korzyści ani kozaczyźnie, jako warstwie, tworzącej się na wzór szlachty polskiej, ani narodowi, który można było dźwignąć z pieluch nicości cywilizacyjnej. Przeciwnie, następstwa jej były fatalne: kozaczyzna rozbiła się o mur obcego państwa, a ideały narodowe pozostały na papierze ugody Hadziackiej.

Fr. Rawita-Gawroński.

Ruch literacki we Francyi.

(DRAMAT.)

Przez sceny paryskie przeszła w ciągu ubiegłego roku teatralnego stosunkowo bardzo znaczna liczba produkcyj nowych. Przeważnie jednak są to prace mało oryginalne i pod każdym względem nie przechodzące ponad średni poziom, a nawet nie dosięgające go często. Ale od tej reguły są wyjątki — jedne dla swej wartości rzeczywistej, inne dla rozgłosu, który bez, względu na ich wartość, przyniósł im sławę taką, że pominąć ich niepodobna. Do tych ostatnich należy zwłaszcza słynny „Chantecler“ Edmunda *Rostand*, o którym niema chyba na świecie tak zasklepionego zakątka, o ile posiada choćby jeden dziennik, by doń nie doszły nadzwyczajne wieści, trąbione od lat kilku przez prasę wszystkich języków. Już nieboszczyk Coquelin, któremu przeznaczoną była rola główna, w niecierpliwem na nią oczekiwaniu, bo nad tem dziełem pracował autor od lat siedmiu, budził zaciekawienie i wyrabiał mu przedwczesną opinię arcydzieła, deklamując z właściwym swej naturze entuzyazmem na zebraniach prywatnych znane mu już wówczas ustępy, zwłaszcza „hymn do słońca.“ Wreszcie, poruszona wskutek śmierci Coquelin'a kwestya, z której zrobiono kwestyę stanu, kto grać będzie rolę główną „Chanteclera,“ dopełniła miary. Odtąd wiadomo było wszystkim, że „Chantecler“ jest dziełem tak niezwykłej wagi, że sprawa obsady ról, która zwykle załatwia się pomiędzy dyrekcyą teatru i autorem, musi być rozstrzyganą aż w ministeryach.

To też rozczarowanie było tem większe, gdy się okazało, że owe tak zapowiadane i tak oczekiwane arcydzieło jest poprostu dziełem chybionem, że jest równie nudne i niedorzeczne, jak nadęte, pretensyonalne i sztuczne. Przy jakichś tendencyach sym-

bolistycznych i satyrycznych, zresztą niezrozumiałych i niedostatecznie wskazanych, jest to utwór szczególnie płytki, którego poezya i „artyzm“ wypowiada się w nieznośnie długich tyradach, których sens, jeżeli się go, przy dobrej woli, w nich znajdzie, uchwycić można dopiero w ostatniem słowie, po całej kaskadzie drażniąco sztucznych kalamburów, porównań i przenośni, złożonych w wątpliwej wartości rymy. Jeżeli wogóle cała twórczość Rostanda składa się z takiego wirtuozowstwa błyskotliwego, to nowej jego sztuce brak tego pewnego tchnienia sympatycznego, tego entuzyazmu, taniego wprawdzie, ale lotnego i łatwo udzielającego się masie przeciętnej publiczności, który w swoim czasie wywołał powodzenie „Cyrana“ i o wiele słabszego „Aiglon'a.“ Pozbawiony tych jedynych zalet, zagmatwany w swym niejasnym i bezcelowym symbolizmie, „Chantecler“ nie mógł dać widzom innego wrażenia nad znudzenie, zmęczenie i niesmak. Po uprzednich aplauzach, po zachwytach przygotowanych zawczasu, nastąpiły krytyki ostre i niekiedy nawet z pewną domieszką tego jadu, który autor, jakby wiedziony przeczuciem, piętnuje u gadzin i nocnych ptaków, spiskujących pod osłoną mroku przeciw wszystkiemu, co jasne, piękne i wzniosłe, uosobionemu w postaci ulubieńca jutrzenki, koguta Chanteclera. Jak poeta podnosi serca śmiertelnych do ideału, który dla nich stwarza, i szlachetnym jego blaskiem rozjaśnia ich horyzonty, tak Chantecler swem donośnem pieniem zapowiada zorzę i budzi słońce, którego promienie dają zwycięstwo pięknu i dobru nad ukrywającemi się w ciemnościach nocy: złem, zbrodnią, zdradą i szpetotą. Budzić słońce jest jego posłannictwem, jak dla poety stwarzać ideał. Wszakże jeden i drugi mają chwile zwątpienia: Chantecler—czy słońce nie wzeszłoby bez jego pobudki?, poeta—czy ideał, który on tworzy, jest naprawdę ideałem? I to ukryte zwątpienie, które odtrącają, którego dopuścić nie chcą, jest chmurą ich życia, na szczęście znikającą zawsze, gdy w tryumfalnem upojeniu posłannictwa swego dopełniają. Ta wiara w szczytność swego zadania, udzielająca się całemu kurnikowi, nad którym Chantecler panuje z władzą wspaniałomyślnego tyrana, daje mu powagę i moc wielką w jego państwie, gdzie nie ma sobie równych.

Ale wyższość ta właśnie wzbudza zarazem zazdrość i nienawiść tych, którzy przenoszą cień nad światło, a więc sów, puszczyków, kretów i t. p. Ci naturalni wrogowie światłości znajdują wspólnika i szpiega w szpaku, który, wygwizdując swe piosenki w klatce, zawieszonej nad podwórkiem zagrody, sili się na dowcip, improwizuje nieustannie kalambury i przypina złośliwe łatki

wszystkim mieszkańcom kurnika, szczególniej zaś lubi ośmieszać Chanteclera podczas jego nieobecności. Chantecler wszakże, ufny w swą wyższość rzeczywistą, nic sobie nie robi z jego intryg, pomimo ostrzeżeń poczciwego psa podwórzowego, który nienawidzi szpaka i jego drwiącego sprytu, pokrywającego pustkę myśli, brak serca i nizką zazdrość. Tymczasem ptaki nocne wspólnie ze szpakiem układają spisek na życie władcy kurników, w którym to celu namawiają pewnego koguta z rasy walczących, by na przyjęciu u perliczki wyzwał go i zabił. Zamach jednak się nie udaje. Ale na tem zebraniu Chantecler poznaje zbłąkaną w ucieczce przed strzelcami kurę bażanta i, zwabiony jej wdziękami, idzie za nią w las, gdzie ta, wydobywszy zeń tajemnicę jego śpiewu i zazdrosna o zorzę, dla której chce on ją opuścić, zabawia go podstępnie aż do chwili, gdy wzeszło słońce, wezwania jego nie czekając. Złudzenia Chanteclera rozwiały się, pogrążając go w zniechęcenie i rozpacz. Ale to trwa krótko, bo, chociaż upokorzony, zmniejszony we własnem przekonaniu, pociesza się tem, że jeżeli słońca budzić nie będzie, to pozostaje mu jeszcze skromniejsze, lecz zawsze piękne zadanie zapowiadać jego przybycie i cześć jego śpiewać, pełniąc zarazem rządy w kurniku, do którego powraca. Taką jest w krótkich słowach treść tej szczególnej sztuki, w której zwierzęta, zastępujące ludzi, nie mają ściśle ani charakteru ludzkiego, jak w bajkach, ani rzeczywistych, właściwych ich rodzajowi cech zwierzęcych — są to jakieś istoty nieokreślone, zrodzone w zbłąkanej fantazyi autora, wygłaszające w nieznośnie sztucznej formie banalne w gruncie i pełne nudnej pedanteryi tyrady, o symbolizmie, który zdaje się spoczywać w pogmatwaniu najniestosowniejszych porównań i najnienaturalniejszej gry słów, szumnie brzmiących, ale pozbawionych sensu.

Dodajmy do tego cudaczne i niezgrabne postacie aktorów, zamienionych z drobiazgowym realizmem na ptaki, psa (podobniejszego do pawiana), kota, króliki, świnki morskie, ropuchy i t. p., poruszające się pośród sprzętów podwórzowych, w odpowiedniej skali powiększonych, a będziemy mieli obraz tego dziwacznego, a nadewszystko zabójczo nudnego przedstawienia, które rozpoczyna brzmiący równie fałszywie i niecierpliwiąco nienaturalny prolog, wypowiedziany przez dyrektora przed zapuszczoną kurtyną i objaśniający widzów, że scenę od sali dzielić będzie „niewidzialna zasłona z powiększającego szkła.“

A jednak taką jest siła reklamy, że, pomimo iż nikt już złudzeń co do tego dzieła mieć nie może, sala teatru Porte Saint-Martin, który je wystawia od lutego, wypełnia się dotąd codzien-

nie, bo przecież Chanteclera, o którym tyle pisano i mówiono, „nie można nie widzieć.“ I w ten sposób fiasco moralne znajduje odszkodowanie w powodzeniu materyalnem, któreby nazwać można „nagrodą pocieszenia.“

Zwłaszcza od swej zeszłorocznej sztuki „Le Scandale,“ *Henryk Bataille* zasmakował widać szczególnie w skandalu. Ostatni jego utwór dramatyczny, grany tej zimy w teatrze Gymnase, miałby nie mniej prawa do takiego tytułu, który wszakże, tym razem, spodobało się autorowi zastąpić innym, zaczerpniętym z przypowieści ewangelicznych: „La Vierge folle.“ Jest to sztuka w czterech aktach, której treść, osnuta na t. zw. „fait divers,“ czyli wypadku, notowanym przez dzienniki w kronice skandalicznej, rozwija się, jak następuje: Słynny adwokat Armaury, przyjmowany na stopie przyjacielskiej w domu księstwa de Charence, człowiek dojrzały i żonaty, uwodzi ich córkę, Dyanę, panienkę osiemnastoletnią. Rzecz się wydaje wskutek listu, który wpadł w ręce rodziców panny, napisanego w słowach nie pozostawiających wątpliwości. Zrozpaczeni takiem odkryciem księstwo badają córkę, która, po niedługim oporze, przyznaje się do winy, ale czyni to w sposób zuchwały i wyzywający, jakgdyby zadawano jej gwałt, zmuszając ją do spowiadania się z czynności i uczuć, do niej tylko należących i wchodzących w zakres jej praw osobistych. Zarazem zdaje się ona nie zdawać sobie zupełnie sprawy z doniosłości swego przestępstwa, okazując, prócz gniewu, z powodu prześladowania i przymusu ze strony rodziców, którzy postanowili, za radą spowiednika księżnej, księdza Roux, wysłać ją zagranicę do klasztoru, zdziwienie z ich widocznie niezrozumiałego dla niej strapienia, troski i oburzenia. Pomimo danej im obietnicy, że woli ich nadal opierać się nie będzie, Dyana korzysta z pierwszej sposobności, by uciec do kochanka, który ją przyjmuje w apartamencie, przeznaczonym na biuro i oddalonym od jego prywatnego mieszkania. Zacny adwokat, dowiedziawszy się, co ją sprowadza, czuje się nieco zafrasowanym i o wiele mniej pewnym siebie, niż ona, która bez wahania namawia go do wspólnej ucieczki, bez względu zarówno na skandal, jak i na obowiązki. Do jego skrupułów i wątpliwości nie tyle przyczyniają się zresztą te ostatnie, ile widoki utraty zajmowanego przezeń stanowiska przy małej pewności, jaką przedstawia dla człowieka doświadczonego i przeżytego stałość uczuć tak młodziutkiej, zaledwie w życie wstępującej dziewczynki i to jeszcze w tak anormalnych warunkach. Zaślepienie namiętności pozostawia mu bądź co bądź tyle jasnowidzenia, by rozumieć, że może on być

dla niej tylko pierwszym etapem, który ona, ulegając tym samym prawom natury, które ją tu przywiodły, prędzej czy później i raczej prędzej niż później opuścić musi. To wszystko skłania go, by ją namawiać, wprawdzie dość miękko, do powrotu do rodziców. Ale jej nalegania, jej pewność i zdecydowanie zwyciężają jego wahania i obawy. Ucieczka ich jest postanowiona, gdy niespodzianie zjawia się żona. Armaury zaledwie ma czas ukryć kochankę w sąsiednim pokoju, ale jego żona, już uprzedzona o wszystkiem przez księcia de Charence, spostrzegła ją, i korzystając z chwili odwrócenia uwagi męża, zamknęła ją na klucz i klucz zabrała. Poczem, oświadczywszy mu, że wie o wszystkiem, błaga go najpierw w imię obowiązku i jej uczuć dla niego, a gdy to nie pomaga, w imię jego własnego szczęścia, jego stanowiska i interesu, które dla tego kaprysu naraża na katastrofę— jednem słowem, przemawia do jego egoizmu, czem niewątpliwie trafiłaby lepiej do przekonania męża, gdyby namiętność pozostawiła mu jeszcze władzę nad sobą. Wśród tego anonsuje się Gaston, brat Dyany. Po chwili zakłopotania obojga małżonków, pani Armaury wypycha męża za drzwi i sama przyjmuje młodego człowieka, który, otrzymawszy list anonimowy z wiadomością o stosunku jego siostry do Armaury'ego, przychodzi zrobić z nim obrachunek. Zdziwiony obecnością jego żony i sposobem, w jaki ta go przyjmuje, Gaston wkrótce przychodzi do przekonania, że go wprowadzono w błąd. Wtedy pani Armaury przywołuje męża z powrotem i obmyśla zręczną kombinacyę, wskutek której musi on albo się zdradzić, albo odjechać natychmiast z Gastonem, ale przytem oddaje mu klucz, aby wypuścił z zamknięcia Dyanę, i pozbawia się przez to jedynego atuta, który czynił ją panią położenia.

To też, gdy za chwilę, słysząc sygnał automobilu, biegnie do okna i widzi oboje, oddalających się z całą szybkością motoru, nie pozostaje jej nic więcej, jak tylko wydać z siebie rozpaczliwy okrzyk: „ach, nikczemnik!“, którym zdradza całą prawdę przed Gastonem.

Kochankowie schronili się w Londynie, ale czujność opuszczonej żony i księstwa de Charence odnalazła ich kryjówkę.

Wysłaniec tych ostatnich, ksiądz Roux, stara się najpierw nakłonić Armauryego, by oddał córkę rodzicom, przemawiając do jego poczucia obowiązku i prostej uczciwości, bo Gastonowi, który go wyzwał w imię honoru, odmówił pojedynku, wreszcie próbuje zbudzić jego sumienie i uczucia ludzkie, malując mu rozpacz

rodziców i hańbę, jaką cisnął na uczciwą rodzinę. Na to jednak Armaury występuje przeciw przestarzałym przesądom moralności tradycyjnej i religijnej, która tłumi życie i sprzeciwia się prawom natury. Są to według niego pojęcia przeszłości, skazane na zagładę. Kto się przy nich upiera, ten musi być zwyciężonym. Jeżeli więc rodzice Dyany cierpią z powodu tego, co się stało, to niechże to samym sobie przypiszą. Zresztą ich cierpienie nie zasługuje na litość, bo jest egoistyczne, pochodzi z obrażonej pychy, dla której on nie myśli poświęcać szczęścia dwojga serc złączonych namiętną miłością. Obowiązkiem jego nie jest, jak twierdzi ksiądz, zwrócić rodzicom ich córkę, lecz przeciwnie, musi ją bronić przeciw otoczeniu, które chce skrępować jej wolne porywy, uwięzić ją w formach, przeciw którym natura jej się wzdryga i do których powrót jest już dla niej zresztą niemożliwym. Po tej nieudanej próbie pani Armaury przychodzi raz jeszcze zaklinać męża, by powrócił do niej, która dała mu tyle dowodów bezgranicznego przywiązania, której życie jest złamane, odkąd ją opuścił. Gdy jednak pokonać jego oporu nie może, zadowalnia się obietnicą, że jeżeli sam on kiedyś znajdzie się opuszczony i nieszczęśliwy, jak ona dzisiaj, to powróci do niej. Po otrzymaniu tej obietnicy czuje się niemal zadowoloną, prawie szczęśliwą. Żale księstwa de Charance już jej nie obchodzą, gdy uzyskała dla siebie wszystko, co uzyskać mogła w tych warunkach. Teraz będzie tylko czuwała nad nowem szczęściem męża i nad jego bezpieczeństwem, bo Gaston postanowił go zabić. Pieczołowitość jej posuwa się aż do przerwania wśród nocy sam na sam kochanków, by ostrzedz ich o obecności Gastona w hotelu, czem zresztą ułatwia mu zadanie, zostawiwszy niebacznie drzwi uchylone, przez które ten wchodzi z rewolwerem w ręku. Ale znowu zamiast przeciwnika, który się ukrywa, ma przed sobą kobietę, jego żonę. Gaston lży poprzez drzwi tego szczególnego bohatera, który tryumfował przed chwilą przed księdzem, uzbrojonym tylko w argumenty moralne. Wreszcie ukazuje się Armaury i przybiera ton wyniosły względem brata Dyany. Gaston raz jeszcze piętnując rzuconą mu w oczy obelgą jego nikczemność, wymierza doń rewolwer, ale w tejże chwili obie, obecne przy tej scenie, rywalki: żona i kochanka, zasłaniają go, rzucając mu się jednocześnie na szyję. Gaston opuszcza broń i kładzie ją na biurku na żądanie Dyany, która pod warunkiem, że zaniecha zemsty, obiecuje rozstać się z kochankiem, poczem, uzyskawszy słowo brata w tym względzie, chwyta niespodzianie za rowolwer i w oczach obecnych zabija się.

Co właściwie mamy sądzić o tej wstrętnej historyi, którą autor ubrał w formy dramatyczne? Czego on sam w niej szukał? Co chciał przez nią powiedzieć, pokazać lub dać odczuć? Czy jest to sztuka z ideą i tendencyą, czy tylko zwykła tragedya namiętności? Znajdujemy w niej i jedno i drugie, ale to wszystko jest niejasne, niedopowiedziane. Zapewne, namiętność zdaje się tu być czynnikiem głównym, ale, gdy się bliżej przypatrzymy bohaterom, przekonamy się, że, pominąwszy małe tego prawdopodobieństwo z powodu niestosowności ich warunków fizycznych i moralnych, nie daje się ona prawie odczuć w ich wzajemnym stosunku. Charaktery ich również nie są dostatecznie ukazane, nie mówiąc już o tem, że jeśli mają przedstawiać pewne sfery społeczne i towarzyskie, to są to postacie albo rozmyślnie sfałszowane, albo conajmniej wyjątkowe. Dyana, którą autor podaje za córkę rodu arystokratycznego, ma wszelkie cechy gryzetki, aspirującej do stanowiska w półświatku, dla której eskapada z podstarzałym birbantem nie przedstawia żadnego ryzyka, przeciwnie— jest interesem i rozrywką, w której ani uczucie, ani nawet zmysły nie biorą wielkiego udziału. Takiem jest całe jej zachowanie się, jej mowa, znamionujące pewną już, zresztą nader banalną wytrawność w sprawach erotycznych, taką też zdaje się być jej umysłowość i wychowanie moralne, co wszystko razem wskazuje, w jakiej to kategoryi szukał autor wzoru do swej księżniczki.

Adwokat Armaury także niczem nie objawia głębiej tej namiętności, która każe mu nie cofnąć się przed skandalem, zapomnieć o swych najpierwszych obowiązkach i wyrzec się swego stanowiska. Sądząc pospolicie, byłby to zwykły nikczemnik, równie nie szanujący honoru własnego, jak i godności innych, ale autor, ukazując go w tak smutnem świetle, podaje go jednocześnie za pioniera moralności niezależnej, której prawem jest instynkt; — idei nowych, znaczących postęp ludzkości, zdążającej do uwolnienia się od starych przesądów kastowych, moralności sztucznej i fałszywej, która tamowała dotąd jej swobodny rozwój. A więc mamy tu konflikt ideowy dwóch przeciwnych sobie koncepcyj życiowych, którego Dyana pada ofiarą, bo, jak to słyszymy w okrzyku Armaury'ego, zabił ją „on sam przez swą miłość, jego żona przez swe poświęcenie, a jej rodzina przez swój egoizm i nienawiść.“ Tych ostatnich zwłaszcza, t. j. rodziców i brata panny, jako wsteczników i przedstawicieli ciasnych poglądów, zdaje się autor szczególniej potępiać zarówno w powyższych słowach, jak i w całym nastroju sztuki, chociaż poza tem wyraźniej tego nie mówi, a nawet, nazywając Dyanę „dzie-

wicą szaloną“ (czyli głupią, wedle przypowieści), do pewnego stopnia sobie zaprzecza.

Taką jest strona erotyczna i ideowa tej sztuki, ale w istocie ta strona nie jest tu właściwie najważniejszą. Jeżeli bowiem Armaury i Dyana są głównymi bohaterami całego zajścia, to postacią najgłębiej odczutą, choć także wyjątkową, chwilami nawet mało prawdopodobną, jest jego żona. To też ona jedna przedstawia tu bliżej określony charakter, jej to uczucia, jej wewnętrzną tragedyę daje dopiero autor lepiej poznać i odczuć. Jeżeli kto, to ona jest tu właśnie ofiarą instynktu, niezależnie od wszelkich koncepcyj ideowych, od wszelkich światowych wymagań i form umówionych, bo ściśle tych samych uczuć doznawaćby mogła, przechodzić przez te same cierpienia, gdyby cała ta historya zdarzyła się wśród jakiejś ludzkości pierwotnej, dzikiej, której zarówno pojęcia moralne, jak i jakiekolwiek formy, wynikające z ustroju społeczeństw cywilizowanych, byłyby nieznane. Raz przyjąwszy jej charakter takim, jaki jej dał autor, uznać w niej musimy istotę rzeczywistą, w swych uczuciach zarazem ogólnoludzką i bardzo nowożytną. Miłość—instynkt czyni ją nieszczęśliwą i upadla ją, zmuszając do przyjęcia warunków dla niej poniżających, a jednocześnie podnosi ją aż do męczeństwa, aż do wyrzeczenia się własnego szczęścia dla istoty umiłowanej, aż do dobrowolnej ofiary z siebie na ołtarzu okrutnego bóstwa, które, z całą bezwzględnością wymagając jej męczarni, daje jej moc nadludzką wytrzymania, opanowania i zamknięcia w sobie siłą woli bólu, by mogła, z jakąś zaostrzoną przytomnością umysłu, myśleć i działać w jedynym celu zapewnienia bezpieczeństwa i spokoju temu, który pogardził nią dla innej, którego mimo to jest i będzie zawsze oddaną ciałem i duszą niewolnicą. U niej namiętność idzie tak daleko, że przenosi swój cel realny, staje się idealną i skutkiem tego zyskuje moc poświęcenia, na które zdobyć się nie mogą ani Dyana, ani Armaury. I tu dopiero odnajdujemy właściwe zalety talentu Henryka Bataille, który, będąc poetą i psychologiem, silniej odczuwa i lepiej umie ukazać tragedye odgrywające się w głębi dusz ludzkich, aniżeli te, które się odbywają w zewnętrznej akcyi życiowej.

Z tem wszystkiem „La Vierge folle“ jest sztuką, przy całych swych przymiotach, wstrętną co do swej osnowy i wydzielających się z niej tendencyj; nierówną i nie dość wyraźną co do ukazania charakterów postaci i bodźca ich działania; fałszywą, jako obraz obyczajów i stosunków; niedostatecznie oryginalną, jako dzieło tego autora, bo znajdujemy w niej do pewnego stop-

nia powtórzenie, zwłaszcza, co się tyczy postaci najgłówniejszej, jaką jest pani Armaury, sztuk jego dawniejszych, jak „La Marche Nuptiale," „La Femme nue" i „Le Scandale." Dla tego też, wbrew pewnej krytyce, dla której wystarcza dostrzedz w jakimś utworze dążności antyspołeczne, by popaść przed nim w nieumiarkowany zachwyt, arcydziełem, za jakie została ogłoszoną, sztuki tej nazwać niepodobna.

Henryk Bataille jest, jak zauważyliśmy powyżej, poetą i to niezmiernie subtelnym; poetą, jeśli można się tak wyrazić, wewnętrznym; poetą stanów ducha zarazem bardzo prostych i bardzo złożonych; wrażeń zwyczajnych, nie wyszukanych, ale głęboko odczutych i nie ukazujących się na zewnątrz. Inaczej, jest on poetą naduczuciowości nowożytnej, wynikłej z przeczulenia, przerafinowania i nadmiernego napięcia systemu nerwowego cywilizowanej ludzkości dzisiejszej, zwłaszcza w jej warstwach intellektualnie najbardziej rozwiniętych. Takim poetą, wibrującym wobec rzeczy i wrażeń codziennych, ale posiadających dla niego i jemu tylko zrozumiały subjektywny urok, okazał się Bataille w swych pierwszych i dotąd charakteryzujących go najlepiej utworach poetyckich: „La Chambre blanche" i „Le Beau voyage." Ten to również rodzaj poezyi przenosi on obecnie na scenę w swym poemacie dramatycznym „Le Songe d'un soir d'amour," napisanym wolnym wierszem, który, zachowując rytm wiersza prawidłowego, nie odbiera przytem mowie jej naturalności, a przeto lepiej nadaje się do tego przeznaczenia. „Le Songe d'un soir d'amoir," którego treść zawiera się w jednym akcie nie ma, mówiąc ściśle, żadnej akcyi. Jest to raczej rodzaj udyalogowanego marzenia na jawie, w którem biorą udział trzy postacie: „On" „Ona" i „Cień." W programie figuruje jeszcze czwarta postać: „Tamten," ale tej rola ogranicza się do wyjścia ze sceny zaraz po jej odsłonięciu. „On" jest poetą, który niedawno doznał wielkiego zawodu sercowego — opuściła go kochanka. „Ona" jest piękną młodą kobietą, pragnącą go pocieszyć. „Tamten," to jej dotychczasowy kochanek, a „Cień"—to wspomnienie niewiernej, którego „On," pragnąc się pozbyć, chce korzystać z ofiarowanej mu nowej miłości i przybywa do rozkosznego buduaru, gdzie „Ona," po wyjściu „Tamtego," przyjmuje go w sposób pełen obietnic, ale popełnia przytem zaraz niezręczność, robiąc alluzye do przedmiotu jego poprzednich afektów. To wystarcza, by wspomnienie, które „On" chciał stłumić, odżyło w nim na nowo z całą potęgą uczucia, jakiem tamta zawładnęła jego sercem. Przeciw temu uczuciu walczy „On" ze wszystkich sił,

szuka zapomnienia w oczach nowej kochanki, w jej miłosnych szeptach, w jej uściskach. Ale napróżno — każde jej słówko, jej pieszczoty, dźwięki walca, któremi stara się go rozmarzyć, zaostrzają tylko to wspomnienie, które wżera mu się w duszę i jako „Cień," przybrawszy postać nieobecnej, staje między nimi, komentuje każdy wyraz ich rozmowy, korzysta z każdego ich gestu, z kwiatów w wazonie, które przed nim rozsypuje, by mu przypomnieć coś z tamtej, coś z wrażeń z nią wspólnie doznanych, coś z jej otoczenia, coś wreszcie z dawnych uniesień, tych niezatartych, tych jedynych, które jej zawdzięczał, a których żadne inne zastąpić nie mogą. I oto „Cień"—wspomnienie niewiernej, ale nadewszystko ukochanej, zwycięża. „On" nie jest w stanie dłużej mu się opierać i za jego podszeptem oświadczywszy „Jej," że jej kochać nie może, uprzedzony przezeń, spiesznie odchodzi.

Wystawienie tego utworu w Komedyi Francuskiej stanowi ciekawą próbę zastosowania do sceny poezyi subjektywnej, której różnica z t. zw. poezyą dramatyczną, czyli dramatem wierszowanym, w nim właśnie daje się bardzo wyraźnie odczuć. Nie można powiedzieć, by się ta próba nie udała. Jednakże niepodobna nie zauważyć, że przy całym tak suggestywnym sentymencie i pomimo ślicznej interpretacyi takich artystów, jak Grand (On), panna Sorel (Ona) i pani Bartet (Cień), poezya, w ten sposób zmateryalizowana, traci wiele ze swej subtelności. Dodajmy jeszcze uwagę, co się tyczy tego dziełka, że ów Cień-wspomnienie, piękny i poetyczny, jako pojęcie oderwane, gdy, uosobiony w postaci żywej kobiety, bierze udział w akcyi scenicznej, w roli, jaką mu tutaj nadał autor, staje się na dłuższe tempo rażącym, a nawet wydaje się dziwnie natrętnym i nieznośnym, tak, iż, pomimo swe znaczenie pierwszorzędne, sprawia ostatecznie wrażenie, że tej akcyi przeszkadza.

Od tych tworów czystej fantazyi, jak „Le Songe d'un soir d'amour," lub fantazyi, przedstawiającej rzeczywistość w świetle tendencyjnie fałszywem, jak „La Vierge folle," przejdziemy teraz do dzieła, malującego stosunki dzisiejsze z całą ścisłością pozytywnej prawdy. Dziełem tem jest sztuka w czterech aktach *Pawła Bourget* p. t. „La Barricade" (teatr Vaudeville), pierwszy utwór tego autora, napisany wyłącznie dla sceny i odznaczający się akcyą mocno związaną i żywą charakterystyką postaci. Treść, osnuta na epizodzie współczesnej walki społecznej, mianowicie tej, jaka wre obecnie pomiędzy pracującym proletaryatem i kapitalizmem, t. j. pomiędzy pracownikami i pracodawcami, zawiera

w sobie idee, które, wypowiadając się w słowach lub ujawniając w czynie, składają się na jedną wypadkową, będącą ich wynikiem i konkluzyą. A jest nią, po stwierdzeniu na przykładzie z życia wziętym, że walka klas istnieje, aksiomat jej konieczności.

Myśl autora i jego intencyę zrozumiano wogóle inaczej, niż to było jego życzeniem, czyli, co wychodzi na jedno, nie zrozumiano go. Stąd też krytyka, podnosząc przeważnie zalety sztuki sceniczne, artystyczne i literackie, porobiła, co się tyczy jej tezy, takie zastrzeżenia i zarzuty, że p. Bourget uznał za stosowne dać do swego utworu komentarz w konferencyi publicznej, wydrukowanej następnie w „Revue Hebdomadaire.“ Ale, by zrozumieć o co idzie, trzeba naprzód zapoznać się z treścią sztuki.

Breschard, bogaty właściciel fabryki mebli, jest dla swych robotników nie tylko chlebodawcą sumiennym, ale, co rzadziej się trafia, przychylnym i troskliwym. Ma on wprawdzie jedną słabość — będąc wdowcem już niemłodym, posiadającym dorosłego syna i córkę zamężną, Breschard uczynił jedną z pracujących u niego robotnic, Ludwikę Mairet, swą kochanką. To, jeżeli ogółu robotników bynajmniej nie razi, co najwyżej wywołując zazdrość towarzyszek Ludwiki, przyczyni się jednak w części do zajść następnych, bo kocha ją również tajemnie najzdolniejszy z pośród młodych robotników, nazwiskiem Langouet, wszystko zawdzięczający Breschardowi, u którego się wychował i cieszący się przyjaźnią jego syna, Filipa, wyznającego, równie jak on, zasady socyalistyczne. Ale Breschard, oceniając uczciwą naturę Ludwiki, przywiązuje się do niej poważnie i postanawia się z nią ożenić, wobec czego ojciec narzeczonej Filipa odmawia oddania mu swej córki. Tymczasem, w chwili bardzo ważnej i pilnej do wykonania roboty terminowej, której niedopełnienie stanowiłoby o ruinie Brescharda, robotnicy zaprzestają pracy i, jak się wkrótce okazuje, na czele zmowy znajduje się ów Langouet, działający jednocześnie pod wpływem swych przekonań i swych skłonności sercowych, które go popychają do zemsty nad szczęśliwym, dzięki swej zamożności, współzawodnikiem. Istotnego powodu do strejku niema, ale, gdy o to idzie, „Związek powszechny pracy,“ którego jest zadaniem podburzać do bezrobocia i wywoływać niesnaski, zawsze pretekst znajdzie. Tym razem ze strony robotników żądano, by płaca niezdolnych i niesumiennych była równą tej, jaką otrzymują najlepsi.

Breschard oburzony nie chciał o niczem słyszeć, jednakże za wstawiennictwem syna obiecał wysłuchać delegacyę robotni-

ków. Ci wszakże zjawili się w towarzystwie delegata rewolucyjnego związku i, oświadczywszy pojedyńczo swemu pracodawcy, że osobiście żadnej do niego pretensyi nie mają i z warunków dotychczasowych są zadowoleni, oznajmili mu jednocześnie, że w kwestyi powrotu do pracy traktować z nim ma prawo w ich imieniu tylko upełnomocniony przez nich ów delegat. Takiego zaś obcego pośrednika, który, jako specyalista w tej materyi, całe nieporozumienie sztucznie wywołał, zachowującego się w dodatku zuchwale i nieprzyzwoicie, Breschard, uważając słusznie jego pośrednictwo co najmniej za niepotrzebne, uznać nie chciał i wyprosił go za drzwi. Strejk przeto zaostrzył się jeszcze, znajdując nowy powód w obrażonej miłości własnej delegata. Ale Breschardowi pozostał wiernym majster Gaucheron, stary rzemieślnik, wybornie znający i miłujący swą sztukę, prawie artysta, a przytem człowiek rozumny i niezależny, nie dający się wodzić za nos wichrzycielom z profesyi, jak jego towarzysze. Gaucheron, który zresztą położył w tem swą ambicyę, obiecał swemu pryncypałowi, że, wbrew zakazom syndykatu, zamówienie zostanie na czas wykonane. W tym celu najął w oddalonej dzielnicy budynek poklasztorny i przy pomocy tajemnie umówionych robotników, pracując nocą, całą robotę wykończył. Ale w chwili właśnie, gdy meble spakowane przygotowano do wysłania, wpadli „uświadomieni pracownicy“ pod wodzą delegata i zniszczyli, co znaleźli pod ręką na podwórzu. Robotnicy, pod groźbą śmierci, opuścili pracę i przystali do nich. Jeden tylko „lis“ — tak nazywa się w ich języku robotnik nie słuchający rozkazów syndykatu, nie poddał się im.

Tym „lisem“ był oczywiście Gaucheron, który, uzbrojony w rewolwer, zamknąwszy się wewnątrz budynku, wraz ze świeżo wykonaną robotą, jego dziełem, oznajmił napastnikom, że ktokolwiek spróbuje wedrzeć się do wnętrza, tego położy trupem.

Na to, delegat poradził podkurzyć „lisa“ przez podpalenie drzwi. Tego ryzykownego przedsięwzięcia podejmuje się Langouet, podczas, gdy delegat, który, podszczuwając drugich, sam zawsze zręcznie unika narażenia, usuwa się na stronę, a za nim reszta napastników. Tymczasem Ludwika Mairet, która kocha Langoueta, o czem ten dotąd nie wiedział, przybywa na czas, by, rzuciwszy mu się w objęcia, do tego czynu nie dopuścić. W tejże chwili zjawia się sam Breschard z policyą i, na widok Ludwiki, staje w bolesnem osłupieniu. Ale to trwa krótko. Zrezygnowany na jej utratę, bo Ludwika już przedtem odmówiła mu

zostania jego żoną, odzyskuje zimną krew i, poczyniwszy ostre wyrzuty Langouetowi za jego niewdzięczność i niecne postępowanie, uwalnia dzielnego Gaucherona, który swą stanowczością i odwagą uratował go od ruiny. Wreszcie strejk nieudolny kończy się, robotnicy chcą powrócić do pracy. Ale teraz pracodawcy zmówili się ze swej strony i postanowili nie przyjmować tych z pośród robotników, którzy przez któregokolwiek z nich zostaną pomieszczeni na specyalnym spisie, jako podżegacze.

Na tym spisie, rzecz prosta, figuruje Langouet i wskutek tego, nie mogąc znaleźć roboty, zaczyna pić. Prośby Ludwiki, która teraz została jego towarzyszką, nie mogą wpłynąć na Brescharda, by go z tego spisu wykreślił, jednakże, na wstawienie Gaucherona, daje mu pracę prywatną u pewnego bogatego amatora mebli artystycznych. Zerwanie zamiarów matrymonialnych Brescharda, usuwa przeszkodę do małżeństwa jego syna Filipa, który, nauczony na dotykającym go zbliska przykładzie, że socyalizm w zastosowaniu praktycznem prowadzi nie do poprawy stosunków, lecz do gwałtów i przewrotów, zrywa zupełnie z jego doktrynami i, zostawszy wspólnikiem firmy ojca, staje ostatecznie po stronie barykady, przeciwnej rewolucyi z silnem postanowieniem obrony swej klasy przeciw tym, którzy ją chcą zniszczyć. Tak się przedstawia fabuła tego dramatu w ogólnym zarysie. Wykład idej znajdujemy tu przeważnie w dyskusyach Brescharda z synem i w rozmowie Filipa z Langouetem. Ale wynurzają się one również ze słów i uwag Gaucherona, z rozmowy Brescharda z Ludwiką, z mowy delegata, z uwag i rozmów robotników należących do związku i ich przeciwników, a nawet z odpowiedzi i stanowiska wobec pracodawcy robotników strejkujących, wbrew własnemu przekonaniu, jedynie z niejasnego poczucia solidarności klasowej proletaryatu przeciw klasie posiadającej i kierującej. Bo, jak zwraca uwagę autor, wszystko się tu odbywa na gruncie klasowym. Ale przecież Rewolucya zniosła różnice społeczne, w demokratycznej Republice klas niema? Tak, zniosła je w znaczeniu dawniejszem, feudalnem, kasując prawa stanów uprzywilejowanych, ale nie zniosła, pomimo ogłoszenia równości obywateli wobec prawa, bo znieść nie mogła, różnic, wynikających z natury rzeczy ze stosunków społecznych. Jeżeli z dawnego ustroju pozostały jeszcze bądź co bądź mniej lub więcej wyraźnie zarysowane odrębności klas, na które grupuje się dzisiejsze społeczeństwo, to te niczem są wobec różnicy zasadniczej, jaka dzieli je na ludzi pracujących rękami i tych, którzy fizycznie nie pra-

cują, t. j. na dwie grupy, którym dano obecnie nazwy ogólne proletaryatu i burżuazyi. [1])

Że te dwie grupy istnieją, temu nikt zaprzeczyć nie może. Na ten stan rzeczy żadna teorya demokratyczna równości, ani żadne prawa nie zaradzą, dopóki istnieje dzisiejszy ustrój społeczny. To też całem dążeniem rewolucyi socyalnej jest ustrój ten zniszczyć przez zniesienie prawa własności, na którem się on opiera. Ale zauważyć trzeba, na co autor „La Barricade“ kładzie szczególny nacisk, że przy tem dążeniu demokracyi socyalnej do zupełnego zniesienia różnic klasowych, do tej równości integralnej, której niemożliwości z innych względów nie bierze pod uwagę, poczucie odrębności i solidarności klasowej wzmocniło się nadzwyczajnie, właśnie u proletaryatu, a co zatem idzie, wskutek ciągle wzrastającego antagonizmu, i u o wiele mniej solidarnie usposobionych klas wyższych.

Ten, na pierwszy rzut oka, dość dziwny fenomen tłómaczy autor koniecznością łączności, wywołaną u jednych potrzebą skupienia wszystkich sił dla skutecznego prowadzenia ataku, u drugich takąż potrzebą łączenia się dla obrony zajmowanego stanowiska. Ale Bourget idzie dalej. Przez usta Brescharda mówi on, że każdy członek klas burżuazyjnych, w danym wypadku każdy przemysłowiec kapitalista, ma obowiązek bronić nie tylko swego interesu osobistego, ale przedewszystkiem ogólnych interesów klasy, do której należy, bo czyniąc to, działa zarazem na korzyść własną i, co ważniejsza, broni dobytek ogólno ludzki, cywilizacyę, od zagłady, której, na wypadek tryumfu proletaryatu, zagrażają nowożytni barbarzyńcy. Z drugiej strony stwierdza autor to rozbudzenie instynktu solidarności klasowej wśród robotników—u Ludwiki, gdy, wobec strejku, oświadcza Breschardowi, że obowiązek nakazuje jej zostać po stronie swoich i odmawia zaślubienia go, pomimo, iż tem samem wyrzeka się życia w dostatku i wywyższenia się ponad stan, w którym się urodziła. Toż samo widzimy w przekonaniach i postępowaniu Langoueta i również w ogólnym nastroju, panującym wśród strejkujących robotników, którzy zawieszają pracę i występują przeciw Breschardowi nie ze względów osobistych, bo nie mają nic mu do zarzucenia, ale dla celów i dążeń ogólnych, wobec których wmieszane tu względy uczuciowe schodzą na drugi plan.

[1]) Ostatnie określenie zachowujemy rozmyślnie w brzmieniu francuskiem, bo polski wyraz „mieszczaństwo,“ oznaczający ściśle „stan mieszczański,“ w znaczeniu, jakiemu odpowiada tutaj wyraz „bourgeoisie,“ użyć się nie da.

Z tego wszystkiego wynika w konkluzyi, co sam autor w swej konferencyi potwierdził, że walka społeczna jest objawem naturalnym, a co więcej, pomimo swej istotnej szkodliwości, w rezultacie pożytecznym, bo, trzymając część społeczeństwa wyżej intellektualnie rozwiniętą pod ciągłą groźbą, wpływa na jej wzmocnienie, zmusza ją do chwycenia się energicznych środków obrony. Ale znaczenia tych właśnie konkluzyj przeważnie nie zrozumiano i, przyznać trzeba, nie zupełnie bez winy autora, bo tak, jak zostały przezeń wyrażone, dawały pole do rozmaitego ich tłómaczenia. Otóż pomówiono go z jednej strony o potwarz na proletaryat i namawianie do gwałtownej represyi przeciw ich dążeniom, z drugiej — o apologię antagonizmu i nienawiści, gdzie należałoby propagować pokój i zgodę, oraz niechrześcijańską koncepcyę stosunków społecznych.

W odpowiedzi na to, Bourget zwraca uwagę przedewszystkiem na błąd zasadniczy tych krytyk w tem, iż „La Barricade“ uznano za sztukę z tezą, gdy jest ona rzeczywiście sztuką ideową, a to rzecz zmienia zupełnie. W istocie, te dwa pojęcia są sobie do pewnego stopnia przeciwne. W sztuce z tezą, czyli tendencyjnej, autor stara się dowieść słuszności jakiegoś naprzód postawionego postulatu i w tym celu, obrawszy odpowiedni temat, daje mu taki nastrój i tak układa warunki akcyi, aby wszystko zmierzało do jego potwierdzenia. Jest to z konieczności arbitralne i niczego naprawdę nie dowodzi, bo w taki sam sposób dowieść można tezy odwrotnej. Sztuka ideowa nie ma żadnej takiej z góry określonej tezy, zadaniem jej nie jest dowiedzenie czegokolwiek, lecz wykład idej i ich konflikt w dyskusyach, z których można wyciągnąć wnioski logiczne, ale których konkluzya, jeżeli została wypowiedzianą, nie narzuca się i obowiązującą nie jest. I tak właśnie rzecz się ma w „La Barricade.“ Autor stwierdza fakt istnienia antagonizmu klas i walki społecznej, szuka przyczyn i znajduje, że wypływają one nie tyle z potrzeb ekonomicznych, ile raczej z nastroju ducha, wytworzonego w proletaryacie, który nie może znieść tego, iż jest pewna kategorya ludzi, nie pracujących, jak on, rękami, widzi w tem nierówność, a nierówność tłómaczy sobie niesprawiedliwością. Stąd pragnienie jej usunięcia, a wobec oporu, choćby biernego, nienawiść i chęć zemsty, objawiająca się w gwałtach, coraz częstszych, coraz bardziej przybierających charakter akcyi zorganizowanej, zdążającej za pomocą krwawej rewolucyi do zupełnego przewrotu. Kto z pośród burżuazyi myśli, że dość podać obie ręce robotnikom, poczynić im daleko idące ustępstwa, by tę groźbę zażegnać, ten się łu-

dzi i daje dowód naiwności i nieznajomości ich rzeczywistych aspiracyj, bo oni, a przynajmniej ci t. zw. „proletaryusze uświadomieni," którzy nimi kierują, nie chcą żadnych układów, nie chcą zgody i logicznie chcieć jej nie mogą, gdyż celem ich nie jest porozumienie, ale zagłada przeciwnika. Walka tedy jest na śmierć i życie, a przeto burżuazyi nie pozostaje nic innego, tylko bronić z podwojoną energią swego stanowiska, a z niem cywilizacyi. Jakie zaś mają być te środki obrony, tego w „La Barricade" nie powiedziano wyraźnie, że zaś przedstawione w tej sztuce zajście kończy się interwencyą policyi, przeto wywnioskowano, że Bourget widzi rozstrzygnięcie kwestyi w bezwzględnej represyi ze strony władz, za pomocą siły zbrojnej. Ale czyż można było posądzać go o podobną naiwność? Przecież wie on dobrze, jak każdy, że w dzisiejszej Republice francuskiej władzy niema, przynajmniej tam, gdzie z obowiązku być powinna. Znajduje się ona tylko wtedy, i to bardzo bezwzględna, gdy trafia się sposobność prześladowania niewinnych i bezbronnych. Zresztą siła zbrojna, podkopywana agitacyą antymilitarną, staje się z każdym dniem mniej pewną. To też myśl autora nie jest taką. Obronę społeczną widzi on nie wyłącznie w uciekaniu się do władz, ale przedewszystkiem w energii, stanowczości, pracowitości, udolności i zrozumieniu swego obowiązku klas kierujących, jednem słowem, w ich wartości moralnej, która da im samym, równie jak szerszym masom, przekonanie, że na stanowisku przewodniczącem są potrzebni i niezbędni i że na zajmowanie takowego zasługują. To jest pierwszy warunek, bez którego żadna siła zbrojna nie pomoże. Gdy zaś ten będzie pozyskany w całości, to inne znajdą się, jako jego skutek. Postępy rewolucyi są zawsze w stosunku odwrotnie proporcyonalnym do wartości moralnej klas kierujących — im ta wartość jest większa, tem widoki powodzenia rewolucyi są mniejsze i na odwrót. Ale jednocześnie z drugiej strony, im gwałtowniejszym jest napór fali rewolucyjnej, im groźba jest pewniejszą, tem większą musi w tychże klasach wywołać reakcyę do skupienia wszystkich sił moralnych i materyalnych dla jej zwalczania. Jeżeli w takich warunkach podobna reakcya się nie wytworzy, będzie to znakiem, że burżuazya swej roli kierowniczej spełnić nie jest w stanie, a przeto musi ustąpić.

Oto są prawdziwe konkluzye sztuki „La Barricade," której treść poza tem jest opartą na zdarzeniach prawdziwych i obserwacyi bezpośredniej — daje wierne odbicie rzeczywistości, co też autor zaznacza, nazywając ją „kroniką walki społecznej 1910 roku."

Te konkluzye wszakże nie stanowią tezy. Autor nie podaje ich jako prawdę niezbitą i dowiedzioną w swej sztuce, lecz tylko jako przekonanie osobiste, wyrażone za pośrednictwem głównie Brescharda i Gaucherona, którym przeciwstawia zresztą argumenty rewolucyonistów, sformułowane z całą bezstronnością i zaczerpnięte z ich własnych doktryn i oświadczeń, jak zapewnia Bourget — dosłownie. Jeżeli zaś te konkluzye znajdują potwierdzenie w dążeniach proletaryatu, objawiających się w tysiącznych faktach ogólnie znanych, bo dzienniki codziennie je przytaczają i łatwych do sprawdzenia, to nie ma zasady, by stąd obwiniać autora o tendencyjność.

Obok tego dzieła, które w tegorocznej produkcyi dramatycznej jest niewątpliwie najdonioślejszem, Paweł Bourget wystawił w Komedyi Francuskiej krótką, mocno tragiczną, o podkładzie psychologicznym dwuaktową sztukę p. t. „Un cas de Conscience," przerobioną wspólnie z Sergiuszem Rosset z jednej ze swych nowel. Hrabia de Rocqueville dowiaduje się z listu, który przypadkiem wpadł w jego ręce, że żona jego była niegdyś kochanką jego sąsiada, obecnie już nieżyjącego i co więcej, że jeden z jego synów pochodzi z tego związku. Odkrycie to dotyka go tak ciężko, że wskutek tego choroba, której ma zaczątki, rozwija się gwałtownie i wzmaga nieustannie pod wpływem trapiącej go niepewności, który z tych trzech synów, teraz już dorosłych, jest tym intruzem, kocha ich bowiem wszystkich jednakowo. Blizki śmierci, hr. de Rocqueville wymaga od żony, by mu to wyjawiła, bo, nie mogąc inaczej zetrzeć tej plamy na swym honorze i dosięgnąć tego, który, zhańbiwszy jego ród, stał się przyczyną ruiny jego rodzinnego szczęścia, dotknął go najboleśniej w jego uczuciach ojcowskich, chce zbrodnię ich obojga ukarać w tym, który jest żywem jej świadectwem, przez odebranie mu udziału w dziedzictwie. Żona wyjawić tego nie chce i nie może. Ale pan de Rocqueville nie daje za wygraną i oświadcza jej, że, jeżeli sama dobrowolnie zadość jego żądaniu nie uczyni, to on na łożu śmierci wyjawi wszystko synom i oskarży ją przed nimi. Stąd między małżonkami powtarzające się często gwałtowne sceny, które chorego posuwają coraz szybciej do grobu. Jeżeli wszakże straszną jest broń, którą ten rozporządza dla wymuszenia wyznań winowajczyni, to ta znowu ma tę nad nim wyższość, że może nie dopuścić doń, przed jego śmiercią, synów, którzy są daleko: jeden, jako oficer — w swym garnizonie; drugi, jako marynarz; trzeci, najmłodszy, jako uczeń szkoły politechnicznej w Paryżu. Hrabia chce wysłać depesze, by ich wezwać, ale wobec

zakazu hrabiny pod pretekstem, że stan zdrowia hrabiego zabrania mu wzruszenia, jakiegoby doznał na widok synów, w czem doznaje poparcia u miejscowego doktora Poncelet, nikt ze służby depeszy nie wyprawi. Hrabia wie o tem, bo żona powiedziała mu to wręcz, że do przyjazdu synów nie dopuści. Chory próżno szarpie się w swej niemocy, wobec zadanego sobie gwałtu, czując, że śmierć może każdej chwili pozbawić go możności zobaczenia synów. Wśród tego zjawia się sprowadzony pospiesznie, na żądanie dr. Poncelet, słynny specyalista z Paryża, dr. Odru, którego pierwszy, znający oddawna wszystkie sprawy rodziny de Rocqueville, objaśnia o całem położeniu. Hrabia odwołuje się do jego uczuć ludzkich i prosi go, nie wyjawiając zresztą rzeczywistych tego powodów, by osobiście depesze do jego synów wyprawił. Ten, po chwili wahania odmawia. Ale chory wpada w atak, z którego dr. Odru z trudnością przywołuje go do życia. Widząc, że wszelkie podrażnienie może przyprawić go o śmierć i uważając, że pierwszym i jedynym obowiązkiem lekarza jest chorego ratować, bez zwracania uwagi na żadne względy postronne, daje mu słowo, że polecenie jego spełni i, pomimo zaklęć hrabiny, która się domyśliła, czy też rozmowę ich dosłyszała, depesze wyprawia. Tymczasem w oczekiwaniu przyjazdu synów następuje nowa scena pomiędzy małżonkami, hrabia wpada znowu w atak i tym razem, gdyby nie ratunek natychmiastowy, śmierć nastąpićby musiała za parę minut. Hrabina błaga dr. Odru, by go pozostawił losowi i nie narażał jej i jej dzieci na straszną katastrofę, przedłużając o parę godzin życie umierającego. W sumieniu d-ra Odru wywiązuje się krótka, ale gwałtowna walka. Ta jednak trwa mgnienie oka, bo czasu do stracenia niema, poczucie obowiązku lekarza bierze górę. Oświadczywszy drżącej z przerażenia kobiecie, że gdyby postąpił wedle jej życzenia, oboje byliby winnymi zabójstwa, dr. Odru zastosowuje potrzebne środki i przywraca choremu siły i przytomność. W chwilę potem przybywają synowie. Hrabia bierze w objęcia najstarszego, całuje najmłodszego, ale gdy zbliża się średni, powstrzymuje go i przez parę sekund patrzy mu w oczy przenikającym do głębi wzrokiem. Hrabina w niemem osłupieniu oczekuje wyroku z ust umierającego męża, ale chory przyciąga wreszcie młodzieńca, całuje go w czoło i, chwytając się za serce, pada martwy. Jest to moment prawdziwej grozy. Hrabia w ostatniej chwili oszczędził swych synów własnych i tego, który będąc mimowolnym intruzem w jego rodzinie, przyniósł jej nieświadomie zniewagę swą obecnością. Niemniej, przez tę krótką chwilę tę zniewagę, wy-

rządzoną sobie i swym prawym potomkom pomścił srodze na wiarołomnej żonie i niepomnej swej godności matce.

Rzecz ta, w znaczeniu dramatycznem wybornie przeprowadzona, ma jednak tę ujemną właściwość, że pomimo swego prawdziwego tragizmu, nie jest wcale wzruszającą. Patrzy się na całe to zajście z ciekawością, ale zimno, prawie obojętnie. Przyczyna tego, że widz, nie mogąc przyznać słuszności zarówno obu stronom i nie wiedząc gdzie umieścić swe sympatye, musi pozostać bezstronnym. Zaś bezstronność w teatrze równa się obojętności i pozbawia widza tego właśnie, czego on przedewszystkiem odeń żąda i co jest zresztą właściwym celem dramatu — wzruszenia.

I istotnie, poczucie sprawiedliwości każe nam najpierw wziąć stronę pokrzywdzonego i pozwala nawet do pewnego stopnia uwzględnić kierujące nim pobudki—pragnienie pomszczenia wyrządzonej sobie krzywdy, chociaż w obliczu śmierci, u człowieka, który stanąć ma za chwilę przed sądem Boskim, musi to racić nasze pojęcia chrześcijańskie. Ale instynkt, który żąda, by zbrodnia została ukaraną, który sprzeciwia się jej tryumfowi, przemawia w naturze człowieka tak silnie, że właśnie w tym charakterze umierającego dostrzedz gotowi jesteśmy karzący palec Boży. Gdy wszakże zastanowimy się nad strasznemi skutkami dla istot niewinnych wykonania zamiaru hrabiego, to mimowolnie musimy się cofnąć.

Co do hrabiny, to ma tu ona rolę tak wstrętną, że niema kary dość okrutnej, niema udręczenia, któreby mogło wzbudzić dla niej uczucia już nie sympatyi, ale nawet litości. Jej niegodne oszukiwanie męża, które trwało lata, jej podział pomiędzy nim, a kochankiem nie znajduje żadnego tłómaczenia, tak samo, jak jej zapomnienie, że kobieta, gdy raz przyjęła obowiązki matki, winna swą godność nietylko sobie samej i mężowi, ale swym dzieciom i wszystkim następnym pokoleniom, które z niej powstaną. Tyle co do przeszłości. Postępowanie zaś jej obecne z człowiekiem umierającym, względem którego tak ciężko zawiniła, którego chorobę i niechybną przedwczesną śmierć ma na sumieniu, jest niemniej ohydne. Oburza nas jej bezwzględność, popychająca ją niemal do zbrodni, jej zadawanie gwałtu woli umierającego, jej nadużycie zdrowego nad bezwładnym. Bo przecież nie możemy zapomnieć, że jest on ojcem, że swych synów kocha, że cierpi nietylko za siebie, ale i za nich, że ma prawo, któremu sprzeciwić się nie wolno, zobaczenia przed śmiercią swych dzieci. Ale znowu, gdy pomyślimy, co z tego ma wyniknąć, musimy przyznać, wbrew potępiającym jej postępowanie uczuciom, że w wa-

runkach istniejących, jako skutek jej przestępstwa, jest ono jakąś fatalną koniecznością.

Na tle tej tragedyi rodzinnej, mamy tu jeszcze wywołany przez nią konflikt wewnętrzny w sumieniu doktora Odru, do którego, jak sądzić należy z nadanego sztuce tytułu, przywiązuje autor szczególną wagę. Dr. Odru wychodzi z punktu obowiązku lekarskiego, wedle którego powinien uczynić wszystko, by chorego uzdrowić, a wobec tego niemożliwości, przynieść mu ulgę i o tyle o ile to jest w jego mocy, życie mu przedłużyć. Dlatego więc z początku nie chce podjąć się wyprawienia depesz do synów hrabiego. Z tej przyczyny również się tego podejmuje, gdy widzi, że sprzeciwianie się życzeniu chorego, zresztą tak naturalnemu, może go zabić. Jeżeli zaś, w chwili ataku, za podszeptem hrabiny waha się, czy ma chorego ratować, to jednak żadnym względom, choćby te były uzasadnione, z drogi obowiązku sprowadzić się nie da.

To wszystko jest niewątpliwie bardzo interesujące. Jednakże obowiązek doktora Odru wydaje się bądź co bądź zbyt jasnym, zwłaszcza w wypadku ostatnim, gdzie postąpienie przeciwne równałoby się nietylko w sumieniu, ale i według przepisów prawa, zbrodni zabójstwa, w wyborze zatem pomiędzy spełnieniem obowiązku, a zbrodnią, za którą doktor byłby kryminalnie odpowiedzialny, istotnej wątpliwości być nie mogło. Przeto ów „Cas de conscience“ w wypadku doktora Odru wydaje się niedostatecznie uzasadnionym. Bądź co bądź zakończenie tej tragicznej historyi wypadło ku ogólnemu zadowoleniu, bo, dając w ostatniej chwili zwycięstwo sercu ojca nad żądzą zemsty zdradzonego męża, powróciło hrabiemu de Rocqueville należne mu współczucie widzów i, nie poświęcając niewinnych dla zadośćuczynienia sprawiedliwości, nie pozostawia jednak tryumfu zbrodni, jeżeli bowiem ta nie została ściśle pomszczoną, to niemniej nie uszła bezkarnie w udręczeniach, przez jakie przejść musiała winowajczyni.

Na scenie Komedyi Francuskiej ukazał się również ostatni utwór Henryka Lavedau, komedya w pięciu aktach p. t. „Sire,“ osnuta na motywie dramatycznym, który autor zaczerpnął, odmieniając go nieco, ze swej własnej powieści tegoż tytułu.

Założenie, na którem opiera się akcya i które nazwać tu można intrygą, przedstawia się dość sztucznie. Osią wszystkiego bowiem jest postać Ludwika XVII, którego los zagadkowy, zaćmiony jeszcze mnóstwem legend i bajek, dał powód wielokrotnie do licznych mistyfikacyj. Takiej też mistyfikacyi ulega panna de Saint-Salbi, osoba już niemłoda i fanatycznie oddana kul-

towi nieszczęśliwego Delfina, w którego istnienie święcie wierząc, oczekuje z upragnieniem jego powrotu na tron przodków, zajmowany wówczas przez „uzurpatora“ Ludwika-Filipa.

Z wybuchem rewolucyi roku 1848, gdy ustąpienie tegoż jest spodziewane, nadzieje ujrzenia Ludwika XVII władcą Francyi do tego stopnia egzaltuje starą pannę, że jej przyjaciele, doktor i ksiądz, zaczynają obawiać się o jej zmysły. Wśród tej ich troski, doktor spostrzega uderzające podobieństwo do Ludwika XVI u zegarmistrza, który, w salonie jego pacyentki, naprawiał stary zegar, wygrywający co godzina hymn królewski. To nasuwa mu myśl oryginalną — ukazać pannie de Saint-Salbi Ludwika XVII w żywej postaci, w nadziei uspokojenia jej przez zadowolenie jej manii. Porozumiawszy się co do tego z księdzem, który, pomimo skrupułów, ulega argumentom doktora, ten ostatni pozyskuje z łatwością za pewną kwotę udział w swych planach człowieka o rysach burbońskich. Tym człowiekiem jest niejaki Roulette, który próbował wszystkich profesyj, a między innemi—i do tej miał najwięcej zamiłowania—był aktorem. To też odegrać przez pół godziny, jak liczył doktor, rolę króla i wziąć za to sto franków bardzo mu się uśmiecha. O oznaczonej porze Roulette w stroju, jeszcze bardziej uwydatniającym to jego podobieństwo, zjawia się u panny de Saint-Salbi, która, uprzedzona o tym zaszczycie, przyjmuje go, do głębi wzruszona łaskawością monarchy. Prócz uczuć dynastycznych, ma ona również wspomnienia osobiste, które sprawiają, że osoba Delfina jest jej szczególnie drogą, bowiem za jej lat dziecinnych, przed Rewolucyą, miała sposobność zbliżyć się doń i ofiarować mu nasiona rzadkiej rośliny, które jej rodzicom przysłano z Ameryki. Roślina ta nazywała się „Colorados gigantea.“ Otóż, w naiwnem przekonaniu starej panny, fakt ten i ta nazwa miał równie silnie utkwić w pamięci Ludwika XVII, jak wyrył się w jej sercu.

Znajomość tedy tego wydarzenia i tej rośliny miała według niej być probiežem autentyczności jego osoby. Ale panna de Saint-Salbi zdradziła się z tem kiedyś przed doktorem, a doktor nie omieszkał objaśnić o tem Roulette'a, który teraz sam jej pierwszy tę historyę przypomniał. Wobec tego nie wątpi ona już, że ma przed sobą prawowitego króla i błaga go, by przyjął u niej tajną gościnność aż do chwili, gdy będzie miał możność okazać się jawnie narodowi, a nadto ofiarowuje mu, z prośbą, by uczynił jej najwyższą łaskę, przyjmując to na cele dynastyczne, majątek jej brata, który właśnie odziedziczyła. Roulette, nie wiedząc, jak się z tego wydobyć, przyjmuje wszystko i musi dalej

grać rozpoczętą rolę, w której zresztą dość zasmakował, bo takich wygód i honorów nigdy jeszcze w życiu był nie zaznał. Nie brak mu nawet tutaj miłostki na okrasę, bo młoda lektorka Leonia, która znała go już przedtem i teraz w bardzo ładnych słowach wyrzuca mu to niegodne oszukiwanie tak zacnej kobiety, jaką jest jej pani, przychodzi rozweselać mu, zresztą dość niewinnie, chwile samotności. Ale tyle dobrego trwać nie może wiecznie. Już raz panna de Saint-Salbi natrafiła przypadkiem na czułą scenę pomiędzy swym dostojnym gościem, a lektorką i to, chociaż Roulette potrafił zręcznie się wywinąć, rzuciło jednak pewien cień na jego królewską osobę. Wkrótce miało się stać gorzej. Oto spiskowcy „Czerwonej ręki," do których związku został przypadkiem, pod groźbą, wciągnięty, odnaleźli go tutaj i zmusili do wzięcia wraz z nimi czynnego udziału w rewolucyi. Tymczasem, podczas jego nieobecności, panna de Saint-Salbi, nic nie wiedząc, ale jednak coś przeczuwając, weszła do zajmowanego przezeń pokoju i spostrzegła na porzuconej wstędze orderu świętego Ducha adres magazynu kostyumów teatralnych. To odkrycie było dla niej prawdziwym ciosem, ale wiara w istnienie Ludwika XVII jest u niej tak silną i niepożytą, że żadne oszustwo nie może jej zachwiać. W tej wierze panna de Saint-Salbi czerpie siłę do zniesienia tak ciężkiego rozczarowania i, gdy Roulette, wyrwawszy się z rąk rewolucyonistów, powraca w zakurzonym mundurze gwardyi narodowej, przyjmuje go gorzkiemi wyrzutami, oskarżając go ze szlachetną godnością nie tyle o to, iż w tak brzydki sposób ją oszukał i nadużył jej dobrej wiary, ile, że dopuścił się przez to oszustwo prawdziwego świętokradztwa. Jednakże takie nawet świętokradzkie przybranie na się postaci królewskiej pozostawia mu obowiązek szczególny: nie wolno mu brać udziału w rewolucyi, skierowanej przeciw monarchii, przeciwnie, powinien bronić tronu, choćby na nim siedział chwilowo uzurpator.

Roulette, czując się winnym, nie jest nieczuły na jej słowa, przeprasza ją na kolanach i otrzymuje jej przebaczenie, pod warunkiem, że do rewolucyonistów nie powróci. Na tem jednak on nie poprzestaje — chce zmazać swą winę i stać się godnym szlachetności tej, którą tak ciężko obraził w jej uczuciach dynastycznych, może posuniętych do manii, ale zasługujących na szacunek. W tym celu biegnie do pałacu królewskiego i tam, pod razami buntowników, pada w obronie monarchii.

Jak można z tego sądzić, cała rzecz opiera się tu na podstawie sztucznej. Doktor i ksiądz, dla powodów niedostatecznie

się tłómaczących, mistyfikują swą zacną przyjaciółkę. Doktor nadto dowiaduje się tajemniczej historyi owej rośliny w dość niezwykły sposób — panna de Saint-Salbi, będąc chorą, opowiada ją w malignie. Roulette należy do spiskowców wbrew własnej woli, zmuszony do tego postrachem i w takichże warunkach idzie na barykady, by ostatecznie zginąć bohaterską śmiercią w obronie Ludwika-Filipa, za wskazówką tej, która, będąc tak fanatycznie przekonaną, że Ludwik XVII żyje i pragnąc, by odzyskał swe prawa, musiała być tem samem najzaciętszą przeciwniczką „uzurpatora.“ Ten koniec melodramatyczny odbiera wreszcie sztuce jedność jej charakteru. Pomimo te strony ujemne „Sire“ jest komedyą, posiadającą piękne i rzadkie zalety w swym stylu wykwintnym, czysto francuskim, w dawniejszem, dodatniem znaczeniu tego określenia; w odczuciu i przedstawieniu takich charakterów, jak panna de Saint-Salbi, której mania, wynikająca z egzaltacyi uczuć szlachetnych, nie ośmiesza, lecz wzbudza dla niej sympatyczne współczucie, oraz Roulette, którego skłonności cygańskie i brak skrupułów, nie wyłączają pewnej instynktownej szlachetności, posuwającej tchórza i fanfarona, pod natchnieniem chwili, aż do bohaterskiego poświęcenia życia; w zręcznem naszkicowaniu wreszcie takich sylwet charakterystycznych, jak ksiądz i doktor, lub wdzięcznych, jak lektorka Leonia.

Chociaż zalicza się do utworów muzycznych, „Le Mariage de Télémaque,“ komedya liryczna w pięciu aktach *Juliusza Lemaître* i *Maurycego Donnay*, z muzyką *Klaudyusza Terrasse*, nie jest zwykłem librettem operetkowem, lecz dziełem dramatycznem w ścisłem tego słowa znaczeniu. Na nazwę komedyi lirycznej utwór ten zasługuje najzupełniej, bo jest napisany z głównem staraniem o prawidłowy rozwój wątku w akcyi dramatycznej, dla której muzyka i śpiew stanowią raczej dodatek urozmaicający. Wyszedłszy z pod pióra tak znakomitych znawców literatury i świata starożytnego, rzecz ta zapowiadała się bardzo obiecująco. I w istocie, oczekiwań nie zawiodła, okazując się dziełem wykwintnego humoru i nader żywą transpozycyą obyczajów starożytnych do pojęć dzisiejszych, z tych stron poufnych życia, które, dotycząc podstaw bytu ludzkiego, pozostają, przy różnych formach powierzchownych, w gruncie niezmienne.

Autorowie nie poruszają więc tu wielkich wypadków bohaterskich z Iliady i Odyssei. Należą one już do wspomnień przeszłości, w chwili, gdy rozpoczyna się akcya. Ulisses pragnie ożenić syna swego Telemaka z Nausikaą, córką Alkinosa, u którego niegdyś znalazł gościnność. Gdy właśnie radzi o tem ze swą

małżonką Penelopą, przybywają posłowie spartańscy z listem od Heleny, która, powziąwszy ze swej strony zamiar swatania Telemaka z Nausikaą, powiadamia o mającem nastąpić przybyciu jej z rodzicami do Sparty i zaprasza go na uroczyste ich przyjęcie. Ulisses jest uszczęśliwiony, oznajmia synowi tę miłą nowinę i każe przygotować dary dla swych dostojnych przyjaciół. A więc Menelausowi przeznacza lirę, zrobioną z rogów bawolich, którą wszakże, za radą Penelopy, obdarzonej delikatniejszą niewieścią przenikliwością, zastąpiono bogato zdobnym mieczem zmarłego Laersa, ojca Ulissa. Dla Heleny, na znak względów szczególnych, zażądał Ulisses od małżonki, by ofiarowała swój cenny welon, dzięki któremu przez dwadzieścia lat pozostała mu wierną. Penelopa wzdraga się, bo ciężko jej rozstać się z takim talizmanem i to jeszcze, by go sprofanować, oddając go osobie tak osławionej. Ale Ulisses zapewnia ją, że Helena, jeżeli zachowała dotąd swą nieporównaną piękność, to zmieniła się zupełnie na tym punkcie i stała się małżonką wzorową i kobietą najgodniejszą szacunku.

Ze względu na szczęście syna, Penelopa czyni tę ofiarę i Telemak ma już odpłynąć w towarzystwie posłów spartańskich i przydanych mu dworzan, gdy, w ostatniej chwili, Ulisses, który zasiedział się już trochę w domu i pragnie się przewietrzyć, postanawia pojechać z nim razem, ku mocnemu niezadowoleniu Penelopy, po dawniejszem doświadczeniu nie ufającej zbytecznie awanturniczemu małżonkowi. Po przybyciu do Sparty, w oczekiwaniu na nieznaną mu dotąd narzeczoną, Telemak zakochuje się w Helenie i, zapomniawszy o celu swej wizyty, postanawia ją porwać. Daremno Helena stara się uspokoić zapalonego młodzieńca, tłómacząc mu, że była już porywaną, że ma tego dosyć i że pragnie teraz żyć spokojnie w domu, to wszystko nie trafia do jego przekonania i nie daje jej spokoju, dopóki mu nie obiecała, że się da porwać. Telemak okazuje się więc chłodnym dla Nausikai i szuka tylko sposobności zbliżenia się do Heleny, co też tamta spostrzega i, płacząc, gorzko skarży się na swój zawód mimowolnej i doświadczonej rywalce. Ale Helena ją uspakaja i pociesza, bo ma już plan gotowy, by skłonić ku niej Telemaka. Umówiwszy się z nim co do ucieczki nocną porą, żąda, by jej obiecał, że nie będzie starał się odsłonić jej oblicza, póki się dzień nie zrobi i wysyła na swe miejsce Nausikaę. Telemak dotrzymuje słowa i, gdy nazajutrz przekonywa się, że został oszukany, po chwili gniewu, daje się rozbroić wdziękom dzieweczki, która, wyznając mu swe uczucia, zaklina go, by jej nie odtrącał.

Helena nie zawiodła się, licząc, że zapalna krew młodzieńca każe mu z łatwością zapomnieć o piękności nieobecnej, działającej nań głównie urokiem swej awanturniczej przeszłości, przy boku tej, która mu się odda z gorącem i świeżem uniesieniem pierwszej miłości. Zamiast tedy przybić do tajemniczej wyspy, gdzie miał zaznać z Heleną zdrożnych rozkoszy, Telemak każe skierować statek do Itaki, gdzie z rozrzewnieniem przyjmie go z narzeczoną czcigodna jego matka Penelopa.

Cała ta historya, jeżeli nie jest zbyt poważną i nie ma pretensyi do wskrzeszenia życia starożytnego ze ścisłością archeologiczną, to jednak nie jest też farsą, ani parodyą. Postacie mają tu swój charakter dobrze określony, chociaż ukazują się w warunkach łatwych, wesołych, raczej humorystycznych.

Helenę widzimy w świetle nieco nowem i niespodziewanem, jako niewiastę zacną, którą przeszłość burzliwa nauczyła kochać cnotę, z pewną względną pobłażliwością dla porywów i usterek, w kierunku erotycznym wieku młodego, gdy natomiast Penelopa ma całą surowość cnoty bohaterskiej, która nigdy z prawej drogi nie zawróciła. Ulisses, choć nie występuje tu w roli bohaterskiej, jest zawsze człowiekiem dzielnym, czynnym, pomysłowym, sympatycznym i lubiącym się zabawić. Zaś niefortunny Menelaus, skazany na wieczne pośmiewisko, ma też i tutaj takiż charakter nieco karykaturalny głupowatego safanduły. Wreszcie Telemak i Nausikaa, zbyt młodzi, by przedstawiać cechy zdecydowane, odznaczają się oboje skłonnościami, właściwemi ich wiekowi—on, porywczy w swych namiętnych uniesieniach, ona, czuła i kochająca. Razem wziąwszy, komedya ta, napisana w części prozą, w części wierszem i przeplatana muzyką, śpiewem i tańcami, stanowi przedstawienie bardzo przyjemne i estetyczne, które na scenie paryskiej Opery komicznej doznało i doznawać będzie nadal powodzenia.

O wiele więcej zakrawa na przedstawienie operowe, chociaż bez muzyki, ni śpiewu, sztuka czteroaktowa wierszem, *Miguela Zamacoïs*, p. t. „La Fleur Mérveilleuse,“ tak jej wątek jest fantastyczny, akcya rozciągnięta i chwiejna, a wszystko razem obliczone w dużej części na efekt optyczny. Treść, nacechowana nieco przestarzałym romantyzmem, obfituje, pomimo szczupłości swego założenia, w sceny, same przez się malownicze, ale obciążające i gmatwające akcyę. Rzecz dzieje się w XVII wieku w Holandyi. Do słynnego z uprawy tulipanów Harlemu przybywa pod opieką matki Reginy i w towarzystwie wiernego sługi Gobelousse, pewien młodzieniec, Francuz, imieniem Gilbert, dotknięty melan-

cholią, po stracie narzeczonej, która go opuściła. Matka namówiła go na tę podróż w nadziei, dotąd zawodnej, że zmiana go rozerwie i pozwoli mu zapomnieć o niewiernej. W Harlemie właśnie odbywa się konkurs tulipanów, do tego stopnia roznamiętniający umysły, że bardziej zapalczywych amatorów kwiatów od sprzeczek popycha aż do pojedynku. Jeden z najpoważniejszych i najbogatszych hodowców van Amstel, pokonany w tym konkursie, ogłosił drugi konkurs, którego on sam, na czele najpoważniejszych znawców, będzie sędzią i odda w nagrodę temu, kto przedstawi najpiękniejszy okaz tulipana, rękę swej córki jedynaczki, pięknej i posażnej Griet. Taki konkurs, a szczególniej taka nagroda, poruszyć musiały całą Holandyę. Ale matka Gilberta zauważyła, że jej syn zajął się nieco młodą Griet, której zdawał się też nie być obojętnym, zapragnęła więc z całej duszy doprowadzić do ich związku. Gilbert tedy weźmie udział w konkursie. Kłopot tylko wielki, skąd wziąć takiego tulipana, kiedy co kto ma najpiękniejszego, chowa dla siebie? Na szczęście zjawia się Cyganka Speranza, której Regina w pewnych okolicznościach uratowała życie. Dowiedziawszy się, o co idzie, Speranza, przez wdzięczność, a także trochę wiedziona czulszem uczuciem dla Gilberta, przynosi Reginie cudowny kwiat, wyhodowany przez nią z cybulki, pochodzącej z Indyi i mającej własności czarodziejskie. Tulipan Gilberta wzbudził zawczasu zachwyt tłumów i znawców, ale wzbudził też zazdrość współzawodników, z których nawet jeden, kawaler de Blancourt, próbował — szczęściem daremnie — go zniszczyć. Wreszcie, po innych jeszcze trudnościach, cudowny tulipan, przyjęty na konkursie entuzyastycznemi okrzykami, zyskał jednogłośne uznanie sędziów, którzy oświadczyli, że okazu takiej piękności jeszcze nie widzieli, poczem natychmiast nastąpiły, wobec uszczęśliwionej matki i ku wielkiej złości zawiedzionych konkurentów, zaręczyny uzdrowionego Gilberta z uroczą Griet, posażną córką van Amstela. Rzecz ta, dość mierna, jako utwór poezyi dramatycznej, zawierająca wstawki zapożyczone z antologii, jak sonet Teofila Gautier na cześć tulipana, nie jest przecież pozbawioną wartości, zaś, w starannej wystawie, przy malowniczem ugrupowaniu scen, na tle pięknych dekoracyj, przy bogatych i barwnych strojach i wyborowej grze artystów Komedyi Francuskiej, złożyła się na całość przedstawienia bardzo artystyczną.

Dzieła, wymienione powyżej, charakteryzują najbardziej francuską twórczość dramatyczną ubiegłego roku teatralnego. Niemniej dołączyć można do tychże sztuki: *Eugeniusza Brieux* „Su-

zette“ (Vaudeville); *Ludwika Bénière* „Papillon, dit Lyonnais-le-Juste“ (teatr Antoine); *Marcelego Prévost* „Pierre et Thérèse,“ przeróbka z własnej powieści pod tymże tytułem (teatr Gymnase); „Le Bois Sacré“ *Roberta de Flers* i *G. de Caillavet* (Variétés) i drobny utwór wierszowany tegoż tytułu *Edmunda Rostanda* (teatr Sarah Bernhardt); „Un Ange“ *Alfreda Capus* (Variétés); „La Rampe,“ *Henryka Rothschilda* (Gymnase); „Le Risque,“ *Romana Caolus* (teatr Réjane), oraz parę innych, które mniej lub więcej odznaczyły się w ciągu tego okresu.

Orwid.

Jedna z pierwotniejszych grup ludzkich.

Znany antropolog holenderski, dr. Stratz, bardzo trafnie upodobnia życie poszczególnych grup ludzkich, zwanych rasami, do życia pojedyńczych osobników, składających rodzinę lub społeczeństwo. Z pośród jednostek ludzkich—mówi Stratz—jedne wchodzą zaledwie w życie, wówczas gdy inne znajdują się u szczytu rozwoju fizycznego i umysłowego, jeszcze zaś inne chylą się ku starości i opuszczają widownię życia. Tak samo dzieje się z rasami: tu również obok grup powstających dopiero, krystalizujących się, widzimy rasy kwitnące pełnią sił, potężne rozwojowo; i znów obok tych dwóch grup spostrzegamy trzecią: rasy przeżyte, bądź niezdolne do życia w danych warunkach, w każdym razie rasy wymierające.

Wobec tego nie mamy prawa mówić o jakichbądź stałych stosunkach rasowych i taki obraz ras, jaki nam się przedstawia w chwili obecnej naprzykład, może być li tylko uważany za migawkowe zdjęcie, za odbicie pewnej chwili, za odpowiednik danego momentu dziejów rozwoju ludzkości.

*

* *

W walce o byt, w stykaniu się i ścieraniu wzajemnem grup rozmaitych, grupy mniej posunięte pod względem rozwoju intellektualnego, nieprzygotowane lub niezdolne do przyjęcia nowych form kultury, grupy, które pod wpływem pewnych specyalnych

warunków środowiska, a zarazem izolacyi, zatrzymały się na niższym stopniu rozwoju, zatracając zarazem podatność do wchłaniania nowych elementów kultury, giętkość przystosowania się do odmiennych warunków bytu — grupy takie z góry skazane są na zagładę, na mniej lub więcej szybkie wymarcie. Przykładów w tym względzie mamy bardzo wiele. W miarę rozwoju badań etnologicznych i docierania badaczy-podróżników do okolic coraz mniej dostępnych, poznajemy wciąż nowe plemiona o właściwościach fizycznych prymitywnych, o nizkim poziomie kultury, które przy zetknięciu się z elementami kulturalnie doskonalszymi szybko giną w zbyt nierównej walce. Do takich plemion szczątkowych należą między innymi: Weddowie cejlońscy, Toalowie na Celebesie, szereg szczepów z głębi Sumatry i z półwyspu malajskiego, plemiona karle z dziewiczych lasów Afryki zwrotnikowej, Buszmeni z Kalahari, wreszcie Australczycy. Autochtoni Tasmanii wymarli już nawet zupełnie.

I właśnie dlatego, że plemiona szczątkowe stanowią resztki ginącego świata etnicznego, zachodzi tem większa potrzeba jaknajdokładniejszego ich zbadania, zarówno pod względem fizycznym, jak kulturalnym.

Wewnątrz bowiem grup takich, mniej lub więcej silnie izolowanych, rozwój progresywny musiał ulegać pewnemu zastojowi, wskutek złagodzenia walki o byt, a zarazem wskutek utrudnionej wymiany elementów rasowych, t. j. słabego procesu mieszania się ras. W związku z tem grupy podobne były w możności pozostać bardziej konserwatywnemi, mogły zachować większą dozę pierwotności, niż rasy ścierające się ustawicznie ze sobą w żywo pulsującej walce o byt. W nich więc łatwiej, niż w innych pozostałych grupach ludzkich, odnajdywać możemy, zarówno pod względem somatycznym, jak pod względem kulturalnym, ślady dawniejszych, przebytych już stadyów rozwoju ludzkości.

*

* *

Zdaniem wielu wybitnych badaczy, jak Huxley'a, Peschla, Stratza, Klaatscha i innych, z pośród ras ludzkich dziś żyjących jedną z najpierwotniejszych są Australczycy.

O pierwotności fizycznej Australczyków świadczy zarówno zachowanie przez nich wielu prymitywnych znamion budowy, jak

szerokie granice wahań typu fizycznego i stosunkowo nieznaczny rozwój w kierunku jednostronnym, specyalnym. Opierając się na tych danych, Stratz przypuszcza, że z pośród wszystkich znanych nam dziś grup ludzkich Australczycy najmniej odsunęli się od typu zasadniczego, pierwotnego, t. j. od typu, który mógł dać początek całokształtowi ras ludzkich. I rzeczywiście, w rasie australskiej odkrywamy w stanie zaczątkowym, pierwotnym wiele cech fizycznych, będących cechami charakterystycznemi dla trzech grup dziś tak odrębnych, jak rasy: biała, żółta i czarna.

Co się tyczy poziomu kulturalnego Australczyków, to wszelkie badania, prowadzone dotychczas na lądzie Australii, dowodzą niezmiernej pierwotności obyczajów jej mieszkańców, minimalnego zakresu ich potrzeb, prostoty narzędzi, ubóstwa objawów życia duchowego — co wszystko razem składa się na obraz stosunków niewątpliwie bardzo prymitywny.

Zważywszy więc, że wymierający Australczycy stanowią grupę etniczną tak rzeczywiście ciekawą, a jednocześnie tak stosunkowo mało nam znaną, zamierzam przytoczyć tu wyniki najnowszych badań naukowych, prowadzonych na lądzie Australii przez Klaatscha, Mathewsa, Schmidta, Northcota, Basedowa, Strehlowa i innych.

*

* *

Charakteryzując Australię, Peschel pisze o niej, że jest ona wyspą, pozbawioną stron dodatnich klimatu wyspowego, krajem stepowym bez zwierząt kopytowych, właściwych stepom, środowiskiem spokoju i sennej walki o byt, czemś w rodzaju schroniska i przytułku dla świata roślinnego i zwierzęcego epok minionych.

Rzeczywiście, dziwnym lądem jest Australia; dziwnym zarówno pod względem stosunków hydrograficznych i klimatycznych, jak w zakresie fauny i flory.

Cechą znamienną klimatu Australii jest suchość. Jedynie tylko część północna, wschodnia i południowo-wschodnia, a raczej pas nadbrzeżny, ciągnący się na tej przestrzeni, ma dosyć opadów. Już jednak po drugiej stronie gór i wyniosłości, biegnących wzdłuż wybrzeża, stosunki ulegają nagłej zmianie i ilość opadów redukuje się do połowy, a im dalej posuwamy się w głąb

lądu, tem susza daje się silniej we znaki. Suchość ta wynika zresztą nietyle z małej wogóle ilości opadów, jak z nierównomiernego ich rozkładu w ciągu roku. Czasami przez ciąg kilku dni spada cała niemal roczna ilość deszczu w postaci niepojętej wprost ulewy, natomiast pozostałe miesiące nie otrzymują żadnych zgoła opadów. Stąd też częstokroć tam, gdzie podróżny dziś umiera niemal z pragnienia, jutro, gdy okolicę nawiedzi nagła powódź, grozi mu śmierć z utonięcia wśród równiny zalanej, jak oko sięgnie, wodami. Wnętrze Australii, a także jej część zachodnia i południowa najbardziej cierpią wskutek braku i nieregularności opadów. Jakoż ogromne przestrzenie mają tu charakter bądź stepu o roślinności spalonej, suchej, szarej, bądź nawet pustyni kamienistej lub piasczystej ze zwałami diun i jeziorami słonemi.

Pod względem ubóstwa wód bieżących Australia przewyższa wszystkie inne lądy. Z pośród rzek, dosięgających morza, jedynie tylko Murray posiada systemat rozgałęziony i obejmujący przestrzeń bardzo rozległą. Według Réclus, przestrzeń ta przewyższa obszar systematu Tygrysa i Eufratesa razem wziętych, Dunaju, rzeki św. Wawrzyńca i dorównywa obszarowi, jaki zajmuje Ganges z dopływami! Lecz jakże znikomo mała wobec tej przestrzeni jest ilość wody, którą Murray wlewa do oceanu; wydajność jego roczna wynosić ma zaledwie około 350 met. sześć. na sekundę, czyli mniej, niż wydajność Sekwany! Przyczyną tak niezwykłego stosunku pomiędzy obszarem zajmowanym przez systemat rzeczny a ilością wody przezeń dostarczaną jest wielkie ubóstwo wody w dopływach Murraya; z pośród nich, a szczególniej z pośród dopływów drugiego rzędu, wiele jedynie tylko po deszczach ulewnych jest w możności dosięgnąć koryta rzeki głównej, przeważnie zaś wątłe te arterye wyczerpują się po drodze, wsiąkając poprostu w ziemię. Takie właśnie tylko okresowe istnienie wielu rzek i strumieni jest właściwością Australii, a szczególniej jej pustynno-stepowych okolic zachodnich, południowych i wewnętrznych. Te same strumienie, których nikłe ślady przez większą część roku ujawniają się w postaci wyschłego, kamienistego łożyska, lub szeregu płytkich kałuży, nagle, po spadnięciu deszczów ulewnych, przekształcają się w rwące potoki lub szeroko rozlane rzeki. Nic dziwnego przeto, że w opisach podróży po Australii czytamy o rzekach, „w których było," lub „w których nie było wody;" tu bowiem „woda" nie jest bynajmniej koniecznym atrybutem „rzeki." Tam, gdzie częstokroć jeden z podróżników napotyka szeroką wstęgę rzeczną o brzegach porosłych bujną roślinnością, następca jego, wędrujący przez tę samą okolicę,

widzi jeno wyschłe łożysko ze szczątkami zamierających drzew, krzewów i trawy. Zmianom podobnym ulegają również i jeziora Australii; wiele z nich wysycha zupełnie w porze bezdeszczowej, pozostawiając na dnie bądź warstwę spękanego mułu lub gliny, bądź biały osad solny.

Obok suszy, ujemną stronę klimatu Australii stanowią silne wiatry. Szczególniej przykry, a nawet zgubny dla rolnika i pasterza jest wiatr rozpalony, wiejący częstokroć w porze letniej od wnętrza lądu ku wybrzeżu wschodniemu i południowemu. Działanie jego podobne jest do działania Sirocca afrykańskiego: temperatura nagle podnosi się, żar i suchość powietrza wyczerpują rośliny, zwierzęta i ludzi i jeśli wiatr nie ustaje dość szybko kwiaty i liście warzą się, jak od mrozu, owoce na drzewach ulegają literalnie upieczeniu, woda w cysternach wysycha, a wiele ptactwa i zwierząt pada ofiarą gorąca i suszy. Subtelny czerwonawy pył wypełnia powietrze, unosząc się nakształt obłoków nawet daleko nad morzem, i gdy wreszcie nastąpi upragniona zmiana wiatru, okazuje się, że wszystkie przedmioty—trawa, rośliny, pokryte są warstwą rudawego kurzu. Stąd koloniści zwą wiatr ten „ceglarzem“ (bricklayer). Zmianie wiatru, szczególniej w lecie, towarzyszą zazwyczaj gwałtowne nawałnice, określane nazwą „bursters,“ czyli wybuchów. Również i cyklony dają się tu dotkliwie we znaki.

Pomimo jednak suszy, wiatrów i dość znacznych różnic temperatury, występujących szczególniej silnie wewnątrz lądu, klimat Australii jest wogóle bardzo zdrowotny, gdyż pozbawiony wilgotnych, błotnistych wyziewów, rodzących febrę, malaryę i gorączki.

W związku z suchym i surowym klimatem Australii roślinność jej nosi na sobie piętno odporności na suszę i na zmiany klimatyczne. Liście są tu twarde, skórzaste, co chroni je od nadmiernego parowania, częstokroć też wiszą lub sterczą pionowo, albo mają postać nitkowatą, co pozwala im przeciwstawiać mniejszą powierzchnię palącym promieniom słońca; korzenie długie i rozgałęzione przystosowały się do wyszukiwania wilgoci na znacznej przestrzeni i głębokości. Wyjątek pod tym względem stanowi poniekąd flora pasa nadbrzeżnego północnego i wschodniego, która też mniej obfitując w rośliny charakterystyczne dla Australii, posiada natomiast wiele gatunków właściwych Indonezyi. Lasy Australii mają wygląd zupełnie odrębny zarówno od niedostępnych, splątanych lianami lasów zwrotnikowych, jak od gęstych borów i zwartych lasów mieszanych strefy umiarkowanej.

Tu las składa się z drzew wysokopiennych, zrzadka rozsianych na przestrzeni porosłej trawą bądź nizkimi krzewami, co tworzy krajobraz zadrzewionej łąki lub gaju. Dawniej na przestrzeniach takich pasły się stadka kangurów; obecnie, z chwilą kolonizacyi Australii przez Europejczyków, kangury stają się coraz rzadsze, a miejsce ich na pastwiskach leśnych zastępują owce. Jednocześnie w okolicach, zajmowanych przez kolonistów, liczba lasów stopniowo się zmniejsza, farmerzy bowiem dla rozszerzenia pastwisk, a zarazem w celu zachowania dla traw całego zapasu wilgoci podskórnej i deszczowej, niszczą częstokroć znaczne obszary leśne, bądź wycinając masowo drzewa, bądź poprostu obdzierając tylko pierścień kory dokoła pni drzewnych. Wśród gatunków drzew właściwych Australii przeważają *eukaliptusy*, występujące tu w liczbie około 120 odmian i stanowiące większość lasów Australii; charakterystyczne są nadto dla niej: *kazuaryny*, czyli rzewnie, o długich, spuścistych włóknach zamiast liści, *drzewa trawiaste*, w postaci wielkich kęp, z których środka wystrzela trzcinowata łodyga, okryta w porze kwitnienia białemi gwiazdami kwiatów, *drzewo baniaste*, o pniu dziwacznie wydętym, i inne.

W miarę jak od wybrzeży posuwamy się w głąb lądu Australii, w miarę jak suchość powietrza i gruntu wzrasta, roślinność kurczy się, karleje, lasy i łąki ustępują miejsca obszarom stepowym, bądź porosłym kępami ostrej, twardej, spalonej trawy, bądź pokrytym gęstwiną splątanych, kolących krzewów, znaną pod nazwą *skrubu*.[1]) Skrub jest wyłączną właściwością Australii; jedynie tylko „macchię“ korsykańską możnaby poniekąd uważać za słabsze i łagodniejsze jego odbicie. Obszary skrubu, ciągnące się częstokroć na przestrzeni wielu mil kwadratowych, stanowią niezmierne utrudnienie komunikacyi przez wnętrze Australii, niektóre bowiem jego części są wprost nieprzebyte i wielu podróżników daremnie usiłowało przedrzeć się poprzez zbitą gęstwę gałęzi i łodyg równie odpornych na razy topora, jak na działanie ognia. Wygląd skrubu bywa rozmaity, zależnie od roślin, jakie go składają. Prawdziwym postrachem dla podróżnych jest t. zw. *mulgascrub*, złożony z akacyj karłowatych i karłowatych eukaliptusów, rosnących pospołu i tworzących gęstwinę zwartą i niedostępną o zabarwieniu monotonnie szarem, spopielałem, martwem.

---

[1]) „Scrubby“ znaczy po angielsku: lichy, podły, plugawy; „scrub“—obszarpaniec, szubrawiec; „to scrob“—drapać, szorować,—co wszystko razem trafnie maluje charakter tego ciekawego typu florystycznego.

Obszary, pokryte eukaliptusem „Dumosa“ (t. zw. *maleyscrub*), którego pień ulega rozgałęzieniu dopiero na wysokości, jakich 3—4 metrów, są już dostępniejsze. Wreszcie gęstwiny, złożone z *krzewów myrtowatych* (malaleuca), mniej zbitych, rosnących w odstępach nieco rzadszych, są najbardziej urozmaicone i najłatwiej dają się przebywać. Dla umożliwienia i ułatwienia komunikacyi przez obszary zajęte skrubem, co jest zarówno ważne dla kolonistów-hodowców, jak dla eksploatorów pól złotodajnych i kopalni australskich, rząd angielski wyznacza drogi poprzez skrub, wycinając lub wypalając szerokie szlaki gęstwiny.

Z wyjątkiem pasa nadbrzeżnego północnego i wschodniego i obszarów uprawnych, zajętych przez kolonistów, ląd australski odznacza się ubóstwem roślin, mogących służyć za pokarm jego mieszkańcom. Ubóstwo to wyraża się jeszcze silniej pod względem jakościowym, niż pod względem ilościowym, mało tu bowiem zbóż i roślin o owocach lub kłączach pożywnych. Stąd też w częściach zachodnich i środkowych lądu głód daje się często odczuwać krajowcom, zmuszając ich do ustawicznej zmiany siedzib, do ciągłej wędrówki w poszukiwaniu pożywienia. Szczególniej krytyczne są okresy suszy i powodzi. Wrażenie ubóstwa pokarmu roślinnego w Australii jest tem silniejsze dla Europejczyka, że wiele substancyj, jadanych przez ludność miejscową, jest wprost nieznanych dla nas i nieraz zdarzało się, że krajowcy ratowali białych od głodu, przynosząc im pokarm roślinny, którego ci ostatni nie byliby w stanie sami znaleźć. Grey wylicza np. dla południowo-zachodniej Australii 7 gatunków korzeni jadalnych, 4 gatunki żywicy, 7 gatunków grzybów, wiele owoców i jagód, wreszcie obfitujące w miód kwiaty banksyi (proteaceae). W pasie północnym i wschodnim lista powyższa znacznie się zwiększa, przybywa tu bowiem kilka gatunków palm jadalnych, niektóre rośliny strączkowe, nasiona niektórych traw, a szczególniej obfitującej w ziarno Marsilia Drumondi, wreszcie wiele owoców. Wprawdzie żadna z roślin właściwych Australii nie stała się przedmiotem uprawy dla krajowców, lecz przyczyną tego faktu jest raczej nizki poziom kulturalny Australczyków, niż brak roślin nadających się do uprawy.

Przejdźmy do fauny Australii. Oddzielenie się Australi i od wielkiego masywu lądowego euro-azyatyckiego nastąpiło w tym okresie ewolucyi fauny, gdy rozwój ssawców nie doszedł był jeszcze do wyróżnicowania się ssaków wyższych i jedynymi przedstawicielami ssących były *stekowce i workowate*. Dzięki temu i wskutek następnej długotrwałej izolacyi Australii, wówczas gdy w in-

nych okolicach ziemi świat zwierzęcy, pod wpływem walki o byt i różnorodności środowiska, wydawał z siebie coraz nowe, coraz wyższe postacie ssawców, a zaś pierwotni ich przedstawiciele znikali z widowni — na lądzie Australii, wobec nieznacznych tylko przekształceń środowiska i łagodniejszej walki o byt, te właśnie ssaki niższe mogły uledz zachowaniu i zdołały przetrwać aż do chwili obecnej w postaci stosunkowo niewiele tylko zmienionej. Natomiast ssawców wyższych: parzysto- i nieparzystokopytowych, drapieżnych, małp, Australia nie posiadła zupełnie; na jej własnym obszarze brakło bowiem bodźców, któreby wywołały ich wyróżnicowanie się, a izolacya wyspowa stanowiła przeszkodę w przedostaniu się tych zwierząt z sąsiedniego lądu azyatyckiego. Wprawdzie wewnątrz ssaków workowatych Australii nastąpiło zróżniczkowanie się, odpowiadające pod niektórymi względami, mianowicie pod względem trybu życia i w zakresie odżywiania się, kierunkom rozwojowym ssawców wyższych; mamy tu bowiem torbacze drapieżne, owadożerne i mięsożerne, torbacze gryzonie, torbacze trawożerne; wszystko to jednak są postacie *bezłożyskowe*, niższe rozwojowo, o znamionach nader pierwotnych. Zwierzęta domowe: bydło, konie, owce, trzoda chlewna, króliki, koty i psy dostały się do Australii dopiero wraz z kolonizacyą europejską. Również i nawpół dziki pies, *Dingo*, którego Europejczycy zastali już w Australii, według wszelkiego prawdopodobieństwa przedostał się na ten ląd w stanie udomowionym, jako towarzysz człowieka, mianowicie z imigrantami z Indonezyi, którzy na łodziach lub wprost na klocach drzewa, a nawet wpław, przypadkowo lub celowo dotarli do wybrzeży australskich. Tu uległ dingo ponownemu zdziczeniu.

Bezporównania mniej odrębna, niż w zakresie ssawców, jest fauna Australii w zakresie ptaków, dla których, rzecz prosta, izolacya wyspowa znacznie słabszą stanowiła zaporę. Wprawdzie spotykamy tu charakterystyczne dla Australii *kazuary*, *emu i lirogony*, pozatem jednak świat ptasi australski mieści w sobie cały szereg gatunków właściwych Indonezyi, Polinezyi i półwyspowi Indochińskiemu.

W związku z objawem peryodycznego wysychania rzek i jezior Australii pośród nielicznych stosunkowo gatunków ryb, żyjących w jej wodach, spotykamy ciekawe ryby dwudyszne, posiadające obok aparatu oddechowego skrzelowego prymitywny aparat płucny. Budowa taka pozwala im przebywać porę suszy w płytkich, zarośniętych kałużach, w mule rzecznym. Przedstawicielem

ryb dwudysznych w Australii jest gatunek *Ceratodus*, dosięgający kilku stóp długości.

Ubóstwo i trudność zdobycia pokarmu zwierzęcego w silniejszym jeszcze stopniu daje się odczuwać krajowcom Australii, niż brak pokarmu roślinnego. Kangury i strusie-emu, stanowiące najgrubszą zwierzynę, stają się tu coraz rzadsze, a zresztą polowanie na nie jest trudne ze względu na ich czujność i płochliwość; również tryb życia wyłącznie nocny wielu zwierząt workowatych utrudnia niezmiernie ich chwytanie; wreszcie ubóstwo wód słodkich pociąga za sobą brak ryb, mięczaków i innych zwierząt wodnych jadalnych. Najpomyślniejsze stosunki faunistyczne spotykamy naturalnie na tych obszarach Australii, gdzie roślinność jest najbujniejsza, a więc w części północnej, wschodniej i południowo-wschodniej. Jednakże i tu nawet krajowcy cierpią na dotkliwy brak pokarmu zwierzęcego, co staje się przyczyną ustawicznych napadów na stada kolonistów europejskich. Dla mieszkańców wybrzeży głównym artykułem spożywczym są mięczaki i ryby; na wybrzeżu zachodniem i południowem polują oni również na *diugonie* (halicore indica). Oprócz różnorodnego ptactwa i jaj ptasich Australczycy jadają jaszczurki i niektóre gatunki wężów. Gąsiennice chrząszczy, żyjących na palmie trawiastej, są bardzo poszukiwane i uważane za przysmak.

Wogóle jednak, z chwilą kolonizacyi europejskiej zarówno świat roślinny, jak zwierzęcy Australii uległ doniosłym modyfikacyom, zyskując znaczną domieszkę nowych gatunków roślin i zwierząt, przeważnie łatwo aklimatyzujących się na nowym gruncie, a nawet wypierających słabsze gatunki miejscowe, które powoli giną i cofają się w głąb lądu przed zaborem obcej fauny i flory.

Podobne wypieranie elementów miejscowych zachodzi w Australii i w zakresie człowieka.

Dzieje okupacyi Australii przez rząd angielski należą do kart dziejowych najsmutniejszych i najbardziej hańbiących ludzkość. Człowiek biały okazał się tu bezwzględnym i okrutnym ciemiężcą bezbronnych istot, które wyzuł z ich własnej ziemi, pozbawił w znacznej mierze środków do życia, prześladował i tępił niby zwierzęta dzikie, obdarzając wzamian dobrodziejstwami kultury w postaci alkoholizmu i szeregu chorób importowanych z Europy.

Już pierwszym błędem Anglii w stosunku do Australii było utworzenie z niej kolonii karnej dla swych przestępców; wskutek tego element, z którym najsamprzód zetknęli się krajowcy, był elementem ujemnym, złożonym z zesłańców, po większej części

zbrodniarzy, i z ich dozorców, ludzi surowych i okrutnych. W roku 1778, czyli w lat 8 po odkryciu przez Cooka zachodnich wybrzeży Australii, pierwszy transport, liczący 787 skazańców, zawinął do Botany-Bay w Nowej połud. Walii, przywożąc ze sobą, oprócz innych chorób zakaźnych, epidemię ospy, która, zawleczona od wybrzeży w głąb lądu, grasowała tu aż do r. 1840, zabierając niektórym okolicom połowę ich mieszkańców. W przeciągu lat 42, t. j. do r. 1820, Australia wchłonęła 25,878 zesłańców płci obojga; od tej chwili jednak liczba imigracyi znacznie wzrasta, poczynając bowiem od r. 1820, do kolonizacyi karnej przymusowej przyłącza się ruch kolonizacyjny dobrowolny, czyli wychodźtwo. Z chwilą tą również powstaje gorący protest wśród kolonistów wolnych przeciw deportacyi przestępców na terytoryum australskie. Po upływie lat 20, w r. 1840, słuszna ta pretensya zostaje wreszcie uwzględniona, przynajmniej w zakresie wybrzeży wschodnich, ponieważ Tasmania w r. 1853, a Australia Zachodnia w 1868, otrzymywały jeszcze skazańców na osiedlenie. Obecnie element pierwotnych zesłańców uległ zupełnemu wsiąknięciu w masę pozostałej ludności.

Zaludnienie Australii nigdy prawdopodobnie nie było gęste; nie posiadamy jednak żadnych danych dokładnych co do liczby krajowców w pierwszych momentach imigracyi europejskiej. W każdym bądź razie wymieranie autochtonów przy zetknięciu z Europejczykami następowało bardzo szybko. Dane statystyczne z r. 1881, dotyczące terytoryów zajętych przez kolonizacyę, określają liczbę Australczyków, żyjących na tym obszarze, na jakie 30,000; w r. 1899 liczba ta redukuje się do 6000 osobników zaledwie![1]) W samej tylko prowincyi Wiktoryi od r. 1824—81 liczba krajowców spada z 5000 na 750, czyli 6-iokrotnie; w chwili zaś obecnej, jak podaje Klaatsch, pozostało ich nie więcej jak 300! Wprawdzie nazewnątrz terenów, zajętych przez kolonizacyę w Zachodniej, Południowej i Północnej Australii, a także w głębi lądu, chroni się pewna ilość szczepów nieobjętych statystyką, zdala od zetknięcia z białymi przybyszami, lecz liczba tych wolnych jeszcze gromad nie może być znaczna wobec tego, że właśnie najlepsze, najurodzajniejsze obszary Australii zostały zajęte przez białych, i to, co pozostało krajowcom z ich ojczyzny, stanowi przeważnie jej część najsuchszą, najdzikszą, najuboższą, a co zatem idzie niezdolną do zapewnienia życia większej ilości miesz-

[1]) Sievers, Australien. Bibliographisches Instit. 1902.

kańców. W każdym bądź razie wszędzie, gdzie ludność napływowa jest rzadsza, liczba krajowców stosunkowo wzrasta—i odwrotnie. Jest to oczywistym dowodem cofania się i ulegania elementu miejscowego przed elementem obcym, zaborczym. W północo-zachodniej Australii np., gdzie dotychczas istnieją nieznaczne tylko osady europejskie, ilość krajowców, jak podaje Klaatsch, obliczana jest przeszło na 20,000; wprawdzie jest to bardzo niewiele jak na olbrzymi obszar, na którym szczepy te są rozproszone, stosunek jednak do liczby obcokrajowców, obliczonych na 50,000, przedstawia się tu o wiele lepiej, niż w prowincyach południowo-wschodnich, gdzie ludność miejscowa niemal zupełnemu uległa wymarciu.

Pierwszych lat kilkadziesiąt kolonizacyi angielskiej stanowi dla Australii poprostu okres krwawej obławy i masowego tępienia krajowców. Najlepszą illustracyą stosunków, jakie do niedawna jeszcze panowały na tym obszarze, jest kompletne „oczyszczenie“ wyspy Tasmanii od jej mieszkańców, ludności spokojnej i łagodnej, którą koloniści zastali tu w liczbie około 7000 osobników. W r. 1834 szczątki tej rasy zostały osaczone na jednym z przylądków i zabrane do niewoli; zwycięstwo to nad bezbronnymi obchodzono uroczyście, a bohaterski organizator wyprawy, Robinson, otrzymał od rządu, jako nagrodę, 400 hektarów ziemi; nadto współrodacy zebrali dla niego składkę wysokości około 40,000 dolarów! Nieszczęśni jeńcy, przewożeni kilkakrotnie z jednej wysepki na drugą, ostatecznie zostali relegowani w liczbie 200 osobników na wyspie Flinders, pomiędzy lądem a Tasmanią. Lecz już po upływie 10-ciu lat pobytu przeszło $^3/_4$ zesłańców uległo wymarciu. Wówczas dopiero rząd odczuł litość, czy też wyrzut sumienia względem swych ofiar; 12 mężczyzn, 22 kobiety i 10 dzieci, przeważnie metysów, zostało przewiezionych z powrotem na Tasmanię i umieszczonych na przylądku Oyster-cove pod dozorem kilku urzędników. Tu w r. 1869 zmarł ostatni mężczyzna Tasmańczyk, a w r. 1876 ostatnia Tasmanka, królowa Truganini, zeszła do grobu w ślad za swojem plemieniem. Podobnych przykładów okrucieństwa i znęcania się nad krajowcami możnaby przytoczyć wiele w dziejach okupacyi Australii!

Dziś stosunek rządu do ludności miejscowej uległ niewątpliwie znacznemu złagodzeniu; jednak wypieranie tubylców odbywa się w dalszym ciągu na drodze pozornie nawet prawnej, wskutek całego szeregu czynników zgubnych, wypływających z samego już zetknięcia się krajowców z ludnością napływową. Samo zjawienie się stad bydła i owiec, lub baraków poszukiwaczy złota

w okolicy dotychczas niezajętej przez kolonizacyę staje się hasłem ustąpienia lub zagłady dla krajowców; kangury bowiem i inna zwierzyna umyka, lub zostaje wkrótce wytępiona,[1]) kradzież bydła podlega surowej karze więzienia, połączonej częstokroć z odległą deportacyą, i nawet pokojowe stosunki z przybyszami wpływają na Australczyków rozkładowo, zaszczepiając wśród nich rozmaite choroby i alkoholizm. Wszelkie zaś zatargi krwawe pomiędzy obu stronami, co w podobnych warunkach musi być na porządku dziennym, kończą się przeważnie z krzywdą dla Australczyka. Nawet bowiem chwilowe zwycięstwo nad człowiekiem białym, chociażby w obronie własnego mienia lub własnej egzystencyi, ściąga zazwyczaj na krajowców wyprawę karną, która zagarniając winnych i niewinnych, odrywa ich od siedzib i gna do najbliższego posterunku władz dla osądzenia przestępstwa. Odbywa się sąd, a raczej parodya sądu, gdyż obwiniony niemal zawsze zostaje skazanym, i oto nowy transport nieszczęsnych ofiar wędruje pod eskortą żołnierzy do miejscowości niekiedy bardzo odległych, by odsiadywać karę za to, że śmiał buntować się przeciw przemocy, lub chciał nasycić głód kosztem tłustego stada, pasącego się na jego własnej łące.

W świeżo odbytej podróży naukowej po Australii Klaatsch zwiedzał więzienia, w których przebywali krajowcy i kilkakrotnie spotykał podobne transporty skazańców, poskuwanych łańcuchami za ręce lub za szyję. Wielu z nich umiera przed upływem terminu kaźni; część jednak powraca, unosząc ze sobą uczucie nienawiści i lęku względem przedstawicieli kultury, częstokroć najniesłuszniej zwanej „wyższą.“ Wprawdzie, w miarę posuwania się kolonizacyi, rząd pozostawia krajowcom pewne obszary niezajęte, t. zw. „rezerwy,“ i ustanawia nad nimi rodzaj pieczy i ochrony w osobie „protektorów;“ środki te jednak nie są w stanie zapobiedz nadużyciom ze strony kolonistów i niższych organów władzy i ustawicznym starciom z ludnością miejscową. Według informacyj, jakie Klaatsch zebrał w Australii Zachodniej, wystarcza lat 40-u od chwili pierwszego zetknięcia się białych z Australczykami dla doprowadzenia tych ostatnich do stanu wymierania, t. j. do momentu, w którym liczba śmierci przewyższa liczbę urodzeń. Jednym z najważniejszych czynników, działających w tym względzie, ma być pozbawienie krajowców kobiet przez kolonistów, a w czasach ostatnich i przez Malajów, którzy

[1]) Jak podaje Réclus, w przeciągu 16 miesięcy zabito 220,000 kangurów w jednym tylko okręgu Warwick w Queenslandzie.

w charakterze poławiaczy pereł licznie nawiedzają wybrzeża zachodnie. Nic dziwnego, że wobec takiego postępowania ze strony ludności napływowej, w wielu okolicach stosunki są niezmiernie naprężone i tam, gdzie krajowcy stanowią dość silny element, np. w prowincyach zachodnich, zachowanie się ich względem białych jest wprost nawet wrogie. W innych znów okolicach unikają oni niejako instynktownie wszelkiego zetknięcia z Europejczykami, umykając lub kryjąc się za ich zbliżeniem.

A jednak najlepszym dowodem, że mogłoby być inaczej i że przyczyną takiego stanu rzeczy nie jest bynajmniej wrodzona dzikość Australczyków, lecz raczej postępowanie białych — są przyjazne stosunki, jakie potrafili zawiązać z ludnością miejscową niektórzy misyonarze w tej właśnie mało skolonizowanej i wrogo usposobionej północno-zachodniej części Australii. Pod względem umiejętności postępowania z krajowcami Klaatsch oddaje pierwszeństwo misyonarzom katolickim nad anglikańskimi; nie wywierają oni żadnego przymusu na plemiona, wśród których żyją, pozostawiając im jaknajwiększą swobodę i strzegąc nawet zachowania dawnych obyczajów, mowy, oręża, sprzętów i t. p. Dzięki temu, zyskują oni zaufanie i sympatyę krajowców i mogą o wiele skuteczniej oddziaływać na nich, niż to ma miejsce w misyach protestanckich i anglikańskich Queenslandu.

Mówiąc o czynnikach powodujących wymieranie Australczyków, nie mogę nie wspomnieć i o tych przyczynach, które tkwią w nich samych, w ustroju wewnętrznym szczepu i rodziny i osłabiają w znacznym stopniu ich żywotność. Przedewszystkiem wskazać tu należy na obyczaj ograniczania liczby potomstwa drogą poronień, a nawet dzieciobójstwa. Zarówno bezpośrednią, jak pośrednią przyczyną tego obyczaju jest właściwe Australii ubóstwo pokarmu roślinnego i zwierzęcego; działając bezpośrednio, wywołuje ono trudność wyżywienia liczniejszej rodziny, działając pośrednio, t. j. drogą wytworzenia życia koczowniczego, stwarza taki stan rzeczy, w którym dziecko staje się ciężarem i zawadą dla kobiety, zmuszonej do ustawicznej wędrówki w poszukiwaniu środków do życia. Również czynnikiem działającym ujemnie na rozmnażanie się Australczyków jest nierównomierny podział kobiet pomiędzy mężczyznami; mężczyźni bowiem starsi, skupiający w swem ręku władzę i mienie, przywłaszczają sobie większość kobiet, z pokrzywdzeniem osobników młodszych, stanowiących właśnie element fizycznie najsilniejszy.

*

* *

Jak wspominałem już wyżej, w zakresie znamion anatomicznych stwierdzamy u Australczyków niezmiernie obszerną skalę wahań. Zdaniem Stratza, Klaatscha i innych uczonych, te właśnie szerokie granice typu fizycznego, ten brak zróżnicowania w kierunku jednostronnym, specyalnym, w połączeniu z zachowaniem wielu cech rozwojowo-pierwotnych i przy nizkim stopniu kultury, są dowodem znacznej prymitywności rasowej krajowców Australii. Pod względem wielu cech fizycznych Australczycy zawierają w sobie elementy rasowe charakterystyczne dla ras: białej, żółtej i czarnej, t. j. cechy, które, pozostając u nich niejako w zawiązku, uległy silnemu zróżnicowaniu i skrajnemu rozwojowi u grup powyższych.

Pomimo długotrwałego oddzielenia Australii od wielkiego masywu lądowego zachodziły tu jednak pewne dopływy elementów etnicznych z Indonezyi i Melanezyi, a szczególniej z pobliskiej Nowej Gwinei; dopływy te jednak musiały być słabe, być może tylko przypadkowe, jak o tem świadczy zachowanie przez Australczyków bardzo nizkiego poziomu kultury w porównaniu z kulturą tych obszarów wyspowych. Bądź co bądź kwestya składu rasowego Australczyków dotychczas jest sprawą ciemną; powrócimy do niej jeszcze dalej, mówiąc o niektórych kwestyach z zakresu etnologii i socyologii krajowców Australii. Rozpatrzmy tymczasem znamiona fizyczne właściwe tej rasie.

Barwa skóry u Australczyków waha się w szerokich granicach pomiędzy zabarwieniem jasnem, złotawo-brunatnem a ciemnem, niebieskawo-brunatnem, a nawet zupełnie czarnem. Z tej obszernej skali dają się wyprowadzić zarówno skrajne barwy Negroidów i Mongoloidów, jak też—drogą depigmentacyi—ubarwienie ras białych. Te ostatnie rasy, przez zachowanie obszernej skali wahań od tonów najjaśniejszych do ciemno-brunatnych, najmniej stosunkowo odsunęły się od typu pierwotnego.

Podobną różnorodność, jak w zakresie ubarwienia skóry, spotykamy u Australczyków i w zakresie barwy i charakteru włosów. Występują tu bowiem zarówno włosy proste, jak faliste lub kędzierzawe, a barwa ich waha się od tonów rudych i bronzowych do zupełnie czarnych; w niektórych, rzadkich przypadkach spotykamy tu nawet zabarwienie popielato-blond ciemne. Przekrój włosów jest owalny. I znów z tych odmian uwłosienia, właściwych Australczykom, wyprowadzić możemy typ włosów ras żółtych, ras czarnych i ras białych; dla pierwszych charakterystyczne są włosy czarne, proste, o przekroju okrągłym, dla drugich—włosy również czarne, wełnisto-kręte, o przekroju eliptycznym;

co się zaś tyczy ras białych, to rozszerzyły one wprawdzie skalę barw, zyskując tony blond bardzo jasne, zarazem jednak pozostały najbliżej typu pierwotnego przez zachowanie ogromnej różnorodności charakteru uwłosienia.

Obfitość zarostu i uwłosienia ciała ulega u Australczyków również znacznym wahaniom; atoli wykazują oni pod tym względem większe zbliżenie do stosunków właściwych rasom białym, aniżeli do słabo uwłosionych ras żółtych i czarnych.

Co się tyczy budowy ciała Australczyków, to przeważa wśród nich typ wysmukły i szczupły; umięsienie jest tu przeważnie słabo rozwinięte, natomiast giętkość ciała jest znaczna. W porównaniu z kanonem budowy Europejczyka, Australczyków znamionuje zbytnia długość kończyn górnych, co uważane jest za cechę pierwotności rozwojowej. Wogóle w budowie anatomicznej Australczyków spotykamy cały szereg znamion podobnych, będących objawem zachowania pierwotności rozwoju, czyli pozostających w związku z przebytemi niegdyś stadyami ewolucyjnemi. Jako cechy takie uważane są, między innemi, w zakresie tułowia i kończyn Australczyków: słabsze wygięcie okolicy lędźwiowej kręgosłupa, stosunkowa wązkość kości krzyżowej i miednicy, słaby rozwój mięśni łydkowych, płaskość i wązkość stopy, słaby rozwój pięty i pierwszego palca przy jednoczesnej jego większej ruchliwości i t. p. Objawy powyższe, zdaniem tak wybitnych badaczy, jak Stratza, Wiedersheima, Schöetensacka, Klaatscha i innych, są zachowaniem śladów tego stadyum rozwojowego, gdy chód w pozycyi pionowej kształtował się dopiero i gdy, w związku z tem, dolna część tułowia słabiej była rozwinięta, a noga, mniej wydoskonalona jako przyrząd podpierający ciało przy chodzie wyprostowanym, nie zatraciła była jeszcze swych właściwości narządu chwytnego. Niezmiernie jaskrawy przykład takiego właśnie przyzostania stopy na drodze rozwoju stosunków ludzkich miał możność zaobserwowania Klaatsch u jednego z więźniów australskich. Palce pierwsze obu stóp były tu znacznie krótsze od drugich, a zarazem były oddzielone od nich szeroką szparą, co nadawało stopom wygląd poniekąd dłoniopodobny. Przytem sprawność palców była tak znaczna, że pozwalała trzymać kamień silnie ujęty pomiędzy pierwszym palcem a pozostałymi lub podnosić drobne przedmioty. Przykłady równej długości drugiego i pierwszego palca, przy jednoczesnej silnej ruchliwości tego ostatniego, obserwował Klaatsch częstokroć wśród Australczyków.

Od budowy tułowia i kończyn przejdźmy teraz do budowy twarzy i głowy. Typem przeważającym wśród Australczyków

jest typ długogłowy, przyczem wysokość sklepienia czaszki ulega wahaniom w szerokich granicach. Ciekawem znamieniem, występującem tu częstokroć na czaszce, są silne zgrubienia kostne, biegnące ponad oczodołami w postaci łuków mniej lub więcej ciągłych. Słabiej wyrażone u kobiet, u mężczyzn wysuwają się niekiedy dachowato naprzód, wskutek czego oczy zdają się tem głębiej osadzone w orbitach. Znamieniem tem zbliżają się Australczycy do t. zw. rasy Neandertalskiej, kopalnej rasy czwartorzędowej, której szczątki znalezione zostały w kilku punktach Europy. Czy jednak mamy tu do czynienia z cechą rozwojowo pierwotną, z zachowaniem budowy właściwej odległym przodkom naszym, czy też przeciwnie ze znamieniem nabytem następczo przez niektóre grupy ludzkie, ze znamieniem rozwoju specyalnego, jest to kwestya dotychczas nierozstrzygnięta, choć skupiająca dokoła siebie żarliwe spory anatomów-antropologów. W zakresie budowy twarzy cechami niewątpliwie prymitywnemi są u Australczyków: nos szeroki, płaski, wklęsły u nasady i bródka słabo rozwinięta, mniej lub więcej cofnięta w tył. Pomimo silnego rozwoju szczęk, prognatyzm zębowy, t. j. wysunięcie naprzód części zębodołowej szczęk, jest tu przeważnie słabo wyrażony. Zęby silne i zdrowe; znamieniem prymitywności jest w tym zakresie silny rozwój trzecich trzonowych (zębów mądrości), a nawet w rzadkich przypadkach występowanie czwartego zęba trzonowego. Wargi u Australczyków bywają przeważnie mięsiste i odwinięte; przekrój ust szeroki. Właściwa Australczykom skłonność do wytwarzania wahań indywidualnych ujawnia się również i w zakresie wszystkich powyższych znamion.

Różnice płciowe drugorzędne są, z wyjątkiem zarostu u mężczyzn i piersi u kobiet, wogóle słabo zaznaczone; pod tym względem Australczycy, podobnie zresztą jak wiele innych plemion dzikich, zachowali znaczną prymitywność. Budowa kobiet w zakresie szerokości bioder, wydatności pośladka i ogólnego zaokrąglenia i miękkości kształtów niewiele tylko różni się od budowy mężczyzn. Również i pod względem kształtu piersi Australki zatrzymały się na niższym stopniu rozwojowym, niż rasy białe i żółte. Piersi ich bowiem osiągają zaledwie stadyum t. zw. mamma areolata, gdy wraz z brodawką i cała jej otoczka wyniesiona jest do góry, tworząc stożkowatą całość, wówczas gdy na następnem, najwyższem stadyum rozwojowem—t. zw. mamma papilata—sama już tylko brodawka wyodrębnia się i wznosi na jednolicie uwypuklonej piersi.

Ogólnie więc biorąc, powiedzieć możemy, że pod względem budowy ciała Australczycy stanowią grupę etniczną, wykazującą szerokie granice wahań indywidualnych przy jednoczesnem nagromadzeniu wielu znamion rozwoju pierwotnego.

Mówiąc o właściwościach fizycznych krajowców Australii, nie można nie podkreślić doniosłego wpływu, jaki wywiera na ich fizyczność środowisko, w którem żyją, t. j. otaczające ich warunki klimatyczne, florystyczne i faunistyczne. Schürrmann określa te wpływy słowami: „Gdzie kraj pustynny, tam i krajowcy są nieliczni i nędznego wyglądu; gdzie zaś okolica bogatsza, tam i ludność roślejsza i tęższa.“ Najdrobniejsze i najbardziej wychudłe są plemiona z wnętrza, gdzie trudność wyżywienia daje się najsilniej odczuwać. Natomiast na wybrzeżu zachodniem, północnem i na wschodzie spotykał Klaatsch szczepy doskonale rozwinięte.

O ile pod względem budowy ciała i rozwoju umięsienia Australczycy ustępują Europejczykom, o tyle przewyższają ich w zakresie wszystkich znamion, cechujących ludy dzikie, t. j. bystrości zmysłów: wzroku, słuchu, węchu, wytrzymałości na głód, zmęczenie, zwinności ruchów i t. p.

*

* *

Rozwój psychiczny Australczyków bywa częstokroć niewłaściwie oceniany, a raczej niedoceniany. Pochodzi to stąd, że zamiast rozpatrywać istotę psychiczną Australczyka w ścisłym związku z jego środowiskiem, na tle warunków jego bytu, czyli jako wielkość stosunkową, abstrahujemy ją od tych właśnie czynników, które ją wytworzyły i bierzemy do porównania jako wielkość absolutną. A przecież winniśmy pamiętać, że człowiek Australii rozwinął się w ramach izolacyi, przy nieznacznych tylko dopływach z zewnątrz, więc w warunkach znakomicie sprzyjających zastojowi, że wskutek tego pod wielu względami przyzostał on na stadyum kultury zaczątkowej, zyskując natomiast pewne właściwości odrębne, pewien rozwój specyalny. Wszyscy badacze, którzy głębiej wniknęli w istotę psychiczną Australczyków, stwierdzają u nich bynajmniej nie brak wszelkich zadatków rozwoju wyższego, lecz raczej stan uśpienia, stan wywołany brakiem bodźców, brakiem współzawodnictwa, ścierania się i parcia

naprzód w walce kulturalnej, lecz zarazem stan, nie wyłączający możności ewolucyi w razie zyskania odpowiednich bodźców i odpowiednich warunków. Najlepszym dowodem w tym względzie są stosunkowo pomyślne rezultaty, jakie dają szkoły misyjne. Lecz żądać od Australczyka, by dziś, w ciągu jednego lub dwóch pokoleń, umysł jego wykonał zawrotny skok naprzód, wchłonął w siebie wszystko, co dzieli okres kamienia od okresu elektryczności, a niemożność spełnienia tej szalonej mutacyi chrzcić mianem: niezdatności do kultury wyższej, jest to, jak słusznie twierdzi Klaatsch, wprost niekonsekwencyą, brakiem zrozumienia praw rozwojowych kultury.

Rzecz prosta, iż w związku z rodzajem życia, jaki pędzą Australczycy, w ciągłej wędrówce po stepie i lesie, na swobodzie, musiały się w nich rozwinąć, podobnie zresztą jak u ogółu ludów dzikich, takie właściwości umysłowe, jak: spryt, spostrzegawczość, pamięć lokalna, zdolności oryentacyjne, a także bujna fantazya. Brak im natomiast właściwości umysłów kulturalnych: zdolności koordynowania pojęć, wnikania w głąb rzeczy, przeprowadzania zawiłych kombinacyj myślowych, wogóle zdolności rozumowania.

Języki australskie, należące do grupy aglutynacyjnych, ujawniają na całym niemal obszarze Australii znaczne podobieństwa i zdają się tworzyć jedną zamkniętą w sobie rodzinę lingwistyczną. Według ostatnich badań P. W. Schmidta wyjątek pod tym względem stanowi tu trójkąt lingwistycznie odrębny, wrzynający się klinem od wybrzeży północnych ku południowi aż do okolic centralnych i wykazujący powinowactwo językowe z Nową Gwineą. Fakt ten wskazywałby tem samem i na odrębność etniczną plemion rzeczonych, co rzeczywiście zdają się potwierdzać niektóre obserwacye z zakresu etnologii i socyologii porównawczej. Że istniał pewien kontakt, choć słaby i chwilowy, pomiędzy wybrzeżem północnem a sąsiedniemi wyspami Indo- i Melanezyjskiemi, o tem świadczy wiele szczegółów życia i obyczajów szczepów nadbrzeżnych; łatwo więc przypuścić, że tą również drogą odbyła się imigracya pewnej grupy etnicznej, grupy dziś jeszcze objawiającej swą odrębność właściwościami językowemi i obyczajowemi. Języki australskie dzielą się na bardzo znaczną ilość narzeczy, każdy szczep bowiem posiada własny dyalekt; jednakże szczepy sąsiednie, a nawet dalsze, łatwo porozumiewają się z sobą. Wyrazy obce z łatwością zostają przyswajane; również łatwo powstają wyrazy nowe i synonimy. Wogóle Australczycy okazują niezaprzeczone zdolności lingwistyczne.

Wobec tego tem dziwniejszem wydawać nam się musi właściwe im ubóstwo wyrazów dla określenia wielkości liczebnych. Ilości wyższe nad 3, 4 lub wreszcie 5 określają oni bądź wprost wyrazem „wiele," bądź używając wyrażeń liczebnych złożonych, np. zamiast „sześć" — „trzy i trzy," bądź wreszcie stosując rozmaite omówienia, np. zamiast „pięć" mówią „ręka," zamiast „dziesięć"—„obie ręce," zamiast „dwadzieścia"—„ręce i nogi." Podobne ubóstwo liczebników pozostaje tu w związku z małemi wogóle zdolnościami rachunkowemi Australczyków.

Bardzo rozpowszechniona w Australii jest mowa na migi; w ten sposób jednak porozumiewają się zazwyczaj tylko członkowie jednego szczepu lub szczepów najbliższych, ponieważ znaki umówione są niezmiernie różnorodne.

O ile wykazują badania dotychczasowe umiejętność pisania występuje w Australii ledwo w postaci niezmiernie słabych zaczątków. Jedyne jej ślady posiadamy w postaci t. zw. pałeczek poselskich, czyli drewienek długości od 8—20 cali, kształtu walcowatego, trójbocznego, lub ściętych napłask z jednej strony i pokrytych rysunkiem obrazkowym lub kreskowym. Pałeczki takie wręczane są szczepom sąsiednim w celu zawiadomienia ich o jakiemś doniosłem wydarzeniu, dla zwołania ich na naradę, zgromadzenie, uroczystość szczepową i t. p. Krajowcy posiadają niezmierną wprawę w odczytywaniu tych pałeczek; zresztą w razie trudności poseł wyjaśnia znaczenie rysunku. Pałeczki poselskie nie są właściwością całego obszaru Australii; znaleziono je dotychczas w Queenslandzie, Nowej połud. Walii i południowo-zachodniej Australii. Klaatsch przypuszcza, iż są one przekształconą postacią t. zw. „Churingi,"—tajemniczego drewienka, któremu Australczycy przypisują doniosłe znaczenie religijno-mistyczne. Cóż mogło — mówi Klaatsch — być bardziej odpowiedniem do uwiarogodnienia osoby posła, jak wręczenie mu przedmiotu, otoczonego czcią i pewnym lękiem. Dopiero z biegiem czasu, w miarę jak u niektórych szczepów churinga zatracała swe znaczenie mistyczne, uległa ona przekształceniu w zwykłą pałeczkę poselską. Potwierdzeniem poglądu tego jest, zdaniem Klaatscha, fakt, iż pałeczek poselskich nie spotykamy u szczepów, u których kult churingi występuje w całej sile; natomiast zjawiają się one tam właśnie, gdzie kult churingi uległ zanikowi. Klaatsch posiada w swych zbiorach kilka churing, na których powierzchni znajduje się rysunek, najzupełniej odpowiadający typowi rysunków na pałeczkach poselskich; są to być może notatki, dotyczące życia osobników, do których należały święte drewienka, być może zaś

przykłady użycia churingi, jeszcze jako takiej, w charakterze pałeczki poselskiej.

Obok słabych zaczątków umiejętności pisania, spotykamy w Australii ciekawe próby kunsztu malarskiego. Nie mówię tu o barwieniu sprzętów, broni, ciała, lecz o rysunkach barwnych, znalezionych w kilku miejscowościach Australii na ścianach pieczar nadbrzeżnych i dalej w głębi lądu. Grey odkrył cały szereg malowideł takich w północno-zachodniej Australii nad rzeką Glenelg. Były one polichromiczne, wykonane gliną żółtą, czerwoną, białą, czarną i powleczone rodzajem żywicy, co, nadając im świeżość barw, chroniło je zarazem od wpływów atmosferycznych. Malowidła przedstawiały zwierzęta i postacie ludzkie i pomimo większej pierwotności rysunku i grubszego wykonania, przypominały znane malowidła buszmeńskie z Afryki południowej. Nad jednym z rysunków widniały znaki, stanowiące prawdopodobnie napis. Podobne malowidła, nawet znacznie doskonalsze, odkryto również w Queenslandzie i w Nowej połud. Walii.

Pozostawiając na później rozpatrzenie podań, mytów i wierzeń krajowców Australii, ich światopoglądu i wyobrażeń o życiu zagrobowem, chcę tu jeszcze powiedzieć słów parę o charakterze Australczyków. Podobnie jak przesadne lub zgoła nawet fałszywe słyszy się częstokroć zdanie o istocie umysłowej Australczyków, tak samo pogląd na ich istotę moralną bywa nieraz przesadny lub jednostronny, a to wskutek przykładania miary naszych pojęć i wyobrażeń do objawów ustroju psychicznego tak innego, jak nasz. Jednakże badacze, którzy czas dłuższy spędzili wśród krajowców Australii, przyznają im wiele cech charakteru dodatnich; do takich zaliczyć wypada: uczciwość, dotrzymywanie danego słowa, wytrwałość, umiejętność panowania nad sobą, energię, pewną wrodzoną dumę, przywiązanie rodzinne i t. p. Większość cech ujemnych charakteru Australczyka wypływa z niezmiernie silnie rozwiniętego samolubstwa, takiemi są: chciwość, okrucieństwo, umiłowanie zemsty, niewdzięczność, zawiść, skrytość. Australczyk nie kradnie; poszanowanie cudzej własności jest w nim silnie rozwinięte; natomiast kłamstwo jest jego właściwością: kłamie zręcznie i z widocznem zadowoleniem. Wada ta jednak wypływa w części z wrodzonej mu fantazyi, połączonej z nieumiejętnością dokładnego odgraniczenia rzeczywistości od złudy. Snom np. przypisują Australczycy wartość zdarzeń realnych, wyobrażając sobie, iż duch wychodzi z ciała i przeżywa w rzeczywistości to wszystko, co się śpiącemu marzy. Często robiony bywa Australczykom zarzut braku męstwa, i rzeczywiście podobne mniemanie

powziąć można, widząc ich symulowane napady, porwania, nawet rozprawy orężne. Częstokroć bój kończy się zupełnie bezkrwawo lub nieznacznym tylko przelewem krwi; niekiedy obie strony poprzestają na wymianie pogróżek i wymysłów. Walcząc Australczycy umieją zręcznie unikać ciosów, zasłaniając się tarczami, bądź też nagle odchylając ciało; umieją też chwytać w lot broń ciśniętą przez przeciwnika i odrzucać mu ją z pogardą. Stąd też walka trwa zazwyczaj długo i o ile zdaje się być zaciekła, o tyle wyniki jej świadczą o tem w słabym tylko stopniu. Niewątpliwie jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest obawa krwawej zemsty, będącej dla zabójcy niemal nieuniknionem następstwem zadanej śmierci. Rzecz więc prosta, iż w walkach prowadzonych między sobą, w walkach swoich własnych Australczycy nie mogą nam się wydać mężnymi w pojęciu naszem. Natomiast w walce z białymi przybyszami wykazali oni wielokrotnie duże męstwo i iście bohaterską pogardę śmierci i bólu.

*

* *

Poznawszy w krótkiem streszczeniu właściwości fizyczne i stopień uzdolnienia krajowców Australii, przypatrzmy się teraz ich życiu, ich potrzebom, ich obyczajom i ich wierzeniom, t. j. tym objawom, których całokształt pozwala nam wnioskować o kulturze danej grupy ludzkiej.

Życie Australczyka upływa w ciągłej wędrówce. Zasadniczą przyczyną tego koczownictwa jest suchość lądu Australii i nierównomierność opadów; pod wpływem długotrwałej suszy lub ulewnych deszczów znaczne przestrzenie przechodzą tu naprzemian od stanu nawpół martwego spalonego obszaru do stanu zieleniejącego gaju lub stepu, a w ślad za okresowo zwyciężającą lub też ustępującą florą i fauną posuwa się człowiek, którego egzystencya ściśle jest związana z obecnością wody, roślin i zwierząt. Nadto równinowy charakter większej części Australii, gdzie żadne znaczniejsze wyniosłości nie tamują ruchów, a także brak innych zapór naturalnych w postaci wielkich rzek i wielkich lasów dziewiczych, czynią rzeczywiście z tego lądu środowisko jaknajbardziej sprzyjające rozwojowi koczowniczego trybu życia.

Nic dziwnego, iż w podobnych warunkach bytu, gdzie człowiek nie posiada stałej siedziby, a chata jest dlań tylko chwilowem schroniskiem, wygląd takiego schroniska musi być bardzo prymitywny, musi nosić na sobie piętno tymczasowości. Zresztą nie wszędzie w Australii spotykamy mieszkania typu jednakowo-pierwotnego; w okolicach, gdzie warunki egzystencyi są pomyślniejsze i mieszkańcy mniej częste odbywają wędrówki, siedziby ich również przedstawiają się lepiej. W wielu miejscowościach południowej i zachodniej Australii jedynem schroniskiem mieszkańców są daszki lub ściany ustawiane mniej lub więcej pochyło i chroniące jako-tako od wiatru i deszczu. Według opisu Mathewsa i Klaatscha daszki takie składają się z rusztowania z gałęzi pokrytego również gałęźmi i trawą. Niekiedy jako pokrycie użyta bywa kora drzewna, naturalnie, o ile zachodzi łatwość dostania jej, co zależne jest od okolicy i od pory roku, ponieważ kora daje się oddzielić od pnia tylko w okresie krążenia soków. W okolicach Roebuck-Bay, w północno-zachodniej Australii, krajowcy kryją się w dołach, wygrzebanych w ziemi i zastawionych pochyłą ścianą z gałęzi; w Nowej połud. Walii, wzdłuż rzek o wybrzeżach wapiennych, zamieszkują oni pieczary nadbrzeżne, lub schroniska pod zwisającemi skałami.

Skoro tylko zasób pożywienia w danej miejscowości zostanie wyczerpany, szczep posuwa się dalej, szukając odpowiedniego miejsca na nowe obozowisko. W wędrówce tej starcy, kobiety i dzieci, obarczone tem wszystkiem, co stanowi ruchomy majątek rodziny, zdążają drogą najprostszą do miejsca z góry oznaczonego; mężczyźni natomiast, podzieleni na drobne grupy, idą drogami okólnemi, dzięki czemu są w możności upolowania większej ilości zwierzyny, niż gdyby się posuwali wszyscy razem.

Rozkład i położenie szałasów w obozowisku jest określone pewnemi prawidłami. Np. starsi i poważniejsi zajmują miejsca bliżej źródła lub rzeki, a młodsi rozkładają się opodal. Podobnież, w razie zgromadzeń międzyszczepowych, szczep, na którego terytoryum odbywa się zebranie, obiera sobie miejsce najdogodniejsze, przybyłe zaś szczepy ościenne rozkładają się dokoła, zajmując w ogólnym planie obozowiska pozycyę, odpowiadającą temu kierunkowi, skąd każdy szczep przybył. Nie dość na tem: rozkład szałasów u poszczególnych szczepów, jest o ile możności taki sam, jak na terytoryum ojczystem. Szałasy Australczyków są zawsze oryentowane w ten sposób, by ściana lub daszek zasłaniały od strony wiatru, a wejście znajdowało się ze strony przeciwnej. Z tej też strony, t. j. przed szałasem, znajduje się ogni-

sko, stanowiące ośrodek życia domowego, rodzinnego; stąd też, osiedlając się na nowej siedzibie, Australczyk przedewszystkiem roznieca ognisko, poczem dopiero buduje schronienie.

Obok przyczyn natury materyalnej, zmuszających krajowców Australii do życia koczowniczego, inne jeszcze czynniki są tu częstokroć przyczyną zmiany siedzib i wędrówek. Do tej właśnie kategoryi należą wspomniane wyżej zgromadzenia międzyszczepowe, mające na celu bądź załatwienie sporów i waśni sąsiedzkich, bądź wspólne odbycie uroczystości „wtajemniczenia“ lub innych obchodów. Również wypadek śmierci w obozowisku powoduje opuszczenie dotychczasowej siedziby.

W tych okolicach Australii, gdzie pożywienie znajduje się w większej obfitości, w związku z rzadszemi wędrówkami mieszkańców i mieszkania ich mają wygląd nieco staranniejszy i stalszy. Mieszkania takie spotykamy w okolicach lepiej nawodnionych wnętrza i wzdłuż wybrzeży, przy ujściu rzek, nad lagunami lub zatokami, gdzie ryby i mięczaki znajdują się w obfitości. Szczególniej na północy chaty wyróżniają się swymi rozmiarami i starannością budowy, świadcząc o pewnych wpływach kultury papuaskiej; zamiast nędznych szałasów, tak szczupłych i nizkich, że niekiedy zaledwie 3—4 osoby, siedząc w kucki lub leżąc, pomieścić się w nich może, widzimy tu chaty wysokości człowieka, mogące pomieścić 10-ro a nawet więcej ludzi. Niekiedy chaty wznoszą się na palach. Opuszczając obozowisko i przenosząc się na nową siedzibę, Australczycy przeważnie zostawiają na miejscu swe szałasy, by po upływie pewnego czasu powrócić do nich ponownie; tem się tłómaczy stosunkowo znaczna ilość mieszkań, jaką badacze Australii napotykają na swej drodze i która może łatwo w błąd wprowadzić co do przypuszczalnej liczby mieszkańców w danej okolicy.

Przejdźmy teraz od opisu mieszkania Australczyka, do opisu jego zawartości, t. j. tych sprzętów, które stanowią mienie krajowca.

Broń i narzędzia, z małemi różnicami, są na całym obszarze Australii jednakowe. Broń składa się: z dzidy, ciskadła, tarczy, maczugi, topora i bummerangu. Głównym materyałem do wyrobu broni jest drzewo. Dzida stanowi najważniejszy oręż Australczyka. Dzidy wyrabiane są z młodych, cienkich drzewek, przeważnie eukaliptusów, ścinanych w całości. Długość ich wynosi około 7 stóp; jedynie tylko dzidy, używane do polowania na drobną zwierzynę i do rybołówstwa są znacznie krótsze. Po dokładnem wyprostowaniu drzewca dzidy w gorącym popiele lub nad ogniem

i po wygładzeniu jego powierzchni grubszy koniec zostaje zaostrzony, zahartowany i zaopatrzony bądź w kilka zazębień hakowato wyciętych w drzewie, bądź też w grot, sporządzony oddzielnie i mocno przytwierdzony żywicą i wiązadłem. Bardzo pospolite są groty z twardego drzewa, kształtu szydełkowatego, t. j. o zazębieniu bardzo silnie zakrzywionem. Częstokroć zakończenie dzidy stanowi ostrze kamienne. Bardzo ciekawy typ ostrzy takich spotkał Klaatsch w okręgu East-Kimberley, w południowowschodniej Australii. Były one płaskie, owalnie wydłużone, kształtu liścia wawrzynu, przypominające pewien typ europejskich ostrzy paleolitycznych. Obecnie coraz częściej spotkać można dzidy zakończone ostrzem szklanem. Większe i cięższe dzidy bywają niekiedy rzucane wprost ręką; przeważnie jednak do rzutu na daleką metę służy narzędzie pomocnicze, t. zw. *wommera* czyli ciskadło. Jest to rodzaj deseczki drewnianej, długości od 2—3 stóp i szerokości od 2—3 cali, z obu końców zwężonej i zaopatrzonej na jednym końcu w hakowate zagięcie nakształt szydełka lub w hak silnie przymocowany, utworzony z kawałka kości lub zębu kangura. Chcąc rzucić dzidę zapomocą wommery, Australczyk kładzie ją wzdłuż na ciskadle w ten sposób, by hak dotykał końca dzidy i silnem, nagłem pchnięciem wommery naprzód wyrzuca dzidę z wielkim rozpędem. W niektórych okolicach Australii, jak podaje Mathews, wommera przy uderzeniu trzymana jest nie poziomo, lecz pionowo, podobnie jak rakieta tennisowa; w związku z tem i osadzenie haka jest tu odmienne, zamiast bowiem szydełkowatego zagięcia, tworzy on kąt prosty względem deseczki. Oprócz zastosowania wommery do rzucania pocisków widzimy ją nadto w niektórych miejscowościach użytą jako dłuto, a także jako naczynie do przechowywania krwi, soku roślinnego i innych płynów. W pierwszym przypadku trzonek, t. j. koniec przeciwległy temu, na którym znajduje się hak, zaopatrzony jest w ostry dłutowaty kamień; w drugim — narzędzie w swej części środkowej ulega silniejszemu niż zazwyczaj rozszerzeniu, a górnej jego powierzchni zostaje nadany kształt lekkowklęsły, nieckowaty. Wreszcie hakowaty koniec wommery służy niekiedy jako rodzaj motyki do wygrzebywania korzeni roślinnych i drobnych zwierząt z ich kryjówek. Maczugi Australczyków, również wyrabiane z drzewa, bywają rozmaitego kształtu i rozmiarów. Krajowcy używają ich bądź do zadawania razów bezpośrednio ręką, bądź do ciskania na odległość, przyczem maczuga w locie wykonywa ruch wirowy dokoła grubszego końca. Ciekawe przejście od maczugi do bummerangu stanowią t. zw. *widdi*

lub *wirri* szczepów południowo-australskich. Są to kije długości około 2-ch stóp, a grubości dużego palca, o jednym końcu rozszerzonym i zlekka szablowato wygiętym. Krajowcy używają ich, polując na drobniejszą zwierzynę, a także w pierwszych momentach boju, nim chwycą za dzidy. Najbardziej charakterystyczną bronią Australczyka jest *bummerang*. Wprawdzie narzędzia wyglądu zbliżonego i podobnie jak bummerang australski używane do boju i do łowów spotykamy i w niektórych innych okolicach, lecz odmiana bummerangu „powracającego," t. j. mającego ruch powrotny, wsteczny, jest wyłączną tylko właściwością lądu australskiego. Bummerang taki ma wygląd wązkiego kawałka drzewa, zgiętego pod kątem mniej lub więcej rozwartym, czasami niemal prostym. Jedna z jego powierzchni jest zupełnie płaska, druga zlekka wypukła, przyczem grubość krawędzi zewnętrznej ramion, czyli krawędzi wygięcia zewnętrznego, jest znaczniejsza, niż grubość krawędzi wewnętrznej. Własność ruchu powrotnego zawdzięcza bummerang ledwo dostrzegalnemu skręceniu spiralnemu osi swej płaszczyzny, co najłatwiej możemy sobie uprzytomnić, wyobrażając sobie, że osobnik, sporządzający narzędzie, ujmuje oba końce i skręca je w kierunku odwrotnym. I rzeczywiście, w praktyce, o ile rzeczone skręcenie płaszczyzny nie leży w samej naturze włókien drzewnych, zostaje ono sprowadzone drogą sztuczną, t. j. przez skręcanie ramion narzędzia przy jednoczesnem jego nagrzewaniu. Bummerang taki, rzucony w pewnym kierunku, zatacza w powietrzu elipsę i pada o kilka kroków od punktu, z którego został ciśnięty. Podobne bummerangi używane są jednak przeważnie tylko jako zabawka, ponieważ muszą być lekkie i niewielkich rozmiarów, a trafiając w jakiśkolwiek przedmiot, tracą swój lot i padają na ziemię. Czasami używają ich do polowania na drobną zwierzynę i ptactwo. Wogóle jednak do łowów i do boju służą bummerangi nieco odmienne: większe, cięższe, o kącie bardziej rozwartym i nie posiadające lotu wstecznego. Jest to broń bardzo skuteczna i niebezpieczna, ponieważ trafia na daleką metę i silnie bije. Bummerang o locie powrotnym nie jest powszechną właściwością Australii; według Ratzla i Mathewsa, w niektórych okolicach, najbardziej wysuniętych na północ, nie jest on znany, bądź też zjawił się tu dopiero wraz z kolonizacyą europejską, jako artykuł handlu wymiennego. Obok dzidy, maczugi i bummerangu jeszcze jeden gatunek broni właściwy jest, a raczej był właściwy do czasów ostatnich, krajowcom Australii; jest nią topór kamienny, obecnie coraz bardziej ustępujący miejsca toporom żelaznym, nabywanym od Europejczyków. Topory

kamienne sporządzane są bądź z odpowiednio dobranych brył surowych, powstałych drogą zwietrzenia i rozkruszenia skał, bądź z płaskich głazów rzecznych, których krawędź ulega odpowiedniemu zaostrzeniu.

Ostatnie badania Klaatscha nad techniką wyrobów kamiennych u krajowców Australii wykazują, że technika ta posiada skalę bardzo szeroką; jeśli bowiem porównamy rozmaite narzędzia australskie z narzędziami okresu kamienia Europy, odnajdziemy wśród nich nietylko typy znamienne dla okresu kamienia ciosanego (paleolitu), lecz zarazem stwierdzimy tu obecność z jednej strony okazów odpowiadających okresowi następnemu, t. j. okresowi kamienia gładzonego (neolitu), z drugiej zaś strony okazów niezmiernie pierwotnych, odpowiadających zaczątkom umiejętności obrabiania kamienia, czyli okresowi zorzokamiennemu (eolitowi). Niektóre topory australskie mają taki właśnie wygląd surowy, nieobrobiony; jedynie tylko krawędź tnąca ulega zaostrzeniu, o ile nie jest z natury dość ostra, lub w miarę jak następuje jej stępienie. Obok tych jednak narzędzi spotykamy tu topory całkowicie gładzone. Zarówno zaostrzenie krawędzi, jak całkowite wygładzenie powierzchni odbywa się przez tarcie o skałę piaskowcową; w wielu okolicach Australii można nawet zaobserwować w miejscowościach nadrzecznych charakterystyczne zagłębienia w skale, powstałe wskutek tej czynności. Klaatsch widział je na północy w okolicach zatoki Karpentaryi, oraz na południowschodzie, w pobliżu Sydneju; według Rotha, występują one również na zachodzie i w Australii południowej.

Co się tyczy obsady i drzewca topora, to zazwyczaj tworzy je bądź giętki pręt drewniany, bądź łodyga rośliny pnącej. Pręt taki obejmuje kamień przez środek, a wolne jego końce, złożone razem i silnie związane kiszką zwierzęcą lub wiązadłem roślinnem, tworzą trzonek narzędzia. Dla wzmocnienia obsady kamień zostaje gęsto obtłuczony lub nawet wcięty na linii obwodu poprzecznego, co zapobiega ślizganiu się obejmującego go pręta; nadto zarówno obsada, jak trzonek zostają pokryte warstwą specyalnie przyrządzonego kitu. Topór stanowi dla Australczyka ważną broń, a zarazem najważniejsze narzędzie użytku codziennego; służy mu on do ścinania drzew, gałęzi i kory drzewnej; służy przy wyrobie maczug, dzid i tarczy, służy wreszcie do nacinania gładkich pni eukaliptusowych przy wdzieraniu się na nie dla zdobycia jaj ptasich, miodu lub drobnej zwierzyny. Mówiąc o broni, właściwej krajowcom Australii, muszę wspomnieć i o tarczach. Są one przeważnie długie i wązkie i służą raczej do parowania ciosów, niż

do krycia ciała. Tarcze używane w boju na dzidy są lekkie, z drzewa lub z kory; w boju na topory używane są tarcze grubsze i masywniejsze. Powierzchnia zewnętrzna tarczy bywa częstokroć ornamentowana zygzakowatemi nacięciami lub malowana; podobne ozdoby występują i na maczugach. Broń a zarazem narzędzie wyłącznie kobiece stanowi w Australii gruby kij, długości od 4—5 stóp, średnicy około 2 cali, zaostrzony i zahartowany z jednego końca, z drugiego zaś dłutowato ścięty. Jest on nieodstępnym towarzyszem kobiety w jej wędrówkach i życiu codziennem, służąc do wykopywania korzonków i drobnych zwierząt ziemnych, a także do obrony w razie napaści lub do walki podczas niesnasek domowych.

Niemniej ważną rolę odgrywa w życiu codziennem nóż kamienny. Wyrób noży jest niezmiernie prosty, polega bowiem na odłupywaniu od bryły kamienia blaszek, których krawędź tnąca służy jako ostrze. Nóż nie posiada trzonka i trzymany jest wprost między palcami. Służy on do obdzierania ze skóry i do sprawiania zwierzyny, do wyrobu drewnianych sprzętów i oręża, do wykonywania nacięć na skórze ludzkiej i do niektórych operacyj chirurgicznych. Obok wyliczonych tu narzędzi i broni, niewiele już tylko sprzętów stanowi mienie Australczyka. Naczynia do przechowywania wody, miodu i jadła wyrabiane są z kory albo drzewa. W pierwszym przypadku Australczyk wyszukuje drzewo o krzywiznie naturalnej i wycinając ze strony wydatnej nazewnątrz płat kory żądanych rozmiarów otrzymuje w ten sposób naczynie kształtu czółnowatego. Jeśli kora pochodzi z pnia zupełnie prostego, każdy z jej dwu końców zostaje mocno związany, dla zapobieżenia wylewaniu się lub wypadaniu zawartości. W podobny sposób wyrabiane są i naczynia z drzewa. Wybrawszy pień lub gałęź o krzywiznie naturalnej, Australczyk odrąbuje część najbardziej wydatną nazewnątrz, wycina i wyskrobuje mniej lub więcej grubą warstwę drzewa z odrąbanego odcinka, poczem wygładza otrzymaną w ten sposób powierzchnię wklęsłą. Niektóre szczepy, jak podaje Mathews, używają jako naczyń czaszek ludzkich, których szwy zostały zamazane żywicą. Rolę naczyń odgrywają również muszle większych małży i skorupy żółwi. Do przenoszenia wody na większą odległość służą worki skórzane użyte włosem nazewnątrz; szczepy nadbrzeżne Queenslandu i Nowej połud. Walii sporządzają również worki na wodę z liści palmowych, zeszywanych włóknami lub ścięgnami zwierzęcemi. Naczynia gliniane nie są tu znane. Do przechowywania przedmiotów suchych: grzybów, nasion, owoców, używane są kosze nie-

kiedy bardzo starannie i gustownie plecione z trawy, łodyg lub włókien roślinnych. Podczas wędrówek, a także w codziennych wyprawach na poszukiwanie pożywienia, ważną rolę odgrywają worki plecione z trawy, roślin pnących lub sitowia, bądź wyrabiane z pasków kory, wiązanych nakształt rzadkiej sieci; te ostatnie służą do przenoszenia przedmiotów cięższych. W czasie wędrówki zawartość worka stanowią między innemi: toporki i noże kamienne, płaskie kamienie do miażdżenia korzeni jadalnych i nasion, mniejsze naczynia, zapas żywicy i kiszek zwierzęcych, haki z żelaza lub muszli, szydła z kości kangurów i emu, kawałki kory, nieco gliny białej, żółtej i czerwonej do malowania ciała, rozmaite drobne przedmioty używane jako ozdoby i t. p. Worki te niesione są podczas marszów przez kobiety. Wogóle kobieta w Australii odgrywa rolę zwierzęcia jucznego, dźwigającego na swych plecach niemal wszystko, co stanowi mienie rodziny. Oprócz worków różnorodnych, koszów, naczyń, jest ona nadto obarczona pękiem sieci i zapasem skór, a częstokroć nawet zbywającą bronią.

O odzieży Australczyków mało mamy do powiedzenia, gdyż to, co noszą na sobie szczepy, nie będące jeszcze pod wpływem kultury europejskiej, jest raczej ozdobą, niż ubraniem. Jedyną odzież szczepów takich stanowi płaszcz, sięgający najwyżej kolan, zeszyty ze skór kangurów, oposów lub innych torbaczy i noszony, podobnie jak togi rzymskie, skośnie przez plecy, z pozostawieniem jednego ramienia wolnem. I ten płaszcz jednak używany bywa przeważnie tylko w porze nocnej lub w razie deszczu i chłodu; pozatem zarówno mężczyźni, jak kobiety chodzą nago. Niezbędną część ubioru Australczyków mężczyzn stanowi przepaska, noszona dokoła stanu, skręcona bądź spleciona z trawy, łyka, włosów ludzkich lub zwierzęcych, albo skóry. Podczas pochodu lub polowania mężczyźni noszą za pasem bummerang, nóż, topór i inne przedmioty. U niektórych szczepów od przepaski biodrowej zwisa rodzaj wązkiego fartuszka w postaci frędzli skórzanych, zakrywających a raczej mających zakrywać części sromne; niekiedy fartuszek podobny zwisa i od tyłu. Kobiety po większej części nie noszą żadnych przepasek; dziewczęta niezamężne używają w niektórych okolicach frędzli skórzanych lub fartuszków z piór emu.

O ile, jak widzimy, ubiór Australczyków jest niezmiernie skromny, o tyle zamiłowanie do ozdabiania swej powierzchowności jest u nich bardzo rozwinięte i pod tym względem wykazują oni nawet znaczną pomysłowość. Na szyi noszone są naszyjniki,

składające się z muszel, twardych nasion roślinnych, kawałków trzciny, zębów kangurów i psów, kleszczów raczych i t. p. drobnych przedmiotów. Materyał na naszyjniki jest wogóle bardzo różnorodny, zależnie od tego, czego dostarcza dana okolica. Również na ramionach i na nogach noszone są wązkie przepaski, bądź ze skóry zwróconej włosem nazewnątrz, bądź z trawy lub włosów ludzkich; w niektórych miejscowościach zatykają za nie zielone gałązki krzewów. Podobne przepaski, jeno szersze i częstokroć barwione na biało, żółto lub czerwono, służą jako ozdoba głowy; niektóre szczepy noszą we włosach barwne pióra ptasie lub przybranie z sierści dzikiego psa, dingo.

Jednakże najskuteczniejszym środkiem ozdobienia swej powierzchowności jest, w pojęciu dzikich, malowanie ciała i twarzy; obyczaj ten jest właściwością całej Australii. Jako farba służy glina: biała, żółta, brunatna, czerwona, oraz węgiel. Dotychczas przypuszczano, że otrzymywanie barwników roślinnych jest zupełnie nieznane Australczykom. Jednakże Klaatsch znalazł w użyciu u szczepów z okolic Beagle-Bay (północno-zach. Austr.) farbę zieloną, otrzymywaną przez żucie młodych liści eukaliptusowych. Farby używane są przeważnie w połączeniu z tłuszczem, co ma tę dobrą stronę, że tłuszcz uodpornia skórę na wpływy atmosferyczne, a zarazem chroni ją od ukąszeń moskitów, mrówek i innych owadów. Co się tyczy samej metody malowania, to jest ona niezmiernie urozmaicona; pod tym względem zachodzą nietylko różnice szczepowe, lecz i różnice indywidualne, gdyż zarówno mężczyźni jak kobiety wysilają się na wymyślanie coraz nowych kombinacyj barw. Szczególniej w razie uroczystości rodzinnych lub szczepowych piękne malowanie ciała i twarzy jest uważane za rzecz wprost pierwszorzędnej wagi. Zresztą w podobnych okolicznościach i strój głowy, szyi, ramion i nóg staje się jaknajbardziej wyszukany.

Obok obyczaju malowania ciała spotykamy u Australczyków kilka innych praktyk dziwacznych, a zarazem bolesnych, polegających na różnorodnych okaleczeniach, jak: wykonaniu nacięć na skórze, wybiciu zębów, przedziurawieniu przegrody nosowej, obcięciu członka u palca i t. p. Praktyki te zda się posiadały pierwotnie charakter „ofiarny,“ który zresztą zachowały po dziś dzień jeszcze u wielu szczepów, gdzie występują w związku z obrzędami towarzyszącemi okresowi dojrzewania płciowego. Gdzieindziej jednak pierwotne to znaczenie zostało zatracone i praktyki rzeczone pozostają wprawdzie obyczajem tradycyjnie przechowywanym, lecz uniezależnionym od świąt dojrzałości i innych obchodów.

Przypatrzmy się bliżej tym dziwacznym obyczajom. Pokrywanie pleców, ramion, piersi i brzucha szeregiem nacięć, które wskutek długotrwałego drażnienia i ranienia wytwarzają wreszcie nabrzmiałe wydatne blizny, jest obyczajem rozpowszechnionym w całej Australii, a hołdują mu zarówno mężczyźni, jak kobiety. Operacya wykonywana jest za pomocą ostrych muszli lub kawałków szkła. U większości szczepów operacyi poddawani są chłopcy i dziewczęta podczas uroczystości, towarzyszących przejściu z wieku dziecinnego do epoki dojrzałości. Podobnie i obyczaj przedziurawiania przegrody nosowej zdaje się być uprawiany przez większość szczepów australskich. W niektórych okolicach poddawani są operacyi zupełnie mali chłopcy i dziewczęta, przyczem rzecz odbywa się bez żadnego ceremoniału. Obyczaj ten jest rozpowszechniony szczególniej wśród mężczyzn. Zranienie przegrody nosowej i następne rozpychanie rany przez zakładanie w nią coraz grubszych łodyg i prątków jest operacyą nader bolesną; zazwyczaj nos puchnie do tego stopnia, że pacyent zmuszony jest oddychać ustami; niekiedy zachodzi nawet przerwanie przegrody. Po zabliźnieniu rany Australczycy noszą w otworze kawałki kości, łodyg roś innych, pręciki i t. p. przedmioty. Operacya wybicia zęba również niezawsze związana jest z obchodami „dojrzałości.“ Obyczaj ten wogóle podlega u szczepów australskich znacznym wahaniom: niektóre szczepy nie zachowują go wcale, u innych ogranicza się on wyłącznie do mężczyzn, u innych jeszcze rozciąga się i na kobiety. W zakresie liczby i gatunku zębów, ulegających wybiciu, panuje również pewna rozmaitość: usuwane są bądź oba sieczne górne środkowe, bądź tylko jeden prawy skrajny lub lewy. Amputacya jednego a niekiedy nawet dwu członków palca ręki jest we zwyczaju szczególniej u kobiet. Przeważnie operacyi ulega piąty palec prawej ręki; niekiedy palec wskazujący lub wielki. Według badań Mathewsa obyczaj ten jest najbardziej rozpowszechniony wśród szczepów nadbrzeżnych i w niektórych okolicach pozostaje w związku z mniemaniem, jakoby kobiety w ten sposób okaleczone miały być zręczniejsze i szczęśliwsze przy połowie ryb, niż te, które nie uległy operacyi. Mamy tu zatem do czynienia z zabobonem, z czarodziejską „ofiarą“ dla pozyskania pewnych tajemniczych właściwości. Amputacya dokonywa się w sposób bardzo oryginalny; mianowicie palec na wysokości pierwszego lub drugiego stawu zostaje mocno obwiązany sznurkiem, skręconym z kilku nitek przędzy pewnego gatunku pająka. Z powodu braku dopływu krwi koniec palca po upływie jakiegoś czasu martwieje i odpada, a rana pozostała goi

się bardzo szybko. Operacyi poddawane są zazwyczaj dziewczęta jeszcze w wieku dziecinnym.

Mówiąc o sztucznych okaleczeniach ciała, będących we zwyczaju wśród plemion australskich, wspomnę jeszcze, że oprócz obrzezania, będącego tu obyczajem bardzo rozpowszechnionym, mężczyźni niektórych szczepów poddają się w wieku starszym t. zw. operacyi „micka," polegającej na rozcięciu wzdłuż urethry. Obyczaj ten ma na celu ograniczenie liczby potomstwa. Do tego samego celu prowadzi ovariotomia i metrotomia (rozcięcie uterus) stosowane u kobiet; natomiast sztuczne rozszerzanie orificium vaginae pozostaje w związku z operacyą micka u mężczyzn.

I dziwić się doprawdy należy, jak plemiona, stojące pod wielu względami na tak nizkim poziomie kulturalnym, posiadły umiejętność wykonywania podobnie trudnych operacyj! Podziwiać możemy zarazem ich wytrzymałość na ból i ich odporność na infekcyę, operacye bowiem dokonywane są nożykami kamiennymi w warunkach, urągających wszelkim przepisom naszej hygieny.

*

* *

Najważniejszą troską, zaprzątającą umysł Australczyka, jest kwestya zdobycia pożywienia; środkami ku temu są dlań: myśliwstwo, rybołówstwo i zbieranie wszelkich płodów, dostarczanych przez faunę i florę.

Myśliwstwo stanowi niemal wyłącznie zajęcie mężczyzn, którzy w tropieniu i umiejętności podejścia zwierzyny ujawniają wiele sprytu i zręczności. Według Eylmanna niektóre szczepy południowe w razie niepomyślnego wiatru, mogącego zdradzić obecność myśliwego, smarują się całkowicie błotem, oszukując w ten sposób wrażliwość węchową zwierzyny. Podobnie, jeśli brak w pobliżu osłony naturalnej, którąby maskowała zbliżenie się człowieka, Australczyk okrywa się rozłożystą gałęzią i czołgając postępuje naprzód. Polując na ptactwo wodne, myśliwy zanurza się częstokroć po szyję w wodzie, osłaniając nadto głowę sitowiem; w niektórych okolicach ptaki pływające chwytane są od spodu za nogi przez nurkującego myśliwego. Dla uniknięcia wrzawy podczas polowania z podejściem, Australczycy sygnalizują sobie gatunek zwierzyny i okoliczności, towarzyszące łowom, bądź na

migi, bądź za pomocą umówionych znaków; jednak i polowanie z naganką jest tu w użyciu, przyczem zwierzyna bywa niekiedy płoszona ogniem. Zwierzęta żyjące w norach ziemnych są wykurzane dymem, lub wprost wykopywane ze swych kryjówek. Myśliwy usiłuje częstokroć dopomódz sobie w łowach zaklęciami czarodziejskiemi; formuły tych zaklęć znane są tylko dorosłym mężczyznom. Pies, będący stałym towarzyszem Australczyka, nie wiele mu jest pomocny na łowach, nie umie bowiem ani aportować, ani dobrze tropić. Pomimo to jednak Australczycy lubią swoje psy i obchodzą się z niemi bardzo dobrze; nieraz zdarza się, iż szczenię, w razie utraty matki lub schwytania w stanie dzikim, zostaje wykarmione piersią Australki. Do czasów kolonizacyi europejskiej w Australii żył tylko pies „dingo," bądź w stanie zupełnej dzikości, bądź udomowiony; obecnie częstokroć ulega on zmieszaniu z rasami naszego psa domowego.

W miejscowościach nadwodnych obok polowania i rybołówstwo dostarcza mieszkańcom ważnego artykułu pożywienia. W wodzie płytkiej ryby częstokroć chwytane są wprost ręką, lub wygarniane na brzeg tarczą lub wommerą; gdzieindziej używane są oszczepy hakowato zakończone, bądź sieci plecione z trawy, roślin pnących lub wązkich pasków kory. Ciekawe jest, że niektóre nadbrzeżne szczepy północno-zachodnie nie znają żadnych narzędzi specyalnych do rybołówstwa i zabijają ryby, rzucając w nie poprostu bummerangiem. Co więcej, szczepy te, jak podaje Klaatsch, nie znają również użytku ani łodzi, ani nawet zwykłej tratwy i jedynie tylko, korzystając z godzin odpływu, zapuszczają się mniej lub bardziej daleko od lądu, docierając niekiedy nawet do wysp poblizkich. Taki brak znamion, które powinnyby być właściwością plemion żyjących nad morzem, objaśnia Klaatsch pochodzeniem rzeczonych szczepów z okolic wnętrza i późniejszem dopiero zajęciem przez nie pasa nadbrzeżnego.

Wogóle Australczycy w słabym tylko stopniu posiedli umiejętność żeglarstwa, co wzmocniło jeszcze bardziej ich stanowisko izolowane na obszarze wyspowym. Tradycya jakichkolwiek wędrówek dalszych nie zachowała się u żadnego ze szczepów, a tratwy i łodzie służą tu przeważnie tylko do połowu ryb. Typowem czółnem dla Australii jest czółno sporządzone z jednego kawała kory; wyrób czółen takich przypomina w zupełności metodę stosowaną przy wyrobie naczyń do przechowywania miodu, krwi i jadła. W tym wypadku również wybierane są o ile możności drzewa o wygięciu naturalnem, co znacznie ułatwia nadanie czółnu kształtu żądanego. Natychmiast po obdarciu kory, dla

zapobieżenia jej zwinięciu się, pomiędzy brzegi zostaje poprzecznie wetknięty szereg mocnych kijów; równocześnie oba końce przyszłego czółna zostają podparte, by pod wpływem własnego ciężaru nie opuściły się w dół, wówczas gdy właśnie ich wzniesienie do góry jest warunkiem koniecznym. W razie gdy drzewo nie posiada krzywizny naturalnej, konieczne wzniesienie dziobu czółna do góry zostaje sztucznie nadane drogą sfałdowania i związania kory na obu jej końcach. Czółno takie jest wprawdzie lekkie i zwrotne, jednak trwałość nie jest jego zaletą, gdyż po upływie 2—3 lat rozmięka, zaczyna gnić i musi być zastąpione nowem. Niektóre plemiona północy używają czółen sporządzonych nie z jednego, lecz z kilku pasów kory przeszywanych wzdłuż; również na północy widzieć można czółna drążone w całości w pniu drzewnym i zaopatrzone, na wzór malajskich i papuaskich, w t. zw. „przyczółno“ (Ausleger), ułatwiające utrzymanie równowagi. Niekiedy na dnie czółna zostaje umieszczona bryła gliny, służąca do rozłożenia ogniska, nad którem jadący ogrzać się może, a zarazem ugotować część złowionej ryby. Bardziej niż czółna—zdaniem Mathewsa—rozpowszechnione są w Australii tratwy; tratwa bowiem, choć mniej zwrotna niż czółno, lecz w mniejszym stopniu podlega uszkodzeniom w razie uderzenia o skałę lub pień podwodny; część zniszczona może tu być zawsze usunięta i zastąpiona przez nową kłodę lub nową wiązkę trzciny.

Po krótkiej wycieczce w dziedzinę żeglarstwa powracam do sprawy pożywienia u krajowców Australii. Mięczaki wód słodkich i słonych, podobnie jak ryby, stanowią ważny artykuł spożywczy dla szczepów nadwodnych. W niektórych okolicach nadmorskich spotykamy pokłady znacznej grubości, utworzone z muszel małży, spożytych przez liczne pokolenia, w ciągu długiego szeregu wieków. Te właśnie zwały muszel, wraz ze znajdowanemi w nich pierwotnemi narzędziami kamiennemi, są jednym z dowodów istnienia człowieka na lądzie australskim w czasach niezmiernie odległych.

Wbrew utartemu mniemaniu, Australczycy bynajmniej nie jedzą bez wyboru wszystkiego, co jest tylko produktem spożywczym; niektóre gatunki ryb, skorupiaków i grzybów, spożywane przez Europejczyków, są przez nich odrzucane, natomiast jadają oni wiele produktów nieznanych u nas, albo budzących w nas wstręt lub odrazę. Do takich należą np.: jaszczurki, węże, rozmaite gatunki owadów i gąsienic, zalęgnięte jaja ptasie, jelita zwierzęce i t. p.

Wobec zupełnego braku naczyń glinianych, Australczycy nie mogą gotować strawy na ogniu,[1]) naczynia bowiem, sporządzane ze skorup mięczaków i żółwi, drzewa, kory, czaszek ludzkich, skór zwierzęcych ulegałyby spaleniu. W związku z tem pieczenie i duszenie pod darnią zastępują tu gotowanie jadła. Szczególniej ciekawa jest metoda duszenia mięsa. W tym celu w ziemi wygrzebuje się zagłębienie, którego dno i boki zostają wyłożone kamieniami, lub w razie ich braku—gliną. W tak przygotowanem zagłębieniu rozpala się tęgi ogień, do którego zostają wgarnięte zbywające kamienie i ziemia. Po wypaleniu, na dno kamienne kładzie się przedewszystkiem warstwę wilgotnej trawy lub liści, na niej układa się zwierzynę: kangura, opossa, emu, przykrywając z wierzchu nową warstwą trawy. Na trawę narzuca się kamienie rozpalone w ognisku, wreszcie wszystko zostaje starannie okryte ziemią dla zapobieżenia szybkiemu wystygnięciu. Żar kamieni w połączeniu z parą, wydzielającą się z trawy, gotują a zarazem duszą mięso, które dzięki takiemu przyrządzeniu zachowuje całą swą soczystość. Niekiedy, jak podaje Buschan, rozpalone kamienie bywają wtłaczane do otwartej jamy ciała zwierzyny, co znacznie przyspiesza gotowanie sztuk większych. W razie gdy ilość wydzielającej się pary zdaje się być niedostateczna dla uduszenia mięsa, do wnętrza pieca wlewają nieco wody przez otwory poprzetykane patykiem w pokrywie ziemnej. Drobniejsza zwierzyna: ptaki, ryby, mniejsze ssawce i gady, są w ten sam sposób duszone w parze, bądź wprost pieczone na węglach. W niektórych okolicach krajowcy pieką takie właśnie drobniejsze sztuki w gorącym popiele, oblepiwszy je uprzednio gliną; po upieczeniu skóra z włosem lub pierzem odchodzi wraz z gliną, pozostawiając czyste mięso pełne soku.[2]) Również jaja ptasie, owoce, nasiona i korzenie roślinne, o ile nie są jadane na surowo, ulegają upieczeniu w popiele.

Ulubionym przysmakiem Australczyków jest słodki syrop, wydzielany przez kwiaty banksyi i drzewa trawiastego, a także miód pszczeli. Dla zdobycia miodu, podobnie zresztą jak w po-

---

[1]) Naczynia gliniane, spotykane u niektórych szczepów północnych, nie są właściwością lokalną, lecz nabytkiem późniejszym, wyrobem przejętym od sąsiednich Papuów lub Malajów.

[2]) Pewien znajomy, myśliwy z Ukrainy, opowiadał mi, iż w taki sam sposób piekł częstokroć na polowaniu drobne ptactwo: bekasy, słonki, przepiórki.

goni za torbaczami, pędzącymi życie nadrzewne, lub w poszukiwaniu jaj i piskląt, Australczyk wspina się niezmiernie zręcznie na drzewa, nie wyłączając nawet wysokich, gładkopiennych eukaliptusów. W razie gdy obwód drzewa jest tak znaczny, iż nie podobna wedrzeć się na nie używając li tylko rąk i nóg krajowiec posługuje się narzędziami pomocniczemi w postaci topora kamiennego i długiego, mocnego sznura z kory drzewnej lub pnączy. Toporkiem Australczyk wyrąbuje wcięcia w korze, używając ich jako stopni, sznur zaś, zarzucany nakształt lassa dokoła pnia, służy mu do podciągania ciała coraz to wyżej.

Używanie napojów upajających było w Australii bardzo ograniczone aż do chwili przybycia Europejczyków; w wielu okolicach nie znano ich zupełnie, gdzieindziej, np. w Nowej połud. Walii—jak podaje Braim—przyrządzano rodzaj wina z miodu. Natomiast żucie i palenie roślin narkotycznych było tu rozpowszechnione jeszcze przed okresem kolonizacyi. Szczególniej używane liście t. zw. „piczuri“ (duboisia hopwoodii), posiadają własności silnie podniecające. Roślina ta, właściwa pustynnym okolicom wnętrza, stanowi doniosły artykuł handlu zamiennego dla szczepów australskich. Podczas długich, wyczerpujących wędrówek krajowcy żują jej suszone liście, co ma znakomicie podtrzymywać siły i łagodzić uczucie głodu; również podczas boju Australczycy żują „piczuri“ dla podniecenia energii i zapału wojennego.

Ośrodkiem, wkoło którego skupia się życie rodziny australskiej w obrębie obozowiska, jest ognisko. Krzesanie ognia odbywa się tu w sposób dwojaki: metodą wiercenia i metodą tarcia. W pierwszym przypadku Australczyk kładzie na ziemi kawałek suchego, miękkiego drzewa, zazwyczaj przepołowioną gałąź, zaopatrzoną z jednej strony w niewielkie dołkowate wcięcie; inny kawałek drzewa, w postaci palika starannie wygładzonego i zaostrzonego na jednym końcu, zostaje ustawiony pionowo w ten sposób, by ostry koniec spoczywał we wcięciu. Ująwszy palik pomiędzy obie dłonie i szybko przesuwając niemi, Australczyk wprawia palik w ruch wiercący, wskutek czego już po upływie paru minut we wcięciu zjawia się dym i tlejące drobiny drzewa zapalają suchą trawę, próchno i liście, nagromadzone uprzednio dokoła przyrządu. Druga metoda, dłuższa i mozolniejsza, polega na szybkiem tarciu dwóch kawałków drzewa, z których jeden, zaopatrzony w rynienkowate wcięcie, spoczywa na ziemi, drugi zaś, o krawędzi zaostrzonej szablowato, zostaje umieszczony we wcięciu i przesuwany szybkim ruchem tam i na powrót, nakształt piły, dopóki od padających iskier nie zatli się naszykowaną pod-

pałka. Jak podaje Buschan, częstokroć rolę drzewa „trącego“ odgrywa bummerang, a zaś drzewem „tartem“ jest tarcza lub wommera odpowiednio nacięta. W celu uniknięcia jednak każdorazowego krzesania ognia dla rozpalenia ogniska Australczycy mają zwyczaj przechowywać i nosić ze sobą zarzewie w wilgotnym mchu lub liściach, lub w postaci tlejących gałęzi. Na wyprawach myśliwskich jeden lub dwu uczestników zaopatruje się zazwyczaj w zarzewie; również i kobiety w czasie pochodu noszą ze sobą tlejące głownie, by módz rozpalić ognisko natychmiast po przybyciu na miejsce wypoczynku lub noclegu.

W życiu codziennem mężczyźni, o ile nie są zajęci polowaniem lub rybołówstwem, co przedewszystkiem czas im zaprząta, trudnią się wyrobem broni i sprzętów, lub przygotowaniem surowych skór do użytku. Czynności kobiece polegają przedewszystkiem na gromadzeniu pokarmu roślinnego, zbieraniu gałęzi na opał, pleceniu sieci, koszów, worków i t. p. Dostarczanie wody i jej przechowanie stanowi również obowiązek kobiet, obowiązek częstokroć niełatwy do spełnienia wobec okresowego braku lub ubóstwa wody w wielu okolicach. Stąd też kłótnie i bójki między kobietami zachodzą przeważnie na tle zatargów o wodę. Umiejętność wyszukiwania wody zaskórnej lub źródeł ukrytych jest wysoko rozwinięta u krajowców Australii. W niektórych okolicach umieją oni nawet urządzać sztuczne zbiorniki dla przechowania wody deszczowej.

Wytwórczość Australczyków jest wogóle słaba, a zarazem mało różnorodna. Wprawdzie w związku z różnicami, jakie zachodzą w poszczególnych okolicach w zakresie materyału surowego, wytworzyła się tu pewna specyalizacya, jednak nie zaznacza się ona wyraźniej i zazwyczaj każdy szczep sam produkuje wszystko, co mu jest niezbędne do zaspokojenia potrzeb. Niemniej wzajemna wymiana zarówno materyałów surowych, jak gotowych wyrobów częstokroć tu zachodzi, szczególniej gdy szczepy rozsiane na znacznej przestrzeni ulegną zetknięciu, bądź w związku z uroczystościami „dojrzałości“ i „wtajemniczenia,“ bądź dla wspólnego odprawienia obrzędów, mających na celu pomyślne mnożenie się zwierzyny i roślin jadalnych, bądź wreszcie dla jakiejkolwiek wspólnej narady. W przypadkach podobnych odbywa się wymiana broni, narzędzi, sieci—na skóry, przedmioty ozdoby, gliny barwiące, pióra, muszle i t. p., zależnie od tego, co mianowicie, będąc wśród danego szczepu produktem rzadszym, jest dlań temsamem przedmiotem potrzebniejszym lub bardziej pożądanym. Niekiedy następuje również wymiana lub sprzedaż kobiet. Ubóstwo

wytwórczości Australczyków, przy równoczesnem ubóstwie flory i fauny australskiej i braku takich produktów surowych, jak: cenne futra i pióra, kość słoniowa, korzenie, zboża, były niewątpliwie jedną z przyczyn, dla których ląd ten, pomimo stosunkowo blizkiego sąsiedztwa z wyspami Indonezyi i Melanezyi, był tak mało nawiedzany przez wyspiarzy sąsiadów. Poprostu nie było w Australii nic, coby nęciło przybyszów, zachęcając ich do zawiązania stosunków handlowych, bądź przedsiębrania kroków zaborczych. Rzecz prosta, iż podobna długoletnia, niemal zupełna izolacya musiała tembardziej jeszcze utrwalić i zaakcentować piętno odrębności, a pod wielu względami i pierwotności etnicznej, właściwej krajowcom Australii. Kolonizacya europejska zastała Australczyków na stadyum kultury kamienia i życia koczowniczego, bez znajomości garncarstwa i ze słabymi ledwo zaczątkami uprawy roślin. To ostatnie dotyczy zresztą niektórych tylko okolic, gdzie, jak np. na wyspach ks. Walii przy wybrzeżu północno-zachodniem i gdzieniegdzie we wnętrzu lądu, podróżnicy spotykali coś w rodzaju plantacyi rośliny „yam“ (dioscorea), której bulwa jadalna stanowi ważny artykuł spożywczy dla krajowców Australii.

Czas wolny od zajęć lubią Australczycy spędzać na ćwiczeniach cielesnych, zabawach, tańcu i śpiewie. Borykanie się i ściganie stanowi ulubioną rozrywkę młodszych mężczyzn i chłopców. W miesiącach letnich młodzież z zamiłowaniem uprawia pływanie i nurkowanie, przyczem kilku mężczyzn starszych rozstrzyga, który ze współzawodników osiągnął zwycięstwo. Również ciskanie oszczepem do celu jest tu częstokroć uprawiane. Z pośród gier,— gra w piłkę przypomina poniekąd nasze gry europejskie: tennisa, palanta i foot-baal. Obecni dzielą się na dwie lub kilka grup, z których każda, rzucając piłkę, usiłuje nie dać jej pochwycić obozowi przeciwnemu, ani też upaść na ziemię. Piłki zwijane są ze skórek zwierzęcych, pociętych na wązkie paski i pozeszywanych. Niezmiernie znamiennym objawem dla nizkiej kultury Australczyków jest fakt, że plemiona te, tak zamiłowane w tańcu i śpiewie, nie posiadają żadnych zgoła instrumentów muzycznych. Jedyny akompaniament do śpiewu i tańca stanowi tu proste wybijanie taktu przez uderzanie bummerangiem o bummerang, kijem lub zwitkiem suchych skór o tarczę lub wommerę, klaskanie w dłonie, bądź klaskanie dłońmi o uda. Obecność u niektórych szczepów północnych bardzo pierwotnych bębnów i piszczałek jest naleciałością indo- lub melanezyjską. Niemniej prymitywne są śpiewy Australczyków; polegają one na zawodzeniu lub recytowaniu

dziwnie melancholijnem i dla ucha europejskiego jednostajnem i ubogiem w melodyę, pomimo że krajowcy odróżniają w niem całą gamę odcieni i szczegółów charakterystycznych dla poszczególnych pieśni. Również i treść pieśni jest mało urozmaicona; zawiera ona opowieść o tem, co zaszło na polowaniu, w czasie pochodu lub podczas boju; wiele pieśni porusza tematy drastyczne. Śpiew i opisana powyżej quasi-muzyka stanowią zwykły akompaniament tańca. Niezmiernie ciekawe i charakterystyczne dla Australii są t. zw. *Korrobore*, czyli pantominy taneczne, wyobrażające przeważnie sceny z życia zwierząt: kangurów, psów, ptaków, rekinów i t. p. i odgrywane przez krajowców z prawdziwym talentem i darem naśladowczym. Korrobore odbywa się w nocy, przy świetle księżyca, na placu uprzednio przygotowanym, t. j. oczyszczonym od gałęzi i kamieni. Wykonawcami bywają przeważnie tylko mężczyźni, którzy z wielkim nakładem pracy i pomysłowości stroją się i malują na tę uroczystość. Szczególniej dziwaczne są ozdoby noszone na głowie, bądź w postaci ram prostokątnych i kwadratowych, okalających twarz, bądź w postaci takich samych ram, przytwierdzonych do włosów i sterczących wysoko ponad głową. U niektórych szczepów, jak zaobserwowali Spencer i Gillen, a później Klaatsch, ramy te otoczone są pewną czcią i tajemniczością i widok korrobore, tańczonego przy ich użyciu, jest surowo zakazany kobietom i dzieciom; gdzieindziej natomiast posiadają one znaczenie li-tylko dekoracyj tanecznych. Z nastaniem zmroku kobiety rozniecają wielkie ognisko i zasiadłszy wraz z innymi widzami wielkiem kołem na ziemi, rozpoczynają śpiew i muzykę w sposób opisany wyżej. Wówczas wypadają tancerze z poblizkich krzaków, gdzie pozostawali w ukryciu; ciała ich dziwacznie pomalowane, ramiona i twarze fantastycznie przybrane robią w rzeczywistości silne i groźne wrażenie, gdy podczas tańca bądź kryją się w mroku, bądź wyłaniają w czerwonem świetle ogniska lub srebrzystej poświacie księżycowej. Podczas zgromadzeń szczepowych również odbywają się korrobore, wykonywane kolejno przez szczepy rozmaite, nigdy bowiem — jak podaje Mathews — w korrobore nie biorą udziału jednocześnie elementy różnoszczepowe. Niekiedy pospołu z mężczyznami tańczą i kobiety; wówczas pantominy nabierają charakteru erotycznego i częstokroć stają się wyuzdane.

*

* *

Podobnie jak u ogółu ludów pierwotnych, poród u Astralczyków trwa stosunkowo krótko i przebieg jego jest łatwy. Czując nadchodzącą chwilę rozwiązania, Australka udaje się w towarzystwie jednej lub paru kobiet w zarośla i tam wydaje dziecko na świat, poczem wraca do codziennych zwykłych zajęć.

Mówiłem już, że dzieciobójstwo jest bardzo rozpowszechnione w Australii. Główną przyczyną tego obyczaju jest trudność wyżywienia liczniejszej rodziny; działają tu jednak również i inne czynniki, np. częstokroć są zabijane dzieci, zrodzone z ojców białych, dzieci dziewcząt niezamężnych, lub pochodzące ze związków przymusowych; również pozbawiane życia są kaleki, z bliźniąt jedno lub oboje, wreszcie niemowlęta, zrodzone wówczas, gdy dziecko poprzednie jeszcze nie umie chodzić. Z chwilą jednak, gdy niemowlę ma być zachowane przy życiu, matka otacza je wielką pieczołowitością i miłością, czego wyrazem jest długotrwały okres karmienia, przeciągający się — jak podaje Ploss i Bartels—od 2 do 6-iu lat. Niekiedy, w razie śmierci dziecka, matka nosi jego trupa ze sobą aż do zupełnego rozkładu ciała, a nawet i następnie przechowuje kości jego w worku. Wogóle starsi dobrze obchodzą się z dziećmi. Od wczesnych lat chłopcy i dziewczęta przyuczają się do zajęć, przypadających im z wiekiem w udziale: chodzą wraz ze starszymi na polowanie, na połów, uczą się rozniecać ogień, pleść sieci, kosze i t. p.

Doniosłą chwilę w życiu chłopców i dziewcząt stanowią urczystości, towarzyszące oficyalnemu przejściu z grona dzieci do grona osobników dorosłych, czyli tak zw. „święto dojrzałości.“ Szczególniej chłopcy poddawani są w tym okresie czasu najrozmaitszym obrzędom, przeważnie przykrym i bolesnym, mającym niby na celu zahartowanie mężczyzny, w samej rzeczy jednak rujnujące jego zdrowie i siły na pozostały okres życia. Do ceremonij takich należą między innemi: próby wytrzymałości na razy, głód, pragnienie, zimno, czuwanie, niewygody, tatuowanie przez nacięcia, wybicie zębów, obrzezanie i t. p. U niektórych szczepów nowicyusze muszą czołgać się poprzez zarośla z zawiązanemi oczyma, poczem przez dni kilka wolno im patrzeć tylko pod stopy; u Narinjerów w Nowej połud. Walii chłopcom od 10-go roku życia wzbronione jest spożywanie 13-tu gatunków najbardziej pożywnego jadła, a zarazem niewolno im czesać ani obcinać włosów; u niektórych szczepów Wiktoryi i Południowej Walii nowicyusze leżeć muszą przez czas dłuższy na wznak, przykryci gałęźmi, przyczem wzbronione im jest poruszać się, drapać, mówić i nawet funkcye naturalne zmuszeni są spełniać, nie zmieniając

pozycyi. Obok tych przykrych prób wytrzymałości, którym poddawani są młodzieńcy, wstępujący w grono dorosłych mężczyzn, ulegają oni zarazem wtajemniczeniu w obyczaje, prawa i wierzenia szczepu; nadto zostają im powierzone pewne tajemnice i pokazane lub wręczone pewne czarodziejsko-mistyczne narzędzia, skrzętnie ukrywane przed okiem kobiet i dzieci. Obrzędy święta dojrzałości ulegają znacznym różnicom w rozmaitych okolicach Australii. Zazwyczaj sąsiednie szczepy zbierają się dla wspólnego dokonania obrzędów nad całą młodzieżą w wieku odpowiednim; zwołane przez posłów, schodzą się one na oznaczone terytoryum i rozkładają obozowiska według zwyczaju, oryentując je w tym kierunku, skąd każdy szczep przybył. Z racyi uroczystości odbywają się wspaniałe korrobore, a liczne zgromadzenie szczepów, niekiedy zdaleka przybyłych, daje pole do ożywionego handlu zamiennego. Zgromadzenia podobne nie trwają nigdy długo wobec braku pożywienia, jaki wkrótce daje się odczuwać, i już po upływie dni kilku szczepy rozchodzą się, powracając na własne terytorya.

Również i przejście dziewcząt z okresu dziecinnego do okresu dojrzałości odbywa się przy specyalnych obrzędach, jednak o wiele mniej uroczystych i złożonych niż te, które towarzyszą świętu dojrzałości i wtajemniczenia chłopców. Obrzędy dokonywane są w rodzinie, bez współudziału szczepów sąsiednich. W tym więc przypadku, jak zresztą przez cały wogóle ciąg życia, wyraźnie zaznacza się niższe stanowisko kobiety w społeczeństwie australskiem. Uważana za własność mężczyzny, przeciążona pracą, źle odżywiana, oddzielona od społeczeństwa męzkiego niedostępnem dla niej „wtajemniczeniem," od dziecka już podlegająca nieokiełznanym chuciom samczym—kobieta australska pędzi żywot nędzny i pełen udręczeń. Wprawdzie u niektórych szczepów chłopiec, wstępując do zgromadzenia mężczyzn, składa ślub powstrzymania się od wszelkiego gwałtu względem kobiety, zakaz ten wszakże pozostaje zazwyczaj martwą tylko formułą, wskazującą jednak na pierwotnie wyższe stanowisko kobiety w społeczeństwie australskiem. Wszędzie w Australii panuje wielożeństwo, a ilość posiadanych żon zależy wyłącznie od tego, ile dany mężczyzna może ich sobie kupić. Stąd też kobiety, z krzywdą osobników młodszych, skupione są przeważnie w rękach mężczyzn starszych. Wobec podobnych stosunków i wogóle braku kobiet w Australii, dziewczęta stanowią dla rodziny cenny artykuł handlu zamiennego i częstokroć, jako niemowlęta jeszcze, zostają przyobiecane przyszłym swym mężom. Nic dziwnego również, iż na tle posia-

dania kobiet wynikają tu częste waśni, napady i walki. Sposób zawierania małżeństw bywa rozmaity; bardzo rozpowszechniony jest obyczaj porywania dziewczęcia po uprzedniem porozumieniu się z rodziną, przyczem zostaje inscenizowany napad, udana walka, wreszcie samo uprowadzenie. Niekiedy jednak porwanie jest rzeczywiste i daje powód do krwawych starć pomiędzy szczepami. U niektórych szczepów kobiety nie są sprzedawane, lecz wymieniane również na kobiety; prawo wymiany przysługuje częściej bratu niż ojcu dziewczęcia; czasami bywa ono sprzedawane osobie trzeciej. O ile poza małżeństwem panuje u Australczyków najzupełniejsza swoboda stosunków płciowych, o tyle od żon wymagana jest wierność, a zdradę małżeńską, popełnioną przez kobietę, mąż ma prawo śmiercią ukarać. Jednak nie cudzołóstwo samo w sobie uważane jest tu za występek, lecz raczej pogwałcenie praw cudzej własności, nieraz bowiem sąsiedzi zamieniają się na jedną lub parę nocy swemi żonami, a bracia lub blizcy krewni używają wspólnie kobiet. U wielu szczepów wnętrza wdowa po śmierci męża przechodzi na wspólną własność szczepu. Na zachodzie spotykamy gdzieniegdzie lewirat, t. j. przechodzenie wdowy na własność brata nieboszczyka; istnieje tu także obyczaj zaręczania się kobiety zamężnej już naprzód, na wypadek śmierci męża. Przy zawieraniu małżeństw Australczycy pilnie przestrzegają egzogamię, tak, iż łączyć się ze sobą mogą tylko członkowie grup szczepowych różnych. Szczep Niol-Niol np. z nad zatoki Beagle-Bay w północno-zachodniej Australii, badany przez Klaatscha, rozpada się na cztery grupy małżeńskie; również czterogrupowy system spotykamy u Arandów północnych (środkowa Australia), wówczas, gdy u Arandów południowych istnieje podział na 8 grup małżeńskich. Małżeństwo endogamiczne, t. j. zawarte wewnątrz jednej grupy, uważane jest za kazirodcze i karane bywa śmiercią. W każdym razie stan rzeczy dzisiejszy, w którym, obok ściśle obserwowanej egzogamii w zakresie małżeństwa, występuje zupełna swoboda związków wolnych, zdaje się być wyrazem zwyrodnienia i osłabienia ustroju pierwotnego, w którym instytucya małżeńska większej zażywała powagi.

Jedyny rodzaj śmierci zrozumiały dla Australczyka stanowi śmierć z przyczyn widocznych: wskutek ran, stłuczenia, śmierć w boju i t. p. Wszelkie inne rodzaje śmierci, nie wyłączając śmierci spowodowanej wiekiem, kładzie on na karb rzuconego czaru. W związku z tem pierwszą troską rodziny i przyjaciół zmarłego jest odszukanie winowajcy. Sposoby używane w tym celu są rozmaite. U szczepów z okolic Port-Lincoln (Australia

połud.) najbliższy krewny śpi z głową wspartą na piersi trupa, oczekując we śnie wskazówki od zmarłego. U krajowców Adelajdy zmarły noszony jest na marach z gałęzi, a obecni wymieniają kolejno imiona przypuszczalnych sprawców śmierci; przy właściwem imieniu mary poruszyć się mają i pochylić w kierunku winowajcy. Niektóre szczepy południowo-zachodnie sądzą, iż owad, wypełzający z grobu nieboszczyka, wskazuje kierunek, gdzie przebywa winny. Wymierzanie kary bywa rozmaite, zależne od wieku i stanowiska zmarłego; polega ono bądź na obiciu, bądź na lżejszem lub cięższem zranieniu, bądź nawet na zadaniu śmierci. O ile domniemany winowajca należy do szczepu obcego sprawa kończy się zazwyczaj utarczką, poprzedzoną wzajemną wymianą przekleństw i obelg; po zadaniu sobie mniej więcej lekkich ran strony obie na wezwanie kilku starszych mężczyzn zaprzestają boju i sprawa uważana jest za załatwioną. Inaczej rzecz się ma w razie zabójstwa; wówczas za śmierć winowajca płacić musi własną śmiercią i zostaje zakłóty dzidami przez towarzyszy zmarłego. Po dokonaniu tej krwawej zemsty obecni zakopują w ziemię dwa patyki długości ręki, mające wyobrażać zabójcę i ofiarę. W razie śmierci winowajcy przed dokonaniem zemsty, lub w razie jego ucieczki, najbliższy krewny przestępcy ponieść musi karę. W Australii istnieje kilka odrębnych metod pogrzebowych: nieboszczyk zostaje zakopany w ziemi, umieszczony w pniu spróchniałego drzewa, w rzadkich przypadkach ulega spaleniu, staje się przedmiotem uczty ludożerczej, bądź wreszcie zostaje spreparowany jako mumia. Różnorodność tych metod jest głównie lokalna, chociaż — jak podaje Thomas — pozostaje ona również w związku z wiekiem, płcią i stanowiskiem zmarłego. Szczególniej ciekawa jest metoda sporządzania mumii; Klaatsch opisuje ją w sposób następujący. Po zakopaniu ciała na dni kilka w ziemi trup zostaje wyjęty i obgniły naskórek wraz z włosami ulega dokładnemu oskrobaniu. Po dokonaniu tej operacyi jama ciała zostaje otwarta i ciało umieszczone na ruszcie z gałęzi ulega powolnemu suszeniu, a raczej wędzeniu nad ogniem. Ociekającym tłuszczem i krwią kobiety należące do rodziny zmarłego smarują sobie włosy, zwijając je następnie w pęczki; w miarę odrastania włosów gruzły, tworzące tę dziwaczną fryzurę, ulegają obcięciu i noszone są w postaci naszyjnika. Podobną fryzurę żałobną obserwował Klaatsch i u mężczyzn. Po dostatecznem wysuszeniu ciała zostaje mu nadana pozycya człowieka siedzącego w kucki z kolanami dotykającemi brody i dłońmi wyciągniętemi wzdłuż twarzy. Być może—jak przypuszcza Klaatsch—iż pozycya taka ma odtwarzać

pozę płodu skurczonego w łonie matki; słusznie jednak zaznacza Waldeyer, że mogą tu również wchodzić w grę czynniki natury praktycznej, ponieważ ciało sprowadzone do tej pozycyi zajmuje najmniej miejsca, co jest warunkiem pożądanym wobec obyczaju noszenia mumii przez czas jakiś w worku ze sobą. Według danych, zgromadzonych przez Klaatscha, obyczaj mumifikowania ciał był dawniej niezmiernie rozpowszechniony wśród niektórych szczepów; obecnie ogranicza się on przeważnie tylko do wybitnych jednostek. Mumia, zdobyta przez Klaatscha, należała do starego wodza i w chwili, gdy udało mu się pozyskać ją dla swych zbiorów za cenę tytoniu, odzieży i jadła, upływało 8 miesięcy od chwili jej sporządzenia, a szczep, do którego należała, wciąż jeszcze wlókł ją za sobą. Ze wszystkich metod pogrzebowych australskich, najwstrętniejszy dla naszych pojęć jest kanibalizm. Jednak kanibalizm ten, kanibalizm pogrzebowy, rytualny, nie jest u Australczyków wynikiem pospolitej krwiożerczości i okrucieństwa, lecz raczej rezultatem takich uczuć jak: przywiązanie do zmarłego, chęć przyswojenia sobie jego fizycznych i duchowych własności, lub wreszcie obawa przed zmarłym i naiwne usiłowanie zabezpieczenia się w ten sposób od jego powrotu. Matka np. spożywa ciało zmarłego dziecka, a kości jego nosi długi czas ze sobą w worku; mężczyźni zjadają zabitego przeciwnika lub wodza dla pozyskania jego zalet; krewni dzielą się ciałem krewnego, wierząc, iż dzięki temu łatwiej zapomną o zmarłym, a zarazem zapobiegą jego odwiedzinom. Obok kanibalizmu rytualnego, spowodowanego, że tak powiem, motywami natury idealistycznej, spotykamy jednak w Australii inną jeszcze jego postać, mianowicie kanibalizm wypływający z braku pokarmu wogóle, lub z braku pokarmu zwierzęcego. Ludożerstwo z tych przyczyn szczególniej jest rozpowszechnione w pustynnych okolicach wnętrza i zachodu. Jak podaje Ratzel, w Queenslandzie w latach, gdy drzewo bunga-bunga (araucaria Bidwilli) urodzi tak obficie, że ilość owoców przewyższa potrzeby ludności miejscowej, szczepom sąsiednim dozwolone jest przybyć i korzystać z nadmiaru pokarmu. Wobec tego jednak, że przybyszom wzbronione jest polowanie na jakąbądź zwierzynę, muszą oni zadawalać się przez cały czas pobytu wyłącznie pokarmem roślinnym; budzi to w nich podobno po upływie pewnego czasu tak silne pożądanie mięsa, że zabijają jednego lub kilku swoich i wyprawiają ucztę ludożerczą. W zakresie kanibalizmu rytualnego czyli pogrzebowego u rozmaitych szczepów rozmaite istnieją obyczaje. Niektóre z nich spożywają nie całe ciało, lecz tylko pewne jego części, np. oczy i policzki,

lub tłuszcz nerkowy i sercowy. U Djerjów z południowej Australii wycinają zmarłemu tłuszcz z policzków, ramion, ud i brzucha i rozdają rodzinie do spożycia. U szczepów z górnego biegu rzeki Marji w Queenslandzie, według Macdonalda, kanibalizm pogrzebowy ma postać nieco łagodniejszą. Po upieczeniu trupa pomiędzy dwoma stosami jeden z obecnych znaczy kredą na ciele jego szereg linij poprzecznych i podłużnych i według nich ćwiartuje tułów i kończyny; obecni wydają tymczasem dzikie wrzaski i ranią się nawzajem toporkami; ostatecznie jednak kawałki mięsa nie zostają spożyte, lecz zakopane w ziemi. Z pośród innych metod pogrzebowych, będących w użyciu w Australii ciekawy jest obyczaj umieszczania zmarłego w spróchniałem drzewie, lub na drzewie zaszytego w skóry i zawieszonego na gałęziach. W wielu okolicach drzewa takie są palone wraz z trupem, a to z obawy, by szczątki zmarłego nie zostały użyte przez kogokolwiek do zgubnych czarów. Zresztą podobne drzewa grobowe, wobec zwyczaju Australczyków omijania miejsc spoczynku zmarłych, częstokroć stanowiłyby przeszkodę w ustawicznych wędrówkach ludności. Z tego też względu u niektórych szczepów nadbrzeżnych zmarli zostają wprost wrzucani do morza. Niemniej wstrętny, jak kanibalizm, jest obyczaj wystawiania trupa na działanie słońca i wiatru w celu oddzielenia mięsa od szkieletu i następnego dopiero pogrzebania kości. Nie wszystkie jednak kości ulegają temu losowi; górna część czaszki zostaje przeważnie zachowana i użyta, jako naczynie do picia. U niektórych szczepów w razie śmierci męża, żona śpi z trupem aż do zupełnego rozkładu ciała; podobnież i matki nie rozstają się z ciałami zmarłych dzieci. W związku z obyczajem Australczyków unikania miejsc spoczynku zmarłych, na miejsca takie wybierane są zazwyczaj okolice ustronne wśród lasu. Na grobie wznosi się przeważnie niewielki pagórek z ziemi; u niektórych szczepów jest on posypany gliną czerwoną lub piaskiem; niekiedy ustawiony jest nadto rodzaj szałasu lub daszek słomiany. W innych okolicach grób zostaje przykryty chróstem lub przywalony kłodą drewnianą, co ma zapobiegać wydostaniu się zmarłego nazewnątrz. Drzewa, stojące w pobliżu grobu, częstokroć bywają pokryte nacięciami. U niektórych szczepów na grobie zostają złożone dary dla zmarłego. Peron widział w pobliżu Albany, w południowo-zachodniej Australii, grób, obsadzony dokoła dzidami, zabarwionemi na czerwono i zwróconemi ostrzami ku sobie. Ciekawy typ grobów spotkał parokrotnie Klaatsch na wyspie Melville u wybrzeży północno-zachodnich Australii. Były one obsadzone słupami drewnia-

nymi, ciosanymi rozmaicie i pokrytymi ornamentem czarnym, żółtym i czerwonym; w jednym przypadku na słupach umieszczone były koszyki z kory drzewnej, stanowiące dary grobowe dla zmarłego. Podobny typ grobów obserwowali Bremer i Campbell na wyspie Bathurst, położonej w pobliżu wyspy Melville. Czy jednak mamy tu do czynienia z typem grobów australskich lokalnych, czy też, być może, z typem zapożyczonym od sąsiadów-wyspowców, trudno jest w danej chwili orzekać, nie posiadamy bowiem jeszcze wystarczających danych po temu.

*

* *

Ustrój wewnętrzny szczepów australskich wykazuje zaledwie słabe zaczątki państwowości. Najobszerniejszą jednostkę państwową stanowi tu szczep, złożony z pewnej ilości grup rodzinnych. Każdy szczep ma w swem posiadaniu pewien obszar, stanowiący pod pewnemi względami własność ogólną, pod innemi zaś własność poszczególnych rodzin. Np. zbieranie owoców i zwykłe polowanie dozwolone jest na całem terytoryum szczepowem. W razie jednak zamierzonego spalenia stepu dla obsaczenia zwierzyny, musi być uzyskane pozwolenie poszczególnych rodzin. Własność osobista wyraża się również przez prawo pierwszeństwa w korzystaniu ze źródeł, strumieni, okolic leśnych i t. p. Granice terytoryalne poszczególnych szczepów są ściśle przestrzegane, tak że wędrówki peryodyczne odbywają się tylko w granicach własnego terytoryum. Niekiedy dwa lub kilka szczepów sąsiednich ma we wspólnem posiadaniu pewien obszar; są to przeważnie kamieniołomy lub źródliska. Ktokolwiek wkracza na terytoryum sąsiedzkie, musi być do tego upoważniony, lub winien przedstawić pałeczkę poselską, jako świadectwo swoich zamiarów. Pomiędzy szczepami sąsiednimi zachodzi dość częsta styczność w związku z handlem zamiennym, bądź z powodu rozmaitych uroczystości, na które szczepy zapraszają się nawzajem. Wzajemne zwołanie odbywa się przez posłów, drogą wręczania pałeczek poselskich lub polecenia ustnego. Istnieje tu nawet rodzaj specyalnej instytucyi poselskiej, t. zw. *Ngia-ngiampe*. Sznur pępkowy nowonarodzonego dziecka, związany wraz z pęczkiem piór emu, zostaje wręczony ojcu również niemowlęcia w szczepie ob-

cym. Dzieci takie stają się względem siebie „ngia-ngiampe," czyli że nie wolno im do pewnego wieku dotykać się, mówić do siebie, nawet się widywać; natomiast gdy dorosną, stają się pośrednikami w stosunkach międzyszczepowych. „Ngia-ngiampe" uważane jest za rodzaj powinowactwa, braterstwa, tak, że nawet małżeństwo pomiędzy członkami rodzin związanych w ten sposób jest u wielu szczepów niedozwolone.

Odrębność szczepowa w zakresie kultury jest w Australii bardzo słabo wyrażona; różnice międzyszczepowe, dotyczące narzecza, poglądów, obyczajów, przemysłu, są stosunkowo nieznaczne, za wyjątkiem szczepów północnych, okazujących pod wielu względami wpływy obce: indonezyjskie i melanezyjskie. Pomimo tej jednak jednolitości kulturalnej specyalne środowisko australskie, warunki bytu, zmuszające ludność do rozproszenia, stanęły na przeszkodzie wytworzeniu się tu państwowości, sprzyjając natomiast separatyzmowi szczepowemu.

Na czele szczepu stoi naczelnik, czyli wódz, obierany z pośród mężczyzn najpoważniejszych, a zarazem ześrodkowujący w sobie wszystkie zalety cenne dla Australczyków: siłę, zręczność, zdolności łowieckie, częstokroć i umiejętność czarnoksięzką. Nad pojedyńczemi gromadami, czyli hordami, przewodzą starsi i doświadczeńsi mężowie, stanowiący w razie potrzeby radę i instytucyę karną. Na czele rodziny stoi mąż. U niektórych szczepów, jak podaje Schörmann, władzy naczelnej niema nawet wcale, a rządy sprawują wprost jednostki silniejsze, sprytniejsze, lub uważane za czarowników.

Dla rozstrzygnięcia zatargów międzyszczepowych zbierają się „starsi" i wodzowie szczepów sąsiednich; częstokroć jednak nie dochodzi do porozumienia i sprawa kończy się bojem. Klaatsch był świadkiem takiego boju, prowadzonego o kobietę, i opisuje ciekawy przyrząd, używany przez walczących, jako przedmiot do wyładowania swej wściekłości. Jest to mianowicie rodzaj piłek lub kulek z miękkiego materyału: piór, sierści — które walczący noszą zawieszone na szyi i, chwytając w zapale walki zębami, gryzą i szarpią zaciekle. Podobną obserwacyę znajdujemy również u Stokego, który podaje, jakoby krajowcy z Beagle-Bay (Australia północno-zachodnia) gryźli własne brody w przystępie szału bojowego. Bardzo rozpowszechnionym obyczajem załatwiania obrachunków międzyszczepowych lub nawet wewnętrznych jest krwawa zemsta. Ohydny i wyszukany rodzaj zemsty spotykamy u Narinierów z Nowej południ. Walii. Mściciel zanurza ostrze dzidy lub kawałek zaostrzonej kości w ciało rozkładającego się

trupa i pozostawia je tak przez ciąg dni kilku. Po upływie tego czasu, gdy ostrze nasiąkło jadem, obwija je w pęczek włókien lub włosów również napojonych ropą i czyni zadość swej zemście, zadając cios wrogowi i zakażając go trupim jadem.

Wogóle w stosunkach międzyszczepowych, a nawet i wewnętrznych, ujawnia się niedowierzanie; niewątpliwie przyczynia się do tego obawa czarów, urzeczeń, duchów i t. p. Nawet przy spotkaniu znajomych Australczyk nie objawia odrazu radości i dopiero po jakimś czasie rozpoczyna się swobodna gawęda. U Djerjów z południowej Australii na spotkanie obcego wychodzą mężczyźni uzbrojeni i ustawiają się, jak do boju; zbliżający się również trzyma broń w pogotowiu; następuje wzajemna wymiana i odparowanie ciosów, poczem dopiero przybysz zostaje powitany i wprowadzony do obozowiska. Sam ceremoniał przywitania polega w Australii na pocieraniu piersi ręką; na pożegnanie wykonywane są specyalne poruszenia palcami, lub dłonie zostają rozkładane i podnoszone do góry. Zresztą pod tym względem istnieje wiele różnic lokalnych. Na wyspie Melville czarni witali Klaatcha, macając jego ciało i wyrażając grymasami twarzy i gestami radość z powodu dobrego stanu jego odżywienia. Podobny sposób powitania spotkał on na wysepkach w zatoce Karpentaryi.

Mówiąc o ustroju wewnętrznym szczepu i rodziny w Australii, muszę wspomnieć o *totemizmie*, a raczej *kobongizmie*, pomimo, że właściwe znaczenie i ustrój tej organizacyi jest nam dotychczas niedokładnie znany. Grey podaje następujące określenie „kobongu“ dla szczepów z okolic Albany w południowo-zachodniej Australii. Każda rodzina posiada jako godło zwierzę lub roślinę, stanowiące jej kobong. Pomiędzy kobongiem a grupą doń należącą zachodzi, według pojęć krajowców, pewien tajemniczy związek, coś w rodzaju powinowactwa, opartego na wspólnem pochodzeniu od mytycznego przodka. Zgodnie z takim poglądem, członkowie grup kobongicznych oszczędzają swoich kobongów, i np.: jeśli chodzi o roślinę, nie zrywają jej w pewnych okresach czasu i w pewnych okolicznościach, jeśli zaś idzie o zwierzę — nie zabijają go ani w stanie snu, ani też bez dania mu uprzednio możności ucieczki. Taki stosunek człowieka do kobonga przypomina stosunki totemistyczne, właściwe szczepom Indyan z Ameryki północnej. Nie wszędzie jednak w Australii spotykamy kobongizm w formie opisanej wyżej; istnieje tu pod tym względem cały szereg różnic lokalnych. U niektórych szczepów kobongizmu dotychczas nie stwierdzono zupełnie, natomiast u innych wy-

stępuje on w postaci bardzo zawiłej. U Niol-Niolów np. w północno-zachodniej Australii, Klaatsch, pomimo bardzo pomyślnych warunków badań, nie znalazł nic, coby wskazywało na kobongizm. Podobnie negatywny rezultat osiągnął on — a także Basedow, Stretlon, Spencer i Gillen — w północnem terytoryum. Również i w Queenslandzie Tom Petrie, a następnie i Roth — doskonali znawcy życia i obyczajów krajowców — nie znaleźli zupełnie kobongizmu. Natomiast formę jego skomplikowaną spotykamy u niektórych szczepów wnętrza, np. u Arandów, Loritjów i innych, gdzie typ pierwotny—jak wykazuje P. W. Schmidt—uległ znacznym nawet przekształceniom lokalnym. U niektórych szczepów kobongizm wywiera wpływ na metodę zawierania małżeństw, ponieważ członkowie jednej grupy kobongicznej są uważani względem siebie za spowinowaconych, a co za tem idzie, małżeństwo pomiędzy nimi jest niedozwolone. Zazwyczaj też u szczepów takich grupy małżeńskie zbiegają się z grupami kobongicznemi, czyli, że ten sam kobong nie występuje u grup małżeńskich różnych. W miarę jednak komplikowania się pojęć kobongistycznych, zbieżność ta znika, i u Arandów np. lub Kaitiszów rozkład kobongów jest niezależny od grup małżeńskich, wskutek czego członkowie jednej grupy kobongicznej mogą żenić się z sobą. Kwestya dziedziczenia kobongu również przedstawia się rozmaicie: u szczepów o kobongizmie prostszym kobong dziedziczy się w linii męzkiej, t. j. przechodzi z ojca na potomstwo; w miarę komplikowania się pojęć sprawa dziedziczenia kobongu staje się również bardziej zawiła; u Arandów i Loritjów np. — jak podaje Strehlow — każdy osobnik posiada dwa kobongi: swój własny, osobisty, zależny od okoliczności poczęcia lub urodzenia, oraz kobong macierzysty, z którym jednak łączą go słabsze związki. Wogóle w pojęciach wielu szczepów australskich daje się zauważyć wyraźna zależność pomiędzy kobongizmem a koncepcyonalizmem, t. j. poglądem na sprawę „poczęcia.“ Jest to całkiem zrozumiałe wobec tego, że w wyobrażeniu szczepów rzeczonych obie sprawy łączą się blizko ze sobą, jako wynikające obie z tajemniczego działania mytycznego protoplasty.

Wobec niechęci, jaką Australczycy okazują w ujawnianiu ludziom obcym swych pojęć i wierzeń, i tajemniczości, jaką okrywają swe obrzędy—to, co dotychczas wiemy o kobongizmie w Australii, jest w każdym razie w wielu przypadkach niejasne i niepewne. Zresztą, nawet w warunkach pomyślnych dla badacza, t. j. przy chętnem udzielaniu mu wyjaśnień i wskazówek, zostaje on częstokroć wprowadzony w błąd wskutek własnej nieostrożnej i nie-

umiejętnej metody zapytywania. Dzicy bowiem często przez grzeczność nie przeczą, lub nawet potakują na zadawane im pytania; zarazem skłonni są do kłamstwa, do ubarwiania i fałszowania rzeczywistości. W związku z tem, wiele nieraz z tego, co niewprawny lub niedość ostrożny badacz pisze o wierzeniach danego szczepu, zostało przezeń raczej nasunięte opowiadającemu, lub poniekąd wmówione nawet, niż istotnie opowiedziane.

*

* *

Pojęcia kosmogoniczne i religijne Australczyków są nietyle ubogie, ile niezmiernie chaotyczne. Zresztą, być może, iż wydają nam się one takiemi wskutek trudności bliższego wniknięcia w te kwestye i należytego zanalizowania i porównania materyału. Nie siląc się przeto na ujęcie mytów i wierzeń australskich w jakiśkolwiek systemat, ograniczę się tylko do podania garści luźnych wiadomości z tego zakresu, oraz niektórych wniosków, będących rezultatem badań najnowszych w tej dziedzinie i rzucających ciekawe światło na kwestyę odrębności niektórych szczepów wnętrza.

Stworzenie świata i stworzenie człowieka przypisują Australczycy rozmaitym istotom wyższym: bogom, czy też duchom, przyczem metody stwarzania są tu niezmiernie różnorodne. Według niektórych szczepów zachodniej Australii ziemię stworzyć miał bóg Motogon głosem i tchnieniem swem; natomiast według plemion południowych bóg Barim miał ją namalować. Djerjowie opowiadają, że na rozkaz najwyższego boga Muramury księżyc stworzył świat, słońce zaś zostało stworzone przez Muramurę na prośby ludzi. U wielu szczepów księżyc uważany jest wogóle za potęgę dobroczynną, w przeciwieństwie do słońca, któremu przypisują złe wpływy. Krajowcy z okolic Encounter-Bay (Australia południ.) wyobrażają sobie, iż księżyc chudnie po pełni wskutek zbyt długiego pobytu wśród ludzi; wówczas duch najwyższy wypędza go precz; księżyc kryje się i odkarmia nanowo korzonkami, by znów powrócić do ludzi. Inne szczepy południa przypisują peryodyczne znikanie księżyca słońcu, które, będąc jego żoną, zabija go co miesiąc. Stworzenie człowieka, podobnie

jak stworzenie świata, pojmowane bywa rozmaicie. Według niektórych szczepów południa bóg Bajamaj wyprowadzić miał istotę ludzką z wody, sam leżąc na skale, poczem przysłał córkę swą z kijem w celu wytępienia węży; złamany kij stworzył ogień. U wielu szczepów jaszczurka odgrywa doniosłą rolę w mytach antropogonicznych; według Djerjów np., bóg Tarrotare, sam w postaci jaszczurki, obciął jaszczurce ogon, by mogła chodzić na dwóch nogach, poczem zrobił z niej człowieka. Wogóle w mytach australskich element ludzki, roślinny i zwierzęcy splatają się częstokroć ze sobą, co pozostaje w związku z kobongizmem, z wiarą w łączność wzajemną. Gdy protoplaści Narinierów (Nowa południ. Walia), tańcząc, wytworzyli pagórki i stawy Mutabaringi, zaprosili potężnego Kondola, który jednak ukrył przed nimi przyniesiony ze sobą ogień. Bóg Rilballe ranił go za to oszczepem w szyję, a obecni śmieli się. Wówczas zostali zamienieni w zwierzęta, a Rilballe dał ogień drzewu trawiastemu. Ciż sami Narinierowie opowiadają następujący myt o powstaniu deszczu. Stary człowiek żył w przyjaźni z dwoma młodymi. Razu pewnego, po pomyślnym połowie, młodzi zabrali sobie najlepsze ryby, zostawiając staremu wybiórki. Wówczas ten wszedł do szałasu i wnet zaczął padać ulewny deszcz; on pozostał suchy— oni zmokli za karę. Następnie wszyscy troje zostali zamienieni w ptaki i odtąd, gdy „stary“ krzyczy — jest to oznaka deszczu.

Oprócz bogów najwyższych, bogów twórczych, Australczycy wierzą w istnienie całego szeregu duchów dobrych i złych, jednak przy znacznej przewadze tych ostatnich. Według Niol-Niolów, pośród duchów dobrych, Banjebalki stanowią rodzaj istot opiekuńczych; mieszkają oni w niebie i tam mają swe tereny myśliwskie; dali czarnym muzykę, taniec i wiele umiejętności; czarownicy zyskują od nich magiczną swą siłę. Inny duch, Kalalon, również mieszkający w niebie, jest duchem mścicielem, baczącym, by młodsi nie kradli żon starszym. Rozmaite duchy zaludniają lasy, wody, pieczary, włóczą się po nocy, unoszą w powietrzu; Bunjap straszyć ma po zaroślach, Kupir kradnie z jaskiń, Mani opala w nocy wąsy i brody i dusi. Każdy szczep posiada fantastyczne opowiadania o walkach stoczonych ze złymi duchami; niekiedy nawet — jak podaje Ratzel — krajowcy budzą Europejczyków, śpiących wraz z nimi, by czuwać w nocy przed napaścią duchów. Niektóre duchy posiadać mają postać zwierzęcą: takim jest olbrzymi wąż wodny, występujący w podaniach wielu bardzo szczepów i poczytywany za rodzaj złego bóstwa. Według Niol-Niolów miał on być inicyatorem obrzędu obrzezania;

odbłyskiem jego ciała jest tęcza. Podobne wytłómaczenie tęczy znalazł również Klaatsch i w północno-wschodnim Queenslandzie.

Wiara w egzystencyę duszy po śmierci jest powszechna szczepom australskim. Niol-Niolowie zwą duchy pośmiertne „njerami“; zdaniem ich wędrują one po lesie, gdzie można je widzieć w nocy. Stosunek ich do żywych bywa rozmaity: przyjazny bądź wrogi. Gdy fala wyrzuci diugonia lub wieloryba na brzeg — ma to być dziełem dobroczynnem duchów przodków. Częstokroć jednak duchy zmarłych straszą, przeszkadzają lub psocą, a także dostarczają czarownikom szkodliwych kamieni do czarów. Niektóre szczepy zachodu opowiadają, iż dusze zmarłych siedzą na drzewach i skarżą się, a zawołane przez żywych, wstępują w nich. W związku z wiarą w możliwość udziału zmarłych w egzystencyi żywych, pozostaje obawa, właściwa wszystkim szczepom australskim: imienia zmarłego nie wymawia się, a ci, którzy nosili to samo imię, zmieniają je na inne; niekiedy nawet miejscowości zostają przezwane dla zdezoryentowania duszy i zapobieżenia jej odwiedzinom. Natomiast ceremoniał pogrzebowy, niekiedy bardzo złożony i uciążliwy, ma na celu przychylne usposobienie ducha i zabezpieczenie się przed jego zemstą. U niektórych szczepów pojęcia o egzystencyi pozagrobowej łączą się z mytami o gwiazdach. Szczepy z Encounterbay np. (Australia połudn.) wyobrażają sobie, że dusze zmarłych pędzą wśród gwiazd dalszy ciąg życia ziemskiego; droga mleczna przedstawia według nich strumień lub szereg szałasów i zapewniają nawet, jakoby spostrzegali kupy popiołu przed szałasami i dymy z nich się unoszące. Podobnie w Nowej połudn. Walii spotykamy wiarę w dalsze istnienie dusz w chmurach. Przeciwnie Arandowie z Australii środkowej sądzą, że zmarli odbywają wędrówkę pośmiertną na legendową wyspę „Laję“ i ulegają tam zniszczeniu przez błyskawicę.

Obok wiary w egzystencyę duszy po śmierci, u niektórych szczepów znajdujemy wiarę w istnienie duszy przed urodzeniem; wyobrażenia takie spotykamy np. u Niol-Niolów i Arandów; u pierwszych dusza podobna zwie się „raja,“ u drugich — „ratapa.“ Dusze nienarodze żyją w zaroślach, w lesie i podobnie jak dusze zmarłych ukazują się nieraz w nocy lub we śnie. Pojęcie takie nie stoi jednak w związku, jak można byłoby przypuszczać, z wiarą w reinkarnacyę, t. j. wcielanie się duchów zmarłych w istoty mające powstać. Wszelkie badania w tym względzie prowadzone przez Klaatscha i Strehlowa u Niol-Niolów i Arandów dawały wyniki negatywne i na wyraźne pytanie: „czy „njer“ (etana) przechodzi w „raję“ (ratapę)—dzicy odpowiadali przecząco.

Nic dziwnego, iż wobec tak silnie rozwiniętej wiary w istnienie całego szeregu istot nadprzyrodzonych: bogów, duchów, dusz zmarłych, wybitne stanowisko wśród szczepów zajmować muszą osobniki, posiadające znajomość tradycyi, a zarazem umiejętność postępowania z bogami i duchami w celu uzyskania ich względów, lub zwrócenia ich przeciw wrogowi. Stanowisko takie zajmują czarownicy. Działają oni zapomocą użycia czarodziejskich formuł, zaklęć, amuletów, tajemnych obrzędów i t. p. Szczególniej doniosłą staje się ich rola w przypadkach śmierci i potrzeby wyszukania winnego, podczas ceremonii wtajemniczania, w razie choroby lub w potrzebie wywarcia na kimkolwiek zemsty, bądź odwrócenia takowej. Największą siłę czarodziejską zawierać mają w sobie części ciała ludzkiego lub szczątki jadła. Nietylko czarownik, lecz każdy wogóle Australczyk stara się zdobyć te cenne substancye, bacząc zarazem, by nie dostały się one w ręce wroga, a nawet człowieka obcego. Tem się tłómaczy obyczaj skrzętnego palenia wszystkich szczątków jadła, a także obyczaj niektórych szczepów palenia lub topienia zmarłych. Szczególniej potężne własności czarodziejskie posiadać ma tłuszcz nerkowy ludzki, który też w wielu okolicach zostaje wycinany zmarłym. Niemniej cenione są suszone ręce, noszone na piersiach, plecach, szyi, jako amulety. Ręka taka ma drapaniem, lub kurczeniem się oznajmiać zbliżenie wroga lub ostrzegać przed grożącym urokiem. Ma ona być zarazem amuletem bardzo pomocniczym na polowaniu lub przy połowie ryb. W niektórych okolicach bardzo są poszukiwane dla swych właściwości czarodziejskich ogryzione kości pewnych ryb i ptaków, posiadanie ich bowiem ma dawać władzę nad życiem i śmiercią tego, kto spożył z nich mięso. Kostki takie zostają oblepione mięszaniną gliny, tłuszczu rybiego i kawałków ciała trupiego i spoczywać muszą przez czas pewien na piersiach trupa. W razie potrzeby użycia bryłka zostaje umieszczona w pobliżu ognia, a topienie się tłuszczu i gliny sprowadzać ma niezawodną chorobę lub nawet śmierć na osobnika, przeciw któremu czar był zwrócony. Bardzo rozpowszechnione wśród szczepów australskich są amulety z kamieni, przyczem użycie niektórych z nich stanowi przywilej wyłącznie tylko czarowników. Niektóre szczepy wyobrażają sobie, iż podobny kamień-amulet spoczywa w żołądku czarownika, który w sposób tajemny przenosi zeń okrzeski do żył osobnika czarowanego. Do jego własnego żołądka kamyk zagadkowy ma się dostawać bądź z krainy duchów, w której przebywał w chwilach ekstazy, bądź z wnętrza świeżego grobu, na którym noc spędził.

Do zajęć czarownika oprócz wykonywania czarów należy zazwyczaj również wyrób narzędzi rytualnych z drzewa świętego. U Djerjów z Australii południowej jako drzewo takie uważany jest pewien gatunek akacyi; z niego wyrabiane są narzędzia do wybijania zębów, przedziurawiania przegrody nosowej, a także pałeczki magiczne, używane przy zażegnywaniu chorób. Również tajemnicze „Churingi“ i „Warkotki“ wyrabiane są ze świętego drzewa.

Leczenie chorób niezawsze bywa wyłącznym przywilejem czarownika; na zachodzie leczą również i stare kobiety, gdzieniegdzie spotykamy nawet specyalny zawód lekarzy. Przeważnie jednak obie funkcye zbiegają się w jednym osobniku. U Narinjerów lekarz-czarownik obok zaklinania stosuje również i masaż części bolących. Używane są także zimne obmywania, nacięcia na ciele, puszczenie krwi; w tym wypadku krew nie powinna spływać na ziemię lecz na ciało innego osobnika, tworząc sieć przecinających się linij. Prawdopodobnie w związku z kobongizmem pozostaje stosowanie przez każdego lekarza pewnego specyalnego, jemu tylko właściwego środka, np. mrówek, jaszczurek, ptaków; chodzi tu, być może, o pewne współdziałanie tych istot, jako elementów przyjaznych, blizkich.

Jednem z najzawilszych zagadnień z dziedziny światopoglądu Australczyków jest kwestya, dotycząca istoty zagadkowych *Warkotek* i *Churing* — „drewienek dusz,“ jak je nazwał dr. Foy, oraz blizko związana z nią kwestya mytycznych protoplastów szczepowych i osobniczych. Postaram się przytoczyć w tym względzie nieco danych, oraz ciekawy pogląd Schmidta, rzucający pewne światło na tę, dotychczas tak ciemną dla nas dziedzinę. Warkotka jest to drewienko płaskie, owalnie wydłużone, przedziurawione w jednym końcu i pokryte ornamentem. Zastosowanie jej bywa rozmaite. Najobszerniejsze i niemal powszechne jest zastosowanie podczas ceremonii wtajemniczenia; nawleczona na sznurek i puszczona w ruch wydaje ona warkliwy dźwięk, odstraszający kobiety i dzieci, którym widok warkotki jest surowo wzbroniony. Kobietom i dzieciom mówią, iż jest to głos ducha, mordującego chłopców i przywracającego ich, wtajemniczonych, do życia; nowicyuszom natomiast wyjaśniają, iż warkotka przedstawia istotę legendarną, mytycznego protoplastę. Ciekawe jest, iż na południu Australii: w południowym Queenslandzie, Nowej południowej Walii, Wiktoryi, Australii południowej — u wielu, być może nawet u większości szczepów, podczas ceremonii wtajemniczenia występuje nie jedna, lecz dwie warkotki. Podobne sto-

sunki istnieją dalej nawet na północy, u Arandów, Loritjów i Niol-Niolów północnego zachodu. W tych przypadkach, jak o tem świadczą liczne dane, warkotki reprezentują parę prarodzicielską: mężczyznę i kobietę — protoplastów szczepu.

Lecz obok tego zastosowania warkotki przy uroczystościach wtajemniczenia, spotykamy ją na gruncie Australii w innej jeszcze roli—w pojęciu ciaśniejszem, węższem, jako przedstawicielkę, jako symbol protoplasty kobongicznego osobniczego. W tej postaci jednak warkotki nie występują na całym obszarze Australii, lecz tylko na nieznacznej stosunkowo przestrzeni, mianowicie wśród szczepów północnego wnętrza i północnego zachodu. Tę postać warkotki nazwać możemy *Churingą*, używając nazwy, zaczerpniętej od Arandów, u których po raz pierwszy została ona opisana. Zarówno u Niol-Niolów, jak u Arandów i Waramungów każdy mężczyzna dostaje podczas inicyacyi dwie warkotki-churingi na własność i trzyma je w ukryciu na drzewie; zresztą następnie może ich i więcej pozyskać. Churingi stanowić mają rodzaj łącznika pomiędzy człowiekiem, a jego duchem-kobongiem i w związku z tem bywają używane w niektórych obrzędach, mających na celu rozwój i pomnożenie zwierząt lub roślin kobongicznych.

Widzimy przeto, że zależnie od występowania warkotki, bądź warkotki-churingi, rozróżnić możemy wśród szczepów australskich dwie grupy: I-ą, w której warkotka jest wyłącznie tylko wyobrażeniem wspólnego protoplasty szczepowego i II-ą, w której ta sama warkotka, jako churinga, zyskuje zarazem charakter symbolu protoplasty kobongicznego klanowego lub osobniczego. Schmidt uważa pierwszą grupę za socyologicznie pierwotniejszą.

Ślady ustroju pierwotnego znajdujemy najlepiej zachowane w kącie południowo-wschodnim Australii. Tu, u szczepów Wiktoryi, para warkotek inicyacyjnych zachowała najwyraźniej charakter pary protoplastów szczepowych, a brak churing, odpowiadających poszczególnym kobongom, wskazuje na ścisłą jednolitość szczepu, który poczuwa się do wspólnego pochodzenia i nie wie nic o jakiejkolwiek różnolitości początków. Jest to stadyum kobongizmu płciowego, opierającego się wyłącznie tylko na różnicy płci, wytworzonej przez naturę — stadyum, w którem szczep posiada dwa tylko kobongi: jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet, w związku z czem i małżeństwo regulowane jest tylko stopniem pokrewieństwa i wypływającą stąd egzogamią lokalną. Wyraźne ślady kobongizmu płciowego spotykamy również u niektórych

szczepów z nad Pennefather-river i z przylądka Bedford w północnym Queenslandzie. Według wyobrażeń tych szczepów zawiązek każdego chłopca wstępuje w ciało matki pod postacią węża, a zaś każdej dziewczynki pod postacią bekasa. W związku z kobongizmem płciowym u niektórych szczepów południowego wschodu dają się zauważyć ślady pewnej równości społecznej mężczyzny i kobiety. Howitt ma dane przypuszczać, iż w pewnych obrzędach, w których użyte są obie warkotki, oprócz mężczyzn biorą udział i kobiety; również obyczaj Kurnajów pozostawiania dziewczęciu zupełnej swobody w wyborze męża, świadczy o niegdyś wyższem stanowisku kobiety; pewną wskazówką w tym względzie jest, być może, i rzadsze występowanie poligamii u szczepów południo-wschodu. Totemizm płciowy i związane z nim wyobrażenia pierwotne uległy, zdaniem Schmidta, u rozmaitych szczepów australskich rozmaitemu przekształceniu i zróżnicowaniu, odbiegając nieraz daleko od tego, czem były na razie.

Zasadniczą różnicę wprowadziła tu idea kobongizmu klanowego i kobongizmu osobniczego. W pierwszym przypadku idea szczepu jako jednostki, jako całości zamkniętej w sobie ustępuje miejsca idei ciaśniejszej, idei jednostki klanowej. Każdy klan taki wyprowadza się od jednego wspólnego protoplasty kobongicznego, od jednego pra-rodzica. Z tego jednak monogenicznego poglądu wynika niedopuszczalność małżeństw wewnątrz klanu, jako kazirodczych i podział na grupy małżeńskie o kobongach rozmaitych, na grupy stałe, gdyż posiadające kobongizm dziedziczny.

Jeszcze silniejszy stopień odrębności zyskują pojęcia tam, gdzie nawet idea klanu kobongicznego ulega osłabieniu, rozdrobnieniu, t. j. gdzie zanika poczucie jedności klanowej, jako wspólnoty pochodzenia od jednego protoplasty-kobonga, i grupa każda wyprowadza się od kilku zarazem mytycznych przodków. W związku z tem kobongizm staje się tu niedziedzicznym, osobniczym. Stosunki podobne spotykamy u tylekroć wspominanych Arandów i niektórych sąsiadujących z nimi szczepów. Jednakże chaotyczny i niezmiernie skomplikowany światopogląd Arandów nie daje się, zdaniem Schmidta, wytłómaczyć li tylko jako rezultat zróżnicowania się i przekształcenia pojęć pierwotniejszych; mamy tu niewątpliwie do czynienia z wynikiem, spowodowanym zlaniem się elementów miejscowych z jakiemiś elementami obcymi. Wskazuje na to zresztą szereg faktów, zaczerpniętych z dziedziny wierzeń samych Arandów. Takimi są chociażby: wyprowadzanie

przodków kobongicznych z północy — mnogość tych przodków u grup poszczególnych, co wskazuje na wtórny, pochodny już charakter tych postaci — występowanie w mytach oprócz protoplastów-kobongów jeszcze t. zw. „rella-manjerinja," jakichś postaci nieskończonych, ułomnych (być może elementu tubylczego, niższego socyologicznie), które zostają obdarzone przez istotę wyższą, Mangarkunjerkunję, postacią doskonałą, ludzką i churingami (być może symbol wprowadzenia na wyższy poziom socyologiczny)... Domieszka elementów obcych w grupie Arandów i pokrewnych im szczepów tłómaczy nam te właściwości ich ustroju społeczno-religijnego, które nie dają się połączyć z ustrojem pozostałej znacznej większości szczepów australskich. Takim jest np. ustrój małżeński cztero- lub ośmiogrupowy, lecz niezależny od kobongizmu, tak, iż jednakowe kobongi występują w grupach małżeńskich różnych i wskutek tego członkowie tej samej grupy kobongicznej mogą się żenić ze sobą. Takiemi są również churingi, nie spotykane nigdzie w Australii po za obrębem kultury Arandów i niektórych szczepów północo-zachodu (Niol-Niolów), zbliżających się do nich pod wielu względami. Natomiast jako ślad światopoglądu pierwotnego, właściwego ogółowi plemion australskich, zachowało się u Arandów użycie podczas obrzędów wtajemniczenia dwóch warkotek — owej symbolicznej pary protoplastów szczepowych.

Ciekawy pogląd Schmidta, uznający kulturę Arandów za późniejszą, złożoną, ujawniającą wpływy elementów obcych, napływowych z północy, jest jednym więcej przyczynkiem, wskazującym na niezupełną jednolitość etniczną i somatyczną ludności Australii. Czy stosunki rasowe i kulturalne na gruncie Australii ulegną kiedykolwiek całkowitemu wyjaśnieniu? — nie możemy przesądzać wobec trudności, jaką nastręcza wogóle badanie i analizowanie tych zagadnień, a także wobec szybkiego wymierania Australczyków. Tem też cenniejsze są wszelkie prace naukowe, poświęcone tym kwestyom.

Niewątpliwie do rzędu takich należeć będzie praca Schmidta, ukazać się mająca w najbliższej przyszłości, a poświęcona wyśledzeniu i zbadaniu momentów wewnętrznych i zewnętrznych, pod których wpływem ukształtował się ustrój społeczny poszczególnych grup szczepowych australskich.

K. Stołyhwo.

PIŚMIENNICTWO.

MARIUS-ARY LEBLOND. *La Pologne vivante.* Paris, 1910. Librairie academique. Perrin & C-ie. Str. 475 w zwykłem 8-o, z mapą.

Blizko pięćsetstronnicowa, zwartego, ścisłego druku o Polsce, książka, o której dużo mówi prasa francuska, która zaletami swemi zwraca uwagę Francyi intellektualnej na siebie i na Polskę. Zjawisko dość niezwykłe, aby się nad niem zastanowić, aby zrozumieć podłoże, na jakiem powstało.

Po okresie tułactwa, gdy pełno było naszych we Francyi, nastąpił okres ciszy; wymarli ci, którzy pamiętali braterstwo broni na wszystkich polach walki o wolność. Rozgromiona przed laty czterdziestu na polach Gravelotte i Sedanu Francya musiała wejść w siebie, szukać wzmocnienia, sojuszników; okres romantyzmu politycznego został zamknięty. Jako najlepszy sojusznik przeciw pogranicznemu wrogowi nasuwała się Rosya; a za sprawą aliansu umyślnie cieniem pokrywana była sprawa polska. Mukden i Laojan zawiodły nadzieje potęgi militarnej alianta; miliony, w pożyczkach zaangażowane, uczyły rachować na wewnętrzne jego odrodzenie i wzmocnienie. Tą drogą rozumowania doszła i Francya do sprawy polskiej. Rzecz stawia się tak: do zupełnej potęgi Rosyi potrzebna jest zupełna jednolitość interesów wszystkich prowincyj i ludów, w skład olbrzymiego państwa wchodzących; a że Polska właśnie w stosunku do Niemiec kresowe zajmuje stanowisko, więc przedewszystkiem chodzi o to, aby najistotniejsze jej pragnienia zadowolić. W tym sensie ze wszelkiemi względami dla państwa zaprzyjaźnionego i jego rządu traktuje sprawę polską prasa francuska, mniej lub więcej do ministeryum spraw zagranicznych zbliżona.

Ale jest i inny prąd opinii, mocniejszy i sympatyczniejszy. Po czterdziestu latach rządów niemieckich w Alzacyi i Lotaryngii,

dochodzi on do zrozumienia sprawy polskiej przez dzieje tych dwóch prowincyj. Tą drogą zdobyliśmy sympatye takich pisarzy, jak Barrès, Lichtenberger, takich wiernych przyjaciół, jak por. Bernardin, który w narodowym miesięczniku, „Les Marches de l'Est," stale kronikę, sprawom naszym poświęconą, prowadzi. W komitecie franko-polskim w Paryżu mamy takich znakomitych pisarzy, jak J. H. Rosny (starszy), takich artystów, jak Bourdelle, żeby zacytować ich tylko. W Paryżu uroczystości polskie (Grunwald i inne) święciła część publiczności francuskiej, która się około tego ogniska skupia. Coraz częściej na ziemi naszej witamy gości francuskich (Dauchot, autor „Immortelle Pologne," Leblondowie, por. Bernardin, Henri de Noussanne, dyrektor „Gil Blasa"); na przyjęciach dla nich słyszymy urzędowych przedstawicieli narodu francuskiego (konsul), nawołujących do ściślejszego zespolenia intellektualnego Polski z Francyą.

Nie trzeba tych faktów przeceniać, ale nie trzeba też wpadać w ostateczność przeciwną. Wyleczyliśmy się już z budowania zamków na lodzie sympatyj ludów europejskich; ale żaden naród nie może lekceważyć sobie sympatyi innego narodu, zwłaszcza tak wielkiego, jakim jest francuski. Odżywają w pokoju piękne tradycye, wspomnienia i sympatye ojców, dziadów, pradziadów naszych. Niech odżywają, niech się święcą na obu krańcach Europy w imię wspólnej pracy dla swobody i cywilizacyi.

*

* *

A teraz do książki Leblondów. Ci autorowie stanowią właśnie wyjątek od tez ogólnych, wyżej postawionych. Nie reprezentują opinii urzędowej, nie pochodzą z krajów, prowincyj zabranych poblizkich. Gdzieś daleko pod tropikami, wśród bogatej i bujnej roślinności, pod palącymi promieniami słońca, pokochali kraj i naród na antypodach położony, kraj chłodny, skromnie od natury uposażony, naród gorący, do walk bohaterskich zdolny. Pokochali go, czytając poetów naszych, wielkich wieszczów dobra nietylko dla swego narodu, ale i dla narodów wszystkich. A kiedy szlaki życiowe zaprowadziły ich do świata stolicy, tej właśnie, gdzie wieszczowie natchnione słowa głosili, część duszy swojej sprawom naszym oddali, stając na każdym posterunku, na jakim w imię

Polski stanąć należało. Dwa razy po wszystkich ziemiach polskich odbyli podróż; specyalne studya nad Polską czynili. A owocem tego książka, której sam tytuł ilustruje już tezę, jakiej dowieść ma, tezę, że mimo podziału na trzy części, mimo pewnych zewnętrznych przez ten podział wytworzonych różnic, Polska żyje w jedności intellektualnej i ideowej, zwłaszcza żyje!

Co uderza przedewszystkiem w omawianej pracy, to olbrzymia ilość faktów, zebranych przez autorów, by na nich swoje oprzeć wnioski. Jest ich tak dużo, że nawet czytelnik polski musi przywołać często pamięć do pomocy; może dlatego, że fakty są czasem przejaskrawione, drobne zbyt uwypuklone, choć każdy poparty odsyłaczem na końcu książki. Z przejaskrawienia nie róbmy autorom zarzutu; do innych przemawiają czytelników; słońce gorące, pod którem wyrośli, wyolbrzymia kształty; co dla nas ważniejsza gorąca miłość Polski i sprawy naszej jest tu z pewnością także czynnikiem wybitnym. Styl piękny, malarski. Leblondowie myślą obrazami i te obrazy suto, kwieciście dekorowane na papier przenoszą. Może zadużo podnoszenia zalet polskich: wytrwałości w patryotyzmie, cnót domowych, stałości. Za dużo dla nas, którzy spostrzegamy, że wytrwałość jest bierną, a nie czynną, zachowawczą, a zbyt mało twórczą. Może dlatego, że chcielibyśmy daleko wyższego rozkwitu życia w tych jego dziedzinach, gdzie to możliwe przy hartownej woli i pracy. Tem lepiej, gdy cudzoziemcy gloryfikują i to, co nam po przeszłości jeszcze pozostało; a szczerości Leblondów kwestyonować nie mamy prawa, ni przypuszczać, że tylko komplementy grzeczne Polsce chcą prawić. Na to dzieło ich zbyt poważne.

Streszczać olbrzymiej książki niepodobna; wypisywać jedynie spisu rzeczy — nie wypada. Zadanie nasze jest inne: raczej z powodu książki, jak o niej, wypowiedzieć kilka uwag.

Polska pozostała jedna, mimo zmian zewnętrznych w każdym zaborze. To autorowie rozumieją. Mniej zrozumienia znajdujemy w stosunkach do mocarstw rozbiorczych i ich aparatów rządowych. Chociaż charakterystyka różnic systemu policyjnego w Prusach i Królestwie jest trafna: „W Warszawie anarchia w represyi, zależna od samowoli, od zmiennego humoru... W Prusach policyant ma w ręku nie gołą szablę, lecz kodeks; zna doskonale prawo“ i niem zamęcza. Stąd i typ oporu inny, bardziej dorywczy, też nieco anarchiczny u nas, systematyczny, na ścisłej znajomości prawa oparty — pod Prusakiem; i typ Polaka inny: bardziej ekspansywny, weselszy u nas, swobodniejszy, bo miasto jest zewnętrznie polskie, bardziej skupiony, zamknięty w sobie tam.

Mimo tej charakterystyki trafnej, autorowie w sympatyi swej i rozumieniu inaczej traktują trzy części Polski. Razi ich nieco lojalizm i „kwietyzm“ galicyjski. Z naszego stanowiska niesłusznie—w Galicyi rzeczy istotnych robi się znacznie więcej, niż się zdaje nawet nam tutaj, w Królestwie—ze stanowiska Leblondów słusznie. Bo oni są romantycy i jako tacy kochają w Polsce przedewszystkiem krzyż męczeński, przedewszystkiem niezrealizowane pragnienie, dążenie; częściowa realizacya w Galicyi nie zadawala ich; chcieliby większej, chcieliby widzieć tam jakąś stałą szkołę patryotyzmu ofiarnego, na użytek obu części poprzednich.

Pojmują doskonale nasz stosunek do rządu pruskiego — nic dziwnego, wszak to Francuzi, więc wróg wspólny, wspólny sojusz niechęci. Obarczają rządy w Warszawie; ale robią tu *distinguo*, nam znane i z lat dawnych, coraz bardziej wychodzące z użycia: między rządem a narodem. Znowu powtórzymy — dystynkcya zupełnie dla Francuzów zrozumiała, w części — mimo wszystko—polityczna, w części literacka. Bo Leblondowie są wielbicielami młodej literatury rosyjskiej. Nie wiedzą, że ta literatura anarchiczna zatruwa dusze naszej młodzieży, rusyfikuje jej umysły; nie wiedzą, że dla nas pozostaje na drodze kultury tyle do osiągnięcia, że objawy rozkładu, jakby zmęczenia nią, zmęczenia przedewszystkiem formami współżycia, przed ich osiągnięciem, nie mogą nas zachwycać; nie pamiętają też—boć zapewne wiedzą— o przepaści niezgłębionej, jaka dzieli literaturę od życia przedewszystkiem w Rosyi. Nie pamiętają, że to naród przez swoich przedstawicieli uchwalał samorząd dla Litwy i Rusi, a jutro uchwali wyodrębnienie ziemi Chełmskiej. Więc u nas ta różnica zaciera się. Zaciera się tembardziej, że tu stoją naprzeciw siebie nie — jak chcą Leblondowie — rząd i społeczeństwo polskie, lecz dwie sprzeczne kultury: zachodnia, podległa, nasza i wschodnia, zwycięzka; a jest wschodnią nawet w świetnych przedstawicielach literatury. To jest u nas zdanie przeważne. I dlatego nie bez przykrości przeczyta Polak przedmowę do książki o „żywej Polsce,“ datowaną z Moskwy, zawierającą kilka uwag o obu stolicach państwa rosyjskiego — bez potrzeby, bez związku z przedmiotem.

I jeszcze jedno zastrzeżenie—ostatnie. Czytelnika polskiego razi zestawianie częste wypadków 1905 — 1906 r. z powstaniami poprzedniemi, które bez względu na poglądy, są dla nas pamiątkami bohaterstwa narodowego. Pomijamy znane różnice między walkami narodowemi o wolność, a ruchami klasowymi, społecznymi, w których uczestniczyła mała część zaledwie ludności tylko miejskiej. Pragniemy umyślnie użyć analogii z dziejów Francyi.

Robi to takie wrażenie, jakby ktoś zestawiał Wielką Rewolucyę z jej wielkiem hasłem: „La patrie est en danger,“ z jej bohaterskiemi wojskami, których krew rozlewana na granicach pod wodzą Westermannów, Kellermannów, Hoche'ów mazała czyny ścinających się wzajemnie tchórzów, pozostałych w domu — jakby tę Rewolucyę porównywał z Komuną, z bratobójczą walką wobec nieprzyjaciela, którego wyżąć z kraju brak siły. I pozwalamy sobie mniemać, że takie zestawienie uraziłoby wielu Francuzów.

Mimo tych uwag i zastrzeżeń dzieło Leblondów posiada wielką wartość. Odznacza się bowiem możliwą ścisłością informacyj i możliwie dobrą oryentacyą polityczną; zrywa z tradycyą pobieżnych wrażeń z podróży i daje cudzoziemcowi gruntowne wiadomości o stanie rzeczy polskich. Za to należy im się od społeczeństwa polskiego uznanie.

Taką jest odpowiedź polska na pytanie, zawarte w przedmowie: „co będą myśleli Polacy o tej książce?“ Z pewnością nie będą narzekali na stronność, jak to przeczuwać się zdają autorowie. Przeciwnie—chociaż znającym stosunki łatwo poznać, w których obozach byli najbardziej dokumentowani — można im przyznać śmiało i możliwą bezstronność i wielką, upartą pracę, z których dobre dzieło powstało.

Ludwik Włodek.

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO *Nieznane poezye*, wydał z rękopisów d-r Aleksander Łucki. Kraków. Nakł. Ak. Umiej., 1910.

D-R ALEKSANDER ŁUCKI. *Młodość Kazimierza Brodzińskiego*. Kraków. Nakł. Ak. Um., 1910 (odbitka z 47 tomu Rozpr. Wydziału filolog.).

Przed laty P. Chmielowski uskarżał się na ubóstwo naszej krytyki i historyi literatury. Pomimo, że od lat 10-ciu „Pamięt. liter.“ w blibliografii krytyki przytacza olbrzymią ilość pozycyj, wyrok Chmielowskiego może być nieznacznie tylko złagodzony. Zaledwie ostatnie chwile pozwalają żywić nadzieję, że dotychczasowy stan rzeczy zmienić się może na lepsze. Pracy przecież dużo, i nie jedno pole badania można uznać za nietknięte dotychczas przez umiejętną rękę. Za ilustracyę powyższych twierdzeń może posłużyć dotychczasowy stan badań o Brodzińskim; wszak miał on być Janem Chrzcicielem romantyzmu. Dotychczas przecież nie posiadamy żadnej monografii, obejmującej całokształt jego poetyckiej i naukowej działalności i wyjaśniającej istotną rolę pisarza

w naszej umysłowości. Nic zresztą dziwnego; bo przecież nasz wielki ruch romantyczny nie jest dotychczas umiejętnie zbadany w związku z prądami umysłowymi Zachodu. O Brodzińskim przed kilkunastu laty napisał monografię cudzoziemiec Arabażyn. Praca ta jednak luki nie wypełnia nietylko z tych względów, które podnosi d-r Al. Łucki, a mianowicie, że pisana dla obcych, uwydatnia przedewszystkiem tło historyczne. Pomijając okoliczność, iż dziś badacz, dzięki zabiegom właśnie d-ra Łuckiego, może rozporządzać nieznanym dawniej materyałem, praca Arabażyna odznacza się brakiem perspektywy historycznej, posiada zbyt wyraźne cechy publicystyczne i przesiąknięta jest zbędną troską o „demokratyzm“ w utworach Brodzińskiego i w sądach o nim historyków, a że za miernik służy autorowi ludowcowa literatura rosyjska z drugiej połowy XIX w., ostateczny wynik rozważań jest dość pesymistyczny.

Do chwili bieżącej badania nad twórczością i działalnością naukową Brodzińskiego były utrudnione przez luki w materyale. Zbiorowe wydanie pism autora, dokonane przez Kraszewskiego, jest wadliwe i niezupełne. Dużo utworów prozaicznych i wierszowanych ukrywało się w rękopisach, rękopisy zaś te były w rozsypce. Nie o wiele łatwiej było dotrzeć do utworów i prac, drukowanych wprawdzie niegdyś, lecz dziś rozproszonych i znanych badaczom zaledwie z wieści. D-r Aleksander Łucki przedsięwziął zaradzić złemu, zgromadzić materyał i dopiero na takiej podstawie opracować monografię o śpiewaku „Wiesława.“ W przedmowie do „Nieznanych poezyj“ Brodzińskiego autor opowiada dzieje niedrukowanych dotąd poezyj i prac poety. Nie mało zabiegów kosztowało go, by rękopisy zebrać i tekst ustalić. Zbiorek omawiany zawiera utwory poetyckie, dotychczas niedrukowane; prace prozaiczne i materyały życiorysowe znajdą miejsce w „Archiwum do dziejów oświaty i literatury.“ Należy przypuszczać, że to drugie oczekiwane wydawnictwo będzie miało większe znaczenie do wyjaśnienia stopniowego rozwoju poglądów Brodzińskiego, niż wydane dotychczas nieznane jego poezye, które zresztą mogą nas interesować wyłącznie jako materyał historyczno-literacki. Nie wiemy jakie względy kierowały wydawcą, iż zadanie swe zamknął w granicach ogłoszenia drukiem rzeczy, jeszcze nie drukowanych. Bądź co bądź zasłużył na szczerą wdzięczność swą sumienną i żmudną pracą. Jednocześnie wszakże wolno wyrazić żal, iż względy owe kazały mu wstrzymać się jakby w połowie drogi, pomijając utwory, umieszczone w pismach z początku XIX w. lub w parukartkowych nawet wydawnictwach. Wyjątek d-r Łucki

uczynił dla paru wierszy, umieszczonych zresztą, jako dodatek na końcu monografii o „Młodości Brodzińskiego.“ Wyjął on je, jak można wyrozumieć z jego słów, z rękopisu, gdyż druki były niedostępne lub zaginęły, a co do jednego z nich istniała zupełnie błędna wskazówka bibliograficzna.

Nie umiem sobie wytłómaczyć, dlaczego wydawca nie podał kilku wierszy z r. 1807 i 1808, o których znajdujemy wiadomość w jego pracy (zob. str. 50), jak: „Nagrobek Maćkowi,“ „Do modnej“ i in. A zdać sobie sprawę nie tak łatwo, jeżeli człowiek, specyalnie zajmujący się Brodzińskim, wyznaje, iż „zbadanie autentyczności poezyj,“ zawartych w rękopisie, dostarczonym mu z Warszawy, „oraz kwestyi, *czy nie były one kiedykolwiek drukowane, wymaga dłuższego czasu*.“ (Przedmowa do „Niezn. poezyj,“ str. XI).

Widzimy stąd, że ktokolwiek chciałby poznać Brodzińskiego źródłowo, i dziś musiałby nabiedzić się nie mało i stracić wiele czasu nie na pracę samą, lecz na przygotowanie do niej. Jeszcze drobiazg. W pracy swojej i w spisie utworów Brodzińskiego do r. 1814, wspomina d-r Łucki o wierszu „Do Elizy.“ Tymczasem w rozprawie Fr. S. Dmochowskiego (odbitka z „Bibl. Warsz.,“ r. 1871) znajduję natomiast „Do Elwiry.“

*

* *

O książce autora „Młodość Kazimierza Brodzińskiego“ na razie nie wiele da się powiedzieć. Jest to bezwątpienia owoc studyów poważnych i sumiennych, książka pożyteczna i niezbędna. Najcenniejsza zdobycz, jaką z monografii możemy uzyskać, jest to znajomość najwcześniejszych stadyów rozwoju umysłowego pisarza, który wprawdzie Chrzcicielem romantyzmu polskiego nie był, choć za takiego był uznany, ale który niemniej w ruchu umysłowości naszej wielkie posiada znaczenie. Już na podstawie obrazu, rozwiniętego w książce, można uczynić wniosek (przez autora, jak się zdaje, nieprzewidziany), iż w pierwszych chwilach ścierania się nowych prądów z klasycznemi nawyknieniami, Brodziński nie mógł odgrywać czynnej roli, którą mu wczoraj jeszcze niektórzy historycy wyznaczyć byli gotowi. Odwrotnie, te pierwsze spory wpłynąć nań musiały podniecająco i uświadamiająco. Ale wkroczyliśmy na pole, jeszcze przez autora nie tknięte.

Część życiorysowa książki, traktującej o młodości poety, oparta częściowo na materyale dotąd nie drukowanym, jest najważniejszą i najbardziej zadawalającą. Różne okresy życia poety zostały wycieniowane z dokładnością, nic nie pozostawiającą do życzenia, jak dodatni wpływ na młodzieniaszka pobytu jego w Wojniczu w r. 1806, stosunek z domem Parczewskich, zgrupowanie się wokoło Kazimierza w Tarnowie „szkoły“ młodocianych poetów w r. 1808 i t. p. Niepotrzebnie też autor, zamiast dążyć do tego, by uczynić obraz życia poety możliwie pełniejszym, krępował się względami na to, iż różne szczegóły były już dawniej podane (jak np. tyle charakterystyczne wybieranie się dziecka w świat, szczegóły spotkania z Reklewskim i t. p.). Dzięki troskliwym poszukiwaniom autora nie jedna błędna data uległa sprostowaniu, niejeden mniej znany szczegół został ustalony. Natomiast znaczenie pobytu w Krakowie (1809—11) dla ogólnego rozwoju poety niedostatecznie zostało podkreślone.

Część historyczno-krytyczna książki jest—co samo przez się rozumie—zaledwie drobnym ułamkiem całości, mającej jeszcze powstać, gdyż w okresie, przez pracę objętym, działalność poetycka i pisarska Brodzińskiego jest jeszcze *in spe*. Poszczególne ustępy pracy dają jednak powód do paru uwag. Autorowi być może należałoby skupić bardziej rozważania, dotyczące twórczości lub atmosfery umysłowej, gdyż przy zachowywaniu dotychczasowego systemu w dalszych częściach monografii wyrazistość obrazu mogłaby ucierpieć. Otóż co do wspomnianej atmosfery i wpływów na dojrzewający umysł pisarza, autor zupełnie słusznie kładzie nacisk na oddziaływanie niemieckiego piśmiennictwa zarówno na nauczycieli Kazimierza, jego brata Andrzeja i W. Reklewskiego, jak i na ich ucznia. Znaczenie jednak tych wpływów dla omawianego okresu przecenia. Zakwestyonować przedewszystkiem wypadnie „tyranię“ klasycyzmu warszawskiego, której mieli uniknąć wspomniani poeci. „Zabawki wierszem“ Andrzeja ukazują się w końcu 1807 r., „Pienia“ Reklewskiego w r. 1811. Tymczasem koterya literacka poczyna ściskać swe szeregi i bronić swego stanowiska dopiero od chwili, gdy sączące się powoli nowe nurty usiłują znaleźć dla siebie bodaj częściowy teoretyczny wyraz. U progu takiej konsolidacyi spotykamy fakt odrzucenia rozprawy Wężyka w r. 1811. Przed tą chwilą zarówno pisarze, skupiający się w Tow. Przyj. Nauk, jak poeci galicyjscy—szukają dla siebie wzorów w dziełach, które wydał wiek XVIII. Autor powinien byłby podkreślić nie „tyranię“ kółka literackiego, lecz raczej wpływ szkoły niemieckiej, nie znającej Dmochowskiego i Golań-

skiego, jak szkoła polska, natomiast otwierający dostęp do źródeł literatury niemieckiej, i nie tyle przez celowe usiłowania, ile przez naukę języka. Błędny punkt wyjścia autora uwidocznia się również w uwadze, że Karpińskiego i Kniaźnina, których pilnie studyowali sielankopisarze galicyjscy, nie można „stawiać na czele owego zwrotu od pseudoklasycyzmu z tej prostej przyczyny, iż reprezentują tę swobodę, jaka panowała w pseudoklasycyzmie naszym XVIII w., a więc jeszcze przed ustaleniem się bezwzględnego panowania reguł pseudoklasycznych“ (str. 31-2). Otóż reguły ustalały się właśnie w w. XVIII, w rozprawach „Monitora,“ w Dmochowskiego „Sztuce rymotwórczej“ (1788), książce Golańskiego (1786) i in. A gdy sielankopisarze nasi zgoła nie myślą o jakiemś *przeciwstawieniu się* w swych dziełach panującemu smakowi, wbrew twierdzeniu autora, który sądzi, że „Reklewski próbował... wyzwolić poezyę z więzów konwencyonalizmu... i w tym duchu reformował idyllę XVIII w.,“ natomiast Karpiński, jako *heretyk*, już w r. 1782 posuwa się do *świadomego*, jakkolwiek nieśmiałego protestu, podkreślając znaczenie wyobraźni i uczucia w twórczości. To samo zresztą czyni w r. 1805 jeden z *klasyków warszawskich*—Woronicz!

Pomijając wysnuwane przez autora względy *formalne*, t. j. większy lub miejszy stopień *odwagi* w stosunku do panującej teoryi, należy wszakże przyznać sielance Reklewskiego wyższość nad tworami poetów w. XVIII. Na czem jednak ta wyższość polega, tego autor szerzej nie rozwinął. A jest to niezbędne dla zrozumienia zarówno wpływu Reklewskiego na późniejszą twórczość Brodzińskiego, jak i znaczenia dokonanej przez ostatniego reformy w sposobie malowania życia ludowego. Pominął też charakterystyczne cechy sielanki naszej z początku w. XIX — połączenie nuty sielskiej i nuty bojowo-patryotycznej, wbrew zasadzie Dmochowskiego, iż gdzie poeta „porzuca proste fletnie i wiejskie bardony“ i zabrzmi „w głos trąby hukliwy,“ tam „Pan nie rad takim pieśniom, uchodzi zdaleka, a strwożone nimf grono w głąb lasu ucieka.“ Zaznaczenie wspomnianej cechy ułatwiłoby i zrozumienie genezy tej twórczości i uczyniłoby zbytecznym uciekanie się do szeregu: „musimy przypuścić,“ „chociaż dowodu nie mamy,“ „mógł dać,“ „zaważyło tu może“ — by na tak pozytywnych danych osnuć wreszcie wniosek: „pod takiemi to więc wpływami zreformowali u nas sielankę...“ (str. 107). Jeszcze uwaga. Wśród poetów niemieckich mistrzem Reklewskiego i An. Brodzińskiego był przedewszystkiem Gessner. A więc ten sam, którego

śladami iść pragnął... Naruszewicz! Nie mogę zrozumieć w czem widzi autor dodatnie wpływy oddziaływań tego poety.

W stosunku do Kazimierza, autor, zdaniem mojem, ze zbytnią skwapliwością dopatrzyć się pragnie świadomej krystalizacyi dążeń reformatorskich już w tym młodzieńczym okresie. Każe nam wierzyć, że w r. 1807 przyznawał *wyższość* literaturze niemieckiej „nad francuską i wogóle pseudoklasyczną“; a więc, konkluduje autor, „już wtedy, *nie wiedząc jeszcze nic o walce klasyków z romantykami* (!), zajął stanowisko, z jakiem miał wystąpić w kilkanaście lat później w swych rozprawach krytycznych“ (40-1). O jakiej to „walce klasyków z romantykami“ mówi tu autor? Chyba nie o tej, do której dała powód rozprawa Kazimierza z r. 1818? Ani może tu być mowa o tem ścieraniu się pojęć, które się datuje od r. 1814? Ani też o kampanii, rozpoczętej około r. 1830 przez W. Hugo we Francyi? Więc może autor ma na myśli walkę *klasyka* Goethego z romantykami niemieckimi? Czy też może wojnę, przez Lessinga wydaną (ale to nie romantyk!) wpływom francuskim? Nie wiem.

A tymczasem Brodziński zachwyca się po prostu tworami Kotzebue, zalecając jednocześnie swej stryjecznej siostrze „Ogrody“ Delilla, no i Gessnera również... Nic też dziwnego, że autor, tak optymistycznie oceniając wynurzenia poety, dopatruje się w młodzieńczych idyllach jego, wzorowanych na sielankach Reklewskiego, objawów „walki z konwencyonalizmem poezyi pseudoklasycznej“ (str. 108). Sielanka „Stanisław,“ o której mowa w powyższym ustępie, pochodząca najprawdopodobniej z r. 1814, jako utwór młodzieńczy, nie była umieszczona w wydaniu z r. 1821. Natomiast znajdujemy tam sielankę „O Filonie,“ urzeczywistniającą, z zachowaniem wszelkich przyborów klasycznych, przepis Dmochowskiego, iż zadaniem idylli jest „do walk o wyższość w śpiewie skotaczów zagrzewać.“ Okoliczność ta dowodzi, jak mało uświadomione były pierwsze poruszenia Brodzińskiego. Wielce charakterystycznym dla stanowiska autora jest inny przykład. Wspominając o wierszu „Na odejście do Saksonii“ (8 marca 1813 r.), autor widzi tu objawy takiej dojrzałości pod względem formy i treści, jakich nieuprzedzone oko dojrzeć nie będzie mogło. Co do treści—sądzi autor, iż Brodziński wyraził w wierszu tym taki sam pogląd na losy Polski, jak w „Mowie o narodowości“ z roku 1831; pod względem formy zaś dostrzega cechy romantyczne, i sądzi, iż „jest to elegia patryotyczna, od wzorów pseudoklasycznych *zupełnie niezależna*.“ Dotykamy tu punktów, oświetlających w sposób stanowczy stopnie rozwoju poety, i dlatego pozwolimy

sobie nad analizą omawianego wiersza, analizą, jak sądzę, całkiem błędną, zatrzymać się dłużej nieco. Co do formy tedy—na czem polega jej niezależność i jej romantyczne cechy? Czytamy:

Nad brzegami Wisły
I nad górą Wawelu *czarne mgły obwisły*,
Milczenie, jak las głuche, cały brzeg dziedziczy,
Posępne—nasze klęski, nasze trupy *liczy*,
Gdy się jakowaś postać wśród czarnej mgły łona
Unosi, *szata na niej zdarta, krwią zbroczona*,
Krew morzami niezmyta... i t. d.

Ta postać, z białym orłem u stóp, poszarpanym srodze i innymi emblematami, to duch Polski. Jest to bardzo dobrze znane teoryi i praktyce klasycznej uosobienie. Wiersz Brodzińskiego, jak słusznie zaznacza autor, wzorowany jest na „Sybilli“ Woronicza. Otóż dość przypomnieć tego autora postać piekielnej Jędzy, która „gdzie tylko pojrzała, albo odetchnęła, bladło słońce i cała natura więdnęła,“ albo burzę, wypadającą z głębi Erebu, która „błyskawicą, gromami, gradem nasrożona, lasy, domy i góry przed sobą wywraca,“ albo inne t. p. ustępy, żeby przyjść do przekonania, że i u klasyka możnaby znaleźć nieraz zabarwienie fantastyczne. Podkreślone w wierszu Brodzińskiego ustępy mają być „iście romantyczną dekoracyą.“ Świadczyćby ona mogła o niejakiem oddziaływaniu nowych wzorów, ale do wniosku o „zupełnej niezależności“ jeszcze daleko. Nadto—owo Milczenie, które brzeg *dziedziczy*, a które zwłaszcza *liczy* klęski i trupy, przestaje być obrazem fizycznym, spokrewnia się zaś bardzo blizko z uosobieniem pojęcia oderwanego. Cały ten tok wiersza, retoryczne proroctwa, budowa zresztą, polegająca na tem, iż poeta zwraca się do ojczyzny z zapytaniem o jej przyszłe losy, zjawiająca się zaś postać rozstrzyga nasuwające się wątpliwości, sama frazeologia nawet nasuwa bardzo wyraźnie nie przypomnienie pierwowzoru, t. j. utworu Woronicza, ledwie gdzieniegdzie mignie coś, niby lekki, złudny odblask kolorytu romantycznego. Również nie wystarczającą a nawet błędną jest analiza wiersza pod względem treści. „Wiarę w przyszłość Polski przejął Brodziński, jak łatwo odgadnąć, przedewszystkiem od Woronicza,“ powiada autor. Na to zgoda. Ale—ciągnął dalej—„Woronicz upadek Polski pojmował jako karę Boga za nasze winy i zmartwychwstanie Ojczyzny czynił zależnym od naszej pokuty i poprawy,“ gdy tymczasem według Brodzińskiego Polska cierpi niewinnie, a „dobro całej ludzkości, oraz sprawiedliwość Boża domagają się pomszczenia

jej krzywd i zmartwychwstania," od ziomków zaś poeta żąda „tylko wytrwałości i silnej wiary w przyszłość" (str. 87). I Woronicz kazał wierzyć w opiekę i sprawiedliwość Boską; i on mówił, iż „ta powódź nieoschła, z waszych łez wezbrana, budzi zemstę uśpioną i łuk naciągniony na zagładę zagładźców waszych wymierzony." Co do winy nie wspomina o niej ani autor „Barda polskiego," ani autor „Wiersza do Legiów." W okoliczności tej niepodobna więc upatrywać szczególnej oryginalności poglądów Brodzińskiego. A wreszcie „dobro całej ludzkości," zależne od istnienia Polski... „Los jej ma wpłynąć na losy całej Europy, jej zguba stałaby się klęską dla całej ludzkości"—w ten sposób przedstawia autor myśl Brodzińskiego. Istotnie, ten moment jest nadzwyczaj ważny, decydujący o zabarwieniu mesyanicznem pewnego poglądu. Lecz jakże to u naszego poety wygląda?

Kraje, strasznie wam będzie pamiętną ma strata,
Mym mordem roki znaczne będą schodzić z świata.
. . . . . .
Duch mój w pośród Rad waszych będzie stać zbroczony,
Wizerunek mej śmierci wasze zdobić będzie trony,
Me jęki nie przestaną przerażać was wszędzie
I każdych waszych nieszczęść śmierć ma posłem będzie.

Widzimy zatem, że tu chodzi o obrażoną sprawiedliwość Boską i ludzką, lecz najdrobniejszej aluzyi nawet nie znajdziemy co do tego, *jaką rolę* Polska odgrywała wśród innych ludów, i wobec tego *dlaczego* istnienie jej jest niezbędne *dla ludzkości*... Nie można zatem utrzymywać, iżby w wierszu z r. 1813 został wyrażony *taki sam* pogląd, jak w r. 1831. Co do genezy pojęcia Brodzińskiego o sprawie Polski autor wyraża przypuszczenie, iż zaczerpnął je poeta „przedewszystkiem *zapewne* z nastroju całego ówczesnego społeczeństwa" (str. 87). Znowu nie ściśle. Powiedzieć raczej należało o mocno zaszczepionej w wojsku polskiem wierze w gwiazdę Napoleona, czemu daje wyraz rozkaz dzienny wodza armii, ks. Poniatowskiego, z d. 6 maja: „Zbliżamy się do tego, który już raz wydarłszy Ojczyznę naszą z rąk nieprzyjaciół, *teraz nam ją przez nowe zwycięstwo wrócić potrafi*" (str. 89). Słowa te zanotował poeta w swym dzienniczku, jak się dowiadujemy z informacyj autora; z tego dzienniczka dowiadujemy się również o entuzyazmie, wzbudzonym w wojsku przez gen. Sokolnickiego, zwiastującego „o pamięci na nas cesarza, który przez niego oświadcza, że jedzie *do Polski dla Polski*" (str. 91). Takiemu nastrojowi wojska składa Brodziński świadectwo nietylko w swym

dzienniczku, jak to podkreślił autor (str. 95), ale i w swoim wierszu:

Jest bohater, dłoń jego cały glob objęła,
On i piekieł złość zniszczy i dokona dzieła.

Co do nastroju społeczeństwa, dowiadujemy się, iż „opinia publiczna parła go (t. j. ks. Józefa) *do opuszczenia sprawy Napoleona*“ (str. 88). Tak tedy autor ma w ręku wszystkie fakty, ale nie wyciąga stąd należytych wniosków.

Poświęciliśmy tyle miejsca rozbiorowi wiersza poety z roku 1813 dlatego, że nie chodzi tu zgoła o rzecz błahą. W naszym ogólnym ruchu umysłowo-literackim, który się zwie romantycznym, obok pierwiastków związanych ściśle z naszą przeszłością i losami porozbiorowymi, istnieją również czynniki, które nadają swoistą formę tendencyom polskiego romantyzmu i czynią zeń cząstkę ogólno-europejskiego ruchu cywilizacyjnego. To samo da się powiedzieć i o działalności teoretycznej i praktycznej Brodzińskiego, zarówno jako śpiewaka „Wiesława“ i jako romantyka-autora „Mowy o narodowości.“ Otóż, jeżeli już teraz zechcemy dopatrywać się objawów myśli mesyanicznych w niedojrzałych tworach młodzieńca, przesądzamy sprawę i zrzekamy się ustalenia związku między tą ideą a filozoficzną myślą Zachodu. Tymczasem idea ta zgoła nie była owocem czyjegoś osobistego dowcipu, a związek jej z patryotycznym nastrojem ogółu nie jest tak prosty, jak nam dotychczas mówiono, i nie opiera się zgoła na pojęciach katechizmowych... Podobne uwagi można również powziąć co do poglądów autora na reformatorskie dążności Brodzińskiego w jego najwcześniejszych sielankach.

. . . . . .

Z dotychczasowego charakteru pracy d-ra Łuckiego można przyjść do wniosku, iż monografia autora, obejmująca dojrzały okres życia i twórczości Brodzińskiego będzie pracą niezmiernie pożyteczną, o ile chodzić będzie o zebranie, o ugrupowanie materyału, o krytyczne jego sprawdzenie, wreszcie o rozjaśnienie ciemnych dotychczas szczegółów, zwłaszcza życiorysowych. Czy również część historyczno-krytyczna odznaczać się będzie takiemi zaletami, przewidzieć tego dziś nie możemy.

A. Drogoszewski.

Kronika miesięczna.

W *wirach* polemiki.—„Spór z p. Grońskim."—Spór z p. Szarapowem.—Nie pogarda, lecz przeciwstawność.—Przegląd sił.

Każde wielkie dzieło wzbudza zawsze równie mocne zachwyty, jak potępienia wśród współczesnych; dopiero daleka i chłodna potomność każdemu miejsce właściwe wyznacza. Wzbudzało zachwyty i potępienia każde dzieło Sienkiewicza; wzbudza je tembardziej ostatnie—„Wiry"—bo dotyka ran jeszcze świeżych, niezabliźnionych, przeżyć głęboko tkwiących na dnie duszy każdego z nas. Jak przed laty jeden, tak dziś drugi młody pisarz zbiera laury łatwego rozgłosu, rzucając się w niezwykle jaskrawy sposób na mistrza powieści polskiej. Sławie jego nie zaszkodzi, sobie pomoże — inaczej bowiem niktby nazwiska jego nie pamiętał, jak starego Herostrata, oświetlonego jedynie krwawem światłem płomieni podpalonej świątyni. Mniejsza więc o niego, mniejsza nawet o krytyki literackie wogóle, na które nie tu miejsce. Ważniejsza, że dzieło znakomitego pisarza posłużyło za temat do poważnej polemiki ideowej. Sprzyjało jej i to, że w świecie nic się nie dzieje — więc pora najsposobniejsza do porachunków, biorąc rzecz astronomicznie. Bo — społecznie — wątpliwe wydaje się odgrzebywanie waśni w chwili, która bardziej, niż jakakolwiek inna, wymaga skupienia, zogniskowania wszystkich dobrych poczynań; przy ich obszernym warsztacie nie zbraknie miejsca dla nikogo, byle była chęć do pracy, o co u nas najtrudniej.

O cóż chodzi w polemice? O „realistów," zwanych dawniej „ugodowcami," niepotrzebnie, jak zbyteczne są wszystkie ukąśliwe miana, nadawane przez przeciwników; niepotrzebne—bo jątrzące. O to, że pisarz, który niegdyś stał na czele ich organu, w ostat-

niej swej powieści, przez usta głównego rezonera, Grońskiego, tak ich charakteryzuje: „Realiści wychodzą orać pod wiosenne zasiewy w grudniu, to jest wówczas, gdy lemiesz nie chwyta zmarzniętej ziemi. Albo jeśli ktoś woli inne porównanie: kupują sobie letnie ubranie w czasie najtęższej zimy.—Nie wiem... może słońce kiedyś zaświeci i zrobi się ciepło, gdyż wszystko na świecie jest możliwe, ale tymczasem poodmrażają sobie uszy, a ubranie mole zjedzą.“

Nie chcemy wchodzić w słuszność tej oceny; zaznaczamy tylko, że z kompetentnej pada strony. I przejdziemy do dalszych wniosków. Rzucono w polemice zarzut, że społeczeństwo o realistach wyrabiało sobie zdanie nie z tego, co pisało „Słowo“ lub „Kraj,“ lecz z oskarżeń przeciwników, umieszczanych w wydawnictwach zagranicznych. Być może, że tak było. Ale realiści nie pozostali przecież dłużni w odpowiedzi. Wydawnictwo Scriptora, także zagraniczne, nie obchodziło się przecież zbyt łagodnie z przeciwnikami głównymi, narodowymi demokratami. Tak mało łagodnie, że sympatye autorów tej pracy były nawet raczej po stronie innego odłamu pracy nielegalnej, daleko niebezpieczniejszego, socyalistycznego. Że niebezpieczniejszego, pokazały dowodnie wypadki z przed lat paru, te wiry właśnie, z których nasza nawa ojczysta nie wyszła bynajmniej bez szwanku.

Wiele oczywiście dziś, po latach, zrozumieć można, wybaczyć i zapomnieć trzeba, wiele tłómaczy się zaślepieniem partyjnem, walką o wpływ w społeczeństwie, okrzykiem bojowym *voilà l'ennemi!* — ale fakty sporne ustalić trzeba. Dlatego trzeba było przypomnieć niedawne walki partyjne.

Wywołano w polemice olbrzymi cień margrabiego. Ile razy to się zdarza, ile razy prócz tego wskazywany jest przykład Galicyi, uderza zawsze różnorodność warunków. Wielopolski miał wpływ na czynniki decydujące taki, jakiego nie miał nikt po nim; ci, którzy niejako w imieniu jego potem występowali, byli zaprawdę zbyt często na miarę krawca skrajani. Miał głowę i zdolności męża stanu, których potem nie miał nikt. Niepodobna tu uzasadniać, dlaczego upadł; zapewne chwila i warunki były nieodpowiednie, może też brakło znajomości psychologii własnego społeczeństwa a zbyt wielkie było, choć uzasadnione, mniemanie o sobie. Inne także zupełnie były warunki działalności stronnictwa krakowskiego w państwie Austryackiem. Reformy, wywołane przez klęski wojny włoskiej i pruskiej, były szczere, nieodwołalne, stanowcze; nie wznoszono tam budowli na piaskach ruchomych, które znieść może lada wzbierająca falą reakcyi. Oparto

przytem pracę o jeden z czynników, zawsze jeszcze najbardziej decydujących w państwach monarchicznych—o koronę. Jakże inaczej było u nas. W położeniu o wiele trudniejszem nie mieliśmy dość sił, aby sprostać zadaniom. Ostateczny wynik był taki, że w burzliwej epoce, opisywanej w powieści Sienkiewicza, przegrywali wszyscy, przegrało całe nasze społeczeństwo, wszyscy więc, całe społeczeństwo ponosi za to odpowiedzialność.

Co do winy tych lub owych czynników, nie czas jeszcze na porachunki. Czasy zbyt blizkie są, trzeba dotykać strun, zbyt ostry dźwięk wydających, ran zadawanych i odbieranych w kurzu walk powszednich, dotąd niezabliźnionych. A porachunki nie będą miały nawet jedynie usprawiedliwiających następstw praktycznych. Bo historya nie będzie tu mistrzynią życia; zbyt mało podobieństwa, zbyt wielką przepaść wykopały tylko te lat parę między niedawną przeszłością a teraźniejszością. Nie jątrzmy. Pamiętajmy o Horacyuszowskiem *carpe diem*, nie w znaczeniu wesołego używania życia, lecz w znaczeniu zużytkowywania, korzystania z każdego dnia w wykonywaniu wspólnych, dobrych prac; niech nie będzie dnia bez czynu. Byśmy mogli, stojąc przed wielkim Sędzią sumień, pochwalić się, rachować nie blizny z bezpłodnych walk, lecz obliczać suty plon rzeczy dokonanych naprawdę, nie zamierzonych tylko, dla dobra narodu.

*

* *

Jeżeli *inter arma—silent togae*, co znaczy, że w chwili walki, w chwili dokonywanych czynów milkną ci, którzy słowem tylko bronić się mogą, to na odwrót słowa zaczynają przeważać wtedy, kiedy nic uczynić nie można. Taką jest właśnie chwila obecna, chwila sposobna do wszelkiego rodzaju rozważań, polemik, które są najczęściej grą słów—bezowocnych, ale nieraz ciekawych, nieraz uświadamiających, pogłębiających nasze poglądy na najważniejsze sprawy życiowe.

Cóż może być zawsze ważniejszego, bardziej palącego u nas, jak stosunki rosyjsko-polskie, ich dalszy przebieg i rozwiązanie kwestyi współżycia? I to pomimo uzasadnionego sceptycyzmu, braku wszelkiej wiary w jakiekolwiek porozumienie. Dlatego ciekawy jest list w sprawie polskiej, wybitnego agronoma i publi-

cysty rosyjskiego, uczciwego nacyonalisty, redaktora pisma „Swidietiel," p. Szarapowa. I ważny nie sam przez się, lecz dlatego właśnie, że daje nam sposobność sięgnięcia do głębi, do rdzenia antagonizmu, najważniejszego i ze stanowiska historycznego i ze współczesnego.

Publicysta rosyjski z żalem stwierdza, że Polacy żywią dla Rosyan pogardę. Myli się w wyrażeniu, źle określa uczucie, które płynie z przeciwstawności dwóch kultur. Korzenie naszego życia dzisiejszego tkwią bardzo głęboko w przeszłości. Szukać ich trzeba aż w rozłamie państwa rzymskiego na zachodnie i wschodnie, w rozłamie kościołów na modłę tych państw ukształtowanych. Z założenia powszechności państwa rzymskiego, przejął Kościół katolicki swój charakter, broniący go po wsze czasy od tego, aby stał się religią państwową do celów państwowości zaprzężoną. W cesarstwie wschodniem władcy bizantyjscy, idąc śladami poprzedników, wielkich mocarstw starego Wschodu, Egiptu, Assyryi, Persyi, uczynili z religii narzędzie państwowości, z siebie najwyższych władców, nietylko rozdających nagrody w życiu przyszłem, ale także i doczesnych, czuwających przy pomocy religii nad życiem i czynnościami ostatniego z poddanych. Różnica to kapitalna: z jednej strony jednostka poddana tylko dyscyplinie duchowej, z pojęciem jedynie życia pozagrobowego związanej (katolicyzm), zaś zupełnie wolna w inicyatywie i regulacyi swoich interesów doczesnych, publicznych, zbiorowych, podlegająca najróżnorodniejszym rządom, ustrojom współczesnym, które wszystkie godzą się z zasadą naczelną katolicyzmu. Z drugiej strony jednostka, a więc i społeczeństwo, które jest tylko zbiorem jednostek, pod dyscypliną podwójną, religii i państwowości, pozbawiona zatem wszelkiej inicyatywy, skazana zawsze na wyglądanie jedynie interwencyi z góry, zarówno pod względem życia duchowego, jak i doczesnego, materyalnego. Te dwa kościoły, te dwie cywilizacye kształciły wszystkie narody europejskie. Jak kształciły i wykształciły — widzimy po rezultatach. Sądzimy, że niewielu jest dziś ludzi w Rosyi, którzyby szczerze podzielali pogląd z przed lat kilkudziesięciu o Zachodzie, jako „zgniłym."

Polacy są prawymi dziećmi kultury Zachodu i tej spuścizny czujnie strzedz muszą, pod grozą zagłady narodowej. Państwo rosyjskie jest prawym spadkobiercą cesarstwa wschodniego; przez wiekowe oddziaływanie urobiło odpowiednio społeczeństwo rosyjskie. Ta przeciwstawność kultur sprawia, że chociaż ucisk narodowości naszej jest po obu stronach granicy jednaki, ale po tamtej Polak korzysta ze wszelkich dobrodziejstw wyższej kultury

i doskonałej organizacyi, które obraca na swoją samoobronę legalną i ekonomiczną, gdy po tej widzi kraj swój grzęznący w coraz większem barbarzyństwie. Każdemu znane jest głębokie odetchnięcie, które towarzyszy ruszeniu pociągu z Granicy, Aleksandrowa, czy Sosnowca; jest w niem często nieuświadomiona radość potomka kultury zachodniej, że znajduje się w atmosferze ładu i porządku, pewność zupełna, płynąca z poczucia przebywania w ustroju, na legalności opartym.

Przypatrzmy się stosunkowi do szkoły przymusowej w obcym języku po obu stronach granicy. Ze szkoły niemieckiej wychodzą Polacy, umiejący doskonale po niemiecku; w Dumie pierwszej zasiadali przeważnie przedstawiciele pokolenia, które przeszło przez najsroższy okres rusyfikacyi w szkole: bez uśmiechu nie można było słuchać akcentów i konstrukcyi zdań w mowach. Dlaczego tak jest? Pomińmy różnicę systemu nauczania. W Prusach i rodzice i dzieci wiedzą, że znajomość języka niemieckiego jest ważnym środkiem w walce o byt; u nas kto nie szedł na drogę urzędniczą, a ta karyera była prawie szczelnie zamknięta, po skończeniu szkół ciskał czemprędzej w kąt nieużyteczny balast ruszczyzny; wielu rozpoczynało prawie na nowo swoje wykształcenie zagranicą, u źródeł kultury zachodniej. Dlatego liczni Polacy z wdzięcznością myślą zawsze o tych źródłach, o zagranicznych uniwersytetach, w których się kształcili, a ze zrozumiałą niechęcią o szkołach, gdzie tracili czas na ślęczenie nad nauką, zgoła potem bezowocną.

Przejdźmy z kolei do wrażeń intellektualnych wyższego rzędu. Języki zachodnio-europejskie otwierają drogę do obcowania z największymi geniuszami świata. W szkole rosyjskiej uczono nas tylko rzeczy ze świata duchowego rosyjskiego najgorszych; a nie każdy miał potem czas i możność zaznajomienia się samemu z tą literaturą. Jeżeli zaś znalazł tę możność—do ducha Polaka przemawiali najbardziej, najmocniej ci pisarze, którzy sami reprezentowali prąd zachodnio-europejski w literaturze rosyjskiej: Puszkin w niektórych utworach, zwłaszcza Turgeniew i Czechow, Tołstoj z pierwszego okresu swej twórczości. Dlaczego? Dlatego, że w nas tkwią głęboko, w duszach bardziej, niż w życiu, kanony zasadnicze cywilizacyi łacińskiej, kanony porządku i ładu. Nie może więc przemawiać do duszy naszej anarchizm społeczny, czy mistyczno-religijny, czy obyczajowy Gorkijów, Tołstojów, Andrejewów, Arcybaszewych. W anarchii i bezładzie, cechującym cywilizacyę bizantyjską, pozorna tkwi tylko sprzeczność z potężną budową religijno-państwową. Wspominaliśmy już

o upośledzeniu w niej jednostki; ta, która traci jakikolwiek element wiary, czuje, jak załamuje się w jej duszy cały światopogląd duchowy i najprostszą drogą zmierza do przepaści anarchii. Z drugiej strony, w założeniu państwa bizantyjskiego czynnikiem wszechmocnym całego życia, a więc i jego ładu, jest tylko organ tego państwa — rząd; obojętnym jest zupełnie bezład w duszach i w samym ustroju społeczeństwa.

Ta przeciwstawność dwóch kultur jest także źródłem wewnętrznej tragedyi inteligencyi rosyjskiej. Nie może nie widzieć i widzi istotnie nieskończoną wyższość zachodu nad swoją ojczyzną; nie zdaje sobie sprawy, jak długą drogą, pod oddziaływaniem jakiej cywilizacyi rezultaty bogate zostały osiągnięte; pragnie je odrazu w ostatecznych wynikach przeszczepić. A ze źródła ich dusz, nieświadome instynkty, spadkobierstwo duchowe licznych pokoleń przodków tkwią w bizantynizmie, czyli w zasadzie oddziaływania przemocą, regulowania życia z góry, więc chcą te wyniki siłą narzucić. Tak tworzy się anarchia, w czynach nihilizm, propaganda przy pomocy zamachów, oparta także na błędnem przekonaniu, że usunięcie tej lub innej osoby kierowniczej może wpłynąć na zmianę biegu życia. A reszta inteligencyi, która tych wniosków bezpośrednich nie wyciąga, szamoce się między dziedzicznemi cechami kultury wschodniej, narodowej, do której jest naturalnie przywiązana szczerze i gorąco, a między dążeniami kultury nabytej, tej, która tak świetnymi wystrzela w górę owocami, tuż, o miedzę. Część wreszcie, nie mogąc sobie inaczej dać rady, często w najlepszej wierze, wraca do starego nawoływania na pomoc policyi...

Nawet nacyonalizm rosyjski ma inne cechy, niż zachodnioeuropejski. Anglik-nacyonalista widzi przedewszystkiem ekspansyę swego narodu w pracy cywilizacyjnej, w szerzeniu dorobku wolności obywatelskich, które są udziałem jego wielkiego narodu; świetny tego przykład widzieliśmy niedawno w Transwaalu. Rosyanin-nacyonalista, wychodząc ciągle z fałszywego założenia bizantyjskiego wszechtroski państwa o obywateli, żąda od tegoż państwa przedewszystkiem zabezpieczenia interesów Rosyan, nieustannej pomocy szczególnych praw i przywilejów, widząc błędnie w tej opiece rozwój potęgi państwa, gdy przeciwnie takie zabijanie inicyatywy indywidualnej zmierza raczej do jego zguby. Z tej przesłanki — nawet w najlepszym razie, najszczerszym — płyną wszelkie ograniczenia dla narodowości nierosyjskich, olbrzymie państwo zamieszkujących.

Zatem nie pogarda w stosunku do Rosyan, ale niemożliwość wzajemnego pojmowania dusz cechuje stosunki polsko-rosyjskie. Ta niemożliwość wpływała, bo wpływać musiała, na taktykę naszej reprezentacyi w Izbie. P. Szarapow mówi o pierwszej Dumie, że był to „dom waryatów," w którym „wy jedni (Polacy) byliście rozumni i spokojni;" prawdę tego określenia mieliśmy możność sprawdzić *de visu et auditu*. Ale zarzuty jego, że Polacy „dezinfekowali się starannie," by się rosyjską chorobą nie zarazić, że „starali się o to, aby wyłączyć swą sprawę prywatną ze sprawy ogólnej," krytyki nie wytrzymują. Cóż robić mieli? Uczestniczyć w czynach „domu waryatów," jechać do Wyborga? Spotkaliby się także z potępieniem autora. A kiedy w drugiej Izbie nie odseparowywali się, owszem, przeważyli szalę w kilku sprawach ogólno-państwowych, ze strony urzędowego nacyonalizmu spotkała ich za to kara w postaci ograniczenia ilości mandatów.

Jakież tedy będą wskazania autora rosyjskiego? Abyśmy urządzali się we wspólnym domu słowiańskim? Ależ czynimy to z konieczności, czyniliśmy zawsze w warunkach jeszcze cięższych; wszakże żyć chcemy i musimy. Abyśmy „spełnili obowiązek," dołożyli „wszelkich usiłowań do wyleczenia Rosyi"? Ależ czynilibyśmy to chętnie, tylko jak? Wszak w państwie tem jest jeden tylko, jedyny wielki lekarz, odwieczny lekarz—rząd, a na tego lekarza ani my, ani nawet p. Szarapow—wpływu nie wywieramy. Więc jakże? Cóż pomogą najbardziej nawet bratnie uczucia, bez możności realizowania ich w życiu? Skazani historycznie na współżycie, oddzieleni przepaścią dwóch przeciwstawnych kultur, miotamy się nieraz obustronnie w poszukiwaniu nowych form, lepszych, łagodzących, nie jątrzących stosunki. Nasze normy, na naszej cywilizacyi oparte, na zasadzie rozwoju wszelkich indywidualności narodowych, autonomiczne, zostały odrzucone. Nie zastąpiono ich ze strony rosyjskiej innemi, lepszemi, lecz owszem zastępują je coraz gorsze. Zarazem sprawa stosunku obu społeczeństw pozostaje w tem samem stadyum...

*

* *

Wspominaliśmy wyżej o dziełach samoobrony, wznoszonych przez rodaków naszych z Prus. W ciężkiej walce o byt zwrócono baczną uwagę na wzmocnienie żywiołu polskiego, przedewszystkiem ekonomiczne. I dopięto celu. Właśnie w Poznaniu odbył się przegląd sił, sejmik związku spółek zarobkowych, tej podwaliny, którą tak głośno reklamował — czytaj denuncyował — urzędowy doradca ekonomiczny rządu pruskiego w rzeczach polityki antypolskiej, p. Bernhard, za te zasługi profesurą nagrodzony. A przewodniczył mu ten, który całemu życiu spółek przewodniczy, ten, któremu sam p. Bernhard wystawił świadectwo, że, gdyby był Niemcem, byłby dawno ministrem skarbu pruskiego, słowem, znany wszędzie, gdzie mowa polska rozbrzmiewa, patron spółek, ks. prałat Wawrzyniak. Mimo wszystkie ograniczenia, ustrój państwowy Prus jest praworządny. Że więc spółki trzymają się w granicach ściśle legalnych, że pilnują bacznie, by najdrobniejszą szczeliną nie wcisnęła się polityka do ich działalności, rozwijać się mogą w spokoju, przyczyniając sił Polakom w Prusach.

Spółek w związku jest 248, liczących ogółem 116,849 członków (w tej liczbie 1,468 większych właścicieli ziemskich, 58,663 włościan, 17,098 mieszczan). Suma kapitałów własnych spółek wynosi 32,801,976 marek; depozytów — 117 mil.; kredytu udzielały spółki na sumę 177 mil. marek. Bank Związku spółek podniósł kapitał zakładowy z 3 na 6 milionów; 3,000 akcyj nowej 5-ej emissyi po tysiąc marek rozebrano w ciągu trzech tygodni. Obrót ogólny banku podniósł się z 484 mil. w r. 1908 na 607 mil. mk. Depozyty wynoszą 29,174,314 mk. Takie są rezultaty pracy 49 lat, pierwsza bowiem spółka w Poznaniu „Towarzystwo przemysłowców“ powstała w r. 1861; Związek założony został w dziesięć lat później.

Zestawmy te dane najpierw z Galicyą. Związek stowarzyszeń kredytowych w Galicyi istnieje od r. 1878. W r. 1908 ogarniały one półtora miliona ludności, a kapitał udziałowy przenosił 33 mil. koron. W r. 1909 pod patronatem Wydziału Krajowego było w Galicyi 1,029 spółek oszczędnościowo-pożyczkowych, ogarniających 3,220 gmin z ludnością 3,355,154 osób, czyli niemal połowę całej ludności w kraju. U nas ruch współdzielczy jest jeszcze w powijakach, ale piękne rokuje nadzieje. Bo, jak mówi organ specyalny, *Społem*, z 670 spółek spożywczych w Królestwie, 500 powstało w dwóch latach ostatnich; istnieje prócz tego około dwustu spółek kredytowych. Związku niema, Bank współdzielczy pierwsze dopiero stawia kroki, ale niewątpliwie spółkom znaczne korzyści przyniesie. I gdybyśmy żyli w atmo-

sferze pewności i spokoju o przyszłość, możnaby ruchowi współdzielczemu u nas wróżyć rozwój niemniejszy, niż w Prusach i Galicyi.

Idźmy dalej śladami przemówienia inauguracyjnego dzielnego i zasłużonego patrona. Brak w nim tonów optymizmu. I nie dziw. To, co dla nas jest dziełem wielkiem, w porównaniu z naszem, dla nich, tam, za kordonem, blednie w porównaniu ze spółkami niemieckiemi. Tych było w całej Rzeszy 29,497 z liczbą członków 4,171,710, z kapitałami własnemi w sumie 573 milionów marek, z depozytami 3,806 mil. mk. i udzielnym kredytem 20 miliardów mk. Więc ks. Wawrzyniak konkluduje, że chociaż rozwój spółek jest bardzo pomyślny, jednakże wobec niemieckich przedstawiają się bardzo skromnie. Na podniesienie zasługuje porządek i dobre prowadzenie interesów przez spółki, o czem świadczy, że każda z nich przysłała sprawozdanie i że protokóły rewizyj patronackich są coraz krótsze, bo coraz mniej można spółkom postawić zarzutów.

Dyskusye były na sejmiku ściśle rzeczowe, wzorowo prowadzone i bardzo ciekawe. Dla nas na pierwszy plan zainteresowania wysuwa się sprawa stosunku spółek spożywczych do kredytowych. U nas przeważają pierwsze; drugich jest zbyt dużo, zbyt wiele pochłaniają pieniędzy koszty własne, koszty administracyi, skutkiem czego ten typ spółek nieznacznie tylko obniżył stopę procentową, która jest w nich ciągle jeszcze zbyt wysoka. W Prusach najświetniej rozwijają się właśnie spółki kredytowe, jak do niedawna jeszcze ziemskie. Wyzwalają one kupca i rzemieślnika polskiego z pod przewagi kapitału niemieckiego; szczegół to bardzo ważny, jeżeli zważymy, że odmowa lub otwarcie w danej chwili kredytu Polakowi mogłoby być przez spółki niemieckie warunkowane odpowiedniem zachowaniem się np. przy wyborach. Inaczej ze spółkami spożywczemi i rolniczemi, czyli, jak je nazywają w Prusach „Kupcami“ i „Rolnikami.“ U nas spółki spożywcze i rolnicze mają w tej chwili wielkie zadanie do spełnienia: unarodowienie handlu, uniezależnienie kupującego od Żydów. Inaczej zgoła w społeczeństwie polskiem w Prusach; tam Żydów jest mało, a ci, co są, stają wyraźnie po stronie niemieckiej; ziemia kurczy się, natomiast widzimy wzmocnienie stanu średniego polskiego po miastach, zjawisko bardzo pomyślne i pożądane. Tymczasem zakładanie po miastach i miasteczkach „Kupców“ i „Rolników“ mogłoby przez konkurencyę poderwać istnienie kupiectwa polskiego. Więc trzeba być z tem bardzo ostrożnym, aby — jak to często bywa — lepsze nie było wrogiem

dobrego, a zasady współdzielcze nie stanęły przeciw interesom narodowym. To też na sejmiku słuszna zupełnie zapadła uchwała, aby tego typu spółki zakładać tam jedynie, gdzie z tych czy innych względów nie będą robiły konkurencyi odpowiednim sklepom polskim.

Z innych szczegółów na zaznaczenie zasługują rozprawy nad wzmocnieniem kapitałów własnych spółek, których stosunek do obcych jest coraz mniejszy z każdym rokiem i wynosił w roku zeszłym 1 : 6, 14, dalej nad ścisłem stosowaniem zasady współdzielczej, żeby spółki zdążały nie do wydawania wysokich dywidend, lecz do obniżania stopy procentowej, rozszerzania operacyj kredytowych, wzmacniania kapitałów rezerwowych i zapasowych. Działalności spółek ziemskich w dziedzinie parcelacyi położyła pewną tamę ustawa osadnicza z roku 1904; pomimo to Sejmik uznał istnienie spółek takich za konieczne, owszem, wyraził nawet życzenie, aby spółki powstawały we wszystkich powiatach, mianowicie w celu regulowania i kierowania handlem ziemią, uczciwego pośrednictwa, zwalczania lichwy oraz regulowania hipotek mniejszych właścicieli ziemskich.

Jak widzimy ze streszczenia powyższego, plon działalności Związku i plon pracy Spółek jest bardzo znaczny. Umyślnie poświęciliśmy mu dużo miejsca, ze względu na wielką wagę dla naszych rodaków w Prusach, na płynący stamtąd dla nas przykład.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Józef Grajnert.

Ubył z pośród nas w sędziwym wieku zasłużony pionier oświaty ludowej, założyciel pierwszego pisma, specyalnie dla ludu wydawanego, istniejącej do dziś dnia bardzo pożytecznej „Zorzy.“

Ś. p. Józef Grajnert urodził się w Kowalach, pow. wieluńskiego, ziemi kaliskiej w r. 1831-ym. Zaczął pisać już jako kilkunastoletni chłopak, a po ukończeniu szkół postanowił wyłącznie poświęcić się piśmiennictwu. Pierwszą większą pracę ogłosił właśnie w naszej „Bibliotece“ (r. 1859); była to rozprawa p. t. „Studya nad podaniami ludu naszego.“

W cztery lata potem wraz z innymi wędrował na Syberyę, ale, od innych szczęśliwszy, powrócił już po latach trzech, aby poświęcić się umiłowanej pracy dla ludu, bowiem w r. 1866-ym założył „Zorzę,“ którą bez przerwy prowadził przez lat dwadzieścia.

Trzeba pamiętać, że to było pierwsze pismo dla ludu przeznaczone, aby zrozumieć z ilu trudnościami walczyć musiał ile przeszkód przezwyciężyć, aby pismo rozpowszechnić. Celu dopiął. A ciężka praca redaktorska nie wyczerpywała jego twórczości. Szerzej pojmował oświatę ludową, miewał o niej odczyty, pisywał do wielu innych pism, wydawał popularne „Skarbczyki,“ „Opowiadania,“ poezye; był też autorem dramatu wierszem „Wanda,“ krotochwil ludowych „Pan Łapcewicz“ i „Natura wilka ciągnie do lasu,“ a jego prace etnograficzne zyskały uznanie sfer kompetentnych, czego wyrazem było mianowanie ś. p. Grajnerta członkiem-korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie.

Zdobył wśród ludu popularność zasłużoną, a wszyscy późniejsi działacze ludowi nie zapomną tego, który im pierwszą drogę

na gruncie dziewiczym torował. Przed dwudziestu kilku laty usunął się z widowni życia publicznego, ale nie zaznał spokoju, ponosił bowiem ciężkie straty, między innemi tragiczną śmierć syna. Zmarł u córki, w Kozubkach, pod Łęczycą, pozostawiając po sobie dobre imię, pamięć człowieka zasłużonego, który z zapałem pracował dla ukochanej sprawy oświecania szerokich mas.

ś. p. Jan Gebethner.

Stratę po stracie ponosi największa oficyna księgarska na ziemiach polskich. Po założycielu, ś. p. Robercie Wolffie, w pełni sił zeszedł ze świata przedstawiciel drugiego pokolenia ś. p. Jan Gebethner. Był to człowiek szeroko w Warszawie znany, popularny, ceniony. Odpowiedniem wykształceniem doskonale przygotowany do zawodu księgarskiego, wnosił do niego gruntowną znajomość fachu, szeroką inicyatywę, życzliwość dla ludzi pióra i pędzla. Przez czas jakiś był kierownikiem artystycznym *Tygodnika Illustrowanego*; sam bardzo w kierunku rysunkowym uzdolniony, żył chętnie w otoczeniu malarzy i rysowników najwybitniejszych, a wybitne znawstwo i gorące ukochanie sztuki zapewniało pracy jego w tym kierunku wielkie powodzenie.

Niepospolita energia i rozlewność życia sprawiały, że nie ograniczał się tylko do księgarstwa. W tym wychowańcu politechniki ryskiej głęboko na całe życie utkwiły uczucia przyjaźni koleżeńskiej, którym dawał wyraz, przewodnicząc do końca życia stowarzyszeniu b. członków (t. zw. „filistrów“) „Arkonii.“ Prócz tego był sędzią handlowym, podstarszym Zgromadzenia kupców. A kiedy nadeszła możność zakładania szkół polskich, z gorącem umiłowaniem uczestniczył w tej pracy, uczestnicząc w radach opiekuńczych szkół kilku. Dar stu tysięcy elementarzy dla „Macierzy“ także w części był jego pięknem dziełem, jako współwłaściciela księgarni.

Tłumy stwierdziły, jak powszechną cieszył się sympatyą. Wśród tysięcy uczestników pogrzebu byli literaci, artyści, księgarze, kupcy, przemysłowcy. Szli za trumną ze szczerym żalem, że zbrakło człowieka dobrego, prawego, który mógł jeszcze wiele lat wiernie służyć swemu społeczeństwu.

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Towarzystwo pielęgnowania nauk społecznych w Krakowie wydało sprawozdanie z pięcioletniej swej działalności, 1903—1908 r. Celem Towarzystwa jest działać na społeczeństwo w kierunku wykształcenia społecznego i politycznego; ma ono „prostować błędne pojęcia, odsłaniać prawdziwe krzywdy, a ostrzegać przed mrzonkami, wskazać miejsce przynależne tradycyi narodowej i stać się łącznikiem między nią a prawdziwą wiedzą i prawdziwym rozwojem i postępem, w miarę sił przyczynić się do dźwignięcia dobrobytu i stworzenia korzystnych warunków rozwoju. Dostarczenie warstwom wykształconym fachowych wiadomości w dziedzinie tak pożądanej musi wywołać obudzenie zdolności drzemiących w narodzie, a skutkiem zawistnych losów nie mających dotąd sposobności do szerszego rozwoju. Naród, który wydał Łaskich i Tomickich, Zamoyskich i Ignacych Potockich, Lubeckich i Staszicow, potrzebuje tylko użyźnienia tych zdolności fachową wiedzą, by doczekać się na tem polu chwały i pożytku ze swych synów.“

Staraniem Towarzystwa odbyły się w latach ubiegłych wykłady: ś. p. K. Potkańskiego: „O pochodzeniu wsi polskiej,“ Fr. Bujaka: „Wieś zachodniogalicyjska u schyłku XIX w.,“ St. Grabskiego: „Rozwój kwestyi agrarnej w Polsce XIX w.,“ St. Zakrzewskiego: „Średniowieczna polityka społeczna w Polsce,“ St. Grabskiego: „Polityka społeczna w Polsce XVIII i XIX w.,“ Z. Gargasa: „Polscy wychodźcy w Stanach Zjednoczonych,“ K. Krzetuskiego: „O przesileniu ekonomicznem w Stanach Zjednoczonych w r. 1907,“ L. Głabisza: „Pierwsze miesiące robotnika polskiego w Stanach Zjednoczonych,“ J. Polaka: „Sprawa pokoju powszechnego ze stanowiska aktualnego,“ E. Strasburgera: „Kooperacya i jej rozwój w Królestwie Polskiem,“ A. Krzyżanowskiego: „O drożyźnie“ i in.

— Archiwum czerwonodworskie. W Czerwonym Dworze pod Kownem Benedykt hr. Tyszkiewicz gromadzi cenne zbiory rękopiśmienne, Litwy przeważnie dotyczące. W ostatnich czasach hr. T. nabył wielce ciekawe i bogate archiwum, liczące około 20 tysięcy zabytków piśmiennych z XVIII i XIX wieku, głównie z zakresu spraw politycznych i ekonomicznych.

P. M. Federowski podaje w „Kur. warsz." następujące szczegóły o rzeczonem archiwum:

„Oprócz mnóstwa dokumentów, dotyczących sejmu, kościoła, wojska, skarbowości, znajdują się w niem całe teki gazetek pisanych, dyaryuszów, pamiętników i t. p. nieoszacowanych rękopisów. Nie małej są również wagi własnoręczne skrypta kasztelana brzeskiego, znanego pamiętnikarza, M. Matuszewicza, oraz głośnego statysty i posła, zwięźle a jasno poruszającego najrozmaitsze sprawy publiczne, Michała Zaleskiego.

„Największe bogactwo tego zbioru stanowią listy (osiem tysięcy z wieku XVIII i bezmała cztery z pierwszej ćwierci wieku XIX n. p.), kreślone przez dostojników świeckich i duchownych, senatorów koronnych i litewskich, dworzan, posłów, ambasadorów, słowem ludzi, którzy w epoce saskiej i Stanisława Augusta o dwór się ocierali i nieustannie z polityką mieli do czynienia; częstokroć natrafia się w nich na fakty nieznane lub przez piszącego przedstawiane całkowicie w innem oświetleniu.

„W dziale tym całe są pliki listów własnoręcznie skreślonych przez: Brzostowskich, Branickich, Czartoryskich, Chodkiewiczów, Jabłonowskich, Lubomirskich, Massalskich, Mniszchów, Ogińskich, Paców, Pociejów, Poniatowskich, Potockich, Radziwiłłów, Rzewuskich, Sapiehów, Sołtyków, Sołłohubów i t. d. Teki zawierające listy: np. „ambasadorskie" „militarne," ojca jezuity, światłego Idzella (pseudonim Znajomski, nadsyłał Zabiełłom wiadomości z dworu drezdeńskiego), podskarbiego Tyzenhauza, Marcina Matuszewicza, Michała Zaleskiego, Kołłątaja, J. Kontryma (sekretarza Kossakowskiego, biskupa inflanckiego), oraz tysiączne z epoki sejmu wielkiego relacye, kreślone najczęściej sekretnem pismem (klucz dokładny znajduje się w tece), wprawną ręką bystrego obserwatora, jakim bezsprzecznie był szambelan i ulubieniec króla, Jerzy Zabiełło, bodaj, że dla historyka będą najciekawsze.

„A i dla badacza literatury ojczystej poszukiwania w tej bogatej kopalni nie byłyby całkiem bezowocne. Są tu bowiem pełne teki kazań, przemówień, anegdot, są całe traktaty filozoficzne, a już to najwięcej wierszy i wierszyków okolicznościowych, znanych i nieznanych poetów. Do tej ostatniej kategoryi śmiało zaliczyć można tryskające francuskim dowcipem listy sekretarza Stanisława Augusta, Antoniego Kossakowskiego, mogącego iść w zawody z duchowo mu pokrewnym Kajetanem Węgierskim...

„Mimochodem nie zawadzi jeszcze nadmienić i o tych kolejach, przez jakie archiwum to w ciągu wieku przeszło.

„Wywiezione około roku 1815 przez Zabiełłów z Czerwonego Dworu, w chwili przejścia tej majętności we władanie Tyszkiewiczów, wkrótce było wniesione do domu ministra, Stanisława Grabowskiego, przez jego małżonkę, z domu Zabiełłową, w połowie zaś wieku zeszłego dostało się w posiadanie dziedzica Warki i Pilicy w Grójeckiem, Prozora, żonatego ze słynną z urody

swej córką ministra, Maryą. Po rozbiciu materyalnem Prozorów, nabył je zamiłowany zbieracz zabytków tego rodzaju, z powołania medyk, który przez długie lata wszystkie wolniejsze od zajęć fachowych chwile poświęcając na uporządkowanie tego olbrzymiego zbioru, na szczęście przed zgonem dopiął swego celu. Owocem zmudnej a wytrwałej pracy skromnego lekarza jest katalog wzorowo sporządzony, tudzież 50 jaknajszczegółowszych skorowidzów."

Pożądanem jest w interesie nauki, aby archiwum czerwonodworskie jaknajrychlej było dostępne dla badaczy dziejów naszych.

NOWE KSIĄŻKI.

— Ludwik Jenike. *Ze wspomnień.* Część I i II. Warszawa r. b. (1909). „Biblioteka dzieł wyborowych" №№ 622 i 623.

Pamiętniki Ludwika Jenikego zawierają wspomnienia z czasów powstania 1863 r. oraz obfitą wiązankę wiadomości do charakterystyki ówczesnych stosunków literackich. Autor opowiada między innemi szczegółowo o Narcyzie Żmichowskiej, Kraszewskim, Anczycu, Bartoszewiczu, Sobieszczańskim, Kaszewskim i innych. Przeważną część swych wspomnień poświęca Jenike „Tygodnikowi Illustrowanemu," którego przez długie lata był redaktorem. Rzecz napisana zajmująco, posiada wartość materyału historyczno-literackiego z pierwszej ręki, wszakże charakteru przeważnie anegdotycznego.

— *Katalog wydawnictw Akademii Umiejętności w Krakowie.* Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

Ukazujący się obecnie Katalog wydawnictw Akademii jest właściwie podręcznikiem księgarsko-naukowym. Obejmuje działalność Akademii od roku założenia (1873) do 1 lipca 1909 r., podając w szczegółowem zestawieniu wszystkie dzieła, czasopisma i t. d. wydane przez Akademię lub pod jej egidą. Korzystanie z cennej tej publikacyi bibliograficznej ułatwia starannie opracowany indeks nazwisk autorów.

— Juliusz Słowacki. *Lilla Weneda, tragedija u pet činova.* Preveo Julije Benešić. U Zagrebu, 1910. Izdala „Matica Hrvatska."

W przekładzie na język chorwacki ukazała się „Lilla Weneda" Słowackiego. Tłómaczenie poprzedza życiorys poety, opracowany na podstawie dzieł Chmielowskiego, Brücknera, Zdziechowskiego i Feldmana. Przekład dokonany został wierszem; książka wyszła w bibliotece popularnej, wydawanej przez „Macierz" chorwacką w Zagrzebiu.

— Adam Boniecki. *Herbarz polski.* Tom XIII, zeszyt 6-ty.

Zeszyt niniejszy zawiera wiadomości historyczno-genealogiczne o rodzinach szlacheckich od książąt *Kurcewiczów* herbu własnego do *Kurowieckich* herbu Nowina; obszerniej opisane zostały rody: Kurczów, Kurdwanowskich, Kurnatowskich, Kuropatnickich. „Herbarz“ redaguje obecnie dawny współpracownik ś. p. Bonieckiego, baron Artur Rejski.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Książka. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej, pod kierunkiem J. K. Kochanowskiego. Rok 10. № 9. Wrzesień, 1910. Treść: „Pan Balcer“ Konopnickiej.—Krytyka: Arrhenuis Svante: Jak powstają światy;— Belmont Leo: Dla honoru, dramat;—Boy: Nowe piosenki (serya trzecia);—Budzińska-Tylicka J., D-r med.: Hygiena kobiety i kwestye społeczne z nią związane;—Bukowiecka Zofia: Jak Polska za Jagiellonów urosła od morza do morza;—Chrząszczewska i Warnkówna: Moja pierwsza książeczka;— Ciemniewski Jan, Ks. D-r: U źródeł modernizmu;—Dąbrowski Tomasz, Ks.: Szesnaście kazań o Najświętszym Sakramencie;— d'Ezerville F. J., Ks.: Nowenna do Matki Boskiej z Lourdes;— Fonek L. S., D-r fil. i teol.: Praca naukowa, przyczynek do metodyki studyów uniwersyteckich;— Gerstman Adam, Ks. D-r.: Miscellanea pastoralne;— K. Stanisława: Kwiateczki Maryi ku czci Niepokalanej Dziewicy;— Kajdas Józef Ks.: Pamiątka pierwszej Komunii św. dla dzieci szkolnych;— Kallas A.: Odszczepieńcy, dramat;— Tenże: Ona i oni;— Kodisowa J., D-r fil.: Kwestya rodziny w sprawie kobiecej;—Kurnatowski Jerzy: Pomoc wzajemna;— Maciejowski Adam, Ks.: Literatura i życie; o wpływie literatury pięknej na społeczeństwo;—Maumus O.: Moderniści;—Morawski Kazimierz Maryan: Dwie rozmowy Stanisława Augusta z Ksawerym Branickim;—Mossoczowa M. (Koliskówna M.): Arcydzieło Juliusza Słowackiego „Król Duch“;— Nalepiński Tadeusz: Chrzest, fantazya polska;— Niewiadomska C.: O czem Zosia nie wiedziała;— Pożaryska W., Sulicka M. i Weychertówna Wł.: Zblizka i zdaleka. Cz. II. Człowiek i wszechświat;— Przyborowski Walery: Przyczyny upadku Polski;— Skalski St., D-r: Alkoholizm i sprawa robotnicza;— Sobieski Marek: Tragedya dziecka, dramat;— Szerer Mieczysław: Kara, szkic socyologiczny;— Szydelski Stefan, Ks. D-r: Konstanty Zieliński, arcyb. lwowski;— Tetmajer Przerwa Kazimierz: Maryna z Hrubego (Na Skalnym Podhalu);— Tenże: Na Skalnym Podhalu. V.;— Wąsik Wiktor: Kategorya Arystotelesa pod względem historycznym;—Wątróbski L.: W pogoni za słońcem;—Zimmermann K., Ks. D-r: O społecznych zadaniach i potrzebie organizacyi nauczycielek;— Pod prasą;— Nekrologia;—Kronika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Bersohn Mathias: Dyplomataryusz, dotyczący Żydów w dawnej Polsce, na źródłach archiwalnych osnuty (1388—1782). Dzieło pośmiertne, wydane staraniem Rodziny. Warszawa, księgarnia Gebethnera i Wolffa, 1911.

Browning Robert: Pippa przechodzi. Poemat dramatyczny. Z angielskiego przełożył Jan Kasprowicz. Rok 1910. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie. Warszawa, księgarnia E. Wende i S-ka. Kijów, I. Idzikowski.

Brzozowski Stanisław: Idee. Wstęp do filozofii dojrzałości dziejowej. Lwów, 1910. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, księgarnia E. Wende i S-ka.

Chamfort: Maksymy i myśli. Charaktery i anegdoty. Przełożył Konrad Drzewiecki, ze studyum Essweina, z portretem M. Chamforta. Lwów, 1910. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, księgarnia E. Wende i S-ka.

Charszewski Ks.: Moderniści. Modernizanci. Antymoderniści nasi i obcy. Przedruk rozszerzony i poprawiony z wileńskiego „Słowa i Czynu.“ Nakładem Księdza Bolesława Skarzyńskiego, 1910. Warszawa, księg. E. Wende i S-ka.

Dyboski Roman, D-r, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego: William Ewart Gladstone (1809—1898). Kraków, 1910.

Dzierzkowski Józef: Król dziadów. Powieść obyczajowa w 2 tomach. Tom I z 6 illustracyami. Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa. Miesięcznik „Ciekawe powieści.“ Bezpłatny dodatek do „Tygodnika Illustrowanego.“

Glinka Ksawery: Po drodze. Poezye. Serya II. Kijów, 1911. Nakładem spółki wydawniczej „Nasza przyszłość.“ Warszawa, księgarnia E. Wende i S-ka.

Gloger Zygmunt: Sen ziemianina. Łomża, 1910. Nakładem tygodnika „Wspólna Praca.“

Grabowski Ignacy: Grunwald. Wydawnictwo Tow Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.

Jankowski Józef: Poezye. Serya liryczna. Z portretem autora. Warszawa, 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Jaroszyński Tadeusz, D-r: W sprawie psychoterapii. Odbitka z prac Zjazdu Neurologów 1910 r. Warszawa, 1910. Skład główny w księg. E. Wende i S-ka.

Jelska Ory: Panta Rej. Powieść. Warszawa, 1910. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“

Krakau im XIV Jahrhundert: Eine Beitrag zur Geschichte des Magdeburger Rechts in Polen. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der Doktorwürde des hohen Philosophischen Fakultät der Universität Marburg vorgelegt von Eugen v. Sokołowski aus Warschau. Marburg, 1910.

Kraushar Aleksander: Miscellanea archiwalne. I. Notatki do dziejów politycznych, dyplomatycznych, wojskowych, ekonomicznych, handlowych i obyczajowych dawnej Polski od XVI do XVIII w., z ksiąg kanclerskich, metrycznych i asesorskich Archiwum Głównego Warszawskiego zaczerpnięte. Warszawa i Kraków, 1910.

— Miscellanea Historyczne. XLVI. Sprawa studenta Benedykta Kalinowskiego. Przyczynek do historyi Stowarzyszeń tajnych w Polsce (1821—1825). Warszawa. Nakład „Przeglądu Narodowego," 1910.

— Zarysy literacko-historyczne. I. Krytyka literacka i jej dzieje w literaturze polskiej. II. Naukowość polska w trzydziestoleciu 1831—1861. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Krechowiecki Adam: Prawdy i Bajki, z portretem autora. „Nowości Literackie." Warszawa, 1911. Wydawnictwo księgarni St. Sadowskiego.

Krzyżanowski Anatol: Za winy niepopełnione. Nowele. Za winy niepopełnione; — Rubikon; — Zwycięzca; — Spotkanie;—Wykolejeni;—Anielska Dusza; — Poeta i parasol; — Zuchwalec; — Myśl. Warszawa, 1911. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

Laskowski K. (El): Litwaki. Powieść spółczesna. Nakładem redakcyi „Przeglądu Rzemieślniczego." Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

Lemański Jan: Baśń o prawdzie. Nowy zbiór piosnek, bajek, poematów, baśni satyrycznych, melodyj i pieśni. Warszawa, 1910. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. (T. Hiż i A. Turkuł).

Makuszyński Kornel: Romantyczne Historye. Lwów, 1910. Nakładem księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Orkan Władysław: W Roztokach. Powieść. Tom I i II. Wydanie drugie. Lwów, 1910. Nakład Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Kijów, L. Idzikowski.

Perzyński Włodzimierz: Michalik z P. P. S. Powieść. Warszawa, 1910. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. (T. Hiż i A. Turkuł).

Rena: Wieczór już był, a jutro bzy zakwitną... Nowele. Warszawa, 1911. Księgarnia St. Sadowskiego.

Strzelecki Adolf: Powieść polska 1908—9. Z portretem autora. Warszawa, 1910. „Nowości Literackie." Wydawnictwo księgarni St. Sadowskiego.

Swett Marden O.: Żyć—nie umierać!... Pogoda umysłu, jako dźwignia siły. Ważny przyczynek do istoty szczęścia ludzkiego. „Ściel, bracie kwiaty,

gdy idziesz swą drogą: — Wszak ci, co przeszli, powrócić nie mogą!“ Według popularnej broszury amerykańskiej napisał Mieczysław Rościszewski. Warszawa, 1911. Księgarnia E. Wende i S-ka.

Wasilewski Zygmunt: O sztuce i człowieku wiecznym. Lwów, 1910. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Kijów, L. Idzikowski.

Wierzbicki Stanisław Józef: Atlantyda. Poezye. Lwów, 1910. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Windakiewicz S.: Badania źródłowe nad twórczością Słowackiego. Kraków, 1910. Drukarnia Uniwer. Jagiellońskiego.

Zaleska-Saryusz Krystyna: Poezye. Kraków, 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka w Warszawie i Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie.

Zarząd centralny i lokalny w Anglii, Francyi, Prusiech i Stanach Zjednoczonych. Studyum porównawcze, napisał Percy Ashley M. A. Lincoln College Oxford, Profesor szkoły nauk politycznych i ekonomicznych w uniwersytecie londyńskim. Tłómaczył za zezwoleniem autora Jerzy Gościcki. Lwów, 1910. Nakładem Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Kijów, L. Idzikowski.

Żywot Benvenuta Cellini'ego. Własnoręcznie opisany we Florencyi, z oryginału przełożył i przepisami opatrzył Stanisław Machniewicz Część IV i V. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, 1910.

Żyżkowski Stanisław: Nędza. Studyum powieściowe. Warszawa, 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa.

OPOKA.

XXI.

Wiadomość o zamordowaniu Obrońskiego przez robotników obiegła lotem ptaka miasto i wywołała wśród społeczeństwa oburzenie i niepokój, którym nie towarzyszył wszakże żal. Pokazało się, że zmarły nie miał prawie przyjaciół. Za pogardę, z którą traktował kraj i ludzi, tłum odpłacił mu chłodem. W gazetach ukazały się nekrologi, pełne banalnych pochwał i ubolewań z powodu „niepowetowanej straty,“ naprawdę zaś ogół zapatrywał się na tragiczną śmierć ordynata przedewszystkiem jako na doniosły wypadek polityczny, świadczący o niebezpiecznem podnieceniu umysłów i namiętności w masach proletaryatu. Zatrważało to jednych, napełniało otuchą innych. Powtarzano puszczony przez kogoś w kurs czczy frazes, że każdy ruch społeczny ma swoje ofiary, że godziny wielkich wydarzeń i przewrotów dziejowych bywają zwykle krwawe, jakgdyby ten frazes miał cokolwiek wyjaśnić albo usprawiedliwić, i uważano sprawę za załatwioną. Przez cały tydzień pisma karmiły czytelników sensacyą, zabarwiając ją rozmaicie, zależnie od poglądów partyjnych, korzystając skwapliwie z wybornej sposobności przeprowadzenia rachunków stronniczych. Komentowano także niechętnie testament, w którym nieboszczyk podobno przekazywał całe swoje mienie razem z ordynacyą stryjecznemu bratu, Konstantemu, cenne zbiory polecił zamknąć w pałacu na lat sto, aż do chwili pogłębienia smaku i zamiłowań artystycznych w kraju, a znaczne legaty, z zupełnem pominięciem celów narodowych, przeznaczył dla służby, dla jakiegoś miasta powiatowego i kilku wsi. Potem zaczęły po mieście krążyć pogłoski, równie bezpodstawne, jak i w sprawie testa-

mentu, którego nikt nie czytał i nie widział, pogłoski, że zmarły surowem i bezwzględnem postępowaniem, a także bezprzykładnym wyzyskiem doprowadził robotników do ostateczności, że na fabryce panowały oddawna opłakane stosunki i że pracownicy nie stawili ani wygórowanych, ani niesłusznych żądań. Dawano plotce w obozie postępowym, sympatyzującym jawnie albo pokryjomu z wszelkimi objawami „wrzenia," a potępiającym „z zasady" zbrodnię, chętnie wiarę, i popularność ordynata, zawsze bardzo nieznaczna, opadła na termometrze opinii o wiele stopni poniżej zera.

Mimo to w godzinie wyprowadzenia zwłok z mieszkania zebrały się przed bramą i w pałacu tłumy. Zajeżdżały co chwila karety, powozy i dorożki, znoszono wieńce. Stawili się wszyscy z towarzystwa przez solidarność salonową i znajomi z obozu konserwatywnego przez solidarność partyjną. Były delegacye od włościan, przedstawiciele administracyi z fabryki i ordynacyi, pokazał się na krótko jeden z najwyższych dygnitarzy państwowych w mieście. Zwracały na siebie powszechną uwagę Konstantowa Obrońska w ciężkiej żałobie z czworgiem czarno ubranych dzieci i pani Wronia, która, szlochając głośno, klęczała przy zwłokach aż do chwili wynoszenia trumny. Kuzyn zabitego, Konstanty, o którym trywialnie szeptano w tłumie, że „grubo zarobił" na tej śmierci, że „obłowił się," że kilku czy kilkunastu milionami rychło obetrze sobie łzy, klęczał także przez cały czas i modlił się z książki. Odczytując w Officium lekcye, wyjęte z Hioba, korzył się przed śmiercią w głębokiem wzruszeniu nicością życia i nie odczuwał badawczych spojrzeń, któremi go dotykali raz po raz zgromadzeni, ani domyślał się zawistnej niechęci, która rozgoryczała serce stłoczonej na ulicy ciżby. Hrabina Skomoroch zaczepiła go niepotrzebną kondolencyą na temat czasu, który łagodzi rany, i religii, która daje siły do znoszenia ciosów. Wstał wówczas, w milczeniu słuchał, uprzejmie podziękował, a potem witał tych wszystkich, którzy zbliżali się do niego i uważali za właściwe wyrazić mu współczucie. Ciekawi oglądali z zajęciem salony, zwykle zamknięte, dostępne dla niewielu, które mało kto znał. Podziwiano obrazy i rzeźby, wiedząc, że nieboszczyk należał do znawców. W ścisku wywrócono i uszkodzono posąg zamyślonego rzymianina, jeden z piękniejszych. Stuk, wrzawa i zaniepokojenie, które się uczyniły i trwały kilka mgnień, w przykry sposób zmąciły żałobną ciszę i skupienie. Potem księża dalej śpiewali modlitwy. Czas dłużył się zebranym, dla których ten pogrzeb był smutnym i nudnym obowiązkiem. Hance udało się dotrzeć aż do

pokoju, gdzie stały zwłoki. Gdy Paweł przyniósł jej z miasta sensacyjną nowinę, wpadła w stan niezwykłego podniecenia, który zdziwił ją, a Pawłowi wydał się tak podejrzanym, że zaczął w końcu przypuszczać wspólnictwo w zbrodni. Zadawała mnóstwo pytań, dowiadywała się o najmniejsze szczegóły, dotyczące osoby zamordowanego, sprowadziła sobie wszystkie dzienniki i po wiele razy odczytywała opis zbrodni. Ożywiła się, oczy dziewczyny, zwykle znudzone albo smutne, zapłonęły, stała się wymowną. Nazwisko ordynata nie schodziło jej z ust, tak jak myśli nieustannie przez dzień cały krążyły dokoła jego pałacu. Postanowiła udać się na miejsce i zobaczyć chociażby w trumnie tego, który oddawna miał dla niej jakiś niewytłómaczony urok, którego nie znała i nie widziała nigdy za życia. Przemogła onieśmielenie, w które wprawiał ją widok ulicy, policyi i ludzi, zwyciężyła bojaźń spotkania znajomych. Przyszła wcześnie, gdy jeszcze nie było prawie nikogo i została do końca eksportacyi. Powstawały w niej, roiły się, przesuwały się niezwykłe obrazy, wrażenia i myśli, wszystkie tłoczące i ciężkie. Nie były to przelotne nastroje, które łechcą i zlekka kołyszą duszę, ale odczucia, sięgające wgłąb świadomości. Odurzona niemi i znękana, nie mogąc ich zmieścić i uporządkować, ogarnąć i przerobić na wyraźne wnioski, stała bezradnie, jakgdyby w ciężkim smutku przy trumnie kogoś bardzo blizkiego. Pałac i przepych komnat wzbudziły w niej zawistny zachwyt, którego doznawała od niejakiego czasu na widok bogactwa, z zazdrości zaś wynikła zjadliwa radość na myśl, że magnat, którego niezmierna fortuna urągała poprostu jej ubóstwu i nędzy głodnych rzesz, runął nagle dotknięty zemstą uciemiężonych. Ale gdy znalazła się przy zwłokach, rozwiały się odrazu brzydkie uczucia. Trumna była zamknięta i czarne jej wieko zakryło na zawsze smutny widok trupa, ostatni ślad człowieka. Oczy napróżno szukały tego, dla którego zbierały się na ulicy tłumy i zajeżdżały powozy, dla którego znoszono wieńce, przygotowano karawan, ustawiono katafalk, lichtarze, krzewy... Oczy chciały koniecznie popatrzeć ostatni raz na twarz, która miała zniknąć na zawsze, w oczy, które już nie widziały, na usta, które ucichły na wieki... Spojrzenie odwracało się z odrazą od trumny... Z człowieka, który żył i działał, chodził po tych pokojach, wydawał rozkazy, przyjmował gości, nie zostało już nic, nawet zwłoki jego... I niepotrzebnemi wydawały się świece, płonące dokoła czarnego, niezgrabnego pudła, święty obraz, dywany, rośliny... Blask światła, zieleń i kwiaty, cała sztuczność hołdu, którego nie było już komu oddawać, raziły i nękały... Ciekawa,

trochę dziecinna chęć ujrzenia ordynata, który wyrósł w wyobraźni Hanki jako symbol bogactwa i władzy, szczęścia i męzkiej piękności, żal, że przyszła za późno, zawód, wypływający z dziwnego złudzenia, że między nią, a zmarłym zostało jakieś niewypowiedziane słowo, zamieniły się w litość, która głęboko wzruszyła serce. Nasuwało się zestawienie możnego i radosnego życia, które zbiegło w tym pałacu, z milczącą, straszliwie martwą trumną, nasuwał się wniosek o beznadziejnej nicości wszystkiego, co ziemskie i ludzkie. Ten, który przez wiele miesięcy, gdy z okien konspiracyjnego mieszkania podziwiała codziennie ogromne kamienice magnata, ukazywał się jej zawistnym, zdumionym i bezwiednie tęskniącym oczom jako uosobienie panowania, potęgi i szczęścia, którego z oddali czciła za to, że był silny, bogaty i szczęśliwy, runął w jednej chwili z wyżyn możnego życia i stał się niczem... Nie było go... Odszedł, porzucił wszystko, znikł, jak cień, i zczezło życie jego, niby sen, który trwa jedno mgnienie. Bez śladu przepłynęły wszystkie dnie, jak chmury, które wędrują po niebie i giną, widziane krótko, na zawsze, chyżo, jako „orzeł, lecący do żeru," zbiegły lata... W trumnie jest koniec...

Gdy ludzie wobec otwartej mogiły trwożą się zwykle o siebie i z niepokojem, przerażeniem albo wstrętem myślą tylko o własnej śmierci, w uczuciach Hanki nie było nic osobistego. Ogarniała ją melancholia, zupełnie bezinteresowna i bezstronna. Chciałaby, żeby człowiek taki, jakim wyobraziła sobie Obrońskiego, używał jeszcze, cieszył się, istniał, żałowała życia jego, jak dzieła sztuki, któreby ktoś zniszczył, albo jak pieśni, brutalnie przerwanej. Widziała groźną moc śmierci, która powaliła olbrzyma, a nie bała się jej na razie dla siebie. Podnosiły się w niej bunt przeciw bezlitości losu a zarazem gniew przeciw sprawcom zbrodni, oburzała ją zła i głupia krzywda, i przejmował smutek, zawarty w tym obrazie nędzy człowieka i nędzy życia...

Pełna żałosnych myśli, oglądała pokój, trumnę i zebranych. Jakkolwiek odwykła od ludzi i zdziczała w samotności, chociaż zdawała sobie sprawę, że znajduje się wśród najwyższej sfery towarzyskiej, nie odczuwała zupełnie nieśmiałości. Patrzała prosto w twarze, spokojnie zbierała spostrzeżenia i badała. Tu przy zwłokach wszyscy wydali się jej jednako małymi i nie widziała żadnej między sobą a nimi różnicy. Stanęła blizko przy katafalku i nie chciała nikomu ustąpić miejsca, mimo, że zauważyła zdziwione spojrzenia gości i pewne zaniepokojenie na twarzy Pawła, który udawał, że jej nie widzi. Mówiła sobie, że ona ma takież, albo nawet większe prawa, niż ci wszyscy zgromadzeni,

ze znudzeniem oczekujący końca przykrej ceremonii. Przyniosła przecież z sobą szczery żal i serdeczne współczucie.

W pokoju było gorąco, cicho i trwożnie. Napływali wciąż nowi goście, rozlegały się szepty powitania, szeleściły suknie kobiet. Chwiały się niespokojnie, trącane powiewem, który płynął z jakiegoś otwartego w sąsiednim pokoju okna, płomienie świec, i ściekał wosk, zakołysały się od czasu do czasu zlekka gałęzie oleandru i palm, zabrzmiał niekiedy szmer przyciszonej rozmowy, natychmiast stłumiony—pozatem trwało ciężkie i nieruchome milczenie. Każdy z przybywających panów, ubrany w czarny surdut, w czarnym krawacie i z czarną rękawiczką na jednej ręce, spoglądał chwilę ku trumnie, jakgdyby po to jedynie, żeby przekonać się czy dobrze zamknięta i czy nie zsuną się z podwyższenia jej nóżki, z których jedna wsparła się o sam brzeg katafalku, potem patrzał przez mgnienie spłoszonym wzrokiem na własne buty, potem szukał spojrzeniem znajomych, rozweselającego widoku żywych. Panie wchodziły przeważnie z jakimś smutnie pobożnym grymasem, który wnet topniał. Na wszystkich obliczach zakrzepł wyraz niemiłego wysiłku i sztucznego skupienia.

Hanka wolałaby, ażeby przy zwłokach nie było nikogo prócz niej, młodej damy, która łkała klęcząc, i jakiegoś pana, który pilnie modlił się z książki. Drażniło ją lekceważenie eleganckiego tłumu, który zebrał się obojętny i nudził się, który nie rozumiał, czy nie chciał widzieć okrutnie szyderczej prawdy, która spoglądała ku niej z pomiędzy tych jarzących świec i wspaniałych roślin i tłoczyła duszę. Domyślała się, że wszyscy zgromadzeni radziby jaknajprędzej załatwić nieznośną a niezbędną formalność, oddać tak zwaną ostatnią posługę, zapomnieć o zmarłym i wrócić do własnych małych spraw. Myślała z goryczą, że dziś jeszcze a najdalej jutro, zaczną się wizyty i przyjęcia, sprawunki i plotki, że życie potoczy się zwykłym trybem, powszednią i płytką falą codzienności, że w tym pałacu zamieszka kto inny, że mogiłę porośnie trawa... Myślała o nędzy człowieka, którego pewnego dnia zamykają do trumny i zakopują do ziemi z jego wysokiemi myślami, ogarniającemi wszechświat, z jego uczuciem, z niezaspokojonemi pragnieniami, z jego szczęściem, myślała o smutnej nicości życia... I zgon ordynata, którego w poetyckiej wyobraźni urobiła na powieściowego bohatera, był dla niej nie tylko posępną ilustracyą znikomości człowieka, ale także jak gdyby pogrzebaniem wiary w życie i w szczęście, w moc woli ludzkiej i trwałość dzieł ludzkich. Było jej żal Obrońskiego, że porzucił młodość, uciechy, władzę i złoto, ale jeszcze bardziej było

żal złudzenia, które zblakło. Złamana niedolą i wykolejona, złorzeczyła dawniej ludziom, że ją skrzywdzili, sobie, że zbłądziła i nie znalazła dosyć mocy, złemu ustrojowi świata, i nie przestawała śnić o radosnem święcie życia, o człowieku silnym, który odważnie zdobywa, śmiejąc się bierze, zwyciężywszy ból, wdziewa szaty godowe, nie przestawała spodziewać się jeszcze dla siebie i wierzyć. Uczyły ją niegdyś ulubione książki, uczył powieściopisarz Rzyźniewski. Zawody i cierpienia, których zaznała poddostatkiem, nie rozczarowały jej, lecz napełniły zjadliwą goryczą. Im ciężej było Hance na własnej jej drodze, tem żarliwiej zazdrościła tym, którym, jak przypuszczała, udało się posiąść, i tem goręcej pragnęła naprawić „błąd“ oraz rozpocząć pogoń na nowo. Rozumiała życie, jako szczęście na ziemi. Tu ponury akord śmierci zagłuszył wszystkie tamte słowa i trumna wyszydziła wierzenia. Oderwane pojęcie śmierci, nad którem z lekceważeniem przechodziła do porządku, przyoblekało się w kształt realny, stało się żywem i groźnem i głęboko wstrząsnęło jej wrażliwą organizacyą. Snuły się bez ustanku po duszy Hanki wciąż te same, wywołane widokiem katafalku, żałobne wnioski o tem, że szybko przemijają dnie i lata, że kończy się wszystko w grobie, że gasną w ziemi najbardziej wysokie myśli i stygną najgorętsze serca, że życie jest krótką chwilą łudzącego snu, że niema na ziemi ani radości, ani mocy... Wsłuchana w płacz wewnętrzny, z posępnych skarg tworzyła rzekłbyś elegię i składała ją, niby wieniec żalu u stóp zmarłego. Zawodziła nad marnością życia, lamentowała nad zburzonym gmachem wiary w człowieka, lecz jak gdyby z oddalenia, jakgdyby teoretycznie i objektywnie, sama wyniesiona ponad ogół śmiertelnych i wyjęta z pod prawa śmierci. Ani razu nie powstała w niej zwykła na pogrzebach, pospolita ale prawdziwa i przerażająca myśl, że kiedyś — może już rychło — zawrą się jej oczy na zawsze, skończy się wszystko i dla niej, że tak samo zamkną ją w trumnie, zaniosą i przysypią piaskiem...

Dopiero, gdy ukazali się księża w biretach i czarnych kapach, otoczyli kołem katafalk i rozpoczęli modlitwy, dopiero wówczas przykra trwoga ścisnęła jej serce. Ponure śpiewy zmąciły pełną poetycznej melancholii ciszę, wniosły w atmosferę smutku coś surowego i bezwzględnego. Wydało się Hance, że nad nieboszczykiem odbywa się sąd, ukazała się jej nagle niewiadoma, tajemnicza i straszna dal zagrobowego istnienia. Śmierć, w której widziała dotąd tylko martwy sen i wieczną nicość, wyrosła przed nią, jako przerażająca zagadka. Zabrzmiało pełne grozy

pytanie. I zmarły, którego nie było przedtem, którego przykryło czarne wieko, którego życie tych wszystkich zebranych, jej własne myśli i uczucia zasłoniły zupełnie, spojrzał naraz ku niej jak gdyby z głębi odmętu męką żywych oczu... Z bojaźnią patrzała na księży, którzy spokojnie, wprawnie, niemal machinalnie czytali ze swoich książek, z bojaźnią słuchała niezrozumiałych słów. Przeniknął ją dreszcz. Wydawało się jej, że to jest nietylko sąd nad nieboszczykiem, ale także sąd nad nią, nad jej życiem. W pewnej chwili ujrzała wyraźnie jakiś pokój, katafalk ze świecami i siebie samą po śmierci, otoczoną przez księży. Zrozumiała do dna okropność własnego zgonu... Wzdrygnęła się w niej wola życia, odezwał się strach fizyczny, wstręt ciała, któremu straszno jest pod ziemią, w mogilnym mroku, wśród robactwa. Doznała prawie zawrotu głowy, niby na krawędzi, pochylona nad otchłanią... Popchnie ją z tyłu znienacka jakaś ręka — runie w dół... Odczuła rozpaczliwą krótkość i kruchość dni swoich, które przechodzą, których coraz mniej, których już mało... A potem?! Śpiew księży, ubranych w czarne kapy, kładzie ostatni kres... Bała się o los zmarłego, którego imię wymawiano od czasu do czasu w łacińskiej modlitwie, a może tylko o siebie. Widziała krawędź stromego urwiska, a na dnie ciemność i pustkę, niezmierny przestwór, nad którym krążyły stada drapieżnych ptaków... I było mgnienie, w którem stanęły jej przed oczami ciała zabitych w dniu zamachu. Zmrużyła szybko powieki... A słowa pieśni polatywały dokoła niej, niby roje żarłocznych ptaków, i szarpały jej duszę — i nie wiedziała, czy to śpiewają księża, czy też owe ofiary zamachu, i czy ten grobowy sąd odbywa się nad nią, czyli nad Obrońskim...

Dla nabrania otuchy spojrzała po otaczających. Na wszystkich twarzach tkwił ten sam sztuczny i skupiony, tylko bardziej uroczysty wyraz. Przestrachu nie odczuwał tu nikt. Wytworne towarzystwo, które na rautach uprzejmie słuchało deklamacyi i muzyki, na balach tańczyło, na proszonych obiadach umiało dowcipnie i wesoło rozmawiać, potrafiło odpowiednio zachować się i podczas eksportacyi. Zazdrościła teraz tym paniom i panom, którzy spokojnie i niezmiernie poprawnie oczekiwali, z rękami splecionemi do modlitwy, końca nużącej ceremonii. W tym pokoju, gorącym i natłoczonym, było duszno nietylko dla płuc, ale i dla myśli. Chciałaby uciec stąd duszą od trumny, od śpiewów i księży, od śmierci ordynata i śmierci własnej — a nie miała dokąd. Religia otwierała przed niektórymi ze zgromadzonych dalekie a pocieszające perspektywy, innych wołało niecierpliwie

życie, które lubili, za którem tęsknili — ona zaś straciła religię i zgubiła drogę życia. I nie mogła nigdzie schronić się przerażoną myślą...

Cofnęła się tylko od katafalku ku drzwiom. Przechodząc, zauważyła młodą pannę w męzkim czarnym kapeluszu, przepiętym skromną szpilką, o oczach, w których w tej chwili mieszkał szczery, niewymownie żałosny smutek. Po twarzy Pawła, dziwnie rozjaśnionej, ze spojrzenia, którem, zdawało się, chciał zabronić jej przystępu do swojej świętości i własności, odgadła, że to jest księżniczka Marylka. Ale miłość, która przed kilku tygodniami zabawiała jej kobiecą ciekawość, w tem miejscu i w tych okolicznościach nie była zajmującą. Hanka, stojąc blizko, straciła natychmiast tych dwoje młodych z oczu. Pochłonęła ją bolesna trwoga jej duszy. Słuchając posępnego śpiewania, widziała wciąż pusty przestwór, samotne cierpienie i stado wielkich, drapieżnych ptaków, które w pustce krążyły niespokojnie...

Modlitwy i psalmy, które tak pognębiły Hankę, były dla księżniczki Marylki właśnie słowem i nutą otuchy w smutku, z którym weszła do żałobnego pokoju. Widok katafalku napełnił ją żalem, tym głębszym może, iż spostrzegła dokoła wśród otaczających chłód, znudzenie i obojętność. Znając towarzystwo, które się zgromadziło przy zwłokach, czytała na twarzach po przez maski uroczystego milczenia pospolite troski i puste światowe myśli. Jak na rautach, panie obserwowały tu kapelusze i toalety, a panowie spoglądali ku sobie porozumiewawczo, gdy ktoś nowy, zwłaszcza któraś z pięknych i admirowanych dam wchodziła do pokoju. W sąsiednich salonach niektórzy prowadzili szeptem rozmowy polityczne albo sportowe. I trumna, nad którą nikt nie płakał, prócz lekkomyślnej i nieco ośmieszonej pani Wroni, wydała się księżniczce samotną, opuszczoną i dziwnie smutną, a człowiek, który odszedł, którego nikt nie żałował nawet w dniu eksportacyi, zasługującym na litość. Gdy księża zaintonowali żałobne pacierze, myślała, że wśród świata, który łatwo i chętnie zapomina, tylko kościół pamięta o zmarłych, że kościół jest jedynym łącznikiem między ziemią żywych i daleką krainą dusz a religia — pasmem pociechy i nadziei jak dla tych, którzy gasną, tak i dla tych, którzy zostają w żalu. Modliła się żarliwie. Dla ordynata, który za życia imponował, onieśmielał i odpychał chłodem rozumu, twardą stanowczością woli i szyderstwem, miała teraz rzewne i pełne tkliwego politowania uczucie, niby wobec bezbronnego a chorego dziecka. Tragiczny koniec i przedśmiertne męczarnie, o których przesadnie opowiadano na

mieście, przypuszczenie, że nieboszczyk, nie umiejąc tego okazać, może kochał na prawdę, wzruszyły jej serce. Wspomnienie oświadczyn było jej przykrem. Wyrzucała sobie niechęć, której nie potrafiła ukryć, ostre słowa ostatniej rozmowy, skłonna była prawie żałować, że nie uległa prośbom ordynata. Przychodziło jej na myśl, że gdyby się zgodziła, kto wie, może inaczej złożyłyby się okoliczności i nie byłoby tego bolesnego pogrzebu. Wobec nieszczęścia i śmierci małem i nic nie znaczącem wydawało się własne jej życie i łatwą ofiara. Chciałaby przeprosić zmarłego za zawód, którego była przyczyną, za egoizm i brak poświęcenia, modlitwom, które szeptała ustami, towarzyszyły inne, serdeczne, łagodne i dobre słowa, płynące z głębi serca. Pamiętała zimne spojrzenie, ironiczny uśmiech, lekceważącą niedbałość Obrońskiego, piękną i okazałą postać pogardliwego magnata, ale widziała go tylko takim, jakim musiał być w godzinach przedzgonnych tam na sali fabrycznej: znękanego beznadziejną walką z robotnikami, skatowanego, z ranami na twarzy i piersi, w ubraniu, zbroczonem krwią... Wielbiła męstwo, niezłomny hart duszy, siłę woli, których ordynat złożył dowody... I widziała opuszczoną, zdawało się, przez wszystkich, niepłakaną trumnę—i dlatego pełne smutku oczy jej zachodziły od czasu do czasu łzami... Nie ukrywała tych łez, pragnąc niemi wynagrodzić zmarłego za złe, które uczyniła mu za życia, a także za obojętność świata, którego nie wzruszyła nawet tak straszna śmierć. Przekonanie, że nieboszczyk spogląda ku niej z tajemniczej dali zaświata i ocenia wdzięcznie jej żal i wierną pamięć, budziło w sercu kojące zadowolenie. A gdy młodość brała w niej górę nad żałobnym nastrojem i nasuwała się jakaś ziemska myśl, odzywała się radosna chęć powrotu do rodzeństwa i zajęć, do codziennego życia, gdy mimowolne spostrzeżenie: jakiś błahy wniosek co do sztywnej pozy hrabiny Skomoroch, co do zaczerwienionych od płaczu powiek pani Wroni, albo co do Pawła, który stał blizko, sprawiało jej roztargnienie, wówczas walczyła z sobą, usiłowała utrzymać smutek, zamykała oczy albo usilnie wpatrywała się w katafalk, w księży i czarne ich kapy, w skromny wieniec, który po kryjomu bez wiedzy matki poleciła złożyć na trumnie ordynata. I znowu modliła się gorliwie, ze skupieniem... Po odmówieniu psalmów i pacierzy księża zaintonowali pieśń, która brzmiała prawie weselnie i wyszli, jakgdyby otwierając jakowyś zwycięski i radosny pochód. Służba odstawiała śpiesznie wazony i lichtarze, zabrano wieńce, poczem tak zwani przyjaciele wzięli trumnę i ponieśli ją na barkach. Śpiew zmącił poważne milczenie pałacu,

który obudził się na krótką chwilę z wytwornego uśpienia, stąpania tłumne napełniły wykwintne salony brutalnym hałasem, kilka mgnień trwała wrzawa, za ostatnimi idącymi uczyniła się grobowa cisza. Zamknięto drzwi na klucz i bramę, szeregiem obojętnych okien pałac patrzał na wielkie i gwarne zbiorowisko ludzkie, na wysoki karawan, który ruszył i wolno oddalał się, chwiejąc się. Ucichła i opustoszała wreszcie ulica.

Księżniczka jechała z matką w karecie. Widok zgromadzonej przed bramą gawiedzi, która z ciekawością gapiła się, robiła głośne uwagi, śmiała się, pokazywała sobie kogoś palcem, widok miasta i zwykłego życia, magazynów, dorożek, przechodniów, spotęgowały w niej smutek. A im głębszym był smutek, tembardziej nękało ją dziwne, rozumowo nieuzasadnione, a mimo to rzeczywiste poczucie odpowiedzialności przed Bogiem i przed zmarłym za to, co się stało i tem usilniej wymawiała sobie egoizm i brak poświęcenia. Wydawało się jej wciąż, że gdyby zgodziła się zostać żoną ordynata, gdyby ona dała mu to szczęście, którego pragnął, nie byłoby przyszło do krwawej rozprawy z robotnikami, nie byłoby przyszło do zgonu. I wstydziła się samolubnych marzeń o kochaniu, którego zapewne nie znajdzie, z żalem wspominała wszystkie rozmowy z ordynatem, który teraz, otoczony aureolą tragicznej śmierci, ukazywał się jej innym. Zaczynała wierzyć w szczerość jego uczuć... Pochyliła głowę pod ciężarem pierwszej w radosnej młodości troski, snuła zabarwione na czarno myśli o życiu, w którem nie warto pragnąć, marzyć i spodziewać się, w którem samotny grób kładzie wszystkiemu kres i nie odpowiadała matce, trochę znudzonej długą jazdą, trochę zaniepokojonej dziwnem zachowaniem się córki. W milczeniu dojechały do oddalonego dworca kolei. Inni tym razem „przyjaciele“ ponieśli trumnę aż do wagonu. Potem oczekiwano długo z coraz większą niecierpliwością na odejście pociągu. Wszyscy byli pomęczeni i głodni. Dla skrócenia czasu rozpoczęto rozmowę, z początku cichą i nieśmiałą, potem coraz głośniejszą i bardziej ożywioną. Trumna, ukryta w głębi zwykłego, ozdobionego tylko kwiatami, wagonu, nie wywierała już tego, co tam, w żałobnym pokoju, wrażenia, nie tłoczyła i nie przerażała, zresztą pospolite otoczenie dworca kolejowego, ruch ludzi i gwar, świst parowozów ułatwiały powrót do życia. Nawet pani Wronia przestała szlochać i hrabina Skomoroch, zazwyczaj niezmiernie uroczysta, skupiona i poważna na pogrzebach, opowiadała coś swojej sąsiadce o stowarzyszeniu niewiast katolickich. Księżniczka stała przy samych stopniach, koło Konstantowej Obrońskiej i Pawła, który jej nie

odstępował. Wzruszona szukała w odrażającym wagonie tego, który przed kilku dniami pełen rozumu i myśli, pełen sił i projektów, otoczony szacunkiem, miał za chwilę odjechać jako rzecz, nikomu niepotrzebna, jako obojętny towar i szukała kwiatów swoich, pragnąc, ażeby one znalazły się najbliżej trumny. Przemawiała do zmarłego ostatniemi słowami pożegnania... A gdy zatrzaśnięto i zaplombowano drzwiczki, załatwiono wszystkie formalności, lokomotywa gwizdnęła i pociąg potoczył się z prozaicznym hurkotem kół, wówczas patrzała najdłużej za oddalającymi się wagonami, w smugę dymu, która bielała to tu, to tam między domami, aż znikła... I doznała dziwnego uczucia, że z tym pociągiem, który odchodzi, kończy się jej młodość dobra i radosna, odsuwa się w przeszłość nadzieja kochania i szczęścia, że odtąd rozpocznie się życie pracy, trosk i poświęcenia. Smutek został w jej figlarnych, wesołych, śmiejących się łatwo i często oczach. Z roztargnieniem żegnała odjeżdżających i dziękowała hrabinie Porayskiej za zaproszenie na wentę, nieuważnie słuchała hałaśliwych rozpraw kilku zaprzyjaźnionych z nią panien na temat jakiejś wycieczki zamiejskiej i rozmowy Pawła, który odprowadzał ją do karety.

— Księżniczka pojedzie także?—pytał niespokojnie.

— Nie wiem jeszcze... zapewne...

— Chciałbym wiedzieć...—nalegał—podobno wycieczka bardzo zajmująca...

— Pojadę—odparła uprzejmie, prawie ulegle.

— Byleby dopisała pogoda...

— Tak... gdybyż pogoda...

Głos jej był stłumiony i martwy, szła wolno, jakgdyby ociągając się. Chwilę trwało milczenie.

— Szkoda Obrońskiego! — odezwał się Paweł — był, działał, układał plany—i niema już nic... szkoda...

Księżniczka nie odpowiedziała nic. Odczuła w słowach Pawła szczerość i badawczo a przychylnie spojrzała na niego. I wydało się Pawłowi, że podała mu rękę na pożegnanie serdeczniej, niż zwykle, i że oczy jej, obojętne dla wszystkich, miały dla niego, gdy powóz ruszał, spojrzenie przyjazne.

XXII.

Jakiś modny w tym sezonie i bywający w świecie artysta odnalazł gdzieś w głuchym zakątku ubogi i nieznany nikomu ko-

ściołek wiejski oryginalnej architektury a w kościołku—niegdyś słynący cudami, dziś zapomniany obraz, na którym oblicze Chrystusa, kuszonego przez szatana, a zwłaszcza twarz dyabła miały „ciekawy“ wyraz, napisał o niespodzianem odkryciu kilka barwnych artykułów i opowiadał w salonach, interesujących się swojską sztuką, tyle i tak wymownie, że zachęcił starego Porayskiego, który lubił uchodzić za znawcę (w nieobecności szyderczego Obrońskiego) i hrabinę Skomoroch do zwiedzenia skromnej i odległej kaplicy. Odtąd ubogi kościół i stary obraz nabrały rozgłosu. Wzruszenie hrabiny Skomoroch, której rzewne wrażenia były przez dni kilka tematem rozmów, przekonało wszystkich, a surowe słowa jej, potępiające nieznajomość zabytków własnego kraju, stały się bodźcem. Wycieczkę do Modrego Potoku zaliczono do najpilniejszych obowiązków narodowych. Rozpoczęły się wędrówki. Kto był i widział, musiał zachwycać się nad głębią myśli i pierwotnością uczucia, nad dokładnością rysunku, kto nie był i nie widział, musiał koniecznie pojechać i stwierdzić na własne oczy. Potem, gdy któraś z licznych córek pani Szydłowskiej zaręczyła się i ktoś puścił w obieg dowcip, że matka wyprosiła sobie to szczęście modlitwą przed Chrystusem, kuszonym przez szatana, kaplica w Modrym Potoku zyskała jeszcze na popularności a obraz zaczął naprawdę robić cuda. Jeżdżono tedy do zapadłej wioski z coraz większym zapałem całemi partyami i poosobno, dla zabawy i dla mody, przez ciekawość i przez snobizm, i z pobożności. Komunikacya była arcyniemiła: pociąg odchodził o bardzo wczesnej godzinie, wlókł się powoli i nudnie, potem całą milę jechało się wózkiem chłopskim po najgorszej drodze, ale im więcej było niewygód i przykrości, tem przyjemniejszem stawało się poczucie spełnionego obowiązku, sama jazda zaś niezwykła i uciążliwa dla ludzi, przyzwyczajonych do wagonów sypialnych i samochodów, miała urok czegoś prawie egzotycznego.

Część bawiącego się towarzystwa, do którego należała księżniczka Marylka, postanowiła odbyć tę wycieczkę wspólnie. Projektowi kilka razy przeszkodził deszcz, na pogrzebie Obrońskiego zapadła przeto uchwała, żeby nie czekać wątpliwej w listopadzie pogody i wybrać się w najbliższy piątek, nawet gdyby dzień wypadł słotny, z wielką ilością parasoli, butersznitów, książek do nabożeństwa, w płaszczach nieprzemakalnych, kaloszach i futrach. Paweł otrzymał także zaproszenie i upewniwszy się co do udziału księżniczki, którą ostatniemi czasy z powodu wyjazdu jej na wieś i rekolekcyj widywał rzadko i krótko, zaczął chwalić niezmiernie pomysł urządzenia wyprawy, energicznie namawiał niechętnych

i obojętnych, cieszył się z góry i niecierpliwie oczekiwał wyznaczonego dnia. Uśmiechała mu się perspektywa całodziennej jazdy z panną Marylką, obiecywał sobie długie z nią rozmowy, przypominał i pieścił słowa, które chciałby powiedzieć oddawna, których nie mówił onieśmielony bojaźnią, zgadywał odpowiedź, widział jej zaniepokojone oczy i chwiejny uśmiech ust, układał zdania, któremi zjedna, wzruszy, przekona... Przypominał mu się spacer, ów dawny i jedyny, odbyty niegdyś pod drzewami ogrodu Mirskich, marzył, że powtórzą się dobre i drogie chwile samotności. Słyszał szept radosnego przeczucia, świtało mu szczęście i snuła się w sercu nadzieja trwożna, jak owe lękliwe opary, które wstają o brzasku letnim nad łąkami... Spodziewał się... Zauważył był podczas eksportacyi w księżniczce zmianę, którą, jak wszyscy kochający, tłómaczył na dobre, przyjazne podanie ręki przy pożegnaniu i przychylne spojrzenie dały mu powód do pomyślnych przewidywań, były dowodem „zmiany“ na lepsze, optymistyczna wyobraźnia zaokrągliła, dopełniła i pogłębiła te spojrzenia—i wydawało się Pawłowi, że na wycieczce rozstrzygnie się los jego pragnień, że nareszcie po latach smutku, po długich dniach oczekiwania i niepokoju ukaże mu się jasna dola przyszłości.

W piątek obudził się o świcie, ubrał się pośpiesznie i natychmiast wyruszył. Turkot mknącej cichemi ulicami dorożki, widok powleczonych jeszcze ostatniemi falami zmierzchu, ale pogodnych niebios, rozweseliły radosne i bez tego serce. Z niezmierną uciechą patrzał, jak gaszono na ulicy latarnie i jak znikały w błękicie gwiazdy. Uśmiech zadowolenia wybiegał mu co chwila na usta. Przyjaznem spojrzeniem witał stróżów, którzy odziani w kożuchy uwijali się przy bramach. Czasami wzrok jego zatrzymywał się na jakiemś zasłoniętem oknie, z ciekawością szukał i życzliwie pozdrawiał tych, którzy za nim mieszkali... Zabawiał oczy gonitwą kotów na płaskim, blaszanym dachu... Szerokie wody ciemniejącej w dole rzeki powiały nań wspomnieniem, które odbiło się w duszy sennym obrazem dalekiego szczęścia... Cieszyły Pawła dzwony kościelne, jękliwy świst parowozów, przeciągłe wołanie syren fabrycznych... Najzwyklejsze wrażenia nabierały dla niego szczególnego a zaprawionego radością znaczenia, przedmioty ukazywały mu się jako symbole jakowejś ukrytej, jemu tylko wiadomej myśli... Widział dokoła wesele...

Na dworcu nie było jeszcze nikogo. W skąpo oświetlonej sali snuli się zaspani lokaje i kilku podróżnych drzemało na fotelach pod ścianami... Popijając lekką i złą herbatę, Paweł niepokoił się, czy aby znowu coś nie pokrzyżowało planów, co chwila

spoglądał na zegarek, patrzał na drzwi i w okna, które wychodziły na pusty plac przedstacyjny. Ale mijały minuty i kwadranse i nikt nie pokazywał się. Prozaiczny i gnębiący nastrój poczekalni z poziewającymi kelnerami, z głodnym psem, który pod stołami szukał okruszyn chleba, z chrapiącym panem nie zachmurzył usposobienia Pawła. Wśród sennej nudy otoczenia niespokojnie w oczekiwaniu radości biło serce. Obliczał czas, niecierpliwił się, tracił nadzieję, po pierwszym dzwonku stracił ją zupełnie... Wówczas zaczęły zajeżdżać dorożki i powozy. Zjawili się najpierw młodzi ludzie. Niewyspani, skwaszeni i źli, mieli miny znudzonych ofiar. Zrzędzili, przeklinali głupi rozkład pociągów, narzekali na wczesne wstanie, wyśmiewali ku zgorszeniu Pawła pomysł urządzenia wycieczki... Potem, poziewając przy herbacie, wymyślali lokajom od idyotów i niedołęgów. Masło okazało się nie świeżem, a ser nie był dość dobrym... W cichej przedtem sali uczyniło się gwarnie... Służba z całych sił nadskakiwała grymaszącym panom, sam właściciel restauracyi przyszedł przepraszać... Ukazanie się pań, które przywiozły z sobą dobry humor, werwę i zapał, które, zarumienione od mrozu, wyglądały ładnie, zamknęło zblazowanej młodzieży usta. Księżniczka Marylka przyjechała ostatnia. Spostrzegłszy ją we drzwiach, Paweł wstał, postąpił niepotrzebnie kilka kroków na jej spotkanie i zawahał się. Ona zaś rozmyślnie czy też przez roztargnienie przywitała się z nim na końcu. Ponieważ było już mało czasu, ruszono tłumnie ku pociągowi. Zajęto prawie cały wagon I klasy, stoczywszy uprzednio utarczkę z jakimś urzędnikiem kolejowym, który pod naciskiem wielce wymownych i niegrzecznych spojrzeń usunął się dobrowolnie wraz z żoną, z czworgiem małych dzieci, imbrykiem do herbaty i całą ruchomą kuchnią. Panny usiadły wszystkie razem, szczelnie obok siebie, księżniczka—przy oknie, i Paweł mimo zręcznych manewrów nie miał do niej dostępu. Stał tedy przez cały czas na korytarzu, u drzwi przedziału z kilku innymi panami, którzy zabawiali damy. Rozmowa była ogólna, były żarty i śmiechy z byle jakiego powodu, często bez powodu... Ktoś zabrał ze sobą pięć szkaradnie starych i brzydkich parasoli i obdarzał niemi panie, które wzdrygały się i broniły się... Ktoś inny zajadał suchy chleb z solą, udając głodnego... Oburzano się na Gniazdowskiego, słynnego wodzireja, który poziewał, zasypiał i chrapał głośno, budził się i znowu grał rolę znużonego i znudzonego, oburzano się potem na tych, którzy zrzędzili i poddawali krytyce wycieczkę.

— Co nas może obchodzić—dowodził młody Porayski—przedhistoryczna kaplica z przedpotopowym bohomazem! Kazano nam wstać o świcie, wyjechaliśmy bez śniadania, będziemy się trząść, będziemy głodni...

— Tem większa zasługa...

— Trzeba odpokutować za grzechy...

— Podzielimy się chlebem...

— Zresztą o chłodzie i głodzie... W tem cały wdzięk... Pan nie rozumie!...

— Pobożna pielgrzymka...

— A jeśli pobożna pielgrzymka, trzeba ze stacyi iść pieszo i śpiewać godzinki—zaproponował Jasiek Pomiarowski.

— Pójdziemy piechotą... doskonała myśl!

— Jak pielgrzymka, to pielgrzymka...

— Wolałbym kilka dobrych samochodów...—wzdychał w dalszym ciągu Porayski.

— Pan psuje nastrój...

— Lepiej mieć obiad bez nastroju, niż nastrój bez obiadu...

— Nie samym chlebem żyje człowiek...

— Nie samym chlebem, ale ostrygami, homarami, zupą, rybą, pieczystem, szparagami, dobrym Burgundem...

Niektórym podobał się ten oklepany dowcip, ale wogóle krytyczny sceptycyzm młodego Porayskiego, który lubił przybierać pozę rozkapryszonego dziecka, nie znalazł powodzenia. W towarzystwie utrzymał się zapał, który wynikał nie tyle z chęci oglądania arcydzieł w Modrym Potoku, ile z rozweselenia pań, zadowolonych ze zmiany wrażeń i otoczenia. Zamiast salonów, które znudziły, wszystkie podobne do siebie, był wagon, zamiast jour'ów, na których podawano te same wszędzie ciastka i herbatę—podróż, trochę głodu i zmęczenia. Umartwienie i trudy jazdy były nietylko rozrywką, ale nadawały wycieczce pozór niezwykłej, prawie bohaterskiej wyprawy, który to charakter bohaterski chętnie a z dumą podkreślano. Pozatem bawiono się, niby na jakiejś światowej wizycie. Te same, jakkolwiek na inny temat, żarty, ci sami, wszyscy swoi, doskonale znani ludzie i ten sam światowy nastrój. Cesia Pomiarowska, siostra Jaśka, starzejąca się panna, bardzo oczytana i inteligentna, która miała opinię „d'un bas bleu," spróbowała wejść i wprowadzić innych na tory literacko-artystyczne, zapytywała o styl kaplicy w Modrym Potoku, o szkołę malarską i epokę, w której mógł powstać ów cudowny obraz, opowiedziała jakąś poetyczną legendę, ubolewała nad brakiem wydawnictw, poświęconych historyi sztuki polskiej, ale panowie,

nieprzygotowani i nieusposobieni do „mądrych“ rozpraw, pozbawili ją głosu — i dalej toczyła się rozmowa pusta, lekka, wesoła.

Paweł uśmiechał się od czasu do czasu, czasami, żeby nie wyglądać na niemego, powtarzał coś za innymi, przeważnie milczał. Pochmurniała radosna przedtem jego twarz, usta zaciskały się w grymas niesmaku. Cierpiał nad tem, że nie posiada tak zwanych talentów towarzyskich, że nie potrafi, jak inni, zabawić, rozśmieszyć, wymyślić dowcipu, któryby podobał się i zwrócił na niego uwagę. Wydawało mu się, jak zwykle, gdy bywał na zebraniach, że on jest wyłączony i wzięty za nawias nikomu niepotrzebny, że między nim a resztą towarzystwa wyrosła ściana, że on gra tutaj między tymi bawiącymi się swobodnie rolę śmieszną i upakarzającą — i z niepokojem badał zdaleka księżniczkę. Ani razu przez cały czas oczy jej, zwykle uprzejme, nie zatrzymały się na nim... Brała udział w ogólnej rozmowie, patrzała na Gniazdowskiego, na Porayskiego, odpowiadała na ich zaczepki, naradzała się nad czemś półgłosem z panną Cesią, śmiała się, chwilami odwracała się do okna i długo spoglądała na błękit i niespodzianą pogodę listopadowego dnia, albo pochylała głowę i gładziła miękkie futro swego sobolowego kołnierza — tylko do niego nie zwróciła się ani słowem, ani spojrzeniem. Smuciło i trwożyło to Pawła. Zestawiał dzisiejsze przywitanie, prawie niegrzeczne z przyjaznym uściskiem ręki po pogrzebie i wysnuwał posępne wnioski. Zgasły odrazu wszystkie nadzieje, które pieścił przez kilka dni, w sercu uczyniła się ciemność...

Tymczasem księżniczka unikała starannie Pawła, ale nie przez zapomnienie, jak dawniej, gdy nie spostrzegała go zupełnie i, rozbawiona, przechodziła nad nim do porządku, jak gdyby nie istniał, nie znajdował się w salonie. Dziś obecność Pawła ciężyła jej, krępowała i onieśmielała. Wolałaby, żeby nie było go tu, u drzwi przedziału, żeby odszedł sobie, chciałaby nie widzieć go i nie wiedzieć o nim—i nie mogła. Przeczuwała, zgadywała i bała się... I trwała w wesołych i szczęśliwych zwykle oczach księżniczki troska...

Na stacyi umówiła się z Cesią Pomiarowską i młodziutką Hanią Drożewską i wybrała najmniejszy wózek, w którym nie znalazło się już miejsca dla Pawła. Mogła tedy odpocząć od nieustannej a niepokojącej kontroli jego wzroku, nie potrzebowała zadawać sobie przymusu zabawiania i „wesołego“ bawienia się. Przysłuchując się w milczeniu rozmowie towarzyszek, błądziła zamyślonem spojrzeniem wśród jesiennych krajobrazów, z uciechą witała wiejskie zagony, za którymi tęskniła. Dzień był piękny,

ale już zupełnie zimowy. Z mroźnie wypogodzonego błękitu nie uśmiechały się do ludzi owe cudne, wędrowne obłoki, które w dnie wiosenne i letnie ukazują się niespodzianie w lazurach, podobne białym piórom i puchom, śnieżnym kwiatom i srebrzystej wełnie i płyną sennie modrym gościńcem z krainy marzenia w świat szczęścia, zachwycające i zachwycone, ciche i czyste... Jasne niebiosa rozpostarły się chłodnym i pustym bezmiarem, i jak na umarłym stepie, jak na śpiących wodach, rozlanych w nieskończoność, oczy biegły w dal, tonęły w nieobjętym przestworzu, gubiły się, napróżno szukały kresu i drogi, wspomnień i obrazów i nie umiały nic znaleźć... Zimne oblicze nieba stało się obcem, nie miało żadnego wyrazu... Żałobnie, na tle chłodnego błękitu, rysowały się nagie drzewa, ciemne sploty ich gałęzi kładły na szlaku drogi suche, szkieletowe cienie. Promienie słońca, które w kwietniowe południa spływają słodkim pocałunkiem i przenikają ziemię ciepłą pieszczotą, ślizgały się obojętnie po zmarzniętych skibach, słały się smugami bladego złota dla ozdoby, niby blask świec po twarzy nieboszczyka. Między niebem a ziemią zerwany był związek twórczej łączności. Mrozy położyły kres wszystkiemu. Zimowe słońce spoglądało bezlitośnie na umarłą równinę i smutne szczątki lata, które wkrótce miał zasypać dobroczynny całun śniegu... Na chłopskich sznurach i miedzach sterczały tu i owdzie ubogie, zczerniałe badyle—ostatni ślad minionych dni bujnego rozkwitu, poniewierały się pod kopytami koni rumiane i żółte liście, czasami wytrwały dąb cieszył oczy ocalałą szatą, która świeciła ślicznie i mieniła się połyskami rdzawej miedzi. Radosne błonia łąk spłowiały i okryły się nieokreśloną barwą brzydkiej starości niby zdeptane, zniszczone kobierce. Trwała nad martwą ziemią martwa cisza. Zgasły oddawna śpiewy ptaków, zesztywniały nieruchome konary i umilkł pod lodem głos pracowitych strumieni. Tylko koła wózka turkotały głucho na twardej grudzie.

Księżniczka odczuwała piękno słonecznej pogody i smutek mroźnego, bezśnieżnego dnia. Przypominały się jej ciepłe, słodkie, gwarne, pachnące nadzieją poranki wiosenne, które niewiedzieć dlaczego wydawały się już bardzo odległymi, i ogarniała ją tęsknota za niepowrotną przeszłością. Przekonanie, które wynurzyło się w niej w chwili, gdy oddalał się pociąg ze zwłokami Obrońskiego, przekonanie, że skończyła się młodość i rozpoczyna się życie, szare, trudne i posępne, zostało w pamięci. Dziwiła się Hani Drożewskiej, która, śmiejąc się, szczebiotała wesoło, jak ptak, i snuła radosne projekty na przyszłość, podziwiała pannę

Cesię, która, mimo nieszczęśliwej miłości, ubóstwa i staropanieństwa, umiała zachować pogodę. Nad nią już od kilku tygodni zawisła troska. Pierwsze występy i pierwsze powodzenia w świecie rozweseliły ją na krótko. Gdy dostrzegła zasłonięte pozorami zabawy rachuby, walkę o byt, to jest o zamążpójście, rzeczywisty cel karnawału—przestała bawić się. Zgasła naraz promienna łuna radości, w której ukazała się Pawłowi tego roku na raucie. Zaczęła unikać panów, podejrzewając w każdym z nich konkurenta, odmówiła ordynata i zmroziła młodego hrabiego Jaworowskiego, który próbował oczarować ją swoją piękną a bezmyślną twarzą. Marzyła wieczorami w swojej cichej panieńskiej świetlicy o wielkiem szczęściu kochania... A ciotki gderały coraz zjadliwiej i gniewały za wybredność, za kaprysy, za dziecinność pojęć, tłómaczyły, że pannie z niewielkim posagiem niewolno przebierać, przytaczały zachęcające przykłady, nauczały. Matka brała ją coprawda w obronę, ale nie umiała przed czujnym wzrokiem córki ukryć zaniepokojenia. Wynikały niekiedy spory. Matka mówiła o obowiązkach, którymi trzeba zastąpić marzenia, o celach i zasadach życia, ostrzegała, że nie spełniają się nigdy sny młodości, że nie dla szczęścia rodzi się człowiek, że gorzko najczęściej pokutują ci, którzy szukają na ziemi poematu i czekają królewiczów z bajki. Trapiła pannę Marylkę rozterka. Smutek, który widziała w oczach matki, gnębił serce, a żałowała marzeń i wierzyła jeszcze. Znużona cichą a uporczywą walką, tęskniła do czasów, gdy nie było jeszcze mowy o zamążpójściu, i do wsi, gdzie nikt nie dokuczał i żaden „epuzer“ nie przerywał samotnych dni. Fale żalu płynęły przez duszę, nawiedzały ją surowe myśli o życiu. Przyglądała się otoczeniu, badała ludzi i dole ludzkie, rozważała. Ukazały się jej poraz pierwszy cierpienie, zawody, nieszczęścia, których niewidziała przedtem, i powtarzała sobie coraz częściej twarde słowa matki. Zblakły radosne barwy, któremi przystroiła była świat, szare chmury zakryły przyszłość... Przychodziły chwile, w których skłonna była wyrzec się i uledz namowom rodziny, i myślała wówczas o Pawle, którego cierpliwa, nieśmiała, wierna miłość budziła w niej najmniej odrazy. Przeczuwając, że nie zniesie dłużej milczącego niezadowolenia matki, że niewytrzyma nowej seryi napaści ze strony ciotek i ustąpi w końcu, doznawała trwogi i przedewszystkiem pragnęła odsunąć możliwie najdalej moment stanowczy. Dlatego niechętnie wzięła udział w wycieczce.

Ale gdy ukazały się zabudowania Modrego Potoku ciekawość oglądania słynnych zabytków, o których tyle mówiono w salonach, przemogła smutek i księżniczkę ogarnął zapał. Kaplica,

zbudowana przed wiekami podług wzorów romańskich, zeszpecona w późniejszych czasach portykiem w stylu odrodzenia, przemówiła do niej pięknem wysokiej wieży, której nie uszkodziły lata i nietknęli ludzie. Daleki krzyż nurzał się w błękicie i zrywała się w duszy chęć, żeby wznieść się, ulecieć na skrzydłach w słoneczne przestwory, pławić się w niebieskiej dali, zostać tam... Górna tęsknota twórców, którzy w twardym kamieniu zawarli myśl nadziemską, zachwyt żywej wiary, dążenie wzwyż, żądzę lotu, nieukojone pragnienie serca człowieczego, udzielała się widzowi. Spojrzenie biegło po prostopadłej ścianie ciosu, pieściło doskonałą czystość linii architektonicznej, radowało się, podziwiało niezmierny trud wielkiej pracy, usiłowało przeniknąć mrok, który czerniał tajemniczo w podszczytowych oknach, patrzących, zdawało się, w dal niewiadomą ku zagadce przeznaczenia, zazdrościło wysokiemu krzyżowi... Była krótka chwila zapomnienia o rzeczach małych, o lichocie życia, o troskach dnia... Zaduma oglądała nieskończone rozłogi czasu, dawną przeszłość, znikomy potok stuleci, świetny dzień ojczyzny...

Zaszczyciwszy wiekopomną wieżę kilku wykrzyknikami, gwarne towarzystwo udało się do kościoła. Tu zaopiekował się niem były organista, mąż podeszły w latach, ale żwawy i okazałej postawy, który rozwlekle i nudnie, uroczystym tonem, głosem przyciszonym, przymykając od czasu do czasu oczy, opowiadał, objaśniał, wykładał. Uznawszy wreszcie, że audytoryum jest dostatecznie przygotowane i odpowiednio nastrojone, odsłonił firanki. Niektórzy uklękli i zaczęli modlić się. Obraz był niewielki, trochę zniszczony i dosyć niewyraźny. Na pierwszym planie szatan, odziany w szkarłatne szaty ze złotym łańcuchem na piersi, wyniosły, wspaniały i dumny, pulchną, ozdobioną pierścieniami ręką wskazywał coś i spojrzeniem zwracał się do Chrystusa, który siedział na kamieniu, ubogi i cichy, znużony i smutny, z głową pochyloną, i patrzał w ziemię. Za nimi, w rozległej panoramie, ciągnęły się wzgórza, winnice, zielone doliny, bogate miasta, opasane modrą wstęgą rzeki, kwitnące ogrody, cudny szmat kraju zalanego promieniami zachodzącego słońca. Po ustach widzów przesunął się uśmiech ironii. Szeptano sobie do ucha, że arcydzieło jest zbyt małych rozmiarów, że nie warto było fatygować się, że djabeł nie ma ani ogona, ani rogów, że malarz nie znał widocznie zupełnie historyi, jeśli namalował kościoły, pałace i stroje średniowieczne, nieznane jeszcze w epoce biblijnej... Z zadowoleniem i upodobaniem wytykano za to na ołtarzu drewniane posągi dwu świętych biskupów, którzy w sztucznej ekstazie wznie-

śli do góry martwe oczy, a wargami śmiali się chytrze... Inni, przeważnie panie, usiłowali zachwycać się...

Księżniczka przyglądała się długo w milczeniu. Zaciekawił ją szatan, typ zmysłowego magnata, doskonale utuczonego na smacznych ucztach, zadowolonego z życia, pewnego siebie i władzy swojej, który dumnym gestem możnej ręki ukazywał niezmierne i bogate posiadłości swoje i z pogardliwą litością zachęcał, nauczał i kusił ubogiego proroka. Mimo całej okazałości, mimo świetnych połysków szkarłatnego atłasu, mimo przepychu ubrania i wyniosłej potęgi wielmożny kusiciel budził odrazę. Wstrętną była jego nalana, blada, znużona użyciem twarz i wstrętnym parweniuszowski gest pulchnej ręki. Niecierpliwiły bezmyślne, hultajskie, chełpliwe oczy hulaki i pycha postawy. U stóp szatana czołgała się symboliczna żmija, która przenikliwemi źrenicami przebiegle zerkała w stronę kuszonego. Gdy upojony wielkością i dostatkiem swoim książe świata tego nie wątpił o zwycięstwie, mądry wąż badał przebiegle i czekał. To rozdwojenie mocy dyabelskiej w pomyśle malarza było dziwnem. A Chrystus, obojętny na piękno urodzajnych winnic, żyznych dolin, kwitnących sadów, bogatych grodów, zwiesił głowę i krył smutnie zadumane Oblicze. I zdało się księżniczce, że ciche wargi Syna Człowieczego szepcą wyrazy żalu nad „wszystkiemi królestwami świata i chwałą ich.“ Wspominając wersety ewangelii, zapytywała Jezusa, dlaczego nie objął władzy nad ziemią, nie uczynił woli Swojej i nie okazał mocy, dlaczego przeszedł cichy, oddalił się i chciał, ażeby trwały niedola i zło... Dumała...

Ustami szatana przemówiła może przed wiekami do Boga ludzkość i zaniosła trzy prośby, postawiła trzy warunki... Zostały w sercu człowieka te same, niespełnione wówczas pragnienia, toczy się wciąż walka między Panem a duchem ziemi, między Bogiem wiecznym a księciem świata tego... Chrystus nie przemienił kamienia na chleb, nie olśnił cudem potęgi Swojej, nie uczynił pokłonu... Ani bogactwa, ani nieśmiertelności, ani szczęścia nie otrzymała z rąk Syna Człowieczego ludzkość... Chrystus wzgardził ziemią—a świat nie uznał... I utrzymała się władza zła...

Zastanawiając się wciąż nad niezupełnie zrozumiałem, symbolicznem znaczeniem mowy kusiciela, księżniczka patrzała ku pochylonemu Jezusowi, na którego znużonych wargach były bolesne słowa smętnych przeczuć. Zwyciężyły na obrazie i w dziejach potęga doczesna, pycha żywota, pożądliwość i przemoc materyi—miałoż tak być do końca? i na zawsze? Alboż niezakwitną już nigdy cudne nadzieje, aż przeminie kiedyś noc krzywdy

i bezprawia, ucisku i niedoli, że nastanie dzień sprawiedliwości ojczyźnie, ludziom i światu? Dumała jeszsze... I przyszło jej naraz na myśl, że może rodzina, podsuwając świetne partye, bezwiednie kusi ją bogactwem i chwałą, które trzeba odepchnąć... Uśmiechnęła się z dziecinnego zestawienia własnych smutków z wielką i tajemniczą walką Boga, ale to przypomnienie troski, którą straciła była z oczu, przejęta zachwytem, zachmurzyło nanowo serce... uśmiech i radość znikły na twarzy...

Tymczasem organista zasłonił obraz, kaplica wyludniła się. Była pora śniadaniowa. Pod drzewami ustawiono tapczany i drewniany stół, rozłożono zapasy. Wśród gwaru i śmiechów spożyto skromne śniadanie, na które podano butersznity, wino i cukierki. Porayski posłał po śledzie i sardynki, a gdy i tego było mało wobec niezwykłych apetytów, głodni, udali się do miasteczka i obiecali przynieść stamtąd mnóstwo wybornych smakołyków. Reszta przyjezdnych rozproszyła się po cmentarzu i na rozległej łące, która słała się spłowiałym kobiercem za kościołem nad rzeką. Rozpoczęły się gonitwy na gładkiem błoniu, na miękkiej, jak aksamit, trawie, nucono pod niebem wiejskiem, wśród sielskiej ciszy, modne walce z najnowszych operetek... Księżniczka, przewidując nieuniknione spotkanie z Pawłem, trzymała się wciąż Cesi Pomiarowskiej, którą lubiła, w której towarzystwie było jej raźniej. Zrywając ostatnie ocalałe liście, cudne, niezwykłe zabarwieniem, zaglądając w głąb ustronnych zakątków nadrzecznych, w których przebywały milczenie i mróz, gdzie srebrne szrony sznurami najcieńszych pereł obieliły gałęzie, dzieliły się wrażeniami. Panna Cesia ganiła niezrozumiały pomysł malarza, unosiła się natomiast nad pięknem wyniosłej wieży, która przypomniała duszy dawną chwałę, dnie potęgi i szczęścia, świetne czasy i świetnych ludzi... Ogarnął ją zapał... Jej dobre i miłe oczy świeciły. Mimo cierpień i zawodów serce dziewczyny kryło w sobie słoneczną radość...

W pewnej chwili podszedł ku nim Paweł, który krążył dokoła nich oddawna, który obserwował i śledził, skradał się przebiegle. Zaczęła się sztuczna i nudna rozmowa. Wśród plusku fali, która opłukiwała przybrzeżną skorupę lodu, cedzono płytkie, niepotrzebne słowa o pogodzie, o śniadaniu, o kaplicy... Potem ktoś odwołał pannę Cesię... Księżniczka mogła była odejść z przyjaciółką, ale przyszło jej to na myśl zapóźno. Zostali we dwoje. Kilka mgnień trwało milczenie. W księżniczce trwożnie kołatało się serce. Patrzała na chłodne rozłogi bladych niebios, na chłodną wodę rzeki, na suche, ciemne i nieprzyjazne rózgi nagich ko-

narów, na równinę łąki i błękitną taflę lodu gdzieś w dali—i tęskniła za czemś. Zazdrościła niebu i ziemi martwego spokoju, chciałaby zniknąć naraz, rozwiać się, stać się cząstką przyrody...

— Pamięta pani — zaczął Paweł — przed rokiem tak samo w jesieni chodziliśmy pod drzewami parku...

— Tak, panie—odparła pośpiesznie i szybko szła, ale nie ku towarzystwu tylko coraz dalej od kościoła. Zmieszana, pełna bojaźni zmyliła drogę.

— Mówiłem wówczas...

— Panu niepodobały się zabytki w Modrym Potoku?—przerwała i przeszkodziła.

Nieodpowiedział nic, zapadło milczenie. Księżniczka szła coraz śpieszniej ku słońcu, które zniżało się, ku onej niebieskiej tafli lodu na jakiejś sadzawce.

— Gdy inni zwykle modlą się przed obrazem o cud zdrowia, ja prosiłem o cud szczęścia... czy ten cud się spełni, księżniczko?

— Szkoda tylko, że zeszpecono styl kaplicy... okna i kolumny są czysto romańskie — przeszkodziła znowu i znowu uczyniła się cisza.

Na szybie lodu, ku której zbliżali się, słał się słup słonecznego blasku, śmiała się złota smuga, igrał promień radości. Zatrzymali się nad sadzawką. Księżniczka oglądała po przez szklistą, przezroczą powłokę głębię nieruchomej wody, szukała spojrzeniem dna...

— Gdybyż można było skryć się na cichem dnie, pod głęboką milczącą wodą—pomyślała. Słyszała szybkie tętno serca, śmiechy i śpiewy bawiących się... pragnęłaby wrócić tam, ale czekała. Poddawała się konieczności. Zdawało się jej, że Paweł, którego wzrok czuła na sobie, stanął między nią a towarzystwem, między nią a całym światem, że on zabiera od niej piękno tego dnia i szczęście młodości, że coś się kończy i przemija nazawsze. Ogarniając spojrzeniem niebiosa i jesienne dale, nad któremi świeciło wieczorne słońce, żegnała wszystko... Paweł patrzał w jej zdyszaną, zaróżowioną twarz i walczył ze wzruszeniem. Rozumiał, że to jest stanowczy moment, najstosowniejsza chwila, że trzeba korzystać, że będzie zapóźno, chciał mówić—i nie mógł. Słowa, które przygotowywał i pieścił oddawna, rozproszyły się, przejmował go lęk.

— Czy spełni się cud—powtórzył—czy jaka nadzieja... Drżał, łamał mu się głos... Urwał. Prośbą nieśmiałych oczu dopowiadał.

Księżniczka drgnęła. Uczyniła rękami jakiś ruch, jak gdyby chciała zatknąć uszy albo zamknąć mu usta.

— Nie wiem, panie...— szepnęła — potem... może potem... nie teraz... nie teraz... — prosiła, jak o łaskę.

Paweł nie pytał więcej. Zagrały w duszy dzwony... zdało mu się, że cud się dokonał... I cofnął się naraz o krok, jak gdyby obawiał się, że obecnością swoją przeszkodzi czemuś.

Nastała cisza. Księżniczka pochyliła na mgnienie głowę i, gładząc swój sobolowy kołnierz, dumała. Minęła jej trwoga... Z niezmierną radością myślała, że chwila, której lękała się, już jest poza nią... Z uśmiechem powitała zachodnie blaski, ognistą czerwień zimowej zorzy, ze szczęściem, rzekłbyś więzień, wypuszczony na wolność, spoglądała na cichy krajobraz kończącego się dnia... Wzruszona rozmową, odczuwała wdzięczność dla Pawła za to, że przestał mówić, że usunął się, że zostawił jej młodość, że nie zażądał stanowczego słowa, któreby położyło kres...

W milczeniu wracali potem. Paweł szedł za nią cicho, jak duch, pełen szczęścia i czci... Wołano już na nich od kościoła, gdyż zajechały wózki i do pociągu zostały zaledwie dwie godziny.

Kazimierz Zdziechowski.

Józef Kalasanty Szaniawski.

(Przyczynek do charakterystyki.)

Józef Kalasanty Szaniawski odgrywał w swoim czasie rolę wybitną. Kiedy się mówi i pisze o czasach legionów i Królestwa Kongresowego, trudno niemal nie wspomnieć o tej postaci, nie dość jeszcze oświetlonej, jako zagadka psychiczna, do rozwiązania nie łatwej, jaką był członek tajnego komitetu, spiskowiec, rewolucyonista i filozof, później generalny królewski prokurator i cenzor, z czasem członek najwyższego sądu kryminalnego po roku 1831-ym i powstaniu listopadowem.

Nie pozostawił po sobie dobrej pamięci. A jednak był czas, kiedy uznawano w nim jednego z najdzielniejszych patryotów i jedną z najoświeceńszych w Polsce głów. Był czas, kiedy pisano o nim: „Był u nas mąż bardzo biegły w naukach, w prawie, ekonomii politycznej i administracyi, sławny filozof i uczeń Kanta. Nikt nadeń więcej ksiąg starych i nowych nie przeczytał, nikt głębiej nie myślał od niego w Polszcze. W swoim czasie pisarz zawołany, patryota, jeden z luminarzy naszych!“ [1])

Pisano to i przypominano wtedy, kiedy już dawno ta jego dawna dobra sława zapomnianą została. A jednak odgrywał ongi w każdym patryotycznym ruchu rolę wybitną. Urodzony w Kalwaryi Zebrzydowskiej, w części kraju nazwanej później Galicyą, po ukończeniu nauk w Kaliszu i Królewcu, po pełnieniu przez lat trzy obowiązków komisarza sądowego w Kaliskiem, służył dwa lata w kawaleryi narodowej. W ruchu Kościuszkow-

[1]) Mochnacki Maurycy: „Powstanie narodu polskiego w r. 1830 i 1831.“ Poznań, 1863, str. 132.

skim miał brać udział żywy. Należał wtedy do tych jednostek, które żywiej od innych pozostawały pod wpływem rewolucyi francuskiej i przejęły od niej—na gruncie polskim — świeże jeszcze skrajne hasła rewolucyjne. Zaliczał się wtedy z księdzem Mayerem, Kazimierzem Konopką, Maruszewskim, Dembowskim—do członków klubu, który wywołał przy poparciu Kołłątaja egzekucye na więźniach, posądzonych o zdradę stanu 9 maja 1794 r. w Warszawie. Później—według relacyi Lelewela [1]) — przy egzekucyach dnia 28 czerwca na własnych barkach nosił belki na szubienicę, a później, dwaj przyszli członkowie Tow. Przyjaciół Nauk, z Bogumiłem Lindem razem, mieli przypatrywać się zdejmowaniu święceń przy ołtarzu z biskupa Skarszewskiego.

Minęła mu wtedy pierwsza młodość, dobiegał bowiem lat trzydziestu.

Następnie znajdujemy go za granicą w czasie formowania się legionów. W Paryżu należał do republikańskiej „Deputacyi polskiej," a prócz tego z polecenia rewolucyjnego komitetu kształcił się w umiejętnościach. [2]) W korespondencyi konspiracyi na rzecz legionów znajdujemy cały szereg jego listów. Potem powrócił do Warszawy. Między rokiem 1802 a 1808 ogłosił tutaj szereg dzieł. Były to: „Co to jest filozofia, niektóre myśli służyć mogące do porozumienia się względem odpowiedzi na to pytanie," [3]) „O znamienitych systemach moralnych starożytności," „System chrystyanizmu krótko wyłożony, [4]) Rzut oka na dzieje filozofii od czasu jej upadku u Greków i Rzymian aż do epoki odrodzenia. Przydana rzecz o skeptykach moralnych i o szkodliwem dążeniu filozofii XVIII w.," [5]) „Rady przyjacielskie młodemu czcicielowi nauk filozofii, pragnącemu znaleźć pewniejszą drogę do prawdziwego i wyższego oświecenia." [6])

W owym także czasie pułkownik, Józef Neumann, znany z powodu listu otwartego przeciw generałowi Dąbrowskiemu, pisanego w 1800 roku, wystosował do Szaniawskiego szereg listów w kwestyach socyologicznych, ekonomii politycznej i społecznych.

---

[1]) Historya panowania Stanisława Augusta (Przypisy).
[2]) List Szaniawskiego w korespondencyi Związku republikańskiego.
[3]) Warszawa, 1802.
[4]) Warszawa, 1803.
[5]) Warszawa, 1804.
[6]) Warszawa, 1805.

W roku 1803 znajdujemy nazwisko Szaniawskiego obok nazwisk gen. Józefa Niemojewskiego, szefa Drzewieckiego, Horodyskiego i innych w jakiejś spółce dla handlu z morzem Czarnem, zawiązanej w myśl wznowionych dążeń ku pracy organicznej. [1])

Z ustąpieniem Prusaków i utworzeniem Księstwa Warszawskiego przez Napoleona, poczęła się dawnego komisarza sądowego karyera urzędowa. Zostaje jeszcze w grudniu 1806 r. członkiem Najwyższej Izby Administracyjnej, później Dyrekcyi Sprawiedliwości, odbiera w Berlinie z polecenia Rządu archiwum, odnoszące się do odebranych obecnie ziem Księstwa. Najlepsze artykuły stronnictwa dawnych republikanów miały wychodzić z pod jego pióra. Razem z Horodyskim wydał broszurę Kołłątaja p. t. „Nil desperandum," w której ten dowodził o korzyściach dla Polski, jakie wyniknąć muszą same przez się z przedsięwziętej raz polityki Napoleona. [2]) Głośnym jest z zatargu z ministrem Łubieńskim, wobec którego broni kraju przed zastosowywaniem jednego z pruskich zniesionych praw, opuszczając posadę i dając tem dowód siły i żywości swego charakteru. W r. 1809, na posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk, którego był jednym z pierwszych członków, wygłosił pełną patryotyzmu i uniesienia pochwałę pułkownika Cypryana Godebskiego, pod Raszynem za ojczyznę poległego. Około roku 1811 musiał opuścić objęte na nowo, po umorzeniu zatargu stanowisko, by dla poratowania zdrowia udać się do Niemiec.

Tam miał się poznać ze znakomitymi mówcami Kościoła katolickiego Wernerem i Hochbauerem, czemu jego biograf [3]) przypisuje wielką wagę.

Kiedy w roku 1813 po nieszczęśliwej wyprawie na Moskwę i bitwie pod Lipskiem rozstrzygały się losy Księstwa i Napoleona, wysłano go do kwatery głównej cesarza Aleksandra do pertraktacyi.

Z kwatery tej mamy kilka listów.

W czasie kongresu wiedeńskiego uczestniczył w komisyi utworzonej z ramienia trzech rządów pod przewodnictwem radcy barona d'Anstett dla interesów Polski.

---

[1]) Tokarz: „Ostatnie lata Hugona Kołłątaja." Kraków, 1905, tom. I.

[2]) Tamże, tom II.

[3]) Wł. Tarnowski (W. T.): „Nekrolog Józ. Kal. Szaniawskiego, b. Radcy Król. Polskiego etc." Lwów, 1843.

Po r. 1815 mianowany został referendarzem stanu, w r. 1816 prokuratorem generalnym, w r. 1821 radcą stanu, dyrektorem wychowania, prezesem Tow. ksiąg elementarnych i kierownikiem Wydziału cenzury.

I oto dzieje się z nim coś dziwnego. W duszy przełom podobny jak u wielu współczesnych. Dawny rewolucyonista i wolnomyślny staje się nagle zwolennikiem ładu, porządku i istniejącej władzy. Nawet ci, którzy go bronią po śmierci, donoszą, że zarzucano mu krępowanie oświaty i szerzenie obskurantyzmu. Zwraca przeciw sobie całe społeczeństwo. Nawet w samym rządzie patrzą nań widać nieprzychylnie, bo, jak widzimy z listów, lęka się o swoje stanowisko. A z drugiej strony znowu ci, którzy go potępiają, próbują go bronić. „Szaniawski zajmuje niepoślednie miejsce w historyi piętnastoletniego Królestwa. Jakich środków użył Nowosilcow, żeby go skłonić do odegrania fałszywej i nikczemnej roli, do nadania tak niebezpiecznego kierunku wychowaniu publicznemu, niewiadomo. To pewna, że za pieniądze, tytuły i urzędy takim serwilistą, jakim był, nie został. Ani go zbogacono, ani wywyższono nad innych. Nie ulega także zaprzeczeniu, że się i sam nie piął, jak inni, do wysokich dostojeństw. W tym samym stopniu, jaki miał przed utratą zasłużonego imienia, w tem samem ubóstwie pracował dla zarobienia sobie na największą niesławę i nienawiść publiczną. Jedyny może i pamiętny przykład aberracyi tak potężnego umysłu!“

„Nie pojmuję i nikt, jak sądzę, pojąć nie zdoła Kalasantego Szaniawskiego, który obcemu despotyzmowi tak dzielnych, tak skutecznych dostarczał środków przeciw *niepodległości Polski*, nie przeciw źle zrozumianemu liberalizmowi i duchowi zaburzeń społecznych. Ten filozof mówił, że działa tylko przeciw jakobinizmowi i materyalizmowi, rzeczywiście jednak przestał wierzyć w Polskę, ducha polskiego zwał *śmieszną polakeryą* i w edukacyi publicznej to zaszczepić przedsiębrał, coby na przyszłość nawet każde powstanie udaremnić mogło.“ [1])

I oto, zdaje się, że to, co Mochnacki podaje jako jeden z rysów charakterystycznych, było tej przemiany przyczyną. By ją określić, dość powtórzyć fakt, że w r. 1823 dawny agitator legionów domagał się wstrzymania wydawnictwa rosyjskiej „Gazety Petersburskiej,“ za to, że dała wzmiankę o pismach Napoleona na wyspie św. Heleny. [2]) Otóż ten człowiek — jak tylu innych

[1]) Mochnacki: „Powstanie narodu polskiego.“

[2]) „Wiek XIX, sto lat myśli polskiej,“ tom II.

wówczas—przestał poprostu wierzyć w Polskę. Trzykrotny rozbiór i zniszczenie narodowego bytu zbyt silnem było wstrząśnieniem, by nie musiało wykoleić wielu ludzi. I wtedy, jako światło zaświecone przed zupełnem dnia zgaśnięciem, pozostała idea niepodległości rozniecona przez rewolucyę Kościuszkowską. Kiedy ona upadła, ci ludzie ratują się, bo dążą. Ale przeszła chwała legionów i potęga wielka Napoleona. Polska upadła znowu, by powstać, ale już nie w dawnej mocy i chwale, podźwignięta dłonią zwycięzcy. I oto dawni bohaterowie zamkną oczy w niesławie—przytoczeni już przez Mochnackiego — Zajączek, Krasiński, Kurnatowski, Hauke, Trębicki, Potocki. Gdy na gruzach Saragossy żołnierz polski palcem umaczanym we własnej krwi, konając, pisał: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ — jego zwierzchnik, jeśli ocalał, choć równo z nim narażał życie, mógł przed r. 1830 przejść na stronnika obcego rządu i zwolennika reakcyi, bo patrząc na wszystkie przemiany — przestał wierzyć w Polskę.

Nie mogło to być jednak bez moralnej winy charakteru. Nie musiała być silną idea tych, co tak łatwo mogli o niej zapomnieć. Szlachetniejsi usuwali się, gdy zwątpili, od publicznego życia. U Szaniawskiego przyczyniło się do tego może zdrowie słabe, choroby częste, w następstwie zamiłowanie zbytnie w życiu urzędniczem i spokojnem.

W zbiorze prywatnym [1]) znajdujemy szereg jego listów pisanych do żony. Obejmują one okres od 1810 do 1831 r., t. j. od czasu największej chwały Księstwa Warszawskiego do upadku rewolucyi listopadowej. Pisane w czasie kilkakrotnych podróży, szczerze, w zaufaniu, stylem jasnym i prostym, zawierają obok spraw codziennych niejeden szczegół ciekawy.

Tytułowane są przeważnie długi czas: „A Madame M-e la Comtesse Szaniawska nèe Comtesse Mycielska.“

Żona jego, Ludwika, była córką Aleksandra, od roku 1779 generał-majora komenderującego wojsk polskich i Konstancyi Maryi Dahlke, córki komendanta Kamieńca, Chrystyana.

Bratem jej był Erazm [2]), pułkownik kościuszkowski, pod Powązkami ciężko ranny, członek tajnego towarzystwa Republikanów.

---

[1]) P. Konstantego Popiela w Krakowie.

[2]) Erazm Mycielski wywodził się według wszelkiego prawdopodobieństwa z linii Chryzostoma, miecznika kaliskiego. Żychliński uważał tę linię z braku źródeł za wygasłą pod koniec XVIII w. (patrz: „Złota księga szlachty polskiej,“ t. 5-ty).

Za pierwszym mężem była za szambelanem Idzim Moskorzowskim, z którym się rozwiodła, widocznie niezupełnie zgodnie, bo dopiero przyszły jej mąż odbiór od niego niektórych jej sprzętów załatwiał. [1])

Przed ślubem jeszcze sprzedała Szaniawskiemu majątek po ojcu odziedziczony — Wyszki. [2])

Listy pisane do niej przez męża pochodzą z każdej widocznie większej, odbywanej przez niego podróży. Nie mamy ich z Niemiec z 1811 r., gdzie miał bawić według życiorysu; pierwsze listy, dwa z Warszawy z 1810 roku, jeden z Puław z r. 1813, zajmują sprawy domowe.

Wyjątek stanowi wzmianka o zamierzonem pisaniu historyi legionów i o dalszych losach pułkownikowej, Cypryanowej Godebskiej. [3])

Ważniejsze są listy z placu boju z 1814 roku, gdzie wysłanym został do kwatery cesarza Aleksandra do pośredniczenia w interesach Polski, kiedy po bitwie pod Lipskiem i przegranej kampanii w Niemczech zachodziła na zawsze gwiazda Napoleona i we Francyi rozgrywały się czyny jego ostatnie.

Listy te częściowo przytaczamy:

Basel, dn. 26 stycznia 1814 r.

„Najukochańsza Ludwiniu! Z tego miejsca ostatni list piszę do Ciebie: dalsze odezwy chyba z głębi Francyi odbierzesz. Wszystko już stąd wyruszyło w tych dniach i ja także jutro świtem wyjeżdżam za Xciem Radziwiłłem. [4]) Kwatera główna Monarchów była już w tych dniach o 20 milek naszych od Paryża. Można już uważać rzecz za skończoną, osobliwie po zawartych pokojach z Danią i Neapolem. Zniknęła już owa dumna potęga: palec Boży trącił oną widocznie. Pozostaje teraz zagadka, z kim będą zawierać pokój?

„O naszem przeznaczeniu głęboka dotąd tajemnica. Nic jeszcze nie postanowiono: ale nie masz wcale na czem budować nadziei, jedynie chyba jeszcze na tajemniczem milczeniu Wspaniało-

[1]) List z 21 października 1810 r.

[2]) Z notatki przesłanej przez Artura br. Rejsky'ego.

[3]) Ogłoszony w pracy o Cypryanie Godebskim, „Przegląd Polski," 1910.

[4]) Antonim.

myślnego Aleksandra. Cóżkolwiek już teraz postanowi Opatrzność, trzeba będzie poddać się z dobrowolną rezygnacyą przeznaczeniu. Oh! czemuż na wiosnę nie umieliśmy usłuchać głosu lepszych przeczuciów, ani zrozumieć ducha Europy! Czemuż natchnienie religijne nie wskazało nam, gdzie jest prawdziwa Sprawa ludzkości!

„Służy mi zdrowie aż dotąd, i Jan także jest zdrów. Finanse tylko nasze chorują. Niewiele było pieniędzy, a i na tych ogromna strata w ewaluacyi tutejszej i francuskiej. Czcigodny nasz Xże [1]) nie przybywa i pojąć przyczyny tego nie mogę. Nie piszę do niego żadnych doniesień, bo rozumiałem zawsze, iż jest już w drodze. Komitetowym moje uszanowanie: niechaj o mnie nie zapominają. Nie wiem, czy Departamenta już pokończyły swe adresa?“

Chaumont, d. 6 marca 1814 r.

„Najukochańsza Ludwiniu! W momencie odchodzącego kuryera piszę, i dlatego nie więcej jak słów kilka! Jesteśmy tu zdrowi wszyscy. Główna kwatera rusza niedługo naprzód. Blücher jest pod samym Paryżem i wszystko idzie pomyślnie. Gdybyś mogła, prosiłbym Cię, abyś samemu JW. Wawrzeckiemu oświadczyć raczyła szczere ukłony od Xcia, a odemnie cześć głęboką. Niechaj będzie najlepszej myśli, bo się wszystko zwraca na pociechę i niedługo może wrócimy do Warszawy.

„Przybyła tu Xżna Radziwiłłowa, przywiozła mi łaskawe wyrazy JW. Wawrzeckiego. I ten interes ukończy się niedługo.“

14 marca 1814 r., Chaumont.

„Najukochańsza Ludwiniu! Dwa słowa tylko, bo kuryer odchodzi. Jestem zdrów, ale zawsze w kłopocie o Twoje zdrowie. Jutro ruszamy naprzód. Xże Antoni odjeżdża do Berlina, stamtąd do Warszawy: pisać będę przez niego! My także ruszymy do was za parę tygodni.

„Nadzieje zawsze niezłe.“

[1]) Adam Czartoryski.

Chaumont, d. 15 marca 1814 r.

„Najukochańsza Ludwiniu! Odjazd Xcia Antoniego do Warszawy daje mi miłą sposobność pisania do Ciebie tych kilku liter, ale mnie razem i zasmuca, że tracimy najprzyjemniejsze towarzystwo spółpracownika pod wszelkimi względami nader szanownego, który mnie przez ten cały przeciąg czasu zaszczycał codziennymi dowodami przyjaznej dobroci. Ma On objąć Ordynacyę Nieświezką i Ołycką i dlatego stąd się oddala.

„Nie odbieram od Ciebie żadnej wiadomości od czasu listu, który pisałaś przez naszego Xcia. Niepewność o twem wówczas słabem zdrowiu dręczy mnie nieskończenie. Chciałbym już wyjechać do domu i przykrzę się o to Xciu, ale razem uznaję sam, że mnie jeszcze wypuścić nie może w tym najważniejszym momencie, gdzie wielkich zdarzeń codziennie wyglądamy.

„W tych dniach spodziewamy się pokoju, albo też wcale kongres rozerwanym zostanie. Na przypadek pokoju moglibyśmy w tydzień zaraz wyjechać: jeżeli wojna, tedy chyba za trzy niedziele porzucimy Francyę. I w jednym zgoła i w drugim razie mam pewną nadzieję, że w kwietniu najukochańszą moją niańcię uściskam. Bez smutnych kilku pomyłek jużby była dotąd koalicya dopięła swego celu i rzeczy byłyby skończone: ależ i tak skutek ten nie minie, chociaż się o miesiąc odwlecze.

„Pisałem ci niedawno, że nadzieje nasze dobrze stoją, chociaż wszystko trzymanem być musi w tajemnicy. Jest jednak wielkie podobieństwo i niemal pewność, że nasze Wyszki wpadną w linią krainy, która do Prus odpada. Racz to powierzyć Generałowej Dobrodz., do której nie piszę osobno, ale o ich interesach nie zapominam. Nie trzeba jednak tego rozgłaszać dalej. Dla tej krainy, odpadającej do Prus, zrobią tu wszystko, czego trzeba, aby była szczęśliwszą i nie została zasmuconą.

„O naszych domowych interesach nic nie piszę. Działaj tam, co możesz i jak się zdaje. Niezbyt długo przybędę i ja, więc się ratować zaczniem z biedy, którą dla mnie i teraźniejszy mój kosztowny wojaż znacznie pomnoży. Komitetowi opuścili mnie widzę zupełnie i nic nie przysłali: niechaj Im Bóg płaci. Zwalić chcieliby ciężar na Xcia, jakgdyby on po swoich tu wojażował lub mnie posyłał interesach. Cóż robić? jest to widzę przeznaczeniem mojem, bym się zawsze kręcił około cudzego dobra i pracował dla drugich z moją własną szkodą. Niechajże i tak będzie.

Bylebyś tylko Ty, najukochańsza Ludwiniu! żyła spokojną i zdrową! Adieu! adieu! Twój dozgonnie najwierniejszy Kalas...

„Szanownym: Horodyskiemu (do którego dziś piszę), Orchowskiemu, Detillemu i poczciwym Franciszkostwu tysiączne ucałowania. Braterstwo ściskam serdecznie.

„Z odjazdem Xcia Antoniego upada mi sposobność pewnego pisywania do Ciebie. Bądź więc spokojną, chociaż listu długo może odemnie nie odbierzesz, bo kuryery rossyjskie zbyt rzadko w tamtą stronę idą.

„Pojutrze wyjeżdżamy stąd znowu ku Paryżowi za główną kwaterą. Już tą razą cofać się nie myślem.

„Od Xcia naszego ukłony."

W przeciągu następnych dni rozgrały się na polu wojennem niespodziewane wypadki. Napoleon, widząc, że nie zdoła zwyciężyć przewagi wojsk sprzymierzonych, cofnął się, zagrażając z tyłu armiom nieprzyjaciół. Przedsięwzięcie się nie powiodło. Dowódcy tych armij wysłali jeden korpus, który miał obserwować ruchy Napoleona, a sami z główną siłą pociągnęli na Paryż, który też wkrótce ogłosił detronizacyę cesarza. Szaniawski jednak razem z innymi zagrożony zagarnięciem przez Francuzów, musiał ustąpić z Chaumont i znalazł się w Bazylei. Stąd wysłał do żony list ostatni:

Basel, 2 kwietnia 1814 r.

„Zdziwisz się zapewno, Najukochańsza Ludwiniu! że z tego miejsca odbierasz odemnie zgłoszenie. Czynię one naumyślnie, abym uprzedził, a przynajmniej uspokoił waszę o nas troskliwość, którąby wzniecić mogły tajemne baśnie po całych Niemczech w tej chwili rozsiewane. Znajdujem się tu na moment z naszym szanownym Xciem: uboczny wypadek zmusił nas równie z innymi cywilnymi oraz i z bagażami cofnąć się aż tutaj. Po obrotach militarnych 20 i 21-o Bonaparte znalazł się odciętym od Paryża i przenosząc wojnę w tył armiów zagroził wszystkim tym, co w tyle kwatery głównej znajdowali się. My właśnie naówczas bawiliśmy w Chaumont, dla tem swobodniejszego wygotowania niektórych pism potrzebnych. Wysłany przez Francuzów korpus partyzancki wygnał nas stamtąd równie jako i wszystko to, co w tamtej okolicy znajdowało się w bagażach, officyerach, chorych i t. d. Że zaś i na bokach ukazywały się kommendy małe, które zdawały się chcieć przecinać cofanie się licznych bagażów,

więc ostrożność doradzała cofać się z niemi aż do Renu. Otóż dla czego aż tutaj przybyliśmy. Teraz wszystko znowu inną postać bierze. Bonaparte, przerzynając się ku Paryżowi, odebrał ostatnią podobno klęskę, straciwszy sto armat, ośmiu generałów i kilka tysięcy ludzi wziętych w niewolę. Skoalizowani powinniby już być w Paryżu dzisiaj. Lyon stracony, a wreszcie Wellington posuwa się z swej strony w południową Francyę i Bordeaux (największe miasto po Paryżu) ogłosiło się już za Burbonami. Za parę dni ruszamy znowu do głównej kwatery. Cierpię na tem wiele ze wszech względów, że nie mogę w tych dniach jeszcze wracać do mojej drogiej Ludwini, jakem miał pewną nadzieję: ale rozwiązuje się już blisko los Europy i nie można opuścić jeszcze tego momentu. Z tem wszystkiem jednak po 20-ym t. m. pewno stąd wyjedziem do Warszawy. Odezwę niniejszą piszę na dwie ręce, aby Cię jedna przynajmniej doszła. Jesteśmy tu wszyscy zdrowi; nawet i konie nasze. Po milion razy etc.

Kal...

„Wszystkim poczciwym szczere ukłony.“

Przepowiednie przesłane w liście wkrótce się spełniły. Szaniawski w roku następnym brał udział w Kongresie Wiedeńskim jako członek Komisyi trilateralnej dla spraw Polski, a kiedy za inicyatywą „wspaniałomyślnego Aleksandra“ utworzono Królestwo Kongresowe, współdziałał w układaniu dla niego projektu konstytucyi [1]) i pod konstytucyą tą podpis położył.

Rys charakteru i przekonań, jaki wysnuć możemy z tych listów z 1814 roku, jest jeden przedewszystkiem — brak przywiązania dla Napoleona. Ale to nie było wtedy odosobnione zjawisko. Minął czas, gdy pisali poeci: „Polacy w chlubnym zaszczycie z wiernymi Frankami razem“ pociągną „na reszty świata podbicie.“ Sławą nieśmiertelną Napoleona zachwiała wyprawa na Moskwę, Księstwo poniosło dlań, choć zawdzięczało mu niepodległość, tyle ciężarów, że przestało już ten dar cenić. Nim książe Józef zginął pod Lipskiem, już członkowie Rządu w Warszawie chcieli rokować z Rosyą. [2]) Wtedy, w roku 1814, Napo-

[1]) Askenazy: „Rosya—Polska.“

[2]) Sam Szaniawski z ramienia Rządu czy ks. Adama Czartoryskiego był z odnośnem posłannictwem w Krakowie, gdzie bawił ks. J. Poniatowski. Dawny republikanin już w 1809 roku sprzeciwiał się pochwałom zbytnim dla Napoleona w broszurze Kołłątaja.

leon, choćby był nawet zwyciężył, nie byłby już mógł pozyskać tyle siły, by oddziaływać jeszcze na losy Księstwa. Mogli więc wtedy ludzie polityczni nawet bez żadnej złej woli, losy jego od losów ojczyzny odłączyć i spoglądać z całą nadzieją ku okazującemu już tylokrotnie tak wiele dobrej woli Aleksandrowi.

W r. 1816 sprzedał Szaniawski Wyszki, a za pozyskane pieniądze nabył „posesyę“ w Warszawie. Posiadłość ta, do której z jego podróży wędrować odtąd będą jego listy, odegra niejednokrotnie w jego korespondencyi ważną rolę. [1])

W roku 1818 wyjechał dla zdrowia do kąpiel do Trenczyna. Z miejsc w korespondencyi ciekawszych przytoczymy jego przybycie i pierwszy opis tej miejscowości.

d. 5 sierpnia 1818 r., w kąpielach pod Trenczynem.

„Jeżeli, Najukochańsza moja Ludwiniu! smutny wyjechałem z Krakowa, dlatego, że mnie z Warszawy żadna od Ciebie nie doszła wiadomość, tedy smutniejszym jeszcze tu jestem dlatego, że za przybyciem nie zastałem najmniejszej do mnie odezwy. Stanąłem tu przedwczoraj wieczorem, wczoraj udałem się zaraz do Trenczyna (który stąd dobrą milę jest odległy) i tam wypytywałem się na poczcie o listy: ale wszelkie wypytywania moje, i tu u Bademeistra, i w Trenczynie—były bezskuteczne. Zapewno więc listy warszawskie tułają się dotąd po Wiedniu i Prezburgu, gdyż tą dopiero drogą dochodzą tutaj. Wyglądać będę z niespokojnością, dopokąd mnie co z Warszawy nie dojdzie: Boże daj! bym co odebrał jak najprędzej!

„Podróż moja, chociaż leniwa, dosyć jednak była szczęśliwą. Jesteśmy zdrowi obydwa z Janem. Położenie tutejszych kąpieli jest bardziej jeszcze górami zamknięte, niżeli w Reinertz: ale wyszedłszy stąd ćwierć milki dochodzi się do doliny, którą płynie rzeka Wach, a która jest jedną z prawdziwie rozkosznych i romantycznych. Jechałem nią przedwczoraj mil kilka, ciągle zajęty rzadkimi jej powabami. Posada starożytnego i już opustoszałego zamku Trenczyńskiego na prostopadłej skale jest jedną z najosobliwszych: Szkoda, że stąd nie można cieszyć się codziennym jego widokiem! Zresztą na upiększenie tutejszego położenia nic tu prawie ręka ludzka nie zrobiła, bo to, co dotąd zrobiono, nie

[1]) Była to realność oznaczona wówczas: Nowy Świat № 1283.

może iść w żadne porównanie z upięknieniami w innych podobnych miejscach. Natomiast wody zdają się dzielne. Ciepło wody tutejszej równa się ciepłu Warmbrunńskiej.

„Znajduje się tu dwudziestu kilku Polaków i Polek z rozmaitych stron polskiej ziemi. Z Warszawy dwóch tylko przybyło: Tadeusz Łubieński i Kuźniczowa. Z pomiędzy innych tu będących znam tylko jednego Dębskiego, członka Kommisyi Wdzkiej Krakowskiej, — i Pszczółkowskiego.

„Mieszkania wszystkie niemal zastałem jeszcze zajęte i ledwie umieściłem się na chłopskiej chałupce: co do wygody podobniuteńko jak w Landek u naszej Szmurfeilowej, ale nierównie drożej i bez żadnego na którąkolwiek stronę widoku; — zresztą jestem dość dobrze i starzy gospodarstwo moi są bardzo dobrzy ludzie. Jam dziś rozpoczął kucharzyć: nie wiem jeszcze jak to pójdzie, ale też nie jestem w kłopocie, bo na wszelki wypadek uciekłbym do traktyerni tutejszej, która nie jest tak złą, jak ją słyszałem wszędzie okrzyczaną.“

W Trenczynie bawił Szaniawski do trzeciego września i na miejscu powziął plan wstąpienia do Wiednia i poradzenia się tam co do osłabionego wzroku. W dwa dni później stanął w nocy w Wiedniu. Spotkał się tutaj z „godnym naszej literatury weteranem,“ hr. Ossolińskim, odbył konferencyę z „najpierwszym okulistą tutejszym,“ prof. Beer, który dał mu „wiele rad i przestróg, ale nie groził dotąd żadnem nieszczęściem,“ szukał w Baden kasztelana Linowskiego, ale ten już do Warszawy wyjechał.

17 września stanął w Krakowie. W listach porozumiewał się z żoną, co do pewnych ulepszeń w ich posiadłości, otoczenia jej parkanem dokupienia majętności od sąsiada i pokrycia kilku budynków gontami. Powoływał się tu na przykład komisarza cesarskiego „JW. Nowosiltzofa,“ który dał nowy dach drewniany. O wrażeniu, jakie na nim Kraków wywierał, wiemy jeszcze z czasu poprzedniego jego pobytu, kiedy pisał:

„Czas mój schodzi mi tu nieznacznie w domu Dziadziuni, a potem po obiadach u Krakowianów gościnnych, wreszcie po promenadach, które znowu rozżarzają we mnie dawną miłość Krakowa; i widzę, że gdybym tu jedno lato przesiedział, jużby mi było niepodobna stąd się wydobyć. Gdy spojrzę na góry, znika mi z przed oczu Warszawa z wszystkimi ogrodami swymi i całym przepychem, oraz ze wszystkimi powabami naszych urzędów.“

Wrażenie, jakie czyniło to miasto, było powszechnem w owych czasach, gdy zawierało się wprawdzie w obrębie dzisiejszego śródmieścia, ale ręka ludzka nie zburzyła jeszcze starych, obron-

nych bram i murów, a starych godeł i szczytów domów nie dotknął jeszcze pożar 1850 roku. Opiewali je pieśnią Wężyk, Kaź. Brodziński, Reklewski, nim przyszedł poeta wolnego miasta, Edmund Wasilewski. Jedna z „promenad," któremi chadzał Szaniawski, wiodła może także na wzgórze św. Bronisławy, chociaż tam nie stała jeszcze, usypana rękami ludu, mogiła z sercem Kościuszki.

Zamiłowanie przyrody było jedną z cech Szaniawskiego. Z Trenczyna już pisał, że lubi błąkać się samotnie. Choć więc położenie tamtejszego zamku na stromej skale nazwał jedynie „osobliwem," nie wiemy, czy prokurator generalny warszawski nie był pierwszym w Polsce, który w roku 1818 krajobraz jakiś, uznając jego piękność, nazwał „romantycznym."

Na ludzi, czucia i słowa ich schodzi duch czasu, ale okres, jaki teraz nadejdzie, nie wszystkich powiedzie ku chwale.

W Krakowie bawił jeszcze ponownie w sierpniu 1820 roku w przejeździe z Krzeszowic, gdzie używał kąpieli, i pisał, że „gości jest tu dość wielka liczba, a osobliwie z Krakowa, życie dość tanie, stancye trudne i drogie, wygody żadnej ani porządku, miejsce jednak bardzo przyjemne i upięknione," oraz „dni całe trawię pomiędzy skałami i lasami na dolinie Czerny, tym sposobem czas schodzi mi łatwo." Z powrotem zajechał do Łuczanowic, do „szanownego patryarchy Żeleńskich." W roku 1821 leczył się na ból głowy kąpielami w Baden.

Liczył już wtedy pięćdziesiąt jeden rok.

I wtedy rozpoczyna się okres w jego życiu, mniej więcej równocześnie z okresem, kiedy kończą się liberalne, a poczynają nieprzychylne rządy cesarza Aleksandra — okres, w którym Szaniawski, tracąc całą zasłużoną swoją sławę, staje wrogo wobec każdego bardziej ideowego ruchu społeczeństwa, oddając się zupełnie na usługi obcego rządu.

Nastąpiło to, lub okazało się od chwili, kiedy wszystkie sprawy cenzuralne oddane zostały ministeryum wyznań i oświecenia, a na czele komitetu cenzury stanął Szaniawski.

Było to w maju 1822 roku.

Człowiek, któremu zarzucano niegdyś zacieśnienie filozoficzne, [1]) ale nie zarzucano nigdy dotąd braku tolerancyi, który miał

[1]) Kiedy Szaniawski jechał z ks. Ad. Czartoryskim w 1814 r. do kwatery głównej Aleksandra, miał mówić nieprzychylny mu Linowski do Koźmiana: „Co on (książe) poradzi z tym ciężkim pedantem, filozofem, kancistą, który

stosunki z wszystkimi legionistami, a jako prokurator był zwierzchnikiem Horodyskiego, Neymana i Orchowskiego, stał się nieprzyjacielem nietylko wolnej, ale poprostu — polskiej myśli. Przytoczywszy o nim zdanie Mochnackiego, przytoczymy dla lepszej jego charakterystyki zdanie Mickiewicza.

Wypowiedział je jako profesor literatury słowiańskiej na lekcyi 17 maja 1842 roku:

Szaniawski — „żarliwy patryota w rewolucyi 1794 r., potem terrorysta i naczelnik klubu we Francyi, usunął się na stronę z rozpaczą w duszy i szukał pociechy w filozofii. On pierwszy wprowadził filozofią niemiecką do Polski. Cała jego siła inteligencyi wywarła się teraz na zgłębienie systemów, na bujanie w marzeniach; to mu przynosiło ulgę. Życie obywatelskie zamknąwszy w ciasny i pospolity obręb, brak wolności rzeczywistej, wynagradzał sobie wolnością urojoną, stawiając i rozwiązując kwestye według upodobania. Gdyby był Niemcem, pewnie zaspokoiłoby go to zupełnie: pisałby ciągle, tworząc systemy zuchwałe a pędząc życie nizkie i prozaiczne; ale, że powołanie narodu polskiego, nadewszystko polityczne, wkładało nań ciężkie obowiązki, wyszedł pomału na rządowego cenzora i moralnie zdrajcę kraju. Jako pisarzowi, należy mu się znakomitsze miejsce w historyi filozofii polskiej.“

Mickiewicz więc przypisuje zmianę w przekonaniach Szaniawskiego niezwykłym, a nieszczęsnym kolejom naszej ziemi. To pewna, że każdy nieszczęśliwie zakończony ruch niepodległościowy miał u nas swoich rozbitków i jednym z takich stał się Szaniawski. Zdrajcą kraju faktycznie nigdy nie był. Przynajmniej do 1831 roku. Nie wydawał polskich tajemnic, ani się nawet nie przestał czuć Polakiem. Ale przestał nim być faktycznie, ducha polskiego nie gnębił wprawdzie, ale krępował. Raz nawet—nie próbujemy wchodzić w powody — gdy należał do komisyi śledczej w sprawie „Związku przyjaciół,“ stowarzyszenia studenckiego w Warszawie, położył razem z przewodniczącym tej komisyi Haukem i Rautenstrauchem podpis na raporcie dla nich korzystnym wbrew Hankiewiczowi i Podoskiemu, którzy odmówili swego podpisu. [1])

Zresztą jednak był powolnem narzędziem w ręku Nowosilcowa, prowadził cenzurę w sposób reakcyjny. Znaną jest ich

---

nie ma pojęcia ani ducha, ani form, ani stylu dyplomatycznego. (Kaj. Koźmian: „Pamiętniki“).

[1]) Askenazy: „Łukasiński.“

wspólna ekspertyza „Wallenroda.“ Co było przyczyną? Może nieruchomość starzejącego się umysłu człowieka, który w ideały swoje przestał wierzyć, walczyć już nie chciał, na usunięcie się nie miał już dość siły woli, a był głęboko przekonanym o zasłudze swej w wypełnianiu porządnem i lojalnem swego obowiązku. W dawnem mieście świętej wiary, gruzy i szczęty zaległy, Szaniawski czuł, że zwraca przeciw sobie całe społeczeństwo, że ma nieprzyjaciół już nawet w samym Rządzie, przecież z dziwną filozofią przyjmował to jedynie, jako krzyż i dopust Boży, wyrobił sobie przekonanie, że to czyni, co czynić powinien i to stało się może przyczyną, że żaden niemal z współczesnych, którzy o nim piszą, nie może mu poskąpić kilku słów obrony przy bezwzględnych nieraz słowach potępienia.

I do udowodnienia tego posiadać będą niejaką wagę listy, pisane w czasie, gdy minęła już dawno młodość dumna i burzliwa, a cenzor warszawski stał już w otwartej walce ze zbliżającem się już do zbrojnego ruchu społeczeństwem.

Listy te pochodzą z Wiednia z 1828 roku.

Podróż ta była przedsięwziętą w celach częściowo leczniczych, w części naukowych. Listy charakteryzuje pewna szczególna filozofia, chrześcijańska, zdania się na los Boży, a zarazem okazywanego trochę zewnętrznie, bo bardzo często, stoicyzmu, zaparcia się, skromnych żądań szczęśliwości, nie spodziewania się poprawy na lepsze.

Znać uczucie człowieka, który lęka się, że go prześladować będą i który zarazem doznał już wiele ludzkiej niechęci, jest rozgoryczonym, bo o niej wie, a chce uważać ją jako niesprawiedliwą i niesłuszną.

Jako dowód przytaczamy list z dnia 9 stycznia 1828 roku:

„Odebrałem wczoraj list Twój d. d. 29 Grudnia r. z. i dziękuję Ci z serdecznem uczuciem za Twoje dobre życzenia, a zarazem i za rozmaite nowiny z Waszego horyzontu, których my tutaj jesteśmy nieco głodni, gdyż tu nigdy o Warszawskim świecie nic usłyszeć nie można. Podziękuj tam odemnie najserdeczniej Tym wszystkim, co o Tobie pamiętają i o mnie jeszcze nie zapominają; Bóg im to niechaj nadgradza, u którego żadna dobra uczynność nie idzie w zapomnienie. Nie dziwuj się innym, że o nas zapomnieli; żyją oni na świecie, a nas tam nie widują, nie można więc wymagać, ażeby nas szukali w zaciszu, gdzie żadnej światowej przyjemności nie znaleźliby. Niektórzy pragną jeszcze dalszego wyrostu, muszą więc zbliżać się pod wschodzące słońca: my się już takim na nic nie przydamy. Wszystko to dzieje się

bardzo naturalnie i nie mogłoby bez jawnego cudu dziać się inaczej. Nie powinno nas to bynajmniej obchodzić, bo owszem wyższe stąd w chrześciańskiej rozwadze odnosić możemy korzyści. Nam w położeniu naszem nic więcej już nie pozostaje do życzenia, jak tylko, ażebyśmy tę krótką resztę dni naszych spędzić mogli w jakiemkolwiek chociaż słabowitem zdrowiu, w swobodnej samotności, przy jakiejkolwiek, chociażby ubogiej wygódce, w łagodnej i stale wypogodzonej atmosferze prawdziwie chrześciańskiego życia. Takowe życzenia zdają się na pozór ograniczonemi, ale one w istocie są nader rozległe i nader wiele obejmują. Prośmy Boga, aby z nich udzielił nam to przynajmniej, co jest najpotrzebniejszem i jedynie niezbędnem.

„O zdrowiu mojem nie mam nic nowego do doniesienia. Nie cierpię tylko czasami na nogi, czasami na oczy, a niekiedy i na głowę. Co tydzień idę do poczciwego Malsattego, [1]) ażeby mu się poskarżyć, lecz gdy Go zobaczę, zapominam o moich biedach i pogadamy sobie czasem o czemsiś wyższem, a tak nieraz zdrowszym odchodzę... Wzdycham tylko za nadejściem wiosny, ażeby się z Stołecznego zgiełku wymknąć do Baden, tam... samotnie podumać.

„Cieszą mnie dary, które w Petersburgu spotkały Towarzyszów podróży X. L.[2]) Niechaj mu Bóg błogosławi, jako urzędnikowi nieugiętej, bezstronnej i nieinteresownej woli i chęci, który ani na jedną chwilę nie spuszcza z uwagi prac i przedmiotów swojego Urzędu i dźwiga śmiało swój krzyż urzędniczy nie oglądając się na krzyki złośliwej Rzeszy przyganiaczów, ani też szukając ulgi w płochych roztargnieniach świata.

„W przeszłym tygodniu pisałem do Ciebie dnia 2 stycznia. Odpisuję dziś także i naszemu ministrowi na list, którym mnie zaszczycić raczył. Proś także poczciwego Wincentego, ażeby JW. Senatorowi Nowosiltzoff ponowił odemnie wyrazy szczerego uszanowania i zadawnionej wdzięczności, a razem i serdeczne życzenia z powodu nowego roku; niech mu Bóg da wszystko dobre, co do prawdziwej pomyślności należy.

„W odpowiedzi do naszego ministra donoszę mu także o stanie mojego zdrowia, a zarazem oświadczam, że w końcu Maja mógłbym powrócić do Warszawy. Jeżeliby mi się jednak udało odbyć podróż do Bawaryi, powrót mój spóźniłby się może o mie-

[1]) Lekarz Szaniawskiego.
[2]) Ks. Lubeckiego.

siąc: wszystkie te jednak domniemania są tylko pod warunkiem, jeżeli w ciągu kuracyi mojej nie zajdzie nic przeciwnego, coby przewracało ludzkie rachuby.“

Błądząc po bibliotekach, lecząc się, odwiedzając swego lekarza i bawiącą w Wiedniu księżnę Kazimierzową Lubomirską, unosząc się nad doskonałą muzyką włoską w operze na „Cyruliku Sewilskim,“ jest jednak myślą i troską Szaniawski ciągle w Warszawie. Egzaltuje się w chrześcijańskiej pokorze pisząc: „Pilnuję ciągle mojego zacisza i słodzę sobie te szczęśliwe dnie rekollekcyi, która mi i jako Chrześcianinowi i jako Urzędnikowi—koniecznie była potrzebną i przy pomocy Boskiej stanie się niemało użyteczna. Błogosławić za to będę Rząd codziennie aż do zgonu, bo to sobie mam za wysokie dobrodziejstwo, chociażbym one pod moralnym tylko względem uważał. Niech Bóg zlewa wszelkie łaski na ministra za pomoc (chociaż nieco spóźnioną) do wyjednania urlopu: używam go na dobro duszy mojej, na dobro umysłu i zdrowia, ale nie zapominam także i o przedmiotach mojego urzędu. Żałuję tylko, że mi trudno będzie (a raczej już prawie niepodobno), odwiedzić Bawaryę i niektóre w tamtych stronach szkolne instytuta: nie masz na to ani czasu ani funduszu.“

Równocześnie chcąc mieć widocznie większą sumę w ręku, prowadzi przez żonę starania co do nabycia przez rząd jego posesyi. Sprawa jednak idzie oporem, skutkiem tego tak pisze:

„Pomimo Twoich pocieszających zapewnień nie spodziewam ja się łatwego pozbycia naszych possesyi, w innych ręku poszłoby to jak najprędzej i jak najkorzystniej, ale nam tak nie pójdzie, jeżeliby się ziściło, będzie to także cud wyższego miłosierdzia. Staraj się ile możesz, ale nie nalegaj zbytnie, żeby znowu nie powiedziano, żeśmy to niejako wymusili. Bogu poleć resztę.“ [1])

Innym razem zauważa, po otrzymaniu jakichś mniej pomyślnych wieści z domu:

„Cieszę się, że z chrześciańską rezygnacyą znosisz widok tylu faryzeuszowskich postępowań względem nas: trzeba owszem dziękować Bogu, że nam w tej mierze przynajmniej daje coś do cierpienia, a tem samem i do jakiejkolwiek zasługi: bez cierpienia musiałby chrześcianin żyć w niejakiej trwodze o przyszłość; tylko droga krzyża prawdziwą i pewną na tutejszym padole, wszystkie inne niebezpieczne.“ [2])

---

[1]) List z 16 stycznia 1828 r.

[2]) List z 23 stycznia 1828 r.

Pod koniec stycznia donosi:

„Wiem ja dobrze, że umiesz oszczędzać, aby być w pogotowiu na czas niedostatku. Masz w tem wielką racyę: potrzeba nam się oglądać na czas dalszy, bo nie możemy spuszczać się na żadną z tych zwyczajnych pomocy, których inni doświadczają, nie wypada nam się ani nawet na to spuszczać, coby nam się może i sprawiedliwie należało. Ludzie w tych czasach tak wiele są zaprzątnieni swoimi własnymi zabiegami o swój los światowy, że nie mają żadnej wolnej chwili do pomyślenia o innych.

„Raduję się, że po zbawiennych tutaj rekollekcyach powrócę cierpliwym, i gotowym przyjąć z ochoczą wdzięcznością każdy los jaki mnie spotka chociażby też wydawał się najsrożej dokuczającym. Tutejsze wieści pomiędzy naszymi rodakami zapewniają, że Xże L. napewno obejmuje skarbowe ministeryum w Petersburgu; uważałbym to za niepowetowaną dla naszego kraju stratę. Miejsce jego ma dostać Kalinowski, a na ministeryum nasze wewnętrzne ma iść Kossecki, Mostowskiemu zaś dają spoczynek z promocyą i pensyą. Plater, jako najstarszy Radca, zostaje ministrem stanu, albo też pójdzie na Radcę Sekretarza stanu.“ [1])

W innem miejscu znowu pisze:

„I tutaj pomiędzy naszymi rodakami biegają wieści o różnych zmianach, jakie zajść mają w Warszawie; lecz to wszystko pochodzi podobno z samych tylko domysłów. Nie daję wiary płonnym wróżbom; staram się jednak tymczasem uzbrajać po chrześciańsku, ażebym wszelki, (chociażby też i najprzeciwniejszy) los przyjąć mógł z radością i z szczerą nawet wdzięcznością, dla tych, co się do niego przyłożyć raczą. Biorąc miarę z przeszłości nie mogę spodziewać się dla siebie nic pocieszającego, i dlatego jestem przygotowany na wszystko, byle tylko w mój zgubny los nie wciągano tych, którzy mnie wierniejszą zaszczycali przyjaźnią. Widzę jaśnie jakie czasy wschodzą na Europejski horyzont; przyzwyczajam więc wcześnie mój umysł do zupełnej rezygnacyi; o tobie tylko najczęściej myślę i o potrzebnej dla ciebie wygodzie, a pod tym względem uważałbym restauracyą mojego zdrowia jako dar pożądany. Wierzaj mi, że i sprzedaż naszych possesyi podpadnie jeszcze rozmaitym przeszkodom z strony niektórych osób, co mnie swemi prześladowaniami zaszczycać raczą, a którym ja przecież wszystkiego dobrego życzę. Gdyby tam kto miał szczerą wolą nabycia, nie wypy-

[1]) 30 stycznia 1828.

tywałby się o plenipotencyą, bo ja nie pojechałem ani do Indyów ani do Ameryki.“ [1])

27 lutego zamieszcza uwagi w liście:

„Wszystko dokładnie obrachowawszy, jesteśmy tu oboje bardzo wygodnie na tym padole, potoczne przeciwności i cierpienia nasze niczem są w porównaniu z tem, co prawdziwy chrześcianin szczerze Boga kochający i na przyszłość wiekuistą pamiętny cierpieć powinien: są to dopiero małe krzyżyki, ale jeszcze nieskończenie daleko jesteśmy od prawdziwego krzyża; do tego gotować się, o ten prosić winniśmy, nader szczęśliwi, że już niewiele mamy pasma życia, a tem samem i cierpienia nasze nie będą już długimi.

„Cieszy mię w liście Twoim, że znowu projektują nabycie na klinikę. W samej rzeczy, gdyby tylko chciano zapomnieć na moment czyje to są possesye i rozebrać rzecz bezstronnie, znalezionoby, że na tej przestrzeni możnaby bezpiecznie i klinikę i Politechniczne gmachy umieścić.

„Warunki nabycia mają z nami najłatwiejsze, rozkład i termina wypłaty mogą sobie ułożyć jak najdogodniej, byleśmy tylko mieli ubezpieczoną pewność na dalsze lata.“

W pierwszych dniach kwietnia z powodu Zmartwychwstania Pańskiego, obchodzonego w Wiedniu nabożeństwami bardzo uroczyście i świąt wielkanocnych—pisze:

„Niechaj Bóg błogosławieństwa swoje zsyła i Tym, co wydawali się może naszymi Przeciwnikami lub Nieprzyjaciółmi. W chrześciańskim duchu rzecz biorąc, niezawodną to jest prawdą, że prześladowania i przeciwności stają się prawdziwem dla Człowieka dobrodziejstwem, a zawzięci Nieprzyjaciele nader dobroczynnymi Pomocnikami do wyższego szczęścia: kochajmy Ich szczerze; znajdziemy w tem nieocenione korzyści, a może i dla Nich nawet samych niejakie dobro znajdziemy.“

„Zresztą zajmował się tam Szaniawski szukaniem przez żonę dokumentów dla rodziny Dahlke, oraz spotykał się w domu Malsattiego z Fryderykiem Szleglem, którego zaliczał do „małej liczby najznamienitszych autorów w Europie.“ Tak ucztę z nimi wspólną opisywał:

„Onegdaj biesiadowaliśmy znowu w trójkę u dobrego Malsattego, dał nam obiad (co do potraw i win) zupełnie włoski, ale przepyszny i obfity: byłbym się obładował nad miarę, gdyby

[1]) List z 6 lutego 1828 r.

mnie była całkiem nie zajęła uczona i głębokomyślna konwersacya moich dwóch genialnych spółbiesiadników; duch wziął górę i to mi ze wszech względów wyszło na dobre.“

Innym razem donosił, że idzie do miasta na „Vorlesung Schlegela über die Philosophie der Geschichte.“ [1])

Ciekawą i charakter Szaniawskiego ze wszech miar oświetlającą była jego znajomość ze „sławnym z filozoficznych i politycznych pism“ Adamem Müllerem, który mu przed kilkunastu laty „część rozpraw swych nieznanemu posłał do Warszawy.“ [2])

Otóż ten Müller, istotnie w Niemczech znany, przechodził podobne koleje, jak cenzor warszawski. Mając lat dwadzieścia kilka, po przejściu z protestantyzmu na katolicyzm, poświęcał się publicystyce i pisał dzieła o treści prawnopaństwowej i społecznej. W roku 1813 współdziałał w powstaniu w Tyrolu, w dwa lata później był z cesarzem Franciszkiem w Paryżu, potem był konsulem w Lipsku, umarł w roku 1829 jako radca dworu.

Za pobytu w Saksonii był redaktorem dwóch pism „Deutsche Staats-Anzeigen“ i „Unparteiischer Literatur und Kirchenkorrespondent,“ które jednak z powodu reakcyjnej ich tendencyi wkrótce upadły.

W domu jego „nader skromnym, bogobojnym i odznaczającym się istotną dobrodusznością“ Szaniawski bywał gościem częstym.

Równocześnie nie otrzymując od ministra żadnej na swój list odpowiedzi, nie czując się pewnym na swojem stanowisku i widząc, że układy o sprzedaż posiadłości nie wiodą do skutku, tak pisał:

„Wiem ja dobrze i dawno tak byłem wyperswadowany, że nam interesa nie pójdą nigdy tak, jakby iść powinny: ale na to wszystko jestem nader spokojnym; rób i Ty toż samo. Bóg tak dopuszcza i zapewno to wyjdzie na nasze dobro. Są jeszcze dobroczynne szpitale na świecie, toć i my gdzie znajdziemy przytułek, tak jak go tylu innych ludzi znajduje. Mylisz się — względem mojej Emerytury; jeszcze mi lat parę do niej brakuje, które chyba łaska Monarchy mogłaby nadstawić. Dobry Jasio H.[3]) ma racyą, gdy mi radzi szukać spokojności; ależ to od biedaków i sama nawet spokojność często ucieka. Spodziewam się jednak zna-

[1]) List z 16 kwietnia 1828 r.

[2]) Wzmianki w listach z 13 lutego, 5 marca i t. d.

[3]) Wspominany nieraz w listach Szaniawskiego Hankiewicz.

leść ją, oddając wszystko na wolę Bogu i gotowym będąc z zupełną rezygnacyą na wszystko, co się moim zwierzchnikom spodoba zrobić ze mną, dobrze, czy źle, przyjmę każdy los z pocałowaniem Ich ręki, bo jestem pewnym, że każdy wyjdzie dla mnie na lepsze. O Twojej tylko posady i wygody jakiemkolwiek ustaleniu myślę teraz najczęściej, aleć i to przecie Bóg opatrzy."[1])

Pod pozorami więc rezygnacyi tliło w nim wiele jeszcze żaru zgorzknienia i niechęci. W maju przeniósł się do Baden. Opisywał z zachwytem okolice, które „majowa pora czyni teraz prawdziwie uroczemi, nie masz tam jeszcze natłoku gości i można jeszcze włóczyć się samotnie po wzgórzach i skałach, można samotnie dumać nad znikomościami, które nas nieustannie wywabiają z pośród nas samych i wśród odmętu upływających chwil trzymają nas ciągle w zgubnej niepamięci na wiekuistą przyszłość."[2])

Zaraz jednak po chwilach takiej cichej i dobrej zadumy, przychodzą nań troski ziemskie i w tym samym liście pisze:

„Minister nasz, dla wszystkich nadzwyczajnie uprzejmy, musi być na mnie okropnie zagniewanym, kiedy dotąd ani słówka od nikogo nie odbieram z strony Jego: otóżto jest świat i jego przemijający reprezentanci!"[3])

Wkrótce niespodzianie zmieniło się wszystko pomyślnie.

Od Radcy Stanu Zaleskiego przyszło zawiadomienie, że Komisya Rządowa upoważnia Szaniawskiego „do odbycia podróży do Bawaryi dla poznania rozmaitych tamtejszych reform edukacyjnych i szkolnych i zaręcza mu zwrot kosztów podróży z Wiednia do Monachium i stamtąd do Wiednia."[4]) W listy wstępuje nowy, weselszy ton i duch, ale i tu jeszcze nie obywa się bez kłopotów, bo zwraca się do Komisyi o „forszuss" tysiąca kilkuset złp., w czem widocznie naraża się na odmowę.

Natomiast otrzymuje list od Pacławskiego z asygnacyą na 600 złp. na zakupno książek dla Tow. Ksiąg elementarnych.

Przed wyjazdem do Bawaryi udaje się, by zwiedzić stolicę Węgier, skąd pisze te tak charakteryzujące jego przekonania polityczne słowa:

„Szkoda wielka, że czarodziejskiemu położeniu nie odpowiadają bynajmniej, ani porządek, ani wewnętrzne ochędostwo, ani

---

[1]) List z 9 kwietnia 1828 r.
[2]) List z 14 maja 1828 r.
[3]) List z 14 maja 1828 r.
[4]) 11 czerwca 1828 r.

owa pod wszelkimi względy wygodność, która tak widocznie odznacza niemieckie prowincye austryackiego państwa! tutejsi konstytucyoniści niewiele (jak widzę) przesadzają się pod względem wewnętrznej czystości i prawdziwej regularności. Kraj ten obficie jest ubogaconym we wszystko, co dogadzać może potrzebie, wygodzie a nawet i zbytkowi; lecz mieszkańcy nie dbają bardzo wiele o użyźnienie tych błogich darów, i zdaje się, że na to używają przywilejów politycznej wolności, ażeby osłabiać dobroczynny kierunek rządu, który pragnąłby prowadzić ich do staranniejszego porządku.“ [1])

Wogóle Szaniawski nie był już teraz nigdy zwolennikiem zbytnej wolności politycznej. Charakterystyczną jest dla niego wzmianka w liście z lipca o wyjeździe Nowosilcowa:

„Smuci mnie niemało odjazd Senatora, i boję się zmian niepomyślnych.“

Pod koniec lipca przez Salzburg i Ischl przybył do Monachium. Odwiedzał tu różnych uczonych, których nazwisk nie wymienia, ale co do których wyrobił sobie przekonanie, że „nie wszystko złoto, co się świeci.“ Oglądał bogate zbiory, stwierdzał, że podróż ta nie pozostanie bez naukowej korzyści, był u „geheimrath'a“ Schellinga, ale ten zapadł właśnie na zdrowiu bardzo niebezpiecznie. Zastał go dopiero za drugim razem:

„Przyjął mnie nader uprzejmie; dopytywał się o wiele rzeczy. Nie mogłem skorzystać z Jego przyjaznej skłonności, gdyż widząc go jeszcze cierpiącego, musiałem skracać rozmowę i nareszcie pożegnać dobrego człowieka. [2])

Nabrał wrażenia, że tu porozumiawszy się z niektórymi „przewodnikami głębszego myślenia,“ możnaby coś pożytecznego stworzyć i ugruntować w dziedzinie prawdziwej chrześcijańskiej filozofii.

Na tem listy z tej podróży się kończą, Szaniawski powracał widocznie do Warszawy.

Miał nadejść czas wielkich przewrotów, zmian, w kraju burzyło się oddawna pod powierzchnią, we dwa lata później wybuchła rewolucya 29 listopada.

Cenzor warszawski, który po powrocie stanowiska, jak się lękał, nie stracił, dawny legionista—razem z rosyjskimi urzędnikami przed narodowym ruchem uznał za konieczne ujść z War-

[1]) 13 lipca 1828 r.

[2]) Monachium, 9 sierpnia 1828.

szawy. [1]) I oto z Wiednia i Baden wysyła ostatnie, jakie znajdujemy listy, pisane pod wrażeniem wypadków w kraju, bardzo osobiste, ciekawe, jako bezdźwięczny już, po za siebie nie wybiegający odgłos, jaki obudziły wielkie wypadki w duszy dawnego patryoty-Polaka.

Wiedeń, d. 19 stycznia 1831 r.

„Odebrałem list Twój d. d. 5 b. m. wraz z ekspedycyą oznajmującą uchylenie posad Dyrektorów Jene. w k-yi Oświecenia. Doszedł mnie także i przedostatni Twój list z d. 27 grudnia. Z mojej strony pisuję zawsze regularnie co środa i dotąd żadnej jeszcze środowej poczty nie opuściłem. Cieszę się, że Twe zdrowie służy Ci jakośkolwiek: lecz głębokie czuję zmartwienie dostrzegając, że co do środków finansowych zostajesz tam w krytycznem położeniu. Łatwo sobie wystawić mogę Twoją biedę przy obecnej potrzebie wielorakich wydatków i przy zupełnem ogołoceniu z wszelkich środków dochodu. Boli mnie niezmiernie, że nie jestem tu w możności przyjść Ci w pomoc, chociaż nieustannie o tem myślę. Miałem nadzieję, że sam tylko cierpieć będę, ale i ta nadzieja płonną okazała się. Próżno byłoby pisać do kogo w tej mierze: przystęp do serc wszędzie teraz zamyka się, a prześladowanemu nie pozostaje jak tylko cierpieć po chrześciańsku i milczeć. Modlę się codziennie o pomoc Boga dla Ciebie i ufam, że przecież wynajdziesz jaki środek ratowania się. Oddałem Ci w ostatnich listach moich zupełną władzę rozrządzenia ruchomym i nieruchomym majątkiem naszym; chciałbym to nawet zrobić w sposobie urzędowym: dlatego nie pojmuję czemu zapytujesz mnie jeszcze o ostatnią cenę possesyi. Spuść im ile tylko będzie potrzeba; zniż ją o 20, o 30, a nawet i 40 tysięcy, jeżeli chcą tak tanio na użytek publiczny nabyć. Mnie już ta fortuna nie obchodzi, jak tylko pod względem zapewnienia Tobie swobody i wygody. Kończ zatem i ratuj się, żebyś następnie i zdrowie Twoje ratować mogła u wód, do których obiecanemu przybyciu Twemu raduję się już wcześnie. Czterdzieści przeszło

[1]) Na wyjazd ten, który go ocalał, nastawał usilnie Mochnacki. Młody patryota wywdzięczał mu się za to, że dawniej przy uwolnieniu go od zajęć w cenzurze, Szaniawski zdołał sobie jego rodzinę pozyskać. (O tem i o całym ich stosunku—słowa matki—Mochnacki: „Dzieła," Poznań, 1863, t. I, str. 313).

lat usługiwałem publicznemu dobru z szczerą bezinteresownością; nie będzie więc dla mnie od rzeczy skończyć w stanie zupełnego ubóstwa. Racz jedynie pamiętać, ażeby przy transakcyach zabezpieczone było i dostatecznie zawarowane dopełnienienie i wykonanie warunków i obowiązków przez stronę nabywającą przejętych, mianowicie co do brzęczącej wartości pieniędzy.

„Moje zdrowie nie pogarsza się w tej zimowej porze, i owszem,—dzięki czułym staraniom szanownego i najłaskawszego lekarza wszyscy mi rokują zupełne wyrestaurowanie się, byle tylko wróciła dla mnie spokojność i swoboda, a razem błogie odetchnienie po tylu niezasłużonych ciosach. Tymczasem staram się wzmacniać moją chrześciańską cierpliwość, wiedząc ile mnie tam nieznośnie szarpią nieprzytomnego. Już mnie to wcale nie dziwi, bo nadto wiele naczytałem się podobnych rzeczy po Europejskich pismach. Bóg niechaj nie pamięta mściwym! W końcu lutego postanowiłem mieszkać w Gratzu; w nader pięknem, taniem i swobodnem miejscu, pomiędzy bardzo poczciwemi góralami: jednakże zależeć to jeszcze będzie i od czasu przybycia Twego w te strony i od dalszych okoliczności zdrowia Twego i finansów Twoich oraz od Twego także wyboru.“

13 kwietnia, Wiedeń, 1831 r.

„Od dni już kilkunastu jestem bez najmniejszej od Ciebie wiadomości, gdyż po ostatnim liście Twoim nie odebrałem nic, aż do obecnej chwili. Wzrasta więc ciągle niespokojna we mnie troskliwość z tego powodu i to tem bardziej, że ustały w części przeszkody pisania, skoro Warszawa nie jest już w stanie oblężenia, a stąd większa dla mieszkańców spokojność. Troskam się jeszcze i z tej przyczyny, że nie wiem jeszcze nic o twoich dalszych układach na wiosnę i na lato, od czego także i moje dalsze w znacznej części zależą. Oczekuję więc z rzetelnem upragnieniem na Twoje listy. Tymczasem zaś ułożyłem sobie przenieść się w maju do Baden, ażeby tam odbyć wcześniej kąpiele niżeli się miejsce zapełni tłumem przybywających gości. Zdrowie moje polepsza się, ale w tych dniach odbyłem znaczną biedę kataralną. O Twoje zdrowie błagam Boga nieustannie. Polecam także Bogu wspaniałomyślnych przyjaciół, których okoliczności nie zmieniły. Pisuję regularnie co środa, jeszcze nie opuściłem żadnej środowej poczty, nie wiem tylko, czy Cię listy dochodzą...“

Baden, 24 maja 1831 r.

„Odebrałem wczoraj list Twój z d. 11 b. m.—dziękuję Ci za nadzieję przedaży domów: byłoby to prawdziwie cudownym wypadkiem w obecnym czasie. Za kilka dni odwiedzę Wiedeń i starać się będę nadesłać Ci akt potrzebny dla ułatwienia transakcyi. Racz tylko być baczną w układzie warunków przedaży. Nie wiem z kim wchodzisz w negocyacyą, lecz z każdym na wszelki przypadek potrzebne są ostrożne i wszelką okoliczność przewidujące opisy. Wyłączyć trzeba wyraźnie wszelkie wypłaty w papierach jakiegobądź rodzaju, bo w obecnych czasach żadne papiery nie mogą być pewnemi swej stałej wartości. Należy także zawarować ocalające bezpieczeństwo na przypadek zawodu w wypłacie jakowej raty i t. d. O Ciebie tu istotnie chodzi, więc działaj z przewidywaniem, bo te possesye ostatnim są środkiem dalszej „existencyi“ na tym biednym padole płaczu: reszta już padła ofiarą czasu, gdyż tak się Bogu podobało. Od miesiąca prawie nie postałem w Wiedniu, bo finanse nie pozwalają robić przejażdżek; nie wiem, co się dzieje na świecie i z tem jest mi lepiej.

„Straszą mnie, że w Gratz przez nacisk podróżników życie stało się kosztowniejszem, jeżeliby tak było, musiałbym szukać sobie innego miejsca, o czem później doniosę.

„Z biblioteką zrób co Ci się podoba, pragnąłbym jedynie ocalić dla siebie moją pracowicie zebraną podręczną (w pokoju na dole będącą) bibliotekę; zawiera ona wielkie skarby dla ducha i stanie się po mnie nader korzystną pozostałością dla znawców wyższego życia.“

Baden, d. 21 czerwca 1831 r.

„Odebrałem przed kilku dniami list Twój d. d. 1-o Czerwca podziurawiony i poświadczony, jako przechodził przez kwarantannę. Dzisiejsza odezwa jest już ostatnia z Baden, gdyż ukończyłem kąpielną kuracyą i przedwczoraj byłem w Wiedniu z osobistym raportem u szanownego mego lekarza, który zdawał się dość kontent z stanu mojego zdrowia. Przenoszę się jutro na stałe letnie pomieszkanie do miasteczka Kloster-Neuburg o półtory mili od Wiednia: leży ono nad Dunajem, pod górami, w rozkosznej i nader zdrowej okolicy; taniość wielka, a w tamtejszym klasztorze znajduje się jedna z najznaczniejszych w Niemczech

Bibliotek. Przekonałem się po bliższej rozwadze, że nie wypada oddalać się za nadto od Wiednia, dopókąd interes twojej dalszej existencyi nie ustali się jakożkolwiek. Na zimę, jeżeli Bóg życia pozwoli, osiądę w Gratz lub w Saybach, albo w Klagenfurt: wszystko to są znaczniejsze piękne miejsca w poblizkości od Włoch i w monarchii Austryackiej. Kosztowniejszy nieco pobyt w Baden uszczuplił mi moich finansów niemal na dwa miesiące, trzeba to teraz nadstawić przez podwojoną oszczędność w Kloster-Neuburg, skąd za dwa — da Bóg! tygodni odbierzesz dokładne uwiadomienie o mojej nowej posadzie. Akt darowizny muszę na nowo przerabiać, ażeby nie miano prawa wymagać tu stępla odpowiadającego wartości rzeczy: tymczasem zaś działaj na mocy plenipotencyi. Z nabywcami warszawskimi nie wdawaj się, jak chyba za gotowe pieniądze: w niedość ostrożnej transakcyi zguba nieochybna. Przetrzymaliśmy najokropniejszą epokę, dopomoże Bóg przetrzymać i resztę biednego czasu. Oczekuję z upragnieniem dalszych od Ciebie doniesień o ukończeniu kłopotliwych prześladowań, któremi Ciebie tak nieludzko, tak niesprawiedliwie dotknięto. Odpuść Im o Boże!“

Tak się kończy ostatni z dochowanych listów Józefa Kalasantego Szaniawskiego i ostatni list korespondencyi z 1831 r. Nie masz w tych listach, które są, żadnej wzmianki o przejmujących wówczas Warszawę wypadkach, dyktaturze Chłopickiego, Grochowie, Ostrołęce. Konspirator z czasu Kościuszki i legionów, troszczy się jedynie swoim losem, kto wie, czy serce jego w owych wielkich chwilach zabiło — zdawna na te sprawy zamknięte.

Przeszedł krótki czas powstania. Przeszło to, co wielu było istnieniem duszy, Polska upadła raz jeszcze. Szaniawski wrócił do kraju. Gdy na wygnaniu pędzili żywot dawni jego towarzysze, dawny zwierzchnik ks. Adam Czartoryski i dawny podwładny—Mochnacki, on został członkiem najwyższego rosyjskiego sądu kryminalnego w Warszawie, przed który szły sprawy spiskowych. Umarł w wieku późnym—na emeryturze. Część jego ksiąg zakupił rząd dla biblioteki publicznej.

Droga, na którą wszedł i losy nieszczęsne kraju — tutaj go wywiodły.

Miecz. Smolarski.

Robert Schumann

(SYLWETKA JUBILEUSZOWA).

W chwili, gdy dalekiem echem rozbrzmiewają akordy jubileuszowych godów ku czci Chopina, odbiera pokrewny Chopinowi duch, Robert Schumann, w setną rocznicę swoich urodzin, hołd świata muzycznego, korzącego się przed tragedyą jego życia i twórczości. W promiennych blaskach chopinowskiej sztuki postać Schumanna nietylko nie blednie, lecz przeciwnie, uwypukla się i przyobleka w słoneczną aureolę, bo jakaś tajemna nić oplotła te dwa bratnie duchy i połączyła nierozerwalnym węzłem ich nazwiska: gdyby Schumann nic więcej nie wyśpiewał, prócz entuzyastycznego hymnu na cześć chopinowskich poematów — starczyłoby to, by mu zapewnić tytuł do naszej pamięci i hołdu.

W duszy Schumanna rozegrała się tragiczna walka między porywem ducha, rwącego się na wyżyny prometejskich zmagań, a bolesną niemocą przetopienia wszystkich tęsknot i uczuć w słyszalny dźwięk. Z tego rozszczepienia ducha i rozdźwięku między pragnieniem a bezsiłą wyrosło męczeństwo Schumanna. Nic bardziej przygnębiającego nad jego życie: świt wróżył przyszłość, pełną blasków i radości, zmierzch życia utonął w mrokach obłędu, który stoczył wątły organizm artysty; snadź długo nurtować musiał ten niewidzialny wróg w głębinach duszy, szerząc swe dzieło zniszczenia, bo on to wyrzeźbił ów chorobliwy rys posępnej zadumy na twarzy Schumanna, on znienacka dobywał się na powierzchnię i zdławionym krzykiem czającej się trwogi płoszył uśmiech wesela, który pierzchał w złowrogiem przeczuciu przed tajemnym demonem, on wreszcie osiadał na ustach w zaklętem milczeniu i kamienną martwotą obłędnej melancholii kładł widmowe cienie na duszę Schumanna. W śmiertelnych zapasach z po-

tężnym demonem wzbierał i nabrzmiewał ból, wżerał się coraz głębiej, aż wybuchnął straszliwym jękiem bezdennej rozpaczy: z bólu narodziła się muzyka Schumanna.

Nazwano Schumanna „pogrobowcem romantyzmu“ — i słusznie. Wykarmiony poezyą Jean Paula i fantasty E. T. A. Hoffmanna wzrósł Schumann w atmosferze, przesyconej romantycznym tonem, w kręgu ideałów, które pieściła fantazya, podniecona egzaltacyą uczuć, odwracająca się od szarej rzeczywistości ku legendowym światom mistycznego średniowiecza. Najszlachetniejsze dążenia romantyków, by życie wysubtelnić i przepoić poezyą, ich tęsknota za syntezą sztuki, zamykającej w sobie słowo i dźwięk, linię i barwę, za „uniwersalną“ poezyą, działającą bezpośrednio na uczucie, oto węzły, zespalające twórczość Schumanna z romantyzmem. Romantyzm—to jedno z najbardziej charakterystycznych znamion w muzyce Schumanna.

Lecz w romantyzmie nie wyczerpuje się całkowicie indywidualność twórcza Schumanna. Ponad wszystkiem góruje odrębny, subjektywny wyraz, uderzający na pierwsze wejrzenie i zabarwiający specyficznym tonem każdą nutę schumannowskiej muzyki: wiośniany czar i szczerość uczucia, subtelna, niemal kobieca wrażliwość, która tętni nerwowem podnieceniem, miękki liryzm, rozpływający się w melancholijnem marzeniu, nieświadomy, wizyonerski stan, wahający się między półsnem a jawą, i krótkie, urywane błyski myśli, jędrne w swej koncentracyi i sile wyrazu.

Często spotykana u romantyków i w dobie poromantycznej dwoistość talentu literackiego i muzycznego (E. T. A. Hoffmann, Berlioz, Cornelius, Liszt, Wagner) występuje także u Schumanna: w jednej osobie poeta i muzyk, powołany był do urzeczywistnienia estetycznych ideałów romantyki. Ta dwoistość talentu objawiła się bardzo wcześnie: żyłka literacka, odziedziczona po ojcu, ruchliwym księgarzu-nakładcy, skłaniała go do poezyi; pierwsze próby poetyckie, wiersze, pisane pod wpływem Jean Paula, sentymentalne powieści zapowiadały poetę niezwykłej miary. Obok tego tlał jeszcze słabym płomieniem zapał do muzyki, nie znajdujący dość silnej podniety w atmosferze domowej. Przez długi czas wahał się między poezyą a muzyką, lecz niejasne zrazu umiłowanie muzyki przerodziło się zwolna w namiętność i wybuchnęło potężnym żarem ognia: muzyka zwyciężyła.

Schumann porzucił rozpoczęte studya prawnicze, a poświęcił się wyłącznie muzyce i z wytężeniem wszystkich sił, niemal w chorobliwem napięciu gorączki zagłębił się w nową sferę ducha, jakby chciał jednym tchem wchłonąć w siebie upragnione światy

i nadsporzyć spóźniony czas i braki. Z dzieł Bacha i Schuberta czerpiąc nieocenione skarby wiedzy, oddał się grze fortepianowej i niebawem pod systematycznym kierunkiem pianisty Fr. Wiecka (ojca słynnej Klary W., późniejszej żony Schumanna, niezrównanej interpretatorki jego utworów) owładnął wszystkimi tajnikami fortepianowej techniki, a nawet postanowił pod fascynującym wpływem gry Paganiniego poświęcić się karyerze wirtuozowskiej; lecz paraliż ręki, spowodowany zbyt forsownem ćwiczeniem, zmusił go do porzucenia tej myśli i skierował na właściwe pole sztuki, rzucając go wyłącznie w ramiona twórczości.

Do nowego zawodu artystycznego wnosił Schumann, prócz muzycznego geniuszu, pierwiastek poetycki i siłę intellektualną, opartą na głębokiej wiedzy i ogarniającą najrozleglejsze widnokręgi. Z młodzieńczym zapałem wystąpił w szranki, by pod znakiem romantyki odrodzić zastygającą w skostniałym formaliźmie uświęconej tradycyi sztukę i pobudzić ją tchnieniem młodości do nowego życia. W związku z ogólnym prądem romantyki, wyzwalającej się z krępujących więzów konwenansu, stawiającej sztukę nie jako abstrakcyjne bożyszcze ponad życiem, ale jako bezpośredni wyraz życia, odzwierciedlający wszystkie jego otchłanie i wyżyny — nastąpił i w muzyce zwrot od szerokiéj plastyki i „klasycznego“ spokoju formy sonatowej ku subjektywnym światom uczuć i myśli, ku nowym formom, wyrosłym z ducha epoki: stało się to pod wpływem „ostatnich“ kwartetów Beethovena. Nie symfonie, mieniące się przepychem barw orkiestralnych, lecz krótkie poematy nastrojowe, urywane strzępy myśli, subtelne impresye zamknęły w sobie wszystkie uczucia i tęsknoty nowego pokolenia, wyśpiewały jego duszę.

Stąd i u Schumanna przeważa forma muzycznej *miniatury*. Napozór bezładne, pozbawione planu, bez wyrazistych konturów i jasno określonej formy „klasycznych wzorów,“ mają przecież te miniatury, tworzące cykliczną całość, nadzwyczaj logiczną, odrębną i związaną z wewnętrzną treścią, budowę. Dalekie od grubego sentymentalizmu i płytkości mendelsohnowskich „Pieśni bez słów“ („Lieder ohne Worte—und Sinn,“ jak je dowcipnie nazwał jeden z krytyków), istne pieścidełka, pełne cieniowań, olśniewają czarem harmonii, pozbawionej wprost materyalnego dźwięku, śmiałością pomysłów i w swej eterycznej miękkości, rozpływającej się we mgle pastelowej kolorystyki, zdają się rozsiewać upajającą woń. Na fali uczucia wypływa myśl krótka i zwięzła, błyśnie na chwilę, by miejsca ustąpić innej, która również ledwo muśnie przelotnie powierzchnię, już pierzcha. Motywy muzyczne w „Mi-

niaturach“ schumanowskich, z natury rzeczy krótkie i skoncentrowane, nie nadają się wprawdzie do rozsnucia w najrozmaitszych odmianach tematycznych, lecz właśnie ujęte w niewielkie ramy lirycznych poematów, odsłaniają całą skalę piękności i siłę charakterystyki.

Objawia się w nich bowiem ścisły związek między myślą muzyczną a konkretnym obrazem i silna tendencya do oparcia się o program poetycki. Przeprowadzając praktycznie zasadę E. T. A. Hoffmanna o przesyceniu muzyki pierwiastkami poetyckimi, nie kusił się Schumann o to, by niewolniczo trzymać się programu i wszystkie szczegóły wiernie illustrować, bo by to wykraczało poza sferę muzyki, lecz pragnął przedewszystkiem oddać to, co stanowiło uczuciową substancyę poetyckiego obrazu, odtworzyć jego wewnętrzny nastrój. Stąd te fantastyczne, literackie tytuły utworów, jak Papillons, Carneval, Kreisleriana, Kinderscenen, Novelletten, przyczem nie należy zapominać o tem, że Schumann nadawał je dopiero po skomponowaniu.

W tych „Miniaturach“ muzycznych staje Schumann przed nami jako subtelny malarz psychicznych stanów, zdolny najlżejszym drgnieniom duszy, wszystkim pragnieniom, porywom i walkom nadać właściwy wyraz. W cudownej mieszaninie powiewnego wdzięku i wiośnianej pogody, w tajemnym mroku łzawej zadumy i melancholijnej skargi, w dusznej, oszałamiającej zmysły atmosferze namiętnej tęsknoty przemawia bezpośrednio dusza artysty i oplata czarodziejską nicią duszę słuchacza. Urokiem poufnej, osobistej spowiedzi owiane są i „Fantasie-Stücke“ (z popularnem „Warum“) i niezrównane „Kinderscenen,“ sączące przez mgłę odległych wspomnień wrażenia lat dziecięcych, i „Karnawał,“ tryskający życiem i humorem, pełen subtelnej rytmiki ze słynnym marszem „contre les Philistins,“ jakby symbolem wiecznie żywej i młodej siły, idącej w zapasy z martwotą tępego zastoju.

Na jedną charakterystyczną nutę w muzyce Schumanna zwrócić należy uwagę: oto wśród pogody, wybuchów śmiechu i wesołości nagle milknie nuta taneczna, głos się załamuje, wesołe rytmy pierzchają, zmącone nagłym dreszczem niepokoju i trwogi, śmiech rozpływa się w melancholijnej tęsknocie, głuchy nastrój cichej rezygnacyi kładzie się chmurą smutku i posępnej żałoby. To czuwa—demon obłędu! Tak brzmią „Nachtstücke“ op. 23 mroczne nastroje nocy, gorączkowe majaczenia podnieconej wyobraźni, spowite ciężką oponą głębokiego przygnębienia: wizye pogrzebów, korowody duchów z rozwianym włosem na głowie i roz-

paczą przerażenia na twarzy. Ten sam ponury, zasadniczy ton dźwięczy w niektórych fragmentach większych utworów, jak w finale F-moll Koncertu („sans orchestre"), gdzie przybiera prawdziwie wizyonerskie kształty i wybucha istnym orkanem namiętności, lub w Sonacie fis-moll, która płonie demonicznym żarem i wre, jak kipiący gejzyr, w ekstazie bolesnego szału.

W twórczości Schumanna fortepian był wyłącznym tłómaczem myśli i przebogatej skali uczuć. W utworach fortepianowych spoczywa nietylko najpoufniejszy świat osobistych przeżyć artysty, ale zarazem tkwi główna siła i postępowy charakter muzyki schumannowskiej, gdyż ich styl stał się punktem wyjścia dla nowoczesnej techniki fortepianowej. Wszystkie zdobycze techniczne, świetnie rozwinięte przez Chopina i Liszta, jak bogata figuracya, niezwykłe efekty dźwiękowe, szeroko rozłożone akordy, użycie pedału dla gry wiązanej spotykamy w zarodku u Schumanna, traktującego fortepian polifonicznie, orkiestralnie (por. „Etudes symphoniques"); na miejsce błyskotliwego wirtuozostwa passażów stworzył Schumann styl, wyrosły organicznie z fortepianu i natury jego dźwięku i nadający niezatarte piętno nietylko kompozycyom fortepianowym, ale i orkiestrowym: symfonie schumannowskie, mimo niezrównanych piękności lirycznych i iście beethovenowskiej głębi, pozbawione są kolorytu orkiestralnego, gdyż pomyślane przy fortepianie, potem zostały wtłoczone w ramy instrumentacyi. W fortepianowych poematach Schumanna, stanowiących młodzieńczą epokę jego twórczości, spotyka się najwięcej błysków prawdziwie genialnych; tu przejawia się najściślejsza łączność jego muzyki z duszą współczesną i tu tkwią zasadnicze pierwiastki jego wpływu na Francyę i Młodą Rosyę, z któremi go łączy wiele punktów stycznych.

Wyrazem poufnych spowiedzi duszy i serca i najcenniejszym osobistym dokumentem są, obok miniatur fortepianowych, „Pieśni" Schumanna, stworzone w r. 1840, w czasie walki o rękę Klary Wieck i wynikłych stąd denerwujących przeżyć duchowych. Oparte na liryce romantycznej Heinego, Rückerta, Eichendorffa, Chamissa, odznaczają się nietyle siłą inwencyi melodyjnej, ile raczej poetyckim nastrojem, stapiającym najściślej słowo z dźwiękiem muzycznym, głębią i szczerością uczucia, subtelnym kolorytem harmonii, a przedewszystkiem pogłębieniem partyi fortepianowej. Zwłaszcza tam, gdzie myśl lub treść uczuciowa liryki zbyt skomplikowana nieda się bez reszty wypowiedzieć śpiewem, tam fortepian, wyzwalając się ze swej biernej roli wtóru, wlokącego się za melodyą, staje się tłómaczem myśli i w dłuższych preludyach

snuje symfoniczne przędziwo tonów, odzwierciedlając duchowy nastrój utworu; chwilami osiąga fortepian taką przewagę nad śpiewem, że przytłacza melodyę i narusza wewnętrzną harmonię pieśni. Ale to wyjątkowo: gdyż w zasadzie stały się „Pieśni“ Schumanna tak pod względem faktury, jak prostoty wyrazu i szczerości uczucia, „klasycznym“ wzorem muzycznej liryki i przygotowały nowoczesną pieśń, skrystalizowaną w twórczości Corneliusa i Hugona Wolfa. Zwłaszcza w nastrojach miękkich, marzycielskich lśni dusza Schumanna kryształem najczystszych barw („Mondnacht“) lub w pieśniach, uderzających w ton ludowy, tchnie liliową białością wzniosłego natchnienia („Marienkäferchen“).

Równolegle z twórczością muzyczną rozwijał Schumann działalność krytyka: w roku 1834 założył pismo „Neue Zeitschrift für Musik,“ mające skupić wszystkie postępowe żywioły do bezwzględnej walki z wstecznictwem, filisterstwem, zepsuciem w dziedzinie sztuki. Obok osobistych zalet charakteru wnosił Schumann do zawodu krytyka głębokie wykształcenie i niezwykłe oczytanie, wytrawny sąd, przepyszny styl, owiany urokiem fantazyi, intuicyę artystyczną, zdolną wniknąć w najgłębsze otchłanie ducha. Około tego pisma grupować się miał idealny „Davidsbund,“ związek, istniejący tylko „w głowie założyciela,“ z królem Dawidem, zwycięzcą Filistynów, jako patronem na czele; członkowie, noszący fantastyczne imiona, to nie realne postacie, ale symbole dwoistej natury Schumanna, portrety jego duszy: Florestan, namiętny i niepohamowany rewolucyonista, gwałtownego przewrotu żądny, i Euzebius, melancholijny marzyciel, rozpływający się w miękkich nastrojach i subtelnych półtonach uczuć. Z nowego pisma idzie rzeczowa, krytyczna ocena wszystkich współczesnych objawów życia muzycznego, bez żółci, bez służalczego hołdu dla uznanych autorytetów, pełna zrozumienia dla każdej artystycznej formy, w której widzi tylko zewnętrzny środek wyrazu, będący wypadkową formą prądów, panujących w pewnej epoce. Z nowego pisma płyną hasła, które budzą cześć dla indywidualnych światów artysty i kształcą świadomość ogółu dla odczucia i zrozumienia arcydzieł; jak głos fanfary brzmi pobudka: wyplenić chwasty! precz z dogmatami estetycznymi! młodości, czynu, postępu!

Czy Schumann śpiewa pochwalny hymn na cześć chopinowskich poematów, poruszających współbrzmiące struny jego duszy, lub ocenia rewolucyjny czyn Berlioza we wzorowej pod względem metodycznym analizie, czy odsłania mistyczne światy piękna, zakute w szubertowskiej Symfonii (C-dur), którą z pyłu archiwalnego odgrzebał, lub zrażony do wewnętrznej próżni muzyki Meyer-

beera smaga biczem nielitościwej krytyki jego „Hugenotów“— zawsze na dnie duszy drga idealizm, owiany głębokiem umiłowaniem sprawy. Krytyczne pisma Schumanna ujęły w widomą formę to, co ówczesne pokolenie w tęsknocie za „prajednością sztuki“ instynktownie odczuwało; głosząc zasadę syntetycznej sztuki, dał Schumann potężny impuls na przyszłość i stał się pionierem nowoczesnej muzyki i jej estetyki.

A przecież te rewolucyjnym duchem przesiąkłe pisma Schumanna stały się powodem krzywdzących ataków ze strony obozu „wagnerowskiego,“ nie mogącego mu przebaczyć, że on, który z entuzyazmem powitał młodzieńcze utwory Chopina, zamknął swoje krytyczne pisma apoteozą pseudoklasycznych sonat Brahmsa, którego przeciwnicy Wagnera wysunęli jako swego rzecznika przeciw nowemu bojownikowi na polu sztuki. Pod kątem widzenia późniejszych przeciwieństw, wyrosłych między Schumannem a Wagnerem, rozpatruje wroga opozycya schumannowska z błędnego stanowiska jego twórczość kompozytorską, starając się obniżyć rolę Schumanna w dziedzinie muzyki na korzyść jego zasług literackich i zarzuca mu, że muzyka jego pozbawiona jest charakteru bezpośredniości, jest czemś nieorganicznem, sztucznie zaszczepionem w jego duszy, że Schumann tworzył bez wewnętrznego impulsu, gdyż był talentem literackim, czego dowodem jego młodzieńcze utwory poetyckie, podczas gdy muzyka nie była naturalnym wyrazem jego duszy. Schumann to — według nich — „zaściankowy talent,“ „ulubieniec muzycznego filisterstwa“ (M. Graf.). Na poparcie swych wywodów przytaczają przeciwnicy fakt, że Schumann nie odziedziczył talentu muzycznego, gdyż w rodzinie nie było tradycyj muzycznych, że się wysilił w walce ze swoją naturą i popadł w obłęd, płynąc przeciw prądowi, bo twórczość muzyczna, zamiast dać mu wyzwolenie, stała się klątwą, pod brzemieniem której duch jego się ugiął.

Mimo jednostronnego zabarwienia, przebijającego się z tych zarzutów, nie da się zaprzeczyć, że jest u Schumanna obłędne pragnienie czynu i niezdrowa ambicya, chwytająca się najśmielszych pomysłów i porywająca się na dzieła gigantyczne, które stanowczo przerastają jego wątłe siły. W przystępie owładającego nim „obłędu wielkości“ tworzy Schumann dzieła symfoniczne (symfonie C. Es.), choralne („der Rose Pilgerfahrt“) coraz większych rozmiarów, aż w końcu pragnie ogarnąć muzyką swoją najgłębszą tragedyę ludzkiego męczeństwa: „Fausta.“ Wprawdzie miłosna liryka „Fausta“ i fantastyczny pierwiastek nadzmysłowych światów znalazły w muzyce Schumanna współdźwięczny

ton, lecz dla odtworzenia poetyckich głębin, podniosłego patosu i mistycznej sfery ducha, zamykającej w sobie melancholie wszechludzkiego bólu—cichy liryk nie zdołał wydobyć wymownych akcentów, wstrząsających dramatyczną siłą. Naiwnością jest zdanie, że muzyka Schumanna do II części „Fausta“ stanowi najlepszy komentarz, odsłaniający allegoryczny mistycyzm poematu, niedostępnego dla zrozumienia ogółu, gdyż — jak trafnie powiedział jeden z współczesnych estetyków—faustowskie „sceny“ Schumanna—to „niedojrzały embryon operowy bez wydatniejszej charakterystyki instrumentalnej i wokalnej.“

Pod wpływem nieprzyjaznych sądów opozycyi o muzyce Schumanną powszechne uwielbienie dla jego sztuki poczęło słabnąć i z dniem każdym malała liczba zwolenników. Dopiero krytyczna ocena jego twórczości, napisana przez d-ra A. Seidla („Wagneriana“ t. II, „R. Schumann und die Neudeutschen“), podkreślająca silną indywidualność artystyczną Schumanna, postępowy charakter i zdobycze jego muzyki, sprowadziła korzystny zwrot w ogólnej opinii. D-r Seidl pełną wymierzył Schumannowi sprawiedliwość, dowodząc, że jego twórczość należy uważać za pośrednie ogniwo między romantyzmem a „szkołą weimarską,“ że muzyka jego wypłynęła z tych samych założeń i tendencyj, co muzyka Wagnera i Liszta. W „Genowefie“ (tekst Hebbla) orkiestra jest środkiem dramatycznego wyrazu i symfoniczną tkaniną, ściśle zespoloną z akcyą i uzupełniającą psychologiczne tło dramatu; Symfonia D-moll, pomyślana jako „symfoniczna fantazya,“ rozsadza tradycyjną formę sonatową, zestawiając obok siebie bez pauz poszczególne części orkiestralne, spływające w jednolitą całość i formalnie toruje drogę „symfonicznym poematom“ Liszta; tematyczne rozsnucie myśli muzycznej w utworach Schumanna wyprzedza wagnerowską technikę „przewodnich motywów“ (Leitmotiv).

Zarzut, że muzyka Schumanna była czemś „sztucznie zaszczepionem“ w jego duchowym organizmie, że nie płynęła bezpośrednio ze źródeł duszy, jest bezpodstawny, gdyż w cudownym zespole dwoistego talentu jego geniusz muzyczny płonął jasnością tęczowych blasków i najlżejsze podmuchy uczucia, które poruszały wrażliwe, niby harfy, włókna jego duszy, przetapiał na dźwięki, drgające echem serdecznych bólów, tęsknot i umiłowań. Dość wsłuchać się we wspaniałą muzykę do „Manfreda,“ w której twórcza fantazya Schumanna wzbiła się na najwyższe szczyty: muzyka, spowita w ponury koloryt melancholijnej liryki, stanowi kongenialny wyraz byronowskiego poematu.

A jakąż czarowną moc i skarbnicę muzycznych piękności kryje w sobie schumannowska muzyka komnatowa, a w szczególności „kwartety smyczkowe," w których wyśpiewała się marzycielsko-shelleyowska natura artysty, tęsknym smutkiem przepojona i do kontemplacyi skłonna! Ujęte w poszczególne ustępy nastrojowe subtelnością wypieszczonych szczegółów tematycznych, intymnym charakterem i szczerością uczuć odsłaniają cztery instrumenty zespołu w całej nagości duszę Schumanna; zwłaszcza jeden z instrumentów, posępna wiola, szczególnie przez Schumanna umiłowana, drga oddźwiękiem osobistych uczuć, melancholijną nutą tęsknicy i skargi.

Najwybitniejszym rysem w sztuce Schumanna jest liryzm, rozpływający się w nieokreślonych stanach subjektywnych nastrojów. Ten dominujący ton liryczny w jego artystycznej indywidualności sprawił, że utwory dramatyczne i symfoniczne, wymagające plastycznej siły charakterystyki, śmiałych linij, perspektywicznych rzutów i epicznego spokoju, pozbawione są przejrzystości i otulone mgłą, zacierającą kontury myśli: stąd nierówność i niejednolitość tonu; obok części, stojących na wyżynach natchnienia, jest wiele ustępów słabych.

Lecz nad wszystkiem unosi się niezaprzeczone znamię geniuszu.

Gdybyśmy w dziedzinie ducha szukali pokrewnej Schumannowi postaci, to dziwną analogię znaleźlibyśmy w przedwcześnie zgasłym pieśniarzu, Hugonie Wolfie. I w jego muzyce dźwięczy ta sama schumannowska melancholia, liryzm i łzawa zaduma, i w jego życiu ten sam posępny ton i tragizm bolesny; a gdy duch jego pogrążył się w mrokach obłędu — i on w zamachu samobójczym szukał wyzwolenia z męczeństwa życia.

Józef Władysław Reiss.

PAMIĘTNIK DEOTYMY.

V.

O własnych skrzydłach.

Bóg jednak nie pozwolił, ażebym została w zupełnych ciemnościach. I tu jest jedna z chwil mego życia, w których najwyraźniej dostrzegam celowe działanie Opatrzności.

Oto w czasach, gdy słońce mego szczęścia zaczęło się już chylić do zachodu, wtedy właśnie, od drugiej strony widnokręgu wzeszła cicha gwiazda Przyjaźni, tak, że choć później noc nastała, nie straciłam drogi, bo błękitny promyk tej gwiazdy zaświecił mi dobroczynnie i dotąd świeci jak drogowskaz.

W owej chwili osierocenia od moich najbliższych nie doznałam tyle opieki, ani tyle serca, ile mogłam ich się spodziewać. Jedna tylko moja przyjaciółka, pani Eugenia Wolff, okazała mi bezgraniczne poświęcenie, była mi niezłomną podporą, mądrą radą i niewyczerpaną pociechą, tem cenniejszą, że nie usiłowała pocieszać mnie czczemi słowami, ale umiała razem ze mną płakać. Ach, i ona była cierpieniem już wypróbowana! Już sama opłakiwała dwoje najmilszych dziatek... A ileż innych ciosów jeszcze ją czekało! Ileż klęsk serdecznych miałyśmy jeszcze razem w ciągu lat przeboleć!

Nie dziw, że znalazłszy w niej tyle wspólnych uczuć i myśli, zamarzyłam o zamieszkaniu pod jednym z nią dachem. Na nieszczęście, w domu przez nią zajmowanym nie było wówczas żadnego wolnego mieszkania. Oczekując pomyślniejszej pory,

musiałam tymczasowo umieścić się gdzieindziej, mianowicie w domu Olchowicza, gdzie moja ciotka, wojewodzina Wodzińska, i moja kuzynka, księżna Lucyanowa Woroniecka, miały swoje miejskie *pied-à-terre*.

Sąsiedztwo było przyjemne, ale złudne. Te panie spędzały wiosnę, lato i jesień na wsi, a tylko parę zimowych miesięcy poświęcały Warszawie. Tym sposobem przez większą część roku byłam zupełnie osamotniona i to w Jerozolimskiej Alei, naówczas jeszcze tak odludnej, że nieraz wieczór z ganku mego słyszałam rozpaczliwe krzyki przechodniów, napastowanych przez nocnych rabusiów. Ta samotność mocno mi się dała we znaki. Co więcej, mieszkanie moje stało się wkrótce za ciasnem, bo z powodu zaszłej wtedy śmierci mego szwagra, musiałam zająć się potomstwem, pozostałem po mojej siostrze, brać do siebie to jedną, to drugą panienkę, i tak odtąd mi już wypadło nie od starszych być przygarnianą, ale samej młodszych przygarniać.

Dzięki Bogu, niedługo potrwał ów popas na Jerozolimskiem pustkowiu. Już w 1871 roku znalazło się prześliczne i stosowne dla mnie mieszkanie w tym samym domu (naówczas Okęckiego), gdzie mieszkała od lat kilku moja przyjaciółka. Wprowadziłam się tam z radością, a zadowolenie moje zyskało jeszcze trwalsze podstawy, gdy w następnym roku dom ten przeszedł na własność samychże państwa Emanuelostwa Wolffów. Odtąd mogłam się już nie lękać żadnych zmian ani rugów.

Istotnie, oto już przeszło ćwierć wieku przeżyłam w tem uroczem siedlisku, które ma wszelkie zalety, bo znajduje się w środku miasta (na rogu ulic Królewskiej i Marszałkowskiej) — posiada cały szereg okien, wychodzących na ogród Saski (na który tym sposobem już z trzeciej strony spoglądam), a co najważniejsze, czyni mnie sąsiadką pani Eugenii tak bliską, że choć mieszkamy zupełnie osobno, możemy w każdej porze się widywać, i czy to z książką, czy z robótką, czy w rozmowie, czy w zadumaniu snuć coraz nowe ogniwa tej trzydziestoletniej przyjaźni, w którą życie wplotło już tyle cichych uśmiechów i tyle podniosłych smutków.

Pomnąc na odwieczne zdanie, że „dom jest wyłącznem królestwem kobiety,“ i będąc z wrodzonej skłonności zabitą *domatorką*, postanowiłam urządzić sobie mieszkanie tak ładnie i tak stosownie do moich upodobań, aby dom stał się dla mnie prawdziwie przyjemnym. Więc biblioteka dostała ściany i umeblowanie czerwone, szafy do książek ciemne a duże, bo już ich liczba niepomiernie wzrosła. Tu stanęło biurko po moim ojcu, sprzęt

szacowny i niesłychanie wygodny ,przy którym większą część życia przepędzam. Tu stoją szafki z pamiątkami po rodzicach, tu z rzeźbionej niszy świeci wizerunek Przyjaźni. Z tej komnaty usunęłam wszelakie złotości, niema też w niej ani obrazów, ani sztychów (których nie cierpię na ścianach), ale same są tylko rzeźby, posągi na konsolach, popiersia na szafach. Klasyczne ich profile pięknie odbijają od szkarłatu murów i surowy nieco wygląd tej siedziby rozjaśniają swoją promienną białością.

Tuż obok położony, nieduży pokój jadalny przystroiłam po maurytańsku, niby jeden z pieściwych alkierzyków Alhambry.

Salon tu znalazłam bardzo piękny, z gankiem i widokiem na ogród. Salonowi nie pożałowałam już złota, które zaświeciło z obić i zwierciadeł. Wierna wspomnieniom domowym, ubrałam go w meble i firanki *żółte*. U ścian zawisły też same Sybille, też same portrety familijne, co patrzyły na cały przebieg poniedziałków. A i tu miały na co patrzeć. Jeżeli jednak się tak stało, to pomimo mej woli, a nawet poniekąd przeciw mojej woli.

*

* *

Gdy po stracie rodziców zostałam się sama jedna, towarzystwo warszawskie okazało mi niezmierną, nadspodziewaną życzliwość. Jeszcze nie wyszłam z pierwszych miesięcy mojej drugiej żałoby, a już się u mnie drzwi nie zamykały. Duchowni i świeccy, magnaci i literaci, matrony i panienki, dygnitarze i młodzież, wszyscy mię nawiedzali z oświadczeniami przychylności, z ofiarowaniem usług.

Ach, i to jeszcze zawdzięczałam rodzicom, których szanowna pamięć i dobroczynne wpływy jednały teraz córce tę serdeczną wypłatę. I nie był to wybuch jednorazowy, ale nastrój ciągły, coraz to gorętszy Mijały tygodnie i miesiące, a dzwonek u drzwi nie odpoczywał. Czy w dzień czy wieczór, zawsze miałam dom pełen gości. Dla serca mego ten objaw ogólnej życzliwości był nadzwyczaj słodkim. Z innych względów jednakże był on i nieco uciążliwym, bo zabierając mi wszystkie niemal godziny, nie zostawiał mi czasu wolnego do pracy.

A do tej pracy już powoli wracałam. Ach, cóż było robić? Pan Bóg nie chciał mnie przepuścić za furtę doczesnego żywota.

Przeciwnie, częściowo przywracał mi zdrowie. Były to znaki aż nadto wymowne. Jeśli jeszcze cierpiał mnie na ziemi, to zaprawdę nie po to, abym, założywszy ręce, wyczekiwała śmierci, ani po to, abym od rana do nocy przyjmowała gości. Jeśli mi żyć kazał, to była wskazówka, że mam jeszcze do spełnienia jakiś obowiązek. Jaki?—nietrudno było zgadnąć. Cała przeszłość mówiła mi najwyraźniej, że nie żaden inny, jak tylko ów jasny, prosto w oczy bijący, obowiązek zużytkowania danych mi zdolnostek i wywiązania się z długu, zaciągniętego względem społeczeństwa.

Wszystko to sobie dobitnie powiedziałam i, jak więzień, który, zamiast uwolnienia, słyszy wyrok, skazujący go na nowe roboty, z ciężkiem westchnieniem zabrałam się do pracy. Ale—jak wyżej natrąciłam — do tej pracy potrzeba mi było dużo wolnego czasu, zwłaszcza godzin wieczornych, w których zawsze Muza jest mi najpowolniejszą.

Czyniąc zatem ofiarę z przyjemności dla obowiązku, postanowiłam sobie, jeden tylko wieczór w tygodniu poświęcać przyjaciołom, a wszystkie inne spędzać samotnie z piórem i książkami. Taki był początek moich tygodniowych przyjęć.

Jak się pokazuje z tej szczerej opowieści, nie myślałam wcale o zakładaniu żadnego *salonu*, przeciwnie, przez długi czas wypierałam się solennie podobnego zamiaru, aby nie przypuszczano, że chcę naśladować nieporównane poniedziałki, lub dotwarzać jakiś ich „ciąg dalszy.“ Nie, tak hardą, ni tak zarozumiałą nie byłam. Wskazując najbliższym jeden dzień w tygodniu, sądziłam, że będą to ciche, skromniuchne „herbatki,“ na które przyjdą dwie lub trzy osoby. Tymczasem, nie upłynęło kilka tygodni, a już przychodziło ich po kilkadziesiąt. Jedni przyprowadzali drugich. Wszystko wrzało życzliwością, przeciw której trudno było zgryźliwie się bronić. Znów artyści napełnili moje pokoje mnóstwem portretów i popiersi, znów moje szkatułki zakwieciły się odezwami łaskawych poetów i przeróżnych pisarzy.

Dla zajęcia tak licznych gości, nie wystarczała rozmowa, która w dużem zgromadzeniu źle się nawiązuje. Poszukałam pomocy w muzyce i ta przez lat kilka rzęsiście mój dom ożywiała. Szukałam jej skwapliwie i w kole piszących, ale tutaj mało spotkałam współdziałania. I nietylko wówczas, ale i przez wszystkie następujące lata, zawsze mi było ciężko namówić kogo z literatów albo literatek do czytania w moim salonie. Żądano wprawdzie, ażebym ja ich zastąpiła. Otóż wyznaję, że z początku czyniłam to niechętnie; we własnym domu wysuwać zawsze na przód

swoją własną osobę, to mi się zdawało rzeczą niewłaściwą. Wszelako, wiele ten robi, co musi. W braku innych czytań, musiałam uciec się do własnych i zaczęłam częstować gości owocami tej mojej pracy, która przez inne dni tygodnia po cichu dojrzewała.

Kierunek jej znalazł się już w duszy gotowy; był to ten sam, który na kilka lat pierwej poruszyłam w Wandzie, a którego drganie jeszcze nie ustało, bo jeszcze go do dna nie wyczerpałam. Zawierał on dwa pierwiastki: pogląd na tak zwaną dziś „kwestyę kobiecą“ i odwiecznie z nią związany pogląd na miłość w jej romansowem znaczeniu.

Tej ostatniej struny mogłam śmiało dotykać teraz, kiedy już weszłam w moją drugą młodość. Więc przyglądałam się sercom ciekawie, podpatrywałam ich grę w pół zakrytą. Z tych to studyów idealno-artystycznych powstały w ciągu lat kilku różne poemaciki i wiersze ulotne, jak np.: „Noc Świętojańska,“ „Ty pójdziesz górą, ja pójdę doliną,“ „Objawienie się Muzy,“ „Śpiew na dwa głosy,“ „Wyznanie,“ „Oczekiwanie,“ „Pożegnanie,“ „Biała róża,“ „Oda do miłości,“ „Powrót gołębia,“ a nieco później i „Trzy róże.“ Streszczeniem zaś poglądów na „kwestyę kobiecą“ był wiersz p. t. „Stanowisko kobiety.“

Powstawały też i poezye osnute na innych wątkach, jak „Sen,“ „Pieśń błękitna,“ „Królestwo ideału,“ „Symfonia życia.“ Ta ostatnia została pięknie odegrana w Wielkim teatrze w Warszawie na setną rocznicę urodzin Beethovena. W tych wszystkich utworach zauważyłam niezaprzeczony postęp. Miały one pewną miękkość zarysów, a zarazem i jędrność kształtów, na którą przed laty kilkunastu nie byłabym umiała się zdobyć. Pozbyłam się też nakoniec owej zbytecznej obfitości, co zwykle wybuja na młodocianym gruncie; dawniej wpadałam ciągle w epizody, schodziłam co chwila na jakieś boczne ścieżki, co mnie kusiły i odciągały od głównej prostej drogi, tak, że po spokojnem odczytaniu całości musiałam odcinać tu sto, tam dwieście wierszy, które same z siebie były dobre, ale niezupełnie potrzebne, a zatem najzupełniej niepotrzebne. Teraz tym fałszywym pędom nie pozwalam się rozrastać i mój ogródek zaczął wyglądać porządniej.

Trudno jednak było na każden tydzień upiec nową poezyę, a moi goście wciąż się dopominali nowych i skarżyli się, że ich głodzę. Wśród jednego z takich ogłodzeń przypomniałam sobie rękopism „Wandy,“ której nikt jeszcze nie znał i, powiązawszy niedokończone sceny, zaczęłam ją czytać na moich zebraniach. Prawda, że „Wanda“ kosztowała mnie dziesięć lat rozmyślania i kilka lat wielkiej pracy, nigdy jednak nie przypuszczałam, aby

mi się miała tak sowicie opłacić. Co to za cudne były tygodnie owych czytań! Goście moi nie chcieli wierzyć, aby rzeczy równie „ogniste“ mogły wyjść z pod pióra owej niby *chłodnej* autorki. Przyjmowali je też ogniście, i wtedy to po raz pierwszy uczułam ów prąd elektryczny, który nawiązuje się niekiedy między mówcą a słuchaczami. Co tydzień on wzrastał, aż nakoniec roztopił się w rzewnem rozczuleniu, gdy mi podano dary, mające upamiętnić te drogie dla mnie chwile. Było to wspaniałe *album* do fotografij, z wyrzniętemi na srebrze scenami z dramatu, pyszny *świecznik*, przy którego symbolicznych płomieniach odbywają się odtąd wszystkie moje czytania, i, wykonany przez Syrewicza, prześliczny *posążek Wandy*, który od tej chwili stale zdobi kolumnę mego biurka. Na domiar uroków, urządzono w Wielkim teatrze *Obrazy z żywych osób*, przedstawiające różne sceny z „Wandy.“ Wchodziło do nich aż osiemdziesiąt osób, samych amatorów i amatorek z naszego towarzystwa. Stroną artystyczną kierował bardzo biegle wielki mój przyjaciel, Aleksander Lesser, i wszystko udało się przedziwnie. Przedstawienie zostało powtórzone dwukrotnie, raz na cele dobroczynne, drugi raz na młodzież uniwersytecką. Ile tam doznałam chlubnych wrażeń, tego i nie śmiem opisywać.

Po tylu zachętach czułam się gwałtownie zobowiązaną do stworzenia czegoś nowego i rzeczywiście przez jedną zimę 1872 roku napisałam cały dramat, „Narzeczoną z Ogrodzieńca.“ Rzecz ta, osnuta na podaniu z dwunastego wieku, dawno mnie już nęciła i stała się dla „Polski w pieśni“ szerokim nabytkiem. Czytanie jej zapełniło kilka wieczorów, które wypadały coraz świetniej.

Jednym z najświetniejszych był wieczór, urządzony dnia 1 marca 1873 r. Cały kraj wtedy obchodził czterechsetną rocznicę urodzin Kopernika i ja też chciałam uczcić go w moim domu, a przy tej sposobności mogłam uczcić i pamięć mojej matki, co było dla mnie równie chlubnem jak słodkiem.

„Słoneczna Kantata“ (którą na żądanie Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, napisałam do „Albumu Jubileuszowego“) została wtedy u mnie wykonana z bardzo strojnem „uscenizowaniem.“ W głębi salonu, wśród zagajenia, unosił się wysoko posąg Kopernika (dzieło Ludwika Kucharzewskiego), pod posągiem na ukwieconych stalugach jaśniał portret mojej matki, a poniżej leżała księga z polskim przekładem dzieł Kopernika, rozwarta na dedykacyjnej karcie. Wszystkie te przedmioty były połączone wieńcami z powoju.

W takiem otoczeniu „Słoneczna Kantata“ została wypowiedziana przez autorkę przy towarzyszeniu muzyki, zcicha wspiera-

jącej deklamacyę i przy grzmiących śpiewach, które odzywały się trzykrotnie, jako trzy chóry: *Rodaków*, *Narodów* i *Światów*.

Napływ gości był tego dnia ogromny, a nastrój bardzo uroczysty.

Jeszcze w tym samym 1873 roku przystąpiłam do nowej pracy. Drżącem sercem a zuchwałą ręką sięgnęłam do Bolesława Chrobrego i w przeciągu dwóch lat powstały „Rapsody o Chrobrym Królu.“ Jest to poemat zupełnie odmienny od wszystkich innych, jakie napisałam, tkwiła mi bowiem zawsze w pamięci owa przestroga Mickiewicza, co zapytany: „Jak uniknąć *maniery*“? — odpowiedział: „Zmieniając często styl.“

Wprawdzie rada to tak trudna do spełnienia, jak ta, co mówi, że „aby złapać ptaszka, trzeba mu nasypać soli na ogonek.“ Trudna jest, ale w doświadczeniu cudowna. To też całe życie pracowałam nad wyrobieniem sobie coraz nowych gatunków i podgatunków stylu.

Zapędziwszy się raz w owe odległe wieki, chętnie się w nich rozgościłam i zaraz po „Chrobrym,“ w końcu 1875 roku, napisałam rzecz ściśle z nim związaną, scenę dramatyczną p. t. „Biesiada u Ziemomysła.“ Tu po raz pierwszy w moim stylu zaświtała *prostota*. Słuchacze natychmiast ją dostrzegli, a ja się z niej niewymownie ucieszyłam, bo to jest jedna z właściwości najcenniejszych a najtrudniejszych do zdobycia. I tak, „Polsce w pieśni“ coraz to nowe przyrastały gałązki.

*

* *

Jednak w tychże samych latach snuł się i drugi szereg robót, zupełnie odmiennych. Zaczęłam je w roku 1874, na który czekałam z niejaką niecierpliwością, a to z następnego powodu:

Jeszcze w roku 1865, zaraz po powrocie z Czembaru, zaczęłam powieść p. t. „Kassandra Fedele.“ Miała ona opowiedzieć losy słynnej włoskiej improwizatorki tego nazwiska, której żywot przesuwa się, jakby gwiazda, na dziejach Wenecyi z XV wieku.

Podczas podróży po Włoszech rozlubowałam się w tym prześlicznym przedmiocie i zdawało mi się, że robota łatwo mi z nim pójdzie. Tymczasem, po napisaniu kilku luźnych rozdziałów, zatrzymałam się, przestraszona rojem nieprzewidzianych trudności,

tak pod względem studyów historycznych i obyczajowych, jak z powodu budowy, która mi się ciągle, niby domek z kart, rozlatywała. Moi rodzice osądzili, że do takiej pracy jestem jeszcze za młoda, niedość znająca życie, i wszyscy troje postanowiliśmy zgodnie, że dopiero po skończonych czterdziestu latach życia wezmę się do pisania powieści.

Owóż w roku 1874 skończyłam właśnie owe lat czterdzieści. I znów mi się wydało, że już co teraz, to przecie uporam się z tym odmiennym kształtem tworzenia i było mi do niego dosyć pilno, bo zdawna już nosiłam w duszy pewne plany, pewne idee, które tylko w tym kształcie mogłam wypowiedzieć, a które gwałtem prosiły się o życie. Na początek jednak, nie wybrałam owych *ważnych* planów; chciałam pierwej zaprawić się na podrzędnych. Od roku 1874 do końca 1877 napisałam dwie powieści: „Na rozdrożu“ i „Krzyż nad otchłanią.“ Obie kosztowały mnie dużo pracy, dużo borykania się z nowemi dla mnie trudnościami. Że je napisałam, to nic nie szkodzi; były one dla mnie twardą i owocną szkołą. Szkoda tylko, że je wydrukowałam. Trzeba mi było pomnić na przysłowie: „Pierwsze koty za płoty“ i złożyć te rzeczy w Mauzoleum, obok „Piasta“ i dawnego „Sobieskiego.“

Krytyka obeszła się z niemi surowo i bardzo sprawiedliwie uczyniła. Mnie jednak jej sądy wcale nie odjęły fantazyi. Że próbne balony poleciały złą stroną, to jeszcze nie wielkie nieszczęście. Dobra nauka, jak i którędy puszczać je na przyszłość. To też nie zaniechałam tego rodzaju pracy i zaraz w następnym roku 1878 napisałam „Zwierciadlaną zagadkę.“ Tu już spostrzegłam, że balon idzie dobrą stroną. Ta powiastka przyniosła mi sto pociech autorskich.

Teraz, czując się panią położenia, mogłam już przystąpić do owej ważnej, marzonej roboty. Przystąpiłam też do niej natychmiast, jeszcze w końcu tegoż samego 1878 r. Zaczęłam „Branki w Jassyrze.“

Geneza tej pracy sięga bardzo daleko. Jeszcze przed jakiemi dwudziestu pięciu laty, w dniach najpierwszej mojej młodości, gdy wczytywałam się w „Historyę Literatury“ Wiszniewskiego, zastanowił mnie zamieszczony tam wyjątek z „Pamiętników Braciszka Benedykta, Polaka,“ malujący z niesłychaną prawdą i oryginalnością państwo władców mongolskich. Nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem nikt jeszcze nie wyzyskał tych obrazów, tak mocno i tak straszliwie związanych z dziejami naszego kraju, i wtedy już przeczuwałam, że tam leży cała żyła złota, jeszcze przez nikogo nie tknięta.

Pobyt nad Wołgą, gdzie mogłam przyjrzeć się Tatarom, odżywił we mnie te wrażenia. Jednak obrazy mongolskie byłyby pewnie pozostały w tłumie czczych, nieziszczonych planów, gdyby nie inny bodziec, który mnie pchnął do pracy.

Właśnie pod owe czasy nastąpił w mojej duszy wypadek cichy, nikomu niewiadomy, a który dla mnie był niesłychanej doniosłości. Od lat dwudziestu, może i więcej, myśl moja toczyła głuche walki z przeróżnymi duchami Zwątpienia i Przeczenia. O walkach tych świat nie wiedział, bo prawie z nikim o nich nie mówiłam, a już co w moich pismach, to nigdy się z niemi nie zdradzałam, bo czułam, że jeśli człowiek ma prawo pasować się z własnem zwątpieniem, to nie ma prawa zaszczepiać go w innych duszach.

Może jako nagroda za tę wstrzemięźliwość słowa, może jako dar, wymodlony na lepszym świecie przez mojego ojca, około roku 1875 nastąpiło w mojej duszy zupełne zwycięstwo wiary, i to nie tej wiary pacholęcej, która za lada tknięciem przewraca się i kruszy, ale wiary wyrozumowanej, wypróbowanej, nieledwie niepokonalnej, gdyby godziło się przed śmiercią człowieka nazwać go w czemkolwiek niepokonalnym.

Jakiemi drogami doszłam do zdobycia napowrót owego „raju utraconego," to byłaby opowieść za długa i nieużyteczna, bo te same środki, co jednym duszom pomagają, dla drugich na nic się nie zdadzą. Cała ta moja straszna Odyssea wewnętrzna dałaby się streścić w takim czterowierszu:

Ból nas osłabia, dopóki dźga w miarę.
Gdy ją przebierze, dodaje nam siły.
Wielkie cierpienia odjęły mi wiarę,
A jeszcze większe mi ją przywróciły.

Trzeba też wiedzieć, że podobne zwycięstwo przynosi taką radość, takie upojenie, o jakich żadne inne zachwyty nie mogą dać pojęcia. I co najpiękniejsze, to że daje nietylko radość, ale i niezwalczoną chęć podzielenia się tem szczęściem z drugiemi duszami. Człowiek chciałby z dachów ogłaszać swoje wielkie odkrycie, chciałby na placach otrąbywać, że to, co poddawał wątpieniu, lub przeczeniu, to jednak jest! Naprawdę jest! Niezawodnie jest!

Taką to chęcią powodowana, chciałam ludziom wypowiedzieć moje ostateczne przekonania, a wypowiedzieć nie wierszami, które wielu odstraszają, ale pod kształtem przystępnym i wabiącym.

Z tego to powodu rwałam się do pisania powieści, z tej to przyczyny nie dałam się odstręczyć ich niewdzięcznymi początkami, aż przyszła chwila spełnienia moich marzeń.

Ale do utworzenia zupełnego gmachu niedosyć było mongolskich podwalin i chrześcijańskiej kopuły, brakowało jeszcze samych cegieł bajki, a w bajce jakiegoś uczucia, któreby jak cement spoiło całą budowę. Otóż nie! Niczego nie brakowało.

Dawno już dziwiłam się i gniewałam, czemu pisarze przeznaczają w swoich utworach tak przesadzenie szerokie miejsce dla ziemskiej Miłości, a po macoszemu się obchodzą z jej niebiańską siostrą Przyjaźnią, która jednak w życiu tyle znaczy, nierównie więcej niż w książkach?

Jest wprawdzie w Szyllerze kilka boskich kartek, poświęconych owej niebiance, są i w dziełach Bulwera mistrzowskie jej wizerunki, ale dla mnie tego wszystkiego było jeszcze za mało, i od lat młodocianych obiecywałam sobie, że napiszę w tym przedmiocie rzecz wyczerpującą.

Pod naporem tej chęci, już w „Narzeczonej z Ogrodzieńca“ przedstawiłam przyjaźń dwóch rycerzy, ale te postacie, jako podrzędne, nie mogły mnie zadowolnić, zresztą, była to przyjaźń męzka, mnie zaś chodziło głównie o przyjaźń kobiecą, która posiada pewne cechy odrębne, i słodycze sobie tylko właściwe.

Tutaj, w obrazach niewoli tatarskiej, której najliczniejszemi ofiarami zostawały kobiety, otworzyło mi się nakoniec ogromne pole do pokazania takiej Przyjaźni, w całej potędze jej poświęceń, uroków i świętości.

To też mylą się grubo ci krytycy, którzy w „Brankach“ szukają *głównego bohatera*. Nie ma go tam wcale. Jest wprawdzie *para* pierwszorzędna, ale to nie *bohater i bohaterka*, tylko *dwie bohaterki*, w koło których dopiero ustawiają się różne postacie męzkie, wszystkie drugorzędne.

Pisanie „Branek“ poszło mi posuwiście; zużyłam na nie tylko dwie zimy, co jest bardzo mało, zwłaszcza gdy się wspomni, że potrzebne do nich a zmudne studya, robiłam przeważnie w czasie samego pisania. Rzecz cała była już tak przemyślana i odczuta, że ulała się łatwo. Przytem trzeba jeszcze pamiętać, że nałożyłam na siebie pewien dobrowolny przymus, który się przyczynił do szybszej roboty, miałam bowiem ledwie kilka pierwszych rozdziałów gotowych, kiedy już zaczęłam „Branki“ czytać moim gościom, co sprawiło, że dalej musiałam z czwartku na czwartek co sił się dopędzać. Słodkie wspomnienie zostało mi z owych wieczorów. Goście słuchali mnie z łaskawą myślą i go-

rącem sercem, a w końcu obdarzyli mnie zbiorową pamiątką, tą cudną *Złotą Różą*, która wespół z posążkiem Wandy zdobi moje biurko, i ciągle kwitnie mi w oczach jak wesoła wróżba.

Jest jednakże w wydaniu „Branek“ pewna niedokładność, która mi mocno dolega. Dzieło napisane pod natchnieniem Przyjaźni, należało się z prawa mojej przyjaciółce. To też chciałam przypisać jej ten utwór i już wytrysła mi z pod pióra Dedykacya wierszem, której nawet byłam dość rada. Cóż, kiedy druga strona położyła swe przemocne veto... Moja przyjaciółka przyjęła rękopism Dedykacyjny z rozczuleniem, schowała go na pamiątkę, ale — powodowana tą skromnością, która u niej dochodzi do zakonnej pokory, nie pozwoliła na jego wydrukowanie w książce. I tak, „Branki“ ukazały się bez Dedykacyi... A szkoda! Żal mi tych kilku strofek wyjętych z pod serca, które brzmiały temi słowy:

W zaciszonej komnacie, gdzie leżą me księgi,
Przy stole, unoszącym kałamarz i pióro,
Kazałam wykuć wnękę. Muszlowe jej kręgi
Pieściwie przyoblekłam złotem i purpurą,
I zarys drogich liców zwiesiłam u ściany.
Godna czci, Eugenio! Twój to wizerunek.
Tak, czy dumam, czy piszę, obraz ukochany
Tkwi nademną, jak srebrny gwiazdy pocałunek.

Co rano go w samotnej pozdrawiam świątyńce.
Jest i czarka na kwiaty u jego podnóża.
Nie ogrodnik tam wonne przynosi gościńce,
Kwiatek w niej tylko jeden: Jerychońska róża.
Dziwna róża! Pod rąbkiem surowym ukryta.
Centyfolia w jaskrawe stroi się przynęty,
Lecz jutro więdnie. Tamta bez końca odkwita.
Prawdziwy kwiat przyjaźni, wytrwały i święty.

W ten to kwiat niewiędnący, w ten to wizerunek
Wpatrzona, malowałam tło mojej powieści.
Barwy jej, z trzynastego stulecia. Rysunek,
Ze wszystkich wieków: przykład przyjaźni niewieściej.
Czyjeż imię w gotyckim jej szczycie wyżłobię,
Jeśli nie tej, najdroższej, co mi jest i będzie
Przyjaciółką jedyną? Poświęcam ją Tobie.
Twem imieniem koronna, niech śpiewa je wszędzie.

Nie lękaj się, o skromna! aby przez odbicie,
Z tej księgi nasze własne dzieje podpatrzono.
Tłumom je rzucać? Nigdy! Wszak niewieście życie
Powinno stać jak arka, za wieczną zasłoną.

Ciebie malować w księdze? O to się nie kuszę.
Kto miłuje, ten widzi w bezchmurnem przezroczu
Skarby, przepełniające miłowaną duszę,
Lecz nie zdoła w nie cudzych wtajemniczyć oczu.

Tak w górach, kiedy słońca zachód płomienisty
Lodowce poprzestrzela żyłami z opalu,
Po kaskadach roztrzęsie drżące ametysty,
I w obłokach wyciosa pałace z koralu,
Malarz odrzuca pędzel, skarży się na czary:
„Jakże oddam ich blaski? Farby mam za blade.
A chociażbym i oddał, nikt mi nie da wiary.“
Więc nie lękaj się, skromna! I ja pędzel kładę.

Nie przejrzysz się w tych kartach, jako w szybie wody.
Elżbieta ni Ludmiła, duszą ni obliczem,
Nie są do nas podobne. Krwawe ich przygody
Z osnową naszych losów nie wiążą się niczem.
Lecz serca? Ach, tu znajdziesz zwierciadło. Zwróć oczy
W pęknięte, rubinowe serca ich rozłamy,
Dojrzysz rys, co je z nami na zawsze jednoczy:
One tak się kochały, jak my się kochamy.

*

* *

Wypowiedziawszy się w „Brankach,“ porzuciłam kształt powieściowy, i co prędzej wróciłam do „Polski w pieśni.“ Ach, co prędzej, bo lata uciekały, powiew jesienny już niekiedy mnie dolatywał, a z moich wiosennych zamiarów tak mało jeszcze się spełniło! Poczucie tej ucieczki czasu, tej marności ludzkich przedsięwzięć objawia się w tęsknej nucie niektórych ówczesnych wierszyków, jak np. „Nieśmiertelnik,“ „Dwa pokolenia,“ a zwłaszcza „Pieśń wieczorna.“

Gdybyż przynajmniej do pary z „Wandą“ mogła była jeszcze stanąć „Jadwiga,“ ta „Jadwiga“ najwcześniej przezemnie próbowana, tak rzewnie i gorąco ukochana!

Zatem, wszystko na bok usunęłam, nawet poprawienie i przepisanie „Branek“ i niemieszkając zasiadłam do „Jadwigi.“ Sądziłam, że w jaki rok z niej wybrnę. Gdzie tam! Napisałam tylko część pierwszą. Wprawdzie, poszła mi dosyć gładko, włożyłam w nią dużo moich uczuć i przekonań i gdybym była mogła skoń-

czyć ją za jednym zamachem, wielką miałabym stąd uciechę, cóż, kiedy jak na przekorę, musiałam zawiesić tę pracę, a to dla bardzo licznych i różnorodnych powodów.

Nastały dla mnie lata niezmiernie ruchliwe.

Już w r. 1880 zgodziłam się na wygłoszenie odczytu i skorzystałam z tej sposobności, ażeby wedle moich sił, naprawić pewną niesprawiedliwość, co mnie już dawno bolała, mianowicie, aby uczcić Klementynę Hoffmanową, tę znakomitą naszą przodowniczkę, której pamięć jest w nowszych czasach za mało uznana i opacznymi sądami skrzywiona. Sam odczyt zamknął się z konieczności w niewielkich rozmiarach, ale wymagał długich i sumiennych studyów.

W roku 1881 w moim domu był obchodzony jubileusz A. E. Odyńca. Wkrótce potem jeździłam do Krakowa, gdzie zaproszono mnie jako jedną z gospodyń balu Mickiewiczowskiego. Tam podjęłam się zbierania składek na pomnik Mickiewicza w Krakowie.

W r. 1882 jeździłam znów do Lwowa, zaproszona tam dla odczytów, a w jesieni widziałam w Częstochowie pięćsetletni jubileusz, z którego zrodził się zaraz poemat: „Na Jasnej Górze.“

W r. 1883 nowe zaprosiny do Poznania i nowe tam odczyty.

Wszystkie te wycieczki, uroczystości, składki pochłaniały mi dużo czasu, wymagały bardzo wiele zabiegów i dawały pochop do pisania różnych rzeczy ubocznych. Prawda, że też niesłychanie uświetniały mi salon. Nigdy jeszcze nie miewałam równie tłumnych czwartków, z których nieraz przyszło mi zapisywać już nietylko po sto i dwieście, ale czasem i do trzystu osób.

Najgłówniejszym jednak powodem zawieszenia „Jadwigi“ było zbliżanie się roku 1883, tej dwóchsetnej rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem.

*

* *

Już prawie od lat trzydziestu ciągle zbierałam i wyławiałam wszystko, cokolwiek się tyczyło wyprawy pod Wiedeń: książki, ryciny, wzmianki gazeciarskie. Przewidywałam, że dopiero na dwóchsetną rocznicę zjawi się największe bogactwo materyałów, i przewidywanie to nie omyliło. Już na rok pierwej zaczął się

sypać, tak u nas jak w Niemczech, cały nawał ciekawych ksiąg, map i albumów.

Teraz już nie miałam na co czekać. Nie chciałam też, aby rok tak wielki przeszedł bez uczczenia w moim domu. Wyjęłam więc z Mauzoleum zaklęty rękopism i zaczęłam się w nim rozglądać. Jeżeli przed ćwierć wiekiem był niegodzien druku, to tem niegodniejszy był dzisiaj, po tyloletnich postępach. Jednak niektóre ustępy mogły być zużytkowane, a co plan ogólny, to przedstawiał się bardzo dobrze. Postanowiłam więc zachować plan dawny, tylko rozszerzony przez nabytek nowych wiadomości, poczem wzięłam się już nie żartem do pisania różnych oderwanych części „Sobieskiego," z których kilka czytałam na zebraniach 1883 roku.

Z tych robót próbnych wyniosłam niewesołe przeświadczenie. Póki pisałam obrazy nadziemskie, a nawet niektóre wschodnie, rzecz szła wcale dobrze. Ale ilekroć przyszło mi malować sceny rycerskie, staropolskie, a zwłaszcza ówczesne rozmowy, ani sposób! Nie wiedziałam jak ci ludzie mają się ruszać, ani jak mają gadać. A raczej, nie! Wiedziałam, ale nie umiałam tych rzeczy wypowiedzieć. Brakowało mi właściwego *tonu*. Czułam doskonale, jak on powinien brzmieć, ale nie mogłam go wygrać na moich skrzypeczkach, które wydawały ciągle tony albo za nizkie, albo za wysokie.

Był to ten sam brak, co stanowił zawsze największą dla mnie trudność i wywoływał w mojem autorskiem sumieniu wieczne niezadowolenie, był to brak równowagi między dwoma biegunami twórczości, między *idealizmem* a *realizmem*, z których pierwszy zawsze u mnie zanadto wybujał, zawsze rwał mię do góry, jak balon nieopatrzony dostatecznym balastem i nie chciał iść posłusznie we wskazanej strefie.

Wybierając między dwojgiem złego, zaprawdę dla poety lepszą jest przewaga idealizmu, niżeli realizmu, najlepszą jednak jest niezaprzeczenie *równowaga*, rzecz nadzwyczajnie rzadka, nawet u największych.

Z tej to przyczyny dotąd cofałam się zazwyczaj w czasy dawne, zamierzchłe, gdzie realizm jest mniej nieodzowny, gdzie trudniej *sprawdzić* poetę. Ale ile razy chciałam dotknąć czasów nowszych (już licząc od szesnastego wieku), zawsze spostrzegałam z przerażeniem, że moi bohaterowie nie są dziećmi swojego czasu i mówią kosmopolitycznie.

Jednak, nie traciłam nadziei. Doświadczenie mi pokazało, że przy ciągłej pracy zdobyłam już wiele tonów, długo niepo-

chwytnych dla mojego pióra. Oto i w bieżących wtedy czasach powstawały różne utwory, jak: „Głos Izajaszowy," „Pod niebieską chorągwią," „Pieśń na cześć Wiary," których nastrój był zupełnie dla mnie nowy, a forma rznięta pod kątami dawniej mi nieznanymi. Czemużbym więc niemiała kiedyś natrafić i na tamten ton zaczarowany?

Tak. Ale póki nie natrafiłam, póty nie mogłam porządnie pisać „Sobieskiego." Znów go więc odsunęłam na stronę, a tymczasem widząc, że moje zdrowie coraz mocniej upada, powiedziałam sobie z westchnieniem:

— Jeśli niemam napisać tego wielkiego dzieła, niechże przynajmniej te rzeczy, co już są napisane, zostaną po mnie w skończonym i wykończonym kształcie.

To powiedziawszy, zabrałam się do rachunków z przeszłością.

*

* *

A naprzód zaczęłam gromadzić i gatunkować wszystkie mniejsze utwory z całego mego życia i uczyniwszy między nimi wybór, starałam się doprowadzić te rzeczy wybrane do jednolitego ducha i jednolitego wyrobienia. Praca ta zajęła mi lat kilka i była może najcięższą ze wszystkich, jakie podjęłam kiedykolwiek. Ale jakże ją błogosławię! Była to niby „tresura," w której konik słowa stał mi się tak powolnym i zwrotnym, jakim nigdy przedtem nie bywał.

W tychże czasach skończyłam ostatecznie i „Wandę," która też wyszła w książce w 1887 r.

Tegoż roku w moim domu obchodzono jubileusz Adama Pługa, którego zasługom i wielkiemu sercu należało się od nas wszystkich gorące uznanie. Była to ostatnia uroczystość, na którą mogłam wystąpić w ozdobnym stroju. Później, coraz gorszy stan zdrowia nie pozwolił mi już nigdy na wdzianie szat świątecznych.

Po wyjściu „Wandy" poprawiłam i przepisałam „Branki," które ukazały się w tomach w 1889 r. i przyniosły mi wiele duchowych słodyczy.

*

* *

W tymże roku 1889 zaszedł wielki dla mnie wypadek: choroba, dręcząca mnie od lat wielu, a której doktorzy dotąd nie mogli zrozumieć, wybuchnęła z niezmierną gwałtownością i okazała się nieuleczalnem cierpieniem sercowem.

Odkrycie to przejęło mnie bezgraniczną radością. A więc było to nakoniec pierwsze zadzwonienie na ów odjazd, za którym tęskniłam już od lat przeszło dwudziestu, na odjazd do moich dwóch ojców—niebieskiego i ziemskiego!

Przedwczesna radość...

Między dzwonkami tamtego świata dłuższe są przerwy, niż między ludzkimi. Bieg choroby okazał się bardzo bolesnym, ale bardzo powolnym, zaczem przekonałam się, że jeszcze nie wolno mi próżnować i zaczęłam wracać do pracy, ile tylko razy cierpienia na nią pozwalały.

Szukałam ciągle owej niepochwytnej *równowagi*. W tym celu czyniłam najróżnorodniejsze studya, pisywałam całe powiastki (jak np. „Panienkę z okienka"), jedynie dla wprawienia się w pewne rodzaje stylu, wczytywałam się w pisarzy różnych wieków, ciągle zaś i nieodmiennie wracałam do „Pana Tadeusza," w którym brodziłam po kilka razy rocznie i to nie dla rozkoszy, ale dla podchwycenia zamkniętych w nim pisarskich tajemnic.

Aż nakoniec...

Ach, niepróżno Piśmo Święte mówi: „Szukajcie a znajdziecie."

*

* *

Przyszedł taki dzień, przyszła taka godzina, w której mój smyczek trafił na ów ton szukany!

Było to w r. 1892, okrągło we czterdzieści lat po rozpoczęciu mego pisarskiego zawodu. Od tej chwili i dopiero od tej chwili uczułam się umysłowo *dojrzałą*. Zwycięstwo to ucieszyło mię niewymownie. Teraz, mogę już wygrywać co mi się spodoba i jak mi się spodoba, na wszystkich strunach mojego narzędzia. (Nie mówię: na wszystkich strunach poezyi, bo takie twierdzenie byłoby równie śmieszne, jak pyszne, ale na wszystkich strunach *mojego* narzędzia).

Przez lat czterdzieści pisanie było dla mnie męką i postrachem. Brałam się do niego tylko z obowiązku. Teraz, od lat

pięciu jest mi bardzo miłem. Nie powiem, aby miało być łatwem, bynajmniej! Im człowiek lepiej co umie, tem więcej od siebie wymaga. Nie jest więc łatwiejsze, ale przyjemniejsze, bo mi już daje owoce takiego smaku i gatunku, jakiego sobie życzę, podczas kiedy pierwej wychodziło mi często co innego, niż chciałam, i zawsze trąciło goryczką niedojrzałości.

Szkoda tylko, że ta dojrzałość przyszła tak późno, w chwili kiedy miałam już lat pięćdziesiąt osiem i kiedy ciało już zaczęło na dobre wypowiadać służbę! Nowy to dowód, że człowiek składa się z dwóch istot, nierównomiernych sobie nietylko pierwiastkami, lecz i wiekiem. Oto ze mnie jest jeden przykład więcej, że istota materyalna już się starzeje i już w pył się kruszy, podczas kiedy istota duchowa dochodzi dopiero do swej pełnoletności.

*

* *

Z chwilą tej pełnoletności umysłowej, to jest w 1892 roku, zabrałam się natychmiast do „Sobieskiego," a zabrałam się, jak słusznie mówi krakowski recenzent, „z całej duszy, z całego serca i ze wszystkich sił moich." Odtąd idzie on mi już ciągle, bardzo pracowicie, ale i bardzo żwawo. Obiecywałam też sobie wielokrotnie, że już nic mię od niego nie oderwie. Ale czas pokazał raz jeszcze, jak znikomemi są ludzkie postanowienia.

Rok obecny (1897) skusił mię do innej pracy i to jeszcze takiej, której się sto razy odrzekałam. A pokusa przyszła z następnej okoliczności.

*

* *

Najlepsi moi przyjaciele upatrzyli sobie rok bieżący, 1897, aby w nim obchodzić 45-cio lecie mojej pracy piśmiennej i już w końcu roku przeszłego ze wszech stron zaczęto żądać odemnie materyałów do rozmaitych życiorysów i studyów. Żądanie było równie chlubne jak uczciwe, boć lepiej postarać się o źródła

prawdy, niż pisać na lekko i na domysł. A było też i różnorodne. Jedni chcieli poznać salon moich rodziców, drudzy systemat mego wychowania, innych zaciekawiał rozwój moich prac literackich i moich stosunków towarzyskich.

Ażeby wszystkich zadowolić, musiałam opisywać to i owo i z tych różnych obrazków złożył się ten oto „Pamiętnik," bardzo wprawdzie jeszcze niezupełny, ale w każdym razie użyteczny, bo prostujący wiele fałszów, ratujący wiele rzeczy od zapomnienia, słowem, dobry dla mnie nabytek, a który nigdyby nie istniał, gdyby nie ów przepyszny i rzewny Jubileusz.

*

* *

Jak on się odbył, to nie moja rzecz opisywać. Powiem tylko, że był dla mnie zaszczytny aż do upokorzenia, bo społeczeństwo nasze, kierując się zasadą samego Pana Boga, osądziło mię, nie według tego co zrobiłam, ale według tego co pragnęłam zrobić i wynagrodziło mię tak, jakgdybym była całą „Polskę w pieśni" najpiękniej wyśpiewała. Ciężar tej dobroci mnie przygnębia.

O, jakże chciałabym choć w cząstce wywiązać się z tak ogromnego długu!

O napisaniu całej „Polski w pieśni," nawet myśleć nie mogę... Żaden żywot ludzki nie starczy na podobne przedsięwzięcie. Ale żebyż można choć „Sobieskiego" skończyć! Choć taki upominek w testamencie przekazać! Opłakany stan zdrowia czyni wątpliwym i ten ostatni zamiar...

A jednak, po co się troskać? Trzeba dalej pisać, a resztę zostawić Panu Bogu. Jeśli moja praca jest Mu do czegokolwiek potrzebną, to pozwoli na jej ukończenie,—a jeśli nie jest Mu potrzebną, to mała jej szkoda.

AUSTRYA A ROSYA

w początkach panowania Mikołaja I.

Wiadomość o śmierci cesarza Aleksandra, wysłana 9 grudnia 1825 r. z Warszawy przez austryackiego agenta konsularnego, Loretza, przybyła do Wiednia o pierwszej godzinie w nocy z 13 na 14 t. m., a jej niespodziewane zupełnie zjawienie wobec ciszy, panującej w Królestwie Polskiem i braku wszelkich oficyalnych wiadomości, spowodowało, że jeszcze przez następnych cztery dni nie dawano jej wiary. Wreszcie 18 grudnia stwierdzono jej prawdziwość, a 22-go zarządzono pięciotygodniową żałobę dworską, pozamykano teatry; tegoż dnia kanclerz austryacki, Metternich, wręczył w imieniu cesarza Franciszka posłowi rosyjskiemu, umocowanemu przy dworze wiedeńskim, Tatiszczewowi, dwa pisma kondolencyjne dla cesarzowej matki i cesarzowej wdowy, oraz ogłosił w urzędowej „Wiener Zeitung," iż podług oficyalnych wiadomości nastąpiła w Petersburgu proklamacya o wstąpieniu na tron rosyjski Konstantego I, następne zaś numery tego pisma doniosły o bliższych szczegółach śmierci Aleksandra i o złożeniu przysięgi przez Mikołaja na rzecz nowego władcy. [1])

Należało wreszcie pomyśleć o wysłaniu odpowiedniej osoby i pisma do nowego cesarza. Co do osoby, zgodzono się na wybór arcyksięcia Ferdynanda d'Este, kuzyna cesarskiego, niefor-

[1]) Aus Metternich's nachgelassenen Papieren Wien, 1881. Bd. IV, str. 197, 250; „Wiener Zeitung," 1825, № 291—292. Metternich do Lebzelterna 22 grudnia 1825. Przytaczane dokumenty są wszystkie w Haus Hof u. Staats Archiv w Wiedniu.

tunnego zdobywcy w r. 1809 Księstwa Warszawskiego, a dowódcy w r. 1815 armii rezerwowej, wkraczającej do Francyi, skąd też datowała się jego bliższa znajomość osobista z W. Ks. Konstantym. Lecz sęk był w tem, do kogo pismo notyfikacyjne adresować. Wkrótce bowiem w Wiedniu dowiedziano się, że następstwo tronu jest jeszcze niepewne wobec t. zw. „wielkoduszнego sporu“ obu braci, W. Ks. Konstantego i Mikołaja. Postanowiono więc zaczekać z wysłaniem arcyksięcia Ferdynanda, aż sprawa następstwa całkowicie się wyklaruje. [1])

A była to rzecz pierwszorzędnej dla Austryi wagi, kto po Aleksandrze obejmie tron, bo nie chodziło tym razem o takie kwestye formalne tylko, jak stylizacya pisma kondolencyjnego, ale o rzecz zasadniczej wagi: o przyszły kierunek polityki austryackiej.

Pod koniec bowiem panowania Aleksandra I dwie kwestye wpływały na wzajemne kształtowanie się stosunków austryacko-rosyjskich. Główną rolę mianowicie odgrywała kwestya wschodnia, a uboczną—sprawa wspólnej walki z duchem rewolucyjnym. Pierwsza była czynnikiem dzielącym oba państwa, gdyż Rosya dążyła do rozbioru Turcyi, a Austrya przeciwnie pragnęła w myśl traktatu bukareskiego utrzymania całości Porty Ottomańskiej. Sprawa druga była znowu czynnikiem, obydwa państwa łączącym, zwłaszcza od czasu kongresu opawskiego, kiedyto Metternich potrafił ostatecznie przekonać Aleksandra o konieczności walki z duchem rewolucyjnym. Lecz nie wycisnęła ona zbyt silnego piętna na obustronnych stosunkach — przeważyła tamta pierwsza i omal nie doprowadziła do otwartego konfliktu między Rosyą i Austryą, gdy w ostatnich przed swą śmiercią czasach, Aleksander postanowił załatwić kwestę wschodnią na własną rękę, już bez oglądania się na inne mocarstwa.

Metternich niejednokrotnie nie taił swego niezadowolenia z powodu postępowania Rosyi, a gdy nadeszła wiadomość o śmierci Aleksandra, przyjął ją z pewnem nawet uczuciem ulgi i, mimo oficyalnych wyrazów żalu, do pewnego stopnia z zadowoleniem, zwłaszcza wobec tego faktu, że na tron miał obecnie wstąpić W. Ks. Konstanty, co do którego był przekonany, iż będzie kierował się polityką pokojową, iż nie ujmie się za Grecyą, a co najważniejsza, iż jest w zupełności oddany Austryi. Nadzieje te

[1]) Metternich do Lebzelterna 2 stycznia 1826. № 2. Stern A.: Geschichte Europas seit den Verträgen 1815. Berlin, 1901. Bd. III, str. 81, 89.

jednak mocno osłabiły wersye, którym zrazu w Wiedniu nie dawano wiary, o zrzeczeniu się przez Konstantego tronu, aż wreszcie zniweczyła je w zupełności całkiem już pewna wiadomość, przybyła do Wiednia 6 stycznia 1826 r. za pośrednictwem Tatiszczewa, o wstąpieniu na tron Mikołaja I. [1])

Z chwilą tą trzeba już było wyekspedyować poselstwo do nowego cesarza. Jednym z czynników decydujących o pierwotnem powierzeniu tej misyi arcyks. Ferdynandowi była ta okoliczność, że łączyły go blizkie stosunki przyjaźni z W. Ks. Konstantym. Teraz, gdy na tron wstępował Mikołaj, trudno już było, bez narobienia niepotrzebnego rozgłosu, zmieniać osobę posła, zwłaszcza, że sam fakt wysłania tego arcyksięcia był wiadomy w Petersburgu i przez Tatiszczewa i przez tamtejszego posła austryackiego, Lebzelterna. Chodziło więc obecnie tylko o ułożenie odpowiedniej dla niego instrukcyi.

Owóż arcyksiąże miał złożyć przedewszystkiem Mikołajowi kondolencyę z powodu zgonu brata, a zarazem powinszować mu wstąpienia na tron. Lecz poza tą czysto oficyalną stroną jego misyi, kryła się funkcya o wiele ważniejsza, bo nawiązanie przyjacielskich stosunków z nowym władcą i ułożenie o ile możności wspólnego postępowania w obu tamtych otwartych kwestyach. Mikołaj wprawdzie sam uprzedził ten krok Austryi, polecając Tatiszczewowi oprócz zawiadomienia o swojem wstąpieniu na tron także oświadczyć w jego imieniu gabinetowi wiedeńskiemu, że i on trzymać się będzie polityki Aleksandra, że kierować się będzie temi samemi zasadami, poszanowaniem wszystkich praw, zawarowanych traktatami i przywiązaniem do pokoju[2]), lecz Metternich, niezbyt zadowolony z dotychczasowego kierunku gabinetu petersburskiego, postanowił młodego władcę przecież zjednać w daleko pełniejszym sposobie, niżeli zmarłego Aleksandra, dla

[1]) Schiemann Th.: „Geschichte Russlands unter Kaiser Nikolaus I." Berlin, 1904. Bd. I, 277, passim. A. Beer: „Die orientalische Politik Oesterreichs." Prag 1883, str. 321, passim. Metternich, Papiere, 261, 299 sq. „Dépêches inédites du Chevalier de Gentz aux Hospodars de Valachie." Paris, 1877, t. III, str. 58. Askenazy: „Łukasiński." Warszawa, 1908, t. I, str. 152. Jednostronny opis zachowania się Austryi u Ringhofera: „Ein Dezennium preussischer Orientpolitik zur Zeit des Zaren Nikolaus." Berlin, 1897, str. 43. Tatiszczew również był zdania, że cesarzem zostanie Konstanty, w tym też duchu informował on Metternicha, jak na to wskazuje jego list bez daty do kanclerza, donoszący o złożeniu przysięgi przez Mikołaja na rzecz Konstantego I.

[2]) Tatiszczew do Metternicha 6 stycznia 1826 r.

swoich zapatrywań. Nie było to jednak rzeczą łatwą, z tego chociażby powodu, że dotąd wogóle zbyt mało uwagi poświęcano ze strony austryackiej W. Ks. Mikołajowi, a obecnie nowemu monarsze. W Wiedniu wiedziano tylko, że był wielkim rygorystą w służbie wojskowej, lecz poza tem, zgoła prawie nie znano jego sposobu myślenia i poglądu na politykę.

Na wszelki więc wypadek polecał Metternich Ferdynandowi trzymać się bliższych wskazówek obytego z gruntem petersburskim tamtejszego przedstawiciela Austryi, Lebzelterna, nadto zaś wręczył mu dwa pisma, odnoszące się do obu najważniejszych podówczas kwestyj, t. j., wschodniej i rewolucyonizmu, mające stanowić dla niego rodzaj instrukcyi, któreby mógł w stosownej chwili, gdy cesarz o nie zawadzi, jemu odczytać.

W pierwszym obszernym elaboracie przedstawiał kanclerz kwestyę wschodnią od wybuchu powstania greckiego, kreślił pełne taktu zachowanie się Austryi i wytykał błędne stanowisko Rosyi, dla której jedynem obecnie wyjściem jest załatwienie całej sprawy na drodze pokojowej przez wysłanie z powrotem swego przedstawiciela do Konstantynopola. Drugie pismo zawierało zapatrywania gabinetu austryackiego na sprawy ogólne, a zwracało się przeciw liberalizmowi i powstałemu stąd duchowi rewolucyjnemu. Metternich wskazywał w niem na trzy główne powody panującego podówczas zła; wszystkie trzy miały swe źródło we Francyi, a były niemi: 1-o) tryumf, odniesiony w r. 1789 fałszywego systemu filozoficznego; 2-o) wprowadzenie ustroju reprezentacyjnego w roku 1814; 3-o) rewolucyjna reakcya, wprowadzona przez Napoleona po jego powrocie z wyspy Elby. W dalszym ciągu wskazywał Metternich na połączenie się monarchów, jako na jedyny środek, mogący skutecznie przeciwdziałać propagandzie rewolucyjnej, która musi zginąć, zamknięta w ciasnych granicach i pozbawiona wszelkich środków do dalszego rozwoju.[1])

O misyi arcyks. Ferdynanda zawiadomił Franciszek urzędownie cesarzową matkę, Maryę Teodorównę, a nadto osobnem pismem Mikołaja, obdarowanego równocześnie orderem św. Stefana, którego insygnia miał mu wręczyć Lebzeltern. W liście tym, prócz wyrażeń żalu po zmarłym Aleksandrze, polecał cesarz oso-

[1]) Pierwszy operat wydrukowany w „Metternicha Papierach," 288 sq. Drugi nieogłoszony nosi tytuł: „Point de vue du Cabinet Autrichien sur la situation générale des choses, dans le moment actuel"; Instrukcya dla Ferdynanda z 11 stycznia 1826 r.

bę arcyksięcia szczególnym względom i opiece Mikołaja, ponieważ chce za jego pośrednictwem jawnie okazać światu przyjaźń i zaufanie, jakie żywi dla Mikołaja. Odwoływał się przytem na swoje rzekomo wyborne stosunki przyjacielskie z Aleksandrem. „Przebyliśmy wspólnie najokropniejsze czasy historyi nowożytnej," pisał Franciszek, a przypominając wspólne starania, które ocaliły Europę, nawoływał Mikołaja, by, jako następca Aleksandra, kroczył tą samą co i on drogą i podtrzymywał wspólne stosunki przyjaźni, trwającej już od 25 lat.

Opatrzony temi instrukcyami i listami, wyjechał arcyksiąże w towarzystwie ochmistrza dworu hr. Desfours, pułkownika Clam-Martinitza, hr. Fürstenberga, ks. Karola Lichtensteina i podkomorzego hr. Waldersdorffa 12 stycznia 1826 r. do Petersburga.

Teraz nowa, a wielce delikatna nasuwała się kwestya, którędy mianowicie wybrać drogę, czy przez Królestwo Polskie i Rosyę czy przez Prusy. Zdecydowano się na tę ostatnią, a to, by uniknąć przejazdu przez Warszawę i zetknięcia się z W. Ks. Konstantym, ponieważ obawiano się, by to nie było niemile widziane w Petersburgu. Niezawiśle od tych względów politycznej natury mogło też nie być przyjemnem dla arcyks. Ferdynanda przejeżdżać przez Warszawę, skąd musiał uchodzić w r. 1809.

Mimo więc, że ks. Wilhelm pruski, późniejszy cesarz Wilhelm I, również jadący w podobnej misyi, i inni obrali drogę na Warszawę, arcyksiąże pojechał na Ołomuniec, Wrocław i Poznań, gdzie stanął 16 stycznia i gdzie dowiedział się od namiestnika, ks. Antoniego Radziwiłła, że W. Ks. Konstanty nie zamierza opuszczać Warszawy — stąd dalej odbywał swą podróż na Królewiec, Tylżę, Rygę, Dorpat do Petersburga, dokąd miał przybyć 31 stycznia. Po drodze nie obeszło się jednak bez nieznacznych choćby nieporozumień, bo dwór petersburski, chociaż był zawiadomiony o misyi arcyksięcia i dacie jego wyjazdu, nie wiedząc jednak, że on skierował w tamtą stronę swą podróż, poczynił odpowiednie zarządzenia na drodze warszawskiej. Dopiero później robiono na jego przyjęcie dorywcze przygotowania, które parokrotnie nie dopisały, bo jużto przychodziły spóźnione, jużto wyprzedzał je arcyksiąże, który w końcu nawet o jeden dzień wcześniej, aniżeli było ułożone, przybył do Petersburga. Stanął on tam 30 stycznia o 4 godzinie po południu. Podejmowany wszędzie po drodze z należnymi mu honorami i w stolicy również, od pierwszej chwili swego przybycia, doznał miłego przyjęcia. Ledwo też znalazł się w swych apartamentach, gdy już odwiedził go sam cesarz, ucieszony jego przybyciem, a choć bolał nad stra-

tą brata, zaraz na wstępie wypowiadał swój zamiar wstępowania w jego ślady i wyrażał gorącą chęć pozyskania przyjaźni i zaufania cesarza Franciszka, czem odrazu ujął Ferdynanda. [1])

Lecz poza temi oficyalnemi czułościami skrywały się już dość poważne zatargi. Wogóle Austrya niezbyt korzystnie zapisała się w umyśle młodego władcy niemal od pierwszego dnia jego rządów. I tak, zaraz na wstępie skompromitowany został ambasador austryacki w Petersburgu, Lebzeltern, ponieważ dał schronienie swemu szwagrowi, Trubeckiemu, który odgrywał jedną z pierwszych ról między Dekabrystami, w ambasadzie, gdzie go 27 grudnia 1825 r. rano o godzinie 4 aresztowali w obecności ministra spraw zagranicznych, Nesselrodego, ks. Golicyn i Gurjew Trochę też skompromitowany był i drugi członek poselstwa, ks. Feliks Schwarzenberg, późniejszy minister, przeciw któremu wprawdzie nie było żadnego dowodu, lecz na którego padało ogólnie podejrzenie z racyi jego ciągłego przebywania wśród osób teraz przeważnie aresztowanych. [2])

Dalej Mikołaj czuł się urażonym zachowaniem się Wiednia w czasie bezkrólewia i jawnem niemal sprzyjaniem Konstantemu. Lecz dopełnił miary nieufności ostatni krok Austryi. Było nim wysłanie specyalnej misyi do W. Ks. Konstantego. Austryi głównie chodziło o pokojowe załatwienie przez nowego cesarza kwestyi wschodniej. Metternich więc, nie znając dokładnie zapatrywań w tej mierze Mikołaja, wpadł na niefortunny koncept, wpłynąć na niego za pośrednictwem Konstantego, spodziewając się, iż cesarzewicz, będąc tego samego co i kanclerz na tę sprawę zapatrywania, nie omieszka pójść w tym względzie na rękę Austryi i wywrzeć odpowiedni nacisk na młodszego i zawdzięczającego mu koronę brata.

Wysłano tedy do Warszawy, w osiem dni po wyjeździe arcyksięcia, szambelana Henryka hr. Bombelles, syna emigranta francuskiego, byłego wojskowego, adjutanta arcyksięcia Ferdynanda z r. 1815, poświęcającego się wówczas karyerze dyplomatycznej, naprzód w Londynie, a ostatnio w Lizbonie, by wreszcie

---

[1]) Raporty arcyks. Ferdynanda: I, z Poznania 16 stycznia; II, z Kłajpedy 22 stycznia; III, z Petersburga 31 stycznia. Wykłady prof. Askenazego z 1905 r. Zaraz też na wstępie otrzymał arcyks. Ferdynand od Mikołaja order św. Andrzeja.

[2]) Lebzeltern do Metternicha 27 grudnia 1825, № 147 B. Secr. i z 3/IV 1826 r., № 176 H. Ks. Schwarzenberg został przeniesiony z Petersburga pod pozorem złego stanu zdrowia, depesza z 7 września 1826 r.

zakończyć swą karyerę, jako wychowawca obecnego cesarza austryackiego, Franciszka Józefa. [1])

Na pozór misya ta była zwykłym aktem kurtuazyi wobec brata cesarskiego, gdyż Bombelles otrzymał polecenie zawiezienia Konstantemu listu kondolencyjnego Franciszka i kopie obu depesz, wysłanych za pośrednictwem Ferdynanda do Petersburga, a to w tym celu jedynie, by, jak mówiła wręczona mu instrukcya, przekonać W. Księcia o tożsamości polityki, prowadzonej przez Austryę i w Warszawie i w Petersburgu. Miał nadto wysłaniec austryacki zaproponować Konstantemu, celem nawiązania bliższych stosunków, utworzenie dyplomatycznego konsulatu w Warszawie, zależnego bezpośrednio od Metternicha, w miejsce dotychczasowego handlowego, podlegającego władzy ministeryum spraw wewnętrznych. „Poza tem, Pańska misya nie ma żadnego celu politycznego.“ „Pan nie masz traktować,“ jak mu to na innem miejscu przekazywał kanclerz, „ani jednego przedmiotu politycznego.“ Mimo te zastrzeżenia jednak w gruncie rzeczy Bombelles musiał otrzymać od Metternicha jakąś dodatkową ustną instrukcyę, tyczącą się sprawy wschodniej.

Bombelles przybył do Warszawy 23 stycznia 1826 r. wieczorem, oddał zaraz naczelnikowi biura dyplomatycznego W. Księcia, Mohrenheimowi, depeszę Tatiszczewa, a na drugi dzień rano otrzymał posłuchanie u cesarzewicza, z którym się odtąd widywał codziennie przez cały czas swego pobytu w Warszawie.

W. Książe, urażony zrazu, że arcyks. Ferdynand ominął Warszawę w swej podróży do Petersburga, lecz z kolei pochlebiony tą specyalną misyą, przyjął Bombelles'a bardzo serdecznie. W wyrazach, wdzięczności pełnych, składał on podziękowanie osobnem pismem cesarzowi za wyrażone mu współczucie i przypominał swą służbę we Włoszech w roku 1799 przy Suworowie a w obronie Franciszka i stąd datującą się dawną przyjaźń dla domu Habsburskiego, której dotąd wiernym pozostał. To samo też powtarzał i do hr. Bombelles'a, z którym stosunki stanęły odrazu na stopie tak pełnej do siebie ufności, że nawet Bombelles dawał do przeglądania i poprawiania W. Księciu swoje raporty, wysyłane do Wiednia, o ile naturalnie one nie były tajne.

Gdy następnie przyszło do odczytywania kopii jednej z depesz, zawiezionych przez arcyks. Ferdynanda do Petersburga, a traktującej

---

[1]) Wurzbach: Biographisches Lexikon II. — Correspondance du M-is et de la M-ise de Raigecourt avec le M-is de Bombelles. Paris, 1892, passim.

o wspólnem niebezpieczeństwie, grożącem ze strony rewolucyonizmu, cesarzewicz niejednokrotnie przerywał czytanie szambelanowi, wyrażając głośno swe zadowolenie z myśli w nich zawartych i dawał swą zgodę na środki zapobiegawcze, przez Metternicha proponowane. Potem zaczął szeroko opowiadać o ostatnich zajściach w Rosyi, a swoje w tym względzie wywody zakończył Konstanty interesującem żądaniem, by się władze austryackie dowiedziały od więzionego przez nie Ypsilantiego, coby mógł oznaczać ten ustęp jego listu, wysłanego do Aleksandra, bawiącego podówczas w Lublanie, w którym on się usprawiedliwiał ze swych postępków i twierdził, że nie byłby w ten sposób działał, gdyby nie otrzymał odpowiednich rozkazów. Owoż W. Książe był ciekawy, kto to mógł właściwie wydawać rozkazy rewolucyoniście greckiemu, czyli wskazywał na to, że nie był wtajemniczony w intencye Aleksandra.

W dalszym ciągu godził się w zupełności na proponowanego przez Metternicha agenta dyplomatycznego w Warszawie, zwłaszcza, że precedens w tym względzie stanowił pobyt konsula pruskiego, Schmidta, kładł tylko jako warunek, by wprzód porozumiały się władze austryackie w tej sprawie z ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu. Dotąd więc było wszystko w porządku. Rezultat misyi był jak najlepszy. Lecz zmieniło się położenie, gdy przyszła kolej na omawianie depeszy drugiej, traktującej o kwestyi wschodniej i gdy Bombelles przedstawił propozycye austryackie co do pozyskania dla Austryi wpływu W. Księcia na cesarza. W tej kapitalnej kwestyi całego poselstwa spotkał Metternicha przykry a niespodziewany zgoła zawód. Gdy bowiem Bombelles naprowadził na nią rozmowę, Konstanty począł się wymawiać jej nieznajomością, ponieważ od swej ostatniej podróży do Niemiec, t. j. od sześciu do siedmiu miesięcy, Aleksander udzielał mu bardzo mało co do niej objaśnień, ograniczył się tylko do wyrzekań na Greków, których uważał za rewolucyonistów, nie zasługujących na poparcie, krytykował dawne pomysły Katarzyny, jej zamiary na Konstantynopol, którym i on zawdzięcza swoje imię (Konstantyna) i przywiązywane do tego imienia nieszczęsne nadzieje, z których powodu z chęciąby to imię zmienił; lecz na prośbę Bombelles'a, by przy nadarzającej się sposobności zechciał wpływać na Mikołaja w duchu pokojowym i w widokach dla Austryi korzystnych, odpowiedział odmownie, tłómacząc się raz po raz nieznajomością sprawy i pokojowemi tendencyami młodego cesarza.

Wobec takiego stanowiska W. Księcia, nawiązano z nim wprawdzie bliższe stosunki, lecz celu właściwego nie osiągnięto,

co więcej, krokiem tym niemal do reszty popsuto sobie i tak już nietęgą sytuacyę w Petersburgu.

Kompromitacya Lebzelterna była faktem odosobnionym, tyczyła się jego samego i spowodowała poniekąd, za radą Nesselrodego, a nie bez wyraźnej woli samego Mikołaja, jego podanie się o przeniesienie z Petersburga, lecz nie wpłynęła decydująco na wzajemne stosunki obu dworów. Natomiast położenie pogorszyło się, gdy w Petersburgu dowiedziano się o jawnem sprzyjaniu Austryi W. Ks. Konstantemu. Z powodu wiadomości o tem, nadeszłych do Petersburga, w czasie gdy arcyksiąże został przeznaczony do tej misyi, a nie wyjechał jeszcze z Wiednia, przybył Nesselrode do Lebzelterna i wręcz mu oświadczył, iż wie o sprzyjaniu Austryi W. Ks. Konstantemu z powodu jego zapatrywań na sprawę wschodnią, zaznaczył, że dwór wiedeński umyślnie powierzył tę misyę arcyksięciu Ferdynandowi, jako przyjacielowi W. Księcia — a zaś z niechęcią odnosi się do Mikołaja. Lebzeltern jak mógł tak bronił swego dworu, okazywał listy Metternicha, w których kanclerz odzywał się z całem uznaniem dla postępowania Mikołaja. Lecz to tłómaczenie nie mogło usunąć coraz bardziej wzrastającej nieufności do postępowania Austryi. Tutaj jeszcze dodać należy, że równocześnie i stanowisko Tatiszczewa w Wiedniu było mocno zachwiane. Nesselrode kilkakrotnie z dużą natarczywością nawet dopytywał się Lebzelterna, któremu z obu braci Tatiszczew życzył tronu, i jego także musiał brać w obronę ambasador austryacki.

Duże niezadowolenie w dalszym ciągu wywołała podróż arcyksięcia z ominięciem Warszawy, gdzie wszystkie poczyniono przygotowania na jego przyjęcie. Krok ten musiał Lebzeltern osobnym listem tłómaczyć, usprawiedliwiając go zaspami śnieżnemi i dyplomatycznem kłamstwem, że w Poznaniu dowiedział się arcyksiąże od Radziwiłła o wyjeździe W. Księcia z Warszawy, co było niezgodne z prawdą. Niezależnie zaś od tego, sam arcyksiąże musiał wysłać list z podobnem usprawiedliwieniem do Konstantego i obiecał mu, że w podróży powrotnej już niezawodnie wstąpi do Warszawy.

Misya warszawska wreszcie dopełniła miary niefności cesarskiej. Wszelkich o niej szczegółów dostarczył Mikołajowi sam W. Książe Konstanty w obszernym liście, który przybył 3 lutego do Petersburga. Nie wpłynął on, co prawda, w niczem na stosunki towarzyskie arcyks. Ferdynanda, które były dotąd i pozostały nadal bardzo dobre. „Nie mógł mi cesarz uczynić piękniejszego podarku, jak pozwalając mi ocenić wszystkie przymioty

arcyksięcia“ — wyrażał się Mikołaj do Lebzelterna w dwa dni po otrzymaniu tego listu, gdy ambasador wręczał mu insygnia świeżo nadanego orderu św. Stefana. Cesarz nadał arcyksięciu pułk huzarów, a gdy ten, jadąc na plac Aleksandra Newskiego, odmroził uszy, darował mu wspaniałe futro. Lecz faktycznie wywołała wiadomość o tych ubocznych zabiegach Austryi duże wrażenie, które, nawet poza temi formalnemi grzecznościami, objawiało się dojmującym chłodem, zauważonym także przez samego Ferdynanda.

Zresztą Mikołaj postąpił w tym wypadku z dużą otwartością, dając mu zaraz na drugi dzień do poznania powód oziębienia się stosunków przez wręczenie mu całego pisma W. Księcia do przejrzenia. Przy tej też sposobności wyraził cesarz uczucie żalu, że arcyksiąże nie miał do niego tyle zaufania, by wprost z nim kwestyę wschodnią omówić i głęboko czuł się dotkniętym, że dopiero drogą okólną przez Warszawę starano się na niego w tej mierze wpływ wywrzeć.

Arcyksiąże, wobec takiego niespodzianego obrotu i postawienia kwestyi tej przez cesarza, znalazł się w arcytrudnem położeniu. Mając przez Metternicha przekazane nietykanie kwestyi wschodniej bez poprzedniego poruszenia jej przez cesarza, co dotąd jeszcze nie nastąpiło, a będąc obecnie zaskoczony tym wyrzutem, dla zmniejszenia i wogóle uniknienia zarzutu nieufności, żywionej do Mikołaja, musiał, w braku innego wyjścia, za jednym zamachem wyrzec się samego istotnego celu swej misyi. Odpowiedział więc cesarzowi, że kwestya wschodnia jest sprawą polityczną, która nie jest przedmiotem jego czysto przyjacielskiej misyi, a jako taka, jest oddana rokowaniom dyplomatycznym. Jeżeli cesarz zechce z nim w tej sprawie mówić, to on wypowie o niej swe zdanie tylko jako wojskowy. Krok ten był bardzo wątpliwej wartości, bo przyznaniem tem nie usunął nieufności cesarskiej do Austryi, a sobie zamknął na przyszłość możność jej dalszego z cesarzem omówienia, w duchu przez Metternicha wskazanym.

Cesarz bowiem zaraz dalszą rozmowę z nim przerwał, prowadząc go na pokoje cesarzowej matki. Na drugi dzień wprawdzie do niej wrócił, w czasie przeprowadzania Ferdynanda do sali jadalnej, lecz sprawił się dość krótko. Zaznaczył jeszcze raz tę nieufność, okazaną mu przez misyę Bombelles'a. „Przypisują mi— skarżył się cesarz w dalszym ciągu — zmyślony sposób patrzenia i sądzenia w tym celu, by mniemano, że zupełnie nie jestem w zgodzie ze zmarłym cesarzem. Pomogły w tem i oddalenie od spraw bieżących i sposób, w jaki ja się musiałem zachowywać,

jako w. książę. Lecz wierz mi, że moje położenie jako w. księcia było może o wiele trudniejsze, aniżeli moja obecna rola, jako monarchy.“

Na te tak znamienne wynurzenia cesarskie odpowiedział Ferdynand wręczeniem mu memoryału o obecnej sytuacyi Europy. Cesarz wziął go do przeczytania, nadmieniając, że pomówi z nim o sprawie greckiej nieco później, bo dotąd jej dokładnie nie miał czasu poznać, zajęty ustawicznie wewnętrznemi sprawami państwa i konspiracyą Dekabrystów. Na zakończenie tylko dodał, że ma zamiar działać w tej sprawie, jako też i innych większej politycznej wagi, w zupełnej harmonii ze wszystkiemi państwami sprzymierzonemi.

Mimo tamtej obietnicy, do sprawy greckiej Mikołaj już nie powrócił. Dziękował wprawdzie na drugi dzień przy obiedzie arcyksięciu za wręczenie mu tego memoryału, lecz uczynił przytem cierpką uwagę, że pismo to w zupełności zgadza się z tem, które poprzednio zostało poufnie zakomunikowane Konstantemu. Potem zaś sposobność w tym względzie się już nie nadarzyła, bo widzenia z cesarzem były teraz rzadsze, zresztą uwagę cesarską pochłaniały obecnie w zupełności śledztwa Dekabrystów, którym poświęcał niemal wszystkie swe wieczory.[1])

O ile więc, co do sprawy wschodniej, nastąpiło nawet jeszcze większe nieporozumienie, o tyle ta druga sprawa, walki z duchem rewolucyjnym, znalazła w Petersburgu i podatny grunt i odpowiednią chwilę.

Zeznania Dekabrystów wykazywały istnienie tajnych związków we Włoszech, na Węgrzech i w Galicyi. Wspólność niebezpieczeństwa nawoływała oba zagrożone państwa do współdziałania i obrony. Dlatego to cesarz wręczył Ferdynandowi 9 lutego wyciąg zeznań Jabłonowskiego, o ile one tyczyły się Galicyi, a następnego dnia Mikołaj sam zgłosił się do arcyksięcia na konferencyą celem omówienia tej sprawy. W rozmowie tej cesarz kładł nacisk na konieczność, by oba rządy szły ręka w rękę dla ścigania nieprzyjaciół porządku; w tym celu polecił on W. Księciu dostarczać władzom austryackim ciekawych zeznań, tyczących się Galicyi. Następnie zaś wyraził życzenie utrzymania z Austryą nietylko przyjacielskich stosunków. „Pragnę, by związki nasze

[1]) Wiadomość o pierwszej rozmowie Ferdynanda z Mikołajem o kwestyi wschodniej zawiera raport arcyksięcia z 5 lutego (№ 4 B), w całości wydrukowany u Schiemanna, II, str. 425 sq.

były tak ścisłe, jak w rodzinie... Armia moja—dodał Mikołaj—jest zawsze gotowa iść na rozkazy moich sprzymierzeńców, w razie gdyby jej potrzebowali. Sądzę, że można być zupełnie spokojnym, jeżeli — i tu zrobił aluzyę do barwy mundurów trzech państw sprzymierzonych—biały, niebieski i zielony będą trzymały się razem.“ Na środki, proponowane przez Metternicha celem zwalczania prądów radykalnych, Mikołaj godził się w zupełności, w dodatku jeszcze ze swej strony roztaczał plany urządzenia wychowania publicznego na prastarych, zdrowych zasadach, opartych tylko na religii.

Wynurzenia te były ostatnim dodatnim wynikiem misyi arcyksięcia Ferdynanda. Czas wyjazdu skracany paradami wojskowemi i przyjęciami w gronie rodziny cesarskiej, szybko schodził, a tymczasem Mikołaj ledwo mimochodem wspomniał czasem o kwestyi wschodniej. Ferdynand, poprzednio dobrowolnie zrzuciwszy z siebie tę misyę, nie mógł już o tę sprawę sam pierwszy zaczepiać, pozostawało mu więc tylko notować parokrotne krótkie wyrażenia cesarskie i na ich podstawie snuć dalsze wnioski. Lecz nawet i te luźne fragmenty myśli cesarskich nie wypadły dla Austryi zbyt korzystnie, bo cesarz mimo swych pokojowych oświadczeń, mimo wyraźnych pragnień zgodnego ze sprzymierzeńcami postępowania, wypowiedział w końcu lapidarne i ciężkie w następstwa zdanie: „Trzeba koniecznie tę sprawę ukończyć, a jeżeli się nie wszyscy co do niej zgodzą, niech mi już samemu pozostawią, a ja już mam na to dość środków i będę umiał dobrze skończyć z tymi łotrami.“ Pośród takich to smutnych horoskopów opuszczał arcyksiąże Petersburg 2 marca. Na odjezdnem tylko wręczył mu Mikołaj papiery znalezione u generała Kniaziewicza w Dreznie, z tem by je oddał Franciszkowi.[1])

Arcyksiążę Ferdynand opuszczał Petersburg, wprawdzie spełniwszy swój formalny obowiązek, lecz wyjeżdżał bez osiągnięcia jakiegokolwiek dodatniego rezultatu, co do właściwego tej misyi celu, co do sprawy wschodniej, co gorsza wyjeżdżał faktycznie z rezultatem ujemnym, bo ze zwiększoną nieufnością Rosyi ku

[1]) Ferdynand do cesarza Franciszka, 2 marca 1826 r. № 9 D. Kniaziewicza aresztowano w Dreznie na rekwizycyę władz rosyjskich. Przeprowadzona rewizya znalazła u niego ledwo dwa pisma, nie będące jednak ani autorstwa Kniaziewicza, ani nawet nie opatrzone podpisem generała. Z treści możnaby sądzić, że oba są pochodzenia greckiego, albo przynajmniej wyszły z pod pióra jakiegoś filhelena. Jedno z nich zawierało ciekawy plan, by Aleksander urzeczywistniał swe zamierzenia pokojowe.

Austryi. Arcyksiążę może sam tego stanu tak dokładnie nie odczuwał, otaczany grzecznościami dworskiemi, mógł też donosić, że Mikołaj już zapomina powoli o aferze z hr. Bombelles. Tak jednak naprawdę nie było. Cesarz i jego minister spraw zagranicznych, Nesselrode, pamiętali o niej wybornie, a ostatni miał wcale nawet ostrą rozprawę w tym względzie z Lebzelternem, w czasie której minister rosyjski nie szczędził wymówek ambasadorowi austryackiemu. „Wśród rozgłośnych oświadczeń przyjaźni i zaufania— mówił Nesselrode—jaki dawał dwór wiedeński cesarzowi Mikołajowi, wśród najlepszych wrażeń, jakie sprawiły one na umysł monarchy, krok tego rodzaju jest pożałowania godny. Wskazuje on dużo względem cesarza nieufności i zamiar wpływania na jego sposób postępowania za pomocą środków ubocznych. Wysłanie któregokolwiek z waszych generałów do Wielkiego Księcia w celu złożenia mu swych wynurzeń, wysłanie nawet hr. Bombelles'a, przeznaczonego specyalnie do tego celu, byłby cesarz należycie ocenił, lecz cała wartość tej delikatnej grzeczności została zniweczona przez cel, który w sobie kryła.“ Nesselrode zaznaczył w dalszym ciągu, że misya ta w zupełności się nie udała, gdyż Wielki Książę żywi inne zapatrywania na sprawę wschodnią, jak to w Wiedniu powszechnie mniemają, zresztą cesarzewicz o całej rozmowie z hr. Bombelles'em wysłał do cesarza jak najpoddańszy raport, w którym szczegółowo zdał sprawę z rozmów mianych z wysłannikiem austryackim i tłómaczył, że ograniczył się tylko do wysłuchania Bombelles'a, sam jednak, jak ma to przykazane, nic o tej sprawie od siebie nie powiedział.

W odpowiedzi na te zarzuty Lebzeltern usiłował wprawdzie bronić swego dworu, twierdząc, że stanowisko jego w tej sprawie nie wiele się różni od rosyjskiego, że w tym specyalnym wypadku Bombelles, choć nie miał pod tym względem żadnych poleceń, z gorliwości tylko rozpoczął na ten temat rozmowę, co W. Książę wziął za chęć wybadania go w tej materyi,— tłómaczenie to jednakże nie wielki odniosło skutek.

Stwierdził to jeszcze w miesiąc później Lebzeltern, gdy pisał, że cesarz dotąd nie poruszył w rozmowie z arcyksięciem ani razu kwestyi wschodniej. Położenie stawało się tem przykrzejsze także i z tego powodu, że wszyscy byli przekonani na dworze petersburskim, iż wysłanie takiej znakomitej osoby, jak arcyksiążę, nie miało na celu tylko zwykłej formalności dworskiej, lecz kryło jakąś ważną misyę.

Do tego w końcu doszło, że Lebzeltern, by kres położyć tym nieporozumieniom, widział się zmuszonym do napisania uniewin-

niającej zapiski w sprawie misyi hr. Bombelles'a, a choć ją przyjął Mikołaj z zadowoleniem, nie na wiele i to się przydało do wzmocnienia stanowiska Austryi w Petersburgu. Przyznawał to otwarcie ambasador austryacki, a stwierdzał ten stan rzeczy świeżo do Petersburga przybyły z powinszowaniami poseł angielski, zwycięzca z pod Waterloo, generał Wellington, oświadczając w rozmowie z Lebzelternem: „Muszę panu wyznać, że gabinet pański już nie cieszy się dziś tymi samymi względami, co dawniej, zmarły cesarz was znał, obecny was nie zna i zdaje mi się, że jest względem was nieufny."

Na takiem to podłożu wzajemnej obu państw nieufności wschodziła sprawa tajnych związków. Metternich, który zrazu nie bez zadowolenia widział trudności, z jakiemi było złączone wstąpienie na tron Mikołaja, nietylko dlatego, że Konstantemu pozostawały jeszcze pewne szanse, ale choćby dlatego, że niebezpieczeństwo, grożące młodemu władcy, uczyni go podatniejszym do rokowań z Austryą, sam został zaskoczony niemiłą wiadomością o niebezpieczeństwie, grożącem i monarchii habsburskiej ze strony tajnych związków. Pierwsze w tym względzie informacye otrzymał on za pośrednictwem hr. Bombelles'a z Warszawy, któremu W. Książę, odwdzięczając się za zaufanie żywione ku niemu przez dwór wiedeński, udzielił bliższych wiadomości o zeznaniach Pestela, stwierdzających istnienie tajnych związków we Włoszech, Węgrzech i Galicyi. Na razie jednak kanclerz austryacki nie mógł z nich szerszego użytku uczynić wobec braku jakichś bliższych szczegółów, po które natychmiast też zwrócił się za pośrednictwem Lebzelterna do władz petersburskich.[1])

W rzeczy samej interweniował w tej sprawie u Mikołaja arcyksiążę Ferdynand, lecz bezskutecznie, bo i tu nie znano jeszcze bliższych szczegółów, ograniczono się tylko do dania mu obietnic, że wrazie powzięcia jakichś pewnych wiadomości, niezwłocznie zawiadomi się o tem władze austryackie.[2])

Mimo jednak, że narazie nie znany był bliżej wynik dochodzeń rosyjskich, rozpoczęto w Austryi również śledztwo i to pozostawiając na uboczu wiadomości o związkach włoskich i węgierskich, co do których niejednokrotnie władze austryackie już wprzódy stwierdziły prowokatorską robotę rosyjską, całą swą

---

[1]) Raport hr. Bombelles, 27 stycznia 1826 r., lit. A; Metternich do Lebzelterna, 3 lutego 1826 r. № 6. Sécréte.

[2]) Lebzeltern do Metternicha, 2 marca 1826 r. № 165. E.

uwagę zwrócono na Galicyę, jako że był to grunt najniebezpieczniejszy i najpodatniejszy dla rewindykacyjnych robót związkowych, a zarazem co ważniejsza i dla prowokatorskiej zachęty ze strony sąsiada rosyjskiego.

To też skoro tylko arcyksiążę Ferdynand otrzymał wyciąg zeznań Jabłonowskiego, w których była mowa i o związku, mającym się wrzekomo szerzyć w Galicyi, natychmiast pchnął wiadomość o tem, osobną sztafetą, do galicyjskiego gubernium, polecając zwrócić uwagę na trzech mieszkańców Galicyi, posądzonych o należenie do związku, a to pułkownika Strzelbickiego, Stadnickiego i Piotrowskiego.[1])

Aresztowano tylko dwu, Ludwika Strzelbickiego i Jana hr. Stadnickiego. Śledztwo jednak, prowadzone we Lwowie, mimo informacyj, dostarczanych w tym względzie przez W. Księcia z Warszawy, nie odkryło w Galicyi żadnego związku tajnego. Wobec takiego wyniku dochodzeń obu uwięzionych w czerwcu tegoż roku wypuszczono na wolną stopę, a o ujemnym rezultacie śledztwa zawiadomił Metternich i Cesarza Mikołaja i W. Księcia Konstantego.[2])

Tak więc sprawa wspólnej walki z duchem rewolucyjnym, mimo drobne usługi, wyświadczone przez rząd austryacki śledztwu w Królestwie Polskiem, jak wydanie Oborskiego i Karwickiego, podanie bliższych szczegółów o pobycie zbiegłego zagranicę hr. Romana Sołtyka, nie naprawiło zepsutych stosunków między obu państwami.

*

* *

Na lato 1826 r. zapowiedziana została koronacya Mikołaja na cesarza w Moskwie. Konieczną było rzeczą wysłać z Wiednia specyalną misyę, któraby uczestniczyła w tym akcie. Lebzeltern, który już w marcu czynił w Petersburgu w tym względzie wywiady, otrzymał od Nesselrodego zapewnienie jak najlepszego wrażenia,

---

[1]) Arcyksiążę Ferdynand do wicegubernatora Galicyi, ks. Lobkowitza. Petersburg, 11 lutego 1826 r.

[2]) Metternich do Lebzelterna i do W. Księcia Konstantego, obie depesze z 17 czerwca 1826 r. Co do zachowania się Austryi w sprawie śledztw warszawskich por. Askenazy „Łukasiński." Warszawa, 1908. T. II, str. 387.

wywołanego u cesarza przez arcyksięcia Ferdynanda, które czyniło zbędnem wysłanie specyalnego poselstwa na tę uroczystość.

W Wiedniu długo deliberowano nad tem, kogoby obecnie wysłać. Wreszcie, niemal w ostatniej chwili, wybór padł na Filipa ks. Heskiego z linii Homburskiej. Był on jednym z tych licznych książąt niemieckich, którzy nie mając w swojem państewku odpowiedniej dla siebie pozycyi, bo ktoś starszy z rodziny sprawował rządy, szukali służby u obcych. I on też rozpoczął karyerę wojskową w armii holenderskiej, walczącej z rewolucyjną Francyą. Dostał się następnie do niewoli francuskiej, z której z trudem jeno uniknął gilotyny. Potem wymieniony za jeńców francuskich przeszedł w służbę austryacką. W tej odznaczył się parokrotnie, walcząc przeciw Napoleonowi i doszedł do stopnia feldmarszałka-porucznika i generała komenderującego w Austryi i Tyrolu.

Teren petersburski poznał już poprzednio, wysłany tamże w r. 1818 w misyi dyplomatycznej i przyjmowany z wyróżnieniem przez zmarłego cesarza. Metternich, nie chcąc ponawiać smutnych a ryzykownych doświadczeń, poczynionych z poselstwem arcyksięcia Ferdynanda, powierzył obecnie ks. Filipowi misyę czysto już oficyalną. Miał on udać się do Moskwy (jak o tem kanclerz austryacki donosił Tatiszczewowi) tylko jako „voyageur de distinction.“ Nawet pod względem wydatków reprezentacyjnych musiał się ograniczać do minimum, według przykazań znanego z przesadnej oszczędności cesarza.

Dnia 14 lipca 1826 r. zebrali się jej uczestnicy, wogóle podrzędne osobistości, w Bernie, a 19 t. m. stanęli w Warszawie. Tu W. Księcia nie zastali, ponieważ bawił on podówczas na inspekcyi swej armii, na nic więc przydał się list Franciszka do cesarzewicza, polecający jego opiece ks. Heskiego. Wysłańcy austryaccy odbyli tylko przegląd pierwszej dywizyi pieszej, dowodzonej przez generała Stan. Potockiego, która ich zachwyciła pod względem postawy i precyzyi wykonania ruchów, a następnie przez Słonim, Mińsk i Smoleńsk udali się w dalszą podróż do Moskwy, gdzie stanęli 30 lipca. Odtąd cały czas swego pobytu w tem mieście, przedstawiwszy się trzeciego sierpnia cesarzowi, spędzali na przyjęciach a przedewszystkiem na rewiach wojskowych. Wyczekiwano aktu koronacyjnego, który wyznaczony pierwotnie na 18 sierpnia, obecnie ustawicznie był przesuwany pod pozorem złego stanu zdrowia cesarzowej, a właściwie z powodu dotąd jeszcze niepewnego zachowania się wojska. Sensacyę ogólną wywołało zjawienie się w Moskwie 26 sierpnia W. Ks. Konstantego, ono też wpłynęło decydująco na samą uroczystość, którą

teraz można było przeprowadzić 3 września bez obawy jakichś smutnych następstw.

W czasie pobytu swego w Moskwie, poczynił ks. Heski ciekawe zapiski, odnoszące się do zachowania W. Ks. Konstantego. Owóż cesarzewicz z radością przez cesarza i cesarzową witany, czuł się wśród tej nowej sytuacyi życiowej nieswojsko, z czasem jednak przyzwyczaił się do tego. Chętnie przebywał w towarzystwie generałów, których traktował nietylko bardzo uprzejmie, ale starszych zwłaszcza z wylaniem i serdecznością. Wreszcie tak się zżył z tą nową sytuacyą, iż począł czynić dowcipy. I tak jednego dnia wyraził się do matki swej, Maryi Teodorówny, cesarzowej wdowy, że tu, w Moskwie, ma to wrażenie, jakby był dożą genueńskim w Paryżu za Ludwika XIV. Innym razem znowu narzekał, że przed wyjazdem do Moskwy nie mógł znaleźć dla siebie w Warszawie rosyjskiego munduru. Zaledwo z trudem wyszukano mu jeden adjutancki i to już wytarty. W nim też tu przybył twierdząc, że na tę uroczystość jest zupełnie dobry. Gdy mu zaś na to cesarzowa matka proponowała sprawienie nowego munduru, odpowiedział jej, że to jest zbędne, bo i tak to wszystko skończy się we wrześniu, potem zaś ma zamiar zrzucić ubranie wojskowe, a nosić tylko cywilne.

Przedstawiciele obcych mocarstw przebywali w Moskwie cały jeszcze miesiąc po koronacyi. Austryacy odjechali 8 października do Petersburga, gdzie znowu ich oczekiwały do czasu ich odjazdu, t. j. do 2 grudnia, różne uroczystości i popisy wojskowe. W drodze powrotnej zatrzymał się ks. Heski 11 grudnia w Warszawie, gdzie go przyjmował bardzo mile Konstanty. W czasie obiadu wiele rozprawiał cesarzewicz o swej służbie pod Suworowem, przypominając tem swoje dawne służby w obronie Austryi, a gdy zeszła rozmowa na wypadki ostatniej doby i na zrzeczenie się tronu przez Konstantego, księżna Łowicka odezwała się, iż ofiarę tę uczynił tylko dla niej i dla swego szczęścia domowego.

Gdyby sądzić z listów, jakie do siebie wzajem obaj cesarze od chwili wstąpienia Mikołaja na tron wysłali, możnaby mniemać, jakoby między nimi nie było i cienia niezgody. Mikołaj tylko od czasu do czasu nie krył swojej niechęci żywionej do osób otaczających cesarza Franciszka, a przedewszystkiem do Metternicha, któremu nie bez słuszności przypisywał skierowane przeciw Rosyi zakulisowe intrygi.[1])

[1]) Korespondencya cesarska. Franciszek do Mikołaja 1 i 12 lutego, 18 i 30 maja i 12 lipca 1826 r., zaś ze strony Mikołaja specyalne poselstwo

Że sprawa niefortunnej misyi warszawskiej poszła w zapomnienie i stosunki układają się rzekomo coraz lepiej, a nowy cesarz nie myśli o wojnie, donosili zgodnie i ks. Filip Heski i nowy, na miejsce Lebzelterna wysłany, ambasador, którym był znowu hr. Bombelles. Ten ostatni stwierdzał, że Mikołaj nosi się z pokojowymi zamiarami na przyszłość, mimo nawet, że partya wojenna prze do wypowiedzenia Turcyi wojny, a jako dowód pokojowego usposobienia cesarza przytaczał jego projekt koronowania się w Warszawie na króla polskiego, po odbyciu koronacyi w Moskwie.[1])

W rzeczy samej wzajemne różnice między obu państwami, wynikłe z powodu misyi hr. Bombelles'a i później z powodu protokółu kwietniowego, pozornie zaczęły się zacierać. Lecz już wkrótce Rosya swem agresywnem zachowaniem się w sprawie wschodniej poczęła w wysokim stopniu niepokoić Austryę. Październikowa ugoda akkermańska, godząca w całość posiadania tureckiego, a następnie zabiegi rosyjskie na rzecz Grecyi, uwieńczone trójprzymierzem angielsko-francusko-rosyjskiem, nastręczały Austryi aż nadto wiele powodów do obaw, mimo, że Mikołaj, ukrywając tamte zabiegi, zdążające do wojny z Turcyą, wciąż przekonywał Franciszka o swych zamiarach pokojowych.

Austrya stale utrzymywała się przy zasadzie pokojowej załatwienia sprawy wschodniej i stąd nie godziła się na akcyę, proponowaną przez Mikołaja. To jej stanowisko, jakoteż namacalne dowody niechęci jej do Mikołaja i jego planów, jakie się właśnie dostały do rąk cesarskich za pośrednictwem hospodara wołoskiego, który wydał wszystkie do niego pisane listy Gentza, powiernika Metternicha, wywołały znowu naprężone stosunki między obydwoma dworami. Przedstawiciela Austryi poczęto nad Newą znowu przyjmować z dawnym chłodem, znowu starannie unikano wszystkiego, coby miało jakiś związek ze sprawą wschodnią, a cesarz nawet, który już porzucił był swój projekt koronowania się w Warszawie, nosił się, jak ogólnie mówiono, z zamiarem odwołania z Wiednia Tatiszczewa, jako zbyt pokojowo usposobionego.

Niewiele tę naprężoną sytuacyę zmieniło odwołanie hr. Bombellesa z Petersburga, a przysłanie na jego miejsce hr. Stefana Zi-

---

Ribeaupierre'a z listem z 18 grudnia 1825 r., w którym ofiarowuje dla pułku, noszącego imię Aleksandra, mundur zmarłego cesarza, dalej dwa listy z 16 lutego, 16 i 27 marca, 20 listopada 1826 r. Za order św. Stefana, nadany mu przez Franciszka, obdarza go wzamian orderem św. Andrzeja.

[1]) Bombelles do Metternicha, 22 Juillet 1826. № 192. E.

chy'ego. Nowy ten przedstawiciel Austryi przybył do Petersburga dnia 10 lipca 1827 r. Opuścił on dla tej misyi swój dotychczasowy posterunek w Berlinie, gdzie od 17-tu lat przebywając, miał wybornie wyrobione stanowisko i gdzie nawet umiał pozyskać szczególne zaufanie samego króla. Lecz i on, choć mile przez Mikołaja przyjęty, wnet zauważył, podobnie jak jego poprzednik, rezerwę dworu petersburskiego i zupełny brak ufności w słowach Nesselrodego, ilekroć była mowa o sprawie wschodniej. [1])

Zniszczenie pod Nawarynem 20 października 1827 r. floty tureckiej przez zjednoczone siły angielsko-francusko-rosyjskie wywarło w Wiedniu jaknajgorsze wrażenie. Na skutek tego z gabinetem petersburskim zerwano niemal zupełnie stosunki dyplomatyczne, a choć ambasador austryacki pozostawał i nadal nad Newą, nie otrzymywał on z Wiednia przez całych pięć miesięcy żadnych depesz i instrukcyj. W dodatku Zichy był chory, więc Nesselrode był pozbawiony na miejscu niemal zupełnie komunikacyi z Wiedniem.

Tymczasem do Petersburga poczęły coraz gęściej nadchodzić z początkiem r. 1828 wiadomości z Berlina, Warszawy i Wiednia o uzupełnianiu kadrów wojskowych i zbrojeniach w Austryi, a zwłaszcza o powiększeniu siły rozłożonej w Galicyi, na której czele miał stanąć powołany w tym celu do Wiednia, niedawny poseł na uroczystości koronacyjne, ks. Filip Heski. Wobec takiego stanu rzeczy Mikołaj postanowił wywiedzieć się listownie o stanowisku w tej sprawie Franciszka. Napisał więc 19 stycznia 1828 r. długi list, w którym tłómaczył swoje postępowanie z Turcyą koniecznością i obowiązkami, jakie na niego nałożył traktat lipcowy zawarty z Francyą i Anglią. A dalej zaręczał, że nie nastąpi żaden przewrót w stosunkach międzynarodowych i w równowadze mocarstw, datującej się od aktów sprzymierzeńczych r. 1814, 1815 i 1818. „Naszym jedynym celem jest — pisał Mikołaj — przyprowadzić do skutku traktat londyński, otworzyć dla wschodu pokojową przyszłość, zgnieść wszelkie zarodki rewolucyi, a stworzyć porządek i stosunki handlowe, z którychby korzystały zarówno wszystkie rządy, jak i wszystkie narody."

Lecz cesarz Franciszek nie poddał się złudzie tych uspakajających słów, widział, że z poza nich wygląda groźba wojny tureckiej. Przez przeszło dwa miesiące zwlekał z odpowiedzią, a gdy wreszcie ją wystosował 5 kwietnia 1828 r. nadał jej cha-

[1]) Zichy do Metternicha 15 Juillet 1829 № 1 A. № 2 A bez daty.

rakter ojcowskich rad, siląc się na wykazanie smutnych i groźnych skutków wojny i przedstawiając, jako jedyne załatwienie przesilenia wschodniego, wspólne porozumienie dworów sprzymierzonych.

List ten miał poprzeć odpowiedniemi ustnemi przedstawieniami hr. Zichy. W tym względzie otrzymał on obecnie pierwszą od tylu miesięcy instrukcyę z Wiednia, w której, między innemi, Metternich proponował dla pokojowego załatwienia konfliktu rosyjsko-tureckiego nadanie samorządu Morei i wyspom.

Lecz ta odpowiedź cesarska, jakoteż instrukcye przyszły już po wypowiedzeniu przez Mikołaja wojny Turcyi. Wobec tego Mikołaj, który z ogromną niecierpliwością pisma z Wiednia wyczekiwał, nie dał się już odwieść od raz powziętych postanowień, a na pokojowe oświadczenia Zichego, odpowiadał, wykazując konieczność tej wojny, podejmowanej nie dla podboju, lecz dla dobra swego narodu i dla utrwalenia pokoju. W tym też duchu napisał zaraz list do Franciszka z tym szczególniejszym frazesem, że na wypadek, gdyby wojna ta, czego się właśnie cesarz austryacki obawiał, miała wywołać jakieś niepokojące objawy i skutki groźne dla wewnętrznego spokoju Europy, on gotów jest oddać swe siły do dyspozycyi Franciszka. List ten wręczył cesarzowi austryackiemu Tatiszczew na posłuchaniu 13 maja. Franciszek przyjął rosyjskiego posła zimno. Pisma Mikołaja narazie nie czytał, odpowiedzi na pytania Tatiszczewa dawał niechętnie, a na usprawiedliwiania posła, że wojnę tę wypowiedział cesarz z konieczności, zauważył Franciszek, że nie byłoby do tego przyszło, gdyby Mikołaj od pierwszej chwili odrzucił projekty pacyfikacyjne Anglii.

Wobec jednak konkretnego faktu wybuchu wojny, postanowiono w Wiedniu nieco zmienić względem Rosyi taktykę. Ostatecznie zdobyto się na odpowiedź. Franciszek w liście do Mikołaja z 24 maja oświadczał, że w wojnie tej zajmie stanowisko neutralne, przyczem wyrażał życzenie rychłego jej zakończenia, ponieważ dotyka ona też interesów austryackich. W końcu dziękował Mikołajowi za ofiarowaną pomoc zbrojną, dodawał jednak, że na nic się ona nie przyda wobec niebezpieczeństw zagrażających moralnie.

Tymczasem Mikołaj wyjechał do armii, a ponieważ Zichy prosił o urlop z powodu złego stanu zdrowia, jak się zaś zdaje prawdopodobnie też i z powodu trudnego położenia na dworze petersburskim, a w lipcu opuścił stolicę, więc Metternich zapyty-

wał Petersburg kogoby mógł wysłać do cesarskiego obozu w celach wojskowo-dyplomatycznych.

Z całego szeregu proponowanych na tę misyę generałów, jak Haugwitz, Ficquelemont, Alfred Windischgrätz, Teodor Buillet de Latour, wybór padł znowu na ks. Filipa Heskiego. Wysyłał go Metternich nietylko dlatego, że generał ten poznał już nowego cesarza i dobrze był u niego zapisany, ale prawdopodobnie i z tego powodu, że Metternich chciał w ten sposób stwierdzić bezpodstawność tych wersyj, które tego księcia stawiały na czele armii skierowanej przeciw Rosyi.

Misya, jaka obecnie na niego przypadała, była wcale trudna. Według danej mu instrukcyi, miał służyć celom t. zw. wyższej polityki—miał utrzymywać przyjacielskie stosunki z cesarzem i dokładnie śledzić cały przebieg operacyj wojennych, ducha armii i jej kierownictwo. Do pomocy w załatwianiu korespondencyi dyplomatycznej dodano mu ks. Franciszka Lobkowitza, brata gubernatora galicyjskiego, a do służby wywiadowczej w sprawach wojskowych, dwu wyższych oficerów sztabowych, którym jednak polecono dla niezwracania na siebie uwagi, przywdziać zwykłe mundury adjutanckie.

Ks. Heski, zawiadomiony o tej misyi przez Metternicha 9-go czerwca 1828 r., już 31 lipca stanął w Szumli, gdzie mieściła się podówczas kwatera cesarska.

I oto pozornie znowu zaczęły się wytwarzać między Rosyą i Austryą zgodniejsze stosunki. Odwzajemniając się niejako za misyę ks. Heskiego, W. Ks. Konstanty wysłał we wrześniu czterech polskich oficerów, mianowicie generała brygady Trembickiego, pułkownika I pułku strzelców P. Szembeka, podpułkownika strzelców konnych gwardyi Millera i kapitana Najmanowskiego do Wiednia, by uczestniczyli w manewrach austryackich, wyznaczonych na ten miesiąc w okolicy Badenu i Luksenburga. Lecz pod tą powłoką pozornej grzeczności kryły się wzajemne niedowierzania. Podobnie, jak ks. Heski z przebranymi adjutantami miał dokładnie baczyć na działania rosyjskie, tak znowu ci czterej oficerowie mieli prawdopodobnie na celu wywiedzieć się o ile i w jakim stopniu są prawdziwe pogłoski o nadzwyczajnych zbrojeniach w Austryi. To też Metternich, przeczuwając ten drugi, skryty cel ich misyi, poufnie wyrażał się o nich, że są szpiegami.

Metternich pracował podówczas tajemnie nad przeprowadzeniem do skutku wielkiej akcyi dyplomatycznej, mającej stanowić contre coup akcyi wojennej rosyjskiej przez wspólne wystąpienie Anglii, Francyi, Prus i Austryi z interwencyą na rzecz Turcyi.

W Rosyi zrazu nic nie wiedziano o tej działalności kanclerza austryackiego. Lecz i tak panowało tam duże rozgoryczenie przeciw Austryi. Mikołaj, choć z wyróżnieniem traktował ks. Filipa Heskiego, przecież w rozmowie z nim nie ukrywał swego niezadowolenia ze stanowiska Austryi, czego winę składał przeważnie na Metternicha i z wyrzutem wspominał zbrojenia się Austryi, które są skierowane albo przeciw Turcyi, albo przeciw niemu. Natomiast austryackie obawy starał się usunąć, powołując się na istnienie św. Przymierza i powtarzając dziwaczny frazes, że armia W. Ks. Konstantego jest przeznaczoną do tego, by w ciągu jednego miesiąca była gotową do marszu tam, gdzie jej to poleci cesarz Franciszek. Tymczasem podejrzenia co do postępowania Austryi przedostawały się chyba nie bez rozmysłu w coraz szersze warstwy. Nawet winę niepowodzeń wojennych starano się w części zwalić na Austryę, rozgłaszając, że ona to informowała Turcyę o stanie sił rosyjskich, że austryaccy oficerowie ćwiczyli poprzednio wojsko tureckie, wykonywali roboty fortyfikacyjne, przygotowali plany wojenne, a nawet jeszcze i obecnie kilku ich znajduje się w obozie tureckim.

Do punktu kulminacyjnego jednak doszło oburzenie na Austryę skoro w styczniu 1829 r., dzięki sprytowi pani Lievenowej, żony rosyjskiego ambasadora w Londynie, i wskutek odkryć przedajnego na wszystkie strony i suto nawet przez Austryę opłacanego posła rosyjskiego w Paryżu Pozza di Borgo, dowiedziano się w Petersburgu o ostatniej akcyi Metternicha przeciw Rosyi. Z powodu tych odkryć Mikołaj począł się szykować do walki z Austryą i w tym celu polecił Wojciechowi Chrzanowskiemu, świeżo w ostatniej kampanii odznaczającemu się polskiemu podpułkownikowi kwatermistrzowstwa, wykonać plan ataku na Austryę trzema kolumnami, mierząc rdzennym korpusem wprost na Wiedeń. Do uderzenia tego przeznaczał cesarz właśnie tę armię, którą ledwo przed paru miesiącami tak wspaniałomyślnie oddawał do dyspozycyi Franciszka.

Równocześnie i Nesselrode zażądał od Metternicha za pośrednictwem Tatiszczewa kategorycznych wyjaśnień co do ostatniego zachowania się Austryi. Dodał od siebie jeszcze przyjacielskie uwagi, że po pierwsze przez takie postępowanie obustronne stosunki stawałyby się z dnia na dzień bardziej niezadawalające, że powtóre skutkiem tej interwencyi, wymierzonej przeciw Rosyi, Metternich zamiast pokoju zapaliłby wojnę europejską, że wreszcie po trzecie: taka interwencya odebrałaby Mikołajowi możność jakichkolwiek ograniczeń swych żądań tureckich.

Metternich, przyciśnięty obcesowo do muru przez rosyjskiego ambasadora, zaprzeczył prawdziwości tych doniesień i wyparł się wszelkich w tym kierunku rokowań. Zadaniem zaś naprawienia popsutych stosunków i załagodzenia tego w najwyższym stopniu niezręcznego kroku Metternicha miał się zająć, właśnie przed paru dniami przed tą rozmową z Tatiszczewem, wysłany do Petersburga nowy poseł, generał hr. Karol Ficquelmont.

Rosya, mając przed sobą niezałatwioną jeszcze sprawę wschodnią i przygotowując się do drugiej kampanii tureckiej, z konieczności nie wchodziła w szczerość zgody austryackiej i przyjęła wynurzenia przyjaźni przywiezione przez Ficquelmonta za dobrą monetę. Znowu więc nawiązana została korespondencya między cesarzami, a nowy poseł, który usiłował wytłómaczyć cesarzowi i Nesselrodemu ostatnie zabiegi interwencyjne Austryi dążeniem Franciszka do pokoju, znowu powoli zaczął, napozór przynajmniej, odzyskiwać zaufanie na dworze cesarskim.

Wobec tego, ks. Filip Heski, przebywający dotąd nad Newą, został na wiosnę odwołany do Wiednia. Lecz już wkrótce otworzyło się dla niego nowe pole działalności. Mikołaj udawał się do Warszawy celem dopełnienia tu koronacyi na króla polskiego. Owóż, na wniosek Metternicha, w uroczystości tej miał znowu uczestniczyć, jako przedstawiciel Austryi, ks. Heski, któremu dodano ks. Franciszka Lobkowitza i ks. Feliksa Schwarzenberga. Celem tej misyi było złożenie powinszowań Franciszka z powodu koronacyi Mikołaja na króla polskiego. Lecz poza tą funkcyą oficyalną, kryła się prawdopodobnie druga tajna: dokładnego wywiedzenia się przy tej sposobności o nastroju ludności polskiej.

Jużto nie da się zaprzeczyć, że poza tą wielką walką dyplomatyczną, staczaną przez Rosyę i Austryę, a dotyczącą Wschodu, istniała jeszcze inna, na swój sposób również doniosła, kampania toczona między obydwoma państwami na gruncie polskim. Rywalizując ze sobą na tem polu, oba rządy, jak z jednej strony chciały pozyskać ufność swoich poddanych, tak znowu z drugiej strony starały się wszelkimi możliwymi środkami zniewolić dla siebie poddanych polskich drugiego mocarstwa i podkopać ufność w ich własny rząd.

Mikołaj więc mienił się być następcą Władysława Warneńczyka, obdarowywał Warszawę armatami i sztandarami, zdobytymi na Turkach pod Warną, budował własnym sumptem u Kapucynów kaplicę dla przechowania serca Jana III i wreszcie zjechał do Warszawy na koronacyę. W Galicyi znowu gubernator Lobkowitz, czeski magnat, wychowany wśród budzącego się w Cze-

chach ducha narodowościowego, chętnie wywodził swój ród od Lecha, pokazywał się publicznie w kontuszu, przemawiał przy otwarciu sejmów stanowych po polsku i w ten sposób zaskarbiał sobie ufność mieszkańców Galicyi. On też niejednokrotnie wskazywał tajną robotę Rosyi na terenie galicyjskim. „Rosya—pisał Lobkowitz już w r. 1826—posługuje się piórem pisarzy, gazetami i sceną, by wpływać w swoim interesie na ducha galicyjskich mieszkańców i ich życzenia zjednoczyć z dążeniami Polaków w Królestwie Polskiem."

Metternich miał w swych rękach zawsze jeszcze groźne narzędzie, mogące wywołać ferment w Królestwie Polskiem, a był niem syn Napoleona, ex-król Rzymu, zdegradowany na zwykłego ks. Reichstadtu. Z kolei Tatiszczew podniósł wielki alarm z powodu faworyzowania Polaków w Austryi, gdy Lobkowitz ukazał się w kontuszu, równocześnie zaś tenże sam ambasador donosił w raportach do Petersburga, jak to dziś jeszcze mieszkańcy Tarnopolskiego i Zaleszczyckiego obwodu wspominają z błogosławieństwem czasy spędzone pod panowaniem rosyjskiem.[1]) Owóż z dużem prawdopodobieństwem można przypuścić, że wysłannicy austryaccy, jadąc do Warszawy na uroczystość, której ostrze skierowane było właśnie przeciw Austryi, mieli się porozumieć z wybitniejszymi jednostkami Królestwa Polskiego co do ich sympatyi dla Austryi. Poufna ta misya przypadła nie ks. Filipowi w udziale, na którego uwaga wszystkich zanadto była skupiona, ale prawdopodobnie osobie mniej wybitnej, a bardziej się do tego nadającej, ks. Lobkowitzowi, którego właśnie brat, galicyjski gubernator, miał równocześnie nosić się z tajnymi zamiarami utworzenia z Galicyi i Królestwa Polskiego oddzielnego państwa polskiego pod panowaniem Habsburgów.[2])

Ks. Heski przybył do Warszawy wraz z towarzyszącymi mu oficerami 21 maja i wręczył Mikołajowi pismo Franciszka. Cesarz znowu mile go przyjmował, zapewniał go o swej dla cesarza austryackiego przyjaźni, przyczem powtarzał swój sakramentalny frazes o armii pod dowództwem W. Ks. Konstantego, która

[1]) Askenazy, „Zabiegi" 266. Tenże, „Nowe wczasy: Galicya a Węgry," Warszawa 1910, str. 266. Tatiszczew do Nesselrodego 29 Juni 1828. Portfolio II, 50, sq.

[2]) Prądzyński w swym pamiętniku, Kraków 1909, t. I, str. 199, mylnie podaje jakoby rola ta przypadła ks. Lichtensteinowi, bawił on wówczas, przydzielony Ficquelmontowi, w Petersburgu.

jest zawsze do dyspozycyi Franciszka, gdy mu zagrożą Włochy lub Francya. Część druga poselstwa, tajna, nie udała się. Wysłannicy austryaccy, jak również stale tam rezydujący konsul Oechsner, śledzili tylko z dużą dokładnością sam przebieg koronacyi i efekt jej na ludność, a zwłaszcza wszystkie objawy ujemne, ale do nawiązania jakiegoś zbliżenia austryacko-polskiego nie przyszło.

Równocześnie do Wiednia został wysłany z podziękowaniem Mikołaja za austryackie życzenia generał-adjutant Wincenty hr. Krasiński, przedstawiany niezbyt korzystnie w austryackich relacyach z Warszawy. Ten, opatrzony listem Mikołaja i dość chłodnemi poleceniami ks. Heskiego, otrzymał 3 czerwca 1829 r. posłuchanie u Franciszka, które przeszło na opowiadaniu niemal entuzyastycznem generała o obrzędzie koronacyjnym (co do którego wszak w parę dni później cesarz otrzymał wręcz odmienną relacyę ks. Heskiego i Oechsnera) i pogadance o wojnach napoleońskich.

Główny efekt jego misyi polegał jednakże na trzech rozmowach, jakie miał generał z Metternichem, 4, 5 i 8 czerwca. Krasiński zażądał wyjaśnienia z powodu ostatnich zajść i zachowania się podczas nich Austryi. Kanclerz bronił stanowiska, jakie zajęła Austrya w ostatnich wypadkach, wykazywał jeszcze raz pragnienie pokoju i rychłego zakończenia wojny rosyjsko-tureckiej. W końcu na szczegółowe zarzuty, przedstawione na piśmie przez gen. Krasińskiego w sprawie ostatnich zbrojeń Austryi, dał mu Metternich obszerne wyjaśnienie również na piśmie, zredagowane przez referenta Rady Nadwornej Wojennej, pułkownika Kavanagh, w którem zbity został każdy zarzut w poprzedniem piśmie ze strony Rosyi poczyniony Austryi.

Na tem narazie stanęło. Kilkoletnie przesilenie pomiędzy Austryą a Rosyą zakończyło się pokojowo bez wojennego zatargu i bez krwi rozlewu. Ale to przesilenie samo przez się było nadzwyczajnego znaczenia, zarówno w niektórych ostrych swoich momentach nieraz bardzo już blizkich takiego zbrojnego rozwiązania, jakoteż w głębszych swoich czynnikach przyczynowych, spoczywających na podwójnym terenie powikłania rosyjsko-tureckiego, a zarazem styczności i tarcia interesów polsko-rosyjskich, t. j. na terenie wschodnim i polskim.

W obu tych dziedzinach narazie wyszła górą Rosya, z jednej strony czyniąc znaczny krok naprzód w swojej polityce wschodniej przez świeże zwycięstwo w wojnie z Turcyą, z drugiej zaś strony niebawem utwierdzając swoje panowanie nieograniczone

w Królestwie Polskiem przez stłumienie rewolucyi listopadowej. Austrya w obu tych wypadkach zachowując z przymusu neutralność, skutkiem słabości swojej dyplomatycznej i co główna wojskowej, uniknęła wprawdzie tym razem wojennej rozprawy z Rosyą, lecz głębszą istotę rywalizacyjnego swego względem Rosyi stosunku, a tem samem płynących stąd przyrodzonych zatargów i przesileń, do późniejszych tylko odroczyła czasów.

Bronisław Pawłowski.

DROGI DO METAFIZYKI.

Wiadomą jest rzeczą, że ruch metafizyczny począł w ostatnich dziesiątkach lat zyskiwać na znaczeniu. Mimo to byłoby przedwczesnem, nadawać chwili bieżącej miano metafizycznej. Łudzić się bowiem nie można, że ruch metafizyczny jest na razie wielce powściągliwy, ograniczający się do prób wykazywania możliwości i poniekąd konieczności metafizyki i pozostawiający samo urzeczywistnienie czasom przyszłym. Nauka naogół jeszcze stroni urzędowo od metafizyki, lecz mimo to przyznaje się półurzędowo do sympatyj metafizycznych. Choć sympatye dzieli dość daleka przestrzeń od samego urzeczywistnienia, to jednak sam fakt sympatyi jest wielce znamienny. Dowodzi on bowiem, że chwila obecna łaknie metafizyki. I choćbyśmy nawet tęsknoty metafizycznej nie poczytali za dostateczny argument racyi istnienia metafizyki, to bądź co bądź faktu tego ignorować nie można, tem więcej, że jest on tradycyjnie uświęconym, towarzyszącym myśli filozoficznej krok w krok od samej jej kolebki, poprostu z duszy ludzkiej niewytępialnym.

Pragnienie metafizyczne chwili obecnej ujawnia się także na zewnątrz. Ponieważ jeszcze nie stać doby współczesnej na własną metafizykę, przeto zwraca się ona z impetem do metafizyki przeszłości. Na półkach księgarskich zjawiają się nowe wydania dzieł metafizyków nietylko dawno zapomnianych, lecz nawet przez naukę bezwzględnie wyklinanych i wydrwiwanych — jak Plotyn, Schelling i Hegel. Jeśli więc na tej podstawie wolno stawiać horoskop dla metafizyki przyszłości, wtedy musi on wypaść niezwykle korzystnie. Zwrot właśnie do tych co dopiero potępianych i z państwa nauki wyłączanych, dowodzi chyba, że chwili obecnej mądrości ich z głębi duszy potrzeba.

Sprawy metafizyki mają się więc naogół tak: nauka ścisła, która umie już być cierpliwą, możliwości metafizyki nie przesądza. Zaś umysły gorętsze i niecierpliwsze, łaknące prawdy teraz za jakąbądź cenę, zaspakajają swe pragnienie metafizyką przeszłości, szczególnie metafizyką idealistyczną.

Mimo niezaprzeczonej tendencyi ku idealizmowi, nieostrożnym byłby wniosek, że metafizyka przyszłości właśnie w kierunku idealizmu podąży. Należy bowiem mieć na uwadze jeszcze drugi, niemniej znamienny fakt. Otóż surowa szkoła empiryzmu, którą przebył umysł ludzki w drugiej połowie XIX wieku, wycisnęła na nim piętno trwałe i głębokie. Olbrzymie zdobycze nauk ścisłych stały się nietylko faktyczną tamą przeciwmetafizyczną. Ugruntowały one nadto przeświadczenie, że przyrodnicza ścisłość jest warunkiem wszelkiej naukowości, więc także filozoficznej. Z tego postulatu ścisłości chwila obecna najzupełniej zrezygnować nie myśli i nie powinna. A ponieważ klasyczny idealizm w interpretacyi takich jak Platon, Plotyn, Schelling i Hegel najzupełniej postulatu ścisłości nie wypełnia, jeno go w zasadzie wprost ignoruje, przeto słusznie wątpić należy, czy metafizyka przyszłości pod jego sztandarem popłynie. Obecny zwrot ku idealizmowi nie jest więc bynajmniej *wyrównanym* wyrazem metafizycznych dążności czasów współczesnych. Raczej należy go poczytywać za chwilowy surogat, zaspakajający dorywczo potrzeby tych, którzy bez metafizyki obyć się nie chcą i nie mogą.

Rzeczywistych poszlak, zwiastujących prawdziwe metafizyczne jutro, należy więc szukać gdzieindziej. Jasnem jest, że grawitować one muszą około problemu doświadczenia. Jakie znaczenie przysługuje doświadczeniu w obrębie metafizyki? Na pierwsze wejrzenie zdaje się pytanie to nie zawierać niczego nowego, gdyż przecież każdy system metafizyczny zajmował jakąkolwiek postawę wobec doświadczenia. Mimo to byłby zarzut ten tylko częściowo słusznym. Rozejrzawszy się bowiem w przeszłości, dostrzedz nie trudno, że problem doświadczenia w obrębie metafizyki, ściśle wziąwszy jako problem, właściwie nie istniał. Poprostu dlatego, że rozwiązywano go *a priori* od jednego rozmachu. Albo proklamowano aprioryczną autonomię metafizyki, nie uwłaczając doświadczeniu, o ile się w niej mieściło, zaś pacząc i naginając je, o ile się nie mieściło. Ale też zakładano aprioryczną autonomię doświadczenia, poczytując metafizykę za dopełnianie go tylko o tyle, o ile ono łaskawie na to zezwolić zechce. Stosunek dotychczasowy charakteryzuje więc podporządkowanie metafizyki pod doświadczenie, lub naodwrót. Sprawa ta nie zmienia

się, choć istnieją także systemy, w których podporządkowanie poniekąd się zaciera pod wpływem widocznej tendencyi do przyporządkowania, jak np. u Fechnera i Lotzego. W rzeczywistości bowiem jest tendencya ta tylko pozorną, gdyż ani Fechner ani Lotze ani na chwilę nie rezygnują z absolutnego aprioryzmu doświadczenia, kształtując swe metafizyczne spekulacye ściśle na modłę tegoż doświadczenia. Systemu, któryby bacznie przestrzegał autonomii metafizyki obok autonomii doświadczenia, któryby nie dokonywał, umyślnie czy nieumyślnie, transpozycyi z jednej dziedziny w drugą, dotąd niema. A wzniesienie takiego systemu jest właśnie zadaniem filozofii przyszłości.

Dzieje myśli, szczególnie w wieku XIX, nauczyły nas, że ani sama autonomia metafizyki, ani sama autonomia doświadczenia nie jest w stanie dostarczyć tych odpowiedzi, których domagać się nigdy nie poprzestaniemy. Wyniesienie autonomii jednej z tych sfer do godności *jedynej*, paczy i pogwałca z natury rzeczy drugą. My zaś pragniemy, by nie została uszczuplona ani o odrobinę autonomia doświadczenia, by doświadczenie wolnem było od wpływów metafizyki — a obok tego pożądamy w całej pełni zaspokojenia naszych potrzeb metafizycznych. Przeto nie pozostaje nic innego, jak uznanie samodzielności jednej sfery obok drugiej. A z rozpoznania konieczności tej samodzielności wypływa zarazem konieczność uznania jakościowej odrębności czyli niewspółmierności dwóch tych sfer. Z uświęconem przez tradycyę założeniem możliwości wzajemnego oddziaływania na siebie metafizyki i doświadczenia, gdzie raz przeważa jedna, raz druga strona, należy wziąć stanowczy rozbrat.

Faktyczne ukształtowanie właściwego stosunku metafizyki do empiryi oprzeć się musi zrazu przedewszystkiem na tem, że się metafizyce wywalczy uprawnienie naukowe w tym samym stopniu, w jakim je już posiadła empirya. Empiryi bowiem tego już dzisiaj nie potrzeba. Trywialna ta uwaga nabiera znaczenia, gdy się zważy, że sprawa miałaby się właśnie naodwrót, gdyby ten sam problem był się zjawił np. za czasów Hegla. Wówczas trzebaby było właśnie empiryę wyzwolić z pod władztwa metafizyki, czyli wywalczyć jej autonomiczną racyę bytu.

Jak tedy posiąść dla metafizyki cechy naukowości, nadto takiej naukowości, któraby ją postawiła od razu godnie obok empiryi? Osią tego zagadnienia jest z natury rzeczy problem *metody*. Postępowaniem naukowem nazywamy bowiem takie, które podpada ściśle pewnej metodzie, za naukową uznanej. Metafizyka musi tedy zdobyć sobie własną autonomiczną metodę, gwarantu-

jącą z jednej strony jej naukowość, a wyodrębniającą z drugiej strony postawę metafizyczną od empirycznej. I w rzeczy samej krok ten w myśli współczesnej już się dokonywa. Mianowicie w Niemczech wykazali Rickert, Windelband i Simel błędność stosowania metody przyrodniczej w naukach humanistycznych, usiłując ugruntować nową metodę historyczną lub idiograficzną, w przeciwieństwie do przyrodniczej czyli nomotetycznej. Zaś we Francyi poddał Henryk Bergson rewizyi metodę przyrodniczą w metafizyce, dowodząc, że niepowodzenia metafizyki przeszłości właśnie temu metodologicznemu nieporozumieniu przypisać należy, i wypracował dla metafizyki swoistą metodę mianowicie intuicyjną.

Nie wchodząc w tem miejscu w to, czy wyniki metodologicznych badań tych myślicieli są już ustalone, winniśmy podkreślić bądź co bądź sam fakt. Sama dążność bowiem do wyswobodzenia metafizyki z pod panowania metody przyrodniczej jest chyba niedwuznaczną oznaką, że myśl filozoficzna zmierza ku wywalczeniu metafizyce nowej, swoistej naukowości—niezależnej od naukowości, opartej na metodzie przyrodniczej, a dotąd za jedynie „naukową“ powszechnie uznawanej.

Na pierwszy rzut oka może się takie postawienie kwestyi wydać wprost niedorzecznem. Jakim sposobem bowiem—słyszymy zarzut — można postulować dwie naukowości? Toć celem nauki jest zdobycie prawdy—przeto musiałyby istnieć dwie prawdy. Mimo to jest niedorzeczność ta tylko pozorną i wszelka trudność znika odrazu, gdy się zważy, że właśnie cel obu podstaw: metafizycznej i przyrodniczo empirycznej jest odmienny. Zagadnienia metafizyczne empiryi, jako takiej, nie dotyczą—i na odwrót. Metafizyka rozpoczyna się tam, gdzie się kończy empirya. A choć metafizyka posługuje się naturalnie wynikami empiryi, to jednak posługuje się niemi *samowładnie*. I właśnie z tej jej autonomii płynie uprawnienie jej autonomicznej metody. Posługując się bowiem tylko metodami empiryi, z natury rzeczy nie zdołałaby przekroczyć sfery empiryi.

Konieczność wykreślenia dwóch zasadniczo różnych sfer, napotykamy przedewszystkiem w zagadnieniu *jakości* i *ilości*. Naukowe badanie, oparte na metodzie przyrodniczej, rozstrzyga zagadnienie to radykalnie, od jednego zamachu; mianowicie poświęca jakości na ołtarzu ilości. Jakości wyjaśnia przez szczególne ustosunkowanie ilości. Poglądy na naturę tego ustosunkowania nie są wprawdzie jednoznaczne. Jakości uważa się bowiem albo za algebraiczną sumę, albo za dynamiczną wypadkową czynników ilościowych. Lecz rdzeń sprawy jest w obu razach jednaki: każ-

da jakość mieści się doszczętnie w czynnikach ilościowych, tak czy owak ustosunkowanych. Tem samem jakość, *jako taka*, nie istnieje. Że taka postawa empiryi jest najsłuszniejsza, nikt w wątpliwość podawać nie będzie, gdyż właśnie ona stanowi duszę metody przyrodniczej, i właśnie dzięki jej osiągnęła nauka tak wybitne rezultaty w sferze empirycznej.

Natomiast rzecz zmienia się od razu w sferze metafizycznej. Otóż to samo przetapianie jakości na ilości stosowała także metafizyka od Platona aż do dni dzisiejszych—i do celu nie dotarła. Dobitnie wskazuje na to Bergson. Idee Platona, substancya Spinozy, absolut Schellinga i duch Hegla zawdzięczają swe istnienie zaprzeczeniu jakościowej różnorodności zjawisk, a wysunięciu na ich miejsce ilościowej jednorodności. Przeprowadzając ten proces niwelowania jakości konsekwentnie coraz dalej, musieli myśliciele wreszcie dotrzeć do tak pustych, beztreściowych i jałowych, bo bezjakościowych, wyznaczeń, jakiemi są właśnie idee, substancya lub absolut. Oczywista ta niesprawiedliwość wobec jakości spowodowała niepowodzenia metafizyki. Metafizyka przyszłości musi więc błąd ten naprawić i jakościom oddać, co im się przynależy.

Jakości napotykamy w naszych przeżyciach. Stwierdza je nieuprzedzone, bezpośrednie doświadczenie. Każde poszczególne nasze przeżycie różni się jakościowo od poprzedniego. Spostrzegamy to nawet wówczas, gdy usiłujemy stworzyć warunki jaknajkorzystniejsze, by spowodować dwa jaknajwięcej sobie równe przeżycia, np. poddając się wrażeniu tej samej barwy widmowej w drobnych odstępach czasu zupełnie biernie i wyłączając, wedle możności, wszelkie czynniki heterenomiczne, zjawiające się nieustannie w świadomości. A najdobitniej ujawnia się to w sferze *uczuciowej*. Zakładanie tożsamości dwóch przeżyć uczuciowych jest dowolnością tem wyraźniejszą, gdy się zważy, że wszelkie nasze przeżycia są niesłychanie skomplikowane. Czystej przyjemności lub przykrości nie doświadczamy nigdy. Natomiast bezpośrednio spostrzegamy różnorodność dwóch przeżyć przyjemnych lub nieprzyjemnych, choćby najprostszych.

Współczesna psychologia zdaje sobie naturalnie z tej dowolności, jak wiadomo, doskonale sprawę. Lecz mimo to sankcyonuje ją w całej pełni i upatruje właśnie w niej niezbędny warunek naukowości psychologii, założywszy, że bez takiego sztucznego i dowolnego rozkładania jakościowej różnorodności na jednorodne czynniki ilościowe, żadna nauka o zjawiskach psychicznych obyć się nie może. Przeświadczenie o konieczności takiej postawy jest we współczesnej psychologii tak silne, że predes-

tynuje wprost z góry sposób badania. Miast od rzeczywistych przeżyć, danych w doświadczeniu, wychodzi się tedy od abstrakcyjnych pierwiastków psychicznych, jak np. czuć, uczuć i wyobrażeń, i z nich konstruuje się dopiero rzeczywiste przeżycia. Naturalnie, nic dziwnego, że konstrukcye takie, o ile są pomyślane i wykonane zręcznie, sprawiają złudzenie prawdziwej nauki o zjawiskach psychicznych. Założywszy, że ze skojarzenia czynników *a*, *b*, *c*, *d* powstaje nowe jakościowe przeżycie *e*, nie trudno całe życie duszy w schemacie tym pomieścić. Lecz mimo tak oczywistego ułatwienia pozostaje sprawa nierozstrzygniętą, czy nowe jakości rzeczywiście z takiego skojarzenia takich czynników powstają. Na to pytanie psychologia współczesna odpowiedzi nie daje, bo jej dać nie może, gdyż procesu rzeczywistego kojarzenia się ilościowych czynników, celem wytworzenia nowej jakości, nikt dotąd nie przeżył. Przeżycia przedstawiają nam się raczej bezpośrednio, jako przebogata różnorodność, wciąż inna, wciąż w ruchu. Ruch ten posiada charakter ciągłego płynu, którego czynniki się nietylko kojarzą, lecz nadto wzajemnie przenikają.

Choć więc konstruowanie przeżyć psychicznych z kojarzenia się hypotetycznych pierwiastków posiada niezwykłą siłę pociągającą, bo wysoce ułatwia oryentowanie się w życiu duszy, to jednak należy się wystrzegać przed wyniesieniem go do godności jedynej prawdziwej i możliwej zasady badań psychologicznych. Natomiast należy mieć na uwadze, że oczywiste korzyści tej hypotezy osiągnęło się wyłącznie za cenę pogwałcenia rzeczywistego stanu rzeczy, gdyż w przeżyciach naszych napotykamy tylko jakości, które, *jako takie*, nie dadzą się sprowadzić do szczególnego ugrupowania czynników ilościowych. Raczej zdajemy sobie doskonale sprawę, że choćbyśmy z jakiegokolwiek przeżycia wyłuskali najskrupulatniej jego składniki, to jednak jakość tego przeżycia pozostanie zawsze czemś zupełnie nowem, wobec składników swych obcem i autonomicznem. I zresztą nie może być wcale inaczej, gdyż metoda, polegająca na niwelowaniu jakości, celem wygodniejszego oryentowania się w życiu duszy, nie może być chyba użyteczną do odbudowania ex post tych jakości, które co dopiero zniszczyła. Mechanizacya duszy, panująca we współczesnej psychologii, rozświetla wprawdzie tajniki życia psychicznego, lecz tajniki jakiegoś hypotetycznego życia, które ona zaprawdę zakłada, nie zaś tego życia, które rzeczywiście przeżywamy. Jakości psychiczne nigdy nie zejdą w schematach assocyacyjnych doszczętnie bez reszty. Zawsze będziemy bezpośrednio

zdawali sobie sprawę z jakiegoś pozostałego, nie mieszczącego się w schematach tych i do niczego niesprowadzalnego X, stanowiącego właśnie swoistą cechę jakości.

Najwyraźniej ujawnia się taki stan rzeczy, jak już wspominaliśmy, w sferze uczuciowej. Terminu uczucia w dzisiejszem znaczeniu używa się w psychologii, jak wiadomo, dopiero od czasów Kanta i Tetensa. Dwaj ci myśliciele wskazali pierwsi na jakościową odrębność uczuć w przeciwstawieniu do czuć i wyobrażeń. Przedtem rozumiano przez uczucie na ogół to, co dzisiaj nazywamy wzruszeniami (afektami) i namiętnościami. Uczucia zaś uważano za objawy drugorzędne, towarzyszące pożądaniom i aktom woli. Platon i Arystoteles określali uczucia, jako stany zadowolenia i niezadowolenia, powstające wskutek osiągnięcia lub nieosiągnięcia przedmiotu pożądania. Podobne poglądy wygłaszali św. Augustyn i wybitniejsi scholastycy, jak Albertus Magnus i Tomasz z Aquinu. W epoce Odrodzenia zjawiły się pierwsze przebłyski fizyologicznej teoryi uczuć, mianowicie u Telezyusza i Vivesa. Podobne próby napotykamy u Kartezyusza, Malebranche'a, de la Mettrie i Hobbesa. Zasadniczy zwrot wykonał dopiero Kant, poczytujący uczucia przyjemności i przykrości (Lust, Unlust) za objaw szczególnej autonomicznej władzy duszy, pośredniczącej między intellektem a wolą. W epoce spekulacyi po Kancie tracą uczucia znów swą autonomię. Hegel, Herbart i także Lotze uważają je za rodzaj niejasnych wyobrażeń, wywołanych szczególnymi procesami wzajemnego wspierania i zwalczania się wyobrażeń, a Schopenhauer wywodzi istotę uczuć z procesów wolontarystycznych.

W nowej psychologii wkroczyła teorya uczuć na nowe tory za sprawą psychologii fizyologicznej. Decydujący krok wykonali James i Duńczyk Lange. Zbadali oni cielesne objawy towarzyszące wzruszeniom i przyszli do wniosku, że treści świadomości, zwane wzruszeniami, nie są niczem innem, jak tylko sumą czuć cielesnych, rozgrywających się szczególnie w organach obwodowych. Za ogólne źródło odnośnych czuć cielesnych poczytuje Lange zwężanie i rozszerzanie się naczyń krwionośnych. Taka teorya wzruszeń wpłynęła z natury rzeczy na teorye uczuć wogóle. Uczucia straciły swą autonomię i spadły do poziomu objawów drugorzędnych, do szczególnego rodzaju czuć. Niejasnemi i zagmatwanemi czuciami ogólnemi nazywa je też James. Upatrując więc istotę uczuć w procesach cielesnych, jest teorya ta zniewoloną do wniosku, że uczucia powstają w nas dopiero wówczas, gdy poprzedzają je odnośne procesy cielesne. James nie za-

wahał się też konsekwencyi tej ująć w słynny paradoks: jesteśmy smutni, ponieważ płaczemy, lub: nie wiadomość wesoła rozwesela nas, jeno uczucie wesołości powstaje w nas z powodu pewnych procesów fizyologicznych, które dana wiadomość odruchowo w naszym organizmie wywołuje.

Teorya ta opiera się głównie na dwóch spostrzeżeniach. Po pierwsze jest faktem, że gdzie brak charakterystycznych objawów cielesnych, tam brak także wzruszeń. Np.: gniew nie wstrząsa nami, gdy swobodnie usiądziemy na krześle i uśmiechamy się mile, jak dowcipnie zauważa Ebbinghaus. Zaś na odwrót: możemy bez trudu wzbudzić w sobie uczucie gniewu, gdy pochylamy się naprzód, zaciskamy pięście, zacinamy zęby i t. d., wogóle gdy wykonujemy charakterystyczne ruchy, które czyni człowiek rzeczywiście zagniewany—z czego, nawiasem powiedziawszy, skwapliwie korzysta sztuka aktorska. Po drugie, również faktem jest, że silne wzruszenia powstają w nas pod wpływem licznych środków chemicznych, narkotyzujących i t. d. i wskutek zaburzeń w organizmie. Np. już drobne usterki w funkcyonowaniu oddechu lub serca wywołują w nas potężne uczucie strachu. I na odwrót, w pewnych wypadkach patologicznych ustaje możność wzruszania się, mimo że wrażliwość na wszelkie podniety zmysłowe pozostaje prawie normalną. Pewna chora, którą opisuje R. d'Allonnes, mogła jeść bez końca, nie odczuwając ani głodu, ani nasycenia. Zdawała sobie sprawę, że należy kochać osoby najbliższe, a mimo to nie odczuwała żadnej miłości. Intellekt jej funkcyonował prawidłowo — tylko uczucia znikły bez śladu.

Mimo tak silnych argumentów teorya Jamesa i Langego nie wytrzymuje krytyki. Najpierw wykazuje obserwacya, że nieraz dzieje się inaczej, niż teorya wymaga. Mianowicie często płaczemy, ponieważ jesteśmy smutni, wogóle stan uczuciowy poprzedza charakterystyczne objawy cielesne, jak eksperymentalnie stwierdzili Lehmann i Binet. Powtóre przemawiają przeciw niej motywy zasadnicze. Otóż teorya ta popełnia zwykły błąd fizyologicznej psychologii wogóle, mianowicie usiłuje zastąpić psychologię fizyologią.

Mniema, że opisawszy objawy fizyologiczne, wyjaśni tem samem naturę przeżyć psychicznych. Tymczasem wątpliwem chyba nie jest, że psychologia takim stanem rzeczy zadowolić się nie może. Psychologia musi obstawać przy czysto psychologicznem wytłómaczeniu objawów psychicznych i wprost bronić się od napływu łudzących surogatów fizyologicznych. Naturalnie nikt nie zaprzecza, że wszelkie zjawiska psychiczne stoją w jakimkolwiek

związku, czy przyczynowym, czy parallelistycznym, z procesami fizyologicznymi i że poznanie tego związku jest rzeczą wielce ciekawą. Lecz również zaprzeczyć nie można, że mieszanie ze sobą dwóch tych różnorodnych sfer, jest conajmniej dowolnością. Badania całego zastępu uczonych, jak: Richet, Ribot, Sergi, Münsterberg, Sollier, popierających w zasadzie teoryę Jamesa i Langego, posiadają niewątpliwie wybitne znaczenie dla poznania procesów fizyologicznych, będących w związku z uczuciami. Lecz o psychicznej naturze uczuć powiedziały nam one bardzo niewiele. Przeto łudzić się nie można, że mamy tu do czynienia z psychologiczną *fizyologią*, a nie z psychologią. Rozpoznanie właściwego stosunku fizyologii do psychologii zyskuje wogóle coraz więcej zwolenników w kołach współczesnych psychologów, mianowicie między tymi, którym sprawy psychologii leżą przedewszystkiem na sercu. Wnioski z objawów fizyologicznych o naturze procesów psychicznych stają się coraz powściągliwsze. Na konieczność takiego rozgraniczenia w interesie obu nauk kładzie szczególnie nacisk Wundt, jeden z twórców i głównych filarów psychologii fizyologicznej.

Czysto psychologiczne teorye uczuć można podzielić na dwa kierunki: dualistyczny i pluralistyczny. Dualiści, jak Ebbinghaus, Jodl, Külpe i Władysław Heinrich, sprowadzają całe bogactwo uczuć do dwóch jakościowo odrębnych rodzajów, mianowicie do uczuć przyjemnych i przykrych. Wszelkie uczucia przyjemne różnią się między sobą tylko ilościowo—tak samo przykre. Uczucie przyjemne przy spożywaniu doskonałej potrawy jest więc, zdaniem ich, jakościowo identyczne z przyjemnem uczuciem powstającem np. podczas słuchania symfonii Beethovena. Że zaś dwa te uczucia rzeczywiście między sobą się różnią—przyjąwszy naturalnie jednaką ich intensywność — polegać ma wyłącznie na różnorodności czuć i wyobrażeń, im towarzyszących. Na zasadzie tej różnią się uczucia zmysłowe, emocyalne i intelektualne, i pośredniczące pomiędzy niemi rodzaje uczuć zmysłowo-intelektualnych, zmysłowo-emocyalnych, intelektualno-emocyalnych i zmysłowo-intelektualno-emocyalnych — według klasyfikacyi wypracowanej szczegółowo przez Heinricha.[1]) Zaznaczyć należy, że Heinrich nazywa czynniki przyjemności i przykrości nastrojami. Zaś uczuciami nazywa dopiero całe rzeczywiste przeżycie uczuciowe, a więc wrażenie zmysłowe lub cielesne i t. d. plus nastrój.

[1]) Por. „Psychologia uczuć.“ Kraków, 1907, str. 198.

Pluraliści natomiast, jak Volkelt, Lipps i Wundt przyjmują znaczną liczbę jakościowo odrębnych uczuć, czyli nastrojów według terminologii Heinricha, uważając określenia przyjemności i przykrości tylko za zbiorowe nazwy, zawierające w sobie przebogatą jakościową różnorodność uczuć przyjemnych względnie przykrych. Dualistów i pluralistów łączy zaś wspólny pogląd, że czyste uczucia, nastroje, jako takie, w duszy nie zachodzą, jeno że każde uczucie jest nierozerwalnie złączonem z jakimbądź czuciem lub wyobrażeniem lub obu — mimo że uczucia są prawdziwymi pierwiastkami, ostatnimi, niepodzielnymi i niesprowadzalnymi czynnikami psychicznymi.

Oparłszy się na bezpośredniej obserwacyi, wątpliwem być nie może, że tylko pogląd pluralistyczny odzwierciedla rzeczywisty stan rzeczy. Zdajemy sobie bowiem najpierw sprawę bezpośrednio, że uczucie przyjemności kulinarnej różni się fundamentalnie od uczucia przyjemności artystycznej, nawet wówczas, gdy eliminujemy złączone z niemi czynniki czuciowe i wyobrażeniowe. Powtóre spostrzegamy również bezpośrednio, że uczucia przyjemne różnią się także w jednej i tej samej sferze jakościowo między sobą. Uczucia, wywołane przez obraz, innemi są, niż uczucia, wywołane przez rzeźbę, założywszy w obu razach tę samą treść, sprawność techniczną i ten sam poziom artystyczny. Marmur wywołuje zupełnie odmienne napięcie uczuciowe, niż barwa.

Dowolność teoryi dualistycznej jest oczywistą. Zaprzeczyć nie można, że dualizm uczuć jest teoryą niezmiernie wygodną, że ułatwia niesłychanie interpretacyę najzawilszych przeżyć uczuciowych. Lecz z drugiej strony wątpić wypada, czy psychologia na takiej „dogodności“ prawdziwie zyskuje. Miast nauki o przeżyciach naszych, takich, jakimi one są w rzeczywistości, otrzymujemy tylko hypotezę o rzekomem rzeczywistem łączeniu się pierwiastków nierzeczywistych, bo jako takich w stanie czystym w duszy nienapotykanych.

Teorya dualistyczna jest klasycznym przykładem metody przyrodniczej w psychologii. Jakościowe odrębności w naszych przeżyciach sprowadza ona do czynników ilościowych, całą przebogatą różnorodność uczuć przyjemnych i przykrych redukuje do różnic ilościowych dwóch hypotetycznych pierwiastków i wymaga od nas wiary, że jakości, które znamy, rodzą się rzeczywiście z ugrupowania się czynników ilościowych, których jako takich w stanie czystym zupełnie nie znamy. Z tych powodów jest też polemika z dualizmem wielce utrudnioną. Sam mechanizm lub dynamizm assocyacyjny niedostępny jest naszej kontroli — przeto

na argumentach pro lub contra nie zbywa. Jedyna opoka, o którą się tutaj oprzeć można, jest bezpośrednia obserwacya naszych przeżyć. Ta zaś mówi nam, że przeżycia nasze cechuje ciągłość, w której wszelkie czynniki wzajemnie się *przenikają*, a nietylko ze sobą kojarzą—jak już wspominaliśmy. Gdybyśmy więc poznali nawet zasady kojarzenia, jak tego usiłuje dokonać psychologia od czasów Hume'a, to jeszcze nie będziemy niczego wiedzieli o istocie rzekomego produktu kojarzeniowego, bo przenikanie się wzajemne czynników zmienia je doszczętnie—tak jak przeniknięcie się wzajemne wodoru i tlenu, przy pewnej temperaturze, zmienia je w wodę. Choć więc hypoteza assocyacyjna jest wielce wygodną i przeto pociągającą, to nie można bądź co bądź od niej więcej wymagać, niż to, co w niej jest zawarte. Stąd wynika, że wszędzie gdzie napotykamy coś więcej niż same skojarzenia, należy wznieść się ponad teoryę assocyacyjną. A tak się ma właśnie przy zjawianiu się w naszej duszy wciąż *nowych* uczuciowych jakości, które w ugrupowaniu swych rzekomych składników ilościowych nie schodzą bez reszty.

Psychologia uczuć musi tedy oprzeć się na fakcie, że w duszy naszej zachodzi szereg wciąż nowych przeżyć uczuciowych, jakościowo między sobą się różniących. Okoliczność ta sprawia na pierwszy rzut oka wrażenie wielce zniechęcające. Wydawać się bowiem może, jakoby psychologia była wówczas skazaną wyłącznie na opis i wyliczanie tych przeżyć bez końca. Tymczasem tak nie jest. Najpierw bowiem sam fakt stwierdzania coraz nowych jakości uczuciowych nie powinien zniechęcać, raczej winien zachęcać do coraz szerszego obejmowania nieprzebranego bogactwa duszy ludzkiej—podobnie jak astronoma nie przeraża odkrywanie coraz nowych konstelacyj, i historyka nie zniechęca wykrywanie coraz nowych motywów w czynach przeszłości. Powtóre psychologia na samej statystyce przeżyć uczuciowych poprzestać nie potrzebuje. W interesie poglądowości i łatwiejszej oryentacyi wolno jej zaprowadzać klasyfikacye, z pomocą grupowania przeżyć *podobnych*. Podobieństwa między przeżyciami uczuciowemi mogą być rozmaite. Najpierw, jak wiadomo, towarzyszą uczuciom często te same czynniki wrażeniowe i wyobrażeniowe. Lecz podobieństwo stąd wypływające, jest naturalnie czysto zewnętrzne. Dotyczy ono tylko czynników towarzyszących uczuciom, nie zaś uczuć samych. Więc z takiemi podobieństwami naturalnie, psychologia uczuć samych niczego począć nie może. Raczej musi ona wkroczyć właśnie na odwrotną drogę jak dualizm, gatunkujący uczucia wedle złączonych z niemi wrażeń

i wyobrażeń—musi wyzwolić się z pod suggestyi tych czynników zewnętrznych i szukać podobieństw między uczuciami samemi. Drogę ku temu celowi wskazał Wundt, rozróżniając uczucia przyjemne i przykre, podniecające i uspokajające, napinające i wyzwalające. Lecz klasyfikacyą taką naturalnie zadowolić się nie można, gdyż daje ona tylko ogólnikowe sumaryczne określenia, i nie wyczerpuje rzeczywistego bogactwa przeżyć uczuciowych — z czego zresztą zdaje sobie sprawę sam Wundt. By więc podołać zadaniu, musi się psychologia zwrócić do dziedzin, w których uczucia panują wszechwładnie. A dziedzinami temi są przedewszystkiem sztuka, szczególnie egotyczna i częściowo także historya. Dziedziny te przedstawiają nadto tę korzyść, że napotykamy w nich niejako objektywne krystalizacye uczuciowych przeżyć. Dzieła sztuki, począwszy od nieudolnych prób prymitywnych aż do arcydzieł mistrzów, są bowiem niczem innem, tylko wysiłkami uzmysłowienia przeżyć uczuciowych swych twórców. To samo dotyczy także historyi. I ona dostarcza nam objektywnego materyału uczuciowego, zaklętego w czynach przeszłości. Z łatwością odnaleźć w niej można skrystalizowaną całą skalę uczuć od najwznioślejszych aż do najnikczemniejszych. Zaś doniosłą zaletą obu dziedzin jest to, że uczucia w nich zaklęte nie mogą już podlegać zmianom, że są one niejako wyrwane z ciągłej płynności i zmienności uczuć w duszy, że możemy im się swobodnie przyjrzeć, bez obawy, że każdej chwili mogą przeistoczyć się i prysnąć. Pod *tym* kątem widzenia jest materyał, dostarczany przez sztukę i przez historyę, cenniejszy, aniżeli materyał samoobserwacyjny psychologa, który naturalnie także w całej pełni uwzględnić należy. Lecz postępując tak, nie powinno się ani chwili zapominać, że chodzi tu tylko o stwierdzenie przeżyć uczuciowych, właśnie tylko podobnych, a bynajmniej nie identycznych. Gdyż inaczej, upatrując tutaj coś więcej niż podobieństwo, łatwo możemy uledz niebezpieczeństwu przetapiania jakości na ilości. Że uczucia są do siebie podobne, jest faktem empirycznym, gdyż zresztą inaczej nie moglibyśmy wogóle objąć tych przeżyć zbiorowem mianem uczuciowych.

A rozejrzenie się w tej empirycznej różnorodności uczuć, w tem zjawianiu się wciąż nowych jakości, tylko do siebie podobnych, lecz zawsze wyraźnie czemśkolwiek między sobą się różniących, wiedzie z koniecznością — po trzecie—do wniosku, że akty uczuciowe duszy są aktami prawdziwie twórczymi, wciąż nowymi, coraz innymi, raz jedyny tylko dokonywanymi i nigdy w tej samej jakości nie powtarzanymi. Rozpoznanie to, będące

niczem innem, tylko wynikiem z konsekwentnego pluralizmu uczuć, winno być chlubą, a nie straszakiem psychologii. Nawiasem powiedziawszy, prawdziwie pluralistyczna psychologia uczuć ma do przezwyciężenia szczególne trudności, mianowicie lingwistyczną. Mowa ludzka jest niezmiernie ubogą w wyrazy, określające jakość uczuć. Zniewoleni jesteśmy największą liczbę uczuć określać pośrednio, z pomocą oznaczeń czuć i wyobrażeń, z uczuciami złączonych. Na trudność tę wskazuje dobitnie Wundt, gdyż jako pluralista odczuwa on ją szczególnie dotkliwie. Ale czysto zewnętrzna ta okoliczność sprawy nie zmienia. Z takim stanem rzeczy należy się poprostu liczyć i autonomiczne przeżycie uczuciowe określać jak dotąd heteronomicznie. Nieprzyjazna ta okoliczność lingwistyczna przyczynia się zapewne mimowoli pośrednio do utwierdzenia błędnych założeń dualistycznych. Ubóstwo swoistych wyrażeń sprawia bowiem z łatwością złudzenie ubóstwa swoistych czynników psychicznych.

Całość przeżyć uczuciowych charakteryzuje szczególna cecha, w przeciwieństwie do przeżyć wrażeniowych i wyobrażeniowych. Spostrzegamy bezpośrednio, że z momentem zjawienia się w jakimkolwiek przeżyciu cechy uczuciowej, traci to przeżycie znamię objektywności. Zdajemy sobie sprawę, że czynnik uczuciowy jest zależny tylko od naszej jaźni, że gdyby jaźń nasza była inną, wtedy przeżycie byłoby także odmienne. Jakość czynników wrażeniowych i wyobrażeniowych jest naturalnie także zależną od naszej jaźni — lecz mimo to nie posiada ona cechy tej bezwzględnej subjektywności. Raczej odczuwamy czynniki te jako coś w części od naszej jaźni niezależnego, jej wprost narzuconego. Utwierdza nas w tem spostrzeżenie, że te same wrażenia i wyobrażenia złączone są u rozmaitych osobników z rozmaitemi przeżyciami uczuciowemi. Jesteśmy o tem do tego stopnia przeświadczeni, że trudno nam wyobrazić sobie, by jednakie wrażenia i wyobrażenia miały być u różnych osób podłożem jednakich uczuć. Poczucie indywidualności podnosi tutaj energiczny protest.

Prawdziwie sami sobą jesteśmy przeto wyłącznie w sferze uczuciowej — i z niej wyrastają korzenie naszej indywidualności. Bez trudu obdarzamy byle osobnika wrażeniami i wyobrażeniami, identycznemi z naszemi. Natomiast jakość naszych uczuć rezerwujemy bezwzględnie dla nas samych.

Znany doskonale ten subjektywizm uczuć nabiera szczególnego znaczenia pod powyższym kątem widzenia. Mianowicie

wskazuje dobitnie na dwoistą naturę naszych przeżyć. Zdając sobie sprawę, że zależność wrażeń i wyobrażeń od naszej jaźni *inną* jest, aniżeli zależność uczuć, zniewoleni jesteśmy do nadania wrażeniom i wyobrażeniom cechy względnej stałości i niezmienności, która uczuciom najzupełniej nie przysługuje. Nie mogąc dla tej względnej stałości wrażeń i wyobrażeń znaleźć żadnych punktów oparcia w ciągłej płynności naszych przeżyć, czyli w nas samych, zmuszeni jesteśmy wrażenia i wyobrażenia nasze odnieść do czegoś stałego i niezmiennego poza nami. Natomiast dla uczuć naszych nie szukamy wogóle podobnych punktów oparcia, upatrując właśnie w ciągłej ich zmienności i wciąż nowej ich jakości, istotną swoistą ich cechę.

Dwoistość naszych przeżyć warunkuje naturalnie naszą postawę wobec ich treści. Będąc zniewoleni do uniezależnienia od nas naszych wrażeń i wyobrażeń, nie zrzekamy się bynajmniej władzy nad niemi. A najdoskonalszym wyrazem ich opanowania, jaki dotąd znaleźć zdołaliśmy, jest sprowadzenie ich nieprzebranej różnorodności jakościowej do jaknajmniejszej liczby jednorodnych czynników ilościowych. Z łatwością konstruujemy sobie wówczas z nich cały świat — boć panujemy nad nimi, jako nad naszemi tworami, niepodzielnie. Zbytecznem byłoby wskazywać na odniesione w tej sferze tryumfy, które zawdzięczamy więc naszej postawie ilościowej. Lecz, jak już szczegółowo mówiliśmy, tryumfy te mieszczą w sobie niebezpieczeństwo. Zapatrzeni w nie ulegamy zbyt łatwo pokusie zajęcia tej postawy w sferze, w której traci ona wszelki sens—mianowicie w sferze naszych przeżyć uczuciowych. Boć właśnie psychologia uczuć wykazuje, że życiu uczuciowemu naszej duszy możemy tylko wtedy naukowo sprostać, gdy napotkanym tam jakościom pozostawimy ich charakter jakościowy — gdy więc zajmiemy wobec nich postawę jakościową.

A zajęcie tej postawy jakościowej stawia nas odrazu wobec zupełnie nowych zadań i otwiera zupełnie nowe widnokręgi. Otóż stwierdziwszy, że indywidualne nasze przeżycia uczuciowe, są jednorazowemi, nigdy się niepowtarzającemi, czyli, że dusza nasza stwarza nieustannie nowe jakości, poczynamy się z natury rzeczy domagać wyświetlenia tego zjawiska, które empirya psychologiczna tylko jako istniejące stwierdza. Psychologię opisującą musimy tedy od chwili tej uzupełnić psychologią wyjaśniającą. Postulat taki chyba zadziwić nie może. W świecie ilościowym nie zadawalamy się przecież także samym opisem zjawisk, jeno zakładamy celem ich wyjaśnienia rozmaite hypotetyczne

istności jak atomy, siły, energie i t. d. Więc psychologii chyba również wolno unikać pod powierzchnią zjawisk psychicznych. A ponieważ kompetencya empiryi psychologicznej z chwilą tą się kończy — tak samo jak się kończy kompetencya empiryi z chwilą, gdy poczynamy konstruować teoryę atomistyczną lub energietyczną — przeto rozpoczyna się tutaj, tak jak i nieraz tam, metafizyka. Lecz, jak widzieliśmy, jedynie metafizyka, wypływająca z postawy jakościowej może liczyć na powodzenie. Dlatego są wszelkie systemy metafizyczne, opierające się wyłącznie na ilościach, poprostu zbyteczne i ciągłe wznawianie ich, szczególnie przez przyrodników, gmatwa tylko swoiste cele postawy ilościowej.

Metafizyka może się opierać wyłącznie na jakościach, a drogę do nich wskazała nam właśnie psychologia uczuć. Pierwszym faktem metafizycznym będzie tedy ostatni fakt empiryczny, który uzyskała psychologia uczuć — mianowicie fakt twórczości naszej duszy. Wyłanianie się wciąż nowych, wciąż innych jakości uczuciowych wykazuje dobitnie, że dusza nasza nie jest ani biernym zbiornikiem czuć i wyobrażeń, pochodzących bez wyjątku z zewnątrz, ani też maszyneryą, spajającą jakości z hypotetycznych jednorodnych pierwiastków. Dusza nasza tworzy prawdziwie, bo powołuje do jednorazowego istnienia jakości uczuciowe, które jako zupełnie identyczne nie powtarzają się i powtórzyć nie mogą — empiryczny fakt indywidualności poręcza to dostatecznie. A z tego materyału metafizyka może i musi skorzystać. *Może* skorzystać — bo twórczość indywidualna naprowadza samorzutnie na drogę zmierzającą ku wykryciu wszechtwórczości, władającej całą sferą jakości. Zaś *musi* skorzystać — bo inaczej fakt twórczości, stwierdzony empirycznie tylko jako istniejący, pozostałby istnym cudem. Fakt twórczości domaga się wykazania zasady twórczej. A ponieważ zasady indywidualnej twórczości nie można szukać w sferze fizycznej, boć tutaj jedynie z pomocą niwelacyi indywidualności cośkolwiek osiągnąć można — przeto nie pozostaje nic innego, tylko poszukanie jej w sferze metafizycznej.

Że taka metafizyka posiadać będzie wszelkie cechy naukowości — wątpliwem chyba być nie może. Choć bowiem naukowa jej metoda będzie naturalnie inną od metody przyrodniczej i choć do niej tej miary, dotąd za jedynie uprawnioną uznanej, przykładać nie można — to jednak kryteryum jej naukowości będzie, tak jak i tam, prawda. Metafizyka, która zdoła sprostać faktowi indywidualnej twórczości i która nie uszczupli ani o odrobinę fak-

tów jakości, światła prawdy obawiać się nie potrzebuje. A innej naukowości jej nie potrzeba.

Pragnąc wskazać tylko *drogę* do metafizyki przyszłości, zatrzymujemy się w tem miejscu i nie przesądzamy o niej samej, póki jej jeszcze niema. Natomiast niechaj nam będzie wolno wyrazić przekonanie, że pełne uwzględnienie faktów jakości i faktów indywidualnej twórczości, winno metafizykę powieść ostatecznie w kierunku *indywidualistycznego pluralizmu*—a więc w kierunku właśnie odwrotnym do popularnego dziś monizmu.

Michał Sobeski.

BRUNO LILJEFORS

(ZE SZWEDZKIEJ SZTUKI).

Godzinę drogi od Sztokholmu, w kierunku zachodnio-południowym, stoi nad zatoką morza Baltyckiego duży dom drewniany w ciszy i odosobnieniu. Wczesnym rankiem lub o zachodzie słońca staje często przed tym domem na progu krzepka postać mężczyzny w sile wieku. Przysłania ręką oczy małe, siwe, oczy niedźwiedzie, dziwnie ostre i przenikliwe — i wpatruje się w niebo, w chmury, wsłuchuje się w szmery, idące od morza i od czarnej przepaści borów. Na niełądnej twarzy wyraz spokojny, uważny, skupiony. Wąsy jasne, prawie białe, już lekko siwiejące. Odzienie proste, ogromnie proste: wysokie buty, torba myśliwska i fuzya na ramieniu. Coś w nim z chłopa-myśliwego, coś z niedbałej pańskości. Popatrzył, posłuchał i ruszył w stronę lasu sprężystym, żwawym krokiem lat dwudziestu.

Dwór drewniany drzemał jeszcze chwilę. Ale gdy słońce podniosło się na niebie, zaszumiało jak w ulu i wysypała się gromadka dzieci różnego wieku. Na podwórku podniosły się głosy zwierząt i ptaków domowych i niedomowych. „Co robi nasza dzika gęś?“ „A daliście jeść orlętom?“ Ale nie wszystkie dzieci Brunona Liljeforsa mają czas na te zajęcia gospodarcze. To i owo wymyka się na polowanie w pojedynkę, we dwoje, z zupełnem równouprawnieniem rodzajów. Wprawdzie żadne gazety o tem nie pisały, ale niemniej prawdą jest, że onegdaj jedna z dziewczynek, dziesięciolatka może, ubiła zająca—pierwszego zająca—ze swej lekkiej fuzyjki. Czasem i „mama“ tej gromadki, porwana ogólnym zapałem, chwyta za strzelbę i idzie na polowanie. Dziwny dom, dziwna rodzina. Bywają dni, że dom stoi pustką. Wszystko na łowach, po lasach, kniejach, nadmorskich szuwarach. Wracają

wieczorem zmęczeni, podrapani, zabłoceni—ale szczęśliwi, z bogatym łupem wrażeń i przygód. Wraca też gospodarz. Jeżeli w dobrym humorze, jeżeli dzień był pomyślny, może nas zaprosi do swego „wigwamu“ na kieliszek benedyktynki—i na dziką kaczkę. A jeżeli mu bardzo umiejętnie do serca przemówimy, zaprowadzi nas do swojej „pracowni“ na poufną pogawędkę.

Bo ten strzelec nadmorski, ten samotnik leśny, to jeden z najpierwszych malarzy europejskich, jeden z największych pejzażystów i malarzy zwierząt, jacy byli i będą. Ale pracownia jego... żal się Boże! Przypomina wielką szopę rybacką do przechowania łodzi i sieci. Coby powiedzieli modni artyści paryscy, monachijscy, a nawet krakowscy, na taką pracownię! Atelier malarskie, które nigdy nie widziało modelu kobiecego. Ale ściany tej szopy świadczą o wielkiej, natężonej pracy. Co za bogactwo i rozmaitość studyów, szkiców, rysunków. Na jednej ścianie rozpięte płótno ogromne—rozpoczęta praca. Nie może się tam całe pomieścić, trzeba je rozwijać po kawałku. Wielki sznur łabędzi ciągnie nad błękitnem, spienionem morzem!

Liljefors nie pracuje nigdy nad kilku obrazami równocześnie. Jednemu dziełu oddaje się zupełnie, całą myśl, całą pieczołowitość. Jest on właściwie samoukiem. „Szkole,“ akademii zawdzięcza bardzo mało. W Upsali,[1]) mieście rodzinnem, chodził do gimnazyum, bo mu kazano, ale każdą wolną chwilę spędzał w lesie, na polu. Opowiada, jakiego doznał dziwnego uczucia, gdy poraz pierwszy w życiu zajrzał w lesie do gniazda jakichś ptaków i gdy pierwszy raz zobaczył leśne zwierzę,—dzikie, prawdziwe zwierzę. Jako mały chłopiec, dosyć wątły wtenczas i drobny, nie znosił huku prochu, więc strzelał do ptaków tylko z łuku, albo rzucał kamieniem. Nabrał w tem takiej wprawy, że pewnego dnia ubił kamieniem sześć ptaków. Nie widział wtedy jeszcze morza, ale uczył się czytać na książce o wojnie trojańskiej i greckich wyprawach. Były tam obrazki—morze, łodzie, okręty. To morze nie dawało mu spokoju; rysował je i malował i śnił o niem ciągle.

Wyszedłszy z gimnazyum, zapisał się do Akademii sztuk pięknych w Sztokholmie. Był jej uczniem przez trzy lata, od roku 1879—82. Potem rok wędrówki po Europie: Bawaryi, Włoszech, Francyi, kilka miesięcy spędzonych w Düsseldorfie i powrót do ojczyzny, do tej Szwecyi, w której Liljefors pragnie żyć i umie-

[1]) Liljefors urodził się w roku 1860.

rać. Zamieszkał najpierw na wsi w okolicach Upsali, potem powędrował ku południowi, między wyspy, w okolice Västerviku, a od trzynastu lat mieszka w Södermannlandyi. Nad morzem ciągną się tam ogromne błota i szuwary z całym światem ptasim. Od strony lądu szumią lasy; świerki, sosny, brzozy i dęby stare wołają do siebie.

Do tej przyrody przytulił się Liljefors jak dziecko do matki. Ona przygarnęła go miłościwie i stała mu się najlepszą mistrzynią i przyjaciółką. Szepce ulubionemu synowi do ucha tajemnice swoje, wieszczy i tłómaczy dziwy ukryte. Śpiewa morze swoją wielką pieśń burzy i ciszy, uczą go ciemne bory, uczą szuwary błotne i rozhowory ptasie, uczy niebo, ziemia i woda i wszystko, co wśród nich żyje. Oto „Myśliwy," jeden z jego pierwszych obrazów. Smukłe pnie sosen, czuje się zapach żywicy i wilgotne tchnienie mroków leśnych, a strzelec stoi za drzewem i czeka. Mówią, że Liljefors jest sam strzelcem niezrównanym. Okoliczni hrabiowie i baroni poczytują sobie za zaszczyt, jeżeli Liljefors zechce z nimi polować. Naprzykład na lisa. Natępił go Liljefors w życiu niemało, ale dużo też z jego historyi pędzlem opowiedział. W galeryi drezdeńskiej oglądać można jego „Lisa z zającem," w Muzeum narodowem w Sztokholmie całą „Rodzinę lisów" (1886), w galeryi Fürstenberga, w Göteborgu, „Polowanie na lisa" (1889). Wyżyna pokryta śniegiem miękkim, puszystym. Wspaniały lis rozciągnięty na śniegu. W głębi krzewina, z poza niej wybiega pies dyszący, zadowolony, z podniesionym ogonem. Jest jeszcze w galeryi Thiela, w Sztokholmie, „Lis" w lesie wśród głębokiej zimy. Śnieżne okiście smerku czy sosny wiszą nizko tuż nad śnieżną ziemią, a on stoi pod niemi, jakby pod białym baldachimem, stoi i patrzy, jakby się namyślał, dokąd pójść, co począć?

— Ale polowanie — mówi Liljefors — nie znaczy dla mnie przedewszystkiem, żeby ubić zwierza. Mnie chodzi o to, aby się do niego zbliżyć i je zrozumieć, a tego powinien pragnąć każdy prawdziwy strzelec. I jeszcze inna uwaga: Zwykle patrzymy na zwierzęta tak, jakby naprzykład mieszkaniec Marsa, przeniesiony na naszą ziemię, patrzał na ludzi. Widziałby tylko rasy, typy, klasy, ale nie indywidua. Ja w moich obrazach zwierząt pragnę przedstawiać osobniki. Maluję portrety zwierzęce.

Takim portretem jest „Kot na łowach" i tem są „Wrony"— oba obrazy w galeryi Fürstenberga, w muzeum w Göteborgu. „Kot na łowach" wśród liściastego lasu, ozłoconego jesienią, z bogatem podłożem traw i wrzosów. Kot biegnie... cicho... lekko...

coś ma już upatrzonego i spieszy się bardzo. A „Wrony," to jesień, ale późna, już prawie zima, dżdżysta, posępna. W sośninie siedzą wrony, jedna odwrócona tyłem, zagniewana na świat cały, ogromna, stara wrona, napuszona, nastrzępiona; druga, raczej optymistka, ale nie bezmyślna, jedno oko zwróciła do przechodnia, błyszczące, mądre oko. Z ptaków leśnych upodobał sobie Liljefors cietrzewie. Malował je kilkakrotnie. Za „Polowanie na cietrzewie" zdobył w r. 1889 wielki złoty medal w Monachium i w tym samym roku za „Tokowanie cietrzewi" srebrny medal na wielkiej wystawie w Paryżu. Obraz kupiła monachijska Pinakoteka. Były to prawdziwie u Liljeforsa lata „zacietrzewione," bo rok przedtem pokazał inne „Tokowanie cietrzewi." Dzisiaj oglądać je można w muzeum göteborgskiem. Nęciła go ta odwieczna, pierwotna epopea miłości i walki, epopea, tchnąca mocną wonią sielanki leśnej, a tak bardzo dramatyczna, czasem nawet tragiczna. Jest jeszcze na innym obrazie bohaterka tych rycersko-miłosnych zapasów, śliczna „Cietrzewica," pełna wykwintnego wdzięku, siedząca sobie w chłodzie, wśród gałęzi, jakby w jakim zielonym, zaczarowanym dworze.

Czasem Liljefors przepadnie wśród lasów. Wraca dopiero nazajutrz, nad ranem. Taka noc spędzona w lesie, to wielkie objawienie. Kwitną o księżycu cudowne paprocie, kwitną jeszcze inne czary i dziwy. Raz Liljefors zaszedł w nocy na leśne uroczysko i zobaczył siedzącego na skałce puszczyka. Ptak utkwił w nim żółte oczy z niemym wyrzutem: Po coś tu przyszedł, człowieku? Czemu mi mącisz moją ciszę? Ten puhacz i to uroczysko prześladowało Liljeforsa długo i nie dawało mu spać po nocach. Aż odegnał zmorę i rzucił na płótno. Jest w muzeum göteborskiem to zjawisko: „Puhacz w leśnej głuszy." Poprostu robi się smutno na ten widok. Nie można przejść koło tego obrazu obojętnie. Bije w oczy cała niedola i cała wielkość tego ptasiego życia. Głusza okropna a piękna, nic nie drgnie w około, ptak nieruchomy jak ten głaz, na którym siedzi. Tylko oczy żyją i mówią, te dziwne, straszne oczy. Może to jakaś dusza pokutująca. Przypominają się stare baśni... może to jaki wielki duch zaklęty. Bo jest w ptaku majestat samotności i ciszy; zdaje się mówić: „Wolę ja moje odosobnienie, niż wasze zgiełki i śmiechy."

Lecz niebezpiecznie długo przestawać z takimi pustelnikami. Zdrowa dusza pragnie zdrowszych, jaśniejszych wrażeń i widoków. Jest blizko „wigwamu" malarza całe królestwo błotne, pełne gwarów, grzechotów, bulgotań, nawoływań. Stawki zarosłe rzęsą, ciche wody, gdzie trzcina się kołysze i bielą się nenufary. Lilje-

fors spędził tam nie jedną godzinę. Oto obrazek „Dzikie kaczki na moczarze“ (1901) — ogromnie tam zacisznie i miło. Zrozumieć łatwo, że kaczkom tam dobrze być musi — i przychodzi ochota odezwać się razem z niemi: „kwak, kwak!“ Oto Liljefors spojrzał na świat pod kątem kaczego patrzenia. Pływa z niemi po tym stawku, wczuł się w to życie, jak mało kto przed nim lub po nim. Albo te poważne, dostojne „Łabędzie“ w trzcinie na stawie, albo te wspaniałe „Dzikie gęsi,“ opuszczające się na moczary. Cudowne! Liljefors zwykle przedstawia ptaki w ruchu, w locie i jest tu mistrzem nad mistrze. Bezwiednie może uczył się od Japończyków. Jego kaczka, jego łabędź płyną rzeczywiście, choćby ruch był ledwo dostrzegalny. Liljefors jest świetnym zoologiem, uczonym, znawcą przyrody, ale jest przedewszystkiem artystą o przedziwnej mocy odczucia i wczucia się, zupełnego oddania się. Malarze i krytycy fachowi niech analizują i podziwiają doskonałość jego techniki, rysunek i koloryt, lecz najprostszy człowiek widzi, że jest w tych obrazach coś wielkiego: bezpośrednie, żarliwe, szczere połączenie się z przyrodą.

— Ludzie nie wiedzą—mówił Liljefors w ostatnim czasie do jakiegoś gościa—jak łatwo zdobyć przyjaźń i ufność dzikich ptaków. Oto tam, na podwórzu, mamy dziką gęś. Pewnego dnia przywędrowała do nas zupełnie niespodzianie, znalazła pożywienie i widocznie spodobało jej się u nas, bo nikt jej się tu nie sprzeciwia i może robić co chce. Czasem tylko kot ją spłoszy; wtedy ucieka, ale zawsze wraca. Były też u nas czas jakiś w gościnie dwa młode sokoły-wędrowce. Należą one, jak wiadomo, do najpłochliwszych ptaków. Ale odkryły coś w śpiżarni nad schodami, przyleciały raz, drugi i trzeci, a potem przylatywały już stale, co jakiś czas. Wcale im to nie przeszkadzało, żeśmy stali w około i im się przypatrywali. Czasem stare sokoły, jak błyskawica, wpadały za niemi z krzykiem i szumem skrzydeł próbowały lekkomyślników pociągnąć za sobą. Jakby do nich mówiły: Co za szaleństwo! Nie widzicie, że tutaj są ludzie blizko! Ale sokolęta nie zważały na te przestrogi. Były u nas też kiedyś orlęta młode i gnieździły się tu swobodnie, i były bardzo grzeczne i łaskliwe. Ale oczywiście, w miarę jak podrastają, ta łaskliwość może się stać niebezpieczna, zwłaszcza dla dzieci. W każdym razie warto się przekonać, ile czasu potrzeba, aby dzikie zwierzę zapomniało o swoich dzikich instynktach. Możnaby myśleć, że potrzeba do tego kilku generacyj. Gdzież tam. Każde zwierzę można z łatwością oswoić, jeżeli od małego przyzwyczai się do ludzi. Trzeba tylko unikać tresury i wszelkich

ruchów gwałtownych. Zwierzę ceni zwłaszcza spokój w człowieku, tego żąda przedewszystkiem.

Zdarza się, że Liljefors ucieka na kilka tygodni na północ, między reny i niedźwiedzie, w głęboką, zimną Laponię. Zwykle radzą ludziom przespać czas podróży między Boden a Gellivare, bo tam tylko puste, wilgotne rozłogi. Ale właśnie do tych rozłogów, do tych mokrych stepów północnych, ciągnie coś Liljeforsa. Niejedno zwierzę można tam podpatrzyć. Stamtąd też pewno pochodzi ów „Orzeł chwytający zająca"—w galeryi Thiela, w Sztokholmie.

Orzeł, ptak królewski, orzeł-drapieżnik, to jego ptak ulubiony. Przedstawia go z różnych stron, w różnych chwilach: „Orle gniazdo," „Orlęta morskie" i najwspanialsze ze wszystkich „Orły morskie" w Muzeum narodowem w Sztokholmie. Na wzburzone fale spadają dwa olbrzymie ptaki, jeden już dziób utopił w ofierze, w jakimś mniejszym ptaku. Taka potęga w tym locie, taka siła w ogromnych skrzydłach i szponach, taka dzikość a zarazem wspaniałość, że aż dreszcz chwyta. Coś żywiołowego! Uważają ten obraz za arcydzieło Liljeforsa i tak jest w Szwecyi ulubiony i rozpowszechniony, że stał się prawie jakimś pomnikiem narodowym. A inni rozbójnicy morscy? Jest jeszcze „Gniazdo jastrzębi," są „Sokoły-wędrowce" w gnieździe, stara sokolica i sokolęta w szczelinie stromej, nagiej skały nad morzem, wysoko.

W roku 1901 urządzono w Sztokholmie wystawę dzieł Liljeforsa i te obrazy odbyły potem wędrówkę po Europie. Było tam świeżo wykończone płótno „Mewy." Jak te mewy lecą! Jakby naśladowały ruch fali morskiej, do niej lgnęły, z nią razem podnosiły się i zniżały.

Liljefors mieszka nad morzem. Ale na obu szwedzkich wybrzeżach, wschodniem i zachodniem, morze dochodzi do lądu tylko zatokami. Jest jeszcze cały świat wysp i wysepek, „skärgard," który trzeba przebyć, zanim się wypłynie na szerokie, prawdziwe morze. Malarz tęsknił do tych przestworów. Kupił sobie niedawno o kilka mil od brzegu całą wyspę, Bullerö, z otaczającemi ją wysepkami. I tam żyje przez lato w szałasie, a raczej w dużej łodzi motorowej. Pomysł doskonały. Zupełna swoboda, zupełna niezależność. Tu można odetchnąć szeroko. Tu można o niejednem podumać i o niejednem zapomnieć.

Liljefors jest wielkim poetą morza. Ono na jego obrazach surowe, posępne, jak bywa na północy, lecz tajemnicze i nieskończone. Oto „Wir morski," ciemne, wzburzone morze, skały i woda wrząca, jak w kotle. Nieustanna praca żywiołu, ciągły trud

morza, dziki, nieuciszony. Nad tym zamętem przelatuje ptak i nic więcej. Na innym obrazie znowu niebo, morze, skały, jak zawsze, były i będą, niezmienne, wieczyste. Tylko dwa ptaki, „Dudki," unoszą się nad wodami. A najpiękniejszy z nich to „Nury-lodowce." Jesteśmy daleko od brzegu. Głębiny morskie i bezmiar nieba, samotność ogromna, zupełne milczenie. Nie zupełne! Odezwały się jakieś żałosne głosy. Nury-lodowce zakołysały się na fali; duże, dziwne, tajemnicze ptaki. Prawdziwe dzieci morza! Wszystkie barwy wody mienią się w ich piórach. Zdaje się, że na takiem morzu tylko takie ptaki żyć mogą.

Jest jeszcze jeden obraz, o którym trudno zapomnieć. Wywołuje wrażenie czegoś odrębnego w tej wielkiej galeryi. Nie motywem, bo motyw często u Liljeforsa spotykany, ale uczuciem, które wyraża i które budzi. To najrzewniejsza nuta w tej potężnej pieśni, tak nawskroś męzkiej, jędrnej i zdrowej, jakby zwrotka liryczna, tem piękniejsza, że niespodziana. Obraz nazywa się „Noc wiosenna" (1896) i miasto Bremena jest jego właścicielem. Oto w noc majową trzy łabędzie lecą gdzieś z wyciągniętemi szyjami. Lecą nad łęgami, nad błotami. W powietrzu wilgoć świeża, woń ziół młodych i przyciszone głosy nocy. A łabędzie lecą, lecą w tęsknem, żarliwem zapamiętaniu, jakby je gnała ogromna tęsknota.

Zapewne Liljeforsowi wyśnił się ten obraz podczas jednej z jego krótkich wycieczek zagranicę, kiedy tęsknił do Szwecyi i pragnął czemprędzej wracać do kraju. Bo w całości ducha swego, życia i pracy jest on sam żywą cząstką tej Szwecyi i jej szlachetnem a wiernem odbiciem. Jak dąb stary wrósł w ojczyznę swoją stokrotnymi korzeniami myśli i uczucia. Każdym obrazem, każdym ruchem pędzla mówi do niej: „Gdzieindziej może piękniej, bujniej, weselej. Twoje zimy długie, a wiosny krótkie. Tyś chłodna, smętna, skalista. Tyś niebogata i nieludna. Jednak Tyś dla mnie z wszystkich najmilsza, najpiękniejsza. Kocham Cię, ziemio moja!"

Jeden z pisarzy szwedzkich mówi, że, gdyby miał pieniądze i władzę odpowiednią, to, nie czekając śmierci Liljeforsa, wykupiłby wszystkie jego obrazy i otworzyłby wielkie muzeum dla młodzieży. Do owej świątnicy prowadziłby tych, co w życie wstępują. Niechby patrzyli na te obrazy i uczyli się z nich dwóch rzeczy, które rzucają na życie strugę światła: miłości przyrody i miłości sztuki.

Marya Zielewiczówna.

„NOWA HELOIZA“ RUSSA

NA TLE EPOKI.

I.

Punktualny, jak zegarek, docent filozofii na uniwersytecie w Królewcu, Emanuel Kant, zaniechał raz jedyny swej poobiedniej przechadzki, a powodem tego było zaczytanie się w „Nowej Heloizie,“ jak nam powiada nie bez pewnej melancholii jego znakomity biograf i komentator, Kuno Fischer.

Łatwo się domyśleć, z jaką ciekawością i gorączką pochłaniano wówczas książkę Russa, skoro jej czarowi nie oparł się umysł tak poważny, jakim był niewątpliwie autor „Krytyki czystego rozumu“ w czterdziestym roku życia. Dziś, przerzucając kartki „Nowej Heloizy,“ wzruszamy nieraz ramionami. Zaloty i miłosne tyrady Saint-Preux'a czy Julii poczytujemy za nierozsądne wybryki, o jego uniesieniach i gorących wykrzyknikach mówimy z pobłażliwym uśmiechem na ustach. Wydaje nam się to wszystko zimne, retoryczne, konwencyonalne. A jednak musiało w tem dziele być coś niezwykłego, czarującego i nowego dla współczesnych, skoro przyjęli je z takim entuzyazmem, skoro wchłaniali je i naśladowali z takim zapałem. Musiało w tej historyi miłości dwojga serc być coś, co odbijało się od przeciętnego poziomu, od szablonowego życia i od ustalonych pojęć, skoro wywarło tak wielkie wrażenie i wywołało takie gorączkowe, namiętne poruszenie umysłów.

Niektórzy krytycy, nieprzyjaźnie usposobieni dla myśliciela genewskiego, utrzymują, że każde dzieło Russa było dziełem... przypadku. Mogło powstać, mogło i nie powstać. Treść i tendencya były także wynikiem raczej kaprysu, niż stałego systemu.

Zdaje mi się jednak, że ich twierdzenie niema żadnej podstawy i że raczej przypuszczać należy, iż kierunek, który przedstawia autor „Kontraktu społecznego“ był koniecznością chwili, był upragniony i z tęsknotą oczekiwany. Tylko na grunt przygotowany zasiew pada ze skutkiem. Tylko wtedy przyjmują się rychło nowe hasła, gdy stare wyczerpały swą siłę żywotną, gdy strupieszałe i pod starości ciężarem rozpadające się zasady z konieczności miejsce zrobić muszą nowym. Ówczesna epoka dostarcza nam świetnych przykładów na uzasadnienie powyższego twierdzenia.

Przypatrzeć się stosunkom społecznym i literackim we Francyi w pierwszej połowie XVIII-go wieku, wśród których powstaje dzieło Russa, powiązać je ze współczesną i poprzedzającą literaturą, zaznaczyć, co nowego do niej wnosi, wskazać w najogólniejszym zarysie jej treść, jej pierwiastki, jej wpływ i znaczenie— oto zadanie niniejszego szkicu przygotowawczego do monografii o myślicielu genewskim, którego dwóchsetną rocznicę obchodzić będzie Francya za dwa lata, gdy my święcić będziemy setną rocznicę urodzin nieśmiertelnego twórcy „Irydiona“ i „Nieboskiej Komedyi.“

II.[1])

Stulecie osiemnaste nie bez słuszności, obok innych określeń, nosi miano wieku panowania rozumu. Odnosi się to przedewszystkiem do pierwszej jego połowy, która jest epoką wszechwładnego rozpanoszenia się kierunku racyonalistycznego nietylko w filozofii i literaturze, ale i w religii, obyczajach, konwersacyi. Chłodny rozum jest głównym, można powiedzieć, jedynym czynnikiem, który wszystkiem kieruje i rządzi, który wszędzie wyciska swoje piętno. Opierając się na nim, występuje filozofia kontynentalna, w jego imię burzy się podstawy religii objawionej i lekceważy się zasady moralne, jako szczątki barbarzyństwa i zabobonów średniowiecza. Argumentami, które podaje zdrowy rozum, encyklopedyści wykazują powszechną samowolę i niesprawiedliwość klas rządzących, krytykują rząd i urządzenia społeczne i przygotowują grunt pod rewolucyę oraz materyał dowodowy, którym

[1]) Porów. Taine'a: „L'ancien régime“ Livre II; Hettnera: „Geschichte der französischen Literatur im achtzehnten Jahrhundert“; Brandesa: „Główne prądy literatury XIX stulecia“ t. I.

ona posługiwać się będzie, aby usprawiedliwiać swoje rzezie i mordy, gilotynę i kata. Równocześnie zaś „Wielki“ Fryderyk kładzie podwaliny pod despotyzm oświecony i w imię tych samych zasad, które rzekomo podawał rozum, utwierdza monarchię absolutną, opartą na wszechwładzy „światłego“ króla. I w imię tych samych „zasad filantropijnych“ knuje piekielne intrygi i zamachy na Polskę, ażeby uszczęśliwić kraje, pogrążone w barbarzyństwie, swoją „światłą“ opieką.

Panowanie rozumu nieogranicza się jednak do literatury i filozofii. Jego władza obejmuje także życie salonowe, obyczaje. Zdobywa sobie niepodzielne rządy w towarzystwie, w konwersacyi, w konwenansach i... w uczuciach. W społeczeństwie francuskiem pierwszej połowy XVIII-go wieku chłodna elegancya, na zimno popisująca się galanterya i wymuszona etykieta osiągają swój szczyt, zrazu na dworze królewskim, a stamtąd się rozchodząc po dworkach i zamkach wielkich panów. Prześlicznie opisuje Taine w swej historyi dawnego rządu to życie wersalskiego dworu. „Z rzeźbionego sklepienia, zaludnionego figlarnymi amorkami, w girlandach kwiatów, których blask potęgują wysokie zwierciadła, światło tryska promieniami po złoceniach, po dyamentach, po dowcipnych i wesołych czołach, po wysmukłych kibiciach, po sutych, różnobarwnych strojach, zdobnych w girlandy. Robrony dam, ustawionych wkoło lub spoczywających na ławkach, tworzą bogaty szpaler, pokryty perłami, złotem, srebrem, kamieniami, kwiatami, owocami sztucznymi, jest to olbrzymi bukiet żyjący, którego blask zaledwie oko znieść zdoła. Panowie utrefieni i upudrowani, w puklach i zwojach, w koronkowych krawatach i mankietach, w jedwabnych sukniach i kaftanach blado-zielonych, różowych i niebieskich, zdobnych w hafty i złote galony—są wystrojeni niemniej od dam. Panowie i panie, jakby dobrani co do jednego, są to wszystko światowcy doskonali, ozdobieni we wszystkie wdzięki, jakie dać może rasa, wychowanie, fortuna, wygoda i przyzwyczajenie. Nie masz tu toalety, sposobu trzymania głowy, dźwięku głosu, frazesu, któryby nie był arcydziełem światowej ogłady, przedystylowaną kwintesencyą wszystkiego tego, co kunszt towarzyski wytworzyć może najbardziej wyszukanego. Nawet tak ogładzone towarzystwo paryskie ani się nie zbliża do wersalskiego, porównane z dworem, wydaje się prowincyonalnem. Potrzeba stu tysięcy róż—jak powiadają—żeby przygotować uncyę owej jedynej esencyi, którą się posługują królowie perscy; takim jest ten salon: mały flakonik ze złota i kryształu; zawiera się w nim treść wegetacyi ludzkiej. Dla napełnienia go potrze-

ba było najprzód, aby wielka, rycerska arystokracya, przesadzona do cieplarni, przestała rodzić owoce, a wydawała tylko kwiaty; następnie, aby wszystkie soki, oczyszczone w alembiku królewskim, skoncentrowały się w kilka kropli aromatu. Koszt to niezmierny, lecz tylko za tę cenę dają się wyrabiać arcy-delikatne pachnidła.“ [1])

W tak sztucznej atmosferze uczucia nie mogły rościć sobie pretensyi do współudziału i należnego im miejsca w życiu. Rozum opanował wszystko i wytworzył utartą, szablonową elegancyę. Co wykraczało przeciw ustalonej galanteryi, ściągało na siebie powszechne potępienie. Każde słowo, każdy frazes musiał być odmierzony, obliczony; największą zniewagę ściągał ten na siebie, czyje zdanie uznano za wykraczające przeciw dobremu tonowi. „To niepodobne do niczego,“ „to niema nazwy,“ były najostrzejszą przyganą, śmiertelnym ciosem dla śmiałka, strącającym go odrazu z miejsca, zajmowanego w towarzystwie. Natomiast serce nie gra żadnej roli i nie miało się po co odzywać wśród tej cieplarnianej, wydelikaconej atmosfery. Wszelkie wybuchy uczucia tłumiono, wszelkie namiętności przykrywano szatą dobrego tonu. Uczucia głębokie wydawałyby się czemś dziwnem, nieprzyzwoitem. Słowa prawdziwej miłości były najsurowiej wzbronione. W chwilach najwyższego uniesienia nie wyrywa się nikomu niepowściągliwsze, gorętsze słowo. Wszystko było wykwintne, dobrane. Ale pod formą tych najwyszukańszych i najbardziej wykwintnych frazesów kryła się nie zdrowa namiętność, lecz lubieżność i rozpusta, która toczyła, jak rak, zgangrenowane społeczeństwo owej epoki. Jak pod koniec greckich państw był czas panowania heter, tak wiek XVIII we Francyi, to czas wszechwładzy kochanek królewskich. Rzeczywistość przedstawiała dziwny kontrast z wypolerowaną mową; najbrutalniejsze instynkta i najbardziej rozpasane orgie święciły swój tryumf. Najwyższy upadek moralności, poniżenie praw małżeńskich, oto co grasowało wśród społeczeństwa najwyższych sfer. Kobietą, którą się mężczyzna najmniej zajmował, była jego własna żona. Powiedział ktoś dowcipnie, że we Francyi „złamanie wiary małżeńskiej za Ludwika XIII było przepędzeniem czasu, za Ludwika XIV prawidłem, a za czasów regencyi stało się obowiązkiem.“ [2]) Lecz to wszystko nie objawiało się nigdy w słowach. Zdawało się, że

[1]) „Francya przed rewolucyą,“ str. 112.

[2]) Brandes: „Główne prądy“ t. I, str. 49.

hasłem tych ludzi jest: popełniajmy wszelki występek, lecz zachowujmy pozory.

Ta nienaturalność, panująca wszechwładnie w salonie, występowała w każdym objawie życia codziennego z jaskrawą siłą, a szczyt swój osiągnęła w wychowaniu dzieci. Te biedne istoty, zaniedbane przez rodziców, nie żyjących ani razem, ani z niemi, zdane na łaskę guwernerów, ochmistrzów, nauczycieli i metrów od tańca, pozbawione troskliwości i ciepła rodzinnego, wyrastały na wątłe i sztuczne rośliny. Od lat najmłodszych zmuszane do naśladowania starszych w chodzie, mowie, gestach, ubraniu i galanteryi, nigdy właściwie nie zaznały prawdziwej młodości, nigdy nie mogły odczuć jej powabów, będąc dorosłemi od pierwszego kroku. Ciekawy to widok tych chłopców i dziewcząt z owego czasu. „Jedni z harcapem, puklami, zwojami upomadowanymi i pudrem na twarzach aż do białości, ze szpadą przy boku, kapeluszem pod pachą, żabotem i sukniami o złoconych wyłogach, całujący ręce młodych panien z wdziękiem fircyków, a drugie sznurowane w tęgie fiszbiny, w sukniach, pokrytych girlandami, z misternym na głowie stosem fałszywych włosów, złożonych z podkładek i więzów przypiętych szpilkami, stosem, który uwieńczony jest piórami i tak wysoki, że często podbródek znajduje się w połowie całej postaci.“ [1]) Oto obraz ośmioletniego chłopca i sześcioletniej dziewczynki.

Taka nienaturalność w obyczajach i wychowaniu, sztuczność w rozmowie, oschłość w uczuciach panowała w atmosferze salonów i dworu. Obojętność serca, jak podnosi Taine, była w modzie, prawdziwym wzruszeniom wstydzonoby się ulegać. Rozprawiano o uczuciach głęboko i uczenie, rozstrząsano wszelkie kwestye z zakresu galanteryi, jak rozprawiano o nich wśród trubadurów i dam w wieku XII i XIII, ale nie umiano ani kochać, ani przejąć się prawdziwem uczuciem. Trafnie charakteryzuje St. Preux, bohater „Nowej Heloizy,“ w jednym ze swoich listów paryskich do Julii tę wyrafinowaną kulturę ówczesnego towarzystwa. „Un des sujets favoris de ces paisibles entretiens, c'est le sentiment; mot par lequel il ne faut pas entendre un épanchement affectueux dans le sein de l'amour ou de l'amitié, cela serait d'une fadeur à mourir; c'est le sentiment mis en grandes maximes générales, et quintessencié par tout ce que la métaphysique a de plus subtil... on ne saurait croire à quel point tout est compassé,

[1]) Taine, Op. cit. str. 141.

mesuré, pesé, dans ce qu'ils appellent des procédés; tout ce qui n'est plus dans les sentiments, ils l'ont mis en règle et tout est règle parmi eux. Ce peuple imitateur serait plein de d'originaux, qu'il serait impossible d'en rien savoir; car nul homme n'ose être lui-même. *Il faut faire comme les autres:* c'est la première maxime de la sagesse du pays. *Cela se fait, cela ne se fait pas:* voilà la décision suprème.[1])

Z biegiem czasu wyczerpała się ponęta takiego życia, które, jakkolwiek przyjemne i wygodne, musiało się wydawać w końcu czcze, próżne, zbyt jednostajne i bez żywszego polotu. Na ową chwilę przypada początek wpływu powieści angielskiej. Wolter zwrócił był uwagę na społeczeństwo albiońskie, na jego ustawodawstwo, konstytucyę, literaturę i filozofię. Interesowanie rośnie i osiąga stopień dość znaczny, gdy ukazał się romans Richardsona. O nim więc pomówić należy.

III.[2])

Najznamienitszym płodem literatury angielskiej pierwszej połowy XVIII wieku jest niewątpliwie jej powieść. Nagły rozwój, a raczej zupełny przewrót, jaki się wówczas dokonał pod piórem takich pisarzy, jak Foe, Richardson, Fielding, ma niewiele równego w historyi powieści europejskiej, która do dnia dzisiejszego kontynuje kierunki wtedy zapoczątkowane.

Romansom o ckliwej galanteryi, pełnym niezwykłych wypadków i awanturniczych przygód, romansom t. zw. romantyczno-rycerskim przeciwstawili angielscy pisarze powieść społeczną, malującą obyczaje i wady, dążności i zachcianki, przywary i występki ówczesnego społeczeństwa. Nie dziw, że powieść ta obiegła całą Europę, wywołując wszędzie zachwyt i naśladowanie. Była ona czemś nowem, niepodobnem do całej współczesnej produkcyi literackiej we Francyi, zarówno swoją moralizatorską tendencyą, wyodrębniającą się z pośród innych utworów, jak szczerością uczucia i gwałtownością konfliktów, tam odmalowanych. Współcześni, którym przejadła się mitologia grecko-rzymska i którzy już dość

[1]) „La Nouvelle Héloïse.“ Cz. II, list XVII.

[2]) E. Schmidt, „Richardson, Rousseau und Goethe“; J. Texte, „J. J. Rousseau“ II ed. 1909.

mieli królów i książąt, pasterzy i pasterek, powitali z radością zmiany, wprowadzone przez romans mieszczański o silnie patetycznym nastroju.

Tym, który najwięcej przyczynił się do nadania rozgłosu powieści angielskiej, był Richardson, księgarz i nakładca londyński, a zarazem bardzo utalentowany pisarz, bezpośredni poprzednik Jana Jakóba Russa. Jego wpływ uwidocznił się szczególnie w „Nowej Heloizie,“ zarówno w formie zewnętrznej (forma listów), jak w kompozycyi i technice. Dygresye w powieści genewskiego myśliciela mają niejedną paralelę w utworach londyńskiego księgarza.

Wybitną cechą powieści Richardsona, która narzuca się od pierwszej kartki, od tytułu niemal, jest chęć zbudowania czytelników, pragnienie, aby książką sprowadzić go na drogę moralności. Są to zatem, jakbyśmy dziś powiedzieli, utwory *à thèse*, mające tendencyę z góry powziętą, coprawda najuczciwszą w świecie, ale która obecnie robi te powieści niemożliwie nudne w czytaniu. Przez kilkanaście, czasem kilkadziesiąt kartek przeciąga się nieraz opracowanie tej lub owej kwestyi moralnej. Pełno tu dygresyj i epizodów, dysput o najrozmaitszych zagadnieniach społecznych, obyczajowych.

Nieraz rzecz najbłahszą rozstrząsa się przez pół tomu, jak np. przy odjeździe jednej z bohaterek, Pameli. A więc: „czy pojedzie, czy nie? Czy pojedzie powozem, czy konno? Czy wynajmą jej powóz, czy też pożyczą? A wypada, aby młoda dziewczyna jechała konno? Czy weźmie ze sobą jeden pakunek czy też dwa? A jaką suknię włoży—świąteczną czy codzienną? A ile dostanie wynagrodzenia, 25 gwinejów, czy też 20 tylko?“ Oto pytania, rozbierane z gorliwością lepszej sprawy.[1]) Wszystko opisuje się z drobiazgową dokładnością. Autor nie zaniedbuje niczego; odnosi się wrażenie, że ma władzę dostania się wszędzie, choćby przez dziurkę od klucza, aby podpatrzeć panów, podsłuchać służących: o wszystkiem bowiem wie, wszystko zna i rozwija w długich listach bohatera, bohaterki lub innych osób. Jest to kierunek nowy niewątpliwie, kierunek realistyczny, ale jeszcze w najprostszej formie, realizm prymitywny, często trywialny.

Niekiedy jednak udają się autorowi sceny wcale wzruszające, prawdziwie patetyczne, choć jaskrawe, sceny, pełne głębokiej prawdy życiowej. Oto np. śmierć starej, wynędzniałej, a niemo-

[1]) Texte, Op. cit. str. 212.

ralnem życiem wyniszczonej kobiety, która dręczyła przez dłuższy czas Klaryssę. Goniąc za nią, upadła i złamała nogę. Przez wszystkich opuszczona, w podejrzanym domu, czeka z trwogą na wyrok lekarzy czy chirurgów, którzy stoją nad jej łożem i naradzają się. Snać usłyszała podczas narady, że ją mają za straconą i bolesnym zawodzi głosem: „Umrzeć—powiadasz pan—umrzeć, ja nie chcę, ja nie mogę, ja nie wiem, jak umrzeć, umrzeć panie! Czyż muszę nieodwołalnie umrzeć, opuścić ten świat, ach, wzdrygam się przed tą myślą. I któż pana tu przyniósł — tu jej oczy ciskają błyskawice nienawiści—któż przywiódł tutaj pana, aby mi oznajmić, że muszę umrzeć. Ja nie chcę, ja nie mogę rozstać się z tym światem. Niechaj inni umierają, inni, którzy pragną lepszego świata, którzy tęsknią za innym. Miałam swój krzyż boleści na tym tutaj padole, ale wolałabym wyrzec się wszelkiej nadziei, by nie istnieć na drugim. Wszak chirurg mnie zapewnił, że się wyleczę.“ A kiedy chirurg oznajmił jej ostateczny i nieodwołalny los, który ją czeka, wówczas biedna grzesznica wydała jakiś ryk nieludzki, chrapliwy, okrzyk beznadziejnej rozpaczy, jakby ją już furye piekielne pochwyciły w swoje szpony i wściekły szał ogarnął całą jej istotę. [1])

Sceny takie są rzadkie u Richardsona, to prawda, ale znaleźć ich można więcej w jego utworach. U niego również kiełkuje już w zarodku melancholia, która zachwycała później u Ossyana, Goethego, Chateaubrianda. Już Richardson wprowadza w modę owe dusze słabe, wijące się w swych boleściach i lubiące je rozpamiętywać. On może pierwszy maluje nam ową miękkość duszy, rzewność uczucia, owe roztkliwianie się nad przedmiotem ukochanym i przygotowuje umysły do przyjęcia „niezmiernego morza łez,“ jak się wyraża dowcipnie francuski krytyk, które wylewa Hervey, Ossyan, Russo. Kiedy np. kreśli obraz omdlałej, a raczej już umierającej Klaryssy, obok której znajduje się jej uwodziciel i sprawca wszystkich nieszczęść, Lovelace, rozpaczający nad skutkami swego postępku, to obraz ten jest naprawdę wzruszający, a słowa Lovelace'a tchną jakąś rzewną miękkością, której się dotąd nigdzie nie czytało w powieści: „Przeszedłem wzdłuż jej pokój w zamyśleniu, brałem po kolei do ręki każdy przedmiot, którego ona dotykała się kiedyś, wołałem ją w słowach już to tkliwych, już to pełnych wyrzutów, jak gdyby mogła mnie słyszeć. Jakżeż czuję jej brak, to dusza, której mi brak.

[1]) Texte, Op. cit. str. 216.

Co za przerażająca pustka w mem sercu, co za lodowy chłód, jak gdyby krew ścięła się w mych żyłach, a ustało krążenie. Wszędzie ją widzę, obraz jej ściga mnie wszędzie, gdziekolwiek zwrócę wzrok, jej obraz staje przedemną.“ Jak trafnie zauważa Texte, Russo, a zwłaszcza Goethe, byłby silniej zabarwił ten obraz liryzmem, byłby mu dał więcej miękkich tonów, więcej melancholijnego wdzięku, ale początków tej melancholii szukać należy u angielskiego pisarza.

Przedewszystkiem jednak łączy go z tymi pisarzami to, że miłość znajduje u niego pełny, a trzeba dodać, godny wyraz. To „nie jest jakaś mdła galanterya,“ lecz fatalna niemal konieczność duszy, która ugina się pod jej ciężarem. Miłość—to nieodzowny objaw duszy, to niejako jej zamanifestowanie się nazewnątrz, lecz zarazem jest to miłość bolesna, tragiczna, straszna w swych następstwach, miłość, w której chodzi o życie i honor.“ Pamela kocha, mimo wszystko, swego niegodnego pana, mimo że ją upokarza, więzi, mimo że ją chce uwieść, oszukać, Klaryssa nie może oderwać się od Lovelace'a, który jest istnym potworem, Klementyna popada w obłąkanie, gdy nie może wyjść za ukochanego Sir Grandisona. „Miłość zatem i to miłość namiętna jest prawie wszystkiem u Richardsona,“ ona wypełnia całe jestestwo człowieka i stanowi niezbędny warunek jego szczęścia, co więcej, jest kwestyą życia i śmierci. Nie trzeba jednak zapominać, że powieściopisarz angielski jest moralistą, że nie uświetnienie namiętności, lecz tryumf nad nią jest jego celem. Stąd pewna jednostajność w jego utworach; miłość w walce, czasem wynagrodzona, a czasem nie, bohaterka w ustawicznej rozterce między obowiązkiem a popędem, nieustanna kolizya uczuć, gdzie nigdy skłonność nie bierze góry nad obowiązkiem, oto temat, który się powtarza we wszystkich jego powieściach. Lecz osoby, w których sercach odbywała się ta walka, były czemś nowem, rodzaj kolizyi, czemś odmiennem, a wyprowadzenie jej na scenę czemś śmiałem i dotąd niewidzianem.

Czy to będzie konflikt między miłością a obowiązkiem córki dla rodziców (*Clarisse*), czy między miłością a czcią dziewicy (*Pamela*), czy wreszcie między miłością a wiarą, która stoi na przeszkodzie do połączenia się z ukochanym (*Sir Grandison*), zawsze temat, a zwłaszcza ujęcie i sposób przedstawienia, był nowy. Nikt może w powieści przed Richardsonem nie odmalował z taką siłą owych walk wewnętrznych, szarpań i mąk duszy, które stały się później chlebem powszednim dla czytelnika. „Któż pomyślał przed nim o tem — pyta się słusznie krytyk francuski—

aby wskazać straszną walkę w duszy kobiecej między miłością a religią.“ Walka ta w duszy Klementyny, kiedy się dowiaduje, że Grandison nie chce się nawrócić, jest wysoce tragiczną, a list, który do niego pisze, pełen uczucia i prawdy. Z niego łatwo widzieć można, jak dalece Richardson w pojmowaniu wszechpotęgi uczucia zbliża się już do późniejszych wielkich pisarzy. Bohaterki jego znoszą chętnie męki i cierpienia, a swej miłości wyrzec się nie mogą. Jeżeli jednak mimo to opierają się pokusom, to wypływa to z niewidzianej dotąd godności osobistej, z głębokiej wiary i poczucia obowiązku, które raczej prowadzą na stos męczeński, niżby dozwoliły ugiąć się i upaść.

Nigdzie może przedtem w powieści—pisze cytowany już kilkakrotnie krytyk—nie zajaśniało uczucie religijne takim blaskiem, nie zatryumfowało sumienie z taką potęgą, jak w tych sercach kobiecych, skołatanych nieszczęściem, dręczonych namiętnością i miotanych burzą życia, a tak twardo stojących przy swojem prawie, przy swej godności i czci niewieściej. Żaden patos nie odda tych mąk i mało znajdzie się scen w literaturze powieściowej, któreby przewyższyły końcowe części Klaryssy, opowiadające ostatnie chwile jej życia, pełnego bolów, zawodów i rozczarowań. A ona pozostaje do ostatniej chwili panią swych pragnień i swych uczuć, które popychają ją do zguby. Żaden cios nie zdoła nią zachwiać, żadne nieszczęście ani cierpienie nie ugnie jej duszy. Swoją cichą boleścią, swojem biernem bohaterstwem robi imponujące wrażenie. A tego właśnie pragnął autor. „Cała moralność utworu leży w tem uświetnianiu boleści,“ która oczyszcza duszę, a poprzez mękę i cierpienie prowadzi na szczytne wyżyny ideału.

I to było właśnie niezwykłą nowością. Żadna powieść przedtem nie wzruszyła tak głęboko umysłów ludzi, bo żadna nie pochwyciła współczesnego życia tak dobrze, jak utwory tego pisarza. Żadna nie odważyła się traktować rzeczy tak blizkich, a tak zasadniczo ważnych. Bujano po szerokim i przestronnym świecie, lecz zapominano o swojem społeczeństwie. Przenoszono się chętnie w błogosławiony wiek arkadyjskich pasterzy lub w pełne fantastycznych wybryków czasy romantyczno-rycerskie, lecz zamykano oczy na potrzeby i dążenia współczesne.

Richardson zerwał zupełnie z tą tradycyą [1]) i ugruntował nowy rodzaj romansu: powieść mieszczańską. Pod względem formy

[1]) We Francyi miał poprzedników, a zwłaszcza wzory realistycznego romansu, w utworach Lesage'a („Gil Blas“) i Marivaux'a („La vie de Marian-

jest także do pewnego stopnia nowatorem: pierwszy używa „powieści w listach“ do analizowania uczucia z różnego punktu widzenia[1]) i znajduje szereg naśladowców. Przytem umiał swoje postacie dobrze charakteryzować. Nie są one bynajmniej manekinami, które wprawia w ruch ręka pisarza. Postacie jego żyją swojem własnem, indywidualnem życiem. Najlepszym tego dowodem jest przecież fakt, że jeden z jego bohaterów stał się typowym reprezentantem pewnej kategoryi młodych ludzi, a imię jego synonimem takiego człowieka. Obok wrzącego namiętnością i nadmiarem energii życiowej syna Hiszpanii, Don Juana, w którym gorąca i rozpasana zmysłowość znalazła najpotężniejsze uosobienie, stanął elegancki panicz, wykwintny uwodziciel Lovelace, typ bulwarów miejskich, spotykany potem tak często w literaturze powieściowej.

Wpływ angielskiej umysłowości, który we Francyi rozpoczął się z „Listami“ Woltera, wzmógł się bardzo, gdy przedostały się na kontynent powieści Richardsona. Imiona bohaterek angielskich były na ustach wszystkich, rozprawiano o nich, jak o swoich znajomych i krewnych. Nie trzeba jednak sądzić, że to był oryginał angielski w całej swej szorstkości i jaskrawym realizmie, który tak się podobał Francuzom. To byłby za ogromny przeskok. Czytano je w misternem tłómaczeniu księdza Prévosta, przykrojonem do francuskiego smaku, z opuszczeniem tego wszystkiego, co mogłoby razić lub wydawać się zbyt jaskrawem. Zawsze jednak przynosiły te powieści wiele nowego i przygotowały niejako umysły do przyjęcia „Nowej Heloizy.“ Wskutek czytania romansów Richardsona wytworzyło się we Francyi szczególnego rodzaju napięcie atmosfery uczuciowej, niespokojne a tęskne oczekiwanie czegoś, coby silniej przemówiło do serca, do wyobraźni, do uczuć, niż bądź co bądź obce poniekąd postacie angielskiej powieści.

I wtedy to zjawia się Russo ze swoim grzmiącym okrzykiem: *retournons à la nature.* Jest on spadkobiercą wieku oświecenia, a zarazem jego przeciwnikiem. Narówni z innymi burzy podwaliny ówczesnej budowli społecznej,' głosi szczytne hasła wol-

---

ne,“ „Le Paysan parvenu“). Stosunek angielskiego powieściopisarza do Francuzów nie jest dotychczas dokładnie wyświetlony.

[1]) „Listy Perskie“ Montesquiusza nie są powieścią, lecz zbiorem satyr. „Listy portugalskie“ (tł. na jęz. fran. w r. 1657) są zbiorem listów miłosnych, ale nie romansem, tak samo, jak „Listy“ Abelarda i Heloizy.

ności i równości, zarazem jednak kładzie fundament pod budowę nowego gmachu. Myśliciel genewski w porównaniu z patryarchą ferneyskim stanowi znaczny krok naprzód w pochodzie ku Rewolucyi i odrodzeniu na początku XIX wieku. Encyklopedyści przeczą istnieniu Boga, nieśmiertelności duszy. Russo głosi je całą siłą swej duszy. Istnienie Boga jest u niego nietylko potrzebne lub rozumem dowiedzione, ale wypływa z głębi czującego serca. Widzi je w przepotężnych objawach przyrody, w jej nieraz groźnym majestacie.

Nie rozum, ale serce powinno decydować, gdy w grę wchodzi uczucie. Wybuchy i namiętności serca, jego porywy i uniesienia są jednym z najważniejszych czynników w życiu człowieka. Z nieprzepartą siłą i porywającą wymową występuje autor w obronie sponiewieranego serca i podeptanych dotychczas uczuć, przywracając im pełnię znaczenia. W „Emilu“ poddaje druzgocącej krytyce ówczesny system wychowania. Płomiennym głosem prawdy nawoływa do usunięcia istniejącego stanu, najgorszego, jego zdaniem, i słusznie, bo zabijającego wszelką samodzielność w dziecku od kołyski począwszy; a umie tak wymownie bronić swoich poglądów, że niejedna matka, po przeczytaniu tej książki, rozebrała żyjące swe lalki lub upudrowanego fircyka, a jeśli miała młodsze dzieci, powzięła zamiar karmienia ich własną piersią.

IV.[1])

Po wydaniu swego dzieła „Discours sur l'inégalité,“ które tyle narobiło wrzawy i tyle sprzecznych wywołało opinij, jak to obszernie opisuje sam autor w swych „Wyznaniach,“ Russo postanowił opuścić raz na zawsze stolicę Francyi. Pobyt w Paryżu dał mu się dobrze we znaki z powodu ustawicznych waśni, intryg przeciwnej mu koteryi pisarzy i zatargów z ówczesnym areopagiem uczonych. Zresztą życie tamtejsze sprzykrzyło się człowiekowi, który czuł się swobodnym tylko na łonie przyrody, w samotnych wędrówkach wśród pól i lasów. Russo zatęsknił znowu za naturą i wiejską swobodą i postanowił przesiedlić się do Genewy, miejsca rodzinnego, aby odetchnąć powietrzem alpej-

[1]) „Confessions“ IX livre; Jules Lemaitre, „J. J. Rousseau“ (Paris 1907); P. Henzel, „Rousseau“ (Leipzig 1907).

skiem. Wtedy to jedna z jego przyjaciółek, pani d'Epinay, aby go powstrzymać od wyjazdu, ofiaruje mu piękny, na ustroniu stojący domek wiejski, w pobliżu lasów w Montmorency, sławny potem pod nazwą „Ermitażu Russa.“

Russo przyjął ten dar tem chętniej, że w pobliżu jego ojczystego miasta, w Ferney, osiadł naówczas Wolter, od którego dzieliła go cała przepaść przekonań, a którego uważał za głównego reprezentanta konwenansów i fałszu, oraz za swego zaciętego nieprzyjaciela. Dnia 10 kwietnia r. 1756 osiada tedy w swojem schronisku wiejskiem i od tej chwili zaczyna pracować nad „Nową Heloizą.“ Pierwszą pobudkę do niej daje mu odradzająca się na wiosnę natura, na której wdzięki był zawsze niezmiernie wrażliwy i na której łonie czuł się jakby odmłodzonym. Prześlicznie opisuje nam w swych „Wyznaniach“ te pierwsze wrażenia, jak nieodparty urok wywierała na niego leśna cisza, z jaką rozkoszą przyglądał się pierwszym fiołkom i wchłaniał ich woń odurzającą. Pozbawiony od lat piętnastu, które spędził w Paryżu, takiego widoku, rzuca się na to wszystko, jak zgłodniały, i z chciwością, ledwie dającą się opisać, pogrąża się w kontemplacyi cudów przyrody. Oddycha pełną piersią wonią lasów i pól, a radość jego niema granic. Oddaje się z całą namiętnością zadumie i wśród niej snuje złotą przędzę myśli i marzeń. Dawne pragnienia zaczynają nurtować pierś jego i odzywać się coraz silniejszem echem. W sercu czuł zawsze tęsknotę za miłością gorącą, pełną wybuchów i wulkanicznych uczuć, lecz nigdy nie było mu danem zakosztować tego szczęścia. „Byłem już u schyłku życia — pisze w swych „Wyznaniach“ — nie wychyliwszy żadnej czary do dna, nie dotknąwszy się nawet zlekka owej upajającej rozkoszy, którą czułem w swej duszy, a która, w braku istoty realnej, objawiała się tylko westchnieniem i łzą. Jakżeż to stać się mogło, że z duszą nawskroś wrażliwą, dla której żyć, znaczyło kochać, nie znalazłem nigdy przyjaciela, oddanego mi całkiem, prawdziwego przyjaciela; ja, który zdawałem się na to być stworzonym. Jakżeż to się stać mogło, że z popędami tak łatwo zapalnymi, z sercem, rozpłomienionem od żaru miłosnego, nie uczułem ani razu prawdziwej namiętności dla żadnej osoby. Trawiony pragnieniem kochania, bez możności zadość uczynienia temu uczuciu, widziałem się wkrótce u wrót starości i śmierci, nie rozpocząwszy nawet żyć.“

Wśród wspomnień z lat dawnych, które wynurzały się coraz silniej z prochu niepamięci, jedna szczególnie przygoda wywarła niezatarte wrażenie na umysł autora „Nowej Heloizy.“ Szeroko o niej mówi Russo w swych „Wyznaniach“ (Księga IV). Pewne-

go wiosennego poranku Russo, jako 19-letni młodzieniec, spotkał nad wzburzonym potokiem dwie panny konno, które go prosiły, aby spłoszone konie, wzbraniające się wejść do wody, przeprowadził przez rzeczkę. Jedna z nich była córką właściciela w pobliżu leżącego zamku. Russo spełnił prośbę, a jedna z nich wzięła go ze sobą na koń i obie zawiodły do zamku, gdzie przepędził cały dzień na wesołych zabawach i żartach. Więcej się z niemi nie widział. Przygoda jednak tak silnie utkwiła mu w pamięci, że w lat kilkanaście potem, kreśląc charaktery swoich bohaterek, mimowoli dał im pewne cechy, jakiemi się odznaczały jego przypadkowe przyjaciółki młodości. Julia bardziej poważna, choć mniej samodzielna, Klara zato bardziej energiczna, żywa, swawolna ze skłonnością do sarkazmu, to postacie, którym odpowiadały do pewnego stopnia owe dwie amazonki, choć z drugiej strony Russo, niewątpliwie pod wpływem bohaterek swej własnej powieści, przystrajał w „Wyznaniach“ owe modele i idealizował je, aby upodobnić do Julii i Klary.

Dlatego też należy brać z pewnem zastrzeżeniem zdanie krytyków (Schmidta, Texte'a), że charaktery te zapożyczył z angielskiej powieści „Clarisse,“ która wpłynęła niewątpliwie na ostateczne ujęcie obu postaci, na niektóre rysy stamtąd przeniesione do utworu, ale pomysł do nich powstał niezależnie od Richardsona, pod wpływem wzbudzonych wspomnień, zaczerpniętych z krynicy własnego życia.

Ale nietylko ta przygoda żywo mu stanęła przed oczyma, kiedy znalazł się w swojem ulubionem otoczeniu. Wszystko, co kiedykolwiek przebył, raz jeszcze odżyło; wszystkie osoby, do których zapłonął żywszem uczuciem, przesunęły mu się w wyobraźni. A więc, panna de Breil, piękna kupcowa Basile, pani de Larnage, uczennice muzyki, pikantna Julietta, wkrótce widział się, jak powiada, „otoczonym serajem hurysek.“ To wszystko rozkołysało jego imaginacyę, napełniło ją ponętnymi obrazami miłości, rozżarzało jego uczucia, lecz przedmiotu, na któryby przelał te uczucia, nie widział przed sobą, a wtedy „niemożność zdobycia istot realnych rzuciła go w krainę chimer, a nie widząc nic istniejącego, coby było godne jego marzenia, żywił je w świecie idealnym, który jego wyobraźnia twórcza wkrótce zaludniła istotami odpowiadającemi jego sercu. Nigdy to źródło nie otworzyło się bardziej na czas i nie okazało się tak żyznem... Wyobraził sobie dwie przyjaciółki... Obdarzył je charakterami podobnymi, a zarazem różnymi... Jedną z nich zrobił brunetką, drugą blondynką, jedną żywą, a drugą słodką, jedną roztropną, a drugą sła-

bą, ale o słabości tak wzruszającej, że cnota zdawała się na tem zyskiwać. Jednej z nich dał kochanka, dla którego druga była czułą przyjaciółką i nawet czemś więcej; lecz niedopuścił ani współzawodnictwa, ani sporów, ani zazdrości... gdyż nie chciał zaciemnić jasnego obrazu... Zakochany w swych dwóch zachwycających wzorach, utożsamiał się z kochankiem i przyjacielem jak mógł najbardziej, ale zrobił go miłym i młodym, dawszy mu nadto cnoty i błędy, które czuł w sobie.“

Powszechnie przypuszcza się, że gwałtowna, choć w późnym wieku miłość, jaką twórca „Nowej Heloizy“ zapłonął do pani d'Houdetôt, natchnęła go do napisania romansu dwojga zakochanych a nieszczęśliwych osób. Zdaje mi się, że krytycy zanadto zwracają uwagę na ten epizod z życia autora przy genezie dzieła i że znaczenie jego przeceniają. Jest rzeczą niemal pewną, że dwie pierwsze części „Nowej Heloizy,“ choć jeszcze nie ułożone jak dziś, ale w każdym razie luźnie na papier rzucone listy, najpiękniejsze z całej powieści, wyróżniające się głębią tonu, namiętnością uczucia, niebezpiecznem wirtuozostwem w kreśleniu powabów miłości, jej zwodniczego czaru, jej potęgi, uroku i siły przyciągającej, powstały zanim Russo pomyślał o pani d'Houdetôt. Trzeba podkreślić z całym naciskiem, że pisarz ten żył więcej imaginacyą, niż sercem, więcej kochał w swej wyobraźni, niż w rzeczywistości, i silniejszą pałał miłością do istot urojonych, niż do rzeczywistych, wobec których czuł się nieśmiałym i zimnym (Por. w „Wyznaniach“ epizod z Juliettą w Wenecyi). Natomiast przez ustawiczne rozpamiętywanie swoich niedoszłych przygód umiał rozgrzewać swoją wyobraźnię i przenosić się w stan erotycznego podniecenia, a wówczas miał tę sensacyę, jakoby naprawdę przebywał w gorączkowej atmosferze zmysłowego czaru i doznawał tych samych rozkosznych upojeń i dreszczów i rzeczywiście pieścił się w miłosnym uścisku. Ta silna władza autosuggestyi tłómaczy nam niejedną zagadkę w dziwnem życiu Jana Jakóba. Warto tu przypomnieć, że Chateaubriand był do pewnego stopnia podobnym do niego. Autor Attali i Renégo także wyobraźnię swoją rozkołysał urojonemi postaciami, do których pałał miłością. Jeden ustęp z jego „Pamiętników z za grobu“ jest bardzo charakterystyczny pod tym względem i nie od rzeczy będzie przypomnieć go tutaj.

„Ogień mej wyobraźni, lękliwość moja, samotność sprawiły to, że zamiast rzucić się na zewnątrz, skupiłem się w sobie samym. W braku rzeczywistego przedmiotu, wywoływałem potęgą niewyraźnych mych żądz widmo, które nie odstępowało mnie wię-

cej. Nie wiem czy historya serca ludzkiego przedstawia drugi przykład takiego rodzaju. [1]) Utworzyłem sobie kobietę ze wszystkich kobiet, jakie widziałem: miała kibić, włosy i uśmiech nieznajomej, co mię przycisnęła do swego łona, dałem jej oczy dziewczyny wiejskiej, świeżość cery innej. Portrety znakomitych dam z czasów Franciszka I, Henryka IV i Ludwika XIV, którymi salon był ozdobiony, dostarczały mi innych rysów. Pochwytałem wdzięki nawet z obrazów Madonn, wiszących po kościołach.

„Ta czarodziejka towarzyszyła mi wszędzie niewidzialna, rozmawiałem z nią, jak z istotą rzeczywistą; zmieniała się podług woli mojego szału. Afrodyta bez zasłony, Dyana w lazurowej i różowej szacie, Talia w śmiejącej się masce, Hebe z puharem młodości, często stawała się wieszczką, która mi naturę ujarzmiała... Otóż przychodzi do mnie młoda królewna (była to zawsze moja sylfida), strojna w brylanty i kwiaty, szuka mnie o północy przez gaje pomarańczowe, w galeryach pałacu, oblanego falami morza, na wonnem brzegu Neapolu albo Messyny, pod niebem, które gwiazda Eudymiona przenika swojem światłem. Zbliża się ożywiony posąg Praksytelesa, wśród nieruchomych posągów, bladych obrazów i milczących fresków, zbielonych promieniami księżyca: lekki szelest jej kroków po marmurowych mozaikach miesza się z niedosłyszanym szmerem fali... Upadam na kolana przed władczynią pól Enny. Jedwabiste fale z pod rozpiętego dyademu głaszczą moje czoło, gdy schyla ku mojej twarzy szesnastoletnią głowę, a ręce jej opierają się o mą pierś, drgającą uszanowaniem i rozkoszą... Moje słowa do niej przywróciłyby zmysły zgrzybiałemu wiekowi, rozgrzałyby marmur grobów. Nieświadoma niczego, wiedząca o wszystkiem, równocześnie dziewica i kochanka, Ewa niewinna, Ewa upadła, czarnoksiężniczka, od której pochodziło moje szaleństwo, była mieszaniną tajemnic i namiętności: stawiałem ją na ołtarzu i cześć jej oddawałem. Duma, że jestem przez nią kochany, jeszcze bardziej powiększała moją miłość. Jeżeli szła, padałem na twarz, żeby być zdeptanym jej stopami lub zatrzeć ich ślady. Mieszałem się na jej uśmiech, dreszcz mnie przebiegał na dźwięk jej głosu, drżałem od żądzy, ilekroć dotykałem się tego, co było w jej rękach. Tchnienie jej wilgotnych ust przenikało w szpik moich kości i płynęło w moich żyłach za-

---

[1]) Chateaubriand zapomina tutaj o swoim wielkim poprzedniku, na którym się kształcił, o autorze „Wyznań,“ które stanowiły jedną z jego lektur, choć się do tego nie przyznaje chętnie.

miast krwi... Z tym szałem łączyło się bałwochwalstwo moralne: przez inną grę wyobraźni ta Phryne, która mnie obejmowała swojemi ramiony, była także dla mnie sławą i przedewszystkiem honorem. Cnota, gdy wypełnia najszlachetniejsze swe ofiary, geniusz, gdy rodzi najrzadszy pomysł, zaledwie dałyby wyobrażenie o tym drugim rodzaju mego szczęścia. Znajdowałem w swoim cudnym tworze równocześnie wszystkie ponęty zmysłowe i wszystkie rozkosze duszy. Przywalony i niejako zanurzony w tej podwójnej rozkoszy, nie wiedziałem, który byt mój był rzeczywisty. Byłem człowiekiem i nie byłem człowiekiem. Stawałem się obłokiem, wiatrem, szelestem. Byłem czystym duchem,[1]) istotą nadpowietrzną, opiewającą najwyższą szczęśliwość. Wyzułem się z własnej natury, ażeby zlać się w jedno z córą moich żądz, przekształcić się w nią i tem bliżej dotknąć się piękności...“ („Pamiętniki“ Ks. I).

Przytoczyłem powyższy ustęp, który jest wyborną ilustracyą stanu, w jakim znajdował się Russo na wiosnę r. 1756, zabierając się do pisania „Nowej Heloizy.“ To też wierzyć mu można, gdy kreśląc sam genezę swojego utworu i wrażenie, jakie wówczas sprawił, daje w następujących słowach, niby odpowiedź na natrętne pytania, kto była tajemnicza muza, opiewana przez niego: „Wszyscy byli przekonani, że nie można wyrazić tak żywo uczuć, których się nie doznaje, ani malować uniesień miłości, chyba wedle własnego serca. Co się tego tyczy, miano słuszność, jest bowiem pewną rzeczą, że pisałem ten utwór w namiętnej ekstazie erotycznej, lecz mylono się, sądząc, że potrzeba było konkretnego przedmiotu, aby stan taki wywołać. Nie miano wyobrażenia, do jakiego stopnia umiem się zapalić do istot urojonych. Bez kilku wspomnień młodości i pani d'Houdetôt, miłość, którą odczuwałem i skreśliłem, odnosiłaby się do *sylfid*“ [2]) (Ks. XI).

Wobec tych jasnych i stanowczych twierdzeń Russa, hipotezy krytyków nie mają wielkiego znaczenia. Akcya romansu byłaby miała inny przebieg, gdyby nieodwzajemniona miłość pani d'Houdetôt była poprzedziła zrodzenie się jego pomysłu w gło-

---

[1]) Przybyszewski powiedziałby „nagą duszą.“ Wogóle uderza tutaj nadzwyczajne pokrewieństwo ideowe z pomysłami naszego pisarza. Wszak powyższy ustęp, to zarys jednego z najpiękniejszych i najczystszych jego tworów: „Nad morzem,“ które jest symfonią miłosną dla wyimaginowanej postaci i trudno wierzyć własnym oczom, że się taki ultra-modernistyczny wybryk znajduje u pisarza z przed stu laty, nawpół jeszcze klasyka.

[2]) Identyczne wyrażenie u Chateaubrianda.

wie autora. Tak, jak ona nie przychyla się do próśb przyjaciela i jego namiętnej miłości nie ulega, chociaż przyznaje, że nikt tak gorąco kochać nie umie, tak samo byłaby Julia, tworzona na wzór pani d'Houdetôt, oparła się zabiegom St. Preux'a. Przeszkodą w ich miłości nie byłaby może różnica społeczna, lecz obowiązki Julii, jako kobiety (np. zamężnej już lub zaręczonej), tak, jak nam to przedstawia druga część „Nowej Heloizy.“ Przebieg akcyi i zakończenie byłyby inne, bardziej zbliżone może do historyi Wertera.

Jeżeli jednak w genezie „Nowej Heloizy“ odrzucić należy miłość Russa do pani d'Houdetôt, to nieda się zaprzeczyć, że ta nieodwzajemniona i dręcząca autora namiętność wywarła znaczny wpływ na dalsze części utworu. Niektóre momenty z pożycia Russa z przyjaciółką i jej kochankiem St. Lambertem odzywają się w powieści; co więcej, ona pozwala twórcy „Nowej Heloizy“ utrzymywać się przez dłuższy czas na wysokości, że tak powiem, erotycznego podniecenia i jest karmią dla jego „dreszczów i marzeń miłosnych“ podczas następnej wiosny, gdy pisze część czwartą, między innemi, listy o Elizeum i przechadzce nad jeziorem.

Długo zastanawiał się Russo, gdzie umieścić swoją parę zakochanych. Myślał o Tesalii, ale cóż—nieznał wcale tego kraju, myślał o wyspach Boromeusza, ale tam widział „zanadto ozdób i sztuki dla swoich osób.“ Koniecznem wydawało mu się jezioro, nad którego brzegami mogliby błądzić kochankowie. Najlepiej znał okolice jeziora genewskiego, miejsce urodzenia matki, dla której twórca „Nowej Heloizy“ czuł najgłębszą cześć. To też tam, na tle niezrównanych krajobrazów alpejskich, nad cudną falą błękitnego jeziora umieścił część akcyi. Urocze te miejsca, jak pełna powabów dolina Vevey lub obfitujące w czarowne zakątki jezioro genewskie, otrzymały wdzięk nieporównany pod piórem Russa i pod wpływem jego wspomnień, zarówno młodości, jak również siedmiodniowej wycieczki, którą autor odbył z przyjacielem Deluc'em i kilkoma paniami. Wrażenie było silne: przeczysta toń, odbijająca lazurową niebios kopułę, budziła w nim podziw i zdumienie, upajał się widokiem poblizkich gór i zacisznych wybrzeży. Kreśląc potem te okolice, czerpał ze skarbca swoich wspomnień i wzruszeń, a pamięć miał doskonałą.

V.[1])

Od wrażeń osobistych i pomysłów, zaczerpniętych z życia bądź autora, bądź osób, przebywających w jego otoczeniu, które były dalekiem echem rzeczywistych wypadków, odróżnić należy w „Nowej Heloizie“ wspomnienia z czytanych utworów, pod których wpływem kształtował się romans Russa. Już sam tytuł wskazuje, że gdzieś istnieje w literaturze inna Heloiza, mająca pewne podobieństwo z naszą bohaterką. Z mrocznych czasów średniowiecza wychyla się zagadkowa postać Abelarda, słynnego zarówno ze swej wiedzy, jak z romantycznej i nieszczęśliwie zakończonej miłości dla swej uczennicy Heloizy. Wyobraźnia poetów osnuła ten stosunek piękną szatą poezyi i przetworzyła go na swój sposób. Z wersyi łacińskiej lub francuskiej, którą znał Russo, bo nieraz o niej mówi w swych „Wyznaniach,“ a którą z upodobaniem czyta jego bohaterka „druga Heloiza,“ choć autor wcale tego nie pochwala, mógł zaczerpnąć ogólny pomysł przedstawienia nauczyciela, zakochanego w swej uczennicy, odwzajemniającej mu się równem uczuciem. Zarówno tytuł, jak i przebieg pierwszych dwóch części „Nowej Heloizy“ zawierają szereg podobieństw z „Listami“ średniowiecznych kochanków. Wykroczenie przeciw zasadom, uświęconym przez moralność, pociągają za sobą fatalne następstwa w obu opowieściach. Rozdział kochanków jest koniecznem zadośćuczynieniem za ten krok fałszywy. Saint-Preux, jak Abelard za nadużycie zaufania, które do nich miano, ponoszą dotkliwe kary, ale odtąd zaczynają się różnice w obu opowiadaniach. Russo dodał do swego utworu dalsze części, które miały wykazać jego tendencyę umoralniającą i miały być uświetnieniem cnoty nad namiętnościami. W tej dążności zbliża się do Richardsona i pisząc swój utwór, układając jego poszczególne części, był autor „Nowej Heloizy“ pod wpływem modnego naówczas powieściopisarza angielskiego. Już sama zewnętrzna forma, zbiór listów, zamiast ciągłego romansu, wskazuje na naśladownictwo. Następnie, owe dygresye, rozprawy o najrozmaitszych kwestyach moralnych, dyskusye o sztuce, muzyce i obyczajach etc., są pisane na wzór analogicznych epizodów u Richardsona. Niektóre pomysły i sytuacye zawdzięcza Russo przedewszystkiem „Klaryssie.“ Na podobieństwo to zwrócili już uwagę współcześni od chwili ukaza-

[1]) E. Schmidt, op. cit.; Texte, op. cit.

nia się utworu. Sam autor, którego drażniło i upokarzało (niesłusznie zresztą), że dopatrywano się u niego wpływu angielskiego pisarza, poświęca tej sprawie słów kilka w swych „Wyznaniach.“ „Diderot—pisze Russo—obsypał komplementami Richardsona z powodu cudownej rozmaitości jego obrazów, z powodu mnóstwa dobrze nakreślonych postaci. Richardson rzeczywiście ma tę zasługę, że je dobrze scharakteryzował. Co się zaś tyczy ich wielkiej liczby, to ma to wspólnego z wielu pisarzami romansów, którzy ubóstwo swych idei i niedołężność fantazyi pokrywają mnogością osób i przygód. Łatwo bowiem utrzymać w napięciu uwagę czytelnika, kiedy mu się przedstawia co chwilę nową twarz, nowy charakter, które przechodzą i znikają jak w latarce magicznej, lecz utrzymać tę uwagę na tym samym przedmiocie i bez cudownych awantur, jest rzeczą o wiele trudniejszą...“ („Wyznania,“ ks. XI).

W ten sposób wyraża się Russo nie bez pewnego rodzaju obawy, niezadowolenia, zazdrości. Kto ma jakie takie wyobrażenie o utworach angielskiego powieściopisarza, wie, że sąd Russa grzeszy przesadą i że należałoby zastosować do niego przysłowie nasze: „przyganiał kocioł garnkowi.“ W „Nowej Heloizie“ bowiem znaleźć można nie mniejszą ilość epizodów i dygresyj, niż w romansach Richardsona, a mnogością osób romans Russa przewyższa „Pamelę.“ Pewnem jest więc, że Russo czytał utwory swego głośnego poprzednika. Wprawdzie przyznaje się, że nie umie po angielsku, ale francuskie tłómaczenie „Klaryssy“ wyszło już w roku 1751, to jest 5 lat zanim autor „Nowej Heloizy“ pomyślał o swojem dziele. Że pisał swój utwór pod wpływem powieści angielskiej, tego dowodzi podobieństwo przebiegu akcyi i fabuły.

Klaryssa kocha Lovelace'a i nie mogąc uzyskać pozwolenia swojego ojca, ucieka z domu, tak samo Julia, pod wpływem miłości de St.-Preux'a, wiedząc, że ojciec nie zgodzi się nigdy na tak nierówny związek, chce opuścić dom rodzinny. Zarówno ojciec Klaryssy, jak baron d'Etanges, przekonawszy się, że przemocą nie zdołają zmusić swoich córek do wyrzeczenia się nierozsądnej miłości, zniżają się do próśb i zaklęć. W „Klaryssie“ dzieje się to, niestety, za późno. Bohaterki obu powieści korespondują za pośrednictwem przyjaciółek, a to właśnie staje się powodem odkrycia ich stosunków i pociąga za sobą jak najgorsze skutki. Wreszcie ich usposobienia są podobne. Klaryssa jak Julia lubią filozofować, rezonować, jednem słowem, urozmaicać ziemski żywot kazaniami na temat powinności ludzi i obowiązków względem społeczeństwa. Dziwnym także zbiegiem okoliczności Julia jest

protestantką jak Klaryssa, tem dziwniejszym, że Russo był wówczas katolikiem. I charaktery innych osób, występujących w tych dwóch powieściach, są również podobne. Ojciec Klaryssy, nieugięty, szorstki, głuchy na prośby przyjaciół, podczas gdy matka jest łagodna, wyrozumiała i sprzyja po cichu zamiarom córki, te same różnice znajdujemy u rodziców Julii. Temperament Klary, przyjaciółki Julii, przypomina kropla w kroplę temperament Miss Howe. Jedna i druga jest żywa, zręczna, energiczna, pełna pomysłowości, czasem złośliwa, podczas gdy bohaterki są cokolwiek bierne. Jak w utworze Richardsona pułkownik Morden pomaga Klaryssie, staje się jej opiekunem, protektorem, tak u Russa milord Bomston zaszczyca swoją opieką St.-Preux'a. Charaktery i usposobienia obu tych ludzi są również podobne do siebie. Przyjaciółki w obu powieściach są gotowe towarzyszyć bohaterkom w ucieczce, a obaj protektorowie użyczyć im schronienia.

Oto garść podobieństw w ogólnym przebiegu akcyi. Są inne, o wiele liczniejsze, w epizodach, w wyrażeniach, w sposobie malowania pewnych sytuacyj, w zapatrywaniach i zabarwianiu utworu sentymentalizmem. Wogóle mnóstwo listów, tyczących się ogólnych kwestyj moralnych, np. pojedynku, samobójstwa i t. d. przedstawiają wdzięczne pole niewyzyskane jeszcze dla porównania opinii obu pisarzy. Ale taka drobiazgowa analiza odciągnęłaby nas zbyt daleko od zadania popularnego szkicu.

VI.[1])

Przypatrzmy się z kolei treści „Nowej Heloizy“ i jej znaczeniu.

Przebieg akcyi mało skomplikowany da się opowiedzieć w kilku zdaniach. Jak już wspomniałem, mamy tutaj drugą edycyę sławnej historyi Abelarda i Heloizy: miłość nauczyciela Saint-Preux'a ku swej pięknej a młodej uczennicy Julii d'Etanges, pochodzącej z bogatej, arystokratycznej rodziny. Mimo przestróg roztropnej przyjaciółki Klary, Julia zapomina się do tego stopnia, że depcze cześć i honor dziewicy i oddaje się zupełnie swemu uwodzicielowi. Następuje zerwanie stosunków z powodu śmierci

[1]) Spasowicz: „Byron i niektórzy jego poprzednicy“ (Pisma, t. II, str. 71 i n.), P. Henzel: „Rousseau.“

matki, którą zabija wieść o poufałości, w jakiej żyła jej córka z St.-Preux'em; przelotna myśl o samobójstwie, ustępująca pod wpływem rozsądnych napomnień przyjaciela lorda Edwarda i odjazd St.-Preux'a, który udaje się w podróż naokoło świata.

Oto pierwsza połowa romansu, a raczej cały romans pierwotny. To, co następuje, mogłoby być opuszczone z pożytkiem, a utwór zyskałby niewątpliwie jeśli nie na wartości moralnej, to na wartości estetycznej i na poczytności.

Po kilku latach wraca St.-Preux z dalekiej podróży. Julia wyszła za mąż za niejakiego Wolmara, który jest sobie najuczciwszym poczciwiną na świecie, człowiekiem tak mało podejrzliwym, a raczej wcale nie podejrzliwym, że zaprasza St.-Preux'a do siebie, choć wie o dawnym jego stosunku do Julii. Lecz autorowi chodziło tym razem o uświetnienie małżeństwa, o tryumf i zwycięstwo cnoty nad popędami. Każe więc dawnej miłości odżyć ze zdwojoną potęgą. Następują rozpaczliwe wysiłki z obu stron, aby nie wyjść z równowagi, rzecz snuje się z przerwami dość monotonnie. Wreszcie przypadkowa śmierć Julii, która chcąc ratować dziecko, wpada do wody i umiera z powodu przeziębienia się, śmierć, która przychodzi w sam raz na zawołanie autora, bo kto wie, czy bohaterka nie uległaby po raz drugi namiętności, kładzie koniec niekończącej się historyi dwojga kochanków. Jeśli dodamy do tego szereg listów o muzyce, teatrze, operze, ogrodach i ulicach paryskich i o nie budującem wcale życiu paryżanek oraz kilka rozprawek o cnocie, wierności, świętości sakramentu małżeńskiego, pojedynku i samobójstwie i t. p. i wyznanie umierającej Julii o wierze, rzeczy niewątpliwie ciekawych, ze względu na kulturalną i umysłową walkę, toczącą się naówczas we Francyi, ale nie mających nic wspólnego z poematem miłosnym, to mamy całą treść „Nowej Heloizy,“ którą przyjęto wówczas z takim entuzyazmem, a która dziś nie wywiera na nas tego wrażenia, bo wydaje nam się często zanadto retoryczną i sztuczną, a charaktery osób zanadto szablonowe i nieprawdopodobne.

St.-Preux pod wieloma względami przypomina samego autora. Jak u Russa znajdujemy w dziwnem poniekąd złączeniu obok wyobraźni ognistej, temperamentu namiętnego i zmysłowego, jakąś subtelną delikatność wobec kobiety, nieśmiałość i wstydliwość, tak bohater jego przedstawia człowieka, w którym kipi i wrze życie, człowieka pełnego namiętnych popędów, który zarazem odznacza się jakąś nieokreśloną czcią i czułostkowością wobec ukochanej. Charakter jednak słaby. Jak Russo nie szczędzi czarnych barw w malowaniu swej młodości, tak i u St.-Preux'a nie wszyst-

ko jest zgodne z poczuciem honoru lub godności własnej. I tak po krótkiem wahaniu przyjmuje zasiłek od Julii, aby módz wyjechać. Cechuje go także zupełny brak hartu duszy, zdania swego niema wcale, wyrobionego sądu nie okazuje nigdy. Kieruje nim przyjaciel, kochanka czy przypadek. Zbyt silnie poddaje się zachciankom, niezdolny hamować się zarówno w szczęściu, jak w nieszczęściu. Ciosów, które nań spadają, nie umie znosić po męsku, gotów zawsze płakać, narzekać, miłość swoją żebrać u ukochanej; zupełne przeciwieństwo tego, co widzimy u naszego Gustawa, a co wyróżnia go tak korzystnie z całej plejady podobnych mu zawiedzionych czy nieszczęśliwych kochanków.

St.-Preux takim nie jest i takim być nie mógł. Miłość jego, to nie miłość Gustawa. Zmysłowość gra zbyt wielką jeszcze rolę w jego uczuciu. „Zaledwie jej ręka spoczęła na mojej, gdy ogarnęło mnie drżenie,“ pisze bohater w pierwszym liście, a od tej chwili pierwiastek zmysłowy coraz bardziej wzrasta. Russo w swych pismach odznacza się świetną dyalektyką, to samo znajdujemy u St.-Preux'a. Listy jego—to szereg sofizmatów i tyrad, działających na nieuprzedzone serce, olśniewających na pierwszy rzut oka niezwykłym blaskiem. Którykolwiek list weźmiemy, wszędzie uderza nas to samo, ten górny, płomienny nastrój, choć nie brak często retorycznego patosu i czczej deklamacyi. Oto wyjątek z listu bohatera, gdy dowiaduje się, że jest kochany:

„Potęgi niebieskie! miałem dotychczas jedną duszę dla cierpienia, dajcie mi drugą dla szczęścia. Miłości, życie duszy, przybądź podtrzymać moją blizką omdlenia. Niewypowiedziany wdzięku cnoty, niezwalczona siło głosu tego, co się kocha, szczęście, radości, uniesienie, jakże ciosy wasze są dojmujące! O, jakżeż wydołać strumieniowi rozkosznemu, co zalał me serce? jak odpokutować za niepokoje trwożliwej kochanki? Ta, której wszechświat hołdy składaćby powinien, błaga człowieka uwielbiającego ją, by sam się nie bezcześcił. Osądź lepiej piękności czysta i niebiańska naturę twej władzy. Ach, jeśli uwielbiam wdzięki osoby twojej, to czyż nie przedewszystkiem za to znamię duszy niepokalanej, jakie ją ożywia, a której wszystkie rysy noszą boską tę cechę? Lękasz się, byś nie uległa moim zabiegom; lecz jakichże zabiegów obawiać się może ta, co powleka szacunkiem i uczciwością wszystkie uczucia, jakie wzbudza? Czyż jest na ziemi jaki człowiek dość podły, by się ośmielił uzuchwalić względem ciebie? Pozwól, pozwól, niech się rozsmakuję w niespodziewanem szczęściu, że jestem kochany — kochany przez tę... Tronie świata, o ileż niżej od siebie cię widzę! Niech odczytam po tysiąc razy ten

list cudowny, w którym miłość twoja i twoje uczucia wyrażone są ognistemi głoskami, z którego, pomimo całego uniesienia serca wzburzonego, widzę z przejęciem, jak dalece w duszy uczciwej najżywsze nawet namiętności zachowują przecież święty charakter cnoty! Jakiż potwór, przeczytawszy ten list wzruszający, mógłby korzystać z twego stanu i czynem najdosadniejszym zaświadczyć swoją głęboką pogardę dla siebie samego. Nie, droga kochanko, miej ufność w wiernym przyjacielu, który niezdolnym jest oszukiwać ciebie. Chociaż rozum utraciłem na zawsze, chociaż zamęt zmysłów moich rośnie z każdą chwilą, osoba twoja jest odtąd dla mnie najbardziej uroczym ale i najświętszym skarbem, jakim śmiertelnik był kiedykolwiek uczczony. Płomień mój i jego przedmiot zachowają razem czystość nienaruszoną. Przed targnięciem się na twoje wdzięki dziewicze wzdrygnąłbym się bardziej, niż przed podłym gwałtem, nie więcej miałabyś niezłomnego bezpieczeństwa ze swoim ojcem, jak ze swoim kochankiem. O! jeśliby ten szczęśliwy kochanek zapomniał się na chwilę wobec ciebie... Kochanek miałby duszę wstrętną! Nie, kiedy przestanę kochać cnotę, już cię kochać nie będę; za pierwszą moją nikczemnością nie chcę, żebyś mię dłużej kochała. Nabierz więc pewności, zaklinam cię w imię tej czułej i czystej miłości, jaka nas łączy; ona powinna ci zaręczyć za moją wstrzemięźliwość i za mój szacunek; ona ci powinna odpowiadać za samą siebie...“ [1])

Na czem skończyły się te zapewnienia i uroczyste zaklęcia, to już wiemy z treści, lecz niepodobna nie uznać czarującego powabu słowa i zwodniczego patosu, który bije od tych peryodów retorycznych i pełnych harmonijnego brzmienia. Porównajmy np. styl Woltera pod tym względem z mową Russa. Co za chłód i zgrzybiałość wieje od zjadliwego, sardonicznego uśmiechu i bladego stylu madrygałów fernejskiego patryarchy, co za świeżość i młodzieńczość z romansu genewskiego myśliciela. „Nowa Heloiza“ jest właśnie takim namiętnym, żywiołowym protestem przeciw konwencyonalności i pruderyi wyższych klas 18-go wieku. Poraz pierwszy występuje miłość bez osłonek, namiętność i popęd zmysłów w swej nagości i prawdzie.[2]) Dotychczas czy w powie-

[1]) „Nowa Heloiza,“ cz. I, list V. (Zob. „Obraz lit. powszechnej,“ Chmielowskiego i Grabowskiego, t. I, str. 181).

[2]) Wyjątek stanowi utwór Prevost'a „Histoire du chevalier Desgrieux et de Manon Lescaut,“ wcielony jako epizod do jego „Pamiętników“ (Mémoires d'un homme de qualité retiré du monde (1728—32, t. 8), który można uważać

ści,[1]) czy w teatrze[2]) panował dobry ton i wykwintny sposób przemawiania, nie dozwalający na wypowiedzenie tego, co się czuje i myśli, czego się pragnie i pożąda. Były aluzye, pół-słówka, napomknienia, ale nigdy stanowcze wyznanie.

W „Nowej Heloizie“ namiętność silna, łamiąca konwenansy i zapory towarzyskie, zyskała pełny swój wyraz. Jeśli przedtem autor schłostał społeczeństwo ostrym biczem nagany i smagał jego złe nawyknienia gorzką ironią, to teraz przemówił do serc, apelował do uczuć, bawił, wzruszał i zachwycał.

„Ludzie słuchają moralisty, co ich łaje, ale tłumami się garną do czarodzieja, co ich mami piękną ułudą, kobiety zwłaszcza i młodzież lgną ku temu, kto im pokazuje ziemię obiecaną. Wszystkie oddawna nagromadzone niezadowolenia, kłopoty obecne, nudy, niepewna siebie odraza, tłum pragnień powstrzymanych, wytryskują z gwałtowną siłą, jakby wody podziemne, za uderzeniem sondy, która po raz pierwszy wydobywa je na jaw. Tego uderzenia sondą dokonał Russo trafnie i głęboko. Wśród społeczeństwa całkiem sztucznego, w którem ludzie są maryonetkami salonowemi, a życie zasadza się na paradowaniu z wdziękiem według umówionego modelu, Russo ogłasza powrót do natury, niepodległość, prawdę, namiętność, wybuchy uczuć, życie męskie, czynne, gorące, szczęśliwe i wolne wśród świeżej atmosfery i przy blasku słońca.“ [3])

„Nowa Heloiza“ podziałała jak strumień świeżej, ożywczej wody, rzucony na zaschnięte i pyłem pokryte kwiaty. Był to powiew wiosennego wiatru z umajonych łąk wśród dusznej atmosfery cieplarń i salonów. Wybuch ten, pełen żaru i namiętności, usuwa raz na zawsze zbiór komunałów i ogólników z żargonu miłosnego, usuwa, „ośmiesza i unicestwia sztuczną galanteryę“ i wyrafinowaną elegancyę. Lecz ujemnem jego następstwem jest skrajny, egzaltowany sentymentalizm, który znowu wpada z czasem w pozę i czułostkowość. Przez chwilę jednak „wstrząsnął, jak silne uderzenie prądu elektrycznego“ i jeśli wpływ jego na obyczaje był widoczny, to większym jeszcze okazał się na polu literatury europejskiej.

---

za ważny wzór dla Russa i ktorego wpływ jest miejscami widoczny w „Nowej Heloizie.“

[1]) Nawet w „La Princesse de C'èves,“ gdzie miłość przedstawiona jest jako siła fatalna, ten wymuskany ton panuje w całej pełni.

[2]) Np. teatr Marivaux'a.

[3]) Taine, op. cit., str. 269.

Russo, jak wiemy, wyrzucał cały ten potok rozpłomienionej lawy z własnego serca. On sam doznawał wówczas „rozkosznych upojeń i erotycznych dreszczów,“ pod wpływem pięknej przyrody, budzącej się na wiosnę do nowego życia, pod wpływem odżyłych wspomnień i gorączkowych marzeń, a w części także pod wpływem nieodwzajemnionej miłości do pani d'Houdedôt, a chociaż niepodobna twierdzić, jak to czyni Spasowicz, aby szał miłosny, który ogarnia St.-Preux'a, zawrót głowy i płomienne drgnienie duszy, kiedy usta jego po raz pierwszy zwarły się w pocałunku z ukochaną, były tylko umiejętnie odtworzoną chwilą własnego życia autora, bo Russo mówi w swoich „Wyznaniach“ o pocałunku, który go czeka dopiero i który go z góry już przejmował rozkosznym dreszczem, tak że na samą myśl o nim drżał na całem ciele, to jednak słowa tam wyrzeczone dobrze malują ówczesny stan duszy pisarza i jego nadzwyczajną wrażliwość autosugestywną: „Ten jedyny pocałunek, ten pocałunek nieszczęsny *przed otrzymaniem go*, rozpalał we mnie krew, moja myśl mąciła się, me kolana drżące nie mogły mnie utrzymać, całe moje jestestwo było w niepojętem zawichrzeniu; byłem blizkim omdlenia.“ („Wyznania,“ ks. IX). Nie jedna z czytelniczek „Nowej Heloizy“ znalazła się w podobnym stanie podczas lektury tego romansu.

Drugą epokową zdobyczą „Nowej Heloizy“ jest wprowadzenie przyrody. Dla klasyków krajobraz miał jedną stałą barwę i jeden kształt: drzewa były zielone, niwy śmiejące się, niebo błękitne, powierzchnia jeziora gładka, ale jakie to były drzewa, jaka ich barwa na tle otoczenia, o tem nie miano pojęcia. Russo pierwszy daje poznać przyrodę, nie ową konwencyonalną ogólnikową przyrodę, która nadaje się do wszystkich krajów i klimatów, ale przyrodę miejscową, wybrzeże genewskiego jeziora a nie sielską Arkadyę. Posłuchajmy go, jak nam opisuje krajobraz przy wiosce Meillerie, leżący nad jeziorem.

„Strumyk, utworzony przez topnienie śniegów, toczył o dwadzieścia kroków od nas *wodę błotnistą* i unosił z łoskotem muł, piasek i kamienie. Poza nami łańcuch skał niedostępnych oddzielał polankę od części Alp, które nazywają się lodowcami... *Bory czarnych jodeł* po prawej stronie smutnie nas ocieniały. *Wielki las dębowy* ciągnął się na lewo po drugim brzegu strumyka; a pod nami ta olbrzymia płaszczyzna wodna, jaką tworzy jezioro w łonie Alp, oddzielała nas od bogatych wybrzeży kraju Vaud, w którym wierzchołkiem majestatycznej Jury uwieńczał się ten obraz. Wśród tych wielkich i wspaniałych przedmiotów, mały kawałek

gruntu, na którym byliśmy, roztaczał powaby zacisza wesołego i wiejskiego; kilka strumyków spływało po przez skały i rozlewało się *po zieleni kryształowymi sznurkami, kilka dzikich drzew* owocowych schylało swe głowy nad naszemi; *ziemia wilgotna i chłodna* pokryta była ziołami i kwiatami.“ („N. H.,“ część IV, list XVII.) [1]).

Prawda, że niema jeszcze tutaj ani majestatycznej wielkości niebotycznych gór, ani wspaniałej grozy wzburzonych odmętów wodnych, to zjawia się później dopiero, ale kto wie czy i Russo nie potrafiłby tego odmalować. Sądzę, że brak takich opisów tłómaczyć należy tem, że Russo był krótkowidzem i miał wzrok słaby. Dalekiej przestrzeni wzrok jego nie ogarniał, z podnóża Alp okiem nie sięgał po lodowe szczyty, ani nie obejmował wspienionej powierzchni wodnej. Stąd jego opisy są raczej spokojniejszej natury, ale to, co opisuje, odznacza się niepospolitym wdziękiem. Umie on odtworzyć ów czar zacisznych miejsc, urok sielskich obrazów i spokojnej wsi, a przecież nie wpaść w manierę gesnerowskiej sielanki. Wszystko ma u niego jakiś urok prostoty i naiwności, którego brak u współczesnych pisarzy idyll. Jego kraj, jego wioska nie jest pseudo-Arkadyą, lecz krajem szwajcarskim, widzianym zblizka, wioską nad jeziorem Genewskiem i niedaleko górskich łańcuchów alpejskich. Przez niego Alpy ze swoimi strumieniami, huczącymi po skałach, ze swoimi groźnymi lodowcami i szmaragdowymi stokami wchodzą do poezyi. Słusznie też pisze Hensel:

„Nie jest przypadkiem, że «odkrycie Szwajcaryi» bierze początek przy Genewskiem jeziorze, że Montblanc jest wielbiony w „Manfredzie“ Byrona, jako król duchów i że do dnia dzisiejszego uchodzi za władcę olbrzymów górskich. Tego nie zawdzięcza okoliczności, że o parę stóp jest wyższy od swoich rówieśników, bo to naukowa notatka bez jakiejkolwiek wartości estetycznej; nie, to pierwszeństwo zawdzięcza on okoliczności, że z Genewy oko chłopca spoczywało często na jego stokach, że panuje nad okolicą, którą lubiał przerzynać włóczący się młodzian, że do niego nieustannie zwracał się tęskny wzrok starca z wielkiej pustyni ludzkiej w Paryżu. My wszyscy, którzy dziś umiemy oceniać piękno gór, jesteśmy wszyscy uczniami i następcami Russa“ (str. 18).

D-r J. H. Reinhold.

---

[1]) „Obraz literatury powszechnej,“ t. II, str. 182-3.

PIŚMIENNICTWO.

F. DE BOJANI. *Innocent XI. Sa correspondance avec ses nonces* (21 septembre 1676 — 31 décembre 1679). T. I: „Affaires politiques"; t. II: „Affaires ecclésiastiques et le gouvernement de Rome." Rzym, Desclée i Sp. 1910.

Autor podjął się trudnej i godnej uznania pracy, ogłoszenia w kilku tomach korespondencyi dyplomatycznej papieża Innocentego XI Odescalchi'ego z nuncyuszami. Dotychczas wyszło dwa tomy. Potrzeba takiego wydawnictwa dawała się bardzo odczuwać zarówno z uwagi na znaczenie epoki, w której pontyfikat Innocentego XI przypada, jak i na wyjątkową indywidualność samego papieża, któremu w szczególności w dziejach Polski wybitny przypadł udział. Zanim nauka nasza zdobędzie się na wszechstronną tego pontyfikatu w stosunku do Polski ocenę, zyskuje w powyższem wydawnictwie sporo materyału do roztrząśnienia.

Istnieje kilka ułamkowych prób ujęcia działalności politycznej Innocentego XI, jego stosunku do niektórych państw i współczesnych mu monarchów europejskich, przedewszystkiem Ludwika XIV, ale wszystkie te próby pozostały usiłowaniami połowicznemi i nie mogły dać pełnego obrazu wpływowej polityki papieża i wszystkich jej faz, gdyż brakło im źródłowej podstawy. Publikacya ściśle źródłowa, przeprowadzona podług dzisiejszych surowych wymagań krytyki i metody wydawniczej, mogła była oddać niepospolite usługi nauce i stworzyć podwalinę, na której synteza historyczna oprzeć się i zrównoważony sąd swój o Innocentym XI ugruntować była powołaną. Niestety, praca pomieniona przedstawia pod względem wydawniczym i metodycznym znaczne braki i wady, w które bliżej wchodzić w ramach niniejszego sprawo-

zdania niepodobna. Uczynimy to przy innej sposobności, ograniczając się na razie do zwrócenia na nią uwagi czytelnika polskiego, (gdyż na to niewątpliwie zasługuje) i kompetentnych kół naukowych, które mimo powyższego zastrzeżenia liczyć się z nią muszą.

Pontyfikat Innocentego XI przypada, jak wiadomo, na czas panowania Jana III w Polsce, tudzież na okres największego napięcia antyhabsburskiej polityki Ludwika XIV. Papież stanął po stronie Habsburgów, nietylko dlatego, że sam prowadził zaciekłą walkę z Ludwikiem XIV na terenie kościelnym we Francyi, gdzie „arcychrześcijański“ król pragnął wpływ kuryi ograniczyć do minimum a poniekąd wyeliminować zupełnie i w tym celu gallikanizm kościoła francuskiego podnosił do wszechwładnego systemu, ale także dla głębokich różnic politycznych, które od pierwszej chwili objęcia Stolicy Piotrowej przez Innocentego XI jaskrawo wystąpiły na jaw między głową Kościoła a jego „najstarszym synem.“

Nie było środka, któregoby Ludwik XIV nie zawahał się zastosować w dążeniu do celu swego życia i rządów: złamania potęgi Habsburgów. Koalizuje szeregujące się przy nim państwa północno-europejskie, inspiruje i podtrzymuje przeciw cesarzowi powstanie na Węgrzech, a przedewszystkiem ściąga Habsburgom na głowę nawałnicę turecką. Ten ostatni krok musiał wywołać reakcyę ze strony papiestwa, ktokolwiek byłby je wówczas reprezentował, a tembardziej, gdy na Stolicy apostolskiej zasiadał taki energiczny i śmiały polityk, jakim niezaprzeczenie był Innocenty XI, marzący o podjęciu i wykonaniu zadania, o jakie papiestwo napróżno się kusiło za dni największej swej chwały i potęgi w dobie odrodzenia—o wypędzeniu Turków z Europy. Tym sposobem dążności dwu najwpływowszych w ówczesnym świecie chrześcijańskim władców, Innocentego XI i Ludwika XIV, stanęły w zasadniczej sprzeczności. Po ciosach, zadanych Rzymowi przez reformacyę i złamaniu politycznego wpływu papiestwa, po raz ostatni zjawia się ono w osobie Innocentego XI na arenie politycznej Europy, jako czynnik decydujący i dochodzi do takiego znaczenia i przewagi, jakiej w dziejach nowożytnych więcej nie uzyska. Podniesiony wówczas przez papieża sztandar walki z muzułmaństwem znalazł tym razem nietylko idealny drogowskaz w tradycyach zaczepnej wojny chrześcijańskiego zachodu z muzułmańskim wschodem, ale odpowiadał realnemu niebezpieczeństwu i konieczności obronnej walki z Turkami, do której Europa była zmuszoną. Idea była więc istotnie na czasie, mogła stać się popularną i miała szanse powodzenia tem więcej, że znalazła boha-

terskiego wykonawcę w Janie III. Myśl ta nie była mu obcą, zarówno on, jak cały naród, zdawna ją w sobie nosił, ale droga, którą Sobieski do niej dojść pragnął, była inna, a w każdym razie dla Polski bezpieczniejsza, niż ta, którą wyznaczał Innocenty XI. Tymczasem Rzplita, dostawszy się w rywalizacyjne tryby z jednej strony antyhabsburskich ambicyj Ludwika XIV, z drugiej strony filohabsburskiej a zarazem antytureckiej polityki Innocentego XI, pociągnięta ku tej ostatniej w imię interesów chrześcijaństwa i katolicyzmu a wbrew własnym, skrępowana nadto przez papieża w samodzielnej akcyi wobec grożącej jej od wschodu Moskwy, która dla niej podówczas równie, a jak się w niedługiej miało okazać przyszłości, daleko więcej nawet była groźniejszą od napierającej od południa Porty, nie zdobywszy się, dzięki opłakanym okolicznościom wewnętrznym, na własny samozachowawczy kierunek, padła w rezultacie ofiarą tamtych ambicyj i widoków. Z wiekowych walk z muzułmaństwem, których wspaniałym, ale ułudnym finałem była odsiecz wiedeńska, nie wyniosła wycieńczona w nich i pozbawiona sił Polska niczego krom tytułu przedmurza chrześcijaństwa, zgasiła wprawdzie i unieruchomiła niebezpieczeństwo tureckie dla Europy, ale u granicy wschodniej pozwoliła wzrość i wzmocnić się na własną zgubę sąsiedniej potędze.

W pierwszym tomie pomieścił autor korespondencyę z nuncyuszami za okres od września 1676 do grudnia 1679 r. W rozdziale VIII i IX znalazły się tam relacye nuncyusza Martellego z Warszawy i instrukcye, które Martelli otrzymywał z Rzymu od sekretarza stanu Innocentego XI, kardynała Cybo. Korespondencyę tę podaje autor bądź w całości, bądź też w streszczeniu.

Jesień 1676 r. była dla Polski i Sobieskiego przełomową. Z ciężkiej potrzeby żórawińskiej wyszła ona zwycięsko. Interymistycznie zawarty w Żórawnie traktat, dość korzystny jak na ówczesne położenie dla Rzplitej, miał być ostatecznie ratyfikowany w Konstantynopolu. Rzplita zyskiwała na lat 7 spokój od ściany południowej, a zarazem swobodę ruchów wobec Austryi i Moskwy. Taki stan rzeczy dla niej pomyślny, był dla Wiednia niepożądany. Polska nosząca dotąd na swych barkach cały ciężar wojny tureckiej, tworząca wygodną dla Austryi tamę od Turcyi, zyskiwała wolną rękę. Naturalny pęd Turcyi, odbity od brzegu polskiego i podburzony przez Ludwika XIV, nie gdzieindziej tylko w Austryę miał uderzyć. Natychmiast odczuła Austrya następstwa żórawińskiego traktatu. Rozpaliło się powstanie na Węgrzech przeciw cesarzowi, podsycane z Wersalu i wspomagane

zaciągami z Polski, na które Sobieski patrzał przez szpary. W interesie Wiednia leżało więc, by po pierwsze niedopuścić do ratyfikacyi traktatu żórawińskiego a tem samem zmusić Polskę do dalszej wojny i do dalszego podtrzymywania nacisku tureckiego, powtóre zaś nakłonić Sobieskiego, by zakazał rozpuszczonym chorągwiom polskim udziału w powstaniu węgierskiem. Wtedy, jako medyator, występuje papież i w myśl swoich widoków rozwija gorączkową działalność w Warszawie na rzecz cesarza a w dalszym ciągu przymierza cesarsko-polsko-moskiewskiego. Nuncyuszowi warszawskiemu zalecono jak najusilniej pracować nad przyprowadzeniem do skutku dobrych stosunków między Janem III a dworem cesarskim i Moskwą i wpływać w tym duchu na króla i królową,—równocześnie zaś nuncyuszowi wiedeńskiemu, Bonvisi'emu, łagodzić cesarza, który nie przestawał skarżyć się na intrygi polskie na Węgrzech. Bonvisi, oddany ciałem i duszą Austryi, krytykuje przy każdej sposobności politykę Sobieskiego i radzi niedowierzać jego oświadczeniom. Cesarz, uważając akcyę nuncyusza warszawskiego za niewystarczającą, zażądał, by papież wysłał do Sobieskiego specyalne breve z napomnieniem. W istocie, po pewnem wahaniu, posyła je Innocenty XI Sobieskiemu 18 września 1677 r. z wezwaniem (*Maiestatem tuam hortamur et obsecramus*...), by powstrzymał dalszy napływ Polaków do Węgier. Ten krok papieża zrobił na Sobieskim jak najgorsze wrażenie. Król jednak wezwaniu uległ, lecz dał uczuć nuncyuszowi swe niezadowolenie. Nuncyusz donosi o tem nie bez zakłopotania i żalu, tembardziej, że już na ostatnim Sejmie za zbytnie patronowanie sprawom moskiewskim i cesarskim spotkał go afront ze strony króla, który przez 4 tygodnie kazał mu czekać na audyencyę—rzecz w Polsce niesłychana. Charakterystycznym jest szczegół, że główne biuro zaciągów węgierskich, kierowane przez posła francuskiego w Polsce, miało swą siedzibę u o. o. Teatynów we Lwowie, którzy niezgorsze na tem robili interesa. Nie dziw więc, że nuncyusz, dowiedziawszy się o tem, wpadł w furyę i prefekta i wiceprefekta pociągnął do odpowiedzialności i w największej tajemnicy doniósł do Rzymu Kongregacyi de propaganda fide, której kollegium Teatynów bezpośrednio podlegało, z prośbą natychmiastowego odwołania winnych.

W nakreślonym powyżej kierunku pracowała wytrwale dyplomacya papieska, dopóki jej usiłowań nie uwieńczył pomyślny skutek. Z pomocą przyszły jej zakulisowe wpływy na dworze polskim, głównie zaś królowa Marya Kazimiera. Zadraśnięta głęboko w swych ambicyach przez Ludwika XIV, ona to sprowadziła

Jana III ze szlaku polityki francuskiej, po którym po Zórawnie zdawał się kroczyć niezachwianie. Najbardziej interesujące są depesze nuncyusza z kwietnia 1678 r. z Lublina, gdzie się odbywała decydująca rada Senatu. Sobieski, stojąc wówczas na rozdrożu, niezdecydowany jeszcze między prądem francuskim a wprost przeciwnym papieskim, z całą świadomością bronił się przed naleganiem papieża zawarcia pokoju z Moskwą, wykazywał niebezpieczeństwo stąd płynące dla Polski, uważając słusznie pokój „wymuszony“ (Moskwa wiedziała, że na nim szczególnie papieżowi zależy) za fikcyę. W czerwcu zażądał papież zerwania układów z Turcyą, gdy zaś Sobieski przekładał, że nie może bez powodu zrywać zobowiązań żórawińskich, oświadczono mu, że nie powinien czekać chwili, w której Turcya dostarczy mu sposobności do zerwania, ale sam powinien taką sposobność stworzyć. Potrzebę wojny z Turkami tłómaczył nuncyusz między innemi argumentem, że w czasie wojny Rzplita jest więcej zgodna i złączona i ustają przeciwne królowi niesnaski. Niestety, dużo w tem było prawdy, ale dodać tu zaraz należy, że o to, by owe niesnaski nie ustawały, miał przedewszystkiem staranie cesarz, który dysponując silnem stronnictwem w Polsce, obracał je stale przeciw Sobieskiemu. Jeśli więc Sobieski patrzał przez szpary na zaciągi węgierskie w Rzplitej, to tylko odpłacał się cesarzowi za przyjacielskie usługi. Papież dobrze o tej robocie Leopolda był poinformowany, dlatego na ponowne jego żale, że Sobieski nie zmienił swego postępowania, odpowiedział, iż nie mniej od cesarza boleje z powodu zachowania się króla polskiego w sprawach węgierskich, radzi przecież cesarzowi przymknąć oczu i nietylko udawać, że nic o tem nie wie, „ale nawet wspierać tego monarchę w sprawach wewnętrznych Rzplitej,“ zarówno z uwagi na Pismo św., które każe oddawać dobre za złe, jak nie mniej w interesie Niemiec, którym grozi ruina. Mieściła się w tych słowach wcale przejrzysta rada, by Leopold zaniechał nasamprzód podkopów pod Sobieskim, bo sam na tem najgorzej wyjść może. W samej rzeczy obawiał się papież, by przez wytaczanie ciągłych grawaminów pod adresem Sobieskiego nie zrazić go gruntownie do przymierza z cesarzem i nie popsuć w ten sposób całego planu. Ta zręczna, kojąca obustronne nieufności, polityka papieża święciła też w rezultacie tryumf na Sejmie grodzieńskim 1679 r., na którym autor zamyka na razie sprawy polskie.

W drugim tomie zebrał autor materyały do historyi wewnętrznej Kościoła w pomienionem trzyleciu pontyfikatu Innocentego XI. Do dziejów wewnętrznych Kościoła w Polsce znalazł

się tam w szczególności materyał zbyt urywkowy i niezupełny, by tu mógł poważniej wchodzić w rachubę. Zobaczymy, co dalsze przyniosą nam tomy.

Publikacya p. de Bojani'ego nie jest ani wydawnictwem źródeł w ścisłem znaczeniu, ani też monografią pontyfikatu Innocentego XI; usiłuje być czemś pośredniem i w następstwie tego zatraca charakter wydawnictwa źródeł a nie zawsze dorasta do formy monograficznej, tembardziej, że nad literaturą drukowaną przedmiotu stale przechodzi do porządku dziennego. Autor wplata tu i owdzie subjektywne uwagi w tekst streszczanych lub też podawanych in extenso depesz, zresztą zaś posługuje się materyałem surowym, nie przetrawionym i nie opanowanym równomiernie. Krytyka będzie miała pod względem formalnym i metodycznym niejedno do zarzucenia temu przedsięwzięciu, jednakowoż nie może nie uznać wielkiej pracowitości i zapału, z jakim sędziwy autor prowadzi swe poszukiwania w archiwum watykańskiem, skąd czerpał materyał podstawowy do niniejszego na dużą skalę zakrojonego dzieła i gdzie też pośród swych współtowarzyszy pracy budzi zasłużony w tym względzie podziw.

Maciej Loret.

LUDWIK WŁODEK. *Polskie kolonie rolnicze w Paranie.* Wydawnictwo Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem. Warszawa, skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł), 1910.

Centralne Towarzystwo Rolnicze w porozumieniu z organizacyami rolniczemi w Galicyi wysłało znanego publicystę p. Ludwika Włodka do Brazylii w celu zbadania nowych terenów kolonizacyjnych, jak również położenia ekonomicznego kolonij polskich w stanach Parana, Rio Grande do Sul, S-ta Catharina i Sao Paulo. Pan Włodek bawił w Brazylii 4½ miesiąca, zwiedzając osobiście kolonie polskie. Niniejsza książka jest rezultatem dokonanych przez niego badań i spostrzeżeń.

Kolonizacyą w Brazylii zajmuje się z jednej strony rząd związkowy, z drugiej poszczególne stany, z trzeciej wreszcie przedsiębiorstwa i osoby prywatne. Stan Parana posiada wszystkie trzy typy kolonizacyi: kolonię związkową w Bom Jardine, kolonię stanową na Prudentopolis, kolonizować ma wreszcie i towarzystwo kolejowe Sao Paulo—Rio Grande do Sul.

Rozmieszczenie imigrantów odbywa się w ten sposób, że skoro tylko do portu Rio de Janeiro zawita statek, wielkie łodzie rządowe transportują ich na wyspę kwiatów (Ilha dos Flores), gdzie znajduje się dom emigracyjny. Dom ten jest bardzo porządnie zbudowany i może pomieścić 500 osób; urządzenie jego przewyższa o wiele to, jakie istnieje w New-Yorku. Jest tylko ta niedogodność, że rozmiary domu są za szczupłe na wypadek masowej emigracyi. Z wyspy kwiatów emigranci przewożeni są w miarę możności na urządzone dla nich grunta kolonizacyjne.

Terytoryum Parany obejmuje 240 tys. klm. kw., z czego blizko połowa przypada na ziemie nieznane i niezbadane. Powierzchnia kraju przedstawia trzy płaskowzgórza, wznoszące się stopniami jeden nad drugim, przy morzu zaś ciągnie się wązki pas nizinny. Wszystkie grunta są tam zdatne do uprawy. W zbadanych i zaludnionych okolicach przeważają tereny leśne, niesłusznie jednak okolice bezleśne, tak zwane campos, uważane są za mniej urodzajne.

Klimat Parany jest różny, w zależności od miejsca. Pas nadmorski posiada klimat gorący i roślinność podzwrotnikową. Dalej wszędzie mamy klimat ciepły, ale raczej umiarkowany. W klimacie tym wszystkie właściwie zboża i płody mogą się udawać. Wilgoci jest sporo, rosy obfite, ilość deszczów znaczna. Grunt jednak przepuszczalny i duże spadki przeszkadzają zgromadzeniu się nadmiaru wilgoci. Klimat jest zdrowy. Polacy przystosowują się doń znakomicie, śmiertelność, zwłaszcza wśród bardzo licznych dzieci, jest niesłychanie mała.

Parana jest dotąd krajem wyłącznie rolniczym. Przemysł reprezentują tartaki, garbarnie, gorzelnie, fabryki zapałek, browary, dwie fabryki wyrobów bawełnianych, wszystko to jest jednak w stanie zaczątkowym i zatrudnia bardzo niewielką ilość robotników. Rolnictwo polega przedewszystkiem na plantacyach herwy mate (herbata paragwajska), chowie bydła i eksploatacyi lasów.

Na przeszkodzie rozwojowi rolnictwa i przemysłu stoi brak komunikacyi zarówno rzecznej, jak kolejowej i kołowej. System rzek parańskich jest bardzo niedogodny. Wszystkie większe rzeki są dopływami Parany, to znaczy, że łączą się z drogą wodną, której ujście do oceanu znajduje się na terytoryum obcem, w Argentynie.

Na całej przestrzeni Parany mamy zaledwie kilkaset kilometrów kolei żelaznych. Co do dróg kołowych, to i te nie są liczne, i posiada je tylko najbardziej zaludniona część Parany. Dalej są tylko ścieżki, albo i las dziewiczy, w którym wyrąbywać sobie

trzeba drogę. Na koloniach używają wozów tylko wychodźcy z Europy, miejscowej ludności nie są one znane.

Co do zaludnienia trudno dokładnie określić liczbę mieszkańców Parany, statystyka bowiem miejscowa nieposiada cyfr ścisłych. Spis dokonany w roku 1900 podaje liczbę 330,878. Z miast na uwagę zasługują właściwie tylko trzy: stołeczne Kurytyba, liczące 50,124 mieszkańców, Ponta Grossa — 12 tys. i Paranagua (port Kurytyby). Reszta, to nędzne mieściny.

Ludność dzieli się: na Indyan, coraz bardziej usuwanych w głąb gór i lasów, Kaboklów—miejscową ludność białą i kolonistów z Europy. Wśród tych ostatnich Polacy i Rusini są najliczniejsi i mają znaczenie przeważne w rolnictwie. Niemcy mają przewagę w handlu i to hurtowym, gdyż drobne sklepiki, t. zw. wendy, znajdują się w rękach Polaków i Brazylian. Nieliczni Włosi i Francuzi uprawiają tu i owdzie winnice. Kabokli nie mogą wytrzymać konkurencyi ekonomicznej z kolonistami europejskimi, do nich natomiast należy wyłącznie dziedzina polityczna. Oni dzierżą władzę, dostarczają urzędników, posłów i t. p.

Parana podlega konstytucyi związkowej i stanowej, bardzo demokratycznej, ściśle wzorowanej na konstytucyi Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wolnościowe formy nieodpowiadają jednak tutaj treści istotnej. Rządzą zawsze różne oligarchie partyjne czy rodzinne i wolność jest ich tylko udziałem.

Stan ekonomiczny Polaków w Paranie jest bezwarunkowo dobry. Wiele tu jednak pozostaje jeszcze do zrobienia. Stopień kultury rolnej i gospodarstw jest niesłychanie nizki, szybka wszakże zmiana na lepsze jest niemożliwa, kultura bowiem ziemi zawsze i wszędzie stoi w odwrotnym stosunku do ilości ziemi, a tej w Paranie niebraknie i gospodarze mają duże szabry czyli działy.

Jedną z przeszkód na drodze większej zamożności Polaków jest brak racyonalnej organizacyi handlu. Wskutek złych środków komunikacyi, koloniści są zdani na łaskę i niełaskę drobnego kupca-wendysty. Ceny są też najzupełniej dowolne i nieraz przypadkowe. Ma to tylko tę dobrą stronę, że coraz więcej Polaków garnie się do drobnego kupiectwa, dającego pokaźne zyski i w ten sposób tworzy się klasa średnia, niezbędna w tem społeczeństwie, dotąd czysto ludowem.

Ogromnie niekorzystnym dla naszych kolonistów jest system podatkowy parański. Ziemia nie płaci żadnego podatku, natomiast wszelki wyrób, wszelki handel jest obciążony nader dotkliwie. Na takim systemie podatkowym korzystają Brazylianie, którzy są właścicielami ziemi i w razie konieczności opłacania podatków

musieliby wystawić na sprzedaż należące do nich olbrzymie a nieuprawne obszary. Tymczasem kulturalna praca kolonistów musi składać haracz podatkowy.

Produkt rolniczy, wywożony na sprzedaż z jednej miejscowości do drugiej, płaci podatek wwozowy. Jeżeli kolonista go nie sprzeda i powraca do domu, płaci drugi raz podatek wwozowy w swojej miejscowości. Do tego dodać trzeba jeszcze opłaty drogowe. Bezpośrednio przeciw naszym kolonistom skierowany jest podatek od wozów, Brazylianie bowiem jeżdżą prawie wyłącznie konno.

Najważniejszą jednak przeszkodą na drodze dalszego postępu ekonomicznego Polaków jest ich nizki stan kulturalny. Szkół polskich w Paranie jest 41, uczy się w nich 1973 dzieci, czyli że przeciętnie na cztery rodziny polskie jedna tylko posyła dziecko do szkoły. Słowem położenie szkolnictwa polskiego jest opłakane. Przyczynami, wywołującemi nieliczne uczęszczanie dzieci do szkół są: brak odczucia potrzeby oświaty u rodziców, wielkie odległości oddzielnych gospodarstw od szkoły, wreszcie używanie dzieci do pracy w gospodarstwie.

Pod względem swej wartości szkoły też pozostawiają dużo do życzenia. Dzielą się one na trzy grupy: szkoły prywatne, szkoły miejscowego T. S. L., wreszcie szkoły Sióstr. Pierwsze przedstawiają się zupełnie marnie. Tow. Szkoły Ludowej również utyskuje na brak uzdolnionych sił nauczycielskich, ale posiada inteligentnych kierowników, płaci nauczycielom dobrze i może pewien wybór czynić. To też szkoły, należące do grupy drugiej są naogół dobre. Zupełnie dobre są również szkoły Sióstr, posiadające tę zaletę, iż zapewniona w nich jest bezwzględna ciągłość systemu, gdyż Siostry osiedliły się na stałe w Paranie.

Ważnym czynnikiem zachowania narodowości jest kościół. Parana stanowi jedną dyecezyę, księży polskich ma 18, co jest zupełnie niewystarczającem. Wobec braku księży z rdzennie polskich dzielnic, biskup uciekł się do pomocy zgromadzenia Verbum Divinum. Jest to zakon międzynarodowy, ale przeważają w nim Niemcy i generałem jest Niemiec. W zakładach tego zgromadzenia kształci się dużo dzieci, pochodzących z bardziej zniemczonych części dawnej Polski. Otóż takich księży, nieraz źle mówiących po polsku, ten zakon dostarcza do polskich parafij. Zarzuty jednak germanizacyi, skierowane do tych księży, nie są słuszne, gdyż uważają się oni za Polaków.

W Brazylii kościół jest oddzielony od państwa, ale prawo, które ten rozdział przeprowadzało, posiada jedną ważną lukę: nie

narzuciło katolikom przymusowej organizacyi gmin wyznaniowych i za przedstawicieli katolicyzmu uważa jedynie biskupów. Niedokładność ta prawna wywołała zatargi o majątki kościelne pomiędzy biskupem a stowarzyszeniami wiernych, które wybudowały kościoły. Biskup rości sobie też prawo mianowania członków dozoru kościelnego. Stąd powstały długotrwałe spory, które ostatecznie załatwiono w ostatnich czasach kompromisowo.

Działalność społeczna księży nie była wielka. Cały bilans czynny działalności kulturalnej duchowieństwa polega na kilku szkołach Sióstr. W kierunku organizowania Polaków w stowarzyszenia księża nic nie zdziałali. Skutecznie walczyli tylko przeciw pijaństwu i małżeństwom mieszanym.

Pod względem rozwoju stowarzyszeń Polacy w Paranie stoją bardzo nizko. Istnieje tam 30 towarzystw polskich, które wszystkie razem liczą zaledwie 1250 członków. Rzuca się tu w oczy różnica pomiędzy tutejszą emigracyą a emigracyą w Stanach Zjednoczonych, która jest skupiona w szeregu związków. Z jednej strony gra tu rolę skupienie Polaków amerykańskich w miastach, z drugiej—duże znaczenie ma kulturalny wpływ rasy anglosaskiej.

W Paranie świeżo został założony, wzorem Ameryki Północnej, Związek Narodowy, przed którym otwiera się wielkie zadanie zjednoczenia Polonii brazylijskiej. Okres walk wewnętrznych wśród niej przeszedł już, świadczy o tem szybkie i liczne zapisywanie się na członków Związku przedstawicieli różnych grup przekonaniowych.

Dwa kierunki ścierają się z sobą w Paranie: na różnych polach przeciwstawia się tu kościół społeczeństwu świeckiemu i na tem tle występują różnice. Pierwszy kierunek przedstawia „Gazeta Polska,“ która jest organem części przynajmniej duchowieństwa. Drugie pismo „Polak“ reprezentuje interesy społeczeństwa świeckiego.

O wynarodowieniu żywiołu polskiego w Paranie mowy być nie może; tam szczerych polskich kolonij nie spotka los Kurytyby, gdzie czasem drugie już pokolenie nie zna ziemi dziadów. Życie natomiast wysuwa w Paranie inną kwestyę, mianowicie: czy Polacy nie wynaradawiając się, pozostaną nadal obywatelami drugiej klasy, czy też ze wzrostem kultury i politycznej świadomości pozyskają wpływ na losy stanu.

To ostatnie nie spełni się dopóty, dopóki ludność polska nie wytworzy własnej inteligencyi, z której mogliby wyjść kierownicy polityczni i jednocześnie przedstawiciele w kongresach, ciałach samorządnych i na urzędach. Warunków jednak na wytwo-

rzenie się inteligencyi polskiej niema, z miejscowej ludności dotychczas się nie wyrabia, gdyż koloniści dzieci swych nie kształcą wyżej. Na dopływ inteligencyi z kraju również liczyć nie można, gdyż ta nie znalazłaby tam dla siebie utrzymania.

W rezultacie swych badań autor dochodzi do wniosku, że Parana jest gruntem dla naszej kolonizacyi odpowiednim. Pod względem ekonomicznym ludność polska ma tam wszelkie dane do rozwoju, ze stanowiska zaś narodowego Parana jest najwłaściwszą ze wszystkich krajów, dokąd się kieruje nasza emigracya.

Parana jest terenem emigracyjnym dogodnym jedynie dla ludności rolniczej i przytem bezrolnej, sprzedawać jednak gospodarstwo w kraju i przyjeżdżać tam z gotówką nie warto. Rzemieślnicy i robotnicy, o ile nie zechcą pracować na roli, skazani są na nieuchronną biedę. Dla inteligencyi i ludzi niezdolnych do pracy fizycznej Parana nie nadaje się wcale.

Na przyjęcie stopniowych dopływów emigracyi Parana jest przygotowana.

Wacław Dunin.

BRONISŁAWA OSTROWSKA. *Chusty ofiarne.* Pod znakiem poetów. Warszawa, 1910, J. Mortkowicz.

Wśród wydawnictw J. Mortkowicza jest osobna serya zatytułowana „Pod znakiem poetów.“ Pomijając wybór poezyj lirycznych Słowackiego, z rzeczy oryginalnych mamy tu dwa tomiki Korab-Brzozowskich i Br. Ostrowskiej „Chusty ofiarne.“ Jeżeli te, czy inne względy nie wpłyną na obniżenie skali przy doborze autorów i utworów, z pewnością każdy nowy tomik wydawnictwa będziemy witali mile i skwapliwie otwierali. To pewna, że niełatwo się nam rozstać ze zbiorkiem Br. Ostrowskiej. Treść jego dostarczyć może wyrafinowanej rozkoszy i budzi różnorodne refleksye...

Przed kilku laty poetka wystąpiła z pierwszym swym zbiorkiem: „Opale.“ Wydało się nam, iż wzorzystej szacie poezyi polskiej, klejnotami osypanej, brakło właśnie połysku opali. I zostało nam wrażenie jakiegoś poranku majowego, jakiejś błękitnej mgły, przetykanej złotem skier słonecznych, pełnej leciuchnego, białawego pyłu kwietnego... Zostało wrażenie jakiegoś ucztowania pogodnego a weselnego, oczu kwietnych, otwierających się do uśmiechów słonecznych, do radości i życia... Po wiośnie tej nie było lata. Osypały nas naraz melancholijne, woń tęsknoty rozsiewające „jesienne liście“... a oto teraz, w noc cichą, gdy na

chmurach się pali jedyna kędyś gwiazda, kiedy po rowach krążą świetliki i puszczyk leci do gniazda, teraz na rozdrożnym krzyżu zawisły „chusty ofiarne“—bólu i tęsknoty. Duszo sieroto, śnisz?

Twojeż to chusty?
Przylgnęłaś do nich usty
I łowisz okiem rozpaczy
Przelotne blaski
. . . . . .
Czekasz łaski?

Zapowiedź, w pierwszym tomiku zawarta, nie spełniła się i spełniła się zarazem. Spełniła się, gdyż i dziś, jak niegdyś, jakkolwiek poezya polska nie zubożała, Br. Ostrowska w chórze śpiewaków nie zajmuje pośledniego miejsca. Mistrzowska rozmaitość i głębia tonów, bogactwo, nieledwie nadmierny przepych słowa, wirtuozowskie opanowanie formy—wszystko to są cechy, sprawiające, iż słuchacz lubieżnie wprost rozkoszować się może wierszem poetki. Rzecz prosta stać się tak może dlatego tylko, iż szata poezyi przylega ściśle do jej ciała, iż naśladuje w sposób swobodny wszelkie poruszenia uczucia i myśli i posłusznie za niemi się ugina. Uczucie zawsze jest szczere i bezpośrednie, fantazya dość bogata, by zarówno rozwinąć przed nami obraz szeroki o perspektywie dobrej, jak zabawić wzrok nasz koronkową, filigranową robotą... Ale zarazem zapowiedź nie spełniła się... Nie lśni już rosa brylantowa na majowych kwiatach... I jabłoń nie osypuje już różowo-białymi płatkami swego kwiecia. Spójrzmy w jaką wizyę się przemienił „majowy sen na puchach drzew owocowych...“

„Oto przez niezmierzony step śniegowy pędzi mój koń. Nie pędzi—położył się na wichrze i wicher nas niesie... Tylko po bokach mignie czasem topola przydrożna, albo rozstajny krzyż zaskrzypi i jak upiór wyciągnie za nami ramiona...“ („Majowy sen“ w zbiorku „Jesienne liście“). Więc oto słodycz i ciepło i blaski łagodne, i rozmarzenie senne przeobraża się w pustkę śniegową i smaganie wichru... I gęsto opadają, szeleszcząc, liście jesienne, wieszcząc smutek, samotność, rezygnacyę i śmierć... Wyznań pełno, rozsianych na każdej niemal kartce... Echa Wiosny przypominają, że

Mogilne darnie kwitną
Pod szumem smętnych tuj.

I Lato ma swą wymowę i niesie „ukojnej ciszy wieść,“

Że duch pod śmierci snem
Na łono matki wraca.

Nie potrzeba zresztą wyznań zgoła, żeby stwierdzić, iż pieśń poetki nie stała się radosnym peanem życia. I więcej jeszcze. Dość wsłuchać się w melodyę, wpatrzeć się w ten czy ów obraz... Oto dolina, mgłą zalana, pod mgłami „dzwon śpiewa i omdlewa, i ginie... Oto dziwne baśnie rycersko-romantyczne, wymarzone w świetle księżyca, przesłonionem „mieszczańskiego pokoju szablonowemi firankami...“ Oto samotnie konające w blasku śmiercią złotą drzewa...

Skryte śród mrących drzew marmury
W przepychu złota i purpury
O wiekuistem pięknie marzą...

Gdziekolwiek się zawrócimy, ogarnia nas zawsze niemal ta sama atmosfera pięknej, smutnie uśmiechniętej, rezygnującej z życia złudy... Z życia i jego kipiącej, zwycięskiej, bujnej radości. Są dwie melancholie, powiada wieszcz, jedna jest z mocy, druga ze słabości. Ta—nie jest z mocy. Nie dlatego, by śpiewne narzędzie odmówiło swych usług. Nie, posłuszne jest na najlżejsze skinienie pieśniarki. I posłuszne jest dlatego, że poetka nie sprzeniewierza się nigdy swym wewnętrznym nakazom. Ale jakiż to jest nakaz naczelny?

O duszo ludzka w męce,
Wrzeciono złudy chwyć,
I snuj pajęcze nicie
Po sennych nieb błękicie
I prześnij ból i życie.

Czemu to tak jest u poetki — nie wiem. Lecz pod pewnym względem jej pieśń można uznać za symbol jeżeli nie całej polskiej poezyi, to przynajmniej jednego z jej najszerszych nurtów. Piękna złuda, ukochanie piękna i świadomość jakby swej bierności względem głębokiego, prawdziwego życia.

Nowy dzień nowym żywotom się iści
Przez ciebie gna!
A ty — idź!
Po borach szukać ech,
Po bagnach gonić ogniki...
Idź! Idź!

Poezya Ostrowskiej nie wyczerpuje się kolorowym snem po za „mieszczańskiego pokoju szablonowemi firankami.“ Nie. Nieraz ma ona w sobie „szeroki, słony oddech morza.“ Nieraz ukaże przestrzeń okiem nieobjętą, kołyszącą się złotym łanem, „falującą dreszczami ciężkimi pod nagrzanem, zapiekłem echem ziemi.“ W atmosferze, przesiąkniętej pocałunkami miłosnej, słonecznej spiekoty, unosi się i ton zawodzi

Złotogłowa zbóż pani, pralilio,
Pól gospodarz, słoneczna Dziedzilio...

Ale jest to coś, co przychodzi z zewnątrz, co wsiąka w samotnię i tchem swym porywa... na chwilę... Chwila taka—przelotna — niezdolna stwierdzić jedności między duchem człowieka a istnością wiecznie młodej, wiecznie odradzającej się, zwycięskiej przyrody. Nie. Duch ludzki jest wciąż tylko odbiciem, zwierciadłem... A istotę swą odzyskuje dopiero w samotni, kędy przemożne dzieło swe spełnia — snem. I nigdy nieposiada duch ten świadomości mocy własnej... I łan słoneczny, z którego się rodzi krasopani słowiańska, to pole kłosów, rozkoszą mdlejących, czy to pole mówi nam o krwawym wysiłku człowieka, o jego woli, o jego potędze zwycięskiej, co nowe życie płodzi? O nie! minie dobra chwila, przesłoni się mgłą wizya złota i znów usłyszymy dyalog wewnętrzny duszy z sobą:

Cóż, że twe gromy złote
Nie miały siły bić?
. . . . . .
Że chlebem twym i solą
I wodą twego zdroju
Nie pasł się niczyj głód?
. . . . . .

Poezya Br. Ostrowskiej—powiedzieliśmy na wstępie—może dostarczyć wyrafinowanej rozkoszy i budzić różnorodne refleksye. Refleksyj tych nie należy traktować, jakoby miały być pewnego rodzaju ujemnym sądem o pieśni poetki. Autorka, zwracając się do śmierci, woła:

Tych, co na pięknem kłamstwie sparli życia chwałę
Rozgrzesz, o śmierci...

I dla życia potrzebne jest piękne kłamstwo, autorka rozgrzeszenia nie potrzebuje. Co więcej, nie odważa się zgoła układać

jakiegoś horoskopu co do tych szlaków, jakimi w przyszłości będą dążyły jej natchnienia. Ale czy dla poezyi polskiej nie brzmi *memento* w tych smutnych słowach:

Pozostaje pożoga złota
Nowego dnia:
Nowy dzień *nowym* żywotom się iści;
Przez ciebie gna!

A. Drogoszewski.

MICHAŁ JANIK. *Z dziejów wymowy w wieku XVII i XVIII.* Lwów, 1910. Nakł. Tow. lit. im. A. Mickiewicza. Odbitka z „Pam. Liter.," 1908/9.

W pierwszym rozdziale swej pracy o wymowie w w. XVII i XVIII, autor uzasadnia swą tezę, iż książka Konarskiego („De emendandis eloquentiae vitiis," 1741) stała się punktem przełomowym w poglądach polskich na wymowę. Wobec tego drugi rozdział studyum poświęcony jest zobrazowaniu tego stanu wymowy, który panował u nas przed reformą Konarskiego, następny rozwija główne rysy poglądów znakomitego pijara i walkę, która natychmiast wybuchła między zwolennikami Konarskiego a wielbicielami dotychczasowego stanu. Kreśląc dzieje wymowy przed Konarskim, autor streszcza obszernie zasady, rozwijane w podręcznikach szkolnych lub w odpowiednich kompendyach i następnie ilustruje wpływ teoryi przez odpowiednie przykłady krasomówstwa, z praktyki zaczerpnięte. Wreszcie treścią ostatniego rozdziału jest omówienie podręcznika retoryki Konarskiego („De arte bene cogitandi..." 1767 r.).

Autor nie odczytał wprawdzie i nie odsłonił przed nami jakiejś nieznanej karty z dziejów naszej oświaty lub literatury, lecz bądź co bądź obraz, w ogólnych zarysach znany, rozszerzył i pogłębił nieco na podstawie źródłowych a dość zmudnych badań. Z pracy swej uczynił w pewnej mierze zwierciadło naszej umysłowości i obyczajowości w niezbyt szczęśliwym okresie naszych dziejów, daje nam pojęcie, jaką była w epoce szkoła, w której się kształciły jedne za drugiemi pokolenia szlacheckie, broniące złotej wolności, lękające się *absolutum dominium* i dające się używać za narzędzie egoizmowi możnowładców. A że środki wychowawcze szkoły zmierzały, jakkolwiek różnemi drogami, do tego samego

celu — usypiania ducha, więc nic chyba dziwnego, że studyum, którego zadaniem było owe środki snotwórcze w możliwie objektywny sposób nam przedstawić — więc, powtórzę, nic może dziwnego, że studyum takie, ze względu na treść swoją, zbyt ponętnem być nie może.

Trzeba wszakże zaznaczyć, że autor nie zawsze uwydatnia dostatecznie tło historyczne zarówno w tym wypadku, gdy chodzi o trwanie badanego stanu rzeczy, jak i w tym, gdy mamy do czynienia z siłami, wywołującemi zmianę. Najzupełniej słuszne wnioski ukazują się w postaci uwag przygodnych, gdy tymczasem usilnie podkreśla momenty małego znaczenia. Mówiąc o skażeniu wymowy i jej nadmiernem wybujaniu, potrafi dojrzeć związek tego zjawiska z brakiem kultury estetycznej (skutek zerwania z cywilizacyjnymi wysiłkami Zachodu) i wypaczeniem zdrowego ducha obywatelskiego, lecz niebawem poda za przyczynę, przedstawiając rzeczy w taki sposób, iż jakoby *niezrozumienie* celu, do którego ma służyć wymowa, pociąga za sobą najróżnorodniejsze smutne dla ducha narodowego następstwa. Oto np. fatalne gadulstwa skutki: „Sejm trwał zaledwie kilka tygodni, jeżeli doszedł; ponieważ zaś każdy z posłów starał się o popis na chwałę swego powiatu, nie trudno zrozumieć, dlaczego prace doszłych nawet sejmów były przeważnie jałowe“ (str. 24). „Gadulstwo *zabiło* treść rzeczy i *stworzono położenie bez wyjścia*“ (str. 27). „Wymowa świecka i kościelna stanęły... na równi; życie publiczne i domowe stały się czczem widowiskiem, na którem zabrakło treści, a zostały tylko słowa i pozory“ (str. 40) i t. p. Albo o panegiryzmie: „Jeżeli makaronizm zachwaszczał język narodowy i skazywał go na zagładę, jeżeli napuszystość i gadulstwo podawały w poniewierkę rozum narodowy, to *panegiryzm godził na dobro najwyższe: zohydzał i znieprawiał charakter narodowy, wiódł nieuniknienie do śmierci moralnej i politycznej.*“ „Słabość ludzką i słabość narodową *doprowadzili panegiryści do najstraszniejszego zwyrodnienia;* podbijając bębenka szarej pysze, wypaczyli to, co w młodym kulturalnie narodzie mogło stać się podnietą do dobrych uczynków; *panegirystów to wina nieprzebaczona, że zabili cnotę narodową (!), a pochlebstwo i dzierżenie się klamki pańskiej uczynili przykazaniem.* Ogół narodowy był słaby, ale poczciwy.“ „Największą winę grzechów przeszłości ponoszą ci, co obrawszy się na nauczycieli narodu stali się nauczycielami zgorszenia.“ Według autora oni to byli *przyczyną*, że niektórzy statyści upatrywać zaczęli w losach nierządnej Polski objawy szczególnej opieki boskiej nad Polakami... (str. 52).

Jest to, co się zowie, kazać chodzić rzeczom i ludziom na głowie. Skażona, niezrozumiała, beztreściwa wymowa była patologicznym objawem zwolnionego tętna życia umysłowego wśród ogółu narodowego, co znowu miało swe głębsze, społeczne przyczyny; była następstwem anarchii, nie jej przyczyną. Panegiryzm zaś był wyrazem tego podwójnego faktu, że z jednej strony złota wolność szlachecka w realnych stosunkach stała się fikcyą wobec bardzo pozytywnej przewagi oligarchii możnowładczej, z drugiej strony, iż wszystkie pierwiastki społeczności, oprócz szlachty, zostały przytłumione i nie stanowiły jakiejś obliczalnej siły politycznej... A że panegiryki były niedorzeczne i w najwyższym stopniu niesmaczne, to już było rzeczą naturalną wobec zupełnego braku bardziej nowoczesnej kultury umysłowej i estetycznej.

Wina szkół przeważnie, acz bynajmniej nie wyłącznie, jezuickich, była z pewnością wielka, lecz czyż tu znowu przyczyna i skutek nie spływa w jedną całość? Czyż każde wolne społeczeństwo nie miało takich właśnie szkół, na jakie zasługuje? Bo czemuż w połowie wieku XVIII w ciągu lat kilku czy kilkunastu stan rzeczy się zmienił, jakby za skinieniem różdżki czarodziejskiej? O panegirykach w dalszym ciągu mówi autor, iż „obok książek pobożnych, fraszek i kalendarzy stanowią one w tym czasie główne skarby umysłowe... narodu...“ „I dla kogóż— woła—może być jeszcze zagadką, jakie czynniki spowodowały pogrom bez sławy z końcem wieku XVIII?“ (54—5). Będzie miał słuszność, mając na myśli upokarzające nasze ubóstwo umysłowe w omawianej dobie. Lecz wkładanie winy na nauczycieli wymowy i panegirystów —i skąd oni się brali w pośród ogółu acz słabego lecz poczciwego?—jest to zacieranie perspektywy historycznej. Powróćmy jednak do pytania: jakie przyczyny sprawiły zmianę stanu rzeczy tak rozpaczliwego i będącego przyczyną zguby narodowej? Autor widzi tę siłę przeobrażającą w osobistej inicyatywie Konarskiego. Jeżeli to prawda, że „blaga powszechna stała się wszechwładną królową,“ i że „*dlatego* ...Rzeczpospolita karleje i popełnia sama na sobie powolne samobójstwo“ (str. 62), nic dziwnego, iż *na takiem tle* „postać Stan. Konarskiego, jako odnowiciela ducha narodowego, *wyrasta do niezwyczajnych rozmiarów*“ (str. 64). Otóż Konarski „odniósł zwycięstwo na całej linii *dzięki jasnemu wykładowi nowych zasad i nieprzepartej sile rozumowania*“ (str. 65).

Zapewne, jeżeli błędy wymowy były skutkiem zapomnienia o jej istocie, jasny wykład i konsekwencya logiczna starczyły, by złe naprawić. Sądzę wszelako, że historyk literatury zdań

podobnych wygłaszać nie powinien. Autor zrzeka się dochodzenia, „o ile wielki reformator stylu samoistnym był myślicielem, co zaczerpnął od drugich, a co podał od siebie.“ Szkoda, gdyż w ten sposób zaciera tło historyczne, co jest w tym wypadku rzeczą o wiele ważniejszą od „jasnego wykładu“ i „nieprzepartej siły rozumowania.“ Ustalając zależność Konarskiego od wzorów zagranicznych, nie uwzględniłby wprawdzie warunków społecznych, jak nie uwzględnił ich w poprzednich częściach pracy, ale wskazaćby mógł ścisły związek reformatorskich dążeń Konarskiego i jego następców z ruchem ogólno-uropejskim. Zasada, na której się oparł Konarski: „Wymowa powinnna być... z *naturą* i *rozsądkiem* zgodna“—była tą podstawą, na którą się oprzeć usiłował cały gmach teoryi pseudoklasycznej; wypływała ona z *racyonalistycznych tendencyj wieku;* była konsekwencyą myśli humanistycznej, pozostając jednocześnie w związku z nauką stoików i epikurejczyków, według których działalność ludzka winna była zgadzać się z naturą człowieka, a ta znowu miała się zasadzać na stosowaniu się do wymagań rozsądku i umiarkowania. Echa tego poglądu uwidoczniają się wyraźnie w Kochanowskiego *Trenach* i *Fraszkach*... Gdyby autor te wszystkie względy i stosunki ustalił, włożyłby konkretniejszą treść we własne twierdzenia, które zresztą zgoła się nie zgadzają z tezą osobistej inicyatywy, jasnego wykładu i rozproszenia nieporozumień, wskutek których wymowa miała uledz skażeniu. Więc kreśląc dzieje walki „około Konarskiego,“ zaznacza np., że nawet zwolennicy reformatora pozostawali niekiedy na błędnej drodze, przypuszczając, że chodziło mu *tylko* o naprawę wymowy; że „Konarski ostatecznie zwyciężył, *bo wpływ francuski stawał* się na szczęście *coraz bardziej wszechmożny*...“ (71); że przeciwnicy Konarskiego „nie dotrzymali jednak kroku *wobec prądu wieku*“ (89); że „zwycięzcą został Konarski, a zwycięstwo przyniosła mu nie polemika, ale *nowy duch czasu i odradzające się życie narodowe, które szukało nowej dla siebie formy*...“ (96). Więc “nie polemika...,“ nie znamiona jasnego wykładu i siły rozumowania... Czyż nie doznajemy wrażenia, że w miarę tego, jak praca posuwała się ku końcowi, autor opuścił pierwotny punkt widzenia? Wobec działania „ducha czasu“ nie będzie już nas dziwić, iż polemiści jezuiccy, broniąc oczywiście monopolu szkolnego i wpływu swego na masy szlacheckie, z taką zaciętością i namiętnością powstali przeciw autorowi „De emendandis eloquentiae *vitiis*.“ Ale ciosy ich spadały nie tylko na reformatora *stylu*, ale i na ducha nowej myśli, na filozofię Kartezyusza lub zwolenników Epikura, a nie wyłącz-

nie w obronie napuszystych, niedorzecznych panegiryków, ale również w obronie Tomasza z Akwinu i Arystotelesa w scholastycznem oświetleniu. A przecież o tem wszystkiem bardzo dokładnie poinformował nas p. Janik, zaniedbawszy jedynie zharmonizowania tych wyników, do których prowadzi jego studyum.

A. D.

FELIKS BOGACKI. *Zagadnienia etyki.* Kraków, 1909. Drukarnia ludowa. Str. 106, 16-o.

Nie jest to praca w rodzaju „Die etischen Grundfragen" Lippsa lub innych podobnych, obejmujących wszystkie ważniejsze zagadnienia etyczne, lecz znacznie skromniejsza, albowiem zawiera tylko dwa rozdziały i dodatek o „możliwości odrodzenia komunalnych urządzeń."

Rozdział pierwszy traktuje o „rozumie i uczuciu, jako czynnikach w życiu ludzkiem." Działalność ludzka dąży do zaspokajania potrzeb, które dadzą się podzielić na sześć grup: 1) zabezpieczenie istnienia przez zdobywanie pokarmu, 2) samozachowanie, 3) odradzanie się (miłość), 4) potrzeby towarzyskiego życia, 5) umysłowe i 6) estetyczne. Z przeglądu tych grup są wyprowadzone następujące wnioski:

1) „że wszystkie potrzeby człowieka mają fizyologiczny charakter;

2) że zaspokojenie ich dzieje się w drodze reakcyi na stany uczuciowe, zależne od wrażeń;

3) że ma ono charakter odruchowy, zależny od uczuć, jakie powstają w nas na skutek tych wrażeń

i 4) że przeto działalność ludzka we wszystkich kierunkach czy bezpośrednia, czy pośrednia, zależy od uczuć, bo zależy od potrzeb naszych, które się uczuwają, jako stany fizyologiczne."

Rola rozumu zostaje zredukowana do czynnika pomocniczego o tymczasowem działaniu, dzięki któremu okres bezrozumnej praktyki przechodzi w okres celowego instynktu, skoro tylko pierwszemu towarzyszy „świadomość otrzymanych rezultatów, a więc fizyologiczne doświadczenie, polegające na wytworzeniu się zgodnych z celem refleksów" (str. 23). Należyte zrozumienie intencyi autora jest utrudnione przez brak definicyi i określenia wzajemnego stosunku pojęć „fizyologiczny" i „rozumowy". Za

pierwszorzędny i niezbędny czynnik w życiu ludzkiem uważa autor uczucie. „Rozumowania, t. j. zastanawianie się i rozwaga, paraliżują tylko działalność, jeżeli zaczynają niekiedy brać w niej udział. Napomnienia: zastanów się, pomyśl, co robisz — są, jak powszechnie wiadomo, wezwaniem do zawieszenia, do zaprzestania, do zaniechania działalności“ (str. 5). „Uczucia zaś zawsze są konsekwentniejsze od rozumu, bo posiadają wyraźny swój cel; cel stanowczy i w porządku rzeczy tego świata konieczny“ (str. 23). Rozumowanie możemy wyłączyć z życia „życie nic na tem nie straci, pozostanie ono jako fakt; zniknie tylko wiedza o niem, to jest zniknie ocena jego wartości i znaczenia“ (str. 25). Koniecznymi elementami mają być zatem uczucia i wrażenia, rozum— niejako registratorem naszych czynów, powiadamiającym o nich bezsilną, bierną wyobraźnię. „Pierwej wykonywujemy (? chyba wykonywamy) ruchy, później dopiero, po ich wykonaniu, spostrzegamy, żeśmy je wykonali, czyli uświadamiamy sobie, co zaszło“ (str. 5).

Poglądy takie były już nieraz wypowiadane w filozofii i to— pomimo swej jednostronności—w przejrzystszej, doskonalszej i więcej przekonywującej formie, niż to uczynił autor; przyznać mu jednak należy, iż pomimo pewnych sprzeczności w wykładzie, trzymał się konsekwentnie raz zajętego stanowiska.

Przypuśćmy, że fałszywe wyobrażenia zostały rozwiane i rzecz przedstawiona w prawdziwej postaci—ale etyka nosi miano także *filozofii praktycznej;* bardzo poważni myśliciele twierdzą, że jej racyą bytu jest przekonywanie nie o tem, co jest, lecz co być powinno; co myśli autor o tej sprawie, z którą się łączy jak najściślej omawiane zagadnienie, niewiadomo, bo wnioski pośrednie, jakie wysnuć można, nie są zgodne z takiemi zdaniami, jak na str. 6: „Bezpośrednia, naturalna odruchowość jest zjawiskiem naturalnem i koniecznem, a przeto praktycznie użytecznem,“ lub na str. 12: „Przyroda ma swoje wymagania, którym musi się stać zadość i z któremi walczyć niepodobna i niema żadnego sensu, bo walka ta nie prowadzi do rezultatu, ale tylko do zboczeń umysłowych i fizycznych.“

Tytuł książki daje nam prawo, abyśmy przykładali do niej skalę wymagań nietylko psychologii, lecz i etyki; z tego więc stanowiska jesteśmy upoważnieni do zrobienia autorowi zarzutu, iż nie zwrócił należycie uwagi na powyższe zagadnienie i nieokreślił jasno swego stosunku.

Rozdział drugi „Prawa natury i prawa moralne“ nie spełnia oczekiwań czytelnika, bo dzięki równorzędnemu traktowaniu in-

nych spraw, nie przynosi głębszego rozważania na zapowiedziany temat i nie daje wyraźnej, ściśle zdefiniowanej odpowiedzi.

Raz autor jest zupełnym deterministą, niemal fatalistą: „Wszystko, co człowiek czyni—czyni dlatego, że *musi* tak czynić, że inaczej czynić nie może, *przynajmniej w każdej danej chwili...*“ Czy działalność ludzka „jest racyonalną, czy niedorzeczną, w obu wypadkach jest ona konieczną i nieuniknioną“ (str. 52); nie jest to zresztą dla niego sprawa skomplikowana: „Zagadnienie determinizmu nie budzi w umyśle naszym żadnych wątpliwości i można je uważać za postawione i rozwiązane zupełnie dobrze (w formie przyczynowej). Żadne fakty mu nie przeczą, wszystkie przemawiają na jego korzyść.“ Nawet wspominany w książce Schopenhauer, znany jako „modyfikator prawdy“ nie posunął się tak daleko w ignorowaniu literatury filozoficznej—tem mniej wypada to czynić p. Bogackiemu, skoro na tej samej 30 stronicy pisze, iż wszystkiemi zjawiskami rządzi przyczynowość, „my to tylko sami, dzięki psychicznemu złudzeniu, wyosabniamy samych siebie w drodze analizy z pomiędzy reszty rzeczy.“

W innem miejscu czytamy: „Prawa przyrody, jakkolwiek obowiązują i ludzką istotę, to wszakże nie bezwzględnie, ale o tyle i dopóty, o ile i póki nie stają w sprzeczności z prawem moralnem“ (str. 45, także 44, 57). W sprzeczności z tym poglądem wypowiada autor inny, że prawa moralne, aczkolwiek są „świadomym pomysłem i utworem“ ludzkim, to jednak zawsze zgodne z prawami natury; od mechanicznych, chemicznych, fizycznych i biologicznych różnią się tylko tem, że działają w świecie ludzkim, lecz to bynajmniej nie odbiera im charakteru praw naturalnych (str. 33).

Praktyczne konsekwencye przedstawiają się dość skromnie „bieg rzeczy ludzkich ma własny swój naturalny los, któremu ludzkość chcąc nie chcąc ulega. Chodzić więc powinno tylko o poznanie tego losu, ażeby się doń można było—bo widzimy, że nie może być inaczej—stosować“ (str. 67). „Nie powinno to jednakże prowadzić nas do zniechęcenia i do opuszczania rąk, lecz tylko *do pewnej filozoficznej rezygnacyi*, która jest jedynie możliwą dla każdego mądrością życiową. Nie możemy nie działać, unikając zawodów, a chociaż rozumiemy, co warta jest nasza działalność, działać musimy“ (str. 52).

Pozostawiając bez polemiki inne drobniejsze sprawy, poruszone w tym rozdziale, zwracamy uwagę na te momenty, które zbyt mocno rzucają się w oczy, by je można było zbyć milczeniem:

Str. 46: „Praktyka jest umiejętnością stosowania do rzeczywistości pewnych prawd teoretycznych... Pierwej powstaje teorya, później dopiero staje się możliwem jej stosowanie;“ „praktyka“ została pomieszana z „praktycznem stosowaniem teoryi,“ co nie jest bynajmniej identycznem.

Str. 48: Pospolite pomieszanie pojęć „prawo-lex“ z „prawemius“: „z przeniesieniem władzy prawodawczej na przedstawicieli ludu, gdzie prawo jest rezultatem głosowania, idzie znowu w zapomnienie, że prawa stanowione, obowiązujące, nie mogą być i nie powinny być wcale improwizacyą, ale są rezultatem pracy myśli, konstatującej fakty rzeczywistego życia i stosunków społecznych i wreszcie oceniającej te fakty według ich wartości ze względu na interesy społeczne. Praw nikt nigdy nie tworzy, chociaż to sobie wyobraża, ale tylko odkrywa i ujawnia istnienie ich działania, chociaż się tego nie domyśla.“

Str. 50: „Wszystkich prawie dotychczasowych twórczych usiłowań moralnych i prawnych nie można uważać za co innego, jak za realizacyę ludzkiego nieuctwa i ciemnoty, jak za próby realizacyi ludzkiego głupstwa i niewiadomości...“; autor bez wahania posługuje się zanieczyszczonym językiem potocznym, głupstwo identyfikuje z błędem i dlatego to zapewne głosi tak śmiało, iż „głupota stanowi cechę ogromnej większości ludzi“ (str. 53 i 73).

Str. 63: „Każde dobro ma to do siebie, że każdyby je chciał posiadać dla siebie wyłącznie...“ Oczywisty fałsz, gdyż istotą dóbr umysłowych i moralnych jest to, że kto je rzeczywiście posiada, ten pragnie ich dla swych bliźnich lub ziomków. Nawet do dóbr materyalnych nie nadaje się zdanie autora, skoro dana jednostka w ich posiadaniu nie będzie widzała środka do wywyższania się lub panowania nad innymi, lecz jedynie do zapewnienia sobie pewnej egzystencyi.

Str. 64: Autor wiernie zacytował, lecz fałszywie interpretował Arystotelesa, który przyczyn niewolnictwa dopatrywał się w rodzaju ludzkim, a nie w pewnych, konkretnych warunkach socyalnych.

Str. 70: „Powrót do idealnej równowagi“ (w stosunkach ekonomicznych) — powrót do czegoś, co nigdy nie istniało, jest niemożliwy.

Str. 72: „Uważać siebie samego za istotę podrzędnej wartości, za przeciętną wielkość ludzką, przewyższa to nasze siły; dlatego każdy, dzięki optycznemu złudzeniu, ma się za główną, najważniejszą figurę na widowni życia.“ Tak osobiste doświadcze-

nie, jak i historya, wyraźnie przeczy temu; nawet megalomania rzadko dosięga takiego stopnia.

Uznając równowagę w stosunkach całkiem słusznie za stan pożądany, autor wypowiada, chociaż niezupełnie wyraźnie, także zdanie, iż równość jest celem, do którego dążyć należy i do którego rozwój stosunków zmierza. „Że dążność przyrody do sprowadzania wszystkiego do jednego poziomu istnieje niewątpliwie, mamy na to mnóstwo dowodów.“ „Przyroda... zgładza i usuwa różnice pomiędzy ludźmi, trzymając ich na jednym poziomie“ (str. 70, 76 i 77).

Wytknąwszy błędy, przyznajemy, że są w pracy także i bardzo trafne myśli, o których nigdy zapominać nie należy, np. że postulaty etyki nie powinny żądać tego, co jest niezgodne lub sprzeczne z naturą ludzką; że etyka stanie się naukową, skoro się oprze na życiu i nauce w całej swej rozciągłości i przestanie być systemem nakazów i pojęć, wysnuwanych z pewnych doktryn, dowolnie przyjętych; że hasło „wszystko dla innych“ konsekwentnie stosowane, wytworzyłoby nieznośne i niemoralne stosunki i in. Ilość ich jest jednak niewielka; przytem konstrukcya pracy chybiona, wewnętrzne sprzeczności, fałszywe ujmowanie pewnych spraw i wykład daleki od ścisłości naukowej, chociaż język z literackiego punktu widzenia zupełnie poprawny. W zakończeniu autor pisze: „Jak mi się zdaje, nikt nigdy jeszcze nie traktował praw moralnych, jako praw przyrody, z zajętego przezemnie w tej kwestyi stanowiska, pracy mojej nie mogę uważać za zbyteczną; przeciwnie, uważam ją za potrzebną... Jeżeli krytyka naukowa nie znajdzie nic do zarzucenia mojej teoryi moralności, nauka etyczna postąpi o krok naprzód w swoim rozwoju, ale krok ten będzie stanowczy i ważny, bo zamknie nieskończenie długi okres prac umysłu ludzkiego nad poszukiwaniem praw, rządzących zjawiskami moralnemi i nad ścisłem określeniem moralności.“

„Zagadnienia etyki“ poruszają ważne sprawy i pobudzają do myślenia, nie mogą więc być w naszej ubogiej literaturze filozoficznej rzeczą zbyteczną, lecz nie są—jak się spodziewał autor—dziełem epokowem lub chociażby wybitnem, bo ani rozwiązanie, ani postawienie zagadnienia nie jest w stanie zadowolić krytycznego czytelnika.

D-r Zygmunt Bujakowski.

Kronika miesięczna.

Zbrodnia na Jasnej Górze. — Stan obecny herezyi maryawickiej. — Rozprawy na temat „odżydzania postępu“ polskiego.—Sesya sejmu galicyjskiego.—Stanowisko sejmu finlandzkiego. — Z wystaw sezonowych.

Zamieszczamy tę kronikę w chwili, kiedy całe społeczeństwo polskie do głębi przejęte jest straszną zbrodnią, spełnioną w klasztorze Jasnogórskim. Naród nasz tak jest przywiązany do katolicyzmu, że sam fakt popełnienia mordu przez zakonnika, więc przez przedstawiciela tego odłamu duchowieństwa, które w założeniu swojem ma przyświecać wzorem cnót chrześcijańskich, może już serca nasze przepełnić zgrozą. Nie dość na tem. Zbrodnia spełniona została na tej Jasnej Górze, która od wieków jest przedmiotem szczególnego kultu, nietylko religijnego ale i narodowego, jako wyraz odrodzenia Ojczyzny, oparcia się potężnemu wrogowi za czasów najazdu szwedzkiego. Mury, obficie zraszane krwią najeźdźców i bohaterskich obrońców świętego miejsca, po raz pierwszy skalane zostały krwią, przelaną zbrodniczą ręką.

Trudno dziś przewidzieć następstwa tego wypadku. Wiemy wszakże wszyscy, że przez czas długi, ze wszystkich stron, gdzie naród nasz ma czyhających na jego zagładę wrogów, słyszeć będziemy głosy tryumfu i obłudnych nawoływań do naprawy z zewnątrz rzekomo wewnętrznie zepsutego organizmu. Wiemy, że dla celów swoich skorzystają z niego wszyscy rodacy, którzy w walce z wyznaniem religijnem narodu błędnie widzą rękojmię jego szybszego i wyższego rozwoju kulturalnego. Wiemy wreszcie, z której strony wyzyskany będzie najchętniej i najskuteczniej, ze strony naszej rodzimej herezyi uwsteczniającej. Nie wiemy tylko, o ile zgiełk złowieszczych głosów zmieni się następnie

w istotne zjawiska szkodliwe i zaledwie pocieszać się możemy, iż stanie się tak w małym jedynie zakresie.

Organizm pozornie zdrowy, a nurtowany wewnętrznie ciężkiemi, ukrytemi chorobami, czas od czasu wyrzuca na zewnątrz wrzody, ropienia, widome tych chorób oznaki. Ostrzeżeniem podobnem w życiu społeczeństwa są potworne zbrodnie, świadczące o jego wewnętrznem zepsuciu. Próżno za mord jasnogórski składalibyśmy odpowiedzialność na takie czy inne warunki życia zakonnego; być może, iż tu były okoliczności sprzyjające, którym zresztą łatwo położyć może kres władza duchowna. Przyczyn szukać należy głębiej. Tkwią one w nas wszystkich, w całem społeczeństwie, w jego nadmiernem zmateryalizowaniu się, w powszechnej żądzy użycia za wszelką cenę. Duchowieństwo nie z obcego wszak pnia, ale z łona tegoż społeczeństwa wychodzi, musi więc dzielić z niem i współczesne wady i błędy. A kiedy żądza użycia dochodzi do rozmiarów potwornych, wyrastają na zgniłem podłożu takie straszne typy, jak zakonnik-zbrodniarz. Zmateryalizowaniu ogólnemu przypisać też należy coraz rzadsze istotne powołania kapłańskie w naszem społeczeństwie; na tem tle coraz częściej krzewi się typ duchownego dla karyery, dla chleba; takim był właśnie zbrodniarz. A brak innych, lepszych kandydatów sprawił, że i przed nim otworzyła wrota klauzura zakonna. A nienormalne warunki, w jakich rozwija się u nas całe życie wogóle, więc i życie religijne, dokonały reszty; zdolności zewnętrzne, energia brały górę nad cnotami czysto zakonnemi, pacząc w ten sposób samo założenie klasztoru.

Zbrodniarze są w ręku sprawiedliwości świeckiej. Co ze strony duchownej można było zrobić, aby na razie nadużyciom zapobiedz i wiernych uspokoić, to zostało już zrobione. Opinia publiczna z uznaniem i spokojnem zaufaniem przyjęła zarządzenia biskupa kujawsko-kaliskiego, oddające zarząd klasztorem w ręce księży świeckich, komisarzy biskupich, odsuwając odeń do czasu zakonników. Więcej na razie nie było do zrobienia, a wszelkie przesądzanie przyszłości byłoby przedwczesne.

Do spokoju i umiarkowania społeczeństwo wzywać trzeba. Współczesny aparat informacyjny działa niestety tak, że z klęski narodowej — nie wahamy się nazwać tak zbrodni na Jasnej Górze—robi powszednią sprawę romantyczno-kryminalną, schlebiając gustom ciekawej gawiedzi. Fala ta, niestety, nie prędko opadnie. A zło tkwi w tem, że przygłusza ona głos sumień. Gdyby na samo dno tych sumień ludzie zstępowali, gdyby dokonywali dokładnego i ścisłego obrachunku, znaleźliby tam niestety pier-

wiastki, które w swej potwornej wybujałości do takich właśnie zbrodni doprowadzają. A poznawszy źródło zła znaleźliby w sobie wolę do zgniecenia go, do odrodzenia moralnego jednostek, za którem poszłoby podwyższenie coraz to, niestety, obniżającego się poziomu moralnego społeczeństwa. Taka byłaby zdrowa reakcya zbrodni. Tymczasem zaś najzdrowszą znajdujemy w tych tłumach pobożnego ludu, który na pierwszą wieść o wypadku odróżnił plewy od ziarna, ustrzegł się wszelkich uogólnień i zrozumiał, że nikczemne czyny ludzkie nie mogą skalać Cudownego Obrazu, symbolu wyższych dążeń w sferę ideału. To, co było i jest przedmiotem wiary religijnej i narodowej, co było i jest pociechą w strapieniu, ulgą w ucisku, trwać będzie pomimo i wbrew złym czynom tego lub owego nędznego sługi. Warunki i okoliczności różne — ludzkie, zmienić można i trzeba, i zmienione będą. Nie zmienią się uczucia z jakiemi Polacy oczy swoje zwracają ku Jasnej Górze i z jakiemi codzień szepcą: pod Twoją obronę, uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko!...

*

* *

Przy gruntowniejszych badaniach, na które czas jeszcze nie nadszedł, możnaby zapewne, bez paradoksu, bez naciągania faktów wykazać filiacyę między naszą rodzimą, najnowszą schizmą maryawityzmu, a obcymi wpływami kulturalnymi. Są na to pośrednie dowody w wychowaniu petersburskiem kilku głównych filarów maryawityzmu, w okresie, kiedy ruch zaczął się rozwijać; mówimy tu oczywiście jedynie o oddziaływaniu moralnem; opieka władz administracyjnych, która pielęgnowała ruch w zarodku, należy oczywiście już do innej kategoryi zjawisk — politycznej.

Od czasu koncylium Watykańskiego, jest to pierwsza szczerba w Kościele katolickim. Niekompetentni oczywiście w sprawach dogmatycznych, stwierdzić przecież musimy, że historyczne oddzielenie się starokatolicyzmu, szeregu księży, a nawet biskupów, za którymi poszła część wiernych, może być uzasadnione wprowadzeniem przez Sobór ostatni nowych dogmatów. Wspominamy tylko w paru słowach o utworzeniu się kościoła niezależnego w społeczeństwie polskiem Stanów Zjednoczonych, dzieła kilku rozpustników i pijaków, którzy nie mogli być tolerowani

bezkarnie przez władze duchowne kotolickie; tego rozłamu, w dziejach Polaków za Oceanem zjawiska uwstecznniającego, niepodobna traktować na seryo. Następuje potem owa właśnie schizma maryawityzmu, zjawisko tem ciekawsze, że powstało w łonie narodu — mimo wszelkich pozorów przeciwnych — dość obojętnego w stosunku do spraw i zagadnień religijnych, jak i abstrakcyjnych wogóle.

Dzisiejszych dygnitarzy i działaczy maryawickich znaliśmy wielu. Byli to wówczas duchowni katoliccy, nienagannego życia prywatnego, bezinteresowni, ale o bardzo ciasnych głowach, co jest cechą fanatyków wogóle, którzy w parafiach swoich wprowadzali nadmierne praktyki dewocyjne, odciągając lud od pracy codziennej, powszedniej, zarobkowej, jak również oświatowej i społecznej; znamy parafie, w których po osiedleniu się takiego kapłana w niwecz zupełnie szły kilkunastoletnie ciężko prowadzone prace oświatowe. Działalność tych księży odznaczała się przenoszeniem środka ciężkości życia doczesnego do zasługiwania nieustannego na szczęśliwość wieczną; doktrynalnie możnaby ich związać z niektórymi mistykami średniowiecza; wpływ wywierali głównie przez życie osobiste, pozbawione zupełnie wygód normalnych; ten typ życia był także przez czas długi, zbyt długi, obrońcą ich pośród wyższej władzy duchownej. Zbyt długi, bo dał możność zakorzenienia się propagandy.

Rozproszone usiłowania potrzebowały koncentracyi. Znalazły ją w osobie kobiety, ogłoszonej za świętą, prostej, niewykształconej, a nawet ograniczonej, kuglarki czy mistyczki—oceni dopiero przyszłość, w każdym razie obdarzonej niepospolitemi zdolnościami organizacyjnemi, skoro z usiłowań rozbieżnych zdołała stworzyć spójnię tak silną, że kiedy nadeszło potępienie przez Stolicę Apostolską ruchu, był już dość silny, by módz istnieć samodzielnie. Korzystał zresztą z pomocy dwustronnej. Z jednej—popierały go sfery rządowe; rzecz zupełnie zrozumiała, skoro herezya osłabiała katolicyzm. Mniej naturalne wydaje się poparcie gorące radykalnego odłamu opinii społeczeństwa polskiego. W walkach o kościoły nieśli pomoc maryawitom robotnicy-socyaliści; pisarze, walczący rzekomo w imię prawd naukowych z wszelką religią wogóle, propagowali maryawityzm, chociaż ze stanowiska dogmatycznego i praktyk jest on bez wątpienia objawem uwsteczniającym. Wykazało się tu dowodnie, że szumnie reklamowana owa walka wiedzy z religią była faktycznie walką nieuków z katolicyzmem, skoro przesądy żydowskie pozostawiano w spokoju, a maryawickie apoteozowano. To dwustronne poparcie neutrali-

zowało się—na szczęście. Społeczeństwo nasze oddawna nauczyło się patrzeć z nieufnością na objawy życia, popierane z zewnątrz, z drugiej strony zaś opinia radykalna nie jest u nas dość silna, zwłaszcza w sprawach narodowych, aby mogła była wytworzyć nastrój, dla maryawityzmu przychylny. Dawną niechęć zastąpiło zobojętnienie — oto wszystko.

Z tego zobojętnienia wyrwali nas sami maryawici, urządzając w ostatnim miesiącu reklamę iście amerykańską dla swej sekty. Okazyi dostarczyło wyświęcenie dwóch nowych biskupów; mimo zupełnie wystarczającego jednego na kilkadziesiąt tysięcy sekciarzy, trzeba było zadowolić różne ambicye — ztąd nowi dygnitarze. Wyświęcenie odbyło się przy udziale dwóch biskupów starokatolickich z Hollandyi z wielką okazałością. Daleko odbiegliśmy już od początkowej prostoty ewangelicznej; automobile, masy kwiatów, bramy tryumfalne, uczty—kosztują, zatem pewnie i dawna bezinteresowność również poszła w łatwą niepamięć.

Kiedy chodzi o zjawiska, tak jeszcze drażliwe, smutne i przykre, jak stworzenie sekty maryawickiej, może się nasuwać potrzeba taktyki przemilczania. Po głębszym namyśle trzeba ją odrzucić. Uświadamianie opinii nie jest bynajmniej równoznaczne z propagandą sekty; pisma mają obowiązek informowania o jej stanie, to też to czynią. Tembardziej należy się sprawozdanie w chwili dla maryawityzmu z dwóch względów zwrotnej: popierwsze, bo mamy do czynienia z usiłowaniami organizacyi hierarchicznej i podrugie — co ważniejsza — bo aprobata wyświęcania nowych księży maryawickich przez biskupów uzależniona została od prowadzenia propagandy maryawickiej na Litwie i Rusi wyłącznie w języku rosyjskim. Chodzi tu więc o nasz interes narodowy; a dla publicysty świeckiego interes ten, obok społecznego—może być jedynem kryteryum oceny działalności sekty.

Według ostatnich danych statystycznych ilość maryawitów w Królestwie dochodzi do 73 tysięcy; ilość parafij zalegalizowanych wynosi 63; ilość świątyń — 38. Rozkład parafij i świątyń jest nierównomierny: w Warszawie mamy jeden kościół i dwie kaplice, w gub. warszawskiej 13 świątyń, w piotrkowskiej — 9, w siedleckiej — 8, w płockiej, kaliskiej i lubelskiej po 2, w łomżyńskiej — 1, w radomskiej, kieleckiej i suwalskiej kościołów maryawickich niema wcale. Kierownicy sekty wyzbyli się dawnego mistycyzmu i ignorowania potrzeb życia; spostrzegli, że w dziedzinie kulturalnej i społecznej działalność dopomaga propagandzie i rozwinęli ją w szerokim zakresie. Wznieśli wielki dom parafialny i dwa domy udziałowe w Łodzi, domy parafialne na po-

mieszczenie szkół, ochron i przytułków w wielu miejscowościach; w szkołach kształci się około 2,000 dzieci. W niektórych parafiach, jak w Lesznie i w Wiśniewie, mają maryawici wydziały przemysłowo-rolne; w płockiem nabyli majątek; w Zgierzu założyli warsztaty stolarskie na wielką skalę, po innych miastach zakładają mniejsze, jak również sklepy współdzielcze.

Ilość wyznawców sekty nie zwiększa się; przeciwnie, bezpośrednio po dekrecie Watykańskim uszczupliła się dość znacznie, a obecnie pozostaje bez zmiany. Niebezpieczeństwa zatem na przyszłość, u nas przynajmniej, w Królestwie, nie przedstawia. Niemniej istnienie jej jest nieszczęściem narodowem; jak wiadomo, waśnie religijne są najmocniejsze i najtrwalsze; istnienie w pewnych okolicach kraju gmin wyznaniowych maryawickich uniemożliwia tam pracę kulturalną, wspólną, od wyznania niezależną i — chociaż dziś już namiętności uspokoiły się znacznie — istnienie ich jest stałem zarzewiem niezgody wśród sąsiadów.

Wywdzięczając się za opiekę i poparcie, jakiego z dwóch stron doznali, maryawici w publikacyach swoich wykazują z jednej pewne tendencye socyalistyczne, z drugiej zaś zupełną obojętność narodową. Znaczna ilość wspaniałych inwestycyj, budowli i t. d., zestawiona z nieznaczną stosunkowo ilością wyznawców sekty, rekrutujących się wyłącznie z pośród ludności biednej, wzbudzała podejrzenia co do pochodzenia sum, na cele te przeznaczonych. Podejrzenia te wydają się niesłuszne; poprostu duchowni maryawiccy wyzyskują fanatyzm wyznawców zbieraniem od nich względnie bardzo znacznych ofiar pieniężnych. Zakładają przy parafiach wspólnoty, namawiają najgorętszych i stosunkowo najzamożniejszych do wyrzeczenia się majątku, dóbr doczesnych i znajdują chętnych, którzy potem pełnią obowiązki agitatorów. W jednym z listów swoich, biskup Kowalski mówi: „Niewolno nam, najmilsi, ograniczać się w miłości do udzielania jałmużny ubogim braciom naszym, ale obowiązani jesteśmy, w miarę możności, dzielić się z potrzebującymi tem, co posiadamy. Mamy też w Bogu nadzieję, że owa tak bardzo dziś upragniona równość ekonomiczna i braterstwo dokona się pośród nas przez ten Boski sakrament.“ Organizacya wspólnot jest już dalszym krokiem ku urzeczywistnieniu tych zasad. O zupełnej obojętności w stosunku do spraw i interesów narodowych świadczy ustęp inny: „Zwróćmy, najmilsi, uwagę szczególną — naucza w swym liście pasterskim przywódca maryawitów — na nasz stosunek do ludzi innych wyznań i obcych narodowości, ażebyśmy daleko odrzucili od siebie ten faryzejski kwas nienawiści wyznaniowej

i plemiennej, jakim usiłowali was napoić dawni przewodnicy wasi. Źródłem bowiem nienawiści religijnej lub plemiennej nie jest bynajmniej przywiązanie do wiary, albo miłość ojczyzny, jak to twierdzą obłudnicy, lecz jedynie brak ducha Chrystusowego.“ Świadczą o niej jeszcze takie fakty, jak publiczne sprawozdanie z misyi w Wilnie, wygłoszone w Warszawie, w którem duchowny z zapałem stwierdzał sympatyę, jakiej doznał tam ze strony generała, oficera żandarmeryi i protojereja, przyczem objawy sympatyi cytowane były dosłownie, w języku urzędowym. I takie, jak przyjęcie nowicyuszki Rosyanki do zakładu p. Kozłowkiej w Płocku, jak wygłaszanie w Wilnie kazań i nauk także w języku rosyjskim. Świadczą wreszcie o niej wszyscy ci, którzy *sine ira et studio* przyglądali się zblizka gminom maryawickim.

W cytatach pomijamy umyślnie ohydne, pełne najordynarniejszych wyrażeń, napaści na Kościół katolicki, chodzi nam bowiem, jak zaznaczyliśmy wyżej, jedynie o stronę narodową i społeczną zjawiska; wystarczy zaznaczyć, że one to stanowią treść główną organu urzędowego sekciarzy, *Wiadomości Maryawickich.*

Kto wie, jak dalece lud nasz potrzebuje uświadomienia narodowego, jak wielką jest praca w tym kierunku, ten zrozumie, jaką krzywdę wyrządza społeczeństwu polskiemu sekta Maryawitów. Chrzczenie jej mianem „polskiego kościoła narodowego“ może być uważane tylko za najbardziej gorzką ironię. Stosunek do narodowości jest dotąd bierny, ale może być inaczej. Czy do reszty maryawici przekroczą Rubikon, który oddziela ich już dziś od społeczeństwa polskiego—niedaleka przyszłość pokaże. W każdym razie w odwieczną jedność religijną narodu polskiego wszczepia się ta schizma klinem, szerząc waśń między dziećmi jednej matki. I to działanie jest ciężkiem przestępstwem jej kierowników, a sympatya, okazywana im przez naszych radykałów — dowodem ich krótkowzroczności, lub, co gorsza, wrogiego interesom narodowym stanowiska. O nawróceniu powrotnem maryawitów dziś jeszcze mowy być nie może; pozostaje nam pocieszać się nadzieją, że gdy inicyatorzy i kierownicy zejdą z widowni, rozpłynie się i sama sekta w anarchii i rywalizacyach. Dotąd nie jest ona także niebezpieczeństwem narodowem na Litwie i Rusi, gdzie kilkudziesięciu zaledwie liczy zwolenników.

*

* *

Zawracamy dziś znowu do sprawy żydowskiej, zawracamy ze strony najmniej spodziewanej, ze strony lewicy. Od paru tygodni wre we wszystkich odłamach naszego obozu radykalnego, poczynając od umiarkowanej demokracyi postępowej, kończąc na najskrajniejszych skrzydłach socyalistycznych. Przedmiotem sporu jest „odżydzanie postępu.“ Rozpoczął go „enfant terrible“ radykalizmu warszawskiego, który odznaczał się rzadką w warunkach naszych wolnomyślnością, obok bowiem katolickich „przesądów“ zwalczał także żydowskie. Wprawdzie w polemice zwrócił mu uwagę drugi taki sam „egotysta“ i także „enfant terrible,“ że wszelkie jego wystąpienia nacechowane są zawsze animozyą osobistą, że o walce z katolicyzmem nie myślał aż do czasu skonfiskowania zbyt głośnych „Legend,“ jak i walkę z żydami wywołała napaść żydowskiego radykalnego warszawskiego świstka, niemniej jednak ciekawa sprawa została postawiona. Mniejsza o to z jakich pobudek i w jakich warunkach. Mniejsza też o styl, w jakim polemiści lżą się wzajemnie, choć bierze pokusa przytoczyć próbki na wzór, jak pisać nie należy.

O cóż chodzi? Zdaniem p. Niemojewskiego równym błędem jest utożsamiać katolicyzm z polskością, jak żydostwo z postępem. Zwróćmy uwagę mimochodem, że pierwszego błędu nie popełnia nikt; przyznawanie katolicyzmowi siłą faktu znaczenia wyznania narodowego, ponieważ wyznaje go znaczna większość narodu, nie jest jeszcze identyfikacyą z polskością; nikt nie zapomina o istnieniu Polaków innych wyznań i każdy czci dobrych synów Ojczyzny bez względu na wyznanie; od tego stanowiska jednak niema zupełnie i nie potrzeba przejścia do szczególnego zwalczania katolicyzmu, jakie coraz bardziej staje się wyłącznem zadaniem naszych postępowców. Natomiast łączenie naszych ruchów radykalnych z wpływem Żydów narzuca się siłą faktów. I niema w tem nic dziwnego. Żyd, który zrywa ze swojem otoczeniem narodowem i wyznaniowem, przechodząc do polskości zachowuje cechę zasadniczą umysłowości żydowskiej, swego rodzaju krytycyzm, działający prawie zawsze rozkładowo i liberalizm mieszczański, w którym jest mu najwygodniej. Te warunki wewnętrzne życia myślowego znajduje najlepiej wcielone w życiu rzeczywistem w obozach radykalnych różnych odcieni od liberalizmu właśnie począwszy, aż do kabalistycznych dociekań marksizmu. Dlatego we wszystkich społeczeństwach w obozach tych wszędzie znajdujemy Żydów, że zaś u nas jest ich najwięcej, więc i procent Żydów wśród naszych postępowców musi być i jest olbrzymi. Ztąd też płynie właśnie podkreślona wyżej, specyficz-

na cecha naszego postępu — walka z katolicyzmem; pierwiastek tej walki wnoszą Żydzi, dziedzicznie nienawidzący chrześcijaństwa i—wyzuci z religii własnej — wnoszący zaciętą niechęć do wszelkich religij wogóle. Jeżeli przez wyraz postęp należy rozumieć tworzenie lepszych warunków życia społecznego i kulturalnego, to zdawałoby się, że w tak „barbarzyńskim kraju," jak nasz, dla „postępowców" istnieje olbrzymie pole pracy, które w myśl swych zasad gorliwie uprawiają. Ale tak nie jest bynajmniej. Poza kilku instytucyami i stowarzyszeniami, w których linia frontu walki jest o wiele dłuższa od linii pozytywnej pracy (Kruszynek, kółka Staszicowskie) nie widzimy nic, prócz bezpłodnej ale bardzo łatwej, więc w guście leniwych, walki z Kościołem.

Przypisać to należy właśnie udziałowi znacznemu Żydów wśród postępowców. Promotor polemiki—rdzenny Polak, szlachcic, o ile wiemy, płocki, wysuwający chętnie szlachectwo swoje w polemice—oburza się, gdy w walce wyznaniowej nazywają go pachołkiem żydowskim. I dlatego pragnie czemprędzej postęp odżydzić, aby pokazać sztukę, że i Aryjczyk walkę taką prowadzić potrafi; prawda to zresztą, która hałaśliwego dowodzenia nie potrzebowała. Ale w obrachunkach padły także inne słuszne wyrazy. Przyznano, że „Żydzi paraliżowali nawet poniekąd akcyę postępowców polskich, lękając się obalić wielce dla nich korzystną fikcyę, że postęp polski i filosemityzm—to jedno." Przyznano dalej, że „postępowcy żydowscy oparli się wszelkim próbom szczepienia wolnej myśli wśród Żydów i chcieli zredukować kampanię wolnej myśli w Polsce do atakowania katolicyzmu z całkowitem pominięciem judaizmu i że ci postępowcy żydowscy usypiali naszą czujność na polakożercze zabiegi nacyonalizmu żydowskiego, nazywając walkę z nim objawem reakcyi antysemickiej." Przyznano wreszcie, że konieczna jest walka „z rozkładowymi wpływami nacyonalizmu i klerykalizmu żydowskiego na ideologię postępową polską oraz z literacką Targowicą, która się zdradziecko zakradła do naszych mas robotniczych, aby dla antypolskich szwindlów drobnomieszczaństwa żydowskiego wyzyskać siłę polityczną proletaryatu polskiego przez stałe podjudzanie go przeciw własnej ojczyźnie."

Słowom tym chętnie przyznać możemy słuszność; trudniej będzie odpowiedzieć na pytanie, jaki realny wyraz znajdą w życiu? Zapewne do kilkunastu prawie kapliczek, na jakie dzielą się nasi postępowcy, przybędzie nowa, jeszcze jedna kapliczka antysemityzmu czy asemityzmu postępowego. O spełnienie real-

ne zadania „odżydzenia postępu polskiego“ oczywiście bardzo trudno. Żaden ruch istnieć dziś nie może bez pieniędzy, a wydatki imprez postępowych ponoszą przecież przeważnie Żydzi. Z drugiej strony jeżeli ten nowy obóz postępowy, polsko-aryjski, ma być stworzony na obraz i podobieństwo jego proroka, jeżeli całą energię ma skupiać na bezpłodną i szkodliwą walkę wyznaniową, tak ciasną i fanatyczną, że dochodzącą do apologii bezwzględnie uwsteczniającego maryawityzmu, to stosunek do niego trzeba będzie utrzymać taki sam, jak do obozu postępowego polsko-żydowskiego. Jeżeli bowiem prowadzona jest robota szkodliwa — trzeba jej przeciwdziałać tak samo, bez względu na to, czy prowadzi ją aryjczyk, czy też semita. Obawiamy się zresztą, że możnaby tu zastosować słowa, wypowiedziane przy zgoła innej okazyi: nasz „postęp“ rodzimy będzie taki, jak jest, albo go nie będzie wcale. Oczywiście „postęp“ w cudzysłowie, jako miano, nie jako treść, bo to, co jest postępem istotnym, co jest podniesieniem kultury, szerzeniem wiedzy, rozwojem współdzielczości, robią na szczęście inne ręce, inni ludzie, bez etykiety postępu — w cudzysłowie.

*

* *

Otwarta niedawno krótka sesya Sejmu galicyjskiego nie zapowiada żadnych trwałych ani wybitnych rezultatów. Nad posiedzeniami jego ciążą dwie zmory spraw niezałatwionych: kwestya ruska i reforma wyborcza. Pierwsza—wobec żądań Rusinów podziału kraju—zgoła na razie nie do załatwienia. Ostatnie gwałty ochłodziły w stosunku do niej nawet tych, którzy z urzędu niejako, choć Polacy, zajmowali stanowisko ustępliwe, przedstawicieli najwyższych władz krajowych. Marszałek zaniechał w mowie swojej zwykłego ustępu, wygłaszanego w języku ruskim, i zaznaczył słusznie, że jeżeli wobec sposobów załatwienia sprawy ruskiej różne mogą w społeczeństwie polskiem panować opinie, to wszakże kiedy dążenia Rusinów wychodzą z ram legalnych i kulturalnych — znajdą przeciw sobie zwarte szeregi całego społeczeństwa bez różnicy opinii. Namiestnik również ze swego stanowiska stanowczo i wyraźnie zaznaczył, że wobec gwałtów wła-

dza przed żadną nie cofnie się represyą. A posłowie ruscy kilkakrotnie usiłowali czynić obstrukcyę i jak zwykle puste rozwodzili skargi: najgorszą cechą tego obozu jest to, że niema inteligentnego przywódcy, prawdziwego polityka, z którym porozumiewać by się można. Dlatego to w sprawie ruskiej obracamy się stale w atmosferze demagogii, przypadku, afektu chwilowego.

Trudna również, choć zawsze do rozwiązania, jest sprawa reformy wyborczej do Sejmu krajowego, tak trudna, że pomimo permanencyi osobnej komisyi reforma ani krokiem naprzód się nie posuwa. Każdy rozumie, że dzisiejsze prawo wyborcze jest przestarzałe i współczesnemu rozkładowi sił społecznych zgoła nie odpowiada, że wreszcie po dość radykalnej reformie wyborczej do parlamentu centralnego też same koła, które korzystają tu z rozszerzenia praw niechętnie godzą się ze zwężeniem ich, o ile chodzi o losy kraju. Wszyscy rozumieją również, że dokonanie reformy w kierunku głosowania czteroprzymiotnikowego jest niemożliwe; niestety, zrozumieniu temu wyrazu nie dają, tak silne są prądy demagogiczne, tak wielką obawa zarzutu zdrady pseudo demokratycznego, pustego frazesu. Pomińmy, że reformy tego typu rząd nie zatwierdzi, bo to wzgląd czysto oportunistyczny, choć bardzo ważny. Ale przecież Sejm galicyjski nie jest ciałem tylko politycznem; jest także najwyższą budowlą samorządu gospodarczego miejscowego i jako taki musi mieć zupełnie uprawnioną reprezentacyę interesów materyalnych różnych warstw. Z drugiej strony, najsumaryczniejsze rozejrzenie się w statystyce Galicyi uczy, że głosowanie powszechne jest wręcz sprzeczne z naszym interesem narodowym, nie zapewniałoby nam bowiem wpływu, należnego tradycyjnie i kulturalnie. Proponowany z jednej strony klucz narodowościowy stwarza i aparat w manipulacyi dość ciężki i jako precedens niebezpieczny; urzędowe zapewnienie proporcyonalnego przedstawicielstwa narodowościom ruskiej, żydowskiej, niemieckiej wywołuje obawy podzielenia w przyszłości takim samym sposobem wszystkich stanowisk, czyli zamianę kraju zewnętrznie i urzędowo polskiego na wielojęzyczny. Ze wszystkich tych trudności wybrnąć tem trudniej, że trzeba mieć dwa lica, jedno na użytek wewnętrzny, drugie zaś dla wyborców, wynik coraz silniejszego przelicytowywania się w demagogii, najmocniejszej choroby życia publicznego w Galicyi, choroby tem cięższej, że stronnictwa ogarniają przeważnie bardzo ciasne widnokręgi własnych tylko interesów, a jedyny czynnik naprawdę polityczny, rząd krajowy, jest bądź co bądź zależny od centralnego. Nie leży w tego interesie wzmocnienie wewnętrzne Ga-

licyi, przeciwnie raczej: chętnie hoduje wzajemne niechęci i współzawodnictwa, nietylko rusińskie, nietylko żydowskie, ale i niemieckie, które z dniem każdym staje się groźniejsze, idąc od zachodu i coraz to nowe ogarniając placówki. Dlatego — jak na to nieraz już zwracaliśmy uwagę — horyzont życia polskiego w Galicyi nie jest bynajmniej bezchmurny.

Od tej niewesołej strony obrazu odbija inna, na szczęście jasna, strona materyalnego życia kraju, jego gospodarki wewnętrznej, kulturalnej, strona, ujawniająca się w cyfrach sprawozdawczych. Zacznijmy od budżetu.

Niedobór 2½ mil. koron, niedobór stały zresztą jest wynikiem tego, że rząd centralny nie chce dać Galicyi autonomii finansowej; w r. 1911 będzie pokryty przez podwyższenie podatku realnego i osobistego. Przyglądając się dalej budżetowi widzimy, że lwią część wydatków pochłania oświata (25¼ mil., czyli o 1½ mil. kor. więcej, niż w budżecie na r. b.), potem takie cele niewątpliwie kulturalne, jak wydatki na zdrowie publiczne (6½ mil.), na komunikacye (6 mil.), na budowy wodne (9 mil.), melioracye, na cele rolnictwa.

Przyjrzyjmy się teraz rezultatom, osiągniętym na polu oświaty. W roku sprawozdawczym szkół ludowych publicznych było 5,334, w tem 140 zorganizowanych, ale nieczynnych. Na liczbę szkół czynnych składało się szkół jednoklasowych 3,345, dwuklasowych 1,192, trzyklasowych 20, czteroklasowych 362, pięcioklasowych 131, sześcioklasowych 53, wydziałowych średnio i więcej klasowych 91. W szkołach tych było czynnych klas 13,699. Uczyło w nich nauczycieli i nauczycielek 13,829. W porównaniu z r. 1907/8 liczba szkół publicznych wzrosła o 170, liczba gmin pozbawionych nauki szkolnej wynosi 319, o 135 mniej niż w roku poprzednim. Sił nauczycielskich przybyło 410. Uczęszczało na obowiązkową naukę całodzienną dzieci 985,211, zaś na naukę dopełniającą 187,921. Liczba dzieci pobierających naukę wzrosła o 31,712.

Seminaryów nauczycielskich państwowych było 17, z tego 14 męskich, 3 żeńskie (czwarte seminaryum żeńskie powstało od września 1910 r. w Brzeżanach). W siedmiu seminaryach męskich językiem wykładowym jest język polski, w innych polski i ruski; z seminaryów żeńskich jedynie w Krakowie wykładowym językiem jest język polski. Prywatnych seminaryów było 22, z tych dwa żeńskie miały prawa publiczności. Utrzymują je głównie instytucye i stowarzyszenia polskie; Tow. szkoły ludowej utrzymuje dwa seminarya: w Białej i w Krakowie; Rusini utrzymywali dwa seminarya prywatne w Jaworowie i we Lwowie; Niemcy

jedno (żeńskie) w Białej. Do seminaryów uczęszczało 2,506 uczniów i uczennic na kursy, zaś 633 na kurs przygotowawczy.

Gimnazyów państwowych męskich istniało 51; w roku szkolnym 1909/10 utworzono trzy nowe, a od września 1910 założono nowe gimnazya: w Tłumaczu, tudzież gimnazyum realne w Łańcucie. Pięć gimnazyów: II w Kołomyi, II w Przemyślu, II w Stanisławowie, II w Tarnopolu i akademickie (wraz z filią ośmioklasową) we Lwowie miały język wykładowy ruski. Gimnazyum II we Lwowie, a częściowo gimnazyum w Brodach miały język wykładowy niemiecki. W gimnazyum II w Stryju i w Brzeżanach istniały pierwsze cztery klasy utrakwistyczne polsko-ruskie; utrakwizm w obu gimnazyach postępuje corocznie o klasę wyżej. Gimnazyów żeńskich prywatnych istniało 8 (jedno ruskie we Lwowie), a nadto niemal w każdem mieście, mającem szkołę średnią, zakładano prywatne kursa gimnazyalne żeńskie. Liceów żeńskich prywatnych było 10, z tego jeden zakład we Lwowie był niemiecki, zaś w Przemyślu był instytut ruski. Szkół realnych było 13; od września 1910 r. powstała nowa w Wieliczce. W gimnazyach publicznych i prywatnych było młodzieży męskiej 28,201, żeńskiej 1,465, w zakładach realnych chłopców 3,442, w liceach dziewczęcych 1,201. Co do stosunków narodowościowych, przedstawiają się one, jak następuje: w gimnazyach Polaków 15,580 (55.2%), Rusinów 6,318 (22.4%), Żydów 6,105 (21.6%); w gimnazyach żeńskich: Polek 715 (49%), Rusinek 110 (8%), Żydówek 623 (43%); w szkołach realnych: Polaków 2,327 (67.5%), Rusinów 234 (6.8%), Żydów 799 (23.2%); w liceach żeńskich: Polek 812 (68%), Rusinek 254 (21%), Żydówek 130 (11%).

Szkół przemysłowych i handlowych istniało 8: szkoła przemysłowa w Krakowie miała uczniów 484, szkoła przemysłowa we Lwowie 599, przemysłu drzewnego w Zakopanem 175, przemysłu drzewnego w Kołomyi 80, ślusarska w Świątnikach 82, przemysłu żelaznego w Sułkowicach 80, ślusarstwa maszynowego w Tarnopolu 30, Akademia handlowa we Lwowie 307. Do szkół przemysłowych uczęszczało 1,832 uczniów. Szkół przemysłowych uzupełniających było 72, a liczba uczniów wynosiła ponad 10,000. W roku 1911 powstanie nowych szkół przemysłowych uzupełniających 8.

Obraz powyższy budżetu i rozwoju oświaty kraju równoważy w znacznej mierze ciemne strony jego życia. Z drugiej strony zadaje kłam jeszcze i dziś dość u nas rozpowszechnionemu zdaniu o zacofaniu Galicyi, opinii wprost śmiesznej, jeżeli porównać tam-

tejsze i nasze np. stosunki. Wreszcie daje świadectwo, jak wygląda dziś „polska gospodarka“ w polskim kraju, rządzonym polskiemi rękami.

*

* *

Daty dwudziestego trzeciego i dwudziestego szóstego września r. b. są datami historycznemi w dziejach Finlandyi i jej stosunku do państwa rosyjskiego. Zamykają one trzeci z kolei Sejm nadzwyczajny odmówieniem rozpraw nad projektami rządowymi, jako wbrew konstytucyi przedstawionymi.

Pierwszy Sejm nadzwyczajny zwołany został w r. 1899 za czasów Bobrikowa w celu uchwalenia nowego prawa wojskowego. Sesya Sejmu trwała cztery miesiące. Rezultatem jej było opracowanie żądanego prawa w innym jednakże kierunku, niż tego wniosek rządowy wymagał; podwyższono mianowicie ilość wojska z sześciu na dwanaście tysięcy z warunkiem wszakże, aby żołnierze pełnili służbę wyłącznie tylko w Finlandyi. Prawo to zatwierdzenia nie uzyskało, a następstwa—uchylanie się od służby wojskowej, są ogólnie znane. Zresztą w r. 1905 rozkaz Najwyższy zniósł powinność wojskową w Finlandyi, wyznaczając wzamian za nią wynagrodzenie pieniężne.

Drugi Sejm nadzwyczajny zwołany został w grudniu 1905 r. Dokonał zmian wiekopomnych, zwłaszcza w zakresie prawa wyborczego, przechodząc od wyborów stanowych nietylko do bezpośrednich, powszechnych i tajnych, ale i do przedstawicielstwa proporcyonalnego i do udziału kobiet w wyborach. Sesya trwała osiem miesięcy; prócz reformy wyborczej, uchwalono prawa o wolności prasy, o zgromadzeniach i stowarzyszeniach, ale nie wszystkie prawa te zyskały zatwierdzenie.

Trzeci wreszcie Sejm nadzwyczajny został zwołany we wrześniu r. b. Czas jego obrad był z góry na miesiąc określony, a trwały one zaledwie dni kilka. Zadaniem jego było wyrażenie opinii co do wniosków rządu rosyjskiego, dotyczących prawodawstwa ogólno państwowego (znanego czytelnikom z kroniki przed paru miesiącami), wynagrodzenia pieniężnego za służbę wojskową, wreszcie zrównania w prawach Rosyan, zamieszkałych w Finlandyi, z ludnością miejscową. Na treść tych projektów nie zwrócono

nawet uwagi. Rzecz w tem, że otwarcie Sejmu i wniesienie projektów odbyło się wbrew zwykłemu ceremoniałowi. Nie było mowy tronowej i adresu od Sejmu—generał-gubernator ograniczył się suchą formułą otwarcia Sejmu, na co marszałek odpowiedział również wyrażeniem w dwóch słowach hołdu wiernopoddańczego. Po tych formalnościach zwykle generał-gubernator wręczał marszałkowi „propozycye Najwyższe," czyli wnioski, które miały być treścią obrad. W tym roku zaś z departamentu Senatu przysłano do Sejmu, jako korespondencyę służbową, projekty do praw, podpisane jedynie przez ministrów rosyjskich, bez podpisu tego, który dotychczas sam jeden projekty finlandzkie kontrasygnował, bez podpisu ministra sekretarza stanu dla Finlandyi. Skutkiem tego marszałek Swinhufvud oświadczył w Sejmie, że projektów rządowych, jako nie przysłanych przez ministra sekretarza stanu, do rozpoznania Sejmowi przedstawić nie może. Na tem sesya została zamknięta.

Rzecz jasna, że *talman* działał tu w porozumieniu z jednomyślnym w danym razie, choć złożonym z przedstawicieli różnych stronnictw, Sejmem. Rozprawy miały znaczenie czysto formalne, chodziło mianowicie o to, czy odpowiedzi nadać formę adresu czy nie; projekt adresu został większością głosów odrzucony. Tak samo nie wchodzono zupełnie w merytoryczne rozważanie praw, a Sejm złożył dowody niezwykłej dojrzałości politycznej, że ani jeden z mówców nie użył ostrego wyrażenia przeciw Rosyi; owszem, senator Danielson oświadczył, że „Sejm i naród finlandzki uczynią zawsze i w każdych okolicznościach wszystko, co można, dla szczęśliwego i właściwego rozstrzygnięcia wszystkich zagadnień spornych między dwoma narodami."

Ostateczna odpowiedź, jako „Najpoddańsze zawiadomienie," podpisana została przez marszałka i wicemarszałków Sejmu i złożona na ręce generał-gubernatora z intytulacyą: „Najmiłościwszy i Najpotężniejszy Cesarzu i Wielki Książę!" W treści zawiadomienie zwraca uwagę na to, że wydane 17 (30) czerwca 1910 r. prawo niema siły prawa w Finlandyi, że ustawy, wręczane przedstawicielstwu narodowemu, powinny być podpisane przez ministra sekretarza stanu. Skutkiem powyższego „Sejm pozbawiony był możności przystąpienia do rozważenia spraw, wymienionych w Najwyższym manifeście, wywołującym Sejm." Odpowiedzią na to ze strony rosyjskiej było rozwiązanie Sejmu i rozpisanie nowych wyborów.

Sprawy to nie załatwi. Wątpić trzeba, czy rząd rosyjski zmieni porządek przedstawiania praw i przywróci kontrasygnatę

ministra sekretarza stanu dla Finlandyi, chodzi tu bowiem o względy zasadnicze. Głosy prasy nacyonalistycznej, zarówno urzędowej, półurzędowej, jak i tej, która w roszczeniach swoich daleko wykracza poza względy urzędowe, są pełne oburzenia na Finlandczyków za ich niezrozumienie stosunku Finlandyi do państwa. Znikąd wszakże niema odwagi do zupełnie jasnego i wyraźnego postawienia sprawy, do jednostronnego zniesienia autonomii tej prowincyi. Obecne dążenie rządowe wyraża się w pragnieniu, aby wyrok zagłady swej autonomii wydała na siebie Finlandya sama w osobach swoich przedstawicieli. Że zaś rozwiązywanie Sejmów i nowe wybory nie zmieniają ich składu, zmienić nie mogą, bo są wyrazem jednomyślnej opinii kraju, że Finlandczycy zdecydowani są utrzymać się w granicach oporu ściśle legalnego, którego wyrazem był Sejm ostatni, przeto nie widać wyjścia z położenia. A właściwie wyjście jest jedno, zastosowanie prawa silniejszego. Na to jednak wobec zawsze lojalnej prowincyi zdobyć się jakoś bardzo trudno, skoro dotąd zdobyć się nie było można.

*

* *

Jesień, pora obliczania plonów żniw, jest także porą różnych wystaw. I w tym roku było ich kilka. Wystawy rolnicze w Szawlach, w Humaniu, w Winnicy stwierdziły dowodnie, że mimo walk narodowościowych, posuwających się aż do dążenia wyżęcia nas z ojcowizny, mimo obcej zewnętrznie fizyognomii kraju (napisy wyłącznie rosyjskie w Humaniu i w Winnicy), przedstawicielami wyższej kultury są wszędzie Polacy i tylko Polacy. Może właśnie stwierdzenie tego faktu wzmaga jeszcze fanatyzm różnych naszych najserdeczniejszych; i oto na znak protestu nie uczestniczą Rosyanie w wyborach do Rady Państwa, skoro nie udało się jeszcze wprowadzić sztucznej geometryi wyborczej nowego prawa o ziemstwach na Litwie i Rusi i ze wszystkich okręgów wychodzą Polacy. W zestawieniu z nazwiskami wystawców wogóle i nagrodzonych w szczególności wygląda to dość symptomatycznie i może być w rozprawach argumentem—zbędnym zresztą, skoro mamy do czynienia z takimi, którzy przekonani być nie chcą.

Prócz wystawy przyrodniczej, otwartej już od kilku miesięcy i bardzo ciekawej, mieliśmy w Warszawie dwie: rybacką i prze-

mysłu włóknistego. Pierwsza była nie dość interesująca ze względu na to, że rybołówstwo, jako jedna z gałęzi przemysłu rolnego, nie istnieje u nas prawie; to też plon był bardzo nikły, a ilość eksponatów, zwiększana sztucznie takimi, które z rolnictwem nic nie mają wspólnego. Druga była przyćmiona blaskiem największej naszej firmy konfekcyjnej, która ze świetnym pawilonem wystąpiła i mniejszych konkurentów poprostu zakasowała. Był tu wszakże jeden dział, wart bardziej szczegółowego opisu i ze względu na jakość swej wystawy, jak i na doniosłość publiczną, dział czytelnikom naszym znany, dział przemysłu ludowego.

Jakież zadanie przyświecało organizatorom tego działu na wystawie przemysłu włóknistego i konfekcyjnego? Z jednej strony przedstawić, co lud wyrabia z przędzy lnianej, bawełnianej i wełnianej, z drugiej zaś, w co i jak się lud ubiera, o ile oczywiście własne stroje swoje zachował. Pierwsze spełnione zostało przez samo Towarzystwo popierania przemysłu ludowego, drugie— przy pomocy działu etnograficznego Muzeum Przemysłu i Handlu, z którego wzięto dwadzieścia cztery figury ubrane w malownicze, dotąd używane stroje z różnych okolic. Dowiadujemy się, że jednak jeszcze półtora do dwóch milionów włościan ubiera się w swoje własne stroje, że ważna kwestya zachowania ich połączona jest ze sprawą produkcyi trwałych tkanin, farbowania ich, nawet nauki kroju, że tego uczyć trzeba i uczyć można, bo lud uczyć się chce, byle było za co, byle Towarzystwo miało dostateczne środki.

Niby macierz przemysłu ludowego rozsiadła się wystawa Towarzystwa, mnóstwo płócien z różnych stron, ze szkół własnych, z Kurpiów, ścierki z Oryszewa, wełniaki łowickie, gostyńskie i kutnowskie, chodniki, kilimy i t. d. Warsztat w ruchu; obok znane już wyroby guzikarskie, wśród których jako nowość produkowane przez kilka tysięcy chłopów z pod Ostrołęki guziki z masy perłowej, którą dostają i na małych tokarniach ręcznych obrabiają; bardzo ładne meble, wyścielane wełniakami.

To cząstka zaledwie. Bo tę wystawę otoczyły inne, usiłowaniom prywatnym zawdzięczone, wspólnością umiłowanego celu złączone. Wymieńmy płócienka Cienciary z Kamienicy Polskiej; tamże wyroby spółki „Tkacz," związku chrześcijańskiego, liczącego 80 członków; znane, świetne wyroby p. Mohlówny; parawan hr. Platerowej, sukna z Pietkowa, wreszcie wełniaki i płótna spółki tkackiej z Frampola. Ciekawa jej historya. Siedzieli tam tkacze z dziada pradziada; dyplom cechu podpisany był przez Władysława IV; tkali doskonale. Ale z czasem zestarzały się poprostu warsztaty; ich typ był już niemożliwy. Założona w porę szkoła

miała tu jedno tylko zadanie: wprowadzenia nowych warsztatów. To zadanie spełniła i potem została zamknięta. Do spółki należy czterystu tkaczy.

Taki pokazano nam plon robót. I dobrze zrobiono, że pokazano. Każda instytucya publiczna, do ofiarności ogółu apelująca, jaknajczęściej przed tym ogółem egzamin zdawać powinna. Ruchliwe i dzielnie kierowane Towarzystwo popierania przemysłu ludowego ma się zawsze z czem na takim egzaminie popisać; obyż mu to do uzyskania poparcia społeczeństwa dopomogło, jak na to zasługuje. Przy jego warsztatach spotykają się ludzie różnych warstw: księża, ziemianki, włościanie i włościanki. Więc poza celami podniesienia ekonomicznego i kulturalnego spełnia jeszcze jedno — jest ogniwem jednoczącem — zadanie nie ostatnie i nie najmniejsze.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Marya Konopnicka.

Rok bieżący nazwać wypadnie rokiem żałoby; dawno już nie notowaliśmy tyle zgonów, tyle niepowetowanych strat z pośród największych i najpożyteczniejszych narodu. Schodzą do grobu przedstawiciele tego pokolenia, które dojrzewało w gorącej atmosferze powstania ostatniego, które najmocniejsze wycisnęło piętno na ostatnim okresie dziejów naszych. A kiedy porównywamy ich wielką kulturę, wiedzę, niestrudzoną pracę ze współczesnymi, dochodzimy do pesymistycznej wątpliwości, czy nie obniża się poziom życia duchowego narodu.

Przed półwiekiem, w głośnym naówczas klasztorze Sakramentek w Warszawie, pobierały nauki dwie panienki, Pawłowska i Wasiłowska, nazwiska znane zaledwie historykom literatury. Ale w późniejszem życiu nazwiska ich zabłysły, jak gwiazdy pierwszej wielkości, zdobyły sobie zasłużony rozgłos na całym obszarze ziem polskich, a nawet i poza niemi. Dziś już niema między nami znakomitych autorek. Przed paru miesiącami odprowadzaliśmy na miejsce wiecznego spoczynku Orzeszkową, wczoraj — pożegnaliśmy Konopnicką.

Była ona nietylko wielkim poetą polskim, godnym stanąć obok największych; była także wielką poetką świata. I gdyby pisała nie po polsku, lecz w bardziej rozpowszechnionym języku, zdanie to byłoby prawdą znaną i uznaną. Nigdy i nigdzie świetność formy, podniosłość treści, niebosiężny potok poetycki, nigdy zalety te nie były w takim stopniu udziałem żadnej kobiety, prócz Maryi Konopnickiej.

Nie była nigdy cudownem dzieckiem. Pisać zaczęła późno, jako dojrzała już, trzydziestoletnia kobieta. I od początku szła

coraz wyżej i wyżej, doskonaląc się nieustannie, ogarniając coraz szersze kręgi, aż na najwyższe szczyty twórczości. W tym nieustannym rozwoju i postępie ducha tkwiło jej podobieństwo z Orzeszkową.

Powodu do rozpoczęcia twórczości dostarczył jej zachwyt, doznany przy pierwszej podróży w Tatry; mamy ztamtąd pierwszy, prześliczny cykl poezyi „W Górach," malujący krajobrazy, w których odtwarzaniu była i później niedoścignioną mistrzynią.

Był to rok 1875, rok rozwoju haseł pozytywizmu, reakcyi przeciw romantyzmowi przedpowstaniowemu czynów. Konopnickiej obce były zawsze tendencye egotyzmu w twórczości; dość powiedzieć, że w poezyach jej miłość zajmuje zawsze miejsce podrzędne. Była zawsze obywatelką, ścisłymi związaną węzły ze swojem społeczeństwem. I dlatego ruch pozytywistyczny nie mógł przejść dla niej bez śladu. Stąd utylitaryzm, tendencya i retoryczność utworów jej z tej epoki. Wzięła z niej zresztą to, co było w niej najlepszego, najszlachetniejszego i — najtrwalszego: umiłowanie idei demokratycznej, umiłowanie ludu. A doszła do niego nietylko drogą rozumowania, stwierdzenia suchego, że tak pracować trzeba, lecz przedewszystkiem drogą uczucia, drogą litości dla upośledzonych życiowo, i dlatego umiłowania. Rozumowania mijają, zastępują je coraz to inne koncepcye myślowe; a uczucie poetki trwało niezłomnie przy ludzie aż do końca i znajdowało wyraz zewnętrzny nietylko w utworach poetyckich ale i w życiu codziennem.

Ten pierwszy okres twórczości można nazwać okresem służby społecznej: treść, idea, tendencya występuje na plan pierwszy. A kiedy, zmuszona okolicznościami, poetka opuszcza Warszawę, podróże doskonale wpływają na rozwój jej olbrzymiego talentu, rozszerzają widnokręgi, pogłębiają ducha, wznoszą go na wyżyny, z których ogarnia świat cały. Konopnicka nie traci nic z ogólnych, zasadniczych cech swej twórczości, ukochania dobra pospolitego i służenia mu, ale ta służba nabiera wyższego, ogólniejszego charakteru. Walka ze złem — oto cel główny, któremu służy. Nie może się pogodzić z jego istnieniem w życiu i stąd echa buntu; nie wierzy w zniesienie zła na świecie — i stąd tony pesymizmu; przecież chce mieć nadzieję — przeciw nadziei.

Nie wystarcza jej liryka—marzy o epopei. Współczesnej — a więc na tle życia ukochanego ludu. Widzi, jak niedola pcha go przed dwudziestu laty za morze. I na tem tle powstaje pomysł olbrzymiego poematu, dobrze znanego czytelnikom *Biblioteki*, „Pana Balcera w Brazylii." Pierwsze pieśni — widziane, od-

czute, przeżyte pozostaną zawsze jednym z najcenniejszych klejnotów w skarbcu poezyi polskiej. A całość jest spełnieniem marzenia życia Konopnickiej, pozostawienia po sobie wiecznotrwałego pomnika współczesności. Świetna forma i rozmiar, napięcie dzieła, musi w każdym czytelniku wywołać zdumienie.

Doczekała się za życia tyle zasłużonej sławy i uznania; księgi jej wędrowały pod strzechy; znana była zarówno wytwornym miłośnikom literatury, jak dzieciom, jak ludowi. To też obchód jubileuszowy przed ośmiu laty we Lwowie był hołdem tak wielkim i tak powszechnym, jaki mało którego z pisarzy był udziałem. Od najwyższych ciał naukowych począwszy, przez delegacye stowarzyszeń, aż do Piaseckiej z Wrześni, która dzieci swoje, jako Jej dzieci przyprowadziła—nie brakło w tym pochodzie hołdowniczym królowej pieśni polskiej nikogo.

Nad świeżym grobem nie czas na wszechstronną ocenę twórczości zmarłej. W notatce zawrzeć można tylko wyrazy żalu, że odeszła od nas kobieta dobra, wielka obywatelka. I niby więź kwiatów na świeżą mogiłę, rzucić jej chcemy te słowa włościan z Żarnowca, którzy wzywają, aby „wielce można Pani wracała“ do nich „leczyć ubogie ludzie i nieść im pociechę.“ I ten testament Jej, tak dziś potrzebny, byśmy mieli nadzieję przeciw nadziei. I to jej przyznanie własne na jubileuszu, że „chciała miłości — dla ziemi, chciała wyznawców — dla ideału, chciała światła — dla ludu, chciała czci — dla pracy, chciała bojowników—dla idei, chciała tryumfu — dla prawdy i dla wszystkich chciała jedności!“ Te kwiaty jej twórczości, te bezcenne dary, którymi darzyła naród — słusznie Jej się teraz należą. Za wielkie, dobre dzieło życia — pamięć wieczna i miejsce wśród najlepszych synów Ojczyzny.

*

* *

Marya z Wasiłowskich Konopnicka urodziła się w Suwałkach, w r. 1846, z ojca, Józefa, i matki, Scholastyki z Turskich. Matkę straciła we wczesnem dzieciństwie; wychowaniem dzieweczki kierował ojciec, człowiek światły i bardzo zamiłowany w literaturze ojczystej; wcześnie zaczęła czytywać poetów, a pierwsze zachwyty w młodocianej duszy wywołał Kochanowski. Kształcona w domu, dla dokończenia edukacyi przepędziła rok tylko jeden u Sakramentek w Warszawie. Wypadki 1863 r. zostawiły w jej duszy wspomnienie niezatarte, głównie jako wrażenie roz-

łamu między dworem a chatą, niedoli i ciemoty ludu, jako przyczyny niepowodzenia ruchu. Młodo wyszła zamąż i zamieszkała w Bronowie, w Łęczyckiem, w majątku męża, ale szczęście ciche, rodzinne, nie było wogóle jej udziałem w życiu.

W r. 1876 przeniosła się na stałe do Warszawy i zaczęła pomieszczać pierwsze swoje utwory w *Kłosach*. Spędziła tu lat kilkanaście, wyrabiała sobie coraz większą sławę, redagowała od r. 1884 pismo dla kobiet, *Świt*, głoszące hasła równouprawnienia. W r. 1890 z rozkazu władz zmuszona była opuścić Warszawę i odtąd rozpoczęło się jej życie tułacze. Mieszkała czas jakiś w Szwajcaryi, w Monachium, we Francyi i we Włoszech, wreszcie w Galicyi, gdzie od r. 1902 osiadła w ofiarowanej jej z okazyi jubileuszu pracy twórczej posiadłości wiejskiej w Żarnowcu. W ostatnich latach przedsiębrała podróże w celu poratowania zdrowia, wyniszczonego ciężką, nieuleczalną chorobą, która też położyła kres jej pożytecznemu życiu 8 października r. b. w sanatoryum we Lwowie.

Liczne jej poezye, rozrzucone po czasopismach, wyszły w osobnych zbiorkach następujących: „Odgłosy z gór," „Na fujarce," „Z łąk i pól," „Z przeszłości" (fragmenty dramatyczne, 1881), „Linie i dźwięki" (1897), „Poezye" (4 tomy, 1881, 1883, 1887 i 1896), „Italia" (1901), „Damnata" (1900), „Poezye" (w nowym układzie, 5 tomów, 1902 — 1904), „Drobiazgi z teki podróżnej" (1904), „Wrażenia z podróży" (1884), „Cztery nowele" (1888), „Moi znajomi" (nowele, 1890), „Na drodze" (1893), „Nowele" (1897), „Ludzie i rzeczy" (1898), „Dym" (1898), „Trzy studya" (1903), „Głosy ciszy" (poezye, 1907), „Pan Balcer w Brazylii" (1910).

Za życia doczekała się wyczerpujących studyów krytycznych prof. Piotra Chmielowskiego, Stanisława Tarnowskiego, A. Brücknera, Tadeusza Grabowskiego, Henryka Gallego, Antoniego Potockiego, Jana Lorentowicza i innych. Piękny hołd jubileuszowy złożył znakomitej pieśniarce na szpaltach naszej *Biblioteki* w roku 1902 Henryk Sienkiewicz.

ś. p. Felicyan Faleński.

W ubiegłym miesiącu umarł nestor literatów polskich, ś. p. Felicyan Faleński. Urodzony w r. 1825 w Warszawie, tu pobierał nauki w gimnazyum gubernialnem, którego nauczycielowi,

Aleksemu Nędzyńskiemu zawdzięczał znakomite i gruntowne wykształcenie klasyczne, umiłowanie wzorów, którym pozostał wierny na zawsze. Pierwszy utwór jego drukowany był w naszej *Bibliotece*, w lipcowym zeszycie 1850 r.

Nie była to szczęśliwa epoka dla poezyi; apatya i odrętwienie ogarniały wszystkich na schyłku rządów paskiewiczowskich. A kiedy nowe panowanie żywe poczęło budzić nadzieje, kiedy rozpoczął się gorętszy ruch serc i umysłów, w innych czerpał siłę źródłach poetyckich, w romantycznych, nie w niepokalanym klasycyzmie Faleńskiego, który odrazu, jako twórca, stał się obcym między swymi. Po nieudanem powstaniu nietylko ponownie zapanowała apatya, ale w dodatku zjawił się na powierzchni życia prąd, skazujący na zagładę wszelką poezyę, nie posiadającą wartości użytkowej, tembardziej taką, która hołdowała zasadzie „sztuka dla sztuki.“

Tymczasem Faleński był parnasistą czystej wody; dzieła jego odznaczały się niezmierną poprawnością formy, bardzo kunsztownym wierszem, przypominając misterne, w najdrobniejszych szczegółach wycyzelowane rzeźby. Był klasykiem także i w tem znaczeniu, że strzegł się wszelkich wybuchów uczuciowych, jakby ich się wstydził; była w tem pewna czułość wewnętrzna i zamknięcie w sobie, która jednak na przeciętnym czytelniku robiła wrażenie oschłości i chłodu. To też Faleński nie był nigdy poetą popularnym; szanowano go, ceniono, ale mało czytano i — nie kochano.

A przecież w twórczości jego uderzała cecha, coraz rzadsza, niestety: wielka kultura, wielkie oczytanie i wykształcenie w dziedzinie wszelkich literatur, ze szczególnem uwzględnieniem Hellady i Rzymu. Prócz poezyj: „Kwiatów i kolców,“ „Odgłosów z gór,“ „Świstków Sylena,“ „Meandrów,“ „Pieśni spóźnionych,“ odznaczających się niepospolitemi zaletami, ogłosił on także drukiem szereg bardzo wybitnych dramatów i utworów powieściowych. W dramatach: „Syn gwiazdy“ (1871), „Althea“ (1875), „Florynda“ (odznaczona na konkursie w r. 1887), „Królowa“ (1888), trylogia: „Junius Brutus,“ „Sofronista,“ „Ataulf“ (1896), „Franciszka z Ravenny,“ „Tańce śmierci“ (1898) znać wpływy największych dramatopisarzy świata: Ajschylosa, Szekspira, Calderona. Powieści—„Zdaleka i zblizka,“ „Na schyłku starego roku,“ „Strzępy dawnej okazałości,“ „Świetne widoki pani Marcinowej,“ „Bez służby,“ „Sama jedna,“ „Klechda niemądra o głupim Gawle“ — zawierają sporo ciekawych szczegółów i warte są przedrukowania, przypomnienia współczesnym. Tłómaczył także wybornie i wy-

kwintnie „Pieśni“ Petrarki, Ariosta „Roland Szalony,“ oraz Wiktora Hugo „Człowiek śmiechu,“ „Pracownicy morza“ i „Marya Tudor.“ Pierwszy zapoznał on publiczność polską z fantastycznymi utworami Edgara Poë, zamieścił bowiem obszerne studyum o pisarzu amerykańskim także w naszej *Bibliotece*. Nasi starsi i dawniejsi czytelnicy przypomną sobie jeszcze zapewne świetne studya Faleńskiego, poświecone złotemu wiekowi literatury polskiej, „Trenom“ i „Fraszkom“ Kochanowskiego; miłował on nadewszystko tę starą, jędrną polszczyznę, na której kształcił swój język własny i której wpływ widzimy szczególnie w „Meandrach.“ Prócz tych rozpraw wydał osobno w r. 1881 piękną i cenną pracę o Mikołaju Sępie Szarzyńskim.

Starzał się z wielkim majestatem i godnością. Nigdy popularnym nie był; w ostatnich latach stał się zapomnianym. Nigdy o poklask tłumu nie zabiegał, idąc własną drogą; w ostatnich latach trzymał się zdala od współczesnego ruchu literackiego, którego może nie rozumiał, ale na który z pewnością patrzył z odcieniem wyższości, z pewnem lekceważeniem, sceptycyzmu pełnem. Przecież umiał cenić objawy życzliwości i uznania; szczerze wdzięcznym był p. Lorentowiczowi za ocenę jego twórczości, drukowaną w roku ubiegłym z powodu osiemdziesiątej piątej rocznicy urodzin poety.

Zgasł cicho, skromnie i dostojnie, jak żył. Słusznie powiedziano w pożegnaniu Faleńskiego od braci literackiej, że na jego mogile „nigdy wielkie rzesze ludzkie płakać nie będą. Ale czasem zabłąka się tu może jaki artysta-samotnik, jaki podobny jemu kochanek piękna wiekuistego, jaki epigon helleńskiego ducha i rzuci mu kwiat... A ile razy polska jesień przyjdzie na ten cmentarz, sypać będzie, jak w tej chwili, słabymi liśćmi na chwałę cichemu śpiewakowi. Niech śpi spokojnie pod królewskim dywanem natury...“

Ś. p. Roman Plenkiewicz.

Ubył jeszcze jeden wybitny pracownik na polu pedagogii i historyi literatury. Ś. p. Roman Plenkiewicz urodził się w roku 1833 w ziemi kieleckiej i w Kielcach skończył gimnazyum, poczem zaraz poświęcił się zawodowi pedagogicznemu. Wykładał język i literaturę polską, dopóki można było wykładać po

polsku—w gimnazyach, a potem w szkole handlowej im. Kronenberga i na pensyach. W licznym szeregu uczniów i uczennic swoich pozostawił doskonałe wspomnienie. Nie pojmował swego zadania, jako suchego zaznajamiania z regułami gramatycznemi, z datami, faktami i tytułami dzieł, lecz umiał budzić w młodocianych duszach kult i miłość najdroższych rzeczy ojczystych, języka i literatury. Na podkreślenie zasługuje i ten szczegół, że wielki nacisk kładł na okresy początkowe literatury, te właśnie, do których przeciętny uczeń nie zwraca się już później w życiu, bo nie pociągają go bezpośredniością wrażeń, ani współczesną doskonałością formy, czy ciekawą fabułą. A rezultat był ten, że z jego szkoły wychodziła młodzież z istotną kulturą literacką, tą kulturą, której nam dziś tak beznadziejnie brak, a której wyrazem jest doskonała znajomość rzeczy przeszłych, jako źródeł i korzeni teraźniejszości. Uczniowie Plenkiewicza nietylko znali nazwiska Rejów, Kochanowskich, Klonowiczów, Szymonowiczów, ale rozumieli piękno ich utworów, umieli rozkoszować się dawną jędrną polszczyzną, odróżniać jej odcienia i charakter. I w tem leży niepospolita, niepożyta zasługa zmarłego pedagoga.

Zawód pedagogiczny, jako źródło utrzymania, nie wystarczał. Był też ś. p. Plenkiewicz nietylko pedagogiem, ale i urzędnikiem; wespół ze ś. p. Kaszewskim i obok niego pracował w kancelaryi komitetu Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy. Mimo tych różnorodnych zajęć starczyło jeszcze Plenkiewiczowi czasu, woli i wytrwałości na prace nad umiłowaną literaturą. Piękną i trwałą kartę w jej dziejach zdobył sobie jubileuszowem, krytycznem wydaniem pism Kochanowskiego. Poprzedzający je obszerny życiorys wieszcza z Czarnolasu, ze względu na staranną formę, na ścisłą metodę naukową może być uważany za wzór monografii literackiej. W wydaniu dzieł uderza benedyktyńska iście praca; liczne i wyczerpujące przypisy są pomnikiem pracowitości i sumienności autora. Nie dziw też, że w uznaniu tych zalet został Plenkiewicz powołany do współpracownictwa przez krakowską Akademię Umiejętności.

Studya nad ukochaną epoką złotego wieku literatury naszej doprowadziły uczonego do drugiej jeszcze cennej i ciekawej pracy o etyce Mikołaja Reja z Nagłowic. „Uwagi nad dziełami do wykładu języka polskiego," „Kształcenie młodzieży," „Monografia szkoły handlowej," liczne artykuły, rozrzucone w „Wielkiej Encyklopedyi Illustrowanej" i w „Encyklopedyi Wychowawczej," a zwłaszcza ciężka i wyczerpująca praca redagowania ostatniej, doprowadzenia jej w naszych ciężkich i trudnych warunkach do trzech czwartych

całości — uzupełniają plan zbożnej pracy, zacnego i zasłużonego żywota.

Ś. p. Roman Plenkiewicz zeszedł z pola umiłowanej pracy jak żniwiarz, który w pocie czoła dzieła życia swego dokonał. Do grobu towarzyszył mu szczery żal setek tych, którzy na ławie szkolnej od niego uczyli się miłości piękna i ideałów, a także i wszystkich tych, którzy czcić umieją rzetelną, choć cichą i skromną zasługę, wiedzę, pracę i charakter nieskazitelnie prawy.

ś. p. Franciszek Żmurko.

W pełni wieku męzkiego i sił twórczych odszedł od nas jeden z największych malarzy polskich, artysta, odznaczający się całkiem niepospolitą siłą twórczą, temperamentem i rozmachem, wyjątkową pracowitością, że przymiotami tymi najbardziej przypominał wielkich mistrzów Odrodzenia włoskiego. Sława Żmurki o wiele przekraczała granice jego ojczyzny; w tysiącznych reprodukcyach obiegały świat cały, budząc wszędzie zachwyt. Jeden z jego obrazów „Landemus feminam," jest z pewnością najlepszem streszczeniem jego twórczości i jego wiary artystycznej. Chwale kobiety poświęcił Żmurko swój pędzel natchniony. Kobiety, nie pojmowanej jako źródło zła, jako jakiś wysysający i wiecznie krwi głodny wampir, wedle ascetów czy chorobliwych zwyrodnieńców dzisiejszych, lecz kobiety, pojmowanej w sensie Odrodzenia, jako źródła radości, rozkoszy najwyższej, kobiety roztaczającej naokoło siebie czar, upojenie zmysłowe, kobiety, koniecznie powabnej, radosnej w słońcu złotem. To zaklęcie barwami na płótnie w żywy obraz uroku kobiecego nadawało dziełom Żmurki cechy wieczności: ono sprawiało, że mijały obok niego kierunki, kruszono pędzle o teorye w kurzu walki, zgryźliwa zazdrość szarpała jego dzieła, a artysta szedł spokojnie swoją własną drogą, coraz wyżej i wyżej, że powiedzieć o nim można: skończył dzieło swoje z przypadku śmierci, ale skończył je w dobie największego rozwoju swego talentu, kiedy mógł jeszcze wiele dla chwały sztuki ojczystej i na chwałę kobiety dokonać.

Franciszek Żmurko urodził się we Lwowie w r. 1859; ojcem jego był znakomity matematyk polski, Wawrzyniec Żmurko. Młody artysta miał dobrych nauczycieli: najpierw starego Tepę w ro-

dzinnem mieście, a potem Jana Matejkę w akademii sztuk pięknych w Krakowie, dokąd niebawem udał się na dalsze studya, z Krakowa do Wiednia, z Wiednia do Monachium, do Wagnera wiódł szlak jego karyery artystycznej. W Monachium otrzymał medal złoty za pierwszy swój obraz „Kleopatra.“ Potem, w Krakowie, pod wpływem Matejki i w jego rodzaju namalował obraz historyczny „Kazimierz Wielki i Esterka.“ Uzyskane za ten obraz stypendyum cesarza Franciszka Józefa pozwoliło młodemu artyście udać się do Mekki malarzy, do Rzymu. Bawił tu niedługo, dość czasu jednak, aby poczynić studya liczne, pomocne mu potem w następnych obrazach. Powrócił do Krakowa, do Matejki, ale mistrz nie wywierał już na ucznia dawnego wpływu. Bo uczeń znalazł drogę własną, którą sam chciał kroczyć i doszedł do własnego mistrzostwa. Już w pierwszych kompozycyach Żmurki ogniskiem centralnem była zawsze kobieta; teraz już staje się zupełnie i szczerze malarzem kobiet. Przenosi się do Warszawy i tu już pozostaje; stolica nasza staje się jego drugiem miastem rodzinnem i patrzy na potężny rozwój świetnego talentu mistrza.

Prac jego szereg długi; prócz wymienionych wyżej, oto tytuły głównych prac jego: „Śmierć Messaliny,“ „Zaślubiny Messaliny w Monto Pincio,“ „Dama Kameliowa,“ „Na skrzydłach pieśni,“ „Śmierć na kwiatach,“ „Napój miłosny,“ „Haszysz,“ „Demon,“ „Z rozkazu padyszacha,“ „Pieśń wieczorna,“ „Jus primae noctis,“ „Przeszłość grzesznika,“ „Gwiazda Bettleemska,“ „Laudamus Feminam“ i wreszcie piękna „Hetera,“ zakupiona przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych do stałych zbiorów. Do tego dodać mnóstwo prześlicznych główek kobiecych, pełnych niewysłowionego czaru i rzetelnej zmysłowości. Wszystkie jego celniejsze dzieła i te główki także były licznie reprodukowane zagranicą. Niezrównane w miękkości i subtelności tonu są zwłaszcza heliograwiury „Münchener graphische Gesellschaft Pick & Comp.“; nabyło ono prawa reprodukcyi większości dzieł artysty, który radował się szczerze doskonałem ich wychowaniem.

Jak mistrz prawdziwy, umarł Żmurko na stanowisku: niemal do ostatniej chwili życia nie wypuszczał z ręki pędzla i palety. Umarł, żegnany żalem powszechnym, a wiecznie żyć będzie w nieśmiertelnych dziełach swoich, które zawsze będą źródłem prawdziwej rozkoszy dla miłośników piękna wiekuistego.

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Na posiedzeniu Komisyi antropologicznej przy Wydziale II-im z d. 1 października r. b., po uczczeniu przez powstanie pamięci zmarłego członka ś. p. Z. Glogera, p. K. Stołyhwo odczytał sprawozdanie z delegacyi na kongres międzynarodowy naukowy w Buenos Aires i doręczył Towarzystwu Naukowemu w darze od Uniwersytetu w Buenos Aires medal pamiątkowy oraz sprawozdanie z działalności tegoż Uniwersytetu za cały okres czasu jego istnienia. Następnie p. E. Majewski odczytał sprawozdanie z działalności Komisyi antropologicznej za rok ubiegły naukowy.

W dniu 5 b. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którem p. Br. Chlebowski odczytał wspomnienie o zmarłym członku Towarzystwa, Kazimierzu Kaszewskim, charakteryzujące jego działalność i zasługi w literaturze. Następnie p. G. Korbut przedstawił część pierwszą pracy p. t. „Początki wpływu Boileau'a w Polsce.“ Podkreśliwszy doniosłość tego wpływu, który wycisnął swe piętno na najznakomitszych nawet utworach okresu Stanisławowskiego, p. Korbut zwrócił uwagę na zapomnianego inicyatora boalizmu w literaturze polskiej, którym był znakomity bibliograf J. J. Załuski i na jego „Próbę pióra nowego poety“ (1753), zawierającą pierwszą przeróbkę, ale jeszcze w smaku barokowym, niektórych satyr Boileau'a.

W dniu 6 b. m. odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym wygłoszono komunikaty następujące: 1) P. Jan Tur: „Badania nad wpływem promieni radu na rozwój mięczaka Pholas candida L.“ 2) P. Feliks Kucharzewski: „Statyka Kochańskiego.“ 2) P. Sławomir Miklaszewski: „Sprawozdanie ze zjazdu gleboznawców w Sztokholmie.“ 4) P. Jan Sosnowski: „Nowa metoda obliczania krzywych aparatów samopiszących.“ 5) P. Jan Lewiński: „Badania geologiczne wzdłuż linii kolejowej Herby-Kielce.“

Wydział II-gi rozpoczął działalność powakacyjną w dniu 7 października. Na odbytem w tym dniu posiedzeniu, po uczczeniu pamięci swego członka, ś. p. Zygmunta Glogera, przewodniczący zaznaczył, że Wydział w roku ubiegłym odbył 14 posiedzeń i na nich wysłuchał i rozpoznał 27 referatów i komunikatów. Nadto istniejące przy wydziale Komisye: 1) historyczna—odbyła 6 posiedzeń, rozpoznała na nich 13 referatów, a nadto ogłosiła drukiem: I. T. Baranowskiego: „Materyały do dziejów wsi polskiej, zeszyt I," H. Konica: „Materyały do dziejów Komisyi rządzącej," I. T. Baranowskiego: „Księgi referendarskie, t. I." A. Jabłonowski źródeł dziejowych trzecią część t. XVII, a I. T. Baranowski rozpoczął druk XXVIII tomu tychże źródeł. 2) Komisya antropologiczna, archeologiczna i etnograficzna zgromadziła się 4 razy i oprócz spraw administracyjnych rozpoznała 7 referatów. Przewodniczący zaznaczył również owocną pracę Komisyj i wskazywał na pożytek z uorganizowania projektowanych Komisyj: prawnej, statystycznej, filozoficznej, społecznej, psychiatrycznej. Po załatwieniu spraw bieżących wysłuchano i przedyskutowano referat p. Stanisława Poniatowskiego p. t. „O klasyfikacyach wskaźników antropologicznych," a następnie p. Kazimierz Stołyhwo demonstrował ciekawsze okazy archeologiczne i etnograficzne ze zbiorów, przywiezionych przez niego z Ameryki Południowej. Nakoniec Wydział na przedstawienie Komisyi antropologicznej zakwalifikował do druku „Sprawozdanie z Kongresu naukowego w Buenos Aires z r. 1910," skreślone przez delegata T-wa Naukow. Warsz., p. Kazimierza Stołyhwę.

Fundusz imienia ś. p. A. Krasińskiego. W dniu 25 listopada 1909 roku ks. Seweryn Czetwertyński złożył zebrane w gronie znajomych rb. 10000 Towarzystwu Naukowemu Warszawskiemu, jako fundusz wieczysty dla uczczenia pamięci Adama hr. Krasińskiego. Obecnie T-wo Naukowe otrzymało od generał-gubernatora zawiadomienie № 15846, że ministeryum spraw wewnętrznych zezwoliło przyjąć T-wu ten fundusz. Zgodnie z treścią aktu darowizny procenty od rzeczonego funduszu będą używane przez Towarzystwo dla nagradzania najlepszych prac naukowych nad literaturą polską w zakresie filologicznym, historycznym i krytycznym, dokonane w języku polskim przez Polaków bez względu na miejsce urodzenia lub zamieszkania, tak zapoczątkowane przez samych autorów, jak powstałe wskutek rozpisania na nie konkursu przez Towarzystwo Naukowe Warszawskie, nie nagrodzone przez inne instytucye lub z innych funduszów T-wa. Pozatem procenty od tego funduszu mogą być użyte w części na poparcie odnośnych badań naukowych. Przeznaczenie każdorazowej subwencyi lub nagrody zależy od Wydziału I-go językoznawstwa i literatury T-wa Naukowego.

— Zbiory biblioteki hr. hr. Krasińskich w Warszawie w r. 1909—1910 wzrosły znacznie. Przybyło około pięciu tysięcy dzieł, wśród których miejsce dominujące zajmują przekazane bibliotece zbiory po ś. p. mecenasie Mierosławskim i ś. p. profesorze Spasowiczu. Zbiór ś. p. Mierosławskiego zawierał oprócz paru rękopisów z XVIII wieku cenne druki, odnoszące się głów-

nie do dziejów wewnętrznych Polski. Księgozbiór ś. p. Spasowicza, przekazany bibliotece Ordynackiej przez panią Alicyę Hasfortową, składa się z licznych dzieł filozoficznych, z Szekspiryanów, z dzieł, odnoszących się do historyi i literatury Polski, tudzież Rosyi, wreszcie z pierwszorzędnych zagranicznych wydawnictw historycznych. Z rękopisów w zbiorze Spasowicza znajdują się cenne pamiętniki d-ra Morawskiego, ilustrujące życie litewskie w pierwszej ćwierci XIX wieku. Dział rękopiśmienny biblioteki hr. hr. Krasińskich zwiększyły nadto w roku sprawozdawczym ofiary hr. Edwarda Krasińskiego, hr. Ordynatowej Heleny Krasińskiej, p. Piotra Saryusz Dembowskiego, wreszcie cenny dar pani Erykowej Jachowiczowej, która bibliotece przekazała obok licznych pamiątek rodzinnych całą rękopiśmienną spuściznę po Stanisławie Jachowiczu, będącą ważnem źródłem dla poznania dziejów pedagogiki polskiej. Zbiory biblioteczne zwiększyły się jednak nietylko dzięki darom, ale też wskutek zakupów, uczynionych przez Zarząd biblioteki. Nabyto więc 165 dzieł z wieku XV, XVI, a mianowicie: druków z wieku XV—15, z wieku XVI — 150. Wśród druków XV wieku, nabytych świeżo, na uwagę zasługuje przepysznie ilustrowane „Directorium humanae vitae.“ Z druków wieku XVI wymienić warto 2 druki krakowskie Hallera, zawierające traktaty Stopnicy, tudzież komplet broszur polemicznych Glicznera, wśród których znajduje się i „Odpór na odpowiedz questii niektorych podanych o kościele powszechnym,“ Grodzisk 1579, znany dotąd tylko z okładki. Liczba rękopisów zwiększyła się o przeszło 100 numerów. Z tego wypada na wiek XIII—XIV 1, na w. XV 3, na wiek XVI 26, na w XVII 17, na w. XVIII 40, na wiek XIX reszta. Z pośród nowonabytych rękopisów wymienić warto piękny kodeks pergaminowy z XIII—XIV wieku, zawierający ceremoniarz biskupi; korespondencyę Krzysztofa Radziwiłła z Lwem Sapiehą, 1597—1602; zbiór przywilejów pruskich z końca wieku XVI; Ordo coronationis Henryka Walezego; listy królewicza Karola do Zabiełły; dyaryusz sejmu czteroletniego; korespondencye biskupów Wydżgi i Szembeka; szereg Miscelaneów z wieków XVII—XVIII i t. d. Dział dokumentów zwiększył się o 40 pergaminów, głównie z wieku XV.

Rosnące stale zbiory biblioteczne z trudnością już mieszczą się w dotychczasowym lokalu, to też dbała o dobro instytucyi rodzina hr. Ordynatów Krasińskich nabyła w dniu 1 października r. b. obszerny plac przy ulicy Okólnik hr. Krasińskiego № 9, 11. Projekt gmachu, jaki stanie na tym placu, wykonany już został przez p. Juliusza Nagórskiego, młodego architekta, wychowańca szkoły Sztuk Pięknych w Paryżu. Projekt opracowany jest z uwzględnieniem całej nowoczesnej techniki wprowadzonej w nowych bibliotekach niemieckich, np. w Poznaniu, w Królewcu, w Berlinie.

Według planu p. N., gmach biblioteki ma się składać z trzech zasadniczych części: 1) ze składów czyli właściwej biblioteki, 2) czytelni i 3) muzeum. Muzeum ma stanowić część odrębną gmachu, w której parter zajmie westibul z klatką schodową oraz biura; na pierwszem piętrze znajdzie się właściwa hala muzealna, mieszcząca zbrojownię, a na galeryach kolekcyę obrazów. Czytelnia ma się również mieścić na pierwszem piętrze. Pełne ściany izolować ją będą od właściwych składów, otaczających ją z trzech stron i stanowiących oddzielną w sobie całość. Składy te, podzielone na 5 kondygnacyj wysokości 2 m. 20 cm.

a szerokości 6 m. kw., oświetlone będą wyłącznie światłem bocznem. Podłogi na każdem piętrze będą pełne-betonowe, półki żelazne, każda kondygnacya posiadać będzie balkon do odkurzania książek, między sobą pojedyńcze kondygnacye komunikować się będą przy pomocy dwóch wewnętrznych schodów. Składy obliczone są na 300,000 tomów, projekt jednak przewiduje ewentualne ich zwiększenie przez nadbudowanie paru nowych kondygnacyj. Gmach zbudowany będzie w stylu Cesarstwa i stanowić ma z czasem architektoniczną całość z projektowanym pałacem hr. Krasińskich.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Książka. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Październik, 1910. Treść: „Pan Balcer“ Konopnickiej (dok.).—Krytyka: Bougoud Ks.: Spowiedź. Eucharystya. O wiecznem przeznaczeniu dusz;—Bregman L. E., D-r Med.: Dyagnostyka chorób nerwowych; — Dyakowski B.: Od Karpat do Baltyku, cz. I;—Rozprawy i wyznania Elsów o Juliuszu Słowackim (Eleusis, tom V); — Grabowski Tadeusz: Czy Historya Literatury jet nauką?—J. W.: O języku ludzkim i jego rozwoju;—Janik Michał: Z dziejów wymowy w wieku XVII i XVIII;—Jeske-Choiński Teodor: W pogoni za prawdą;—Jeż T. T.: Wasyl Hołub;—K. O.: Andrzej Wolan;—Komarnicki Lucyusz: Stylistyka polska, objaśnienia na przykładach i ćwiczeniach;—Kulikowska Marcelina: Dusze kobiece... serca kobiece; — Kuprin A.: Gambrinus i inne nowele; — Mar Jan Stanisław: Historya dwojga ludzi i jednego filistra;—Menger Antoni: Prawo do całkowitego wytworu pracy; — Mereżkowski Dymitr: Leonardo da Vinci (Zmartwychwstanie bogów);—Mohl Aleksander T. J.: W pogoni za prawdą;—Moeice Henryk, Ks.: Katolicy, brońmy naszej wiary;—Mutermilch Wacław: W kwestyi wyboru języka pomocniczego międzynarodowego; — Niewiadomska Cecylia: Legendy, podania i obrazki historyczne; — Orzeszkowa Eliza: Gloria victis. Oni. Hekuba. Oficer. Bóg wie kto;—Prażmowska T.: Dzieje trzech rozbiorów Polski oraz ruchu narodowego w XIX w.; — Przybyszewski Stanisław: Dzień sądu (Synów Ziemi część wtóra); — Stella-Sawicki Jan, D-r: Dusza roślinna; — Studnicki Wł.: Finlandya i sprawa finlandzka; — Świętochowski Aleksander: Utopia w rozwoju historycznym;—Szlagowski Antoni, Ks.: Wierzę;—Zawadzki Wł., D-r: Pokój a szkoła;—Pod prasą;—Kronika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Braun Adam: Z dziejów Bartnictwa w Polsce. W sprawie art. 3-go ustaw Bartnych Mazowieckich z r. 1401. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Dziewulski Stefan: Statystyka projektu rządowego o wyodrębnieniu Chełmszczyzny w świetle krytyki. Wydane staraniem „Ekonomisty.“ Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki. Warszawa, 1910 r.

Fouard X. G.: Żywot pana naszego Jezusa Chrystusa. Tom drugi. „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich.“ Zeszyt 116 i 117. Sierpień i wrzesień 1910. Warszawa.

Gide Karol, profesor Ekonomii Społecznej Paryskiego Uniwersytetu: Rozwój Instytucyi Społecznej w ciągu XIX stulecia z trzeciego francuskiego wydania z upoważnienia autora przełożyli Z. Kosiewicz i J. Dmochowski. Warszawa, 1910. Nakładem „Prawdy.“

Inwentarze pałacu Krasińskich później Rzeczypospolitej, wydał dr. Ignacy Tadeusz Baranowski. Collectanea Biblioteki Ordynacyi hr. Krasińskich № 3. Warszawa, 1910.

Jordan (Julian Wieniawski): Z teki marymontczyka. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

Katalog literatury naukowej polskiej, wydawany przez Komisyę Bibliograficzną wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom IX. Rok 1909. Zeszyt III i IV. Kraków w drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Kreczmar Roman: Poezye. Warszawa, 1911. G. Centnerszwer i S-ka.

Lemaître Juliusz: Jan Jakób Rousseau. Przekład Stanisława Turowskiego ze współudziałem Kazimierza Woźnickiego. Kraków i Warszawa, 1910. G. Gebethner i Sp.

Leonidas Andrejew: Gubernator. Chrześcijanie. Kłamstwo. Tłómaczył z oryginału Bolesław Podlewski. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp.

Marcinowska Jadwiga: Zwycięstwo. Obraz dramatyczny w trzech aktach z epilogiem. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Mochnacki Maurycy: Pisma po raz pierwszy edycyą książkową objęte. Wydał i przedmową poprzedził Artur Śliwiński. Lwów, 1910. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Pamiętnik Fizyograficzny (Wydawcy: W. Wróblewski i Br. Znatowicz). Tom XX. Wydany z zapomogi Kasy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia D-ra Med. Józefa Mianowskiego. Dział I. Meteorologia. — Dział II. Miscellanea. Warszawa, 1910.

Pascal D-r T.: Główne zarysy teozofii. Przekład H. Krzemienieckiej. Warszawa, 1911.

Program Ces. Król. Szkoły Politechnicznej we Lwowie na rok naukowy 1910/11. XXXIX. We Lwowie, 1910. Nakładem Szkoły Politechnicznej.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki): Faraon. Powieść. 3 tomy. Siódmy tysiąc. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Rakowski Kazimirrz, D-r: Trzy lata w więzieniu pruskiem. Pamiętnik więzienny. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, 1910.

Reymont Wł. St.: Marzyciel. Szkic powieściowy. Senne dzieje. W pruskiej szkole. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Rocznik Gebethnera i Wolffa na rok 1911. Kalendarz encyklopedyczno-praktyczny, opracowany pod kierunkiem redakcyi „Tygodnika Illustrowanego.“ Ozdobiony 200 illustracyami, 14 tablicami porównawczemi i 6 mapami. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

Rutkowski Zenobiusz: Śpiew i muzyka w szkole elementarnej (wskazówki dla uczących). „Książnica Wychowawcza“ № 5. Wydawnictwo im. Staszica, staraniem Stowarzyszenia nauczycielstwa polskiego. Warszawa, 1910.

Siemieński Józef: O metodzie modernizacyi pisowni w wydawnictwach źródeł polskich XVI w. Odbitka ze sprawozdań z posiedzeń Towarzystwa naukowego warszawskiego. Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historyi i filozofii. Posiedzenie z dn. 3 czerwca 1910 r. Warszawa, 1910.

Sokolnicki Michel: Les origines de l'emigration polonaise en France. 1831—1832. Paris, Félix Alcan, editeur, 1910.

Sprawozdanie Związku spółek zarobkowych i gospodarczych na Poznańskie i Prusy Zachodnie za rok 1909. Zebrał i ogłosił Ks. Wawrzyniak, patron. Poznań, 1910. Nakładem Związku spółek zarobkowych i gospodarczych na Poznańskie i Prusy Zachodnie.

Sprawozdanie z zarządu Muzeum narodowego polskiego w Rapperswilu za rok 1909. R. XI. Paryż, 1910. Drukarnia polska A. Reiffa.

Szycówna Aniela: Pedologia czyli nauka o dziecku (odbitka z „Encyklopedyi Wychowawczej“). Warszawa, 1910.

Zalewski Ludwik, Ks. D-r: Sztuka rymotwórcza Franciszka Ksawerego Dmochowskiego. Studyum z dziejów krytyki literackiej w Polsce w epoce pseudoklasycyzmu. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Zalewski Władysław: Ku gwiazdom. Poezyi serya III. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Zapolska Gabryela: Kaśka-Karyatyda. Powieść współczesna. Wydanie drugie. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

— Śmierć Felicyana Dulskiego. Opowiadanie. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Zieliński Walenty: Królewskim szlakiem. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa

STANISŁAW WORCELL.

Monografie, życiorysy, opracowania historyczne i pamiętnikowe, ukazujące się w czasach ostatnich a dotyczące ludzi tej miary i tego znaczenia, co ks. Adam Czartoryski, Maurycy Mochnacki, Ignacy Prądzyński, oraz Stanisław Worcell, znamionują zajęcie się ogólne w Polsce tem tłem, na którem mężowie ci zaznaczyli działalność swoją. Tło to stanowią wypadki w kongresowem Królestwie Polskiem w latach 1830—1831, mające znaczenie wstępu źródłowego do dziejów działalności ludzi wyżej wymienionych i innych niewymienionych, przebywających przeważnie we Francyi na wychodztwie, znanem pod nazwą Emigracyi Polskiej z roku 1831.

Emigracya ta wybitną w życiu narodu polskiego odegrała rolę, domagającą się dokładnego jej poznania i oceny objektywnej. Narzuca się to przemocnie historykom naszym, obejmując wypadki r. 1831, których gen. Prądzyński jest świadkiem rzetelnym, ponieważ wypadki te w umysłowych i uczuciowych ruchach emigracyjnych pełnią funkcyę siły popędowej (*force motrice*), moralnie pokrewnej tej, co wywołuje ruchy mechaniczne. Siłę tę najwyraźniej wykazał autor monografii Worcella,[1]) nie podchodzącego wprawdzie pod miarę Czartoryskich, Mochnackich, Prądzyńskich, będącego jednak siły owej wierniejszym i dosadniejszym, niż inni, wyrazicielem ze względu na to, że ją sumiennie na polu rozmaitych demokratyczno-politycznych i społecznych objawów badał, zmagając się z przeciwnościami, z któremi walczyć i które łamać musiał.

Walczenie i łamanie się z przeciwnościami, jakie S. Worcell przeżywał, stanowi życiorysu jego kanwę, na której autor, Bolesław

[1]) Wydawnictwo Spółki nakładowej „Książka“ w Krakowie.

Limanowski, rozwinął nieprzebrane bogactwo erudycyi, umieszczonej w ramach powikłań dyplomatyczno-politycznych i dążeń socyalistycznych. Rozwinięcie erudycyi, odpowiadającej założeniu autora, mającego na celu przekonanie czytelnika, wymagało pola obszernego. Ledwie na nie starczyło dzieło, obejmujące 417 stronic *oct. maj.* i VI przedmowy, a liczące rozdziałów XXI, tu opowiadaniem, owdzie hipotezami zasilane. Stąd zdanie krytycznej z dzieła tego sprawy nie pozwala iść w porządku, w jakim idą rozdziały, lecz nakazuje zgrupowanie takowych wedle zawartości w jednych narracyjnej, w drugich naukowej, w innych polemicznej, w jeszcze innych—tych bodaj czy nie najwięcej—mieszanych. Dwa: XII p. t. „Socyalizm“ i XIX p. t. „Naród i narodowość; państwo i ojczyzna; centralizm i federalizm“— mają nastrój naukowo-pedagogiczny. Dzieło wogóle cechuje ton spokojny i uprzejmy, oraz styl poprawny. Zdobią je portrety: ojca rodziny, Stanisława z bratem w wieku dziecinnym, Stanisława w mundurze gwardyi narodowej w Warszawie, Stanisława z tejże doby (autoportret) i ostatni—Stanisława podczas pobytu jego w Londynie po roku 1849, nic a nic do niego nie podobny. Autor w odsyłaczach dosyć często wzmiankuje archiwa w Rapperswilu, gdzie w jednej z gablot znajduje się wizerunek Worcella taki, jakim on w roku 1849 był. Poznałem go w Londynie w r. 1850. Nie sposób, ażeby człek, doszedłszy wieku lat 50, zmienić się miał z roku na rok tak dalece, ażeby go poznać od jednego rzutu oka nie było można. A fotogram, znajdujący się w Rapperswilu, zrobionym być musiał, jeżeli nie w r. 1849, to przedtem, albowiem w ciągu mego całorocznego z górą z nim obcowania nie fotografował się on ani razu. Na zbytek ten środki mu nie pozwalały. W takiem położeniu znajdował się po pięćdziesięciu latach życia, oddanego pracy, pozbawionej widoków osobistych, człowiek, stojący w szeregach ludzi poświęcenia, bez których ludzkość we względzie etycznym marnieby wyglądała i zasługujący przez to na pomnik chociażby książkowy. O pomniku tego rodzaju, zbudowanym dla Worcella przez autora dzieła erudycyjnie wyargumentowanego, mówić będę w porządku, w jakim mi się dzieło przedstawiło: opowiadaniowym, naukowym, polemicznym.

I. Urabianie modelu przez życie.

Ocena pomnika książkowego wymaga omówienia, o ile można, najdokładniejszego istoty modelu dla oznajomienia czytelnika z jako-

ściowem jego pochodzeniem. Modelem B. Limanowskiego był Stanisław Gabryel Worcell, syn Stanisława Grzegorza hrabiego Worcella, podstolego w. litewskiego, kawalera orderów Białego Orła i św. Stanisława, właściciela m. Stepania z 23 wsiami, liczącemi poddanych dusz męskich 4,003, żeńskich 3,126 — dobra wielkopańskie.

Przed Stanisławem Grzegorzem hr. Worcellem jawi się w rodzinie Worcellów w sposób niespodziankowy, dzięki heraldykowi J. E. Kuropatnickiemu, autorowi „Wiadomości o klejnocie szlacheckim oraz o herbach w Koronie Polskiej i W. Ks. Litewskim,“ wiadomość o Worcellu, nobilitowanym roku 1764 i zaraz potem, u B. Limanowskiego, o „Stanisławie Worcellu, kasztelanie halickim, ożenionym z Teklą z Duninów Borkowską, który, na mocy donacyi od krajczego Potockiego w grodzie Łuckim 9 lutego 1776 r. sporządzonej, stał się właścicielem miasta Stepania, tudzież Korosta, Wołoszy i innych 80 wsi.“

Pomiędzy nobilitacyą Worcella r. 1764 a donacyą kasztelanowi Worcellowi dóbr magnackich zachodzi chyba jakieś nieporozumienie. Od kogo, czy od Augustów Sasów, czy od Stanisława Augusta kasztelanię i za jakie zasługi ojciec Stanisława Grzegorza a dziadek Stanisława Gabryela otrzymać mógł?

Nieporozumienie to w wydanym, pod dozorem Lelewela, 1844 r. w Lipsku, u Breitkopfa i Haertela, ks. Kaspra Niesieckiego „Herbarzu,“ powiększa następujący przez Jana Nepomucena Bobrowicza ułożony w t. X dodatek:

„Worcel, *herbu Dąb*. Tak stoją w Kuropatnickim i Małachowskim. Stanisław Worcel, kasztelan Halicki, z Centnerówny urodzony. Syn jego pojął Podoską podkomorzankę Dobrzyńską, urodzoną z Rupniewskiej. *Krasicki*.“

Tak wynikło nagłe, z nazwiska w dziejach Polski nieznanej i w drugiej połowie w. XVIII nobilitowanej rodziny, wśród szlachty do znaczenia rodu senatorskiego wyniesienie się, osiągnięcie stanowiska magnackiego i koligowanie się z niepotrzebującymi nobilitować się rodami takimi, jak Morzkowscy, Morawscy, Zwierzchowscy, Radziwiłłowie. Znaczenie rodziny tej przed rozbiorami kraju i po rozbiorach rosło, wzmagało się. Cesarz Paweł, wnet po wstąpieniu na tron—o czem, zdaje się, nie wie autor życiorysu Stanisława Worcella — równocześnie z wyzwoleniem Kościuszki, nadał najpierwszy w zaborze rosyjskim tytuł hrabiowski trzem rodzinom polskim: Ilińskim, Strojnowskim i Worcellom — pierwszym w osobie faworyta swego, wsławionego dziwaka Józefa Augusta z Rymanowa, drugim w osobie Waleryana, senatora ro-

syjskiego, trzecim w osobie Leonarda, również senatora, brata Stanisława Grzegorza a stryja Stanisława Gabryela.

Stanisław Grzegorz, ojciec tego ostatniego, głównie nas obchodzącego, ożeniony z siostrzenicą księcia „Panie kochanku," Duklanną Morawską, która mu duży wniosła posag, zajmował, wśród zawzięcie w czasach owych hulaszczej szlachty wołyńskiej, stanowisko poważne, zwłaszcza po rozwiedzeniu się z żoną pierwszą i poślubieniu około r. 1796 Anny Tepperówny, córki bankiera warszawskiego, kobiety skromnej i bogobojnej.

Ruch opinii publicznej, wywoływany przez Andrzejów Zamoyskich, Kołłontajów, Staszicow, prowadzący ją w kierunku troski o dolę włościańską, nurtował w społeczeństwie szlacheckiem i pobudzał myślących a niecierpliwych onego członków do samodzielnych na polu tem przedsiębiorstw, wytwarzających bądź dziwaczne konstrukcye społeczne, na wzór Mińkowieckiego państwa udzielnego, założonego przez Ignacego Ścibora-Marchockiego, bądź wzorowe za przykładem Brzostowskich stosunków włościańskich ustroje. Do rodzaju reformatorów takich należał Stanisław Grzegorz Worcell. Zaszkicował on, po ogłoszeniu Konstytucyi 3-go Maja, coś podobnego w jednej ze wsi swoich, lecz wojna 1792 r. przeszkodziła wykończeniu dzieła, a przejście Wołynia pod panowanie rosyjskie na inną służenia sprawie publicznej pchnęły go drogę. Szlachcie, pozbawionej sejmikowania i sejmowania, t. j. prawa i obowiązku myślenia i stanowienia w sprawach państwowych, nieskasowany „Statut Litewski" pozostawiał w zakresach administracyjnym, sądowniczym i edukacyjnym pola dość do zaspakajania ambicyi i służenia obywatelstwu pożytecznie. Na wybory marszałków gubernialnych i powiatowych, kuratorów szkolnych, sędziów, podsędków, deputatów rodzaju rozmaitego i urzędników niższych odbywały się zjazdy szlacheckie, zaprawne intrygami, bankietami, hulankami i kartami. Marszałkowanie gubernialne Stanisława Grzegorza Worcella, wymagające mieszkania w Żytomierzu, trzymania domu otwartego i kucharza znakomitego, na ogromne narażało wydatki. Wybranym został r. 1802, już za panowania Aleksandra I, po Józefie hr. Ilińskim.

„Jako marszałek gubernialny — czytamy w życiorysie Stanisława Gabryela, liczącego w roku tym lat 3 życia — Worcell zamieszkał w Żytomierzu, a dla wygody wydzierżawił (chyba zadzierżawił) w pobliżu tego miasta wieś Słobódkę. Dom prowadził po pańsku, na wielkiej stopie, nie ustępując w tem gubernatorowi Kumburlejowi, który starał się zająć pierwsze przodownicze miejsce w życiu towarzyskiem swej gubernii. Żytomierz stał się pew-

nego rodzaju stolicą Wołynia. Oprócz dwóch powyższych domów, książę Czetwertyński otworzył także wspaniałe swe salony. Szczególniej zimą 1805 r. ogromny—jak powiada Ochocki—był napływ przyjezdnych do Żytomierza. „Pani Naryszkinowa, Czetwertyńska z domu, Paweł Bieliński, stryj tego, co w Trojanowie, książę Kazimierz Lubomirski, Jan Tarnowski, Władysław Chołoniewski, może trzydziestu młodych i bogatych bawili tu ciągle. Wszyscy dawali pyszne śniadania... Co kilka dni przywożono ostrygi z Odesy, nawożono serów szwajcarskich, śledzi holenderskich, surowej wiziny, jesiotrów, sterletów i t. d.“ Życie wystawne rujnowało Worcella. Przytem lubił namiętnie grę w karty, grał w bostona i nawet w faraona i zawsze przegrywał. Żona i Ochocki (co do Ochockiego — pytanie) [1]) wstrzymywali go od gry, z przestrachem patrząc, „jak go otaczający przyjaciele napewne ogrywali.“ Wdał się przytem w spekulacyę, za namową przebywającego, jako senator, w Petersburgu brata Leonarda, posiadającego—jak Ochocki świadczy—„rozum przebiegły,“ w której udział wzięli książę Czetwertyński, Marcin Tarnowski, Marcin Bukar, Baczyński, Poniński, Dąbrowski i Ochocki. Chodziło o t. zw. podrad wobec przewidywanej na r. 1806 wojny, do której nie przyszło. Na marszałkowaniu, grze w karty i chybionej spekulacyi Stanisław Grzegorz hr. Worcell z majątku swego stracił — wedle Ochockiego — 5,000 dusz. W czasie wyborów r. 1808 swoją na marszałkostwo gubernialne kandydaturę cofnął.

Roku 1808 syn jego, Stanisław Gabryel, lat dziewięć życia już liczył.

Namiętność Stanisława Grzegorza do kart i przyjaźń Ochockich nie w nader go jasnych, jako obywatela i ojca rodziny, barwach wykazuje. W odniesieniu do jego przekonań politycznych dziśby go zaliczono do ugodowców, ponieważ autor, przemilczając o zachowywaniu się jego wobec legionów Dąbrowskiego, wojen dla Polaków nieobojętnych 1807, 1809 i 1812 r., zaznacza, wedle „Ramot o Wołyniu“ starego Detiuka (pseud. Antoniego Andrzejowskiego, botanika), uwielbienie obywatelstwa polskiego na Wołyniu dla cesarzów Pawła i Aleksandra I.

„Wesoło było wszędzie—pisze Andrzejowski—bo dobre były czasy.“ Dygnitarze rosyjscy, olśnieni (obywatelstwa polskiego) [1]) wytworną i wyższą kulturą, mimowolnie chylili przed nią swe czoła. Gudowicz, wysłany przez Pawła na Wołyń, ażeby zbadał,

[1]) Wyrazy w nawiasach w ustępach cytowanych są moimi wtrętami.

o ile prawdziwe były wieści, „że młodzież wymyka się ciągle zagranicę do legij polskich,“ że istnieje nieustanna komunikacya pomiędzy obywatelami polskimi a legionistami, był tak oczarowany wspaniałem i gościnnem przyjęciem w Tyczynie, że ucałował piękną rękę wojewodzianki, puścił się w wesołe pląsy i na pożegnanie, uściskawszy gospodarza, zapewnił, iż „od wszelkich nieprzyjemności ze strony rządu po jego raporcie jest wolny.“ W tymże Tyczynie na weselu Teresy, córki wojewody sieradzkiego, Michała Walewskiego (targowiczanina), z kasztelanicem Adamem Bieżyńskim, na które zjechała się gromadnie arystokracya wołyńska i litewska, na którem był także i stary Worcell, gubernator Glazenap, „ujęty miłem przyjęciem i uprzejmą otwartością wojewodzińskiej rodziny, pijąc może po raz dziesiąty zdrowie solenizanta, w wylaniu serca, wśród najczulszych oświadczeń,“ ugiął przed wojewodą kolano. Gubernator Kumburlej zastosował się do zwyczajów polskich i w domu jego zapominano, że się ma do czynienia z przedstawicielem zdobywczego rządu. Szlachta suto a serdecznie podejmowała Aleksandra I, kiedy ten przybył w 1816 r. na rewię wojsk pod Hrehorówką, na samem pograniczu Wołynia i Podola. I stary Worcell tam był.“

Zaiste, „dobre były—w mniemaniu starego Detiuka—czasy.“

Pod wpływem takim, w otoczeniu takiem upływało dzieciństwo Worcella młodego i zaczynała się dla niego młodocianość. „W r. 1819 w raporcie Filipa Platera z dn. 19 lipca wymieniony jest Stanisław Worcell jako uczeń kursu drugiego, nagrodzony listem pochwalnym.“

Autor życiorysu jego, mówiąc o jego latach dziecinnych, rozdział II dzieła swego następującymi rozpoczyna wyrazami:

„Stanisław Gabryel Worcell, pierwszy najwybitniejszy krzewiciel przekonań socyalistycznych w Polsce, urodził się 26 marca w 1799 r.“

We frazesie tym do zaprotestowania dwie nasuwają się rzeczy, odnoszące się do krzewienia przez S. G. Worcella socyalizmu: jedną stanowią dwa przymiotniki „pierwszy najwybitniejszy,“ drugą rzeczownik łącznie z przyimkiem „w Polsce.“ Stanisław G. Worcell nie był ani pierwszym, ani w Polsce krzewicielem socyalizmu, ponieważ na Emigracyi — nie w Polsce — wyprzedził go nader wybitnie Tadeusz Krępowiecki wygłoszoną na obchodzie rocznicy powstania w języku francuskim mową, w której szlachtę polską tak dobitnie sponiewierał, że na siebie całą oburzył Emigracyę, nie wyjmując demokratycznej, a w niej członków przekonania swoje najdalej na lewo posuwających. Wśród oburzonych

nie najmniej oburzenia okazywał Stanisław Worcell. Ten zaś swoje później wyjawione socyalistyczne przekonania „krzewił“ nie w Polsce, lecz wśród Emigracyi i przekonania jego socyalistyczne w Polsce krzewionemi były nigdy inaczej, tylko przez elewacyę w agitacyi i na agitacyjny rachunek. Gdy zwyczajne argumenty posłuchu nie budziły, agitator ubierał argument w nazwisko arystokratyczne:

„Słuchajcie! arystokrata, hrabia Worcell, z Radziwiłłami spokrewniony, żonę, dzieci, majątek ogromny dla socyalizmu rzucił!...“

Nie. Frazes o pierwszem najwybitniejszem doktryny socyalistycznej przez S. Worcella w Polsce krzewieniu, zamieszczony w rozdziale wstępnym, nie udał się autorowi, zamierzającemu publiczności polskiej dać dzieło poważne. Frazesem tym z góry wykazał założenie dzieła—założenie tendencyjne, agitacyjne, podjęte w celu, ażeby w dobie obecnej socyalizm, mocno ze stron i etycznej, i estetycznej, i uczuciowej, i rozumowej, i politycznej, i społecznej skompromitowany, podreperować.

Dziwić się należy, iż pisarz wytrawny i w polemice wyćwiczony w tak nieoględny potknął się sposób w dziele wielkiej wartości.

Na szczęście wartość książki sama przez się naprzód się wysuwa.

W r. 1815 znalazł się Stanisław Worcell w Krzemieńcu na drugim kursie. Miał już lat 16—był młodzikiem. Przed wstąpieniem na kursa krzemienieckie otrzymał zapewne wychowanie domowe w Stepaniu. O wychowaniu tem nader szczupłych informacyj udzielić mógł autorowi Mikołaj Jełowicki. Czuwała nad niem ukochana przez Stanisława matka i pod jej okiem zasady religijne wpajał w niego proboszcz, ks. Chororzyński, kapłan wzorowy; nauk udzielał mu Francuz, p. Galle, z wykształcenia i zamiłowania matematyk, z przekonania wolteryanin. Ten w Krzemieńcu, przy uczniu swoim ze Stepania, funkcyę dozorcy pełnił.

Mimo wolnomyślność nauczyciela swego, wyniósł S. Worcell z domu religijność głęboką. W duchu tym w Stepaniu z matką z pokoju do pokoju korespondował, co tydzień się spowiadał i roił o poświęceniu się służbie Bożej. Ten sam charakter miała korespondencya jego z matką, póki się z czterech klas niższych gimnazyalnych nie wydobył i na kursa licealne, których było trzy dwuletnie, nie wszedł.

Od rozdziału III p. t. „Krzemieniec“ zacząwszy, rozdziały następne: „Towarzystwo Szubrawców,“ „Wolnomularstwo na Wołyniu“ i „Narodowe Patryotyczne Towarzystwo na Wołyniu“ pełne są treści zajmującej i nauczającj, odnoszącej się do moralnego

i umysłowego dźwigania się społeczeństwa polskiego w tak naówczas zwanych „Krajach zabranych," obejmujących Litwę i Ruś— tę ostatnią zwłaszcza. Litwę ratował uniwersytet wileński, ratowali ją księża „Robacy," z których jeden uwiekowiecznił się w polskiej epopei szlacheckiej, zaczynającej się od wiersza: „Litwo, Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie." Zdrowiała ona rychlej niż Ruś, ponieważ leżała na wielkim trakcie, prowadzącym ze stolicy Wschodu do stolicy Zachodu, skąd płynęło światło. Światła nie wnosiły przemarsze wojsk rosyjskich do Turcyi i z Turcyi. Chwilowy pobyt za panowania cesarza Pawła drobnego korpusu francuskiego, stanowiącego zarodek armii pozbawionego tronu Ludwika XVI, na Wołyniu wywarł wpływ niepożądany na domy magnackie, będące wzorem dla szlachty zamożnej. Francuszczyzna uzyskała zasiłek w tej kulturalnej inwazyi. Wpływu tego nie zobojętniły wojska austryackie, odegrywujące rolę sprzymierzonych wielojęzycznej armii francuskiej, która r. 1812 Rosyę zalała. Po ustąpieniu Austryaków, zwłaszcza zaś huzarów węgierskich, pamiętnych chłopstwu wołyńskiemu, któremu się nietylko swoim *b... terem tiszen!* we znaki dali, na Rusi w rzeczy samej nastąpiły sławione przez Detiuka „dobre czasy"—dobre, bo pokojowe i spokojne i, co najważniejsze, nacechowane uprzejmością oficyalną. B. Limanowski uprzejmości tej, świadczącej o możliwości zbratania się polsko-rosyjskiego, kilka przytacza faktów, przemilczawszy fakt głośny w swoim czasie (r. 1816) i znamienny: całowania przez Aleksandra I Polek w ręce. Wymieniano nawet— żartem zapewne — Polki, co sobie, dla zachowania do śmierci pamięci tego zaszczytu, ślubowały nie mycia tej ręki, na której cesarz pocałunek złożył. W dzieciństwie mojem w Humańszczyznie znałem panie, co o pocałunku cesarskim z rozrzewnieniem wspominały; znałem oraz panów, dyplomatów wioskowych, z faktu tego poważne i doniosłe na przyszłość wnioski wyprowadzających. W oczach mi stoi J. B., sąsiad nasz, z Rosyanką, córką czy kuzynką wsławionego „szerokością natury" gubernatora Tutulmina ożeniony, wymownie rozprawiający o zamiarach Aleksandra I, jako też o przechowującym się w jakiejś „pałacie" opieczętowanym cesarza Pawła testamencie, nikomu w całem państwie innemu, tylko Ilińskiemu z Romanowa znanym. Obok wnioskowań takich nierzadko zdarzały się rozkochiwania Polek przez Rosyan. Nietylko z wielkopańskiej sfery Grocholskich, lecz i z wioskowej szlachty panny z oficerami od huzarów, a nawet i od piechoty małżeńskim łączyły się węzłem. Przykład Joanny Grudzińskiej znajdował naśladowczynie aż na Pobereżu, w najbardziej

południowo-wschodnim dawnej Rzeczypospolitej Polskiej kącie. Sprawiała to z góry nakazana uprzejmość oficyalna.

Uprzejmość ta rany goiła i wrogie nastroje łagodziła, pod tym atoli warunkiem, ażeby ją od Europy zachodniej osłaniał mur chiński.

Muru podobnego Polacy budować nie mogli i dlatego uprzejmość wyzyskali nie tak, jak należało.

Wyzyskali ją (nie rozmyślnie nb., lecz z konieczności) po grzęznących w Alwarze panowaniach Sasów i zainstalowaniu za Stanisława Augusta Komisyi Edukacyjnej — z popędu żywiołowego, że tak powiem, jako nieodzowną potrzebę narodową: ks. Adam Czartoryski, po zdegradowaniu go ze stanowiska ministeryalnego na kuratoryę litewsko-ruskiego okręgu naukowego i Tadeusz Czacki. Ten ostatni w taki z łaskawego władz wyższych usposobienia sposób skorzystał, że założone przezeń w r. 1805 w Krzemieńcu gimnazyum rozszerzał stopniowo do rozmiarów licealnych, nadających się na wykształcenie rozumiejących potrzeby kraju i społeczeństwa obywateli, rozbudzenie w narodzie skłonności literackich i artystycznych i wywoływanie w uczniach zamiłowania do uprawiania nauk w ogólności, ścisłych nie wyłączając.

Liceum krzemienieckie było prawdziwem dla prowincyj ruskich dobrodziejstwem. Za dwa rozdziały, poświęcone pobieżnym wspomnieniom o niem, należy się wdzięczność Bolesławowi Limanowskiemu. Są one trafnie zebrane, jasno wypowiedziane i nie podlegają zarzutom. Nie sprawdził tylko domysłów: „Dlaczego Czacki wybrał Krzemieniec odległy, nie zaś jakieś miasto środkowe na Rusi przeddnieprzańskiej?“ Krzemieniec przez Czackiego został jakoby wybranym na ognisko oświatowe na Rusi, jak mówiono, „dlatego, że był wolny od nacisku dykasteryów wykonawczych i trybunału, że ludność tam była przeważnie chrześcijańska, że życie było tanie, że z powodu górzystego położenia miał powietrze zdrowe. Może i ta okoliczność zaważyła na szali, że znajdował się daleko od siedzib władz naczelnych.“ Domysły te rozwiązuje plan, nakreślony i wykonany przez Komisyę Edukacyjną, tyczący się zakładania szkół. Wedle planu tego Korona podzieloną była na sześć, Litwa na cztery okręgi edukacyjne, szkoły zaś na wydziałowe i podwydziałowe. W okręgach koronnych szkoły wydziałowe były: dla Wielkopolski w Poznaniu, dla Małopolski w Krakowie, dla Mazowsza w Warszawie, dla Wołynia w Krzemieńcu, dla Ukrainy w Winnicy. Krzemieniec przeto z góry Czackiemu był wskazany a domysł: czemu on Winnicy, Humania lub Żytomierza nie wybrał, odnieść można do tej oko-

liczności, że Krzemieniec, położony w pobliżu granicy austryackiej i w miejscowości ustronnej, oddziaływać mógł na społeczeństwo polskie w Galicyi, forsownie przez Austryę germanizowane. O szkołach dla Rusinów w dobie owej mowy nie było. Oni sami się o nie nie upominali, w Rosyi zaś, w rządowych i naukowych sferach wiedziano, że „Polacy prawosławie srodze prześladują," nie wiedziano jednak jeszcze, że wyznający je i niewyznający Rusini są to *iskoni* Rosyanie, którzy mimo to w Polsce dawnej szkoły swoje mieli i we własnym się prawowali języku. Szkolnictwo przeto rusińskie, w pierwotnym znajdując się stanie, ograniczało się na szkółkach cerkiewnych, pozostających pod opieką duchowieństwa niższego, w połowie jednej unickiego, w drugiej prawosławnego. Czackiego mniej na razie ono obchodziło.

W pobieżnym rzucie oka autora na Krzemieniec bohater monografii zaledwie się wynurza tu i owdzie. Osoba jego nie wydziela się, że tak powiem, „obiecująco" z pośród nietylko znakomitych, ale i przeciętnych osobistości, wyszłych z tej uczelni wołyńskiej. Zasłaniały ją inne. Dowiadujemy się jeno o nim, że na drugim kursie r. 1815 dostał list pochwalny i że r. 1820 Towarzystwo uczniów, ćwiczących się w porządnem mówieniu i pisaniu, „wezwało jednogłośnie na swego członka Worcella Stanisława," znanego z zatrudnień literackich i bawiącego teraz jedynie z przywiązania do nauk w Krzemieńcu. „Znaczyłoby to—jak słusznie L. B. przypuszcza — że już w poprzednim roku był on *liber*, to jest ukończony uczeń, nie podlegający władzy prefektowskiej, ale mogący pozostać jeszcze przez rok jeden w szkołach i mający przywilej obrać sobie przedmioty, w których szukał doskonalenia. Jełowicki powiada, że Worcell był w Krzemieńcu od 4 do 5 lat. Trzeba więc przypuszczać, że przybył do gimnazyum wołyńskiego już po śmierci Czackiego, która nastąpiła 1813 r. i że podczas jego pobytu otwarto liceum wołyńskie, co się stało w r. 1819."

Tyle wiadomości biograf Worcella zebrał, co do czasu pobytu jego w Krzemieńcu. Wiadomościom tym towarzyszy informacya, że S. Worcell „znanym był z zatrudnień literackich i z przywiązania do nauk" i dlatego uproszonym został do powtórzenia w Towarzystwie uczniów, ćwiczących się w porządnem mówieniu i pisaniu po polsku, odczytu o Szleglu, wypowiedzianego przezeń na posiedzeniu literackiem u Aloizego Felińskiego, który był w liceum profesorem i rektorem i na którego pogrzebie tenże S. Worcell mowę wygłosił. S. Worcell upamiętnił się jeszcze łzami, wylanemi na wieczorku u gen. Ludwika Kropińskiego, gdy ten

z rękopisu „Julii i Adolfa“ odczytywał o miłości ich „nad brzegami Dniestru,“ jako też o należeniu jego do kółka literackiego, złożonego z braci Olizarów Gustawa i Narcyza, Józefa Korzeniowskiego, Ksawerego Godebskiego, w którem, gdy humorystycznie komentowano poemat p. t. „Rzeki polskie“ Kajetana Jaksy Marcinkowskiego, wierszoklety-współzawodnika autora „Wierszy moc wielka za pół rubelka,“ wziął udział w charakterze ilustratora ołówkiem.

Najważniejszem wszakże dziełem Stanisława Worcella w czasie pozaszkolnego przebywania jego w Krzemieńcu było uczestnictwo w założeniu filii Szubrawców wileńskich i objęcie w niej przewodnictwa. Było ono najważniejszem, ponieważ znamionowało podzielanie przekonań i zasad gromadki młodzieży wileńskiej, stowarzyszonej z profesorami tej miary, co Jędrzej Śniadecki, Leon Borowski, Joachim Lelewel, wyszydzającej staroszlacheckie i nowonabyte wady i zasiewającej grunt narodowy ziarnami sprawiedliwości społecznej. „Szubrawcy byli przeciwnikami poddaństwa chłopów i kiedy na sejmiku szlacheckim w Wilnie podniesiono sprawę zniesienia poddaństwa, przyklaskiwali Szubrawcy i po całem mieście gawędę siali, popierając Zawiszę i Mirskich, którzy najżywiej obstawali za wolnością włościan“—pisze Lelewel w jednym z listów swoich do ojca.

Towarzystwo to wywołało założenie filii w Krzemieńcu, co świadczy o nastroju wolnościowym, przeciwnym pojęciu „złotej wolności,“ zaszczepianym przez oświatę wyższą w sfery szlacheckie. Nastrój ten z Wilna udzielił się Krzemieńcowi. W Krzemieńcu zawiązało się towarzystwo pod nazwą grecką *Heautontimorumenos* (dąsających się na siebie), którego członków w skróceniu zwano „Merynosami.“ Skojarzenie Merynosów z Szubrawcami uskutecznił wysłaniec krzemieniecki, Jełowicki, a wpływ wyraził się w zbytku, na który sobie krzemieńczanie pozwolili, sprowadzając na szereg popisów sławną naówczas śpiewaczkę, Catalani. Zbytek ten zganił ks. Adam Czartoryski, a z grona Merynosów wyszła nagana rymowana, nie wiem czy gdzie i kiedy drukowana: „Mościa pani Catalani, przepięknie śpiewasz asani, ale twoje tra-la-ra nie warte talara.“

Z należenia do filii Szubrawców możnaby upatrywać w Worcellu zaród przyszłego krzewicielstwa socyalizmu w Polsce. Autor atoli, przypuszczając domniewywany jego, pod pseudonimem Tukana, udział w wydawanych przez Szubrawców „Wiadomościach Brukowych,“ chłoszczących bez miłosierdzia wady narodowo-szlacheckie: pijatykę, karciarstwo, pieniactwo, tytułomanię, wstręt do

czytania, wynoszenie się z powodu urodzenia i majątku, najbardziej zaś uciemiężanie włościan, tak przyszłego zbawodawczej doktryny krzewiciela scharakteryzował:

„Stasia—tak go powszechnie nazywano—lubili koledzy. Był koleżeński, uczynny. Rozmiłowany w książkach, z trudnością dał się odrywać od czytania, jeżeli napotkał coś interesującego. Małomówny, często milczący, ożywiał się w dyskusyach naukowych, a zwłaszcza filozoficznych, i wówczas rozprawiał z wielkim zapałem. Nie usuwał się od zabaw i chociaż nie odznaczał się siłą, był zręczny i właził jak kot po murze na drugie piętro—opowiada Jełowicki. — Blondyn, miernego wzrostu, dosyć przystojny, grzeczny i dowcipny, podobał się kobietom i sam chętnie przestawał w ich towarzystwie.“

Uzupełniając jednak tę charakterystykę w innem książki miejscu, przyznaje mu, ponieważ źródła komiczności wedle Szlegla przestudyował i natura obdarzyła go zdolnością spostrzegania ułomności człowieczych, uzdolnienie literackie w kierunku humorystycznym. Niezrozumiałem jest powołanie się w tym względzie autora na słowa Kaczkowskiego (zdaje się Karola, naczelnego w r. 1831 lekarza armii polskiej, który od 1823 do 1829 w Krzemieńcu wykładał hygienę), że „Czacki nie pochwalał swawolnego piśmiennictwa i jakkolwiek przyznaje Worcellowi niepospolite zdolności, uważał jednak, że szubrawska jego działalność nie licowała z poważnym kierunkiem szkoły krzemienieckiej i że on, jako wychowaniec tejże szłoły, uledz jej duchowi musiał.“ Nie zgadza się to z chronologią faktów, odnoszących się do Czackiego, jako przewodnika szkoły, który umarł w r. 1813 i do Worcella, jako ucznia, który, będąc onej uczniem do r. 1819 a przebywając w Krzemieńcu najdłużej lat pięć, nie mógł do niej wstąpić wcześniej, jak w roku 1814, t. j. w rok po śmierci Czackiego. Zaliczyć to należy na rachunek przeoczenia, zdarzającego się niekiedy autorom.

Licząc lat 21, jako *liber* i prezes Szubrawstwa krzemienieckiego, źle, dzięki korespondencyom Tukana do „Wiad. Bruk.,“ przez towarzystwo krzemienieckie widziany, Worcell spędził rok 1820 w Krzemieńcu. Nie wypadało mu jednak dłużej, jako pełnoletniemu i posesyonatowi, w Atenach wołyńskich w charakterze nadstudenta przebywać. Zajął następnie czynne stanowisko w wolnomularstwie, przed laty przez rząd protegowanem, następnie tolerowanem, w r. jednak 1821 zakazanem. Zakaz ów obywatelstwo obeszło, przeistaczając loże z ogólnoludzkich na narodowe i z jawnych na tajemne. Z nabożnego, jakim z pod pieczy macierzyńskiej

wyszedł, szkoła przeistoczyła Worcella na wolnomyśliciela, na *wolnodumcę* nawet, nie zraziło go więc przeistoczenie się w tym duchu loży rafałowickiej, jednej z czterech na Wołyniu, zwanej „Cnotą,“ w której Mikołaj Worcell, przyrodni Stanisława brat, pełnił funkcyę jałmużnika. Stanisław został w niej sekretarzem. Następnie w osobowym jej składzie zaszła ta zmiana, że wszedł do niej na członka ojciec młodych Worcellów, Stanisław Grzegorz, Mikołaj zaś awansował na drugiego dozorcę, Stanisław na mówcę.

I na tem podania o tym ostatnim urywają się na czas jakiś. W r. 1823 ożenił się z panną Salomeą Kaszowską, damą światową, której miłość w pożyciu małżeńskiem napróżno pozyskać usiłował. Ojciec mu dwie wsie wydzierżawił; lecz gospodarstwo mu nie szło—na hreczkosieja się nie urodził, interesy majątkowe go nie obchodziły. Biograf przytacza anegdotę w tym względzie o nim: nie poszedł po wzięcie potrzebnej mu pożyczki, dla której umyślnie do Kijowa w r. 1828 na kontrakty przyjechał, albowiem opanowała go chętka obejrzenia struktury cerkwi Andrzejowskiej. Ladajaki gospodarz był dobrym, kochającym dwojga dzieci—syna Stasia i córki Salusi—ojcem. W pełnieniu zaś obowiązków obywatelskich osobowość (indywidualizm) jego zatarła się — w cień się usunęła. Nie wyfigurował w wielkim na ziemiach ruskich ewenemencie: w procesie Decembrzystów, w którym skompromitowało się sporo Polaków i który Piotra Moszyńskiego na Sybir, a brata Stanisława przyrodniego, Mikołaja, w sołdaty na Kaukaz zapędził. Z opałów tych—wobec których, skutkiem może kłopotów małżeńskich, zdaleka się trzymał — Stanisław obronną wyszedł ręką.

I nie dał znać o sobie, aż w r. 1831 w pierwszych dniach czerwca, gdy Karol Różycki na czele swego oddziału, liczącego 130 jeźdźców, przyciągnął do Rafałówki i tam znalazł rozbitków z powstania, zapoczątkowanego w kwietniu przez starego Stanisława Grzegorza Worcella i gromadzącego się w uroczysku leśnem, zwanem Czerewacha. Wraz z rozbitkami stawił się młody Stanisław Worcell. „Pierwszy raz on — mówi Jełowicki — konia dosiadł i mil kilkadziesiąt marszu odbył. Nie zbroczył rąk krwią nieprzyjaciela, bo żadnej broni użyć nie umiał i nie chciał.“ Z oddziałem Różyckiego dostał się do Zamościa i z Zamościa pojechał do Warszawy, gdzie przez Wołyniaków, wraz z Olizarem i Godebskim, na posła wybranym został. Jako poseł zajął stanowisko w gronie posłów liberalnych i postępowych, domagał się energicznego prowadzenia wojny, obowiązki poselskie pełnił poprawn-

nie i w końcu, gdy Warszawa d. 6 września przez armię rosyjską oblężoną została, udał się wraz z Henrykiem Chońskim, sekretarzem komitetu ziem ruskich, do korpusu gen. Ramorina, celem zniewolenia go do zwrócenia się na odsiecz Warszawy. Niepowodzenie w osiągnięciu celu tego zaprowadziło Worcella do Galicyi, skąd, po niedługim pobycie w zaborze austryackim, powołany przez kasztelana i prezesa Senatu, Antoniego Ostrowskiego, na Sejm, mający się zgromadzić we Francyi dla uradzenia sposobu dalszego służenia krajowi, pojechał do Paryża.

Z wyjazdem tym zamknęła się dla niego szkoła życiowa, odbyta w warunkach, nadanych Polsce przez kongres wiedeński. Doba kongresowa, doba złudzeń o poważnych szyldach urzędowych, zakończyła się fatalnie i zakończyć się inaczej nie mogła, pozbawiła kraj bowiem naraz wszystkiego, co łączyć miało dobro z pięknem i rozum z pożytkiem.

Zakończyło się lepienie z gliny modelu, pod postacią Stanisława Gabryela Worcella, przez życie w środowisku jednem, ażeby go życie w środowisku innem bądź w marmurze wyciosało, bądź w bronzie odlało i w pomniku książkowym światu, jeżeli nie całemu, to polskiemu ukazało.

Pozostaje mi wykazać, jak autor pomnika z zadania się wywiązał. Pierwej jednak winienem rzec słówko o dwóch rozdziałach, mających znaczenie bądź dłut wobec marmuru, bądź formy wobec bronzu płynnego.

II. Socyalizm.

Tytuł rozdziału XII-go, p. n. „Socyalizm," zapowiada wykład doktryny, której „nazwa ustaliła się w pierwszej połowie XIX st. Oznacza ona dawny komunizm, zastosowany do nowoczesnych skomplikowanych form życia społecznego."

W ustępie następnym, po tej zupełnie trafnej definicyi, czytamy, że:

„Do przekonań socyalistycznych możemy dojść, wychodząc z trzech stanowisk zapatrywania się na przejawy życia ludzkiego: ze stanowiska idealistycznego—religijnego, materyalistycznego—ekonomicznego i pozytywnego—naukowego—socyologicznego. Każde z tych trzech uzasadnień ma swoją część prawdy, lecz dopiero połączenie wszystkich trzech uzasadnień daje nam to, co nazywamy socyalizmem integralnym, to jest obejmującym wszystkie dziedziny, w których się przejawia działalność ludzka."

„Zacznijmy od stanowiska religijnego.“

Zaczynanie takie ukazuje w następstwie podążanie do sformułowania naukowego zintegralizowanej doktryny. Podążanie odbyło się drogą, na której życie człowieczeństwa pozakładało etapy rozwoju ludzkościowego. Znaną jest ta droga i znanemi etapy, jaskinne zrazu, pałacowe w końcu. Autor kierował się na niej wedle poustawianych przez naukę znaków wytycznych, wskazujących naturalne wertepy, wyboje, rozdroża i sztuczne przez złość lub przekorność kładzione zasieki i inne przeszkody, na których raz po raz załamywać się przychodziło i które się po dziś dzień bez prostowań i reparacyj obchodzić nie mogą. Prostowania te i reparacye od czasów najdawniejszych uspołecznienia ludzkościowego, czasów zaznaczonych grupowaniami się państwowemi ludzkości, dokonywały się w duchu socyalistycznym. Duch ten, nie nazwany, lecz nurtujący w społeczeństwach, objawia się w religiach.

Religia znajduje całkowite uznanie autora życia i działalności Stanisława Worcella, wbrew przeciwnikom dogmatyzmu religijnego a wyznawcom moralności niezależnej. B. Limanowski zapomina jednak, że, o czternaście wierszy powyżej, wyprowadzając rodowód socyalizmu z trzech stanowisk, stanowisko pierwsze „idealistyczne“ zamianował „religijnem“ — że: „religia była, jest i będzie faktem pozytywnym. Była ona—pisze autor dalej—pierwszym łącznikiem społecznym, wspierała rozwój kultury ludzkiej, dawała punkt oparcia się dla pracy umysłowej, zespalała coraz liczniejsze gromady ludzkie, wytworzyła samo pojęcie ludzkości, prowadziła i prowadzi ludzi ku coraz wyższym szczytom bytu doskonalszego.“

Zdaniem B. Limanowskiego „religia jest kulturą w dziedzinie uczuciowej, która, jakkolwiek nie da się odgraniczyć od umysłowej, jest wszakże dziedziną odrębną, samodzielną i potężniejszy wpływ od umysłowej wywierającą na życie ludzkie. Cześć dla rodziców, miłość małżeńska, troskliwość o losy dzieci, przyjaźń, przywiązanie do swego narodu, pragnienie szczęścia dla całej ludzkości — to są wyniki myślowe, to są głęboko i silnie zakorzenione uczucia. Stanowią one tę jasną i ciepłą atmosferę życia ludzkiego, która je czyni ponętnem, która wśród ciężkich walk i srożących się burz daje człowiekowi chwile wytchnienia i możliwego szczęścia. Pierwszym czynnikiem, łączącym świadomie zespoły ludzkie, była religia, jako to wskazuje sama jej nazwa—podług saint-simonistów—pochodząca od łacińskiego wyrazu *religare*, wiązać.“

Dla wykazania, jaką do religii autor wagę przywiązuje w odniesieniu jej do socyalizmu, przytoczyć winienem jeszcze jeden ustęp dłuższy:

„Dzieje nas uczą, że religie tak samo się odmieniały, jak i wszystkie przejawy twórczości ludzkiej. Po okresach fetyszyzmu następował politeizm, w dalszym ciągu powstał monoteizm. Samo pojęcie Boga inaczej się przedstawiało w pierwotnych i w późniejszych kościołach. Bóg cielesny przeobrażał się w duchowego; groźny i mściwy w miłosiernego i przebaczającego. Judaizm chrześcijański odegrał wielką rolę w rozwoju ludzkości, lecz zwrócony ku przeszłości, ku tradycyom i powagom starożytnym, zanadto się opóźnił w swych poglądach filozoficznych w stosunku do wiedzy nowoczesnej. Tymczasem nie teologia stanowi główną treść religii, lecz dążenie do coraz większej solidarności pomiędzy ludźmi, do zaprowadzenia braterskich stosunków w życiu społecznem, do zapewnienia ludziom jaknajwiększej sumy szczęścia. Tego zadania podjął się socyalizm.“

Wyraz ostatni autor rozsadzonemi napisał czcionkami i dla nadania mu wartości, powołał się na świadectwo kompetentne.

„Niejednokrotnie już wskazywano—pisze ks. proboszcz Jerzy Liebster—na charakter religijny, istniejący w socyalno-demokratycznym obozie robotniczym wbrew wszelkiemu wypieraniu się. Przedmiot jego wiary nie zadawala nas, chrześcijan, ale siłę i szczerość wiary socyalno-demokratycznej trzeba uznać. Jest ona naprawdę żywa, albowiem czyni swoich wyznawców tak pełnymi poświęcenia, jakich w kołach chrześcijańskich tylko wyjątkowo się napotyka. Wytwarza ona męstwo, które ośmiela się stawić opór całemu wrogiemu światu. Umożliwia wreszcie ona ową wspaniałą karność, która jest przedmiotem zazdrości innych stronnictw.“

Cytat tych z dzieła Bolesława Limanowskiego dosyć chyba. Wykazują one, że, zdaniem autora, socyalizm jest poprawionym ciągiem dalszym chrystyanizmu w rozwoju życia ludzkości, jeżeli nie zastępcą, nie spadkobiercą religii chrześcijańskiej. Religii chrześcijańskiej, nie innej, ponieważ co do dodatniej socyalizmu jakości, świadczy się sługą kościoła nietylko chrześcijańskiego, ale katolickiego, autora dzieła świeżo (r. 1909) wydanego p. t. „Kirche und Socialdemokratie.“

Wszelako: „Pogląd uczuciowy, religijny na pochodzenie socyalizmu przeważał w obozie wyznawców do r. 1848. Następnie coraz bardziej kształtował się pogląd materyalistyczny-ekonomicz-

ny i w drugiej połowie XIX stulecia, szczególnie pod wpływem Karola Marxa, wziął stanowczą nad pierwszym przewagę.“

„Karol Marx, kontynuator angielskich komunistów, stojąc wyłącznie na gruncie ekonomicznym, wykazał, że tak zwane prawa ekonomiczne nie są niezmienne, że ulegają one ważnym zmianom w każdym odmiennym ustroju gospodarczym, że obecny ustrój kapitalistyczny jest spadkobiercą innego odmiennego ustroju i że z jego kapitalistycznego łona z nieuniknioną koniecznością powstać musi ustrój wspólnościowy. Rozwój gospodarstwa kapitalistycznego prowadzi nieuniknienie do socyalizmu.“

Rozwój przeto idealizmu w chrześcijaństwie i rozwój materyalizmu w ekonomizmie do jednego i tego samego doprowadziły rezultatu — do rezultatu, mającego na celu: rozwiązanie zadania uszczęśliwienia ludzkości. Zadanie wielkie! Cięży ono na ludzkości od pierwocin uspołecznienia się onej.

Starożytność rozwiązywała je za pomocą niewolnictwa; średniowiecze za pomocą poddaństwa, obejmującego dwie klasy niższe: mieszczańską, zajmującą się handlem i rzemieślnictwem (nazwaną z czasem średnią, *tiers-état*) i chłopską, pracownicę rolną, obie w ustroju feudalnym uzależnione od dwóch klas wyższych: duchownej i świeckiej, od dwóch władz: kościelnej i państwowej.

Wielka rewolucya francuska dokonała wyzwolenia klasy średniej, wysadzając z siodła dwie uzależniające ją do r. 1789 klasy i pozostawiając w zależności od nich po dawnemu i od siebie w ustroju nowym klasę czwartą, najniższą, chłopską, robociarską—proletaryat.

Ostateczne zadanie rozwiązania wymaga wyzwolenia tej ostatniej, najbardziej upośledzonej i najmocniej pokrzywdzonej z tego względu, że grzęznie w ciemnocie, rozpraszanej częściowo wdzierającymi się z boku oszczędnie do niej wprowadzanymi promieniami światła, użyczanymi z łaski przez klasy wyższe, którym znaczenie i siłę daje kapitalizm.

Kapitalizm w ręce klas tych dostał się przemocą, podbojem, opanowaniem przez indywidua mocarne naprzód ziemi, stanowiącej, jak woda i powietrze, człowieczą własność wspólną, następnie zabraniem na rzecz własną bliźnich swoich z ciałem i duszą, oraz ze wszystkiem, co ich jest, obracając rodziny całe na bydło robocze i niszcząc pierwotne rodzinno-gminne urządzenia i porządki.

Stan taki ludzkości przetrwał *mutandis mutandum* wieki starożytne, średnie i nowożytne i, po zniesieniu kolejnem niewolnictwa i poddaństwa, trwa dla najniższej czwartej klasy dalej pod

postacią najemnictwa oddającego, posiadającemu na własność ziemię i fabryki i banki kapitalizmowi, na łup i na pastwę klasę czwartą, proletaryat męski i żeński, jego byt i jego cześć.

Jak temu zaradzić?

Zaradzić ma temu „doktryna socyalistyczna, która udowadnia, że zasady gminne są prawdziwemi podstawami ustrojów społecznych.“

A zatem:

„Powrót do pierwotnej naturalnej podstawy życia społecznego, do powszechnej równości i wolności, do wzajemności braterskiej w oddawanych sobie usługach. Rzeczą socyalizmu jest: zupełne wyzwolenie się gminu od klasy panującej, spadkobierczyni dawnych podbójców. Państwo dzisiejsze klasowe zmieni się w bezklasową Rzeczpospolitę, w której, w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, cały naród stanie się gospodarzem wspólnej własności.“

Jest to bardzo ogólnikowe i bardzo niewyraźne zintegralizowanie trzech „uzasadnień stanowisk zapatrywania się na objawy życia ludzkiego.“

Sz. autor nie zarzuci mi, ażebym XII dzieła jego rozdział streścił niedokładnie lub z ujmą dla doktryny. Pozwala mi to rzec o socyalizmie słów kilka odnośnie do tej ostatniej.

Niektóre z błędów doktryny socyalistycznej w oczy się rzucają. Do tych przedewszystkiem należy pojęcie o własności wspólnej ziemi, wody, powietrza i warsztatów fabrycznych. Są to własności wspólne póty, póki uprawianemi nie są. Żeby zaś módz je uprawiać wspólnie, na to niezbędną jest zaznaczona przez ks. proboszcza Jerzego Liebstera, jako „umożliwiona przez socyaldemokratyzm wspaniała karność.“ „Wspaniała“ ta „karność“ naprowadza myśli: o obediencyi klasztornej, o dyscyplinie wojskowej, o dozorze policyjnym, o Rzeczypospolitej, którąby specyalnym rodzaju człowieczego gatunkiem, nie będącym *homo homini lupus*, zaludnić należało. Wobec niemożliwości znalezienia wyprodukowanego ani wyprodukowania w łonie człowieczeństwa materyału, jeżeli nie anielskiego, to podobnego do tego, z którego wytwarzają się zespolenia mrówcze, pszczole, bóbrze, osiągnięcie szczęśliwości społecznej, chociażby niezupełnej, w rzeczypospolitej bezklasowej, wedle „pierwotnej naturalnej podstawy życia społecznego“ urządzonej, przedstawia się bardziej niż problematycznie, zwłaszcza, gdy—jak się to dzieje:

Socyalizm do osiągnięcia tej szczęśliwości kroczy drogą walki klasowej, odpowiedniej przypuszczalnie gdzieindziej, ale nie u nas i nie dla nas. Nam, w smutnem położeniu naszem, nie wol-

no utrzymywać ciągłe wojny domowej. Rezultaty bolesne, dotkliwsze we względzie moralnym, niż materyalnym, jakie ona w czasie ostatnim wydała, przestrogą być dla nas powinny.

To, co o socyalizmie mówię, nie jest dla autora rozdz. XII nowem, jak dla mnie nową nie jest rozdziału tego zawartość— zawartość, służąca jako przygrywka w rozdziałach wszystkich w dziele, pamięci Worcella poświęconem.

III. Rozdział XIX.

Rozdział ten obejmuje kwestye: „Naród i narodowość; państwo i ojczyzna; centralizm i federalizm.“

Kwestye te z trojakiego rozstrzygają się punktu: zwyczajnego (faktycznego), akademickiego i urzędowego.

Najdawniejszem pojmowaniem „narodu,“ „narodowości“ jest pojmowanie urzędowe—państwowe, niezależnie od tego, jak—na drodze zdobywczej czy obrończej — państwa się tworzyły. Działalność zdobywcza dokonywała się na rzecz zdobywców, którzy bądź uchodzili z krainy napadniętej, unosząc łupy i uprowadzając niewolników, bądź osiadali w niej i urządzali się odpowiednio: dzieląc kraj pomiędzy dostojniejszych członków drużyny napastniczej, wśród których najdostojniejszym był wódz. W sposób ten sam przez się wytwarzał się feudalizm państwowy z monarchą na czele. Tak Frankowie założyli Francyę, Sasi i Normani Anglię, Waregi Ruś, Hunnowie królestwo Węgierskie. Polska na drodze obrończej wyłoniła ze siebie państwo dla wodzów z rodu Piasta. A w państwach tych, w jednych zdobywcy przyjmowali mowę plemion zdobytych, jak Skandynawi, zdobywcy krain i grodów słowiańskich na drodze od Nowogrodu do ujścia Dniepra, prowadzącej do Konstantynopola. Taka, wedle przedchrześcijańskich formacyj państwowych wzorowana, duchem wieków średnich owiana i chrystyanizmem zasilona organizacya państwowa: państwo i naród w jedno zlała i zlew ten sztucznie zaprawiła „miłością ojczyzny.“ W zlewie tym narodowe różnice a tembardziej właściwości i cechy etnologiczne uwzględniane nie były. Narodowość poddanych nie obchodziła rządów, dbających o to jeno, ażeby czerń poddańcza pełniła obowiązki państwowe a w szeregach wojskowych przejmowała ją bojaźń kija na podobieństwo bojaźni Bożej. Na tej podstawie za Fryderyka Wielkiego układane były regulaminy wojskowe i pisane dzieła, odnoszące się do taktyki na polu bitwy,

tyczące się długości kroków żołnierskich i nabijania broni na dwanaście tempów. Trzymanie się metody tej grubo opłaciła w czasach wojen napoleońskich Austrya, dostarczając legionom polskim szeregowców. To samo spotkało ją na Węgrzech r. 1849. Legiony polskie i legion włoski zapełniali dezerterzy z wojsk austryackich, mimo karność i mimo wszczepianie w żołnierstwo ducha korporacyi, przeniknionego ojczyzną (?) austryacką. Do serc Rusinów nawet ojczyzna ta nie przemawiała w dobie owej. Możliwem jest wmówienie jej, wzwyczajenie do niej, lecz nie głębokie i nie na długą metę. Tyle jest o narodzie i narodowości, o państwie i ojczyznie z punktu urzędowego, jako też zwyczajowego do powiedzenia w skróceniu.

Z dwóch tych punktów naraz rozpatruje autor dwie kwestye w akademickim wykładzie swoim, powołując się na świadectwa pism i opinie osobistości wybitnych.

Pismem najpierwszem, na które się powołuje, jest „Demokrata Polski," broniący sprawę narodu wytrwale, lecz wyrażenie „naród polski" biorący w sensie urzędowym, obejmującym Litwę i Ruś. Sens ten, przyjmowany w r. 1849 ogólnie, znajdował przeciwników, którym w wydanej w 1849 r. w Paryżu p. t. „Prawdą a pracą" broszurze, autor taką odprawę daje: „Narodowość fałszywie pojmowana wyrządziła na wschodzie okropne klęski i szkody i dotąd, jak ciężka zmora, przygniata rewolucyę ołowianem brzemieniem, tamuje obieg krwi w jej żyłach, dławi oddech w jej piersi. Ona to związała Czechów z austryacką dynastyą, ona podkopała węgierską sprawę, ona obłąkała Ruś galicyjską, ona szczepi domową niezgodę i rozdwaja rodzoną brać."

Świadczy się oraz autor faktami. Z faktów przytacza: zawiązaną przez Mazzini'ego w 1834 r. w Bernie szwajcarskiem ze zgromadzonej tam emigracyi różnonarodowej „organizacyę rewolucyjną, opierającą się na zasadzie narodowości." Z organizacyi tej, obok młodych Włoch, młodych Niemiec, młodej Szwajcaryi i in., wyłoniła się Młoda Polska. Do organizacyi tej, z której jakoby wyszedł Szymon Konarski, autor większą przywiązuje wagę, aniżeli w życiu emigracyjnem miała. Również podnosi (w rozdz. XIII) znaczenie gromad Grudziądz w Portsmouth i Humań na wyspie Dżersej.[1]) Podnoszenie to, mimo że organizacye te żadnej wybitniejszej nie odegrały roli, zrozumiałem jest i usprawiedliwionem z racyi odnoszącego się do osobistości Worcella

[1]) Wymawia się Dżersej a pisze się Jersey.

założenia dzieła. Pomówię o tem później. Tu poprzestanę na wskazaniu świadectw osób wybitniejszych, co do będącej w mowie kwestyi.

Największą w materyi tej powagę przypisuje B. Limanowski zdaniom Kazimierza Brodzińskiego i Józefa Mazzini'ego—pierwszego, dzięki mowie jego, wygłoszonej dn. 3 maja 1831 w Towarzystwie Przyjaciół Nauk; drugiego dzięki stałemu, jaki on na emigracyę polską wywierał, wpływowi, zaznaczonemu rozprawą jego „O narodowości i kosmopolityzmie."

O Mazzinim będę miał może kiedy sposobność pomówienia obszerniej trochę. Nim do tego przyjdzie, wykażę w streszczeniu, wedle Limanowskiego, stopniowy u nas pojęcia narodowości rozwój. Wzięły w tem udział znakomite siły naukowe polskie w zaborze pruskim, gdzie chwilowo w r. 1840 stronnictwo liberalne uzyskało było przewagę nad konserwatywnem. W parę lat później ukazało się pismo „Rok," a w niem znalazło się na rozprawy o narodowości miejsce. Z pierwszą wystąpił Jan Rymarkiewicz, z drugą Karol Libelt. Ten ostatni pracy swojej dał tytuł „O miłości Ojczyzny." W niej ojczyznę wiąże ściśle z narodem, naród zaś wyprowadza ściśle z rodu, nadając mu (narodowi) znaczenie rodziny rozszerzonej, we właściwy jej obyczaj zaopatrzonej, wśród innych narodów mową, myśli i uczuć w poezyi i literaturze składnicą, wyróżnionej i od państwa niezależnej. Libelt wyraźnie pojęcie narodu od pojęcia państwa oddzielił, przez co narodom podbitym i do państw obcych wcielonym przyznał prawo posiadania języka własnego i uprawiania go, posiadania ojczyzny odrębnej i kochania jej. Cesarz Wilhelm II nie zgodziłby się z takiem rzeczy pojmowaniem.

Rewolucye w roku 1848 wprowadziły kwestyę narodowości w szranki polityki międzygabinetowej i nadały jej znaczenie oficyalne. Gabinet berliński spostrzegł się, że na kuli ziemskiej tu i owdzie znajdują się Niemcy uciskani i że ich bronić należy. Faktycznie i nieoficyalnie kwestya ta wywołaną została przez Polaków, skutkiem rozbiorów ich ojczyzny. Rozgłoszoną przez legiony polskie we Włoszech echa rozniosły po Słowiańszczyznie zachodniej i południowej, rozbitej na narodki i pozostającej pod panowaniem tu tureckiem, owdzie niemieckiem. Austrya po mistrzowsku wyzyskała ją w Galicyi na szkodę Polaków i Rusinów, posługując się nią w Czechach i Morawach na rzecz Niemców. Do r. 1795 motywy moralne wojen tkwiły przeważnie w religii. Obecnie, luboć religia z pośród motywów politycznych usunięta niby została, niekatolickim atoli rządom katolicyzm ich poddanych

zawadza mocno, narówni z odmiennym nacechowaną stemplem ich— narodowością.

Niemałe w odniesieniu do kwestyi narodowości znaczenie miał zwołany w r. 1848 do Pragi czeskiej Kongres Słowiański, który się zgromadził 31 maja, a w połowie czerwca został rozpędzony przez rząd austryacki. W tym krótkim czasie Libelt z Palackim zredagować zdążyli „Manifest do ludów europejskich," podpisany ze strony Polaków przez Libelta, Moraczewskiego i Lucyana Siemieńskiego, ze strony Czechów przez Palackiego i Szafarzyka, ze strony Chorwatów przez Kusliana i Prica. Najważniejszy ustęp tego Manifestu, ze względu na kwestyę narodowościową, był następujący: „Podajemy wszystkim narodom braterską rękę, które również, jak my, gotowe są: uznać wszystkich narodowości równość, bez względu na ich polityczną wielkość i potęgę, i takową popierać i bronić."

Na zjeździe tym nie było przedstawicieli Rosyi. W 60 lat później odbył się podobny w Pradze zjazd, na którym Palackiego zastąpił Kramarz, Libelta Dmowski i Rosyan wybitnych nie brakło, którego jednak rezultaty głównym onego sprawcom i popieraczom dały świadectwo nieznania tej prawdy politycznej, że *la politique c'est la prevoyance.*

Rzecz o centralizacyi i federalizmie, zamieszczoną w rozdziale XIX, pomijam, ponieważ ona w rozdziale tym wygląda obco, nie szkodzi wprawdzie, ale i nie pomaga do uwypuklenia postaci Stanisława Worcella, którego życiu i czynom poświęcona jest monografia. Ustępy podobne trafiają się w tej ostatniej nierzadko.

IV. Stanisław Worcell na obczyznie.

S. Worcell z korpusem Ramorina wszedł do Galicyi, przebywał we Lwowie, skąd na wezwanie Antoniego Ostrowskiego udał się do Paryża na Sejm polski, który się w Paryżu zebrać miał. Sejm się zbierał kilkakrotnie, lecz nie funkcyonował i uznany przez stronnictwo konserwatywne za nieużyteczny, zbierać się przestał. Zamiast przeto do Sejmu, Worcell, podany przez Cezarego Platera na kandydata do „Tow. Litewskiego i Ziem Ruskich," do Towarzystwa tego dn. 6 sierpnia wstąpił, wraz z Adamem Mickiewiczem i Bohdanem Zaleskim. W Towarzystwie tem, w którem obok Mickiewicza członkami wpływowymi byli Joachim Le-

lewel i Aleksander (czy nie Leonard? Aleksander bowiem dopiero w 1845 r. z Persyi do Paryża przybył) Chodźko, działalność jego nie zaznaczyła się niczem. Miał cześć wielką dla Lelewela, „lecz sam, posiadając skłonności artystyczne, malarz i potrosze poeta, z usposobienia religijny, mający pociąg do mistycyzmu, uległ czarownemu urokowi wieszcza litewskiego i wszedł w bliższe koło jego zwolenników. Przychodził on często na schadzki wieczorne do Mickiewicza, gdzie żywe toczyły się rozprawy polityczne i społeczne. Na schadzkach tych, wśród „tych tak przyjemnych gawędek“ — jak się wyraża Worcell w późniejszym swym liście do Mickiewicza — kwestya społeczna bardzo ważne zajmowała miejsce. Był w tem kole niedawny gorący zwolennik saint-simonizmu, wkrótce wraz z Mickiewiczem redaktor „Pielgrzyma,“ Bohdan Jański, który, jakkolwiek wrócił do katolicyzmu, starał się wszakże odmłodzić jego istotę nowymi rewolucyjnymi poglądami. Niewątpliwie rozprawy o saint-simonizmie na tych schadzkach silnie—zdaniem B. Limanowskiego—podziałały na Worcella i skierowały w tym kierunku jego myśli i uczucia.“

Zdaje się, że myśli jego i uczucia nie w kierunku saint-simonistycznym, skutkiem bywania u Mickiewicza, poszły, saint-simonizm bowiem nie posiadał, jak wiadomo, ducha wojowniczego, którym w momencie owym przejętym na wskroś być musiał Worcell, biorący udział czynny w wyprawianiu na boje podkomendnych Józefa Zaliwskiego. Zgadza się to z określeniem powyżej istoty jego duchowej: „artysta, malarz, trochę poeta.“ Ludzie tacy wrażeniami się kierują. Wrażenia do głębi nim wstrząsać musiały na widok młodych, pełnych życia ludzi, hazardujących się na przedsięwzięcie, o którem myśl sama przerażeniem przejmowała. Co innego wojna formalna, co innego wyprawa taka. O ile oburzał go kondotieryzmem nacechowany pomysł gen. Bema, szykującego z Polaków wojsko dla donny Maryi, królowej portugalskiej, walczącej z don Miguelem, roszczącym do tronu portugalskiego pretensye, o tyle uwielbieniem go przejmowali zatraceńcy, idący ku celowi, wskazywanemu im przez wielką miłość i wielkie poświęcenie. Uznawał to i rozumiał Mickiewicz, stający w „Pielgrzymie“ w obronie pomawianej o szaleństwo wyprawy Zaliwskiego—jakżeby jej uznawać i rozumieć nie miał duchem Mickiewiczowi pokrewny Worcell!?...

Pokrewieństwo duchowe z genialnym poetą polskim, kierowanie się, jak on, wrażeniami, zaznaczyło się w Worcellu od pierwszego niemal postawienia stopy jego na zagadkowym Emigracyi polskiej we Francyi gruncie.

Zagadkowym on był dla niego zwłaszcza, nie przejętego większą, ani inną troską, tylko o Polskę. Dla służenia jej pospieszył ze Lwowa na Sejm, na który liczył, jak na pewnego w służbie tej przewodnika, a liczyć miał prawo, ponieważ „stosownie do uchwał z dn. 19 i 26 lutego 1831 r., komplet 33 członków, należących do Senatu i Izby poselskiej i łącznie z sobą obradujących, wystarczał, ażeby czynność sejmowa moc prawną miała.“ Zgromadzonych w Paryżu kilkunastu posłów i senatorów w marcu już 1832 r. schodzić się i obradować poczęło. Owocem obrad tych przedwstępnych było przyjęcie i złożenie w Izbie francuskiej memoryału, napisanego przez gen. Dwernickiego, a podpisanego przez wojewodę Antoniego Ostrowskiego, Ledóchowskiego, Jełowickiego, Worcella, Żarczyńskiego, Hłuszniewicza, Karwowskiego, Kołyskę, Przeciszewskiego, Lelewela i Tomaszewskiego.“ I Worcell, i Lelewel brali czynny udział w sesyach przedsejmowych i zgadzali się w tem, że Sejm powinien stać się prawną kierowniczą władzą nietylko dla ogółu wychodźców, lecz i dla całego narodu. Lecz Worcell szedł „jeszcze dalej,“ podzielał on zapatrywanie się Mickiewicza, który wywarł na niego ogromny wpływ. Dla niego Sejm nietylko miał być przedstawicielstwem narodowem, lecz „objawicielstwem światu nowej rewolucyjnej zasady społecznej, którą wszystkie narody kierować się powinny.“

B. Limanowski tej zasady społecznej nie określa, mówiąc jeno, że Worcell idzie dalej, niż uznanie Sejmu za legalne narodu polskiego przedstawicielstwo. To „iście dalej“ nie trudnem jest do odkrycia. Znajduje się ono w „Księgach Narodu Polskiego“ i w „Księgach Pielgrzymstwa Polskiego,“ arcydziele, wynikłem z wysoko napiętego natchnienia poetyckiego, nieustępującem „Anhellemu“ Słowackiego, zawierającem w sobie wskazówki polityczne i społeczne, zapisane p. t. „Występki i zbrodnie“ w kodeksach kryminalnych i pociągające w kierunku wskazówek tych duchy i umysły pokrewne.

Mickiewicz był osobistością ogromnie wpływową i wrażeniom podległą. Wrażenia, pod jakiemi tworzył, zaznaczają się wedle pobytów i stosunków jego. Pobyt i stosunki w Moskwie i Petersburgu wydały „Konrada Wallenroda“ i „Farysą“; pobytowi w Rzymie w 1830 r. zawdzięczamy wiersz „Do Matki Polki.“ „Konrada Wallenroda“ i „Do Matki Polki“ znamionuje tendencya ostrzegawcza, zwrócona w utworze pierwszym do mocarstw zaborczych, obchodzących się z narodami podbitymi po krzyżacku; w drugim do tych matek Polek, którym się rodzą synowie „niebezpieczni.“ Pod głębokiem, jakie go w Dreznie 1831 r. przejęło, wrażeniem Mic-

kiewicz napisał trzecią część „Dziadów," poprzedzoną dedykacyą „Do braci Moskali," „Ustęp," „Redutę Ordona" i „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego." Z drezdeńskimi właśnie wielkiego poety utworami spotkał się Worcell w Paryżu i nie mógł nie odczuć ich głęboko.

Znajomość jednak osobista moja z Worcellem, zestawiona ze znajomością, jaką z Mickiewiczem za pośrednictwem utworów jego i czynów zabrałem, pozwalają mi porównać wrażeniowość jednego z wrażeniowością drugiego. Wrażenia wpływały na przekonania Mickiewicza. W czasach, gdy z lat dziecinnych wychodził, jako autor „Ody do młodości," był on wolnomyślicielem liberalnym, postępowcą i ugodowcą niemal. Pobyt w stolicach Rosyi, wpatrzenie się w jej ogrom, wmyślenie się w potęgę jej wielkie na nim wywarły wrażenie. Z wrażeniem tem z Rosyi wyjechał, w Rzymie się zatrzymał i pod wpływem towarzystwa, złożonego z rodziny Ankwiczów, ks. Chołoniewskiego i Henryka Rzewuskiego, napisał „Do Matki Polki." Nie dziw, że nie spieszył na pole walki. I dobrze się stało, mógł bowiem skończyć, jak Mieczysław Romanowski, albo w szeregach do końca, wzorem Maurycego Mochnackiego, nie wytrwać. Kampanię odbył on w Dreznie, nie *de facto*, ale *de auditu*. „Co ma w poezyi wskrzesnąć, winno w rzeczywistości zamrzeć"— głosi reguła poetyczna. Pod wrażeniem opowiadań uczestników powstania, w wyobraźni jego wskrzesły i powody wojny, i wojna sama, jakby w niej osobiście udział wziął. Gdy opowiadanie zaczyna od wyrazów: „Nam strzelać nie kazano, wstąpiłem na działo i spojrzałem na pole," przysiągłbyś, że zakaz strzelania spotkał jego samego.

W tem wyobraźnia Worcella gruntownie się od wyobraźni Mickiewicza różniła.

Worcell, mimo nastrój poetyczny, jakim go natura obdarzyła, posiadał w naturze swojej cześć dla sztandaru, pod którym z Krzemieńca do Warszawy, z Warszawy do Lwowa, ze Lwowa do Paryża przeszedł, a który był patryotyczno-demokratycznym. B. Limanowski przypuszcza, że zasady demokratyczne przejął on od ojca; mojem zaś, com go osobiście znał i w jego, że się tak wyrażę, szkole był, zdaniem: demokratyzm jego nie z ojca przeszedł na niego, nie był bowiem szlacheckim, jak ojcowski, ani nacechowany mistycyzmem, jakim się Hercenowi wydawał, ale czystym, rzetelnym i nawskroś patryotycznym — Lelewelowskim, jeżeli koniecznie należy wykazać jego pochodzenie. Objawiło się to w Warszawie na Sejmie i w Paryżu na Sejmie, który się na usilne wojewody Ostrowskiego starania nareszcie w stolicy Francyi

w komplecie zebrał i dwa posiedzenia odbył. Na pierwszem mniejszość, z ks. Czartoryskim na czele, wystąpiła z wnioskiem nie wytaczania żadnych kwestyj zasadniczych, na drugiem mniejszość pisemnie zaprotestowała, oświadczając, że nie uznaje prawowitości, potrzeby i użyteczności zwoływania zagranicą Sejmów polskich. Próbowano jeszcze, zgromadzano się jeszcze dwukrotnie i nie dokazano utrwalenia na obczyznie prawowitego przedstawicielstwa sprawy polskiej. Dodać należy, że się temu mocno rząd francuski sprzeciwiał. Można we względzie tym zarzut niekonsekwentności uczynić rządowi, który, uznając prawowitość stopni wojskowych, nie uznawał prawowitości instytucyi sejmowej, w odniesieniu do wojskowości prawodawczej.

Niechęć rządowa do sejmowiczów polskich, jako też do tych wychodźców, co popierali orężne Emigracyi wyprawy, w ten zamanifestowała się sposób, iż rząd wydalał ich po kilku, od Lelewela zaczynając, zrazu z Paryża, następnie z Francyi.

Worcell, po przekonaniu się o niemożliwości zainstalowania Sejmu, znalazł się w położeniu żeglarza na łodzi bez steru. Istniało Węglarstwo, istniała Masonerya, zjawiały się zawiązki organizacyj polskich. B. Limanowski przypuszcza, że go Węglarstwo zwabiło dlatego, że zabrał znajomość z węglarzami tej miary, co Buonarotti, Godefroy Cavagnac, Armand Marrast. Przypuszczalność dozwolona jest w razie każdym. Napewno wstąpił on był do loży masońskiej w Paryżu, noszącej nazwę „Trójcy nierozdzielnej“ (*Trinité indivisible*), której jeden z członków, Dziewicki, zginął w wyprawie Zaliwskiego. Na wieść o śmierci jego zwołano zgromadzenie, na którem, między innemi, przemawiali Worcell i ks. Pułaski i po którem policya, wraz z innymi mówcami, aresztowała Worcella i Pułaskiego. Ci dwaj, w lipcu 1833 r. wygnani z Francyi, udali się do Belgii, gdzie się z Lelewelem zeszli.

W Belgii, dzięki znajomościom w Brukseli przezeń zabranym z ludźmi,[1]) co w wyzwoleniu kraju z pod panowania holenderskiego udział czynny wzięli a nie podzielali tej opinii, ażeby wywalczenie przez klasę średnią, przy pomocy ludu, wolności, miało klasę tę upoważniać do wyzyskiwania pracy ludowej na rzecz i korzyść kapitału, stanowiącego potęgę klas posiadających

[1]) Z pośród ludzi tych poznałem w 1866 r. Lucyana Jottrand, a na pogrzebie Aleksandra Gendebien w imieniu Polaków przemawiałem i do komitetu wystawienia dla niego w Brukseli pomnika należałem.

(właściciele ziemscy, przemysłowcy, duchowieństwo), Worcell poznał: że wywalczenie wolności (Wielka rewolucya francuska) nie wyzwalało ludzkości. Wywalczenie wolności pod hasłem „wolności, równości i braterstwa“ wymagało wyzwolenia pracy, to jest: zaopatrzenia „braterstwa“ w warunki słusznego jej wynagradzania. Dało mu to widzenie sprawy społecznej i zainteresowanie się nią — widzenie atoli przez pryzmat patryotyzmu, co okazał w zdaniu, jakie wyraził o pracy Czyńskiego „Malownicza Rosya,“ poniżającej Polskę. W Brukseli pisywał do dziennika „La voix du Peuple,“ uznającego się za organ sprawy polskiej.

W Belgii, która w dużej mierze Polsce wyzwolenie swoje zawdzięczała i o tem wiedziała, Polacy współczucie i przyjaciół znajdowali. Sprzyjał im i rząd, ale nie bezwzględnie. Reklamacye dyplomatyczne zmuszały władzę do srożenia się w odniesieniu do niektórych osobników „niewygodnych.“ Takimi w 1834 r. okazali się Lelewel, Worcell i ks. Pułaski. „Poproszono“ ich o wyniesienie się z kraju — niezwłoczne dwóch ostatnich, późniejsze nieco Lelewela, z powodu pracy naukowej, którą miał na warsztacie i na której ukończenie czasu potrzebował. Czas ten następnie do śmierci jego się przeciągnął. Nie niepokojono go już później, jak nie niepokojono Worcella, który go parokrotnie, po wyzwoleniu się z gromad socyalistycznych, w stolicy Belgii odwiedzał.

Przesunięcie się Worcella przez obóz socyalistyczny — i to przez obóz najskrajniejszy—należy do rodzaju symptomatów psychicznych, zdarzających się ludziom żywą obdarzonym wyobraźnią, znajdujących się w okolicznościach, zwanych „przyciśnięciem do muru.“ Człek zwyczajny, do muru przyciśnięty, wydobywa z siebie siły i ruchy nadzwyczajne, niekiedy rozpaczliwe, niedopieroż człowiek, posiadający duch poezyą zaprawny. Ludzie tacy rzucają się niekiedy na niepodobieństwa. Czyż Mickiewicz nie przerzucał się z ostateczności w ostateczność: uznając dziś skuteczność rózgi, wskazanej mu przez Towiańskiego, a formując nazajutrz legion polski we Włoszech i pasując pojutrze Sadyka-paszę na zbawiciela Polski?... W hołdownikach wyobraźni niekonsekwencye podobne niekonsekwencyami nie są. Idą one na karb mistycyzmu, którego rozum zdrowy przeniknąć nie w stanie. Podobną niekonsekwentną konsekwencyę popełnił Stanisław Gabryel Worcell: przechodząc z demokratyzmu do socyalizmu i z socyalizmu do demokratyzmu, wracając, nie uchylając się ani na mgnienie oka z pod sztandaru patryotycznego. Niech zatem fakta mówią.

W kwietniu 1834 r. Worcell z ks. Pułaskim opuścił Brukselę dla Londynu, gdzie na obchodzenie się rządu z wychodźcami pol-

skimi żadne reklamacye dyplomatyczne wpływu nie miały i mieć nie mogły.

Worcell wybrał sobie na pobyt Anglię nie dla pędzenia nadal żywota spokojnie. Wiedział on, że w Londynie znajdzie się w licznem emigrantów polskich gronie, Anglia bowiem nietylko rozbitków emigracyjnych wypraw orężnych i resztki powstańców z Prus (z Grudziądza) do Portsmouth morzem wysłanych przyjęła, lecz im żołd wyznaczyła. W wypłacaniu Polakom żołdu pośredniczyło założone w lutym 1832 r., za staraniem ks. Adama Czartoryskiego i Juliana Urs. Niemcewicza, angielskie „Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski.“ Garstce przeto emigracyi, co się w Anglii znalazła, trafiła się gościna spokojna i względnie wygodna, którą tylko szanować należało. Szanowano też ją, póki nie przybyli dwaj podróżni, z progów gościnnych francuskich i belgijskich wygnańcy: Worcell i Pułaski. Spokój oni zamącili i sami zamącenia ofiarą padli—zamącenia w taki dokonanego sposób, że na zasadach demokratycznych zorganizowali „Ogół londyński,“ zawiązali stosunki pomiędzy nim a sekcyą korespondencyjną Towarzystwa demokratycznego polskiego w Poitiers i założyili Towarzystwo edukacyjne o trzech wydziałach: wojskowym, literackim i industryjnym. Nie tak długo atoli te piękne pomysły trwać mogły, ażeby zamiary do skutku doprowadzić się dały. Nieporozumienia przy wyborach pierwszego zarządu spowodowały wichrzenia, doprowadzone do sporów, nie poprzestających na słowach, lecz uciekających się do czynów, w których udział brały kije. Worcellowi podobać się to nie mogło, tembardziej, że, wbrew swoim zasadom, sam zniewolony został do rozprawy pojedynkowej, poczem opuścił Londyn, przeniósł się na wyspę Jersey i tam, jako członek, wstąpił do sekcyi St. Hélier Towarzystwa demokratycznego polskiego.

Do Tow. dem. pol. Worcell podzielał niechęć z Lelewelem; niechęć, pochodzącą raz z wydzielania się onego z ogółu demokracyi, powtóre z centralizacyjnych, władczych tej organizacyi dążeń. B. Limanowski wstąpienie jego do niej przypisuje temu, że Tow. dem. pol., liczące w chwili zawiązania (17 marca 1832 r.) kilkudziesięciu zaledwie członków, przy końcu 1834 r. liczyło już członków 950 i rozporządzało z podatków dochodem rocznym 10,000 fr.

Nie to, zdaje się, przypuszczać należy, jako powód wstąpienia jego do Tow. dem. pol., ale z jednej strony przenikający duszę jego patryotyzm, z drugiej ta wiara polityczna, którą Polacy z Polski wynieśli i którą z nimi podzielała cała Europa ucywili-

zowana: wiara w konieczność uzupełnienia wielkiej rewolucyi francuskiej przez wyzwolenie polityczne i społeczne narodów i ludów.

W Tow. dem. pol. zapanowała wzbudzająca ufność, karność rewolucyjna,—karność nie zaprowadzona w żadnej innej organizacyi politycznej wśród wychodźców w stopniu tak wysokim i w takiej mierze pełnej ofiarności dobrowolnej, a osobiście bezinteresownej.

Tę wiarę, dodać należy, wzbudziło w Worcellu i podniosło wrażenie, utrzymując ją na wyżynie póty, póki toż samo wrażenie nie wzbudziło w nim wiary silniejszej. Wyrodziła się ona stąd, że w sekcyi St. Hélier, liczącej członków 23, większość sprzeciwiała się oddawaniu władzy naczelnej wybieranej corocznie centralizacyi i powierzaniu jej działalności, niedozorowanej na zewnątrz, działalności nie innej, tylko prowadzonej w celu niepodległości Polski.

Powiedzieć wyraźnie trzeba, że cel ów, zaznaczony nieudałym Józefa Zaliwskiego wybuchem, nie mógł w czasie owym być innym, ani dla stronnictw demokratycznych, ani też dla stronnictwa zgrupowanego około ks. A. Czartoryskiego, a nazwanego „Stronnictwem hotelu Lambert.“ Różniły je drogi i widoki. Konserwatywni lambertczycy kroczyli szlakami dyplomatycznymi, poprzestając na granicach Ojczyzny, zakreślonych w Wiedniu i uznając z góry prawowitość kary za powstanie, mającej ją spotkać pod postacią takiego lub innego, mniejszego lub większego okrojenia nadanej przez Aleksandra I konstytucyi. Cele stronnictw demokratycznych były inne, prowadzące więc do nich drogi innemi, rewolucyjnemi być musiały, rewolucyjnemi w stopniu mniejszym lub większym, względniejszym lub bezwzględnym, co od środowisk działających, nie wszystkich socyalizmem podszytych, zależało.

Socyalizm w czwartym dziesiątku XIX w. znany już był w modyfikacyi babeuvizmu, dzielącego ziemię i bogactwa na współwładanie. Wywłaszczenie on przemocą na rzecz współwłasności propagował. St.-Simoniści, Buonarettyści, Buchezyści argumentów dostarczali i agitatorom zadania ułatwiali. Agitatorowie w Anglii, w „Ogóle londyńskim“ ani poza „Ogółem,“ nie znajdowali pola podatnego. Worcellowi i ks. Pułaskiemu, jako agitatorom za Tow. dem. pol., za Związkiem oświatowym, za lożą wreszcie masońską, za czemś wogóle, co umysłowej i rzeczowej czynności wymaga, nie powiodło się.

W Anglii jednak, w Emigracyi polskiej, znajdowała się około paruset głów wynosząca w większej części niepiśmienna gromadka, dla agitacyi socyalistycznej przystępna. Składała się ona z szeregowców byłego wojska polskiego, którzy, po złożeniu broni w Prusiech, z oficerami w kierunku zachodnim przez władze pruskie niepuszczani, do Polski wracać nie chcieli. Takich Prusacy w Fischau, w Grudziądzu i w paru innych miejscowościach zgromadziwszy, na roboty ciężkie, obchodzeniem się z nimi nieludzkiem i głodem zaprawne, skazali; oporniejszych zaś z kraju się pozbyli, wyprawiając ich, jak bydło na okręt wpakowanych, do Ameryki. W oporności atoli wyćwiczeni, nie w Ameryce, lecz w Portsmouth wylądowali i w Anglii gościnę znaleźli. Rząd angielski koszary im na mieszkanie dał i żołd wyznaczył, nie obstawiając ich, jak rząd francuski, dozorem i nie krępując regulaminem.

Na gromadkę agitacya z dwóch naraz środowisk polskich— i dyplomatycznego, i demokratycznego — się zwróciła. Pierwsze, osłaniając się powagą ks. Adama Czartoryskiego, wskazywało jej legiony (ponętny dla Polaków wyraz) cudzoziemskie w Algieryi. Drugie, w imieniu popularnem zwycięzcy pod Stoczkiem, gen. Dwernickiego, odradzało legiony w Algieryi, oraz wszelkie do Hiszpanii i Portugalii werbunki, zalecając cierpliwość dla doczekania się momentu, w którym „Polska powoła."

Wiara za tym drugim poszła głosem. Oddała się pod rozkazy generała, przewodniczącego po Lelewelu Komitetowi narodowemu.

Komitet ów nie cieszył się życiem długiem. Rozwiązał się. Miejsce jego—miejsce organizacyi, mającej pretensyę do ogarnięcia Emigracyi, jeżeli nie całej, to posiadającej większość—zajęła organizacya, która nazwała się Zjednoczeniem i szeregów swoich nie zamykała przed nikim, co się do demokratycznych przyznawał przekonań. Stąd w Towarzystwie demokratycznem, ściśle zamkniętem, przezwano ją „szlachecko-demokratyczną" i litowano się nad nią złośliwie, ponieważ sobie rady dać nie mogła z powtarzanymi raz po raz wyborami zarządu. W wyborach każdych figurował nieodmiennie Lelewel i obok niego raz Tyszkiewicz, znów Zwierkowski, znów ktoś inny i więcej większości głosów nie otrzymywał nikt. Stąd organizacya ta istniała faktycznie, nie istniała prawnie, inna zaś, „nowopolska," w Bernie szwajcarskiem przez Mazzini'ego w 1834 r. zawiązana, przez B. Limanowskiego faworyzowana, istniała nie rzeczywiście, ale intencyonalnie, w pragnieniach kilku, może kilkunastu osobistości: Zwierkowskiego, Piet-

kiewicza, Konstantego Zaleskiego, Gordaszewskiego i innych, a z nimi i Lelewela, raz po raz wybieranego do zarządu Zjednoczenia.

Dziwić się temu bezładowi nie należy, wiedząc jak się ustawowo w państwach uregulowanych, konstytucyjnych, w Anglii, Francyi, w Austryi, w Galicyi, stronnictwa zawiązują i rozwiązują a wybory odbywają. Patrzymy przecie na to i... nie dziwimy się. Nie dziwmyż się temu, co się we względzie tym przed siedemdziesięciu kilku laty na bezdomnej i bezpaństwowej Emigracyi działo.

A przecie w dobie owej istniały dwie organizacye krzepkie: dyplomatyczna, patryarchalnie bez wyborów i obradowań w Hotelu Lambert urzędująca, oraz demokratyczna, rozprawiająca, polemizująca, propagująca i corocznie wybory dokonywująca w Tow. dem. pol.

Na to ostatnie przeszedł wpływ, jaki pierwotnie na żołnierstwo w Portsmouth wywarł był Komitet gen. Józefa Dwernickiego. Sprawiła to agitacya, którą się Tow. dem. pol. na szeroką posługiwało skalę.

W agitacyi panuje reguła postępowa w kierunku skrajności w tył lub naprzód, wytwarzanej przez współzawodnictwo, będące jedną z właściwości duszy człowieczej. Właściwość ta wywołuje wyściganie się w przekonaniach, licytowanie sposobów uszczęśliwiania ludzkości. Rażąco wpada to w oczy obecnie w socyalizmie, w którym wychodźcom rosyjskim przypada zaszczyt posunięcia licytacyi aż do anarchizmu. Zaszczyt ten głównie Mikołajowi Bakuninowi przypisują, po przeniesieniu się jego z Syberyi do Szwajcaryi. Przedtem (przed 1848 r.) podzielał on przekonania Tow. dem. pol., rozstrzygającego kwestyę społeczną za pomocą nadania włościaństwu wolności i własności. Nie wiedział, że w Emigracyi polskiej znajduje się gromadka, która na drodze agitacyjnej przyszła do przekonania, że jest inny, skuteczniejszy i pewniejszy sposób uszczęśliwienia powszechnego—sposób, polegający na zniesieniu wszelakiej własności indywidualnej, państw, granic, rządów konstytucyjnych i niekonstytucyjnych i oddaniu władzy kościołowi. Wprowadzenie tego sposobu rozpocząć należy drogą propagandy, gdyby zaś propaganda nie skutkowała, to... mieczem.

I przekonanie takie, przez licytujących się agitatorów wmówione w ciemną, nieznającą kolei, przez jakie od stanu dzikości do stanu, w jakim się obecnie znajduje, przechodziła ludzkość, nie mającą o stosunkach politycznych i społecznych wyobrażenia naj-

mniejszego, gromadkę przebywających w Portsmouth żołnierzy, trafiło do przekonania Worcellowi?...

Nie mogło się to stać zwyczajnie, naturalnie, drogą rozumowania logicznego.

Przerzucenie się takie od demokracyi racyonalnej, dostępnej, nie wróżącej zamętu w stosunkach gospodarskich, ludzie, co się jeszcze przesądów nie pozbyli, przypisaliby czarom; nieprzesądni zaś nie mogą przypisać czemu innemu, jeno wywołanemu wrażliwością napadowi rodzaju pewnego choroby psychicznej.

Wrażliwość jego poetyczną do żywego rozdrażniły niepowodzenia i zawody, doznane na polu działalności, do jakiej się powołanym i zobowiązanym poczuwał i do jakiej z zapałem i czystem sumieniem w Londynie się zabrał — działalności wynagrodzonej widowiskiem dyskusyi, uwieńczonej walką na kije i koniecznością pojedynków. Schronił się przed widowiskami i koniecznościami podobnemi na wyspę Jersey, do sekcyi Towarzystwa demokratycznego. I tam jednak zawody go ścigały. Do Tow. dem. pol. wstąpił w chwili, kiedy w sekcyach toczyła się dyskusya nad projektem Manifestu polityczno-społecznego, mającego stowarzyszonych zobowiązywać. Sekcya portsmucka, jako też dżersejska (St. Hélier), licząca członków 23, w większości swojej nie zgadzały się na osnowę projektu, zwłaszcza zaś na ustanowienie władzy wykonawczej, pod nazwą Centralizacyi, zaopatrzonej w atrybucye dyktatoryalne w zakresie politycznym. Przeszkadzać to miało skupieniu pod jednym sztandarem emigracyi demokratycznej. Worcell wraz z większością sekcyi zdanie to podzielał i wraz z nią z Towarzystwa wykreślony został. Sekcya zaś portsmucka z Tow. dem. pol. cała wystąpiła, zakładając organizacyę oddzielną pod nazwą „Lud Polski.“ Wprowadzono w niej podział na „Gromady,“ sekcyę swoją przemianowując na „Gromadę Grudziądz,“ na pamiątkę męczarni, zadawanych w fortecy tej przez Prusaków żołnierstwu polskiemu. Dn. 30 października 1835 r. wyszła, podpisana przez 142 członków, odezwa „Gromady Grudziądz do Emigracyi polskiej,“ mająca znaczenie manifestu. Dn. 6 listopada do manifestu tego przyłączyli się: Seweryn Dziewicki, Aleksander Gronkowski, Tadeusz Krępowiecki, Roch Rupniewski, Recess Wątróbka i Stanisław Worcell. Na wyspie Jersey zawiązała się Gromada Humań.

Dn. 6 października 1835 roku Stanisław Worcell wszedł do organizacyi polityczno-społecznej—Lud Polski; dn. 12 kwietnia 1840 r. wypisał się z Gromad.

„Wypisawszy się z Gromad—pisze monograf jego—Worcell nie przestał być socyalistą. Powstrzymawszy się w swym biegu, nie cofał się coraz bardziej wstecz, jak to czyniło wielu. Zachował te przekonania, do których doszedł był, lecz stał się bardziej wyrozumiały dla innych, mniej skory do upatrywania tego, co dzieliło, chętniej szukał tego, co łączyć mogło. Mniej zważał na formę, wnikał bardziej w treść samą. Oto, jak tłómaczy swoje wykreślenie się z Gromad a przystąpienie do Zjednoczenia: „Żołnierze Grudziądza—opowiada—wezwali od Jersey pomocy a pomiędzy innymi i ja przybyłem im służyć. Wcieliłem moją oddawna zaprzysiężoną zasadę: dla ludu przez lud, i myśl ludową ogłosiłem wraz ze współpracownikami moimi za podstawę polskiej jedności emigracyjnej. Formą tej myśli były gromady i dopóki myśl ta w inną się nie przyoblekła, byłem wierny tej formie. Lecz, gdy się okazała zbyt ciasną dla zbierającej się około zasad ludowych większości emigracyjnej; gdy Zjednoczenie dało dostateczne dowody swych demokratycznych dążeń, a usiłowania moje ku wcieleniu gromad w jedność emigracyjną daremnemi się okazały, porzuciłem formę i poszedłem za myślą, wstąpiłem do Zjednoczenia, żadnego z moich przekonań nie wyrzekając się, nie przestając ani na chwilę kłaść za podstawę odrodzenia Polski przeobrażenie społeczne, zbudowane na zasadzie ludowego wszechwładztwa, uległego nauce obowiązków, przepisanych mu przez Boga.“

Wyznanie to odpowiada w zupełności założeniu, powziętemu przez autora monografii w momencie, gdy do pisania jej przystępował. Co więcej: było ono szczerem w ustach Worcella i jako takiem monografista ma prawo posługiwać się w znaczeniu świadectwa, odnośnie do założenia pracy swojej. Uwzględnić jednak należy warunki, w jakich wyznanie to nastąpiło.

W pochodzie swoim przekonaniowym, na zasadach opartym, Worcell, jak Mickiewicz, jak poeci „urodzeni“ (poeci rodzą się) wrażeniami się kierował. Według wrażeń brał na siebie obowiązki służbowe, którym pozostawał wiernym, póki się nie zniechęcił. Zraził go Sejm polski w Paryżu, zraził Komitet Dwernickiego wraz z Konfederacyą, zraził Ogół londyński. Wrażenie—po zawodach tych — wskazuje mu zasadniczej demokratycznej myśli jego, „dla ludu przez lud,“ wcielenie w Gromadzie Grudziądz, do której wchodzi w towarzystwie wyznawców socyalizmu tej miary, co Tadeusz Krępowiecki, Seweryn Dziewicki, Aleksander Gronkowski, Roch Rupniewski, Recess Wątróbka. Byli to ludzie w sile

wieku, wykształceni, uzdolnieni, przejęci tą samą, co Worcell, myślą: potrzeby reformy społecznej, na ludzie opartej lecz innego, odmiennego — że tak się wyrażę — niż on gatunku psychicznego. W myśli jego przeważała pierwsza połowa: „dla ludu“; w myśli ich druga: „przez lud.“ Myśl jego przenikał zaczyn ofiarności, nie uwzględniającej „ja“ własnego; w myśli ich jaźń nie pozwalała przypuszczać, by „on“ lepiej i piękniej „ode mnie“ czynić był w stanie. Typu tego osobnikiem wybitnym był Ludwik Mierosławski, który uwielbieniem samego siebie zakończył. Typ ten przebija się obecnie wśród Rusinów ukraińskich w Galicyi, działających „przez usiczowiany i hajdamaczony lud.“

Worcell służył zaagitowanemu ludowi w żołnierstwie grudziądzkiem; współpracownicy jego ludem tym się posługiwali i dlatego wśród nich urobiło się współzawodnictwo, podszyte podejrzliwością i wytwarzające intrygi, które ostatecznie zmusiły go do ustąpienia z Gromad. O tem szeroko i objektywnie opowiada B. Limanowski w życiorysie (rozdz. XIII).

Zasługi Worcella w socyalizmie ograniczają się na zamieszczonem w całości w „Ludzie polskim“ (wydanym przez Zenona Świętosławskiego, a zawierającym wszystkie od 1835 — 1846 r. odezwy, korespondencye i protokóły Gromad Grudziądz, Humań— na wyspie Jersey i Praga w Londynie) opracowaniu p. t. „O własności.“ Jest to rozprawa na zadany temat, napisana poprawnie, nie zawierająca w sobie nietylko nic nowego, ale i nic takiego, coby, zalecając się urokiem stylowym, pozwalało autora zamianować „krzewicielem“ nauki. Miano to zapóźno mu przychodzi. Socyalizm polski, proklamujący ojcem swoim Mickiewicza w czasie przeprowadzania zwłok jego z Montmorency do Krakowa, wątpię, ażeby co wówczas o Worcellu wiedział. Drugiej zaś jego rozprawie, „O narodowości,“ socyalizm ortodoksyjny do zarzucenia by miał dużo. Uznawanie przezeń w rozprawie tej państwa, jako gniazda ojczyzny dla narodów, do dogmatów socyalizmu nie należy.

Takim socyalistą był on przed wnijściem do czyśćca socyalistycznego i po wyjściu z onego dla powrócenia pod skrzydła „matwanin Lelewelizmu“ [1]), przewodniczącego nominalnie demokratyzmowi szlacheckiemu Zjednoczenia.

---

[1]) Wyrażenie z Manifestu Gromady Grudziądz, który spowodował wstąpienie Worcella do Ludu Polskiego.

Takim był socyalistą, takim demokratą *pur sang*.

Takim go poznałem w 1850 r., kiedym w łachmanach, jako rozbitek podwójny (wojenny z Węgier 1848—49 r. i okrętowy z morza Śródziemnego w 1850 r.) przed nim, członkiem Centralizacyi Tow. dem. pol., w Londynie stanął. Zaznajomiliśmy się. Spędziłem z nim — pod jego, powiedzieć mogę, dyrekcyą moralną — miesięcy piętnaście. Przystaliśmy do siebie tak, że mam prawo przyjaźnią jego się szczycić i o jego, we mnie przelanych, przekonaniach polityczno-społecznych ze świadomością rzeczy mówić.

Zadanie to ułatwi mi treściwe skreślenie stosunków naszych ze stronnictwami angielskiemi i wychodztwami zagranicznemi. Ze stronnictw angielskich w stosunkach najściślejszych pozostawaliśmy z Chartystami; z wychodztw—z wychodztwem francuskiem, któremu przewodniczył Ledru-Rollin i z osobami, wchodzącemi do Komitetu centralnego Demokracyi europejskiej: Mazzini (Włochy), Ledru-Rollin (Francya), Arnold Ruge (Niemcy), Jan Bratiano (Rumunia). Socyalizm francuski przedstawiał Ludwik Blanc; z nim z Polaków trzymał Sawaszkiewicz, a sympatyzowała gromadka z resztek dawniejszych Gromad, bez znaczenia i wpływów, otaczająca Kryńskiego i wydająca od czasu do czasu nieczytywane odezwy. Nie liczono się z nimi wcale.

Garstka wrażeń Worcella z czasów służby jego w Gromadach przechowała się mi w pamięci, z racyi poznania się u niego z człowiekiem wielkiego poświęcenia, bezgranicznej ofiarności, duszą całą i sercem całem oddanym idei zbawienia ludzkości przez Gromady Grudziądz i Humań: Zenonem Świętosławskim.

Zabranie z nim znajomości nastąpiło skutkiem niemożliwości wystarania się dla mnie paszportu do Paryża. Jako oficer z legionów polskich na Węgrzech, należałem do ludzi, pozostających w czasie owym pod interdyktem. Nie wolno mi było deptać gruntu francuskiego, gdyż na równi z kolegami moimi byłem posądzany o gotowość wzięcia udziału w rewolucyi, nieochybnej w razie, gdyby owoczesnemu prezydentowi rzeczypospolitej, księciu Ludwikowi Bonapartemu, synowcowi cesarza Napoleona, przyszła ochota o spadek po stryju się upomnieć. Podejrzewano go o to— słusznie, jak się później pokazało; ale co do nas, nie miano cienia słuszności. Codziennie zdawałem sprawę Worcellowi z zabiegów moich, celem wyszukania paszportu; aż raz, gdym z niczem do niego przyszedł, oznajmił mi, że napisał do Świętosławskiego, polecając mu mnie, jako Ukraińca.

— Czyż to na niego podziała?...—zapytałem.
— O!... i jak... Humańczyk...—odrzekł.
— Z Humania rodem?...
— Gromadę „Humań“... założył.

O więcej szczegółów, z rodowodem jego styczność mieć mogących, nie dowiadywałem się ani wówczas, ani później, tem mniej później, spotykałem się bowiem z osobistościami, rodem z Ukrainy, noszącemi nazwisko Świętosławskich, do blizkiego z nim pokrewieństwa przyznającemi się. Na razie zaciekawiła mnie mocno „Gromada Humań.“ Worcell objaśnił mnie, że była to filia Gromady Grudziądz, nadanie zaś jej nazwy miało podkład ultra-socyalistyczny, oznaczający uznanie kary, przez szlachtę wywołanej, przez lud ruski wykonanej. W znaczeniu tem zbrodnia na Potockich, Młodziejowskich, nie na Żelezniakach i Gontach ciąży. Objaśnienia swego nie akcentował Worcell uznaniem dla „sprawiedliwości ludowej,“ tylko znajdował dla niej okoliczności łagodzące w poduszczaniach z zewnątrz, wyzyskujących ciemnotę i krwiożercze natury dzikiej popędy.

Nazajutrz znaleźliśmy się w mieszkaniu Worcella we trzech, około 9 rano. Świętosławski osobiście dla mnie paszport przywiózł. Spędziliśmy razem godzin kilka. Poznałem z widzenia jeno tego surowego, groźnego sędziego pod postacią człowieka szczupłego, znękanego, cichego i głębokim nacechowanego smutkiem. Gdym wszedł, wstał, rękę mi podał, cofnął się, usiadł i monosylabami lub krótkimi okresami odzywał się do Worcella, ze mnie zaś oka nie spuszczał — co mi mocno zawadzało. W rozmowie udziału prawie nie wziąłem. Na odchodnem z Worcellem się pożegnał, do mnie się zwrócił, za dłoń mnie ujął i w oczy mi ostro patrząc, z całej ją uścisnął siły.

Człowiek ten żywo mnie zainteresował.

Za udzielonym mi przezeń paszportem pojechałem do Paryża po to, ażeby po kilku dniach pobytu być z tego, wedle Wiktora Hugo, „miasta-słońca“ *(ville-soleil)* wygnanym. Do Londynu powrócić musiałem, a tak przed wyjazdem, jak po powrocie, wszystkich, z kim w bliższych znajdowałem się stosunkach, Worcella, Sztolzmana, Feliksa Nowosielskiego, Ludwika Oborskiego i in., na opowiadanie mi o Zenonie Świętosławskim wyciągałem. W opowiadaniach tych przeważała strona anegdotyczna. Nie brano na seryo ani jego, ani Gromad Grudziądz i Humań. Wyjątku we względzie tym Worcell nie stanowił — Worcell, którego Z. Świętosławski przyjacielem i wielbicielem (jak się o tem w „Ludzie

Polskim“ przekonać można) był, a który, jak wszyscy inni, pozwalając sobie na żartowanie ze Świętosławskiego i z Gromad, sprawiedliwość mu we względzie tego wszystkiego, co cnoty i wiary miano nosi, oddawał. Był on wcieleniem wiary a socyalizm religią jego.

Na socyalizm inaczej, niż na wiarę dogmatami zasilaną, zapatrywać się nie można. Gromady, w dążeniu do uszczęśliwienia ludzkości, nakreśliły p. t. „Ustawy“ obraz wszechpaństwa teokratycznego, na modłę „jednej owczarni i jednego pasterza,“ pod nazwą „Kościoła Powszechnego“ („Lud Polski,“ str. 277), ze stolicą na przesmyku Suez (jeszcze wówczas nie przekopanym). Państwo podzielono na „narody,“ narody na „województwa,“ województwa na „powiaty,“ powiaty na „gminy.“ Miało ono ludzkość uszczęśliwiać za pomocą ultra-katolicyzmu i ultra-socyalizmu. W zastępie dwóch gromad polskich na gruncie angielskim, Worcell lat kilka zajmował służbowe, Świętosławski zaś od początku do końca arcykapłańskie stanowisko. Worcell, jako służbista sumienny, pełnił swój obowiązek sumiennie, ku zadowoleniu służbodawcy, którym była zasuggestyonowana przez wymownych agitatorów szczuplutka gromadka ludu. Istniała ona i zanikła, nie pozostawiwszy po sobie ani ludowi, ani narodowi żadnego przekazu socyalistycznego.

I byłaby o niej pamięć znikła, gdyby nie Świętosławski.

Świętosławski w dobie, gdy dla przywiezienia mi paszportu do Londynu przyjechał, oderwał się był od żmudnej i ciężkiej pracy nad przekazaniem ludowi, narodowi polskiemu i ludzkości przekonań, którym życie poświęcił i dla których mienie stracił. Owoc pracy jego w cztery lata później (1854 r.) wyszedł w Jersey, w drukarni przezeń założonej, № 19 Dorset-Street. Więc—pytanie:

Kto słuszniej—Stanisław Gabryel Worcell czy Zenon Świętosławski—na zaszczytne miano „najpierwszego krzewiciela socyalizmu w Polsce“ zasługuje?

Wobec pytania tego i moje świadectwo coś, bodaj trochę, znaczy z tej racyi, że Worcell, członek Centralizacyi Tow. dem. pol., mnie na emisaryusza nie socyalistycznego lecz demokratycznego pasował.

Myli się przeto autor życiorysu Worcella.

Worcell, drogą wrażeń idąc, wypadkowo w gniazdko socyalistyczne zboczył i w niem, niby w czyśćcu pobywszy, do demokratyzmu rzetelnego powrócił, do demokratyzmu takiego, jakim

się w obcowaniu z nim przejąłem. On dwóch takich, jak Lelewel i Mazzini, mistrzów uczeń i wielbiciel, mógł od socyalizmu słuszne podniety i dodatnie postulaty przejąć, lecz w socyalizmie wytrwać nie mógł.

Tytuł krzewicielstwa socyalizmu nie jemu, lecz narzucającemu się uczonym naszym na postać, zasługującą na głębokie studyowanie psychologiczne, Zenonowi Świętosławskiemu się należy.

Z. Miłkowski.

Listy do Niej.

„...On był przeznaczony na ofiarę—nawet na ofiarę serca...“
(Słowacki: „Anhelli“).

Pani Genowefa siedziała w oknie, otwartem na perspektywę wązkiej uliczki Gheerwijn, z wieżą Beffroie, majaczącą w głębi, we mgle deszczowej. Bruges układało się do snu, z sennym na cichych licach uśmiechem. Uliczka wypełniona była ciszą, niby muszla szumem; w powietrzu, wraz z przędzą deszczową, unosiła się nostalgia bez nazwy, bez końca. Wieczór smutny, październikowy, wieczór beznadziejnie długi i pusty, niosący w sobie żal rzeczy przeszłych, przepadłych na zawsze. Wieczór taki, jaki był wczoraj, i jaki będzie jutro w Bruges — umarłem.

Zda się, Czas zapomniał o cichem, martwem mieście, bo już oddawna jednostajna melodya wieżowego kuranta nie odmierzyła godzin smętnych i pustych. A może nie słyszała ich pani Genowefa, zasklepiona w swej martwej zadumie? Może dzwoniły, jak zwykle, co kwadrans, z wysokiej wieży Beffroie, dając sygnał innym dzwonom we wszystkich starych kościołach, aż hen, po okopy miasta—dzwonom kurantowym, których jednostajny, mglisty głos, był jak ten deszcz nieskończony, zasnuwający miasto?...

Duszę pani Genowefy wypełniał smutek bierny, spokojny, jak spokojnym był kanał pod jej oknem, po którym nie przepłynęła łódź i wzdłuż którego od całych kwadransy nie przesunął się przechodzeń.

Była dzieckiem Bruges, nieodrodnem dzieckiem, które bierze z matki nietylko rysy, ale i duszę. Zaiste, była jako wieża, jak most, jak bulwar, jak drzewo beguinage'u, częścią składową Bruges, niemą, kamienną w swym smutku; a smutek ten nie był in-

dywidualny, nie płynął z głębokich źródeł duszy—był raczej wielkim, powszechnym smutkiem miasta umarłych. Słodka i skupiona, jak niewiasty Memlinga, i tak młoda jeszcze w ramie siwiejących *bandeaux à la vierge*...

Dusza jej zapatrzona była w siebie, jako dom gotycki zapatrzony w swe odbicie, drżące w wodzie Reji. Było jej dobrze w tej wegetacyi, z tem zapatrzeniem się, które nie było niczem innem, jak estetycznym egoizmem. Lubiła tak trwać bez ruchu, bez woli, z bezczynnemi rękami i dumać spokojnie o swojej żałobie.

...Martwe powietrze miasta przeszył dźwięk mosiężnej godziny, po którym, jakby płacząc po rzeczach i chwilach przemijających na zawsze, posypały się mnogie, kryształowe łzy cichego kurantu. Był to głos Beffroie, nieruchomej we mgle deszczowej, w perspektywie wązkiej uliczki. Odpowiedziały mu głosy innych dzwonów — innych godzin, tak samo niepowrotnych...

Pani Genowefa drgnęła, jakby to był sygnał, który jej dało miasto, jakby to był głos, który budził jej wolę uśpioną, a przez sen czuwającą, jako czuwa ból chorego, choć chory śpi. A przecież to była godzina, jak inne, ta sama, która wczoraj biła i która bić będzie jutro o tym zmierzchu beznadziejnym, który w całun żałobny spowija miasto, miasto, w którem wszystko drzemie w odrętwieniu, w którem, zdawaćby się mogło, niema głębokich dramatów, wstrząsających kataklizmów, żywiołowych namiętności, niema miłości, ani śmierci, jest tylko przesmutna ciągłość trwania chwil i rzeczy szarych, sennych — jest Nuda...

Pani Genowefa otrząsnęła się.

Zrobi to *dziś*...

Dziś — dziwny, tajemniczy wyraz w tem mieście, które jest *wczoraj*, w tem Mieście Przeszłości, którego racyą istnienia, poezyą, duszą, jest *wczoraj* mistyczne, które jest piękne dlatego, że jest tak mało rzeczywiste, tak całkiem w marzenie zaklęte...

Dziś...

Podeszła do biurka. Na biurku leżała jeszcze ta sama paczka z książkami, którą otrzymał nieboszczyk w dzień swojej śmierci i ten sam list z kraju. Sznurek obwiązujący paczkę i koperta listu były rozcięte jeszcze jego ręką, ale ani książki, ani list nie były już czytane... Przez pietyzm, pozostawiła je tak nietknięte od owego dnia, i w całym pokoju od dwóch lat nie przesunęła ani jednego sprzętu. Był takim, jak w owej chwili, gdy Żywicki upadł na fotel w ataku śmiertelnego kaszlu. Czasami, wsuwała się do niego cicho, na palcach, jakby zbudzić nie chciała ducha

Żałoby, który w nim drzemał, i delikatnie ściereczką zbierała kurz z szaf bibliotecznych, w których książki w obcym dla niej języku patrzyły na nią, jak obcy ludzie, z półek, na których stały gipsowe biusty nieznanych jej wodzów i wieszczów, z obrazów, przedstawiających nigdy przez nią nie oglądane krajobrazy ziemi dalekiej, smutnej i nieszczęsnej, z której pochodził Żywicki. Nad biurkiem, w ciemnych ramach, wisiało kilka fotografij wypełzłych — młodych ludzi o bystrem, uduchowionem spojrzeniu, w czamarkach i konfederatkach, jakieś sylwety księży, parę sztychów ze scenami obozowemi, jakiś przesmutny krajobraz cmentarza w zimie, z przesuwającemi się w dramatycznym pochodzie pięciu trumnami. Nieraz stawał przed nimi w zadumie, szepcąc coś do tych mar młodości słowami, których nie rozumiała, wiedziała tylko, że są beznadziejnie żałosne. Z nich to kurz ścierała najostrożniej, czyniąc to tak, jakby zmywała krew z ran bolesnych, niezabliźnionych...

Otworzyła jedną z szuflad biurka z sercem struchlałem, namacała ręką, pod całym stosem papierów, listów, broszur, znajomą tekę. Wzięła ją w posiadanie dygocącemi rękami, jak łup; drapieżnie wyrwała z niej listy—kartki ulotne, zapisane ręką nieboszczyka. Nasycała ich widokiem oczy cofające się i zarazem wyrywające ku nim — ku listom do Niej...

*

* *

Leżał owego wieczoru na fotelu, charcząc, konając i ostatnim wysiłkiem wskazał tę szufladę, kazał wysypać całą jej zawartość na swe kolana, które już wstrząsał dreszcz agonii. Pamięta każdy jego ruch, każde słowo, każde westchnienie. Zapadł jej w duszę na zawsze obraz tych godzin ostatnich, wraz z najdrobniejszymi, mało znaczącymi szczegółami, które majestat śmierci uczynił pełnymi wagi, symbolów, pełnymi niedocieczonego, głębokiego znaczenia. Widzi całą trywialną i całą wzniosłą prawdę śmierci, a dusza męża, ciemna dla niej zawsze, nieodgadniona, nabiera jeszcze więcej tajemniczości, przeraża ją.

— Nie znałam cię i nie poznam...—czuje w sobie wątpliwość tamtej godziny.

Wskazał te listy, uczynił ręką jakiś gest tajemniczy, usta chciały wymówić jakieś hasło, przed którem rozwarłyby się wreszcie bramy duszy milczącej... Ale nie zdołał już. Skonał w geście niezrozumiałym, zabrał sens jego tajemny ze sobą do grobu— ale pamięć o nim została jej w oczach, w duszy, we krwi — żyła z tą tajemnicą.

— Nie znałam cię i nie poznam...—czuje w sobie wątpliwość utrapioną, wątpliwość—mękę, wątpliwość—wyrzut.

*

* *

Nie nauczyła się jego mowy, choć żyli ze sobą lat dziesięć i obcą jej była historya ziemi, której był synem. Ojczyzną jej było Bruges, zadumane o swej niegasnącej urodzie, o swym zewnętrznym, estetycznym smutku, gdzie ją poznał i pokochał, i pragnęła, aby umęczoną, zgorzkniałą, steraną swą duszę, miastu ciszy i modlitwy powierzył. Przyjęła bez uczucia szczęścia, bez olśnienia jego młodą miłość. Bezzmysłowe jej ciało oddało mu się bez żadnych zastrzeżeń, bez żadnych komplikacyj uczuciowych, ale też i bez ognia pierwszej chwili, w której odczuło jego pragnienie. Została jego kochanką biernie, bezmyślnie, z lekką dozą sentymentalizmu, jak zawsze czyniła wszystko. O wiele później, gdy Żywicki w momencie naiwnej ekspiacyi chciał odkupić swoje młode uniesienie i pojął ją za żonę, poczęła idealizować to swoje bierne oddanie. Tłómaczyła się sama przed sobą, że uczyniła to z religijnej potrzeby poświęcania się, z głębokiej, bezbrzeżnej litości. Litość — ów blady, bezwonny kwiat serca, wyhodowała w niej cieplarniana atmosfera duchowego sybarytyzmu. Chciała go zbawić od cierpienia, od tego nieznanego jej cierpienia, które taiło się na dnie jego dziwnie smutnych oczu, nawet w chwilach najgorętszych ekstaz miłosnych!

To cierpienie wyczuwała po kobiecemu, bez krytycyzmu, bez rozwagi, serce swe, maleńką cząsteczkę swej sentymentalnej uczuciowości, a nie całą siebie, niosąc na pomoc — serce senne, zatopione w kontemplacyi nad sobą, jako się kontemplują drzewa, odbite w kanale... Litowała się nad nim zupełnie powierzchownie. Nigdy nie pomyślała nad tem, jaką ulgą dla niego byłoby jej współcierpienie, jej rozumiejące słowo. Nie uczyniła nigdy

jednego kroku ku jego duszy mrocznej, gorzkiej zamkniętej w sobie, ku duszy wygnańca, którą zabija powietrze obcej ziemi. Była i pozostała córą Bruges — nie chciała innej ojczyzny. Nie ona iść winna ku niemu, ku jego ojczyźnie, ku jego miłości, która jest męką i niedolą, ale on winien iść ku niej, ku jej miastu Ciszy, Litości i Zapomnienia.

*

* *

Prawie nie znała jego przeszłości. Wiedziała tylko, że młodość miał burzliwą, szczytną i krwawą, że się bił za wolność swej ziemi i że go losy z tej ziemi na obczyznę wygnały na zawsze. To było wszystko, co wiedziała. Poznała go przypadkiem w jednym ze starych kościołów, w którym modliła się w ekstazie, zapomniawszy o całym świecie, a on z mądrem zamiłowaniem oglądał rzeźby i obrazy, całą pyszną puściznę średniowiecza. Pokochał ją za to, że miała smutne oczy i chłodne, kojące ręce i że nosiła słodkie, archaiczne imię świętej mistycznej: Geneviève...

Osiadł w Bruges na zawsze, uczynił to bez żadnej logicznej przyczyny i celu, może tylko przez dobroć serca, aby jej z ojczyzny nie wyrywać, bo wiedział, jak gorzką jest tęsknota... Zresztą, gdzie zamieszka, było mu wszystko jedno. Wiedział, że pozostanie sam—do śmierci.

Żyli przy sobie, nie ze sobą. Każde z nich miało w sercu swoją własną miłość. Jej miłością było miasto mistyczne, w którem żył Memling ze swymi kolorowymi snami o św. Urszuli, które zostały na wieki w szpitalu św. Jana, miasto z cudowną, przebogatą w freski kaplicą Krwi świętej, która burzy się czasem na znak cudu w swym kryształowym kielichu, miasto, którego senne kanały i zaułki budzą się tylko na dźwięk muzyki świetnej, barwnej procesyi ku czci Najświętszej Panienki, w której szeregach kroczy całe Bruges, chwaląc ją śpiewem; miasto, w którem dzwony z wysokich wież smętniej biją i zgodniej, niż gdziekolwiek na świecie... Miłością jej był cały przepych pięknych obrazów, nabożeństw, rytuałów — kult, który wyznawać się tu zdają nietylko ludzie, ale i drzewa, i domy, bowiem drzewa, pochylone wiatrem, który wieje od dalekiego morza, pochylają się, korzą w modlitwie, a w wązkich uliczkach często madonna ze swej ka-

miennej niszy w narożnym domu, wyciąga ku przechodniom swe litosne ręce.

Jego zaś miłość milcząca była, gorzka, głęboko skryta w sercu. Nie mówił o niej nigdy wyraźnie, bo i po co? Jak mówić o niej w innym języku, niż w tym, w którym ją wielbili wieszcze narodu? Jak mówić do istoty, która języka tego nigdy uczyć się nie chciała, czyniąc z uporu tego niejako symbol wieczystego między nimi rozdziału?

— Obcą mi będziesz dopóty, dopóki nie nauczysz się mej mowy...—mawiał jej ze smutkiem.

I przywiązał się do tej myśli. Poprzysiągł sobie, że tego dnia, w którym ona do niego przemówi po polsku, duszę przed nią otworzy...

*

* *

A ona, w swej bezmyślnej apatyi i w odruchowej dobroci swego wiecznie dziecięcego serca, sądziła, że spełnia cały miłosny obowiązek, dając mu ciszę swego serca i łagodny smutek miasta — owe dwie rzeczy, które, zda się, posiadały wartość jedną i znaczenie jedno, które przetapiały się jedna w drugą, jak to czynią dusze rozkochane w sobie bez pamięci uczuciem prawdziwej miłości... Ona—i Bruges... Niby rodenbachowski sen o „Bruges la morte," naprawdę w jej życiu wyśniony, w jej stosunek do duszy męża zaklęty...

Niechaj ją kocha i widzi w mrocznym, smętnym, dobrotliwym uroku miasta, a Bruges niech kocha przez nią, niech cichym domom, drzewom, dzwonom i wodzie, niby kobiecej duszy, bezmiernie oddanej i współczującej, powierzy swe skołatane serce...

I nie spieszyła się do chwili rozwarcia tej jego duszy niemej i gorzkiej. Zwlekała z dnia na dzień naukę tego języka, w którym Żywicki mówił ze swym duchem w długie, nostalgiczne wieczory — samotny, choć siedziała przy nim ze swą twarzą matową, z bezczynnemi rękoma.

Gdy śmierć go zabrała, wraz z tajemnicą jego żałosnego milczenia, nie pogłębiło się jej przywiązanie tem wieczystem rozstaniem, nie wybłękitniała, wyszlachetniała tragiczna postać wygnańca w jej wspomnieniu, nie zapragnęła go poznać, aby go

odzyskać... A jednak postanowiła uczynić to, z czem się ociągała długich lat 10: postanowiła uczyć się po polsku. Nie czyniła jednak tego, by się do niego zbliżyć, bo przeciwnie, czuła, że posiadłszy tajemnicę duszy jego milczącej, będzie może musiała oddalić się od niego na zawsze... Czysto egoistyczne były pobudki jej czynu i nie miłość ją natchnęła, ale małostkowa niechęć i niewiara. Tak, nauczy się jego mowy, ale nauczy dlatego jedynie, by przeczytać te listy niewysłane, które zostawił, których zniszczyć nie zdążył... (tak sobie wreszcie wytłómaczyła jego gest ostatni, niezapomniany). Przeczyta je wszystkie sama, bez niczyjej pomocy. Ślęczyć będzie nad metodą języka, nad trudną, ciężką gramatyką, tak obcą jej mowie płynnej, śpiewnej, [1]) i tej drugiej, jakby bardziej rdzennie ojczystej, [2]) w której stare dewotki szepcą po kościołach swe pacierze. Włożyła w tę pracę jakąś pasyę, obcą dotąd jej duszy wpółsennej.

Wydało jej się, że ma już w ręku klucz tajemnicy i że drzwi do niej wiodące na rozcież otworzy. Z tych paru wyrazów polskich, które znała, wnioskowała, że listy pisane były do jakiejś istoty bardzo kochanej, straconej i nieszczęśliwej, a której Żywicki na obczyźnie, nawet przy boku kochanej żony, zapomnieć nie mógł... Powtarzające się na kartkach słowa: Ty, Tobie, z Tobą, dla Ciebie, bez Ciebie i związany ze słowami temi obraz jakiejś przecudownie pięknej twarzy kobiecej, napełniały jej drzemiące serce głuchą urazą...

Dziwna była ta zazdrość o przeszłość, zazdrość retrospektywna u tej starzejącej się już, siwiejącej kobiety, a niemniej mocna i żywiołowa, jak zazdrość zmysłów i młodej krwi. Było to uczucie zgoła beznadziejne, cóż bowiem mogło się zmienić dziś w jej duchowym stosunku do męża, który leżał pod ziemią Flandryi, na cichym cmentarzu Bruges, pod osłoną wierzb i topoli? Co mogło zmienić się dziś, jeśli nawet dowie się, kim była ta Daleka, co tak bolesną i gorącą miłością przepaliła serce wygnańca?

*

* *

[1]) Francuskiej. [2]) Flamandzkiej.

Zapaliła lampę, która nie paliła się od dnia śmierci Żywickiego, ale po paru sekundach lampa zgasła w bolesnych drgawkach, które jej w ohydnie plastyczny sposób przypominały agonię męża. Więc zbliżyła się do otwartego okna, przez które sączyły się resztki bladego światła, uciekającego przed zmierzchem i pochyliła nad mętną wodą kanału. Przez chwilę marzyła z głuchą zaciekłością, że listy te, pisane ręką nieboszczyka, rzuci w martwą wodę, ciśnie je jednym ruchem ręki szalonej precz od siebie — i dalej nic wiedzieć nie będzie i dalej będzie się łudzić, że była jedyną miłością Żywickiego, bo może ułuda dawniejsza lepsza jest od prawdy, którą za chwilę posiądzie?

Sądziła przez krótką chwilę, że tak uczyni, przerażona myślą, że trzeba będzie całą przeszłość na zawsze przekreślić. Maleńka, zapatrzona w siebie jej dusza, nie rozumiała, że tego, co było, w co kładło się swą duszę, swą wiarę, jeśli naprawdę *było* w tej duszy i w wierze, nietylko w rzeczywistości—niczem i nigdy przekreślić nie można...

Ale nie rzuciła listów...

Przemówiła do siebie parę wyrazów głośno, wyraźnie, w nowym języku, który z takim mozołem, z taką zawziętością posiadła. Powiedziała:

— Idę ku Tobie. Czekałam długo na tę chwilę. Chcę Cię zrozumieć.

Powiedziała je poprawnie, głośno i głos jej własny dobiegł ją jakby z zewnątrz. Zarazem miała wrażenie, że wstąpiła w nią jakaś inna mądrość, jakaś wyższa wiedza, jakby z brzmieniem nowych wyrazów zmieniał się duchowy jej stosunek do męża...

*

* *

Pierwszy list, kreślony ręką Żywickiego, który wzięła do ręki, mówił:

... „Dusza moja przepełniona jest miłością dla Ciebie. Jedną żyłem myślą, a tą myślą była myśl o Tobie. Umierałbym z uśmiechem na ustach, gdybym wiedział, że Tyś to śmierć mi zadała, na polu bitwy, kulą w samo serce. Rozłączenie sprawiło, iż wyidealizowałem Cię, iż ujrzałem w Tobie Świętą Męczennicę, jaką w swych snach kolorowych kochał Memling. Może to i do-

brze, że już przed śmiercią do Ciebie nie wrócę i duszy Twej, zmienionej tragizmem lat ostatnich nie ujrzę. A jednak chciałbym przed zgonem pobiedz do tej ziemi, „gdzie pola kośćmi siane, las szumi pieśń cmentarną, a rzeki, łzami wezbrane, przez ziemię płyną czarną“...

„Chciałbym Ci dalej służyć mą tęsknotą, mym bólem, gdy krwią Ci służyć nie było danem, Ty Kochanko mej młodości, o której zapomnieć nie mogę, choć odszedłem daleko. Serce me spocznie na cichym cmentarzu pod osłoną wierzb, które przerzucą swe gałęzie po przez mur cmentarny, aby módz patrzeć wiecznie w smutne oczy kanału. Tym ruchem przerzuciły się wierzby przez mur mego ogrodu, aby szumieć nad raszyńskiemi polami, które się rozciągały obok ziem moich... Dusza wróci do Ciebie, lecieć będzie w tęsknocie przez obszary świata i do stóp Ci padnie...

„Niezapomniane słowa Zygmuntowe ze „Snu Cezary!“ Odczytałem je dziś raz jeszcze:

„A gdym drugi raz spojrzał, uczułem, że kocham ją — i zdało mi się, że idę za nią w świat mi nieznajomy; gdzieś, pośród mgieł jesiennych, gdzieś w puszcze stroskane, kędy słychać potoków przesłonionych szumy, kędy liści zżółkłych kręcą się tumany i orzeł jakiś krwią zbroczony, mgłę przecinając, prowadzi panią swoją.

„A ona stąpa zawsze równie blada i lekka i piękna, zawsze równie samotna i smętna i dumna, zawsze do snu podobna, a jednak widna ciągle, ciągle błądząca w milczeniu, a ja strzegę jej wiecznie... I gdzie ona pójdzie, tam i ja pójdę, i gdzie ona spocznie, tam i ja usiądę, i gdzie ona zniknie, tam i ja zniknę z nią razem...“

. . . . . .

... Pani Genowefa rozumiała każde słowo. Były wypukłe, wyraźne, zupełnie jasne. Rozumiała słowa... Ale dusza tych słów, jak wtedy, gdy ich jeszcze nie znała, pozostawała jej obcą...

Obcym jej był dalej ten człowiek, marzyciel i poeta, którego wykołysała doba romantyzmu, którego rozpłomieniły przykłady szczytnego bohaterstwa, ten emigrant, który, nie mogąc żyć na ukochanej ziemi, żył wśród swych egzaltowanych, pełnych patosu snów o tej ziemi... Obcą jej była ta dusza starca dziecięco naiwna, poetyczna do głębi, do dna. Zagadkową dla niej pozostała ta miłość namiętna, w której nie odczuła całej poezyi, całej ab-

strakcyjności, całego tragizmu, całej wzniosłości—zobaczyła tylko—obrazę dla siebie...

Czytała dalej. Listów było dużo, pisanych na ulotnych kartkach, jakby rzeczywiście dojść miały kiedyś rąk, dla których były przeznaczone... Była to jedna więcej naiwność marzyciela.

... „Chodzę po Bruges — umarłem i o Tobie umarłej myślę, która nią jednak nie jesteś, bo żyjesz w mem sercu, w mej tęsknocie. Wybija godzina na wysokim Beffroie, którego korona lekka, kamienna, jest jakby koroną na zadumane czoło Bruges włożoną—wybija poważna godzina, a po niej płynie cały korowód cichych kurantów, cichych i białych, jak łabędzie, płynące wzdłuż śpiącej wody kanału Różańcowego...

„W mojem sercu nie biją godziny, odkąd rozstałem się z Tobą! Skazówka stanęła w godzinie rozstania—bo bez Ciebie niema dla mnie Czasu, ani Życia! Ale kurant serca mego dzwoni i dzwoni i jeszcze w godzinie śmierci nieść się będzie po przez najmroczniejsze zaułki duszy mojej—bo tym kurantem niemilknącym jest głos mojej tęsknoty!

... „Miłość ma wielka jest, smutna i niewzruszona, jak woda *Minnewater:* jeziora miłości... Chodzę nad tem jeziorem, patrzę na wierzby pochylone nad wodą i myślę o wierzbach mojej ziemi, mego ogrodu, z którego był widok na raszyńskie pola...

... „Chwilami dobrze mi tu, w tem mieście, które jest symbolem Przeszłości, żyjącej wiecznie i wiecznie się odradzającej. Chwilami jest mi tu wprost dobrze... Niema kontrastu między mą duszą *pamiętającą*, a miastem, którego każden szczegół jest hymnem na cześć Przeszłości, miastem, które potęguje i uszlachetnia moją tęsknotę za Tobą...

„Z Tobą to chodzę wzdłuż kanałów Zielonego, Augustynów, Złotej Ręki, po kamiennych bulwarach, pod zadumanymi platanami, które mają swój drugi byt we śnie, jakim jest woda, i Tobie mówię o mej tęsknocie... Blizki Tobie jestem tych chwil tułaczych, boś Ty jest Panią tego smutnego miasta, gdzie wieczny gości Zmierzch i wieczny Żal, bo o Tobie myśleć tu muszę, Ty stracona, a tak wierna, Ty nieszczęsna, a tak dumna!“

... Głowa pani Genowefy opadła na ręce, w których list trzymała. Papier zaszeleścił i to ją zbudziło. Z oczu, które czułostkowość czyniła zawsze bezbronnemi, płynęły łzy na twarz zawiędłą, płynęły ciche, równe, żałosne, jak dźwięki melodyi wieżowej, która znów się ozwała gdzieś blizko, potem dalej, i jeszcze dalej, jakby odprowadzała Złudę, która bezpowrotnie odeszła...

Dziś już wie: nie ona była Jedyną... Tamtą kochał jedynie, tamtą kochał naprawdę. I jeszcze nie dosyć samoudręczenia: przeczyta je wszystkie, te listy miłosne do Niej... Stwierdzać będzie zmartwiałą od bolesnego zdziwienia duszą na każdej karcie, w każdem słowie, jak była dla niego niczem, ona, która się skuła ze zgorzkniałym, zmęczonym, postarzałym przed czasem człowiekiem, i wierna, cicha, czujna na jego smutki, żyła z nim lata całe, patrząc mu w oczy.

... „Kochałem Cię tak, jak się kocha najpiękniejsze, najwznioślejsze sny młodzieńcze, jak się kocha ideał najczystszych lat młodości. Kochałem Cię taką czystą miłością, aż do ciężkich, smutnych lat wieku dojrzałego i po przez lata starości. Świeciłaś mi klejnotami ofiar, jakie bracia moi dla Ciebie ponieśli. Pragnąłem Cię ubrać w rubiny krwi z męczeńskiego pola i w dyamenty łez za Tobą wylanych, byś była piękna, piękniejsza od wszystkiego, co jest Pięknem!...

„Cóż ja, nędzarz, dać Ci mogę?

„Na poręczach mostu, nad kanałem, w wązkiej uliczce Gheerwijn, którą widać z mego okna, dwa lwy kamienne drzemią, owe lwy, które, jak chce legenda, raz do roku budzą się i odwracają swe głowy, aby zobaczyć spustoszenia, jakie w starem Bruges czyni Czas...

„Patrzę na lwy te nieruchome co dnia, czekam, czy się nie obudzą, czy kamiennych swych, martwych oczu i w moje serce nie wbiją, ruin pełne...“

... Jakto, był nieszczęśliwy, gdy ona stworzyła mu cichy dom, otoczyła go atmosferą tkliwości i miłosierdzia? Serce miał „ruin pełne,“ gdy ona, co dnia, niestrudzonemi rękoma wznosiła swe gmachy uczucia i poświęcenia?

Posunie się aż tak daleko w swej zawziętości i urazie, ona, z duszą marzycielską, którą zazdrość, owa potęga niszcząca dusz małych, uczyniła złą i mściwą, że i na tej karcie tylko obrazę znajdzie dla siebie:

... „Przy boku mym drży serce kobiece, dobre, oddane, a tak mi obce! Inne niebo je wykołysało, inne powietrze je karmiło: niebo i powietrze ziemi wolnej. Czekałem na jej słowo zrozumienia, czekałem na nie tyle lat... A nie chciała widać, bym ją kochał, jako Cię kocham. Bom czuł, że zbliżyć się z nią mogę tylko w jednej miłości—w miłości do Ciebie...

Nigdy mi nie rzekła słowami Ellenai:

„Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu...

„Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją?

„I nawet miejsce to, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja...“

Tego mi nie rzekła nigdy. Przeto całkiem oddałem się Tobie, Jedyna, a smutek mój, jak mówi Juliusz przez usta Anhellego, „nauczył mnie w samotności milczenia.“

...Nie zrozumie i tego. Maleńka, zawiędła, choć sentymentalna jej dusza nie będzie w stanie objąć bezgranicznego idealizmu wygnańca, któremu oddalenie wyolbrzymiało i upiększyło miłość. Słowa, które podyktowała gorąca, egzaltowana tęsknota, wzięły ją swoją zewnętrzną, artystyczną stroną, ale ich prawdy nie zrozumiała. „Więc był poetą i nic mi o tem nie mówił?“—pomyślała. I oto nowy motyw urazy... Był poetą, a ona nie wiedziała o tem, że był poetą. I winę tego, że nie wiedziała, przypisywała jemu... A jednak Żywicki był o tyle tylko poetą, o ile jest nim każdy w chwilach egzaltowanych, samotnych marzeń. Bezwiednie zupełnie miłość jego i tęsknota za krajem szukała obrazów, przenośni, symbolów, szukała głębokiego wyrazu, w którym najlepiej wypowiada się dusza człowieka. Znalazła je w miłości do istoty wybranej, wyśnionej, doskonałej, w miłości, jaką się czuje do ubóstwionej do łez kobiety... Żył abstraktem tego uczucia tak, jak żyć wtedy tylko można, gdy się ma duszę czystą i naiwną, jak dusza dziecka, nie dopuszczająca pojęcia złego. Wszak oddalał nawet gazety, niosące mu złe, ohydne, krwawe wieści z kraju... Chciał śnić bez końca swój sen niezeszpecony, niezakłócony, o zwycięskiem, cudotwórczem Pięknie Wymarzonej...

...Jeszcze dwie kartki:

...„Chodzę co dnia do kościoła św. Walburgi, bo tam uświęcone mszą codzienną me myśli o Tobie. Dziwne, wzniosłe nabożeństwo, jakiego nie spotkałem nigdzie, wśród mych długich wędrówek po świecie. Msza święta odprawia się za spokój wszystkich, bez względu na narodowość, żołnierzy, którzy polegli za wolność swej ojczyzny. Modlę się za duszę mych druhów, którym danem było zostać na polach Siemiatycz, Kobylanki, Węgrowa, podczas gdy mnie losy rzuciły daleko...

„W październikowe, mgliste ranki, podczas solennej „oktawy patryotów“ stoję przy katafalku żałobnym, na którym zatknięte są emblemata wojenne i chorągwie wszystkich narodów Europy. Stoję samotny w tłumie bezmyślnie szepcących pacierze dewotek w ciemnych płaszczach, stoję z duszą, pełną goryczy, której może nie zrozumiałby i mój syn, gdybym miał syna... I powtarzam

słowa modlitwy Pielgrzyma: „Pozwól nam modlić się do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy z bronią w ręku, przed ołtarzem zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych, a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek, a dzieciom na grobach naszych...“

. . . . . .

...Poczynała już rozumieć całą „abstrakcyjność“ tej miłości, symboliczną, często zupełnie nie artystycznie, często zbyt naiwnie oddaną głębię marzeń wygnańca. Tą „abstrakcyjnością“ starała się uśpić i ukoić urazę swą i gorycz. Ale mała, ciasna jej dusza, nie pogłębiona w życiu bezczynnem, kontemplacyjnem, w duchowym sybarytyzmie, upominała się o swe prawa wyłączności w sercu mężczyzny. „Więc nie kobieta? Symbol? Idea?“—myślała ze złośliwą radością. Ale buntowała się mimo to. Nie zasłużyła sobie na to, aby ustąpić przed Rywalką. Cóż to za dziwna miłość, która, zsyłając tęsknotę i cierpienie, dawała więcej szczęścia od niej, od której szło samo dobro i spokój... Buntowała się, jakby jeszcze coś dało się zmienić, coś utargować w tej Przeszłości... A Przeszłość była niezłomna, skończona, niewzruszona. Czuła to jej druga świadomość, ta trzeźwa, realna; czuła, że nic już nie da się zmienić w tym trójkącie: w stosunku jej do Żywickiego i Żywickiego do Tamtej. Stało się...

Jako głos mosiężnej godziny, który zabrzmiał znowu z wieży Beffroie—i przepadł: *stało się*...

Kartka ostatnia, pisana może w dzień samej śmierci, a może na parę dni przed śmiercią, mówiła:

...„Czyż ujrzę Cię jeszcze, czy ujrzę Cię, Ty nieszczęśliwa, oddana na pastwę obcych żądzy, a niepokalana? W samej Tobie twój wróg, który Cię szarpie, jakoby wrogiem była Twoja własna dusza, sercu daleka... Chora jesteś, chora na ciężką chorobę, która jest ducha rozterką... Władze ducha poszczególne walczą o prawo pierwszeństwa, a tyś niemocna i tak pełna bólu... Słyszeć nie mogę o Twem cierpieniu, o gwałtach, które się dzieją... Biedzbym chciał do Ciebie, ale już konam. Wczoraj biedronka usiadła mi na palcach. Myślałem, że biedronki są tylko tam, u nas...

...„Z wysokiej Beffroie zobaczyłem dzisiaj morze, owe morze dalekie, które przed wiekami było w Bruges i cofnęło się od niego kiedyś daleko. A oto budują kanały i porty, i morze do Bruges wrócić musi...

„Odbiegłem od Ciebie wygnany, aleś mnie odszukała, Ojczyzno wielka, mocna jak śmierć i nieśmiertelna...—oto jesteś...“

*

* . . . . . * . . . . . .

Jakże przelotny jest byt dusz, wegetujących w oknach otwartych na senne uliczki martwego Bruges, jakże krótką jest chwila egzaltacyi, która poruszy senną duszę, aby dusza ta na nowo popadła w martwotę!

Pani Genowefa włożyła listy napowrót do teczki, a teczkę wsunęła do szuflady.

Była spokojną, bo już *wiedziała*.

— Jednakże gorszą jest niepewność...—pomyślała z przebłyskiem uciechy.—A teraz oto wiem wszystko...

Zatrzasnęła szufladę tak, jakby zatrzasnęła na zawsze wieko trumny. Zakręciła klucz w zamku, wsunęła go z całym pękiem innych kluczy za pasek fartuszka. Uczyniła to skrzętnie, zabiegliwie, gestem dobrej gospodyni, która czuwa nad tem, by na biurku nie wałęsały się „niepotrzebne“ papiery. Nie pomyślała nad tem ani na chwilę, że oto po raz drugi złożyła do grobu własnemi rękami gorące, samotne i po śmierci serce Żywickiego.

Obejrzała się po pokoju z zabobonną trwogą, bojąc się ujrzeć ducha Żałoby, który zawsze w nim drzemał. Ale dostrzegła tylko kurz na obrazach i szafach, kurz — ów znak czasu na przedmiotach martwych, które trwają, żyją, starzeją się, choć organicznego życia w sobie nie mają. Wzięła ściereczkę i drepcąc po pokoju, mała, wątła, z twarzą zawiędłą, przypominającą mistyczne dziewice Memlinga, poczęła ostrożnie kurz zbierać.

Nie mogła znieść widoku kurzu. Tkwiły w niej tradycye owej przysłowiowej czystości Flamandów, był to niejako głos rasy, niezaprzeczony stygmat pochodzenia... Wszystko dokoła niej powinno być czyste, lśniące.

Jutro niedziela, porządków zrobić nie zdąży. Z samego rana trzeba iść na mszę do Nôtre-Dame, gdzie się zbiera całe mieszczaństwo Bruges, a potem zajrzeć jeszcze do cudownej kaplicy Krwi świętej na przerozkoszną, wśród kolorowych witraży, godzinkę skupienia. Nie omieszka także wstąpić do schludnego, skromnego kościołka w Beguinage'u, ale uczyni to jedynie dlate-

go, by mieć sposobność przejścia wśród zadumanych topoli cichego podwórca, obramowanego rzędem pobożnych domków, gdzie skoszona trawa ma przedziwnie głęboką, smętną woń... Weźmie się energicznie do roboty i wszystko przed czasem będzie gotowe...

Dusza jej, ocknięta na chwilę, popadła w dawną apatyę, po dawnemu poczęła wegetować, mechanizując się trywialnemi zajęciami dnia powszedniego, ulegając przebłyskom sentymentalizmu, który weń wszczepiło mistyczne miasto.

Krzątając się po pokoju, myślała o nieboszczyku, o jego przyzwyczajeniach, o agonii, którą przypominały szczegóły pokoju, ale myślała spokojnie, prawie odruchowo, godząc się raczej na te wspomnienia, niż wołając o nie siłą nieukojonej niczem tęsknoty. Wyobrażała sobie twarz starca skupioną i gorzką, niby portret, który patrzy dniem i nocą na przeżycia, zamknięte wśród czterech ścian pokoju, usłyszała jego głos w dźwięku rozpłakanej melodyi wieżowej, który był dla niej głosem rzeczy powszednich, jednostajnych, nudnych. Uczyniło jej się smutno, ale smutek ten był tylko smutkiem tych umarłych murów, smutkiem, który o wieczornej godzinie, z sennego Bruges, wpływał co dnia przez okno otwarte, ze zmierzchem...

...Zmierzch przyszedł o swej godzinie, jak kurz, i ułożył się na dachach, gzemsach, wodzie, na duszach śpiących...

Spowił w swe mgliste, żałobne szale wązką uliczkę Gheerwijn, z wieżą Beffroie, majaczącą we mgle deszczowej, szklistą wodę martwego kanału, jak oczy, które wszystkie swe łzy wypłakały, dwa lwy kamienne, drzemiące na poręczach mostu... Zawiesił się na sznurach dzwonów, które ciszej zdały się dzwonić, słabiej, jakby znieść nie mogły jego ciężaru: ciężaru zmierzchu rozpiętego wśród drzew, ukrzyżowanego wśród drzew, które tam, na dalekim cmentarzu, strzegły roztęsknionego serca Żywickiego...

Zuzanna Rabska.

Z OBOZU KLASYKÓW.

I.

Rymotwórcy zapomniani: Michał Wyszkowski i Konstanty Tyminiecki.

Michał Wyszkowski i Konstanty Tyminiecki zawarli znajomość w pacholęcym wieku na ławie szkoły pijarskiej w Wieluniu. Trudno o bardziej sprzeczne usposobienia: Tyminiecki, o 3 i pół roku starszy od Wyszkowskiego (ur. 22 lutego 1767 r. w Ligocie, w województwie sieradzkiem), syn miecznika sieradzkiego, potomek zamożnej rodziny szlacheckiej, był z usposobienia żywy i popędliwy, w obejściu szorstki i do przyjaźni niełatwy — Wyszkowski, kaliszanin (ur. w Krupinie 14 września 1770 r.), z rodziny zubożałej, miał naturę powolną, wiele wrodzonego sentymentu i czułostkowej rozlewności. Mimo to — zapewne prawem kontrastu, wzajemnego uzupełniania się—Michał i Konstanty stali się przyjaciółmi od serca, na życie całe, mimo zmienne losu koleje i długoletnie rozłąki.

Wyjątkowy ten związek serc utrwalił się oczywiście dopiero później, kiedy młodzieńcami spotkali się powtórnie na bruku warszawskim. Po ukończeniu bowiem szkoły wieluńskiej rozeszli się na lat kilka. Tyminiecki udał się do Krakowa, ażeby tam z woli ojca poświęcić się stanowi duchownemu. Nie mając jednak powołania, nie długo potrafił wytrwać w seminaryum, zwłaszcza, że i świeckie wykłady niedawno przez Kołłątaja zreformowanego Uniwersytetu budziły w nim znacznie większe zajęcie, aniżeli studya teologiczne. Rodzice jednak nie chcieli mieć syna ani uczonym, ani tem mniej literatem; skoro więc nie udało się przy-

musić go do przywdziania duchownej sukienki, postanowił ojciec uczynić syna — żołnierzem. Polecenie to napotkało już znacznie mniejszy opór—Konstanty opuścił Kraków i wyjechał do Warszawy, gdzie zaciągnął się w szeregi wojskowe.

W Warszawie spotkał towarzysza z ławy szkolnej, Wyszkowskiego, który już od roku 1786 zajmował bezpłatną posadę w Komisyi skarbu koronnego, uzupełniając jednocześnie swoje wykształcenie pod kierunkiem Onufrego Kopczyńskiego. Odtąd przyjaźń obu stała się ścisła i nierozerwalna. Tyminiecki wstąpił do pułku gwardyi konnej koronnej, Wyszkowski zaznajamiał się ze skarbowością państwową; — lecz ponad szablę i fiskalne problemy przenosili obaj wspólną lekturę dzieł poetyckich. Wnet pod tym względem znaleźli towarzyszy: w 1789 r. przybył do stolicy w towarzystwie Czackiego Alojzy Feliński, odtąd przyjaciel obu dozgonny, powiernik w sprawach serca i literackich przedsięwzięć niezawodny; wnet grono przyjaciół powiększył Franciszek Skarbek Rudzki [1]), zasłużony później współpracownik Czackiego w organizowaniu liceum krzemienieckiego, dyrektor gabinetu numizmatycznego tejże szkoły, komisyi edukacyjnej wybitny członek, autor niewydanej rozprawy p. t. „Myśli o świecie i życiu," głowa niepospolita, człowiek czynu, popychający innych do działania i dozwalający, by innym „spełnionej idei zasługa się liczyła." [2])

Ci czterej, zwani współcześnie: Wyś, Tyś, Ruś i Felś—utworzyli związek, tak ścisłą przyjaźnią złączony, po jakiej przykłady chyba w dzieje młodzi filareckiej sięgaćby trzeba. Tem dziwniej odbija ta przyjaźń na oschłem tle racyonalistycznych haseł XVIII wieku. Ale też połączyła ich młodość, zawsze jednaka i wspólna ku rymom skłonność. Do grona młodych adeptów sztuki rymotwórczej należał z dalszych jeszcze zmarły przedwcześnie Mikołaj Dzieduszycki († 1797), Ignacy Tański, późniejszy ojciec autorki „Pamiątek po dobrej matce," Raczkowski, oficer również gwardyi konnej, słynny w swoim czasie na całą Warszawę skrzypek—całemu zaś gronu mentorował Kopczyński, ceniony i wielbiony zarówno przez wszystkich, „niezrównany w gruntowności sądu o rzeczach, jędrny w myślach, jasny i dobitny w pełnem ognia ich wysłowieniu, głęboki mędrzec, prawdziwy filozof";—tak ocenił mistrza w ćwierć wieku później wdzięczny uczeń, Wyszkowski.[3])

---

[1]) Urodz. w Warszawie 1766 r.

[2]) Zobacz „Listy Franciszka Skarbka Rudzkiego." Rkp. Biblioteki Jagiellońskiej, l. inw. 4569.

[3]) W przedmowie do wydania „Pism K. Tymineckiego." Warszawa, 1817.

Była to prawdziwa „młoda Polska“ w murach sejmującej Warszawy: podczas gdy obiady czwartkowe gromadziły w salonie królewskim uznane powagi literackie,

> Gdzie połowa nie gada, a połowa drzymie,
> W których król wszystkie musi zastąpić ekspensa:
> Dowcipu, wiadomości i wina i mięsa,

—schodzili się jednocześnie ci nieznani jeszcze światu, początkujący rymotwórcy w ubogiej izbie, najczęściej u Felińskiego, ażeby tam w swobodnej, niekrępowanej pogawędce wyrabiać „gust“ poetycki, odczytywać i oceniać nawzajem przynoszone utwory oryginalne i przekładane, i zazdrościć pocichu laurów Naruszewiczom, Krasickim lub Trembeckim. Nie wszystkim z tego grona było danem dojść do świątyni sławy: jeden z nich, Feliński, miał stać się chlubą literatury ojczystej — inni, jak Wyszkowski i Tyminiecki, rychło poszli w niepamięć, choć ani dla istotnego talentu, ani dla wpływu, jaki współcześnie wywierali, niezupełnie na to zasługują.

Te dwie też zapomniane postaci przyszłość, „korrektorka wieczna,“ pragnie wywieść na światło.

*

* *

Poezye Wyszkowskiego znamy ze zbiorku, który ukazał się dopiero w pół roku po śmierci autora, jako dobrze przebrzmiałe echo dawnej maniery literackiej. Zbiorek ten, dziś nieznany, nosi tytuł: „Poezye Michała Wyszkowskiego — wydanie pośmiertne,“ Warszawa, 1830 (8-o, str. XXXII + 181); poprzedza go życiorys, skreślony przez Krystyna Lacha Szyrmę, odczytany na publicznem posiedzeniu Warsz. Towarz. Przyjaciół Nauk dn. 9 listopada 1829 r.; na końcu dodano kartkę autografu Wyszkowskiego.

Obok tego życiorysu dostarczają szczegółów biograficznych dla poznania tej ongiś znanej i wpływowej postaci listy Felińskiego w wydaniu Kraszewskiego, [1]) roczniki Warsz. Tow. Przyj. Nauk, K. W. Wójcickiego „Społeczność Warszawy w początkach

[1]) Kraków, 1872.

naszego stulecia," Kajetana Koźmiana „Pamiętniki" (cz. I—III) — przedewszystkiem zaś biografia Felińskiego, ogłoszona w tomie VI „Rozrywek dla dzieci" Hoffmanowej, oraz rękopiśmienna spuścizna tejże, będąca własnością p. Karola Radwana, adwokata w Kaliszu, ciotecznego wnuka autorki „Wiązania Helenki."

Pierwsze próby poetyckie Wyszkowskiego przypadają na owe czasy młodości, spędzonej w gronie przyjaciół w Warszawie. Już wtedy, w 1790 r., wydał bezimiennie zbiorek utworów p. t. „Rozrywki młodości wierszem i prozą"—już w trzecim dziesiątku XIX stulecia „mało znane," jak stwierdza w życiorysie Wyszkowskiego Lach Szyrma. „W młodocianych tych płodach przebija— zdaniem Szyrmy — z pośrodka uczuć tkliwych i delikatnych duch naśladownictwa ówczesnych sielanek, osobliwie Gessnera. Filis, Mirtyl, Dafne, Chloe i tym podobne dawnych idyl osoby, odgrywają tam swą rolę." Rzecz ciekawa: młody poeta w pierwszem swojem wystąpieniu staje pod znakami nielicznych naszych „poetów serca," obok Karpińskiego i Kniaźnina; czyni to zgodnie z wrodzoną skłonnością do sentymentalizmu, pod wpływem zapewne tragedyi, jaką u wrót życia przeszedł, a o której mamy zachowaną ułamkową wzmiankę — pod wpływem nieszczęśliwej, a tak stałej miłości, że ponoś skutkiem niej przez życie całe przeszedł w stanie bezżennym. Tym ostatnim epizodem tem bardziej przypomina egzaltowanego kochanka Justyny, którego „Zabawki wierszem i prozą," od 1780 r. w Warszawie wychodzące, podatny znalazły grunt w sercu młodego urzędnika Komisyi skarbowej.

Pierwsza miłość i siostra jej, przyjaźń, atmosfera bratnia koleżeńskiego współżycia w gronie rówieśnem — one to włożyły lutnię w rękę młodego adepta poezyi. Któż bo wśród takich okoliczności nie próbuje rymu?

Z charakteru tych pierwszych prób możemy zdać sprawę dzięki temu, że kilkanaście wierszyków z 1790 r. przedrukowano na czele pośmiertnego wydania.

Wierszyki miłe i świeże—można je śmiało policzyć do bardziej udatnych utworów lirycznych poezyi stanisławowskiej. Autor ma w tym kierunku talent niewątpliwy: świeżość odczuwania, prostotę ujęcia i zgrabność formy. Przytem i skala talentu szeroka, zwłaszcza zważywszy, że liczba tych wierszy szczupła: mamy tu erotyki i wiersze o zakroju dydaktycznym, okolicznościowe, polityczne i na wzór Anakreonta; występują tu nieuniknione Milony i Korynny, Filony i Doranty, czuć Gessnera i Karpińskiego — lecz z tem wszystkiem ogólne wrażenie jeszcze i dziś korzystne. Wierszyki były odczytywane w gronie przyjaciół — im

też poświęcił poeta zbiorek w bardzo miłym wierszu dedykacyjnym p. t. „Do moich przyjaciół.“ Pisze w wiejskiem ustroniu nie dla korzyści, ani dla laurów; niech o to inni się ubiegają — poeta:

. . . skromnie w miłe poranki
Pierwszych czasów pięknej wiosny,
W proste pastuszków multanki
Wygrywa sobie radosny.

Przyjaciołom „święci swe rymy“ — w ich „kochane ręce“ je oddaje:

Ten dar szczery, przyjaciele,
Przyjmijcie, proszę, łaskawie.

Z erotyków wymieniamy następujące: „Do szczygła,“ puszczając ptaszka na wolność z chwilą, kiedy zrozumiał, czem jest niewola, znalazłszy się sam „w więzach u Lucyny“ — „Niewinna Milona“; ten ostatni wierszyk, choć temat nie nowy, jednak przeprowadzony zgrabnie i z finezyą — przytaczamy w całości:

Pszczoły się roiły w ulu,
Ja się patrzyła, matulu,
I widziałam przez ciąg cały
Że parą zawsze latały.

Wczora właśnie, jak te pszczółki,
Zobaczyłam dwie kukułki,
A ponad wysokie dęby
Szukały par młode zięby.

I słowik, co śpiewa tkliwie,
Z samicą siedział na śliwie,
A choć zdziczałe kanarki
Razem leciały na tarki.

Dorant wierny swoiéy Lidy,
Koryl Chloi uczestnikiem,
Filon na łonie Dorydy,
Matulu! — a ia to z nikiem?!

W wierszach dydaktycznych występuje poeta przeciw pochlebstwu („Kto pochlebnik?“), prawi do wtóru z Karpińskim i Węgierskim o smutnej doli literata, któryby chciał być niezawisły („Przestroga młodemu poecie“), wreszcie w wierszu p. t. „Sen przerażający“ daje jakby allegoryczny obraz Salomonowego „va-

nitas vanitatum.“ Ten ostatni wiersz łączy się zapewne bliżej z osobistemi przejściami poety: w smutku i zgryzocie pogrążonego nawiedza we śnie starzec. Zawiódłszy go do ogromnej pieczary, w której leżą ciała braci i przyjaciół, wskazuje „popioły“ Milony, zapytując:

Gdzież iest iey umizg, gdzie wdzięk wesoły,
Gdzie piękne oczy, gdzie włos trefiony?
. . . . . .

Otóż to takie przyszłe siedliska
Marnych zabiegów, czczych starań człeka;
Łudzi go chwila życia zbyt śliska
A nie pamięta o tem, co czeka.

Dzisiaj promyczek szczęścia zabłyśnie,
Dzisiaj o zwierzchniej myślim ozdobie,
A iutro srogie losy zawiśnie
Tu nas w tym strasznym umieszczą grobie.

Podobnież osobisty element widoczny w wierszu, zatytułowanym „Myśl moja:“ przyjacielowi zwierza się poeta z poglądów swoich na świat i życie — od świata trzymał się zdala, obce mu były „zdradne przyjaźni sidła, związki małżeńskie stargane, brzydkiej obłudy prawidła“; nie chciał znaczyć ani błyszczeć, nie pożądał sławy ni bogactwa, dopóki... „miłości zapęd srogi“ i jego nie uwiódł.

I wierszy politycznych, okolicznościowych nie brak. Wyszkowski, przebywając wraz z gronem przyjaciół w ośrodku epokowych działań Wielkiego Sejmu, nie pozostał głuchy na odgłosy wielkich wydarzeń politycznych, jakie się w jego oczach rozgrywały — łączył się zaś całem sercem z postępowem stronnictwem reform. Tego rodzaju są wiersze p. t. „Na obywatelską uroczystość daną dla Stanisława Małachowskiego (dn. 14 maja 1789 r.),“ oraz „Do J. U. Niemcewicza, posła inflanckiego.“ Ten ostatni utwór jest późniejszy—do zbiorku z 1790 roku nie wszedł. Napisał go Wyszkowski z okoliczności granego w Warszawie d. 15 stycznia 1791 r. „Powrotu posła,“ który, jak wiadomo, cieszył się niesłychanym rozgłosem i popularnością. Autor zastrzega się przeciw posądzeniu o pochlebstwo; nie myśli „podkurzać kadzidłem,“ lecz pragnie podnieść istotne zasługi tego, który nietylko umie skutecznie „w prawodawców gronie Radzić o wspólnem szczęściu, oyczyzny obronie“—lecz również „święcąc pracę, dowcip na usłu-

gę kraiu, Chce bydź skazówką cnoty, wzorem obyczaiu.“ Ty to „zacny Julianie“:

Ożywiłeś szlachetne w narodzie zapały
I na gruzach rozpaczy wlałeś umysł stały.
Gromisz uporny przesąd, co zawadę czyni,
Wciskając się po stopniach aż do praw świątyni;
Śmieszne wady, nałogi szydzisz dla poprawy.

Niechaj autor „Powrotu posła“ nie zraża się zjadliwością krytyków, tych „satyrów rogatych.“

Ta to główna zaraza każdego narodu
U nas nasiona swego zostawiła płodu,
I na ohydę Polski los nieszczęsny darzy,
Więcey mamy krytyków, niżeli pisarzy.

Oby każdy szedł w ślady Niemcewicza, otwierając „przed narodem zdania swe i rady.“

Niechay ohydnym wstydem spłoną przeciwnicy,
Wypleńmy te owady, ten kąkol z pszenicy.
Szczera miłość oyczyzny odwagi nam doda,
Odtąd hasłem Polaka: „cnota i swoboda.“

Streściłem wiersz Wyszkowskiego obszerniej, jako ciekawy a nieznany przyczynek do literatury politycznej 4-letniego Sejmu, w szczególności jako poetyckie echo „Powrotu posła.“ Wiersz, jakkolwiek współcześnie nie wydany, krążył w odpisach. Autor „Powrotu posła“ czuł się zniewolony podziękować w prywatnym liście młodemu wielbicielowi. Przedrukowano list ten na zakończenie wiersza w wydaniu pośmiertnem; dziś godzi się to pismo ze względu na osobę „posła inflanckiego“ podać tutaj w całości: „Odbieram piękne, lecz nadto pochlebne i niezasłużone wiersze od autora, którego osobie i przymiotom im większy należy się szacunek, tem łaskawa aprobacya iego pochlebniejszą się staie. Bydź pożytecznym kraiowi memu, iedynym było zamiarem moim; intencye moie były czyste i do tey iedyney przyznaię się zalety. Jeżeli światłemu wierszów autorowi podobało się znaleść w mem piśmie inne, biorę to raczey za zachęcenie, żebym dobrze pisał na potym, nie zaś za nagrodę, żem iuż dobrze dziś napisał. Chciey zacny autorze bydź przekonanym o nayżywszey moiey wdzięczności i o wysokim i osoby i pięknych twoich przymiotów szacunku.“

Postępowe stanowisko, jakie zajął młody poeta wobec reformacyjnych uchwał W. Sejmu, znalazło poetycki wyraz w obszerniejszym, 29 zwrotek 4-wierszowych liczącym wierszu p. t. „Na odzyskane miast prawa.“

Pod charakterystycznym znakiem Woltera, dwuwiersz jego wziąwszy za motto, wielbi autor uchwałę sejmową, skierowaną ku podniesieniu miast i mieszczaństwa polskiego, wielbi jako zwycięstwo światła i postępu nad ciemnotą i zacofaniem, tem bardziej, że stało się to bez rozlewu krwi, bez gwałtu i terroru, jak we Francyi. Oto woła wolny przedstawiciel trzeciego stanu:

Ziemio! na nowo dla mnie odrodzona,
Na którey przedtem gnuśniałem w ohydzie,
Z twego wolności kosztuiąc dziś łona,
Biegnę, gdzie tylko o ratunek idzie.

O jak mi teraz dzień każdy wesoły,
Jaka się radość w czułem sercu nieci,
Milsze wkoło mnie wzrastaią żywioły,
Słońce przyiemniey na ten okrąg świeci.

Odbiciem wewnętrznego życia kółka młodych poetów jest „Wiersz do Aloizego Felińskiego,“ z okazyi imienin przyjaciela napisany. Przyjaźń ich połączyła:

Nie przez płochey przysięgi wymuszona pęta,
Nie ślepy losu obrót, nie interes podły,
Ale do niey iednakie skłonności nas wiodły —
Owa ufność bez granic, chęć nawzaiem szczera,
Która iedna prawdziwych przyiaciół obiera.
Na tych wsparta zasadach iak wiernie chowana
Da nam chlubne świadectwo *tłómacz Ossyana*,
Któremu bez pochlebstwa oba przyznać możem,
Że iest związku naszego ozdobą i stróżem.

Owym tłómaczem Ossyana, ową ozdobą i stróżem związku młodych przyjaciół, jest nie kto inny, jak Konstanty Tyminiecki. Oto i dziś śpieszy złożyć w upominku przekład „Temory“ — za nim zaś podąża całe grono, każdy z jakąś „uczoną pracą“ na wiązanie. Jak żywo przypomina to owe uroczystości imieninowe w gronie Filaretów, z transparentem i odą na cześć solenizanta; zmieniły się warunki życia, przeobraziła atmosfera duchowa — tą samą pozostała młodość, do „czułych“ związków serc zawsze skora i o poezyi czarownych gmachach zawsze śniąca.

Młodość zwykła chodzić w parze z wesołością: nie brakło jej i w tem gronie. Kilka tego rodzaju wierszy ogłoszono w zbio-

rze Wyszkowskiego: „Wesołość,“ z nastroju przypominająca Anakreonta, „Pochwała wiatru,“ napisana z okazyi przekorności jednego z przyjaciół, utrzymującego — wbrew innym — że wiatr jesienny jest mu szczególnie miły, „Skromne żądania do przyjaciela,“ ograniczające się jedynie następującemi pragnieniami:

Te bym chciał mieć rzeczy same:
Pierścień soliter krayczego,
Biskupa Kuiaw smak stołu,
Ekwipaż Baranowskiego
I probostwo bez mozołu.
Coś z urzędu kapituły,
Bo nie myślę zostać panem,
Wolałbym niźli infuły
W Międzyrzeczu bydź plebanem.
Ani pański, ani mieyski,
Ni szeroki, ni też wązki,
Blisko miasta domek wieyski
Tak na przykład iak Powązki.
Owoce saskie na wety,
Pieróg, co go robi Rózia
I dwa słodkie klarynety,
Skrzypce, gitarę i Józia...

Pod koniec zaś — jeszcze jedno pragnienie:

Jeśli przykrości nie czyni
I nie zatrudnia pamięci,
Przenayłaskawsza Bogini
Słuchay ieszcze iedney chęci:
Chciałbym nabydź świeże prawa
Od trzech przyiaznych sąsiadów
Na kraie, co im moc dawa,
Dziedziny naszych naddziadów.
Wtenczas kontent z mego losu,
W wybranem przyiaciół gronie,
Słuchając Apolla głosu,
Bluszczem wieńczyłbym me skronie.
A po długiem, czerstwem życiu,
Wolny od trosków, zabiegu,
Widząc Polskę w dobrem byciu,
Przy mych żartkich myśli zbiegu,
Na śmierć, by nie bydź iak w rogu,
Chcę w mem myślenia sposobie
Mieć ostatnią myśl o Bogu,
A przedostatnią — o tobie!

Żartobliwy wreszcie charakter noszą trzy wierszyki o Bielawskim: „Powinszowanie Józefowi Bielawskiemu roku 1794," „Do Bielawskiego w kurtkę i szarawary przybranego" oraz fikcyjna „Odpowiedź Bielawskiego." Bielawski, groteskowa figura poezyi stanisławowskiej, grafoman, nadrabiający brak talentu naiwną pyszałkowatością, element humorystyczny obiadów czwartkowych, cel żartów i zjadliwych przycinków Węgierskiego i Trembeckiego zwłaszcza—dostarczył i tutaj tematu do wesołych żartów.

Literatura stanisławowska, tak obfitująca w przekłady, skłoniła i Wyszkowskiego do pracy w tym kierunku, jakkolwiek, podkreślić to trzeba, są to rzeczy już późniejsze, po 1790 r. powstałe. Próbki z tego zbioru, przedrukowane w wydaniu pośmiertnem, noszą wszystkie charakter mniej więcej samodzielnej pracy. Pierwsze więc utwory Wyszkowskiego znamionowały talent niewątpliwy, twórczy, który mógł z biegiem czasu wzbogacić niepospolicie literaturę rodzimą. Niestety — stało się inaczej: po tragedyi 1795 roku nastąpił w rozwoju twórczości oryginalnej Wyszkowskiego niemal zupełny zastój.

Ale już i w owem gronie przyjaciół z doby W. Sejmu przekłady stanowiły główną i zasadniczą część pracy. Wyszkowski tłómaczył z literatury klasycznej, z francuskiego, a wreszcie i z niemieckiego. Przed r. 1795 są to rzeczy drobne, wiersze i fragmenta: z Marcyalisa, Fontenelle'a, St.-Pavin'a, Menage'a, Woltera („Trzeba myśleć"), początek poematu La Fontaine'a, z niemieckiego „Do włosów Mirny" i „Fiołek szczęśliwy." Przekłady te były podejmowane w gronie przyjaciół celowo, z odczucia ubóstwa poezyi ojczystej i konieczności przyswojenia jej utworów literatury obcej, zwłaszcza francuskiej. Inicyatywa w tym kierunku wychodziła od Felińskiego, który utrzymywał, że „polska literatura nie dorównywała francuskiej, angielskiej i włoskiej i w wielu rodzajach zostawiała miejsce próżne." Ta próżnia najwięcej dawała się odczuwać w literaturze dramatycznej, zwłaszcza od chwili otwarcia teatru w Warszawie (1765 r.) i powstania naglącej potrzeby stworzenia dlań repertuaru. Tej potrzebie zadośćuczynić choć w części postanowili w miarę sił młodzi przyjaciele pod przewodem Felińskiego. Miała to być praca zbiorowa, podjęta z pobudek obywatelskich, tak pięknie świadczących o intencyach grona przyjaciół—podobnie jak obywatelską była gorliwa pomoc, jakiej udzielili Kopczyńskiemu w porządkowaniu biblioteki Załuskich.

Jako wzory obrali sobie młodzi klasycy trzech mistrzów francuskiej tragedyi: Kornela, Rasyna i Woltera. W twórczości Felińskiego, której pierwsze pędy w tem właśnie gronie młodych

adeptów sztuki rymotwórczej się zawiązywały, pozostał ślad tej pracy w przekładzie urywku (sc. 1) aktu I-ego „Tryumwiratu“ Woltera, czytanym przez Wyszkowskiego na posiedzeniu Warsz. Tow. Przyj. Nauk w dniu 3 maja 1820 r.; przekład ten należy, wedle słów prelegenta, do „pierwiastków“ poetyckich zmarłego kolegi, „które już wtedy, bo w 1791 r., nosiły cechę poprawności, gustu i wyższego w rymotwórstwie talentu.“

Najpilniejszym jednak w podjętej pracy okazał się Wyszkowski. Przyznawał to współcześnie sam Feliński w liście do przyjaciela z Krakowa 22 kwietnia 1792 r. Wspomina tam autor „Barbary“ jakąś Basię, która go w Krakowie zatrzymuje—tłómacząc w rymach:

Wszak od tego zawisła, bracie, nasza chwała,
Żebyśmy tak czynili jak mistrzowie nasi;
Kochał Rasyn i jego Champmelé kochała
Ja się umizgam do Basi.

Wnet jednak na poły żartobliwie przeprasza tłómacza „Baiazeta,“ że śmiał siebie przyrównać do mistrza Rasyna; już jakoby słyszy okrzyk przyjaciela:

Co tam za młody synal Apollina
Przywłaszcza sobie sławę, która mi należy?
Ja tylko jeden z polskiej młodzieży
Stanę się godnym następcy Rasyna.

I z kurtuazyą, wyręczając się trzecim z najbliższych przyjaciół, Tyminieckim, „który tak dobrym umie być przyjacielem i sędzią“—kończy:

Odpowiedziałby tobie pan dziedzic Ligoty:—(t. j. Tyminiecki)
Każdy z was do swej cząstki słuszne prawo rości;
Ty naśladujesz Rasyna przymioty,
A tamten jego słabości.
Gdybyś był mniej doskonały,
Byłby z ciebie Rasyn cały.

Przekładu „Baiazeta“ w wydaniu pośmiertnem pism Wyszkowskiego nie znajdujemy; są tam natomiast następujące urywki, w owym czasie dokonane: z *Woltera* „Alzira“ akt I, sc. 1 i akt II, sc. 1—„Katylina“ akt I, sc. 1—„Meropa“ akt I, sc. 1—„Scyta“ akt III, sc. 2; z *Kornela* „Cynna“ cztery wiersze z aktu V—„Pompeiusz“ akt V, sc. 1 (cztery wiersze) i sc. 4 (w części); z *Rasyna* „Bere-

nika“ akt II, sc. 4 (6 wierszy) i akt V, scena ostatnia. Przekład tych urywków staranny, dokonany z wielką dbałością, zwłaszcza o stronę formalną, która cechuje zresztą całą spuściznę literacką Wyszkowskiego.

Co ciekawe jednak, że równocześnie z Kornelem, Rasynem i Wolterem, zajmują się młodzi poeci—Ossyanem. [1]) Przekładał w tym okresie Ossyana Krasicki i Kniaźnin i mylą się ci, którzy utrzymują, że były to objawy przedwczesne, pozostałe bez echa (Pilat: „Historya literatury polskiej“ t. IV, cz. I, str. 161). Właśnie w gronie młodych poetów, pracujących w Warszawie w latach W. Sejmu, znalazły stosunkowo niedawno (1760 r.) wydane przez Macphersona „Pieśni Ossyana“ wielbicieli i tłómaczów. Przedewszystkiem zaś urokowi nowej poezyi uległ — Konstanty Tyminiecki.

Postać to niemniej od Wyszkowskiego ciekawa, choć nie ze wszystkiem dla tych samych przyczyn. Skromność nadmierna, brak wiary we własny talent, sprawiły, że ten żołnierz-poeta wzbraniał się za życia ogłaszać cokolwiek; dopiero po śmierci, dzięki staraniom przyjaciół, wydano dwutomowy zbiór jego pism, poprzedzony przedmową Wyszkowskiego. [2])

Rzeczy to niemal wyłącznie nie oryginalne; Tyminiecki był ofiarą owego nadmiernego zapędu do tłómaczeń, który zabierał czas i energię tylu istotnym talentom owej doby, wypływając zresztą z najszlachetniejszych pobudek. A jednak mimo tego braku oryginalności, uchodził Tyminiecki w ścisłem gronie przyjaciół za głowę niepospolitą, za talent znaczny, za wytrawnego arbitra w rzeczach smaku, jak to już cytowane dotąd wzmiaki wskazują.

Przekłady z Ossyana, z którymi Tyminiecki na zebrania przyjaciół przychodził, stanowiły *clou* dyskusyj literackich młodego grona, temat ożywionej wymiany zdań, do czego powód dawał sposób, w jaki tłómacz do dzieła się zabrał. Sposób ten zjednał mu wśród przyjaciół opinię dziwaka, upartego ekscentryka, którego przekonać niepodobna — a i lekceważyć się nie da. Ze wszech miar warto o tym nieznanym dzisiaj tłómaczu i tłómaczeniu podać słów kilka.

---

[1]) Wspomina o tem Feliński w liście do Wyszkowskiego z Wołosowa 15 kwietnia 1815 r.: „Pamiętasz w Ossyanie wieleśmy wierszów popisali...“; wzmianka ta odnosi się właśnie do owych czasów młodzieńczych pomiędzy 1791 — 1794 rokiem.

[2]) „Pisma Konstantyna Tymineckiego,“ T. I i II, w Warszawie, 1817, 8-o, str. 332 i 528.

„Dziwactwo“ Tymnieckiego polegało na odmiennych zapatrywaniach na kwestye formalne. Jeżeli zważymy, czem była forma poetyckiego dzieła wobec kanonów pseudoklasycznej sztuki rymotwórczej—to odstępstwa od tych kanonów, odmienne odczuwanie tych spraw, tak istotnych dla ówczesnej twórczości, znamionują pewnego rodzaju modernistę w rzeczach sztuki poetyckiej. Jest też nim w tem znaczeniu Tymniecki, zwłaszcza, że oryginalność jego polega już nietylko na odmiennej ortografii, na skłonności do neologizmów—te miał już stary Naruszewicz — ale sięga głęboko w kwestye wersyfikacyjne, to święte „tabu“ dla „strugających“ wiersze poetów pseudoklasycznych;—przypomnijmy wreszcie, że za temat owych liberalnych eksperymentów obrał sobie Tymniecki nową, zaledwo na horyzoncie wybłyskującą gwiazdę — Ossyana.

W niemałym kłopocie znalazł się Wyszkowski, zabierając się do wydania, między innemi, tych prób przekładu pieśni Ossyana, dokonanych wbrew protestom grona młodych klasyków przez najlepszego zresztą przyjaciela, doskonałego przytem znawcę i wielbiciela literatury klasycznej, wybornego tłómacza wszystkich sześciu komedyj Terencyusza. Czy zatrzeć i nie wspominać o tej „nieprawomyślności“? Odradzał mu tego trzeci z przyjaciół, Feliński. Oto co pisze w tej sprawie w liście do Wyszkowskiego z Wołosowa 15 kwietnia 1815 r.: „Zgadzam się zupełnie z Osińskim, żeby po Tymnieckim drukować wszystko. Czuję nie mniej jak on, że wszystko po nim jest drogie, że nawet umyślne zboczenia z toru bitego tej myślącej głowy *mogą dać powód potomności do nowych szperań, nowych odkryć i nowych wydoskonaleń.* Nie zadawaj sobie także pracy w gładzeniu w jego dziełach drobnych plamek, te obrazu Rubensa nie oszpecą. *Pamiętasz w Ossyanie wieleśmy wierszów popisali, które wszystkie zdawały się gładsze, niż jego i on sam się na to zgadzał, a jednak zostawił swoje rymy:* zamknęła—zsyła i t. p. Na cóż mamy to robić po śmierci, czego on nie chciał przyjąć za życia? Ta jakaś oryginalność, te nawet, jeśli chcesz, jego dziwactwa, z których niegdyś śmieliśmy się mu w oczy i on się śmiał z nami, stają się teraz dla nas szanowne, kiedy płaczemy jego straty.“

Wzgląd na pietyzm dla pamięci zmarłego przyjaciela przekonał, jak się zdaje, wydawcę: zmienił tylko ortografię — inne „dziwactwa“ pozostawił na szczęście nie zmienione. Uznał jednak za stosowne sprawę tę w przedmowie objaśnić i, o ile możności, usprawiedliwić. „Podług niego — pisze — *dla myśli i obrazu wszystkie rymy poświęcać należało,* dlatego też mniej dbały

o ich dobitność, często i zbyt może wolnie rymował: e, ey z y, a nawet z i; jakoteż t z d; o z ą; ó z u; en z ę etc. w mniemaniu, iż *rymy powinny służyć bardziej do ucha, jak do oka.* O toku wiersza szczególne także było jego wyobrażenie; pilnując jedynie właściwości wyrazów i przymiotników rzecz malujących, nie przypuszczał, *aby jednozgłoskowe, w przestanku wiersza mieszczone słowa, dźwięk i harmonię psuć mogły.* Jeśli podobne zdania nie wszystkim się podobają, jeśli za chropowatość czy zaniedbanie poczytają to, co Tyminiecki prostotą i naturalnością nazywał; nie można go przecież obwiniać, zwłaszcza, że te i tym podobne, choćby też nawet uwidzenia, tysiącem innych niezrównanych piękności sowicie nagradzał."

Takie przekonania głosił Konstanty Tyminiecki w 1790 r. (z tego czasu pochodzą przekłady Ossyana), w dobie pełnego rozkwitu pseudoklasycyzmu na ziemiach polskich—nie dziw, że wywołały namiętne sprzeciwy; sięgają wszakżeż daleko poza swój czas, zgoła są współczesne.

W niesłychanie ciekawej enuncyacyi Wyszkowskiego podkreśliłem trzy zasadnicze punkty: 1) *stanowisko ogólne* — w dziele poetyckiem idzie przedewszystkiem o myśl i obraz—rym jest rzeczą drugorzędną. Jak daleko odskakuje to od zasadniczych przykazań mistrza Boileau'a i La Harpe'a! Jest to poprostu zupełne odwrócenie wartości, radykalne przestawienie zasad. Punkt 2) dotyczy rymowania: rym jest zjawiskiem fonetycznem, nie zaś graficznem. Dzisiaj wydaje nam się to całkiem naturalne i oczywiste, przytoczone przez Wyszkowskiego „nieprawidłowości" Tymineckiego w tym względzie, które jeszcze w 1817 r. należało wytknąć—nie rażą nas dzisiaj bynajmniej. Wreszcie punkt 3) to kwestya rytmiki: nie uchybia wcale dźwięczności i harmonii rytmicznej położenie przed lub po cezurze jednozgłoskowego wyrazu — byle tylko właściwie rzecz malował. Znowuż więc przeniesienie punktu ciężkości na wewnętrzną treść słowa.

Był więc Tyminiecki w teoryi bodaj najwcześniejszym modernistą w obozie klasyków; zapatrywania jego były nad swój czas postępowe i sięgały bardzo głęboko w jądro sztuki poetyckiej. Niestety, praktyka postępowała, jak zwyczajnie, w tyle za teoryą; talent poetycki Tymineckiego był snać za nikły, ażeby zdobyć się na większą koncepcyę samodzielną. Jedyny ślad praktycznego stosowania głoszonych w teoryi zasad—to ułamki przekładu „Pieśni Ossyana." Są to następujące ustępy: „Oitona," „Karton," „Pieśni Selmy"— oraz trzy epizody: „Brassolis," „Galwina" i „Minwana."

O dążeniu do plastyczności opisowej świadczyć mogą następujące obrazy przenośne: „noc pnie *skrzydła* swoje," „łez *kryształy*," „ciebie żal *osępi*," „w zimnym *okrzepniona* grobie" (z „Oitony")—„oset gór *kochanek*," „gdy słońce jeden *bełt* rzuci na skałę" (z „Kartona") — „*złotolite* obłoki," „powiekę rosiły drobnych łez *kryształy*," „strumień *ryczy*" (z „Pieśni Selmy") — „łza *perłowa*" (z „Brassolidy") i t. p. Skłonności do formowania nowotworów językowych, czasem wcale zręcznych, form nieużywanych lub wyrazów, wyszłych z obiegu — dowodzą następujące przykłady: „broń się przy moim boku raz po raz *pochwiwa*" („Oitona„ i „Karton") — „sarn," „parzchając," „powierzchń," „lic," „tarcz," „pękła mu *ratyszcza*" (t. j. włócznia — „Karton") — „*zbrężne* skały" (t. j. nadbrzeżne — „Pieśni Selmy") i t. d.

Liberalizm wreszcie w dobieraniu rymów objawia się w takich naprzykład zestawieniach: zsyła—zamknęła, pocznie—włócznie, lichy—uśmiechy, mojej—zgoi („Oitona"); włócznie — widocznie, mówi—nieprzyjacielowi, skory—który („Karton"); najmilej—chyli, górze—porze, utuli—najnieczulej, brytany—kochanej („Pieśni Selmy"); pióry — sfory („Galwina").

O stosunku przekładu do oryginału oraz do tłómaczenia Krasickiego najlepiej objaśni zestawienie; za podstawę można tu obrać jedynie „Pieśni Selmy," przełożone przez obu polskich poetów.

Już sam początek poematu oddają oba przekłady odmiennie:

„Star of the descending night! fair is thy light in the west! thou liftest thy unshorn head from thou cloud: the steps are stately on thy hill. What dost thou behold in the plain? The stormy winds are laid. The murmur of the torrent comes from afar. Roaring waves climb the distant rock. The flies of evening are on their feeble wings, and the hum of their course is on the field. What dost thou behold, fair light?" [1])

. . . . . .

Księżycu! światło nocy co schodzisz nieznacznie,
Nim się blask twych promieni rozpościerać zacznie
I na dnie błękitnawem wyiskrzać się pocznie,
Aż się w śkleniu srebrzystem pokaże widocznie;
Cóż cię tu w te spokojne doliny przywodzi?

[1]) Cytuję wedle 9-ej edycyi „The poems of Ossian," wydanej w Edynburgu w 1792 r., str. 155 i nast.

Po burzy noc w zaciszy ponurej nadchodzi,
Szum się morza uśmierzył, już wiatry ustały
W brzeg skalisty, bałwanów szturmem zapieniały;
Też same lekko biją i nazad wracają;
Motyle, uniesione wietrzykiem igrają;
Brzęk się bąków i muszek po wrzosach rozchodzi.
Światło nocy, cóż cię w te doliny przywodzi?

(Krasicki).

O! towarzyszko nocy gwiazdo! której głowę
Złotolite obłoki zdobią zachodowe,
Co po niebios lazurach toczysz się wspaniała!
Czegoż się na to pole będziesz oglądała?
Już ucichł, co dął przez dzień, wicher burzy dziki,
Już słychać sączące się opodal strumyki:
Uspokojone wody liżą zbrężne skały,
A kanarek na drobnem skrzydle rozbujały
Brzmi w ściszonem powietrzu. O gwiazdo wspaniała!
Czegoż się na to pole będziesz oglądała?

(Tyminiecki).

Już z tego zestawienia obu przekładów obrazu wieczoru, stanowiącego introdukcyę do „Pieśni Selmy," wynika, co następuje: przekład Tymineckiego jest zwięźlejszy (liczy o 2 wiersze mniej), zbliża się przytem bardziej do oryginału i jest barwniejszy. Widać to przedewszystkiem w zachowaniu tropów oryginału: personifikacya „gwiazdy nocnej," tulącej „głowę" w „złotolite" tło wieczornych obłoków—jest u Tymineckiego zachowana wiernie, podczas gdy Krasicki ją zatarł; nadto wierniej oddane są dalsze fazy zachodzącego po burzy wieczoru, uciszanie się wichru i szumu wody oraz wieczorna muzyka komarów, do której Krasicki pododawał rysy, nie znajdujące się w oryginale („motyle uniesione wietrzykiem igrają"). Nawiasowo zwrócę uwagę na załamanie rytmiczne w wierszu Tymineckiego:

„Już słychać sączące się || opodal strumyki."

Jest to przykład na owo zapatrywanie poety, jakoby wyraz jednozgłoskowy w połowie wiersza (w tym wypadku przed cezurą) nie psuł jego harmonii rytmicznej; w tym razie uważał tłómacz niewątpliwie „się" za enklitykę, akcentując ostatnią zgłoskę wyrazu poprzedzającego, jak to graficznie starałem się zaznaczyć.

To, co powiedziałem o przekładzie początkowych wierszy „Pieśni Selmy," rozciągnąć można na całość: tłómaczenie Tymnieckiego jest wierniejsze naogół, aniżeli Krasickiego—zwłaszcza gorliwie zachowuje Tymniecki poetyckie obrazy oryginału, raczej rozszerzając je własnymi dodatkami, aniżeli zacierając. Jest przeto i żywszy w tonie: dzięki odmiennym zapatrywaniom na dzieło poetyckiej sztuki wybija na swojej pracy piętno odrzynającej się od ogólnego tła indywidualności, której napróżno szukać w mdłych wierszach przekładu Krasickiego.

Za niepospolite dzieło uważali już współcześni przekład Tymnieckiego, choć nie omieszkali zastrzegać się kategorycznie przeciw temu, co dziś za największą tej pracy zaletę poczytać można. Miało to tłómaczenie dla młodych klasyków jakiś urok, z którego sprawy sobie zdać nie umieli: mówi o tem Feliński w cytowanym liście do Wyszkowskiego, wspomina i ten ostatni w wierszu do Felińskiego, wymieniając jeszcze nie dochowany przekład „Temory" szkockiego barda. Byłoby to dzieło dla nich łatwiej strawne, gdyby był tłómacz ogładził i ufryzował Fingalowego syna na modłę klasyczną—sam też on przyznawał słuszność przyjaciołom, a jednak, party jakąś wewnętrzną, podświadomą koniecznością, nie usiłował zacierać kolorytu pieśni Macphersona. I gdzieś, w najtajniejsze głębie duszy, poprzez grube pokłady literackiego konwenansu, zdołał przebić się promień nowej sztuki, który na razie pozostał bierny, lecz mimo to w późniejszej zmianie ogólnej atmosfery niewątpliwie zaważyć musiał, choć konkretnie tego uchwycić i zamknąć w formułkę się nie da. „Pamiętasz w Ossyanie — pisze Feliński — wieleśmy wierszów popisali, które wszystkie zdawały się gładsze, niż jego i on sam się na to zgadzał, a jednak..."

*

* *

Rok 1794 i 1795, ostatnie odsłony strasznej tragedyi dziejowej, wywarły na losy grupki młodych poetów warszawskich wpływ doniosły. Jak wichrem jesiennym porwane liście pędzą hen, daleko od pnia ojczystego — tak i przyjaciół porwała burza wypadków, gnając tam, gdzie nie słodki śpiew muz, ale dziki szczęk oręża rozlegał się w śmiertelnej rozprawie.

Feliński i Tyminiecki znaleźli się w obozie Kościuszki: pierwszy w charakterze sekretarza naczelnika do korespondencyi francuskiej, drugi, jako żołnierz z fachu, kapitan lejb-gwardyi. Wyszkowski, już od 1792 r. w złączonej komisyi obojga narodów do kontrolerstwa generalnego bilansów siedzący, wysłany został z odpowiedzialną misyą w Poznańskie. Tam, z niebezpieczeństwem osobistej wolności, w chwili zajmowania kraju przez wojska pruskie resztę zapasów pieniężnych i papierów uratował. Czy po wybuchu Kościuszkowskiej insurrekcyi znalazł się w obozie—powiedzieć nie umiemy. Rychło opuścił obóz Feliński, udając się przez Lublin na Wołyń w misyi dyplomatycznej; nie mogąc się jednakże tamże przedostać, bawił czas jakiś w Galicyi dla utrzymania poleconych sobie związków z Wołyniem. Tymczasem Tyminiecki walczył mężnie. Pułk jego był przeznaczony do wymarszu na Litwę — jemu samemu zlecił wódz najwyższy organizacyę powstania na Podlasiu, czego zręcznie dokonał. W bitwie wreszcie pod Słonimem odznaczył się męstwem i zręcznością strategiczną tak, że na stopień majora posunięty został i pierścieniem udarowany. Donosiła o tem „Gazeta rządowa“ 11 sierpnia 1794 r. w następujących słowach: „Największe dowody męstwa, pomiędzy innymi, okazywali major Szot i kapitan Tyminiecki od Lejb-Gwardyi, którym cały korpus przyznać może zdatność i wielką odwagę.“ Po upadku powstania pośpieszył Tyminiecki do Dzikowa w Galicyi. Tam, w domu wychowanka Felińskiego i wspólnego wszystkim przyjaciela, Jana Tarnowskiego, zjechali się znowu trzej poeci, tułacze teraz i rozbitki: Feliński, Wyszkowski i Tyminiecki, których — jak mówi Koźmian — „i przyjaźń i równy smak w literaturze i w poezyi łączyły.“ [1])

Wyszkowski przybył do Dzikowa, jak się zdaje, w towarzystwie Mikołaja Dzieduszyckiego (por. notatkę przy wierszu Wyszkowskiego p. t. „Na śmierć Mikołaja Dzieduszyckiego r. 1797“)— tak, że rezydencya Tarnowskich stała się nieomal punktem zbornym dla ciągnących z różnych stron rozbitków dawnego grona poetów. Jednak tylko na chwilę: wnet podążył Feliński na Wołyń, do Wojutyna, skąd już 15 kwietnia 1795 roku donosił o sobie w liście do Wyszkowskiego. Pozostali ruszyli do Sokołówka, pod Lwowem, majętności Dzieduszyckich, śpiesząc za falą emigrantów, ściągających do Lwowa. Z tego czasu dochowały się dwa wiersze Tymineckiego, jedyne niemal oryginalne: jeden

[1]) „Pamiętniki.“ Poznań, 1858, t. I, str. 102.

króciutki, 6 wierszy ledwo liczący, rodzaj epigramu p. t. „Na koncert dawany przez znakomite damy we Lwowie dla wsparcia emigrantów polskich w r. 1795“ — drugi, dłuższy znacznie, pod enigmatycznym nagłówkiem: „Do K.. R.. P.. P.. K.. wiersz oryginalny, we Lwowie r. 1795 pisany.“ Myśl tego ostatniego utworu wiąże się ściśle z dopiero co ubiegłymi wypadkami: upadła Polska — nie zginie pamięć walecznych czynów; giną narody i państwa—

Sama tylko zasługa i cnota prawdziwa
Nad wszystkie rzeczy ludzkie trwalsza zawsze bywa,
Ostrzem swej broni przemoc zniszczyć jej nie zdoła,
Ani ją zaćmi potwarz miedzianego czoła.

Smutna to pociecha; zadowolić mogła ona była Kochanowskiego — w ówczesnych jednakże warunkach...

Rozchodzą się odtąd drogi życia trzech przyjaciół—na zawsze. Czas jakiś przebywają Wyszkowski i Tyminiecki razem w Sieradzu—w lutym 1796 roku są znowu z powrotem w Dzikowie. [1]) Następnie wszyscy trzej osiadają na roli: Feliński na Wołyniu, w Wojutynie, Osowej i Wołosowie, Tyminiecki w ojczystej Ligocie, Wyszkowski również zapewne w stronach rodzinnych. Z racyi tejże okoliczności pisze ten ostatni wiersz do Jana Tarnowskiego („Do Jana Tarnowskiego z okoliczności zaczętego przez autora gospodarstwa“), w którym zapewnia:

Lecz choć lutnię położę, choć z lemieszem w ręku,
Nigdy u mnie nie stracą Muzy swego wdzięku,
W wolnej od domowego zatrudnienia chwili
Miło zawsze przeczytać, co pisał Wirgili.

Od rządu pruskiego, jako były urzędnik, pobierał emeryturę, miał więc i chleb spokojny, a jednak — wena nie dopisywała, rozwój talentu nie postępował naprzód. Drobne wiersze okolicznościowe, w guście wspomnianego do Jana Tarnowskiego lub „Na śmierć Mikołaja Dzieduszyckiego roku 1797,“ lub przekłady, gładkie zresztą i wyrobione, wysoko współcześnie cenione, oto głównie owoce literackiej produkcyi Wyszkowskiego w pierwszym lat dziesiątku po upadku kraju. Przekłady to następujące: „Hymn do milczenia“ z Desmahis'a, „Cefiza“ z Montesquieu'go, „Począ-

[1]) Por. listy Felińskiego w „Rozrywkach dla dzieci“ Hoffmanowej № 35 („O Al. Felińskim“).

tek zimy“ z „Pór roku“ Saint Lamberta, oraz „Świątynia nudów,“ przeróbka epizodu z poematu poety niemieckiego Zachariae'go p. t. „Chustka.“ Przekłady, którym odtąd Wyszkowski w przeważnej części pióro swoje poświęca — to charakterystyczne „signum temporis,“ refleks ogólnej mody czasów porozbiorowych i Księstwa Warszawskiego, która dziwną bezpłodność na niwie oryginalnej twórczości zastąpić usiłuje ogromną masą w znacznej części mało wartościowych tłómaczeń i przeróbek z literatury obcej. To co w stanisławowskich czasach, w szczuplejszym zresztą zakresie stosowane, było poniekąd dodatnim i zdrowym objawem dążności do przyswojenia literaturze ojczystej arcydzieł obcych—staje się teraz szkodliwą manią i nałogiem. Przekłada się na wyścigi drugo- i trzeciorzędnych francuskich rymorobów, a do robót tego rodzaju przykłada się wagę niezwyczajną, darząc tłómacza pochopnie mianem mistrza nieśmiertelnego.

Z pod tego ogólnego pędu nie zdołał wyłamać się Wyszkowski. Górował jednakże smakiem i poczuciem artystycznem nad wielu innymi i śmiało można go postawić obok takiego np. Józefa Szymanowskiego, a choćby nawet—Osińskiego. Miał jeszcze i tę wyższość nad innymi, że na odgłosy nowych haseł bezwzględnie uszu nie zatykał i za „korzennego“ klasyka w tym stopniu co Osiński lub Kniaźnin, ujśćby nie mógł.

Z wymienionych tłómaczeń szczególnie ceniono współcześnie „Cefizę.“ Jest to utwór Montesquieu'go, którego „Le temple de Gnide“ przełożył i wydał był w Warszawie w 1778 r. Józef Szymanowski; tłómaczenie to Szymanowskiego, a raczej wolny przekład, uchodziło w swoim czasie bezmała za ósmy cud świata, zaś jego autor za mistrza nad mistrze. „Cefizę“ wydrukował Wyszkowski w III tomie „Nowego pamiętnika warszawskiego“ 1801 r. (str. 361 i n.), „zachęcony — jak pisze—pochlebną odezwą autora „Pamiętnika“ (t. j. Franciszka Dmochowskiego), na powtórzone żądanie jego.“ Przekład poprzedził charakterystyczną uwagą, w której czytamy: „Ktokolwiek powieść tę czyta w oryginale, łatwo pozna, że jest dziełem nieśmiertelnego pisarza „Świątyni Knidejskiej.“ Ten sam wdzięk, ta miękka słodycz i gust delikatny rozlane są w tem małem piśmie tak, że je dopełnieniem pierwszego nazwać można. Szczęśliwe pióro w tłómaczeniu „Świątyni Knidejskiej“ wsławiło na zawsze pamięć *Józefa Szymanowskiego.* Znany mówca (mowa o Stanisławie Potockim) na pochwałę jego w Towarzystwie przyjaciół nauk pięknie powiedział: że w tem dziele potrafił on z języka rycerskiego zrobić język miłości.“ Kończy zaś Wyszkowski zgrabnym komplementem: „Przejęty tą prawdą

tłómacz *Cefizy* daleki jest od mniemania, że z wielkiego wzoru swego umiał korzystać. A gdy przed rychłym zgonem nie mógł małej swojej pracy poddać pod sąd tego uczonego męża, dziś, składając ją na jego grobowcu, skromnie wyznaje: że jak na pochwałę *Cefizy* dosyć jest powiedzieć, że ją pisał *Montesquieu*, tak na naganę to tylko, że jej nie tłómaczył *Szymanowski*.“ Mimo tej skromności, która nietylko była zwrotem stylistycznym, ale i istotnym rysem charakteru Wyszkowskiego, nie zawahała się Klementyna Tańska uznać, że tłómacz „w swej nadobnej *Cefizie* nietylko doszedł, ale przeszedł wykończone, delikatne i smakowne Szymanowskiego pióro.“ [1])

Nas jednak zaciekawia dzisiaj więcej „Świątynia nudów,“ jako przeróbka epizodu z komicznego poematu Zachariae'go p. t. „Chustka.“ Zachariae, jakkolwiek w utworach swoich pozostawał pod wpływom Boileau'a i Pope'a, to jednak, jako pisarz niemiecki, przedstawiał dla nas w owym czasie pewnego rodzaju nowość. Należał też do pierwszego szeregu przewodników, którzy wpływom niemieckim w naszej literaturze torowali drogę. Stało się to dzięki staraniom Wyszkowskiego, który powyższy epizod ogłosił w „Nowym pamiętniku warszawskim“ już w 1801 r. w tymże, co „Cefizę,“ roczniku (str. 98 i n.). Przekład poprzedza notatka, w której wskazano ogólnie wzrost literatury niemieckiej oraz zwrócono w szczególności uwagę na niemiecką poezyę, „która w ostatnich czasach przyszła do wysokiego doskonałości stopnia.“ Tego rodzaju notatki, pomieszczane w prasie, nie mogły oczywiście pozostać bez wpływu na wyłamywanie się z pod hegemonii francuskiej. Ponadto pomieszczono w tejże uwadze wstępnej ogólną wiadomość o autorze „Chustki,“ podnosząc „oryginalność“ i „nowe obrazy“ w tłómaczonym ustępie. Przeróbka Wyszkowskiego polegała na drobnych zmianach: na umiejscowieniu akcyi utworu w Polsce, na Polesiu — oraz na spolszczeniu imienia bohatera utworu, hrabiego Holda, na Wdziękosza.

W tymże mniej więcej czasie dokonał Wyszkowski znacznie obszerniejszej pracy: przekładu poematu tegoż Zachariae'go p. t. „Faeton.“ Ogłosił go wprawdzie dopiero w 1809 r. w „Pamiętniku warszawskim“ (str. 135 i n.), jednakże w przedmowie wyznaje, że „owoc to przyjemnej życia dawniej wiejskiego zabawy, dotąd ukryty“ i dopiero teraz „na przyjacielskie wezwanie Redaktora „Pamiętnika“ [2]) ogłoszony.“ Tłómacz „zachęcony pochleb-

[1]) „Rozrywki dla dzieci“ n.° 35 „O Al. Felińskim.“

[2]) Od 1809 r. był nim Osiński.

nem przyjęciem *Świątyni nudów* ośmielił się przełożyć *Faetona*," tym razem bez zmian, starając się „ile możności wiernie wydać myśli autora, nie mogąc nigdy przyjemności jego wyrównać." W przedmowie zaznacza tłómacz z naciskiem, że choć dziełko nie wyszło z pod pióra Francuza, jednakże odpowiada wszelkim warunkom klasycznej sztuki rymotwórczej: posiada więc „gust i rzadki dowcip," zachowuje „wszystkie prawidła Bohatyrskiego wiersza," „obrazy... są zwięzłe i wybornie malowane, charaktery osób właściwe, podobieństwa trafne. Uznali to Francuzi, skoro poemat Zachariae'go przyswoili w tłómaczeniu ojczystej literaturze."

„Faeton," poemat rycersko-żartobliwy, składa się z pięciu pieśni, liczy razem do 800 wierszy; przekładu dokonano gładkim 13-zgłoskowcem, w rymach parzystych, najulubieńszej formie pseudoklasycznej poetyki. Na końcu dołączył tłómacz od siebie dwie zwrotki 4-rowierszowe „Do Polek:" nie do was, Polki, odnosi się morał poematu — wy nie pójdziecie śladem Dyany, rwącej się do powożenia parą ognistych ogierów:

Poco wam szukać Rycerskich obrotów?
Zgubna was jeźdźców chwała nie omami,
Gdy samą mocą wdzięków i przymiotów
Będziecie zawsze panować nad nami.

W treści utworu Zachariaego, niesłychanie zresztą błahej i nikłej, wśród ściśle pseudoklasycznego ujęcia i prowadzenia akcyi, jest wszakże pewien rys zwracający uwagę. Bohaterka poematu, Dyana, pędzi lekkim faetonem, nie chcąc zdać lejców obok siedzącemu baronowi. Lecz Zazdrość przygotowała zasadzkę. Oto droga prowadzi brzegiem jeziora:

Nad brzegiem, czesząc złote kędziory na głowie,
Siedzi śliczna Syrena, co się Nixą zowie,
Zdrajczyna, niejednego z nieostrożnej młodzi,
Kiedy w szumiącą trzcinę za kaczkami wchodzi,
Albo na ryby wędkę zarzuca zwodniczą,
Naprzód wdzięcznego głosu przywabia słodyczą,
Potym do swego wciąga pałacu pod wodę,
Tam ponętną nieszczęsnym gotuje wygodę.
A jeśli można *mamek* uwierzyć *powieści*
W plackach ich ze słodkiemi rozenkami mieści
I dopiero pożera utuczonych wściekła.

Zazdrość podjudza Nixę, ażeby pieniem swem zwabiła jadącego z Dyaną barona—w skutek czego spłoszone konie wywracają powóz do jeziora.

Ten obrazek złotowłosej Loreley, ta Świtezianka, wabiąca ku sobie młodzieńców, o której prawi baśń ludowa przez usta mamek, jest zjawiskiem ogromnie ciekawem. Obrazek ten zjawia się zresztą niespodzianie w ramach pseudoklasycznej maniery, w kombinacyi z allegoryczną zazdrością — niemniej przecież jest Nixa we wszystkich rysach protoplastką balladowych uwodzicielek. Podnieść należy ludowe pochodzenie rusałki, wyraźnie przez autora zaznaczone (*mamek — powieści*), a więc jedno ze specyficznie romantycznych źródeł koncepcyi.

W ten sposób spotykamy w poemacie Zachariae'go rys nowy, który zgoła nie mieści się w kanonach sztuki pseudoklasycznej, mimo zastrzeżeń tłómacza w przedmowie—tę to „nowość“ ze względu na czas i okoliczności, wśród jakich się zjawia, warto zaznaczyć.

*

* *

W 1798 r. wybrał się Wyszkowski, zapewne dla poratowania zdrowia, do Carlsruhe na Śląsku, wycieczkę zaś tę opisał w liście do Jana Tarnowskiego, przeplatając prozę wierszem („Opis podróży do Carlsruhe w Śląsku wierszem i prozą w liście do Jana Tarnowskiego r. 1798“). To jakby odgałęzienie *êpitre'u*, rozpowszechnione przez Woltera, znalazło u nas naśladowcę w osobie Krasickiego („Wiersze z prozą,“ „Listy w ogrodach“). W pismach Wyszkowskiego znajdują się — oprócz wymienionego—dwa jeszcze w podobnym rodzaju utwory: „List do jenerała Xawerego Wyszkowskiego roku 1803“ i „Opis podróży do Gdańska, w roku 1803 odprawionej, w liście do przyjaciela.“

Choć zdala od obu przyjaciół, pozostawał z nimi Wyszkowski w żywej wymianie listów; świadczy o tem korespondencya Felińskiego, ogłoszona w cytowanym numerze „Rozrywek dla dzieci,“ oraz zeznania Klementyny Tańskiej, klasycznego świadka, który wiadomości te czerpie z pierwszej ręki, t. j. z papierów i opowiadań samego Wyszkowskiego. Obaj przyjaciele śledzili z uwagą rozwój talentu Felińskiego, któremu „do szczęścia zawsze było potrzeba albo ustnej, albo przynajmniej listownej z dwoma braćmi serca swego rozmowy“ (Tańska). Donosi im Feliński o każdem swojem przedsięwzięciu literackiem, prosi o rady i wska-

zówki, posyła rękopisy do poprawy. Zwłaszcza Wyszkowski, choć o rok tylko starszy od autora „Barbary Radziwiłłówny," staje się w literackich sądach jego mentorem i nauczycielem, którego zdanie Feliński ceni ponad wszystko i we wszystkiem do niego się stosuje.

Wyszkowski tymczasem pisze rzeczy oryginalnych niewiele. W 1800 roku zjeżdża się na krótko z Tymienieckim w Warszawie (por. list Felińskiego z Helenówki 28 marca 1800), poczem wraca na rolę. Jednak:

Ceres, dla której biją pokłony,
Małe ma związki z synem Latony.
Uprawa ziemi nauka długa,
Do niej nie rymów, lecz trzeba pługa.

(„List do Xawerego Wyszkowskiego").

Wiele żądając od innych, jest sam dla siebie surowym sędzią:

Kto tylko wieszczym nieba nie natchniony duchem,
Niechaj prozy rymowym nie wiąże łańcuchem,
Lepiej się w niej, choć prosta, myśl wyda sto razy,
Niżli w niezgrabnym wierszu nadęte obrazy.

(„List do Xawerego Wyszkowskiego").

Dwa tylko wiersze Wyszkowskiego z tego czasu zasługują na uwagę: „O Kazimierzu Wielkim" i „O przyjaźni Leszka z Goworkiem," oba powstały w 1803 r., oba noszą charakter dum historycznych. Duma lub „śpiew" historyczny wedle nomenklatury współczesnej—jest poezyi Księstwa Warszawskiego objawem pierwszorzędnej wagi, jako przejściowe stadyum pomiędzy pseudoklasyczną a romantyczną liryką. Rodzaj ten zawdzięcza powstanie wpływom nowszym, zwłaszcza zapoznaniu się z angielską romancą, oraz pieśniami Ossyana. Upowszechnił go u nas Niemcewicz, który już w 1791 r. wydał dwie „Dumy polskie" (łącznie z „Powrotem posła"—również osobno), o Stanisławie Żółkiewskim pod Cecorą i Stefanie Potockim pod Żółtemi Wodami. W 1803 roku ukazuje się trzecia z kolei duma historyczna Niemcewicza „O kniaziu Michale Glińskim" w „Roczniku Tow. Przyj. Nauk warsz." (t. II, str. 453).

Wiersze więc Wyszkowskiego, powstałe niewątpliwie za pobudką pierwszych dum historycznych Niemcewicza, należą do wczesnych objawów tego rodzaju poezyi; świadczy to bądź co

bądź o tem, że Wyszkowski wrażliwy był na postęp w rozwoju poezyi i rychło umiał przyswajać sobie jego zdobycze.

Oba wiersze pisane są formą jednakową: krótkim ośmiozgłoskowcem, w czterowierszowych strofach, rymami krzyżującymi, rytmem przeważnie trochaicznym. Już ta forma, śpiewna, jakby pod muzykę pisana, wskazuje, że mamy tu do czynienia z czemś nowem i odrębnem. Wiersz „O Kazimierzu Wielkim“ liczy zwrotek 21—„O przyjaźni Leszka z Goworkiem“ zwrotek 24. Poeta usiłuje całkiem świadomie nadać obu wierszom charakter pieśni („Oby przy Kaźmierza grobie Wnuki tę *pieśń* powtarzały“ „Przyjaźni! Twoje *śpiewamy* pochwały“). Warto zauważyć, że pod względem formy śpiewy Niemcewicza o Kazimierzu Wielkim i Leszku Białym [1]) mają niemal identyczną budowę: tażsama ilość zgłosek, tenże rym i rytm—jedyna różnica w budowie stroficznej, łączącej 6 wierszy, nie zaś 4 w zwrotkę. Możnaby więc sądzić, że Niemcewiczowi znane były i nie bez wpływu pozostały wiersze Wyszkowskiego, co wobec blizkich stosunków, łączących obu jeszcze od czasów Wielkiego Sejmu, nie wydaje się niemożliwe.

Kazimierz Wielki, władca pokoju i praworządu, ulubiona postać klasyków, zwłaszcza Krasickiego („Rozmowy zmarłych,“ „Życia zacnych mężów“), stał się również bohaterem „śpiewu“ Wyszkowskiego; historyczny przykład przyjaźni Leszka z Goworkiem pociągnął i stał się osnową drugiego śpiewu poety, który do przyjaźni szczególną umiał przywiązywać cenę.

Oprócz tych dwóch śpiewów historycznych nie dochowało się po Wyszkowskim nic więcej w tym rodzaju; być może zaniechał pracy w tym kierunku, skoro z polecenia Warszaw. Tow. Przyj. Nauk rozpoczął Niemcewicz pisać systematycznie śpiewy historyczne, w miejsce zaniechanego „Pieśnioksięgu“ Woronicza.

W 1804 r. mianowano obu przyjaciół, Wyszkowskiego i Tyminieckiego, członkami Warszaw. Tow. Przyj. Nauk, założonego, jak wiadomo, w 1800 roku; rok 1806 powołuje obu z powrotem do służby publicznej. Wyszkowski zostaje członkiem Izby Administracyjnej departamentu warszawskiego i przenosi się do stolicy na stałe — Tyminiecki obejmuje na krótko urząd radcy departamentu kaliskiego, rychło jednak udaje się do odziedziczonego w spadku po rodzicach Prażmowa, gdzie aż do śmierci przebywa. Dwa lata pełni Wyszkowski bezpłatnie funkcye administracyjnego asesora, jednając ogólne zaufanie sumiennością, pracowitością

[1]) „Śpiewy historyczne z muzyką i rycinami.“ Warszawa, 1816.

i bezinteresownością w wypełnianiu służbowych obowiązków. Przymioty te wystąpiły najwyraźniej podczas spełniania mozolnych i odpowiedzialnych czynności członka komisyi żywności wojska, która podczas wojny z Austryą dokonywała istnych cudów zabiegliwości. W uznaniu zasług proponowano Wyszkowskiemu dwukrotnie godność wiceprezesa komisyi, którą w nadmiernej skromności stanowczo odrzucił. Po szczęśliwem zakończeniu wojny austryackiej i wcieleniu do terytoryum Księstwa Warszawskiego czterech nowych departamentów, zamianowano Wyszkowskiego radcą w ministeryum spraw wewnętrznych (6 czerwca 1810 r). Odtąd posuwa się szybko po szczeblach hierarchii urzędniczej: w nowym rządzie Królestwa Polskiego zostaje kolejno sekretarzem generalnym komisyi spraw wewnętrznych i policyi, kawalerem orderu św. Stanisława 3-ciej klasy, referendarzem stanu,[1]) członkiem najwyższej komisyi egzaminacyjnej, wreszcie radcą stanu.

W tym długim przeciągu lat, niemal ćwierć wieku obejmującym, pisze bardzo mało, głównie tłómaczy, a jednak zaliczają go do pierwszych w obozie klasyków, z jego sądem się liczą i oń zabiegają. Należy do tych, którzy w urabianiu opinii publicznej w rzeczach sztuki głos zabierają, ma swój udział we wszelakich towarzystwach i zebraniach literackich, rozrywają go ówczesne „salony“ warszawskie, jako wytwornego i dowcipnego „causeur'a,“ oraz nieporównanego organizatora zabaw towarzyskich, mecenasuje wreszcie potrosze młodym adeptom Apollina, oraz własnym sumptem i zabiegiem wydaje pisma zmarłych przyjaciół.

Z nielicznych utworów Wyszkowskiego wymienić chyba potrzeba jeden: jest to przekład ustępu z poematu Delille'a „O Imaginacyi“ p. t. „Obraz człowieka podejrzliwego,“ odczytany na posiedzeniu Warsz. Tow. Przyj. Nauk dnia 19 stycznia 1809 roku.

Ciekawy nadto jest współudział Wyszkowskiego w pracy nad „Barbarą Radziwiłłówną,“ oraz w redakcyi pośmiertnego wydania pism Tymonieckiego. Pierwszy ślad poczęcia się pomysłu „Barbary Radziwiłłówny“ upatrywać można w liście Felińskiego do Wyszkowskiego z Osowy z 15 marca 1809 r. Feliński donosi przyjacielowi o przybyciu Ludwika Kropińskiego, który przywiózł ze sobą w rękopisie „Ludgardę.“ Ponieważ jednak klasycz-

[1]) Por. Wyszkowski M. „Przymówienie się referendarza stanu na posiedzeniu senatu dnia 23 kwietnia 1818 r. przy wprowadzeniu kodexu karzącego.“ Warszawa, 1818, 4-o, kart 2, (cf. Estreicher, t. X, str. 67).

ny pegaz nie uznawał galopu, lecz posuwał się wolno i z rozmysłem, przeto dopiero w dwa lata później zapytuje Feliński (19 marca 1811 z Osowy): „Czy była grana *Ludgarda?* jak przyjęta? Jeśliś dobry napisz mi długo o *Barbarze* Wężyka. Słyszałem, że i Osiński w tej materyi pracuje — czy skończył? w czem się różnią?“

Te nieco nerwowo stawiane pytania wskazują, że już w tym czasie praca nad „Barbarą“ była w pełnym toku. Istotnie, 20 sierpnia 1811 r. wysyła Feliński rękopis przyjacielowi, pisząc: „Posyłam ci ostatnią moją robotę... *Barbarę*. Mogęż ją z większą ufnością komu powierzyć, jak dawnemu i najlepszemu przyjacielowi, który jedną z pierwszych prac młodości mojej: „Wiersz do Kościuszki,“ światu pokazał. [1]) Przeczytaj ją sam najpierwej po cichu i spal, jeśli osądzisz, że nic z niej dobrego zrobić nie można. Jeśli zaś poweźmiesz o niej jaką pochlebną nadzieję, zrób mi nad nią swoje uwagi i daj pod krytykę osobom, do których listy przyłączam, *Tymineckiemu* i innym. Przeszlij mi potem swoje i każdego zosobna uwagi, a ja zrobię wszystko, żebym wam dogodził.“ W liście z 28 grudnia 1814 r. z Osowy czytamy: „Spodziewam się niedługo waszych krytyk na *Barbarę*. Znam ja sam jej wady, już po jej wam przesłaniu wiele poprawiłem... Prócz twoich (na których najwięcej polegam), radbym jeszcze koniecznie mieć uwagi nad nią *Tymineckiego*, którego światło, gust i szczerą przyjaźń my sami podobno najlepiej możemy ocenić. Jego skromność, samotność, może lenistwo nie wielu osobom da go poznać i prawdę rzekłszy, nie wielu jest tego wartych.“

Przyjaciele zarzucali „Barbarze“ rozwlekłość i zbyt mało ożywioną akcyę, na co odpisywał Feliński (7 marca 1815 z Wołosowa): „Że są długości w *Barbarze*, zgadzam się chętnie, czułem to i zostawiłem umyślnie dla was, żebyście kierowali mój wybór, co mam przekreślić. Co do drugiej krytyki, że w niej niema dosyć akcyi, ani sam się poczuwam, ani nikt mi tego jeszcze nie zarzucał;—może się nie rozumiemy... Czekam dowodów z rozbioru i albo ulegnę, albo was inaczej przekonam...“ Natomiast wysoko podnosił Wyszkowski dykcyę tragedyi, utrzymując, że nic nie ma w tym względzie do zarzucenia — na co znowu Feliński

[1]) Jest to ciekawa, choć niezupełnie jasna wiadomość o młodzieńczym wierszu Felińskiego „Do T. Kościuszki,“ który dochował się jedynie w ułamku (7 zwrotek) w rękopiśmiennych zbiorach biblioteki Ossolińskich (por. Pilat „Historya literat. pol.“ IV/2, str. 145).

odpowiada (15 kwietnia 1815 z Wołosowa): „Co? ty mi piszesz, że uwag nad dykcyą *Barbary* nie przyszlesz mi żadnych. Strzeż cię Boże! łaskawe pochwały, a jeszcze od ciebie, który sam tak piszesz, pochlebiają mi bardzo, ale mnie nie omamią, ani ciebie nie uwolnią od wytknięcia mi każdego wiersza, każdego wyrazu, który ci się nie podoba, od oznaczenia mi wszystkich tyrad, które trzeba wyrzucić. Nie zawódź mojej nadziei.“

Przytoczyłem te wszystkie ustępy korespondencyi Felińskiego, ażeby okazać, jak wysoko cenił opinię przyjaciela i jak ważny jest współudział Wyszkowskiego w ostatecznem opracowaniu arcywzoru klasycznej naszej tragedyi, tworzonej wśród ciągłych poprawiań i przeróbek przez ciąg lat sześciu (1811 — 7, t. j. do wystawienia sztuki w teatrze warszawskim).

Oprócz Wyszkowskiego zależy Felińskiemu również na zdaniu drugiego przyjaciela, Tymienieckiego. Niestety, ten ostatni nie wiele mógł mu być w tym względzie pomocnym: umarł bowiem 17 sierpnia 1814 r. w Prażmowie na gruźlicę, która już od szeregu lat w jego organiźmie nurtowała.

Czem była ta śmierć dla obu pozostałych „braci serca“ — świadczą ich własne wyznania. Feliński, otrzymawszy smutną wiadomość od Wyszkowskiego wraz z projektem wydania pism zmarłego przyjaciela—pisze w liście z 1 marca 1815 r. z Wołosowa: „Już go więc niema! niema naszego Tymienieckiego! Co za strata! ile słodkich i smutnych wspomnień, ile znikłych nadziei!... Nie, nie, on nie był stworzony na nasz wiek, wiek nieszczęść i odrętwienia, nadto był czuły, szlachetny i dumny. Jego pisma noszą na sobie tę cechę oryginalności, jak i jego dusza. Co za pisma! co za dusza! Niestety! żył i umarł nie dosyć znany, nie dosyć ceniony od niewielu dobrych; umarł ofiarą prześladowania złych i przewrotnych. Tak być musiało!... Zachowaj, zachowaj przynajmniej jego pamięć, imię i sławę daj Boże wiekom. Przedsięwzięcie wydania pism jego jest godne jego, godne ciebie. Ale pomnij, że względem przyjaciela, którego dusza leniwa może, kiedy szło o przyjaciół, najmniejsza oziębłość, opieszałość byłaby zbrodnią... Jeśli chcesz, wydziel mi jaką część pracy, która ci się zda najnudniejszą, i przyślij, a obaczysz.“ „Ach! czyż i ja nie cierpię?“—pisze, chcąc pocieszyć przyjaciela—„czyż nie czuję? ale jest u mnie lekarstwo... praca.“

Toż samo mniej więcej donosi Feliński w dwa dni później w liście do Rudzkiego, wspólnego uczestnika wspomnień młodzieńczych. Na żądanie Wyszkowskiego układa nagrobek (w liście do Rudzkiego z 13 kwietnia i do Wyszkowskiego z 15 kwietnia

1815 r. z Wołosowa): „Prawy Polak, poeta zachwycający i nienaśladowany, w mniemaniach, w postępowaniu, w pismach, w swoich tłómaczeniach nawet noszący cechę oryginalności. Kochany z zapałem przez przyjaciół i dla nich wylany, ukrywał się przed innymi mniej może przez skromność, jak przez szlachetną dumę, nie zdolny wejść w przymierze z nieprawością ani z głupstwem; żył w wieku wielkich odmian, zaburzeń i nieszczęść, a mający zbyteczną tkliwość, padł jej ofiarą; od potomnych dopiero będzie, jak wart, oceniony, a cześć dla pamięci jego w Polakach rość będzie z ich oświeceniem, z ich cnotą i z ich sławą.“

Nie umieścił Wyszkowski napisu tego na nagrobku kościoła parafialnego w miasteczku Burzeninie, gdzie spoczęły śmiertelne szczątki tłómacza Ossyana; zacytował go tylko w przedmowie do pism przyjaciela. W miejsce proponowanego epitafium, którego długość motywuje Feliński zbyt mało znanem imieniem zmarłego poety, widnieje inne w następujących słowach: „Konstantemu Tymineckiemu, jako walecznemu żołnierzowi, gorliwemu urzędnikowi, uczonemu mężowi, opiekunowi włościan, najlepszemu przyjacielowi położyli ten pomnik wierni przyjaciele.“

Ze łzami w oczach zabrał się Wyszkowski do ostatniej posługi przyjacielskiej, do gromadzenia i opracowania pozostałych rękopisów, pomny zdania ulubionego przez zmarłego poety rzymskiego Terencyusza, że „przyjaźni nie przerywa zgon.“ „W Tymineckim straciłem wszystko — pisze w przedmowie do pism — co tylko w życiu jedyną pociechę dawać może, bo straciłem najdroższego i najdawniejszego przyjaciela, nauk szkolnych towarzysza, z którym mnie ścisłe i nierozerwane związki od pierwiastków młodości łączyły... Zostawił mi on piękny do naśladowania przykład, którego nie dojdę i żal, którego czas nigdy nie strawi. Dzielcie żal ten ze mną wspólni jego przyjaciele! Feliński, Tarnowski, Kruszyński, Osiński i in.“

Cóż zawierają te dwa spore tomy pism zmarłego poety, które, zdaniem przyjaciół, miały mu zapewnić nieśmiertelność? Jest to dorobek pracy literackiej długiego szeregu lat, spędzonych niemal nieprzerwanie w wiejskiem zaciszu, zdala od wielkomiejskich gwarów, zdala od atmosfery sztuki i nauki. Spadek to jednak nie całkowity — wydawca wspomina kilka ciekawych prac, pozostałych w rękopisie: szkic komedyi „Herbomania“ na wzór „Metromanii“ Pirrona, naśladowanie „Duncyady,“ „gładkie, lecz w drugiej zwłaszcza części niedokonane przekładanie z J. J. Rousseau'a *O umowie towarzyskiej*,“ kilka satyr Juvenalisa, „wyjątki epok sław-

niejszych z dziejów naszych i obcych i inne," nadto niedokończona rozprawa „O sztuce dramatycznej w starożytności."

Z tego, co wydano, najciekawszy pozostanie przekład „Pieśni Ossyana," owoc pracy młodzieńczej — utwory późniejsze, wyłącznie niemal przekłady, dalszego stadyum w rozwoju talentu poetyckiego nie wskazują. Jest to tłómaczenie „Lata" z „Czterech pór roku" Tompsona (wedle wydawcy najwcześniejszy utwór po Ossyanie—napisany był w 1796), „Hymn do piękności" z Delille'a, ulubionego przez wszystkich trzech przyjaciół poety (Feliński tłómaczy „Ziemianina"), „Świątynia sławy" z Pope'a, a przedewszystkiem pracowity, na klasyczną modłę wiele lat ostatnich „strugany" i gładzony przekład sześciu komedyj Terencyusza. Prace te dokonane zostały pod względem formalnym bez zarzutu, wiernie i gładko, współczesnym mogły istotnie imponować, dla nas przedstawiają one jedynie historyczną wartość. To, co w przekładzie Ossyana mogło było zapowiadać pewną indywidualność odrębną, owe „oryginalności" językowe, stanowiące przedmiot dysput w kole młodych klasyków — zjawia się w tych późniejszych pracach ledwo wyjątkowo: zrzadka zatrzyma uwagę niezwykła forma w guście „wiosna swój lic chowa," „przy *strużku*, co tocząc wody," „kiedy *par* się spuści" („Lato"), „*oblicz* wspaniały," „*waby* ciała" („Hymn do piękności"), niezwykły epitet, jak „wschód *dropiaty*," „*ludna* cichość" („Lato"), lub zestawienie metaforyczne, jak „zazdrosnych czasów *kieł* wszystkowłady" („Świątynia sławy"), a wreszcie i rym nie „dla oka," jak „ciepło—okrzepłą" („Świątynia sławy"). Są to jednak zupełnie wyjątkowe i niezbyt szczęśliwe zboczenia od przepisów pseudo-klasycznej poetyki. Katastrofa 1795 roku wpłynęła, jak się zdaje, fatalnie na nerwową naturę Tymienieckiego. Od tego czasu usuwa się od życia, staje się dziwakiem i mizantropem, a przytem i rozwijająca się coraz bardziej choroba piersiowa krępuje w nim swobodę myśli. To wszystko zapewne przyczyniło się, że talent ten, tak dobrze się zapowiadający, zawiądł i zmarniał przedwcześnie.

Choć w szerszych kołach za życia nieznany, przez przyjaciół, ludzi również nie tuzinkowych, uważany był za niepospolitą głowę. Oto jaką charakterystykę Tymienieckiego kreśli wydawca: „Był to mąż niepospolity, z rozległą nauką, żywem objęciem, gruntownym rozsądkiem. Poważna, lecz razem ozdobna jego postawa, twarz uprzejma i pogodna, na pierwszy rzut oka wydawały w nim duszę szlachetną i serce dla ojczyzny i przyjaciół wylane. Przy nieskażonych obyczajach, uczciwość we wszystkich postępkach była jedyną dla niego pobudką, lecz surowe jej

prawidła umiał łagodzić, szczęśliwym uprzejmości darem. W przedsięwzięciach i przyjaźni najstalszy, tkliwy na cierpienia i wybaczający błędy drugich, sam może zanadto drażliwy, lecz ani zawzięty, ani zazdrosny, żartobliwy bez uszczypliwości, wesoły bez zbytku, wyniosły bez pychy, czy to ważniejsze zdania otwierał, czy się do powabnego kraju imaginacyi przenosił, rozlewał tę osobliwszą w posiedzeniach słodycz i rozkosz, którą czuć tylko można i cenić, ale jej opisać, a tem bardziej posiadać nie łatwo.“

*

* *

Niepodobna by nam było dzisiaj wieńcem nieśmiertelnej sławy ozdabiać tę zapomnianą postać, jakby tego pragnęli przyjaciele: lecz w plejadzie polskich poetów pseudoklasycznej doby nazwisko Tymienieckiego wymienić i w najważniejszych zarysach rysunek tej postaci podać—jak sądzimy—warto i należy.

*

* *

Nie oszczędził los Wyszkowskiemu i drugiej, niemniej bolesnej straty: 20 lutego 1820 roku zmarł Alojzy Feliński. Z trójki poetów, którzy „przez 30 blizko lat żyli tak tkliwym węzłem spojeni,“ że wzajemności serc ich „ani oddalenie, ani zmiany okoliczności zmienić nie potrafiły“ (Tańska), pozostał jeden, „nadobnej *Cefizy*“ tłómacz. Ostatni raz widzieli się obaj w Warszawie w 1815 roku, uczestnicząc w posiedzeniach Ixów („Rozrywki dla dzieci“ t. VI, str. 256). Jeszcze 29 września 1819 r. pisał do przyjaciela Feliński z Krzemieńca, dokąd dla objęcia posady profesora zjechał: „Potrzebuję najwięcej pięknych kawałków; przyszlij mi więc swoje rękopisma i innych pisarzów, których wiersze szanuję.“ W pięć miesięcy później już nie żył.

Do wygłoszenia „pochwały“ zmarłego autora „Barbary Radziwiłłówny,“ zwyczajem przyjętym w warszawskiem Tow. Przyjaciół Nauk, powołano długoletniego przyjaciela, Wyszkowskiego.

Prelegent postanowił odczytać kilka wierszy młodzieńczych Felińskiego, pochodzących z owych dobrych czasów wspólnie spędzonej młodości; była to: „Przemowa Kornelii, matki Grachów do Rzymian," scena 1 aktu I-go z tragedyi Woltera „Tryumwirat," oraz drukowany już w swoim czasie w „Pamiętniku wileńskim" „List do St. Trembeckiego." Czuł jednak, że nie potrafi odpowiednią modulacyą głosu oddać wszystkie piękności wiersza. Prosi więc zgromadzonych na publicznem posiedzeniu dnia 3 maja 1820 r. o wyrozumiałość: „głęboki cios sercu zadany — mówi — nie dozwolił mi rozrzewnionemu godnie (pochwały) wysłowić;" niechaj słuchacze usiłują nie „uronić żadnej piękności wiersza Felińskiego, jeśli głos mój przytłumiony żalem po stracie 30-letniego przyjaciela nie będzie zdolnym wydać zadziwiającego uroku, który pióru tego pisarza towarzyszył."

Lat jeszcze dziesięć miał przeżyć Wyszkowski. Pisać zaprzestał niemal zupełnie; kilka wierszyków, wydrukowanych w wydaniu pośmiertnem, a które w tych ostatnich latach powstały, noszą charakter czysto okolicznościowych utworów, skierowanych pod adresem osób tego grona, z którem w ostatnich czasach wiązały go najzażylsze stosunki: jest to wiersz imieninowy do generała Wyszkowskiego z 1820 r., „Do mecenasa Tarczewskiego," szwagra Klementyny Tańskiej z 26 listopada 1827 roku, na urodziny Helenki, tej samej, której poświęcić miała Hoffmanowa słynną książeczkę p. t. „Wiązanie Helenki," „Pegazowski — na rocznicę urodzin bliźniąt Tarczewskich 28 lutego 1823" i „Na 12-stą rocznicę ślubu tychże 1 lipca 1827."

Żyjąc ugruntowaną sławą jako wybitny talent poetycki, wśród powszechnego szacunku i uznania dotrwał końca dni swoich. Zmarł 4 maja 1829 r. w 59 r. życia. Podczas uroczystych obdukcyj kazał w kościele wymownemi słowy ks. Szaniawski, „scholastyk warszawski."

*

* *

Talent posiadał Michał Wyszkowski mierny—to, co go z pośród wielu innych wyróżnia, zawiera jedynie zbiorek wierszy młodzieńczych: jest to owa świeżość odczucia w pewnym stopniu, ów sentymentalizm niezupełnie literacki, na który zwraca-

liśmy uwagę. W następnych jednak utworach cechy te zanikają; Wyszkowski staje się klasykiem „pur sang.“ „Prawda, jasność i zdrowa loika“—stają się wedle własnego jego wyznania („Charakter M. Wyszkowskiego przez niego samego skreślony“ w wydaniu pism), jedynemi dlań wytycznemi w życiu i poezyi. W dziedzinie oryginalnej jest na równi z innymi klasykami mało płodny. Przeważnie tłómaczy, lecz po wzory zwraca się również i do poezyi niemieckiej, którą czytuje w oryginale. Pod względem formy niewiele mógłby mu zarzucić najzaciętszy ortodoksa klasyczny, o czystość języka dba usilnie i niejednokrotnie tendencyę tę z naciskiem podkreśla.

Cieszy się też współcześnie powszechną opinią wybitnego poety, jakkolwiek zbiorowe wydanie poezyj wychodzi dopiero po śmierci (zbiorek wierszy młodzieńczych nie wielu był znany), jako objaw dobrze spóźniony. Opinia ta z dzisiejszego punktu widzenia musi wydać się przesadną, lecz wtedy inną mierzono miarą. Wszakże Osiński w ciągu długiej swojej karyery literackiej zdobył się ledwo na drobną wiązankę wierszy oryginalnych, oraz kilka gładkich przekładów, a współcześnie został ogłoszony poetyckim geniuszem. To też jeżeli na Wyszkowskiego spojrzymy z historyczno-porównawczego punktu widzenia (a jedyny to punkt w nauce dopuszczalny), musimy mu przyznać miejsce na ówczesnym Parnasie polskim; wieluż bo na nim widzimy takich, którzy w niczem, ani w zdolnościach, ani zasługach Michała Wyszkowskiego nie przenoszą.

Przypomnieć tu jeszcze należy jeden moment: pozostawał Wyszkowski w blizkich stosunkach z wielu najznakomitszymi, a nawet na głębsze od siebie talenta, jak Felińskiego, wywierał wpływ bezpośredni. Ważną też jest rola, jaką odegrał, zwłaszcza w ostatniem dziesięcioleciu Królestwa Kongresowego, w literacko-towarzyskiem życiu Warszawy. Okażą to najlepiej dzieje nieznanego dotąd „Towarzystwa rozrywkowego,“ które istniało na bruku warszawskim w latach 1823 — 7; o tem pragniemy pomówić osobno.

D-r Maryan Szyjkowski.

JAN MORÉAS

(1856—1910).

Wieczorem, ulubionym zwyczajem samotnika, Moréas kołysze się na szeslongu i, paląc cygaro, wspomina sobie przeszłe lata: „Spędzam zimę na tem wybrzeżu wspaniałem, gdzie, jako mały chłopiec, chwytałem po dziurach morskie raki za wąsy. Żywię się rybami i piję to lekkie białe wino, co pachnie żywicą. Koło mnie mieszkają rybacy, starzy i biedni, jak rybacy Teokryta...

„Lubię schodzić na brzeg morski, gdy pierwsze brzaski dnia różowią szary widnokrąg. Kiedy się zbliżam, mewy, siedzące na trawach morskich, uciekają z biciem skrzydeł i wydają skargę tak miłą sercu memu...

„Mam książki i notatkę do zapisywania wierszy...

„... Dom—gdzie mieszkam nad brzegiem potoku, który widział narodzenie Sofoklesa—jest biały i czysty mimo zmurszałych okiennic. Maj; w ogródku kwitną piękne róże pomiędzy dwoma drzewami oliwnemi, wielką morwą, maleńką winnicą i cembrowaniem studni. Świergotanie ptasząt wita mię rankiem, a zasypiam przy śpiewie słowika...

„... Co za mroźny styczeń. Nasza mieścina, położona u stóp ciemnej wyżyny Sewennów, jest cała pokryta szronem...

„... Wróciłem do Monachium. Cud Ezona odnowił się dla mnie: Patrz! na ulicy, jak dawniej, podziw kobiet waha się między kolorem moich włosów, a moją nóżką maleńką. Dziś wieczorem idę do teatru: będę słuchał „Zygfryda“...

„... Jestem w Bolonii, mam szesnaście lat. Moje ukłony wieży Garyzendy, która się tak szlachetnie pochyla; ale stokroć wolę dziewczęta, które mię zatrzymują na ulicy wieczorem, by mi sprzedać bukieciki hiacyntów...

„... Jestem we Florencyi, w Kascynach, w faetonie. Patrz na tę szlachetną damę, co przechodzi! Piękna jest i dumna, jak bohaterka Imci Pana Jana Boccaccio. Wiesz, jeżeli mię znajdą tej nocy pod jej bramą przebitego na wylot, to jej nie wykradnę!...

„... Jestem na granicy austryackiej. Źle spałem w pociągu; mam twarz przywiędłą i nie śmiem pokazać się pani N., którą bawiłem przez dzień cały, a teraz opuszczam bez nadziei zobaczenia...

„... Jestem w Hiszpanii, może w Maroku...

„... Ależ, ależ ja się zamykam na cały rok w mojem kochanem Montrouge. [1]) Nasza piękna katedra romańska jest dla mnie końcem świata. Oglądam przez okno, jak przechodzą pory roku na grządkach mego sąsiada, ogrodnika.“ [2])

Jak dym z cygara snują się bezładnie wspomnienia z życia, które było bardzo ruchliwe, a nawet trochę awanturnicze w młodości. Moréas (nazwisko rodowe Papadiamantopulos) urodził się w Atenach w r. 1856. Przodkowie jego brali udział w walkach o niepodległość Grecyi i wsławili się na lądzie i morzu, paląc tureckie galery. Ojciec, znany prawnik, był wysokim dostojnikiem przy trybunale kasacyjnym w Atenach. Moréas otrzymał wykształcenie francuskie. „Z waszymi poetami — mówi do sprawozdawcy francuskiego dziennika — spędziłem najpiękniejsze chwile młodości; czytałem ich nieustannie, a nie miałem jeszcze dziesięciu lat, kiedy sobie przyrzekłem śpiewać, jak oni, po francusku. Bogowie spełnili moje śluby.“

Moréas czytał bardzo wiele, a rozwinął się wcześnie. Kiedy młodo opuszczał Ateny, pozostawił tam bibliotekę z dwu tysięcy tomów francuskich, przeważnie klasyków i poetów Odrodzenia. W Paryżu słuchał wykładów prawa z woli ojca, ale częściej odwiedzał koła artystyczne i literackie. „Brzegi Sekwany— mówi dalej—podbiły mię tak dalece, że nie mogłem już żyć w Atenach, wróciwszy między swoich po trzechletnim pobycie w Paryżu. Powróciłem wnet, by osiąść nad Sekwaną, i przez lat dwadzieścia nie widziałem Grecyi. Moja podróż ostatnia sięga roku 1897, w czasie wojny przeciw Turcyi.“ Nie zaraz osiadł stale w Paryżu. Jeździł po różnych uniwersytetach więcej dla przyjemności niż nauki; podróżował, bawił się, żył. Mieszkał w Frankfurcie i Heidelbergu, w Kolonii, Monachium i Genewie; zwiedził okolice nadreńskie i Szwajcaryę, zatrzymał się dłużej we Wło-

[1]) Montrouge jest przedmieściem i dzielnicą Paryża.

[2]) „Esquisses et Souvenirs,“ Paris 1908, str. 191 i nast.

szech... Nie tracił czasu. Wabił ku sobie czarnym wąsem, włosami o niebieskawych refleksach i maleńką nóżką. Schylał się nad kwiatami, jakie spotykał na drodze, bo skłonny był do miłostek a płochy. W teatrze i kawiarni, na ulicy, przechadzce i w podróży—wszędzie chwytał w lot chwilę czułego wzruszenia. Wśród wspomnień znajduje się także Polka, którą poznał przelotnie, gdy wsiadł do pociągu w Weronie: „Siedziały ze mną dwie panie: jedna starsza, tłusta i czerwona, druga młodziutka, jasna i osłabiona, z oczyma lekko szaremi. Rozmawialiśmy, a pociąg pędził na torach. Były Polkami obydwie, matka i córka. Matka zaprosiła mię na kanapki z kawiorem, a w córce rozkochałem się zaraz na śmierć. Trwało to do rana nazajutrz, kiedy się rozstaliśmy. Miałem lat dwadzieścia, serce czułe i płoche.“[1]) Zewsząd przywiózł z sobą Moréas naręcza świeżych wrażeń życiowych. Kiedy osiadł w Paryżu i zaczął pisać wiersze francuskie, wracały te wspomnienia, jak migawkowe obrazy z młodości; przesuwały się pasmami czułych woni, w dreszczach krwi gorącej i wśród drobnych tragedyj myślowych, jakie pobudziło czytanie.

„Syrty,“[2]) pierwszy zbiór jego poezyj, powstawały w takich warunkach. Już zaraz na wstępie, w „Remenbrances,“ wspomnienia snują się tajemniczo wśród żałobnego nastroju: ciemny pokój, zarzewie płonie różowo na kominku, a wichry zimowe huczą na dworze; w pokoju cisza, tylko kot wychudły ociera się o ściany, a w kącie wspomnienia szeleszczą po firankach, niby roje jakieś brzęczące:

C'est un bonheur que l'heure emporte
Qui chante sur uu ton lassé.

Przechodzą wspomnienia jedne po drugich długim szeregiem: Grecya i dziewica o pięknych kształtach klasycznych; dama włoska, gondole i mandoliny; jakaś Małgorzatka jasna, naiwna i sentymentalna; Katalonka o czarnych włosach i oczach, jak smoła; wreszcie frou-frou paryskie, rozkoszne oczy, ukwiecone kapelusze, batysty i koronki... Wszystko to prawdziwe i szczerze przeżyte wypowiadało się z prostotą w chwilach twórczości odruchowej. Ale takie chwile były rzadkie. Większa część wierszy jest stylizowana, począwszy od samego tytułu. Bo „Syrty“ były to niebezpieczne zatoki, które pochłonęły tysiące statków i żeglarzy.

---

[1]) „Esquisses et Souvenirs,“ Paris 1908, str. 144.
[2]) „Les Syrtes,“ poésies, Paris 1884.

Symboliczne zatoki szczęścia! Ku nim płynął wszystkiemi drogami, ale zawsze rozbijał się gdzieś o skałę. Każdy wiersz jest — niby szczątek rozbitego okrętu—echem jakiegoś serdecznego cierpienia. Jak łatwo w takich warunkach o dekoracyę i pozę; a skoro się raz weszło na tę drogę, trudno utrzymać jakąś miarę. Transpozycya wrażeń życiowych na obraz stylizowany komplikuje się z każdym wierszem, staje się coraz bogatszą, barokową. Oto obrazek dwornej zabawy, niby werlenowska „fête galante“: Stary, wspaniały park, pod wieczór pełen strojnych dam i sentymentalnych kawalerów; wymowne spojrzenia, łaskawe uśmiechy, szum jedwabiu, a wśród tej dwornej igraszki jakaś tragedya serdeczna, którą pokrywa grzeczny uśmiech. O kartę dalej znów dekoracya inna: Ciemnobłękitna noc, stare zamczysko ponure; na tle jego komnat rysuje się fresk kobiety zmysłowej i demonicznej, „o wargach bachantki, a oczach madonny.“ Sposób stylizowania występuje bardzo wyraźnie w „Conte d'amour,“ powiastce miłosnej jakich wiele, bez namiętności i bez tragedyi; mogłaby być nawet bardzo miłą, gdyby nie dodatki teatralne, które z nią nie mają nic wspólnego. Moréas chce koniecznie być bardzo mistycznym i bardzo satanicznym; bierze w dłonie kadzielnicę, wyrzuca kłęby sinych dymów i zdobi swą ukochaną tak, że jest „strojna, jak ołtarz, a święta, jak relikwia;“ potem widzi w jej oczach mistyczne słodycze, kokietuje z białością lilij, świętością madonn i złotym blaskiem relikwiarzy. Za chwilę wszystko się zmienia; na miejscu mistycznego wniebowzięcia rozsiada się spleen i grymas przesytu, który się wypowiada w apostrofach naiwnego satanizmu:

Serce moje jest trumną pustą w ciemnym grobie...
Ma dusza, to zamczysko, kędy kraczą kruki..

Mistyczna i sataniczna komedya rozwija się w różne pozy, obrazy i waryanty; stroi się w jaskrawy blask drogich kamieni, nimb złocisty i błękity; roztacza się w długie wodne desenie o dziwacznych liniach i ozdobach, inkrustowanych gęsto tajemniczymi wyrazami niby mozaiki z fałszywych kamieni. Ale jest go zbyt mało i tak fałszywej jakości, że nie wystarcza nawet, by oszołomić mistycznie samego poetę, który kokietuje równie z białością lilij, jak z histeryczną erotyką, a tak łatwo przechodzi od Madonny do Astarte, że sam się wreszcie tem nudzi i wraca do naturalnej, zdrowej zmysłowości. „Dosyć już tych wstrzemięźliwości ponurych!“ Marzy mu się, że jest gdzieś hanem samowładnym i zasiada na złotej stolicy. Wokoło kobiety, wojownicy... Wystarczy tylko palcem skinąć...

Dodatki mistyczne i sataniczne nie mają wiele wspólnego ze stanami wewnętrznych przeżyć Moréasa. To dekoracya i poza. Prawdy i szczerości szukać trzeba w tych wierszach nielicznych, gdzie mówi zmysłowość młoda i wesele, kędy się szasta rozkoszny urwisz, łatwy do miłostek a płochy. Prawdą jest tu inwokacya zmysłowa: „Seins des femmes! ô seins de lis! ô seins de nacre!“ a wszelkie skrupuły mistyczne są pozą nieszczerą, która opada, jak tynk stary tam, gdzie się nie szuka bohaterskiego gestu: „Nie lubicie z pewnością mgły, bo nie widzieliście jej, jak się unosiła nad jeziorem Czterech Kantonów, i nie zakryła was przed oczyma waszej przyjaciółki, podczas gdy całowaliście jej młodszą siostrę.“ [1])

Zmysłowość i nieokreślone marzenia o wielkości są odgłosem wewnętrznych przeżyć; reszta, a więc bohaterski ton, pretensyonalna dekoracya i grymas przesytu—to echa czytanych książek Baudelaire'a, Verlaine'a, to wpływy literackie, które się jeszcze nie przetrawiły, ale gniją gdzieś w zapadłym kącie mózgu i co chwila dobywają się na powierzchnię kłębami wyziewów, jak czkawka. Wszystkiego tu jest potrochu, a mieszanina nie wysokiej jakości. Mogła być białą, jak lilia, albo czerwoną, jak szkarłat, a teraz wydaje niemiły, zjełczały zapach, niby przepocona bielizna.

Większość tych wierszy powstawała w różnych czasach, kiedy w głowie piszącego nie było wcale porządku. Przy końcu dopiero występuje coraz częściej idealizm z bardzo lekką powłoką mistycyzmu. Spotyka się wtedy co krok lilie, gromnice, monstrancye, mszały o złotych klamrach i długie ręce wybladłe, jakby na starych witrażach. Zjawia się nawet przelotnie marzenie o jakiemś rycerstwie ducha i żal, że się tyle lat straciło na marne rozkosze; za tem idzie misteryum pokutnicze i żałobny śpiew pośród gromnic w jakichś kryptach podziemnych. Są to już ślady symbolizmu, który się zaczynał kształtować w kierunek o wyraźnym charakterze.

*

* *

[1]) „Esquisses et Souvenirs,“ Paris 1908, str. 199.

Moréas należał do twórców symbolizmu; a że był starszym od wielu i miał szerokie wykształcenie artystyczne, ceniono go i otaczano jako jednego z wodzów. On sam uważał się za kierownika tej grupy i występował publicznie jako jej przedstawiciel i obrońca. W r. 1886 ogłosił wraz z Paul Adamem pierwszy manifest symbolizmu w „Figaro“ z dnia 18 września.

Równocześnie napisał „Piosnki“ [1]) o wyraźnym charakterze poezyi symbolicznej. Dwa tematy powtarzają się tu w różnych ukształtowaniach: erotyka i rozmyślania filozoficzne. Wiersze przygodne zebrał w jeden rozdział fatałaszek, „Toute la babiole,“ gdzie się spotyka często wypowiedziane bardzo pięknie przelotne drobnostki życiowe, wiele zmysłowości, szelest sukni wieczorem na spokojnej ulicy, gorąco ciała, dymki wspomnień i rozmyślania z cygarem w ustach, kiedy się wraca z kawiarni do domu. Część refleksyjna powiększyła się znacznie, ale temat erotyczny wciąż jeszcze przeważa. To też nie w treści samej trzeba szukać symbolizmu, ale w sposobie wypowiedzenia. Moréas wszedł teraz stanowczo w średniowiecze; robił nad niem poważne studya, czytał wiele i znał je może najlepiej ze wszystkich symbolistów. Ogłosił nawet przełożoną na język współczesny—dłuższą powieść „Jean de Paris“ i wiele krótkich opowiadań awanturniczo-miłosnych p. t. „Powiastki i opowiadania ze Starej Francyi.“ Znał także lirykę średniowieczną i starał się ją naśladować. Jest w tej książce cały rozdział, „Arye i opowiadania,“ który zawiera piosnki o tematach średniowiecznych i egzotycznych. Są wiersze, naśladujące bardzo zręcznie piosnki, jakie niegdyś śpiewano do tańca; są straszne historye czarownic i dziwaczna wizya śmierci według średniowiecznych wyobrażeń; przeważają jednak opowiadania w rodzaju ballad romantycznych o tematach, wziętych z rycerskich romansów, sentymentalnych historyj średniowiecza, a nawet z pieśni ludowych. Wśród ostatnich znajduje się prześliczny nokturn, naśladowany z Heinego.

Stuk, stuk, stuk — cieśla młotkiem kuje,
Stuk, stuk, stuk — trumnę mi gotuje.
„Uściel mi trumnę, przyjacielu,
Zbij trumnę z mocnych desek wielu,
Uściel mi wielkie, mocne łoże,
Bo w niem mą miłość na sen złożę.“

[1]) „Les Cantilènes,“ poésies, Paris, L. Vanier 1886.

Stuk, stuk, stuk — cieśla młotkiem kuje,
Stuk, stuk, stuk — trumnę mi gotuje.
„Białym jedwabiem wyściel całe,
Błyszczącym, jak jej ząbki białe,
Ubierz je w wstęgi, przystrój w wianki,
Modre — jak oczy mej kochanki.“

Stuk, stuk, stuk — cieśla młotkiem kuje,
Stuk, stuk, stuk — trumnę mi gotuje.
„Nad czystą wodą, przy ruczaju,
W cienistym gaju, chłodnym gaju,
Kiedy kukułki się wołały,
Obce ją usta całowały.“

Stuk, stuk, stuk — cieśla młotkiem kuje,
Stuk, stuk, stuk — trumnę mi gotuje.
„Uściel mi trumnę, przyjacielu,
Zbij trumnę z mocnych desek wielu,
Uściel mi wielkie, mocne łoże,
Bo w nie mą miłość na sen złożę.“ [1])

W tych piosnkach i opowiadaniach balladowych uderza przedewszystkiem ton opowiadania i sposoby techniczne. Moréas, artysta o szerokiej kulturze i uczony znawca literatury, stara się naśladować ludową prostotę i naiwność; próbuje rytmów ludowych, posługuje się odpowiedniemi formami, używa zwrotów a przedewszystkiem powtarzań. Kilka razy udało mu się wejść w charakter pieśni gminnej i napisać wiersz bardzo miły; ale będzie to zawsze sztuczna prostota i naiwność, która może dowodzić tylko wielkiej zręczności i oczytania.

O wiele ważniejsze ze względu na samego Moréasa są wiersze, gdzie wypowiada swoje własne przeżycia. Tu zmienia się ton i forma tak gwałtownie, że kontrast jest nawet rażącym. Poeta występuje w pełnym stroju teatralnym. Zwiastuje to sam tytuł „Funérailles,“ uroczystości pogrzebne, wśród których chowa się na spoczynek wieczny wspomnienia rozkoszy miłosnych i nadzieje o mistycznych refleksach. A grzebie się z największą pompą, na jaką się można było zdobyć. To wspaniały pogrzeb pierwszej klasy: ogromny karawan płynie w nadmiarze kwiatów, dziwnych kwiatów egzotycznych; czarne konie kroczą ciężko długim szeregiem, połyskują ich pióropusze i kapy srebrem tkane; płoną

[1]) Tłómaczył K. Rychłowski, „Współcześni poeci francuscy.“

kagańce na wysokich tykach, kłębią się dymy pochodni. Dziwni ludzie—dziwne stroje. Wokoło już późna jesień: dzień jasnoszary, wiatr zamiata z szumem zwiędłe liście po drogach, a z wiatrem zalatuje marsz pogrzebowy, który gdzieś na przodzie wygrywa muzyka. Zapach kwiatów, duszna woń gromnic płonących i jakieś milczenie ciężkie i tajemnicze...

Moréas grzebie swoje marzenia z wielką pompą.

Roses de Damas, pourpres roses, blanches roses...
Oiseaux miraculeux, oiseaux bleus, oiseaux roses...

Zwołuje na tę żałobną uroczystość całą przeszłość rycerską, krzykliwą i kolorową, wszystkie balsamy, cudowne napoje i mistyczne dymy kadzielnic. Aktorzy, biorący udział w tej pompie, przywdziali stroje uroczyste: szeleszczą suknie bogate i powłóczyste; głowy i ramiona zdobią dyademy i naszyjniki ciężkie od drogich kamieni; grube, barbarzyńskie pierścienie zakrywają palce. Wszyscy kroczą w marszu uroczystym, bo czują, że koło nich idą w górę słupy kadzideł; podnieśli głowy, bo to grzebanie umarłych po wielkich pogromach. Może i polegli prężą się w trumnach, robią marsowe czoła i z chrzęstem uderzają w karabele... Gdzieś jeszcze słychać gromkie okrzyki zwycięzców... Muzyka gra, wciąż gra bohaterskiego marsza. Ohe!

Bohaterska maskarada! Wszystko się tu pręży w teatralnej pozie; kostyum jest ciężki, barokowy i barbarzyńsko bogaty, o fałdach twardych, jak krochmalne kornety zakonnic. Głos się podnosi i natęża, aż staje się metalicznie przeraźliwy i niemiły.

A pod tą dekoracyą treść jest wcale uboga, dawna treść erotyczna, nieco mistycznie zabarwiona. Wątły szkielecik gnie się ku ziemi pod nadmiarem strojów. Wszystko to poza, dekoracya pompatyczna i teatralność, przy których tak śmiesznie i naiwnie wyglądają chwilowe marzenia o wianku, białej sukience i te westchnienia prostoduszne:

Niech prostem będzie serce moje,
Niechaj je wzrusza prostota...

Jak Moréas uzasadniał przed sobą samym prawo do takiej bohaterskiej maskarady? W tym tomie znajdzie się kilkanaście wierszy, poświęconych rozmyślaniom nad prawami i celem życia; ale są drobne i trudne do zrozumienia tak, że po kilkakrotnem czytaniu chwyta się zaledwie jakieś linie ogólnikowe, które z trudem można powiązać ze sobą. Przypominają się, nie wiedzieć dlacze-

go, stare mszały, oprawne w skórę lub pergamin i zamknięte na wielkie klamry mosiężne; na kartach idą kilku rzędami wysokie litery gotyckie w dziwaczne zakręty; niewiele ich, a tak ciężko je odczytać, że pot ścieka z czoła. Podobnie wiersze filozoficzne Moréasa wyglądają tajemniczo zdaleka i ujęte są w trudną formę, niby klamry mosiężne. Ale, gdy się oderwie zapory, znajdzie się wewnątrz niewiele treści i filozofię niezbyt głęboką. Całe średniowiecze, mówi, jego zapał i egzaltacya były bezpłodnem marzeniem. Dziś zawisły ponad nami tylko echa jego pogromów i podarte łachmany, bo i życie nasze dzisiejsze jest u kresu ostatecznego upadku. Drzewo życia spróchniało, a drobne odrośle, co się puszczają miejscami, te nasze wysiłki ku wielkim rzeczom, młodość rzekoma krwi i uśmiech — to poza, róża w starej peruce. Zresztą wszystko próżne i zbyteczne. Czas stoi, życie nie idzie naprzód; nasze marzenia o postępie i celach dalekich są naszem największem złudzeniem. A jednak energia życiowa wciąż wre, dudni w żyłach, wdzięczy się ku nam cudownym uśmiechem wiosny, świateł, kolorów i szepce do ucha: miejcie nadzieję, bo złoto ziemi całej na waszą tylko chowam sławę i na waszą koronę, a z tej oto purpury płaszcz wam wykroję powłóczysty!... Życie zwodzi i wciąż się zieleni bez celu; ale trzeba je przeżyć—z musu, bo przezwyciężyć nie można. Najciężej zaś tym, co—jak my—przyszli już pod zorzę zachodnią. Są niby skoszone siano, jak drzewo, z którego strąca się tyczką resztki owoców. Lepiej byłoby nie żyć. Ne pas vivre! wyrywa się okrzyk spleenu i zniechęcenia, któremu towarzyszy gorzkie a pogardliwe skrzywienie warg.

Ale nie trzeba rozumieć tego zbyt tragicznie. Tak często się spotyka i tak łatwo przybiera w młodych latach gest straceńca i pozę Hamleta, rozprawiającego nad żółtym czerepem ludzkim. Pośród sieci intryg i miłostek, w szumie i pośpiesznem obracaniu się młyńskich kół życia, w drodze między schadzką a teatrem, pomiędzy teatrem a kawiarnią, w powrocie późną nocą do samotnego pokoju — myśl stawała dęba, jak narowisty koń. Moréas marszczył brew i rozpoczynał snuć podziemne myśli, które wnet przerywały odgłosy śmiechu wesołych towarzyszy albo młody, zdrowy sen.

Melancholia nie była tragedyą, bo usposobienie poety było zmienne, jak niebo paryskie. Nie miał w sobie bohaterskiego ognia wewnętrznego, który płonie, bo musi, dopóki się nie wypali. Chwilami tylko mignął mu odblask ekstazy, jak promień mistycznej jasności przez szparę; chwilami cała przeszłość dzie-

wic, rycerzy, marzeń i gorąca krwi przepływała niby złota galera... Wtedy na niej zasiadał, stroił się i puszył; marzyło mu się berło i purpura, które zapowiedziały niegdyś rusałki w zaczarowanym lesie. A może to był tylko sen... Wszystko przechodzi jak sen!

Moréas nie miał w sobie wiary w dalekie cele idealne, ani egzaltacyi duchowej, która usprawiedliwiłaby jego rycerską epopeę. Nie wierzy w średniowiecze i spogląda na nie tak, jak się patrzy z daleka na stary cmentarz. Sam również nie żyje takiem życiem duchowem, które zbliżałoby się analogicznie do mistycznej egzaltacyi średnich wieków. Lubi je tylko jako filolog-erudyta, którego interesują zagadnienia językowe, techniczne problemy literackie i wogóle stare książki; lubi, jako artysta o szerokiej kulturze, którego nęci czasem naiwność i nieudolna prostota; a wkracza w tę przeszłość, jako młody awanturnik i zdobywca— w nadziei, że uda mu się tu wykroić szmat ziemi na samodzielne państewko. A że wchodził bez wiary, co sama jedynie ożywia, znalazł tylko groby. Zamiast pochodów tryumfalnych sunie procesya upiorów, a jego wizya średniowiecza podobna jest w części do barbarzyńsko bogatych scen z dekadencyi bizantyjskiej, w części do wizyjnych witraży w stylu Wyspiańskiego: strzępy wyblakłej purpury i pogięte insygnia władzy; ręce pięknych dam rozsypują się w proch, a z każdego otworu wyglądają kości pożółkłe. Kupa piszczeli i popiołów, które dymią jakimś bólem nieokreślonym.

Pomiędzy stanami duchowych przeżyć poety a sposobem stylizowania ich w symbolach niema głębszej łączności wewnętrznej. To tylko igraszka wyobraźni i próby patetycznego stylizowania rzeczy powszednich; to poza literacka, spowodowana warunkami chwili, która jednak trwa za długo i wyradza się w teatralną maskaradę. Jej krzykliwy charakter reklamowy da się określić kilku zdaniami, które sam Moréas dobył ze starej księgi: „Ogłaszam wam dwa tuziny lwów czołgających i niedźwiedzi, zjadaczy miodu. Niechaj wszyscy żyjący mają się na baczności! bo chociaż fantastyczne, jednak nie przestają wzbudzać trwogi i wykonują prace Herkulesa z gołymi mieczami.“

*

* *

W roku 1891 wyszedł „Namiętny Pielgrzym.“ [1]) Okrzyknięto go pierwszem arcydziełem symbolizmu, urządzono bankiet z mowami, a Moréas chodził przez kilka dni w obłokach dymów kadzielnych i zazdrości. Kiedy się dzisiaj patrzy na to z oddalenia, bierze zdziwienie i uśmiech, bo uznano za pierwsze arcydzieło symbolizmu książkę, która niosła z sobą wszystkie elementa przyszłej secesyi literackiej. Wlatywała, jak nietoperz na sejm ptasi, i została obwołaną królem.

Bywają takie nieporozumienia. To ostatnie usprawiedliwia w części technika poetycka, która się jeszcze nie zdecydowała, a przedewszystkiem kilkanaście utworów początkowych z rozdziału *Autant en emporte le vent* i dwa dłuższe poematy. Wszystko w tych wierszach jest już wspominaniem stanów przeżytych, a jako echo jest harmonijne i jasne. Szczególnie drobne piosnki w tonie ludowym, jakby z wiatrem zanucone, wonieją całe zapachem polnych kwiatów i wdzięczą się z kokieteryą naiwną. Wśród nich jest maleńkie arcydziełko: *Une jeune fille parle.*

Nie trwóż się dziewczę—kminek polny
Mówił — on zdradzić cię niezdolny,
Powróci czuły, rozkochany.
— Ot — kminek jako kłamca znany!
Zmiłuj się Boże nad mą duszą!

Pierwiosnek rzecze: Dziewczę płoche,
Nie wierz ty jemu ani trochę,
Bo cię porzuci naostatku!
— Czemuż tak późno mówisz kwiatku!
Zmiłuj się Boże nad mą duszą!

Nie czekaj, rzekła macierzanka,
Inna go tuli już kochanka!
— Ach, biedne, smutne kwiatki moje,
Wami ja włosy me ustroję...
Zmiłuj się Boże nad mą duszą![2])

To wszystko jest już echem. Książkę przechodzi duch inny, jest nową i niemal programową, bo znajdzie się w niej nawet program w rodzaju „sztuki poetyckiej“ Verlaine'a. Ale mało jest znaną poza kołami, które zajmują się literaturą prawie zawodowo, bo to książka trudna. Większość wierszy, a nawet całe rozdziały

[1]) „Le Pèlerin passionné,“ poésies, Paris 1891, L. Vanier.
[2]) Tłómaczył K. Rychłowski, Współcześni poeci francuscy.

czyta się mozolnie; trzeba powtórzyć dwa i trzy razy, opatrzyć własnym komentarzem, złączyć dla siebie myśli w łańcuch i rozbite obrazki w jedną całość, a gdy się już umie wiersz prawie na pamięć, można się nim rozkoszować często—nie zawsze. Ale na to trzeba wytrwałego czytelnika.

Trudności są przedewszystkiem techniczne, w części syntaktyczne. Te ostatnie bierze się dosyć łatwo; niestety, nie zajdzie się daleko! Zaraz po drodze roją się płoty, rowy wyciągnięte w zygzaki i jakieś wilczedoły, w których się gubi myśl jasna. Ani rusz się wydobyć! Stają murem nieznane słowa o dźwięku często bardzo miłym, ale ciemnej treści; piętrzą się całe zwroty, jak zawory rozłożone po drodze. Trzeba być filologiem, by sobie dać z nimi radę, ale i filolog spotka orzechy trudne do zgryzienia. Z początku plącze się wśród nich z zainteresowaniem, rozwiązuje węzełki, ogania się na wszystkie strony i co chwila wyciąga strudzone członki, ciesząc się z pokonanej trudności. Ale potem—potem się męczy i zaczyna niecierpliwić.

Moréas archaizuje; myśli proste i jasne ubiera w kostyum dawny. Są tu słowa, zwroty i figury, zapożyczone od poetów Odrodzenia; spotyka się reminiscencye z Villona i Thibauda z Szampanii; a wszystkie razem łączą się z konieczności z językiem współczesnym i tworzą nową, dziwnie inkrustowaną, onieśmielającą mozaikę. Moréas „odkrył“ na nowo Plejadę, rozczytał się w jej poetach, wczuł się i tak na nich wykształcił, że może patrzeć na życie ich oczyma, że snują mu się ich obrazy i otacza go, kiedy zechce, ta pewna atmosfera, którą sobie tworzy wiek każdy. A umie żonglować ich formami z dużą swobodą, wdziękiem, misterną finezyą i uśmiechem. Dosiada Pegaza i puszcza się „ku źródłom kastylskim“; po drodze uśmiechają mu się Gracye, a kosmaty Pan szczerzy zęby i kiwa w takt kozim ogonem. Innym razem poeta naśladuje sztuczki trubadurów i robi techniczne eksperymenta literackie, jakich wiele można spotkać u drobniejszych poetów Plejady. Słowem archaizuje z łatwością i wdziękiem, a nieraz żongluje z zadziwiającą zręcznością na tych polach obcych i starych.

Archaizowanie nie ogranicza się do języka. By się utrzymać w stylu poetów Odrodzenia, posługuje się ich sposobami technicznymi. Gołosłowna retoryka sieje się sama, jak oset po ugorach. I tak, gdy skarży się na kobietę, nie zapomni przejść po kolei wszystkich bohaterek, dawnych i nowszych, których obłuda i zła wiara stały się przyczyną nieszczęść; jeżeli chce uwielbiać, przechodzi po nazwisku trubadurów, co śpiewali miłość,

i porównuje się z nimi; jeżeli pisze „eklogi,“ stara się wejść w ton Wergilego i wprowadza Tytyrów, Menalków i Mopsusów. Wskrzesza nawet pogaństwo literackie; chodzi zawsze w otoczeniu Muz, dosiada Pegaza, modli się tylko do Apolla i Zeusa; wymawia z czcią dziwne imiona i odprawia do nich antyfony. Przepełnia wiersze starzyzną nazwisk greckich, rzymskich i renesansowych; obciąża je tym zbytkownym balastem, który nie przynosi niczego dla harmonii wiersza, ani dla dekoracyi obrazowej, ani zbyt często dla treści, bo wiele tu nazwisk rzadkich, a tak mało znanych, że ich nie znajdziemy w największych encyklopedyach swoich i obcych.

I często patrzy się na to, jak na wersety z Koranu po meczetach tureckich. Bierze żal i złość, że wyłożono tyle talentu, trudu, sztuczek i pląsów linoskocznych, by zaszkodzić najbardziej wierszom samym. Bo kiedy Moréas zapomni na chwilę o forsownem stylizowaniu archaicznem i jest sobą, to jest gdy pisze, jak myśli, wychodzą z pod pióra wiersze tak piękne, jak „Eglogue à elle encore,“ tak lekko stylizowana, że nie zatraciła prostoty i szczerości. Podobnych wierszy spotyka się więcej rozrzuconych mimochodem, szczególne w „Boccage,“ gdzie jest kilka piosnek bardzo pięknych: „Les feuilles pourront tomber,“ „Je suis las, si las,“ a szczególnie: „Que faudra-t-il à ce coeur qui s'obstine...“ Ilekroć Moréas zapomni o swojej roli, piosnka rozwija się lekko, zwinnie i harmonijnie; a jest taka wdzięczna, śpiewna i uśmiechnięta, jak rozkoszne dziewczę młode, że trudno oczy oderwać.

„Namiętny Pielgrzym“ przedstawia się jako zagadnienie techniczne, zajmujące z pewnością dla wielu specyalistów. Nie może zniewolić do siebie, mimo że tyle włożono weń pracy i talentu; nie może, bo to popisy erudycyi i zręczności, piękna igraszka na tle wieków i stylów artystycznych. To liryka stylizowana, a więc sztuczna.

*

* *

Minęła rycerska maskarada, ale Moréas odgrzebał sobie nowych bogów i dobył z prochu dawne, połamane tablice. Nowy kierunek jest wyraźnie wskazany w „Pielgrzymie“;—*szkoła romańska* powstała dopiero później. Moréasowi przyszedł w pomoc Karol Maurras, namiętny Prowansal, monarchista, wielbiciel rasy

łacińskiej i francuskiego klasycyzmu. Trzech młodych poetów: Ernest Raynaud, Raymond de la Tailhède i Maurycy du Plessys— uznali się publicznie za jego uczniów. Opracowano wspólnie nowy program i ogłoszono go w „Figaro," gdzie pięć lat przedtem ukazał się manifest symbolizmu, podpisany przez Moréasa i Paul Adama.

Ze względu na twórcę, *szkoła romańska* zdaje się być secesyą w szeregach symbolizmu; ale jej program, wręcz przeciwny, jest jasny, stanowczy i nie pozwala na żadne kompromisy. Cywilizacya, mówi, toczy się od wschodu na zachód pośród narodów mieszkających nad morzem Śródziemnem; jej środowiskiem były Ateny, Rzym, a obecnie Paryż. Muzy zamieszkały nad Sekwaną. W sztuce to tylko przedstawia wartość prawdziwą, co stworzyła rasa łacińska, oparta na kulturze Greków. Dlatego należy rozwijać tradycyę klasyczną i bronić jej przeciw północy, bo północ jest barbarzyńską; ona wydała romantyzm i symbolizm.

To stanowcze rzucenie miedzy granicznej pomiędzy południem a północą należy już do czasów późniejszych. W początkach Moréas trwał w stosunkach przyjacielskich z symbolistami, odwiedzał kawiarnie d'Harcourt i François I-er, spędzał wieczory w Côte d'Or, gdzie zbierało się liczne i wesołe towarzystwo. Rozprawiano tu, jak dawniej, i deklamowano; Moréas rozwijał spokojnie swoją schyzmę, mówił z dumą: „Ja i Ronsard..." i przygotowywał nowe programy wraz z Karolem Maurras; tu nawet deklamował swoim głosem spiżowym nowe wiersze romańskie, a zebrani śpiewali na nutę torreadora z „Carmen":

Jean Moréas a publié
Le Pèlerin passionné:
Buvons, amis, oui, oui, buvons avec excès
A sa gloire, à son succès,
Et célébrons, et célébrons
Son immortalité!...

W początkach był Moréas zupełnie oddany obowiązkom „mistrza" nowej szkoły poetyckiej. Lubił je bardzo, a nie był zbyt skromnym. Życie poświęcił poezyi i mówił o tem głośno. Trąbił swoje manifesty, rzucał przed oczy świata swe przyszłe drogi, dymiące od złotego pyłu pod stopami Muz. Sam zaś, jak Agamemnon w połyskliwej zbroi, z długą lancą, kaskiem i ogromnym pióropuszem szedł na czele nowej wyprawy i głosił prace, jakie miały być dokonane. Spełniał swoje posłannictwo z majestatyczną powagą, nieco krzykliwie i reklamowo, ale szczerze. Niema

dostatecznych powodów, by go podejrzewać o brak szczerości. Owszem, rozmyślał nad zadaniem często i poważnie, pracował nad sobą, by stanąć na jego wysokości. Utwierdzał w sobie posłannictwo artystyczne; wspominał swe pochodzenie, niebo i morze helleńskie, atawizm krwi, geniusz rasy łacińskiej... Starał się podnieść na wyżyny apostolstwa, ale był zanadto przesycony kulturą i sceptyczny, by się rozpalić do egzaltacyi. W poczuciu tej słabości zanosił prośby do Ateny, Apolla, Muz i ofiarował się im cały, jak czynili poeci Odrodzenia.

Moréas wczytał się w poetów Plejady tak, że wszedł zupełnie w nastrój renesansowy. Był jak dobry aktor na scenie: przejął się rolą i grał ją sercem. Uczniom swoim tłómaczył wierszem tajemnice poezyi romańskiej, zachęcał, przesyłał pozdrowienia mistrza i jakby listy pasterskie z przestrogą. Czasem z wojennym animuszem nakazywał kroczyć naprzód i przesyłał „w wierszu“ zbroję, wykutą dłońmi samego Wulkana. Błogosławił i oddawał ich opiece wszystkich patronów szkoły, których w liście do Du Plessys naliczył aż dziesięciu, od Homera do Andrzeja Chénier.

A trzeba było wojować i bronić się na wszystkie strony, bo symboliści nie łatwo wybaczyli jednemu ze swoich, że chciał sobie utworzyć samodzielne królestwo. Moréas zachęcał uczniów do wytrwania i walki, a najczęściej sam stawał na czele i przepędzał za góry całe „barbarzyństwo północy,“ wszystko co przeciwne tradycyi klasycznej. Liczne są w jego poezyi echa walki o szkołę romańską: wojenna nuta, górny ton wodza i mistrza, kaski, zbroje i kopie; cały Olimp wojujący walczy przy jego boku, a cały Olimp radosny pląsa po górach z uciechy. Przesuwa się tyle nazwisk nieznanych, westchnień, modlitw, apostrof i dedykacyj, że w głowie szumi jak w młynie. Jest tego za wiele, zbyt za wiele i dlatego właśnie te lata są bardzo chude w twórczości poetyckiej Moréasa. Prawie trzy czwarte wierszy z „Sylw“ (razem około 50) poświęcone są sprawom organizacyi szkoły romańskiej, techniki poetyckiej, sobie i uczniom; reszta dopiero może być wliczona do poezyi czystej. Są to przeważnie drobne liryki miłosne, tematy stare w nowem ujęciu. Można się pośród nich błąkać z wielkiem zajęciem, jeżeli się posiada ciekawość historyka literatury albo znawcy stylów. W stosunku do „Namiętnego Pielgrzyma,“ postęp jest bardzo wyraźny. Moréas wyzwolił się już w części z pod jarzma mistrzów i przezwyciężył w sobie Odrodzenie. Nie naśladuje niewolniczo, ale posuwa się swobodnie, gawędzi i przechadza pośród dawnych czasów. Nie wyszedł jesz-

cze wprawdzie poza wiek XVI, ale forma i język zrównoważyły się i sharmonizowały prawie zupełnie. Umiał już naginać styl dawnych ludzi do potrzeb poezyi własnej i dlatego mógł w tym czasie napisać małe arcydzieło, „Enona o jasnem obliczu," która jest „ostatnią pieśnią miłosną" poety. Opowiedziana z wielką prostotą i łagodnym spokojem, zbliża się do sielanki w sposobie renesansowym. Otacza ją łaskawa cisza, radość rzewna i jakaś ciepła słodycz, tak bardzo podobna do owej „douceur angevine," którą się spotyka w wierszach sielankowych Du Bellay'a. To jakby późny dzień jesienny pod wieczór: Słońce stacza się już ponad góry, w powietrzu letnio, cicho i bardzo jasno; wokoło rozrzucone sady, pola zielone i złotawe; pośród wyblakłej zieleni przycupnęły cichutko białe domki, spokojne domki wiejskie, bielone wapnem, a kryte czerwoną dachówką. W powietrzu snuje się cicha a przejmująca łagodność; zdaje się, że to suną długie pasma szarej pajęczyny i złotawych włosów, a prześwieca je słońce jasne, lecz bez ciepła. Na pastwisku, pod lasem, fujarka pastusza wygrywa smętną piosenkę, a z nią płynie smutek łagodny i bez skargi, ale tak zmęczony życiem, że tylko chce się położyć w cichym kącie ogrodu pośród siana, liści więdnących — i już niczego nie pragnąć, o niczem więcej nie myśleć... zasnąć. Poprzez lekkie stylizowanie i łagodną tęsknotę przeziera odległa, ale jeszcze wyrazista Muza bukoliczna Du Bellay'a, o jasnej twarzy pasterki ubranej w letnie sukienki z perkaliku. Wszystko przyblakło, znać tylko wyraźnie twarz w zawoju z jasnozłotawych włosów, twarz niegdyś bardzo piękną, a dziś wydłużoną i bladą; wielkie oczy błękitne otwierają się ciężko i patrzą mętnie wokoło; śmiertelnie zmęczone oczy, co już tylko o jedno proszą: pozwólcie nam zasnąć w spokoju.

W tym poemacie Moréas jest najbardziej sobą, to jest zbliżonym do poety dawnych piosnek szczerych, prostych, a tak harmonijnie śpiewnych. I teraz dopiero, kiedy się znów odnajdzie tę nutę dawniej przelotnie zasłyszaną, żal się robi, że poeta szedł tak długo wbrew swojej naturze i skłonnościom. Widzi się, jak zbyteczną i szkodliwą była cała maskarada średniowieczna, renesansowa dekoracya i stylizowanie; trzeba mu było tylko pozostać lirykiem szczerym, poetą piosnek i prostych wierszy, poetą z bożej łaski. Ale zdaje się, że najtrudniej być sobą samym.

*

* *

Szkoła romańska upadła. Jedni pomarli młodo, inni rozeszli się w swoje strony. „Enfin seul," dobyło się wtedy z piersi Moréasa, jak westchnienie ulgi. „Nareszcie sam!"

Odtąd zaczynają się ostatnie lata jego życia i twórczości, najsmutniejsze i najpiękniejsze. Porzucił szkoły, programy, manifesty i wszystkie troski o rozgłos dziennikarski. Zrozumiał, że to — co daje chwilową sławę — zabija artystę na wieki. „Muzo, dla twoich synów dzisiaj — jutro wschodzi!"

Był teraz samotny, sam dla siebie i sam ze sobą. Odsunął się od przyjaciół. Spotykano go jeszcze, jak dawniej, na tarasach kawiarń ulubionych i na zebraniach literackich, ale był w sobie zamknięty i nie wypowiadał się szczerze przed nikim. Najchętniej spędzał dni samotnie w swojem mieszkaniu na Montrouge. „...Zamykam się na cały rok w mojem kochanem Montrouge. Nasza piękna katedra romańska jest dla mnie końcem świata... Nareszcie wstaje wiatr, który posieje śniegiem wokoło. Mocnej kawy, dosyć tytoniu—by przejść od cygara do fajki, a od fajki do cygara, wielkie ognisko z koksu — i oto wszystko, co trzeba, by pisać głupstwa przez całą noc..." [1])

Pisał — to była ostatnia rozkosz i obowiązek wobec samego siebie. Pisał „Stance," „Ifigenię," [2]) a w wolnych chwilach zbierał i uzupełniał świeżemi wrażeniami swoje „Szkice i wspomnienia," które są drobną odyseą z podróży po różnych kątach Europy i przez dzieła rozmaitych pisarzy.

Ale nie zawsze przesiadywał w Paryżu. W miesiącach wiosennych i letnich, a przedewszystkiem jesiennych, wybierał się w okolicę na dłuższe, najczęściej samotne wędrówki. Rzadko wyjeżdżał dalej, chyba dla miłej konieczności z gromadą aktorów, którzy grali jego „Ifigenię" po świecie. Wędrował z nimi po Francyi, Algierze, Grecyi i zbierał po drodze tryumfy. Były to chwilowe rozrywki i rozkosze, po których wracał w swoją samotność i zamykał się sam na sam ze smutkiem. Moréas był z natury smutnym i lubił ciszę samotną. W młodości — podróże, miłostki i nadzieja sławy podniecały krew młodą; marzył o nowych szkołach literackich, żonglował z historyą i stylami. A kiedy

---

[1]) Esquisses et Souvenirs, Paris, 1908, str. 195 i nast.

[2]) Les Stances, poésies (I-er et II-e livres), Paris, 1899; Les Stances (III-e, IV-e, V-e et VI-e livres), Paris, 1901. Iphigénie, tragédie en cinq actes, Paris, Mercure de France, 1904. Esquisses et Souvenirs, Paris, Mercure de France, 1908.

się przekonał, co one dać mogą, odszedł od nich i pozostał sam ze swoją myślą i pracą artysty. Był pośród obcego sobie społeczeństwa bez rodziny, prawie bez przyjaciół, jak badyl na szerokiem pastwisku. Zaczęły się już coraz gęściej przewijać po głowie siwe włosy; życie zawiodło; wielka sława, dla której wszystko poświęcił, nie przyszła. Wiedział, że jego dzień już zachodził; przegrał walną bitwę z losem, na jaką się odważył. Wiedział o tem; widział również swoją drogę aż do końca:

Que ce soit dans la ville ou près des flots amers
Va, pars et meurs tout seul en récitant des vers...

Smutek wydobył się teraz na powierzchnię; a był to szczery i żywiołowy smutek człowieka, który sterał siły i zniechęcił się do wszystkiego. Nie ma już wcale ochoty do życia, tylko myśli sobie: „Gdybym był zeschłym liściem, chciałbym zgnić w basenie pięknej fontanny marmurowej, którą znam. Stare platany ją otaczają; a kiedy wśród nocy sączy cicho swoją wodę, zdaje się, że słyszę Byblis, grzeszną siostrę, jak płacze nad swą straszliwą miłością.“ [1])

Duma jeszcze mu pozostała, poczucie własnej wartości, które każe nieść głowę wysoko wobec życia, wobec śmierci nawet, i uśmiechać się z ironią wyniosłą. Ona go podtrzymuje, kiedy się zbyt przygarbi pod ciężarem losu; a gdy trzeba, to resztki energii przepłyną jeszcze przez żyły z tętentem, błyśnie oko, zacisną się zęby i ze spokojem będzie sobie rozmawiał z kwiatami, co umierają późną jesienią na grzędzie ogrodnika naprzeciw jego okien: „O kwiaty ukochane! Śmierć nas szpieguje, mnie i was. Biedna Śmierć! Potrafimy jeszcze przed nią hardo podnieść głowę, jak mówi La Rochefoucauld.“ [2])

To też nie często spotyka się skargi w jego wierszach. Niema tu ani szerokiego wylania serca, ani włosów rozwianych, ni załamania rąk. Czasem tylko wyrwą się prawie przypadkiem zdania krótkie, długo przeżute i jakby wyplute z krwią czarną od wewnętrznej gorączki: „Nieszczęście nie jest dla psów“; albo: „Jestem bardzo chory, zapewniam was, pozwólcie mi zdechnąć spokojnie“; albo jeszcze: „Śmierć jest głupia i przychodzi nie

[1]) Esquisses et Souvenirs, Paris, 1908, str. 88.
[2]) Ibidem, str. 187.

w porę: powinna była wziąć mię wtedy, gdy jeszcze wierzyłem w nią.“ [1])

Rachunki z życiem były już zamknięte; trzeba się było jeszcze dopalić, a dogasanie stawało się coraz cięższe, bo ubywało sił, choroby dokuczały nieustannie, a wszystko zawiodło. Myśli kręciły się w kółko beznadziejne, najczęściej ponure, chwilami jaśniejsze, stosownie do pór roku, stanu zdrowia i powszednich trosk o życie. Zjawiały się i, zatoczywszy koła, przechodziły i znów powracały z innej strony, jak sprychy w odwiecznem kole przyrody; szeregowały się i tworzyły wiersz nowy, coraz to nowy wiersz, bo to był najlepszy sposób wyzbycia się ich choćby na chwilę.

W takich warunkach powstawały „Stance.“ Tematów zasadniczych jest w nich niewiele i dlatego powtarzają się w różnem ujęciu. Najliczniejsze są ciche rozmowy człowieka z sobą samym i o własnem życiu; są wizye symboliczne i rozmyślania na temat ogólny; znajdzie się kilkanaście pejzaży stylizowanych i liczne wiersze, poświęcone rozmyślaniom o poezyi i własnem posłannictwie. Nastrój zmienia się prawie zawsze stosownie do pór roku. Wiosna, widok świeżej zieleni i kwiatów daje mu chwile radości i cichego spokoju; kiedy słońce przyświeca wesoło i grzeje, umie się jeszcze rozgrzać i z uśmiechem smakuje rozkosz życia. Zmienny jest jak niebo paryskie:

Paris je te ressemble: un instant le soleil
Brille dans ton ciel bleu, puis soudain c'est la brume...

Smutny jest na śmierć, a za chwilę radosny; wiosna z jesienią, słońce i deszcz, radość ze smutkiem plączą się tak naturalnie, jak w przyrodzie, a z tego powstaje jego roztropna filozofia życia, którą wypowiedział w pięknym wierszu:

Nie mów mi: życie to huczne wesele;
Tak mówi głupiec albo dusza podła.
Lecz nie mów także: w niem klęsk nazbyt wiele;
To lichy rycerz, co wnet spada z siodła.
Śmiej się, jak szemrzą gałęzie wiosenne,
A płacz jak wicher lub fale strumienia;
Przeżyj rozkosze i bóle bezdenne,
I mów: to wiele, i — to cień marzenia.
(Stanca 12, ks. I).

[1]) Esquisses et Souvenirs, Paris 1908, str. 187 i 188.

Ale w ostatnich latach myśli stały się coraz bardziej chmurne. Znikły i te drobne pociechy, jakie przynosiła z sobą wiosna i lato. Jeszcze ogląda chętnie świeże trawki, kiedy się nad ziemią kołyszą; lubi młode mięsiste liście drzew, ale zaraz myśli sobie: Bujne liście tryskają z młodych pędów na wiosnę, by w jesieni zżółknąć, pokryć ziemię rdzawą miedzią i zamienić się w błoto. Na co to nieustanne błędne koło wiosny i zimy, narodzin i śmierci? Melancholia odziera mu wszystko z uroku młodości, ciała różowego i uśmiechu kochających oczu. Poprzez radosną zieloność wiosny ogląda wizyę jesiennych drzew: zczerniałe, ociekające deszczem miotły sterczą ku niebu, a cała nadzieja leży w błocie. Wszędzie przebija kościsty szkielet i szczęki, co rechoczą w przemądrym uśmiechu nicości i czarne jamy zapadłych oczodołów.

Zasadniczym elementem jest smutek, bo na dnie leży serdeczna tragedya artysty, którego życie zawiodło. Zamiast sławy wymarzonej dostało mu się, jak kość od stołu bogaczy, drobne miejsce w literaturze; zamiast pięknej i chwalebnej starości — samotność i choroba. Wiedział, że tak musi pozostać; nie zmieni z tego nic a nic; tak pozostanie już na wieki. To też gdy wracały brudnoszare dni jesieni, błota i mgły zimowe, a z niemi długie wieczory samotne i noce; kiedy choroba ciążyła, a ciało było jak dogasająca kłoda na ognisku — chwytało go zupełne zniechęcenie i żywiołowy wstręt do życia; kurczył się w sobie, zasychał i czuł się nędznym, jak „zgniły liść“ na drodze. Czuł wstręt do samego siebie i rad byłby odrzucić ciało, niby stare, zniszczone ubranie. Walka wydawała się bezcelową, a ponad głową przelatywały myśli samobójcze. Ale wtedy prężył się w sobie i prostował, mówiąc:

Nie będę naśladował jaskółki wędrownej...,

nie będę uciekał przed zimą, starością i nieszczęściem, kiedy minęła młodość i jej rozkosze. Trzeba się dopalić i czekać, aż życie samo zagaśnie. Świadomość wewnętrzna mówiła, że tak być powinno, że powinien odbyć swoją drogę aż do końca.

Ale skąd się wzięła ta świadomość? Światopoglądu, któryby obejmował całość życia, Moréas nigdy sobie nie wytworzył, ani żadnego stanowczo nie przyjął. Dopiero w ostatnich latach sztuka stała się jego religią; do jej wysokości starał się wszystko podnieść, bo sam miał w sobie pełną świadomość i mocne poczucie swego posłannictwa. Uważał się za kapłana, spełniającego podniosłą ofiarę. A że losem wszystkich niemal posłanników była nędza życia, cierpiał i on tak, jak inni; lecz chciał spełnić

ofiarę, jakiej się podjął, którą los może nałożył samowolnie... Wszystko jedno, należy wytrwać do końca.

U podstaw tego poglądu na sztukę tkwiła wiara w podniosłe cele życia. Może to było jakieś nieokreślone przeczucie łączności kosmicznej, może się nigdy nie uświadomiło wyraźnie jako skończony światopogląd—ale wystarczyło, by objawić cudowne skutki, jak zawsze. Stało się energią duchową, która dawała siłę wytrwania i moc twórczą. Ilekroć popadał w ostateczne zniechęcenie, kiedy wstręt do życia wtłaczał go w koleiny dróg ludzkich, jak się wgniata w błoto zgniły liść jesienny—wystarczyło, by pomyślał o swojem posłannictwie. Myśl promienna przechodziła mu po członkach wraz z krwią, prostował się, stawał na wysokości swojego kapłaństwa i dodawał sobie otuchy: „Podnieś się duszo moja!“ Miłość sztuki kierowała całem życiem Moréasa, ale w uczucie religijne zmieniła się dopiero w tych ostatnich latach życia, kiedy człowiek częściej niż za młodu sięga okiem poza krawędzie horyzontu, na których przyjdzie mu się załamać. Szczere jest i bardzo intensywne. Wspomina o niem dyskretnie, niemal wstydliwie i w najpoważniejszych zamyśleniach, a nie nadużywa nigdy dla własnej chwały, by się rozeskrzydlić ekstatycznie. Trzeba z wielkim trudem wychwytać szczegóły rozprószone i złączyć je razem; ale kiedy się tego dokonało, znajdzie się myśl posłannictwa we wszystkich dumaniach, gdzie Moréas stawia—jak mówi — swoją duszę naprzeciw żywiołów stworzenia. Dzieje się to najczęściej wobec morza realnie lub wizyjnie, bo nawiedza go nieustanna tęsknota za morzem; zimą i latem, we dnie i nocy samotnej wraca wciąż jak natrętna myśl samobójcy. Marzy sobie, by usiąść nocą na skale samotnej, którą ocean podgryza, i słuchać jak fale idą z daleka w nieskończonym pogwarze; a może lepiej owinąć się w długie trawy morskie i zasnąć na piasku; lub inne życzenia gorzkie i ostateczne, które zasyła jako przedśmiertną modlitwę: Niech ciało moje zejdzie na dno morza z powracającą falą; oczy zakryje piana, a nieszczęsną głowę otoczą wieńcem blade lilie morskie.

Sur ma tête fatale emmêle et tords les hampes
Du pâle lys marin.

Moréas czuł się jak straceniec na skale samotnej, którą zalewało morze w przypływie. Drogi już były odcięte; za kilka godzin woda pokryje całą skałę i niema żadnego ratunku. Złamany na śmierć, ale spokojny siedzi na szczycie i czeka. Duma...

Zdala idzie nieustanne dudnienie morza; piana bryzga już na szczyt; jedna silniejsza fala, a zmiecie go na zawsze:

Kiedy w nocy usiędę na samotnej skale
Pośrodku wichru morskiego,
I gdy przy twoim szumie nie usłyszę wcale
Już bicia serca własnego;

Nie tylko oczy zamul pianą, Oceanie,
Oczy rozwarte bezwładnie:
Jednym mię rzutem fali weź na wieczne spanie
W twojej wodzie gorzkiej na dnie.

(Stanca 12, ks. V).

I w tej to godzinie ostatniej zjawia mu się wizya świątyni greckiej w ruinie na tle błękitnego nieba; była wspomnieniem młodości i symbolem sztuki najwyższej, którą ukochał na śmierć. Wpatrzony w to widzenie, które łukiem tęczy wiąże młodość i chwile ostatnie, schodzi na dno „smutny ale podniosły."

Wielmożne jest i majestatyczne w swojej prostocie i ciszy to misteryum zapadającego dnia. Kiedy się czyta „Stance" po wierszach poprzednich, zdaje się, jakby je napisał inny poeta. Idzie od nich mądrość spokojna, która umie panować nad sobą, i artyzm tak skończony, że imponuje i budzi szacunek. „Stance" są jednem z klasycznie pięknych dzieł poezyi francuskiej. „Ich forma — pisze znakomity krytyk, E. Faguet — jest cudowna, czystości najzupełniej klasycznej..." Nie imponują wielkością, bo to przeważnie ośmiowierszowe utwory; ale prawie każdy z nich jest maleńkiem arcydziełem, ujętem w formę ostateczną w tej chwili, kiedy myśl i uczucie zbiegły się, przetworzyły wzajemnie i, przyjąwszy plastyczny kształt, już... już miały zastygać. Czasem jeden temat wraca kilkakrotnie w różnych postaciach i z rozmaitych stron, aż wreszcie ułoży się i zharmonizuje tak, że przyjmie formę ostateczną, której coś dodać lub zmienić zdaje się niemożliwem.

„Stance" są krótkie, przeważnie ośmio- lub czternastowierszowe; ale w swej doskonałości klasycznej robią wrażenie kwiatów, zerwanych z łodygi u samej szypułki, lub kryształów, wyciętych ze skały. Trudziły się grube pnie i konary, pociły się długo całe góry kamieni; aż wreszcie skupiły się, zharmonizowały w piękne linie, kolory — i wyciekł kwiat z pędów drzewa, a kryształ wytrysnął z grzbietów skalnych.

W „Stancach“ doszedł Moréas do takiej doskonałości, że obydwa ramiona wagi — myśl i forma — stanęły obok siebie prawie nieruchomie.

*

* *

„Biada poecie, który przychodzi na świat w jednej z takich chwil niepewnych, kiedy tradycya sztuki stała się nikłą, gdy trzeba wywrócić porządek, by go potem odbudować na silniejszych podstawach. Sława tego poety może być godną zazdrości, ale jego życie jest zatrute do śmierci.

„Autor „Fausta“ urodził się w jednej z takich chwil opłakanych, kiedy prawdziwy talent, by stać się twórczym, skazany jest na tysiączne szaleństwa. Był tem z początku zupełnie olśniony i przyjął bez namysłu wszystkie nieszczęsne przypadki losu, jako dary nieba... Przeszedł tak całe lata młode aż do progu starości. Tu chwyciło go podejrzenie i rzucił bolesnym wzrokiem na piękne ruiny, jakie posiano wokoło przy jego pomocy. Wtedy zaczął odbudowywać z całą miłością i poświęcił temu dziełu swe siły ostatnie, jeszcze bardzo nerwowe. Smukłe kolumny stanęły wkrótce na błękitnym widnokręgu sztuki, ale świątynia pozostała w ruinie, a jej szczątki wciąż jeszcze przygniatają chóry Muz.“ [1])

To, co Moréas mówi o Goethem, streszcza historyę jego własnego życia, jako artysty. Sam przyszedł w czasie, gdy trzeba było zburzyć dawne wartości artystyczne, a postawić nowe na ich miejsce. Brał udział w tych pracach i był pomiędzy pierwszymi. Stał się symbolistą, przybrał się w kostyum, ustylizował i pisywał wiersze trudne, ciemne często jak szyfrowane depesze. Ale szło mu jakoś ciężko, bo miał niewiele wspólnego z tym kierunkiem artystycznym. Zrozumiał to i poszedł w inną stronę, zostawiając poza sobą kilka lat prawie straconych dla swego dzieła. Symbolizm w duchu i formie był tylko młodzieńczą przygodą Moréasa; wszystko wzywało go ku innej sztuce: ukochanie życia i jego ruchu, żywy temperament i duże doświadczenie; miał jas-

[1]) Esquisses et Souvenirs, Paris, 1908, str. 115.

ny, ścisły i prostolinijny umysł klasyka; posiadł szerokie i subtelne wykształcenie artystyczne. Był typowym człowiekiem Odrodzenia i dlatego przesunął się ku sztuce owych czasów. Ale znów nieszczęście rzuciło mu na przełaj drogi ludzi, co pchnęli go do stworzenia nowej szkoły. Stał się mistrzem i apostołem, wrócił do francuskiej dyscypliny technicznej, operował formami lirycznemi, jak poeci Odrodzenia, pisał manifesty literackie, napomnienia, listy pochwalne i wiersze polemiczne. Nierychło dopiero spostrzegł, że tracił czas na tem apostolstwie. A kiedy to zrozumiał, gdy stał się klasykiem i pozostał sam z sobą, było już niemal zapóźno. Źródła twórczości były w nim prawie wyczerpane.

Moréas nie miał „szczęścia“ w życiu, tego dziwnego szczęścia czy przypadku, co czasem wyraźnie faworyzuje jednych, wprowadza ich zaraz na najlepszą i właściwą drogę, usuwa przeszkody, a nawet stawia po drodze bezinteresownych pomocników. W jego życiu wszystko zdaje się rozwijać na opak, wbrew najgłębszym intencyom jego ducha, pod działaniem zewnętrznych wpływów, ludzi i zdarzeń. Zadziwia to u człowieka o takiej kulturze duchowej i wysoko rozwiniętym zmyśle krytycznej analizy, a zadziwia tembardziej, że istotne racye jego życia, jako artysty, i zasadnicze linie ich rozwoju szły zawsze i wyraźnie ku swoim celom ostatecznym. Ale Moréas robił po drodze epizodyczne wyprawy awanturnicze po rozgłos i władzę; cieszył się zgiełkiem i wojenną maskaradą, a właściwą treść swojego życia zrozumiał dopiero późno.

Moréas urodził się Grekiem w Atenach, a umarł w Paryżu jako poeta francuski. Nie było to przypadkowym zbiegiem okoliczności, ale wynikiem rozwoju świadomie skierowanego ku pewnym celom. W młodości wychowywał się na starej literaturze greckiej i francuskim klasycyźmie; później przedsięwziął wędrówkę w poszukiwaniu środowiska kulturalnego, które byłoby najprzychylniejszem dla jego twórczości; mieszkał w Niemczech, poznał Szwajcaryę i Włochy, ale osiadł stale tylko w Paryżu. To miasto spełniało w zupełności jego wymagania artystyczne; później ukochał jego piękność ponad wszystko. „Jego niebo jest cudem subtelności; Sekwana płynie z prostotą greckiego heksametru, a gaje okoliczne są godne, by służyć na świątynię Muz.“ [1]) Zamieszkała tu sama Pallas Atene: „Od wieków Paryż jest jej

[1]) Esquisses et Souvenirs, Paris 1908, str. 137.

siedzibą ulubioną, a od czasu do czasu pociesza łaskawie Londyn, a może i Berlin.“ [1]) Paryż objął po Atenach zwierzchnictwo w sprawach sztuki; dlatego „w dniu, w którym Moréas pokochał Sekwanę, zrozumiał, dlaczego bogowie kazali mu się urodzić w Atenach.“ [2]) Głębokie racye artystyczne kierowały tą wędrówką Moréasa od wschodu na zachód. Złączył on w sobie kulturę, której początkiem były niegdyś Ateny, a Paryż ostatecznym kresem na dzisiaj; wykształcił po długiej pracy i błądzeniu zmysł klasycznej równowagi i utwierdził go długim łańcuchem rozumowań. Odrzucił wszystko, co się nie mogło pomieścić w tych ramach, i stał się klasykiem wyłącznym w swojej miłości i upodobaniach. Uczucie najwyższej rozkoszy artystycznej wypowiedział w słowach, które streszczają zarazem jego pojęcia o sztuce: „Kontemplacya Sekwany i odczytywanie dwudziestej czwartej księgi „Iliady“ uczą najlepiej co to jest wzniosłość: chciałem powiedzieć *miara w potędze.*“ [3])

Naturalne warunki urodzenia i środowiska wywarły decydujący wpływ na ukształtowanie się poglądów Moréasa na sztukę, bo Paryż i Ateny zamykały—jako miedze graniczne—widnokrąg, w którym się okopał i urządził. Prócz nich działała jeszcze trzecia przyczyna naturalna, to jest fizyologiczna konstrukcya jego mózgu. Pamięć dominowała tu ponad wszystkiemi zdolnościami i władzami; drobnostka na pozór, ale ta drobnostka ma zasadnicze znaczenie w rozwoju całej twórczości i poglądów.

Moréas tworzył wszędzie i o każdej porze: w domu, na ulicy, w kawiarni, podczas przechadzki i w podróży; zawsze żył jakąś myśl, próbował ją ukształtować i szukał najlepszej formy. Wszystko to spisywał w pamięci; tam układały się wrażenia, myśli, refleksye, wiersze, a nawet całe dziesiątki wierszy. Stawały jedne za drugimi i szeregowały się z czasem same, czekając na chwilę, kiedy poeta zechciał je przenieść na papier. Najlepiej można śledzić tę twórczą pracę mózgu w „Szkicach i wrażeniach.“ Są to karty z notatnika podróżnego pisane w różnych czasach i bez wielkich pretensyj literackich: opisy, wspomnienia, obrazki, wrażenia i rozmyślania, dowcipne uwagi i nagłe, niespodziewane powiązania myśli. Czasem jedna myśl powtarza się często wśród tej włóczęgi swobodnej za wiatrem; powraca upar-

[1]) Esquisses et Souvenirs, Paris 1908, str. 62.
[2]) Idem str. 312.
[3]) Idem str. 311.

cie, jak nuta jakaś daleka, brzęczy w pamięci i naturalnie, najprościej w świecie zaplata się niespodziewanym zakrętem w inne myśli; zawija się jak wstążka przy wianku i zniknie, i znów błyśnie z innej strony... Ta książka — w trzech czwartych częściach — składa się ze zdań pojedynczych i krótkich kompleksów zdań, które stanowią dla siebie całość zupełnie zamkniętą; dosyć rzadko rozwijają się w dłuższe rozdziałki lub obrazy rzucone mimochodem. Kilkanaście kropek oddziela zaledwie jedne od drugich; te kropki, to miedze, co rozgraniczają jeden zagon od przyległych pól sąsiada; na każdym znów dziale rośnie co innego, a wszystkie razem tworzą wzorzystą, kolorową i dziwacznie połamaną szachownicę. Miedze graniczne rozwijają się awanturniczo i dziwacznie, bo myśli nie mają zdecydowanego kierunku. Jest to swobodne wałęsanie się za wiatrem po ulicach i polach, na wsi lub w mieście, pociągiem, pieszo lub dyliżansem—rozkoszna włóczęga za przypadkiem dróg i dni, ludzi i zdarzeń. Biorą w niej udział wszystkie zmysły, myśl, wyobraźnia i uczuciowość; wszystkie razem wybierają się na wędrówkę, która trwa nietylko dni, ale długie lata, bo cała twórczość Moréasa ma charakter swobodnej włóczęgi cygańskiej. A że miał dobrą pamięć, obchodził się najczęściej bez ołówka i papieru. Rozmyślania i wrażenia notowały się na zwojach mózgowych, jak na wstęgach telegraficznego papieru; zdania, zwroty szczęśliwie wyszukane po drodze i całe wiersze utrwalały się w pamięci aż do chwili, kiedy poeta mógł lub chciał przelać je na papier. Nowe myśli zapisywały się później kolejno coraz dalej i dalej. Dawne przechodziły tymczasem samodzielną pracę przygotowawczą i oczyszczającą; miały czas się ustać i osiąść na właściwe miejsca; odpadały drobne szczegóły i chwilowe dodatki, a pozostawały tylko rzeczy zasadnicze w ostatecznej, już skondensowanej formie. Pamięć Moréasa pracowała jak telegraficzny aparat; zapisywała wciąż depesze z rozmaitych stron, taśma odwijała się nieustannie, a wieczorem wystarczyło tylko odczytywać kolejno i przenosić na papier.

W „Szkicach i wrażeniach“ znajdzie się wiele takich notatek przepisanych, zdaje się, bez zmiany, a nawet całe rozdziałki w stylu telegraficznym. Są tam obrazki i portrety rzucone mimochodem w kilku liniach wyrazistych i charakterystycznych; myśli wypowiadają się zwięźle i krótko, często tylko jednem zdaniem; dłuższe zamyślenia zbiegają się w drobny obrazek syntetyczny—i nic więcej. Nawet kiedy wypowiada się szerzej, używa tych samych środków: jedna kreska charakterystyczna, jeden

kleks, myśl zasadnicza, zdanie lakoniczne — a żadnych objaśnień zbytecznych; tu i owdzie tylko coś podkreśli ze szczególnym naciskiem, pociągnie linie łączne i cienkie żebra, które pozwalają odtworzyć później całość.

W tych „szkicownikach“ można oglądać swobodnie cały szkielet twórczej pracy Moréasa. Myśli on jasno choć niezbyt plastycznie; myśl ujmuje z najlepszej strony, zacieśnia ją szybko do tego, co jest konieczne, i łatwo znajduje dla niej formę najwłaściwszą, prostolinijną i dlatego wyrazistą. Niema tam żadnych ozdób zbytecznych, szychu, jarmarcznych świecidełek i tej bezmyślnej dekoracyi bram tryumfalnych na powitanie dostojnego gościa—ale jest wszystko, co potrzebne, nie za wiele, ani za mało. Moréas utrzymuje się lekko i swobodnie na granicy gadulstwa i zwięzłości, to jest posiada zalety potrzebne, by się stać pisarzem dobrym i klasycznym.

Późniejsza praca techniczna przy biurku z piórem lub ołówkiem w ręku ograniczała się do swobodnego odtwarzania myśli i obrazów zapisanych w pamięci; nie była gorączkową, sztucznie podnieconą i ekstatyczną, ale mózgową i spokojną — olimpijską. Moréas wiedział dobrze, co miał pisać, bo myśli już dawniej ułożyły się w pamięci i nie potrzebował borykać się z niemi. Dlatego przy tworzeniu wysuwały się na pierwsze miejsce zagadnienia techniczne formy i stylu; zajmował się niemi od pierwszych lat twórczości, poświęcił im wiele, za wiele miejsca w swojej poezyi. Usiłował przywrócić formy zaginione, naśladował nieudolny, naiwny styl pieśni i opowiadań średniowiecznych; igrał formami Odrodzenia, wprowadzał dawne wyrażenia i zwroty; piętrzył przed sobą trudności, komplikował niepotrzebnie pracę twórczą, a na te igraszki mistrzowskie w zakresie stylów stracił najpiękniejsze lata. Ale zdobył władzę nad formą i językiem, wykształcił w sobie poczucie miary i harmonii, klasyczny zmysł równowagi. W pierwszych zbiorach jego poezyj znajdują się już wiersze bez zarzutu, a z biegiem czasu rośnie ich liczba w „Sylwach;“ „Enona“ i „Eryfila“ są małemi arcydziełami, a całe prawie „Stance“ i „Ifigenia“—to dzieła trwałe, klasyczne.

Odczuwa się wielką rozkosz estetyczną, gdy się czyta te ostatnie wiersze wymowne i harmonijne, bez cienia barokowych dekoracyj. Język w nich czysty, zdanie szemrze delikatnie jedwabistym poszumem, a wiersz rozwija się swobodnie, jak wstęga na wietrze, prawie bez szelestu; wargi szepcą melodyę płynącą powolnym, harmonijnym szmerem, a znajdują w niej tę „rozkosz łagodną,“ którą się odczuwa, czytając najpiękniejsze ustępy z tra-

gedyj Racine'a. Trudno ją określić jednem słowem; jest to uczucie podobne, jakby się oglądało z oddalenia piękną świątynię grecką na wzgórzu, na tle wyrazistego błękitu nieba — a była chwila podwieczorna ciszy, ciepła i słońca złotego.

*

* *

Zagadnienia techniczne, jakie sobie postawił, rozwiązał Moréas stanowczo i najlepiej, jak można było uczynić. Zdobył doskonałą technikę, ale było już zapóźno. Wiedział o tem. „Zbliżam się do doskonałości i do śmierci," mówił o sobie, bo w chwili, kiedy miał w ręku dobry instrument, źródła jego twórczości były już prawie wyschnięte. Stało się to dosyć wcześnie w znacznej mierze z winy samego poety.

Jeżeli się przejdzie jego książki do końca i wniknie w najgłębsze pokłady tam, gdzie się układa czyste ziarno bez plew i śmiecia, a następnie zrobi obrachunek z jego myśli, widzi się wielkie ubóstwo tematów. Najliczniejsze są wzruszenia erotyczne, migawkowe wrażenia z życia i książek przeczytanych; za niemi idzie garść rozmyślań na temat ogólnych zagadnień życia i liczne wiersze poświęcone technicznym sprawom sztuki, z których niewiele można wliczyć do poezyi czystej. W ostatecznem ujęciu plon jest bardzo szczupły, a ponieważ spichrze myśli są ciasne, tematy powtarzają się w zmienionej formie na różne tony i waryanty. Braki pokrywa się „pożyczką," jak łysinę.

Moréas nie był wielkim myślicielem i nie zaorał się nigdy daleko w ogólne zagadnienia bytu. W pierwszych utworach, gdzie — naśladując innych — chciał stać się mistykiem, a nawet trochę satanistą—daje jakieś zagadkowe aforyzmy, wikła się, gubi co chwila kierunek myśli i nie może go odszukać. Robił próby, ale gdy się przekonał, że to nie był zakres jego uzdolnienia, odszedł prawie bez żalu. Później, kiedy w godzinach samotnych wracał myślą ku tym sprawom, ślizgał się zawsze po tej samej twardej powierzchni, jak po spokojnych wodach morza o zachodzie. Fale były ciemne i połyskliwe jak stal; szły w głąb i w dal, a działy się w nich rzeczy dziwne. Wiedział o tem, ale nie próbował ku nim zejść może z braku ufności w swoje siły, może dla leniwej wygody artysty-sybaryty. Odchodził smutny i bez słowa,

by wrócić znów w pewnej chwili i odejść tak samo ze spuszczoną głową, jak widz po tragedyi odegranej na scenie. Nie było to jego pole, ale mógł przez odpowiednią pracę nad sobą rozszerzyć miedze i zatoczyć szerokie koła myśli. Nie czynił tego; kiwnął ręką ponad temi zagadnieniami i odszedł. Tu się zaczyna jego wina! Szczupły z natury teren myślenia, nie zasilany przez całe lata, zacieśnia się coraz bardziej i kurczy, jak żołądek głodomora; staje się później maleńki, niby sąsiek biedaka, co zbiera zboże tylko z jednego zagona—aż wreszcie dochodzi do ideowego pomoru. Przyszło to dosyć szybko i drogą zupełnie naturalną. Po odrzuceniu ogólnych zagadnień filozoficznych pozostawał bardzo obszerny i poważny zakres spraw bliższych, jak ojczyzna, ludzkość i jej koleje—spraw godnych zająć największego artystę. Moréas podróżował wiele i miał sposobność oglądać kraje i narody. W „Szkicach i wrażeniach“ pozostawił liczne zdjęcia migawkowe z podróży; przesuwają się tam góry, rzeki, okolice całe, stacye, miasteczka, hotele i ulice... Są nawet szczegółowe opisy obiadów i śniadań z dodaniem pobieżnych recept na krajowe specyalności w potrawach i sakramentalne, nigdy nie pominięte uwagi o smaku wina. Ale poza tem zakres jego myślowych interesów jest bardzo jednostronny. Patrzy na kraje i ludzi li tylko jako artysta. Kreśli obrazki rodzajowe i pejzażyki w różnych porach, tonach i odcieniach; chwyta portrety ludzi i szczegóły charakterystyczne, jeżeli przedstawiają jakiś interes artystyczny; z przeszłości Grecyi, Francyi lub Włoch wspomina tylko to, co łączy się bezpośrednio z literaturą i sztuką. Rozprawia mimochodem o bohaterach i bohaterkach dramatów literackich, zwiedza miejsca, gdzie mogły rozegrać się te sceny, umie się rozgrzać do cytat poetyckich, a nawet rozpalić do lekkiej egzaltacyi. Patrzy na to wszystko przez wspomnienia czytanych dzieł, jak przez szyby panoramy, które dają obrazy świata gotowe i utrwalone w pewien sposób w poezyi i sztuce. Ale wielkie ruiny historyi, rozwój społeczeństw, dzieje czasów i ludów nie istnieją dla niego prawie zupełnie. Z Grecyą łączyły go stare i naturalne węzły krwi; przodkowie walczyli za jej wolność, a ojciec zajmował wysokie stanowisko w Atenach. Miał on tam rodzinę, przyjaciół, znaczenie i przyszłość, a mimo wszystko opuścił ojczyznę i jeździł po Europie, szukając sobie odpowiedniej siedziby. Osiadł w Paryżu. Od czasu do czasu znajdzie się w jego wierszach jakiś przebłysk wspomnienia o morzu greckiem, kolorze nieba, o Akropolis lub zachodzie słońca nad Hymetem — ale to tylko wspomnienia artysty. Wraca do ojczyzny dwa razy na krótko;

ostatni raz przybywa w czasie wojny grecko-tureckiej. Te wspomnienia są decydujące. Moréas chodzi po Atenach niby widz obcy, co przyjechał zobaczyć, jak wygląda stolica państwa w czasie wojny. Przechadza się po ulicach miasta, ogląda ruchy wojsk i zamieszki uliczne, słucha ludowych trybunów, charakteryzuje ich krótko i plastycznie — a następnie ...idzie oglądać wystawy sklepowe na drodze do portu. Robi później wycieczki do ruin historycznych, zwiedza miejsca najmilszych wspomnień z młodości, rozczula się nad niemi i nad sobą, a wreszcie opuszcza Grecyę właśnie w chwili największych nieszczęść, pośród wiadomości o klęskach i odwrocie armii greckiej. Opuszcza ją bez słowa żywszego współczucia, a na okręcie pisze sobie elegie o wycieczce, którą odbył ze stryjem przed trzydziestu kilku laty, o przepiórkach, które jadł niegdyś za młodu, i o księżycu, co mu tak pięknie rzucał światło na okręt i morze. To zbyt za mało! W pewnej chwili sam Moréas czuje konieczność usprawiedliwienia swojego stanowiska: „Dobrze robię, czyniąc trudnym przystęp do serca mego; bo gdy się tam raz weszło, nie wychodzi się bez krwawego rozdarcia. Tworzy się rana, której nigdy nie można dobrze wypalić.“ [1]) To nie wystarcza; są uczucia, którym trzeba otworzyć serce, choćby je miały rozerwać do krwi. To określa stanowisko Moréasa wobec całego zakresu myśli i uczuć, objętych nazwami ojczyzny, narodu, ludzkości: one wcale dla niego nie istnieją.

Moréas jest artystą kosmopolitą, który szuka dla siebie, dla swoich potrzeb życiowych i twórczości poetyckiej odpowiedniej atmosfery kulturalnej. Sławił niebo paryskie i Sekwanę dlatego, że spełniały jego wymagania kulturalne i artystyczne. Ale równie dobrze byłby osiadł w Londynie lub nad Sprewą i śpiewał o ich piękności, gdyby mogły mu dać to, co Paryż daje artyście.

Granice myślowych interesów zacieśniły się bardzo. Pozostawały jeszcze: rodzina, jako koło zamknięte, jej stosunek do społeczeństwa, walki stanów i cała ta kadź wrząca bezpośrednich zagadnień życiowych. One nie istnieją również dla Moréasa. To było do przewidzenia. Dobrowolny tułacz i artysta kosmopolita spędzał całe życie między pokojem „kawalerskim“ a kawiarnią, restauracyą, wycieczkami i podróżą po świecie. Zerwał dobrowolnie wszystkie żyły, jakie go mogły łączyć z rodziną i życiem społecznem, a starał się bardzo, by to koło nie pochwyciło go

[1]) Esquisses et Souvenirs. Paris 1908, str. 286.

napowrót w swoje tryby. Izolował się zupełnie i w takiem odosobnieniu wytrwał do końca.

W tych warunkach zakres jego myślowych zajęć skurczył się ogromnie. Pozostawały tylko sprawy najściślej osobiste i sztuka, a więc erotyka i techniczne zagadnienia twórczości. Liryka miłosna wydała drobne wiersze, przelotne gruchania i wspomnienia, a umilkła dosyć wcześnie; pozostawiła za sobą kilkanaście piosnek bardzo miłych i „Enonę,“ ostatni i najpiękniejszy z jego miłosnych poematów. Zagadnieniom technicznym poświęcił wiele miejsca, lecz niewiele z tych wierszy można wliczyć do poezyi czystej. I pośród takich zajęć droga Moréasa przetoczyła się na drugą stronę pagórka. Znalazł się samotnym, izolowanym jako człowiek pośród społeczeństwa i narodu, z którym nie wiązało go nic, prócz kilku dalekich przyjaźni platonicznych. Miał poza sobą przeszłość pracy i twórczości, która nie dała mu wymarzonej sławy; przyszłość obiecywała już bardzo niewiele, a nadchodziła pora jesienna i lata ostatnich porachunków z życiem. Przeżył je niby arystokratka ze starego rodu, który podupadł i wymiera. Zrezygnował ze wszystkiego w stosunku do życia i ludzi, dla których ma zawsze łaskawy uśmiech; jeżeli jeszcze coś mówi i pisze, robi wszystko z godnością i naturalną dystynkcyą. Smutki zamknął w sobie, skarży się rzadko a dyskretnie. Niczego się więcej nie spodziewa, czeka tylko z godnością na swój koniec. Dlatego nadewszystko lubi samotność, ciszę pokoju o zachodzie słońca, ciszę wieczorną przy kominku, gdy można zapomnieć o wszystkich, o wszystkiem i pogrążyć się w senne rozmarzenie, daleki przedsmak wiecznego spania w mogile. Wśród takiego nastroju rodzą się powoli „Stance.“

Ostateczny obrachunek z myśli, zawartych w dziele Moréasa, kończy się wielkim niedoborem; ciasne i nieliczne koła myślowych interesów powodują ubóstwo tematów, a w końcu sprowadzają ogólny pomór idei. Tak się stać musiało. Moréasa nie mogła ocalić jakaś wiara w posłannictwo sztuki, którą się ratował w ostatnich latach; nie mogła, bo wszystkie wiązania z życiem były już dawno zerwane. Ta zupełna obojętność na najistotniejsze zagadnienia społeczne i kulturalne ma swoje źródła głębokie w stanowisku, jakie poeta zajął od początku wobec życia. Nie zaprzeczał go i nie przeklinał; owszem, lubił je i starał się, jako człowiek wysokiej kultury, korzystać w sposób wykwintny z jego dobrodziejstw. Ale żył tak, jak spadkobiercy wielkich majątków; żył z renty. Wiedział, że kiedyś pewnie przodkowie borykali się, przebijali pięścią i łokciami przez życie, gromadzili majątki—ale

to go już nic a nic nie obchodziło. Jedyną rzeczą, która go jeszcze łączyła ze sprawami życia wojującego i twórczego, była konieczność podejmowania procentów. Jak one się tworzą, jak się ułożą w przyszłości — niech sobie nad tem łamią głowę przedsiębiorcy, finansiści i urzędnicy bankowi. Kapitały są, jest bank, wypłaca procenta—i basta!

Moréas zajmował wobec zagadnień życiowych stanowisko spadkobiercy wielkiej fortuny. Życie przyjmował jako potęgę jakąś absolutną i od nas niezależną, która się rozwija sama z siebie i bez naszego współdziałania. Przyszedł do gotowego i nie troszczył się o to, co się działo lub dziać będzie w przyszłości. Na terenie, jaki znalazł, starał się urządzić wygodnie i pięknie, jako człowiek kulturalny i artysta. Stawiał swoją kapliczkę dla wyłącznych celów sztuki, a budował ją na ziemi obcej i nieznanej. Dlatego budowa musiała być słabą i pozostać nieskończoną, gdyż budowniczy nie zamyślił się nad tem, w jakim celu wogóle kładziono dawniej fundamenta. Nie wkopał się myślą tam, kędy się staje samotnym i czuje już tylko swoją własną odpowiedzialność wobec wieczności.

W poezyi Moréasa nie znajdziemy rytmu epickiego. Nie jest to liryka bohaterska, która sobie obiera pewne cele, dla nich walczy i kroczy wciąż naprzód w zbrojnym pobrzęku. Prawdziwie twórczą mogła być tylko czynna, zaczepna postawa wobec świata; a Moréas był biernym. Okopał się i urządził poza miedzami historycznego życia; chciał żyć wyłącznie dla sztuki i dlatego izolował się od spraw, które mu się wydały powszedniemi. Ale to odosobnienie stało się śmiercią artysty; źródła twórczości zacieśniły się i wyschły, a poezya stała się bezproblemową, przygodną w najlepszem znaczeniu słowa. W młodości była jak wieniec różany na głowie biesiadnika, później niby badyle bluszczu, otaczające starą fontannę samotną, co się skarży dyskretnie metalicznym brzękiem wody.

Jan Szarota.

Jan Olrych Szaniecki

Szkic biograficzny.

Powstanie 1830 i 1831 r. miało wszelkie warunki powodzenia. Zapał powszechny w narodzie; wojsko bitne, karne, waleczne; skarb dobrze zaopatrzony w pieniądze; współczucie ludów europejskich — przedstawiały taką siłę materyalną i moralną, że powinnaby ona była wystarczyć do zwycięstwa. A tymczasem bohaterska walka skończyła się klęską—i do tego haniebną. Złożono broń, mając jeszcze znaczny kawał kraju wolnego, kilkadziesiąt tysięcy dzielnego żołnierza i sporą sumę pieniędzy, którą naczelny wódz, Rybiński, wychodząc z wojskiem do Prus, odesłał do Torunia, by bankowi w Warszawie zwróconą została.

Zdawało się, że walka narodowa o byt niepodległy w końcu XVIII i na początku XIX stulecia powinna była przekonać o tem, że w granicach dawnej Rzeczypospolitej rewolucya polityczna mogła tylko rachować wówczas na zwycięstwo, gdyby się zespoliła z rewolucyą socyalną. Zasada ta, promieniejąca silnie z naszych sztandarów rewolucyjnych, przygasła w ciężkiej atmosferze rządów reakcyjnych Królestwa Kongresowego. W starszem pokoleniu z latami słabła o niej pamięć, a nowe zaledwie z mgieł poetycznych wydobywać się poczęło. I kiedy wybuchło powstanie, postępowe rewolucyjne stronnictwo nie miało jasno określonego programu, któryby dał spójność i stanowczość jego działaniu i zapewnił mu przewagę w opinii publicznej.

Współuczestnicy powstania sami zeznają, że nasłuchawszy się wiele o tem, iż Polska skutkiem niezgody upadła, wzdrygali się przed wszystkiem, co zdawało się rozdwajać naród. Z tego usposobienia większości korzystała reakcya, która przed powsta-

niem owładnęła była sterem spraw publicznych. Złożona z „wyższej klasy mieszkańców“ — jak się wyraża Zaliwski [1]) — i z wyższych urzędników, zepsuta wpływami obcymi, nieczuła ona była na klęski i poniżenie narodu. Od rewolucyi niczego dla siebie nie oczekiwała, a wiele stracić mogła. Dokładała więc od samego początku usiłowań, ażeby zatrzymać powstanie w granicach możliwej legalności, tak wobec panującego, jakoteż wobec rządów europejskich. A kiedy odezwały się głosy o konieczności rewolucyi społecznej, straszyła ona patryotów widmem wojny domowej i wołała, że powstanie jest rewolucyą narodową a nie socyalną.

„Rewolucya narodowa“—wyrażenie bardzo rozpowszechnione w 1830 i 1831 r.—zamknięta w granicach Królestwa Kongresowego i sprowadzona do rozmiarów zwykłej wojny, nie miała widoków zwycięstwa. Chcąc ją uczynić groźną, potężną i zwycięską, koniecznem było wywołany przez nią we wszystkich warstwach narodu zapał podtrzymać, podnieść do możliwie największej potęgi i rozszerzyć w kręgach dalekich. Sprawić to mogła jeno rewolucya socyalna, któraby z impetem burzy wtargnęła do Litwy i Rusi i podniosła wszędzie z głębin morza ludowego walkę żywiołową o wolność.

Gdyby w 1830 r. na czele narodu stanął był, zamiast Chłopickiego, dyktator z prawdziwie rewolucyjnym poglądem, to, nie zwlekając, wtargnąłby z wojskiem polskiem na Litwę, w grodzie Gedymina ogłosiłby dekret, znoszący poddaństwo i pańszczyznę, i zająłby się czynnie zorganizowaniem ludowego pospolitego ruszenia. Chłopstwo wolne i uzbrojone—byłaby to rewolucya społeczna, której fale rozkołysane mogłyby posunąć się aż do Pskowa, Nowogrodu, Smoleńska, Czernihowa, Połtawy. Być może, iż Łukasiński, w którym rozległość myśli społecznej towarzyszyła zdumiewającej mocy charakteru w pracy politycznej, właśnie zostałby był takim dyktatorem; lecz, niestety, książe Konstanty uprowadził go z sobą, odczuwając instynktownie wielkie znaczenie rewolucyjne tego przewódcy spiskowców.

Nie można powiedzieć, ażeby podczas rewolucyi 1830 r. nie było ludzi pojmujących, jak ogromne znaczenie miała sprawa włościańska dla powodzenia powstania narodowego. Pomiędzy nimi niezaprzeczenie pierwsze miejsce należy się Janowi Olrychowi

---

[1]) „Rewolucya polska 29 listopada 1830 r.“ przez Józefa Zaliwskiego. Paryż. Nakładem autora, 1833.

Szanieckiemu, który w dziennikarstwie pierwszy zażądał szybkiego jej rozwiązania i który następnie wciąż ją przypominał sejmowi, wyjaśniając jej polityczne znaczenie. Z sercem, pełnem gorącej miłości ojczyzny, sam zdolny do wszelkich ofiar, pobłażliwy z przekonania, łagodny z natury, przejęty silnie zasadą zgodnego działania, mniemał, że zdoła przekonać sejm i wywołać w nim szlachetny poryw do powzięcia uchwały, zbawienie ojczyzny przynoszącej.

Nie był to z usposobienia szermierz rewolucyjny i, trzymając się od pracy spiskowej zawsze zdaleka, nie zahartował się do ostrego zwalczania przeciwników. Należał jednak do tych ludzi, co szczerze poślubili zasady demokratyczne i w sejmach Królestwa Kongresowego był otwartym wrogiem wstecznictwa.

Jan Olrych urodził się 1783 r. w Wielkopolsce, w dzisiejszem Poznańskiem. Rodzice jego mieli posiadłość ziemską. Kiedy miał lat pięć, odumarła go matka, a ojciec jego sprzedał swą posiadłość i zamieszkał w Poznaniu, ulokowawszy u miejscowego bankiera otrzymane ze sprzedaży pieniądze. Skutkiem upadłości tego bankiera, Olrychowie pozostali bez żadnych środków utrzymania. Stary Olrych wstąpił do klasztoru i wkrótce tam umarł. Jan miał wówczas lat dziewięć i, dzięki pomocy swoich krewnych, kształcił się w szkołach miejscowych. Lata jego dziecinne i pierwszej młodości upływały wśród bolesnych klęsk, które spadały na jego ojczyznę, i nieraz musiało go silnie zaboleć butne i prześladowcze postępowanie nowych zdobywców jego ojczystego kraju. Radośnie więc witał w 1806 r. orły napoleońskie, przed którymi Prusacy umykali. I kiedy pod osłoną oręża francuskiego nad Wartą i nad Wisłą zaczęły się organizować pułki polskie, zaciągnął się do formującej się artyleryi jako prosty kanonier. Zawód jednak wojskowy nie odpowiadał jego skłonnościom, i kiedy w nowoutworzonem Księstwie Warszawskiem okazała się potrzeba prawników, przyjął w 1808 r. obowiązek sekretarza przy prokuratorze generalnym, a w następnym roku był mianowany podprokuratorem. Czując jednak większy pociąg do roli obrońcy, aniżeli do roli oskarżyciela, w 1809 r. został obrońcą przy sądach warszawskich.

W tym czasie Olrych się zajął sprawą sprzedaży części dóbr Ordynacyi Myszkowskich, która to sprawa w następnych latach miała ogromny rozgłos i silne wzbudzała zainteresowanie w całem Królestwie.

Józef Jan Nepomucen hr. Wielopolski, margrabia Myszkowski, nie mógł podołać spłacaniu długów, którymi jego poprzedni-

cy obciążyli ordynacyę. Korzystając więc z tego, że zaprowadzony kodeks napoleoński nie uznawał różnicy płci lub pierworodztwa w spadkobraniu, co zaprzeczało zasadniczej podstawie ordynacyi, oraz że na mocy Traktatu Wiedeńskiego z 14 października 1809 r. wolno było posiadającym ordynacye, gdyby chcieli przenieść się do innego kraju, sprzedać je, Józef Wielopolski postanowił część dóbr ordynacyi użyć na spłacenie wierzycieli, na posag dla swojej córki, na zabezpieczenie wniosku swojej żony, oraz na zapewnienie sobie bytu spokojnego na stare lata. Fryderyk August, do którego się udał z podaniem w tej sprawie, dekretem z dnia 8 czerwca 1812 r. uznał, że „nie ma być, stosownie do wyraźnego brzmienia artykułu Traktatu Wiedeńskiego pod dniem 14 października 1809 r. zawartego, czyniona ze strony Rządu naszego Księstwa Warszawskiego żadna trudność, ani kładziona przeszkoda do sprzedania dóbr należących do powyższego majoratu Pińczowskiego "

Olrych podjął się przeprowadzić tę sprzedaż. Ażeby módz całkowicie poświęcić się tej sprawie, złożył swój urząd adwokata. Wszedłszy w układy z wierzycielami ordynacyi i osobistymi margrabiego, zobowiązał się spłacić długi hipoteczne, podatki zaległe, pretensye gruntowe i osobiste. W tym celu wyjednał przeniesienie i zapisanie na swoje imię pewnej części dóbr ordynacyi. Temi dobrami były: Pińczów [1]) (miasto, folwark i 6 wsi), Szaniec, Rogów, Marcinowce, Kępie, Przyłyczek i dwa pałace w Warszawie. Wówczas to Olrych prosił króla, ażeby mu nazwisko Szaniecki od dóbr Szaniec przydane było, co też dekretem królewskim 20 sierpnia 1813 r. zostało zatwierdzone.

Sprzedaż tak wielkiej liczby dóbr nie mogła się odbyć prędko, a tymczasem potrzebne były znaczne pieniądze dla opłacenia zaległych podatków, procentów, oraz dla zaspokojenia najważniejszych pretensyj. Szaniecki więc obmyślił projekt utworzenia Towarzystwa rolniczo-handlowego w Pińczowie.

„Przedmiotem i celem Towarzystwa będzie—czytamy w tym projekcie —

„a) Przemysł rolniczy i handlowy we wszystkich — ile być może—gałęziach prowadzić i tenże udoskonalać, końcem osiągnienia stąd majątkowych korzyści i sprawienia przez to—ile być może—dla kraju użytku;

---

[1]) Miasto Pińczów w obwodzie Stopnickim, województwie Krakowskiem, nad rzeką Nidą, 5000 ludności.

„b) Kredyt w kraju i zagranicą przez ścisłą rzetelność i skrupulatne w działaniach swych postępowanie oceniać;

„c) Fabryki i rękodzielnie, stosunek z rolnictwem mające, któreby płody dóbr Towarzystwa lub inne krajowe surowe produkta na twory przerabiały, zakładać;

„d) W dobrach Towarzystwa stan włościan do dobrego bytu własną ich pracą i oszczędnością doprowadzać, oświatę pomiędzy nimi rozkrzewiać, feudalne zwyczaje wykorzeniać, a natomiast do nabywania własności im dopomagać, ażeby przez to zmniejszyć choć w części liczbę nędznych, a powiększyć liczbę dobrego mienia ludzi.“ [1]) Do polepszenia bytu włościan Towarzystwo miało się przyczynić przez zakładanie szkół, szpitali, kas oszczędności, śpichlerzów gminnych.[2])

W celu utworzenia Towarzystwa miała być wypuszczona pewna liczba akcyj i każdy akcyonaryusz byłby cząstkowym współwłaścicielem całej masy dóbr. Dawni wierzyciele na podstawie swych należności mogliby zostawać akcyonaryuszami, gdyby tego chcieli. Kapitał, uzyskany z akcyj, posłużyłby do spłacenia długów, ciążących na dobrach. A gdy dobra dla Towarzystwa czystemi zostaną, część dochodu przeznaczoną zostanie na udoskonalenie sposobu gospodarowania w nich, w dalszym zaś ciągu na to, ażeby dobra spustoszałe nabywać, a ulepszone i na wzór Towarzystwa urządzone sprzedawać.[3]) Dobra zostały nabyte za sumę 5,300,000 złp.; długów hipotecznych, licząc z procentami, było na tych dobrach około 4 milionów złp. Każda akcya wynosiła 1000 złp. W krótkim czasie zostało zapisanych akcyj 2225 czyli na sumę 2,225,000 złp.

Komisya rządowa spraw wewnętrznych i policyi uznała projekt Szanieckiego użytecznym i obiecała udać się do rządu o potwierdzenie onego, skoro dostateczną liczbę akcyonaryuszy zbierze; namiestnik także przyznał Towarzystwu użyteczność i mniemał, że rząd będzie mógł je zatwierdzić, skoro potrzebna liczba akcyonaryuszów zostanie zebrana.

Przeciw projektowi Towarzystwa wystąpił w pismach warszawskich w 1820 r. S. Węgrzecki ze swymi zarzutami, a zarazem podał w wątpliwość prawność zniesienia ordynacyi. Szaniec-

---

[1]) Str. 9. Projekt utworzenia Towarzystwa czyli Kompanii rolniczo-handlowej.

[2]) Str. 7. L. c.

[3]) Czasopismo warszawskie „Rozmaitości“ 1820 r., № 34.

ki w „Orle Białym“ i w „Rozmaitościach“ odpowiadał mu. Była to zapowiedź walki, którą musiał stoczyć z potężnym przeciwnikiem, potężnym przez swe skoligacenie z możnowładcami, potężnym przez obronę dawnych arystokratyczno-monarchicznych przekonań, które w tym czasie znajdowały u steru państwa silne poparcie. Przeciwnikiem tym był sławny później w latach 1861 i 1862 Aleksander hr. Wielopolski, na którego miała przypaść w spadku ordynacya.[1]) Rozpoczął on proces celem unieważnienia aktu sprzedania jej dóbr.

Walka zawzięta, jaka się wywiązała pomiędzy Aleksandrem hr. Wielopolskim i Szanieckim, zwróciła na siebie powszechną uwagę w Królestwie. Szaniecki w tej walce występował nietylko jako obrońca wielkiej liczby rodzin, którą miało skrzywdzić przywłaszczycielstwo jednej osoby, lecz jako szermierz zasad demokratycznych przeciw podnoszącemu się z ruin feudalizmowi. Wielopolski wcale nie ukrywał swych dążności reakcyjnych; przeciwnie, zaznaczał związek moralny, jaki istnieje pomiędzy zasadą monarchiczną i taką instytucyą, jak ordynacya. Z pychą magnata wyrzucał Szanieckiemu dorobkiewiczostwo. „P. Wielopolski—mówił Szaniecki — utrzymuje, iż honorowem i dobrą sławę stanowiącem nabyciem są tylko majątki po przodkach odziedziczone. Na to odpowiadam. Każde majątku nabycie sposobem godziwym, to jest przez prawo dozwolonym i niezakazanym, jest honorowem, gdyż inaczej nabywać podług prawa byłoby zakałem. Nikt od Adama nie posiada majątku. Jedni dorabiają się go sami, inni przez rodziców lub przodków nabyty, bez pracy swobodnie dziedziczą.“ Że doszedł do majątku przez pracę, to uważa sobie tylko za zaszczyt.[2])

---

[1]) Karol Wielopolski, margrabia Myszkowski

Franciszek Wielopolski	Jerzy Wielopolski
Józef Jan Nepomucen	Józef Stanisław, Andrzej
Krystyna	Aleksander, Alfred, Bolesław

Ponieważ spadkobiercami mogli być tylko mężczyźni, więc spadek przechodził na potomków Jerzego Wielopolskiego, a pomiędzy nimi najstarszym był Aleksander.

[2]) Rozprawy nad sprzedażą dóbr z ordynacyi Myszkowskich. W Warszawie 1825. Dalszy ciąg dwa tomy—1827.

Dowody Szanieckiego trafiały silniej do przekonania ogółu i sędziów, aniżeli rozumowania Wielopolskiego. Pomimo wniesionego przez tego ostatniego sprzeciwu, komisya hipoteczna województwa krakowskiego na posiedzeniu 15 lutego 1826 r. orzekła: „Właścicielem dóbr Pińczowa z przyległościami Jana Olrych Szanieckiego do księgi hipotecznej wpisać i przenieść postanawia, zaś Aleksandra hr. Wielopolskiego z wnioskiem swoim oddalając, do właściwej drogi prawa odsyła.“ Ze swojej strony Trybunał Cywilny I Instancyi województwa krakowskiego, na posiedzeniu w Kielcach 27 listopada 1827 r., wyrzekł: „Znajdując żądanie powoda (Al. Wielopolskiego) bezgruntownem, onegoż z takowem we wszystkich kategoryach oddala.“ Wielopolski jednak, silny poparciem możnych, uzyskał w 1829 r. w Sądzie Apelacyjnym skasowanie tego wyroku. Sprawa więc miała pójść do Sądu Najwyższego, lecz wybuch powstania powstrzymał bieg procesu. W późniejszym czasie margrabia, kiedy Szaniecki był na emigracyi i majątek jego uległ konfiskacie, wznowił swe odwołanie się do Sądu Najwyższego, lecz napotkał nowe przeszkody i sprawę przegrał.

Barzykowski nazywa Szanieckiego gorliwym obrońcą ludu.[1]) I w samej rzeczy należy mu się ten tytuł w zupełności. Korzystał on — jak zobaczymy — z każdej sposobności, by przypominać sprawę włościańską, przedstawiając konieczność zniesienia pańszczyzny i zupełnego uobywatelnienia włościan. Sam, zostawszy nominalnym właścicielem Pińczowa, zajął się czynnie polepszeniem losu ludu wiejskiego w tych dobrach, znosząc wszędzie pańszczyznę, gdzie istniała ona jeszcze, i zaprowadzając oczynszowanie. Wybrany na deputowanego ze Stobnicy, uważał się przedewszystkiem za rzecznika spraw gminu i w tym charakterze dał się już poznać na sejmie 1825 r. Z powodu wniesionego prawa o podpalaniach, przedstawiwszy, że szlachetniej i piękniej zapobiegać zbrodni, aniżeli po jej spełnieniu karać ją surowo, wykazał, że podpalanie bywa często czynem zemsty przeciw nadużyciom dziedzica, i z tego względu żądał słuszniejszego obwarowania praw włościanina. Na tymże samym sejmie jeszcze raz przemawiał w sprawie włościan, wykazując słuszność i konieczność przyznania im prawa wieczystej dzierżawy na gruntach przez nich uprawianych. Sprzeciwiał się też energicznie wnioskowi Lubeckiego, ażeby znieść artykuł 536-ty kodeksu Napoleona, dozwala-

[1]) Str. 262, III. „Historya powstania listopadowego.“ Poznań, 1883.

jący posiadaczom wieczno-czynszowym i emfiteutycznym spłacać czynsz i nabywać grunta posiadane na własność. Do kategoryi bowiem włościan emfiteutycznych można było zaliczyć wszystkich staropolskich kmieci.[1]) Zniesienie więc powyższego artykułu kodeksowego, potrzebne dla Lubeckiego, ponieważ ułatwiało sprzedaż dóbr narodowych, było dla włościan wielce krzywdzące. Sprawę włościańską Szaniecki tak mocno brał do serca, że pomimo choroby przybył w czerwcu 1830 r. na zwołany sejm i nie mogąc sam osobiście, uprosił posła Wężyka, ażeby w jego imieniu odczytał petycyę, w której upominał się o zupełne usamowolnienie włościan i nadanie im gruntów, wskazując przytem sposób wynagrodzenia właścicieli. Szlachta, mająca na czele Jana hr. Ledóchowskiego, uznała, że było to targnięciem się na jej prawa i nie dopuściła do dalszego rozważania tej sprawy.

*

* *

Wiadomo powszechnie, jak wiele zaszkodził powstaniu 1830 r. dyktator Chłopicki, przeważając swoim wpływem i postępowaniem szalę stronnictwa zachowawczego i idąc w jego kierunku nawet dalej, niż ono zamierzało. Takim czynem kontrrewolucyjnym było zwołanie sejmu w tym składzie, w jakim on obradował w czerwcu. Sejm ten, wybrany pod silnem parciem wielkiego księcia Konstantego i najgorszego rodzaju reakcyi z nim współdziałającej, przepełniony był balastem ograniczonych umysłowo i nie mających własnego zdania posłów i deputowanych i przedstawiał kierunek tępego egoizmu szlacheckiego. Z wązkim widnokręgiem przed oczyma, niezdolny do wychodzących ze zwykłego zakresu czynów, dawał się prowadzić przez partyę kaliską, doktrynerską, rozmiłowaną w parlamentaryzmie, dużo gadającą, ale rozważnie trzymającą się środka we wszystkiem—partyę, która—jak słusznie ją ocenia Mochnacki — była istną plagą podczas rewolucyi, kiedy należało mniej rozprawiać, a natomiast szybko decydować i działać. Przeglądając protokóły tego sejmu, możnaby zapomnieć, że obradował on w czasie rewolucyi, podczas huku dział i szczęku

[1]) Str. 14. „O chłopach.“ Lipsk, 1847.

broni, taka szczegółowa i drobiazgowa odbywała się tam dyskusya, tyle czasu marnowano na kwestye formalne. Zwykle się uważa za najbardziej rewolucyjny krok tego sejmu—uchwałę o złożeniu z tronu króla Mikołaja. Jan hr. Ledóchowski, oskarżyciel dziennikarzy i członków Towarzystwa Patryotycznego, często powoływał się na to, że on pierwszy krzyknął: „Niema Mikołaja!“ Uchwała detronizacyjna była — można powiedzieć — czynem odruchowym sejmu, oburzonego pogardliwą i pełną pychy odpowiedzią cesarską. Tacy butni szlachcice, jak hr. Ledóchowski, wpadli poprostu w pasyę. Reszta dała się im unieść. Ale później wielu żałowało tego kroku, a niektórzy otwarcie wyznawali, że był to krok lekkomyślny. I istotnie, uchwalać złożenie z tronu Mikołaja, a odrzucać lub odwlekać wszystko to, co mogłoby tej uchwale nadać istotne znaczenie, nie byłoż to lekkomyślnością?!

Skoro w grudniu zebrał się sejm, Szaniecki zawiadomił prywatnie posłów, że ma przedstawić wniosek o zupełnem usamowolnieniu włościan. Zaniepokojeni posłowie prosili go, by się powstrzymał z tym wnioskiem. Jest to bardzo ważna sprawa—powiadano — wymagająca spokojnego i gruntownego zastanowienia się, a czy to teraz czas po temu?! Mogłaby jeszcze wywołać rozdwojenie w sejmie, kiedy nam jest potrzebna jednomyślność i konieczna jednozgodność działania; mogłaby zniechęcić litewską i ruską szlachtę, która w prowincyach zabranych jest jedynym świadomym czynnikiem patryotycznym. Wreszcie sam rząd przygotowuje projekt w sprawie włościan; zaczekajmyż więc, aż zostanie do sejmu wniesiony.

Trzeba przypuszczać, że Szaniecki był mocno zgorszony poglądami swoich kolegów. Umieścił on 6 stycznia 1831 r. w „Dzienniku Powszechnym Krajowym,“ organie rządowym, artykuł p. t. „O celach i środkach rewolucyi.“ „Przestańmy być bracią szlachtą, a stańmy się braćmi Polakami“—wołał. Podnosząc rewolucyę, chcieliśmy się pozbyć jarzma i służalstwa; precz więc z jarzmem i służalstwem wszędzie! Jeżeli pragniemy, ażeby rewolucya miała powodzenie, trzeba w narodzie zjednać dla niej conajwięcej przyjaciół, a przedewszystkiem pozyskać lud wypada, potrzeba więc „zainteresować lud rzeczą a nie słowy; potrzeba stan, w jakim zostaje, zmienić na lepszy.“ „Nieśmy mu zniesienie poddaństwa, pańszczyzny, wolność zarobkowania, własność gruntową, wynagrodzenie niewłaścicielom.“

Dopóki nie rozpoczęły się były kroki wojenne, ci, co objęli kierownictwo powstania, mieli silną nadzieję, że wszystko może się skończyć na układach i pewnych ustępstwach ze strony cesa-

rza Mikołaja. Kiedy jednak polała się krew z obu stron i kiedy po zawziętej bitwie pod Grochowem niebezpieczeństwo zagroziło było Warszawie, pokojowe złudzenia rozwiały się. Wtedy Szanieckiemu zdawało się, że to była chwila właściwa, ażeby wezwać sejm do kroku, któryby nadał rewolucyi charakter powszechnego interesu i podniósł zapał pomiędzy ludem wiejskim i miejskim. W dniu więc 28 lutego złożył do laski marszałkowskiej wniosek, zdążający ku temu, ażeby nadać włościanom własność gruntową, znieść zaprowadzone przez księcia Lubeckiego a znienawidzone przez ludność miejską monopole i przyznać ogólne prawa obywatelskie wyznawcom religii mojżeszowej. [1])

Ani Rząd Narodowy, złożony z Czartoryskiego, Barzykowskiego, Lelewela, Teodora Morawskiego i Wincentego Niemojowskiego, ani kaliszanie nawet nie byli stanowczo przeciwni podniesieniu sprawy włościańskiej. Prawie wszyscy oni byli przeciwnikami pańszczyzny i w dobrach ich istniało już oczynszowanie. Ale pętała ich z jednej strony „święta zasada“ legalności — jak się wyrażał Teodor Morawski, a z drugiej strony lękali się urazić większość szlachecką sejmu. Pojmowali oni jednak, że niepodobna nic nie zrobić dla włościan; usuwając więc wniosek Szanieckiego, jako bardziej rażący szlachtę, wnieśli do sejmu projekt, zmierzający do nadania własności gruntowej gospodarzom rolnym w dobrach narodowych. Projekt ten, przedstawiony sejmowi przez ministra skarbu, Alojzego Biernackiego, znanego zwolennika oczynszowania włościan, przyznawał drobnym rolnikom w dobrach narodowych własność gruntową, znosił w zasadzie pańszczyznę, pozostawiając dziesięcioletni termin dla jej zamiany na czynsze, i dążył ku temu, aby większe folwarki, a przynajmniej znaczną ich część, podzielić na własności mniejsze. Urządzenie takie ludności wiejskiej w dobrach narodowych musiałoby — zdaniem projektodawców—wywrzeć dobroczynny wpływ pośrednio na cały jej ogół, albowiem „pańszczyźniani wszystkich dóbr prywatnych, oczywistą korzyścią zachęceni, byliby przechodzili do dóbr rządowych, a dziedzice znagleniby zostali do nadania włościanom tych samych ko-

[1]) W Protokółach sejmu 1831 r. nie znalazłem tego wniosku. Nie są one ani zupełne, ani dokładne. I tak, w dniu 28 lutego marszałek salwował poranne posiedzenie do wieczora, a tymczasem niema protokółu wieczornego posiedzenia. Wszakże wzmianka o wniosku lutowym Szanieckiego powtarza się podczas przebiegu sprawy włościańskiej w marcu i kwietniu. W dalszem mojem opowiadaniu opieram się przeważnie na protokółach i wyjątki z mów przytaczam, jak były zapisane, odznaczając to cudzysłowem.

rzyści; inaczej zostaliby pozbawieni rąk potrzebnych do uprawy gruntu.“ [1])

W czasach spokojnych niezawodnie przedstawiałoby to ważny bodziec do dalszego postępowego przeobrażania się stosunków ekonomiczno-społecznych ludu wiejskiego, ale podczas rewolucyi był to środek połowiczny i nie wywołałby takiego wrażenia, któreby mogło rozniecić zapał wśród włościan i zespolić ich interes z walką rewolucyjną. A właśnie o to starać się należało. Po co przytem rząd wniósł tę sprawę do sejmu, kiedy—jak to zaznaczono kilka razy podczas rozpraw—mógł sam w drodze administracyjnej tego dokonać? Zasada własności gruntowej w dobrach narodowych była uznana jeszcze w 1784 r. Sejm Czteroletni w 1792 r. potwierdził ją. Wprawdzie, książę Lubecki podał ją w wątpliwość swemi rozporządzeniami, ale uznano je jako nadużycie. Zamiana pańszczyzny na czynsze wciąż się odbywała w dobrach narodowych i znaczna część włościan była tam już oczynszowana. Mógł więc zarząd skarbu, bez odwoływania się do sejmu, wszystko to zrobić, co nakreślił w projekcie. Widocznie chodziło rządowi o to, by nastręczyć sejmowi sposobność do popisania się tanim kosztem najlepszemi swemi chęciami dla włościan, oraz wyjednać publiczne oświadczenie się przeciw pańszczyźnie. Za wiele jednak rachował na domyślność szlachecką. „Zanadto są ważne okoliczności—mówił na posiedzeniu 28 marca Słubicki—wiele trudności jest do usunięcia, lepiejby więc było odłożyć ten projekt do czasów pomyślniejszych, kiedy w ręku nieprzyjaciela będące prowincye odzyskamy, bo jakże mamy rozdarowywać grunta, kiedy jeszcze nie wiemy, czy będziemy ich właścicielami.“ I to mówił ten, który w pierwszych dniach rewolucyi zdawał się należeć do goretszych jej wyznawców. Projekt dobry, zasada piękna—powiadali inni posłowie—ale w każdym razie lepiej byłoby odłożyć tę sprawę na później. Ignacy Dębowski powątpiewał, czy małemu kompletowi przysługuje prawo stanowić o tak ważnej sprawie. Wytłómaczono mu jednak, że szlachta, wystraszona hukiem dział, wymierzonych z drugiej strony Wisły do stolicy, opuszczając ją, uchwaliła, że komplet 33, złożony z członków Izby poselskiej i Senatu, wystarcza do prawomocności uchwał. Ten że Dębowski na drugi dzień, zacząwszy od tego, że uważałby przeciwnika zasady projektu za zdrajcę ojczyzny, za zabójcę

[1]) Str. 75, t. III. „Kronika Emigracyi Polskiej.“ Paryż 1833. Artykuł T. Morawskiego: „Sprawa włościańska na sejmie w r. 1831.“

narodu, skończył na tem, że należy się tak ważną sprawę odłożyć na później.

Nie zdoławszy zepchnąć sprawy z porządku dziennego, starano się ją ubić w długich i szczegółowych rozprawach. Traktowano ją wyłącznie ze stanowiska ekonomicznego, jakby nie miała ona ważnego politycznego znaczenia. Szaniecki przypomniał to sejmowi. Ponieważ niektórzy posłowie oświadczyli się przeciw rządowemu projektowi, tłómacząc się tem, że nie rozciągał się on na cały ogół włościan, deputowany ze Stobnicy na posiedzeniu 29 marca ponowił swój lutowy wniosek nadania własności gruntowej rolnikom. Odwołał się on do patryotyzmu sejmujących i chciał ich natchnąć szlachetną ambicyą. „Idąc w ślady patryotyzmu, odznaczonego tylu światłemi uchwałami, nieśmiertelną sławę dla Polski przynoszącemi, Sejmu Czteroletniego, odznaczmy— wołał on — sejm nasz teraźniejszy uchwałą niemniej chwalebną, niemniej szlachetną, niemniej sławy narodowej godną, uchwałą, niszczącą ostatni zabytek feudalizmu, pańszczyznę. Uchwała ta postawi Polskę na stopniu odpowiednim cywilizacyi europejskiej, na stopniu szczęścia i swobód prawdziwej wolności. Milion rąk podniesiemy ku obronie tej ziemi, na której milion wolnych utworzymy jej właścicieli. Milionem niepodległych obywateli wzmocnimy reprezentacyę narodową, bo milionowi niezawisłych obywateli nadamy prawa polityczne. W tem leży dobro kraju, w tem leży honor narodu...“ Wskazywał on na wielkie znaczenie takiej uchwały na przyszłe losy narodu. „Gdyby nawet — mówił on — naród musiał uledz przemocy, to i w takim razie miałaby ona zbawienny wpływ na jego przyszłość. Wróg musiałby ją przyjąć, gdyż i han tatarski nie śmiałby się jej dotknąć. Zostałaby ona pomnikiem wielkiego cywilizacyi postępu w narodzie polskim.“

Przemówienie takie mogłoby wywołać zapał w innym składzie sejmu, ale nie w takim, w którym zasiadali Słubicki, Dębowski, Konstanty Witkowski, Tymowski i inni wykrętni obrońcy pańszczyzny.[1]) Wniosek Szanieckiego odesłano do Komisyi, a w sprawie projektu rządowego rozpoczęły się nanowo długie rozprawy.

---

[1]) Bonawentura Niemojowski przypisywał niepowodzenie projektu temu, że na nieszczęście w małym komplecie dzierżawcy i nabywcy dóbr narodowych mieli przypadkową przewagę. Str. 65. „O ostatnich wypadkach rewolucyi polskiej“—przez Bonaw. Niemojowskiego. Paryż 1833. Walenty Zwierkowski mniemał, że „utrata propinacyi, tego szkaradnego monopolium,“ największą stanowiła przeszkodę do przyjęcia projektu („Nowa Polska,“ wydawana w Paryżu, tom II, str. 77.

Kasztelan Małachowski starał się opamiętać szlachtę. „Gdyby projekt był odrzucony—mówił on—rząd bez uchwały nawet mógłby w drodze administracyjnej wykonać takowy, lecz będzie to zaszczytniej dla nas, że o braciach, którzy całość kraju naszego zapewniają, o tej najważniejszej cząstce narodu, nie zapominamy.“ Przestroga ta jednak nie podziałała.

Najważniejszą doniosłość w rozbieranym projekcie przedstawiało *zniesienie pańszczyzny*. Może nie zmieniłoby ono materyalnego położenia włościan—jak to wielu utrzymywało—ale usuwało pozostałość poddaństwa, zmniejszało zależność społeczną włościanina i musiałoby w ludzie siermiężnym podnieść poczucie godności ludzkiej. Uchwała sejmu narodowego, znosząca pańszczyznę w dobrach skarbowych, byłaby jej potępieniem, skazaniem na śmierć w opinii publicznej.

Właśnie z tego powodu Szaniecki nastawał na ogłoszenie takiej uchwały, a w tym względzie nie był zrozumiany i poparty przez takich nawet posłów, jak Walenty Zwierkowski, który gotów był dla powodzenia sprawy narodowej ponieść jaknajwiększe ofiary i który rzetelnie sprzyjał ruchowi demokratycznemu. Kiedy w głosowaniu został przyjęty pierwszy artykuł projektowanej ustawy, że wszyscy włościanie dóbr, nieruchomą własność publiczną składających, lub pod zarządem albo pod opieką rządu zostających, uznani są za dziedzicznych właścicieli gruntów i budowli przez nich posiadanych — powstało w dalszym ciągu pytanie, czy spłata kapitału, wartość gruntu wyobrażającego, ma się odbywać pieniędzmi pod postacią czynszu lub też robocizną w formie pańszczyzny? Rząd, wykazawszy przez swego referenta, Brodzkiego, wyższość czynszu nad pańszczyzną z punktu ekonomicznego, żądał, ażeby zostało uchwalone zniesienie tej ostatniej. Szlachta, mocno zaniepokojona, zaczęła wołać: dlaczego niema być pozostawiona włościaninowi wolność wybierania pomiędzy pańszczyzną i czynszem? Dlatego—odparł Szaniecki—że pańszczyzna a przymus są równoznaczne, że zniesienie pańszczyzny jest przywróceniem wolności osobistej. A „wolność nie jest to towar, żeby nim frymarczyć, zastawiać, sprzedawać go, jest to własność narodowa.“ „Naród ma prawo powiedzieć, że nikomu w Polsce nie wolno być murzynem...“ Ustanawiając czynsz, uświęcamy zasadę wolności osobistej, ale to wcale nie przeszkadza temu, ażeby włościanin, nie mając pieniędzy, nie mógł całej należności lub jej czynszu spłacić robocizną, lecz w tym wypadku staje się ona najmem i utraca charakter ciągłego przymusu, a przytem obliczo-

na na pieniądze, nie może być tak wyzyskiwaną, jak w formie pańszczyzny.

Jakkolwiek przekonywające były te dowodzenia, nie zdołały one przełamać uporu szlacheckiego. Nawet przedstawienie ministra przychodów i skarbu, że wolność wyboru pomiędzy pańszczyzną a czynszem sprowadziłaby wielką niedogodność w urządzeniu dóbr narodowych—nic nie pomogło. Pańszczyzna została uratowana. Szaniecki, widząc, że nie udało się jej obalić, chciał ją przynajmniej piętnem moralnem niewoli napiętnować. W tym celu na posiedzeniu 8-go kwietnia wniósł poprawkę następującego brzmienia: „Gdyby właściciel tak uregulowanej posiadłości oświadczył życzenie zaspokojenia raczej robocizną, aniżeli płacenia pieniędzmi ustanowionego z niej dochodu, wolno mu będzie ułożyć się z posiadaczem lub rządcą folwarku o robociznę stałą od trzech do czterech lat, za którą tenże posiadacz lub rządca folwarku wnosić będzie do skarbu gotowiznę z jego posiadłości. Lecz przez czas trwania układu takowego, właściciel jako w służbowe stosunki wchodzący, zawieszonym będzie w używaniu praw obywatelskich i politycznych.“ Jakto—krzyknęła szlachta, a najgłośniej Dębowski Ignacy—praca ma hańbić?! Na to odrzekł Szaniecki: „Nie w tem leży hańba—jak mi zarzucał J. W. Dębowski—że kto jaki rodzaj pracy odbywa, ale w tem, że kto nie pracę, lecz wolność swoją sprzedaje.“ Wyjaśnienie to jeszcze bardziej przyczyniło się do odrzucenia poprawki.

Pobity na jednym i drugim punkcie, Szaniecki nie zrażał się i swoim głosem dopomagał do uratowania projektu, chociaż mocno okaleczonego. Na posiedzeniu 14-go kwietnia daremnie obstawał za przyjęciem zasady dzielenia wielkich folwarków na małe własności, ażeby w ten sposób ułatwić włościanom nabywanie ziemi. Po tygodniowych długich rozprawach, wreszcie załatwiono się z projektem i pozostawało mu tylko dać ostateczną sankcyę. Tymczasem, wskutek wezwania sejmowego z dnia 30 marca, przybywali do stolicy nieobecni dotąd posłowie. Na posiedzeniu 18 kwietnia zażądano rozłączenia izb, a Kaczkowski, poparty przez Słubickiego, odmawiając małemu kompletowi prawa stanowienia w tak ważnej sprawie, jak włościańska, domagał się, ażeby izby rozłączone ponownie przedyskutowały cały projekt. Z oburzeniem oświadczył Bonawentura Niemojowski, że wniosek taki ma na celu unieważnienie wszystkich uchwał w sprawie włościańskiej i w smutny sposób przypomina *liberum veto*. Ależ to znaczy—wołał z goryczą Szaniecki—„niszczyć trzytygodniowe nasze prace!“

Właśnie to miała na celu szlachta, przybywająca na pomoc obrońcom wyzysku pańszczyźnianego. Pokazało się to na posiedzeniu dnia następnego w Izbie poselskiej. Wniosek włościański szczegółowo przedyskutowany i uchwalony już częściami, przy dobrej woli mógł być prędko załatwiony. Stał on na pierwszem miejscu na porządku dziennym. Świdziński zażądał szczegółowej nad nim dyskusyi, a Walichnowski, ażeby dwa inne wnioski, stojące na porządku dziennym, jako ważniejsze, wziąć pod obrady sejmowe. Większość posłów poparła te żądania i w dalszym ciągu posiedzeń wciąż się okazywały ważniejsze sprawy, jak np. regulaminowe, dotyczące wyboru senatorów i t. d. Projekt włościański zaprzepaszczono. W ten sposób większość sejmowa złożyła sobie okropne świadectwo złej woli i żadne wywody Barzykowskiego nie są w stanie jej usprawiedliwić. Klasowemu interesowi poświęciła ogólny interes narodowy.

Co się stało z wnioskiem, złożonym przez Szanieckiego w dniu 29 marca? W Protokółach sejmowych czytamy, że na posiedzeniu 7 kwietnia złożył on jeszcze raz u laski marszałkowskiej projekt, „ułożony w myśl objawionych w Izbach życzeń względem ustalenia losu włościan w dobrach prywatnych bez naruszenia własności a narażenia na straty właścicieli dóbr;“ a na posiedzeniu 4 czerwca wniosek, „jeszcze w miesiącu lutym do komisyjów odesłany, a teraz stosownie do okoliczności przerobiony, mający na celu, aby naród jaknajprędzej wywalczył niepodległość.“ Szaniecki stracił już wiarę w dobrą wolę sejmu i ostatni wniosek podał do wiadomości publicznej w „Dzienniku Powszechnym.“ Ponieważ — pisał on 16 czerwca — „komisye sejmowe, do których projekt w dniu 4 b. m. pod rozbiór odesłanym został, zbyt są zajęte innymi także pilnymi projektami, przeto nim się doczeka kolei i nim komisye przystąpią do jego rozbioru, podaję go pod rozbiór całego narodu, którego opinia najlepszą będzie wskazówką dla mnie, czy go popierać lub cofnąć, gdyż mi go nie dyktowała miłość własna, lecz miłość ojczyzny.“ [1])

Wniosek ten Szanieckiego zasługuje na przytoczenie go w całości. Z motywów, uzasadniających go, przytoczę najważniejszy: „Zważając, iż gdy przez tak długi przeciąg boju doświadczenie

[1]) Przedrukował to „Przegląd dziejów polskich“ (str. 153 i 154, część trzecia, Poitiers, 1839). Mierosławski w swojej „Historyi“ wyśmiewa ten projekt. Czy słusznie jednak? Czy sam on, opisując powstanie litewskie, nie zalecał coś podobnego?

nauczyło, że ilość wojska narodowego, jakkolwiek znaczna i męstwem nadludzkiem ożywiona, do prędkiego i zupełnego pokonania nieprzyjaciela okazuje się być jeszcze niedostateczna," Izby stanowią:

„Art. 1. Królestwo Polskie ogłasza się za będące w stanie ogólnego powstania w masie.

„Art. 2. Każdy, bez żadnego wyjątku, ktokolwiek zdolnym jest uchwycić za oręż, obowiązanym jest opatrzyć się w broń bez względu na jej rodzaj.

„Art. 3. Każdy właściciel dóbr, zastawnik, posesor lub prezydent miasta, zostający przy zdrowiu i sile, obowiązany jest stanąć na czele włościan lub mieszkańców miast, opatrzonych w kosy, piki, widły, cepy, siekiery, lub jakiebądź narzędzia, do walki i obrony zdatne.

„Art. 4. Starców, dzieci i niewiasty zostawiwszy przy domowych ogniskach, reszta ludności, zabrawszy z sobą potrzebną żywność na wozy z zaprzęgiem wołowym, udadzą się naprzeciw nieprzyjacielowi.

„Art. 5. Województwo krakowskie wkroczy do województwa sandomierskiego i razem z niem pójdzie w lubelskie; kaliskie wkroczy w płockie i mazowieckie i razem z sobą wejdą w województwo podlaskie i augustowskie; a tak coraz dalej, obok wojska regularnego, parując nieprzyjaciela, zniszczyć go zupełnie, otoczywszy zewsząd dokoła, lub cofającego się wypierając z województwa do województwa, aż za ostatnie dawnej Polski granice.

„Art. 6. Lud wyznania mojżeszowego, skoro z równym zapałem i poświęceniem należeć będzie w masie swej do tej wyprawy, uzyska albo prawo obywatelstwa, albo osobne narodowi swemu najstosowniejsze przywileje, jak to za ogólnem porozumieniem się, za najdogodniejsze uznanem zostanie.

„Art. 7. Włościanie uzyskają własność gruntową bez naruszenia własności prywatnej.

„Art. 8. Sposób podzielenia tych mas na kolumny i roty, onych uorganizowania i całego ruchu uskutecznienia rządowi narodowemu, wodzowi naczelnemu i gorliwości wszystkich prawych Polaków poruczonem zostaje."

„Rodacy! — pisał dalej Szaniecki. Wystawmy sobie chwilę okropną, gdyby nas wrogi pokonać miały! Krew braci naszych, nadaremnie przelana, spłynęłaby na głowy nasze! Byt nasz—na wieki stracony! Nie czekajmy tej chwili! Korzystajmy ze sposobności! Uprzedźmy ją! Niech nas ogarnie rozpacz szlachetna. Wczesna doprowadzi nas do zwycięstwa, niewczesna—do grobu."

Oczywista rzecz, że większość sejmowa nie zgodziłaby się na takiego rodzaju pospolite ruszenie. Wszak to byłby początek tej „rewolucyi socyalnej," która ją takim strachem przejmowała. Rząd Narodowy jednak był odważniejszy i — jak Barzykowski opowiada—decydował się na ten krok. Postanowił on „cały naród do walki i obrony powołać i z niego ostatni szaniec uczynić, aby naród albo wywalczył swoją niepodległość, albo zginął i razem z ojczyzną do grobu wstąpił."[1]) Ma się rozumieć, nadawano pospolitemu ruszeniu bardziej umiarkowaną postać, a o uzyskaniu własności gruntowej przez włościan przemilczano. Chciano jednak poprzednio zasięgnąć zdania wodza naczelnego. Skrzynecki wszakże sam nie przybył na sesyę Rządu Narodowego, lecz przysłał generała Łubieńskiego. Ten w rutynie wojskowej wykształcony generał, przeciwny wszelkim objawom rewolucyjnym, nieprzychylny sąd projektowi wygłosił. „Kiedyś—mówił on—kiedy sztuka wojenna więcej na siłach fizycznych polegała, kiedy osobiste męstwo tak przemożny wpływ wywierało, wtenczas pospolite ruszenie mogło znaczne usługi oddawać, lecz dzisiaj prowadzenie wojny do wysokiej nauki i sztuki jest podniesione, przeto nie człowieka, nie ludzi do wojny, lecz żołnierza potrzeba, aby umiał spełnić, co sztuka nakazuje. Masy ludu nagromadzone nietylko tej usługi oddać nie są zdolne, ale przeszkodą i trudnością stać się mogą."[2])

Jak widzimy, Szaniecki, „czcigodniejszy niż fortunny trybun interesów włościańskich" — jak Mierosławski o nim się wyraża— korzystał z każdej sposobności przypominać sprawę włościańską i przedstawiać jej ogromne znaczenie w walce o wolność narodową. Starał się on w sejmie wytworzyć stronnictwo przyjazne włościanom i z jego inicyatywy 1 czerwca powstało *Towarzystwo polepszenia bytu włościan*. „Gdyby oręż polski—powiada były sekretarz tego towarzystwa — przy fatalnym obrocie, jaki wzięła sprawa powstania, mógł był zostać zwycięskim, stowarzyszenie w mowie będące przyśpieszyłoby było niewątpliwie chwilę ogólnego usamowolnienia i uwłaszczenia ludu wiejskiego."[3])

---

[1]) Str. 325, t. IV. „Historya powstania listopadowego." Poznań, 1884.

[2]) Str. 326. L. c.

[3]) Str. 11. „O początku demokracyi polskiej"—krótka wiadomość przez J. N. Janowskiego. Paryż, 1862. Teodor Morawski w swojej historyi podaje inną nazwę i datę założenia tego towarzystwa. Sądzę jednak, że wiadomość podana przez Janowskiego, jako byłego sekretarza tego towarzystwa, jest wiarogodniejsza.

Rozprawy sejmowe o sprawie włościańskiej przyczyniły się do żywszego zainteresowania się tą sprawą. Już poprzednio Mochnacki, Żukowski, Janowski, Krępowiecki wskazywali na konieczność połączenia rewolucyi politycznej ze społeczną, z wcieleniem w organizm narodowy i uobywatelnieniem włościan. Lecz największe wrażenie sprawiła mowa Lelewela w Towarzystwie Patryotycznem. Rozjątrzyła ona posłów szlacheckich, tembardziej, że wypowiedział ją członek Rządu Narodowego. Naczelny wódz, Skrzynecki, którego niedołężne działania wojenne surowo krytykowano w kołach demokratycznych, chciał skorzystać z tego rozjątrzenia i wyjednać ograniczenie słowa i pisma. Zaproponował więc reformę rządu, któraby mu nadała większą jedność, sprężystość i władzę. Jan Ledóchowski, popularny sprawą detronizacyi, z całą gwałtownością swego temperamentu wystąpił przeciw rządowi, że toleruje rewolucyę jakobińską, która przestrasza rządy europejskie, i z tego powodu nie chcą one nam pomagać, ani nawet traktować z nami. Trzeba więc ustanowić rząd silny, jednowładny. Szaniecki odważnie wystąpił w obronie wolności i tą razą odniósł zwycięstwo. W mowie swej znakomitej, wygłoszonej na posiedzeniu 9 czerwca, wykrył prawdziwy cel, do którego dążyli reformiści. Było to zmuszenie demokratów do milczenia. Przechodząc do mowy Lelewela, rzekł: „Myli się, kto mniema, że rewolucya narodowa obejść się może bez socyalnej; socyalna jest środkiem do narodowej, przez nią ostatnia istnieć tylko może.“ Dzisiaj już cały świat cywilizowany dzieli te zasady socyalne, które wam się wydają straszne. Wciąż nam tu przedstawiają—mówił dalej—konieczność usuwania wszystkiego, coby mogło trwożyć rządy europejskie. I pomimo to, cóż nam pomogły te rządy? Czyż nie lepiej i właściwiej byłoby starać się o to, aby mieć ludy za sobą? „Jeżeli jednak mamy poddać się znowu jednemu, to obierzmy—powiadał on bardzo słusznie—lepiej odrazu króla, a nie małpujmy króla.“ Wybór króla — jak to zaznaczyłem gdzieindziej [1])—byłby ostatecznie zakończeniem tylko bezkrólewia, ponieważ sejm uchwałą swoją z dnia 8 lutego w imieniu narodu oświadczył, „iż uznaje monarchię konstytucyjną reprezentacyjną z prawem następstwa wybrać się mającej rodziny, jako jedynie odpowiadającą potrzebom swoim; że form jej w tem nawet bezkrólewiu przestrzegać będzie i nikomu ich bezkarnie przekroczyć nie

[1]) Str. 180. „Historya demokracyi polskiej w epoce porozbiorowej.“ Zurych, 1901.

dozwoli.“ Nie był Szaniecki za przesądzeniem przez sejm, jaką ma być przyszła forma rządu. Kiedy toczyła się dyskusya w tym przedmiocie na posiedzeniu Izby poselskiej w pierwszych dniach lutego, był tego zdania, że trzeba poprzednio odzyskać niepodległość, a naród niepodległy sam ustanowi formę rządu. „Nie jestem za rzeczpospolitą, lecz za monarchią konstytucyjną“—mówił na posiedzeniu 4 lutego. Ale monarchia ta konstytucyjna powinna była — podług niego — opierać się na rzetelnych demokratycznych zasadach. Mowa jego wywarła takie wrażenie, jakoby się oświadczył za formą republikańską. [1])

Zasada demokratyczna — podług niego — nierozdzielna była z wolnością obywatelską. Ilekroć więc popełniono gwałt, nie wahał się wystąpić ostro z jego potępieniem. Kiedy gubernator warszawski kazał, bez poprzedniego sądu, uwięzić Krępowieckiego za obrazę wodza naczelnego, Szaniecki na posiedzeniu 6 sierpnia napiętnował ten krok jako nadużycie władzy. „Użalamy się—mówił on—często na nadużycia wolności druku. Czemże one są? Oto obrazą miłości własnej, obrazą dumy. Czemże jest nadużycie pióra w porównaniu z nadużyciem władzy? To ostatnie zagraża wolności osobistej, a nawet życiu.“

Ostra krytyka zachowania się wodza naczelnego była zupełnie usprawiedliwiona. Skrzynecki tak niedołężnie prowadził wojnę, że graniczyło to niemal ze zdradą. Pozwolił bezkarnie wodzowi rosyjskiemu przeprawić się przez Wisłę i zbliżyć się do Warszawy. Wprawdzie, odebrano mu ostatecznie naczelne dowództwo, lecz było już zapóźno. Paskiewicz ujrzał się także w nader niebezpiecznem położeniu. Mochnacki, nawet Czartoryski wskazywali, że wojsko rosyjskie mogło tam pozostać na wieki pogrzebane. Szybkie zajęcie Warszawy stało się dla Paskiewicza rzeczą konieczną i w tym celu, ażeby osłabić energię obrony ze strony polskiej, rozpoczął 4 września przez Dannenberga układy z prezesem rządu narodowego, generałem Krukowieckim. Podstęp znakomicie się udał. Myśl układów tak silnie zaprzątnęła umysł Krukowieckiego, że nietylko nie okazał tej sprężystości wojennej, z jakiej słynął był dawniej, ale nawet tak się zachowywał, jakby życzył sobie, ażeby wojsko polskie poniosło porażkę, któraby napędziła strachu ministrom i sejmowi i uczyniła ich do ustępstw skłonniejszymi.

Generał Prądzyński, obałamucony przez dyplomatów rosyjskich, chwycił się także myśli układów, jakby deski ocalenia,

[1]) Str. 191—193. „Historya powstania listopadowego.“

i w chęci ich przyśpieszenia siał trwogę w umysły. Zdawało się mu, jak i Krukowieckiemu, że sprawa porozumienia się z wodzem rosyjskim byłaby ułatwiona, gdyby sejm opuścił Warszawę. Starając się skłonić posłów ku temu, Prądzyński przedstawiał stan rzeczy w czarnych kolorach. „Generale—ozwał się Szaniecki—przypomnij, że na początku rewolucyi przysięgałeś na pałasz i pamięć Kościuszki zbawić ojczyznę lub umrzeć za nią. Teraz chwila spełnić tę przysięgę. Zamiast pchać nas do ustępstw, śpiesz na pole bitwy i swemi zdolnościami i walecznością służ sprawie narodowej.“ A widząc, że większość posłów wystraszona skłaniała się już do czynionej propozycyi, oburzony do żywego, podniesionym głosem upominał Izbę, ażeby okazała więcej odwagi i mocy ducha. Historya—mówił na posiedzeniu 7 września—nie uwierzy, że Izba opuściła Warszawę przez wzgląd na dobro narodu. Powie ona, że Izba uczyniła to z obawy o siebie, lecz nie dla ocalenia honoru narodowego. Środki obrony nie są jeszcze wyczerpane. W obronie stolicy może stanąć conajmniej 30 tysięcy głów. Mając taką ludność, jak warszawska, mając takie wojsko, jak nasze, i takich generałów, możemy mieć wszelką nadzieję, że nieprzyjaciela odeprzeć zdołamy. Teraz nie sejmować, lecz walczyć należy. Zamiast więc radzić tu w sali, stańmy raczej na czele ludności warszawskiej i prowadźmy ją na okopy. A podług licznego świadectwa, Warszawę można było obronić. „Na łożu śmiertelnem utrzymywać będę—powtarzał nieraz później generał Bem—że Warszawa była nie do zdobycia, gdyby był Krukowiecki komenderował lub komu innemu komenderować kazał.“

Większość jednak trwożliwa przemogła i opuszczono Warszawę. Mianowany przez sejm na miejsce Krukowieckiego prezesem rządu Bonawentura Niemojowski uzupełnił skład rządowy, powołując z Izby poselskiej Lelewela na ministra oświecenia i Szanieckiego na ministra spraw wewnętrznych: „obydwóch reprezentantów stronnictwa *popularnego* i przez toż stronnictwo za najzdatniejszych i najgodniejszych ufności publicznej uważanych.“ [1]) Szaniecki wolał jednak objąć kierunek sprawiedliwością, jako wydziałem lepiej mu znanym.

Na posiedzeniu Izb połączonych w Płocku 23 września Szaniecki starł się ponownie z dawnym swym przeciwnikiem, margrabią Wielopolskim, który, popierając wniosek Świdzińskiego, przemawiał za odroczeniem sejmu i zdaniem władzy cywilnej na

[1]) Str. 59. „O ostatnich wypadkach rewolucyi polskiej“—przez B. Niemojowskiego.

wodza naczelnego. Szaniecki sprzeciwił się mocno odroczeniu sejmu, albowiem wywarłoby to najgorsze wrażenie na żołnierzy. „Co do wniosku względem zdania władzy cywilnej na wodza naczelnego, należałoby dodać, że mu się władzę traktowania odbiera. Zbawienie ojczyzny lub zgon, tego hasła trzymać się należy.“ [1])

Zdaniem jego — wódz i wojsko mieli przed sobą jedyną powinność: bić się za ojczyznę. Kiedy przywołany generał Bem w sprawie rady wojennej w Słupni, która zamierzała była wysłać deputacyę do Petersburga, starał się ją usprawiedliwić tem, że jej nie o wojsko chodziło, lecz o to, ażeby zasłonić sejm przed zemstą cesarza Mikołaja—Szaniecki w imieniu sejmu oświadczył: „Iż rzeczą wojska jest bronić ojczyzny, nie sejmu; jakikolwiek los spotka ojczyznę, sejm go podzieli i nie przyjąłby nigdy dobrodziejstwa, któreby przyszło szkodą ojczyzny okupić.“

Opuściwszy wraz z wielu innymi posłami ziemię ojczystą, Szaniecki przebywał przez lat kilka w Niemczech i dopiero zwabiony widokami szerszej działalności politycznej, w 1835 r. przybył do Paryża. Tu wydawał przez czas pewien czasopismo: „Polskę,“ starając się skłonić walczące z sobą stronnictwa do wspólnego porozumienia się i działania. W tymże duchu przemawiał na obchodzie listopadowym 1838 r. Słowa jego nie mogły jednak trafić do przekonania tych, którzy uważali myśl „wydobycia Polski z pod wpływu kierunku ludzi, na których leży przekleństwo historyi“—jak pisał, zdając sprawę o tym obchodzie, „Demokrata Polski“—za najbardziej patryotyczną. W tymże roku został Szaniecki wybrany na prezesa Komisyi funduszów emigracyjnych, albowiem będąc przez kilka lat jej członkiem i funkcyonaryuszem, pełnił gorliwie swe obowiązki i dał się poznać z bezstronności w niesieniu pomocy tułaczom.

Z zarodem choroby piersiowej, potrzebował spokoju i wygód. Burzliwe życie emigracyjne nie dawało mu pierwszego, a dzieląc się po bratersku z tułaczami tem, co miał, był już zadowolony, że nie cierpiał niedostatku. Umarł 19 lutego 1840 r. Zwłoki jego złożono na cmentarzu Mont-Parnasse. Nad grobem jego przemawiali: deputowany Wołowski, J. Kr. Ostrowski i pułkownik Chotomski.

Nieugięty charakter, gorąca miłość ojczyzny, szeroki widnokrąg myśli społecznej zapewniają mu zaszczytne miejsce wśród wolnościowych szermierzy ówczesnych.

Bolesław Limanowski.

---

[1]) Protokół posiedzeń sejmowych w Płocku.

ROMA—AMOR.

I.

Wyprowadzano ongi nazwę *Roma* od greckiego wyrazu oznaczającego siłę. Dzisiaj lingwiści odrzucają tę etymologię; wszelako niezależnie od wszelkich względów etymologicznych, nazwa wiecznego miasta przez samą treść życiową, jaką nam uprzytomnia, czyż nie stała się synonimem siły, najpotężniejszej siły społecznej i politycznej w dziejach cywilizowanej ludzkości? A przeczytajcie odwrotnie imię: *Roma* — wyczytacie: *amor*. Szczególne spotkanie brzmień i znaczeń, niby jakaś ukryta ironia przypadkowo złączonych przeciwieństw.

Siła i miłość! Jakże często jawią się nam one w tragicznych kolizyach życia; jakże często siła bywa bezmiłosna, a miłość—bezsilna. W drobnych faktach bytu powszedniego, w wielkich zdarzeniach dziejowych, ten, co posiadł siłę, jak wagnerowski Nibelung Alberich, wyrzeka się miłości; ten, co żyje miłością, wyrzeka się siły, lub daremnie kusi się o jej zdobycie, by zwalczać władnącą światem potęgę nienawiści.

Jedno z arcydzieł naszej poezyi nie mało się przyczyniło do wyrobienia w nas poczucia tych tragicznych przeciwieństw życia. W „Irydyonie“ Krasińskiego mamy wspaniały, o wielkiej głębi duchowej, obraz ujemnych, bezmiłosnych żywiołów siły rzymskiej. Ale czy tylko rzymską siłę miał tu poeta na myśli? Wiemy, że zbrodnicza przemoc Rzymu nad Grecyą jest tu symbolem innej, nowoczesnej przemocy, strasznem brzemieniem ucisku gnębiącej polskie serce poety; wiemy, że tragiczny upadek „syna zemsty,“ to symbol upadku mściwej, w siłę jedynie wierzącej nienawiści i przerodzenia się jej w świętą, ofiarną moc miłości.

„Idź na północ, do ziemi mogił i krzyżów; idź i czyń, aż męki tysiąców wcielą się w jedno serce twoje.“

Tak brzmi w zakończeniu poematu wyrok Boży, ogłoszony „synowi zemsty,“ mającemu stać się synem ofiary.

Znamienne przeciwstawienie dla wieszcza Polski Chrystusowej, wierzącego niezachwianie w zwycięską moc jej męczeństwa. Nie dziw, że rzucał on gromy zemsty irydyonowej na siłę rzymską, męczycielkę ludów. Ale siła rzymska, z głębi wieków przemawiająca majestatycznemi ruinami swych pomników, jakże odmienne budziła uczucia w „poecie ruin,“ jak zwał Słowacki twórcę „Irydyona.“ Śpiewak zemsty nad Rzymem był pono jednym z najżarliwszych miłośników Rzymu i tyle poświęcił mu przedziwnie pięknych kart swej poezyi. Niedarmo woła nań Słowacki w dedykacyi „Lilli Wenedy“: „Obudź się rzymski w złotej zbroi z ognistym pancerzem rycerzu!“ Nie co innego pono, jeno rzymska rycerskość burzyła się w duszy Krasińskiego przeciw rzymskiej przemocy. Oto klasyczny nieomal przykład wiekuistych harmonij i rozdźwięków, zaklętych w imieniu Roma—amor. Siła staje często przeciw miłości, ale czyż miłość może mieć godniejszy ponad siłę przedmiot ukochania?

Wszakże kochać można tylko życie, a życie w sile się objawia— w słabości gaśnie, zamilcza. Aż nadto często zdarza się, niestety, że wytworzona przez pełnię życia siła przeciw niej się zwraca, idzie na usługi wrogich jej, krępujących swobodny jej rozwój potęg, zdziczałych namiętności, zwyrodniałych żądz, skostniałych mechanizmów. Otchłań rzuca wezwanie otchłani. Nienawiść zastępuje wtedy miejsce miłości.

W każdem skupieniu i wybujaniu wielkiej siły dziejowej mamy te dwoiste dodatnie i ujemne jej objawy i wzbudzoną przez nie przeciwstawną sobie dwoistość uczuć miłości i nienawiści. Nienawidzono rzymskiej siły w ciągu wieków, nienawidzono jej całą potęgą dusz namiętnych, od Hanibala aż do Lutra, całym szaleństwem żądz mściwych, fanatyzmów zdziczałych, buntów niewolniczych. Ale miłowano ją też z niemniejszą mocą ogromem uczuć patryotycznych, humanitarnych, ofiar bezmiernych, heroizmów nadludzkich. Miłowali ją dawni Kwiryli wytężoną energią swych serc niezłomnych, odrodzoną jako duchowa siła chrześcijańska, uniesieniem entuzyazmu miłosnego pozdrawiali pielgrzymi, ze wszystkich stron świata ciągnący do stolicy Piotrowej, podniesioną do apoteozy w dwoistej potędze cesarskiego i papieskiego majestatu umiłował, uwielbił, wysławił największy w poezyi wszechświatowej rzecznik duszy chrześcijańskiej, Dante.

Siła rzymska w myśli Dantego to najwyższy objaw zrządzeń Bożych w dziejach świata — Rzym to wyroczna po wsze wieki stolica ludzkości. Myśl ta, rozwinięta teoretycznie w łacińskim traktacie o monarchii, wspaniale zobrazowana w „Boskiej Komedyi," stanowi podstawę politycznych i społecznych przekonań poety, a wysnuta została z najistotniejszych dążeń ideowych epoki średniowiecznej, można nawet rzec całej epoki chrześcijańsko-nowożytnej. Święte cesarstwo rzymskie, zjednoczenie świata chrześcijańskiego pod świecką władzą cesarza i duchowną papieża!— wysoka idea, najwyższa pono, najpiękniejsza ze wszystkich, jakiemi zakwitła myśl nowoczesnego człowieczeństwa.

Dzisiaj zdaje się ona należeć już do przeszłości, na wieki zda się pogrzebioną na ideowem cmentarzysku historyi. Ale czy tak jest istotnie, czy nic z niej nie pozostało w obecnej naszej ideologii społeczno-politycznej, w biorących z niej początek prądach myśli, uczuć, pragnień? A skądże rodem marzenia o powszechnem rozbrojeniu, o wiecznym pokoju, o zjednoczonych stanach Europy, o socyalistycznem państwie przyszłości?... Jeśli nie wprost wywodzą się one od świętego cesarstwa rzymskiego, to niewątpliwie pozostają z niem w pewnem pokrewieństwie ideowem. Czemże ono było, jeśli nie marzeniem o powszechnem braterstwie, a nawet o powszechnej wolności i równości w świecie chrześcijańskim?—marzeniem zapewne *nieziszczalnem* w rzeczywistości naszego bytu, ale też pono *niezniszczalnem* w pragnieniach naszych serc i dusz, odradzającem się w nich wciąż jako jeden z objawów naszej kultury duchowej, chrześcijańskiej ostatecznie u swych źródeł, jeśli nie w swym obecnym rozwoju.

Różne ów objaw w kolei czasu przybiera postacie, często, za dni naszych najczęściej, tak dalekie od chrześcijaństwa lub zgoła całkiem obce mu i wrogie. W średnich wiekach idea braterskiego zjednoczenia ludzkości czyż mogła być inną jak chrześcijańsko-religijną a cesarsko-rzymską w swej zewnętrznej formie politycznej? Toż chrześcijaństwo stanowiło naówczas główny i najwyższy ton serc ludzkich, a rzymskość w swej ostatniej imperyalistycznej postaci tak była przytomna myśli i pamięci ówczesnych ludzi, w takich jaśniała im blaskach kultury po przez mroki początkowej barbaryi średniowiecznej! Zresztą nie trzeba zapominać, że widniała ona im też stale w organizacyi kościoła katolickiego, we wszechświatowem jego znaczeniu i odżywała wciąż w światowładczych uroszczeniach różnych mocarzy, poczytujących się za spadkobierców cesarskiej Romy.

Jak zawsze, rzeczywistość o tysiące mil była od ideału. Wszelkie realne zjednoczenia religijne i polityczne, jakie usiłowali przeprowadzać średniowieczni papieże i cesarze, odmiennie wyglądały od pięknych snów, co się roiły w głowach entuzyastów idealnej Romy cesarskiej i papieskiej, świętego przybytku pokoju, braterstwa, miłości. Zresztą same owe sny, sam ów wzniosły ideał rzymski niejasno, mętnie zazwyczaj, czasem zgoła krzywo, przewrotnie zarysowywał się w umysłach ciemnych, mało wyrobionych, co tylko wyszłych lub zaledwie wychodzących z mroków pierwotnego barbarzyństwa. Nieliczne tylko umysły wyższe lub genialne zdolne były ogarnąć go w całej ideowej jego treści i duchowej mocy. Czyż potrzeba dowodzić, że naczelne między nimi miejsce zajmował umysł Dantego, że w jego sercu, w jego duszy rzymski ideał średniowiecza chrześcijańskiego najwspanialsze, najczystsze osiągnął odbicie?

Było to pierwsze odbicie, sięgające poza widnokręgi średniowiecznego światopoglądu a ostatnie przeniknięte żywiołową mocą średniowiecznej wiary. Snadź silnie, głęboko wierzył poeta w opatrznościowe posłannictwo cesarskiej Romy, skoro tak ją wywyższył, uświęcił w swej „Komedyi," a tak strasznie poniżył jej wrogów. Oto w ostatniej pieśni Piekła pomieszcza Brutusa i Kasyusza, zabójców Cezara, na równi z Judaszem w paszczęce samego Lucyfera. Uśmiercenie zdradzieckie założyciela cesarstwa rzymskiego wydało mu się nie mniejszą zbrodnią, jak zdradzieckie wydanie na śmierć boskiego założyciela chrześcijaństwa. A w 19-ej pieśni Raju zjawia mu się orzeł cesarski w najwyższej chwale niebios wysławiany, jako symbol doskonałej sprawiedliwości.[1])

Szlachetni bohaterowie republiki potępieńcami — drapieżny ptak rzymski uosobieniem sprawiedliwości! Dziwne zestawienia, dziwnymi rozdźwiękami brzmiące w uszach człowieka nowoczesnego. Ale, dobrze zważywszy, czyż nie usprawiedliwione ze stanowiska średniowiecznego poety. Rzym był mu mytem raczej, aniżeli historyą, krytyka nie tknęła jeszcze jego sądów o przeszłości. Co za dziw, że ta ostatnia przemawiała doń nie rzeczy-

[1]) Per esser giusto e pio
Son io qui esaltato a quelle gloria
Che non si lascia vincere a disio
Ed in terra lasciai la mia memoria
Si fatta che le genti li malvage
Commendan lei ma non sequan la storia.
Paradiso XIX, 13—18.

wistością, którą żyła, ale ideałami, którymi żyć mogła — co za dziw, że całą swą wiarą i całą miłością przylgnął do ideału siły rzymskiej, utożsamiającej mu się z wzniesioną ponad wszelkie słabości rzymską cnotą. To też ostateczne jej wcielenie pod postacią cesarstwa rzymskiego, sięgającego tradycyami i instytucyami swemi w czasy chrześcijańskie, uwielbił i wysławił jako istotny wyraz opatrznościowego jej posłannictwa, potępił zaś z całą bezwzględnością ludzi, co przez zabójstwo głównego jej działacza, Cezara, stali się zdrajcami świętej sprawy i dziejowego jej dopełnienia. W tym duchu już Michał Anioł w swym komentarzu do Piekła starał się usprawiedliwić krzywdę, wyrządzoną przez Dantego szlachetnym cieniom Brutusa i Kasyusza.

Jeżeli ludziom odrodzenia dziwną się zdała ta wygórowana cześć poety dla cesarskiej Romy, to cóż dopiero nam, obznajmionym tak dokładnie przez nowszą historyę krytyczną z potwornemi jej zbrodniami i okropnym upadkiem. A jednak jest w tych ideach poety nietylko wyłączność średniowiecznego, przeżytego stanowiska, lecz także jakby przeczucie i zwiastowanie jakiejś bardzo nowoczesnej i dziś jeszcze w daleką przyszłość zwróconej dążności.

Zapomnijmy przedewszystkiem o historycznej stronie doktryny dantejskiej, dziś oczywiście pozbawionej wszelkiego uzasadnienia, weźmy czysto ideową jej stronę: tkwiący w niej ideał społecznej i religijnej organizacyi człowieczeństwa. Rzymskie cesarstwo, jak je sobie wyidealizował twórca „Boskiej Komedyi," jest niewątpliwie mytem, ale jednym z tych mytów, które socyolog współczesny, Jerzy Sorel (a przedtem jeszcze Ryszard Wagner), uznał za pełne żywotnego znaczenia skrystalizowanie najwyższych w danym momencie postulatów rozwoju społecznego. Chodzi nie o to, czem była w przeszłości wysławiana przez Dantego monarchia rzymska, lecz o to, czem stać się ma wymarzona przezeń z jej idealizacyi wszechświatowa monarchia przyszłości. Jest to zapewne li-tylko piękny myt-marzenie, ale patrzmy, jak wiele zawiera on w sobie realnych, po części nawet zrealizowanych historycznie pragnień, jak wiele w nim podniosłej ideologii, wysnutej z najżywotniejszych dążeń ducha nowoczesnego! W epoce przemocy panów feudalnych i teokratycznych uroszczeń papiestwa ten ideał państwowości rzymskiej, jako najwyższej legalnej władzy w zorganizowanem cywilizacyjnie społeczeństwie ludzkiem, jakżeż to śmiały, wyraźnie zaznaczony rzut nowoczesnej myśli politycznej. Państwo, jako naczelne przedstawicielstwo interesów, potrzeb i zadań życiowych: pomysł daleko sięgający poza stosunki ustroju

średniowiecznego a zbliżony do dzisiejszych naszych stosunków społecznych. Z drugiej strony przecież jakże im obcy, w jak odległą przyszłość wybiegły wyższą idealną swą treścią. Dantejska teorya monarchiczna nic niema wspólnego z dzisiejszym zachłannym absolutyzmem państwowym i z żarłocznym międzypaństwowym i międzynarodowym kanibalizmem. Ten ostatni wyłączony już jest przez ideę jednej jedynej monarchii powszechnej, mającej ogarniać w sobie całą ludzkość, wzniesionej przeto ponad wszelkie współzawodnictwa i walki wzajemne narodów, plemion, rządów— tamten uniemożliwiony byłby przez ograniczający wpływ władzy papieskiej, w swoim zakresie zupełnie samoistnej, niepodległej, mającej stać niewzruszenie na straży duchowych skarbów ludzkości wobec wszelkich możliwych zamachów przekraczającej swe prawa władzy cesarskiej.

Równoległe współdziałanie obu tych władz przy zupełnym ich rozdziale i zupełnej niezawisłości wzajemnej: oto główna zasada politycznej teoryi Dantego, głoszona wielokrotnie tak w wywodach racyonalnych traktatu o monarchii, jak i w obrazowaniu poetyckiem „Boskiej Komedyi“:

> Ten, co ku dobru ród ludzki wieść jest wezwany,
> Dwa Słońca Rzym ma, oświecające dwie drogi:
> Do Boga jedna, druga prowadzi do świata.[1])

Tak brzmi jedno z najdobitniejszych orzeczeń powyższej zasady. Dwa słońca, nie słońce i księżyc, jak niektórzy określali wzajemny stosunek władzy papieskiej i cesarskiej, stwierdzając zależność drugiej od pierwszej. Dwa słońca, czyli równorzędne światłe przewodnictwo na drogach ludzkości, jako istotne zadanie obu władz. Cała doktryna dantejska streszcza się w tem zestawieniu,—doktryna wielkiej jasności, w swem ścisłem sformułowaniu i niewzruszonej konsekwencyi, niewątpliwie jeden z najdoskonalszych wytworów umysłowości latyńskiej, a w swem wysławieniu Rzymu, jako opatrznościowego ogniska najwyższej w świecie materyalnej i duchowej siły człowieczeństwa, główny, najwspanialszy objaw umiłowania świętej, wieczystej stolicy plemienia

[1]) Soleva Roma, che il buon mondo feo
Due Soli aver, che l'una e l'altra strada
Facean vedere, e del mondo, e di Deo.
(Purgatorio XVI, 106—108).

latyńskiego, w której geniusz plemienny wszechludzką wzbił się mocą i wszechświatowym zajaśniał blaskiem.

Wielkie imię: Roma nigdzie nie brzmi z większą siłą, jak w spiżowych tercynach pieśni dantejskiej i nigdzie nie odbrzmiewa mu potężniej ukryte w niem i w szlachetnem sercu poety imię: amor—miłość wszelkich rzeczy górnych i głębokich, wszelkich najwyższych potęg bytu.

...Amor che muove il sole e l'altre stelle—

...Miłość, co porusza słońce i inne gwiazdy—

jak głosi ostatni wiersz „Boskiej Komedyi."

II.

Jakże brzmi w naszych nowoczesnych sercach to dwoiste miano: Roma—amor? jakże my odczuwamy miłość dla rzymskiej siły — duchowej i materyalnej siły, zaklętej w rzymskich pomnikach i rzymskich ruinach?

Jeśli *my* ma oznaczać ogół dzisiejszych turystów, komiwojażerów kultury, ogół światowców kulturalnych i — wyrzeczmy brzydkie, ale prawdziwe słowo Fryderyka Nietzschego—kulturalnych filistrów, to, zaiste, ci niezbyt skłonni do miłowania rzeczy silnych, wielkich, wzniosłych, przekładają w swych sercach rzeczy małe, poziome, duchowo bezsilne, a umieją też przedziwnie zniżyć do swej miłości, przystosować do swych upodobań niekiedy nawet największe rzeczy, najwznioślejsze sprawy.

Dowodem Rzym współczesny.

Hipolit Taine niegdyś w przystępie złego humoru, który nieraz go pono nawiedzał podczas pobytu nad Tybrem, powiedział, że Rzym to ostatecznie nie co innego, tylko jeden wielki magazyn starzyzny. Od bytności Taine'a zmieniło się nie mało w stolicy papieskiej, która tymczasem stała się stolicą zjednoczonej Italii. Nowych rzeczy, nowych ludzi, nowych stosunków przybyło w niej dużo, ale starzyzna pozostała, a nawet wzrosła w liczbie, szczególnie podrabiana, tandetna starzyzna, aż nadto wystarczająca dla zaspokojenia wyszukanych, ale niewybrednych gustów napływającej zewsząd do wiecznego miasta rzeszy turystycznej.

Owóż pytanie: co należy tu rozumieć przez starzyznę?

Oczywiście zowiemy tak wszelkie rzeczy stare, dla których nie mamy ani czci, ani miłości. Jest to więc krańcowe przeciwieństwo czcigodnej starożytności, umiłowanej tęsknotą wspomnień serdecznych dawności. Skoro ta lub tamta takich wyższych uczuć w danem sercu ludzkiem niezdolna jest obudzić, starzyzną staje się dla niego, choćby nią nie była dla innych serc ludzkich. Oto rzeczywisty stosunek do pomników i zabytków rzymskich wielu, bardzo wielu wytrzeszczających na nią oczy wszechświatowych gapiów-turystów. Starzyzna, ale starzyzna osobliwa, jedyna w swoim rodzaju, od wieków wzbudzająca podziw i zachwyt ludzki. Zachwycajmyż się i my, „hipogryfując na wykrzykniku," jak mówi Słowacki, roniąc łzy rozczulenia na widok ukazującej się zdala kopuły św. Piotra, rozpływając się w marzeniach podczas nocy księżycowej wśród murów Kolizeum.

„Od czasów niepamiętnych—mówi Stendhal—jest zwyczajem ludzi przesadzonych odczuwać wzruszenie w chwili przybycia do Rzymu."

Znamienity sceptyk z właściwą sobie nieufnością patrzał na różne rozczulenia rzymskie, chociaż sam niekiedy im ulegał. W każdym razie trafnie pochwycił zdarzające się w nich aż nadto często tony nieszczerości, powierzchownych przyzwyczajeń lub bezwiednego komedyanctwa. W ciągu stu lat od czasów Stendhala tony owe nie zmilkły, lecz owszem wzmogły się liczebnie wraz ze wzmagającym się wciąż napływem rzesz turystycznych do wiecznego miasta. Czoło jej stanowią po dawnemu mniej lub więcej kulturalni światowcy, szukający nad Tybrem, jak wszędzie, nowych podniet i sposobów używania, nowego środowiska towarzyskiej zabawy i towarzyskiej nudy.

Był czas, około połowy zeszłego wieku, kiedy Rzym miał dla tych sfer znaczenie zimowego salonu Europy. W listach Krasińskiego, w „Niepoprawnych" Słowackiego znajdujemy między innymi odbicie tych stosunków. Odtąd zmieniły się one dość znacznie. Dziś Europa wielkoświatowa nowy sobie wytworzyła salon na francuskiej Rivierze: w salonach montekarlowskiego kasyna, na nicejskich bulwarach! Szanujący się wykwintniś jedzie dziś do Rzymu z Riviery dla dokończenia sezonu, dla urozmaicenia wrażeń: od ruletkowych stołów na obrzędy wielkotygodniowe u św. Piotra — kontrast tem pożądańszy, im skuteczniej zdolny podniecać stępione od nadmiaru używania nerwy. I wszelkie wogóle wrażenia, wzruszenia i rozczulenia rzymskie znaczne w tym kierunku oddać mogą usługi. A przytem to malownicze, osobliwe, jedyne w swoim rodzaju tło miasta wiecznego, ta wspa-

niała dekoracya wiekopomnych pomników i ruin!—jakże to wszystko pożądane i potrzebne szczęśliwym wybrańcom losu, którzy świat cały uczynili sobie różnobarwnem tłem swych używań i przesytów, różnokształtną dekoracyą swych zabaw, uciech i nudów. Wszechświatowa widownia dziejowej tragedyi ludzkości staje się burżetowskiem „Cosmopolis“ [1]), widownią pustej tragikomedyi, rozgrywającej się w różnoplemiennem środowisku wielkoświatowych zbytków, intryg i—amorów.

Czy nie istna parodya zamkniętego w nazwie Roma imienia amor? Nie miłość rzeczy silnych i wielkich tą nazwą objętych, lecz miłostki, kręcące się w zaklętem kole małostek i słabostek: oto co jedynie zdołał wydobyć w środowisku rzymskiem z serc kulturalnych światowców uprzywilejowany ich znawca, badacz i malarz.

Co budzi się pod działaniem tegoż środowiska w sercu drugiego z rzędu przedstawiciela napływającej do Rzymu fali turystycznej, w sercu kulturalnego filistra, odkrytego w życiu współczesnem przez autora Zaratustry?

Wraz z rozwojem i ułatwieniem środków komunikacyi, oraz z rozkwitem zamożności mieszczaństwa, szczególnie mieszczaństwa niemieckiego, ten prawowity syn jego coraz częściej i w coraz większej liczbie zjawia się na wszystkich głównych drogach i we wszystkich wielkich centrach turystyki wszechświatowej i zwiedza, ogląda, rozpatruje wszystko, co tylko jest do widzenia w muzeach, galeryach i zbiorach całego świata cywilizowanego.

Jakżeby go miało braknąć w Rzymie, największym zbiorniku zabytków i pomników wszechludzkiej kultury. Jakoż pełno go tam wszędzie, pełno jego ciekawości, podziwu, wykrzykników, czy i miłości jego, miłości dla przedziwnego miasta, w którem dwukrotnie w ciągu dziejów uderzało serce człowieczeństwa?

Tutaj zarysowuje się wielki znak zapytania, można rzec nawet znak przeczenia. Naprzód filister kulturalny z natury swojej, ze swego charakteru filisterskiego nie jest wcale skłonny do miłowania rzeczy tak wielkich i górnych, jak te, co w imieniu Roma zostały zaklęte. A następnie—i to jest wzgląd główny—czyż turysta-zwiedzacz może być rozmiłowanym w celu swej wędrówki pielgrzymem? Sądzę, że dwa te charaktery wyłączają się nawzajem. Turysta może mieć zamiłowanie do swej turystyki, do wra-

[1]) Słynny romans Pawła Bourget'a p. t. „Cosmopolis,“ osnuty na tle życiowem zgromadzonego w Rzymie kosmopolitycznego towarzystwa.

żeń, jakie mu ona nastręcza, do miejsc, przedmiotów, zbiorów, jakie przez nią poznaje, ale wyłącznego umiłowania miejsca, miasta, do którego zdąża, które za cel podróży sobie obrał, mieć nigdy nie będzie i nie będzie narażał się na trudy lub niebezpieczeństwa, by cel ten osiągnąć, by dojść do upragnionego kresu. Dajcie mu wygodę, dajcie komfort, bez tego wogóle niezwykł puszczać się w drogę, ani rozczulać się nad spotykanymi po drodze cudami przyrody i sztuki.

Nie myślę tutaj krytykować, ganić kogobądź. Nie krytykuję, lecz stwierdzam i zaznaczam różnicę, zachodzącą między dawniejszym a obecnym zwiedzaczem Rzymu, między dawniejszym pielgrzymem a dzisiejszym turystą. Ten ostatni nieskończenie oczywiście kulturalniejszy od tamtego, nierównie więcej od niego wie o Rzymie, więcej widzi w nim z rzeczy godnych widzenia, więcej poznaje z tego, co jest do poznania; ale czy tamten nie więcej czuł, nie goręcej miłował tych rzeczy silnych i górnych, które od wieków poruszały serca ludzkie w nadtybrowym grodzie, które promieniowały z niego dokoła na świat daleki blaskiem wielkości i chwały? Szedł on, ten pielgrzym pobożny, do świętego miasta pomodlić się u grobu apostoła, pokłonić się jego następcy na stolicy świętej, oczyścić z grzechów duszę, umocnić ją w cnocie i wierze—i w tym swoim nastroju duchowym, przez te wierzenia, któremi go pobudzał i umacniał, wchodził niejako w bezpośrednią łączność z religijną duszą miasta, odczuwał bijące w niem od wieków serce świata chrześcijańskiego. Ten stosunek mniej lub więcej świadomy, czasem zupełnie bezwiedny, zawsze jednak był czemś żywem, realnem, zadzierzgającem poprzez liczne stulecia i rozległe przestwory węzły zbiorowego życia religijnego w świecie chrześcijańskim. Trzeba było i dziś trzeba jeszcze niezliczonych takiego pielgrzymstwa zastępów, choćby mało uświadomionych lub zgoła ciemnych, byle w masie swej jednolitą wolą dobrą przejętych, aby Rzym, jako główne ognisko chrześcijaństwa utrzymał się niezmiennie na stanowisku jedynej stolicy ludzkości—i to nietylko Rzym papieski, ale i dawny cesarski Rzym w papiestwie wciąż się odradzający.

Jakiż jest stosunek do tego i tamtego nowoczesnych turystów, zawodowych zwiedzaczy, rozgapionych po wszystkich muzeach, galeryach i kościołach rzymskich?

Jak już wspomniałem, wiedzą oni i widzą tysiąc razy więcej od swych poprzedników w wędrówce. Znają dzieje, znają z nich dawnych ludzi, dawne fakty i stosunki, uprzytomniają sobie minione wieki, ich życie i kulturę w pomnikach i zabytkach muzeal-

nych, wyliczonych systematycznie w różnych Bedeckerach i Murayach, objaśnianych umiejętnie przez niezliczonych przewodników i profesorów, zawsze gotowych do usług turystycznej klienteli. Zdawałoby się, że w tych warunkach można dokładnie poznać miasto, przeniknąć je na wskroś w jego życiu dziejowem i znaczeniu cywilizacyjnem. A jednak...

Czy nie prawdziwie mówi Goethe w „Fauście“?

> Kto coś żywego chce rozpoznać i opisać,
> Naprzód ducha wypędzić słusznem mu się zdaje.
> Wszystkie części posiada, mocno w dłoni trzyma,
> Niestety, duchowego węzła mu nie staje.

Tym duchowym węzłem, łączącym w jedną żywą całość rozproszone po muzeach i kościołach muzealnych części starej Romy, jest pono to coś, co odbrzmiewało żywym, choć może czasem i zupełnie bezwiednym tonom w duszach dawnych pielgrzymów rzymskich, a co zupełnie pono obce jest dzisiejszym rzymskim turystom. Wszystkie części trzymają w swych dłoniach, rozpatrują, rozpoznają starannie—Fehlt, leider, nur das geistige Band.

Żadnemu chemikowi nie udało się dotąd utworzyć z martwych elementów najdrobniejszej choćby okruszyny żywego jestestwa; — jakże chcecie, aby z martwych elementów muzealnych mogła powstać w duszach rozmuzeowanych ludzi współczesnych kolosalna całość żyjącego Rzymu, żywej rzymskiej siły, żywego ducha rzymskiego. Daremnieby szukać czegoś podobnego w tych nie na modlitwę, ale na gapia nastrojonych turystycznych duszach. A gdzie niema odczucia życia, tam i miłość nie może być odczuta. Nic tam *amor* nie ma do czynienia, co najwyżej jakieś *amatorstwo* się rozpościera. W danym razie amatorstwo rzymskich osobliwości, nie miłość rzymskiej mocy.

Z takiego punktu widzenia Rzym nie czem innem jest, tylko jednem wielkiem muzeum starożytności, albo zgoła jednym wielkim magazynem starzyzny. To, co u Taine'a było wybrykiem humoru czy kaprysu, bywa niewątpliwie stałym, normalnym rysem wielu współczesnych zamiłowań, nie umiłowań rzymskich. Wszakże można mieć zamiłowanie do wielu rzeczy wcale nie wysokiego poziomu, dlaczegoby go nie mieć do rzymskiej starzyzny? Niewinna sobie pasyjka, jak wiele innych, która do niczego nie obowiązuje i nikomu nie zawadza, a najmniej temu, co nią obdarzony, tyle się o nią tylko troszczy, ile znajduje w niej przyjemnej rozrywki i miłej podniety wrażeń.

Jesteśmy tu na stanowisku krańcowo przeciwstawnem entuzyastycznej czci i miłości dla wiecznego i świętego miasta, uczuć, jakiemi przeniknięty musiał być Dante, gdy, rozmyślając o wyrocznem jego posłannictwie, po raz pierwszy w mury jego wstępował, jakie czytał na twarzach niezliczonych pielgrzymów, co w jubileuszowym 1300 r. ze wszystkich stron świata doń podążali.

Nie mówię, że jest to stanowisko wyłączne lub choćby powszechne w dobie obecnej, utrzymuję tylko, że jest ono charakterystyczne dla licznych rzesz turystycznych, nawiedzających Rzym współczesny. A czyż każdy za dni naszych z mieszczańskich, czy arystokratycznych sfer kulturalny gość Rzymu nieodzownie typowym ma być turystą? Mickiewicz powiedział, że można chodzić we fraku i należeć do ludu — podobnie powiem, że można mieć wszelkie zewnętrzne pozory turysty, a jednak nie jako turysta z turystycznem amatorstwem, lecz jako pielgrzym z pielgrzymim pietyzmem witać święte mury Rzymu, czcić wiekopomne jego zabytki. Wszystko tu zależy nie od stroju i wyglądu, lecz od serca i duszy.

Zobaczmy, jak te w głębszem szczeroludzkiem poruszeniu zdolne są odczuwać działanie siły rzymskiej i umiłować żywą jej prawdę, w znacznej części, niestety, na martwe, muzealne rozbitą elementy.

III.

Są tedy ludzie, dla których Rzym jest li-tylko *użyciem*, jak inne użycia mniej lub więcej przyjemnem, mniej lub więcej żywo odczutem; są jednak i tacy, dla których bywa on też *przeżyciem*, mniej lub więcej głębokiem przeżyciem, podnoszącem i wzbogacającem duszę.

Są to przedewszystkiem ci, co szczerze religijnym ożywieni duchem, z uczuciem wiary, czci i miłości po staremu zdążają do stolicy świętej, *ad limina apostolorum*. Naiwne, proste, często zgoła prostackie dusze, mało rozwinięte, słabo wyrobione, ot, zwyczajni pielgrzymi z niższych klas społecznych, co tłumnie, wielkiemi partyami pod przewodnictwem księży przybywają do Rzymu, modlą się u grobu apostoła, obchodzą pobożnie siedem uprzywilejowanych bazylik, zwiedzają inne kościoły, o ile czasu i sił im starczy i powracają do miast, krajów rodzinnych z poczuciem spełnionego obowiązku religijnego, niewiele zdając sobie

sprawy z tych wrażeń, jakich poza jego obrębem doznali lub doznać mogli w odwiecznej stolicy świata.

Rzymskie ich przeżycia różne mogą mieć znaczenie, różny stopień siły, zależnie od indywidualnych usposobień duchowych, trudno jednak przypuścić, aby się zbliżały do tych potężnych wstrząśnień wewnętrznych, jakie przed wiekami w stolicy apostolskiej stawały się udziałem dusz ludzkich, rozkwitłych w atmosferze przemożnie władnącej światem wiary. Naówczas w entuzyazmie religijnym skupiały się wszystkie nieomal wyższe siły psychiczne chrześcijańskiej ludzkości — dzisiaj jakże się one rozproszyły na różne dziedziny życia duchowego, jak nieznaczna stosunkowo ilość dusz wyżej rozwiniętych w religii znajduje jedyne lub choćby główne ujście dla swych ponad powszedniość wzniesionych uczuć, pragnień i dążeń. Wobec tego, rzymskie przeżycia dusz, nawet szczerze i głęboko religijnych, o wiele mniej są dziś jednolite, nierównie zawilszy muszą mieć przebieg. Wchodzą tu w grę wspomnienia dziejowe, wrażenia artystyczne, przeróżne refleksye życiowe: tysiączne, jednem słowem, myśli i uczucia, jakie w każdym człowieku kulturalnym nieodzownie wzbudzać musi oddziaływanie takiego, jak Rzym, wszechświatowego ogniska kultury. Niełatwe to zadanie dojść do ładu z całym tym chaosem wrażeń, wzruszeń, idei, zdać sobie sprawę z ogółu swych rzymskich przeżyć. Mówię oczywiście o tych, co Rzym naprawdę przeżywają, a nie używają go tylko, i co go przeżywają w całości jego różnorodnych oddziaływań religijnych, artystycznych, dziejowych, ogólno-kulturalnych, nie zaś w jednej tylko stronie, w jednej dziedzinie jego olbrzymich bogactw cywilizacyjnych.

Dodać tu jeszcze trzeba, jako warunek utrudniający w dość znacznym stopniu pełnię przeżycia, zaznaczony powyżej rozkład żywej całości rzymskiej na martwe elementy muzealne. Gdybyż te ustawione w bezduszne szeregi po muzeach dzieła sztuki i zabytki historyczne można widzieć na miejscach pierwotnych ich przeznaczeń, w otoczeniu, dla jakiego były stworzone, w nastroju, jaki miały wzbudzać — gdybyż te czcigodne, starodawne kościoły napełnione były atmosferą wiary, wzbijającą się z tysiąców żywych serc ludzkich, nie zaś stęchlizną tak zda się nikomu na nic niepotrzebnej starzyzny! Jakżeby inaczej można odczuwać wtedy żywe życiotwórcze działanie rzymskiej mocy, o ileżby wyraźniej przemówiła w sercach naszych budząca się pod tem działaniem potęga rzymskiej miłości.

Niestety, węzła duchowego tu nie staje — raz jeszcze pozwolę sobie powtórzyć głębokomyślne słowa Goethego — węzła, za-

dzierzgniętego przez życie, przez śmierć wciąż rozwiązywanego. Gdzie rzucić okiem na klasycznych wzgórzach nadtybrowych, wszędzie widać koniec jego na cztery wiatry rozwiany. Tyle tu rzeczy martwych lub zamierających, takie na każdym kroku *disjecta membra*, rozrzucone członki pięknie ongi uczłonkowanych i żywych całokształtów, iż możnaby wnosić o przemożnej dziś w tej bujnej ongi dziedzinie życia gospodarce śmierci. Wniosek byłby mylny i bywa faktycznie mylny u wielu nazbyt pochopnych grabarzy Rzymu. Trzeba mieć tylko oczy ku patrzeniu, aby na starej glebie dopatrzyć się pędów nowego życia, aby ujrzeć Rzym nowy, powstający na ruinach i wśród ruin starego. Nowy świt...

Nie powtórzę tu z naszym „poetą ruin“: „Ale mnie już nic do niego.“ Owszem, bardzo i bardzo mi do niego. Z największem zajęciem gotów jestem wpatrywać się w budzące się jego brzaski i blaski i nieraz jeszcze w następstwie do nich powrócę. Tymczasem jednak zamknijmy na nie oczy, byśmy tem lepiej widzieć mogli zorze dawnych zachodów, gasnącymi promieniami swymi grające na strunach naszych dusz pieśni tylokrotnie ośpiewane, a zawsze jakby świeże, zawsze chętnie słuchane przez tych, co wrażliwi są na wiekowe melodye i harmonie ludzkości.

Co zamiera w życiu, niech odżyje w pieśni, nietylko w brzmiącej pieśni poety, ale też w cichej, bez słów pieśni, co zakwita nieraz najcudniejszemi melodyami w ciszy i milczeniu skupionych w sobie dusz ludzkich. Gdzie, jak gdzie, a w Rzymie, wobec bijących tu na nas zewsząd harmonii wieków, skupienie i milczenie wewnętrzne jest naturalnym, nieodzownym prawie stanem dusz mających się w czem skupiać, o czem przemilczeć. Wtedy odwieczna pieśń życia tych miejsc tysiąckrotnie uświęconych zaczyna pobrzmiewać i wzmaga się, rośnie do wysokości najgórniejszych tonów, najpotężniejszych akordów niemilknącej nigdy wszechmuzyki ludzkiego istnienia.

Prawdziwie jest coś muzykalnego w oddziaływaniu Rzymu na natury żywszą w tym względzie obdarzone wrażliwością. Może to zależy od bogactwa różnorodnych oddźwięków, jakie budzą w nas tu niezliczone głosy, dochodzące nas z przestworzy tylu wieków, tylu ludów. Wskutek wielkiego ich natłoku nie zawsze mogą one uświadamiać się nam oddzielnie, łączą się tedy w rozmaite współbrzmienia, mniej lub więcej harmonijne, z czego powstają ogólne, jakby muzyczne stany i nastroje o bardzo różnych tonacyach i barwach dźwiękowych. Realne, z zewnątrz oddziaływające wrażenia muzyczne, jakich w Rzymie nigdy nie braku-

je, przyczyniają się też w swojej mierze do spotęgowania tej wewnętrznej gry idei i uczuć.

Było to w samo święto Wielkiejnocy. Miałem niezwykłe tymi czasy szczęście wysłuchania mszy, odprawionej, jak zwykle, bardzo wczesnym rankiem w kaplicy sykstyńskiej przez Piusa X z towarzyszeniem przepięknych chórów, prowadzonych przez znamienitego ich kierownika i odnowiciela ks. Perosiego. Przed godziną 9-ą nabożeństwo było już skończone. Mogłem wyjść na Pincio i napawać się cudnym, słonecznym rozbłyskiem dnia wiosennego. W powietrzu spokój ogromny. Gwarny zwykle i rojny od ludzi ogród o tej godzinie zupełnie pusty i cichy. Mgły poranne unoszą się jeszcze ponad miastem, jak na dłoni widnem z tej wyniosłości — falują pomiędzy wierzchołkami drzew przyległego parku Borghese, gęściejszem pasmem snują się ponad krętem łożyskiem Tybru i fantastycznymi festonami obwieszają stoki widniejącej zdala monte Mario. Ale już słońce wybija się ponad mgły, prześwieca je swymi promieniami, złoci wyłaniające się tu i owdzie z mglistego morza kopuły kościołów. Powstaje przecudna gra świateł i cieniów, istna symfonia słoneczna, rozwijająca się we współbrzmieniu z heroiczną symfonią świętych murów rzymskich.

Nagle z zamglonego jeszcze w części przestworza dochodzi mię nieskończenie poważny, uroczysty i pełny dźwięk. To dzwon św. Piotra, głoszący z przedziwną mocą chwałę Zmartwychwstania Pańskiego. Wnet odzywają się dzwony innych kościołów, coraz liczniejsze, w coraz bogatszych harmoniach; cała orkiestra dzwonów brzmi, gra ponad miastem potężnymi akordami. A z głębi tej dzwonnej harmonii, jako jej ton zasadniczy, podstawa, motyw przewodni, wciąż dochodzi mię równy, miarowy, nieskończenie pełny, poważny, uroczysty dźwięk, brzmiący w kopule bazyliki piotrowej. Tymczasem słońce zwyciężyło ostatecznie mgły, rozbłysło pełnym blaskiem, zalało nim cały dookoła przestwór. Wystąpiły na jaw świątynie, gmachy, pałace—zabielały zdala marmurowe wille na szczycie monte Mario, zamajaczył wśród błękitów na janikolskiem wzgórzu majestatyczny konny posąg Garibaldiego. A dzwony grały wciąż swą tryumfalną pieśń Zmartwychwstania; a kopuła piotrowa podawała wciąż ton zasadniczy tej rozśpiewanej w słońcu i błękicie modlitewnej symfonii wieków. A w duszy mej w ideowem współbrzmieniu z tą przedziwną harmonią świateł i dźwięków odżył na nowo obraz papieskiego nabożeństwa w Sykstynie. Wszakże to także zasadniczy, nieskończenie głęboki, pełny, uroczysty ton rozbrzmiewającej na świat

cały symfonii czci bożej — ów biały starzec, następca piotrowy, w ciszy i skupieniu dusz, z arcykapłańskiem namaszczeniem odprawiający święte obrzędy przy dźwiękach tych cudnych, jakby z głębi wieków płynących śpiewów religijnych, wśród tych murów czcigodnych, zdobnych bezcennymi tworami religijnej sztuki, pod słynnym plafonem Michała Anioła, z którego cały bezmiar jego geniuszu przemawia kształtami i barwami istnej epopei religijnej człowieczeństwa.

Oto jeden fragment czy jedna strofa owej odwiecznej pieśni Rzymu, rozśpiewanej tysiącznymi głosami natury, sztuki, wiary, historyi i odbrzmiewających im głębin dusz naszych. Dźwięki dzwonów rzymskich należą niewątpliwie do najsilniej działających zewnętrznych jej motywów. Przychodzi mi na pamięć dwukrotne jeszcze wrażenie nader suggestyjnego ich oddziaływania.

W jaskrawo rozsłonecznione południe znalazłem się wśród olbrzymich zwalisk termów Karakali. Jedna z najogromniejszych ruin w świecie—ruina kolosalnego zbytku panów świata, bezmiernego kultu ciała i materyalnego użycia wszechświatowych rozkosznisiów. Dziś jeszcze wskazują i nazywają poszczególne części gmachu: caldarium, brigidarium, sale do gimnastyki, gier, wykładów publicznych, ogrody, portyki, galerye. Ale całość—bezkształtny ogrom. Trawą porasta tam, gdzie rozpościerały się przepyszne posadzki mozaikowe;[1]) tu i owdzie ułomki marmurowych kolumn i posągów, gdzieniegdzie dziury lub zagłębienia w ziemi, jedyne ślady kunsztownych, drogocennymi marmurami wykładanych wanien i basenów kąpielowych. Wyniosłe, potężne, fantastycznie poszczerbione złomy murów ogromne rzucają cienie, odrzynające się wyraźnie swą gęstą, posępną czarnością w żywych blaskach południowego słońca. Jakaś ponura, obca, niesamowita groza w tym zamęcie ruin, świateł i mroków. Nagle zabrzmiały dzwony w południowej godzinie — cały chór dzwonów, naprzód w kilku poblizkich, następnie w coraz dalszych kościołach — zabrzmiały dziwnie miłą, swojską harmonią, przywodzącą na pamięć tyle myśli, tyle uczuć różnymi czasy przedumanych, przeżytych. Harmonia wiekuistej chwały bożej ponad ruinami pychy człowieka—oto myśl, jaką mi nasuwa ten w blaskach południa rozdźwięczony akord dwóch tak różnych motywów odwiecznej pieśni Rzymu.

---

[1]) W znacznej części przeniesione do muzeum willi Borghese, dziś rządowego pod nazwą Umberto I. Resztki tych mozaik widzieć można na miejscu wśród ruin.

Jeszcze silniej uderzyło mnie podobne wrażenie w innej okoliczności, pobudzone również przez dzwony rzymskie.

Przeszedłem wzdłuż Forum Romanum od Kapitolu i łuku Septyma Severa do wznoszącego się na przeciwległym krańcu łuku Tytusa. Stanąłem pod wyniosłem jego sklepieniem. Jest to punkt nieco wzniesiony, z którego dobrze ogarnąć można okiem całe Forum, a poza którym nieopodal wznosi się ogrom Kolizeum. Droga święta wkracza tędy na Forum, tryumfatorzy w uroczystych pochodach przeciągali tędy przed oczami rozentuzyazmowanych tłumów. Wspomnienia, myśli, obrazy tłoczą się, piętrzą jedne nad drugiemi. Wieczór się już zbliżał. Słońce ogromne, czerwone zachodziło poza Palatynem, rozrzucając ostatnie swe promienie wśród mnóstwa otaczających mnie zewsząd pomników i ruin. Z jednej strony krwawiło się jaskrawą czerwienią Kolizeum, z drugiej czerwieniały potężne łuki i filary bazyliki Konstantyna. Przedemną w dali rysowała się wyraziście na tle błękitów smukła, wyniosła wieża pałacu senatu na Kapitolu, po lewej stronie widniały na tle zorzy zachodniej zlewające się jedne z drugiemi w bezkształtną masę ruiny pałaców cesarskich na palatyńskiem wzgórzu. W dole, na Forum, cień zmierzchu wciąż się posuwał w kierunku tryumfatorskich pochodów od łuku Tytusa do Kapitolu, chłonąc stopniowo zwaliska i ślady świątyń, przed któremi przeciągali ongi uwieńczeni laurem, witani okrzykami ludu zwycięzcy, wiodąc za sobą w pętach zwyciężonych wodzów, królów, bohaterów.

Zmierzch bogów, przyszło mi na myśl—bogów wiary rzymskiej i bogów rzymskiej sławy. Po jednych i drugich nic nie pozostało w świecie zjawisk krom tego chaosu gruzów i kamieni. Sic transit gloria mundi!

W tem zadzwoniono na Anioł Pański. Potężnie zabrzmiał chór dzwonów. Forum otoczone jest wieńcem kościołów, a nieopodal znajdują się też wielkie, starożytne kościoły św. Jana Laterańskiego, św. Klemensa, św. Maryi większej krom wielu innych. Nie dziw, że szeroko, donośnie rozległa się bijąca naokół z ich wieżyc i kopuł harmonia powietrzna. Dźwięki jej po szeregu potężnych akordów zdawały się już milknąć, gdy nagle znowu się wzmagały dochodzącymi zblizka lub zdala nowymi odgłosami. Na dole mrok coraz gęstniał jakby zalegającym coraz bardziej dziedzinę dawnej chwały zmierzchem bogów, w górze pociemniałe już błękity zdawały się rozświetlać na nowo jasną harmonią dzwonów wiekuistej chwały bożej. W tych odgłosach po-

zdrowienia anielskiego brzmiały jakby chóry anielskiego pasterzom zwiastowania: „Gloria in excelsis Deo!

Nie wiem, czy jest na świecie miasto, któreby rozbrzmiewało tak cudnemi, jak Rzym, harmoniami dzwonów.[1]) Zależy to nietylko od wielkiej ilości kościołów, ale też od otaczających je dość znacznych zazwyczaj przestrzeni, wolnych od hałasu miejskiego. Rzym, choć od lat czterdziestu bardzo szybko rozwija się i rośnie, nie staje się jednak, jak inne wielkie miasta współczesne, jedną masą bruków i kamienic, jakby zamkniętym w sobie światem miejskim, oddzielonym zupełnie od swobodnej przyrody, nic z nią nie mającym wspólnego okrom wymuszonych jej naśladownictw w ogrodach i skwerach. Jest to jednym z nienajmniejszych uroków miasta wiecznego, iż przyroda w niem jakby bliżej zestosunkowana z ludźmi, otacza ich bezpośredniej, wnika swobodniej do miejskiego ich bytu. Różne się na to składają okoliczności. Naprzód istnienie w pośród terytoryum miejskiego znacznych obszarów ruin starożytnych, które nie mogą być zabudowane, owszem, nowszymi czasy oczyszczane są i rozszerzane; następnie rozmieszczenie miasta na wzgórzach, sprawiają, że z wielu jego punktów wzrok sięga swobodnie poza obręb murów i widzi pola, lasy, góry; wreszcie właściwe Włochom poczucie dobrego smaku, dzięki któremu żadne z ich miast nie jest bezładną kupą domów, żadne nie jest pozbawione ustosunkowań artystycznych do otoczenia przyrodzonego.

Z tych, czy z innych względów, dość, że Rzym, rzec można, to nietylko miasto, lecz i otaczająca je natura. Posiada ona tu tak odrębny charakter, taką wyrazistą fizyognomię, że kto jej należycie nie odczuwa, ten nie odczuje, nie zrozumie i miasta, co wśród niej przed wiekami wzrosło i przez wieki kwitło. W pieśni Rzymu głos natury rzymskiej stanowi nieodzowny czynnik zbiorowej harmonii.

IV.

Jak samo miasto, i otaczająca je przyroda odznacza się jakiemś szczególnem, wyjątkowem, bezprzykładnem iście bogactwem kształtów, zjawisk, wspomnień. Czegoż bo w niej niema!

---

[1]) Istne pod tym względem przeciwieństwo naszej Warszawy, w której wśród nieustannej wrzawy ulicznej dźwięk dzwonu wyjątkowo chyba dojdzie uszu ludzkich.

Stańmy oto na jednym z wielu wyniosłych punktów Rzymu (np. na słynnym tarasie przy kościele san Pietro in Montorio) i ogarnijmy okiem roztaczający się dookoła widok. Czegoż tam nie widać: góry, skały, wzgórza, śnieżne, podniebne szczyty, łagodne, półnagie stoki, wesołe, miastami usiane doliny; w innej stronie pola, łąki, lasy, rzeki, rzeczki, strumienie, dostrzegalne lub domyślne na skraju widnokręgu, morze z podnoszącemi się zeń wciąż przejrzystemi zasłonami mgły i oparów; wreszcie największa, jedyna w swoim rodzaju osobliwość: tuż u bram wielkiego miasta poczynający się i szeroko rozpostarty pusty, głuchy, bezludny step Kampanii rzymskiej, ale step szczególny: cały usiany pomnikami, ruinami, wspomnieniami, w którym każda stopa ziemi deptana była stopami historyi, kurz, podnoszący się z pod nóg naszych, zawiera w sobie prochy narodów. Przyroda rzymska łączy w sobie najrozmaitsze żywioły, najsprzeczniejsze cechy, krańcowo przeciwstawne piękności, czary, uroki i nieprzejrzane okiem równiny i wyniosłe ściany górskie, groza urwisk skalnych i łagodne falowanie zielonych wzgórz i dolin, tu cisza bezwodnej pustyni, a tam, opodal, ogłuszający huk strumieni i wodospadów górskich.

A owe niewysłowione czary oświetleń słonecznych!

„Podziwialiście zapewne—mówi Chateaubriand—w krajobrazach Klaudyusza Lorrain'a to światło tak idealne, zda się piękniejsze od natury—owóż, jest to światło Rzymu."

A w tych oświetleniach, jakie też cuda krańcowo przeciwstawnych piękności!

Czasem, gdy powieje od gór wiatr suchy, rzeźwiący — Tramontana, sorella del soli, jak się wyrażają poetycznie Rzymianie, słońce jaskrawo rozbłyśnie, niebo oczyści się, nieprawdopodobnie niemal rozbłękitni i kryształowo-przejrzystą kopułą szafiru nakryje ziemię. Jakież to wtedy świetliste powodzie zalewają przestwór, żywy ogień, zda się, płonie dokoła, wszystko w nim jaśnieje, błyszczy, mieni się, każdy przedmiot z niebywałą w naszych północnych strefach wyrazistością rysuje się przed oczyma— „pomarańcz blask zielone złoci drzewa."

Innym razem przyleci od morza ciepły, wilgotny Siroco, niesie deszcze, ulewy albo mgły tumany rozwłóczy po przestworzu rzymskiej Kampanii. Słońce dzierzga je swymi promieniami, wywołując najcudniejszą grę świateł, barw, cieniów, czasem przypominającą słoneczne igraszki naszego nieba, czasem zupełnie inną, nigdy u nas niewidzianą, południowym krajom tylko właściwą.

Istne cuda zachodu i zórz zachodnich zdarzyło mi się wtedy oglądać!

Pędziłem pociągiem kolei żelaznej koło owych monumentalnych wodociągów, co niezliczonymi arkadami od wieków zdają się wędrować i wędrować po przez Kampanię. Krwawa czerwień zachodu przeświecała po przez migające przed oczami arkady i zdało mi się, że widzę jakiś bezmierny, potwornych rozmiarów gmach, błyskający jaskrawo oświetlonemi oknami.

Ileż razy zdarzyło mi się widzieć ze wzgórza Pincio słońce zachodzące poza kopułą św. Piotra wśród przejrzystych obłoków i oparów wieczornych. Zazłociły się w promieniach słonecznych rozciągnięte na zachodnim widnokręgu białe, długie, smużyste obłoki. Złoto zalało cały widnokrąg i na tem tle zarysowała się najpiękniejsza w świecie kopuła, tworząc niby jakiś olbrzymi w bezmiar rzucony obraz symboliczny niewysłowionego majestatu.

Odmienne, a niemniej wspaniałe cuda zachodu widywałem z placu rozciągającego się przed kościołem św. Jana Laterańskiego (zwanego placem bramy św. Jana) i z przyległego mu pięknego tarasu. Cudny stąd widok na Kampanię i na góry Sabińskie. Słońce zachodzi na wprost gór, na przeciwległym krańcu szeroko rozciągniętej równiny, prześwietla wieczorem tumany, zawsze prawie o tej porze unoszące się ponad wilgotnymi przestworami Kampanii, rzuca na zbocza i szczyty górskie swe promienie, a te odbijając się od nich, tworzą na wschodnim ponad górami skłonie niebios takie nadzwyczajne dziwy opalizacyi, takie falowania świateł, przelewania się barw, jakich ani piórem opisać, ani pędzlem odmalować, ani wyobraźnią nawet nikt sobie uprzytomnić nie zdoła.

Daję tu tylko małe próbki i urywki wrażeń przyrody rzymskiej, mówię tylko o tych, których doznać można w samem mieście lub tuż u bram jego; gdyby opisywać to, co się widzi, czego się doznaje, co się odczuwa w poblizkich, choćby parogodzinnych wycieczkach w okolice Rzymu, nieprzebrany materyał wrażeniowy cisnąłby się pod pióro. Frascati, Tivoli, Subjaco, Palestrina, villa Adriana, Tre fontane, Albano, Ostia — ile imion, tyle cudów natury, tyle wielkich wspomnień, wielkich pamiątek dziejowych, kulturalnych, religijnych. Nie wiedzieć co tu więcej podziwiać, twory przyrody, czy dzieła człowieka. Studya całe trzebaby pisać, aby wyliczyć, zbadać skarby tych i tamtych, poematy całe, aby wyrazić wrażenia, uczucia, jakie one wzbudzają. Nie wdając się w szczegóły, rzućmy jeszcze kilka myśli, kilka uwag o charakterze ogólnym tej rzymskiej przyrody i o jej sto-

sunku do życia ludzkiego, co z niej wykwitło i pod wpływem jej się rozwinęło.

Niewielka nad brzegami Tybru między morzem Śródziemnem a górami Sabińskiemi i Albańskiemi równina, wśród której Rzym się znajduje, owa pusta dziś i głucha Kampania rzymska, to siedziba największej w świecie potęgi i sławy, starożytne Latium, gniazdo rodowe przesławnego plemienia latyńskiego, najbardziej historycznego z plemion ludzkich, najwyraźniejszymi w dziejach ludzkości zaznaczonego śladami. Stąd ono wyszło na podbój Italii, Europy, Azyi, Afryki, świata całego, tutaj wyrobiło sobie te niezrównane przymioty rzymskiej siły, rzymskiej cnoty, rzymskiego heroizmu, co dały mu panowanie nad sobą i nad światem — tutaj wreszcie po wiekach chwały i wielkości popadło w ten stan rozstroju i zwyrodnienia, jakiemu równego nie znaleźć też pono w historyi.

Przyroda, na której łonie rozwinęły się takie olbrzymie siły życia, z której wyszła natura ludzka tak olbrzymio spotęgowana w dobrem i złem, w cnotach i zbrodniach, w objawach zdrowia i choroby—ta przyroda, ojczysta dziedzina bezmiernej rzymskiej mocy, musiała też zawierać w sobie jakieś wyjątkowo potężne żywioły, ujawniające się w jej rozwoju. Jakoż istotnie, podobnie jak życie ludzkie, co z niej wykwitło, miała ona swą historyę burzliwą, tragiczną, w której zmagały się olbrzymie moce, walczyły twórcze i niszczące siły ziemi. Odczytują dziś przyrodoznawcy owe dawne przeddziejowe dzieje w licznych i różnorodnych śladach, jakie po nich pozostały na latyńskiej równinie. Pewną jest rzeczą, że w dość późnej stosunkowo epoce geologicznej była ona dnem morza i wyłoniła się z fal morskich, dzięki kolosalnym wstrząśnieniom i przewrotom wulkanicznym, których skutki liczne i dziś jeszcze dają się wykazać, w części nawet bardzo są widoczne w kraterach wygasłych wulkanów, napotykanych w górach Albańskich, a także w formie wielu dolin i jezior (np. pięknych jezior Albano, Nemi, Bracciano, doliny Ariccia i t. d.), najoczywiściej też utworzonych przez dawne kratery wulkaniczne.

W dobie pierwotnych dziejów rzymskich, a może nawet w poprzedzających ją czasach przedhistorycznych rolnictwo kwitło na równinach Latium. Znane są podania o owych starorzymskich rolnikach, wodzach i bohaterach, jak słynny Cincinnatus, co powołany przez lud wprost od pługa na dyktatora, objął władzę najwyższą nad wojskiem i nad krajem, w przeciągu szesnastu dni zwyciężył groźnych wrogów i, pomimo zdobytych łupów bogatych, powrócił do przerwanej pracy rolnej. Tacy to pełni pro-

stoty rolnicy-wojacy byli istotnymi twórcami siły rzymskiej, ugruntowanej na moralnej podwalinie obywatelskich cnót mężów i domowych cnót niewiast, na wojnie czy w pokoju zbrojnej surowem poczuciem obowiązku i rozporządzającej nieprzebranemi zasobami pracy, dzielności i poświęcenia dla sprawy publicznej. Kwitło naówczas Latium wytrwałą pracą swych rolników, pokryło się mnóstwem bogatych posiadłości, will i ogrodów, zaroiło się liczną i zamożną ludnością.

Skoro jednak następnie zdobywczy i zaborczy Rzym daleko wyszedł poza obręb pierwotnej prostoty i pierwotnej cnoty, skoro siła rzymska nie z wewnątrz lecz z zewnątrz roić poczęła cudzemi bogactwami i cudzą ujarzmioną potęgą, poszło w zaniedbanie ojczyste Latium, ustała na niem praca dzielnych rolników; właściciele rozległych obszarów ziemi (latifundi'ów) jęli je zamieniać na pastwiska, na których hodowali liczne stada bydła i owiec, lepsze im przynoszące dochody, aniżeli uprawa roli, niechętną, niewolniczą, bez udziału właściciela prowadzona ręką.

Skutki tej gospodarki po dziś dzień oglądamy.

Nizka, nadmorska, u stóp gór rozciągnięta równina, zalewana wciąż wodami, z wyżyn na nią spływającemi, gdy zbrakło pracowitej ludności rolniczej, co je wytrwałym trudem swym usuwała, przesycona została wilgocią, gromadzącą się w licznych zagłębieniach, pozbawionych odpływu. Obok wielu jezior, potworzyły się błota, trzęsawiska, pełne gnijących roślin, ziejące dokoła chorobą, zarazą, śmiercią. Ludność jęła uciekać z tych miejsc zapowietrzonych i w końcu istna pustynia rozpostarła się na miejscu dawnych zbożami falujących, licznemi siedzibami ludzkiemi pokrytych obszarów.

Szukano nieraz rady i środków na ten smutny stan rzeczy. Podejmowali nieraz papieże, podejmował nowy rząd włoski pracę osuszenia rzymskiej Kampanii—dotąd bezskutecznie. Nawet dzisiejsza udoskonalona technika inżynierska nic nie może poradzić na te skutki wiekowego zaniedbania. Kraj na tem niewątpliwie traci dużo, ale urok Rzymu bodaj zyskuje. Kampania rzymska, jaka jest obecnie, pusta, głucha, zasiana ruinami, często mgłami, tumanami zasnuta, w blasku swych cudownych oświetleń, swych przedziwnych barwnych odcieni, pełna jest rzeczywiście jakiegoś osobliwego czaru. Poeta romantycznych tęsknot i melancholii, Chateaubriand, pierwszy odkrył i opisał specyficzne jej piękności. Odtąd mnóstwo ma ona miłośników, nie mogących się nacieszyć wiejącym od niej smutkiem. Jest w tych zachwytach (podobnie jak u pierwszego literackiego ich inicyatora) dużo sentymentalnej

pozy, a nawet czułostkowego komedyanctwa, ale jest w nich też jakiś refleks prawdziwej myśli, szczerego odczucia.

Ktokolwiek się znajdzie na tem dziwnem rzymskiem pustkowiu, choćby nic nie miał wspólnego z chateaubriandowskim, romantyczno-sentymentalnym nastrojem, byleby był obdarzony odpowiednią miarą wrażliwości, nie zdoła się opędzić cisnącym mu się do głowy myślom, budzącym się w sercu uczuciom. Ostatecznie Kampania rzymska, to jakby jedna niezmiernie rozległa ruina, jedna wielka pamiątka po dalekiej, dalekiej, a tak bogatej w treść przeszłości. Gdyby ona była zagospodarowana i zamieszkała od czasów rzymskich, znikłyby zapewne na niej wszelkie zabytki przedwiekowej przeszłości, może nawet wszelkie ich ślady, a przynajmniej usuniętaby została znaczna ich ilość, odpowiednio do wymagań i potrzeb gospodarskich różnych epok. Wobec nieistnienia podobnych względów, stare zabytki, o ile oparły się niszczącej potędze czasu, stały sobie spokojnie, stopniowo tylko zapadając w ruiny. Kraj zachował swą odwieczną fizyognomię i zapewne dziś widzimy go w stanie niewiele różnym od tego, w jakim się znajdował za czasów wielkiej wędrówki narodów. Tuż za bramami Rzymu widzieć można okrągłe ze stożkowymi dachami szałasy pasterskie, które za swoje rodzone mogliby uznać towarzysze Romulusa. A ludzie, co je zamieszkują?— bardzo też chyba podobni do pierwotnych, przedhistorycznych osiedleńców tego kraju: — przez pół dzicy pasterze, czarni, zarośnięci, odziani jakimiś bezkształtnymi łachmanami, obuci w chodaki jaknajprostszej, najpierwotniejszej formy. A życie ich wewnętrzne odpowiada pono zewnętrznemu wyglądowi. Z ubolewaniem mówił mi światły dominikanin, O. Beothier, o ich okropnem zapuszczeniu duchowem, o zupełnym u nich braku elementarnych choćby wiadomości chrześcijańskich, jak to dowodnie miał sposobność stwierdzić, gdy usiłował oświecić ich w rzeczach wiary i podnieść moralnie. Nie jest tu bez winy zapewne i duchowieństwo miejscowe, ale działalność jego utrudniona ogromnie przez sposób życia tych ludzi pierwotnych, koczujących wciąż ze swemi stadami. Skoro na wiosnę słońce zagrzeje, opuszczają równiny, na których powietrze staje się zabójcze, i przenoszą się w góry. Kampania jeszcze bardziej wtedy pustoszeje. Pozostają na niej gdzieniegdzie tylko biedni, wynędzniali, trapieni przez chroniczną malaryę chłopi miejscowi, uprawiający zaledwie $^1/_{10}$ tych rozległych przestrzeni.

W tym stanie opustoszenia i zastoju Kampania rzymska jest jakby żywą pamiątką zwyrodnienia i upadku starej Romy, jakby

ciągnącym się niezmiennie, po przez wieki zdziczałym i zapuszczonym pasem granicznym między światem starożytnym i nowożytnym. Główną linią tego pasa, tej strefy pamiątek i wspomnień jest słynna Via Appia, droga Appijska, zbudowana na 312 lat przed Chrystusem, a nazwana od swego fundatora, cenzora Appiusa Claudiusa. Nigdzie pono natura rzymska nie łączy się ściślej ze wspomnieniami Rzymu pogańskiego i chrześcijańskiego, nie daje się ogarnąć lepiej jednym rzutem oka w większem bogactwie różnorodnych swych czarów i uroków. Dostajemy się na tę znamienitą „królowę dróg," jak ją słusznie nazwano, ulicą św. Sebastyana, wiodącą od Kolizeum między wzgórzami Palatynem i Celiusem, obok Aventynu, Termów Karakali, kilku odwiecznych kościołów, wielu grobowców i pomników starorzymskich. Tuż za bramą św. Sebastyana, skąd droga Appijska się poczyna, mały kościołek, zwany Quo Vadis Domine, złączony ze znaną legendą o zjawieniu się postaci Chrystusa uchodzącemu z Rzymu przed męczeństwem św. Piotrowi; dalej słynne katakumby św. Kaliksta. A dalej ruiny i ruiny grobowców, pomników, na przestrzeni wielu kilometrów ciągnące się nieprzerwanemi prawie pasmami po obu stronach drogi. Króluje między nimi wspaniały, doskonale zachowany grobowiec Cecylii Metelli z dodanymi doń (jak się to zdarza przy wielu pomnikach starożytnych) murami fortecznymi feodalnych panów. A opodal drogi, na prawo i na lewo, przed sobą i za sobą widzimy wciąż zwaliska wodociągów, pomników starorzymskich, kościołów, zamków, fortyfikacyj średniowiecznych. Wieki wciąż tu przytomne naszym oczom, wiekami rozdzieleni ludzie, narody, plemiona, nieprzerwanym szeregiem zdają się wędrować po tej dwutysiącoletniej przeszło drodze. Legiony Rzeczypospolitej idą na podbój Italii, Grecyi, Azyi, legiony cesarstwa wracają z podboju świata, pędzą złociste rydwany imperatorów, powolnym krokiem stąpa sędziwy książe apostołów i otrzymuje napomnienie niebiańskiego zjawiska, pierwsi wyznawcy Chrystusa małemi gromadkami skrycie podążają do pobliskich podziemi na święte obrędy – ciągną hordy barbarzyńców, z dalekiej przybyłe północy, w żelazo zakute zastępy na rycerskie śpieszą boje.

Czyjeż stopy nie deptały odwiecznych kamieni i dziś jeszcze wystających gdzieniegdzie z pod gruzów stuleci![1])—czyjeż oczy nie patrzały na roztaczający się dokoła widnokrąg! Natura rzym-

[1]) Droga Appijska, przez długi czas zupełnie zasypana gruzami, dopiero w latach 1850 – 1853 częściowo została oczyszczona.

ska roztacza tu przed wzrokiem wędrowca całe bogactwo, całą nieskończoną rozmaitość swych kształtów i zjawisk. Naokół falująca w ciągłych zagięciach i zagłębieniach gruntu równina Kampanii; dalej zielone stoki gór albańskich i sabińskich, a na nich malowniczo rozłożone, pełne czarów niewysłowionych Tivoli, Frascati, Castel Gondalfo, Rocca di papa i tyle innych miejsc głośnych z piękności; w głębi majestatyczne śnieżne szczyty Abruzów, a z przeciwległej strony, już poza linią widnokręgu, białawym tumanem znaczące się na nim tylko morze.

Niewysłowione są zaiste uroki przyrody rzymskiej, same przez się zdolne zająć i porwać duszę ludzką, nie mogą jednak całkiem jej pochłonąć wobec przemożnych na nią oddziaływań pomników życia, co tu przez tysiącolecia zakwitało i wciąż jeszcze na nowo zakwita. Tutaj przyroda jest, że tak powiem, przepojona życiem, nad wszystkiemi jej zjawami unoszą się obrazy niezmiernie wytężonych jego prądów dziejowych, każdy nieomal jej kształt i twór złączony jest z jakimś dziełem lub czynem człowieka, opromieniony jest aureolą sławy, tragicznym blaskiem wielkich poświęceń, krwawą łuną wielkich zbrodni. A życie samo w sobie, w swej przyrodzonej pełni i mocy zawsze ponad wszystko i przedewszystkiem pociągać będzie umysły ludzkie, poruszać ludzkie serca choćby nawet dalekimi swymi śladami. Nie dziw, że tak potężna jest wymowa wiecznotrwałych śladów rzymskiej mocy we wznoszących się nad Tybrem ruinach i pomnikach.

V.

Ruiny i pomniki—świadectwa przeszłości niejednakiego znaczenia. Pierwsze mówią nam o tem, co w niej było, przeminęło i nie powstanie na nowo, drugie, o ile trwają i zachowują się nie samą tylko zewnętrzną siłą inercyi, głoszą to, co z przeszłości przez teraźniejszość w przyszłość wiecznie dąży.

Rzym starożytny jest i pozostanie na zawsze wielką, majestatyczną ruiną. Nie brakło, jak wiadomo, powtarzających się różnymi czasy usiłowań wskrzeszenia znamienitych jego instytucyj. Nic trwałego stąd nie powstało. Jakaś sztuczność, wymuszoność była zawsze w tych wskrzesicielskich zapędach. Znikome tylko powstawały z nich twory, beztreściwe formy i formuły, czy to za czasów trybuna średniowiecznego, Coli Rienzi, czy nowoczesnych efemeryd republikańskich, czy wreszcie obecnego

królestwa włoskiego, usiłującego różnymi sposobami nawiązać nić starorzymskich tradycyj. [1])

A jednak owe zwaliska starej Romy i w obecnej dobie wciąż jeszcze odgrzebywane, choć należą do zapadłej w sobie przeszłości, są czemś więcej, aniżeli archeologicznym zabytkiem, lub turystyczną ciekawostką. Inne mają dla nas znaczenie, aniżeli np. zwaliska Balbeku lub tak stosunkowo nam blizkie malownicze szczątki średniowiecznych zamków rycerskich. Ruiny rzymskie nietylko ogromem swym uderzają naszą wyobraźnię, nietylko zachwycają nas niezmiernie urozmaiconą malowniczością przewspaniałych i przebogatych swych kształtów. Aby sobie uprzytomnić wyjątkowe ich znaczenie pomiędzy innemi ruinami wszechświatowej sławy, dość z jakiegokolwiek wynioślejszego wśród nich punktu widzenia, np. ze wzgórza Palatynu, ogarnąć okiem roztaczający się dokoła przestwór miasta.

Stoimy oto na gruzach potęgi, chwały i rozszalałego zbytku cezarów. Nieopodal na zachodnim skłonie wzgórza dostrzedz można szczątek odwiecznego pierwotnej budowy z wielkich bloków kamiennych muru Serwiusza Tullusa, ślad, jaki pozostawiła po sobie najdawniejsza *Roma quadrata*. U stóp wzgórza Forum Romanum z najszacowniejszemi pamiątkami Republiki i początków cesarstwa. Tuż obok Kapitol z wysmukłą wieżą pałacu senatu. Nieco dalej ciężka masywna „wieża milicyi“ („torre delle milizie,“ niesłusznie przez pospólstwo rzymskie wieżą Nerona zwana), potężny zabytek Rzymu średniowiecznego. Dokoła w bliższej i dalszej odległości niezliczone kopuły i wieżyce kościelne, między któremi króluje przewspaniała kopuła św. Piotra. Wreszcie tuż przy kapitolu dzielący z nią panowanie nad miastem olbrzymi, najmłodszy ze wszystkich rzymskich pomników, nieskończony dotąd pomnik zjednoczenia Włoch.

Pomyślmy ile wieków, ile epok, ile pokoleń ludzkich, ile momentów wszechświatowego rozwoju ogarniamy tym jedynym rzutem oka. Wspomnijmy na ścisły związek tych ruin i tych pomników, które na nich i wśród nich wznoszą się w nieprzer-

[1]) Charakterystyczny pod tym względem do dziś dnia od epoki Republiki rzymskiej po przez cesarstwo, średnie i nowe wieki przechował się zwyczaj umieszczania na urzędowych publikacyach miasta Rzymu słynnych liter: S. P. Q. R. (Senatus Populusque Romanus) oznaczających coś, czego od upadku Republiki nigdy już nie było, niema i nigdy zapewne nie będzie i co nie ma żadnego związku ze stosunkami późniejszymi ani dzisiejszymi.

wanem pasmie wieków od zaczątku dziejów aż do chwili obecnej. Jesteśmy tu w miejscu jedynem na ziemi—jedynem pod względem skupionego tu ogromu wszechświatowej doniosłości zdarzeń dziejowych. Wieki wiekom, plemiona plemionom podawały tu złote wiadra życia w bezmiernym kołowrocie czasu. Ani na chwilę życie tu nie zamarło: wciąż wrzało i burzyło się żywiołową wybujałością swych sił, wciąż przelewało się nadmiarem swej pełni.

Wszystkie uczucia i namiętności ludzkie, wszystkie cnoty i zbrodnie spotykały się tu i skupiały w długim szeregu wieków. Nigdzie na świecie nie znaleźć wyższych wzlotów i głębszych upadków natury ludzkiej, nigdzie nie ujawniła się ona w takim rozległym zakresie różnorodnych swych wad i przymiotów, swych heroizmów i swego upodlenia. W bogactwie skupionego tu życia czyż nie jest to Roma — siła, najpotężniejsza siła w znanych nam dziejach świata, a w szczytowych swych na widowni dziejowej wzniesieniach czyż siła owa nie objawia nam się zarazem jako Roma—amor, miłość rzeczy najwznioślejszych, do jakich serca ludzkie wznieść się zdołały?

Zaznaczone na wstępie niniejszej pracy ze średniowiecznej idei świętego cesarstwa Rzymskiego przez Dantego wysnute opatrznościowe posłannictwo Rzymu okazuje się usprawiedliwionem i z nowoczesnego stanowiska. Można nie wierzyć w nieprzerwany ciąg tego posłannictwa od Rzymu pogańskiego do chrześcijańskiego i w przygotowanie dróg chrześcijaństwu na obszarach zjednoczonego pod panowaniem rzymskiem świata starożytnego; można nawet powątpiewać o wszechświatowem apostolstwie rzymsko-katolickiego kościoła, ale czyż podobna nie uznać historycznie stwierdzonej wszechświatowej ciągłości życiowego ogniska rzymskiego?

Z pośród wielu możliwych weźmy tu jeden bardzo wymowny tej ciągłości przykład i dowód w architekturze monumentalnych kościołów rzymskich.

Z bardzo nielicznymi wyjątkami są one budowane bądź w czystym zupełnie, bądź w mniej lub więcej typowym stylu bazylikowym. Odziedziczony został ten styl po bazylikach starorzymskich, wznoszonych szczególnie za cesarstwa, jako miejsca zebrań i narad ludu. Dawniej za czasów większej prostoty, a zarazem istotnej pełni swobód obywatelskich lud zbierał się na Forum, gdzie na prawdę o sprawach publicznych radził. Cezarowie, odjąwszy mu te swobody, przez czas długi, a w pewnej mierze aż do końca istnienia państwa rzymskiego, zachowali ich pozory, a przedewszystkiem pozór szerokiego, swobodnego życia

publicznego, które stanowiło tak charakterystyczny wytwór i objaw starorzymskiej obyczajowości. Dogadzając wynikającym stąd upodobaniom ludu, wznoszono z wielkim kosztem te ogromne i wspaniałe budowle publiczne, w których obywatele rzymscy zbierali się bądź dla załatwiania różnych swych spraw i interesów, bądź dla wspólnych zabaw i rozrywek. Przechowały się jeszcze dotąd przy Forum Romanum potężne filary i arkady bazyliki Konstantyna, kilka pięknych kolumn z wzniesionej przez Juliusza Cezara bazyliki Julii i drobne zaledwie szczątki z tak zwanej bazyliki Emilii.

Skoro następnie uznane przez władzę państwową chrześcijaństwo z katakumbowych cieniów wyszło na światło życia publicznego, zmodyfikowane odpowiednio przez urządzenia z katakumb wyniesione starodawne bazyliki stały się kościołami. Zbierano się w nich już nie dla załatwienia różnorodnych spraw światowych, lecz dla tej wielkiej sprawy religijnej, którą wyznawcy Chrystusa poczytywali za *unum necesarium*, która skupiała ich i łączyła w powszechnym kościele Chrystusowym. Odżyły stare budowle zapadające już w części w ruinę w epoce powszechnego upadku, nowe podobnym kształtem poczęły się wznosić jako świątynie chrześcijańskie coraz wspanialsze, coraz bogatsze w miarę szerzenia się po świecie religii wszechświatowej. Ale zasadniczy ich kształt przez pierwotne pochodzenie uwarunkowany bardzo charakterystycznie zaznaczał się zawsze i do dziś dnia się zaznacza odrębnym stylem bazylikowym.

Odrębność jego bardzo dobitnie się uwydatnia w zestawieniu ze stylem architektonicznym innych świątyń, bądź pogańskich, bądź chrześcijańskich, z jednej strony np. świątyń starogreckich, z drugiej kościołów gotyckich. Architektura tych i tamtych, pomimo wielkiej różnicy a nawet przeciwieństwa ogólnego ideowego jej charakteru, wspólne ma pochodzenie z kształtów roślinnych, stylizowanych w duchu potrzeb i zadań odnośnych kultów religijnych. Są to jakby skamieniałe w tej stylizacyi święte gaje i lasy, w których odbywały się pierwotne praktyki i obrzędy kultu religijnego u ludów pozostających w bezpośredniej łączności z przyrodą, jest to utrwalenie w kształtach architektonicznych na tle życia społeczno-miejskiego zewnętrznych warunków kultu, przeniesionych wprost z przyrodzonego środowiska, z którym one początkowo u ludów ściśle z nim zespolonych zupełnie się utożsamiały.

Inaczej przedstawia się pochodzenie i stylizacya bazylik rzymskich. Świątynia z życia społeczno-miejskiego wprost tu nie-

jako wyrasta, odziedzicza gotowe już kształty architektoniczne, w ciągu wielu wieków urobione i wystylizowane na tle starodawnej cywilizacyi. Praktykowany w niej kult religijny jest czemś absolutnie nowem przez ducha co go wewnętrznie ożywia, ale przez swe upostaciowanie zewnętrzne, a bardziej jeszcze przez swe ustosunkowanie do całokształtu zadań życiowych, wśród których się rozwija, staje się spadkobiercą wielkich tradycyj wszechświatowego władztwa rzymskiego i wszechświatowego w nim na gruncie wyższej kultury zjednoczenia ludów i plemion.

Tak pojmowali uniwersalizm chrześcijańsko-katolicki wszyscy wielcy, najbardziej powołani jego rzecznicy, tak go pojął i z przedziwną mocą wyraził największy z nich autor traktatu o monarchii powszechnej, piewca „Boskiej komedyi.“

Bazylika rzymska jest przedziwnem w wiekuistych kształtach architektonicznych ujawnieniem tej wszechświatowej dążności. Nie jest ona jak katedra gotycka kamienną wizyą mrocznych, mistycznych głębin duszy, rozjaśnionych spadającymi z górnych stref tajemniczymi blaskami wiary — to raczej jasna, przestronna widownia powszechnego Kościoła Rzymskiego, na której publiczne jego życie ujawnia się w całej swej pełni i w całej wspaniałości przed obliczem cywilizowanego świata, jak niegdyś w wielkich instytucyach Respubliki i Cesarstwa ujawniało się przed nim publiczne życie powszechnego Imperium Rzymskiego: jest to taż sama idea powszechności, podniesiona do nieskończenie wyższego tonu, oderwana od ziemi, zaczepiona o niebiosa.

Jest w Rzymie siedem głównych bazylik, czyli świątyń górujących ponad innemi wielkością wspomnień i tradycyj religijnych, jakie się z nimi łączą, rozmiarami i wspaniałością kształtów architektonicznych, w jakich się ukazują oczom wiernych. Naczelne między niemi miejsce zajmuje oczywiście watykańska bazylika św. Piotra; sześć pozostałych świątyń (św. Jan Lateraneński, św. Marya Większa, św. Krzyż Jerozolimski, św. Paweł za murami, św. Wawrzyniec za murami i św. Sebastyan), mają przysługujący im wyłącznie tytuł bazylik, połączony z pewnymi przywilejami kościelnymi. Wszystkie one wyrażają głównie określone wyżej ideowe znaczenie bazyliki, jako centralnego w całej jego jawności i pełni ogniska kultu kościelnego.

Inne kościoły rzymskie, nie mające tytułu bazylik, w bazylikowym jednak przeważnie trzymane są stylu. Godne są uwagi kolejne fazy rozwojowe tego stylu, odzwierciadlające wiernie charakterystyczny do różnych epok chrześcijańskiej kultury stosunek stolicy świata chrześcijańskiego. Są w Rzymie stare bazyliki

o nader pierwotnej i prostej konstrukcyi, odpowiadającej prostaczym zaczątkom nowej kultury na gruzach upadłej starorzymskiej świetności. Niektóre z nich zostały dziwacznie przyozdobione w bardzo wyrafinowanym guście późniejszych epok renesansu i baroku. Prostota kształtów zasadniczych kłóci się w nich z przesadą i przeładowaniem niezmiernie wykwintnego zdobnictwa i w tym przeciwieństwie odrazu rzuca się nam w oczy odległość wielka epok historycznych, które w kolei czasu przepłynęły ponad wiecznem miastem i uderzają rozliczne bardzo znamienne zboczenia w kulturalnym ich rozwoju. Więcej jeszcze zasługują na uwagę prostotą swą lepiej harmonizujące z pierwotnym stylem, a jednak pełne artyzmu średniowieczne upiększenia tych starych świątyń: mozaikowe ołtarze, absydy, chóry, ambony (szczególnie ze słynnej szkoły Cosmas'ów, która swemi pracami ozdobiła wiele kościołów rzymskich), świadczące o stopniowym samodzielnym rozwoju nowej sztuki chrześcijańskiej, której nie było przeznaczonem jednak osiągnąć pełnię rozkwitu, bo oto wnet ustąpić musiała przed zwycięską sztuką renesansową, wkraczającą do bazylik rzymskich w całej wspaniałości swych bujnych kształtów na wzorach starożytnych urobionych.

Rozkwitający renesansową pełnią styl bazylikowy staje się nowym łącznikiem pomiędzy Rzymem klasyczno-pogańskim i chrześcijańskim. Wprawdzie wznoszące się wspaniałe świątynie czasów odrodzenia pochłonęły niemało artystycznych skarbów przeszłości. Rujnowano bez ceremonii dawne świątynie, aby dobyty z nich materyał architektoniczny użyć na budowę nowych kościołów. Dzisiejsi esteci z oburzeniem mówią o tej rabunkowej gospodarce papieży renesansowych. Zapewne, taka w dziedzinie oryginalnej stylowej twórczości bezpłodna epoka jak nasza słusznie czyni, że z pietyzmem przechowuje dawne zabytki: kto nic nowego nie tworzy, niechże przynajmniej uszanuje to, co inni przed nim utworzyli; ale kto porywany jest przez samodzielny pęd twórczy, czyż może z równą żarliwością stać na straży artystycznych skarbów przeszłości?

Epoka odrodzenia zrobiła więcej ponad to stróżowanie. Z materyałów dawnych, wedle wzorów dawnych tworzyła rzeczy nowe, w których te, co przeminęły, odżywały jakby spotęgowaną mocą i pełnią ducha. Rzymski uniwersalizm odradza się w sztuce odrodzenia pod nową postacią, wzbogaconą wielowiekowym dorobkiem kultury chrześcijańskiej i stwarza w watykańskiej bazylice św. Piotra najbardziej uniwersalną budowlę na całym obszarze cywilizowanego świata. Ale ta największa i najwspanialsza w świe-

cie świątynia, wznoszona i wykończana w ciągu blizko półtora wieku nie jest dziełem jednej epoki, wytworem jednego stylu. Wśród przepysznych harmonij renesansowych rozpościerają się tu barokowe dysonanse. Różne wybujałości i cudactwa czasów artystycznego przekwitu wyrosły pod kopułą i wśród murów, w których nowoczesna sztuka budownicza zakwitła najwspanialszymi cudami swego artyzmu.

Za przykładem stołecznej bazyliki papieskiej większość bazylik i bazylikowych kościołów rzymskich gruntownemu w ciągu XVII wieku uległa przebarokowaniu. Barok wszechwładnie zapanował w tej epoce nad wszystkimi pomnikami stolicy świętej i wycisnął na nich do dziś dnia trwające artystyczne swe znamię. Mistrz jego naczelny, niezmordowany, niewyczerpany w pomysłach Bernini (o którym napis na jego domu rodzinnym w Rzymie z właściwą tej epoce napuszystością głosi, że był czczony przez narody, królów, papieży), wysilał cały swój wielki talent, całą swą nadzwyczajną pracowitość i nieporównaną biegłość w sztuce na tworzenie coraz to nowych dziwów, osobliwości i cudactw. Stare, odwieczne świątynie, co tysiącolecie nieomal przetrwały w surowej powadze swych kształtów pierwotnych, teraz zabłysły różnobarwną wzorzystością marmurów, zaludniły się mnóstwem posągów o niespokojnych, dziwacznie wymuszonych pozach i gestach, napełniły się nieprzebranem bogactwem przeróżnych ozdób, w których drogocenność materyału współzawodniczy z nadzwyczajną kunsztownością opracowania.

Ze stanowiska czysto artystycznego można ubolewać nad tem zwycięstwem baroku nad renesansem, zwyrodnieniem nad odrodzeniem, ale ze stanowiska historycznego czyż nie wydaje się ono nieodzownym momentem w rozwoju sztuki? Wszystko, co kwitnie, przekwita. I bujny rozkwit renesansowy uledz musiał temu losowi. Przyszedł czas kiedy jego bogactwo stało się nadmiarem, jego pełnia—przepełnieniem, jego wykwint—przerafinowaniem. W Rzymie wszakże wśród wszystkich tych niekorzystnych przemian stylowych zachował się zawsze — styl rzymski, styl szerokich, uniwersalnych zakresów, ogromnych, wszechludzkich zamierzeń.

Dość rzucić okiem na wielkie bazyliki rzymskie jak św. Jan Lateraneński lub św. Paweł za murami. Uległy one znacznym przeobrażeniom w epoce barokowej i w późniejszych czasach, a w wieku XIX, szczególnie za dwóch przedostatnich papieży Piusa X i Leona XIII gruntownym odnowieniom i rekonstrukcyom. Niewiele w nich pozostało z pierwotnych zabytków, ale

z ducha pierwotnego dochowało się to właśnie, co w nim najistotniejsze. Gdy otworzą się przed nami te niezmierne przestwory marmuru, gdy nas otoczy istny las wyniosłych kolumn lub potężnych filarów, a w głębi absydu zamajaczeją odwieczne mozaiki, początkami swymi sięgające najdawniejszych czasów chrześcijaństwa — jakże żywo uprzytamnia się nam ogromne rozpostarcie w czasie i przestrzeni wszechświatowej jego instytucyi kościelnej. Wieleż wieków oddziela surowe, sztywne, hieratyczne postaci ze starej, niedawno odnowionej mozaiki w absydzie św. Jana od owych w patetycznem upozowaniu żywo gestykujących postaci apostolskich, co dwoma szeregami olbrzymich barokowych posągów zdobią dwie główne, przeciwległe ściany kościoła. Tak dalekie epoki sztuki, tak różne jej style, a ta sama zawsze idea przewodnia, powszechna, katolicko-rzymska, idea znajdująca wyraz w jej tworach! U św. Pawła jeszcze większa odległość, jeszcze większe przeciwieństwo czasów i stylów. Mozaiki z V wieku (odnowione również), średniowieczny nad wielkim ołtarzem baldachim Arnolfa di Cambio z wieku XIII, a cały kościół, odbudowany wspaniale po pożarze w r. 1823, zupełnie nowoczesny, choć ściśle w starym bazylikowym utrzymany stylu. Oto otwiera się przed nami jakby olbrzymia bezmierna sala, wsparta na gęstym kolumnowym lesie, połyskująca dokoła przecudnie wzorzystą różnobarwnością drogocennych marmurów. Wszystko lśni i błyszczy nowością, a wszystko zarazem przemawia urokiem odwiecznej dawności tych miejsc pamiętnych, na których stoimy, tych starożytnych kształtów budowlanych, które nas tu otaczają. Zawszeż to ta sama starorzymska bazylika, przestronna widownia życia publicznego, gdzie ongi różnowierczy lud pogański załatwiał rozliczne swe sprawy, gdzie później jednowierczy lud chrześcijański dla jednej jedynej gromadził się sprawy, dla jedynej istotnie chrześcijaninowi potrzebnej, *unum necesarium*. I oto teraz jak przed wiekami, jak po wsze czasy, dźwignięta z gruzów świątynia blaskiem swych nowych marmurów, wspaniałością swych odwiecznych kształtów zdaje się wzywać lud wiernych pielgrzymów-bogomodlców: przyjdźcie, napełnijcie moje przestwory, uczcijcie miejsca święte, wspomnienia święte we mnie upamiętnione!

Czy z tem samem, co niegdyś, sercem śpieszy lud pielgrzymi do tych i innych uświęconych miejsc miasta wiecznego?

Cokolwiekby o tem powiedzieć, to pewna, że śpieszy zawsze tłumnie ze wszystkich krańców świata. Z wiarą gorącą czy z zimną, żądzą poznawczą, z hołdem pokłonnym, czy z pustą światową ciekawością, dość że napływa wciąż licznie w odwiecz-

ne mury rzymskie, rozpatruje, podziwia, niekiedy wielbi nagromadzone w nich pomniki wieków, cuda sztuki, skarby wiary.

W starożytności zwano Rzym wprost miastem: *urbs*, nie dodając imienia własnego. Owóż to znaczenie miasta jedynego w świecie, miasta-stolicy świata, zachował on i w czasach nowożytnych. Każdy kraj, każda prowincya, każda okolica nawet, wzięta jako jednolity w sobie okrąg, ma takie miasto, ognisko różnorodnych promieni życia, główne skupienie miejscowych sił życiowych, serce i mózg jakowejś żyjącej, organicznej zbiorowości. Po wszystkie czasy też bywały miasta-stolice międzynarodowego znaczenia, w mniejszym lub większym zakresie niejako węzłowe stacye w dziejowym pochodzie ludzkości. Był takiem miastem w całem znaczeniu tego słowa Paryż za najświetniejszych swych czasów, a i dziś jeszcze w znacznej mierze niem pozostaje, nadaremnie pono usiłuje stać się niem parweniuszowski dorobkiewicz świeżej daty Berlin; jest niem dla ogromnych przestworów świata brytańskiego Londyn, dla austryackiej rzeszy narodów Wiedeń; ale gdzie, kiedy w świecie widziano taką stolicę ludzkości, takie ognisko wszechludzkiego życia jak Rzym — ognisko, co przez tysiącolecia wysyła swe promienie w przestwór, a nie wyczerpuje się, nie gaśnie, wciąż świeci i grzeje. Miewało ono wprawdzie chwile częściowego zastygnięcia, przemieniało i przeobrażało się wielokrotnie; ale z pod starych gruzów nowe zawsze tryskały iskry, nowemi rozpalały się płomieniami, a we wszelkich przeobrażeniach zawsze to samo centralne ognisko ludzkości.

Staropogański, czy chrześcijański, renesansowy, czy barokowy, we wszystkich swych przemianach i przeobrażeniach, we wszystkich nawet zboczeniach i wybrykach, Rzym zawsze jest Rzymem, ogniskiem mocy, zawsze to Roma—siła, skupiająca w sobie główne w najwyższem ich natężeniu wszechświatowe prądy kulturalne. Jakże nie miłować tej mocarnej władczyni dusz, co czasu nawet niszczące potęgi czarem swym zdaje się zwyciężać i z ruin wciąż do nowego powstaje życia. Ale ruiny trwają w majestatycznej swej martwocie. Żadna siła ludzka nie zdolna ich podźwignąć. „Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia.“ Ta ciągła współobecność kształtów przeżytych i kształtów odżywających, ten przeogromny na świat cały brzmiący akord życia i śmierci stanowi jedyny w swoim rodzaju urok miasta ruin i miasta pomników, a odbrzmiewa w naszej myśli jakimś bezmiernie potężnym i głębokim symbolem bytu.

Zazwyczaj bytujemy sobie w tępej bezwiedności lub w głuchym tylko poczuciu związku naszego z ogółem istnienia w przestrzeni i w czasie, tego, co, poza nami, przeminęło, tego, co, dokoła nas, szerokimi w bezmiar roztacza się kręgami. Tutaj, na świętym gruncie rzymskim, chyba i najtępszy myślą, najbardziej na głos duszy zagłuchły człowiek odczuje, uświadomi sobie niekiedy swą łączność z tem, co wieczne i co nieskończone w istnieniu. Dość, że pomyśli trochę wśród ruin Forum, wśród ogromów Koloseum, dość, że skupi się nieco w sobie pod kopułą św. Piotra lub pod wyniosłem sklepieniem św. Jana Lateraneńskiego. Tu uprzytomni sobie chyba — nietylko we frazesie, lub martwej abstrakcyi, lecz także w żywej prawdzie serca i myśli — że jest jakaś realna, żywa, ród ludzki potencyalnie wyobrażająca całość, w tych oto przewspaniałych unaoczniona nam pomnikach; tam przesuną się mu może w myśli ulotne obrazy wielkiego, potężnego życia, co tu niegdyś wrzało, dziś przebrzmiało, odżywa jednak wciąż w dziełach wiekopomnych, co po nim pozostały.

Oczywiście mówię tu o ludziach, co czasem myślą wznoszą się, nietylko pełzają, czasem i do duszy własnej zajrzeć są zdolni. To pewna, że tacy nie stanowią głównej masy kulturalnych światowców i kulturalnych filistrów, turystycznemi rzeszami nawiedzających miasto wieczne. Jeśli jednak wśród tych rzesz się znajdą, czy gdzie na świecie usłyszą potężniejszy aniżeli w Rzymie głos, przypominający im o wielkich wspomnieniach przeszłości i wielkich sprawach teraźniejszości?...

Walery Gostomski.

PIŚMIENNICTWO.

K. BOŁSUNOWSKI. (Kijów). *Nowoodkryte herby na ceramice w horodyszczu Łutawa* (powiat osterski, gub. czernihowska). „Miesięcznik heraldyczny.“ Lwów, grudzień, 1909, str. 171.

O artykule tym należy powiedzieć słów kilka nie tyle ze względu na rezultat badań autora, ile ze względu na metodę badania.

Na starem horodyszczu Łutawie, niedaleko Ostrza, znalazł autor dwa dna od skruszonych naczyń glinianych, na których dostrzegł odciski, na jednem „niby Kościeszę,“ a na drugiem „przypominający herb Kroje, czy Dragomir lub Trąby.“ Ponieważ w wiekach średnich cechy były pod opieką panujących książąt (na Zachodzie) „niewątpliwie to samo musiało mieć miejsce i u nas, a przeto i na krańcach Polski.“ Tak przypuszcza, bez dowodów, autor. Na tej podstawie tworzy cały budynek — bez fundamentów: ponieważ w pierwszych wiekach naszej ery Gotowie wędrowali, między innemi, przez porzecze Dniepru i Desny, pozostawili po sobie nazwy gockie: Łutawa, Połtawa, Neplawa i in. P. Bołsunowski przypuszcza tedy, że herby „niby Kościesza,“ i „przypominający Kroje“ są pozostałością po Gotach.

Nasuwają się pytania: czy nazwy miejscowości, przytoczonych przez autora, są istotnie gockie? Jaki związek mają owe herby z Gotami? Dlaczego autor używa nazwy Oster? Jaką drogą mogły powstać znaki, widziane przez p. Bołsunowskiego?

Na nieprawdopodobność łączenia nazw przytoczonych przez autora z Gotami zwróciła już słusznie uwagę redakcya „Miesięcznika heraldycznego,“ utrzymując, że i temat i końcówki są słowiańskie. Według teoryi autora, należałoby takie miejscowości,

jak Pilawa, Uszawa, Tarnawa, Tyrawa, Rusawa, Skwarzawa, zaliczyć do gockich. A co robić z Bałakławą (a) w Krymie, która tak ściśle wiąże się z nazwiskiem jednego z carów zawolskich — Bałakłaja? (Gwagnin: „Z kroniki Sarmacyi Europ.," 55). To wszystko wymaga badań lingwistycznych i nie da się rozwiązać twierdzeniem bez dowodów.

Nie mają również żadnego związku z Gotami tak zwane przez autora herby, jeden „niby Kościesza," drugi „przypominający Kroje." Przedewszystkiem autor nie oznacza różnicy między herbem a znakiem rodowym—godłem. Herby dopiero w XII w. poczęły się rozpowszechniać w Europie zachodniej, skąd przyszły do nas; miały w głównym temacie swoim różne przedmioty natury, a niekiedy nawet fantastyczne, gdy znaki rodowe były — tylko znakami i, według badań Piekosińskiego, brały swój początek od run. I ta hypoteza, w odniesieniu do znalezisk p. B., nie jest dość uzasadnioną, o tyle, że znaki, podobne do runicznych, tam, gdzie może o istnieniu run nie wiedziano nawet. Znaki, w których p. B. widział podobieństwo do Kościeszy i do Kroju, dadzą się odszukać w pierwotypach runicznych: pierwszy w runie týr, drugi — ýr, a odmiany tych, wynikłe z przekształcania się, spotykamy już w herbach Kościesza, Kołodyn, Lis (linia senioracka) co do pierwszego znaku („niby Kościesza") i Cielątkowa odmienna (co do drugiego—„przypominający Kroje"). „Uczony" tedy hr. Goblet d'Alvielle mógł sobie w triscèle upatrywać „niewątpliwie symbol słońca" (fantazya prawdziwie galijska!), ale, niestety nie znał naszych badań o runach i dla tego szanownego autora bałamucił symbolami, tam gdzie były rzeczy jasne, proste i dostępne dla umysłu każdego. Z runy ýr, jak słusznie utrzymuje Piekosiński, powstały późniejsze podkowy, rogi, trąbki, półpierścienie, rzeki i w. in.

Do swojej hipotezy gockiej przystosowuje autor i nazwę Ostrza—zmieniając ją ze staropolskiej na nowożytną pisownię — Oster, przypominającą Wester i Gotów. W naszej geografii historycznej Oster nieznany. Najwcześniejsze lustracye starostw (1616) piszą Ostir, niekiedy Ostrsk (1622), z łacińska Capitaneaus Ostrensis, ale po polsku zwało się S-two Ostrzskie, bojarowie Ostrzcy, a osadę pod starym zamkiem zwano nowy Ostrzec — nigdy zaś Oster. Nestor raz tylko wspomina późniejszy Ostrz (jeżeli latopis jego zakończymy rokiem 1113) i to pod rokiem 1097: „toho-że lieta założi Wołodimir Monomach gorod na Ostri" — nic więcej. „Gorod" ten leżał w klinie między Desną a rzeką Ostr-em i prawdopodobnie od charakteru swego

położenia, a może i od rzeki otrzymał nazwę Ostr—ostry, trudny do zdobycia, leżący w klinie.

Pozostaje jeszcze odpowiedź na pytanie: skąd powstać mogły znaki, widziane przez p. B. na dniskach czerepów, znalezionych na starem horodyszczu w blizkości Ostrza? Przypuszczenie, że tu „władali Gotowie," jest równie niestałe, jak piaski nad Desną, a przez autora niepoparte niczem. Pewniejszem jest, z ogólnego historycznego stanowiska „władanie Normanów lub Waregów"—czy to wyrazy jednoznaczne?—ale z tego bynajmniej nie wynika, że „jakiś miejscowy dynasta musiał upoważnić cech garncarzy swego grodu do tłoczenia swego herbu na ich wyrobach." Same wątpliwości. Nie wiem, czy istniał cech garncarzy na owem horodyszczu; o herbach w owe czasy wśród puszcz Czernihowszczyzny, porosłych sosnowymi borami nie mogło być mowy; jedynym dynastą, do którego gród nad Ostrem należał, był Włodzimierz Monomach, który, o ile wiadomo, nie posiadał herbu „niby Kościesza," ani „przypominającego Kroje." Jeżeli nawet to, co autor nazywa herbem, będziemy uważać jako znaki rodowe, to i w takim razie ani w dynastyi Rurykowiczów, którzy tym krajem władali, ani wśród Wojewodów i Tysiączników z ich ramienia, nieznane są jakiekolwiek, a tembardziej widziane przez autora, znaki rodowe, którymi-by się oni posługiwali. Wobec tego musimy szukać innego rozwiązania zagadki, innej hipotezy, jeżeli nie uzasadnionej, to prawdopodobnej.

Znaki rodowe, staniczne, jak je nazywa Piekosiński, mogły istnieć w najgłębszych zakątkach Rusi, bądź jako przyniesione z gniazdowej Polski przez ciagle napływającą w te strony falę kolonizacyjną, bądź istnieć samodzielnie. Wiemy, że w miarę rozszczepiania się rodów, pierwotypy ich pochodzenia runicznego, jak chcą niektórzy badacze, przekształcały się także w rozmaity sposób. Ale to do rzeczy nie należy. Czy ta teorya da się zastosować w tym wypadku? Stanowczo nie. Ludzie, uprawiający garncarstwo, byli rzemieślnikami i mogliby tylko wówczas posługiwać się wyciskanym znakiem rodowym, gdyby istotnie należeli do jakiegoś rodu, mającego swój znak, lub gdyby pamięć o tem należeniu zachowali. Trudno to przypuścić u rzemieślników, stojących na nizkim stopniu kultury, posługujących się pierwotnemi narzędziami swego rzemiosła, gdzie ręce były jedynym warsztatem, a paznogcie u ręki jedynemi narzędziami do wykonywania ornamentu artystycznego. Boć przecie to horodyszcze leżało wśród dzikich borów, puszcz i błot.

Ale jak miały swoje znaki rody wojowników, tak, z innych względów tylko, musiały je mieć i warsztaty rzemieślnicze, musieli mieć i rzemieślnicy sami, jako właściciele tych warsztatów. Garnki gliniane były już w owe czasy konieczną potrzebą codziennego życia, a każda osada posiadała jednego lub kilku zdunów. Każdy pragnął naznaczyć swój wyrób, ażeby i sam mógł poznać i inni poznali. Przemysł i dziś jeszcze posługuje się marką, znakiem, na który powołuje się, ażeby swój wyrób od innych odróżnić i kupującym zalecić. To samo niewątpliwie, tylko w formie bardziej pierwotnej, działo się i w XII w. na starem horodyszczu Włodzimierzowem, na starej osadzie, która przed horodyszczem już może istniała. Każdy zdun kładł tedy na swoim wyrobie swój znak. Skąd go brał? Mógł to być znak runiczny, który świadomie lub nieświadomie, nie wiedząc co oznacza, wygniótł. Może go już gdzie widział i powtórzył, może widziany zmodyfikował, może wreszcie zrobił znak dowolny, nie wiedząc o tem, że jest podobny do innego i że już ma jakieś znaczenie. W ten sposób dziś jeszcze włościanie na Rusi znaczą nietylko narzędzia, wyrabiane przez siebie, ale własne przedmioty. Dowolna kombinacya linij lub kółek nie ma żadnego związku ani z herbami, ani ze znakami runicznymi, a jednak jest znakiem własności, na który w danym razie strony powołują się, ale posiada niekiedy podobieństwo do jakiegoś herbu lub znaku — i bałamuci.

Zdaje mi się, że taką prawdopodobną genezę powstania, tworzenia się, a niekiedy przekształcania znaków i w tym wypadku przyjąć można bez uciekania się do symbolów, herbów dynastów i migracyi Gotów.

F. R. G.

D-R BRONISŁAW PAWŁOWSKI: *Lwów w 1809 r.* Biblioteka lwowska III, wydawnictwo Tow. miłośników przeszłości Lwowa. Str. 82. Lwów, 1909.

Pamiętną dla Lwowa i całego zaboru austryackiego była wiosna 1809 r. Po 37 latach absolutystyczno-policyjnych rządów miała stolica kraju zaczerpnąć na chwilę świeżego tchu, który do niej wtargnął z Księstwa Warszawskiego, od dwu lat pulsującego pełnią narodowego życia. W ciągu tego krótkiego czasu zdołała Warszawa nietylko odrobić ciężkie lata pruskiego ucisku, podnieść się i zorganizować, ale co więcej, było jej danem życie to ponieść dalej i rozpalić w odrętwiałej, wyczerpanej moralnie i materyalnie Galicyi.

Wczesną wiosną 1809 r., korzystając z niefortunnej kampanii Napoleona w Hiszpanii, zerwała się Austrya do odwetu. W trzech równocześnie zaatakowała go punktach: na zachodzie w sprzymierzonej z nim Bawaryi, dokąd rzuciła główne swe siły, na południu we Włoszech i na północy w Księstwie Warszawskiem. Arcyksiążę Ferdynand d'Este z 30-tysięczną przeszło armią ugodził w Księstwo, które zaledwie kończyło stawiać na nogi swą młodą 14-tysięczną armię. Po całodziennym, morderczym, chlubnym dla broni polskiej chrzcie raszyńskim, utrzymawszy się na placu boju, nie mogąc jednakże obronić Warszawy wobec przeważających sił nieprzyjacielskich, tembardziej, że zaraz po bitwie raszyńskiej opuściły korpus polski wojska saskie, cofnięto się ku Modlinowi i tam na radzie wojennej powzięto śmiałą choć ryzykowną bardzo inicyatywę przeniesienia walki do Galicyi, zaatakowania nieprzyjaciela w jego własnych granicach. Plan ten błyskawicznie uskuteczniono. W dwa tygodnie po bitwie pod Raszynem, 4 maja 1809 r. stanęły pierwsze oddziały wojska polskiego w Galicyi. Po krótkim oporze zdobyto austryacki wówczas Zamość i Sandomierz i wśród ogólnego zapału „Galicyan" posuwano się do Lwowa, bo na zajęciu stolicy kraju przedewszystkiem księciu Józefowi Poniatowskiemu zależało. Austryacy nie zamyślali jej bronić. 23 maja opuścili Lwów, kierując się ku Stanisławowi. W cztery dni później, 27 maja witali już rozpromienieni lwowianie straż przednią zbawczych znaków polskich. Był to oddział piątego pułku dzielnych strzelców konnych pod dowództwem porucznika, Jerzego Starzeńskiego, poprzedzający główną kolumnę generała Rożnieckiego. Ten ostatni wjechał nazajutrz do iluminowanej i nieposiadającej się ze szczęścia stolicy. Natychmiast upadł dawny system. W ciągu dni kilku uformowano nowy rząd, który pod przewodnictwem eks-marszałka litewskiego, Ignacego Potockiego, rozwinął gorączkową działalność organizacyjną. Jakby z pod ziemi wyrósł jedenasty pułk ułanów, rekrutujący się z ludności lwowskiej, chlubnie w następstwie zapisany w kampanii 1812 r. Skrępowana w 37-letnim okresie rządów austryackich Galicya, w której zdawały się rwać ostatnie nici tradycyj polskich, budziła się obecnie do nowego życia, tryskającego, zwłaszcza w stolicy, z żywiołową siłą. Niestety wszakże, dnie swobody i uniesienia miały trwać niezmiernie krótko. Mieszkańcy nieszczęśliwej Galicyi zaledwie mogli przetrzeć oczy i ocknąć się z ciężkiego przygnębiającego snu i apatyi politycznej; losy ich bowiem nie leżały w ręku armii Księstwa Warszawskiego, ale zawisły od współczesnych wypadków na zachodzie, rozgrywają-

cych się na głównym terenie wojny w pobliżu Wiednia. Właśnie wtedy, gdy wojsko polskie zajmowało Galicyę, stoczył Napoleon z główną armią austryacką krwawą dwudniową i w dodatku nierozstrzygniętą bitwę pod Aspern. Fakt ten odbił się bezpośrednio na kampanii galicyjskiej. Znikała nadzieja dla armii polskiej otrzymania jakiejkolwiek pomocy od Napoleona, która zwłaszcza w tej chwili była dla niej pożądaną, ze względu, że arcyksiążę Ferdynand d'Este podejmował na nowo z całą energią przeciw niej kroki wojenne. Wskutek tego ks. Józef Poniatowski był zmuszony pościągać do głównej kwatery pod Sandomierz wszystkie nieliczne swe siły tem więcej, że znalazł się wówczas w szczególnym a ze wszech miar krytycznym stosunku do armii rosyjskiej. Wprawdzie Rosya od zjazdu erfurckiego, na którym zacieśnione zostało przymierze, zawarte z Napoleonem w Tylży, zobowiązaną była do udzielenia pomocy Napoleonowi na wypadek wojny z Austryą, w istocie przecież prawdziwe swe sympatye zwracała ona nie ku Francyi i Napoleonowi, ale w stronę wręcz przeciwną — ku Austryi. I kiedy teraz nadarzyła się pierwsza sposobność wystąpienia przeciw Austryi i posiłkowania armii Księstwa Warszawskiego, nietylko że tego nie uczyniła, ale, wprost przeciwnie, zawarła z Austryą tajną umowę, której mocą przyrzekła wstrzymywać się jak najdłużej od kroków wojennych a w ostatecznym razie, gdyby była zmuszoną je rozpocząć, działać tak, by do starcia wojsk rosyjskich i austryackich nie dopuścić. Tym sposobem ks. Józef, który co do dwulicowego stanowiska Rosyi od samego początku nie żywił najmniejszych złudzeń, miał teraz do czynienia nietylko z otwartym wrogiem, t. j. armią austryacką pod arcyksięciem Ferdynandem, ale także z daleko niebezpieczniejszym, bo zamaskowanym sprzymierzeńcem w postaci korpusu księcia Golicyna, wkraczającego obecnie z rozkazu cesarza Aleksandra do Galicyi, oczywiście nie tyle w celach sprzymierzeńczych, co w nadziei zeskamotowania na własny rachunek zdobyczy oręża polskiego. Dla sparaliżowania tych zamysłów i ochrony Galicyi przed zaborem rosyjskim wydał ks. Józef 2 czerwca 1809 r. rozkaz dzienny, którym mianował „Rząd wojskowy tymczasowy“ i oddawał cały kraj pod protekcyę Napoleona. Krok ten nie ocalił jednakże odsłonionej i ogołoconej z żołnierza polskiego stolicy, z której „Rząd tymczasowy“ niebawem był zmuszony ustąpić (19 czerwca), równocześnie bowiem zaczęła się fikcyjna kampania między armią austryacką a korpusem ks. Golicyna, polegająca na wzajemnem unikaniu się rzekomych przeciwników. Według z góry oznaczonego programu, ułożonego na podstawie tajnych rokowań, pozwolił

ks. Golicyn Austryakom na chwilowe zajęcie Lwowa, pod warunkiem, że w kilka dni później wydadzą go w ręce rosyjskie. Taką to wyjątkową zaiste losów koleją kalendarz polityczny Lwowa zmieniał się jak szkiełka kalejdoskopu. W przeciągu jednego niemal miesiąca po czterykroć dostawał Lwów innego pana: z austryackiego stawał się polskim (od 27 maja do 19 czerwca), z polskiego, po dwudniowym żywocie na podobieństwo owej „res nullius," przedzierzgał się na kilka dni znowu w szatę austryacką (od 21 do 30 czerwca), a nakoniec (30 czerwca) szedł pod znak rosyjski. Wytworzyła się też obecnie jedyna w swoim rodzaju sytuacya. W mieście polskiem, będącem pod panowaniem austryackiem a z załogą rosyjską, obchodzono uroczyście imieniny cesarza rosyjskiego, a równocześnie część ludności lwowskiej spieszyła na dzień 15 sierpnia do sąsiedniej Żółkwi, by pośród załogi polskiej wiwatować na cześć Napoleona w dniu jego imienin. Stan taki nie mógł trwać długo, zwłaszcza, że Rosya, ten jawny, jak się nazywało, sprzymierzeniec Księstwa Warszawskiego, a w istocie tajny sojusznik Austryi, pracowała przedewszystkiem z całem poświęceniem na swój rachunek i dążyła, nie bez zdziwienia generalicyi austryackiej, do zajęcia jak największej połaci Galicyi, zwłaszcza tak nęcącej części wschodniej. I znowuż błysk genialnego oręża kładł tamę powszechnej niepewności. 6 lipca odniósł Napoleon nad Austryą świetne zwycięstwo pod Wagram. Nastąpiło zawieszenie broni w Znaim, niebawem pokój w Schönbrunie (14 pazdz.). Austrya płaciła ogólny rachunek. Oprócz dotkliwych strat na południowym zachodzie na rzecz Francyi i jej sprzymierzeńców, zmuszona była odstąpić Księstwu Warszawskiemu część tego, co jego armia z bronią w ręku zajęła, t. j. dwa okręgi, krakowski i zamojski. Jeśli jednak śmiała taktyka ks. Józefa Poniatowskiego nie pozostała bez rezultatu dla Księstwa, to nie mniej i podwójna robota rosyjska święciła tryumf przez nabycie tanim kosztem części Galicyi wschodniej, t. zw. Kraju Tarnopolskiego, który w jej ręku pozostał do kongresu wiedeńskiego. Lwów pozostał przy Austryi. Rosyanie opuszczali go z wielkim żalem dopiero po dwu miesiącach, unosząc ze sobą, jako symboliczną zdobycz wojenną, klucze miejskie, złożone w następstwie w soborze kazańskim.

Dla stolicy zaboru austryackiego wracały dawne czasy bezwzględnych rządów biurokracyi niemieckiej. Wiosna roku 1809 była jedynym jasnym promieniem, jaki oświetlił szary widnokrąg dziejów tej dzielnicy Polski od chwili podziału. Drugą podobną chwilę miał przeżyć Lwów dopiero w 39 lat później, w r. 1848,

z budzącą się „wiosną narodów," torując sobie drogę do nowej, szczęśliwszej ery.

D-r Pawłowski dał w swej pracy żywy obraz tych zmiennych losów, przez jakie przeszła stolica Galicyi w owym pamiętnym roku. Opowiedział wypadki ówczesne językiem potoczystym a jędrnym i wzbogacił cennym tomikiem wydawnictwo „Biblioteki lwowskiej." W badaniu swem nie ograniczył się tylko do wyzyskania literatury drukowanej przedmiotu, z którą zapoznał się bardzo sumiennie, ale także sięgnął do archiwów krajowych i obcych, drukując w przypisach szereg pożytecznych dokumentów. Tekst ozdobiony 20 rycinami podnosi zewnętrzną szatę książki.

Maciej Loret.

JABŁONOWSKI ALEKSANDER. *Pisma.* Tom I. „Ziemie ruskie Rzeczypospolitej." Warszawa 1910. Skład gł. w księg. E. Wende i S-ka.

Doskonałą myśl mieli wielbiciele Aleksandra Jabłonowskiego, składając w jego ręce, ku uczczeniu półwiekowych godów z nauką, znaczniejszy fundusz na wydanie zbiorowe dzieł jego wszystkich. A dorobek tyloletniej pracy historyka Rusi jest tego rodzaju, że wzbudza entuzyazm w młodszem pokoleniu historyków, wśród których nie jeden żywi te same ideały naukowe, co twórca „Atlasu historycznego Rzeczypospolitej." Większość prac naukowych Jabłonowskiego, rozproszona po czasopismach peryodycznych, była dotąd mało dostępną, co utrudniało wywieranie wpływu na młodszych badaczy. Teraz, gdy dzieła Jabłonowskiego zaczęły wychodzić w wydaniu zbiorowem, staną się one szkołą i wzorem dla historyków, pracujących nad dziejami gospodarczemi i społecznemi. Czego też my nie możemy się nauczyć z dzieł Jabłonowskiego! On nam przykładem swym wskazuje, jak badania historyczne koniecznie jest dopełniać studyami etnologicznemi; on jest żywym dowodem, że można pisać objektywnie nawet o najdrażliwszych kwestyach; on wreszcie nauczyć nas może, w jaki to sposób stanowczy a jednak spokojny prowadzić należy polemiki naukowe.

Właśnie artykuły polemiczne, będące echem długoletniej szermierki prowadzonej przez Jabłonowskiego z kijowskim uczonym, profesorem Władimirskim Budanowem, rozrzucone ongi na łamach „Ateneum," „Kwartalnika Historycznego," wreszcie „Przeglądu Historycznego," stanowią część zasadniczą pierwszego tomu dzieł

Jabłonowskiego, który ukazał się przed paru miesiącami. Przedmiotem tej polemiki było zapatrywanie się na pochodzenie etniczne ludności ukraińskiej, na wpływ, jaki wywarły rządy Rzpltej na stosunki społeczne prowincyj ruskich, na genezę kozaczyzny i na powstanie Chmielnickiego. Spór z prof. Władimirskim Budanowem, dedukcyonistą, dalekim od objektywizmu, nie był rzeczą ani łatwą, ani przyjemną. Trzeba było niezwykłego taktu, niezwykłej równowagi, aby walcząc z takim przeciwnikiem, nigdy się nie unieść, nie wypowiedzieć ostrzejszego słowa. Jakże też rycerskie polemiki Jabłonowskiego odbijają od sarkastycznych, a często nawet grubijańskich sporów naszych naukowych z lat ostatnich!

Oprócz obszernej polemiki z Budanowem w pierwszym tomie dzieł Jabłonowskiego znalazło się jeszcze parę samodzielnych studyów. Przedwszystkiem piękny zarys etnograficzny poświęcony małorusinom. Jabłonowski nie zaprzecza w nim, podobnie jak w swych innych pracach, że małorusini pochodzą bezpośrednio od Rusi Włodzimierzów, Jarosławów, ale podkreśla wpływ, jaki wywarły na nich żywioły polski, tatarski i wołoski. Wpływ żywiołu polskiego, krwi polskiej, był najrozleglejszy, najgłębszy. Wlew krwi polskiej w żyły ludu ruskiego odbywał się od niepamiętnych czasów z wielką szkodą dla naszej narodowości; polonizacya bowiem wyższych sfer społeczeństwa ruskiego nie mogła zrównoważyć faktu, że chłopi, czy mieszczanie polscy, dostawszy się na Ruś, wynaradawiali się w krótkim czasie. Dopływ krwi tatarskiej do żył małorusów rozpoczął się, według Jabłonowskiego, od chwili, „gdy wielka horda kipczacka rozpadła się na kilka drobnych, a te, zwalczając się wzajem, wywoływały nieraz tłumne nawet wychodźtwo.“ Później „proces przypływu krwi turańskiej odbywał się nieustannie przez kozactwo, jak i najemne chorągwie petyhorskie czy tatarskie.“ Co się tyczy krwi wołoskiej, to silniejszego jej dopływu dopatruje się Jabłonowski tylko „na wązkiem pasmie nadbrzeża Dniestru, szczególnie zaś na wierzchowisku Prutu.“

Etniczną postacią Ukrainy w epoce zjednoczenia jej z koroną zajmuje się Jabłonowski w specyalnem studyum, które również znalazło się w pierwszym tomie. Chcąc na przykładzie scharakteryzować tu skład etniczny ukraińców, analizuje Jabłonowski poczet kozaków Jana Orysowskiego z roku 1581. Okazało się, że w poczcie tym było 83% Rusinów, z Małej Rusi przeważnie, 10% przypadało na Polaków, 7% na inne narodowości, a więc Tatarów, Mołdawian i t. d.

Stan socyalny i ekonomiczny, nie etniczny, społeczeństwa był głównym i ulubionym przedmiotem badań Jabłonowskiego. Stan ekonomiczno-społeczny mianowicie uważał nasz uczony „za podwalinę polityczno-narodowej budowy, u nas zaś, według niego, przy rozpamiętywaniu zmiennych kolei ubiegłej przeszłości potrzeba dokładniejszego rozjaśnienia zaciemnionych stron tego zakresu życia stała się tem żywsza, iż dotąd nawet najbardziej to może zaniedbana dziedzina w naszem dziejoznawstwie. Szczególniej też losy dziejowe i dola ludu włościańskiego w Rzpltej pobudzają pracowników historycznych coraz natarczywiej do wszechstronniejszych poszukiwań.“ Studyom też nad dziejami włościan jest poświęcony szkic: „Ludność rolnicza ziem ukraińnych,“ będący owocem mozolnych poszukiwań archiwalnych. Jabłonowski, rozważywszy w tej pracy stosunek wzajemny poszczególnych warstw rolniczych na Ukrainie, opisuje położenie prawne włościan, ich obciążenie na rzecz dworu, wprowadzenie systemu włókowego i t. d.

Następnie idą prace drobniejsze, a więc cenna krytyka studyum prof. Łuczyckiego o „Siabrach“ czyli „uczestnikach,“ wreszcie polemika z prof. Bujakiem w sprawie opracowanego przez Jabłonowskiego atlasu ziem ruskich. Zbiorowe wydanie dzieł Jabłonowskiego zdobi doskonała podobizna autora, poprzedzająca biografię pióra Jana Kochanowskiego.

I. B.

Kronika miesięczna.

Otwarcie sesyi jesiennej Izby Państwowej. — Słówko pamięci. — Rządowy projekt szkolny.—Obrona posłów polskich.—Fałszywy argument w rozprawach.—Jak było naprawdę w Żulinie? — Nowa ustawa wyjątkowa. — Prace podkomisyi.—Projekt ziemstw w Królestwie.—Z prywatnych obrad nad samorządem.—Żydzi, liberali rosyjscy i my. — Prace sejmu galicyjskiego. — Do wtóru trąbek i piszczałek.—Uroczystości szopenowskie we Lwowie.—Dziko- nie wolnomyślna młodzież w Krakowie i jej wybryki.

Szósta sesya Izby Państwowej trzeciego powołania rozpoczęła się od wypadku charakterystycznego. Wniosek uczczenia znakomitego uczonego, dobrego obywatela swego kraju, b. prezesa pierwszej sesyi prawodawczej w historyi państwa rosyjskiego nie został poddany pod głosowanie, aby nie wywoływać skandalu protestowego części Izby. Muromcew był wybitnym prezesem pierwszej Izby; na każdym kroku składał dowody bezstronności; wysokie stanowisko w trudnych warunkach piastował z wielką godnością. Jeżeli popełniał błędy, dzielił je ze swojem stronnictwem; nieraz taktyki jego nie podzielał, ulegając tylko partyjnej karności. I taką szlachetną postać prześladuje dzika nienawiść pozagrobowa.

Po tym incydencie gorąco zabrała się Izba do pracy. Na pierwszy ogień poszła ustawa nauczania początkowego w opracowaniu komisyi oświatowej. Niepodobna streszczać na tem miejscu obszernego projektu. Wystarczy stwierdzić, że ze stanowiska ogólnego, w porównaniu z istniejącymi stosunkami, stanowi on niewątpliwie krok naprzód. Przedewszystkiem — ułatwia zakładanie szkół; ziemstwa, miasta, gminy zawiadamiają tylko radę szkolną o otwarciu szkoły; osoby prywatne lub stowarzyszenia zawiadamiają o zamiarze otwarcia szkoły, a jeżeli w ciągu mie-

siąca nie otrzymają odpowiedzi odmownej, szkoła może być otwarta. Dalej — do nadzoru i kierownictwa szkół powołane zostają czynniki społeczne; dla każdej, lub dla kilku stwarza projekt t. zw. „opieki“ szkolne, w których, prócz nauczyciela religii, dyrektora, względnie nauczyciela szkoły, uczestniczą przedstawiciele ciała, utrzymującego szkołę, oraz rodziców. W miastach, w ziemstwach powiatowych i gubernialnych mamy rady szkolne, w których uczestniczą przedstawiciele właściwych organów samorządnych. Rady te posiadają kompetencyę dość znaczną, nadzorują szkoły w okręgu, mianują i usuwają nauczycieli, rozstrzygają w sprawie otwierania szkół, stanowią władzę nadzorczą wyżej wymienionych „opiek“, rozpatrują skargi i zatargi różne.

W zastosowaniu do naszych interesów i stosunków, reformy te znaczenia nie mają, bowiem w tych częściach państwa, gdzie samorządu niema, członkowie rad szkolnych są mianowani przez ministra oświaty. A co najważniejsza—język polski, jako wykładowy, jest uprawniony jedynie w szkołach prywatnych, zatem dla nas jest ten projekt zjawiskiem wstecznem, dzisiejsza ustawa bowiem przewiduje obowiązkowe nauczanie języka polskiego w szkołach ludowych ministeryum oświaty. I dlatego projekt powyższy na bliższe, bardziej szczegółowe rozpatrzenie nie zasługuje.

Walka o język polski wypełniła tedy pierwsze posiedzenia Izby; Koło Polskie zmobilizowało do niej kilka sił wybitnych. Pierwszy wystąpił poseł stołeczny, Władysław Jabłonowski, z mową namiętną, która wywołała szerokie echo w całym kraju. Zaznaczył on, że projektowana szkoła jest nam w zasadzie „wroga“, a w organizacyi „obca“, bo „należenie do państwa rosyjskiego wtłacza nas mechanicznie w ramy tej szkoły, lecz niema tu i być nie może łączności organicznej z podstawami.“ Autorowie projektu wychodzą z założenia, że „państwo nie jest zbiorowiskiem istot ludzkich, mających różne interesy i potrzeby, lecz jakąś ideą abstrakcyjną, której składa się w ofierze wszystko, co żyje, jakimś bajecznym, wszystko pochłaniającym Lewiatanem.“ I dlatego—w ich mniemaniu—„olbrzymia część obywateli nietylko nie ma prawa czynić zadość swym legalnym potrzebom, lecz owszem, winna współdziałać swemu własnemu unicestwieniu.“ Tej olbrzymiej części pozwolono tylko korzystać z prawa dawania „pieniędzy na taką szkołę,“ w której „na pierwszy plan wysunięto interesy państwowe i dopiero na drugim umieszczono nauczanie i oświatę...“ „za swe pieniądze otrzymają oni szkołę, która ma na celu unicestwienie ich odrębności i dążeń narodowych, zapomnienie języka ojczystego, a wychowywać moralnie i uszlachet-

niać się pozwala jedynie w duchu cerkwi prawosławnej. Z tego wynika, że ci obywatele-obcoplemieńcy mają jedynie prawo kopać sobie grób własnemi rękami.“ Odpowiadając na twierdzenie pana prezesa ministrów, że Rosya potężnieje, mówca zgadza się z nim, o ile „potęgę Rosyi mierzyć będziemy mocą tej stale zaciąganej pętlicy na szyi podwładnych jej narodowości.“ A konkluzya brzmi, że szkoła ta, o ile wprowadzona będzie w życie, zniewoli nas jedynie do wytężenia wszystkich sił naszych, aby zrzucić z siebie ten martwy balast nauki rządowej.

Zadaniem drugiego z kolei mówcy polskiego, posła ziemi łomżyńskiej, Harusewicza, było wykazanie bezpłodności systemu rusyfikacyjnego, którego objawem jest projekt szkolny, na zasadzie głosów urzędowych rosyjskich. Z zadania tego wywiązał się gruntownie i szczęśliwie. Przypomniał zdanie ministra oświaty, Uwarowa, o nicości rusyfikacyi przez szkołę za panowania Mikołaja I, zacytował zdanie Milutina, że w ciągu lat trzydziestu „nauki nasze (rosyjskie) nie przerobiły żadnego Polaka,“ że ten mąż stanu doszedł do wniosku, iż „należy wyrzec się chybionego w praktyce projektu, aby nauka skarbowa mogła być w Polsce propagatorką przekonań politycznych.“ Pomimo, że pogląd ten zyskał uznanie cesarza Aleksandra II, w siedem lat potem, w roku 1871 ogłoszono rozporządzenie o przymusowem nauczaniu czytania i pisania po rosyjsku. Potem nastąpiły rządy w szkole Apuchtina, tak charakteryzowane w raporcie generał-gubernatora Hurki: „W szkole rządowej dziecka polskiego nietylko nie traktuje się z miłością, lecz wprost wrogo. Czyni mu się zarzuty z powodu jego pochodzenia polskiego, obraża jego uczucia narodowe, jego religię traktuje się z pogardą. Taki nielitościwy stosunek do dziecka, oczywiście, nie może w niem rozwinąć miłości do Rosyi, owszem, może od lat najmłodszych budzić w niem nienawiść do wszystkiego, co jest rosyjskie, do tego, co w najpiękniejszych latach jego życia było powodem tylu niezasłużonych zniewag i gorzkich łez.“ Mimo to wszystko, ten tylekroć potępiany system szkolny trwa, a rezultatem jego jest niesłychane obniżenie poziomu nauczania we wszystkich szkołach rządowych początkowych w Królestwie. I znajduje swój wyraz w najnowszym projekcie. Czytamy tam: „W szkołach dopuszczone jest używanie języka polskiego, jako wykładowego, przez pierwsze dwa lata nauki.“ Jak dalece wyrażenie „jest dopuszczone“ nie odpowiada doniosłości przedmiotu i godności prawodawstwa, jak dalece to wyrażenie jest elastyczne w smutnych warunkach naszej realnej rzeczywistości, w których u nas wogóle wegetuje szkolnictwo,

o tem świadczą szeregi okólników, które poseł Harusewicz odczytuje z trybuny; świadczą one, że władze szkolne Królestwa potrafią poradzić sobie z tem, co jest tylko „pozwolone i dopuszczalne.“ A motywy projektu? Opierają się na konieczności poznania języka urzędowego przez wszystkich obywateli państwa, przy umyślnem zapomnieniu, że, jak stwierdza życie, przymus tej znajomości nie daje. Opierają się dalej na tem, że wszystkie języki ojczyste nazwane zostały „obcymi“ i tak np. w Polsce, wedle autorów projektu, „ojczystym“ językiem ludności jest język rosyjski, „obcym“ zaś—polski. Rezultaty są niewątpliwe. Przyłączenie do kultury rosyjskiej narodu polskiego, narodu historycznego, z taką wielowiekową kulturą narodową, jest niemożliwe. A czyż możliwe jest wogóle wytępianie wielkiej kultury, skoro w Polsce niema innej kultury, oprócz narodowej polskiej, tak pod względem swojego ducha, jak i formy?“ Takie pytania rzuca poseł polski. A odpowiada mu źródło urzędowe, dziennik komitetu ministrów: „Naturalnie, celem rządu nie może być rusyfikacya Polaków, ani ich wynarodowienie. Takie zadanie wobec narodu, który długo żył życiem samoistnem i oddawna przyłączył się do kultury zachodnio-europejskiej, który za jej pomocą wytworzył swoją samobytność i rozwinął w wysokim stopniu swój język i literaturę, jest niewykonalne. Trudno wskazać, jakimi środkami można przymusić do utraty swojej narodowości naród wielomilionowy, który zbitą masą żyje na terytoryum kraju, w którym przedstawiciele innych narodowości nie dosięgają znacznej liczebności.“ Tak mówił komitet ministrów... w r. 1905-ym. A dziś... przedstawia streszczony wyżej projekt szkolny. Czy my zmieniliśmy się, czy czasy?

W imieniu najbardziej, bo bezpośrednio zainteresowanych w projekcie warstw ludu polskiego mówił poseł Nakonieczny: „I przy rozpatrywaniu obecnego projektu wynika pytanie: czy i w jakim stosunku i mierze obecny projekt urzeczywistnia głośne i powszechnie znane konieczności reformy szkolnictwa w Królestwie Polskiem w zestawieniu z żądaniami i naturalnemi, nieodzownemi potrzebami ludu polskiego? Otóż w odpowiedzi na to, z treści projektu widzimy, że potrzeby i wymagania ludu naszego zupełnie pominięte zostały, a twórcy reformy nawet pod uwagę wziąć ich nie raczyli. Głos ośmiu milionów ludu polskiego pozostał głosem wołającego na puszczy! Ciężko zapracowane i płacone przezeń pieniądze w postaci podatków—nie na jego pożytek, nie na jego dobro duchowe i nadal obracane będą! Nad mocnem wezwaniem ludu polskiego, by sprawiedliwe i naturalne

jego prawo przyznane mu było, projektodawcy przechodzą do porządku dziennego! A tymczasem prywatne nauczanie u nas było karane, jako przestępstwo! Elementarz polski był uważany, jako narzędzie zbrodni! Towarzystwa oświatowe zniweczono, niby siedliska zarazy!... Pomiędzy narodem a dążnością jego do kształcenia się rząd wytwarzał przegrodę, dzielącą go od nauki w postaci muru chińskiego, którym był obcy ludowi naszemu język rosyjski, i tym murem, jak gdyby czarnym kirem, przesłaniano mu to światło wiedzy, olśniewające swym blaskiem wszystko na świecie. I krzywdzono nas tem bezmiernie, bo pomiędzy życiem i nauką nie powinno być żadnej ściany. I nietylko przez całe minione dziesiątki lat wyrywano nam, wypaczano to największe, najświętsze, Najwyższym Ukazem Cesarskim zatwierdzone prawo do życia i rozwoju — lecz nowe prawo świadczy wymownie, że i nadal to samo dziać się będzie."

Wreszcie ks. Maciejewicz szeregiem argumentów zwalczał tendencyę rusyfikacyjną projektu, zwracał uwagę, że język państwowy nie jest cementem, spajającym różne ludy państwa w jedną potężną budowlę, lecz raczej tynkiem zewnętrznym, maskującym jednolitością tonu tworzące się w murze szczeliny, z jakich powstają przepaście.

Mowy te posłów naszych może dlatego, że na niewzruszonych fundamentach oparte, nie znalazły odgłosu ani na lewicy, ani na prawicy zgromadzenia. Bo lewica zajęta była walką z klerykalizmem prawosławnym, ze stosunkiem nowego ustroju szkolnego wobec szkół cerkiewno-parafialnych, prawica zaś coraz częściej, w coraz większej ilości spraw, mając zapewnioną większość dla wszelkich projektów nacyonalistycznych, trzyma się taktyki lekceważenia głosów opozycyjnych. Jedynym jej mówcą był głośny poseł Aleksiejew; wśród powodzi banalnych i kłamliwych insynuacyj i utyskiwań poruszył on sprawę głośną, przez prasę nacyonalistyczną rosyjską dla wytworzenia w rozprawach wrogiego Polakom nastroju sztucznie rozdętą, której obszerniejsze uwagi poświęcić trzeba.

*

* *

O kilkanaście wiorst od Stryja, nad rzeką Stryjem, w Galicyi wschodniej leży wieś Żulin. Przeważają tu znacznie Rusini, to też szkoła miejscowa posiada język wykładowy ruski na wszystkich szczeblach i we wszystkich przedmiotach; język polski, jako drugi język krajowy, wykładany jest trzy, cztery razy tygodniowo. Nauczycielami szkoły są p. Greiss i jego żona, pedagodzy starej daty, a więc surowo przestrzegający karności wśród dzieci, prowadzący jednak szkołę tak dobrze, że, chociaż nie Rusini, otrzymali jednak, na wniosek inspektora okręgowego, Rusina, pochwałę i nagrodę pieniężną. Miejscowym działaczom było jednak nie na rękę, że nauczyciel nie był Rusinem i postanowili go skompromitować.

Między innemi dziećmi, uczęszczał do szkoły mały Kochańczuk, dziecko wątłe i słabowite. Kiedy po krótkiej chorobie zmarł, śmierć jego wydała się podejrzaną miejscowemu żandarmowi, nieprzyjacielowi nauczyciela, który zameldował o tem władzy swojej. Równocześnie rozpuszczono pogłoskę, że dziecko zmarło skutkiem katowania przez nauczyciela. Czy było nawet—jak opowiada matka—lekko karcone przez p. Greissa za niewłaściwe zachowanie się podczas lekcyi — to stwierdzi dopiero śledztwo dyscyplinarne; dziś już obdukcya sądowo-lekarska stwierdziła, że Kochańczuk zmarł na zapalenie mózgu na tle gruźliczem, a więc na chorobę, pozostającą bez żadnego zgoła związku z takiem czy innem zachowaniem się nauczyciela.

Tak się przedstawia sprawa żulińska w świetle niezbicie stwierdzonych faktów i danych urzędowych. Tymczasem „Nowoje Wremia“ rozdęło kłamliwie wypadek do rozmiarów „polskiej Wrześni,“ do męczeńskiej śmierci dziecka rusińskiego, skatowanego przez nauczyciela Polaka za odmowę modlitwy polskiej! Podniesiono falę sztucznego oburzenia, biskup Eulogiusz odprawił nabożeństwo za „ofiarę“ polską, z biednego, Bogu ducha winnego, chłopczyny chorego zrobiono męczennika idei. Rzecz charakterystyczna, że do miejscowych (lwowskich) gazet rusińskich, oburzenie przedostało się *via* Petersburg, na miejscu bowiem opinia była zupełnie spokojna; charakterystyczne jest jeszcze i to, że Kochańczykowa sama ogranicza się tylko opowiadaniem o pobiciu i nastraszeniu dziecka; o „odmówieniu modlitwy polskiej“ nie mówi nic, bo niktby jej oczywiście nie uwierzył; wszyscy wiedzą, że w szkołach ruskich w Galicyi modlitwa odmawiana jest po rusku.

Z uznaniem stwierdzić trzeba, że społeczeństwo polskie zrobiło wszystko, co zrobić mogło dla zupełnego wyświetlenia spra-

wy. Obowiązek swój spełniły i władze krajowe i urzędowi przedstawiciele społeczeństwa, posłowie po tej i tamtej stronie granicy, i prasa wreszcie, która delegowała na miejsce wypadku umyślnych sprawozdawców. I okazało się, że śmiało, bez żadnych wyrzutów sumienia, możemy prawdzie spojrzeć w oczy i uznać się zbiorowo za zupełnie niewinnych. Płynie stąd tylko zadowolenie sumienia własnego, bo wrogowie nasi są potężni i, o ile zechcą, kłamliwe wieści o „polskiej Wrześni“ po świecie kolportować będą, tembardziej, że mimo wielokrotnych prób i usiłowań, nie zdołaliśmy dotąd stworzyć agencyi informacyjnej polskiej, pozwalając, aby świat dowiadywał się o wypadkach na ziemiach polskich ze źródeł zawsze nam obcych a najczęściej wrogich.

*

* *

Tę właśnie sprawę żulińską poruszył w mowie swojej w dyskusyi oświatowej poseł Aleksiejew, uważając za wielki atut polemiczny twierdzenie, że w dziejach szkolnictwa rosyjskiego niema ani jednego podobnego, bezprzykładnego, strasznego wypadku. Spotkał się on ze świetną repliką posła Żukowskiego, który z dokumentami w ręku stwierdził kłamliwość pogłosek, rozpuszczanych o sprawie żulińskiej. Działacze rosyjscy zajmują się tu „niechlujną polityczną garkuchnią“: „ustawa antypolska—to potrawa; odpowiednie nastrojenie opinii rosyjskiej, rozbudzenie nienawiści względem Polaków, to—przyprawa.“ „Sprawa żulińska i wogóle kwestya szkół początkowych w Galicyi—mówił dalej poseł piotrkowski—napróżno została przez posła Aleksiejewa wciągnięta do rozpraw w Dumie, i dlatego napróżno, panowie, że właśnie w galicyjskiej szkole początkowej niema tego ostrego momentu narodowościowego, z którym my walczymy tu, przy projekcie prawa. W Galicyi wre zacięta walka narodowościowa o władzę polityczną, o rozwój ekonomiczny, o szkołę wyższą, ale właśnie o szkołę początkową niema tam wcale walki zaciętej.“ Stwierdził wreszcie, że „Rusinom w Galicyi powodzi się lepiej, aniżeli nam w Królestwie Polskiem“ i na poparcie swego zdania przytoczył opinię gen. Kuropatkina z książki jego „Zadania armii rosyjskiej“: „Sądzę — mówi on—że gdyby Rusinom w Galicyi zaproponowano do wyboru albo zostać pod władzą Austryi, albo przejść wraz z zie-

mią do poddań twa rosyjskiego, to przy powszechnem głosowaniu wypadłby rezultat dla Rosyi niekorzystny. Wypowiedzianoby wiele pięknych słówek, ale odmówionoby zerwania łączności z tem otoczeniem historycznem, w jakiem Rusini żyją po za poddaństwem rosyjskiem, nie tracąc swej narodowości, już z górą 600 lat."

Z następnych wystąpień, już w szczegółowej debacie szkolnej, przy tych artykułach, które traktują o językach miejscowych w szkole, na podniesienie zasługuje świetna mowa bar. Meyendorffa, którego o separatyzm nikt chyba posądzić nie może, zważywszy na pochodzenie jego z rodziny, która wydała licznych działaczy państwowych. I jego, jako przedstawiciela zawsze lojalnej Kurlandyi, mógł przestraszyć nacyonalizm projektów rządowych, nie czytanego zwłaszcza, ale już wypracowanego projektu o szkolnictwie prywatnem. Zawiera on liczne ograniczenia, nawet w stosunku do istniejących, zezwala bowiem na wykład wszystkich przedmiotów w języku ojczystym uczniów, tylko w zakładach niższych, do których uczęszczają dzieci tylko; w wyższych zakładach (jakich, projekt nie mówi; wolno przypuszczać tu wyższe klasy szkół średnich) wszystkie przedmioty, prócz religii i języka uczniów, mają być wykładane po rosyjsku; wreszcie w średnich zakładach naukowych mamy ograniczenie już stosowane obecnie, o wykładzie historyi i geografii po rosyjsku, przez prawosławnych jedynie. Dla nas to nie nowość, jak i nie są niespodzianką ograniczenia dalsze; ale jest nowością dla Kurlandyi. Zrozumiałe jest zatem zaniepokojenie mówcy, który przestrzegał, że w ograniczeniach szkolnych nie można opierać ograniczeń, na płatnych siłach nauczycielskich, na *prawomyślnych czynownikach*. Ze względu na osobę mówcy słuchano go uważnie, oklaskiwano nawet, ale oczywiście i te słowa są grochem, o ścianę rzucanym.

Point de réveries! — oto okrzyk bojowy, który rozlega się nieustannie w stosunku do nierosyjskich narodowości państwa. Rozległ się także z ust nowego ministra oświaty, Kasso. Ironia losu chce, żeby i p. Kasso był obcoplemieńcem (Rumunem z Bessarabii), zresztą zupełnie przystosowanym do wymagań państwowości; pierwszy występ nowego ministra w tak ważnych rozprawach szkolnych zrobił ogólnie dosyć nikłe wrażenie. Jakiegoś popchnięcia sprawy oświaty w olbrzymiem państwie spodziewać się po nim niepodobna.

Ponieważ wśród ludów obcoplemiennych najwybitniejsze stanowisko zajmują Polacy, na nasz koszt przedewszystkiem święcą

tryumfy zastępy nacyonalizmu państwowego. Do kancelaryi Izby wpłynęła nowa opracowana przez rząd ustawa wyjątkowa przeciw Polakom. Jest to obostrzenie przepisów z r. 1895-go, dotyczących zakazu nabywania ziemi na Rusi. Zakaz dotyczy osób wyznania nie prawosławnego, a wniosek różni się tem od stanu obecnego, że rozciąga się nietylko na nabywanie ziemi, ale i na spadkobranie. Mianowicie, spadkobranie dozwolone jest tylko w linii zstępnej i między małżonkami; we wszystkich innych wypadkach spadkobierca musi sprzedać majątek w ciągu lat trzech. Nowy projekt zakazuje dalej zawierania umów dzierżawnych z przybyszami z poza granic gub. kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej, o ile ci nie wyznają religii prawosławnej. Skoro zatem stanie się prawem, tysiące umów dzierżawnych nie będą mogły być odnowione, co się da we znaki nietylko właścicielom majątków, ale i nader licznym, zwłaszcza na Wołyniu, dzierżawcom-osadnikom czeskim i niemieckim. Takie będą jego skutki; ale ostrze skierowane jest przedewszystkiem przeciw ekspansyi polskiej, przeciw możliwości parcelowania majątków między włościan polskich.

Dwie komisye zajmują się sprawami naszemi: samorządowa i chełmska. Ale jakaż różnica w postępowaniu! Mimo wszelkich usiłowań na samorządzie miejskim kraj nasz zyskać może, zatem wskazane jest możliwe odwlekanie sprawy; stąd komisya samorządowa traci umyślnie czas na rozprawy jałowe i nieustannie odwołuje się do różnych instancyj i podkomisyj o rzekome nowe wyjaśnienia szczegółów. Komisya chełmska — przeciwnie — pracuje z szybkością gorączkową; zwolennicy wyodrębnienia niechętnie słuchają uwag przeciwników, a chcąc za wszelką cenę oszczędzić czasu, zupełnie na nie nie odpowiadają. Uchwały ograniczające sypią się, jak z rogu obfitości: zniesiono prawo z r. 1881, nakazujące szanowanie świąt katolickich według nowego stylu; zniesiono wszystkie, tak szczupłe zresztą, prawa języka polskiego, jako to: nauczanie go w szkołach miejskich, fakultatywność w szkołach średnich; podkomisya idzie tu dalej, niż ograniczenia, obowiązujące dziś w stosunku do języka polskiego na Litwie i Rusi. Nowa gubernia nie ma należeć do żadnego z istniejących generał-gubernatorstw, lecz ma być wprost zależna od władz centralnych; pod względem wymiaru sprawiedliwości ma być zaliczona do okręgu izby sądowej kijowskiej. Taki jest plon pracy dotychczasowej, której przeszkadzają—jak twierdzi „Nowoje Wremia“—tylko posłowie polscy.

Wedle dawniejszych oświadczeń rządu, zaprowadzenie samorządu ziemskiego w Królestwie jest uwarunkowane wyodrębnieniem ziemi Chełmskiej. W zakresie ogólnopaństwowym słyszeliśmy także lapidarny program: „uspokojenie, a potem reformy.“ Uspokojenie nastąpiło już dawno, zapowiedzianych reform nie widać. Zapewne można będzie zastosować to samo do wymienionych obietnic. Tymczasem zaś wystąpili z projektem własnym— październikowcy. Wedle jego brzmienia ma obowiązywać w Królestwie ustawa o ziemstwach z r. 1890, z tą tylko różnicą, że wybory będą bezstanowe, dokonywane częściowo przez zebrania gminnne, częściowo zaś przez specyalne zgromadzenia wyborcze; ziemstwa mają być gubernialne i powiatowe, przyczem Warszawa i Łódź mają być wyodrębnione w osobne jednostki ziemskie, z prawami ziemstw powiatowych; w biurowości wewnętrznej ziemstw dopuszczalny jest język polski. Projekt ten, zupełnie nie opracowany, nie pogłębiany, przytaczamy tu jako *curiosum*, na zakończenie kroniki Izby. Znaczenia praktycznego nie posiada ten krok żadnego. Jako manewr polityczny, jest bardzo wątpliwej wartości. Czyżby październikowcy uważali dotąd jeszcze Polaków za tak naiwnych, że projekt powyższy zyska ich uznanie? Gdyby tak było, wystawiliby *testimonium paupertatis* swemu rozumowi politycznemu. Nie pierwsze zresztą i z pewnością nie ostatnie.

*

* *

W czasie gdy w Petersburgu komisya samorządowa odwleka sprawę samorządu miejskiego, a kadeci obdarzają nas nieziszczalnym samorządem miejskim, w Warszawie zdarzyła się sposobność do ciekawego wysondowania opinii co do ograniczeń Żydów w samorządzie. Przy Towarzystwie Pracy Społecznej istnieje komisya spraw krajowych, której skład jest dowolny. Na ostatniem posiedzeniu tej komisyi, po długich rozprawach na temat ograniczenia Żydów w samorządzie, ktoś zaproponował głosowanie próbne, do niczego nie obowiązujące, a rezultat był taki, że na 47 obecnych członków 33 oświadczyło się za ograniczeniami, a tylko 14 przeciw.

Nasze stanowisko w tej sprawie uzasadniliśmy już poprzednio, więc powracać do niego nie będziemy. Nie nadajemy specyalnego znaczenia owemu głosowaniu; rozumiemy przeciwników, którzy przerazili się następstw oświadczenia się Polaków za jakiemikolwiek ograniczeniami wogóle; nie przeceniamy inwektyw, inspirowanych przeważnie przez Żydów; chodzi nam o coś zgoła innego: o nieprzyzwoity ton wobec spraw naszych ze strony prasy liberalnej rosyjskiej, zwłaszcza organu urzędowego kadetów, „Rieczi.“ Ton ten jest taki arogancki, tak widoczne wtrącanie się do naszego życia wewnętrznego, że wywołał protesty wybitnych Polaków, pochodzenia żydowskiego, którzy zrozumieli, że wystąpienia podobne mogą tylko zaognić zatarg i nie przyczynią się bynajmniej do polepszenia położenia Żydów w Królestwie.

Właściwością każdego doktryneryzmu liberalnego jest przykładanie jednej miary do wszystkich stosunków, nawet tak bezprzykładnych, jakie panują w Królestwie. Zwrócić jeszcze wypadnie uwagę i na przemożny wpływ Żydów w obozie liberalnym rosyjskim. Na terytoryum ziem dawnej Rzeczypospolitej wymieciono proletaryat żydowski, drobne i średnie kupiectwo, w rdzennej Rosyi zaś zostali bogacze i Żydzi, posiadający dyplomy uniwersyteckie. Bogactwo otworzyło im drogę do prasy; dyplomy— do stanowisk wyzwolonych. Stąd objaw na pozór dziwny: olbrzymia rola, odgrywana przez Żydów w państwie. Przez prasę, przez ofiarność, zawładnęli częścią opinii i partyami politycznemi; a wpływ swój wyzyskują na swoją korzyść.

Za głosami idą czyny. W Izbie poczynają kadeci polskiej polityce przeszkadzać. Przy dyskusyi szkolnej poprawka, żądająca większych praw w szkołach dla języków polskiego i niemieckiego obalona została głosami lewicy, rzekomo w imię sprawiedliwości, choć przecież te dwa języki posiadają chyba nieco donioślejsze znaczenie, niż inne narzecze *inorodcze*. Kiedy teraz Koło Polskie nie chciało głosować przy wyborach na prezesa Izby przeciw Guczkowowi, lecz wolało wstrzymać się od głosowania, rozpuszczono pogłoskę, że stało się to wzamian za obietnicę odwlekania sprawy Chełmskiej, pogłoskę świadomie złośliwą, ponieważ może wywrzeć skutek wręcz przeciwny. W komisyi samorządnej kadeci stawiają poprawki nader radykalne, aż do głosowania powszechnego włącznie, jakby w nadziei, że tą drogą uda się ubić samorząd miejski dla Królestwa.

Nie wpłyną te fakty oczywiście na stanowisko opinii naszej w stosunku do najżywotniejszej sprawy naszego życia wewnętrznego, natomiast mogą i muszą jej otworzyć oczy na prawdziwą

rolę liberalizmu rosyjskiego w stosunku do nas. Podlegamy zewnętrznemu, materyalnemu naciskowi rządu; wewnętrzne, moralno-ideowe życie nasze pragniemy uchronić od wpływów obcych i regulować je względami na interes własny. Objawiająca się teraz żądza liberalizmu rosyjskiego panowania nad nami, rządzenia u nas, interesom żydowskim nie pomoże, a stanowisko tego liberalizmu w opinii naszej podkopie.

*

* *

Po długich naradach zdecydowały się stronnictwa Sejmu galicyjskiego na kompromis w sprawie reformy wyborczej. Według projektu Sejm ma liczyć 192 posłów, z których 46 Rusinów, a mianowicie: 15 wirylistów (1 Rusin), 44 z kuryi większej własności (1 R.), 36 z kuryi miejskiej (2 R.), 3 z izb handlowych, 2 z izb rękodzielniczych, 10 z kuryi głosowania powszechnego w miasteczkach (2 R.), 80 z kuryi gmin wiejskich (38 R.). Jakiekolwiek zarzuty możnaby stawiać temu projektowi, przyznać trzeba, że jest pożądanym krokiem naprzód. A zdawało się, że zostanie przyjęty, wobec nastroju pojednawczego, jaki w przedwstępnych naradach okazali Rusini.

Stało się inaczej. Zjazd delegatów stronnictwa ukraińskiego polecił posłom, aby zażądali dla Rusinów 40% ogółu mandatów, trzech miejsc w wydziale krajowym, z których jedno urzędującego zastępcy marszałka, wreszcie podziału na kurye narodowościowe wszystkich ogólno-krajowych instytucyj kulturalnych. Warunki te były nie do przyjęcia i zostały też odrzucone. Wskutek tego rozpoczęli posłowie ruscy barbarzyńską obstrukcyę, polegającą na przeszkadzaniu obradom przez piekielny hałas, muzykę na trąbach, piszczałkach, dzwonkach, rozrzucanie pękających kulek z siarko-wodorem i t. d. Nic to nie pomogło. Po regulaminowych pięciu posiedzeniach, na których posłowie przemawiali tylko dla stenografów, budżet został uchwalony. A kiedy spełzły na niczem błagania przez posłów ruskich marszałka i namiestnika o pośrednictwo, zwłaszcza gdy nadeszło z Wiednia stanowcze ostrzeżenie, że taktyki tej rząd centralny przeciw Polakom popierać nie będzie, a zaraz potem, jakby na skinienie różdżki czarodziejskiej, zmieniła odrazu front przeciw Rusinom cała prasa

wiedeńska — obstrukcyi trzeba było zaniechać. We względnym spokoju przyjęto uchwałę, że komisya reformy wyborczej ma opracować projekt na podstawie przytoczonego wyżej kompromisu, ale tymczasowo jeszcze bez rozdziału mandatów na rzecz obu narodowości, poczem niezwłocznie Sejm zostanie zwołany, burzliwą sesyę 18 listopada zamknięto. Możnaby dodać: wszystko dobrze, co kończy się dobrze. Niestety — do końca jeszcze daleko.

*

* *

W ubiegłym miesiącu stwierdzić można było barbarzyństwo obyczajowe w Galicyi, niestety, nietylko ze strony ruskiej. Część młodzieży polskiej dała ujście dzikim instynktom i to ta część właśnie, która w swojem przekonaniu kroczy na czele społeczeństwa polskiego, nazywająca się wolnomyślną, a nie umiejąca szanować wolności słowa i poglądów.

Na katedrę socyologii chrześcijańskiej zaprosił senat uniwersytetu Jagiellońskiego ks. d-ra Zimmermana, znanego i zasłużonego działacza poznańskiego, jednego z pomocników nieodżałowanego ks. Wawrzyniaka. Każdy człowiek cywilizowany, jakiekolwiek byłyby jego przekonania, uchyla w takim wypadku czoła przed decyzyą senatu, najbardziej chyba kompetentnego w ocenie kwalifikacyj naukowych kandydata, którym w danym wypadku jest wybitny praktyk społeczny, mogący właśnie nauczyć młodzież dróg i środków praktycznej polityki społecznej. Inaczej oczywiście rozumują dzicy—w danym wypadku wolnomyślni studenci uniwersytetu Jagiellońskiego. Sutanna działa na nich widocznie, jak czerwona chustka na byka. Więc na pierwszy wykład nowomianowanego profesora zeszła się zgraja studentów i nie studentów, aby hałasami i wrzaskiem wykładowi przeszkodzić. Profesor wytrwał na stanowisku, a rezultatem była bójka, wywołana przez manifestantów i skandal niebywały.

Mamy tu wymowny przykład tolerancyi t. zw. żywiołów wolnomyślnych; daje on przedsmak tego, czem byłyby ich rządy opinii: wolność myśli tylko dla siebie, dla innych, miast argumentu—gwałt i kij. Organizatorem burdy było „towarzystwo etyczne“; etyka jest wprawdzie synonimem moralności, ale od czasu, kiedy w naszym języku w pewnych kołach zastąpiła wyraz „mo-

ralność," stała się sztandarem, pod którym wolno przemycać wszelkie nadużycia. Ostatnie burdy krakowskie są wymownym dowodem obniżenia poziomu obyczajowego. Nieposzanowanie swobody słowa i myśli jest wystąpieniem haniebnem, bez względu na to, skąd wychodzi i przeciw komu jest wymierzone.

Pośrednia odpowiedzialność za wypadki spada oczywiście nie na młodzież, która dała tylko folgę instynktom tłumu, ale na tych, którzy systematycznem szczuciem na kościół i księży stwarzają atmosferę rozjuszenia, w której zajścia podobne stają się możliwe. Mają oni oczy ku patrzeniu, a nie widzą. Nie widzą, że ostatnie lata walk religijnych we Francyi podzieliły naród francuski na dwa zaciekle zwalczające się obozy, że dziś radykaliści, którzy to wywołali, o ile są mądrymi politykami, sami zmierzają do uspokojenia. A społeczeństwo francuskie bogate, oświecone, nadewszystko niezależne, może sobie ostatecznie pozwolić na pewną utratę sił w wojnie domowej. Cóż dopiero my, słabi, podlegli, ubodzy intellektualnie? Ci z nas, którzy dla takiego rozdwojenia naszego narodu pracują, pracują naprawdę tylko... dla króla pruskiego — symbolu wszystkich naszych licznych i potężnych wrogów.

*

* *

Mistrza pieśni polskiej, Francuza z pochodzenia, Polaka z duszy i uczucia—czcił Lwów w stuletnim roku jego urodzin. Stolica nadpełtwiańska wysuwa się coraz bardziej na czoło w uroczystościach narodowych. Szopena—uczciła świetnie i godnie, w tłumie licznych gości z całej Polski.

Sławiły go jej pierwsze usta, znakomici mówcy, sędziwy, szanowny starzec, głośny z porywającego krasomówstwa, Stanisław Tarnowski i równie wielki orator, jak muzyk, Ignacy Paderewski. Więc mówiono o Szopenie, że jest uzupełnieniem i streszczeniem trzech wielkich wieszczów narodowych, że muzyka jego od duszy idzie do duszy, zawsze równie świeża, zawsze równie natchniona, że jest wiecznotrwałym dowodem, jako u nas „pieśń uszła cało..." A Ignacy Paderewski w natchnionych słowach podnosił cechy narodowe twórczości Szopena, snując piękne porównania, obrazy, jakie nasuwają się słuchaczowi jego utworów, na

bardzo wysokim poziomie, potrącając nieustannie o najżywotniejsze sprawy narodowe...

Rozległy się potem tony starego *Te Deum* Elsnera, pisane na uroczystą chwilę obwołania Królestwa Kongresowego przez nauczyciela, który w uczniu swoim pierwszy geniusz rozpoznał... I tak złączyły się w obchodzie lwowskim stare i młode lata. Jak w pieśni...

Potem koncerty, przyjęcia, zjazd muzyków. Mniejsza o nie; znane są wszystkim ze sprawozdań obszernych. Ważniejsza, że na całym obszarze ziem polskich, gdzie tylko rozlega się dźwięk pieśni ojczystej, wszystkie serca biły zgodnie ze szczęśliwymi uczestnikami obchodu, w głębokiej czci dla mistrza. Szopen umiał osiągnąć dwa rezultaty, zazwyczaj sprzeczne, a nie dla wszystkich nawet geniuszów dostępne, że, będąc jednym z największych muzyków świata, jest również jednym z najpopularniejszych, najbliższych sercu każdego. Tajemnica tkwi w bezpośredniości wyrazu uczucia. Czy dzieło jego rozbrzmiewa tryumfalnym akcentem poloneza, czy łka szlochem żalu wiecznego rozstania, czy niza perły uczuć smętnych, figlarnych w mazurkach, czy głęboki oddaje smutek w nokturnach i preludyach—zawsze wydobywa z duszy słuchacza ukryte głęboko, nieświadome siebie uczucia, dochodzące dopiero do świadomości pod jego czarodziejskim wpływem. I dlatego — obok wykwintnych znawców — wolno hołd złożyć i profanom, złożyć hołd, jako duszy blizkiej, choć wielkością niedosiężnej, braterskiej przecież. I za Paderewskim powtórzyć wyrazy hołdu temu, co „na niwach pokoju zapewnił zwycięstwo myśli polskiej,“ co „dziełami okrytemi kwieciem najcudniejszem świat zdobył dla Polski.“

„O wielka, święta przeszłości, któraś go wydała, bądź błogosławiona!“

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. ks. Piotr Wawrzyniak.

„Niemczyznę oraz ideę państwową zwalczał czynami. Szkodził niemczyźnie i państwu więcej, niż którybądź inny Polak, bo był organizatorem stanu średniego Polaków. On wspierał ten dźwigający się stan, on wzmacniał go finansowo i dawał mu gospodarczą tężyznę, on w tej samej mierze, o ile mógł, szkodził niemieckiemu stanowi średniemu i położenie jego pogarszał.“

Tak o zmarłym przedwcześnie proboszczu z Mogilna pisze pismo hakatystyczne, *Posener Tageblatt*. I pisze słusznie. Wieść o śmierci ks. Wawrzyniaka wywraca wszelkie teorye, że ludzi niezastąpionych niema. Są widocznie, bo on do nich należał: strata to dla Wielkopolski, a więc i dla Polski całej, czujemy się bowiem jednością, niezastąpiona — nie dlatego, by nie było komu poczętego i mocno przez nieboszczyka postawionego dzieła prowadzić, ale dlatego, że nikt nie potrafi tego czynić z taką genialnością, z taką potęgą pracy i energii, nikt nie zdoła sobie zaskarbić tej powagi i tego posłuchu, co nieodżałowany zmarły.

Przed dwoma miesiącami, w kronice *Biblioteki* sławiliśmy jego zasługi. Gdzie czytają i sylabizują wyrazy polskie, wszędzie sławiono go corocznie z okazyi dorocznej rewii sił ekonomicznych społeczeństwa wielkopolskiego, Sejmiku Związku spółek zarobkowych. Pamięć wywołuje dziś postać tego, który jeszcze tak niedawno w pełni sił i zdrowia Sejmikowi dzielnie i rozumnie przewodniczył, aż padł przedwcześnie, w pełni tych sił, jak mocarny dąb złośliwą burzą podcięty. Przed widzącymi wstecz oczyma duszy staje ta postać potężna, olbrzymia, o obliczu, z którego biła siła niezłomna i wytrwała, mocna wiedza, dokąd i jak

iść należy. I widzimy go jak w skromnej kancelaryi księgarni równocześnie rozmawia z ciekawym, nauki żądnym gościem z Warszawy, równocześnie interesantów załatwia i dziesiątki listów w najróżnorodniejszych sprawach pisze. Do najenergiczniejszych, najbardziej wytężonych w działaniu typów społeczeństw anglosaskich trzebaby sięgać o porównanie.

Czegoż ten człowiek nie robił! Znane i jeszcze raz znane są określenia, które przecież nad świeżą mogiłą powtórzyć trzeba, słowa wielbiącego wroga, prof. Bernharda: „polski minister skarbu, ten, który, gdyby był urodził się Niemcem, byłby ministrem skarbu pruskiego.“ To określenia z banku, ze Związku spółek; a dodajmy jeszcze prowadzenie stowarzyszenia księży „Unitas,“ postawienie na pierwszorzędnej stopie drukarni i księgarni św. Wojciecha, prezesurę w prowincyonalnym, następnie w centralnym komitecie wyborczym, z którego mądra, szerokie horyzonty ogarniająca głowa, chciała zrobić naczelną władzę narodową. I w polityce zdradzał te same potężne uzdolnienie, chociaż to nie była jego dziedzina właściwa. Z aforyzmu historycznego męża stanu: „dajcie mi dobre finanse, a dam wam dobrą politykę“ — on za swoją uznawał część pierwszą: zakładał podwaliny bytu ekonomicznego. To był jego dogmat. A że całą siłą mu służył, mniejsza czem był w polityce, zapewne zachowawcą, realistą, w najlepszem, bo twórczem słowa tego znaczeniu. Mniejsza— bo nie było za życia i nad zaledwie przysypanym grobem niema stronnictw w ocenie działalności ks. Wawrzyniaka; jedna powaga, jedna troska, jeden żal wszystkie serca polskie przepełnia.

Dziecię ludu — był jakby widomym symbolem, że z ludu tego, z nagromadzonej tam masy spokojnej, trzeźwej energii idzie odrodzenie ojczyzny. Urodził się ks. Piotr Wawrzyniak w r. 1849 we wsi Wyryce pod Śremem, w chacie włościańskiej. Studya teologiczne odbył w Monasterze, gdzie też wyświęcony został na kapłana w r. 1872; był proboszczem w Śremie, do r. 1898, potem w Mogilnie—aż do końca.

W r. 1891 został Patronem Związku spółek. Zamiast frazesów rzućmy na trumnę tego działacza garść cyfr: kiedy to stanowisko obejmował, po trzydziestu latach pracy jego poprzedników, było w Poznańskiem 76 spółek, liczących 27,600 członków, 3 miliony udziałów, 12½ miliona depozytów i 1¼ miliona rezerw. Dziś, kiedy zeszedł z pola, do Związku należy 248 spółek ze 124 tys. członków, 23 milionami udziałów, 200 milionami depozytów, 10 milionami rezerw, a Bank Związku, założony w r. 1885

i nikle wegetujący, ma dziś 40 milionów majątku. Taki jest plon jednego życia, tego mógł dokonać jeden człowiek!

To nie wszystko jeszcze. Był Patronem, niezmordowanym rewidentem, świetnym popularyzatorem nauki o spółkach, genialnym finansistą publicznym — przedewszystkiem. Inne pola pracy wymieniliśmy wyżej. A jeszcze ś. p. prałat Wawrzyniak był prezesem oddziału społeczno-ekonomicznego poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, prezesem Związku fabrykantów polskich na Rzeszę Niemiecką, jednym z założycieli i kierowników Związku stowarzyszeń katolickich robotników polskich, założycielem Towarzystwa księgarzy i wydawców polskich. To jeszcze z pewnością nie wszystko.

Nad grobem człowieka takiej rzetelnej zasługi i takiej żelaznej pracy brak słów dla wyrażenia żalu i poczucia straty; pod pióro ciśnie się przekleństwo śmierci, tak bezlitośnej dla nas w tym strasznym roku. Ubył z pośród nas jeden z większych Polaków współczesnych; zostawił w dziejach pomnik. Rodacy nasi w Prusach bronią się przeciw Niemcom skutecznie, oparci o mocne pozycye ekonomiczne. A że placówki są mocne, w tem ś. p. ks. Piotr Wawrzyniak *pars magna fuit.* To po nim pozostaje, tego mu potomni nie zapomną—temu odrodzicielowi ekonomicznemu najstarszej Polski—Wielkiej Polski!

ś. p. Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström.

Wielka strata, którą poniosło Poznańskie, rzuciła cień na zgon cichego, zasłużonego pracownika, który był żywym dowodem potęgi asymilacyjnej Polski. Wnuk posła szwedzkiego w Warszawie, a później kanclerza królestw Szwecyi i Norwegii, właściciel dóbr majorackich w Szwecyi, nie miał hr. Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström ze swoją dawną ojczyzną nic wspólnego, prócz tradycyj rodzinnych; był Polakiem z duszy i serca, niosącym ojczyźnie swojej w ofierze zdolności i zacne, dobre czyny swoje.

Urodzony w r. 1828 w ciągu długiego swego życia przeżył szmat życia Wielkopolski, był świadkiem dziejowego znaczenia zmian. W linii niewieściej rodu swego, matki i babki związany był blizko z tradycyami polskiemi, Chłapowskich, J. I. Kraszew-

skiego i innych, a nauki u Józefa Kremera pobierał. Pozostało w nim stąd przez całe życie gorące zamiłowanie do literatury i nauki, któremu dawał wyraz w licznych utworach, a przedewszystkiem w długoletniej, pożytecznej i owocnej pracy w poznańskiem Towarzystwie Przyjaciół Nauk, którego długoletnim był sekretarzem, zajmując się głównie zabytkami przeszłości i sztuki. Na podniesienie zasługuje jeszcze filantropijna działalność zmarłego, zwłaszcza w kierunku założenia i prowadzenia Towarzystwa kolonij wakacyjnych dla ubogiej młodzieży i stacyj sanitarnych w Poznaniu. Był serdecznym przyjacielem dziatwy, najlepszym opiekunem opuszczonych, chorych sierot i zakładu dla nich w Kobylnicy, pod Poznaniem; tysiącom dzieci zapewnił wytchnienie i odpoczynek letni; corocznie z gorącem umiłowaniem organizował wysyłanie uczniów i uczennic zakładów naukowych poznańskich i umiał znaczne na ten cel zgromadzić fundusze.

Był to człowiek nieposzlakowanej prawości i zacności, skromny, uczynny niezmiernie, to też w całem Poznańskiem był osobistością popularną, powszechnie znaną i szanowaną. Zgon jego wzbudził żal ogólny, świadczący o czci, jaka słusznie należała się prawemu Polakowi, zacnemu i zasłużonemu obywatelowi.

Ś. p. Ksawery Jaksa Chamiec.

Odszedł od nas jeszcze jeden działacz, jeden z nielicznych, którzy znaczną część życia swego spędzili w pożytecznej służbie publicznej.

Ś. p. Ksawery Jaksa Chamiec urodził się w r. 1848 w rodzinnym majątku Pustowarnia, gub. kijowskiej. Po ukończeniu studyów na uniwersytecie kijowskim, przez czas jakiś gospodarował u siebie na wsi, a następnie przeniósł się do Warszawy w zamiarze poświęcenia się pracy na drodze naukowej. Jakoż w naszej *Bibliotece* drukował pierwsze swoje studya historyczne z dziejów Ukrainy, p. t. „Wśród stepów i jarów;“ z kolei nastąpiło studyum etnologiczno-historyczne „Tajemnica Pirenejów,“ opracowanie dwunastu map graficznych rozwoju górnictwa w Królestwie Polskiem; mapy te złożył w darze Muzeum przemysłu i rolnictwa. Wymieniamy tu oczywiście tylko prace najważniejsze; mniejszych pełno ogłaszał w pismach specyalnych, ogólnych, w „Wielkiej Encyklopedyi Illustrowanej.“

Ale to nie wyczerpywało wielkich sił i energii zmarłego. Niezależny materyalnie, a więc pozbawiony jarzma pracy zarobkowej, należał on do coraz rzadszych tych, którzy w niezależności takiej widzą obowiązek bezinteresownej służby publicznej. Więc widzimy ś. p. Chamca na różnych posterunkach: w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, w Towarzystwie przeciwżebraczem, w Kasie Literackiej. Nie bierze tych stanowisk dla pustego tytułu. Nie. Owszem, świeci wszędzie przykładem sumiennego spełniania obowiązków i chętnie bierze na siebie najcięższe obowiązki zarządu funduszami. W tym charakterze widzieliśmy go zblizka w Kasie Literackiej i sądzimy, że ta Kasa była może sercu zmarłego najbliższa; spędzać tam codzień godzin parę, wszak to ofiara niemała; doprowadzić Kasę do jej dzisiejszego porządku i rozkwitu, to także zasługa niemała. Stojąc pilnie na straży interesów instytucyi, sam wiedział tylko, ilu niedolom sam osobiście dopomógł, kiedy nie można było podciągnąć ich pod ustawę a serce bolało! Biedni literaci, ich wdowy i sieroty dobrze i długo wspominać będą ś. p. Chamca.

Ci, co go bliżej znali i w pracy ocenić umieli, nietylko szanowali go, ale i kochali serdecznie. Nagła śmierć tego zasłużonego człowieka, w sile wieku męskiego, jak grom uderzyła w serca licznych kolegów i przyjaciół. Koledzy z komitetu Kasy na barkach swoich ponieśli go na spoczynek wieczny, z niejednego oka spłynęła łza niekłamanego żalu... Cześć pamięci zacnego człowieka! I szkoda go, wielka szkoda...

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Na posiedzeniu Wydziału II-go, w dniu 21 października r. b., pod przewodnictwem p. Miklaszewskiego, odbyła się dyskusya nad referatem, wygłoszonym na posiedzeniu 3 czerwca r. b. przez członka, p. E. Majewskiego, pod tytułem: „Co sądzić o niedopasowaniu języka do myśli?“ Temat powyższy uzupełnił referent uwagami w sprawie możliwości języka uniwersalnego.

Na posiedzeniu Komisyi antropologicznej przy Wydziale II-im z dnia 29 października r. b., wysłuchano referatu p. E. Majewskiego: „O pojemności psychicznej człowieka i zwierzęcia.“ W dyskusyi brali udział p.p.: W. Miklaszewski, S. Smolikowski i K. Stołyhwo. Następnie p. K. Stołyhwo przedstawił pracę p. S. Poniatowskiego, p. t.: „Kryterya biometryczne przynależności jednostki do naturalnej grupy morfologicznej.“ Dalej p. E. Majewski przedstawił pracę p. L. Kozłowskiego p. t.: „Dwadzieścia nowoodkrytych stanowisk przedhistorycznych w okolicach Warszawy.“

Na posiedzeniu listopadowem Wydziału III-go wygłoszono komunikaty następujące: P. Ryszard Hertz: „O ziarnistościach zasadochłonnych krwi“ (przedst. p. Wł. Janowski). P. Z. Wóycicki: Sprawozdanie z gromadzenia w r. 1910 materyałów do „Obrazu flory Królestwa.“ Tenże: „Kilka przypadków anormalnego rozwoju kwiatostanów w Secale i Lolium.“ P. St. Miklaszewski: „Gleba pola doświadczalnego w Starościcach.“ Tenże: „Czarnoziemy hrubieszowskie.“ P. W. Sierpiński: „O wpływie porządku składników na zbieżność jednostajną szeregu.“

Zarząd Towarzystwa Naukowego Warszawskiego na posiedzeniu z dnia 12 listopada postanowił na wniosek Komisyi antropologicznej przeznaczyć fundusz tejże Komisyi imienia Jana Karłowicza (rb. 300) na opracowanie skoro-

widza do 19 tomów „Wisły.“ Skorowidz ma być opracowany według wskazówek Komisyi antropologiczno-archeologicznej Towarzystwa Naukowego.

Dnia 16 listop. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którem p. Br. Chlebowski odczytał wspomnienie o zmarłym członku Towarzystwa Romanie Plenkiewiczu. Następnie p. G. Korbut odczytał drugą część swego referatu, p. t.: „O początkach wpływu Boileau'a w Polsce.“ W referacie tym p. G. Korbut wykazał właściwości parafrazy satyr Boalowych Załuskiego—jego wysłowienia, języka i stylu, zestawiając tekst oryginału francuskiego z odpowiednim polskim.

W dniu 18 listopada odbyło się posiedzenie Komisyi Meteorologicznej przy Wydziale III-im, na którem ustalono treść rocznika Komisyi, mającego się ukazać w seryi „Prac“ Towarzystwa. Następnie przedstawiono sprawozdanie z działalności obserwacyjnej na stacyach meteorologicznych sieci warszawskiej za okres ubiegły. Nadto odczytano następujące referaty: P. St. Landau: „O badaniach Hale'a nad zjawiskiem Zeemanna.“ P. W. Szaniawski: „O nowym przyrządzie do badania kierunku i siły wiatrów.“

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Książka. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Listopad, 1910. Treść: Kazimierz Kaszewski. Krytyka: Alkar, Kartki z pamiętnika. Czasy szkolne przed rokiem 1861; — Bartkiewicz Zygmunt: Psie dusze; — Bersohn Mathias: Dyplomataryusz, dotyczący Żydów w dawnej Polsce, na źródłach archiwalnych osnuty; — Braos Fr. T. J.: Prawda, tom I;— Bujak Fr.: Galicya, tom II; — Chrzanowski Ignacy: O literaturze polskiej; — Czarnecki Julian, D-r: Medycyna pastoralna; — Czermak Wiktor, Prof. D-r: Grunwald; — Dębiński Karol, Ks.: Rozkoł i sekty w prawosławnej Cerkwi rosyjskiej; — Dicksteinówna Julia: Trzy fazy w twórczości Narcyzy Żmichowskiej;—Gąsiorowska Natalia: Historya Zakonów w Polsce;—Grzymała-Siedlecki Adam: Wyspiański, cechy i elementy jego twórczości;—Immortele Słowackiego; — Jankowski Józef: Kosa; — Jeleński Władysław, Adw. przys.: Poznajmy prawo! (cz. I);—Kasprowicz Jan: Cztery głosy o poecie;—Kluss Jerzy: Nowy słownik kieszonkowy polsko-niemiecki i niemiecko-polski;—Klucz do oznaczania zwierząt kręgowych ziem polskich;—Kutner Seweryn: Słowniczek polsko-niemiecki i niemiecko-polski; — Lewkowicz Jakób: Podstawowe zagadnienia teoretycznej i praktycznej filozofii (teorya poznania); — Lotze Herman: Zarys metafizyki; — Meyerhold Tadeusz: Krzyk życia; — Michałowski Zygmunt: Do celu;—Mosiewicz Zygmunt: Wiersze; — Piątkowski H.: Mistrz Kłębek;—Radziszewski Idzi, Ks. D-r. Teologia a nauki przyrodnicze; — Rydel Lucyan: Królowa Jadwiga;—Rygier-Nałkowska Zofia: Koteczka czyli Białe Tulipany;—Sachs Marceli: W pewnym domu;—Szymański Antoni, Ks. D-r: Poglądy demokracyi chrześcijańskiej we Francyi (1892—1907);—Vaihniger I, D-r: Filozofia Nietzschego; — Żeromski Stefan: Andrzej Radek, czyli Syzyfowe prace; — Pod prasą; — Kronika; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Album sztuki polskiej i obcej. Wieś Polska. Warszawa, 1910. Nakład Tow. Akc. Wydawn. „Swiat."

Auerbach F., profesor uniwersytetu w Jenie: Władczyni świata i jej cień... Wykład popularny zasad nauki o energii i eutropii z dodaniem literatury przedmiotu. Spolszczył Konstanty Chmielewski. Warszawa. Druk synów St. Niemiry.

Bajki murzynów afrykańskich. Zebrała F. Held, przełożyła Jadwiga Bornsteinowa. Warszawa, 1911. G. Centnerszwer i Sp.

C. Bogucka. C. Niewiadomska: Nasi pisarze ich życie i dzieła. Krótki zarys dziejów piśmiennictwa polskiego. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

Bogusławski Edward: La société & la Civilisation (Extrait de la Revue Internationale de Sociologie). Paris, 1910.

Bohowityn: Czarnemi czcionkami. Kraków, 1908. G. Gebethner i Sp.

Boniecki: Herbarz polski. Tom XIII, zeszyt 8.

Borkowska Bronisława: Jak powstały religie? Z 21 ilustracyą w tekście. Nakładem wydawnictwa „Życie" w Krakowie. Skład główny Warszawa G. Centnerszwer i S-ka.

Bölsche M.: Zwycięski pochód życia. Warszawa, 1910. Wydawnictwo „Biblioteki dzieł wyborowych."

Brodziński Kazimierz: Nieznane pisma prozą. Wydał z rękopisów dr. Aleksander Łucki. Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

Catechismus. To jest nauka bardzo pożyteczna każdemu wiernemu krześcijaninowi, jako sie ma w zakonie Bożym a w wierze i w dobrych uczynkach sprawować. 1543 r. Wydał Franciszek Pułaski. „Biblioteka pisarzów polskich" № 56. Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

Choromański Leon: Zuzanna. Warszawa, 1911. G. Centnerszwer i S-ka. Lwów, H. Altenberg.

Chrząszczewska Jadwiga: Znani i nieznani. Opowiadania przyrodnicze. Warszawa. Księgarnia J. Lisowskiej.

Chybiński D-r Adolf: Materyały do dziejów Król. Kapeli Rorantystów na Wawelu. Część pierwsza, 1540 — 1624. Kraków, 1910 r. Skład główny w księgarni D. E. Friedleina. Warszawa. W księgarni E. Wendego i Sp.

Czem być możemy? Wywód z dziejów ostatniego półstulecia. Jako księga VII i zamknięcie rzeczy: „Czem byliśmy, czem jesteśmy, czem być mo-

żemy," przez autora „Zarysów stanu moralnego naszego społeczeństwa." Kraków, 1910. Gebethner i Sp.

Dzierżkowski Józef: Król Dziadów. Powieść obyczajowa w 2 tomach. Tom II z 6 illustracyami. Bezpłatny dodatek do „Tygodnika Illustrowanego" „Ciekawe powieści," miesięcznik poświęcony najwybitniejszym powieściom i romansom polskim i obcym. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp.

Dzwonowski Jan: Pisma (1608—1625). Wydał Karol Badecki. „Biblioteka pisarzów polskich" № 58. Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

Glatman Ludwik: Wielka Wojna. Szkic historyczny. W pięćsetną rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem (1410 — 1910). Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

Grabowski Tadeusz, d-r prof. uniwersytetu Jagiellońskiego: Filozofia Juliusza Słowackiego. Odczyt na walnem zgromadzeniu Tow. filozoficznego w Krakowie dnia 26 stycznia 1909 r. z podobizną Juliusza Słowackiego, w dodatku Sprawozdanie Tow. filozoficznego za r. 1909. Kraków. Nakładem Towarzystwa filozoficznego. Spółka wydawnicza polska.

— Czy historya literatury jest nauką? Szkic o metodzie w badaniach historyczno-literackich ze szczególnem uwzględnieniem historyi literatury polskiej. Kraków, 1910.

Jaroszyński Tadeusz: Jak patrzeć na dzieła sztuki. Z portretem autora. „Nowości literackie," tom 40. Warszawa, 1910. St. Sadowski.

Jeleński Szczepan: Zarys nowego programu. Warszawa, 1910. Odbitka z „Roli."

Katalog dzieł nakładowych i komisowych księgarni Gebethnera i Wolffa. Warszawa. 1911.

Konopnicka Marya. Italia. Wydanie drugie. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

— O Beniowskim. Z portretem autorki. Warszawa, 1910, Lwów. Nowości literackie. Tom 41. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

Kramsztyk Zygmunt: Bohaterowie „Pana Tadeusza" IV. Osoby pozostałe i stosunki społeczne. Warszawa, 1910.

Krzemieniecka Hanna: A gdy odejdzie w przepaść wieczną... Romans zagrobowy. Dwa tomy w jednym. Warszawa, 1910. Druk Piotra Laskauera.

Kubala dr. L.: Szkice Historyczne. Serya trzecia. Wojna Moskiewska. Rok 1654 — 1655. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka.

Kursa dla dorosłych A. Jaczynowskiego w Warszawie. Sprawozdanie z działalności od 1 lipca 1909 r. do 1 lipca 1910 r.

Kuźniar Wiktor: Z przyrody Tatr. Kraków, 1910. Warszawa, E. Wende i Sp.

Lemański Jan: Noc i dzień. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Łoziński Władysław: Madonna busowiska. Wydanie trzecie. Lwów, 1911. H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp.

Marcinowska Jadwiga: Twórca. Rok 1911. Skład główny Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Mieczysław Karłowicz w Tatrach: Pisma taternickie i zdjęcia fotograficzne wydane staraniem zarządu sekcyi turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego. Kraków, 1910.

Mniszek Helena: Trędowata. Powieść w 2 tomach. Kijów, 1911. Leon Idzikowski. Wydanie drugie.

Najem pracy fabrycznej. Poznajmy prawo! № 2. Opracował St. Nowodworski, adwokat przysięgły. Warszawa, 1911. Skład główny w administracyi miesięcznika „Prąd."

Nowaczyński Bogdan: Mikołaj Kopernik. Szkic popularny. „Książki dla wszystkich." Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

Ottonówna: Z Bożej łaski. Cykl wielkopolskich szkiców. Kraków, 1911. G. Gebethner i Sp.

Paul Adam: Czarny Wąż. Przekład J. P. Część I i II. „Biblioteka Dzieł Wyborowych." Warszawa, 1910.

Prentice Mulford: Niewyzyskane siły życia. Przełożyła z oryginału Zofia Hartingh. Warszawa, 1911. Wydawnictwo M. Arcta.

Przewodnik po Muzeum imienia książąt Lubomirskich we Lwowie. Z 12 illustracyami. Lwów, 1909. Nakładem Zakładu nar. im. Ossolińskich.

Rakowska Marya: Zarys Literatury Angielskiej. Od początków do naszej doby. Część I i II. Warszawa, 1910. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych."

Robert P. Porter: Niebezpieczeństwo przedsiębiorstw miejskich. Przekład z angielskiego Z. A. K. Z uwagami wstępnemi przez W. R. P. Warszawa, 1911. Nakładem Spółki Wydawniczej Warszawskiej. Skład główny w Księgarni E. Wende i Sp.

Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, 1909. Tom III. Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, 1910.

Rogoszówna Zofia: Pisklęta. Nowele. Spółka nakładowa „Książka." Kraków.

Smolarski Mieczysław Maryan: Poeta „Wiersza do Legionów" Cypryan Godebski. Kraków, 1910. Spółka wydawnicza polska.

Sprawozdanie z czynności Zakładu narodowego imienia Ossolińskich za rok 1909. Lwów, 1910. Nakładem Zakładu nar. im. Ossolińskich.

Szmidt Ignacy, D-r: Współczesna kwestya religijna i modernizm. Warszawa, w drukarni Synów St. Niemiry.

Tektander: Moja Pani. Studyum z natury. Przyczynek do psychologii księżych gospodyń. Poznań, 1911. Skład główny, Warszawa, księgarnia M. Szczepkowskiego.

Werner Sombart: Zydzi a współczesna gospodarka społeczna. Przekład z niemieckiego A. W. i Z. K. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Nakładem Wacława Pawłowskiego.

Werbickaja A.: Motyle. Przekład z rosyjskiego. Warszawa, 1910. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych."

Witkowska Helena: Z dziejów ludzkości. Z 69 rycinami i okładką illustrowaną. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni J. Lisowskiej.

W Poszukiwaniu Prawdy. Wstęp do teoryi poznania. Sześć wykładów, wygłoszonych w Auli Uniwersytetu w jesieni 1909 roku przez: d-ra Tadeusza Grabowskiego, ks. d-ra Franciszka Gabryla, d-ra Wojciecha Gieleckiego, d-ra Stanisława Garfin-Garskiego, d-ra Ignacego Wassenberga, d-ra Maurycego Straszewskiego. Wydał i przedmową opatrzył d-r Maurycy Straszewski, Prof. Filozofii Uniwersytetu Jagiel. i prezes Tow. Filozof. w Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska.

Zarys najpotrzebniejszych wiadomości o Polsce. Lwów, 1910. Nakładem org. „Jedności narodowej."

DYSKUSYA.

Z powodu recenzyi książki Mariusa—Ary Leblond „La Pologne Vivante," zamieszczonej w zeszycie październikowym „Biblioteki," napisanej przez pana Ludwika Włodka, otrzymujemy od wymienionych pisarzy francuskich list, który poniżej, w imię bezstronności, zamieszczamy, udzielając równocześnie głosu także i naszemu współpracownikowi, autorowi recenzyi.

List pp. Mariusa—Ary Leblond brzmi, jak następuje:

„Szanowny Panie Redaktorze!

„Odwołujemy się do koleżeńskiej uprzejmości Szanownego Pana, prosząc o łaskawe zamieszczenie kilku uwag następujących — które skracamy, o ile to tylko możliwe — w odpowiedzi na krytykę p. Włodka książki naszej, „La Pologne vivante."

„Przeczytaliśmy ją z przykrością, nie tyle dlatego, że zasadnicze punkty zostały pominięte, ile z powodu, że widzimy pisarza polskiego, tak znanego, jak wybitny współpracownik „Biblioteki," który—przerzucając dzieło nasze z łaskawą życzliwością — nie uczynił najmniejszego usiłowania, aby na dobre, nie na złe wytłómaczyć to, co mogło go dziwić w naszej pracy. A przecież zasługiwaliśmy na to usiłowanie, wiedział bowiem, z jakiem uczuciem pisaliśmy o Polsce.

„Nie bez goryczy — wyrokuje on — przeczyta Polak przedmowę do „La Pologne Vivante," datowaną z Moskwy, zawierającą kilka uwag o obu stolicach rosyjskich, bez potrzeby, bez związku z przedmiotem." Oto, co nas zdumiewa! że imperyaliści-nacyonaliści rosyjscy mogli być z tego niezadowoleni, uważaliśmy to za naturalne; ale byliśmy przekonani—naiwnie, jak się okazało—że Polacy odrazu będą rozumowali tak: „Rosyanie zarzucają Leblondom, że napisali apologię Polski potem, jak widzieli i słyszeli tylko Polaków; nasi przyjaciele pragnęli dać do zrozumienia, że wartość ich pochwały Polaków uwypukla się ich bezstronnością i znajomością Rosyan i dlatego chcieli, aby gloryfikacya Polski wychodziła z serca Rosyi."

„Mniej nas zdziwiły uwagi, wywołane przez nasze zestawienie—nie porównanie—agitacyi 1905 r. i powstania 1863 r. Ale interpretacya p. Włodka naszych intencyj nie jest trafna, na dowód czego przyjmujemy zupełnie jego porównanie z 1793-im i 1871-ym.

„P. Włodek mówi jeszcze, że nie umiemy odróżnić literatury od życia, że jesteśmy wielbicielami *młodej literatury rosyjskiej* — gdzie to spostrzegł?— że nie wiemy o zatruwaniu dusz młodzieży przez tę literaturę anarchiczną, o rusyfikacyi przez nią jej umysłów. Otóż, wprost przeciwnie, sądzimy, że wykazaliśmy to w naszej książce.

„Wreszcie — według p. Włodka — „lojalizm Galicyi razi“ nas; raczy to łaskawie wytłómaczyć takiem wyjaśnieniem: „dlatego, że Leblondowie są romantykami.“ Nie chcąc nadużywać gościnności „Biblioteki,“ nie mogąc więc cytować zbyt licznych ustępów naszej pracy, które dowodzą czegoś wprost przeciwnego, ograniczamy się stwierdzeniem, że broniliśmy Galicyę przed przesadnymi zarzutami lojalizmu—logicznego i rozważnego. Z drugiej strony praca nasza nie wychodzi bynajmniej ze stanowiska romantycznego.

„Winni byliśmy te wyjaśnienia. Poświęciliśmy dużo czasu napisaniu naszej książki o Polsce, nie mogliśmy pozwolić mniemać waszej wielkiej publiczności, która nas nie czytała, że mieliśmy takie pojęcia i takie intencye, skoro jest zupełnie przeciwnie. Co powiedziawszy, dziękujemy p. Włodkowi za te kilka życzliwych wyrazów, w których zechciał łaskawie ocenić nasze usiłowania.

„Zechciej przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, zapewnienie naszego najwyższego szacunku.

Marius—Ary Leblond.“

„Odpowiedź na list powyższy pragnę zacząć od stwierdzenia, że stosowanie do mnie określeń: „znany,“ „wybitny“ pisarz, który okazuje „łaskawą życzliwość,“ „raczy łaskawie przyznać,“ „łaskawie ocenia,“ stosowanie ich do mnie, publicysty zwyczajnego, przez pisarzy, których dzieła wieńczone były przez dwie Akademie, jest oczywistą ironią. Stwierdzam to z przykrością taką samą, z jaką przeczytałem list Leblondów, taką samą, jeśli nie większą, z jaką oni czytali moją skromną ocenę. A z przykrością dlatego, że—bez pretensyonalnego frazesu, poprostu i szczerze — wysoko szacuję ich wiedzę, ich ciężką i sumienną pracę, jakiej składają dowody na każdej stronnicy swej cennej pracy.

„Czy idzie zatem, że muszę się zgadzać na wszystkie ich poglądy! Oczywiście—nie. Podniosłem te punkty, które, zdaniem mojem, były najważniejsze; w ich przekonaniu te właśnie pominąłem. Gdybym miał do rozporządzenia nie cztery strony, lecz arkusz lub dwa miejsca, możebym ich zadowolił. W każdym razie książkę ich przeczytałem, nie—jak chcą oni—„przerzucałem.“

„W liście Leblondów jest jedno cenne miejsce: to, w którem wyjaśniają genezę przedmowy. Przyznaję otwarcie, że nigdybym się jej nie domyślił. Bardzo się jednak cieszę, że takie właśnie, a nie inne jest pochodzenie ideowe.

„W recenzyi mojej nie miałem wiele miejsca na uzasadnienie wniosków; tem mniej mam go tutaj. Wystarczy jednak zacytować uwagi o „kwietyzmie galicyjskim“ (rozdz. I, ks. IV); w Galicyi „pokój austryacki usypia umysły i serca“—w tej samej Galicyi, w której jedynie rozwija się nauka polska. Przypomnijmy jeszcze zestawienia na str. 421 Gogola z Prusem, Reymonta z Gorkim i inne, słowem dwóch literatur, z których jedna jest nasza, ukochana,

a druga albo urzędowa, albo anarchiczna. Nie zarzucamy autorom tego zestawienia; przecież oni, jako cudzoziemcy, nie mogą zrozumieć tej nadmiernej może drażliwości, którą nazwą może *puérile*, niechże się przecież nie dziwią, że w ocenie ich pracy wyraz swój znajdzie. Jesteśmy Słowianami—zapewne, ale wolimy, kiedy nas nawet przyjaciele nazywają tylko Polakami i mówią o geniuszu polskim, nie słowiańskim wogóle. Temu uczuciu dałem wyraz w recenzyi. Chętnie przyznaję, że może mniej pod wrażeniem książki, niż pod wrażeniem artykułu Leblondów w „Mercure de France," który w „Kuryerze Warszawskim" tłómaczyłem i wówczas już parowierszowemi uwagami opatrzyłem; zostały potem szerzej rozwinięte w recenzyi.

„Zestawienia czy porównywania r. 1863 i 1905 z jednej, a 1793 i 1871 z drugiej strony zaprowadziłyby nas za daleko. Dajmy im więc spokój. Zostańmy każdy przy swojem zdaniu—z możliwem zrozumieniem cudzego. Powtarzam na zakończenie raz jeszcze, że bardzo wielką sprawiło mi przykrość wrażenie, którego doznali autorowie francuscy z powodu moich uwag. Cóż jednak na to poradzę? Mimo wielkiego uznania i szacunku, jaki mam dla ich dzieła, a może właśnie z powodu tych uczuć, pisałem szczerze, co myślałem i czułem, czytając książkę.

Ludwik Włodek."

Biblioteka Śląska

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1910.

FILOZOFIA.

Str.

DROGI DO METAFIZYKI,—przez *Michała Sobeskiego* 311

HISTORYA.

RZĄDY AUSTRYACKIE W GALICYI,—przez *Wacława Mejbauma* . . . 21
POLITYKA KOZACKA W OSTATNICH LATACH ŻYCIA BOHDANA CHMIELNICKIEGO,—przez *Fr. Rawitę-Gawrońskiego* . 76
JÓZEF KALASANTY SZANIAWSKI,—przez *Miecz. Smolarskiego* 232
AUSTRYA A ROSYA W POCZĄTKACH PANOWANIA MIKOŁAJA I,—przez *Br. Pawłowskiego* 285
STANISŁAW WORCELL,—przez *Zygmunta Miłkowskiego* 417
JAN OLRYCH SZANIECKI,—przez *Bolesława Limanowskiego* 535

HISTORYA LITERATURY.

PAMIĘTNIK DEOTYMY . . . . . 55 i 267
„NOWA HELOIZA“ RUSSA,—przez *d-ra J. H. Reinholda* 334
Z OBOZU KLASYKÓW,—przez *d-ra Maryana Szyjkowskiego* 470

LITERATURA.

OPOKA (powieść),—przez *Kazimierza Zdziechowskiego* . . . . . 1 i 209
LISTY DO NIEJ,—przez *Zuzannę Rabską* 455

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Str.

FRYDERYK CHOPIN,—przez *Zdzisława Jachimeckiego* 39
RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez *Orwida* 94
ROBERT SCHUMANN,—przez *Józefa Władysława Reissa* 258
BRUNO LILJEFORS,—przez *Maryę Zielewiczównę* 327
JAN MORÉAS,—przez *Jana Szarotę* 503
ROMA—AMOR,—przez *Walerego Gostomskiego* 556

STUDYA ANTROPOLOGICZNE.

JEDNA Z PIERWOTNIEJSZYCH GRUP LUDZKICH,—przez *K. Stołyhwę* 121

KRYTYKA.

MARIUS-ARY LEBLOND: „La Pologne vivante,“—przez *L. Włodka* 177
KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO „Nieznane poezye“ i D-R ALEKSANDER ŁUCKI: „Młodość Kazimierza Brodzińskiego,“ — przez *A. Drogoszewskiego* 181
F. DE BOJANI: „Innocent XI. Sa correspondance avec ses nonces,“ — przez *Macieja Loreta* 361
LUDWIK WŁODEK: „Polskie kolonie rolnicze w Paranie,“ — przez *Wacława Dunina* 366
BRONISŁAWA OSTROWSKA: „Chusty ofiarne,“—przez *A. Drogoszewskiego* . . 371
MICHAŁ JANIK· „Z dziejów wymowy w w. XVII i XVIII,“—przez *A. D.* . 375
FELIKS BOGACKI: „Zagadnienia etyki,“—przez *d-ra Zygmunta Bujakowskiego* 379
K. BOŁSUNOWSKI (Kijów): „Nowoodkryte herby na ceramice w horodyszczu Łutawa,“—przez *F. R. G.* 590
DR. BRONISŁAW PAWŁOWSKI: „Lwów w 1809 r.,“—przez *Macieja Loreta* . 593
JABŁONOWSKI ALEKSANDER: „Pisma.“ Tom I: „Ziemie ruskie Rzeczypospolitej,“—przez *I. B.* 597

KRONIKA MIESIĘCZNA.

PAŹDZIERNIK:
W wirach polemiki. — „Spór z p. Grońskim.“ — Spór z p. Szarapowem.—Nie pogarda, lecz przeciwstawność.—Przegląd sił 190
LISTOPAD:
Zbrodnia na Jasnej Górze.—Stan obecny herezyi maryawickiej.—Rozprawy na temat „odżydzania postępu“ polskiego.—Sesya sejmu galicyjskiego. — Stanowisko sejmu finlandzkiego.—Z wystaw sezonowych 384

Str.

GRUDZIEŃ:

Otwarcie sesyi jesiennej Izby Państwowej.—Słówko pamięci.—Rządowy projekt szkolny.—Obrona posłów polskich.—Fałszywy argument w rozprawach.—Jak było naprawdę w Żulinie?—Nowa ustawa wyjątkowa.—Prace podkomisyi.—Projekt ziemstw w Królestwie.—Z prywatnych obrad nad samorządem.—Żydzi, liberali rosyjscy i my.—Prace sejmu galicyjskiego.—Do wtóru trąbek i piszczałek.—Uroczystości szopenowskie we Lwowie. — Dziko- nie wolnomyślna młodzież w Krakowie i jej wybryki . . 600

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Józef Grajnert i ś. p. Jan Gebethner,—przez *L. W.* 200

Ś. p. Marya Konopnicka, ś. p. Felicyan Faleński, ś. p. Roman Plenkiewicz i ś. p. Franciszek Żmurko,—przez *L. W.* 402

Ś. p. ks. Piotr Wawrzyniak, ś. p. Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström i ś. p. Ksawery Jaksa Chamiec przez *L. W.* 615

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

PAŹDZIERNIK 202

LISTOPAD 411

GRUDZIEŃ 620

DYSKUSYA 626

Biblioteka Główna